



SUSANNA CLARKE

JONATHAN STRANGE  
I PAN NORRELL

UCZTA WYOBRAZNI

**Susanna Clarke**

**Jonathan Strange i pan  
Norrell**

*Tom 01*

*Tłumaczenie: Małgorzata Hesko-Kołodzińska*

*Pamięci mojego brata, Paula Fredericka Gunna Clarke'a*

*Pan Norrell*

*Rzadko mówił o magii, a gdy już zaczynał, przypominało to lekcję historii i nikt nie mógł go słuchać.*

## **Rozdział pierwszy**

*Biblioteka w Hurlfew jesień 1806-styczeń 1807*

Wiele lat temu działało w Yorku towarzystwo magów. Jego członkowie spotykali się w trzecią środę każdego miesiąca, by wspólnie studiować długie i nudne dokumenty o historii angielskiej magii.

Magowie byli dżentelmenami, co oznaczało, że nikogo nie krzywdzili za pomocą czarów, ale też nikogo nie uszczęśliwiali. Prawdę mówiąc, żaden nie rzucił nigdy najprostszego nawet zaklęcia, nie poruszył mocą magii listka na drzewie, nie zawrócił z drogi drobinki kurzu ani nie zmienił uczesania bądź koloru cudzej czupryny. Mimo to cieszyli się oni sławą najmądrzejszych i najlepiej obeznanych z magią dżentelmenów w całym hrabstwie York.

Pewien znakomity mag powiedział, że praktykujący magię „muszą stawać na głowie, by dokonać jakiegoś postępu w nauce, za to talent do klótni rozwijają błyskawicznie”<sup>[1]</sup>. Magowie z Yorku przez długie lata udowadniali słuszność tej tezy.

Jesienią 1806 roku do ich grona dołączył pan John Segundus. Na pierwszym spotkaniu wygłosił mowę powitalną, w której pochwalił wybitne osiągnięcia historyczne towarzystwa i wymienił licznych jego członków. Wyznał, że istnienie tak znakomitej organizacji bardzo go zachęciło do zamieszkania w Yorku. Przypomniawszy też, że magowie z północy zawsze cieszyli się większym poważaniem niż ci z południa. Pan Segundus oświadczył ponadto, że studiował

magię przez wiele lat i poznał losy wszystkich jej luminarzy. Czyta nowe publikacje poświęcone magii i sam przyczynił się do jej rozwoju. Martwi go jednak, że ślady wielkich dokonań sztuki magicznej można obecnie znaleźć wyłącznie w księgach, że nie widać ich w życiu i nie pisze się o nich w prasie. Pan Segundus wyznał, że pragnie poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego współcześni magowie nie posługują się magią, a jedynie o niej piszą. Krótko mówiąc, chciał wiedzieć, czemu nikt w Anglii magii nie praktykuje.

Było to powszechne pytanie. Prędzej czy później musi na nie odpowiedzieć każda guwernantka i każdy rodzic w królestwie. W uczonych z Yorku nie wzbudziło ono jednak entuzjazmu i to z oczywistego powodu: mieli na ten temat tyle samo do powiedzenia, co inni.

Prezes towarzystwa (zwał się doktor Foxcastle) poinformował więc Johna Segundusa, że pytanie jest niestosowne:

- Nonsensem jest założenie, że magowie mają obowiązek praktykować magię. Chyba nie sugeruje pan, że botanicy powinni wymyślać kwiaty, a astronomowie przedstawiać gwiazdy? Magowie, szanowny panie, studiują magię praktykowaną w dawnych czasach. Czy trzeba czegoś więcej?

Starszawy mag o bladoniebieskich oczach (zwał się Hart albo Hunt, pan Segundus nie dosłyszał nazwiska), odziany w pastelowy strój, oznajmił omdłym głosem, że sprawa nie podlega dyskusji. Dżentelmenowi nie przystoi praktykować magii. To zajęcie dla ulicznych sztukmistrzów, którzy oskubują dziatwę z grosików. Magia stosowana podupadła, zbratała się z ludźmi podejrzanego konduity i kojarzy się ją z różnymi niebieskimi ptakami, cyganerią, włamywaczami, a uprawia w obskurnych budkach o brudnych żółtych kotarach. O nie, dżentelmen nie powinien praktykować magii. Może ją studiować (trudno o szlachetniejsze zajęcie), ale nie wolno mu się nią posługiwać. Starszawy jegomość wbił spojrzenie wypłowiałych, po ojcowsku zatroskanych oczu w pana Segundusa i wyraził nadzieję, że uczony kolega nie próbował czarować.

Pan Segundus oblał się rumieńcem.

Maksyma słynnego maga okazała się prawdziwa. Członkowie stowarzyszenia szybko się podzielili - połowa stanęła po stronie doktora Foxcastle'a i pana Hunta (bądź Harta), a reszta była odmiennego zdania. Część dżentelmenów doszła do wniosku, że w całej nauce o magii nie ma ważniejszego pytania od tego, które postawił pan Segundus. Głównym popiecznikiem pana Segundusa okazał się dżentelmen o nazwisku Honeyfoot - sympatyczny, jowialny jegomość o rumianym obliczu i siwych włosach, liczący sobie pięćdziesiąt pięć lat. Gdy zgryźliwość oponentów przybrała na sile, a doktor Foxcastle zaczął wygłaszać uszczypliwe uwagi pod adresem Segundusa, pan Honeyfoot podtrzymywał nowego kolegę na

duchu: „Proszę na nich nie zważać. Bez zastrzeżeń podzielam pańskie zdanie” - szeptał. Lub: „Ma pan absolutną rację, niech się pan nie da przekabacić!” Albo: „Trafił pan w sedno! W rzeczy samej, drogi panie! To właśnie przez brak odpowiednio postawionego pytania nie mogliśmy ruszyć z miejsca. Teraz, razem z panem, dokonamy wielkich rzeczy”.

Te życzliwe uwagi zyskały wdzięcznego słuchacza w osobie pana Segundusa, który nie krył zdziwienia.

- Obawiam się, że wywołałem burzę - wyszemrał do pana Honeyfoota. - Nie miałem takiego zamiaru. Liczyłem na życzliwość zebranych tu dżentelmenów.

Ale zdziwienie i przygnębienie Segundusa szybko ustąpiło oburzeniu, które wywołała szczególnie zjadliwa uwaga doktora Foxcastle'a.

- Ten dżentelmen chyba pragnie, by spotkał nas taki sam los jak nieszczęsnych magów z Manchesteru! - oznajmił Foxcastle, rzucając adwersarzowi lodowate spojrzenie.

Pan Segitndus nachylił się do pana Honeyfoota.

- Nie sądziłem, że magowie w hrabstwie York są tak zawzięci - powiedział stłumionym głosem. - Skoro magia nie ma tutaj przyjaciół, to gdzie ich szukać?

Życzliwość pana Honeyfoota wobec pana Segundusa była większa, niż Segundus mógł się spodziewać. Starszy pan zaprosił go do swojego domu na High Petergate na wyśmienitą kolację w towarzystwie pani Honeyfoot i trzech urodziwych córek. Segundus, niezbyt zamożny kawaler, przyjął zaproszenie z wdzięcznością. Po kolacji najstarsza panna Honeyfoot zasiadła do fortepianu, a młodsza śpiewała po włosku. Następnego dnia pani Honeyfoot oznajmiła mężowi, że John Segundus to dżentelmen w każdym calu, ale niewiele mu to da, gdyż skromność, powściągliwość i łagodność nie są w cenie.

Znajomość dżentelmenów szybko się zacieśniała. Wkrótce pan Segundus spędzał nawet trzy wieczory w tygodniu w domu na High Petergate. Czasem pojawiała się tam tyłu młodych ludzi, że tańce stawały się obowiązkowe, lecz panowie Honeyfoot i Segundus wymykali się chyłkiem, by omówić jedyną interesującą ich sprawę: mianowicie dlaczego w Anglii nie praktykuje się już magii? I choć dyskutowali o tym nawet do drugiej czy trzeciej nad ranem, ani odrobinę nie zbliżyli się do rozwiązania. Być może nie powinno to nikogo dziwić, skoro od ponad dwustu lat bezskutecznie głowili się nad tym rozliczni magowie, antykwariusze i uczeni.

Pan Honeyfoot był wysokim, pogodnym i wiecznie uśmiechniętym jegomościem o niespożytej energii. Wciąż coś robił lub planował zrobić, ale rzadko rozmyślał nad celowością swych poczynań. W obecnej sytuacji przypominał sobie postępowanie słynnych średniowiecznych magów<sup>[2]</sup>. Mając do rozwiązania pozornie nierozwiązywalny problem,

wyjeżdżali oni na rok i jeden dzień, w towarzystwie tylko jednego lub dwóch elfów i zawsze znajdowali właściwą odpowiedź. Pan Honeyfoot oświadczył więc Segundusowi, że jego zdaniem nie pozostaje im nic innego, jak iść w ślady tych wielkich mężów. Część średniowiecznych magów udała się w najodleglejsze rejony Anglii, Szkocji i Irlandii (gdzie magia była najpotężniejsza), a inni całkiem zniknęli z tego świata i nikt nie miał pewności, dokąd pojechali i co robili po dotarciu do celu. Pan Honeyfoot nie proponował aż tak dalekiej podróży. W ogóle nie chciał się zbytnio oddalać, bo zimą drogi były w opłakanym stanie. Miał jednak głębokie przeświadczenie, że powinni się dokądś udać i zasięgnąć czyjejś rady, bo inaczej obaj tutaj zgnuśnią. Korzyści ze świeżego spojrzenia na sprawę byłyby niezmiernie, ale nic nie przychodziło im do głowy. Pan Honeyfoot był już bliski rozpaczy, gdy nagle przypomniał sobie o pewnym magu.

Kilka lat wcześniej do członków towarzystwa dotarła wiadomość, że w cichym zakątku hrabstwa York żyje jeszcze jeden mag. Dżentelmen ów podobno dniem i nocą studiował rzadkie teksty o magii, zgromadzone w zasobnej bibliotece. Doktor Foxcastle ustalił nazwisko i adres maga, po czym napisał do niego uprzejmy list z propozycją wstąpienia do towarzystwa magów Yorku, ale w odpowiedzi tajemniczy jegomość podziękował jedynie za uczyniony mu honor i wyraził głębokie ubolewanie, że nie może przyjechać. Przyczyną była duża odległość dzieląca York i opactwo Hutfew, liche drogi oraz praca, której żadną miarą nie mógł zaniedbać.

Wszyscy członkowie towarzystwa obejrzeni list i wyrazili wątpliwość, czy ktoś, kto stawia tak małe litery, może być przyzwoitym magiem. Następnie z niejakim żalem za wspaniałą biblioteką, której nie będzie im dane zobaczyć, wyrzucili uczonego ze swych myśli. Pan Honeyfoot doszedł jednak do wniosku, że ze względu na powagę problemu nie mogą omijać żadnej drogi, która może ich doprowadzić do odpowiedzi. Kto wie, może warto poznać opinię nieznanego? Napisał doń zatem list z informacją, że wraz z panem Segundusem pozwolą sobie odwiedzić maga o czternastej trzydziści, w trzeci wtorek po Bożym Narodzeniu. Nie musieli długo czekać na odpowiedź. Gdy nadeszła, pan Honeyfoot, życzliwy i przyjazny z natury, niezwłocznie posłał po pana Segundusa i pokazał mu list. Mag napisał, oczywiście drobnymi literkami, że chętnie zawrze z nimi znajomość. To w zupełności wystarczyło. Wielce zadowolony pan Honeyfoot natychmiast pośpieszył powiadomić stangreta Watersa, że wkrótce będzie potrzebny.

Pan Segundus z listem w dłoni został sam w pokoju. Przeczytał: „Przyznaję, nieco mnie zdumiewa ten niespodziewany zaszczyt. Niezmiernie trudno pojąć, czemu magowie z Yorku, czerpiący taką radość z własnego towarzystwa i nieocenione korzyści z mądrości

swojej i kolegów, pragną zasięgnąć porady takiego jak ja odludka...” List bez wątpienia trącił sarkazmem. Autor w każdym słowie szydził z pana Honeyfoota i pan Segundus z ulgą stwierdził, że uszło to uwagi jego uczonego kolegi, w przeciwnym bowiem razie nie spieszyłby tak radośnie umawiać Watersa. List był do tego stopnia niezyczliwy, że pragnienie poznania nowego maga całkiem opuściło pana Segundusa. Trudno, pomyślał jednak, trzeba jechać, takie jest życzenie pana Honeyfoota. I cóż strasznego może się wydarzyć? Poznamy go, rozczarujemy się i już, po sprawie.

Na dzień przed wyjazdem rozpętała się burza. Ulewa pozostawiła po sobie liczne nieforemne jeziora na nagich, brunatnych polach. Nazajutrz mokre dachy wyglądały jak z połyskliwego zimnego kamienia, a powóz pocztowy pana Honeyfoota przemierzał świat, w którym prawa natury wydawały się zakłócone: chłodne szare niebo spuchło i ciążyło nad zazwyczaj rozległymi i przyjaznymi terenami... Zazwyczaj, bo dzisiaj były one mgliste i ponure.

Rozmowę rozpoczął pan Segundus. Już od pierwszego spotkania z panem Honeyfootem zamierzał go spytać o uczone towarzystwo magów z Manchesteru, o którym wspominał doktor Foxcastle. Uczynił to teraz.

- Towarzystwo to powstało całkiem niedawno - odparł pan Honeyfoot. - Jego członkami zostali mniej znaczący duchowni, powszechnie szanowani byli kupcy, aptekarze, prawnicy, no i emerytowani fabrykanci, którzy liznęli nieco łaciny i innych nauk. Można by ich wszystkich określić mianem półdzientelmenów. Jak mniemam, doktora Foxcastle'a ucieszył rozpad towarzystwa. Jego zdaniem ludzie tego pokroju nie mają prawa studiować magii. Ale, drogi panie, znalazło się w tym gronie kilku zmyślnych osobników. Zaczęli, podobnie jak pan, od próby przywrócenia światu magii. Byli praktyczni, kierowali się rozumem i prawami nauki, podobnie jak w rzemiośle. Nazwali to racjonalną taumaturgia. Ściągnęli jednak na siebie rozmaite kłopoty. Niepowodzenie ich zniechęciło, i nic dziwnego. Doszli do wniosku, że magia nie istnieje i nigdy nie istniała. Twierdzili, że aureaci byli oszustami lub padli ofiarą oszustwa. I że Król Kruków to wymysł Anglików z północy, którzy pragnęli się uchronić przed tyranią południowców (jako mieszkańcy północy, magowie z Manchesteru do pewnego stopnia się z nimi solidaryzowali). Och, ich argumenty były bardzo pomysłowe, choć nieco naiwne. Zapomniałem, jak próbowali tłumaczyć istnienie elfów. Jak już mówiłem, rozwiązali towarzystwo, a jeden z nich, chyba Aubrey, zamierzał wszystko spisać i opublikować. Okazało się jednak, że opanowała go nieuleczalna melancholia, przez co w ogóle nie mógł się zabrać do pracy.

- Biedaczysko - westchnął pan Segundus. - Może to wina naszej epoki. To nie są

dobre czasy dla magii i wiedzy, prawda? Nieźle prosperują kupcy, żeglarze, politycy, ale nie magowie. Nasz czas minął. - Segundus popadł w chwilową zadumę. - Trzy lata temu bawiłem w Londynie i spotkałem sztukmistrza, wagabundę z osobliwym defektem ciała. Człowiek ten namówił mnie na rozstanie z okrągłą sumką w zamian za dopuszczenie do wielkiego sekretu. Gdy mu zapłaciłem, oświadczył, że pewnego dnia dwaj magowie przywrócą magię w Anglii. Nie wierzę w przepowiednie, lecz zmobilizowało mnie to do odkrycia przyczyn naszego upadku. Czy to nie dziwne?

- Ma pan rację, przepowiednie są nonsensem - odparł ze śmiechem pan Honeyfoot, ale chwilę później, tknięty nagłą myślą, dodał: - Jednak dwaj magowie to my: Honeyfoot i Segundus. - Wypowiedział oba nazwiska na głos, zastanawiając się zapewne, jak by się prezentowały w gazetach i historycznych księgach. - Honeyfoot i Segundus - brzmi znakomicie.

Pan Segundus pokręcił głową.

- Ów człowiek znał moją profesję, więc mogłem się spodziewać kłamstwa, iż to właśnie ja będę jednym z wybrańców. Koniec końców jednak powiedział wprost, że nie chodzi o mnie. Ale kazał mi napisać moje nazwisko i długo się w nie wpatrywał.

- Pewnie dostrzegł, że nie wydusi z pana już ani grosza - zauważył Honeyfoot.

Opactwo Hurtfew leżało ponad dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Yorku, ale po opactwie ostała się jedynie nazwa. Obecny budynek powstał za panowania królowej Anny. Siedziba maga była imponująca, staroświecka i solidna, położona w pięknym parku pełnym upiornie wyglądających drzew. Park przecinała rzeka Hurt, nad nią zbudowano elegancki, zapewne klasycystyczny most.

Gospodarz (zwał się Norrell) czekał na gości w westybulu. Był drobny niczym jego pismo, a witając ich, przemówił cicho, jakby nie nawykł do wypowiedzania myśli na głos. Pan Honeyfoot, nieco przygłuchy, nie dosłyszał.

- Starzeję się, szanowny panie. To powszechna przypadłość - wyjaśnił. - Proszę o wyrozumiałość.

Pan Norrell zaprowadził ich do imponującego salonu, gdzie nie zapalono żadnych świec. Wprawdzie w kominku buchały wysokie płomienie, a przez dwa eleganckie okna wpadało nieco światła, ale atmosfera nie była zbyt pogodna. Pan Segundus nie mógł się pozbyć wrażenia, że w pokoju płonie jeszcze inny ogień, ciągle więc wiercił się na krześle i szukał go wzrokiem. Niczego jednak nie dostrzegł - może chodziło o odbicia w lustrze lub w szkle wiekowego zegara?

Pan Norrell oznajmił, że czytał dzieło pana Segundusa, czyli opis elfów w służbie



Martina Pale'a<sup>[3]</sup>.

- Godna uznania praca, szanowny panie, ale nie uwzględnił pan mistrza Fallowthoughta. Zgoda, to nikt ważny, a jego użyteczność dla wielkiego doktora Pale'a budzi wątpliwości<sup>[4]</sup>, ale pańskie opracowanie jest bez niego niepełne.

Zapadło milczenie.

- Elf zwany Fallowthought? - przemówił w końcu pan Segundus. - Ja... chciałem powiedzieć, że nigdy nie słyszałem o takim stworzeniu. Ani w tym świecie, ani w żadnym innym.

Po raz pierwszy pan Norrell uśmiechnął się powściągliwie.

- W rzeczy samej - powiedział. - Wciąż zapominam. Można o nim przeczytać u Holgartha i Piekła'a w historii ich kontaktów z mistrzem Fallowthoughtem, której zapewne pan nie czytał. I bardzo dobrze. Cóż za nieciekawa para, bardziej łążęgi niż magowie. Im mniej się o nich wie, tym lepiej.

- Drogi panie! - zakrzyknął pan Honeyfoot, podejrzewając, że pan Norrell mówi o jednej ze swych ksiąg. - Słyszeliśmy niezwykle rzeczy o pańskiej bibliotece. Wszyscy magowie w Yorkshire aż zzielenieją z zazdrości na wieść o tym, ile woluminów pan tu zgromadził!

- Doprawdy? - spytał zimno pan Norrell. - Zdumiewa mnie pan. Nie miałem pojęcia, że moja osoba budzi tyle emocji. Zapewne to sprawka Thoroughgooda, sprzedawcy książek i innych drobiazgów na Coffee Yard w Yorku - dodał z zadumą. - Childermass ostrzegwał mnie, że Thoroughgood to plotkarz.

Pan Honeyfoot nic z tego nie rozumiał. Gdyby on dysponował takimi zbiorami, z przyjemnością by się nimi chwalił, rozprawił o nich, zbierał pochwały! Nie mógł uwierzyć, że pan Norrell nie podzieli jego entuzjazmu. Pragnąc zatem wykazać się uprzejmością i zarazem uspokoić gospodarza (wbił sobie do głowy, że ma do czynienia z dżentelmenem bardzo nieśmiałym z natury), zapytał:

- Czy wolno mi, szanowny panie, poprosić o pokazanie nam pańskiej wspaniałej biblioteki?

Pan Segundus był pewien, że pan Norrell odmówi, ale mag przez chwilę patrzył na nich spokojnie (miał małe niebieskie oczy i zdawał się zerkać na dżentelmenów z jakiegoś zakamarka w swej głowie) i jakby w przyływie miłosierdzia spełnił prośbę. Pan Honeyfoot zaczął więc wierzyć, że sprawił panu Norrellowi niemal równie wielką przyjemność jak samemu sobie.

Pan Norrell poprowadził obu dżentelmenów korytarzem - całkiem zwyczajnym,

zdaniem pana Segundusa. Ściany pokrywała boazeria z lśniącego dębu, pachniało tu pszczelim woskiem. Potem przemierzili schody, a może zaledwie trzy lub cztery schodki, i później znów korytarz. Tu powietrze było nieco chłodniejsze - podłogę wyciosano z solidnego kamienia z Yorkshire. Wszystko wydawało się całkiem zwyczajne. (Chyba że drugi korytarz pojawił się przed schodami lub schodkami. A czy tam w ogóle były jakieś schody?) Jedno tylko zdziwiło pana Segundusa. Należał do tych szczęśliwców, którzy zawsze wiedzą, czy stoją twarzą na północ, czy na południe. Rozeznanie to było dla niego tak naturalne jak znajomość własnego ciała. Ale w domu Norrella ów dar znikł. Później Segundus nie mógł sobie przypomnieć rozkładu korytarzy ani pokoi, które mijali. Nie wiedział też, po jakim czasie dotarli do biblioteki. Odnosił wrażenie, że pan Norrell odkrył piątą stronę świata, nie wschód i nie południe, nie zachód i nie północ, ale coś zupełnie innego, i właśnie w tym kierunku ich prowadził. Pan Honeyfoot zaś nie zauważył niczego dziwnego.

Biblioteka była chyba odrobinę mniejsza od salonu. W palenisku płonął imponujący ogień, wszędzie panowały spokój i cisza. I tu jednak źródłem światła nie mogły być tylko trzy wysokie okna podzielone na dwanaście szybek. Raz jeszcze pana Segundusa zaczęło dręczyć nieznośne wrażenie, że w pokoju są inne świece, inne okna albo drugi kominek, co tłumaczyłoby dziwne światło. Za oknami angielski deszcz lał jak z cebra, więc Segundus nie widział, na co wychodzą, nie miał też pojęcia, do której części domu trafili.

W pokoju przy stole siedział jakiś mężczyzna. Wstał na ich powitanie, a pan Norrell oznajmił, że to Childermass, jego dysponent.

Panom Honeyfootowi i Segundusowi nie trzeba było wyjaśniać, że biblioteka w opactwie Hurlfrew jest cenniejsza dla jej właściciela niż wszystkie bogactwa świata. Nie zdumiało ich więc, że pan Norrell trzymał najdroższy swemu sercu skarb w pięknym opakowaniu. Regały stojące wzdłuż ścian zbudowano z angielskiego drewna; przypominały gotyckie łuki zdobione rzeźbami przedstawiającymi liście (suche i zwinięte, jakby artysta zamierzał uwiecznić jesień), splecione korzenie i gałęzie, jagody i bluszcz. Wszystko to było zachwycające, nie mogło się jednak równać ze wspaniałością ksiąg.

Każdy adept magii dowiadyuje się na samym początku, że istnieją księgi o magii oraz księgi magii. Potem uświadamia sobie, że całkiem przyzwoite egzemplarze tych pierwszych można nabyć u dobrego księgarza za dwie albo trzy gwinee, te drugie natomiast cenniejsze są od złota<sup>[5]</sup>. Kolekcję magów Yorku uważano za wybitną, wręcz nadzwyczajną. Pięć należących do niej dzieł powstało między rokiem 1550 a 1700 i słusznie można je było nazwać księgami magii (choć jedna składała się z zaledwie kilku postrzępionych stronic). Księgi magii to rzadkość i ani pan Segundus, ani pan Honeyfoot nigdy nie widzieli w

prywatnej bibliotece więcej niż dwóch czy trzech egzemplarzy. W Hurtfew ściany były zasłonięte regałami, na których stało mnóstwo woluminów, większość była księgami magii. Jasne, że niektóre oprawiono całkiem niedawno, z pewnością na polecenie pana Norrella (w zwykłą skórę cielecą, tytuły zaś wytłoczono srebrnymi kapitalikami). Mnóstwo tomów miało jednak bardzo, bardzo, bardzo stare oprawy, a ich grzbiety i rogi wyraźnie się kruszyły.

Pan Segundus rzucił okiem na książki na najbliższej półce. Pierwszy przeczytany tytuł brzmiał: *Jakoż zadawać kwestie mrokom i tłumaczenia ich pojmować.*

- Głupstwo - zauważył pan Norrell.

Pan Segundus drgnął. Nie wiedział, że gospodarz stoi tak blisko.

- Szkoda na to czasu - dodał pan Norrell. Segundus spojrział zatem na następną książkę - *Wskazówki Belasisa.*

- Zapewne Belasis nie jest panu obcy? - spytał Norrell.

- Słyszałem o nim. Podobno rozumiał istotę rzeczy! Słyszałem jednak również, że żaden egzemplarz *Wskazówek* nie dotrwał do naszych czasów, lecz księga ta tu stoi. To nadzwyczajne, szanowny panie, cudowne!

- Wiele się pan po nim spodziewa - zauważył Norrell. - Niegdyś podzielałem pański entuzjazm. Miesiącami studiowałem jego prace. W ostatecznym rozrachunku jednak rozczarowuje. Jest mistyczny tam, gdzie powinien być zrozumiały, i oczywisty tam, gdzie powinien być niejasny. Pewnych rzeczy nie należy spisywać dla świata.

- Ma pan tu księgę, o której nigdy nie słyszałem - zauważył pan Segundus, zmieniając temat. - *Wybitne osiągnięcia judeochrześcijańskiej magiji.*

- Ha! - krzyknął pan Norrell. - Pochodzi z siedemnastego wieku, ale to również nie wartościowego. Autor był kłamcą, moczymordą i cudzołożnikiem. Cieszy mnie, że poszedł w niepamięć.

Wyglądało na to, że pan Norrell nienawidzi magów, i to nie tylko żyjących. Wziął pod lupę także zmarłych i uznał, że sporo im brakuje do doskonałości.

Tymczasem pan Honeyfoot, z rękoma w górze niczym rozmodlony metodysta, truchtał od regału do regału. Przystawał jedynie na chwilę, by przeczytać jakiś tytuł, zanim wpadał mu w oko następny.

- Drogi panie! - wykrzyknął. - Co za zbiory! Z pewnością znajdziemy tutaj odpowiedzi na wszystkie nasze pytania!

- Szczerze w to wątpię - odrzekł sucho pan Norrell.

Dysponent parsknął śmiechem i choć niewątpliwie drwił z pana Honeyfoota, pan Norrell nie udzielił mu reprimendy. Pan Segundus zaczął się zastanawiać, czym Childermass

dysponuje w domu pana Norrella. Ze swoimi długimi włosami, potarganymi jak po burzy i czarnymi niczym skrzydło kruka, pasowałby jak ulał do chłostanego wiatrem wrzosowiska albo ponurego zaułka, a może nawet powieści pani Radcliffe.

Pan Segundus zdjął *Wskazówki Jacques'a Belasisa* i, mimo nieprzychylniej oceny pana Norrella, natychmiast natrafił na dwa niezwykle ustępy<sup>[6]</sup>. Potem, świadom upływu czasu i spojrzenia dysponenta, otworzył *Wybitne osiągnięcia judeochrześcijańskiej magiji*. Nie była to drukowana księga, lecz pospieszne bazgrały na odwrocie najróżniejszych świstków, głównie rachunków z piwiarni. Pan Segundus zatopił się w lekturze. Autor księgi, siedemnastowieczny mag, używał nadprzyrodzonych mocy przeciwko wielkim i potężnym wrogom w bitwach, w których nie powinien brać udziału żaden obeznany z magią śmiertelnik. Widząc zbliżających się ze wszystkich stron wrogów, spisywał w pośpiechu historię swoich sukcesów, świadom, że czas ucieka i wkrótce spotka go, w najlepszym wypadku, śmierć.

Pokój pograżył się w mroku. Wiekowe gryzmoły były coraz trudniejsze do odczytania. Do biblioteki weszli dwaj lokaje i pod okiem najwyraźniej niezbyt rozmownego dysponenta zapalili świece, zaciągnęli zasłony i dorzucili węgla do ognia.

Pan Segundus uznał, że czas przypomnieć panu Honeyfootowi, iż pan Norrell ciągle nie poznał celu ich wizyty. Gdy opuszczali bibliotekę, pan Segundus zauważył coś dziwnego. Przy kominku stał niewielki stolik, a na jego blacie, oprócz nożyc i groźnego noża, nadającego się w sam raz do przycinania gałęzi, leżała bardzo stara skórzana oprawa księgi, ale bez zawartości. Pan Segundus pomyślał, że może gospodarz posłał księgę do introligatora, zaraz jednak doszedł do wniosku, że wyjęcie stronicy było zadaniem dla bardzo wprawnej osoby. Po co więc pan Norrell miałby sam je usuwać i ryzykować ich zniszczenie?

Kiedy znowu siedzieli w salonie, pan Honeyfoot przemówił do pana Norrella:

- To, co tu dzisiaj zobaczyłem, przekonuje mnie, że właśnie pan może nam pomóc. Ja i pan Segundus sądzimy, że współcześni magowie podążają niewłaściwą drogą, marnując energię na błahostki. Czy zgodzi się pan z nami?

- Bez wątplenia - odparł pan Norrell.

- Pytanie brzmi następująco - ciągnął Honeyfoot. - Dlaczego magia podupadła w naszym wielkim narodzie? Dlaczego już się jej w Anglii nie praktykuje?

Pan Norrell rzucił mu surowe spojrzenie, a w jego oczach coś błysnęło. Zacisnął usta, jakby próbował stłumić niezmierną radość. Pan Segundus pomyślał, że ich gospodarz długo czekał na to pytanie i od lat ma gotową odpowiedź.

- Nie mogę panom pomóc, gdyż nie rozumiem problemu - odrzekł pan Norrell. -

Magia nie zniknęła z Anglii. Sam ją z powodzeniem stosuję.

## Rozdział drugi

*Gospoda Pod Odwieczną Gwiazdą styczeńluty 1807*

Gdy powóz wyjechał za bramę, pan Honeyfoot zakrzyknął:

- Praktykujący mag w Anglii! I do tego w hrabstwie York! Co za zrządzenie opatrności! Drogi panie, to pańska zasługa. Pan czuwał, podczas gdy reszta z nas ucięła sobie drzemkę. Gdyby nie pańska zachęta, być może nigdy nie odkrylibyśmy pana Norrella. On sam z pewnością nie zechciałby nas szukać. Jest raczej powściągliwy. Nic nie wiemy o jego osiągnięciach w dziedzinie magii, oświadczył jedynie, że odniósł sukces. Drogi panie, nasze zadanie jest oczywiste. To na nas spoczywa obowiązek przewyciężenia wrodzonej skromności pana Norrella. Dzięki nam triumfalnie wkroczy na scenę!

- Być może - powiedział pan Segundus z powątpiewaniem.

- Nie twierdę, że pójdzie nam jak po maśle - ciągnął pan Honeyfoot. - Jest nieco małowówny i stroni od ludzi. Musi jednak pojąć, że dla dobra kraju powinien się podzielić swoją wiedzą. To dżentelmen. Zna więc swą powinność i bez wątpienia ją spełni. Drogi panie! Zasłużył pan na gorące podziękowania każdego maga w tym kraju!

Ale smutna prawda była taka, że angielscy magowie wyjątkowo niechętnie obsypywali innych pochwałami. Panowie Honeyfoot i Segundus mogliby dokonać najważniejszego od trzech stuleci odkrycia w dziedzinie magii, lecz i tak niemal każdy mag z Yorku uznałby natychmiast, że sam lepiej by się wywiązał z tego zadania.

I rzeczywiście, gdy w następny wtorek zwołano nadzwyczajne zebranie Uczonego Towarzystwa Magów Yorku, niewielu jego członków skłonnych było uznać zasługi pana Segundusa.

O siódmej wieczorem we wtorek górna izba gospody Pod Odwieczną Gwiazdą na Stonegate pękała w szwach. Najwyraźniej nowiny przywiezione przez panów Honeyfoota i Segundusa zwabiły wszystkich, którzy kiedykolwiek zerknęli do księgi magii - a York był nadal jednym z najgęściej zamieszkanymi przez magów miast w całej Anglii. Chyba jedynie królewskie miasto Newcastle mogło się poszczycić większą ich liczbą. W izbie panował taki ścisk, że wielu dżentelmenów zmuszonych było stać, mimo że służba wciąż donosiła krzesła.

Doktorowi Foxcastle'owi przypadł wyśmienity mebel: wysoki, czarny i dziwacznie rzeźbiony, podobny do tronu. Z rękami splecionymi na wydatnym brzuchu wyglądał na nim niezwykle imponująco na tle kotar z czerwonego aksamitu.

W gospodzie Pod Odwieczną Gwiazdą służba roznieciła wielki ogień, by uchronić gości przed chłodem styczniowego wieczoru. Leciwi magowie o pożółkłych, pokrytych pajęczyną zmarszczek twarzach siedzieli wokół kominka, otuleni kraciastymi szalami. Pamiętali oni czasy panowania Jerzego II albo jeszcze dawniejsze. Towarzyszyli im równie wiekowi lokaje z butelkami lekarstw w kieszeniach. Pan Honeyfoot witał wszystkich słowami: „Jak się pan miewa, panie Aptree? Jak się pan miewa, panie Greyshippe? Czy pozostaje pan w dobrym zdrowiu, panie Tunstall? Tak się cieszę, że was widzę, panowie! Zapewne przyszlście tu dzielić z nami radość? Lata spędzone w głuszy dobiegają końca. Och! Nikt nie wie lepiej od was, panowie, co to były za lata! Ale raz jeszcze magia stanie się doradcą i obrońcą Anglii! A co poczują Francuzi na wieść o tym? A niech mnie! Wcale się nie zdziwię, jeśli natychmiast ogłoszą kapitulację”.

Pan Honeyfoot miał na podorzędziu mnóstwo podobnych oświadczeń. Przygotował sobie mowę, by zaprezentować zgromadzonym nadzwyczajne korzyści, jakie Anglia będzie czerpała z magii. Zdołał jednak wygłosić zaledwie kilka zdań. Wyglądało na to, że każdy bez wyjątku dżentelmen w izbie odczuwa gwałtowną potrzebę podzielenia się z resztą towarzystwa swoją opinią na ten temat. Panu Honeyfootowi pierwszy przerwał doktor Foxcastle.

- Z przykrością obserwuję, drogi panie - przemówił z wysokiego czarnego tronu - jak ośmiesza pan magię, do której, jak wiem, sam żywi pan wielki szacunek. Wystawia ją pan na pośmiewisko, snując niestworzone historie i dzieląc się ze wszystkimi bzdurnymi pomysłami. Szanowny panie - Foxcastle zwrócił się do pana Segundusa, który zdaniem doktora był źródłem wszystkich kłopotów - nie wiem, czy takie zwyczaje panują w pana stronach, w hrabstwie York jednak nie poważamy ludzi, którzy chcą zyskać sławę kosztem spokoju ducha innych.

Tylko tyle zdołał powiedzieć doktor Foxcastle. Reszta jego słów utonęła w gniewnych pokrzykiwaniach zwolenników panów Honeyfoota i Segundusa. Następnie głos zabrał dżentelmen, który zastanawiał się, czy obaj panowie nie dali się zwieść Norrellowi, który był z pewnością niespełna rozumu i nie różnił się od reszty szaleńców oznajmiających wszem i wobec, że są Królem Kruków. Pewien płowowłosy dżentelmen uważał, że panowie Honeyfoot i Segundus powinni byli skłonić Norrella do natychmiastowego opuszczenia domu i triumfalnego wjechania kolasą (w styczniowym mrozie!) do Yorku, żeby dżentelmen ów

mógł rozrzucać liście bluszczu na drodze<sup>[7]</sup>. Jeden z leciwych panów przy kominku żarliwie przy czymś obstawał, ale głos miał już bardzo słaby, a nikomu nie chciało się przysłuchiwać, co też pragnął powiedzieć.

W spotkaniu wziął też udział wysoki jegomość o nazwisku Thorpe - niezbyt biegły w magii, ale obdarzony rzadkim u magów zdrowym rozsądkiem. Od początku uważał, że panu Segundusowi przyda się zachęta w jego próbach znalezienia odpowiedzi na pytanie, gdzie zniknęła angielska magia. Nie przypuszczał jednak, że pan Segundus tak rychło zakończy poszukiwania. Teraz więc, zdaniem pana Thorpe'a, nie powinno się jego ustaleń tak po prostu odrzucać.

- Pan Norrell twierdzi, że praktykuje magię. Niewiele o nim wiadomo, za to wszyscy słyszeliśmy o jego bibliotece i znajdujących się w niej białych krukach. Choćby z tego względu warto dobrze przemyśleć decyzję. Nie bez znaczenia jest również to, że rozmawiał z nim dwóch poważnych uczonych, którzy nie wątpią w jego słowa. - Pan Thorpe odwrócił się teraz do pana Honeyfoota. - Wierzy pan temu człowiekowi, prawda? Czy możemy się dowiedzieć, co pana do niego przekonało?

Reakcja pana Honeyfoota na to pytanie była nieco dziwna. Najpierw uśmiechnął się z wdzięcznością, jakby Thorpe dał mu szansę zaprezentowania przekonujących powodów. Potem otworzył usta... i nagle znieruchomiał. Bezradnie rozejrzał się wokół, jakby niezwykle istotne argumenty rozplynęły się właśnie we mgle, a on nie potrafił już ich odnaleźć. Wymamrotał tylko coś na temat uczciwego oblicza pana Norrella.

Nie usatysfakcjonowało to członków towarzystwa (gdyby spotkał ich zaszczyt ujrzenia oblicza pana Norrella, byliby usatysfakcjonowani w jeszcze mniejszym stopniu). - Thorpe odwrócił się więc do pana Segundusa i zapytał:

- Pan również widział pana Norrella. Jaka jest pańska opinia?

Dopiero teraz wszyscy zauważyli niezwykle bladą twarz pana Segundusa. Niektórzy natychmiast przypomnieli sobie, że nie odpowiedział na ich powitanie, jakby nie mógł zebrać myśli.

- Słabo panu? - spytał pan Thorpe łagodnie.

- Nie, nie - wyszeptał pan Segundus. - To nic takiego. Dziękuję.

Wydawał się jednak tak zagubiony, że ktoś zaoferował mu krzesło, a inny mag poszedł po kielich wina z Wysp Kanaryjskich. Płowowłosego dzentelmana, ten sam, który chciał rzucać liście bluszczu przed kolosą pana Norrella, miał nadzieję, że pana Segundusa zautooczono i że zaraz ujrzą coś niezwykłego.

Pan Segundus westchnął i rzekł:

- Dziękuję. Nie zachorowałem, ale od zeszłego tygodnia jestem przygnębiony i jakiś nieswoj. Pani Pleasance dała mi mączki z maranty i miksturę z korzenia lukrecji, ale nie pomogły. Wszystkiemu winien zamęt w mojej głowie. Gdybyście zapytali, panowie, dlaczego wierzę, że magia powróciła do Anglii, odpowiedziałbym, że ją widziałem. Wrażenie, że ją widziałem, jest najżywsze tu i tu... - Pan Segundus dotknął czoła i serca. - Wiem jednak, że niczego tak naprawdę nie widziałem. Pan Norrell nie pokazał nam magii. Zapewne tylko to sobie wyobraziłem.

Towarzystwo ożywiło się na nowo. Słabowity dżentelmen siedzący koło kominka uśmiechnął się i zapytał, czy ktokolwiek coś z tego rozumie. Nagle pan Thorpe wykrzyknął:

- Dobry Boże! Co za niedorzeczność! My, racjoniści, siedzimy tu, spierając się o to, czy Norrell cokolwiek potrafi, a przecież wystarczyłoby go poprosić, by zaprezentował nam magię na dowód prawdziwości swoich słów.

Było to tak rozsądne spostrzeżenie, że magowie raptownie zamilkli. Nie należy jednak przez to rozumieć, że propozycja Thorpe'a spotkała się z powszechną akceptacją, skądże znowu... Kilku magom, w tym doktorowi Foxcastle'owi, w ogóle nie przypadła do gustu. Skoro mieli prosić Norrella o zaprezentowanie magii, istniało niebezpieczeństwo, że faktycznie to uczyni. A przecież wcale nie chcieli oglądać magii w praktyce. Woleli o niej czytać. Inni uważali, że taka propozycja ośmiesza towarzystwo. W końcu większość zgodziła się z panem Thorpe'em, że należy dać szansę magowi. Postanowiono zatem, że pora na kolejny list do pana Norrella.

Dla wszystkim magów było jasne, że panowie Honeyfoot i Segundus wyjątkowo marnie poradzi sobie z misją, a w kwestii wspaniałej biblioteki pana Norrella zawiedli na całej linii, gdyż nie umieli przedstawić zrozumiałego sprawozdania. Co widzieli? Cóż, księgi, wiele ksiąg. Znaczącą liczbę ksiąg? O tak, wtedy zapewne uznali ją za znaczącą. Rzadkich ksiąg? Najprawdopodobniej. Czy pozwolono im do nich zajrzeć? Skądże! Pan Norrell nie był aż tak wspaniałomyślny. Czy jednak przeczytali tytuły? W rzeczy samej. Jakże zatem to były księgi? Nie wiedzieli, nie mogli sobie przypomnieć. Pan Segundus oświadczył jedynie, że tytuł jednej z nich zaczynał się na B. Bardzo osobliwe.

List do pana Norrella pragnął napisać pan Thorpe, ale większości magów zależało przede wszystkim na pognębieniu Norrella za zuchwalstwo. Ustalili więc, że najlepiej zdać się na doktora Foxcastle'a. Napisał on do pana Norrella krótki list, a w stosownym czasie nadeszła pełna gniewu odpowiedź:

*Opactwo Hurtfew, hrabstwo York i lutego 1807*



*Szanowny Panie,*

*Dwukrotnie miałem zaszczyt otrzymać list od członków Towarzystwa Magów Yorku, pragnących mnie poznać. Teraz nadeszło pismo z informacją o ich niezadowoleniu. Najwyraźniej wypaść z łask towarzystwa jest równie łatwo, jak ich dostąpić, nie zdając sobie zresztą sprawy ani z jednego, ani z drugiego. W odpowiedzi na zarzut przedstawiony w liście, że przeceniam swój talent, pragnę oświadczyć jedno: niektórzy za brak sukcesów ochoczo winią cały świat, a nie swoją mizerną wiedzę. Prawda jest taka, że magia nadal istnieje. Sam tego wielokrotnie dowodziłem w ostatnich dwudziestu latach. A jaka nagroda mnie spotyka za szczególne umiłowanie mej sztuki i wysiłek związany z jej doskonaleniem? Rozgłasza się wszędzie, że jestem blagierem, wątpi się w me słowa. W takiej sytuacji nie będzie pan zapewne zdumiony, iż nie czuję się w żadnym stopniu zobligowany do demonstracji swoich umiejętności. Uczone Towarzystwo Magów Yorku zbiera się w następną środę i tego dnia zawiadomię jego członków o swojej decyzji.*

*Sługa uniżony, Gilbert Norrell*

Wszystko to brzmiało bardzo zagadkowo. Magowieteoretycy czekali nieco nerwowo na to, co postanowi praktykujący mag. Pan Norrell tymczasem przysłał im niezbyt groźnego plenipotentą o nazwisku Robinson, ubranego w elegancki czarny paltot i w rękawiczki z kozłej skóry. Plenipotent uśmiechał się, kłaniał i podskakiwał. Przybył z dokumentem, jakiego członkowie towarzystwa magów nigdy jeszcze nie widzieli. Był to projekt umowy sporządzonej zgodnie z dawno zapomnianymi przepisami angielskiego prawa magii.

Pan Robinson pojawił się w górnej izbie gospody Pod Odwieczną Gwiazdą punktualnie o ósmej, najwyraźniej przekonany, że się go oczekuje. W swoim biurze na Coney Street zatrudniał dwóch protokolantów i był dobrze znany niejednemu z obecnych w gospodzie dżentelmenów.

- Przyznam, panowie - pan Robinson uśmiechnął się do zebranych - że pismo to w zasadzie przygotował mój pryncypał, pan Norrell. Nie jestem ekspertem od prawa taumaturgicznego. Ale któż w dzisiejszych czasach nim jest? Nie wątpię jednak, że będą panowie w stanie mnie poprawić, gdybym się pomylił.

Kilku uczonych członków towarzystwa mądrze pokiwało głowami. Panu Robinsonowi nie brakowało oglądy. Do tego był tak czysty, zdrowy i zadowolony ze wszystkiego, że niemal błyszczał. Była to bardzo pożądana cecha u elfa lub anioła, lecz cokolwiek niepokojąca u plenipotentą. Okazywał niezwykle szacunek członkom towarzystwa, gdyż o magii nie wiedział nic, choć uważał, że z pewnością jest trudna i wymaga wielkiego

skupienia. Obok zawodowej pokory i autentycznego podziwu dla magów odczuwał również pyszałkowatą satysfakcję, że te wielkie umysły będą zmuszone zaniechać rozmyślań nad sprawami ezoteryki i go wysłuchać. Włożył na nos złote okulary, które jeszcze bardziej rozświetliły jego błyszczącą postać. Następnie oznajmił, że pan Norrell podjął się zaprezentowania sztuki magicznej w określonym miejscu o określonej porze.

- Mam nadzieję, panowie, że nie macie nic przeciwko temu, by to mój pryncypał wybrał czas i miejsce?

Panowie nie mieli nic przeciwko temu.

- Niech to zatem będzie katedra, w piątek za dwa tygodnie<sup>[8]</sup>.

Pan Robinson dodał, że jeśli pan Norrell nie zdoła pokazać sztuki magicznej, publicznie wycofa swoje roszczenia do tytułu praktykującego maga i maga w ogóle oraz przysięgnie nigdy więcej ich nie wysuwać.

- To nie będzie konieczne - powiedział pan Thorpe. - Nie pragniemy go ukarać. Zależy nam jedynie na tym, by poddał się sprawdzianowi.

Radosny uśmiech pana Robinsona nieco przygasł, jakby plenipotent miał coś nieprzyjemnego do zakomunikowania i nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

- Chwileczkę - mruknął pan Segundus. - Nie słyszeliśmy żądań drugiej strony. Nie wiemy jeszcze, czego on oczekuje od nas.

Pan Robinson skinął głową. Otóż pan Norrell wymagał od każdego członka towarzystwa takiej samej obietnicy, jaką on zamierzał złożyć. Innymi słowy, gdyby odniósł sukces, bez ceregieli należało rozwiązać Uczzone Towarzystwo Magów Yorku. Żaden z jego członków nie miałby też prawa do tytułu maga. To sprawiedliwe, zauważył pan Robinson, bo wówczas pan Norrell okazałby się jedynym autentycznym magiem w hrabstwie.

- Kto zdecyduje, czy zaprezentowano sztukę magiczną? - spytał pan Thorpe.

To pytanie najwyraźniej zdumiało pana Robinsona. Wyraził nadzieję, iż zebrani mu wybaczą, jeśli się myli, za nic nie chciałby ich obrazić, myślał jednak, że wszyscy obecni dżentelmeni to magowie.

O tak, pokiwało głowami szacowne towarzystwo, wszyscy są magami.

- A zatem, ciągnął pan Robinson, zapewne wszyscy będą w stanie rozpoznać sztukę magiczną? Chyba mają do tego najlepsze kwalifikacje?

Gdy któryś dżentelmen spytał, jaki rodzaj magii zaprezentuje pan Norrell, Robinson zasypał wszystkich grzecznymi przeprosinami - nie mógł oświecić szacownego grona w tej materii, gdyż sam nic o tym nie wiedział.

Czytelnik zmęczyłby się wysłuchiowaniem wielu pokrętnych powodów, dla których

dżentelmeni z Yorku zdecydowali się podpisać dokument pana Norrella. Wielu uczyniło to z próżności, gdyż nie chcieli się przyznać do zmiany zdania, skoro już publicznie zwątpili w magiczne umiejętności pana Norrella. Pan Honeyfoot natomiast podpisał dokument właśnie dlatego, że wierzył w magię pana Norrella. Liczył na to, że pan Norrell zyska powszechne uznanie dzięki demonstracji swych umiejętności i zacznie wykorzystywać magię dla dobra narodu.

Niektórych dżentelmenów sprowokowała natomiast sugestia (autorstwa Norrella, przekazana przez Robinsona), że żaden prawdziwy mag nie uchyliłby się od złożenia podpisu pod taką umową.

I tak, jeden za drugim, magowie z Yorku podpisali dokument przyniesiony przez plenipotentą. Ostatni był pan Segundus.

- Nie zgadzam się - oznajmił. - Magia to moje życie i choć pan Norrell słusznie twierdzi, że marny ze mnie uczony, co pocznę, kiedy zostanie mi odebrana?

W sali zapanowała cisza.

- Och! - wykrzyknął pan Robinson. - Cóż to... Jest pan całkiem pewien, że nie chce podpisać dokumentu? Widział pan, że uczynili to wszyscy pańscy koledzy? Zostanie pan całkiem sam.

- Jestem pewien - odparł pan Segundus. - Bardzo dziękuję.

- Och! - powtórzył pan Robinson. - Muszę przyznać, że nie wiem, jak postąpić. Mój pryncypał nie udzielił mi żadnych instrukcji na wypadek takiej sytuacji. Rankiem się z nim skonsultuję.

W pełnej napięcia ciszy wyraźnie było słyhać, jak doktor Foxcastle powiedział do pana Harta bądź Hunta, że pan Segundus raz jeszcze ściągnął na wszystkich kłopoty.

Dwa dni później pan Robinson czekał na doktora Foxcastle'a z informacją, że w tej sytuacji pan Norrell wyjątkowo przymknie oko na odmowę pana Segundusa. Uznał, że zawarł umowę ze wszystkimi członkami towarzystwa oprócz pana Segundusa.

W nocy przed prezentacją pana Norrella na York spadł śnieg, więc rankiem miejski brud oraz błoto zniknęły pod nieskalaną bielą. Ta biała cisza, pochłaniająca każdy dźwięk, tłumiła odgłosy kopyt i kroków, zmieniała głosy mieszkańców Yorku. Pan Norrell wybrał na pokaz bardzo wczesną godzinę. Magowie z Yorku samotnie spożyli śniadanie we własnych domach. Przyglądali się w milczeniu, jak służba nalewa im kawy, przełamuje ciepłe pszenne bułeczki, przynosi masło. Żony, siostry, synowe czy siostrzenice, na których zazwyczaj ciążyły te domowe obowiązki, wciąż smacznie spały. Zabrakło więc niewieściego gwaru, rzekomo tak znieawidzonego przez członków towarzystwa magów, a w rzeczywistości

będącego słodkim i łagodnym refrenem pieśni codziennego życia. W salonikach także zaszły zmiany. Zimową posępność zastąpiło przedziwne światło. To blade promienie słońca odbijały się licznymi błyskami od pokrywającego ziemię śniegu. Igrały na białych obrusach, lśniły na srebrnych imbryczkach. Różane pączki na uroczych filiżankach zdawały się poruszać w tańcu, a uśmiechnięte porcelanowe pastereczki przypominały błyszczące anioły. Można by pomyśleć, że na stołach ustawiono zaczarowane srebra i kryształy.

Wyglądając przez okno na trzecim piętrze domu przy Lady Peckitt's Yard, pan Segundus myślał, że może to właśnie jest magia Norrella, gdy nagle usłyszał złowieszczy łomot i szybko cofnął głowę, żeby umknąć przed spadającym z dachu śniegiem. Pan Segundus wprawdzie nie miał sługi, nie wspominając już o żonie, siostrze, córce, synowej ani siostrzenicy, ale pani Pleasance, jego gospodyni, była rannym ptaszkiem. W ostatnich dwóch tygodniach wiele razy słyszała, jak jej lokator wzdycha nad księgami, i w końcu postanowiła go pokrzepiać śniadaniem złożonym z pieczonych śledzi, herbaty i świeżego mleka, a także białego chleba i masła na białoniebieskim porcelanowym talerzyku. Tego dnia również zasiadła z panem Segundusem do posiłku, a na widok jego przygnębienia wykrzyknęła:

- Och! Brak mi cierpliwości do tego starca!

Pan Segundus nie wspominał pani Pleasance o wieku pana Norrella, była jednak przekonana, że jest on stary. Z relacji Segundusa wywnioskowała, że to jakiś sknera, który zamiast złota gromadzi magię. Wkrótce sam się przekonasz, czytelniku, czy ocena pani Pleasance była sprawiedliwa. Podobnie jak ona, i ja wyobrażam sobie skąpców jako starców, a przecież nie wątpię, że i młodzi ludzie nimi są. A co się tyczy wieku pana Norrella, to człowiek taki jak on jest już stary w wieku lat siedemnastu.

- Nieboszczyk pan Pleasance powtarzał często, że nikt w Yorku, absolutnie nikt, nie piecze równie wyśmienitego chleba jak ja. Inni również wspominali, że nigdy nie jedli tak dobrego pieczywa - ciągnęła pani Pleasance.

- Zawsze przygotowywałam smaczne posiłki, bo lubię dobrze wykonywać swoją pracę. Gdyby jeden z tych dziwacznych duchów z arabskich opowieści wyskoczył teraz z tego imbryczka i podarował mi trzy życzenia, nie byłabym chyba aż tak małostkowa, by zabronić innym pieczenia chleba. Jeśli okazałby się równie dobry jak mój, nic mi do tego, tylko lepiej dla wszystkich. Proszę skosztować. - Popchnęła talerzyk ze słynnym chlebem w kierunku lokatora. - Nie mogę patrzeć, jak pan marnieje. Ludzie będą gadać, że Hettie Pleasance nie potrafi już prowadzić gospodarstwa. I po co ta chmurna mina? Nie podpisał pan tego podstępного dokumentu. Nawet jeśli inni dżentelmeni będą zmuszeni zrezygnować, pan będzie kontynuował swoje dzieło i, mam nadzieję, dokona wielkich odkryć. Być może wtedy

ten cały pan Norrell, który ma się za takiego mądralę, chętnie przyjmie pana do spółki i pożałuje swej niemądrej dumy.

Pan Segundus podziękował jej z uśmiechem.

- Wątpię, by do tego doszło. Podstawowym problemem będzie brak materiałów. Ja mam ich bardzo niewiele, a kiedy towarzystwo się rozwiąże... Cóż, nie wiem, co się stanie z księgami, ale śmiem twierdzić, że nie trafią one do mnie.

Pan Segundus zjadł chleb (wyśmienity, tak jak utrzymywał nieboszczyk pan Pleasance i jego przyjaciele), śledzie i wypił herbatę. Ukryta w tych specjałach moc kojenia strapionego serca musiała być spora, bo od razu poczuł się lepiej. Wzmocniony, włożył płaszcz, kapelusz, ciepły szal oraz rękawiczki, po czym ciężkim krokiem ruszył przez zaśnieżone ulice do miejsca, które pan Norrell wyznaczył na dzisiejsze cuda - do katedry.

Mam nadzieję, że czytelnikowi nieobce jest to stare katedralne miasto, gdyż w innym wypadku nie pojmie znaczenia wyboru miejsca przez pana Norrella. W takim mieście wielki zabytkowy kościół to nie jeden z wielu budynków, to budynek najważniejszy. Wyróżnia się rangą, okazałością i powagą. Nawet dzisiaj, kiedy stare katedralne miasta obrastają w eleganckie dodatki w postaci budynków użyteczności publicznej, sal balowych i salonów (York był ich pełen), katedry górują nad nimi wszystkimi jako świadectwo pobożności naszych przodków. Można odnieść wrażenie, że w mieście wznosi się coś od miasta potężniejszego. Jadąc w interesach przez zatłoczone wąskie uliczki, z pewnością stracimy ją z oczu. Po pewnym czasie jednak widać ją, o wiele wyższą i o wiele większą od innych budynków, i wiadomo już, że znaleźliśmy się w sercu miasta. Ulice i dróżki prowadzą właśnie tam, do źródła tajemnic głębszych niż te znane wszystkim panom Norrellom. O tym właśnie myślał pan Segundus, gdy zbliżył się do katedry i stanął w sinym cieniu jej zachodniego skrzydła. Po chwili zza rogu wyłonił się doktor Foxcastle, przypominający tłustego kocura. Ponieważ już z daleka obserwował pana Segundusa, skierował się teraz ku niemu, życząc mu miłego dnia.

- Czy byłby pan tak miły - zaczął - i przedstawił mnie panu Norrellowi? Chciałbym poznać tego dżentelmena.

- Z największą przyjemnością - odparł pan Segundus i rozejrzał się dookoła.

Pogoda sprawiła, że większość ludzi została w domu, tylko kilka ciemnych postaci brnęło przez białe pole w stronę wielkiego szarego kościoła. Byli to członkowie towarzystwa magów, duchowni oraz obsługa katedralna - kościelni i woźni, wicechórmistrzowie i prepozyci, sprzątacze transeptów i im podobni - wysłana przez przełożonych, by doglądać spraw kościoła.

- Z ochotą natychmiast spełniłbym tę prośbę - dodał pan Segundus - lecz nie widzę nigdzie pana Norrella.

A jednak ktoś tam był.

Tuż przed wejściem do katedry, samotnie, stał w śniegu jakiś ponury osobnik. Z wyraźną ciekawością wpatrywał się w pana Segundusa i doktora Foxcastle'a. Potargane włosy opadały mu na ramiona niczym wodospady czarnej wody. Miał wyrazistą, chudą twarz, lekko wykrzywioną, niczym korzeń drzewa, a do tego długi cienki nos. Choć jego cera była bardzo blada, oblicze wyglądało na smagłe, może ze względu na ciemne oczy albo tłuste włosy. Po chwili mężczyzna podszedł do obu magów, złożył im zdawkowy ukłon i poprosił o wybaczenie, ale prawdopodobnie przyszli tu w tej samej sprawie, co on. Przedstawił się jako John Childermass, dysponent pewnych spraw pana Norrella (nie uściślił jakich).

- Odnoszę wrażenie, że pana znam - oświadczył pan Segundus z zadumą. - Czyżbym już pana spotkał?

Coś drgnęło w ponurej twarzy Childermassa, ale nie sposób było dojść, czy był to grymas złości, czy rozbawienia.

- Często bywam w Yorku w sprawach pana Norrella. Może widział mnie pan w jednej z miejskich księgarni?

- Nie - odparł pan Segundus. - Pamiętam tę twarz... Już pana gdzieś widziałem... Ale gdzie? Och! Lada chwila sobie przypomnę!

Childermass uniósł brew, jakby szczerze w to wątpił.

- Pan Norrell z pewnością zaraz przybędzie? - zapytał doktor Foxcastle.

Childermass poprosił o wybaczenie i wyjaśnił, że pan Norrell raczej się nie zjawi. Nie miał ku temu najmniejszego powodu.

- Aha! - zakrzyknął doktor Foxcastle. - Zatem dał za wygraną, czyż nie? No cóż. Nieszczęsny dżentelmen. Coś mi się zdaje, że mu teraz nie do śmiechu. Tak to bywa. Przynajmniej się starał. Nikt nie będzie miał mu tego za złe. - Doktor Foxcastle poczuł ogromną ulgę, że nie zobaczy żadnej magii. Stąd ta wspaniałomyślność.

Raz jeszcze Childermass poprosił Foxcastle'a o wybaczenie. Obawiał się, że doktor opacznie go zrozumiał. Pan Norrell z pewnością odprawi magię. Uczyni to w opactwie Hurfew, a rezultaty będą widoczne w Yorku.

- Dżentelmeni nie lubią opuszczać wygodnych miejsc przy kominku, jeśli nie muszą - dodał Childermass. - Śmiem twierdzić, że gdyby panowie mogli śledzić tę demonstrację ze swoich salonów, nie fатыgowaliby się tu w taką pluchę.

Doktor Foxcastle ze świstem wciągnął powietrze i rzucił Childermassowi wymowne

spojrzenie świadczące o tym, że uważa Childermassa za zuchwalca. Dysponent jednak nie przejął się reakcją doktora Foxcastle'a, wręcz przeciwnie - wyglądał na rozbawionego.

- Już czas, panowie - rzekł. - Proszę zająć miejsca. Jestem pewien, że żal byłoby panom coś przegapić, skoro tyle od tego zależy.

Minęło już dwadzieścia minut, a magowie z Yorku nadal przekraczali próg katedry od strony południowego transeptu. Kilku rozejrzało się przed wejściem do środka, jakby żegnając się ze światem. Nie mieli pewności, czy ujrzą go ponownie.

## Rozdział trzeci

*Kamienie Yorku luty 1807*

W czasie srogich mrozów wielki stary kościół jest mało przytulny. Ma się wtedy wrażenie, że chłód setek zim skrył się w jego murach, a teraz wolno z nich się sączy. W takim zimnym, ponurym i mrocznym wnętrzu katedry dżentelmeni z towarzystwa magów Yorku czekali na niespodziankę, choć nie mieli pojęcia, czy będzie należała do przyjemnych.

Pan Honeyfoot próbował się uśmiechać pokrępiąco do towarzyszy, ale jak na tak biegłego w sztuce przyjaznych uśmiechów dżentelmena nieszczególnie się popisał.

Nagle usłyszeli dzwony kościoła St Michael le Belfrey wybijające połowę godziny. W katedrze brzmiały niczym dzwony z innej, odległej krainy. Nie był to wcale radosny dźwięk. Zgromadzeni dżentelmeni doskonale wiedzieli, że bicie dzwonów często towarzyszy magii, zwłaszcza magii nieziemskich istot - elfów. Poza tym w dawnych czasach bicie srebrnego dzwonu oznaczało, że jakiś obywatel Anglii wielkiej cnoty lub urody zostanie uprowadzony przez elfy, by już na zawsze zamieszkać w niezwykłej krainie. Nawet Król Kruków, który nie był elfem, lecz Anglikiem, miał godny pożałowania zwyczaj porywania mężczyzn i kobiet i więzienia ich w zamku w Innych Ziemiach<sup>[9]</sup>. Gdybyśmy ja i ty, czytelniku, dysponowali mocą zniewolenia dowolnej osoby, która nam się szczególnie spodobała, gdybyśmy mogli wybierać spośród wszystkich ludzi żyjących na świecie i gdybyśmy mogli tę osobę zatrzymać u naszego boku na całą wieczność, to coś mi się zdaje, że nasz wybór padłby zapewne na kogoś bardziej interesującego niż członek Uczzonego Towarzystwa Magów Yorku. Ale ta krępiąca myśl nie nawiedziła umysłów zgromadzonych w katedrze dżentelmenów. Co więcej, kilku z nich zaczęło się zastanawiać, jak bardzo list doktora Foxcastle'a rozsierdził

pana Norrella, i naszły ich poważne obawy.

Gdy dźwięk dzwonów zamarł, z głębokich cieni nad głowami magów przemówił głos. Nadstawili uszu. Wielu z nich w wyniku głębokiego napięcia wyobraziło sobie, iż słyszą polecenia niczym w baśniowej opowieści. Uznali, że być może są to tajemnicze zakazy. Wiadomo, że zakazy w baśniach zawsze wydają się dziwaczne, ale z reguły nietrudno ich przestrzegać. „Nie zjadaj ostatniej kandyzowanej śliwki z niebieskiego słoja w kącie kredensu”. „Nie tłucz żony kijem z piołunu”. Ale w baśniach zazwyczaj wszystkie okoliczności sprzysięgają się przeciwko bohaterom, tak że robią oni dokładnie to, czego robić nie powinni, a za to czeka ich straszliwa kara.

Magowie uznali więc, że dobiegający z góry głos zwiastuje im zgubę. Tylko w jakim języku przemawiał? Raz panu Segundusowi wydawało się, że usłyszał słowo „nikczemnik”, innym razem „interficere”, czyli łaciński czasownik oznaczający „zabić”. Poza tym głos nie przypominał ludzkiej mowy, co tylko potęgowało obawy dżentelmenów, że lada moment zjawią się elfy, by się z nimi rozprawić. Był niezwykle szorstki, głęboki i chrypiący, zupełnie jakby pocierano chropawy kamień innym kamieniem. Mimo to dźwięki te układały się w zdania. Magowie z trwogą zerknęli w mrok, ale dostrzegli jedynie niewyraźny kształt kamiennej figurki, która wyrastała i potężnej kolumny i sterczała w ponurej pustce.

Gdy pierwsze przerażenie minęło i dżentelmeni przywykli do dziwnego dźwięku, zaczęli rozpoznawać coraz więcej słów - staroangielskich i łacińskich, pomieszanych tak, jakby mówca nie miał pojęcia, że posługuje się dwoma językami. Na szczęście ten okropny mętlik nie przysparzał magom specjalnego trudu, gdyż większość przywykła do rozwikływania pisaniny uczonych sprzed wieków. Gdyby przetłumaczyć owe słowa na współczesny język, brzmiałoby to mniej więcej tak: *Dawno, dawno temu - mówił głos - pięćset lat albo i wcześniej, zimową porą o zmierzchu miody człowiek oraz dziewczę o włosach przyozdobionych bluszczem weszli do kościoła. Nie było nikogo prócz kamieni. Nikt prócz kamieni nie widział, jak mężczyzna dusi kobietę. Upadła na kamienie i to też widziały tylko one. Młodzieniec nigdy nie poniósł kary za swój grzech, gdyż nie było świadków, nikogo prócz kamieni. I tak mijały lata, a gdy człowiek ten wchodził do kościoła, kamienie krzyczały: „Oto człowiek, który zamordował dziewczę z bluszczem we włosach!” Nikt nas jednak nie słyszał. Ale nie jest za późno! Wiemy, gdzie go pochowano! W rogu południowego transeptu! Szybko! Szybko! Przynieście oskardy! Dawajcie łopaty! Odrzućcie brukowce! Wykopcie jego kości! Roztrzaskajcie je łopatą! Pogruchoczcie jego czaszkę o filary! Niech i kamienie posmakują zemsty! Jeszcze nie jest za późno! Jeszcze nie jest za późno!*

Ledwie magowie pojęli tę informację, rozległ się inny kamienny głos, który dochodził



chyba z prezbiterium. Przemawiał dziwną angielszczyzną, pełną zapomnianych słów. Uskarżał się na żołnierzy, którzy weszli do kościoła i wybili kilka okien. W następnym wieku zaś roztrzaskali belkę tęczową z drewnianym krucyfiksem, zniszczyli twarze świętych, wynieśli tacę na datki. Raz naostrzyli groty o brzeg kropielnicy. Trzysta lat później strzelali w kapitularkę. Drugi głos najwyraźniej nie rozumiał, że kościół może przetrwać wieki, ale ludzie żyją nieco krócej.

- Raduje ich zniszczenie! - wykrzykiwał. - Sami na to zasłużyli!

Podobnie jak pierwszy, drugi mówca mieszkał w kościele od wieków i zapewne słyszał wiele kazań i modlitw, lecz najpiękniejsze chrześcijańskie cnoty - miłosierdzie, miłość, pokora - były mu nieznane. Tymczasem pierwszy głos nadal oplakiwał dziewczę z bluszczem we włosach i oba lamenty ścierały się w nieprzyjemny sposób.

Pan Thorpe odważnie zajął do prezbiterium, aby sprawdzić, kto mówi.

- To posąg - oznajmił.

I wtedy członkowie towarzystwa raz jeszcze spojrzeli w mrok ponad swoimi głowami, skąd dochodził pierwszy nieziemski głos. Teraz już nie mieli wątpliwości, kto przemawia, gdyż kamienna figura z przejściem wymachiwała niezgrabnymi rękoma.

Inne rzeźby i posągi znajdujące się w katedrze także przemówiły. Kamiennymi głosami relacjonowały, co widziały za swego kamiennego żywota. Pan Segundus powiedział później pani Pleasence, że zrobił się harmider nie do opisania. W końcu w katedrze Yorku nie brakowało kamiennych ozdób, nierzadko ze skrzydłami.

Mnóstwo uskarżało się na sąsiedztwo i nic w tym dziwnego, skoro posąжки zmuszone były tkwić obok siebie przez setki lat. Piętnastu kamiennych królów stało, każdy na swym kamiennym piedestale, pod wielką kamienną ścianą. Mieli mocno skręcone włosy, jakby wcześniej nawinięte na papiloty i nigdy nie rozczesane (pani Honeyfoot mawiała na ich widok, że ma chętkę potraktować szczotką każdą z królewskich głów). W chwili, gdy królowie zyskali głos, natychmiast wszczęli spór, besztając jeden drugiego. Poszło o to, że piedestały były tej samej wysokości, a królowie - nawet ci z kamienia - nade wszystko nie lubią być równi innym. Obok zbite w gromadkę statuetki trzymające się za ręce zerkają kamiennymi oczyma ze szczytu kolumny. Gdy tylko zakłęcie zadziało, każda z tych postaci poczęła odpychać od siebie pozostałe. Zapewne po tylu latach ścierpły im kamienne ręce i figurki miały dość uścisków innych.

Jeden z posągów przemówił chyba po włosku. Nikt nie wiedział dlaczego, dopiero pan Segundus odkrył później, że to kopia dzieła Michała Anioła. Najwyraźniej posąg opisywał całkiem inny kościół, taki, w którym żywe czarne cienie kontrastują z jaskrawym światłem.

Innymi słowy, opisywał to, co widział w Rzymie oryginał.

Pan Segundus z zadowoleniem zauważył, że magowie, choć bardzo wystraszeni, pozostali w kościele. Niektórych tak zdumiały te widoki, że prędko zapomnieli o strachu i biegali wokół, by podziwiać coraz więcej cudów, czynić obserwacje, sporządzać notatki w małych dzienniczkach. Chyba całkiem zapomnieli o perfidnym dokumencie, który od tej chwili zabraniał im studiowania magii.

Długo jeszcze magowie Yorku (już wkrótce mieli stracić ten tytuł!) wędrowali po nawach i patrzyli na cuda. Przez cały czas ich uszy atakowała okropna kakofonia tysięcy kamiennych głosów.

W kapitularku znajdowały się kamienne baldachimy z ozdobami w kształcie małych kamiennych głów w dziwacznych czapkach. Wszystkie te głowy jazgotały równocześnie. Tu także ustawiono przepiękne kamienne rzeźby przedstawiające angielskie drzewa: głóg, dąb, tarninę, piołun, wiśnię i przestęp. Pan Segundus ujrzał dwa kamienne smoki, nie dłuższe od przedramienia. Goniły za sobą po kamiennych gałęziach głogu, kamiennych liściach głogu, kamiennych korzeniach głogu i kamiennych wiciach głogu, a także pod nimi. Smoki zdawały się biegać ze swobodą żywych stworzeń, lecz tylko pozornie. Skrzypienie kamiennych mięśni pod kamienną skórą, która szorowała o kamienne żebra, oraz zgrzyt kamiennych pazurów na kamiennych gałęziach były wyjątkowo przykre. Pan Segundus nie miał pojęcia, jak smoki to znoszą. Chmura ziarnistego pyłu, podobna tej, która towarzyszy kamieniarzom przy pracy, unosiła się w powietrzu. Pomyślał, że jeśli czar potrwa dłużej, ze smoków dostaną zaledwie okruchy wapienia.

Kamienne liście i zioła drżały jakby smagane wiatrem. Część do tego stopnia naśladowała żywe rośliny, że zaczęła rosnąć. Później, gdy czar prysnął, pędy kamiennego bluszczu i szypszyny skamieniały wokół krzeseł, pulpity i modlitewników, gdzie wcześniej ich nie widziano.

Wkrótce zresztą magia pana Norrella wydostała się poza teren katedry i członkowie Uczzonego Towarzystwa Magów Yorku nie byli już jedynymi jej świadkami. Trzy posągi z dziedzińca przy zachodnim skrzydle katedry trafiły jakiś czas temu do konserwacji, do warsztatu pana Taylora. Stulecia deszczów w hrabstwie York zniszczyły ich oblicza - nikt już nie wiedział, kogo miały przedstawiać. O wpół do jedenastej jeden z kamieniarzy właśnie podnosił dłuto do twarzy posągu, zamierzając nadać jej rysy atrakcyjnej świętej, gdy statua krzyknęła i uniosła rękę, by odtrącić ostre narzędzie. Biedny robotnik upadł i stracił przytomność. Skończyło się na tym, że posągi wróciły na dziedziniec nietknięte. Ich twarze pozostały płaskie jak naleśniki i bezkształtne jak bryła masła.

Nagle coś się zmieniło: głosy, jeden po drugim, cichły, aż magowie usłyszeli bijące znowu dzwony St Michael le Belfrey. Pierwszy głos (figurki skrytej w mroku) jeszcze przez chwilę przemawiał po tym, jak inne już zamilkły, i ciągnął opowieść o nie odkrytym morderstwie {Wciąż jest czas! Wciąż jest czas!}, aż i on ucichł.

Świat już nie był taki sam jak wcześniej. Czy magowie tego chcieli, czy nie, magia powróciła do Anglii. Zaszły też nieco bardziej prozaiczne zmiany: niebo zaciągnęło się ciężkimi od śniegu chmurami. Nie były one szare, lecz tworzyły dziwną mieszankę ciemnoszarego błękitu i morskiej zieleni. Wokół zapadł osobliwy półmrok, jaki zwykle zdaniem ludzi spowija baśniowe krainy w morskich głębinach.

Te zajścia bardzo zmęczyły pana Segundusa. Na pewno nie przstraszył się tak bardzo jak inni dżentelmeni, ale magia, którą ujrzał, okazała się bardziej imponująca, niż sobie wyobrażał. Gdy zniknęła, zapragnął tylko wrócić w spokoju do domu. W tym dziwnym stanie został zatrzymany przez dysponenta pana Norrella.

- Rozumiem, że teraz towarzystwo się rozwiąże - powiedział Childermass. - Niezmiernie mi przykro.

Być może niechęć pana Segundusa do Childermassa brała się z przygnębienia, ale podejrzewał on, że pod pełnym ubolewania komentarzem kryła się drwina z magów Yorku. Dysponent pochodził z niskiego stanu, którego przeznaczeniem było służyć innym. Ludzie pokroju Childermassa, utalentowani i bystrzy, marzyli jednak o sławie i nagrodach. Czasem, w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności odnajdywali drogę do chwały, ale zazwyczaj popadali w zgorzknienie. Niechętnie służyli, a swe obowiązki wykonywali wcale nie lepiej - czasem wręcz gorzej - od mniej zdolnych bliźnich. Stawali się zuchwali, przez co w końcu tracili posady i zwykle kończyli na dnie.

- Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym zadać panu pytanie - rzekł Childermass. - Mam nadzieję, że nie uzna go pan za impertynenckie. Czy zerknął pan kiedyś do londyńskiej gazety?

Pan Segundus potwierdził.

- Doprawdy? To interesujące. Sam bardzo je lubię czytać. Mam jednak czas tylko na lekturę ksiąg, na które natrafiam w ramach moich obowiązków. O czym teraz pisze londyńska prasa? Proszę wybaczyć, ale pan Norrell, który nie zagląda do gazet, zapytał mnie o to wczoraj. Uznałem, że brak mi kompetencji, by odpowiedzieć.

- No cóż, o rozmaitych sprawach - odparł nieco zdumiony Segundus. - Są tam sprawozdania z działań marynarki Jego Królewskiej Mości przeciwko Francuzom, przemówienia członków rządu, doniesienia o skandalach i rozwodach. O to panu chodzi?

- O tak! - wykrzyknął Childermass. - Znakomicie pan to ujął. Zastanawiam się, czy wiadomości z prowincji docierają do tych gazet? Czy na przykład dzisiejsze niezwykle wydarzenia zasłużą na taką wzmiankę?

- Nie wiem - powiedział pan Segundus. - Wydaje mi się to całkiem możliwe, chociaż hrabstwo York leży daleko od Londynu. Być może londyńscy wydawcy nigdy nie usłyszą o tym, co tutaj zaszło.

- Och - westchnął pan Childermass i umilkł. Zaczął sypać śnieg. Początkowo z zielonoszarego nieba spadło zaledwie kilka płatków, potem coraz więcej, a w końcu miliony sprawiły, że budynki w Yorku wyglądały na wyblakłe, a ludzie na mniejszych. Krzyki i wrzaski, kroki i stukot kopyt, skrzypienie powozów i trzaskanie drzwi - wszystko ucichło, stawało się coraz mniej ważne, aż w końcu świat składał się już tylko z padającego śniegu, nieba w kolorze morskiej zieleni, mglistego cienia katedry Yorku - i Childermassa.

Childermass milczał. Pan Segundus zastanawiał się, czego dysponent jeszcze chce, wszak odpowiedział mu na wszystkie pytania. Ale Childermass cały czas patrzył na pana Segundusa dziwnymi, czarnymi oczyma, jakby przekonany, że ten coś jeszcze doda.

- Jeśli pan sobie życzy - zaczął pan Segundus i strzepnął śnieg z peleryny - pomogę rozwiązać wszelkie wątpliwości i napiszę list do wydawcy „Timesa”. Poinformuję go o niezwykłych dokonaniach pana Norrella.

- Och! Co za wspaniałomyślność! - wykrzyknął Childermass. - Proszę mi wierzyć, wiem doskonale, że nie każdy byłby tak wielkoduszny po porażce. Mówiłem panu Norrellowi, że z pewnością nie ma bardziej szlachetnego dżentelmena niż pan Segundus.

- Ależ skąd - zaprzeczył pan Segundus. - To błahostka.

Uczone Towarzystwo Magów Yorku zostało rozwiązane, a jego członkowie musieli zrezygnować ze studiowania magii (wszyscy z wyjątkiem pana Segundusa). Choć część nie grzeszyła mądrością ani nadmiarem uprzejmości, nie zasłużyli jednak na taki los. Cóż bowiem ma czynić mag, któremu nie wolno studiować magii? Próżnuje w domu, przeszkadza siostrzenicy (albo żonie, albo córce) w szyciu, dręczy służbę pytaniami o sprawy, które do tej pory wcale go nie obchodziły. Wszystko to robi po to, by z kimś porozmawiać. A gdy służący zaczynają się skarżyć pani domu, bierze jakąś książkę i zaczyna czytać, nie skupiając się na tekście i dopiero po dwudziestej drugiej stronie odkrywa, że to powieść. Ponieważ gardzi taką literaturą, odkłada książkę z niesmakiem i po raz dziesiąty tego dnia pyta siostrzenicę (albo żonę, albo córkę) o godzinę, gdyż nie może uwierzyć, że czas płynie tak wolno. Z tego samego powodu nie jest w stanie dojść do porozumienia ze swoim kieszonkowym zegarkiem.

Pan Honeyfoot, co zauważam z przyjemnością, poradził sobie nieco lepiej niż inni.

Pocziwca niesłuchanie przejęła opowieść figurki. Przez stulecia kryła ona w swym kamiennym sercu wiedzę o okropnym morderstwie, pamiętała o dziewczynie z bluszczem we włosach, choć inni dawno o niej zapomnieli. Pan Honeyfoot uznał, że taką lojalność trzeba wynagrodzić. Napisał zatem do dziekana, kanoników, arcybiskupa i tak zalaż im za skórę, że w końcu udzielono mu pozwolenia na rozbicie brukowców w południowym transepcie. Kiedy tak się stało, panu Honeyfootowi i zatrudnionym przez niego ludziom ukazała się ołowiana trumna z kośćmi. Dziekan nie zezwolił jednak na usunięcie szczątków z katedry (czego domagał się pan Honeyfoot) na podstawie słów rzeźby. Sprawa nie miała precedensu. „Ależ przeciwnie!” - twierdził pan Honeyfoot. Spór ciągnął się przez wiele lat i w rezultacie pan Honeyfoot naprawdę nie miał czasu na martwienie się skutkami umowy z panem Norrellem<sup>[10]</sup>.

Bibliotekę Uczzonego Towarzystwa Magów Yorku sprzedano panu Thoroughgoodowi z Coffee Yard. Nikt nie wpadł na to, by zawiadomić o tym pana Segundusa, który dowiedział się o wszystkim po fakcie. Chłopak ze sklepu Thoroughgooda napomknął o księgach koledze, ekspedientowi ze sklepu bławatnego Priestleya, a ten przypadkiem wspomniął o tym pani Cockcroft z gospody U George'a. Ona zaś powtórzyła nowinę pani Pleasance, gospodyni Segundusa. Na wieść o tym uczoney pobiegł przez zaśnieżone ulice do sklepu pana Thoroughgooda, zapomniawszy o kapeluszu, płaszczu czy odpowiednich butach. Księgi jednak już zniknęły. Pan Segundus chciał się dowiedzieć, kto je kupił. Pan Thoroughgood błagał o wybaczenie, ale nie mógł zdradzić nazwiska tego dżentelmena. Jegomość ów z pewnością by sobie tego nie życzył. Pan Segundus, bez kapelusza, płaszczu i tchu, w przemoczonych trzewikach i z plamami błota na pończochach, ściągając na siebie spojrzenia obecnych w sklepie, z niejaką satysfakcją oznajmił Thoroughgoodowi, że i tak domyśla się, któż to taki.

Pan Norrell nie przestawał interesować Segundusa. Dużo myślał o magu i często rozmawiał o nim z panem Honeyfootem<sup>[11]</sup>. Honeyfoot był pewien, że wszystko, co się wydarzyło, można wytłumaczyć wielkim pragnieniem pana Norrella, dotyczącym przywrócenia magii w Anglii. Pan Segundus miał jednak wątpliwości. Zaczął z uwagą przyglądać się wszystkim w nadziei, że trafi na jakichś znajomych pana Norrella, którzy mogliby dostarczyć cennych informacji.

Dżentelmen z pozycją pana Norrella, pięknym domem i sporym majątkiem zawsze wzbudza zainteresowanie sąsiadów, którzy - jeśli nie są kompletnymi idiotami - znajdują sposób, by sprawdzić, czym on się zajmuje. Pan Segundus odkrył na Stonegate krewnych ludzi, którzy mieli farmę osiem kilometrów od opactwa Hurtfew. Zaprzyjaźnił się z nimi i

przekonał ich, by urządzili proszoną kolację, na którą zaproszą kuzynów (pana Segundusa zaszokowała własna przebiegłość). Jak się można było spodziewać, kuzyni posłusznie przyszli i ochoczo podjęli rozmowę o bogatym i dziwnym sąsiedzie, który zaczarował katedrę w Yorku, ale ich cała wiedza na jego temat sprowadzała się do informacji, że pan Norrell udaje się do Londynu.

Pana Segundusa zdumiała ta wieść, ale jeszcze bardziej zdziwiła go własna reakcja na nią. Stał się dziwnie przygnębiony, co wydało mu się niedorzeczne. Norrell nigdy nie okazał mu cienia zainteresowania ani też nie oddał mu żadnej przysługi, ale to on był teraz jedynym kolegą po fachu pana Segundusa. Po jego wyjeździe pan Segundus miał zostać jedynym magiem w hrabstwie York. Ostatnim magiem.

## Rozdział czwarty

### *Przyjaciele angielskiej magii wczesna wiosna 1807*

Wyobraź sobie, czytelniku, człowieka, który całe dni przesiaduje w bibliotece, drobnego człowieka o niezbyt interesującym wyglądzie. Przed nim na biurku leży księga, świeży zapas piór, nóż do ich przycinania, atrament, papier, notatniki. W pokoju zawsze płonie ogień, gdyż bez niego człowiek ów marznie. Pokój zmienia się wraz z porami roku - człowiek ten nie. Za trzema wysokimi oknami rozpościera się krajobraz typowy dla angielskiej wsi, spokojnej wiosną, radosnej latem, melancholijnej jesienią i ponurej zimą. Zmiana pór roku nie porusza go jednak - ledwie uniesie wzrok znad księgi. Zażywa ruchu jak wszyscy dżentelmeni. Gdy jest pogodnie, idzie na długi spacer przez park do lasu. W pluchę wystarcza mu krótka przechadzka wśród krzewów. Niewiele jednak myśli o krzewach, parku czy lesie. W bibliotece czeka na niego księga. Ciągle ma przed oczyma jej stronicę. Jego umysł bezustannie draży argumenty autora dzieła, a palce swędzą z pragnienia, by znów dotknąć zapisanego papieru. Kilka razy w roku spotyka się z sąsiadami. W końcu to Anglia, nie można tu żyć poza społecznością, nawet jeśli jest się tak oschłym i zgorzkniałym. Zachodzą do niego, zostawiają wizytówki, zapraszają na obiady lub ansamble. Robią to z dobrego serca. Są przekonani, że zbyt długa samotność szkodzi, ale również ciekawi ich, czy zmienił się od ostatniego spotkania. Nie zmienił się. Nie ma im nic do powiedzenia i uważają go za najnudniejszego człowieka w całym hrabstwie York.

Tak jak przypuszczał pan Honeyfoot, w głębi oschłego serca pana Norrella kryła się ogromna ambicja, by przywrócić magię w Anglii. Właśnie w tym celu pan Norrell postanowił wyruszyć do Londynu.

Childermass zapewnił go, że to odpowiedni moment, a Childermass dobrze znał świat. Wiedział, w co się bawi dziatwa, nieobce mu były gry dawno zapomniane przez dorosłych. Wiedział, o czym rozmyślają starcy przy kominkach, choć od lat nikt ich o to nie pytał. Wiedział, co takiego młodzi ludzie słyszą w odgłosie werbli i dźwiękach dud, że opuszczają rodzinny dom, by wstąpić do wojska. Znał również szczyptę chwały i beczkę nieszczęść, które ich czekają. Wystarczyło, że Childermass popatrzył na prawnika idącego ulicą i od razu potrafił powiedzieć, co ów człowiek trzyma w kieszeniach płaszcza. Wiedza ta napawała Childermassa taką radością, że czasem wybuchał gromkim śmiechem. I nigdy, przenigdy nie czuł choćby krztyny współczucia dla innych.

Kiedy zatem Childermass powiedział swemu chlebodawcy: „Trzeba jechać do Londynu. Teraz”, pan Norrell mu uwierzył.

- Nie podoba mi się jedynie ten twój plan, by Segundus pisał w naszej sprawie do londyńskiej prasy - westchnął. - Z pewnością popełni błędy w swoim sprawozdaniu. Pomyślałeś o tym? Na pewno dorzuci sporo od siebie. Trzeciorzędni uczeni nie potrafią się oprzeć pokusie i zawsze ubarwiają sytuacje. Będzie zgadywał, jaki rodzaj magii pokazałem w Yorku. I bez tego towarzyszy jej zbyt wielki zamęt. Czy musimy wykorzystywać Segundusa?

Childermass obrzucił swego pana posępnym spojrzeniem, uśmiechnął się jeszcze posępniej, po czym spytał:

- Czy słyszał pan o Bainsie z marynarki wojennej?

- Chyba znam tego człowieka - odparł pan Norrell.

- Och! I co pan o nim wie?

- No cóż - zaczął pan Norrell po krótkim milczeniu - chyba widziałem jego nazwisko w jednej z gazet.

- Kapitan Hector Baines służył na fregacie „Król Północy” - powiedział Childermass. - W wieku dwudziestu jeden lat, podczas działań w Indiach Zachodnich, stracił nogę oraz dwa lub trzy palce. W tej samej bitwie zginął dowódca „Króla Północy” i wielu innych marynarzy. Pogłoski, że Baines przejął dowodzenie okrętem i wydawał załodze rozkazy w chwili, gdy doktor odpiłowywał mu nogę, uważam za mocno przesadzone. Z pewnością jednak wyprowadził uszkodzoną jednostkę z Indii, zaatakował hiszpański statek z cennym ładunkiem, zgarnął fortunę i wrócił do domu w glorii. Tam zerwał zaręczyny z pewną młodą damą i poślubił inną. Taką właśnie historię przedstawiono w „The Morning Post”. A ja

powiem panu, co było dalej. Baines jest z północy, podobnie jak pan. To człowiek niewiadomego pochodzenia, bez wpływowych przyjaciół, którzy pomogliby mu w życiu. Wkrótce po ślubie przyjechał wraz z żoną do Londynu i zatrzymał się u przyjaciół na Seacoal Lane. Tam jadał z arystokracją, wznosił toasty z członkami parlamentu. Ten sukces przypisuję szacunkowi, który Baines zyskał dzięki artykułowi w gazecie. Czy pan ma w Londynie przyjaciół gotowych uczynić dla pana to samo bez kłopotania wydawców prasy?

- Doskonale wiesz, że nie - mruknął pan Norrell niecierpliwie.

Tymczasem pan Segundus pracował nad listem i trapiło go, że nie umie zawrzeć w nim więcej ciepłych pochwał dla pana Norrella. Sądził, że czytelnicy londyńskich gazet będą oczekiwali informacji o osobistych zaletach maga i zdumieją się, widząc, że autor tekstu nic o nich nie napisał.

Po pewnym czasie w „Timesie” ukazał się list zatytułowany: NIEZWYKŁE WYDARZENIA W YORKU: APEL DO PRZYJACIÓŁ ANGIELSKIEJ MAGII. Pan Segundus zakończył swój opis oświadczeniem, że przyjaciele angielskiej magii muszą błogosławić samotniczy tryb życia pana Norrella, gdyż ten sprzyjał studiom i w końcu przyniósł owoce w postaci wspaniałego pokazu magii w katedrze Yorku. Apelował też do czytelników, by poparli jego prośbę, aby pan Norrell nie wracał do studiów na odludziu, lecz zajął należne mu miejsce w gronie osób zajmujących się sprawami wagi państwowej i zapoczątkował w ten sposób nowy rozdział historii magii w Anglii.

Apel do przyjaciół angielskiej magii wywołał sensację, zwłaszcza w Londynie. Czytelników „Timesa” wręcz zelektryzowały dokonania pana Norrella. Wszyscy pragnęli go poznać. Młode damy współczuły dżentelmenom z Yorku, którzy tak się go wystraszyli, i bardzo chciały doświadczyć podobnej grozy. Ponieważ taka okazja mogła się nie powtórzyć, pan Norrell postanowił jak najszybciej zamieszkać w Londynie.

- Musisz kupić mi dom, Childermass - powiedział. - Dom, który będzie świadczył o tym, że magia to szacowna profesja. Podobnie jak prawo, a już na pewno bardziej niż medycyna.

Childermass spytał cierpko, czy pan Norrell życzy sobie, by okazałość domu świadczyła o tym, że mag rangą dorównuje kapłanom. Pan Norrell, który wiedział, że istnieje coś takiego jak żarty - inaczej by o nich nie pisano w książkach - ale nigdy nie zetknął się z nimi osobiście, zastanowił się przez chwilę, po czym odparł, że takich roszczeń nie wysuwa.

Wobec tego Childermass (myśląc może, że nic na świecie nie jest równie szacowne jak pieniądze) nabył w imieniu chlebowdawcy dom na Hanover Square, gdzie mieszkali ludzie bogaci i dobrze sytuowani. Nie wiem, co na to czytelnik, ale muszę przyznać, że niezbyt lubię



południową część Hanover Square. Tamtejsze domy mają co najmniej po cztery piętra, są wąskie, a ich wysokie, ponure okna wyglądają tak samo. Każdy dom przypomina swoich sąsiadów. Razem tworzą wysoki mur zasłaniający światło. Jednak pan Norrell (mniej wybredny ode mnie) był zadowolony z nowej siedziby, a przynajmniej tak zadowolony jak może być dżentelmen, który ponad trzydzieści lat żył w wiejskim domu otoczonym olbrzymimi drzewami, odgradzającymi go od wielkich przestrzeni lasów i pól uprawnych. Innymi słowy, jak dżentelmen, którego nigdy nie niepokoił widok domostwa innego człowieka za oknem.

- Dom jest raczej mały, Childermass - powiedział. - Nie uskarżam się jednak. Jak wiesz, nie dbam o własną wygodę.

Childermass odparł, że dom jest obszerniejszy niż większość londyńskich siedzib.

- Czyżby? - zdumiał się pan Norrell. Był szczególnie wstrząśnięty rozmiarami biblioteki, która z pewnością nie pomieściłaby jednej trzeciej ksiąg absolutnie mu niezbędnych. Spytał Childermassa, gdzie londyńczycy przechowują swoje zbiory. Czyżby nie czytali?

Pan Norrell przebywał w Londynie zaledwie od trzech tygodni, kiedy otrzymał list od niejakiej pani Godesdone.

*Wiem, że to wstrząsające, że do pana piszę, nie znając pana, pewnie mówi pan do siebie, kim jest to impertynenckie stwożenie? Nie miałem pojęcia, że ktoś taki istnieje! I pewnie ma mnie pan za wstrząsająco śmiałą itp., itd., ale Drawlight to mój drogi psyjaciel i zapewnia mnie, że jest pan najmiłszym stwożeniem na świecie i nie będzie pan miał mi za złe. Nie mogę się doczekać, kiedy pana poznam i uczyniłby mi pan wielki chonor, gdyby zechciał odwiedzić mnie na psyjęciu we wtorkowy wieczur. Niech niechęć do tłómów nie powstrzyma pana od przyjścia. Ja też nie cierpię tłómów i na spotkanie z panem zaproszę tylko najbliższych psyjaciół...*

Tego rodzaju pismo nie mogło zrobić dobrego wrażenia na panu Norrellu. Przeczytał je pospiesznie, z okrzykiem pełnym niesmaku odłożył na bok i zatonął w lekturze. Wkrótce przybył Childermass, by dopilnować porannych spraw. Przeczytał list pani Godesdone i spytał, jakiej odpowiedzi ma udzielić?

- Odmownej - odparł pan Norrell.

- Czyżby? Mogę zapytać, czy ma pan inne zobowiązania?

- Możesz, jeśli chcesz.

- Ma pan inne zobowiązania?

- Nie - oznajmił pan Norrell.

- Ach! - wykrzyknął Childermass. - Może zatem nadmiar zajęć w najbliższych dniach jest powodem odmowy? Obawia się pan przemęczenia?

- Nie mam żadnych innych zajęć, o czym doskonale wiesz. - Pan Norrell wrócił do lektury, ale po chwili mruknął (raczej do książki niż Childermassa): - Wciąż tu jesteś.

- Jestem - potwierdził Childermass.

- Czego chcesz? O co chodzi?

- Myślałem, że przybył pan do Londynu, by pokazać ludziom, jak wygląda współczesny mag. Nie uda się to, jeśli przez cały czas będzie pan siedział w domu.

Pan Norrell nie zareagował. Wziął do ręki list i nań popatrzył.

- Drawlight - powiedział w końcu. - Czego ta osoba chce? Nie znam nikogo o takim nazwisku.

- Nie wiem, czego chce - odparł Childermass. - Wiem jednak, że w tej sytuacji uprzejmość nie zaszkodzi.

O ósmej wieczorem w dniu przyjęcia u pani Godesdone pan Norrell siedział w karecie wystrojony w swój najlepszy szary frak i rozmyślał o drogim przyjacielu pani Godesdone, Drawlighcie. Nagle uświadomił sobie, że pojazd stanął. Za oknem zobaczył oświetlony blaskiem lamp tłum ludzi, karet i koni. Przekonany, że układ londyńskich ulic jest dla wszystkich równie skomplikowany jak dla niego, wysnuł wniosek, że stangret i lokaj zgubili drogę. Tłukąc laską w dach karety, zakrzyknął:

- Davey! Lucas! Nie słyszeliście, że na Manchester Street? Dlaczego nie sprawdziliście trasy, nim wyruszyliśmy?

Usadowiony na koźle Lucas zawołał, że już są na Manchester Street, ale muszą czekać na swoją kolej. Sporo pojazdów zamierzało zatrzymać się przed domem.

- Którym domem? - krzyknął pan Norrell. Tym, do którego zmierzają, wyjaśnił Lucas.

- Nie, nie! Jesteś w błędzie - zaprotestował pan Norrell. - To ma być kameralne spotkanie.

Ale po przybyciu do pani Godesdone pan Norrell znalazł się w otoczeniu mniej więcej setki najbliższych przyjaciół gospodyni. Westybul i pokoje dzienne były szczelnie wypełnione ludźmi, których przybywało z minuty na minutę. Pan Norrell bardzo się tym zdumiał, ale na Boga, czemu tu się dziwić? Było to modne londyńskie przyjęcie, nie różniące się niczym od tych, które codziennie urządzano co najmniej w kilku domach.

Jak opisać londyńskie przyjęcie? Aż nazbyt wiele świec w kryształowych kandelabrach błyszczy w całym domu. Eleganckie lustra trzy - i czterokrotnie wzmacniają światła, tak że noc przyćmiewa dzień. Wielobarwne cieplarniane owoce tworzą majestatyczne

piramidy na przystrojonych białymi obrusami stołach. Przepiękne istoty, wystrojone w kosztowne ozdoby, podziwiane przez postronnych obserwatorów zwiedzają parami pokoje. Niestety, duchota daje się we znaki, podobnie jak napięcie i hałas. Nie ma gdzie usiąść, ledwie jest gdzie stać. Możesz, czytelniku, ujrzeć najdroższego przyjaciela w innej części salonu, możesz mieć mu do powiedzenia mnóstwo rzeczy - tylko jak, u licha, do niego dotrzesz? Jeśli dopisze ci szczęście, może później odnajdziesz go w tym tłumie i uściśniesz mu dłoń, gdy będziecie się mijali w pośpiechu. W otoczeniu rozeźlonych i spoconych osób szansa na sensowną konwersację jest mniej więcej taka jak na afrykańskiej pustyni. Myśli zaprzęta wyłącznie chęć uchronienia ulubionego stroju przed zniszczeniem. Każdy narzeka na upał i duchotę. Każdy twierdzi, że są absolutnie nieznośne. Skoro jednak dla wszystkich gości to taka udręka, co z tymi, których nie zaproszono? Nasze cierpienie jest niczym w porównaniu do ich mąk! A jutro i tak powiemy sobie, że przyjęcie było nadzwyczaj udane. Tak się złożyło, że pan Norrell przybył w tym samym momencie co bardzo wiekowa dama wystrojona od stóp do głów w brylanty. Choć drobna i niezbyt urodziwa, była najwyraźniej ważną personą. Służba stłoczyła się wokół niej i pan Norrell wszedł do domu nie zauważony przez nikogo. Gdy po chwili popijał poncz w pokoju pełnym ludzi, przyszło mu do głowy, że powinien się chyba przedstawić. Nie bardzo wiedział jednak, jak postąpić. Inni goście zajęci byli witaniem przyjaciół, a przedstawienie się któremuś ze służących okazało się zadaniem ponad siły pana Norrella. Ich dumne twarze i miny pełne wyższości odebrały mu resztki odwagi. Jaka szkoda, że byli członkowie towarzystwa magów Yorku nie mogli zobaczyć, jak żałośnie i niepewnie wygląda teraz pan Norrell. Niezwykle podniosłoby ich to na duchu. Tak to już jest z nami wszystkimi. W znajomym otoczeniu jesteśmy radośni i swobodni, lecz jeśli trafimy do miejsca, gdzie nikogo nie znamy ani nikt nie zna nas... Dobry Boże! Jakże nieswojo się czujemy!

Pan Norrell wędrował z pokoju do pokoju, pragnąc tylko zniknąć. Lecz w pewnej chwili zatrzymał się na dźwięk własnego nazwiska.

-...zapewnia mnie, że nigdy nie wychodzi bez mistycznej granatowej szaty ozdobionej symbolami nie z tej ziemi! Drawlight, który doskonale zna Norrella, twierdzi jednak, że...

Aż dziw bierze, iż pan Norrell cokolwiek dosłyszał przez ten hałas. Wydawało mu się, że głos należy do młodej kobiety. Norrell rozejrzał się gorączkowo, usiłując ją wypatrzeć. Bez powodzenia. Zaczął się więc zastanawiać, co jeszcze o nim mówiono.

Staął obok czterdzieste - bądź pięćdziesięcioletniej damy wyglądającej dość przeciętnie i mężczyzny, jakich nieczęsto widywano w hrabstwie York. Był raczej drobny i elegancko odziany. Miał porządny czarny frak i koszulę oraz śnieżnobiałą kamizelkę. Para

maleńkich srebrnych okularów zwisała z jego szyi na czarnej aksamitnej wstążce. Rysy twarzy miał niezwykle regularne, dość przyjemne dla oka, do tego krótkie ciemne włosy oraz bardzo jasną cerę. Jedyne policzki przybrały barwę najjaśniejszego odcienia różu. Jego oczy - duże, przepastne, ciemne i tak lśniące, że wydawały się wilgotne - robiły niezwykle wrażenie. Ocieniały je bardzo długie i czarne rzęsy. Zniewieściały wygląd był w dużej mierze jego zasługą, lecz dziewczęce oczy i rzęsy podarowała mu natura.

Pan Norrell zaczął się przysłuchiwać ich rozmowie, by sprawdzić, czy mówią o nim.

-...oto rada, której udzieliłem lady Duncombe - powiedział dżentelmen. - Lady Duncombe znalazła dla swej córki niezwyklego męża, dżentelmena z dziewięcioma setkami dochodu rocznie! Ta niemądra dziewczyna oddała jednak serce kapitanowi dragonów, który nie ma grosza przy duszy. Biedna lady Duncombe niemal oszalała. „Och, droga pani!” - wykrzyknąłem na wieść o tym. „Bez obaw. Proszę zostawić to mnie. Nie jestem geniuszem, ale moje zdolności mogą się okazać nadzwyczaj użyteczne”. Moja droga! Rozbawi panią, jak załatwiłem tę sprawę! Śmiem twierdzić, że nikt inny w świecie nie uknułby tak szatańskiego planu! Zabrałem pannę Susan do Graya na Bond Street, gdzie spędziliśmy niezwykle przyjemny poranek, mierząc naszyjniki i kolczyki. Przez większość życia mieszkała w hrabstwie Derby, nie przywykła więc do wspaniałych klejnotów. Wątpię, czy w ogóle o nich myślała. Potem lady Duncombe i ja napomknęliśmy raz czy dwa od niechcenia, że biorąc ślub z kapitanem Hurstem, sama pozbawi się przyjemności zakupu takich rozkosznych świecidełek. Po ślubie z panem Wattsem zaś będzie mogła przebierać w kosztownościach. Potem zadałem sobie sporo trudu, by poznać kapitana Hursta i zaciągnąć go do Boodle’a, gdzie - cóż, nie będę pani oszukiwał - gdzie się uprawia hazard! - Dżentelmen zachichotał. - Pożyczyłem mu trochę pieniędzy, by spróbował szczęścia. Naturalnie, nie należały do mnie, lady Duncombe ofiarowała mi je specjalnie w tym celu. Poszliśmy tam trzy lub cztery razy i w niezwykle krótkim czasie długi kapitana wzrosły do..- Cóż, droga pani, nie mam pojęcia, jak zdoła je spłacić! Lady Duncombe i ja daliśmy mu do zrozumienia, że czym innym jest oczekiwać, iż młoda kobieta wyjdzie za człowieka o niewielkich dochodach, a czym innym, że poślubi dłużnika. Początkowo nie chciał nas słuchać. Użył... jak to nazwać? Raczej koszarowych epitetów. Wkrótce jednak przyznał nam słusność.

Pan Norrell widział, że kobieta o dość przeciętnym obliczu rzuca swemu rozmówcy niechętnie spojrzenie. Po chwili niemal niezauważalnie i bardzo chłodno skinęła głową i bez słowa odeszła w tłum. Opuszczony człowieczek popatrzył w innym kierunku i natychmiast powitał nowego przyjaciela. Po chwili wzrok pana Norrella przyciągnęła wyjątkowej urody młoda dama w srebrnobiałej sukni, z którą rozmawiał wysoki, przystojny mężczyzna. Śmiała

się serdecznie ze wszystkiego, co mówił.

-... a gdyby odkrył dwa smoki, czerwonego i białego, pod fundamentami domu, szeptane w odwiecznej walce i symbolizujące przyszłą zagładę pana Godesdone'a? Przyznaję, że nie miałbym nic przeciwko temu - dodał mężczyzna cicho.

Kobieta zaśmiała się jeszcze radośniej, a pan Norrell ze zdumieniem usłyszał, jak ktoś zwraca się do niej „pani Godesdone”. Po namyśle doszedł do wniosku, że powinien z nią porozmawiać, ale zdążyła już zniknąć w tłumie.

Zmęczony gwarem i widokiem tylu osób postanowił dyskretnie opuścić dom. Jednak tłum stojący przy drzwiach był nie do sforsowania, Norrell utknął więc wśród ludzi i dał się ponieść do innego pomieszczenia, gdzie krążył niczym suchy liść na wietrze. Podczas jednego z takich okrążeń dostrzegł zaciszny kącik obok okna. Za wysokim parawanem z rzeźbionego hebanu inkrustowanego macicą perłową krył się - co za radość! - regał z książkami. Pan Norrell wśliznął się za parawan, wziął do ręki *Całkowite zgłębienie pełni objawienia świętego Jana Johna Napiera* i zatonął w lekturze.

Gdy po jakimś czasie uniósł wzrok, ujrzał wysokiego, przystojnego mężczyznę, rozmówcę pani Godesdone. Obok stał drobny człowieczek, który zadał sobie tyle trudu, by obrócić wniwecz małżeńskie plany kapitana Hursta. Rozmawiali z ożywieniem. Ścisk wokół był tak wielki, że wysoki dżentelmen bezceremonialnie złapał niskiego za rękę i zaciągnął za parawan, do kąta zajętego przez pana Norrella.

- Nie ma go tutaj - powiedział, akcentując każde słowo szturchnięciem rozmówcy w ramię. - Gdzież dzikie oczy, które nam obiecałeś? Gdzież niewytłumaczalny trans? Czy ktoś został przeklęty? Szczerze wątpię. Przywoływałeś go jak ducha z zaświatów, a on nie przyszedł.

- Widziałem się z nim jeszcze tego ranka - bronił się niski. - Opowiadał, jakie to wspaniałe magiczne sztuki demonstrował ostatnio, i powiedział, że przyjdzie.

- Już po północy. Nie przyjdzie. - Wysoki mężczyzna uśmiechnął się z wyższością. - Przyznaj wreszcie, że go nie znasz.

Drobny człowieczek uśmiechem odpowiedział na uśmiech rozmówcy (obaj dżentelmeni urządzili sobie pojedynek na uśmiechy) i odparł:

- Nikt w całym Londynie nie zna go lepiej. Przyznaję, że jestem odrobinę, zaledwie odrobinę, rozczarowany.

- Ha! - wykrzyknął ten wysoki. - Wszyscy jesteśmy zdania, że zostaliśmy okrutnie wykorzystani. Przyszliśmy tu ujrzeć coś nadzwyczajnego, a zamiast tego sami musimy organizować sobie rozrywkę. - Jego wzrok padł na pana Norrella: - A ten dżentelmen czyta

książkę.

Drobny człowieczek obejrzał się za siebie i trącił przy tym łokciem pana Norrella. Następnie zgromił go spojrzeniem za to, że zajął niewielką wolną przestrzeń tak pokazną księgą.

- Powiedziałem, że jestem rozczarowany - ciągnął niski dżentelmen - ale nie zaskoczony. Nie znasz go tak jak ja. Zapewniam cię, że ma o sobie niezwykle wysokie mniemanie. Człowiek, który nabywa dom na Hanover Square, wie, co robi. Nie słyszałeś o tym? Jest bogaty jak Żyd. Odziedziczył ogromny majątek po wuju Haythornthwaicie. Ma też dużą posiadłość w hrabstwie York.

- Ha! - oznajmił sucho wysoki. - Miał szczęście. Umierających bogatych wujów jest jak na lekarstwo.

- W rzeczy samej! - wykrzyknął człowieczek. - Moi przyjaciele, Griffinowie, mają nieprawdopodobnie majątnego wuja, wokół którego od lat skaczą. Chociaż dobiegał setki, gdy zaczęli, jeszcze nie odszedł z tego świata i chyba zamierza żyć wiecznie, by zrobić im na złość. Griffinowie też się starzeją i umierają jeden po drugim, gorzko rozczarowani. Jestem jednak pewien, mój drogi Lascellesie, że ty nie musisz się kłopotać dokuczliwymi staruszkami. Fortuna ci sprzyja, czyż nie?

Wysoki mężczyzna postanowił zbyć milczeniem tę uwagę. Rozejrzał się wokół, jakby kogoś szukając, i zauważył, że Norrell próbuje się włączyć do ich rozmowy.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał.

- Przepraszam bardzo - rzekł Norrell, zdumiony swobodną dyskusją na temat swojej fortuny. - Nazywam się Norrell.

Obaj mężczyźni, wysoki i niski, spojrzeli na Norrella szeroko otwartymi oczyma. Po dłuższej chwili drobny dżentelmen, który najpierw wydawał się obrażony, potem oszołomiony, a na koniec zaintrygowany, poprosił pana Norrella, by powtórzył swe nazwisko. Pan Norrell nie dał się długo prosić. Wtedy człowieczek wyszeptał:

- Proszę o wybaczenie, ale... Daruje mi pan impertynencję, ale czy w pańskim domu na Hanover Square mieszka ktoś ubierający się na czarno, z pociągłą, nieco wykrzywioną twarzą?

Pan Norrell zastanowił się, po czym odparł:

- Childermass. Chodzi panu o Childermassa.

- Och, Childermass! - zakrzyknął drobny człowieczek, jakby teraz wszystko było całkiem jasne. - Oczywiście! Jakiż jestem niemądry! To Childermass! Och, drogi panie! Nie wiem, jak wyrazić radość z poznania pana. Nazywam się Drawlight.

- Zna pan Childermassa? - spytał zdumiony pan Norrell.

- Ja... - pan Drawlight umilkł. - Widziałem go. Wychodził z pańskiego domu i... Och, drogi panie! Ależ ze mnie cymbał! Pomyliłem go z panem! Proszę się nie obrażać! Teraz widzę, że choć on ma dziką, romantyczną aparycję maga, pana otacza aura mądrości. Lascellesie, czy pan Norrell nie ma w sobie powagi i spokoju uczonego?

Wysoki dżentelmen odparł bez entuzjazmu, że i owszem.

- Drogi panie, to mój przyjaciel, pan Lascelles - powiedział Drawlight.

Pan Lascelles ledwie raczył się uklonić.

- Och, drogi panie! - znowu wykrzyknął Drawlight. - Nie ma pan pojęcia, jakie katusze dziś cierpiałem, nie wiedząc, czy pan przyjdzie! O siódmej zżerał mnie już taki niepokój, że nie mogłem usiedzieć w domu! Powędrowałem do jadalni na Glasshouse Street, by spytać o zdanie Daveya i Lucasa. Davey był pewien, że pan nie przyjdzie, co doprowadziło mnie, jak pan sobie zapewne wyobraża, do rozpacz!

- Davey i Lucas. - W głosie Norrella słychać było najwyższe zdumienie. (Należy tu wspomnieć, że były to nazwiska lokaja i stangreta pana Norrella).

- W jadalni na Glasshouse Street. Davey i Lucas czasem się tam posilają, o czym panu zapewne wiadomo. - Pan Drawlight umilkł raptownie, na dość długo, by pan Norrell zdążył wymamrotać, że niekoniecznie.

- Opowiadałem swym licznym znajomym o pańskich nadzwyczajnych zdolnościach - ciągnął pan Drawlight. - Byłem dla pana Janem Chrzycielem, przygotowywałem panu grunt i zdecydowanie twierdziłem, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi, bo od początku czułem, że nimi zostaniemy. Jak pan widzi, miałem rację, gdyż stoimy tu sobie, pogrążeni w przyjacielskiej pogawędce!

## Rozdział piąty

*Drawlight wiosnąjesień 1807*

Wczesnym rankiem następnego dnia dysponent pana Norrella został wezwany przez pryncypała do saloniku. Gdy tylko wszedł, przekonał się, że pan Norrell jest błądy i zdenerwowany.

- O co chodzi? - spytał Childermass.

- Och! - wykrzyknął pan Norrell, kierując na niego wzrok. - Masz czelność pytać?! Ty, który zaniedbałeś swe obowiązki do tego stopnia, że byle łotr zakrada się pod mój dom i bez żadnych przeszkód wypytuje służbę?! Po co cię zatrudniam, jeśli nie po to, byś chronił mnie przed intruzami?

Childermass wzruszył ramionami.

- Rozumiem, że chodzi panu o Drawlighta.

- Wiedziałeś o tym?! - wrzasnął pan Norrell ze zdumieniem. - Dobry Boże, człowieku! Co ty sobie wyobrazasz? Czyż nie powtarzałem wielokrotnie, że służbie nie wolno plotkować?

- Och, w rzeczy samej - odparł Childermass. - Obawiam się jednak, że powinien pan zrezygnować z niektórych zwyczajów. Samotniczy tryb życia jest tolerowany w Yorkshire, tyle że nas już tam nie ma.

- Tak, tak - mruknął pan Norrell poirytowany. - Wiem, że nie. Nie o to jednak chodzi. Czego chce ten Drawlight?

- Zostać pierwszym w Londynie dżentelmenem, który poznał maga. Tylko tyle.

To jednak nie rozwiązało obaw pana Norrella. Nerwowo pocierał bladej skóry ręce i rzucał lękliwe spojrzenia w pogrążone w cieniu kąty pokoju, jakby się bał, że czają się w nich jacyś Drawlightowie.

- W tych fatalaskach nie wyglądał na uczonego - powiedział. - Nie miał też pierścieni na znak władzy czy poddaństwa...

- Niezbyt dobrze pana rozumiem - przerwał Childermass Norrellowi. - Proszę wyrażać się jasno.

- Jak sądzisz, czy dysponuje jakimiś specjalnymi umiejętnościami? - spytał pan Norrell. - A może ma przyjaciół zazdrosnych o mój sukces? Kim są jego znajomi? Gdzie się kształcił?

Childermass uśmiechnął się szeroko.

- Och, sądzi pan, że Drawlight szpieguje dla innego maga? Zapewniam, że nie. Może mi pan zaufać. Po otrzymaniu listu od pani Godesdone rozpytałem o niego, podobnie jak bez wątplenia on pytał o pana. Trudno sobie wyobrazić, aby jakiś mag zatrudnił u siebie taką kreaturę. A poza tym nawet gdyby, z pewnością wiedziałby pan o tym i znalazł sposób, by pozbawić go ksiąg i położyć kres jego karierze. Przecież już pan to robił.

- Więc Drawlight jest nieszkodliwy? Childermass uniósł brew i uśmiechnął się ironicznie.

- Wręcz przeciwnie - odrzekł.



- Ach, wiedziałem! - wykrzyknął pan Norrell. - Muszę unikać jego towarzystwa.

- A to czemu? Tego nie radziłem. Czy nie powiedziałem przed chwilą, że nie stanowi dla pana zagrożenia? Co panu do tego, że jest złym człowiekiem? Proszę posłuchać mojej rady i wykorzystać narzędzie, które samo pcha się w pańskie ręce.

Następnie Childermass opowiedział panu Norrellowi, co wie o Drawlighcie. Należał on do specyficznego rodzaju dżentelmenów, spotykanych tylko w Londynie, których głównym zajęciem było noszenie kosztownych strojów i spędzanie czasu na ostentacyjnym próżniactwie. Uprawiali oni hazard i pili bez umiaru, miesiącami bawili się w Brighton i innych modnych kurortach. Christopher Drawlight był wzorcowym przykładem takiego dżentelmena. Nawet jego najlepsi przyjaciele musieli przyznać, że nie ma on ani jednej zalety<sup>[12]</sup>.

Panu Norrellowi bez wątpienia ulżyło po rozmowie z dysponentem. Gdy dziesięć minut później do pokoju wszedł Lucas z imbryczkiem gorącej czekolady, pan Norrell spokojnie smarował grzankę marmoladą. W niczym nie przypominał już owego niespokojnego, zastraszonego stworzenia sprzed kilku minut.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Lucas poszedł otworzyć i po chwili zaanonsował pana Drawlighta.

- Ach, drogi panie! Jak się pan miewa? - rzucił Drawlight już w drzwiach pokoju.

Miał na sobie ciemnoniebieski frak, a w dłoni trzymał hebanową laskę ze srebrną gałką. Wyglądało na to, że jest w znakomitym nastroju. Skłonił się z uśmiechem, po czym zaczął wędrować po całym pomieszczeniu. Pięć minut później nie został już chyba nawet jeden centymetr podłogi, którego by nie zdeptał, ani jeden stolik lub krzesło, których by niedbale nie dotknął, ani jeden obraz, przed którym by się nie uśmiechnął.

Pan Norrell, choć już pewien, że jego gość nie jest wielkim magiem ani nawet sługą maga, nadal nie miał ochoty słuchać rad Childermassa. Wyjątkowo chłodno poprosił pana Drawlighta, by usiadł przy stoliku i wypił kawę. Ponure milczenie gospodarza nie wywarło na panu Drawlighcie żadnego wrażenia. Był zbyt przyzwyczajony do posępnych spojrzeń, by się nimi trapić. Wypełnił ciszę własną paplaniną:

- Czy zgodzi się pan ze mną, drogi panie, że wczorajsze przyjęcie było niezwykle czarujące? Chociaż, ośmielę się twierdzić, słusznie je pan opuścił tak szybko. Potem obszedłem wszystkich, mówiąc im, że dżentelmen, który właśnie wyszedł, był panem Norrellem. Pańskie wyjście zrobiło wrażenie. Czcigodny pan Masham był prawie pewien, że zdołał dostrzec pańskie szacowne ramię, a lady Barclay myślała, że zobaczyła siwy lok pańskiej szanownej peruki. Panna Fiskerton wręcz wpadła w ekstazę na myśl, że jej

spojrzenie spoczęło na chwilę na czubku pańskiego uczonego nosa. Ta odrobina, którą widzieli, sprawiła, że zapragnęli więcej. Zapragnęli zobaczyć całego człowieka!

- Ach! - mruknął pan Norrell nie bez satysfakcji. Wielokrotne zapewnienia pana Drawlighta, że pan Norrell oczarował gości pani Godesdone, złagodziły negatywne nastawienie maga do gościa. Zdaniem Drawlighta, towarzystwo pana Norrella było niczym przyprawa: szczypta wystarczała, by danie nabrało wybornego smaku.

- Jakimże to szczęśliwym okolicznościom zawdzięczamy pańską wizytę w mieście? - spytał pan Drawlight, chcąc zaspokoić swoją ciekawość.

- Przybyłem do Londynu propagować nowoczesną magię. Zamierzam przywrócić magię w Anglii - odparł z powagą pan Norrell. - Mam wiele do zakomunikowania wielkim mężom naszych czasów. Pod wieloma względami mogą być dla nich użyteczny.

Pan Drawlight wymamrotał uprzejmie, że nie ma co do tego wątpliwości.

- Wyznam panu, że z całego serca życzyłbym sobie, by ten obowiązek spadł na barki innego maga - westchnął pan Norrell, starając się przy tym wyglądać jak najszlachetniej. Niezwykłe, że człowiek, który zrujnował karierę tylu kolegów po fachu, zdołał przekonać samego siebie, że wolałby raczej, by chwała przypadła w udziale komuś innemu. Bez wątplenia jednak w tym momencie wierzył w swoje słowa.

Pan Drawlight mruknął współczująco. Był pewien, że to przesadna skromność. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, że istnieje ktoś bardziej odpowiedni do przywrócenia magii w Anglii niż pan Norrell.

- Jestem jednak w niekorzystnym położeniu - wyznał pan Norrell.

Pana Drawlighta zdumiały te słowa.

- Nie znam świata. Jak wszyscy uczeni kocham samotność. Spędzanie godzin na cichych pogawędkach z gromadą nieznanym to dla mnie męka piekielna. Obawiam się jednak, że to mnie nie ominie. Tak przynajmniej twierdzi Childermass. - Pan Norrell popatrzył żałośnie na Drawlighta jakby w nadziei, że ten zaprzeczy.

- Ach! - wykrzyknął pan Drawlight po chwili zastanowienia. - Właśnie dlatego tak mnie cieszy, że zostaliśmy przyjaciółmi! Nie udaję uczonego, panie. Niemal nic nie wiem o magach ani o historii magii i nie wątpię, że moje towarzystwo może pana nużyć. Musi pan jednak przymknąć oko na te drobne utrapienia, gdyż to ja wprowadzę pana do towarzystwa, jeśli zechce pan wyrazić na to zgodę. Och, drogi panie! Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo mogę się przydać.

Pan Norrell nie obiecał, że będzie towarzyszył Drawlightowi do wszystkich miejsc, które zdaniem londyńczyka były absolutnie urocze, ani że pozna wszystkich ludzi, których

przyjaźń na pewno wniesie nową słodycz w jego egzystencję. Zgodził się jednak pojawić wieczorem na kolacji u lady Rawtenstall na Bedford Square.

Ponieważ przebrnął przez kolację z mniejszym wysiłkiem, niż się spodziewał, przystał na kolejne spotkanie z panem Drawlightem, nazajutrz, w domu pana Plumtree. Ze swym nowym znajomym w roli przewodnika pan Norrell wkroczył do towarzystwa z dużą pewnością siebie. Był zajęty od jedenastej aż do wczesnych godzin rannych. Składał poranne wizyty, jadał kolacje w całym Londynie, bywał na wieczornych przyjęciach, balach i koncertach włoskiej muzyki. Poznawał baronetów, wicehrabiów, damy, wicehrabiny, czcigodnych takich a takich. Można go było spotkać na Bond Street, gdzie wędrował ramię w ramię z panem Drawlightem. Widziano, jak z panami Drawlightem i Lascellesem zażywa przejażdżki po Hyde Parku.

Kiedy pan Norrell nie jadał poza domem, pan Drawlight chętnie bywał na obiadach na Hanover Square. Norrell wiedział od Childermassa, że Drawlightowi ustawicznie brak pieniędzy. Childermass twierdził, że Drawlight jakoś sobie radził w życiu dzięki wrodzonemu sprytowi i pożyczkom. Żaden z jego znamienitych przyjaciół nigdy go nie odwiedzał, gdyż wynajmował on ciasną norę nad warsztatem szewca przy Little Ryder Street.

Po jakimś czasie okazało się, że jak każdy nowy dom także i budynek przy Hanover Square, pozornie idealny, wymaga rozmaitych udoskonaleń. Naturalnie pan Norrell chciał mieć to jak najszybciej z głowy. Kiedy wspomniał Drawlightowi, że londyńscy robotnicy są niezwykle powolni, ten skorzystał z okazji, by poznać plany pana Norrella dotyczące tapet, dywanów, mebli i ozdób. Zakwestionował je wszystkie. Spierali się o to przez kwadrans, aż wreszcie pan Drawlight kazał zawieźć ich obu prosto na słynny Strand, do sklepu pana Ackermanna. Tam pan Norrell obejrzał księgę, w której znajdowała się ilustracja pana Reptona, przedstawiająca staroświecki salon z jakąś ponurą personą z czasów królowej Elżbiety spoglądającą z obrazu na ścianie. Krzesła stały naprzeciw siebie bez sensu, niczym goście na przyjęciu, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia. Następna strona księgi ukazywała jednak - ach! - zmiany, jakie zaszły dzięki szlachetnej sztuce stolarki, tapeciarstwa i tapicerki! Ten sam salon był pięknie umeblowany i upięszony nie do poznania. Mniej więcej tuzin modnie ubranych dam i dżentelmenów zwabiła tu perspektywa relaksu na krzesłach albo przechadzki po spowitej winoroślą werandzie, która w cudowny sposób wyrosła po drugiej stronie przeszklonych drzwi. A morał z tego taki, wyjaśnił pan Drawlight, że jeśli pan Norrell chce zjednać sobie przyjaciół nowoczesnej magii, musi obstałować w swoim domu więcej oszklonych drzwi.

Pod troskliwą opieką pana Drawlighta pan Norrell zamiast szacownych, nudnych

zieleni, modnych w czasach jego młodości, wybrał czerwienie rodem z najnowszych katalogów. W interesie nowoczesnej magii niewyszukane materiały pokryto farbą i werniksem, by udawały to, czym nie są. Gips pomalowano tak, by wyglądał jak drewno, jeden gatunek drewna miał przypominać inny. Kiedy nadeszła pora, aby wybrać wyposażenie jadalni, zaufanie pana Norrella do dobrego smaku przyjaciela wzrosło do tego stopnia, że Drawlightowi zlecono samodzielny wybór zastawy.

- Nie pożałuje pan, mój drogi! - zakrzyknął Drawlight. - Trzy tygodnie temu wybierałem serwis dla księżnej B... Na jego widok oznajmiła, że nigdy nie widziała nic równie uroczego!

W pogodny majowy poranek pan Norrell siedział w salonie na Wimpole Street, w domu pani Littleworth. Wśród zgromadzonych tam osób byli również panowie Drawlight i Lascelles. Pan Lascelles z równym entuzjazmem jak Drawlight traktował pana Norrella, ale powody, dla których zabiegał o względy maga, były jednak całkiem odmiennej natury. Bystry i cyniczny Lascelles uznał, że niemłody uczoney, który zdołał sobie wmówić, że potrafi czarować, zapewni mu najlepszą rozrywkę pod słońcem. Dlatego właśnie z upodobaniem wypytywał pana Norrella o magię, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja.

- Jak się panu podoba Londyn? - zapytał.

- Wcale - odparł pan Norrell.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział pan Lascelles. - Czy odkrył pan tu jakichś kolegów po fachu?

Pan Norrell zmarszczył czoło i odrzekł, że wątpi w obecność innych magów w Londynie, a jeśli nawet tu są, jeszcze ich nie odnalazł.

- Ależ drogi panie! - wtrącił pan Drawlight. - Pan się myli! W Londynie mamy co najmniej czterdziestu magów. Lascellesie, zgodzisz się ze mną, że w Londynie jest mnóstwo magów? Można się na nich natknąć na każdym rogu. Pan Lascelles i ja z przyjemnością pana z nimi poznamy. Ich królem jest Vinculus, wysoki obdartus, który ma budkę przed St Christopher Le Stocks. Jeśli da mu pan dwupensówkę, powróży.

- Przepowiednie Vinculusa to pasmo katastrof - zauważył pan Lascelles ze śmiechem.

- Zdążył obiecać mi, że utonę, popadnę w szaleństwo, mój dom spłonie, a mściwa nieślubna córka wyrządzi mi na starość krzywde.

- Z przyjemnością pana tam zaprowadzę - dodał Drawlight. - Wyjątkowo lubię Vinculusa.

- Jeśli pan na to przystanie, radzę uważać - wtrąciła się pani Littleworth. - Niektórzy z tych osobników potrafią człowieka nieźle nastraszyć. Cruickshankowie sprowadzili jednego z

nich (okropnego brudasa) do domu, by pokazał gościom kilka sztuczek. Na miejscu okazało się, że nic nie potrafi, więc odmówili mu zapłaty. W wielkim gniewie poprzysiągł, że zamieni ich dziecko w wiadro na węgiel. Wkrótce wpadli w panikę, gdyż dziecko gdzieś znikło, a nie pojawiły się nowe wiadra. Przeszukali cały dom, pani Cruickshank była niemal nieprzytomna z niepokoju. Już posłano po lekarza, kiedy nagle w drzwiach stanęła opiekunka z maleństwem. Okazało się, że poszła na James Street, żeby pokazać je swojej matce.

Pan Norrell z niechęcią jednak myślał o wyprawie do budki Vinculusa.

- Co pan myśli o Królu Kruków? - zmieniła temat pani Littleworth.

- Nie zaprzęgam sobie nim głowy.

- Doprawdy? - wtrącił pan Lascelles. - Proszę mi wybaczyć, ale to raczej niezwykle. Nie spotkałem jeszcze maga, który by nie twierdził, że Czarny Król jest najpotężniejszy. Oto mag *par excellence*, który mógłby wyciągnąć Merlina z pnia, zakręcić staruszką na głowie jak bąkiem i znów uwięzić go w drzewie<sup>[13]</sup>.

Pan Norrell milczał.

- Z pewnością żaden z aureatów nie mógł się z nim równać - ciągnął Lascelles. - Królestwa we wszystkich światach<sup>[14]</sup>. Rycerze, ludzie i elfy pod jego rozkazami. Magiczne ruchome lasy. Już nie mówiąc o długowieczności. Panował przez trzysta lat, a pod koniec podobno wciąż był młody, przynajmniej fizycznie.

Pan Norrell uparcie zachowywał milczenie.

- A może uważa pan, że te opowieści to stek łągarstw? - zapytał Lascelles zaczepnie. - Wielokrotnie słyszałem sugestie, że Król Kruków nigdy nie istniał. Że to legenda o kilku magach, którzy rządzą po sobie.

- Jestem całkiem pewien, że istniał - odparł w końcu pan Norrell przyciśnięty do muru. - Uważam jednak, że jego wpływ na angielską magię jest bardzo szkodliwy. Magia Króla Kruków była szczególnie zdradliwa i zasługuje na zapomnienie.

- A elfy, drogi panie? - spytał pan Lascelles. - Czy tylko pan je widzi? Nikt inny?

Pan Norrell prychnął i odparł, że nie posiada takich sług.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła zdumiona dama w soczystoróżowej sukni.

- I słusznie, mój drogi - powiedział pan Lascelles. - Sprawa Tubbs kontra Starhouse jest przestrogą dla wszystkich magów<sup>[15]</sup>.

- Pan Tubbs nie był magiem - odparł pan Norrell. - Nie słyszałem również, żeby rościł sobie pretensje do tego tytułu. Ale gdyby nawet był największym magiem w całym chrześcijańskim świecie, źle by czynił, pragnąc towarzystwa elfów. Nie było bardziej złośliwej rasy ani też bardziej szkodliwej dla magii. Zbyt wielu magów, leniwych lub

zadufanych w sobie, traciło całą energię na zdobycie elfiego sługi, zamiast poświęcić się studiom. Historia jest pełna takich ludzi i niektórzy z nich, na szczęście, ponieśli za to karę. Weźmy choćby Bloodwortha<sup>[16]</sup>.

Pan Norrell poznał wiele nowych osób, ale w niczym sercu nie wzniecił płomienia szczerzej przyjaźni. Londyn był nim rozczarowany. Pan Norrell nie odprawiał czarów, nikogo nie przeklął, niczego nie przepowiedział. Raz u pani Godesdone słyszano, jak mówił, że spodziewa się deszczu, ale była to nietrafna przepowiednia, gdyż nie padało aż do soboty. Rzadko mówił o magii, a gdy już zaczynał, przypominało to lekcję historii i nikt nie mógł go słuchać. Równie rzadko mówił dobrze o innych magach, chociaż raz wychwalał Francisa SuttonaGrove'a<sup>[17]</sup>.

- Myślałem, że SuttonaGrove'a nie da się czytać - powiedział pan Lascelles. - Od zawsze słyszę, że De Generibus Artium jest niestrawne.

- Och! - powiedział pan Norrell. - Nie wiem, czy to odpowiednia lektura dla dam i szukających rozrywki dżentelmenów, ale poważny adept magii nie może lekceważyć SuttonaGrove'a. W jego dziełach znajdziemy pierwszą próbę wyznaczenia granic tej magii, którą powinien badać współczesny mag, wszystko w zestawieniach i tabelach. Rzecz jasna, system klasyfikacji SuttonaGrove'a zawiera błędy - może właśnie to rozumie pan przez „niestrawne”? - nie znam jednak przyjemniejszego widoku niż jego zestawienia. Wystarczy, że student rzuci na nie okiem, a pomyśli: „Znam to” albo „To jeszcze przede mną”, i ma zajęcia na cztery lata, może pięć.

Tymczasem historia posągów z katedry Yorku tak spowszedniała, że ludzie zaczęli się zastanawiać, czy pan Norrell czegoś jeszcze dokonał. Pan Drawlight zmuszony był wymyślać nowe przykłady.

- Drawlight, co potrafi ten mag? - spytała pani Godesdone pewnego wieczoru, gdy nie było z nimi pana Norrella.

- Och, proszę pani! - zakrzyknął Drawlight. - Czegóż nie potrafi? A niech mnie! Ubiegłej zimy, a może jeszcze wcześniej, w Yorku, rodzinnym mieście pana Norrella, rozpętała się wielka burza. Całe pranie wylądowało w błocie i śniegu. Radni miejscy, chcąc oszczędzić paniom wysiłku, zgłosili się do pana Norrella, a on wysłał drużynę elfów, by wszystko uprały. Poza tym zniknęły dziury w koszulach, szlafmycach i halkach. Wszystkie wystrzępione rąbki znów były jak nowe, a każdy utrzymywał, że nigdy w życiu nie widział równie olśniewającej bieli!

Opowieść ta zyskała sobie olbrzymią popularność. Szacunek dla pana Norrella bardzo wzrósł tego lata. W rezultacie, gdy pan Norrell mówił od czasu do czasu o nowoczesnej

magii, większość jego słuchaczy przypuszczała, że ma na myśli coś w tym rodzaju. Pan Norrell był rozczarowany londyńskimi salonami. Ciągłe skarżył się Drawlightowi na trywialne pytania, jakie mu stawiano, i oświadczył, że sprawa przywrócenia magii w Wielkiej Brytanii nie posunęła się ani na milimetr.

Pewnego nudnego środowego poranka pod koniec września panowie Norrell i Drawlight siedzieli w bibliotece na Hanover Square. Pan Drawlight snuł opowieść o czymś, co powiedział pan R, chcąc obrazić lorda S., i jak to wszystko podsumowała lady D., kiedy pan Norrell rzekł nagle:

- Byłbym wdzięczny, drogi panie, gdyby zechciał mi pan pomóc w następującej sprawie: czy ktokolwiek zawiadomił księcia Portlandu<sup>[18]</sup>, że jestem w Londynie?

- Ależ drogi panie! - wykrzyknął Drawlight. - Tylko człowiek tak skromny jak pan może uważać, że ktoś tego nie wie. Zapewniam pana, że wszyscy ministrowie słyszeli o nadzwyczajnym panu Norrellu.

- Skoro tak, dlaczego Jaśnie Oświecony Książe nie wysłał mi zaproszenia? Zaczynam sądzić, że nie ma pojęcia o moim istnieniu i dlatego, drogi panie, będę wdzięczny za informację o wszystkich pańskich przyjaciółach w rządzie, do których mógłbym się zwrócić.

- W rządzie? - powtórzył pan Drawlight.

Przybyłem tu, bo miałem nadzieję odegrać znaczącą rolę w walce przeciwko Francuzom - wyjaśnił nieco żałośnie pan Norrell.

- Jeśli czuje się pan zaniedbany, przykro mi z tego powodu - oznajmił Drawlight. - Ale zapewniam pana, że w całym Londynie jest mnóstwo dam i dżentelmenów, którzy chętnie obejrzą sztuczki i inne hokuspokus. Proszę się nie obawiać, że nas pan przerazi, mamy nerwy ze stali.

Pan Norrell milczał.

- Cóż, drogi panie - powiedział Drawlight, prezentując w uśmiechu białe zęby. - Nie spierajmy się. Bardzo pragnąłbym pomóc, ale nie leży to w moich kompetencjach. Dżentelmeni z rządu obracają się w innych kręgach niż ja.

Tak naprawdę pan Drawlight znał kilku dżentelmenów na rządowych stanowiskach. Chętnie poznaliby oni przyjaciela pana Drawlighta i wysłuchali, co ma on do powiedzenia, w zamian za obietnicę, że pan Drawlight nigdy nie zdradzi jednej czy drugiej dziwnej rzeczy, którą o nich wie. Sęk w tym, że pan Drawlight nie widział żadnej osobistej korzyści w przedstawianiu im pana Norrella. Wolał trzymać go na salonach. Miał też nadzieję, że w końcu przekona maga do zaprezentowania sztuczek i dziwów, które pragnęli ujrzeć wszyscy

znajomi. Pan Norrell zaczął więc pisać pilne listy do dżentelmenów w rządzie. Pokazywał te pisma Drawlightowi, a następnie wręczał Childermassowi, by ten je dostarczył, gdzie trzeba. Dżentelmeni w rządzie jednak nie odpowiadali. Wiadomo! Dżentelmeni w rządzie zazwyczaj mają mnóstwo zajęć.

Mniej więcej tydzień później pan Drawlight został zaproszony do domu na Soho Square, by wysłuchać słynnego włoskiego sopranu. Naturalnie pan Norrell również otrzymał zaproszenie. Po przybyciu na miejsce Drawlight nie mógł znaleźć maga w tłumie. Lascelles opierał się o półkę nad kominkiem, pogrążony w rozmowie z jakimś dżentelmenem. Drawlight podszedł do niego, by spytać, gdzie jest pan Norrell.

- Och, składa wizytę sir Walterowi Pole'owi - wyjaśnił Lascelles. - Pan Norrell ma ważne informacje, które natychmiast pragnie przekazać Portlandowi. Sir Walter Pole będzie miał zaszczyt odegrać rolę posłańca.

- Portlandowi?! - wykrzyknął rozmówca pana Lascellesa. - Co takiego?! Czy ministrowie są w tak rozpaczliwym położeniu, że muszą zasięgać rady magów?

- Wyciągnął pan niewłaściwe wnioski. - Pan Lascelles się uśmiechnął. - To inicjatywa pana Norrella. Zamierza zaoferować swoje usługi rządowi. Ma chyba plan pokonania Francuzów magią. Uważam jednak za mało prawdopodobne, by zdołał zainteresować ministrów. Francuzi trzymają ich za gardło na kontynencie, a cała reszta w parlamencie. Wątpię, czy istnieją bardziej znękani dżentelmeni i z pewnością nie interesują ich dziwactwa jakiegoś mieszkańca hrabstwa York.

Niczym baśniowy bohater pan Norrell odkrył, że sam może zadziałać w swojej sprawie. Nawet magowie przecież miewają krewnych z koneksjami. Pewien daleki kuzyn pana Norrella ze strony matki bardzo mu się kiedyś naraził, napisawszy do niego list. By zapobiec podobnym czynom w przyszłości, pan Norrell sprezentował mu osiemset funtów (o co tamtemu chodziło), ale z przykrością zdradzę, że nie powstrzymało to krewnego, straszego łajdaka, od napisania drugiego listu. Obsypał darczyńcę pochlebstwami i podziękowaniami, oświadczając: „...Niniejszym uważam siebie i swoich przyjaciół za pańskich popleczników. Gotowi jesteśmy głosować w następnych wyborach zgodnie z pańskimi życzeniami. Jeśli w przyszłości mógłbym się na cokolwiek przydać, pańskie prośby będą dla mnie rozkazami, zaszczytą mnie i uszlachetnią w oczach świata. Pański sługa unizony, Wendell Markworthy”.

Do tej pory pan Norrell nie widział potrzeby, by zaszczycać Markworthyego jakimikolwiek rozkazami ani uszlachetniać go w oczach świata. Teraz jednak, jak odkrył Childermass, okazało się, że dzięki pieniądzom Norrella pan Markworthy zapewnił sobie i



bratu urzędnicze stanowiska w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wyjechał do Indii i po dziesięciu latach wrócił jako bogacz. Nie otrzymawszy od pana Norrella instrukcji w kwestii głosowania, zdał się na opinię pana Bonnella, swojego zwierzchnika w Kompanii Wschodnioindyjskiej, i zachęcał przyjaciół, by uczynili to samo. Markworthy był prawą ręką pana Bonnella, który z kolei przyjaźnił się z sir Walterem Pole'em.

Tak to już jest, że w świecie handlu i polityki rządu prawdziwy łańcuch przysług i zależności. W tym wypadku łańcuch obejmował pana Norrella i sir Waltera Pole'a, a sir Walter Pole był ministrem.

## Rozdział szósty

*„Magia nie jest godna szacunku, drogi panie” październik 1807*

W tamtych czasach ciężko było piastować stanowisko ministra.

Na froncie działo się coraz gorzej, rząd był powszechnie znienawidzony. Gdy wiadomość o nowym niepowodzeniu docierała do opinii publicznej, część winy przypisywano tej czy innej osobie, ale w zasadzie wszyscy jednocyli się w oskarżaniu ministrów, oni zaś mogli winić jedynie siebie i korzystali z tej możliwości nader często.

Ministrom nie brakowało rozumu. Przeciwnie, znalazłoby się wśród nich kilku bystrych mężów stanu. Najogólniej biorąc, nie byli złymi ludźmi. Wiedli całkiem zwyczajne życie, wielbiąc dzieci, muzykę, psy oraz malarstwo pejzażowe. Rządowi jednak do tego stopnia brakowało poparcia, że gdyby nie mowy ministra spraw zagranicznych w Izbie Gmin, nie dałoby się załatwić żadnej sprawy.

Minister spraw zagranicznych był niezrównanym mówcą. Rozpoczął przemowę i nagle wszystko wyglądało inaczej! Każde nieszczęście okazywało się winą poprzedniej administracji (bandy niegodziwców, od zwykłych głupców, do wyrachowanych podleców). Jeśli zaś chodziło o obecny rząd, od czasów starożytnych świat nie widział dżentelmenów tak cnotliwych, niezrozumianych i w tak niesprawiedliwy sposób spotwarzonych przez wrogów. Wszyscy byli mądrzy niczym Salomon, szlachetni niczym Cezar i odważni niczym Marek Antoniusz. Nikt na świecie, prócz ministra finansów, nie był równie uczciwy jak Sokrates. Mimo tych wszystkich cnót i talentów członków rządu plany pokonania Francuzów wciąż spełzały na niczym. Zaczęto nawet narzekać na bystrość ministrów. Ziemianie, którzy czytali

w gazetach mowy tego czy owego członka rządu, mruczeli pod nosem, że to bardzo sprytny człowiek. Ale ziemianie nie chcieli mieć za swych przedstawicieli sprytnych polityków. Spryt i przebiegłość nie były w angielskim stylu. Pasowały raczej do arcywroga Anglii, cesarza Napoleona Bonaparte, nie było można ich zatem pochwalać.

Sir Walter Pole liczył sobie czterdzieści dwa lata i, nie ma co ukrywać, był równie zmyślny jak cała reszta gabinetu. Wyklócał się z niejednym wielkim politykiem tamtych czasów, a raz, w stanie mocno nietrzeźwym, dostał po głowie butelką madery od pijanego Richarda Brinsleya Sheridana. Po tym incydencie Sheridan wyznał księciu Yorku: „Pole przyjął moje przeprosiny w imponującym stylu. Szczęściem jest tak szpetny, że jedna blizna więcej nie zrobi różnicy”.

W moim mniemaniu Pole wcale nie był szpetny. Owszem, rysy miał wyjątkowo nieciekawe - szczególnie pociągła twarz, sterczący z niej olbrzymi (ostro zakończony) nos, para ciemnych jak węgiel oczu i krótkie grube brwi jak dzielne rybki pływające w olbrzymim oceanie fizjonomii. Wszystkie te elementy zestawione razem tworzyły jednak całkiem przyjemną dla oka całość. Ktoś, kto widział tę twarz podczas odpoczynku (dumną, melancholijną), mógł sądzić, że zawsze tak wygląda i że żadne oblicze nie jest mniej dostosowane do wyrażania uczuć. Bardzo by się jednak pomylił.

Najbardziej charakterystyczne dla sir Waltera Pole'a było zdumienie. Jego oczy robiły się okrągłe, brwi unosiły o centymetr, odchyłał całe ciało i wyglądał niczym postaci z rycin pana Rowlandsona lub pana Giliraya. W życiu publicznym zdumienie ogromnie się sir Walterowi przydawało. „Czy na pewno?!” - krzyczał. - „Nie chce pan chyba powiedzieć, że...!” Ponieważ nie dotyczy to twoich przyjaciół, czytelniku, i zakładam, że nie czerpiesz niegodnej rozrywki z konfundowania mniej rozcarniętych od siebie, mógłbyś się nieźle zabawić. Gdy sir Waltera nie opuszczała jadowita złośliwość, oglądanie go było ciekawsze niż sztuka w Drury Lane. Dlatego mniej bystrzy i pewni siebie dżentelmeni z obu izb unikali go jak ognia (zdarzało się, że gdy sir Walter zmierzał kamiennym korytarzykiem łączącym Izbę Gmin z siedzibą Gwardii Konnej, stary lord Taki a Taki wygrażał mu laską i wykrzykiwał przez ramię: „Nie rozmawiam z panem! Przeinacza pan moje słowa! Nadaje im niezamierzony przeze mnie sens!”).

Raz, podczas pamiętnego przemówienia do tłumu w City, sir Walter przyrównał Anglię i jej polityków do osieroconej młodej damy pozostawionej pod opieką lubieżnych skąpych starców. Łotry te, zamiast chronić pannę przed niegodziwym światem, rozkradają jej posag i grabią dom. I choć słuchacze sir Waltera z trudem rozumieli niektóre z użytych przezeń słów (takie słownictwo wynikało z jego starannej klasycznej edukacji), każdy potrafił

sobie wyobrazić biedną młodą damę stojącą w halce na łóżku, podczas gdy mający przewagę w rządzie wigowie plądrują szafy i sprzedają jej własność handlarzowi starzyzną. Wszystkich młodych dżentelmenów obrazek ten przyprawił o szybsze bicie serc.

Sir Walter był szczodry i często okazywał życzliwość bliźnim. Kiedyś powiedział, iż liczy na to, że jego wrogowie mają powody, by się go lękać, a przyjaciele, by go kochać - a ja mam powody sądzić, że tak właśnie było. Jego pogodna natura, uprzejmość i inteligencja oraz pozycja zasługiwały na tym większy podziw, że nie zapominał o nich nawet w obliczu problemów, które z pewnością załamałyby człowieka mniejszego formatu. Sir Waltera trapiły kwestie finansowe. Nie chcę przez to powiedzieć, że zwyczajnie brakowało mu gotówki. Bieda to jedno, a długi sir Waltera to całkiem co innego. Pożałowania godna sytuacja, tym bardziej przykra, że z pewnością nie wynikała z jego winy. Nigdy nie cechowała go rozrzutność ani też lekkomyślność, za to jeden nieroztropny jegomość był jego ojcem, a drugi - dziadkiem. Sir Walter urodził się z długami. Gdyby ciągnęło go do marynarki wojennej, zbiłby fortunę dzięki łupom. Gdyby umiłował uprawę roli, użyźniłby swe ziemie i zrobił majątek na zbożu. Gdyby był ministrem choćby pięćdziesiąt lat wcześniej, pożyczylby pieniądze skarbowe na dwadzieścia pięć procent i zgarnął zysk. Cóż jednak może począć współczesny polityk? Prędzej wyda pieniądze, niż je zarobi.

Kilka lat temu przyjaciele załatwili mu stanowisko ministra zwyczajnego w Ministerstwie Suplik. Dostał specjalny kapelusz, kawałek kości słoniowej oraz siedemset funtów rocznie. Ze stanowiskiem nie wiązały się żadne obowiązki, bo nikt już nie pamiętał, czym zajmowało się to ministerstwo ani do czego służy kawałek kości słoniowej. Przyjaciele sir Waltera potracili jednak wpływy, nastali nowi ministrowie i zlikwidowali synekury, między innymi wszystkie stanowiska w Ministerstwie Suplik.

Wiosną 1807 roku wyglądało na to, że polityczna kariera sir Waltera dobiega końca (ostatnie wybory kosztowały go niemal dwa tysiące funtów). Znajomi polityka szaleli z niepokoju. Jedna z przyjaciółek, lady Winsell, udała się do Bath, gdzie na koncercie muzyki włoskiej zawarła znajomość z paniami Wintertowne, wdową oraz jej córką. Tydzień później lady Winsell napisała do sir Waltera: „To dokładnie to, czego panu życzyłam. Matka całkowicie popiera to małżeństwo i nie będzie robiła trudności, a jeśli nawet - ufam, że je pan przezwycięży. A pieniądze? Proszę mi wierzyć, drogi przyjacielu, kiedy wymieniła sumę, jaką otrzyma młoda dama, łzy napłynęły mi do oczu! Co by pan powiedział na tysiąc rocznie? O samej panie pisać nie będę - gdy ją pan zobaczy, odmaluje mi pan jej portret z większym zachwytem, niż ja mogłabym to uczynić w liście do pana”.

Mniej więcej o piętnastej tego samego dnia, w którym pan Drawlight udał się na

recital włoskiego sopranu, lokaj pana Norrella zapukał do domu na Brunswick Square - jego pan przybył na umówione spotkanie z sir Walterem. Pan Norrell został wpuszczony do domu i zaprowadzono go do niesłychanie eleganckiego pokoju na pierwszym piętrze.

Ściany salonu obwieszane były gigantycznymi malowidłami w połączonych, niezwykle kunsztownych ramach. Wszystkie obrazy przedstawiały Wenecję. Niebo w Londynie było zaciągnięte chmurami, padał lodowaty, zacinający deszcz, więc Wenecja, złożona w równych proporcjach z nasłonecznionego marmuru i nasłonecznionego morza, tonęła w londyńskim mroku. Jej akwamarynowe błękity, chmurne biele i połyskliwe złocistości zostały przyćmione przez szarości i zieleń rodem z dna morskiego. Gnane wiatrem kropelki deszczu gwałtownie uderzały o szybę (melancholijny dźwięk) i w tym przygnębiającym świetle wypolerowane powierzchnie szyfonierek z drewna tulipanowca i orzechowych biurków zamieniały się w czarne zwierciadła, ponuro odbijające się nawzajem. Pokój wydawał się nadzwyczaj smutny. Żadne światło nie rozpraszało mroku, żaden ogień nie przepędzał chłodu. Można by pomyśleć, że prowadzenie domu powierzono osobie o doskonałym wzroku, która nigdy nie odczuwa zimna.

Sir Walter Pole wstał, by powitać pana Norrella i przedstawić mu panią Wintertowne oraz jej córkę. Choć sir Walter mówił o dwóch damach, pan Norrell zauważył tylko panią w dojrzałym wieku, o aparycji pełnej godności. To nieporozumienie go zdumiało, uznał jednak, że nieuprzejmością byłoby zwracać uwagę sir Walterowi na samym początku znajomości, więc nieco zmieszany skłonił się władczej damie.

- Bardzo mnie cieszy to spotkanie - powiedział sir Walter. - Wiele o panu słyszałem. Wygląda na to, że cały Londyn mówi wyłącznie o niezwykle panu Norrellu. - Odwróciwszy się do damy, dodał: - Pan Norrell jest magiem, pani, osobą bardzo poważaną w rodzinnym hrabstwie York.

Władcza dama wpatrywała się uważnie w pana Norrella.

- Wygląda pan inaczej, niż sądziłem - zauważył sir Walter. - Mówiono mi, że jest pan praktykującym magiem. Proszę się nie obrażać, tak słyszałem. Co za ulga, że zaszło nieporozumienie. Londyn trapi plaga fałszywych czarodziejów, którzy oskubują ludzi z pieniędzy, obiecując im rozmaite dziwy. Widział pan Vinculosa, który ma budkę przed St Christopher Le Stocks? Najgorszy z nich. Jest pan zatem magiem teoretykiem, jak mniemam? - Sir Walter uśmiechnął się z aprobatą. - Mówiono mi jednak, że chce mnie pan o coś prosić.

Pan Norrell poprosił sir Waltera o wybaczenie, ale musiał przyznać, że i owszem, jest magiem praktykującym. Sir Walter wydawał się zdumiony. Pan Norrell miał szczerą nadzieję, że po tym wyznaniu rozmówca nie zmieni dobrego zdania o nim.

- Nie, nie. Skądże znowu - wymamrotał sir Walter uprzejmie.

- Przekonanie o tym, że wszyscy praktykujący magowie to szarlatani, ma źródła w ogromnym lenistwie angielskich magów w ciągu ostatnich dwustu lat - powiedział pan Norrell. - Wykonałem sztuczkę magiczną, którą ludzie w Yorku uznali za niezwykłą, ale, proszę mi wierzyć, nawet pośledni mag by sobie z tym poradził. Ogólny letarg, w jakim tkwią magowie, pozbawił nasz wielki naród najlepszego wsparcia, stąd nasza bezbronność. Zamierzam zmienić sytuację. Inni magowie mogą zaniedbywać swoje obowiązki, mnie to nie przystoi. Przybyłem, drogi panie, by zaproponować pomoc i odmienić nasze trudne położenie.

- Trudne położenie - powtórzył! sir Walter. - Chodzi panu o wojnę? - Szeroko otworzył czarne oczy. - Drogi panie! A cóż ma wojna do magii? Albo magia do wojny? Słyszałem o tym, co pan uczynił w Yorku, zapewne gospodynie będą panu wdzięczne po wsze czasy, ale pojęcia nie mam, jak wykorzystać taką magię podczas wojny! To prawda, żołnierze bardzo się brudzą, lecz... - tu wybuchnął śmiechem - my mamy poważniejsze problemy.

Biedny pan Norrell! Nie słyszał opowieści Drawlighta o tym, jak elfy wyprały ubrania, i odpowiedź sir Waltera ogromnie go zbulwersowała. Zapewnił, że nigdy niczego nie prał ani za pomocą magii, ani w inny sposób. Potem wyznał, co naprawdę uczynił. I choć pan Norrell dokonywał rzeczy zapierających dech w piersiach, opowiadał o nich w typowy dla siebie, monotony sposób. Sir Walter pomyślał zatem, że widowisko, podczas którego pół tysiąca kamiennych posągów z katedry w Yorku przemawiało jednocześnie, to nic ciekawego i że szczęśliwie w tamtym czasie przebywał w innych stronach.

- Doprawdy? - mruknął. - Cóż, wielce interesujące. Nadal jednak nie bardzo rozumiem, jak...

W tej samej chwili ktoś zakaszłał, a gdy sir Walter to usłyszał, urwał, jakby nasłuchując. Pan Norrell rozejrzał się dookoła. W najdalszym, tonącym w półmroku kącie pokoju na sofie leżała młoda kobieta w białej sukni, otulona białym szalem. Nawet nie drgnęła. Przyciskała do ust chusteczkę, a jej poza, jej sztywność kojarzyły się z bólem i chorobą.

Pan Norrell był dotąd przekonany, że w kącie tym nic i nie ma, zatem widok młodej damy wywarł na nim takie wrażenie, jakby sprowadziła ją tu magia. Damę chwycił atak kaszlu, który trwał przez dłuższą chwilę. Sir Walter wydawał się niezwykle skonfundowany. Nie patrzył na nią (choć rozglądał się po całym pomieszczeniu), podniósł pozłacaną ozdobę ze stoliczka obok, obrócił ją, zajrzał pod spód, odłożył. W końcu zakaszłał, a właściwie lekko chrząknął, jakby chciał zasugerować, że wszyscy kaszlą. Kaszel to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem i nigdy, w żadnych okolicznościach nie powinien nikogo dziwić. Wreszcie atak

kaszlu dobiegł końca. Młoda kobieta znów leżała na sofie nieruchomo i cicho, choć oddychanie przychodziło jej z trudem.

Spojrzenie pana Norrella wędrowało od młodej damy do ponurego obrazu, który wisiał nad nią. Mag próbował sobie przypomnieć, o czym mówił.

- To ślub - przemówiła majestatyczna dama.

- Słucham? - spytał pan Norrell.

Dama tylko skinęła głową, wskazując obraz, i obdarzyła pana Norrella wyniosłym uśmiechem.

Malowidło, jak wszystkie w tym pokoju, przedstawiało” Wenecję. Ponieważ angielskie miasta zazwyczaj budowano na wzgórzach, ich ulice wznosiły się i opadały. Panu Norrellowi przyszło do głowy, że wzniesiona na morzu Wenecja musiała być najbardziej płaskim, a także najdziwniejszym miastem na świecie. Dlatego obraz wyglądał na ćwiczenie z perspektywy: posągi, kolumny, kopuły, pałace i katedry ciągnęły się do miejsca, w którym ziemia styka się z przepastnym, melancholijnym niebem. Po morzu, które uderzało o mury budynków, pływały złożone barki i te dziwne czarne łodzie, przypominające pantofle dam w żałobie.

- Przedstawia symboliczne zaślubiny Wenecji z Adriatykiem - powiedziała dama (którą pora już nazywać panią Wintertowne). - Osobliwa włoska ceremonia. Obrazy, które widzi pan w tym pokoju, zostały zakupione przez nieboszczyka pana Wintertowne’a podczas jego wojaży po kontynencie. Podarował mi je w prezencie ślubnym. Malarz, Włoch, był wtedy zupełnie nieznany w Anglii. Później, zachęcony mecenatem pana Wintertowne’a, przybył do Londynu.

Dama mówiła w sposób równie majestatyczny, jak siedziała. Po każdym zdaniu robiła pauzę, by pan Norrell miał czas na rozkoszowanie się przekazywaną informacją.

- Kiedy moja droga Emma wyjdzie za mąż - ciągnęła dama - obrazy będą moim prezentem ślubnym dla niej i sir Waltera.

Pan Norrell zapytał, czy panna Wintertowne i sir Walter wkrótce biorą ślub.

- Za dziesięć dni! - oznajmiła pani Wintertowne triumfalnie.

Pan Norrell pospieszył z gratulacjami.

- Jest pan magiem, szanowny panie? - zapytała pani Wintertowne. - Przykro mi to słyszeć. Żywię wyjątkową niechęć do tej profesji. - Popatrzyła na niego uważnie, jakby jej dezaprobata mogła skłonić pana Norrella do natychmiastowego porzucenia magii i poszukania innego zajęcia. Skoro nie zareagował, odwróciła się do swego przyszłego zięcia. - Moja macocha, sir Walterze, pokładała wielką wiarę w pewnym magu. Po śmierci ojca wciąż

u nas bywał. Kiedy człowiek wchodził do pokoju, pewien, że jest pusty, znajdował go w kącie, ukrytego za kotarą. Często spał na sofie, w brudnych butach. Urodził się w rodzinie garbarza i jego nikczemne pochodzenie rzucało się w oczy. Miał długie, brudne włosy i psie oblicze, ale siadywał przy naszym stole niczym dżentelmen. Moja macocha radziła się go we wszystkim i przez siedem lat sterował naszym życiem.

- Czyżby pani opinii nie brano pod uwagę? - spytał sir Walter. - Jestem zdumiony!

Pani Wintertowne zaśmiała się gorzko.

- Miałam zaledwie osiem lub dziewięć lat, gdy to się zaczęło. Nazywał się Dreamditch i wciąż nam powtarzał, jak cieszy się z naszej przyjaźni, choć ja i brat zapewnialiśmy go bez ustanku, że nie jest naszym przyjacielem. On jednak uśmiechał się do nas jak pies, który właśnie opanował tę umiejętność i nie potrafi przestać. Proszę mnie dobrze zrozumieć, sir Walterze. Moja macocha pod wieloma względami była wspaniałą kobietą. Ojciec miał dla niej taki szacunek, że zostawił jej sześćset funtów rocznie i trójkę dzieci pod opieką. Jediną jej wadą był brak wiary we własne możliwości. Mój ojciec uważał, że w kwestii pojmowania i wyczucia dobra oraz zła, a także pod wieloma innymi względami kobiety nie ustępują mężczyznom. W pełni podzielałam ten pogląd. Macocha zdecydowanie nie powinna oddawać władzy nad domem w ręce tamtego mężczyzny. Kiedy zmarł pan Wintertowne, ja przejęłam dowodzenie.

- W rzeczy samej, droga pani - mruknął sir Walter.

- I choć macocha pokładała całą wiarę w Dreamditchu, był to zwykły człowiek, bez krztyny nadnaturalnych umiejętności. Musiał więc ciągle coś wymyślać. Ustanowił zasady dla mojego brata, siostry i dla mnie. Zapewniał macochę, że dzięki nim będziemy bezpieczni. Obwiązywano nas czerwonymi wstążkami. W naszym pokoju służba nakrywała dla sześciu osób - dla nas i istot, które zdaniem Dreamditcha opiekowały się nami. Powiedział nam, jak się nazywają. Zgadnie pan jak, sir Walterze?

- Nie mam pojęcia, droga pani.

Pani Wintertowne ponownie się zaśmiała.

- Łąkoronka, Rudzik Letniażka, Jaskier. Mój brat był równie niezależnego ducha jak ja. Często powtarzał tak, by macocha słyszała: „Przeklęty Łąkoronka! Przeklęty Rudzik Letniażka! Przeklęty Jaskier!” Ona zaś, niemądra biedaczka, błagała, by z tym skończył. Niezbyt nam pomogły te magiczne istoty. Moja siostra zachorowała. Gdy zachodziłam do jej pokoju, zastawałam w nim Dreamditcha. Głaskał jej blade policzki i niespokojne dłonie swoimi żółtymi, brudnymi pazurami. Czasem szlochał. Ocaliłby ją, gdyby potrafił, ale choć rzucał zaklęcia, zmarła. Takie piękne dziecko, sir Walterze. Znienawidziłam Dreamditcha.

Przez całe lata uważałam go za niegodziwca, ale w końcu uświadomiłam sobie, że był jedynie żalonym głupcem.

Sir Walter poruszył się na krześle.

- Panno Wintertowne! - powiedział. - Pani przemówiła, ale nie dosłyszałem słów.

- Emmo! O co chodzi?! - zawołała starsza pani Wintertowne.

Z sofy dobiegło przeciągłe westchnienie. Następnie cichy czysty głos oznajmił:

- Powiedziałam, że bardzo się mylisz, mamo.

- Czyżby, skarbie? - Pani Wintertowne, która miała bardzo silny charakter i wygłaszała swoje opinie niczym Mojżesz Dziesięcioro Przykazań, nie była ani trochę urażona sprzeciwem córki. Chyba nawet sprawił jej on przyjemność.

- Naturalnie, że magowie są potrzebni - odparła panna Wintertowne. - Któż inny objaśniałby naszą historię, zwłaszcza historię północy i Czarnego Króla? Zwykli historycy tego nie robią. - Przez chwilę wszyscy w pokoju milczeli. - Lubię historię - dodała.

- Nie wiedziałem - zadumał się sir Walter.

- Och, drogi panie! - wykrzyknęła pani Wintertowne. - Słodka Emma nie marnuje energii na powieści, jak inne panny, choć czyta bardzo wiele. Żadna znana mi młoda osoba nie przeczytała tylu biografii i wierszy.

- Mam jednak nadzieję - zaczął sir Walter, odchylając się na krześle, by przemówić do narzeczonej - że lubi pani również powieści. Będziemy mogli czytać je wspólnie. Jaka jest pani opinia o pani Radcliffe? Albo o Madame d'Arblay<sup>[19]</sup>?

Nie poznali jednak opinii panny Wintertowne o tych znamienitych damach, gdyż złapał ją drugi atak kaszlu. Z wielkim trudem usiadła. Sir Walter czekał chwilę na odpowiedź, ale gdy kaszel ustał, panna Wintertowne z grymasem bólu na twarzy znowu legła na sofie, po czym przymknęła powieki.

Pan Norrell był zdziwiony, że nikomu nie przyszło do głowy pośpieszyć jej z pomocą. Całkiem jakby zawiązał się spisek, którego celem było ignorowanie słabości młodej kobiety. Nikt nie spytał, czy jej coś podać. Nikt nie zasugerował, że powinna iść spać, co pan Norrell, sam często niedomagający, uważał za najlepsze lekarstwo.

- Szanowny panie - zaczął sir Walter - nie ukrywam, że nie rozumiem, jaką pomoc pragnie nam pan zaoferować.

- O, tak. Przejdźmy do szczegółów - podjął natychmiast pan Norrell. - Wiem równie niewiele o rzemiośle wojennym, co generałowie i admirałowie o magii, jednakże...

- Cokolwiek pan powie - przerwał sir Walter - muszę zauważyć, że magia nie jest godna szacunku, drogi panie. Nie jest... - sir Walter szukał odpowiedniego słowa - poważna.



Rząd nie może się wplątywać w podobne afery. Nawet nasza niewinna pogawędka przysporzy nam wstydu, kiedy wieść o niej się rozejdzie. Doprawdy, szanowny panie, gdybym lepiej wiedział, co zamierza pan dziś proponować, nie wyraziłbym zgody na to spotkanie.

Sir Walter powiedział to w sposób daleki od impertynencji, ale, och, nieszczęsny pan Norrell! Oświadczenie, iż magia nie jest godna szacunku, było dla niego ciężkim ciosem. Znaleźć się w jednym rządzie z Dreamditchami i Vinculusami - co za upokorzenie! Na próżno się zarzekał, że od dawna rozmyśla nad tym, jak przywrócić magii poważanie. Na próżno zapewniał, że zaprezentuje sir Walterowi długą listę zaleceń dotyczących regulacji zasad stosowania magii w Anglii. Sir Walter na zakończenie z uśmiechem pokręcił głową i rzekł:

- Obawiam się, drogi panie, że nic nie mogę dla pana zrobić.

Kiedy Drawlight przybył tego wieczoru na Hanover Square, musiał wysłuchać lamentów pana Norrella.

- Drogi panie, czyż nie mówiłem?! - wykrzyknął. - Och! Biedny pan Norrell! Jakże obcesowo pana potraktowali! Bardzo mi pana żal, ale wcale mnie to nie dziwi! Słyszałem, że Wintertowne'owie zadzierają nosa!

Niestety, w naturze pana Drawlighta leżała dwulicowość i trzeba powiedzieć, że wcale nie było mu tak przykro, jak twierdził. Przejaw niezależności pana Norrella rozdrażnił go i był zdecydowany ukarać maga. W następnym tygodniu panowie Norrell i Drawlight bywali jedynie na bardzo skromnych kolacjach, choć szczęśliwie nie doszło do tego, by pan Norrell biesiadował w towarzystwie szewca pana Drawlighta czy też starszawej damy odkurzającej posąg w Westminsterze. Drawlight dopilnował, żeby ich gospodarze byli ludźmi niezbyt popularnymi w towarzystwie, o niskiej pozycji i niewielkich wpływach. W ten sposób chciał wzbudzić w Norrellu przekonanie, że zlekceważyli go nie tylko Pole'owie i Wintertowne'owie, lecz cały świat. Dzięki temu pan Norrell miał wreszcie pojąć, kto jest jego prawdziwym przyjacielem, i wykazać nieco więcej chęci do zaprezentowania kilku sztuczek, które Drawlight obiecywał wszystkim od wielu miesięcy.

Takie oto plany snuł najdroższy przyjaciel pana Norrella. I choć bardzo się starał ukarać maga, jego metoda nie odniosła skutku. Pan Norrell tak był przygnębiony odmową sir Waltera, że nie zauważył zmiany w stylu życia towarzyskiego i koniec końców Drawlight zdołał ukarać jedynie siebie. Teraz, gdy sir Walter znalazł się poza zasięgiem pana Norrella, ten nabierał coraz większego przekonania, że właśnie takiego protektora mu trzeba. Radosny,

energiczny, o ujmującym sposobie bycia, sir Walter był przeciwieństwem pana Norrella i mógł wiele osiągnąć. Wpływowi ludzie liczyliby się z jego zdaniem.

- Gdyby tylko zechciał mnie wysłuchać - wzdychał pan Norrell pewnego wieczoru, kiedy razem z Drawlightem zasiadł do kolacji. - Nie mogłem znaleźć słów, które by go przekonały. Teraz żałuję, że nie poprosiłem pana ani pana Lascellesa o wsparcie. Światowcy wolą rozmawiać ze światowcami. Może powinienem był zaprezentować mu jakąś magiczną sztuczkę, zamienić filiżanki w króliki lub łyżeczki w złote rybki? Przynajmniej by mi uwierzył. Nie sądzę jednak, by ta stara dama była zadowolona. Sam nie wiem. Jak pan myśli?

Drawlight zaczynał wierzyć, że można umrzeć z nudów i z pewnością taki los spotka go w ciągu najbliższego kwadransa. Całkiem stracił ochotę do mówienia, więc tylko uśmiechnął się niemrawo.

## Rozdział siódmy

*Okazja, która może się już nie nadarzyć październik 1807*

- Znakomicie, drogi panie! Zemsta jest rozkoszą bogów! - krzyknął zniecka pan Drawlight w ciszy biblioteki na Hanover Square.

- Zemsta? - powtórzył pan Norrell. - Co pan ma na myśli?

- Och! - odparł Drawlight. - Narzeczona sir Waltera, panna Wintertowne, nie żyje. Odeszła dziś po południu. Mieli brać ślub za dwa dni, ale biedaczka zmarła. Tysiąc funtów rocznie - proszę sobie wyobrazić jego rozpacz! Gdyby dotrwała do końca tygodnia, jakąż by to uczyniło różnicę! On rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, jest w strasznych tarapatkach. Nie zdziwi mnie, jeśli jutro usłyszę, że poderżnął sobie gardło.

Pan Drawlight przez chwilę opierał się o solidny, wygodny fotel stojący przy kominku. Nagle, opuściwszy wzrok, odkrył na fotelu przyjaciela.

- Och, Lascelles, coś podobnego. Widzę, że kryjesz się za gazetą. Jak się miewasz?

Tymczasem pan Norrell nie odrywał spojrzenia od pana Drawlighta.

- Mówi pan, że ta młoda kobieta zmarła? - powiedział ze zdumieniem. - Młoda kobieta, którą widziałem w tamtym salonie? Trudno uwierzyć. To bardzo nieoczekiwane.

- O, wręcz przeciwnie - oświadczył Drawlight. - Wszyscy się tego spodziewali.

- Ale ślub! Wszystkie przygotowania! Z pewnością nie wiedzieli, jak bardzo jest

chora.

- Zapewniam pana, że wiedzieli - powiedział Drawlight. - Wiedzieli wszyscy. A niech to! Drummond widział ją w Boże Narodzenie na prywatnym balu w Leamington Spa i założył się z lordem Carlisle o pięćdziesiąt funtów, że panna wyzionie ducha w ciągu miesiąca.

Pan Lascelles syknął z irytacją i odłożył gazetę.

- Nie, nie - mruknął. - Nie chodziło o pannę Wintertowne. Masz na myśli pannę HookhamNix. Jej brat groził, że ją zastrzeli, jeśli dziewczyna zhańbi rodzinę - czyli prędzej czy później, zdaniem wszystkich. To się zdarzyło w Worthing i nie lord Carlisle się zakładał, tylko księżę Exmooru.

Drawlight dumiał nad tym przez chwilę.

- Zapewne masz rację - przyznał w końcu. - Ale to bez znaczenia, wszak wszyscy wiedzieli, że panna Wintertowne jest chora. Tylko starsza pani uważała córkę za doskonałość. A cóż to za doskonałość o słabym zdrowiu? Doskonałość trzeba podziwiać. Doskonałość musi dobrze wyjść za mąż. Stara nie dopuściła do siebie myśli, że doskonałość może chorować, nie pozwalała nawet o tym wspominać. Mimo wszystkich ataków kaszlu i omdleń panny Wintertowne oraz jej polegiwania na sofie, nie słyszałem, by badał ją jakikolwiek medyk.

- Sir Walter powinien był lepiej o nią zadbać - oznajmił Lascelles, strzepując gazetę, zanim znowu zaczął ją czytać. - Różne rzeczy można mówić o politykach, ale Pole to rozsądny człowiek. Szkoda, że nie dożyła czwartku.

- Ależ drogi panie, pan zbladł - zwrócił się Drawlight do pana Norrella. - Jak widzę, jest pan wstrząśnięty tym nagłym kresem młodego niewinnego życia. Uczucia te przynoszą panu chwałę. I ja jestem zaskoczony! Takie młode istnienie zmiażdżone niczym delikatny kwiat butem! Och, panie, serce mi krwawi, ledwie mogę o tym myśleć. Ale była bardzo chora, prędzej czy później musiała umrzeć. Zresztą sam pan twierdził, że nie potraktowała go zbyt życzliwie. Wiem, że to nieodpowiednia chwila, by o tym wspominać, jestem jednak niestrudzonego orędownikiem okazywania szacunku starszym uczoneму, takim jak pan. Zuchwalstwa i impertynencji z całego serca nie znoszę.

Pan Norrell najwyraźniej nie słyszał współczujących słów przyjaciela. Kiedy w końcu otworzył usta, zwrócił się chyba sam do siebie:

- Nigdy nie sądziłem, że tak się tutaj nie poważa magii. - Umilkł, a po chwili dodał pospiesznie, ściszone głosem: - Bardzo niebezpiecznie jest sprowadzać kogoś z krainy umarłych. Nie robiono tego od trzystu lat. Nie mógłbym ryzykować!

Panowie Drawlight i Lascelles popatrzyli ze zdumieniem na przyjaciela.

- W rzeczy samej, drogi panie - zgodził się Drawlight. - Nikt pana o to nie prosi.

- Oczywiście, znam procedurę - ciągnął pan Norrell, jakby nie słyszał tych słów. - Ale to dokładnie taka magia, jakiej się sprzeciwiam! - Tak wiele zależy od... Dość powiedzieć, że rezultat może być całkiem nieoczekiwany... I mag nie jest w stanie go przewidzieć. Nie! Nie spróbuję, nawet nie będę o tym myślał.

Zapadła cisza. Mimo prób zapomnienia o niebezpiecznej magii, pan Norrell kręcił się w fotelu, zaciskał palce, oddychał pospiesznie i wykazywał inne oznaki nerwowego napięcia.

- Drogi panie - powiedział pan Drawlight powoli. - Chyba zaczynam pojmować, o co panu chodzi. I muszę przyznać, że to wyborny pomysł! Myśli pan o wielkim magicznym uczynku, świadectwie swych niezwykłych umiejętności! Ależ panie! Jeśli się powiedzie, wszyscy Wintertowne'owie i Pole'owie zjawią się na pana progę, zabiegając o znajomość ze wspaniałym panem Norrellem!

- A jeśli się nie powiedzie, wszyscy w Anglii będą zatrzaskiwali drzwi przed nosem okrytego niesławą pana Norrella - zauważył z przekąsem pan Lascelles.

- Mój drogi! - wykrzyknął Drawlight. - Cóż za nonsens! Daję słowo, bardzo łatwo usprawiedliwić porażkę! W końcu może się przytrafić każdemu z nas.

Pan Lascelles oświadczył, że nie rozumie tej pokrętej logiki, i już obaj dżentelmeni zaczęli się spierać, gdy z ust pana Norrella wydobył się pełen udręki jęk.

- Mój Boże! Co począć? Co począć? Miesiącami pracowałem na to, by ludzie obdarzyli szacunkiem moją profesję, ale mną gardzą! Drogi panie Lascellesie, pan zna świat, proszę mi powiedzieć...

- Przykro mi, szanowny panie - przerwał mu pośpiesznie pan Lascelles. - Z zasady nigdy nie udzielam rad. - I natychmiast wrócił do lektury.

- Drogi panie - odezwał się Drawlight (który nigdy nie czekał, aż spytają go o zdanie). - Taka okazja może się już więcej nie nadarzyć. - (Trafny argument, pan Norrell głęboko westchnął). - Muszę przyznać, że chyba nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym pozwolił panu przepuścić taką okazję. Za jednym zamachem zwróci nam pan tę słodką młodą istotę, której śmierć głęboko poruszyła wszystkich, oraz zapewni fortunę sir Walterowi. Poza tym na wiele pokoleń odbuduje pan wiarę w potęgę magii! Gdy udowodni pan już wartość swoich umiejętności, ich przydatność itepe, kto będzie mógł odmówić magom zasłużonej czci i pochwał? Magowie będą podziwiani niczym admirałowie, arcybiskupi, a nawet ministrowie sprawiedliwości! Wcale się nie zdziwię, jeśli Jego Wysokość natychmiast stworzy odpowiednie stanowiska: nadworny mag, mag kanonik, mag honorowy... Listę można ciągnąć w nieskończoność. A pan, drogi panie, będzie arcymagiem! I to wszystko za jednym

zamachem! Za jednym zamachem!

Drawlight był zachwycony swą przemową, a Lascelles z irytacją szeleścił gazetą - chyba żałował swojego oświadczenia, że nie udziela rad, bo pozbawił się w ten sposób możliwości polemiki.

- Ale żadna forma magii nie jest równie niebezpieczna! - powiedział pan Norrell pełnym przerażenia szeptem. - Niebezpieczna dla maga i drugiej osoby.

- Cóż, szanowny panie, myślę, że tylko pan może najlepiej ocenić zagrożające mu niebezpieczeństwa, ale co do drugiej osoby... Hm, ona nie żyje - zauważył trzeźwo pan Drawlight. - Co gorszego może ją spotkać?

Gdy pan Norrell nie odpowiedział, Drawlight oświadczył:

- Zadzwońię po karetę. - Jak powiedział, tak zrobił. - Natychmiast wyruszam na Brunswick Square. Bez obaw, drogi panie, nasze propozycje spotkają się z akceptacją. Wróć, nim minie godzina!

Gdy Drawlight odjechał w pośpiechu, pan Norrell siedział przez kwadrans w milczeniu, patrząc przed siebie. Choć Lascelles nie wierzył w magię, którą pan Norrell zamierzał zaprezentować (ani w niebezpieczeństwo z nią związane, na które się rzekomo narażał), cieszył się, że nie widzi tego, co najwyraźniej widział mag. Nagle pan Norrell się podźwignął, w pośpiechu zdjął z regału pięć lub sześć ksiąg i otworzył je, zapewne w poszukiwaniu ustępów pełnych rad dla magów, którzy pragną ożywić martwe damy. Po trzech kwadransach za drzwiami biblioteki rozległ się rwetes. Najpierw usłyszeli głos pana Drawlighta, a po chwili zobaczyli jego właściciela.

-...największą przysługę na świecie! Tak bardzo panu zobowiązani... - Pan Drawlight tańczył w drzwiach biblioteki, szeroko się uśmiechając. - Wybornie, drogi panie! Początkowo sir Walter miał nieco zastrzeżeń, ale wszystko znakomicie się ułożyło! Prosił mnie o przekazanie panu wyrazów wdzięczności za troskę, wątpił jednak, czy pańska propozycja na coś się zda. Oświadczyłem, że jeśli myśli, iż rzecz wymknie się spod kontroli i będzie powszechnie komentowana, nie musi się tego obawiać, nie zamierzamy go stawiać w kłopotliwym położeniu. Pan Norrell marzy tylko, by na coś się przydać sir Walterowi, a Lascelles i ja to chodząca dyskrecja. Sir Walter oznajmił, że ludzie zawsze się natrzęsają z ministrów, wolałby jednak, by pannę Wintertowne pozostawić w spokoju, z szacunku dla jej obecnej sytuacji. Drogi panie! - wykrzyknąłem - jak może pan tak mówić? Chyba nie oczekuje pan, że bogata i piękna młoda dama chętnie odejdzie z tego świata w przeddzień swego ślubu z panem? Och, sir Walterze - dodałem - może pan nie wierzyć w magię pana Norrella, ale nie zaszkodzi spróbować. Stara dama natychmiast pojęła słusność mojego

rozumowania i sama dorzuciła nowe argumenty. Ponoć wybitny mag, którego znała w dzieciństwie, oddany przyjaciel rodziny, przedłużył życie jej siostry o kilka lat. Proszę mi wierzyć, żadne słowa nie opiszą wdzięczności pani Wintertowne. Błagała, bym skłonił pana do natychmiastowego przybycia. Również sir Walter uważa, że nie ma sensu tego odkładać, wobec czego kazałem Daveyowi czekać pod drzwiami i nie oddalać się pod żadnym pozorem. Och, mój drogi! To będzie wieczór pojednania! Wszelkie nieporozumienia, wszelkie niefortunne interpretacje kilku źle dobranych słów - wszystko minie, całkiem jak w sztuce Szekspira!

Przyniesiono płaszcz pana Norrella i mag wsiadł do karety. Ze zdumieniem patrzył, jak drzwi się otwierają i z jednej strony wskakuje pan Drawlight, z drugiej zaś pan Lascelles. Coś mi się zdaje, że pan Norrell wcale nie życzył sobie towarzystwa obu dżentelmenów w drodze na Brunswick Square.

Lascelles zwałił się do karety, ze śmiechem powtarzając, że nigdy w życiu nie słyszał nic równie niepoważnego. Porównał ich komfortową przejażdżkę londyńskimi ulicami do wypraw bohaterów z francuskich i włoskich baśni, którzy pływali w baliach w poszukiwaniu odbicia księżycy z dna stawu. To, rzecz jasna, obraziłoby pana Norrella, gdyby pan Norrell był w nastroju do słuchania.

Na Brunswick Square natknęli się na tłumek kłębiący się na schodach. Dwóch mężczyzn wybiegło, by złapać konie za uzdy. Światło z lampki oliwnej nad schodami padało na tuzin sług pani Wintertowne wypatrujących maga, który sprowadzi z zaświatów ich młodą panią. Człowiek jest tylko człowiekiem i zapewne kilku z nich wyszło przed dom jedynie po to, by sprawdzić, jak taki mag wygląda. Ale blade oblicza wielu wskazywały na to, że pogrążeni byli w prawdziwej żałobie. Ci ludzie czuwali na mrozie z czystego sentymentu do zmarłej, co należy uznać za szlachetną postawę.

Jeden ze służących wziął świecę i poprowadził pana Norrella i jego przyjaciół do wychłodzonego pogrążonego w mroku domu. Już na schodach usłyszeli głos pani Wintertowne:

- Robercie! Robercie! Czy to pan Norrell? Och, dzięki Bogu, drogi panie! - Nagle pojawiła się przed nimi w progu salonu. - Myślałam, że pan nigdy nie przybędzie! - Iz tymi słowami, ku konsternacji pana Norrella, ujęła jego ręce i mocno je ściskając, błagała, by przywrócił panie Wintertowne życie. Pieniądze nie grały roli, mógł zażądać dowolnej zapłaty, byleby tylko zwrócił jej ukochaną pociechę. Musi obiecać, że tego dokona!

Pan Norrell odchrząknął i zapewne już miał wygłosić jedną ze swych długich i nieciekawych tyrad na temat filozofii nowoczesnej magii, kiedy nagle pan Drawlight wysunął

się przed niego, ujął ręce pani Wintertowne i oderwał je od pana Norrella.

- Błagam, droga pani, o spokój! - wykrzyknął. - Pan Norrell przybył, jak pani widzi, i musimy się przekonać, co zdołała jego moc. Błaga, by więcej nie wspominać o zapłacie. Cokolwiek dziś uczyni, uczyni to w imię przyjaźni... - Tu pan Drawlight stanął na palcach i uniósł podbródek, by ponad ramieniem pani Wintertowne zerknąć na sir Waltera Pole'a, który wstał z fotela, stanął nieco z boku i przyglądał się przybyłym. W blasku świecy wydawał się błądy i wymizerowany jak nigdy dotąd. Zwykła uprzejmość wymagała, by do nich podszedł i przemówił, lecz on tkwił w miejscu.

Pan Norrell zachowywał się dość osobliwie: wiercił się na progu i nie robił ani kroku w głąb domu, chciał bowiem wcześniej porozmawiać z sir Walterem.

- Muszę zamienić słowo z sir Walterem! Tylko kilka słów! Zrobię dla pana, co w mojej mocy, sir Walterze! - krzyknął. - Ponieważ młoda dama niedawno nas opuściła, sytuacja wygląda obiecująco. Tak, nad wyraz obiecująco! Pójdę teraz, sir Walterze, czynić swą powinność. Mam nadzieję, że w stosownym czasie będę miał zaszczyt oznajmić panu dobrą nowinę!

Wszystkimi zapewnieniami, o które (bezsukutecznie) błagała pani Wintertowne, pan Norrell gorliwie obdarzył sir Waltera, choć ten najwyraźniej wcale ich nie pragnął. Sir Walter skinął głową ze swego kąta w salonie, a potem, gdy pan Norrell wciąż się ociągał, zawołał ochrypłym głosem:

- Dziękuję panu! Dziękuję! - Jego usta rozciągnęły się w dziwnym grymasie. Być może miał to być uśmiech.

- Z całego serca pragnąłbym zabrać pana z sobą, ale ta szczególna magia wymaga samotności - oznajmił pan Norrell. - Mam nadzieję, że zaprezentuję panu magię przy innej okazji.

Sir Walter skłonił się lekko i odwrócił.

Pani Wintertowne rozmawiała w tej chwili ze swym sługą Robertem, więc pan Drawlight skorzystał z jej nieuwagi, by odciągnąć pana Norrella na stronę i gorączkowo wyszeptać mu do ucha:

- Nie, nie, drogi panie! Proszę ich nie odsyłać. Radzę zebrać jak najwięcej obserwatorów wokół łoża. To gwarancja, że rankiem pańskie czyny będą powszechnie znane. I proszę bez obaw czynić jak najwięcej zamieszania, by olśnić sługi. Niech pan wyrecytuje kilka najlepszych zaklęć! Och! Cymbał ze mnie! Gdybym tylko wziął trochę czarnego prochu i wrzucił go do ognia! Pewnie nie ma pan przy sobie zapasiku?

Pan Norrell nie odpowiedział, zażądał tylko, by bezzwłocznie zaprowadzono go do

panny Wintertowne. Choć mag wyraźnie podkreślił, że pragnie iść tam sam, jego serdeczni przyjaciele nie mogli być aż tak nieuprzejmi, by w tej przełomowej chwili pozwolić mu w pojedynkę stawić czoło trudnościom! Tak więc cała trójka ruszyła za Robertem do komnaty na drugim piętrze.

## Rozdział ósmy

*Dżentelmen o włosach jak puch ostu październik 1807*

Nikogo tam nie było.

Choć właściwie ktoś tam był. Na łóżku leżała przecież panna Wintertowne, tylko zagadkę ontologiczną stanowiło pytanie, czy młoda dama była teraz kimś, czy też zgoła nikim.

Ubrano ją w białą suknię, na szyi zawieszono srebrny łańcuch. Przystrojono jej piękne włosy, założono kolczyki z pereł i granatów. Wątpliwe jednak, by pannie Wintertowne zależało teraz na takich drobiazgach. Wokół płonęły świece i ogień w kominku, a w pokoju rozstawiono róże, które napełniły go słodką wonią - tylko że nawet gdyby to była najbardziej smrodliwa nora w mieście, panna Wintertowne leżałaby podobnie obojętna.

- Twierdzisz, że można było na nią patrzeć bez przykrości? - mruknął pan Lascelles.

- Nigdy jej nie widziałeś? - zdziwił się Drawlight. - Och! To była niebiańska istota.

Boska. Anioł.

- Doprawdy? A teraz to obraz nędzy i rozpaczy. Poradzę wszystkim znajomym pięknościom, by nie umierały - oświadczył pan Lascelles i pochylił się nad zmarłą. - Zamknęli jej oczy - poinformował zebranych.

- Były przepiękne - powiedział Drawlight. - Jasnoszare, do tego długie, ciemne rzęsy i ciemne brwi. Wielka szkoda, że jej nigdy nie widziałeś. Z miejsca przypadłaby ci do gustu. - Drawlight obrócił się do pana Norrella. - No cóż, drogi panie, jest pan gotów?

Pan Norrell zasiadł w fotelu przy kominku. Energia, której był pełen przed wejściem do domu, zniknęła. Siedział teraz zgarbiony, wzdychając ciężko, ze wzrokiem wbitym w dywan. Panowie Lascelles i Drawlight zaś zachowywali się jak zwykle: Drawlight z szacunkiem odsunął się od łoża, by zrobić miejsce Norrellowi, wiercił się i czekał z nadzieją, a Lascelles oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona (poza często przyjmowana przezeń w



teatrze) i uśmiechał się sceptycznie.

Pan Norrell ponownie westchnął.

- Mówiłem już, że ten rodzaj magii wymaga całkowitej samotności. Muszę poprosić, by zaczekali panowie na dole.

- Ależ drogi panie! - zaprotestował Drawlight. - Chyba tak bliscy przyjaciele nie stanowią dla pana przeszkody? Najcichsze z nas stworzenia na świecie! Za chwilę pan zapomni, że w ogóle tu jesteśmy. Muszę przyznać, że uważam naszą obecność za nieodzowną. Kto jutro opowie o pańskich dokonaniach, jeśli nie my? Kto opisz niewymowną wspaniałość tej chwili, gdy pańska magia zatriumfuje i młoda kobieta powróci z zaświatów? Albo nieznośny patos chwili, w której będzie pan zmuszony przyznać się do porażki? Sam pan sobie nie poradzi. Dobrze pan o tym wie.

- Zapewne - przytaknął pan Norrell. - To jednak, co panowie sugerują, jest absolutnie nie do przyjęcia. Nie mogę rozpocząć, póki nie opuszczą panowie tego pokoju.

Biedny Drawlight! Nie mógł zmusić maga do odprawiania magii, ale czekać na magię tak długo i w końcu usłyszeć takie słowa?! Cios był zbyt silny. Nawet Lascelles wydawał się rozczarowany. Liczył na to, że będzie świadkiem wielce zabawnych wydarzeń.

Kiedy w końcu poszli, pan Norrell podniósł się ciężko z fotela i wziął do ręki księgę. Otworzył ją w miejscu, które zaznaczył złożonym listem, i położył na stoliku, by w razie potrzeby była pod ręką. Potem wypowiedział zaklęcie.

Zadziałało niemal natychmiast, gdyż wokół pozieleniało i w pokoju rozszedł się świeży, słodki aromat lasów i pól. Pan Norrell zaniemówił.

Ktoś stał na środku pomieszczenia. Była to wysoka, przystojna istota o bladej, idealnej cerze, z jasną szopą włosów, które lśniły jak puch ostu. Zimne błękitne oczy mężczyzny błyszczały, a długie ciemne brwi tworzyły przepiękne łuki zakończone zawijasem. Był ubrany tak samo jak każdy wytworny dżentelmen, tyle że jego frak miał jaskrawozieloną barwę - kolor liści u progu lata.

- *O Lar!* - przemówił pan Norrell drżącym głosem. - *O Lar! Magnum opus est mihi tuo auxilio. Haec virgo mortua est et familia eius eam vitae instauratam vult.*<sup>[20]</sup> - Po czym wskazał postać na łóżku.

Na widok panny Wintertowne dżentelmen o włosach jak puch ostu nagle się ożywił. Rozłożył ręce w geście radosnego zdumienia i zaczął trajkotać po łacinie. Pan Norrell, który raczej przywykł do książkowej łaciny, odkrył, że nie rozumie tak szybkiej mowy, mimo że rozpoznaje pojedyncze słowa, jak *formosa* czy *venusta*, opisujące kobietą urodę.

Począł, aż dżentelmen ochłonął, a potem skierował jego uwagę na lustro nad

kominkiem. W zwierciadle ukazała się postać panny Wintertowne spacerującej po kamienistej ścieżce w ponurym górskim krajobrazie.

- *Ecce mortua inter terram et caelum!* - oświadczył. - *Scito igitur, o Lar, me ad hanc magnam operam te vocare voluisse quia...*<sup>[21]</sup>

- Tak, tak! - Dżentelmen nieoczekiwanie przerzucił się na angielszczyznę. - Wybrałeś mnie, panie, bo mój magiczny geniusz wykracza daleko poza umiejętności przedstawicieli mej rasy. Bo byłem sługą i zaufanym przyjacielem Thomasa Godblessa, Ralpa Stokeseya, Martina Pale'a i Króla Kruków. Bo jestem dzielny, rycerski i zniewalająco piękny! To zrozumiałe! Szaleństwem byłoby przywoływać kogoś innego! Obaj wiemy, kim jestem. Pytanie brzmi: kim, u licha, ty jesteś, panie?

- Ja? - zaniepokoił się pan Norrell. - Jestem największym magiem naszej epoki.

Dżentelmen uniósł kształtną brew w zdumieniu. Powoli obszedł pana Norrella, przyglądając mu się ze wszystkich stron. Potem, ku zażenowaniu pana Norrella, zerwał mu z głowy perukę i zajrzał pod nią, jakby pan Norrell był rondlem na piecu, a dżentelmen chciał sprawdzić, co podadzą na obiad.

- Jestem... Jestem człowiekiem, któremu przeznaczenie nakazuje przywrócić magię w Anglii! - wydukał Norrell, chwytając perukę i wciskając ją, nieco krzywo, na głowę.

- O, bez wątplenia - odparł dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Inaczej by mnie tu nie było! Nie wyobrażaj sobie, panie, że marnowałem czas dla czarnoksiężnika trzeciej kategorii. Ale kim jesteś? To chciałbym wiedzieć. Jakich magicznych czynów dokonałeś? Kim był twój pan? Jakie magiczne krainy odwiedziłeś? Jakich wrogów pokonałeś? Kim są twoi sprzymierzeńcy?

Pan Norrell był niesłychanie zdumiony potokiem pytań i nie przygotowany do składania wyjaśnień. Zachwiał się i zawahał, aż w końcu skupił na jedynym pytaniu, na które zdołał znaleźć sensowną odpowiedź.

- Nie mam pana. Sam się nauczyłem.

- Jak?

- Z Książ.

- Z książ! - Dżentelmen wypowiedział te słowa tonem najwyższej pogardy.

- W rzeczy samej. Księgi zawierają mnóstwo magii. Oczywiście większość to nonsens. Nikt nie wie równie dobrze jak ja, ile bredni wydrukowano. Można jednak znaleźć także wiele użytecznych informacji... Zdumiewające, jak w miarę postępów w nauce człowiek zaczyna zauważać...

Pan Norrell dopiero zaczynał nabierać entuzjazmu do tematu, ale dżentelmenowi o

włosach jak puch ostu brakowało cierpliwości do słuchania, więc przerwał rozmówcy.

- Czy jestem pierwszym przedstawicielem mej rasy, którego widzisz, panie?

- O tak!

Ta odpowiedź najwyraźniej zadowoliła dżentelmena, gdyż uśmiechnął się szeroko.

- Do rzeczy! Jeśli zgodzę się przywrócić tę młodą kobietę do życia, co w zamian otrzymam?

Pan Norrell odchrząknął.

- A co mógłbym ci ofiarować? - spytał nieco chrapliwie.

- Och! Łatwo to uzgodnić! - wykrzyknął dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Mam najskromniejsze życzenia w świecie. Szczęśliwie obce mi są chciwość i plugawe ambicje. Moja propozycja, panie, może działać nawet na twą korzyść, taką mam altruistyczną naturę! Po prostu pragnę pomagać ci we wszystkich dokonaniach, radzić we wszelkich sprawach i kierować twoimi studiami. Och! No, i musisz powiadomić świat, że największe osiągnięcia zawdzięczasz przede wszystkim mnie, panie!

Pan Norrell miał niewyraźną minę. Kaszlnął i wymamrotał coś na temat wielkoduszności dżentelmena.

- Gdybym był magiem, który pragnie powierzyć wszystkie swoje sprawy innej osobie, pańska propozycja byłaby wielce pożądana. Niestety jednak... obawiam się... krótko mówiąc, nie pragnę zatrudniać ani pana, ani żadnego innego przedstawiciela pańskiej rasy. Nigdy więcej.

Długie milczenie.

- Cóż za niewdzięczność! - oświadczył w końcu dżentelmen lodowatym tonem. - Zadałem sobie trud złożenia ci tej wizyty, panie. Pełen dobrych intencji wysłuchałem twej nudnej gadaniny. Znosiłem cierpliwie twój brak znajomości właściwych form i etykiety magii, a ty odrzucasz moją propozycję pomocy! A przecież inni magowie cierpieli męki, by zyskać me wsparcie. Lepiej porozmawiam z tym drugim. Może on umie traktować z szacunkiem godniejszych od siebie. - Dżentelmen rozejrzał się po pokoju. - Nie widzę go. Gdzie on jest?

- Kto?

- Ten drugi.

- Drugi kto?

- Mag!

- Ma... - Słowo to zamarło panu Norrellowi na ustach. - Nie ma żadnego drugiego maga! Jestem jedyny, zapewniam pana. Dlaczego...

- Oczywiście, że jest drugi mag! - Upierał się dżentelmen, jakby absurdem było zaprzeczanie temu. - To twój najlepszy w świecie przyjaciel, panie!

- Nie mam przyjaciół - oświadczył pan Norrell. Był całkowicie zaskoczony. Kogo dżentelmen miał na myśli? Childermassa? Lascellesa? Drawlighta?

- Ma rude włosy i długi nos. I jest bardzo zarozumiały, jak wszyscy Anglicy! - wyjaśnił dżentelmen o włosach jak puch ostu.

To nic nie dało. Childermass, Lascelles i Drawlight byli bardzo zarozumiali, każdy na swój sposób, Childermass i Lascelles mieli długie nosy, ale żaden nie był rudy. Pan Norrell nic z tego nie rozumiał, więc westchnął ciężko i wrócił do zasadniczej kwestii.

- Zatem nie pomoże mi pan? - spytał. - Nie sprowadzi pan tej młodej damy z krainy umarłych?

- Tego nie powiedziałem! - odparł dżentelmen tonem, który sugerował, że Norrell się myli. - Musze przyznać, że przez stulecia nieco obrzydło mi towarzystwo rodziny i sług. Siostry i kuzynki mają mnóstwo zalet, lecz daleko im do ideału. Przykro mi to mówić, ale są chępliwe, zarozumiałe i pyszne. Czy ta młoda dama - wskazał pannę Wintertowne - miała stosowne maniery i cnoty? Była elegancka? Błyskotliwa? Pełna życia? Kapryśna? Tańczyła jak promyk słońca? Jeździła konno jak burza? Śpiewała jak anioł? Wyszywała jak Penelopa? Władza francuskim, włoskim, niemieckim, bretońskim i walijskim? Oraz innymi językami?

Pan Norrell odparł, że zapewne. Sądził, że to typowe cechy współczesnych panien.

- Wobec tego będzie dla mnie doskonałą towarzyszką! - oświadczył dżentelmen o włosach jak puch ostu, klaszcząc w dłonie.

Pan Norrell nerwowo obliznął wargi.

- Co właściwie pan proponuje?

- Proszę o pół życia tej damy i umowa stoi.

- Pół życia? - powtórzył pan Norrell.

- Pół - przytaknął dżentelmen.

- Ale co jej przyjaciele powiedzą na taką wymianę?

- Och, nigdy się o tym nie dowiedzą. Proszę mi zaufać - odparł dżentelmen. - Poza tym teraz brak jej życia. Lepsze pół niż nic.

W rzeczy samej. Mając pół życia, panna Wintertowne wyszłaby za sir Waltera i ocalała go przed bankructwem. Wtedy sir Walter mógłby utrzymać stanowisko i wesprzeć pana Norrella w jego planach odrestaurowania angielskiej magii. Pan Norrell jednak czytał wiele ksiąg, opisujących perypetie angielskich magów obcujących z przedstawicielami magicznej rasy, i wiedział, że elfy lubią zwodzić innych. Doszedł do wniosku, że przejrzał

zamiary dżentelmena o włosach jak puch ostu.

- Ile trwa życie? - spytał.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu rozłożył szeroko ręce.

- A ile ma trwać?

Pan Norrell rozważał to przez chwilę.

- Powiedzmy, że żyłaby do dziewięćdziesiątego czwartego roku życia. Dziewięćdziesiąt cztery lata to zacy wiek. Teraz ma dziewiętnaście lat. Czyli jeszcze siedemdziesiąt pięć. Gdyby podarował jej pan jeszcze siedemdziesiąt pięć lat, nie widzę powodu, dla którego nie miałby pan wziąć sobie połowy.

- A zatem siedemdziesiąt pięć lat - zgodził się dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Dokładnie połowa z nich będzie należała do mnie.

Pan Norrell patrzył na niego w napięciu.

- Czy muszę coś zrobić? - zapytał. - Podpisać jakiś dokument?

- Nie, ale wezmę coś, co należy do tej damy, by zaznaczyć swoje prawo do niej.

- Może pierścień? - zasugerował pan Norrell. - Albo ten naszyjnik? Z pewnością zdołam wytłumaczyć brak klejnotów.

- Nie - odparł dżentelmen o włosach jak puch ostu. - To powinno być coś, co... Ach! Już wiem.

Drawlight i Lascelles siedzieli w salonie, gdzie pan Norrell i sir Walter Pole spotkali się po raz pierwszy. Było to doprawdy ponure miejsce. W kominku dogasał ogień, świece się dopalały. Nie zaciągnięto zasłon, nikt nie pozamykał okiennic. Deszcz melancholijnie stukał w parapety.

- Noc w sam raz na ożywianie umarłych - zauważył pan Lascelles. - Tło jest odpowiednie, deszcz i gałęzie uderzają o szyby, wiatr jęczy w kominie. Wciąż miewam dramatopisarskie ciągoty. Może dzisiejsze wydarzenia mnie zainspirują? Napiszę tragikomedię o tym, jak zubożały minister rozpaczliwie próbuje się dorobić, zaczynając od małżeństwa z rozsądku, a na czarach kończąc. Sztuka na pewno odniesie sukces. Chyba dam jej tytuł: *Jaka szkoda, że to trup*.

Lascelles umilkł, by jego towarzysz miał czas zaśmiać się z dowcipu, ale Drawlightowi nie było do śmiechu po tym, jak mag nie pozwolił mu obserwować czarów, więc powiedział jedynie:

- Jak sądzisz, dokąd się wszyscy udali?

- Nie wiem.

- Cóż, zważywszy na to, co obaj dla nich robimy, sądzę, że zasłużyliśmy na lepsze

traktowanie. Jeszcze pół godziny temu byli nam niezwykle wdzięczni. Bardzo nieładnie, że całkiem o tym zapomnieli! I nawet nie poczęstowano nas ciastem. Jest wprawdzie za późno na kolację, ale umieram z głodu. I ogień dogasa - dodał.

- To dorzuć dREW - poradził Lascelles.

- Co takiego? Mam się ubrudzić?

Świece dawno już zgasły i mrok spowijał pokój. Wielkie obrazy stały się jedynie kwadratami najgłębszej czerni zawieszonymi na nieco mniej czarnych ścianach.

- Zegar wybił wpół do drugiej - odezwał się nagle Drawlight. - Jaki to niesamowity dźwięk! Uch! Wszystkie okropieństwa w powieściach przydarzają się zawsze podczas bicia dzwonów albo gdy zegar wybija godzinę w pograżonym w mrokach domostwie!

- Jakoś nie przypominam sobie żadnego okropieństwa, które wydarzyło się o wpół do drugiej - mruknął Lascelles.

W tym momencie usłyszeli kroki na schodach, a po chwili na korytarzu. Drzwi do salonu otwarły się gwałtownie. Stał w nich ktoś ze świecą w ręku.

Drawlight chwycił pogrzebacz, ale okazało się, że przyszedł pan Norrell.

- Proszę się nie bać, drogi panie. Nie ma czego.

Ale gdy pan Norrell uniósł świecę i panowie zobaczyli wyraz jego twarzy, zrozumieli, że wręcz przeciwnie - należy się bać, i to bardzo. Mag był blady, a w jego szeroko otwartych oczach czaiły się resztki strachu.

- Gdzie sir Walter? - zapytał. - Gdzie inni? Panna Wintertowne pragnie widzieć mamę.

Pan Norrell musiał powtórzyć ostatnie zdanie dwukrotnie, nim obaj dżentelmeni zdołali je zrozumieć.

Lascelles zamrugał dwa lub trzy razy i otworzył usta w zdumieniu. Potem, odzyskując panowanie nad sobą, zamknął usta, a jego oblicze przybrało wyniosły wyraz. Ta mina towarzyszyła mu od poranka, zupełnie jakby Lascelles regularnie wizytował domy, w których wskrzesza się młode damy i uważał ten konkretny przypadek za mało efektowny. Drawlight tymczasem miał do powiedzenia tysiąc rzeczy naraz i zapewne powiedział je wszystkie, ale nikt nie okazał mu ani odrobiny zainteresowania.

Gdy w końcu posłano po sir Waltera, a ten przyprowadził panią Wintertowne, pan Norrell powiódł starszą damę, roztrzęsioną i we łzach, do pokoju córki. Wiadomość o powrocie panny Wintertowne z zaświatów już obiegnęła dom.

Służba była uszczęśliwiona i wdzięczna panu Norrellowi, panu Drawlightowi i panu Lascellesowi. Kamerdyner i dwaj pokojowcy poprosili o wybaczenie i zasugerowali, żeby panowie Drawlight i Lascelles dali im znać, jeśli zapragną dowolnej drobnej przysługi,

leżącej w zasięgu możliwości kamerdynera lub pokojowców. Pan Lascelles wyszeptał do przyjaciela, że nie przypuszczał, iż takie uczynki prowadzą do familiaryzowania się z ludźmi niskiego stanu. Było to bardzo niemiłe i w przyszłości zamierzał tego unikać. Szczęśliwie kamerdynera i pokojowców przepełniała taka radość, że w ogóle się nie zorientowali, jak straszliwie go obrazili.

Wkrótce ogłoszono, że panna Wintertowne wstała z łóżka i wsparta na ramieniu pana Norrella przeszła do własnej bawialni. Tam usadzono ją w fotelu przy kominku, a po chwili zażądała herbaty. Drawlight i Lascelles zostali poproszeni na górę do uroczego pokoiku, gdzie zastali pannę Wintertowne, jej matkę, sir Waltera, pana Norrella i kilku służących.

Z min zebranych można było wywnioskować, że to pani Wintertowne oraz sir Walter podróżowali tej nocy po niezmiernych krainach, ich oblicza były bowiem poszarzałe i ściągnięte. Pani Wintertowne szlochała, a sir Walter od czasu do czasu ocierał blade czoło jak ktoś, kto był świadkiem okropności.

Panna Wintertowne natomiast wydawała się spokojna i opanowana niczym dama, która spędziła cichy, nudny wieczór w domu. Była w tej samej sukni, którą miała na sobie, gdy Drawlight i Lascelles widzieli ją po raz ostatni. Podniosła się z fotela i uśmiechnęła do Drawlighta.

- Prawie się nie znamy, mówiono mi jednak, ile panu zawdzięczam. Obawiam się, że to dług nie do spłacenia. To, że tu jestem, jest w dużej mierze pańską zasługą. Dziękuję panu. Bardzo.

Wyciągnęła do niego ręce, a on ujął je w swoje dłonie.

- Ależ pani! - wykrzyknął, cały w ukłonach i uśmiechach. - Był to, zapewniam panią, zaszczyt... - Nagle urwał i przez chwilę milczał. - Pani? - powiedział w końcu i zaśmiał się z zakłopotaniem (co było dziwne samo w sobie, gdyż Drawlight rzadko się peszył).

Nie wypuścił jej dłoni, ale rozejrzał się po pokoju, jakby szukając kogoś, kto wybawi go z opresji. Potem uniósł jedną rękę panny Wintertowne i pokazał ją właścicielce. Nie wydawała się ani trochę zaniepokojona tym, co zobaczyła, niemniej ją to zdumiało. Uniosła nieco dłoń, by matka mogła ją lepiej widzieć.

Mały palec lewej ręki panny Wintertowne zniknął.

## Rozdział dziewiąty

## *Lady Pole październik 1807*

Pewna dama (nieskończenie przewyższająca mądrością autorkę tych słów) zauważyła, że świat bardzo jest łaskawy dla młodych, którzy albo umierają, albo biorą ślub. Wyobraź sobie zatem, czytelniku, zainteresowanie towarzyszące pannie Wintertowne! Żadna młoda dama nie znalazła się w tak uprzywilejowanej sytuacji: umarła we wtorek, wskrzeszono ją w środę nad ranem, a za mąż wychodziła w czwartek. Zdaniem niektórych to aż za wiele wrażeń w jednym tygodniu.

Każdy pragnął ją zobaczyć. Większość słyszała, że lady Pole straciła palec podczas wędrówki na tamten świat bądź w czasie powrotu. Wszystkich najbardziej frapowało, czy zmieniła się pod innymi względami. Tego nikt nie wiedział. W środowy poranek (ten po jej szczęśliwym powrocie) wyglądało na to, że główni sprawcy całego zamieszania zawiązali spisek w celu pozbawienia Londynu informacji. Poranni goście na Brunswick Square dowiedzieli się zaledwie, że panna Wintertowne i jej matka odpoczywają. Na Hanover Square to samo - pan Norrell był niezwykle zmęczony i absolutnie nie mógł przyjmować gości. Co do sir Waltera Pole'a to nikt nie wiedział, gdzie go szukać (podejrzewano, że bawi u pani Wintertowne na Brunswick Square). Gdyby nie panowie Drawlight i Lascelles (życzliwe dusze!), miasto nie miałoby o niczym pojęcia. Obaj dżentelmeni przemierzali Londyn kareta, odwiedzając niezliczone salony i bawialnie, jadalnie i pokoje do gry. Nie sposób powiedzieć, ile zaproszeń na kolację otrzymał tego dnia Drawlight. Szczęśliwie nigdy nie grzeszył łakomstwem, gdyż okazji do dogodzenia żołądkowi miał tego dnia aż nadto. Pięćdziesiąt bądź więcej razy zmuszony był opisywać, jak po powrocie panny Wintertowne obie damy, matka i córka, szlochały, jak z sir Walterem Pole'em ściskali sobie dłonie, jak wylewnie mu dziękowano i jak błagał, by sir Walter zapomniał już o sprawie. I na koniec jak panna Wintertowne nalegała, by pan Drawlight oraz pan Lascelles powrócili do domu jej kareta.

Sir Walter Pole opuścił dom pani Wintertowne koło siódmej rano i udał się do siebie na kilkugodzinną drzemkę. W południe wrócił jednak na Brunswick Square, tak jak podejrzewano na mieście (sąsiedzi wiedzą o nas wszystko!). O tej porze dla pani Wintertowne było już jasne, że córka zyskała dziwną sławę. Można by powiedzieć, że z dnia na dzień zdobyła rozgłos. Niektórzy zostawiali wizytówki przy drzwiach, inni, o których młoda dama nigdy nie słyszała, nadsyłała listy i gratulacje. „Zaklinam panią”, napisał jeden z natrętów, „by uwolniła się pani od ciężaru cienistej doliny, którą pani objawiono”.

To, że nie znane jej osoby uważają się za uprawnione do komentowania tak osobistych spraw, jak śmierć i zmartwychwstanie, i dają upust ciekawości w listach do córki,



budziło wielkie niezadowolenie pani Wintertowne. Nie szczędziła tym wulgarnym, źle wychowanym osobom słów potępienia i po przybyciu na Brunswick Square sir Walter zmuszony był ich wysłuchać.

- Droga pani, radzę dłużej o tym nie myśleć. My, politycy, dobrze wiemy, że godność i milczenie to najlepsza obrona przed impertynencją.

- Och! Sir Walterze! - wykrzyknęła przysła teściowa. - Bardzo mnie cieszy, że często podziela pan moje opinie. Godność i milczenie. Otóż to. W kwestii przejść biednej Emmy należy zachować absolutną dyskrecję. Po jutrzejszym dniu w ogóle nie zamierzam do tego powracać.

- Nie posuwałbym się tak daleko - powiedział sir Walter. - Należy mieć na względzie pana Norrella. - Zawsze będzie nam przypominał o wczorajszych zajściach. Obawiam się, że jesteśmy skazani na jego towarzystwo. Nie sposób się odwdziżyć za taką przysługę. - Umilkł, a po chwili dodał: - Na szczęście pan Norrell sam był łaskaw wskazać, jak mogę spłacić dług wdzięczności.

Była to aluzja do wcześniejszej rozmowy obu dżentelmenów. O czwartej nad ranem pan Norrell zasadził się na sir Waltera na schodach i wyłuszczył mu bardzo szczegółowo swoje plany pokonania Francuzów magią.

Pani Wintertowne powiedziała, że z przyjemnością okaże panu Norrellowi szacunek i swoje względy. Przed nikim nie zamierza kryć, jak bardzo go ceni. Nie tylko dysponuje on niezwykłymi umiejętnościami magicznymi - o których, jej zdaniem, nie ma potrzeby wspominać podczas jego wizyt - ale do tego jest zacnym starszym dżentelmenem.

- Istotnie - przytaknął sir Walter. - Najważniejsze, by panna Wintertowne nie brała na swe barki więcej, niż jest w stanie udźwignąć. Właśnie to przede wszystkim pragnęłam z panią omówić. Nie wiem, czy zgodzi się pani ze mną, ale należałoby przełożyć ślub o tydzień lub dwa.

Pani Wintertowne nie zachwyił ten plan. Poczyniono wszystkie niezbędne przygotowania. Większość potraw - zupa, galarety, gotowane mięsa, marynowany jesiotr - już czekała. Po cóż marnotrawić tyle dóbr, skoro trzeba by je przygotowywać od nowa za tydzień bądź dwa? Sir Walterowi nie wypadało polemizować z argumentami oszczędnego gospodarowania. zaproponował zatem, by spytać pannę Wintertowne, czy czuje się na siłach wziąć udział w uroczystości.

Podnieśli się z foteli i poszli do bawialni panny Wintertowne na drugim piętrze.

- Och! - odparła panna Wintertowne na pytanie o swoje samopoczucie. - Nigdy nie czułam się lepiej. Jestem bardzo silna i zdrowa, dziękuję. Dziś wybrałam się na przechadzkę.

Rzadko spaceruję i równie rzadko mam ochotę zażywać ruchu, ale tego ranka czułam się w domu jak w więzieniu. Zapragnęłam wyjść.

Sir Walter przejął się słowami narzeczonej.

- Czy to rozsądne? - Popatrzył na panią Wintertowne.

Matka otworzyła usta, chcąc zaprotestować, lecz młoda dama zaśmiała się tylko i wykrzyknęła:

- Och! Mama nie miała o niczym pojęcia, zapewniam pana. Wyszłam, gdy spała. Towarzyszyła mi Barnard. Okrążyłam Brunswick Square dwadzieścia razy. Dwadzieścia! Przedziwne, prawda? Nabrałam nieokiełznanej ochoty na przechadzkę. Najchętniej puściłabym się pędem, gdyby to było możliwe, ale wiadomo, w Londynie... - Znow wybuchnęła śmiechem. - Chciałam iść dalej, ale Barnard nie wyraziła na to zgody. Była strasznie zaniepokojona i przejęta, że lada moment zemdleję. Nie pozwoliła, by dom zniknął nam z pola widzenia.

Nie mogli oderwać od niej wzroku. Była to chyba najdłuższa przemowa, jaką sir Walter miał okazję słyszeć z jej ust. Panna Wintertowne siedziała wyprostowana, z błyszczącymi oczyma i rumieńcem na twarzy. Wyglądała jak okaz zdrowia i urody. Mówiła szybko i z pasją, była radosna i niezwykle ożywiona, całkiem jakby pan Norrell nie tylko przywrócił ją do życia, ale w dodatku ofiarował jej go dwakroć lub trzykroć więcej. Zadziwiające.

- Naturalnie - zaczął sir Walter - skoro czuje się pani dość silna, by zażywać ruchu, nie powinno się tego pani zabraniać. Nic tak nie wzmacnia i nie utrzymuje w dobrym zdrowiu jak regularny wysiłek fizyczny. Ale może lepiej by było powiadamiać domowników o przechadzkach. Powinien pani pilnować ktoś jeszcze. Od jutra sam będę się ubiegał o ten zaszczyt.

- Nie znajdzie pan na to czasu - przypomniała mu. - Ma pan rozmaite rządowe spotkania.

- Owszem, ale...

- Och! Wciąż będzie pan zajęty sprawami państwowymi. Wiem, że nie wolno mi niczego innego oczekiwać.

Choć wydawała się pogodzona z życiem w cieniu jego pracy, pragnął zaprotestować. Powstrzymał go tylko zdrowy rozsądek. Od kiedy w domu lady Winsell w Bath ujrzał pannę Wintertowne, nieustannie zachwycił ją jej uroda i elegancja. Chciał ją nie tylko jak najszybciej poślubić, ale także lepiej poznać, gdyż - pomijając kwestię pieniędzy - przeczuwał, że będzie wręcz idealną żoną. Miał nadzieję, że godzina rozmowy zaowocuje

doskonałymi rezultatami. Dzięki niej nabiorą do siebie zaufania i zdobędą się na otwartość, co jest niesłychanie potrzebne w małżeństwie. Wiele sobie obiecywał po takim teteatete, które miało dostarczyć im licznych dowodów na wspólne upodobania i sympatie. Kilka wygłoszonych przez nią uwag obudziło w nim nadzieję, że tak właśnie będzie. Jako inteligentny mężczyzna, do tego czterdziestodwuletni, naturalnie dysponował wiedzą, a także opinią na niemal dowolny temat, i pragnął się nią podzielić z uroczą dziewiętnastolatką. Do tej pory jednak, w związku z jego absorbującą pracą i jej złym stanem zdrowia, nie zdołali jeszcze odbyć tej interesującej konwersacji, no a teraz panna Wintertowne powiedziała mu, że po ślubie nie oczekuje żadnych zmian. I nawet jej to nie zasmuciło. Wręcz przeciwnie, w swym nowym, ożywionym stanie najwyraźniej była wprost rozbawiona myślą, że mógł karmić się złudzeniami co do zmian w tej kwestii.

Niestety, sir Walter był już spóźniony na spotkanie z ministrem spraw zagranicznych. Wziął więc dłoń panny Wintertowne (tę bez skazy, prawą) i ucałował ją z galanterią. Oświadczył, że z niecierpliwością oczekuje jutrzejszego dnia, w którym zostanie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie. Z kapeluszem w dłoni uprzejmie wysłuchał krótkiej mowy na temat ślubu, wygłoszonej przez panią Wintertowne, i wyszedł z postanowieniem, że jeszcze wróci do kwestii nawiązania bliższej znajomości z przyszłą żoną, gdy tylko znajdzie odrobinę czasu.

Następnego ranka w kościele St George na Hanover Square odbył się ślub. Przyszli nań niemal wszyscy ministrowie Jego Królewskiej Mości, dwaj lub trzej książęta, pół tuzina admirałów, biskup oraz kilku generałów. Z przykrością należy zauważyć, że choć ludzie tego formatu są niezbędni dla kraju, w dniu ślubu panny Wintertowne i sir Waltera Pole'a nikt o nich nie dbał. Człowiekiem, który przyciągnął uwagę wszystkich, którego sąsiad pokazywał sąsiadowi, był mag, pan Norrell.

## Rozdział dziesiąty

### *Kłopoty z zajęciem dla maga październik 1807*

Sir Walter zamierzał wprowadzać temat magii stopniowo, by dać ministrom czas na oswojenie się z tą ideą, a dopiero potem zaproponować sprawdzenie jej przydatności na wojnie. Obawiał się oporu pozostałych członków gabinetu. Był pewien, że pan Canning

zareaguje na propozycję z sarkazmem, lord Castlereagh zaprezentuje brak woli współpracy, a earl Chatham - rozbawienie.

Wszystkie te obawy okazały się bezpodstawne. Ministrowie doskonale wiedzieli o czarach pana Norrella, podobnie jak każdy mieszkaniec Londynu. Kiedy więc rząd zebrał się na posiedzenie w Burlington House<sup>[22]</sup>, ministrowie zadeklarowali, że chętnie przygarną jedynego maga Anglii, choć nie bardzo wiedzieli, co z nim robić. Ostatni mag pracował dla kraju dwieście lat temu i rząd zdążył zapomnieć, jak należy postępować w takich wypadkach.

- Główny problem - zaczął lord Castlereagh - to znalezienie ludzi do armii. Anglicy to wyjątkowo niemilitarny naród. Mam jednak oko na hrabstwo Lincoln. Mówiono mi, że tamtejsze prosiaki są wyśmienite, a żywiona nimi populacja rośnie krzepka i zdrowa. Można by rzucić jakieś zaklęcie na Lincoln, żeby trzy lub cztery tysiące młodych ludzi natychmiast poczuło palącą potrzebę zaciągnięcia się do armii i złupienia Francuzów. - Rozmarzony Castlereagh popatrzył na sir Waltera. - Jak pan sądzi, sir Walterze, czy pański przyjaciel zna takie zaklęcie?

Sir Walter nie wiedział, ale obiecał zapytać pana Norrella. I gdy tego samego dnia sir Walter wstąpił do maga, dotrzymał obietnicy. Pan Norrell był zachwycony. Jego zdaniem nikt nigdy nie wymyślił czegoś podobnego. Prosił pana Waltera o przekazanie wyrazów uznania lordowi Castlereaghowi, właścicielowi niezwykle oryginalnego umysłu. A czy to możliwe?

- Problem polega na ograniczeniu zasięgu zaklęcia do hrabstwa Lincoln i młodych mężczyzn. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli odniesiemy sukces - a pochlebiam sobie, że tak właśnie się stanie - Lincoln i kilka sąsiednich hrabstw całkowicie opustoszeje.

Sir Walter powtórzył te słowa lordowi Castlereaghowi. Następna propozycja ministrów sprawiła panu Norrellowi o wiele mniejszą przyjemność. Wskreszenie lady Pole zaprzętało myśli wszystkich londyńczyków, ministrowie nie stanowili wyjątku. Lord Castlereagh wszczął dyskusję nad tym, kogo najbardziej na świecie obawiał się niegdyś Napoleon Bonaparte. Kto zawsze potrafił przewidzieć, co uczyni niegodziwy francuski cesarz? Kto dał takiego łupnia Francuzom, że nie ośmielili się wystawić nosów z portów? Kto uosabiał wszystkie cnoty prawdziwego Anglika? A któż by, jeśli nie lord Nelson?! Bez wątplenia należało wskresić lorda Nelsona. Lord Castlereagh poprosił sir Waltera o wybaczenie, mógł czegoś nie zrozumieć, ale po licho tracić czas na czczą gadaninę? Na co pan Canning, żywotny i kłótniwy jegomość, odparł szybko, naturalnie wszyscy tęsknią za lordem Nelsonem, Nelson to bohater narodowy, Nelson dokonał wszystkich czynów wymienionych przez lorda Castlereagha. Mimo to, z całym szacunkiem dla marynarki wojennej, chluby Wielkiej Brytanii, nie wolno zapominać, że Nelson to tylko marynarz,

podczas gdy zmarły pan Pitt<sup>[23]</sup> był kimś znacznie ważniejszym. Jeśli kogoś należało wskrzesić, to doprawdy tylko Pitta.

Earl Chatham (brat Pitta) naturalnie poparł tę propozycję. Zastanawiał się jednak, czemu nie wskrzesić obu, Pitta i Nelsona? Wszak to tylko kwestia podwójnej zapłaty dla maga, co chyba nie stanowiło żadnego problemu.”Wkrótce sporządzono bardzo długą listę kandydatów do wskrzeszenia. Wyglądało na to, że opustoszeje połowa grobowców w Anglii. Natychmiast wybuchły spory.

- Tak się nie da - oznajmił w końcu sir Walter. - Musimy od czegoś zacząć. Chyba każdy z nas swoją obecną pozycję zawdzięcza życzliwości pana Pitta. Źle by się stało, gdyby ktoś inny zyskał pierwszeństwo.

Wysłano więc umyślnego na Hanover Square i wkrótce pan Norrell został wprowadzony do pełnego przepychu i malowideł salonu, gdzie obradowali ministrowie. Sir Walter przekazał mu wiadomość, że rozważają następne wskrzeszenie.

Pan Norrell pobladł i wymamrotał coś, że tylko jego niezwykle szacunek dla sir Waltera nakazał mu zwrócić się ku takiej magii, której nigdy by nie próbował. Dodał, że wolałby się nie podejmować tego raz jeszcze i że ministrowie nie wiedzą, o co proszą. Kiedy jednak dowiedział się, kto jest kandydatem do wskrzeszenia, ulżyło mu i wspomniał coś o stanie zwłok.

Dopiero wtedy ministrowie uświadomili sobie, że Pitt nie żyje już niemal od dwóch lat. I mimo olbrzymiego szacunku dla niego, doprawdy, nieszczególnie chcieli go oglądać w jego obecnym stanie. Lord Chatham (brat pana Pitta) zauważył ze smutkiem, że biedny William zdążył się już pewnie rozłożyć. Więcej o sprawie nie wspomiano.

Mniej więcej tydzień później lord Castlereagh zaproponował wysłanie pana Norrella do Niderlandów albo Portugalii, gdzie ministrowie mieli nadzieję zająć przyczółki w wojnie z Bonapartem. Pan Norrell mógłby tam czarować według wskazówek generałów i admirałów. Tak więc na Hanover Square wyekspediowano połączone wojska morskoładowe w osobach admirała Paycocke’a, niemłodego żeglarza o rumianym obliczu, oraz kapitana HarcourtBruce’a z 20. Pułku Lekkich Dragonów. Mieli oni za zadanie dobrze się przyjrzeć panu Norrellowi.

Kapitan HarcourtBruce był nie tylko pełen wigoru i odwagi, ale również romantyzmu. Powrót magii do Anglii niesłychanie go poruszył. Kapitan pilnie czytywał co bardziej podniecające historyczne dzieła. Głowę miał nabitą bitwami sprzed wieków, w których Anglicy, ustępujący liczebnie Francuzom i skazani na pewną śmierć, nagle słyszeli nieziemską muzykę. Na wzgórzu, na rączym karym koniu zjawiał się Król Kruków w

wysokim czarnym hełmie i powiewającej na wietrze pelerynie z kruczych piór. Galopował w dół w towarzystwie setki rycerzy ludzkich i setki elfów, po czym pokonywał Francuzów magią.

Tak oto kapitan HarcourtBruce wyobrażał sobie maga i współczesne pole bitewne. Kiedy zatem ujrzał pana Norrella w salonie na Hanover Square i zobaczył, jak mag narzeka najpierw na zbyt tłustą, a potem zbyt rozwodnioną śmietankę w herbacie... Cóż, zapewne nie zaskoczę czytelnika, zdradzając, że nieco się rozczarował. Właściwie był do tego stopnia zawiedziony, że nawet stary admirał Paycocke, obcesowy dżentelmen, nie miał serca się z niego wyśmiewać. Pokpiwał sobie z niego bardzo umiarkowanie.

Admirał Paycocke i kapitan HarcourtBruce wrócili z misji z oświadczeniem, że wysłanie pana Norrella dokądkolwiek absolutnie nie wchodzi w rachubę. Admirałowie i generałowie żadną miarą nie wybaczyliby rządowi, gdyby do tego doszło. Wyglądało więc na to, że tej jesieni ministrowie nie zdołają znaleźć zajęcia dla swego jedyne go maga.

## Rozdział jedenasty

*Brest listopad 1807*

W pierwszych tygodniach listopada eskadra francuskich okrętów przygotowywała się do wyjścia z portu w Breście, który stanowi najdalej na zachód wysunięty punkt francuskiej Bretanii. Francuzi mieli zamiar krążyć po Zatoce Biskajskiej, wypatrując angielskich okrętów do przechwycenia. Gdyby manewr się nie powiódł, zamierzali powstrzymać Anglików przed zrobieniem tego, co ci najwyraźniej pragnęli zrobić.

Wiatr wciąż wiał od lądu. Francuzi szybko i sprawnie czynili przygotowania do wypłynięcia, gdy nagle na niebie ukazały się ciężkie czarne chmury i lunął deszcz. Naturalnie port tak ważny jak Brest pełen był ludzi obserwujących pogodę, którzy w wielkim wzburzeniu pośpieszyli na nabrzeże, by ostrzec marynarzy, że dzieje się coś dziwnego. Chmury napłynęły z północy, podczas gdy wiatr wiał ze wschodu - niemożliwe, ale jednak. Ledwie kapitanowie jednostek zdążyli się zdumieć, zdenerwować albo wyrazić niedowierzanie (w zależności od charakteru), dotarła do nich nowa informacja. Port w Breście zajmuje zatokę zewnętrzną i wewnętrzną, którą oddziela od otwartego morza długi, wąski półwysep. Gdy deszcz się nasilił, francuscy oficerowie zobaczyli, że do zatoki wewnętrznej

wpłynęła olbrzymia flota angielskich jednostek.

Ile ich było? Informatorzy nie potrafili powiedzieć. Więcej, niż dało się łatwo policzyć, być może aż setka. Podobnie jak deszcz, okręty najwyraźniej pojawiły się zniemacka na całkiem pustym morzu. Jakie okręty? Ach! To właśnie najdziwniejsze! Były to wyłącznie okręty liniowe, uzbrojone w ciężkie działa na dwóch lub trzech pokładach.

Informacja przeraziła wszystkich. Wielka liczba jednostek i ich olbrzymie rozmiary były, prawdę mówiąc, jeszcze dziwniejsze niż ich nagłe przybycie. Angielska marynarka wojenna często blokowała Brest, ale góra dwudziestoma pięcioma okrętami naraz, w tym trzema lub czterema liniowymi. Resztę floty tworzyły zaś małe fregaty i korwety.

Doniesienia o setce okrętów były tak niesamowite, że francuscy kapitanowie nie chcieli dać temu wiary. Udali się zatem do Lochrist bądź Camaret SaintJulien albo innych miejsc, by na własne oczy przekonać się, jak wyglądała sytuacja.

Mijały dni. Niebo nadal miało kolor ołowiu i stale padał deszcz. Angielskie okręty bez ruchu tkwiły na pozycjach. Mieszkańcy Brestu zaczęli się obawiać, że część okrętów zbombarduje miasto, lecz nic takiego się nie działo.

Podobne informacje napłynęły z innych portów cesarstwa, mianowicie z Rochefort, Tulonu, Marsylii, Genui, Wenecji, Vlissingen i setek mniejszych miast. Je także blokowała angielska flota złożona mniej więcej ze stu okrętów wojennych. Było to nie do pojęcia. Gdyby zsumować te jednostki, przewyższałyby liczbą całą flotę Anglii. Było ich nawet więcej niż wszystkich okrętów wojennych na świecie.

W tamtym czasie najważniejszym oficerem w Breście był admirał Desmoulins. Miał służącego postury ośmiolatka, o bardzo śniadej jak na Europejczyka cerze. Człowiek ten wyglądał, jakby trafił na zbyt długi czas do pieca i mocno się podprażył. Jego skóra miała barwę ziarna kawy, a fakturę wyschniętego puddingu z ryżu. Włosy sługi były czarne, skręcone i tłuste jak kolce i dudki na mniej soczystych częściach pieczonego kurczaka. Zwał się Perroquet (co oznacza papugę). Admirał Desmoulins bardzo był dumny z Perroqueta, dumny z jego rozmiarów i inteligencji, dumny z jego zwinności i przede wszystkim z jego barwy. Często się chwalił, że widział czarnoskórych, którzy przy Perroquecie wyglądali blado.

To właśnie Perroquet cztery dni mókł na deszczu, obserwując okręty przez lunetę. Deszcz kapał z jego bikornu dziecięcych rozmiarów niczym z dwóch rynienek, wsiąkał w pelerynę płaszczyka, który nabierał niepokojącego ciężaru (a wełna zmieniała się w wołok), i płynął drobnymi strumykami po spieczonej, lśniącej skórze. Perroquet nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Po czterech dniach westchnął, zerwał się na równe nogi, przeciągnął się,

zdział kapelusza, podrapał solidnie po głowie, ziewnął i powiedział:

- Cóż, mój panie admirale, to najdziwniejsze okręty, jakie kiedykolwiek widziałem.

- W jakim sensie, Perroquet? - spytał admirał. Na klifie nieopodal Camaret SaintJulien prócz Perroqueta mokli admirał Desmoulins i kapitan Jumeau. Deszcz ściekał z ich bikornów, zamieniał płaszcze w wojłok i napełniał buty wodą.

- Te okręty tkwią w miejscu, jakby unieruchomione ciszą morską, a przecież na morzu nie ma ciszy. Wieje silny wiatr z zachodu, który powinien znieść je na te skały, lecz ich nie znosi. Czy walczą z wiatrem? Nie. Nie zliczę, ile razy wiatr się zmienił, odkąd tu siedzę, ale czy ludzie na okrętach cokolwiek zrobili? Nic.

Kapitan Jumeau, który nie lubił Perroqueta i był zazdrosny o jego wpływ na Desmoulins'a, wybuchnął śmiechem.

- Oszałał, admirale. Gdyby Anglicy byli tak niedbali i bezmyślni, jak twierdzi, z ich okrętów pozostałyby jedynie drzazgi.

- Bardziej przypominają wizerunki okrętów niż same okręty - mruknął Perroquet, nie zwracając na kapitana najmniejszej uwagi. - Jeszcze dziwniejszy, mój panie admirale, jest ten trójpokładowiec na północnym krańcu. W poniedziałek wyglądał jak pozostałe, teraz zagłę są w strzępach, bezanmaszt zniknął, a z boku widnieje dziura.

- Hura! - wykrzyknął kapitan Jumeau. - Jacyś dzielni Francuzi uderzyli, podczas gdy my tracimy czas na czczą gadaninę!

Perroquet wyszczerzył zęby.

- Myśli pan, kapitanie, że Anglicy pozwoliliby, by francuska jednostka podpłynęła do setki ich okrętów, zniszczyła jeden z nich i spokojnie wróciła do portu? Ha! Chciałbym to zobaczyć, najlepiej w pańskim wykonaniu. Nie, panie admirale, moim zdaniem ten angielski okręt się rozpuszcza.

- Rozpuszcza?! - powtórzył ze zdumieniem admirał.

- Kadłub pęcznieje niczym brzuch grubasa - zauważył Perroquet. - A bukszpryt i rozprza wychylają się do wody.

- Co za brednie! - prychnął kapitan Jumeau. - Jak okręt może się rozpuszczać?

- Nie wiem - odparł Perroquet zamyślony. - Zależy, z czego jest zbudowany.

- Jumeau, Perroquet - odezwał się admirał Desmoulins. - Najlepiej chyba podpłynąć do tych okrętów i je obejrzyć. Jeśli angielska flota będzie się gotowała do ataku, zawrócimy, ale być może zdołamy się czegoś dowiedzieć.

I tak oto Perroquet, admirał oraz kapitan Jumeau wyruszyli na morze w deszczu i w towarzystwie zaledwie garstki dzielnych ludzi. Marynarze, mimo że często stawiają czoło



przeciwnościom losu, są jednak przesądni, a Perroquet nie był jedyną osobą w Breście, która zauważyła, że angielskie okręty wyglądają osobliwie.

Pokonawszy część drogi, śmiałkowie ujrzeli, iż dziwne okręty są całkiem szare i lśnią. Mimo pochmurnego nieba oraz ulewnego deszczu błyszcząły. Raz, na krótką chwilę, chmury się rozstały i promień słońca padł na morze. Wtedy okręty znikły. Potem całe niebo znów zaszło chmurami, a statki wróciły na swoje miejsca.

- Dobry Boże! - krzyknął admirał. - Cóż to ma znaczyć?

- Być może to duchy zatopionych angielskich okrętów - niepewnie zasugerował Perroquet.

Dziwne jednostki lśniły i migotały, co sprowokowało dyskusję na temat materiału, z którego je wykonano. Admirał stawiał na żelazo lub stal (metalowe okręty, coś podobnego! Słusznie przypuszczałam, że Francuzi są jednak bardzo dziwnym narodem).

Kapitan Jumeau zastanawiał się, czy to przypadkiem nie cynfolia.

- Cynfolia! - wykrzyknął admirał.

- O tak - oświadczył kapitan Jumeau. - Jak pan wie, damy zwijają cynfolię w szpulki i robią z niej koszyczki, które następnie stroją kwiatami i napełniają śliwkami w cukrze.

Admirała i Perroqueta zdumiała ta informacja. Cóż, kapitan Jumeau był urodziwym mężczyzną i z pewnością lepiej od nich znał się na zwyczajach dam. Ale skoro jedna dama przez cały wieczór robi koszyczek, ilu dam trzeba by na flotę? Admirał oświadczył, że głowa go boli na samą myśl.

Gdy znowu się roz pogodziło, byli już bliżej okrętów i widzieli, jak słońce prześwieca przez nie, pozbawiając je koloni, aż zaczynają przypominać bezbarwne odbłaski na wodzie.

- Szkło - oznajmił admirał i był bliski rozwiązania, ale to w końcu mądry Perroquet trafił w samo sedno.

- Nie, mój admirale, to deszcz. Zrobiono je z deszczu. Padające z nieba krople łączyły się, tworząc jednolitą strukturę, słupy, belki i żagle, które ktoś ukształtował na podobieństwo setki okrętów.

Perroquet, admirał i kapitan Jumeau zachodzili w głowę, kto mógł zrobić coś podobnego. Wspólnie uchwalili, że to zapewne zaklinacz deszczu.

- Nie tylko zaklinacz deszczu! - wykrzyknął admirał. - Do tego mistrz lalkarstwa! Patrzcie, jak podskakują na wodzie! Jak ich żagle wydymają się i opadają!

- Tak, to z pewnością najładniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem, mój panie admirale - Przytaknął Perroquet. - Powtarzam jednak to, co mówiłem wcześniej: ktokolwiek to jest, pojęcia nie ma o praktyce morskiej ani nawigacji.

Przez dwie godziny drewniana jednostka admirała krążyła wśród dziwnych okrętów. Jako że stworzono je z deszczu, nie wydawały żadnego dźwięku, nie słyhać było skrzypienia drewna, łopotu żagli na wietrze, krzyków załogi. Kilka razy grupki gładkolicych marynarzy z deszczu wychodziły na pokład popatrzeć na drewniany statek z załogą z krwi i kości, ale nie sposób powiedzieć, co sobie myśleli. Admirał, kapitan i Perroquet czuli się całkiem bezpieczni.

- Nawet jeśli postanowią do nas wycelować, mają jedynie armaty z deszczu. Najwyżej zmokniemy - słusznie zauważył Perroquet.

Zapomnieli, że wystrychnięto ich na dudka, że zmarnowali tydzień i że przez ten czas Anglicy dostali się do portów na wybrzeżu Bałtyku, Portugalii i do rozmaitych innych portów, do których cesarz Bonaparte wcale nie zamierzał ich wpuszczać. Nie mogli wyjść z podziwu, chociaż czar, który utrzymywał okręty w miejscu, najwyraźniej słabł (jeden z okrętów zaczął się rozpuszczać). Po dwóch godzinach deszcz ustał i w tej samej chwili zakłęcie przysło. Perroquet, admirał i kapitan Jumeau odczuli w głowach zawirowanie, jakby skosztowali kwartetu smyczkowego albo też przelotnie ogłuszył ich błękit. Na ułamek sekundy deszczowe okręty zamieniły się w okręty z mgły, a potem rozwiała je bryza.

Francuzi zostali sami na pustym Atlantyku.

## Rozdział dwunasty

*Duch Angielskiej Magii nakłania pana Norrella do wsparcia Brytanii grudzień 1807*

Pewnego grudniowego dnia na Cheapside zderzyły się dwa wielkie wozy. Jeden z nich, wypełniony baryłkami sherry, przewrócił się. Kiedy furmani - jeden przystojny, drugi zaś tłusty, obaj niczym Bachus i Sylenus - toczyli spór o to, kto zawinił, część gapiów zauważyła, że z jednej z beczek wycieka alkohol. Wkrótce zebrał się tłumek chętnych do wypitki: dzierżyli w dłoniach szklanki i karczmiaki, a także haki i pręty, by podziurawić beczki, które nie ucierpiały podczas kolizji. Wozy i tłum skutecznie zablokowały Cheapside, a na sąsiednich ulicach - Poultry, Threadneedle Street, Bartholomew Lane i (w drugim kierunku) Aldersgate, Newgate i Paternoster Row - utknęły całe sznury powozów. Nie sposób było wymyślić, jak rozplatać ten węzeł pojazdów, koni oraz ludzi.

Furmani postanowili zabawić siebie i publikę, otwierając drzwi wszystkich karet, by

sprawdzić, co też porabiają bogacze. Służba usiłowała temu zapobiec, ale motłoch był zbyt liczny i zbyt pijany, by zważać na baty wymierzane przez bardziej krewkich woźniców. Po otwarciu jednego z powozów tłusty furman wykrzyknął: „Coś takiego! Poczciwy Norrell!”. Zaraz obaj furmani wdarli się do pojazdu, by uściskać dłoń pana Norrella i, buchając na niego oparami sherry, zapewnić go, że w mig usuną z drogi wszystkie przeszkody, by bohater blokady Francji mógł przejechać. Dotrzymani obietnicy - szacowni obywatele patrzyli z przerażeniem, jak ich konie zostają wyprzęgnięte, a karety trafiają na podwórza garbarzy i w inne niemiłe miejsca. Część powozów na dobre utknęła w brudnych zaułkach, w dodatku miały zarysowaną politurę.

Kiedy furmani i ich towarzysze oczyścili drogę, by umożliwić panu Norrellowi triumfalny przejazd, odprowadzili karetę maga aż na Hanover Square, przez cały czas wiwatując, wyrzucając w górę kapelusze i śpiewając pochwalne pieśni.

Wyglądało na to, że wszyscy są zachwyceni fortem pana Norrella. Spora część francuskiej floty została zmuszona do pozostania w portach przez całych jedenaście dni, a w tym czasie Anglicy swobodnie pływali po Zatoce Biskajskiej, kanale La Manche i Morzu Północnym, realizując swoje zamierzenia. W różnych regionach Cesarstwa rozmieszczono szpiegów, do Anglii zaś wrócili agenci z informacjami o poczynaniach Bonapartego. Angielskie statki handlowe bez najmniejszych przeszkód rozładowały w holenderskich i bałtyckich portach ładunki kawy, bawełny i przypraw.

Mówiono, że Napoleon Bonaparte gorączkowo, aczkolwiek bezskutecznie, poszukuje we Francji własnego maga. W Londynie ministrowie ze zdumieniem przekonali się, że w końcu ich decyzje przypadły narodowi do gustu.

Pan Norrell otrzymał zaproszenie do Ministerstwa Marynarki Wojennej, gdzie właśnie popijał maderę w sali posiedzeń. Zajął fotel przy kominku i pogрузzył się w przyjaznej pogawędce z pierwszym lordem admiralicji Mulgrave'em i pierwszym sekretarzem admiralicji panem Horrocksem. Nad kominkiem wisiały rzeźbione w drewnie urządzenia nawigacyjne i girlandy kwiatów, które pan Norrell szczerze podziwiał. Opisał rozmówcom piękne rzeźby w bibliotece opactwa Hutfew.

- Ale i tak zazdroszczę panu - powiedział do lorda Mulgrave'a. - Jaka piękna kolekcja instrumentów! Szkoda, że ja nie mogę pochwalić się swoimi. Nie wyglądają tak imponująco. Nic równie skutecznie nie zachęca człowieka do rozpoczęcia dnia jak widok narzędzi pracy lub ich wizerunków wystruganych w angielskim dębie, jak tutaj. Mag potrzebuje niewielu akcesoriów. Zdradzę panu pewien sekret: im więcej przyrządów nosi mag - kolorowych proszków, wypchanych kotów, magicznych kapeluszy i tak dalej - tym większym jest

oszustem!

Pan Horrocks zapytał uprzejmie, jakich to nielicznych narzędzi potrzebuje mag.

- O, doprawdy, w zasadzie niczego - odparł pan Norrell. - Niczego poza srebrną misą do ukazywania wizji.

- Och! - wykrzyknął pan Horrocks. - Chyba oddałbym wszystko za możliwość ujrzenia takiej magii, a pan, lordzie? Drogi magu, czy zdołamy nakłonić pana do ukazania nam wizji w srebrnej misie?

Pan Norrell nie miał zwyczaju zaspokajać takich zachcianek, ale podziw ministrów tak polechtał jego próżność (obaj dżentelmeni nie szczędzili mu komplementów), że niemal natychmiast się zgodził. Posłano więc sługę po srebrną misę.

- Trzeba wlać czystą wodę do srebrnej misy o średnicy trzydziestu centymetrów - powiedział pan Norrell.

Niedawno admiralicja wysłała trzy okręty na południe Gibraltaru i lord Mulgrave bardzo był ciekaw, jak przedstawia się sytuacja: czy pan Norrell mógłby to sprawdzić? Pan Norrell nie miał pewności, lecz obiecał spróbować. Kiedy przyniesiono misę, a pan Norrell pochylił nad nią głowę, lord Mulgrave i pan Horrocks czuli się tak, jakby lada chwila angielska magia miała się objawić w całej okazałości, jakby żyli w czasach Stokeseya, Godblessa i Króla Kruków.

Na powierzchni wody ukazały się trzy okręty prujące morskie fale. Mocne i czyste śródziemnomorskie światło rozjaśniło ponure pomieszczenie oraz oblicza trzech dżentelmenów zaglądających do misy.

- Rusza się! - wykrzyknął lord Mulgrave zdumiony.

W rzeczy samej. Po błękitnym niebie płynęły zachwycające obłoczki, po falach okręty, a po pokładach krążyły maleńkie postaci. Lord Mulgrave i pan Horrocks bez trudu rozpoznali HMS *Katarzyna z Winchesteru*, HMS *Laurel* i HMS *Centaur*.

- Och, drogi panie! - zawołał pan Horrocks. - Centaur to okręt mego kuzyna. Pokaże mi pan kapitana Barry'ego?

Pan Norrell zaczął się wiercić i ze świstem wciągnął powietrze do płuc. W napięciu patrzył w srebrną misę, aż w końcu ukazał się w niej obraz rumianego, złotowłosego mężczyzny przypominającego przerośniętego cherubinka. Spacerował po tylnym pokładzie. Pan Horrocks poinformował dżentelmenów, że to jego kuzyn, kapitan Barry.

- Znakomicie wygląda, prawda? - dopytywał się. - Cieszy mnie, że pozostaje w dobrym zdrowiu.

- Gdzie oni są? Potrafi pan powiedzieć? - spytał pana Norrella lord Mulgrave.

- Niestety - odparł mag. - Wywoływanie obrazów to najmniej precyzyjna sztuka na świecie<sup>[24]</sup>. Jestem zaszczycony, że mogłem zaprezentować panom okręty Jego Królewskiej Mości. Jeszcze bardziej mnie cieszy, że właśnie o nie chodziło. Poszło lepiej, niż się spodziewałem, obawiam się jednak, że nic więcej nie zdołam zrobić.

Ministerstwo marynarki było zachwycone dokonaniem pana Norrella. Lord Mulgrave i pan Horrocks od razu zaczęli gorączkowo poszukiwać nowych zadań dla maga. Flota Jego Królewskiej Mości przechwyciła niedawno francuski liniowiec z przepięknym aflastonem w kształcie syreny o błękitnych oczach, koralowych wargach i z grzywą wspaniałych złotych loków, artystycznie podpiętych rzeźbionymi wizerunkami rozgwiad i krabów, oraz z ogonem jak piernikowy smakołyk pokrytym połączonym srebrem. Przed przejściem okręt przebywał w Tulonie, Cherbourgu, Antwerpii, Rotterdamie i Genui, syrena widziała zatem mnóstwo nieprzyjacielskich fortyfikacji i była obeznana z wielkim projektem cesarza Napoleona Bonapartego, dotyczącym rozbudowy floty. Pan Horrocks spytał, czy pan Norrell mógłby rzucić na nią zaklęcie, by zdradziła wszystko, co jej wiadomo. Pan Norrell spełnił jego życzenie. Niestety, choć zmuszono syrenę do mówienia, początkowo ani jej się śniło odpowiadać na pytania. Uważała się za nieprzejednanego wroga Anglików i bardzo ją ucieszyła możliwość wyrażenia swojej nienawiści. Jako towarzyszka marynarzy знаła mnóstwo wyzwisk i miotała nimi z zapalem, by obrazić każdego, kto znalazł się w zasięgu jej głosu, a brzmiał on jak skrzypienie masztów i drewna na silnym wietrze. Nie ograniczała się jednak do obelg. Gdy trzech marynarze, którzy musieli dokonać napraw na statku, znaleźli się w zasięgu jej drewnianych ramion, pochwyciła ich i cisnęła do wody.

Pan Horrocks udał się do Portsmouth na rozmowy z syreną. Prędko miał jej dość, więc oznajmił, że każe ją porąbać na szczapy i rozpalić ognisko. Ale syrena mimo francuskiego pochodzenia była bardzo mężna i oświadczyła, że chętnie pozna zuchwalca, który spróbuje ją spalić. Potem trzasnęła ogonem jak z bicia i przerażająco zamachała rękoma, strasząc drewniane rozgwiadzie oraz kraby we włosach.

Problem rozwiązano dzięki przystojnemu młodemu kapitanowi, który przechwycił statek. Został on wysłany, by klarowną francuszczyzną wyluszczyć słuszność angielskiej sprawy i straszliwą bezzasadność francuskiej. Nie wiadomo, czy syrenę przekonała siła słów kapitana, czy jego urodzive oblicze, dość że figura zdradziła panu Horrocksowi wszystko, co pragnął wiedzieć.

Powszechny szacunek dla pana Norrella rósł z dnia na dzień. Pan Holland, przedsiębiorczy grafik i właściciel warsztatu drukarskiego na St Paul's Churchyard, postanowił sporządzić sztych do sprzedaży. Rycina przedstawiała pana Norrella w

towarzystwie młodej damy, skąpo odzianej w luźną suknię. Wokół ciała panny udrapowano ogromne ilości ciemnego materiału, a dla jeszcze większej ozdoby gęste loki niewiasty przyozdobiono półksiężycem. Trzymała za ramię pana Norrella (najwyraźniej całkiem zaskoczonego) i energicznie ciągnęła go po schodach, z wielką afektacją wskazując dojrzałą damę, która siedziała na ich szczycie. Dojrzała dama była ubrana podobnie jak młoda, w suknię i draperię, a do tego dodano jej uroczy rzymski hełm. Szlochała gorzko, a podstarzały lew, jedyny towarzysz damy, leżał u jej stóp z ponurym wyrazem pyska. Ten sztych, zatytułowany Duch Angielskiej Magii nakłania pana Norrella do wsparcia Brytanii, cieszył się niesłychaną popularnością i pan Holland sprzedał niemal siedemset sztuk w ciągu miesiąca.

Pan Norrell nie bywał teraz na salonach tak często jak dawniej. Zwykle siedział w domu i podejmował rozmaitych ważnych gości. Widok pięciu lub sześciu eleganckich karet stojących o poranku przed budynkiem na Hanover Square nie był niczym nadzwyczajnym. Mimo czasu spędzonego w Londynie pan Norrell nadal był milczącym i nerwowym człowiekiem, więc gdyby nie panowie Drawlight i Lascelles, właściciele powozów z pewnością wynudziliby się podczas tych wizyt. To ci dwaj dżentelmeni brali na siebie trud prowadzenia konwersacji, a zależność pana Norrella od nich rosła z dnia na dzień. Childermass powiedział niegdyś, że trudno sobie wyobrazić, aby jakiś mag zatrudnił taką kreaturę jak Drawlight, ale Norrell wciąż go potrzebował. Drawlight stale jeździł powozem pana Norrella w jego sprawach i każdego ranka zjawiał się na Hanover Square, by poinformować maga o tym, co się mówi w mieście, kto urasta w potęgę, kto upada, kto ma długi i kto się zakochał. Dzięki temu pan Norrell, przesiadujący samotnie w bibliotece, znał londyńskie ploteczki równie dobrze jak każda matrona.

Jeszcze dziwniejsze było oddanie pana Lascellesa dla sprawy przywrócenia angielskiej magii, ale dawało się je całkiem łatwo wytłumaczyć. Lascelles należał do ludzi, którzy nienawidzą każdego stałego zajęcia. Doskonale świadom swych niezwykłych możliwości intelektualnych, nigdy nie zadał sobie trudu, by opanować jakąś gałąź wiedzy lub jakiegokolwiek umiejętności, i tak doszedł do wieku trzydziestu dziewięciu lat, nie nadając się na żadną posadę i do żadnej pracy. Gdy rozglądał się dookoła i widział tych, którzy w młodości harowali, by zdobyć władzę i wpływy, bez wątpienia czuł zazdrość. Dlatego bardzo mu odpowiadało stanowisko głównego doradcy największego maga epoki oraz fakt, że ministrowie pełnym szacunku tonem zadawali mu pytania. Wprawdzie sceptycyzm i obojętność nie schodziły z jego twarzy, ale w rzeczywistości był niezwykle zadowolony ze swojej nowej pozycji. Pewnego wieczoru w Bedford Lascelles i Drawlight zawarli

przymierze nad butelką porto. Uznali, że tak spokojnemu dżentelmenowi jak pan Norrell wystarczy dwaj przyjaciele. Zamierzali strzec nawzajem swoich interesów i nie dopuścić, by ktoś trzeci zbliżył się do maga.

To właśnie pan Lascelles pierwszy podsunął Norrellowi myśl o publikacji. Biedny pan Norrell czuł się nieustannie znieważany przez rozpowszechniane mylne poglądy na temat magii i bez przerwy ubolewał nad ludzką ignorancją.

- Proszę mnie, żebym im pokazywał duszki - utyskiwał - jednorożce, mantikory. Zupełnie nie rozumieją użyteczności magii. Interesuje ich tylko najbardziej niepoważny jej rodzaj.

- Magiczne sztuczki rozślawią pańskie imię, ale nie pomogą zrozumieć pańskich poglądów - zauważył Lascelles. - W tym celu musi pan publikować.

- O tak! - przytaknął pan Norrell z zapalem. - Mam szczerzy zamiar napisać książkę. Obawiam się jednak, że miną lata, nim znajdę czas, by podjąć się tego zadania.

- Och! Książka rzeczywiście oznacza mnóstwo pracy - wycodził pan Lascelles. - Ale nie miałem na myśli książki. Chodziło mi o dwa bądź trzy artykuły. Śmiem twierdzić, że każda gazeta w Londynie i Edynburgu opublikuje z zachwytem wszystko, co zechciałby pan przysłać. Ma pan wolną rękę w wyborze periodyków, radziłbym jednak, szanowny panie, zdecydować się na „Edinburgh Review”. Nie ma chyba w kraju domu z pretensjami do szlachectwa, w którym by go nie czytano. To najlepszy sposób na szybkie rozpowszechnienie swoich poglądów.

Pan Lascelles był tak przekonujący i roztaczał tak atrakcyjne wizje, że pan Norrell oczyma duszy widział już swoje artykuły na każdym stoliku, słyszał dyskusje o nich w każdym salonie. Gdyby nie wielka niechęć, jaką żywił do „Edinburgh Review”, od razu zasiadłby do pisania. Niestety, pismo to było znane z radykalnych opinii, krytyki rządu i sprzeciwu wobec wojny, a tego pan Norrell nie pochwalał.

- Poza tym - dodał - nie mam chęci recenzować książek innych autorów. Nowoczesne publikacje o magii są bardzo mało wiarygodne. Pełne nieprawdziwych informacji i mylnych opinii.

- Może pan zatem o tym napisać. Im bardziej bezceremonialnie, tym większy zachwyt pan wzbudzi.

- Ależ ja pragnę rozpowszechnić własne opinie, nie cudze.

- Jednakże, szanowny panie, jeśli będzie pan oceniał prace innych autorów i piętnował ich błędy, czytelnicy lepiej poznają pańskie opinie. To najprostsza rzecz w świecie, wykorzystać recenzję do swoich celów. Wystarczy tylko raz czy dwa wspomnieć o książce, a

przez resztę artykułu rozwijać temat zgodnie z własnym upodobaniem. Zapewniam pana, że wszyscy tak postępują.

- Hm - mruknął pan Norrell. - Może i ma pan rację. Ale w ten sposób wspierałbym coś, co w ogóle nie powinno było trafić do druku.

I w tej kwestii pan Norrell pozostał nieugięty.

Lascelles był rozczarowany. „Edinburgh Review” przewyższało konkurencję błyskotliwością i dowcipem. Artykuły czytali wszyscy w królestwie, od najskromniejszego wikariusza po premiera. W porównaniu z tymi publikacjami inne wydawały się nudne.

Lascelles już miał o wszystkim zapomnieć, kiedy pewnego dnia otrzymał list od młodego księgarza o nazwisku Murray. Pan Murray z należnym szacunkiem pytał, czy panowie Lascelles oraz Drawlight uczynią mu honor i pozwolą złożyć sobie wizytę w wybranym przez nich czasie. Twierdził, że ma propozycję związaną z osobą pana Norrella.

Kilka dni później Lascelles i Drawlight przywitali księgarza w domu pana Lascellesa na Bruton Street. Pan Murray był bardzo energiczny i rzeczowy - natychmiast przedstawił swoje stanowisko.

- Panowie, jak każdy mieszkaniec tych wysp, jestem zdumiony i zachwycony niezwykłym odrodzeniem angielskiej magii. Równie głęboko oszałamia mnie entuzjazm, z jakim brytyjskie społeczeństwo powitało powrót sztuki od dawna uważanej za martwą. Jestem przekonany, że periodyk poświęcony magii zyskałby sobie wielką popularność. Literatura, polityka, religia i podróże są wielce pożyteczne. Zawsze będą się cieszyły popularnością, ale magia! Prawdziwa, użytkowa magia, taka jak pana Norrella, ma pewną przewagę, gdyż jest zupełną nowością. Zastanawiałem się, panowie, czy waszym zdaniem pan Norrell odniesie się przychylnie do mojej propozycji. Słyszałem, że ma dużo do powiedzenia na temat magii. I że jego opinie bywają zdumiewające! Rzecz jasna, wszyscy znamy ze szkolnej ławy nieco historii i teorii magii, ale od dawna nie praktykowano jej na tych wyspach i śmiem twierdzić, że to, czego nas uczono, pełne jest błędów i wypaczeń.

- Ach! - wykrzyknął pan Drawlight. - Cóż za wnikliwie spostrzeżenie, szanowny panie! Jakże ucieszyłoby pana Norrella! Błędy i wypaczenia, otóż to! Gdy będzie miał pan zaszczyt porozmawiać z panem Norrellem, co ja czynię przy każdej nadarzającej się okazji, zobaczy pan, że tak właśnie przedstawia się sytuacja!

- Od dawna największym pragnieniem pana Norrella było przybliżenie szerszemu audytorium współczesnej magii - dodał pan Lascelles. - Niestety, publiczne obowiązki często kolidują z prywatnymi życzeniami, a admiralicja i ministerstwo wojny nie dają mu odpocząć.



Pan Murray odparł uprzejmie, że naturalnie kwestię wojny zawsze należy stawiać na pierwszym miejscu, a pan Norrell to skarb narodowy.

- Mam jednak nadzieję, że uda się wszystko rozplanować w taki sposób, by pan Norrell nie był zbyt przeciążony obowiązkami. Zatrudnimy redaktora, który będzie opracowywał każdy numer, zabiegał o artykuły i recenzje, wprowadzał zmiany. Wszystko pod nadzorem pana Norrella, naturalnie.

- No tak - powiedział Lascelles. - Oczywiście. Wszystko pod nadzorem pana Norrella. Na to będziemy nalegali.

Spotkanie zakończono w bardzo serdecznej atmosferze, a Lascelles i Drawlight obiecali natychmiast przedyskutować sprawę z panem Norrellem.

Drawlight popatrzył za odchodzącym panem Murrayem.

- Szkot - powiedział, gdy tylko za gościem zamknęły się drzwi.

- O, bez wątplenia - przytaknął Lascelles. - Ale to mi nie przeszkadza. Szkoci mają smykałkę do interesów. Myślę, że coś mogłoby z tego wyjść.

- Wydaje się godny szacunku, to niemal dżentelmen. Tyle że ma dziwny zwyczaj wpatrywania się w rozmówcę prawym okiem, podczas gdy drugie błędzi po pokoju. To mnie nieco niepokoi.

- Jest ślepy na prawe oko.

- Czyżby?

- Tak. Canning mi mówił. Jeden z jego nauczycieli mu w nie nożyk, gdy Murray był chłopcem.

- Wielkie nieba! Ale wyobraź sobie tylko, mój drogi! Czasopismo poświęcone magii! Nie sądziłem, że to możliwe! Norrell będzie zdumiony, kiedy mu o tym powiemy.

- Uzna to za rzecz najnaturalniejszą pod słońcem - zaśmiał się pan Lascelles. - Jego próżność nie ma granic.

Jak słusznie przewidział pan Lascelles, pan Norrell nie widział nic nadzwyczajnego w tej propozycji. Z miejsca zaczął piętrzyć trudności.

- To doskonały plan, niestety, zupełnie nierealny - powiedział. - Nie mam czasu na redagowanie czasopisma, a z pewnością nie powierzę tak odpowiedzialnego zadania innej osobie.

- Całkowicie podzielałem pańską opinię, póki nie przyszedł mi do głowy Portishead - oświadczył pan Lascelles.

- Portishead? A któż to jest Portishead? - spytał pan Norrell.

- No cóż, był magiem teoretykiem, ale...

- Magiem teoretykiem? - przerwał pan Norrell zaniepokojony. - Przecież pan wie, co o nich myślę.

- Proszę dać mi skończyć, mistrzu - powiedział Lascelles. - Tak bardzo pana podziwiał, że gdy doszło do niego, że nie pochwała pan działalności magów teoretyków, natychmiast tego zaniechał.

- Doprawdy? - Norrella nieco udobruchała ta informacja.

- Opublikował jedną lub dwie książki. Zapomniałem, co dokładnie, chyba historię szesnastowiecznej magii dla dzieci czy coś w tym rodzaju<sup>[25]</sup>. Naprawdę czuję, że może mu pan powierzyć to czasopismo. Nie ma obawy, że opublikuje coś, czego pan by nie pochwalał. Jest jednym z najuczciwszych ludzi w królestwie. Przede wszystkim będzie się starał pana zadowolić, tego jestem pewien<sup>[26]</sup>.

Nie bez oporów pan Norrell przystał na spotkanie z lordem Portisheadem i pan Drawlight napisał doń list z zaproszeniem na Hanover Square.

Lord Portishead miał trzydzieści osiem lat. Wyróżniał go wysoki wzrost i szczupłe ciało, a także długie, smukłe dłonie i stopy. Zazwyczaj nosił niemal biały surdut i bardzo jasne spodnie za kolano. Był poczciwą duszą, którą wszystko kłopotalo: jego własny wzrost, pozycja byłego maga teoretyka (jako inteligentny człowiek zdawał sobie sprawę z dezaprobaty pana Norrella), podobnie jak obecność światowców w rodzaju Drawlighta i Lascellesa. A poznanie pana Norrella - którego niezmiernie podziwiał - kłopotalo go najbardziej. W pewnym momencie lordem Portisheadem zawładnęły takie emocje, że zaczął się kołysać w przód i w tył, przez co, wzięwszy pod uwagę jego wzrost i jasny strój, przypominał brzozę na silnym wietrze.

Mimo zdenerwowania zdołał wyartykułować, że czuje się zaszczycony spotkaniem z wielkim magiem. Pan Norrell zaś był tak usatysfakcjonowany rewerencją lorda Portisheada, że łaskawie udzielił mu zezwolenia na ponowne studiowanie magii. Naturalnie lord Portishead był wniebowzięty, a kiedy usłyszał, że pan Norrell pragnie, by spędzał długie godziny w kącie jego salonu, wysłuchując jego opinii o współczesnej magii, a także redagował, wedle wskazówek pana Norrella, nowe czasopismo pana Murraya, wprost nie posiadał się z radości.

Nowe czasopismo zatytułowane zostało „Przyjaciele Angielskiej Magii”. Nazwę zapożyczono z wiosennego listu pana Segundusa do „Timesa”. O dziwo, żadnego z artykułów opublikowanych w „Przyjaciółach Angielskiej Magii” nie napisał pan Norrell. Jak się okazało, nie potrafił on skończyć ani jednej publikacji i nigdy nie był usatysfakcjonowany swoimi tekstami. Nie miał bowiem pewności, czy nie powiedział za dużo lub za mało<sup>[27]</sup>.

W pierwszych numerach niewiele rzeczy zainteresowałyby pilnego studenta magii. Jediną rozrywkę mogły stanowić artykuły, w których Portishead atakował w imieniu pana Norrella magów dżentelmenów, damy praktykujące magię, magów ulicznych, magów wędrownych, magicznie uzdolnione dzieci, Uczone Towarzystwo Magów Yorku, Uczone Towarzystwo Magów Manchesteru, uczone towarzystwa magów w ogóle i wszystkich innych magów.

## Rozdział trzynasty

*Mag z Threadneedle Street grudzień 1807*

Najsłynniejszym ulicznym magiem w Londynie był bez wątpienia Vinculus. Jego budka stała przed kościołem St Christopher Le Stocks na Threadneedle Street, po drugiej stronie Banku Anglii. Trudno powiedzieć, co cieszyło się większą sławą, bank czy stragan. Jednakże powód sławy - czy może złej sławy - Vinculusa nie dawał się łatwo wyjaśnić. W niczym nie był on lepszy od innych szarlatanów o przeredzonych włosach, odprawiających sztuczki za brudną żółtą kotarą. Jego zaklęcia zawodziły, proroctwa się nie spełniały, udowodniono również, że i jego transe są udawane. Przez wiele lat mocno angażował się w prowadzenie głębokich i ważkich dysput z duchem rzeki Tamizy. Wpadał w trans i zadawał pytania duchowi, którego głos wydobywał się z ust Vinculusa z towarzyszącymi studziennymi bulgotami i sykami. Zimą 1805 roku pewna kobieta zapłaciła Vinculusowi szylinga, by spytał ducha, gdzie mogłaby znaleźć zbiegłego męża. Duch udzielił jej wielu zdumiewających informacji i wokół straganu zebrał się tłum, by ich wysłuchać. Kilku gapiów wierzyło w moce Vinculusa, więc oracja ducha wywarła na nich wrażenie, inni jednak zaczęli się naigrawać z maga i jego klientki. Jeden z szyderców (bardzo pomysłowy jegomość) zdołał podpalić obuwie Vinculusa, gdy ten przemawiał. Mag natychmiast wyszedł z transu: skakał, wyjąc, próbując zzuć buty i jednocześnie zgasić jednym z nich ogień. Miotał się i setnie bawił tłum swym widokiem. Nagle coś wyleciało z ust Vinculusa, a dwóch ludzi natychmiast podniosło ów przedmiot i bacznie mu się przyjrzało. Było to metalowe urządzenie, długie na trzy centymetry, przypominające nieco harmonijkę. Kiedy jeden z mężczyzn włożył je do ust, przemówił głosem ducha rzeki Tamizy.

Mimo publicznego upokorzenia Vinculus zdołał zachować autorytet i godność, co

oznaczało, że jako jedyny wśród wszystkich ulicznych magików Londynu wzbudzał pewien respekt. Przyjaciele i admiratorzy pana Norrella wciąż namawiali go, by złożył wizytę Vinculusowi, i bardzo ich dziwiło, że mag nie ma takiego zamiaru.

Pewnego dnia, pod koniec roku, gdy burzowe chmury malowały na londyńskim niebie alpejskie krajobrazy, wiatr siał takie spustoszenie, że miasto na przemian tonęło w mrokach i jaśniało w słońcu, a deszcz stukał o parapety, zadowolony pan Norrell siedział w swojej bibliotece przed radośnie trzaskającym ogniem. Stolik zastawiony był smakołykami, a pan Norrell dzierżył w dłoni Język ptaków Thomasa Lanchestera. Przewracał strony w poszukiwaniu ulubionego akapitu, kiedy nagle przeraził się nie na żarty, słysząc donośny, pełen pogardy głos:

- Magu! Sądzisz, że zadziwiłeś wszystkich swymi dokonaniem?!

Pan Norrell uniósł wzrok i ze zdumieniem przekonał się, że w bibliotece stoi ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widział: chudy zaniedbany obdartus. Jego twarz miała barwę trzydniowego mleka, włosy barwę popielatego od dymu nieba Londynu, a ubranie przypominało kolorem Tamizę w brudnym Wapping. Nic w tym mężczyźnie nie było czyste, ale pasował do powszechnego wyobrażenia maga (w przeciwieństwie do pana Norrella). Stał wyprostowany, a z jego dzikich szarych oczu wзираła wrodzona władczość.

- O tak! - ciągnął piorunując wzrokiem Norrella. - Uważasz się za wielkiego człowieka! Wiedz jedno, magu! Twoje nadejście przepowiedziano dawno temu. Oczekuję cię od ponad dwudziestu lat! Gdzie się ukrywałeś?

Pan Norrell siedział w pełnej zdumienia ciszy, patrząc na oskarżyciela z szeroko otwartymi ustami. Czuł się tak, jakby człowiek ten sięgnął do jego głowy, wyrwał starannie skrywaną myśl i wyciągnął ją na światło dzienne. Po przybyciu do stolicy pan Norrell uświadomił sobie, że faktycznie od dawna był gotów. Gdyby wcześniej czarował dla dobra Anglii, Francuzi mogliby już dawno ponieść porażkę, a angielska magia zyskałaby należny jej szacunek w oczach narodu. Dręczyła go myśl, że przez swą opieszałość zdradził magię. Tajemniczy mężczyzna czynił mu wyrzuty niczym jego własne sumienie, które przybrało cielesną postać. Przez to czuł, że znalazł się na niekorzystnej pozycji podczas rozmowy z nieznajomym. Zacinając się, spytał zjawę, kim jest.

- Jam jest Vinculus, mag z Threadneedle Street!

- Och! - z ulgą wykrzyknął pan Norrell na wieść, że nie ma do czynienia z widziadłem. - Przyszedłeś tu żebrząc, jak rozumiem? No to zabieraj się stąd! Nie jesteś mi druhem w magii, nic ci nie dam. Żadnych pieniędzy. Żadnych obietnic pomocy. Żadnych listów polecających. Powiem wprost, że zamierzam...

- Znowu błąd, magu! Niczego dla siebie nie chcę. Jestem tu, by zdradzić ci twoje przeznaczenie. Po to przyszedłem na świat.

- Przeznaczenie? Chodzi o proroctwa, tak? - prychnął pan Norrell z pogardą. Wstał z fotela i szarpnął za sznurek od dzwonka, lecz żaden sługa nie przybył. - Nie mam nic do powiedzenia ludziom, którzy udają proroków. Lucas! Przepowiednie to bez wątpienia najbardziej niegodziwe sztuczki. Podobni tobie łajdacy mają nimi uczciwych ludzi. Magia nie patrzy w przyszłość, a magowie, którzy twierdzą, że jest inaczej, łżą. Lucas!

Vinculus rozejrzał się po bibliotece.

- Słyszałem, że masz tu wszystkie księgi, jakie kiedykolwiek napisano o magii - powiedział. - Mówi się też, że zgromadziłeś również te, które zaginęły podczas pożaru biblioteki w Aleksandrii. Ponoć znasz je na pamięć.

- Księgi i dokumenty to podstawa solidnej nauki i rzetelnej wiedzy - oświadczył pan Norrell oficjalnym tonem. - Magia musi się opierać na takich samych podstawach jak inne dyscypliny.

Vinculus raptownie ruszył przed siebie i z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy nachylił się nad panem Norrellem. Ten mimowolnie umilkł i wyciągnął szyję ku intruzowi, by usłyszeć, co gość ma do powiedzenia.

- *Wyciągnąłem dłoń* - wyszeptał Vinculus. - *Rzeki Anglii zawróciły i popłynęły w przeciwną stronę...*

- Słucham?

- *Wyciągnąłem dłoń* - rzekł Vinculus nieco głośniejszym głosem. - *Krew nieprzyjaciół stężała w ich żyłach...* - Wyprostował się, rozłożył ramiona i zamknął oczy jakby w religijnej ekstazie. Po czym przemówił mocnym, dźwięcznym głosem pełnym pasji:

- *Wyciągnąłem dłoń. Myśl i wspomnienie uleciało z głów moich wrogów niczym stado szpaków;*

*Moi wrogowie legli niczym puste worki.*

*Przybyłem do nich z mgieł i deszczu.*

*Przybyłem do nich o północy w snach.*

*Przybyłem do nich w stadzie kruków krążącym o świcie na północnym niebie.*

*Gdy zagrożenia nie dostrzegli, przybyłem do nich w krzyku, który przeszył ciszę zimowego lasu...*

- Tak, tak! - przerwał pan Norrell. - Naprawdę przypuszczasz, że taki bełkot to dla mnie coś nowego? Wszyscy szaleńcy na rogach ulic wykrzykują identyczne nonsensy. Wszyscy włóczędzy za żółtą kotarą usiłują otoczyć się tajemnicą, recytując coś w tym

rodzaju. Można to znaleźć w każdej trzeciorzędnej książce o magii wydanej w ostatnich dwustu latach. „Przybyłem do nich w stadzie kruków”! A co to ma znaczyć, chciałbym wiedzieć? Kto przybył do kogo w stadzie kruków? Lucas!

Vinculus go ignorował. Jego silny głos górował nad słabym, przenikliwym głosem pana Norrella.

*Deszcz utworzył wrota, a ja przez nie przeszedłem. Głazy tron utworzyły, ja na nim zasiadłem. Królestwa trzy mi ofiarowano, by mymi zostały na wieki. Anglie mi ofiarowano, by mą została na wieki. Bezimienny niewolnik srebrną nosił koronę, Bezimienny niewolnik królem był w obcym kraju...*

- Trzy królestwa! - zawołał pan Norrell. - Ha! Teraz rozumiem, co to ma być! Przepowiednia Króla Kruków! Cóż, jeśli masz nadzieję mnie olśnić, cytując tego dżentelmena, mocno się rozczarujesz. O tak, jesteś w błędzie! Nie ma maga, którego bardziej bym nienawidził!<sup>[28]</sup>

*Broń, którą wrogowie przeciwko mnie wznieśli, czczona jest w Piekło jak relikwia.  
Plany, które wrogowie przeciwko mnie uknuli, jak święte stronice są przechowywane.  
Krew, którą rozlałem na polach dawnych bitew, zakrystianie Piekle zebrali ze splamionej ziemi i włożyli do naczynia ze srebra i kości słoniowej.*

*Ofiarowałem Anglii magię, cenne dziedzictwo,*

*Lecz Anglicy mym darem wzgardzili.*

*Magia będzie spisana na niebie przez deszcz, lecz oni jej nie odczytają.*

*Magia będzie spisana na kamienistych wzgórzach, lecz ich umysły jej nie ogarną.*

*Zimą jałowe drzewa będą czarnym pismem, lecz oni tego nie pojmą...*

- Prawem każdego Anglika jest korzystać z usług kompetentnych i wykształconych magów - przerwał znowu pan Norrell. - Cóż ty im oferujesz? Mistyczne brednie o kamieniach, deszczu i drzewach? Całkiem jak Godbless, który twierdził, iż powinniśmy uczyć się magii od dzikich zwierząt. Czemu nie od świń? Albo od bezpańskich psów? Nie takiej magii pragną współcześni cywilizowani Anglicy! - Pan Norrell popatrzył z wściekłością na Vinculusa. Nagle coś przyciągnęło jego uwagę.

Vinculus nie ubrał się zbyt elegancko. Brudny krawat zwisał mu na szyi, a między nim a koszulą widać było fragment niedomytej skóry, na której widniał dziwny zawijas żywej niebieskiej barwy, przypominający nieco pociągnięcie pióra ku górze. Mogła być to blizna, pamiątka po ulicznej burdzie, ale najbardziej kojarzył się z barbarzyńskim ozdabianiem ciała, praktykowanym przez mieszkańców wysp południowych. O dziwo, Vinculus, który swobodnie wtargnął do obcego domu i wrzeszczał na jego właściciela, wydawał się

zawstydzony znamieniem. Kiedy dostrzegł, że pan Norrell na niego nie patrzy, przycisnął rękę do gardła i poprawił krawat, by je zasłonić.

*- Dwaj magowie objawią się w Anglii.*

Z ust pana Norrella wydobył się okrzyk, który zaczął się jak wrzask, a zakończył cichym, smutnym westchnieniem.

*Pierwszy się złąknie, drugi zapragnie mnie ujrzeć.*

*Pierwszy będzie na usługach złodziei i morderców, drugi snuć będzie knowania na własną zgubę.*

*Pierwszy pogrzebie serce w mrocznym lesie pod śniegiem, lecz bólu czuć nie przestanie.*

*Drugi w rękę wroga dojrzy najcenniejszą swą własność...*

- Och! Teraz wiem, że przybyłeś tu wyłącznie po to, by mnie skrzywdzić! Fałszywy magu, zazdrościsz mi sukcesu! Nie możesz zniszczyć mej magii, więc postanowiłeś zhańbić me imię i zburzyć spokój mojego umysłu!

*- Pierwszy przejdzie przez życie samotnie; swym własnym będzie stróżem.*

*Drugi przemierzy puste drogi, burza nad nim zagrzmi, a on szukać będzie ciemnej wieży na wysokim wzgórzu...*

Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wbiegło dwóch mężczyzn.

- Lucas! Davey! - zakrzeczał histerycznie pan Norrell. - Gdzieście byli?

Lucas zaczął coś mówić o sznurze od dzwonka.

- Co? Pochwyćcie go! Szybko!

Woźnica Davey był równie krzepki jak inni przedstawiciele tego fachu i nie brakowało mu sił po codziennych zmaganiach z czterema rodowodowymi końmi zaprzęgowymi. Złapał Vinculusa za tors i gardło. Magik bronił się energicznie, ciągnąc jednocześnie złowróźbne przepowiednie:

*- Zasiadam na czarnym tronie w cieniu, lecz oni mnie nie dostrzegą.*

*Deszcz utworzy dla mnie wrota, a ja je przekroczę.*

*Głazy utworzą dla mnie tron, a ja na nim zasiądę...*

Davey i Vinculus wpadli na stolik, zrzucając stos książek.

- Aaa! Ostrożnie! - krzyknął pan Norrell. - Ostrożnie, na miłość boską! Zaraz przewróci kałamarz! Zniszczy moje księgi!

Lucas dołączył do Daveya, by pomóc mu skępować mlójące ręce Vinculusa, podczas

gdy pan Norrell miotał się po bibliotece o wiele szybciej niż kiedykolwiek, zbierając książki i odkładając je w bezpieczne miejsca.

- *Bezimienny niewolnik srebrną włoży koronę* - wydyszał Vinculus.

Z uwagi na rękę Daveya, zaciśniętą na gardle intruza, oracja robiła mniejsze wrażenie. Vinculus zebrał się w sobie, uwolnił górną część ciała z uścisku woźnicy i wrzasnął:

- *Bezimienny niewolnik królem będzie w obcym kraju...*

I wtedy Lucas i Davey na wpół wywlekli, na wpół wynieśli go z pokoju.

Pan Norrell usiadł na fotelu przy oknie. Podniósł książkę, ale był nazbyt poruszony, by czytać. Wiercił się, obgryzał paznokcie, chodził po bibliotece, brał do ręki woluminy stracone podczas walki i oglądał je w poszukiwaniu oznak zniszczenia (nic nie znalazł), przede wszystkim jednak wciąż podchodził do okien i zerkał niespokojnie na ulicę, żeby sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje domu. O trzeciej w pomieszczeniu zrobiło się ciemno. Powrócił Lucas, by zapalić świece i dorzucić do ognia, a tuż za nim wszedł Childermass.

- Ach! - wykrzyknął pan Norrell. - Nareszcie! Słyszałeś, co zaszło? Zewsząd zdrada! Inni magowie śledzą mnie i planują mój upadek, a moi leniwi słudzy zapominają o swoich obowiązkach. Mają za nic, że mogę skończyć z podejrzanym gardłem! A ty, ty, niegodziwcze, tyś z nich najgorszy! Pojawił się całkiem nagle, jakby mocą magii! Dzwoniłem i krzychałem! Nikt nie przyszedł! Musicie odłożyć na później inne obowiązki. Najważniejsze teraz jest odkrycie, za pomocą jakich zaklęć dostał się do domu! Gdzie nauczył się magii? Co umie?

Childermass popatrzył ironicznie na swego pana.

- Cóż, jeśli to moje jedyne zadanie, już je wykonałem. Nie było żadnej magii. Jedna z podkuchennych zostawiła otwarte okienko do spiżarni, a sztukmistrz wszedł przez nie i krążył po domu, aż natrafił na pana. I tyle. Nikt nie przyszedł, gdyż ten człowiek przeciął sznur od dzwonka. Lucas i reszta nie usłyszeli pańskich krzyków. Nic nie słyszeli, dopóki nie zaczął wygłaszać tyrad. Wtedy przybyli natychmiast. Czyż nie tak, Lucas?

Lucas, klęcząc przy palenisku z pogrzebaczem w dłoni, przytaknął.

- Próbowałem panu powiedzieć, ale pan nie chciał słuchać.

Pan Norrell jednak doprowadził się do takiej hysterii z powodu domniemych magicznych umiejętności Vinculusa, że wyjaśnienie Childermassa wcale go nie uspokoiło.

- Och! - westchnął. - Jestem pewien, że chce mi wyrządzić krzywdę. W rzeczy samej, już mnie skrzywdził.

- O tak - przytaknął Childermass. - Skrzywdził okrutnie. W spiżarni pożarł trzy mięsne paszteciki.



- I dwa serki - dodał Lucas.

Pan Norrell musiał przyznać, że takie zachowanie nie pasuje do wielkiego maga, lecz nie mógł ochłonąć, póki nie dał upustu złości. Childermass i Lucas byli na szczęście pod ręką, więc zaczął od nich i uraczył ich długą przemową, pełną inwektyw pod adresem Vinculusa, największego niegodziwca na tej ziemi. Na koniec rzucił kilka aluzji na temat tego, jak fatalnie kończą zuchwali i leniwi służący.

Childermass i Lucas raczej się nie wystraszyli. Podobnej gadaniny musieli wysłuchiwać praktycznie co tydzień, odkąd przyszedli na służbę do pana Norrella. Poczekali, aż pan wyrzuci z siebie wszystkie pretensje, po czym Childermass powiedział:

- Pomijając paszteciki i serek, zadał sobie wiele trudu i ryzykował stryczek, żeby złożyć panu tę wizytę. Czego chciał?

- Och! Wygłosić przepowiednię Króla Kruków. Niezbyt oryginalny pomysł. Zupełny bełkot, jak zwykle. Było tam coś o polu bitwy i tron, i srebrna korona, ale przede wszystkim chodziło o wychwalanie innego maga. Zapewne miał na myśli siebie.

Teraz, kiedy pan Norrell zyskał pewność, że Vinculus nie jest groźnym rywalem, zaczął żałować, że wdał się z nim w dysputę. Powinien zachować wyniosłe milczenie. Pocięszył się, że Vinculus wyglądał znacznie mniej imponująco, kiedy Lucas i Davey wywlekali go z pokoju. W końcu myśl ta i przekonanie o własnej niewątpliwej wyższości przywróciły mu spokój. Niestety, krótkotrwały, gdyż powróciwszy do Języka ptaków, mag natrafił na następujący fragment:

*Cała magia sprowadza się do nieujarzmionej myśli ptaka nurkującego w przestrzeń. Nie ma na świecie drugiego stworzenia z takim potencjałem magicznym. Nawet najmniejszy z ptaków może odlecieć z tego świata i trafić przypadkiem do Innych Ziem. Skąd wiatr, który wieje ci w twarz, który przewraca karty twojej księgi? Gdzie żywiołowa muzyka maleńkich dzikich zwierząt napotyka magię Człowieka, gdzie można zrozumieć język wiatru i deszczu, i drzew, tam odnajdziemy Króla Kruków.<sup>[29]</sup>*

Kiedy pan Norrell spotkał się z lordem Portisheadem (co nastąpiło dwa dni później), natychmiast podszedł do lordowskiej mości i powiedział, co następuje:

- Mam nadzieję, drogi panie, że zamieści pan w czasopiśmie krytyczne uwagi pod adresem Thomasa Lanchestera. Przez lata podziwiałem *Język ptaków* jako odważną próbę przedstawienia czytelnikowi jasnego i zrozumiałego opisu magii aureatów, ale po dokładnej analizie widzę, że tekst ten skażony jest ich najgorszą wadą. Jest mistyczny, mój panie! Mistyczny!

## Rozdział czternasty

*Gospodarstwo Złamane Serce styczeń 1808*

Mniej więcej trzydzieści lat przed pojawieniem się w Londynie pana Norrella z planem zawiązania świata restauracją angielskiej magii pewien dżentelmen, Laurence Strange, odziedziczył spadek. Składały się nań dom niemal w ruinie, jałowa ziemia, góra długów oraz hipoteka. Rzeczywiście, problemy były poważne, ale Laurence Strange uznał, że rozwiąże je odpowiednia suma pieniędzy. Podobnie jak wielu dżentelmenów przed i po nim, postanowił okazywać wyjątkową uprzejmość każdej napotkanej dziedziczce. Jako przystojny mężczyzna o dobrych manierach i gładkim języku w mig ujął pannę Erquistoune, młodą Szkotkę z dziewięciuset funtami dochodu rocznie.

Dzięki posagowi panny Erquistoune Laurence Strange naprawił dom, użyźnił ziemię i spłacił długi. Wkrótce zaczął zarabiać pieniądze, a nie tylko je oddawać. Pomnożył swój majątek i pożyczał gotówkę na piętnaście procent. Te i inne zajęcia zajmowały cały jego czas. Nie okazywał już zainteresowania młodej żonie. Dał nawet jasno do zrozumienia, że jej towarzystwo i rozmowy z nią go nużą. Ona zaś, biedactwo, ciężko to przeżywała. Majątek Laurence'a Strange'a leżał w Shropshire, odległym zakątku kraju blisko granicy z Walią. Pani Strange nikogo tu nie знаła. Przywykła do miejskiego życia, balów i edynburskich sklepów, do błyskotliwych rozmów z przyjaciółmi, więc widok wysokich ponurych wzgórz wiecznie zalewanych potokami walijskiego deszczu niesłychanie ją przygnębiał. Przez pięć lat borykała się z samotnością, aż wreszcie zmarła na przeziębienie, którego nabawiła się podczas samotnego spaceru po wzgórzach w trakcie burzy.

Państwo Strange spłodzili jedno dziecko, które w chwili śmierci matki miało około czterech lat. Już kilka dni po pogrzebie chłopiec stał się przedmiotem gwałtownego sporu między Laurenceem Strange'em a rodziną zmarłej żony. Erquistoune'owie utrzymywali, że zgodnie z intercyzą duża część majątku pani Strange powinna zostać zamrożona dla jej syna, by przejął ją po dośnięciu do pełnoletności. Laurence Strange oświadczył jednak (co nikogo nie zdziwiło), że każdy grosz żony należy do niego i może z nim robić, co mu się żywnie podoba. Obie strony wynajęły adwokatów i rozpoczęły się dwa procesy sądowe: Strange kontra Erquistoune i Erquistoune kontra Strange - jeden w Doctors Commons w Londynie, drugi w

Szkocji - które wlokły się latami. W tamtym czasie widok syna sprawiał Laurence'owi Strange'owi przykrość. Uważał, że chłopiec jest jak bagniste pole albo zagajnik pełen chorych drzew - na papierze wart pieniądze, ale nie przynoszący zadowalających dochodów. Gdyby angielskie prawo pozwoliło Laurence'owi Strange'owi sprzedać syna i kupić lepszego, zapewne by tak uczynił<sup>[30]</sup>.

Tymczasem Erquistoune'owie uświadomili sobie, że Laurence Strange może unieszczęśliwić syna równie skutecznie jak niegdyś żonę, wobec czego brat pani Strange napisał pilnie do szwagra i zasugerował, żeby chłopiec spędzał część roku w domu wuja w Edynburgu. Ku wielkiemu zaskoczeniu pana Erquistoune'a pan Strange nie miał co do tego żadnych zastrzeżeń<sup>[31]</sup>.

I tak połowę dzieciństwa Jonathan Strange spędził w domu pana Erquistoune'a na Charlotte Square w Edynburgu, gdzie, jak można domniemywać, wyrobił sobie niezbyt wysokie mniemanie o ojcu. Tam pobierał nauki w towarzystwie trzech kuzynek, Margaret, Marii i Georgiany Erquistoune<sup>[32]</sup>. Edynburg to z pewnością jedno z najbardziej kulturalnych miast na świecie, a jego mieszkańcy są równie inteligentni i złaknieni rozrywek jak londyńczycy. Kiedy chłopiec przebywał u wuja, robił on wszystko, by go uszczęśliwić, w nadziei, że w ten sposób wynagrodzi mu zaniedbanie i chłód w domu ojca. Nie ma się więc co dziwić, że Jonathan stał się nieco zepsuty, nieco zadufany w sobie i skłonny do wywyższania się ponad innych.

Laurence'owi Strange'owi przybywało tymczasem lat i pieniędzy, lecz nie dobroci.

Kilka dni przed spotkaniem pana Norrella z Vinculusem w domu Laurence'a Strange'a zjawił się nowy pokojowiec. Starzy służący na wypródkę udzielali mu rad i deklarowali pomoc: powiedzieli, że Laurence Strange jest dumny i zły, że wszyscy go nienawidzą, że kocha tylko pieniądze, że od lat prawie nie rozmawia z synem. Dodali też, że ma temperament z piekła rodem i że za żadne skarby nie można go obrazić, bo będzie bardzo źle.

Nowy pokojowiec podziękował za informacje i obiecał wziąć je sobie do serca. Nikt nie wiedział jednak, że temperamentem dorównuje samemu panu Strange'owi, że często bywa sarkastyczny, gburowaty i ma bardzo wysokie mniemanie o własnych umiejętnościach i odpowiednio niskie o umiejętnościach innych. Nie opowiadał o swych słabostkach, bo ich nie zauważał. Często kłócił się z przyjaciółmi i sąsiadami, ale nigdy nie rozumiał przyczyny tych awantur i zawsze przypuszczał, że wina leżała po drugiej stronie. Na wypadek gdyby czytelnik wyobraził sobie, że rozdział ten będzie traktował wyłącznie o kłótniach, należy

natychmiast uściślić, że o ile Laurence Strange wprost kipiał złościwością i nieustannie knuł, jakby tu komuś zaszkodzić, o tyle nowy pokojowiec z charakteru nie był wcale taki zły. Miał dużo zdrowego rozsądku i potrafił bronić innych przed prawdziwą krzywdą równie zapalczywie, jak mścić domniemane zniewagi wyrządzone jemu.

Laurence Strange był stary i niewiele sypiał. Często bardziej ożywał się nocą niż za dnia. Zasiadał wtedy za biurkiem, żeby pisać listy i załatwiać interesy. Naturalnie któryś ze służących musiał czuwać razem z nim i obowiązek ten przypadł nowemu pokojowcowi już kilka dni po jego pojawieniu się w domu.

Wszystko szło wybornie, aż kilka minut po drugiej w nocy pan Strange wezwał nowego pokojowca i kazał sobie przynieść kieliszek sherry. Choć prośba ta nie była niczym nadzwyczajnym, pokojowiec miał problemy z jej spełnieniem. Nie znalazłszy sherry w żadnym typowym miejscu, zmuszony był zbudzić pokojówkę i spytać ją, gdzie znajduje się sypialnia kamerdynera, a następnie obudził kamerdynera i zapytał, gdzie trzyma się sherry. Potem nowy pokojowiec musiał poczekać, aż kamerdyner wyrazi swoje zdumienie tym, że pan Strange domaga się sherry, której zazwyczaj nie tykał. Syn pana Strange'a, pan Jonathan Strange - wyjaśnił kamerdyner, żeby pokojowiec lepiej zrozumiał obyczaje panujące w domostwie - bardzo lubił sherry i zazwyczaj trzymał butelkę lub dwie w swojej gotowni.

Ostatecznie nowy pokojowiec wyprawił się po sherry do piwnicy. Zadanie to wiązało się z zapalaniem świec, długą wędrówką po ciemnych, zimnych korytarzach, strząsaniem pajęczyn z ubrania, tłuczeniem głową o zardzewiałe narzędzia zwisające z pokrytych pleśnią sufitów i - jakby tego było mało - wycieraniem twarzy z krwi i ziemi. Gdy w końcu kieliszek sherry stanął przed panem Strange'em, ten wypił go duszkiem i zażądał następnego.

Pokojowiec doszedł jednak do wniosku, że wystarczy mu wizyt w piwnicy jak na jedną noc. Pamiętając słowa kamerdynera, poszedł więc na górę, do gotowni pana Jonathan Strange'a. Choć w pomieszczeniu płonęły świece, służący uznał, że nikogo tu nie ma. Nieszczerólnie zdumiało to nowego pokojowca, który wiedział, że marnotrawienie świec jest typową (i nie jedyną) wadą bogatych kawalerów. Zaczął otwierać szuflady i szafki, ściągać nocniki i zaglądać do nich, szukać pod stołami i krzesłami, zerkać do wazonów. (Jeśli czytelnika dziwi wybór miejsc, w których pokojowiec szukał trunku, mogą jedynie zauważyć, że miał on więcej do czynienia z bogatymi kawalerami niż czytelnik i wiedział, że ich postępowanie w sprawach domowych cechuje pewna ekscentryczność). Znalazł butelkę sherry, tak jak podejrzewał, w roli prawidła do butów.

Gdy pokojowiec nalewał sherry do kieliszka, zerknął na zwierciadło na ścianie i odkrył, że pokój wcale nie jest pusty. Jonathan Strange siedział w fotelu z wysokim oparciem

i zagłówkiem, śledząc z wyrazem wielkiego zaskoczenia na twarzy poczynania nowego sługi. Pokojowiec nie wyrzekł ani słowa na swoje usprawiedliwienie (bo cóż takiego miałby powiedzieć, żeby dżentelmen zrozumiał jego motyw? Co innego jakiś inny służący - ten pojąłby je w mig) - i w milczeniu wyszedł z garderoby.

Od pojawienia się w domu Strange'a pokojowiec żywił pewne nadzieje na podporządkowanie sobie reszty służących. Wydawało mu się, że przewaga intelektualna i olbrzymie doświadczenie czynią z niego idealną prawą rękę obu panów Strange'ów. W marzeniach pokojowca chlebodawcy mówili do niego: „Jak wiesz, Jeremy, to poważna sprawa, nie powierzyłbym jej nikomu prócz ciebie”. Nie można wprawdzie powiedzieć, że teraz porzucił te nadzieje, ale i nie udawał sam przed sobą, że Jonathan Strange był zachwycony, ujrzawszy kogoś, kto korzysta z jego prywatnych zapasów sherry.

I tak nowy pokojowiec wszedł do gabinetu Laurence'a Strange'a z osłabionymi ambicjami i niebezpieczną irytacją w duszy. Pan Strange od razu osuszył drugi kieliszek i mruknął, że chyba pozwoli sobie na jeszcze jeden. Na to nowy pokojowiec jęknął, złapał się za włosy i wrzasnął gromko:

- Na litość boską, stary durniu! Czemuś mi od razu tego nie powiedział? Przyniósłbym całą butelkę!

Pan Strange spojrział na niego ze zdumieniem i powiedział łagodnie, że nie musi przynosić następnego kieliszka, skoro to taki problem.

Służący wrócił do kuchni (zastanawiając się po drodze, czy nie był nazbyt obcesowy), ale kilka minut później znów usłyszał dzwonek. Pan Strange siedział przy biurku z listem w dłoni, i spoglądał przez okno na czarną jak smoła deszczową noc.

- Po drugiej stronie wzgórza mieszka pewien człowiek - powiedział - i ten list, Jeremy, musi do niego trafić przed świtem.

Ach! - pomyślał nowy pokojowiec - jak gładko poszło! Pilna sprawa konieczna do przeprowadzenia pod osłoną nocy! Mogło to oznaczać jedno: pan już zaczął przedkładać jego usługi nad usługi innych. Zachwycony oznajmił więc gorliwie, że natychmiast wyruszy, i wziął list, na którym widniało jedno słowo: „Wyvern”. Spytał, czy dom nosi jakąś nazwę, żeby mógł go znaleźć po nocy, jeśli zgubi drogę.

Pan Strange zaczął tłumaczyć, że dom nie ma nazwy, lecz po chwili wybuchnął śmiechem.

- Pytaj o Wyverna albo gospodarstwo Złamane Serce - powiedział.

Wyjaśnił pokojowcowi, że musi zejść z głównej drogi przy wyłamanej furtce, naprzeciwko

piwiarni Blackstocka. Za furtką znajdzie ścieżkę, która zaprowadzi go prosto do Złamanego Serca.

I tak nowy sługa zabrał konia, latarnię i wyjechał na główną drogę. Noc była bardzo posepna, głośnie wiał wiatr i zacinał ponury deszcz, przenikając na wskroś pokojowca, który wkrótce przemarzył do szpiku kości.

Ścieżka zaczynała się naprzeciwko piwiarni Blackstocka i wiała wokół wzgórza. Była straszliwie zarośnięta, właściwie nawet nie zasługiwała na miano ścieżki, a na środku rosły nawet młode drzewka. Silny wiatr zamieniał je w różgi, które chłostały walczącego z zimnem służącego. Po przebyciu mniej więcej kilometra czuł się jak po walce z kilkoma krzepkimi przeciwnikami (a jako krewki osobnik często wdawał się w sprzeczki w miejscach publicznych i to uczucie było mu dobrze znane). Przeklinał Wyverna, niedbałego próżniaka, za to, że nawet nie potrafił zadbać o swój żywopłot. Gdy po godzinie dotarł do miejsca, które niegdyś pewnie było polem, a teraz dziczą pełną głógów i ciernistych krzewów, pożałował, że nie wziął z sobą toporka. Przywiązał konia do drzewa i postanowił pieszo przedrzeć się przez chaszczę. Kolce były duże, ostre i liczne. Kilka razy tak nadział się na krzaki (tu ręka, z tyłu wykręcona noga), że ogarnęły go wątpliwości, czy w ogóle się stąd wydostanie. Dziwne, że za tak wysokim murem cierni ktoś mieszkał. Nowy pokojowiec uznał, że nie będzie zdumiony, jeśli się okaże, że pan Wyvern śpi od stu lat. Cóż, to mi nie przeszkadza, pomyślał, bylebym tylko nie musiał go całować.

Kiedy nad wzgórzem wstał smutny, szary poranek, nowy pokojowiec dotarł do zrujnowanego domku, który chyba miał złamany kręgosłup, a nie serce. Ściana z kominem odchylała się na zewnątrz, a sam komin wyglądał tak, jakby lada moment miał runąć. Osypujące się kamienne dachówki pozostawiały otwory, przez które prześwitywały przypominające zebra belki. Dzikie bzy i cierniste krzewy zarosły wnętrze, z werwą wybiły okna i wypchnęły drzwi z framug.

Pokojowiec stał przez pewien czas w deszczu, kontemplując ten ponury widok. Gdy uniósł głowę, zauważył, że ze szczytu wzgórza zmierza ku niemu jakaś baśniowa postać w wielkim, dziwnym kapeluszu i z laską w dłoni. Po chwili okazał się jednak, że był to zwykły farmer trzymający zwinięty kawał płótna nad głową, by nie zmoknąć.

- Człowieku! Coś ty sobie zrobił? - powitał pokojowca. - Cały jesteś we krwi, a twój strój w strzępach.

Posłaniec popatrzył na siebie i przekonał się, że to wszystko prawda. Wyjaśnił, że ścieżka jest zarośnięta i pełna cierni. Farmer spoglądał na niego ze zdumieniem.

- Przecież jest i dobra droga! - wykrzyknął. - Niespełna pół kilometra stąd, na zachód, doszedłbyś dwa razy szybciej! Kto, u licha, kazał ci wędrować tą ścieżką?

Pokojowiec nie odpowiedział, ale spytał, czy farmer zna pana Wyverna z gospodarstwa Złamane Serce.

- To dom Wyverna, ale on nie żyje od pięciu lat. Gospodarstwo Złamane Serce, mówisz? Kto ci powiedział, że tak się nazywa? Ktoś splątał ci figła. Stara ścieżka, gospodarstwo Złamane Serce, coś takiego! Chociaż nazwa całkiem pasuje. Wyyernowi rzeczywiście pękło tu serce. Miał biedak pecha, był właścicielem ziemi, która spodobała się pewnemu dżentelmenowi z doliny. Kiedy Wyvern nie chciał jej sprzedać, dżentelmen przysłał nocą oprychów, by wykopali całą fasolę, marchew i kapustę zasadzoną przez Wyverna, a kiedy i to nie pomogło, wytoczył mu proces. Biedny Wyvern nie miał pojęcia o prawie i w żaden sposób nie potrafił sobie poradzić z jego zawiłościami.

Nowy pokojowiec podumał nad tym przez chwilę.

- Wydaje mi się, że znam nazwisko tego dżentelmena.

- Och - prychnął farmer. - Każdy je zna. - Popatrzył uważniej na posłańca. - Człowieku, jesteś biały jak mleczny pudding i drżysz tak, jakbyś miał się rozpaść na kawałki!

- Zimno mi - przyznał pokojowiec.

Wtedy farmer (przedstawił się jako Bullbridge) zaczął nalegać, by rozmówca wrócił z nim do domu i posiedział przy kominku. Rozgrzałby się, zjadł coś i wypił, a może i chwilę poleżał. Służący podziękował jednak i powiedział, że po prostu mu zimno, to nic takiego.

Bullbridge wyprowadził więc nowego pokojowca na główną drogę (nie przez ciernie), którą ten wrócił do domu pana Strange'a.

Posępne białe słońce na ponurym białym niebie wyglądało jak alegoryczny obraz rozpacz. W drodze do domu nowy pokojowiec wyobraził sobie, że słońce to biedny Wyvern, a niebo to piekielne czeluście i że to pan Strange wrzucił tam Wyverna, by ten cierpiał na wieki.

Gdy posłaniec wrócił w końcu do domu, inni służący otoczyli go kołem.

- Och, młody człowieku! - wykrzyknął kamerdyner z troską w głosie. - Jak ty wyglądasz?! Czy to przez sherry, Jeremy? Rozgniewał się przez sherry?

Pokojowiec osunął się z konia na ziemię, złapał kamerdynera za frak i zaczął błagać o wędkę, tłumacząc, że musi natychmiast wyłowić biednego Wyverna z piekła.

Po kilku innych równie logicznych wywodach służący szybko zrozumieli, że nowy pokojowiec zaziębił się i majaczy. Położyli go więc do łóżka i posłali po lekarza. Gdy dowiedział się o tym Laurence Strange, wysłał drugiego posłańca, by przekazał lekarzowi, że

nie będzie potrzebny. Następnie Strange oświadczył, że ma ochotę na kleik, i nakazał kamerdynerowi przysłać nowego pokojowca. Kamerdyner natychmiast udał się na poszukiwania pana Jonathana Strange'a, żeby błagać go o ratunek, ale na nieszczęście młodszy pan Strange wstał wcześniej i pojechał do Shrewsbury. Spodziewano się go dopiero na następny dzień. Wobec tego służący musieli wywlec nowego sługę z łóżka, ubrać go, włożyć mu w drżącą dłoń tacę z kleikiem i przepchnąć go przez próg. Przez cały dzień pan Strange żądał rozmaitych drobiazgów, których dostarczycielem (co bardzo wyraźnie zaznaczył) miał być nowy pokojowiec.

O zmroku służący był rozpalony jak żeliwny kocioł i bredził o beczkach z ostrygami. Pan Strange oświadczył jednak, że zamierza czuwać drugą noc z rzędu i że nowy pokojowiec ma mu towarzyszyć. Dzielny kamerdyner poprosił pana Strange'a, by ten pozwolił mu go zastąpić. - Ach! Nie masz pojęcia, jak polubiłem tego człowieka - odrzekł pan Strange, a w jego oczach błysnęła odraza. - Życzę sobie, by zawsze był blisko mnie. Twoim zdaniem marnie wygląda? Według mnie brak mu świeżego powietrza.

I otworzył okno nad biurkiem. Natychmiast w pokoju zapanował lodowaty chłód, do środka wleciało kilka śnieżnych płatków. Kamerdyner westchnął, oparł pokojowca (który znów się ślaniał) o ścianę i dyskretnie wsunął mu do kieszeni rękawiczki.

O północy pokojówka zaniósła panu Strange'owi nieco kleiku. Po powrocie do kuchni oznajmiła, że Strange znalazł rękawiczki, wyjął je i położył na biurku. Służący ze smutkiem udali się na spoczynek, przekonani, że do rana nowy sługa wyciągnie kopyta.

Nadszedł ranek. Drzwi do gabinetu pana Strange'a były zamknięte. Minęła siódma, a nikt nie zadzwonił na służbę, nikt nie wyszedł. Potem ósma. Potem dziewiąta. Dziesiąta. Służący w rozpaczy załamywali ręce.

Zapomnieli jednak, podobnie jak sam Laurence Strange, że nowy pokojowiec to młody, krzepki mężczyzna, tymczasem Strange miał już swoje lata, a zmuszony był przecież dzielić z nim niektóre katusze dzisiejszej nocy. Siedem po dziesiątej kamerdyner i woźnica weszli razem do gabinetu i znaleźli służącego na podłodze, pogrążonego we śnie. Gorączka minęła. W głębi pokoju przy biurku siedział zamarznięty Laurence Strange.

Kiedy wieści o tych wydarzeniach obiegły okolicę, każdy chciał zobaczyć nowego pokojowca, tak jak każdy chciałby zobaczyć pogromcę smoków albo człowieka, który pokonał olbrzyma. Rzecz jasna, służący cieszył się z uznania. Przy którejś z kolei opowieści o swoich wyczynach odkrył, że to, co naprawdę powiedział panu Strange'owi, gdy ten zażądał trzeciego kieliszka sherry, brzmiało: „Och, niegodziwy stary grzeszniku! Możesz sobie dręczyć porządnych ludzi i wpędzać ich do grobu, ale wkrótce odpowiesz za każde



westchnienie, które przez ciebie wyrwało się z piersi uczciwego człowieka, za każdą łzę, którą wycisnąłeś z oka wdowy!” Niebawem okolica dowiedziała się, że kiedy życzliwy pan Strange otworzył okno z zamiarem wyziębienia nowego sługi na śmierć, ten wykrzyknął: „Pierwej będziesz drżał, Laurensie Strange’u, na koniec będziesz się smażył! Pierwej będziesz drżał, na koniec będziesz się smażył!” - ǐście prorocza aluzja do obecnej sytuacji pana Strange’a.

## Rozdział piętnasty

*Jak się miewa lady Pole? styczeń 1808*

Jak się miewa lady Pole?

To pytanie było na ustach wszystkich obywateli. Na Covent Garden o Ǔwiecie przekupnie pytali kwiaciarki: „Jak się miewa lady Pole?” U Ackermanna na Strandzie sam pan Ackermann rozpytywał klientów (arystokratów i wybitne osoby), czy mają nowe informacje o lady Pole. W Izbie Gmin podczas nudnych mów członkowie parlamentu szeptem pytali o to sąsiadów (obserwując kątem oka sir Waltera). W garderobach na Mayfair o brzasku pokojówki; błagając swe panie o wybaczenie, pytały: „...lecz czy lady Pole była wieczorem na balu? Jakże się miewa?”

I tak krążyły te pytania. „Och, lady Pole miewa się bardzo dobrze, doskonale” - brzmiała odpowiedź.

Dowodzi to smutnego ubóstwa naszego języka, gdyż lady Pole miewała się o wiele lepiej niż dobrze. W porównaniu z nią inni ludzie wydawali się bladzi i zmęczeni, niczym żywe trupy. Niezwykła energia, którą zaprezentowała rankiem po zmartwychwstaniu, wcale jej nie opuściła. Gdy lady Pole zażywała przechadzki, ludzie wodzili spojrzeniem za damą idącą niesłychanie zwawym krokiem, a towarzyszący jej lokaj, biedaczysko, włókł się zwykle z tyłu, czerwony na twarzy i bez tchu. Pewnego dnia minister wojny wychodził z banku Drummonda na Charing Cross i zderzył się nagle z lady Pole, która pędziła ulicą. Runął jak długi, ona zaś pomogła mu wstać, wyraziła nadzieję, że nic mu się nie stało, i zniknęła, nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Jak każda dziewiętnastoletnia dama lady Pole przepadała za tańcami. Nie opuszczała ani jednego na żadnym balu. Tańczyła bez zadyszki i bardzo ją oburzało, że wszyscy tak

szybko wychodzą.

- Jak można nazwać tak niemrawe przyjęcie balem?! - narzekła w rozmowie z sir Walterem. - Tańczyliśmy ledwie trzy godziny. - Po czym wyrażała zdziwienie słabą kondycją innych tancerzy. - Biedactwa! Bardzo mi ich żal.

Za jej zdrowie piła armia, marynarka i Kościół. Sir Waltera Pole'a często nazywano największym szczęśliwcem w królestwie i on sam podzielał tę opinię. Panna Wintertowne, biedna, blada, chora panna Wintertowne, wzbudzała jego współczucie, ale tryskającą zdrowiem i humorem lady Pole szczerze podziwiał. Kiedy niechęć przerodziła ministra wojny, sir Walter uznał to za przedni dowcip i wszystkim o tym opowiadał. Zwierzył się również lady Winsell, swej bliskiej przyjaciółce, że lady Pole jest dla niego żoną idealną - bystrą, energiczną, doskonałą pod wszystkim względami. Największe wrażenie robiły na nim jej niezależne poglądy.

- W zeszłym tygodniu powiedziała, że rząd nie powinien pożyczać pieniędzy ani słać wojsk królowi Szwecji, jak już zdecydowaliśmy, lecz raczej udzielić wsparcia rządowi Portugalii i Hiszpanii i w tych krajach stworzyć bazę do naszych działań przeciwko Bonapartemu. W wieku lat dziewiętnastu tak głęboko przemyślać rozmaite sprawy i wysnuwać tyle wniosków! W wieku lat dziewiętnastu tak śmiało sprzeciwiać się rządowi! Naturalnie, powiedziałem jej, że powinna trafić do parlamentu!

Lady Pole uosabiała wszystko, co ludzi fascynuje w pięknie, polityce, bogactwie i magii. Śmietanka towarzyska nie miała wątpliwości, że przeznaczeniem młodej damy jest wieść prym wśród najznamienitszych obywateli stolicy. Była mężatką już niemal trzy miesiące, nadszedł więc czas obrać kurs wyznaczony jej przez Los oraz socjetę. Wysłano zaproszenia na wspólną kolację, która miała się odbyć w drugim tygodniu stycznia.

Pierwsze przyjęcie młodej mężatki to doniosłe wydarzenie i pociąga za sobą mnóstwo drobnych utrapień. Osiągnięcia, które przyjmowano z uznaniem przez trzy lata, odkąd opuściła progi szkoły, to za mało. Gustowne stroje, dobór klejnotów, konwersacje po francusku, gra na fortepianie i śpiew już nie wystarczą. Teraz młoda mężatka musi poświęcić uwagę francuskiej kuchni i winom. Inni mogą jej doradzać w ważnych sprawach, lecz powinna ona polegać na własnym guście i preferencjach. Z pewnością będzie pogardzała stylem podejmowania gości prezentowanym przez jej matkę, będzie chciała robić wszystko całkiem inaczej. W Londynie modne towarzystwo bywa na kolacjach cztery, pięć razy w tygodniu. Czy świeżo upieczona małżonka, do tego dziewiętnastoletnia i rzadko do tej pory odwiedzająca kuchnię, zdoła obmyślić posiłek, który zadziwi i zadowoli tak wyrefinowane podniebienia?

Pozostaje jeszcze kwestia sług. W nowym domu świeżo upieczonej męzatkki wszyscy lokaje są na nowym terenie. Jeśli na gwałt potrzeba świec, innego widelca, grubej tkaniny do przeniesienia gorącej wazy z zupą, to gdzie je znajdują? W wypadku domostwa lady Pole na Harley Street pod numerem dziewiątym problemów było o wiele więcej. Połowa służących przybyła z hrabstwa Northampton, z posiadłości lady Pole w Great Hitherden, połowę zaś stanowili londyńczycy. Każdy wie, że służba ze wsi bardzo różni się od tej ze stolicy. Nie jest to właściwie kwestia obowiązków - gotować, czyścić i przynosić rzeczy trzeba zarówno w hrabstwie Northampton, jak i w Londynie. Nie, różnica polega przede wszystkim na sposobie wykonywania tych obowiązków. Dajmy na to, że ziemianin odwiedza sąsiada. Pod koniec wizyty lokaj podaje ziemianinowi płaszcz i pomaga mu go włożyć. To naturalne, że przy okazji zapytuje z szacunkiem o małżonkę. Ziemianin nie jest ani trochę urażony i sam rewanżuje się podobnym pytaniem. Być może słyszał, że babcia lokaja przewróciła się i potłukła, wycinając kapustę w swoim ogródku, i chciałby wiedzieć, czy wróciła do zdrowia. Ziemianin i lokaj żyją w małym świątku i znają się od dzieciństwa. W Londynie to nie uchodzi. Londyńskiemu lokajowi nie wolno zaczepiać gości swojego pana. Musi się zachowywać tak, jakby nie wiedział, że na świecie istnieją babcie i kapusta.

Na Harley Street pod numerem dziewiątym służący ze wsi wciąż czuli się nieswojo, bali się popełnić gafę i nawet nie wiedzieli, co jest właściwe. Wyśmiewano również ich mowę. Akcent z hrabstwa Northampton nie zawsze był zrozumiały dla londyńskich służących (trzeba przyznać, że nie zadawali sobie wiele trudu, by go zrozumieć), podobnie jak słowa „grule”, „korbol”, „baśka”, „szczypawa”, które oznaczały ziemniaki, dynię, wiewiórkę i skórka.

Londyńscy służący uwielbiali płatać figle wiejskim. Alfredowi, który był młodym lokajem, wręczyli talerze z brudną wodą i powiedzieli mu, że to francuska zupa i ma ją podać na kolację innym sługom. Często też kazali służbie ze wsi przekazywać polecenia chłopakowi rzeźnika, piekarzowi i latarnikowi ulicznemu. Polecenia te wydawali londyńskim slangiem, wulgarnym i obraźliwym, którego wiejscy służący nie rozumieli ni w ząb, za to chłopak rzeźnika, piekarz i latarnik uliczny rozumieli go doskonale. Chłopak rzeźnika podbił więc Alfredowi oko, a ukryci w spiżarni londyńscy służący pękali ze śmiechu.

Naturalnie wiejscy służący skarżyli się lady Pole (którą znali przez całe życie) na takie traktowanie, a ona z przerażeniem odkryła, że jej starzy przyjaciele są w nowym domu nieszczęśliwi. Brakowało jej doświadczenia i nie wiedziała, jak postąpić. Ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość słów wiejskich służących, bała się jednak pogorszyć sytuację.

- Co powinnam zrobić, sir Walterze? - spytała.

- Zrobić? - powtórzył sir Walter ze zdumieniem. - Nic. Pozostaw wszystko Stephenowi Blackowi. Kiedy Stephen z nimi skończy, będą pokorni jak owieczki i chętni do współpracy.

Przed ślubem sir Walter miał tylko jednego służącego, Stephena Blacka, któremu ufał bezgranicznie. Pod numerem dziewiątym na Harley Street Stephena Blacka nazywano kamerdynerem, jego obowiązki wykraczały jednak daleko poza obowiązki przeciętnego osobistego lokaja. W imieniu sir Waltera spotykał się z bankierami i prawnikami, studiował rachunki z dóbr lady Pole i relacjonował sir Walterowi, co w nich znalazł. Zatrudniał służbę i robotników, nie zasięgając niczyjej rady, nadzorował ich pracę, płacił rachunki i pensje.

Rzecz jasna, w wielu domach jest służący, który dzięki niezwyklej inteligencji i umiejętnościom ma znacznie większą władzę niż przeciętne sługi. W wypadku Stephena jednak sytuacja przedstawiała się jeszcze nadzwyczajniej, gdyż Stephen był czarnoskóry. Mówię „nadzwyczajniej”, bo zwykle czarnoskóry sługa bywa najniżej postawioną w hierarchii domu osobą, czyż nie? I to niezależnie od swej pracowitości i inteligencji. A jednak Stephen Black zdołał obalić tę uniwersalną zasadę. Prawda, dysponował wrodzonymi zaletami - był przystojny i postawny. Z pewnością nie zaszkodziło mu jednak, że jego panem był polityk, który z przyjemnością demonstrował światu liberalne poglądy, powierzając prowadzenie domu i interesy czarnemu służącemu.

Służący ze zdumieniem usłyszeli, że mają słuchać poleceń czarnoskórego. Wielu z nich do tej pory nawet nie widziało kogoś takiego. Część początkowo głośno wyrażała oburzenie i odgrażała się w ukryciu, że jeśli ośmieli się wydać im jakiś rozkaz, odpowiednio go potraktują. Niezależnie od swych pogroźek odkryli jednak, że nie mogą niczego zrobić. Powaga Stephena, otaczająca go aura władzy i rozsądne polecenia sprawiały, że słuchali go instynktownie.

Stephen od początku bardzo interesował chłopaka rzeźnika, piekarza, latarnika ulicznego i innych nowych znajomych służących z Harley Street. Zadawali pytania o jego tryb życia. Co jadał i pijał? Kim byli jego przyjaciele? Dokąd chadzał, kiedy miał wychodne? Służący z Harley Street mówili, że Stephen zjadał na śniadanie trzy gotowane jaja, przyjaźnił się z walijskim lokajem ministra wojny, a poprzedniego wieczoru był na balu służących w Wapping. Chłopak rzeźnika, piekarz i latarnik uliczny bardzo im byli wdzięczni za te informacje. Służący z Harley Street zapytali, po cóż komu ta wiedza? Chłopak rzeźnika, piekarz i latarnik uliczny byli wielce zaskoczeni. Czyżby służący z Harley Street naprawdę nie wiedzieli? Służący z Harley Street naprawdę nie wiedzieli. Chłopak rzeźnika, piekarz i

latarnik uliczny wyjaśnili, że po Londynie od lat krąży pogłoska, że Stephen Black wcale nie jest kamerdynerem, tylko afrykańskim księciem, dziedzicem wielkiego królestwa. Całe miasto wiedziało, że kiedy znudzi mu się służba, wróci do siebie i ożeni z księżniczką równie czarną jak on.

Po tej rewelacji służący dyskretnie obserwowali Stephena i doszli do wniosku, że to bardzo prawdopodobne. Czy nie świadczyło o tym ich posłuszeństwo? Przecież tak niezależni, dumni obywatele Anglii nie słuchaliby zwykłego czarnego człowieka. Po prostu instynktownie czuli respekt i rewerencję dla niego, taką jak człowiek z ludu czuje w obecności króla!

Tymczasem Stephen Black nie miał pojęcia o tych dziwacznych pogłoskach. Jak zwykle, starannie wykonywał swoje obowiązki. Ciągłe polerował srebra, uczył lokajów posługiwania *a la française*, strofował kucharki, zamawiał kwiaty, bieliznę stołową, noże i widelce, i robił tysiąc rzeczy niezbędnych do przygotowania domu oraz służby na wielkie przyjęcie. Kiedy wieczór ów w końcu nadszedł, dzięki pomysłowości Stephena wszystko prezentowało się wspaniale. Salon i jadalnię wypełniały wazony pełne cieplarnianych róż, tworzyły też szpaler wzdłuż schodów. Stół w jadalni był nakryty obrusem z białego adamaszku i błyszczał tak, jak błyszczy srebro, szkło i płomień świecy. Dwa wielkie weneckie lustra wisiały na ścianach, a na polecenie Stephena zawieszono je dokładnie naprzeciwko siebie, by odbicia podwajały, potrajały, zwielokrotniały srebra, szkło i liczbę świec. Kiedy goście w końcu zasiedli do kolacji, wydawali się skąpani w oślepiającym, złocistym świetle niczym w blasku chwały.

Najważniejszym gościem był pan Norrell. Cóż to za kontrast z czasami tuż po jego przyjeździe do Londynu! Wtedy go lekceważono, teraz siedział wśród największych w kraju, nadskakujących mu bez umiaru! Pozostali goście wciąż kierowali do niego rozmaite uwagi i pytania i wyglądało na to, że zachwycają ich krótkie, nieuprzejme odpowiedzi maga: „Nie wiem, o kogo chodzi” albo: „Nie mam przyjemności znać tego dżentelmena” czy: „Nigdy nie byłem we wspomnianym przez pana miejscu”. Część rozmów pana Norrella, tę ciekawszą, wzięli na swoje barki panowie Drawlight i Lascelles. Siedzieli po obu jego stronach, z zapalem przekazując słuchaczom jego opinie o współczesnej magii. Tego wieczoru magia była na ustach wszystkich. Znalazłszy się w jednym czasie oraz miejscu w pobliżu jedyne go maga Anglii i najsłynniejszego obiektu jego czarów, goście nie mogli ani myśleć, ani mówić o niczym innym. Wkrótce zaczęli omawiać rozmaite, rzekomo zwieńczone sukcesem, próby czarowania, rozpowszechnione w kraju już po zmartwychwstaniu lady Pole.

- Każda prowincjonalna gazeta donosi o dwóch lub trzech takich przypadkach -

zauważył lord Castlereagh. - Kilka dni temu czytałem w „Bath Chronicie” o mężczyźnie nazwiskiem Gibbons, z Milsom Street, który przebudził się w nocy, gdyż usłyszał włamywaczy. Podobno człowiek ten ma sporą bibliotekę pełną magicznych ksiąg. Wypróbował znane sobie zaklęcie i zamienił włamywaczy w myszy.

- Doprawdy? - zainteresował się pan Canning. - I jaki los spotkał myszy?

- Ukryły się w dziurach za boazerią.

- Ha! - wykrzyknął pan Lascelles. - Proszę mi wierzyć, drogi panie, nie było w tym żadnej magii. Gibbons usłyszał hałas, przestraszył się włamania, wypowiedział zaklęcie, otworzył drzwi i nie znalazł rabusiów, lecz myszy. A prawda jest taka, że od początku tam były. Wszystkie te historie są wyssane z palca. W Lincoln mieszka pewien nieżonaty duchowny o nazwisku Malpas. Wraz z siostrą postawił sobie za cel sprawdzać wydarzenia rzekomo powiązane z magią. W żadnym nie dopatrywał się prawdy.

- Ten duchowny i jego siostra bardzo podziwiają pana Norrella - dodał pan Drawlight z entuzjazmem. - Są zachwyceni, że ktoś przywróci Anglii szlachetną sztukę magii. Nie mogą znieść kłamstw nędznych naśladowców pana Norrella! Mierzi ich, że inni pragną przydać sobie ważności jego kosztem! To dla niego afront! Pan Norrell był tak miły, że zaopatrzył ich w niezawodne środki, dzięki którym mogą bez żadnych wątpliwości udowodnić fałsz takich pretensji - państwo Malpasowie jeżdżą po kraju faetonem, zawstydzając uzurpatorów!

- Pan Lascelles jest chyba zbyt łaskaw dla Gibbonsa - oświadczył pan Norrell z typową dla siebie pedanterią. - Wcale nie wiadomo, czy Gibbons nie działa z premedytacją. Na pewno skłamał w sprawie biblioteki. Wysłałem Childermassa na oględziny i podobno nie ma w niej ani jednej książki sprzed 1760 roku. Bezwartościowe! Całkiem bezwartościowe!

- Pozostaje nam jednak nadzieja, że duchowny i jego siostra wkrótce odkryją autentycznego maga - powiedziała lady Pole do pana Norrella. - Kogoś, kto ulżyłby panu w obowiązkach.

- Och! To niemożliwe! - wykrzyknął Drawlight. - Zęby dokonywać takich niezwykłych czynów, pan Norrell skrył się przed światem i przez wiele lat studiował księgi. Niestety, poświęcenie własnych interesów dla interesów kraju to niezwykła rzadkość! Zapewniam państwa, że nie ma nikogo podobnego!

- Jednak duchowny i jego siostra nie mogą ustawać w poszukiwaniach - upierała się lady Pole. - Wiem z własnego przykładu, ile wysiłku wymaga jeden magiczny czyn. Proszę pomyśleć, jak bardzo wskazana byłaby obecność asystenta.

- Wskazana, lecz mało prawdopodobna - mruknął pan Lascelles. - Malpasowie nie trafili na nic, co mogłoby sugerować, że ktoś o takich umiejętnościach w ogóle istnieje.

- Wszak sam pan mówił, że nie szukali! - zauważyła lady Pole. - Mają za zadanie demaskować fałszywą magię, a nie znajdować nowych magów. Nic prostszego, jak podczas podróży faetonem rozpytywać, kto czaruje i kto ma bibliotekę. Z pewnością ten dodatkowy obowiązek nie będzie im zbytnio ciążył i zrobią wszystko, by panu pomóc. - (To ostatnie powiedziała do pana Norrella). - Musimy mieć nadzieję, że wkrótce odniosą sukces, gdyż zapewne doskwiera panu samotność.

W odpowiednim czasie spożyto godziwe porcje mniej więcej pięćdziesięciu dań i lokaje zabrali zastawę. Panie się wycofały, a dżentelmeni zostali przy winie. Tym razem jednak mniej niż zwykle cieszyło ich własne towarzystwo. Nie mieli serca do plotek o znajomych, nawet polityka wydawała się nudna. Jednym słowem czuli, że chcieliby się znów znaleźć w towarzystwie lady Pole, więc powiedzieli sir Walterowi - nie było to pytanie, lecz stwierdzenie - że tęskni za żoną. Odparł, że nie. To być nie mogło! Powszechnie bowiem wiadomo, że dżentelmeni tuż po ślubie marnieją z dala od swych połowic. Nawet najkrótsza rozłąka może ich wpędzić w depresję i przyprawić o spazmy żołądka. Goście sir Waltera pytali jeden drugiego, czy gospodarz nie wygląda nieco markotnie. Wspólnie doszli do wniosku, że i owszem. Zaprzeczył. Och, robi dobrą minę do złej gry, nieprawdaż? Miło z jego strony, ale gołym okiem widać, że przypadek jest beznadziejny. Wobec tego postanowili zmiłować się nad nim i dołączyć do dam.

W kącie jadalni, przy kredensie, Stephen Black patrzył na wychodzących dżentelmenów. Trzej lokaje, Alfred, Geoffrey i Robert, pozostali w pokoju.

- Podawać herbatę, proszę pana? - spytał Alfred niewinnie.

Stephen Black wznosił smukły palec na znak, że mają pozostać na miejscu, i lekko zmarszczył brwi, by dać do zrozumienia, że należy zachować milczenie. Czekał, aż dżentelmeni znikną, a wtedy wykrzyknął:

- Co się, u licha, dzisiaj dzieje z wami wszystkimi?! Alfredzie! Wiem, że nieczęsto widzisz takie towarzystwo, ale to nie powód, by zapominać o doświadczeniu! Byłem zdumiony twoją głupotą!

Alfred wymamrotał przeprosiny.

- Lord Castlereagh poprosił o kuropatwę z truflami. Słyszałem wyraźnie! A ty przyniosłeś mu dżem truskawkowy! Coś ty sobie myślał?

Alfred wymamrotał coś niewyraźnie, dało się słyszeć jedynie słowo „groza”.

- Przestraszyłeś się? Czego?

- Wydawało mi się, że widzę jakąś postać za krzesłem lady Pole.

- Alfredzie, co ty wygadujesz?

- Wysokiego jegomościa w zielonym fraku, z grzywą lśniących srebrzystych włosów. Pochylał się i zaglądał w twarz lady Pole. Ale po chwili nikogo tam nie było.

- Alfredzie, spójrz na tamtą stronę pokoju.

- Tak, proszę pana.

- Co widzisz?

- Zasłonę, proszę pana.

- I co jeszcze?

- Żyrandol.

- Aksamitna kotara i żyrandol pełen świec. Oto twój odziany w zielony frak siwowłosy jegomość. Teraz pomóż Cissie odnieść porcelanę, a w przyszłości nie bądź taki niemądry. - Stephen Black odwrócił się do drugiego lokaja. - Geoffrey! Zachowywałeś się równie okropnie. Przysiągłbym, że myślisz o czymś zupełnie innym. Co masz na swoją obronę?

Biedny Geoffrey nie odpowiedział od razu. Mrugał powiekami, zaciskał wargi i w ogóle robił wszystko, co robi człowiek, kiedy usiłuje powstrzymać łzy.

- Przepraszam, ale muzyka mnie rozproszyła.

- Jaka muzyka? - chciał wiedzieć Stephen. - Nie było żadnej muzyki. Patrz! Słuchaj! Kwartet smyczkowy dopiero zaczął występ w salonie.

- Ależ, nie, proszę pana! Chodzi mi o piszczałkę i wiołę, które przez cały czas grały obok, gdy damy i dżentelmeni jedli kolację. Och, proszę pana! To była najsmutniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałem. Mało mi serce nie pękło!

Stephen patrzył na niego ze zdumieniem.

- Nie rozumiem cię - powiedział. - Nie było piszczałki ani wioli. - Odwrócił się do ostatniego lokaja, ciemnowłosego mężczyzny lat około czterdziestu. - Robercie! Zupełnie nie wiem, co ci powiedzieć! Czy nie rozmawialiśmy wczoraj?

- Rozmawialiśmy, proszę pana.

- Czy nie mówiłem ci, jak bardzo mi zależy, byś świecił przykładem?

- Tak, proszę pana.

- Jednakże z dziesięć razy podchodziłeś tego wieczoru do okna! Co ty sobie myślałeś? Lady Winsell rozglądała się, szukając kogoś, kto przyniesie jej czysty kieliszek. Miała się zajmować stołem, a nie oknem, i obsługiwać gości lady Pole!

- Przepraszam, ale słyszałem stukanie w okno.

- Stukanie? Jakie stukanie?

- Gałęzi o szybę, proszę pana.



Stephen Black ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

- Ależ, Robercie, koło domu nie rośnie żadne drzewo! Wiesz o tym doskonale.

- Wydawało mi się, że wokół domu wyrósł las - powiedział Robert.

- Co takiego?! - krzyknął Stephen.

## Rozdział szesnasty

*Utracona Nadzieja styczeń 1808*

Służący na Harley Street wciąż byli święcie przekonani, że miewają widzenia i słyszą po kątach żałośliwe dźwięki. Kucharza Johna Longridge'a i podkuchenne prześladował dźwięk żalobnych dzwonów. W rezultacie, jak wyjaśniał Longridge Stephenowi Blackowi, każdy przypominał sobie natychmiast wszystkich zmarłych, wszystkie wartościowe rzeczy, które utracił, całe zło, jakie mu się przytrafiło. Służący byli przygnębieni i smutni, odechciewało im się żyć.

Geoffreya i Alfreda, dwóch najmłodszych lokajów, dręczyły dźwięki piszczałki i wioli, które Geoffrey słyszał już na przyjęciu. Muzyka zawsze dochodziła z sąsiedniego pokoju. Stephen oprowadził ich po domu i udowodnił, że nikt nie gra na żadnych instrumentach, ale na nic się to zdało. Wciąż byli przestraszeni i nieszczęśliwi.

Zdaniem Stephena, najdziwniejsze okazało się zachowanie Roberta, najstarszego lokaja. Od początku robił on na Stephenie wrażenie roztropnego, sumiennego i godnego zaufania człowieka, jednym słowem, wydawał się ostatnią osobą na świecie, która mogłaby paść ofiarą wydumanych strachów. Robert jednak wciąż się upierał, że wokół domu rośnie niewidzialny las. Kiedy odpoczywał po pracy, słyszał upiorne szuranie gałęzi o mury i stukanie w szyby. Korzenie drzew ukradkiem rosły pod fundamentami i rozsadzały cegły. Robert twierdził, że las jest stary i groźny. Wędrując po nim, człowiek miałby się czego obawiać ze strony drzew, a także ze strony tego, kto się między nimi skrywał.

Ale mimo iż Stephen tłumaczył, że najbliższy las tych rozmiarów rósł ponad sześć kilometrów dalej, na Hampstead Heath i nawet tam drzewa były całkiem niewinne, nie tłoczyły się wokół domów, by je niszczyć, Robert jedynie kręcił głową i dygotał. Cóż, Stephen mógł sobie mówić, co chciał.

Jedyną pociechą w tej sytuacji było to, że ta dziwna obsesja pogodziła służących.

Londyńczykom przestało przeszkadzać, że służący ze wsi mówią powoli i mają staroświeckie manieri. Wiejscy służący zaś nie skarżyli się już Stephenowi na mało zabawne figle kolegów. Całą służbę zjednoczyło przekonanie, że dom jest nawiedzony. Po skończonej robocie wszyscy siadywali w kuchni, gdzie opowiadali historie o innych domach, w których straszło, i o potwornym losie, jaki spotkał ich mieszkańców.

Pewnego wieczoru, mniej więcej dwa tygodnie po przyjęciu u lady Pole, służący zgromadzili się wokół kuchennego paleniska i oddali ulubionemu zajęciu. Stephens wkrótce zmęczyło słuchanie, więc powrócił do swojego pokoiku, by poczytać gazetę. Przebywał tam zaledwie kilka minut, gdy usłyszał dzwonek. Odłożył gazetę, narzucił na siebie czarny frak i poszedł sprawdzić, kto go wzywa.

W wąskim korytarzyku łączącym kuchnię z pokojem kamerdynera znajdował się rząd dzwonek. Pod dzwonekami starannie wypisano brązową farbą nazwy wszystkich pomieszczeń: salon wenecki, żółty salon, jadalnia, bawialnia lady Pole, sypialnia lady Pole, gotownia lady Pole, gabinet sir Waltera, sypialnia sir Waltera, garderoba sir Waltera, Utracona Nadzieja.

- Utracona Nadzieja? - mruknął Stephen. - Co to takiego, u licha?

Tego ranka zapłacił stolarzowi za zainstalowanie dzwonek i zapisał to w księdze rachunkowej: „Dla Amosa Judda, za instalację 9 dzwonek w kuchennym korytarzu i wymalowanie nazw pod spodem, 4 szylingi”. Teraz jednak dzwonek było dziesięć, a dzwonek Utraconej Nadziei brzęczał niecierpliwie. Może to żart Judda, pomyślał Stephen. Tak czy siak, trzeba go jutro wezwać, żeby to naprawił.

Nie bardzo wiedząc, co robić, Stephen obszedł wszystkie pomieszczenia na parterze. Były puste. Wspiął się wobec tego po stopniach na pierwsze piętro. Na szczycie schodów ujrzał drzwi, których nigdy wcześniej nie widział.

- Kto tam jest? - wyszeptał zza nich jakiś głos. Nie był on znany Stephenowi i choć tylko szeptał, był bardzo przenikliwy, jakby dostał się do głowy Stephensina inną drogą niż uszami.

- Czy ktoś jest na schodach? - dopytywał się ktoś szeptem. - Czy to sługa? Wchodź, proszę! Jesteś mi potrzebny.

Stephen zapukał i wszedł.

Pokój był równie tajemniczy jak drzwi. Gdyby ktokolwiek kazał Stephenowi go opisać, powiedziałby, że pomieszczenie urządzono w gotyckim stylu. Tylko tak mógł go określić. Nie było tu jednak typowych dla gotyku ozdób, jakie można napotkać na rycinach *Skarbnicy sztuki* pana Ackermanna. Stephen nie widział spiczastych średniowiecznych łuków,

kunsztownie rzeźbionego drewna, żadnych eklezjastycznych motywów. Ściany, podłogę i sufit wykuto w zwykłym szarym kamieniu. Małe okno wychodziło na rozgwieżdżone niebo. W oknie nie było nawet kawałka szyby, więc po pokoju hulał wiatr.

Blady dżentelmen z gęstą grzywą srebrzystych, przypominających puch ostu włosów patrzył na swoje odbicie w starym popękany zwierniadle. Na jego twarzy malowało się głębokie niezadowolenie.

- Tu jesteś! - Spojrzał ponuro na Stephena. - W tym domu można dzwonić i dzwonić, ale nikt nie przychodzi!

- Bardzo przepraszam - powiedział Stephen. - Nikt mi nie przekazał, że pan tu jest.

Załoczył, że dżentelmen jest gościem sir Waltera albo lady Pole, ale skąd się wzięło to pomieszczenie? Dżentelmeni często goszczą w cudzych domach. Pokoje raczej nie.

- Czym mogę panu służyć? - spytał Stephen.

- Ależ głupiec z ciebie! - wykrzyknął dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Nie wiesz, że dziś lady Pole przybywa na bal urządzany w mym domu? Mój osobisty sługa gdzieś się skrył. I jak ja mam się pojawić u boku pięknej lady Pole w takim stanie?

Dżentelmen miał powody do narzekania: był nie ogolony, dziwne włosy wyglądały jak płatanina gałęzi, do tego był jedynie otulony pudermantlem.

- Zaraz do pana wrócę - zapewnił go Stephen. - Najpierw muszę znaleźć przyrządy do golenia. Nie wie pan zapewne, co służący zrobił z brzytwą.

Dżentelmen wzruszył tylko ramionami.

W pokoju nie było toaletki, jedynie kilka sprzętów. Znalazło się tu lustro, stołek na trzech nogach i dziwne krzesło, wyglądające na wyrzeźbione z kości. Stephen nie sądził, by były one ludzkie, choć bardzo je przypominały. Na stołku, obok ślicznej szkatułki znalazł srebrną brzytwę misternej roboty. Na podłodze stała zniszczona cynowa miednica pełna wody.

O dziwo, w pokoju nie było kominka, tylko zardzewiała żelazny piecyk z rusztem pełen gorących węgielków, z którego na podłogę wysypywał się popiół. Stephen podgrzał wodę na piecyku i ogolił dżentelmena. Kiedy skończył, mężczyzna obejrzał się w lustrze i oświadczył, że jest niezwykle zadowolony. Zdjął pudermantel i czekał cierpliwie w kałesonkach, podczas gdy Stephen masował jego skórę włosiem szczotki. Stephen nie mógł nie zauważyć, że choć inni dżentelmeni czerwienieli jak raki podczas takich zabiegów, ten zachował błądź. Jego skóra nabrała jedynie białawej poświaty, przypominającej blask księżycy albo macicy perłowej.

Stephen nigdy nie widział równie pięknych ubrań jak te należące do tajemniczego

dżentelmena. Koszula była starannie wyprana, a buty lśniły niczym czarne zwierciadła. Najpiękniejszy wydał mu się tuzin muślinowych krawatów, cienkich jak pajęczyna i sztywnych jak papier nutowy.

Ukończenie toalety zajęło dwie godziny, gdyż dżentelmen był, jak się okazało, niesłychanie próżny. W tym czasie nieznamy z coraz większym entuzjazmem wychwalał Stephena.

- Powiem ci, że mój niezdarny sługa nie jest nawet w połowie tak zręczny przy czesaniu - oświadczył. - A kiedy przychodzi do subtelnej sztuki wiązania muślinowych krawatów, to dopiero! W ogóle się na tym nie zna!

- Ja bardzo lubię takie zajęcia - zapewnił Stephen. - Szkoda, że sir Walter nie przykładła większej wagi do strojów. Niestety, dżentelmeni zajmujący się polityką nie mają czasu na myślenie o takich sprawach.

Gdy Stephen pomógł gościowi wdziać zielony frak (najlepszej jakości i najmodniejszego kroju), dżentelmen podszedł do stołka i podniósł leżącą na nim szkatułkę, wykonaną ze srebra i porcelany. Puzderko było rozmiarów tabakiery, choć nieco dłuższej niż przeciętna. Stephen zachwycił się kolorem szkatułki, niezupełnie niebieskim i niezupełnie szarym, niezupełnie lawendowym i niezupełnie liliowym.

- O tak! Jest piękny - przytaknął dżentelmen z zapalem. - I bardzo trudno go stworzyć. Pigment należy mieszać ze łzami dziewic z dobrych rodzin. Damy te muszą wieść długie cnotliwe życie i umrzeć, nie zaznawszy prawdziwego szczęścia nawet przez jeden dzień.

- Biedne damy! - powiedział Stephen. - Cieszy mnie zatem, że barwa ta jest taka rzadka.

- Och, to nie z powodu braku łez, mam ich pełne butle, tylko ze względu na trudną sztukę mieszania barw.

Ponieważ dżentelmen stał się tak przyjazny i nabrał chęci na pogawędkę, Stephen zapytał go bez wahania:

- A co pan trzyma w takiej ślicznej szkatułce? Tabakę?

- Ależ nie! To mój wielki skarb. Pragnę, by lady Pole nosiła go dziś na moim balu! - Otworzył pudełko i pokazał Stephenowi mały palec.

Stephen nieco się zdziwił, ale zdumienie szybko minęło. Gdyby ktoś go wtedy o to zapytał, odparłby, że panowie często noszą przy sobie małe palce w szkatułkach, niejednokrotnie spotkał się z tym zwyczajem.

- Od dawna jest w pańskiej rodzinie? - spytał uprzejmie.

- O nie, od niedawna.

Dżentelmen zatrzasnął wieczko i włożył szkatułkę do kieszeni.

Potem wraz ze Stephenem podziwiał swoje odbicie w lustrze. Stephen nie mógł nie zauważyć, jak doskonale się uzupełniają: lśniąca czarna skóra obok opalizującej białej. Każdy z nich był ideałem męskiej urody. Dokładnie taka sama myśl przyszła do głowy dżentelmenowi.

- Ależ jesteśmy przystojni! - oznajmił zdumiony. - Teraz widzę, że popełniłem straszliwą gafę! Wziąłem cię, panie, za sługę w tym domu! Wszak to zupełnie niemożliwe! Godność i uroda świadczą o twym szlachectwie, może nawet królewskiej krwi! Jesteś tu pewnie gościem, panie, podobnie jak ja. Proszę cię zatem o wybaczenie i dziękuję za nieocenioną pomoc w przygotowaniach do spotkania z piękną lady Pole.

Stephen uśmiechnął się do niego.

- Ależ ja jestem służącym - wyjaśnił. - Służącym sir Waltera.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu uniósł brew.

- Człowiek tak utalentowany i przystojny jak ty nie powinien być sługą - oświadczył. - Powinieneś dysponować wielkim majątkiem! Na cóż piękno, chciałbym wiedzieć, jeśli nie służy za widoczny dowód wyższości nad innymi? Rozumiem, o co tu chodzi. Wrogowie uknuli spisek, żeby pozbawić cię majątku i strącić pomiędzy ignorantów i pospółstwo.

- Nie, panie. Jest pan w błędzie. Zawsze byłem służącym.

- Cóż, nic nie rozumiem - przyznał dżentelmen, ze zdumieniem kręcąc głową. - Jest w tym jakaś tajemnica i z pewnością się nią zajmę w wolnej chwili. Tymczasem w nagrodę za piękne ułożenie mi włosów i inne przysługi zapraszam cię dziś na mój bal.

Była to propozycja tak niezwykła, że Stephen przez chwilę nie miał pojęcia, co powiedzieć. Albo jest szaleńcem, albo radykalnym politykiem, który pragnie znieść wszelkie różnice klasowe, pomyślał i rzekł na głos:

- Świadom jestem wielkiego zaszczytu, jaki mi pan czyni, ale proszę mi wybaczyć i spróbować mnie zrozumieć. Inni goście przyjdą do pańskiego domu, oczekując dam i dżentelmenów swojego stanu. Kiedy odkryją, że zadają się ze sługą, z pewnością potraktują to jak policzek. Dziękuję panu za życzliwość, nie chcę jednak zawstydząć pana ani też obrażać pańskich przyjaciół.

Te słowa najwyraźniej jeszcze bardziej zdumiały dżentelmena o włosach jak puch ostu.

- Cóż za szlachetność! - wykrzyknął. - Poświęcać własną przyjemność w imię zadowolenia innych! Muszę przyznać, że podobna myśl nigdy nie powstała mi w głowie. To tylko jeszcze mocniej utwierdza mnie w przekonaniu, by obdarzyć cię przyjaźnią i zrobić

wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. Czegoś jednak nie rozumiesz. Ci goście, o których się tak troszczysz, to tylko moi wasale i poddani. Żaden z nich nie ośmieli się skrytykować ani mnie, ani nikogo, kogo zechcę nazwać przyjacielem. A jeśli nawet, to co? Zawsze możemy ich zabić. Doprawdy - dodał nieoczekiwanie, jakby znudzony rozmową - nie ma sensu o tym dyskutować, skoro jesteś na miejscu.

I odszedł, a Stephen uświadomił sobie, że stoi w wielkiej sali, gdzie tłum ludzi tańczy do smutnej muzyki.

Znowu nieco się zdziwił, ale podobnie jak poprzednio w jednej chwili przywykł do sytuacji i zaczął się rozglądać. Mimo zapewnień niezwykłego dżentelmena Stephen trochę się niepokoił, że zostanie rozpoznany. Po kilku chwilach zorientował się jednak, że nie ma tu żadnych przyjaciół sir Waltera ani nikogo, kogo wcześniej widział. W porządnym czarnym stroju i czystej białej koszuli mógł uchodzić za dżentelmena. Na szczęście sir Walter nigdy nie wymagał od niego noszenia liberii ani pudrowanej peruki.

Wszyscy byli ubrani zgodnie z najnowszą modą. Damy nosiły suknie w niezwykłych kolorach (choć, prawdę mówiąc, bardzo niewiele z tych barw Stephen rozpoznawał). Dżentelmeni mieli na sobie *culotte*<sup>[33]</sup>, białe pończochy i brązowe, zielone, niebieskie oraz czarne fraki. Ich koszule wręcz lśniły i połyskiwały bielą, rękawiczek z koźlej skóry nie szpeciła najmniejsza plamka.

Mimo tych pięknych strojów oraz zadowolenia gości dano się zauważyć, że domostwo podupada. Salę oświetlała zbyt mała liczba wysokich świec, a grała zaledwie jedna wiola i jedna piszczalka. To pewnie muzyka, o której mówili Geoffrey i Alfred, pomyślał Stephen. Dziwne, że wcześniej tego nie słyszałem. Rzeczywiście jest tak melancholijna, jak wspominali.

Stephen podszedł do wąskiego, nie oszklonego okna i wyjrzał na ciemny gęsty las oświetlony gwiazdami. To pewnie las, o którym wspominał Robert. Jakże groźnie wygląda! Czyżby bił dzwon?

- O tak - odparła dama, która przystanęła obok niego.

Miała na sobie suknię koloru burzy, cieni i deszczu oraz naszyjnik z nie dotrzymanyh obietnic i żalów. Stephena zdumiały jej słowa, miał bowiem absolutną pewność, że nie wypowiedział na głos ostatniej myśli.

- Tak, to rzeczywiście dzwon! - dodała. - Na górze, w jednej z wież.

Uśmiechała się i patrzyła na niego z tak niekłamany podziwem, że Stephen poczuł się w obowiązku coś powiedzieć.

- To bardzo eleganckie przyjęcie, szanowna pani. Nie pamiętam, kiedy ostatnio

widziałem tyle pięknych twarzy i sylwetek w jednym miejscu. I wszyscy są w kwiecie wieku! Przyznaję, że dziwi mnie nieobecność starszych osób na tej sali. Czy te panie i panowie nie mają rodziców? Wujów ani ciotek?

- Co za dziwne spostrzeżenie! - odparła ze śmiechem. - Czemu pan Domu Utraconej Nadziei miałby zapraszać na bal szpetnych starców? Kto by chciał na nich patrzeć? Poza tym wcale nie jesteśmy tacy młodzi, jak się może wydawać. Kiedy ostatnio widzieliśmy naszych rodziców, Anglia była jedynie posępnym lasem i jałowym wrzosowiskiem. Ale cóż to? Proszę spojrzeć. Lady Pole!

Między tancerzami mignęła Stephenowi sylwetka lady Pole. Miała na sobie suknię z niebieskiego aksamitu, a dżentelmen o włosach jak puch ostu prowadził ją na szczyt schodów.

Nagle dama w sukni koloru burzy, cieni i deszczu zapytała Stephena, czy zechciałby z nią zatańczyć.

- Z przyjemnością - odparł.

Kiedy inne panie ujrzały, jak znakomitym jest tancerzem, przekonał się, że może zatańczyć, z kimkolwiek zechce. Po damie w sukni koloru burzy, cieni i deszczu przyszła kolej na młodą kobietę w peruce z lśniących żuków, które tłoczyły się i roily na jej głowie. Trzecia tancerka Stephena utyskiwała za każdym razem, gdy jego dłoń musnęła jej suknię. Mówiła, że to wybija strój z rytmu. Kiedy Stephen spojrzał w dół, uświadomił sobie, że suknię damy pokrywają maleńkie usta, które śpiewały melodyjkę piskliwymi głosikami.

Choć w zasadzie zgodnie ze zwyczajem zmieniano partnerów po dwóch tańcach, Stephen zauważył, że dżentelmen o włosach jak puch ostu tańczy z lady Pole przez cały wieczór i rzadko odzywa się do innych osób na sali. Nie zapomniał jednak o Stephenie. Za każdym razem gdy go widział, uśmiechał się, kiwał głową i dawał do zrozumienia, że na tym wspaniałym balu najbardziej cieszy go właśnie widok Stephena Blacka.

## **Rozdział siedemnasty**

*Niewytłumaczalna obecność dwudziestu pięciu gwinei styczeń 1808*

Najlepszy sklep kolonialny w Londynie to U Brandy'ego na St. James's Street. Nie jestem odosobniona w tej opinii. Dziad sir Waltera Pole'a, sir William Pole, nie chciał kupować kawy, czekolady ani herbaty nigdzie indziej, twierdząc, że w porównaniu z „wyborową

mocno prażoną kawą turecką” pana Brandy’ego wszystkie pozostałe kawy mają mączysty posmak. Trzeba jednak wspomnieć, że poparcie sir Williama Pole’a miało swoje dobre i złe strony. Choć nie szczędził on pochwał, a ekspedientów zawsze traktował uprzejmie i życzliwie, rzadko płacił rachunki, a kiedy umarł, okazało się, że jest winien sklepowi sporą sumkę. Pan Brandy, drażliwy staruszek o zaszuszonej twarzy, ze złości wychodził ze skóry, a wkrótce zszedł z tego świata. Wielu podejrzewało, że celowo - by ścigać szlachetnie urodzonego dłużnika.

Po śmierci pana Brandy’ego sklep prowadziła wdowa. Pan Brandy ożenił się raczej późno i czytelnika zapewne nie zdziwi informacja, że pani Brandy nie zaznała, wiele szczęścia w małżeństwie. Szybko odkryła, że pan Brandy woli patrzeć na gwinee i szylingi zamiast na nią. A trzeba przyznać, że wszystko w niej było urocze i słodkie: miękkie brązowe loczki, jasnoniebieskie oczy i łagodna minka. Wydaje się, że stary człowiek, taki jak pan Brandy, którego jedyną zaletą jest majątek, powinien cenić sobie młodą i ładną żonę, i dokładać starań, by zadowolić ją pod każdym względem. Tak jednak nie było. Do tego stopnia nie lubił wydawać pieniędzy, że nie podarował jej nawet domu, choć bez trudu mógłby sobie na to pozwolić - wolał mieszkać w pokoiku nad sklepem na St. James’s Street. Przez dwanaście lat małżeństwa mieszkancko to służyło pani Brandy za salon, sypialnię, jadalnię oraz kuchnię. Za to niespełna trzy tygodnie po śmierci pana Brandy’ego wdowa kupiła dom w Islington, obok Angel, i przyjęła trzy pokojówki - Sukey, Dafney i Delphinę.

Zatrudniła również dwóch ekspedientów do obsługi klientów. John Upchurch był statecznym człowiekiem, pracowitym i zdolnym, Toby Smith zaś nerwowym rudzielcem, którego zachowanie często zdumiewało panią Brandy. Czasem był milczący i nieszczęśliwy, przy innych okazjach robił się radosny i pełen wiary w siebie. Pewne niezgodności w rachunkach (mogą się pojawić w każdym interesie) oraz zdenerwowanie Toby’ego zaniepokoiły panią Brandy do tego stopnia, że zaczęła się obawiać, iż ekspedient przywłaszcza sobie drobne sumki. Pewnego styczniowego wieczoru sprawy przybrały jednak niespodziewany obrót. Pani Brandy siedziała w pokoiku nad sklepem, gdy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Po chwili, powłócząc nogami, wszedł Toby Smith. Unikał spojrzenia chlebodawczyni.

- O co chodzi, Toby?

- Jeśli można, proszę pani. - Toby rozglądał się po całym pomieszczeniu. - Pieniądze się nie zgadzają. John i ja wciąż liczymy, ale nic z tego nie można zrozumieć.

Pani Brandy cmoknęła, westchnęła i spytała, o jaką sumę chodzi.

- O dwadzieścia pięć gwinei.



- Dwadzieścia pięć gwinei! - wykrzyknęła z przerażeniem. - Dwadzieścia pięć gwinei?! Jak mogliśmy tyle stracić?! Och! Mam nadzieję, że się mylisz, Toby. Dwadzieścia pięć gwinei! Nawet nie przypuszczałam, że w sklepie może być tyle pieniędzy. Och, Toby! - Uderzyła ją nowa myśl. - Na pewno nas obrabowali.

- Nie, proszę pani - odparł Toby. - Nie chodzi o to, że brakuje dwudziestu pięciu gwinei. Mamy ich o tyle za dużo.

Pani Brandy wpatrywała się w niego.

- Sama pani zobaczy, jeśli zejdzie do sklepu - powiedział Toby.

Z niespokojnym wyrazem twarzy przytrzymał jej drzwi. Pani Brandy zbiegła po schodach, a Toby podążył za nią.

Była mniej więcej dziewiąta wieczór, bezksiężycowa noc. John i Toby zamknęli okiennice i pogasili lampy. W sklepie powinno być ciemno choć oko wykol, ale wypełniało go łagodne złociste światło, najwyraźniej emanujące z tego, co leżało na ladzie.

A był to stosik błyszczących gwinei. Pani Brandy uniosła jedną i poczuła się tak, jakby trzymała w dłoni kulę żółtego światła z monetą na dnie. Światło było niezwykle. W jego poświęceniu pani Brandy, John i Toby wyglądali inaczej: pani Brandy dumnie i wyniośle, John chytrze i zwodniczo, a Toby bezwzględnie i okrutnie. Rzecz jasna, cechy te były im całkiem obce. Jeszcze dziwniejsza zmiana zaszła w tuzinie małych mahoniowych szuflad zajmujących jedną ścianę sklepu. Zazwyczaj umieszczone na nich pozłacane litery opisywały zawartość szuflad: *Lebioda (zasuszona)*, *Limonka (nie zasuszona)*, *Kolendra*, *Szcypior*, *Pietruszka*, *Pieprz cayenne*, *Nanercz zachodni*, *Drożdże*, *Soczewica i Proso*, a także inne towary nieodzwone w modnym i dobrze prosperującym sklepie kolonialnym. Dzisiaj litery te układały się w napisy: *Litość (zasłużona)*, *Litość (niezasłużona)*, *Koszmary*, *Szczęście*, *Pech*, *Prześladowanie przez krewnych*, *Niewdzięczność dzieci*, *Dezorientacja*, *Spostrzegawczość* i *Prawdomówność*. Chyba żadne z nich nie dostrzegło tej zmiany. I dobrze, bo pani Brandy bardzo by się tym przejęła. Nie miałyby pojęcia, ile liczyć za nowe artykuły.

- No cóż, skądś się musiały tu wziąć - oznajmiła. - Czy ktoś dziś spłacił rachunek?

John pokręcił głową. Toby również.

- Poza tym - dodał Toby - nikt nie jest nam tyle winien, poza, rzecz jasna, księżną Worksop. Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, proszę pani, by...

- Tak, tak, Toby, wystarczy - przerwała pani Brandy i zamyśliła się. - Może jakiś dżentelmen, chcąc otrzeć krople deszczu z twarzy, wyciągnął chusteczkę, a pieniądze wypadły mu z kieszeni?

- Ale my nie znaleźliśmy ich na podłodze - zauważył John. - Były w kasetce, razem z

resztą.

- Wobec tego nie wiem, co powiedzieć - oznajmiła pani Brandy. - Czy ktoś płacił dziś gwineą?

Nie, odparli Toby i John, nikt dziś nie płacił gwineą, nie mówiąc już o dwudziestu pięciu gwineach ani o dwudziestu pięciu osobach płacących gwineą.

- I do tego są takie żółte, proszę pani - powiedział John. - Każda bliźniaczo podobna do innych, bez plamki ani zmatowienia.

- Lecieć po pana Blacka? - spytał Toby.

- O tak! - przytaknęła pani Brandy z zapałem.

A może jednak nie. Nie powinniśmy kłopotać pana Blacka, jeśli nie dzieje się nic poważnego. A przecież się nie dzieje, prawda? A może się dzieje? Nie potrafię powiedzieć.

Nagle pojawienie się dużej sumy to taka rzadkość w naszych czasach, że ani Toby, ani John nie umieli pomóc chlebobawczyni w ustaleniu, czy dobrze się stało, czy też wręcz przeciwnie.

- Pan Black jest taki mądry - ciągnęła pani Brandy. - Śmiem twierdzić, że natychmiast rozwikła tę zagadkę. Idź na Harley Street, Toby. Przekaż ode mnie panu Blackowi wyrazy uszanowania i powiedz mu, że kiedy będzie miał wolne, chętnie chwilę z nim pogawędzę. Nie, czekaj. Nie mów tak, to brzmi bardzo arogancko. Musisz przeprosić, że mu przeszkadzasz, i powiedzieć, że jeśli będzie miał wolne, będę bardzo wdzięczna - nie, zaszczycona, nie, wdzięczna - będę wdzięczna za chwilę rozmowy.

Znajomość pani Brandy ze Stephenem Blackiem zaczęła się, kiedy sir Walter przejął długi dziada, pani Brandy zaś sklep męża. Mniej więcej raz w tygodniu Stephen przychodził do sklepu z gwineą lub dwiema, by spłacać dług. Ale, o dziwo, pani Brandy niechętnie przyjmowała monety.

- Och, drogi panie - mówiła. - Proszę schować te pieniądze. Jestem przekonana, że sir Walter bardziej ich potrzebuje niż ja. W zeszłym tygodniu interesy szły doskonale! Obecnie mamy tu czekoladę z Carracca, którą klienci byli łaskawi uznać za najlepszą w Londynie, a już z pewnością lepszą od innych czekolad. Zamówienia przychodzą z całego miasta. Może pan skosztuje?

I wtedy pani Brandy przynosiła czekoladę w ślicznym niebieskobiałym porcelanowym imbryczku, nalewała Stephenowi filiżankę i z przejściem pytała, czy mu smakuje. Wyglądało na to, że choć zamówienia z całego miasta sypały się jak z rękawa, pani Brandy poty nie była przekonana o zaletach czekolady, póki nie poznała opinii Stephena. Jej zainteresowanie

Stephenem nie kończyło się jednak na kwestii oceny czekolady. Pani Brandy dbała również o jego zdrowie. Jeśli przychodził w chłodny dzień, martwiła się, że nie jest mu dość ciepło. Kiedy padał deszcz, przejmowało ją, że mógł się przeziębic. Podczas upalnego, suchego dnia nalegała, by usiadł przy oknie z widokiem na maleńki ogródek i odsapnął.

Pod koniec wizyty pani Brandy wracała do kwestii gwinei.

- Nie umiem jednak przewidzieć, co się wydarzy w następnym tygodniu. Być może będę bardzo potrzebowała tej gwinei - klienci nie zawsze płacą rachunki. Ośmielę się więc prosić pana o przyniesienie jej w środę. W środę około trzeciej. Wtedy będę miała trochę czasu i przygotuję imbryczek czekolady, skoro twierdzi pan, że bardzo mu smakuje.

Być może na ustach dżentelmenów zakwitł teraz uśmiech pobłażania, że kobiety nigdy nie potrafiły dbać o swoje sprawy, ale damy zapewne zgodzą się ze mną, że pani Brandy doskonale wiedziała, co robi - a najważniejszą sprawą w jej życiu było doprowadzenie do tego, by Stephen Black pokochał ją równie mocno, jak ona kochała jego.

Toby powrócił w stosownej chwili, ale nie z wiadomością od Stephena Blacka, lecz ze Stephenem Blackiem we własnej osobie. Niepokój pani Brandy dotyczący monet zniknął, zastąpiony nowym i o wiele przyjemniejszym poruszeniem.

- Och, drogi panie! Nie spodziewaliśmy się pana tak prędko! Nie sądziłam, że będzie miał pan wolne!

Stephen stał w ciemności, poza zasięgiem blasku rzucanego przez dziwne monety.

- Nie ma znaczenia, gdzie dziś jestem - powiedział martwym głosem. - Cały dom stanął na głowie. Lady Pole źle się czuje.

Panią Brandy, Johna i Toby'ego zasmuciła ta wiadomość. Jak wszyscy londyńczycy bardzo się interesowali wszystkim, co dotyczyło lady Pole. Byli dumni ze swoich związków z każdym arystokratą, ale patronat lady Pole napawał ich największą satysfakcją. Nic nie cieszyło ich bardziej niż informowanie klientów, że kiedy lady Pole zasiada do śniadania, jej bułeczka posmarowana jest marmoladą pani Brandy, a filiżanka - pełna kawy pani Brandy.

Nagle panią Brandy uderzyła bardzo nieprzyjemna myśl.

- Mam nadzieję, że lady Pole nie zjadła czegoś, co jej zaszkodziło? - spytała.

- Nie - westchnął Stephen. - Nic podobnego. Narzeka na bóle we wszystkich członkach, dziwne sny i chłód. Wciąż milczy i nie ma humoru. Jej skóra jest lodowata.

Stephen przybliżył się do niezwykłego światła. Dziwne zmiany, jakie zaszły w wyglądzie Toby'ego, Johna i pani Brandy, były niczym w porównaniu ze zmianą w wyglądzie Stephena. Jego naturalna uroda nabrała pięciokrotnie, siedmiokrotnie, dziesięciokrotnie większej mocy. Otaczała go aura nadnaturalnej szlachetności.

Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że wokół jego skroni koncentrowało się światło, dzięki czemu wyglądał, jakby jego głowę otoczył diadem. Ale tak jak wcześniej, nikt z obecnych nie zauważył nic niezwykłego.

Stephen obrócił monetę w smukłych czarnych palcach.

- Gdzie one były, John?

- Tu, w kasetce, z resztą pieniędzy. Skąd się one, u licha, wzięły, proszę pana?

- Jestem równie zdumiony jak wy. Nie potrafię tego wyjaśnić. - Stephen odwrócił się do pani Brandy. - Najważniejsze, droga pani, to uchronić się od podejrzeń, iż weszła pani w ich posiadanie w nieuczciwy sposób. Myślę, że trzeba oddać pieniądze prawnikowi i polecić mu, by zamieścił ogłoszenie w „Timesie” i „The Morning Chronicle”. Niech sprawdzi, czy ktoś nie zgubił dwudziestu pięciu gwinei w sklepie pani Brandy.

- Prawnikowi?! - wykrzyknęła pani Brandy z przerażeniem. - Ależ to kosztuje mnóstwo pieniędzy.

- Prawnicy zawsze są kosztowni.

W tym samym momencie pewien dżentelmen mijał sklep na St. James's Street i na widok złocistego światła między szczelinami w okiennicach doszedł do wniosku, że ktoś jest w środku. Ponieważ potrzebował herbaty i cukru, zastukał do drzwi.

- Klient, Toby! - wykrzyknęła pani Brandy. Toby pośpieszył otworzyć, a John schował pieniądze.

Gdy zamknął wieko kasetki, w sklepie zapadły ciemności i po raz pierwszy zebrani uświadomili sobie siłę światła bijącego z niesamowitych monet. John zaczął biegać dookoła, na powrót zapalając świece, by sklep wyglądał przytulnie, Toby zaś ważył towary dla klienta.

Stephen Black osunął się na krzesło i przetarł dłonią czoło. Wydawał się poszarzały i śmiertelnie zmęczony. Pani Brandy usiadła obok niego i delikatnie dotknęła jego palców.

- Niezbyt dobrze się pan czuje, drogi panie?

- Doskwiera mi ból, jak człowiekowi, który przez całą noc tańczył. - Westchnął ponownie i oparł głowę na dłoń.

Pani Brandy cofnęła rękę.

- Nie wiedziałam, że wczoraj był bal - oświadczyła, a w jej głosie słychać było nutkę zazdrości. - Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił. Kim były pańskie partnerki?

- Nie, nie. Nie było balu. Mam bóle jak po tańcu, ale bez tej przyjemności. - Nagle uniósł głowę. - Słyszysz pani?

- Co takiego?

- Ten dzwon. Biję zmarłym. Nasłuchiwała przez chwilę.

- Nie, nic nie słyszę. Mam nadzieję, że zostanie pan na kolacji, drogi panie? Uczyniłby nam pan wielki zaszczyt. Obawiam się, że posiłek nie będzie zbyt elegancki, wręcz przeciwnie - tylko trochę ostryg na parze, pasztet z gołębi i udziec barani. Jednak taki dobry przyjaciel jak pan na pewno okaże nam wyrozumiałość. Tobo przyniesie...

- Na pewno pani nie słyszy?

- Nie.

- Nie mogę zostać. - Popatrzył na nią tak, jakby zamierzał coś dodać, ale dzwon znów mu przeszkodził. - Życzę miłego wieczoru - oznajmił tylko po chwili, wstał z krzesła i złożywszy pośpieszny ukłon, wyszedł.

Na St. James's Street dzwon wciąż bił. Stephen szedł jak człowiek we mgle. Dotarł do Piccadilly, kiedy nagle z małej alejki wyłonił się tragarz z koszem pełnym ryb. Usiłując zejść mu z drogi, Stephen zderzył się ze stojącym na rogu Albemarle Street korpulentnym dżentelmenem w niebieskim płaszczu i kapeluszu.

Potrącony dżentelmen odwrócił głowę i na widok Stephena natychmiast się zaniepokoił. Widział czarne oblicze obok swojego i czarne ręce w pobliżu swych kieszeni kosztowności. Nie zwrócił uwagi na elegancki strój ani pełną godności aurę. Wykoncypował tylko, że zaraz zostanie obrabowany i pobity, uniósł zatem parasol, by wymierzyć cios w obronie własnej.

Takiej właśnie chwili Stephen obawiał się przez całe życie. Pomyślał, że lada moment przybędą konstable, trafi przed oblicze sędziego i nawet przyjaźń sir Waltera Pole'a nie zdoła go ocalić. Czy angielski sędzia będzie umiał wyobrazić sobie czarnego człowieka, który nie kradnie i nie kłamie? Czarnego człowieka, który jest szacowną osobą? Mało prawdopodobne. Teraz jednak, gdy stanął oko w oko ze swym przeznaczeniem, Stephen uświadomił sobie, że jest mu ono obojętne, i patrzył na to, co się dzieje, jakby oglądał sztukę rozgrywającą się za grubą szybą albo na dnie jeziora.

Korpulentny dżentelmen wybałuszył oczy pełne strachu, złości i oburzenia. Otworzył usta, by oskarżyć Stephena, w tej samej chwili jednak zaczął się zmieniać w drzewo. Z ramion odrzuconych na boki wystrzeliły gałęzie, a jego twarz pokryła się korą. Mężczyzna urósł na siedem metrów, a tam, gdzie poprzednio były kapelusz i parasol, wił się teraz gęsty bluszcz. Dąb na Piccadilly, pomyślał obojętnie Stephen. Niezwykłe.

Piccadilly też się zmieniło. Nieopodal przejeżdżała karetka. Najwyraźniej należała do kogoś ważnego, gdyż ciągnęły ją cztery siwki, a oprócz woźnicy z przodu na skrzyni za budą stali dwaj lokaje. Na drzwiach karety widniał herb. Stephen patrzył, jak konie zaczęły się wydłużać, aż w końcu wcale nie było ich widać - w tym samym momencie zmieniły się w gaj

wiotkich brzoź. Powóz był teraz krzakiem ostrokrzewu, a woźnica i lokaje stali się sową i dwoma słowikami, które prędko odleciały. Dama i dżentelmen na przechadzce porośli gałązkami, zamieniając się w krzew czarnego bzu, pies zaś okazał się zmierzwioną kępą suchych paproci. Lampy gazowe nad ulicą wessało niebo - przeobraziły się w gwiazdy pośród mozaiki zimowych drzew. Piccadilly było teraz ledwie dostrzegalną ścieżką w ciemnym zimowym lesie.

I tak jak we śnie, kiedy najbardziej niezwykle zdarzenia akceptuje się bez trudu, Stephen uznał, że nie ma się czemu dziwić. Był wręcz pewien, że zawsze wiedział, iż Piccadilly znajduje się nieopodal magicznego lasu.

Ruszył ścieżką.

Otaczały go ciemności i cisza. Nad głową gwiazdy błyszcząły jaśniej niż zazwyczaj, a korony drzew były jedynie czarnymi kształtami, zwykłymi plamami ciemności pozbawionymi gwiazd.

Wszechogarniający smutek i otępienie, które przez cały dzień przytłaczały jego umysł i duszę, zniknęły. Stephen zaczął rozmyślać nad dziwnym snem z ubiegłej nocy, w którym spotkał niezwykłą istotę o włosach jak puch ostu. Zabrała go do niesamowitego domu, gdzie tańczył z dziwacznymi osobami.

Smutny dzwon rozbrzmiewał tutaj głośniejsze niż w Londynie, a Stephen podążał ścieżką za jego dźwiękiem. Po krótkiej chwili dotarł do olbrzymiego kamiennego gmachu o tysiącu okien. Dom otoczony był wysokim murem. Stephen minął go (choć nie miał pojęcia jak, nie dojrzał przecież śladu bramy) i znalazł się na ogromnym i przerażającym podwórzu. Wszędzie wały się czaszki, pogruhotane kości i zardzewiała broń. Wprawdzie dom był ogromny i urządzony z przepychem, ale wejść doń można było jedynie przez maleńkie drzwiczki. I Stephen musiał schylić głowę, by dostać się do środka. Nagle znalazł się w tłumie ludzi w przepięknych strojach.

Tuż za drzwiami stali dwaj dżentelmeni. Mieli na sobie ciemne fraki, białe pończochy bez skazy, rękawiczki i *culotte* do tańca. Rozmawiali o czymś żywo, ale gdy Stephen przekroczył próg sali, jeden z nich odwrócił się z uśmiechem.

- O, Stephen Black! - powiedział. - Czekaliśmy na ciebie!

W tym samej chwili rozległy się dźwięki wioli i piszczałki.

## Rozdział osiemnasty

*Sir Walter zasięga rady dżentelmenów rozmaitych profesji luty 1808*

Lady Pole siedziała przy oknie, blada i smutna. Bardzo niewiele mówiła, a jeśli już się odzywała, jej uwagi były dziwne i nie na temat. Kiedy mąż i przyjaciele z niepokojem pytali, co się dzieje, odpowiadała, że ma dość tańca. Co do muzyki, była to najokropniejsza rzecz na świecie - dziwne, że wcześniej tego nie dostrzegą.

Sir Walter uznał milczenie i obojętność za wielce niepokojące. Zbyt przypominały chorobę, która przysporzyła młodej damie tyle cierpienia przed ślubem i zakończyła się przedwczesną śmiercią. Czy wcześniej nie była blada? Cóż, teraz też. Czy nie odczuwała wtedy zimna? Podobnie i dziś.

Podczas poprzedniej choroby lady Pole nie oglądał żaden lekarz, co - rzecz jasna - wszyscy medycy potraktowali jako policzek wymierzony ich profesji.

- Ach! - wykrzykiwali, gdy tylko padło nazwisko lady Pole. - Magia, która przywróciła jej życie, bez wątpienia jest wspaniała, ale gdyby na czas podano właściwe lekarstwa, nie byłoby konieczności jej stosowania.

Pan Lascelles miał rację, twierdząc, że wina leży po stronie pani Wintertowne. Nie cierpiała lekarzy i nigdy nie pozwoliła im zbliżyć się do córki. Sir Walter nie miał takich uprzedzeń. Natychmiast posłano po pana Bailliego.

Pan Baillie był Szkotem i zasłużonym lekarzem Anglii. Napisał wiele dzieł o mądrze brzmiących tytułach i piastował stanowisko Królewskiego Medyka Nadzwyczajnego. Miał rozsądne oblicze i chodził z laską zakończoną złotą gałką, by zaznaczyć swe dostojęstwo. Szybko zareagował na wezwanie sir Waltera, zamierzając udowodnić wyższość medycyny nad magią. Po badaniu wyszedł i oświadczył, że lady Pole pozostaje w doskonałym zdrowiu. Nawet się nie zaziębiła.

Sir Walter wyjaśnił, że dziś jest zupełnie inna niż kilka dni wcześniej. Pan Baillie uważnie przyjrzał się sir Walterowi. Powiedział, że chyba rozumie problem. Sir Walter i jego małżonka pobrali się niedawno, prawda? Cóż, sir Walter musi mu wybaczyć, ale medycy często mają obowiązek mówić rzeczy, których nie powiedzieliby inni. Sir Walter nie nawykł jeszcze do małżeństwa. Wkrótce odkryje, że po ślubie ludzie często się kłócą. Nie ma się czego wstydzić, nawet najbardziej oddane sobie pary miewają odmienne zdanie, a wtedy

czasami któryś z partnerów udaje niedyspozycję. Być może lady Pole postępuje tak dopiero od niedawna. Czy może ostatnio się przy czymś upierała? Jeśli chodzi o drobiazgi, jak nowa suknia lub czepek, może warto ustąpić, skoro tak bardzo tego pragnęła. A jeśli sprawa dotyczyła czegoś ważniejszego, jak dom albo wyprawa do Szkocji, lepiej byłoby z nią o tym porozmawiać. Pan Baillie był pewien, że lady Pole jest rozsądną osobą.

Zapadła cisza, podczas której sir Walter mierzył pana Bailliego wzrokiem.

- Lady Pole i ja się nie kłócimy - powiedział w końcu.

Ach, odparł łagodnie pan Baillie. Sir Walterowi mogło się wydawać, że nie było żadnej kłótni. Tak to bywa, że dżentelmeni nie dostrzegają pewnych sygnałów. Pan Baillie radzi dobrze to przemyśleć. Może sir Walter powiedział coś, co rozdrażniło lady Pole? Pan Baillie nie szukał winnych. Dziękując życie, ludzie muszą czasem iść na drobne ustępstwa.

- Ale lady Pole nie ma zwyczaju zachowywać się jak rozpieszczone dziecko!

Bez wątpienia, bez wątpienia, oświadczył pan Baillie. Lady Pole jest jednak bardzo młoda, a młodym powinno się pozwalać na odrobinę dąsów. Młodość ma swoje prawa. Sir Walter powinien mieć to na względzie. Pan Baillie nabierał entuzjazmu do dyskusji. Znał przykłady (zaczepnięte z historii i literatury) zrównoważonych, mądrych obywateli, którzy popełniali głupstwa w młodości, jednakże jedno spojrzenie na sir Waltera przekonało go, że nie powinien ciągnąć tematu.

Sir Walter miał chęć odpowiedzieć medykowi, lecz stąpał po niepewnym gruncie. Mężczyzna, który żeni się po raz pierwszy w wieku czterdziestu dwóch lat, wie aż nazbyt dobrze, że niemal wszyscy mają lepsze kwalifikacje do radzenia sobie ze sprawami domowymi. Sir Walter zadowolili się wobec tego srogą miną. Ponieważ dochodziła jedenasta, wezwał powóz i sekretarza, po czym pojechał do Burlington House, gdzie miał spotkanie z innymi ministrami.

W Burlington House krążył po otoczonych kolumnami dziedzińcach i złożonych przedsiionkach. Wszedł do pomieszczenia, w którym ministrowie zwykle przeglądali dokumenty i kłócili się zajadle.

- Czemu nie posłać po pana Norrella, sir Walterze? - spytał pan Canning, gdy poznał sprawę. - Jestem zdumiony, że pan tego nie zrobił. Z pewnością niedyspozycja małżonki okaże się zaledwie drobnym następstwem magii, która przywróciła ją do życia. Pan Norrell



wprowadzi poprawki do zaklęcia i lady Pole znów dobrze się poczuje.

- Och, rzeczywiście - przytaknął lord Castlereagh. - Wygląda na to, że medycy już nie wystarczą lady Pole. Pan i ja, sir Walterze, jesteśmy tu dzięki łasce boskiej, jednak lady Pole jest tu dzięki łasce pana Norrella. Jej ziemski byt różni się od naszego zarówno pod względem teologicznym, jak i medycznym.

- Kiedy pani Perceval źle się czuje - wtrącił pan Perceval, niski, pedantyczny adwokat o pospolitym wyglądzie, który piastował zaszczytne stanowisko ministra finansów - natychmiast zwracam się do jej pokojówki. W końcu kto lepiej zna swoją panią? Więc co na to pokojówka lady Pole?

Sir Walter pokręcił głową.

- Pampisford jest równie zdumiona jak ja. Potwierdza, że lady Pole jeszcze dwa dni temu cieszyła się doskonałym zdrowiem, a teraz jest zimna i blada, bez życia i nieszczęśliwa. Poza tym Pampisford wygaduje jeszcze mnóstwo bzdur o tym, że dom jest nawiedzony. Nie wiem, co wstąpiło w służących. Wszyscy są podenerwowani. Jeden z lokajów przyszedł do mnie rankiem z opowieścią o nieznanym na schodach. O północy spotkał ubraną w zielony frak postać z grzywą srebrzystych włosów.

- Co to było? Duch? Widziadło? - spytał lord Hawkesbury.

- Chyba to miał na myśli.

- Zupełnie niezwykle! Czy przemówiło? - spytał pan Canning.

- Nie. Geoffrey twierdził, że nieznanomy rzucił mu pogardliwe spojrzenie i sobie poszedł.

- Och! Pański lokaj z pewnością zasnął na służbie, sir Walterze - oświadczył pan Perceval.

- Albo był pijany - zauważył pan Canning.

- Też mi to przyszło do głowy. Spytałem o to Stephena Blacka, ale jest równie milczący jak cała reszta.

- No cóż, chyba pan nie zaprzeczy, że jest w tym odrobina magii? - spytał pan Canning. - I czy nie jest w mocy pana Norrella wyjaśniać to, czego inni nie rozumieją? Proszę słać po pana Norrella, sir Walterze!

Brzmiało to tak rozsądnie, że sir Walter zdziwił się, czemu sam o tym nie pomyślał. Miał bardzo wysokie mniemanie o własnych możliwościach intelektualnych, więc dlategoż nie przyszło mu do głowy coś tak oczywistego? Uświadomił sobie, że po prostu nie lubi magii. Nigdy jej nie lubił - ani na początku, gdy uważał ją za błagę, ani teraz, gdy okazała się autentyczna. Ale nie potrafił tego wytłumaczyć ministrom - on, który przekonał ich do

zatrudnienia maga po raz pierwszy od dwustu lat!

O wpół do czwartej powrócił na Harley Street. Nastąpiła najdziwniejsza pora zimowego dnia. Zmierzch zmieniał budynki i ludzi w niewyraźną czarną nicość, a niebo wciąż miało odcień oślepiającego srebrnego błękitu i emanowało chłodnym światłem. Zimowy zachód słońca malował pas koloru różu i krwi na krańcach wszystkich ulic. Był to przyjemny widok dla oka, niemniej odrobinę niepokojący dla duszy. Wyglądając przez okno powozu, sir Walter pomyślał, że na szczęście nie ma skłonności do fantazjowania. Ktoś inny mógłby się poczuć nieswojo, gdyby w takiej scenerii przyszło mu się spotkać z magiem.

Geoffrey otworzył drzwi pod numerem dziewięcym na Harley Street i sir Walter pośpiesznie wspiął się po schodach. Gdy zbliżył się do drzwi salonu weneckiego, w którym tego ranka siedziała małżonka, jakieś przeczucie kazało mu tam zajrzeć. Początkowo sądził, że pokój jest pusty. Ogień w kominku dogasał, tworząc jakby drugi zmierzch w pomieszczeniu. I właśnie wtedy ją ujrzał.

Siedziała wyprostowana jak struna w fotelu obok okna, plecami do sir Waltera. Ustawienie fotela, jej poza, a nawet układ fałd sukni i szala były dokładnie takie same jak rano, gdy ją opuszczał.

Po wejściu do gabinetu napisał pilną wiadomość do pana Norrella.

Pan Norrell nie zjawił się od razu. Minęła dobra godzina lub dwie. Gdy w końcu przybył, sir Walter powitał go w westybulu i opisał sytuację. Potem zaproponował, by poszli na górę, do weneckiego salonu.

- Och - powiedział pośpiesznie pan Norrell z udawanym spokojem na twarzy - z pańskich słów wnioskuję, że nie ma powodu kłopotać lady Pole. Sir Walterze, obawiam się, że niewiele mogę dla niej zrobić. Jak pan wie, zawsze chętnie służę panu pomocą, jednak z bólem muszę oświadczyć, że magia nie zdoła wyleczyć pańskiej małżonki z przygnębienia.

Sir Walter westchnął. Z nieszczęśliwą miną przejechał ręką po włosach.

- Pan Baillie niczego nie wykrył, więc pomyślałem...

- Och! Właśnie dlatego mam pewność, że nie mogę panu pomóc. Magia i medycyna nie zawsze są tak odległe od siebie, jak się to może wydawać. Zakres ich działania często się pokrywa. Niejednokrotnie chorobę można pokonać zarówno lekarstwem, jak i magią. Gdyby lady Pole była poważnie chora lub, Boże broń, ponownie miała umrzeć, z pewnością magia zdołałaby ją wyleczyć albo przywrócić do życia. Proszę wybaczyć, sir Walterze, lecz opisał pan raczej duchową przypadłość niż fizyczną. Na to nie pomoże ani magia, ani medycyna. Nie jestem specjalistą od tych spraw, ale może duchowny zdołałby znaleźć rozwiązanie?

- Jednak lord Castlereagh sądzi... nie wiem, czy słusznie... że skoro lady Pole

zawdzięcza życie magii... Przyznaję, że niezbyt dobrze go zrozumiałem, ale chyba chciał powiedzieć, że skoro lady Pole zawdzięcza życie magii, tylko magia zdołają wyleczyć.

- Doprawdy? Lord Castlereagh tak powiedział? Och! Myli się, ale ten sposób myślenia nazywano kiedyś herezją meraudiańską<sup>[34]</sup>. Dwunastowieczny opat z Rivaulx poświęcił życie na walkę z nią i skończyło się tym, że go kanonizowali. Rzecz jasna, teologia magii nigdy nie była moim ulubionym przedmiotem, ale nie myślę się chyba, twierdząc, że w sześćdziesiątym dziewiątym rozdziale *Trzech doskonałych się stanów istnienia*<sup>[35]</sup> Williama Pantlera...

Pan Norrell najwyraźniej szykował się do wygłoszenia jednego ze swych długich i nudnych przemówień na temat historii Anglii, pełnego odniesień do ksiąg, o których nikt nigdy nie słyszał.

- Tak, tak! - przerwał mu sir Walter. - Ma pan może jakieś pojęcie, kim jest postać w zielonym fraku, ze srebrzystymi włosami?

- Och! - odparł pan Norrell. - Myśli pan, że ktoś tam był? Wydaje mi się to wielce nieprawdopodobne. Czy to przypadkiem nie suknia pozostawiona na wieszaku przez opieszalego sługę? Tam, gdzie nikt się jej nie spodziewał? Sam często wpadam w popłoch na widok peruki, którą widzi pan teraz na mojej głowie. Lucas dobrze wie, że powinien odkładać ją co wieczór na miejsce, ale kilka razy zostawił ją na gzymsie nad kominkiem. Odbijała się w lustrze, przypominając dwóch dżentelmenów dotykających się głowami i szepczących o mnie.

Pan Norrell zmrużył oczy, próbując ukryć swoje myśli, i oświadczył, że nic nie zdoła zrobić. Życzył sir Walterowi miłego wieczoru i udał się do domu.

Pojechał prosto na Hanover Square i natychmiast ruszył do małego gabinetu na drugim piętrze. Było to ciche pomieszczenie z tyłu domu, z widokiem na ogród. Służący nigdy tam nie wchodził, kiedy pracował, i nawet Childermass musiał mieć naprawdę ważny powód, by mu tam przeszkadzać. Choć pan Norrell rzadko uprzedzał, kiedy skorzysta z małego gabinetu, w domu obowiązywała zasada, że zawsze ma on być gotowy. Dlatego nawet teraz ogień wesoło trzaskał w kominku, a wszystkie lampy były zapalone. Ktoś jednak zapomniał zaciągnąć zasłony, więc szyba zamieniła się w czarne zwierciadło.

Pan Norrell usiadł przy biurku naprzeciwko okna. Otworzył opasły tom (jeden z wielu na blacie) i wymamrotał pod nosem zaklęcie.

Węgiel spadający z paleniska oraz jakiś cień w pokoju sprawiły, że uniósł wzrok. Ujrzał swoje zaniepokojone oblicze odbite w ciemnym oknie, a za sobą srebrzystą twarz i grzywę lśniących włosów.

Nie odwracając się, pan Norrell odezwał się do odbicia w lustrze pełnym złości

tonem:

- Kiedy mówiłeś, że zabierzesz drugą połowę życia młodej damy, sądziłem, że pozwolisz jej pozostać z przyjaciółmi i rodziną przez pierwszą połowę. Myślałem, że kiedy się o nią upomnisz, będzie tak, jakby po prostu umarła!

- Nigdy tak nie twierdziłem.

- Zwiodłeś mnie! Wcale mi nie pomogłeś! Wszystko zepsujesz przez te swoje sztuczki! - wykrzyknął pan Norrell.

Osoba w szybie prychnęła z dezaprobatą.

- Miałem nadzieję, że przy drugim spotkaniu będziesz o wiele rozsądniejszy, panie. A ty jesteś arogancki i bez powodu rozgniewany! Dotrzymałem warunków naszej umowy! Zrobiłem, czego pragnąłeś, i nie wziąłem nic, co nie należy do mnie! Gdyby naprawdę zależało ci na szczęściu lady Pole, cieszyłbyś się, że jest teraz wśród przyjaciół, którzy szczerze ją cenią i podziwiają!

- Nic mnie ona nie obchodzi - odparł pan Norrell z pogardą. - Czym jest los jednej młodej kobiety w porównaniu z sukcesem angielskiej magii? Nie, chodzi o jej męża, dla którego uczyniłem to wszystko! Bardzo go przygnębił twój fortel. A jeśli będzie musiał odejść z rządu? Nigdy nie znajdę tak chętnego do pomocy sprzymierzeńca!<sup>[36]</sup> Nigdy żaden minister nie będzie mi tyle zawdzięczał!

- Jej mąż, tak? Cóż, wobec tego wyniosę go na wysokie stanowisko! Zyska o wiele więcej, niż miałby dzięki własnej pracy. Zostanie premierem. A może cesarzem Wielkiej Brytanii? Czy to ci odpowiada?

- Nie, nie! - krzyknął pan Norrell. - Nic nie rozumiesz! Po prostu chcę, żeby był ze mnie zadowolony i przekonał innych ministrów, ile dobra dla kraju może uczynić magia!

- To dla mnie zagadka. Czemu wolisz pomoc tego człowieka od mojej? - oświadczyła wyniośle postać w oknie. - Co on wie o magii? Nic! Mogę cię nauczyć przenosić góry i miażdżyć nimi nieprzyjaciół! Chmury będą śpiewały na twój widok. Mogę sprawić, że drzewa będą kwitnąć na twoją cześć, a ziemię skuwać będzie lód, gdy odejdziesz...

- O tak! Pragniesz tylko podporządkować angielską magię swym kaprysom! Będziesz porywał obywateli Anglii, aż stanie się ona idealnym miejscem dla twojej zwyrodniałej rasy! Cena takiej pomocy jest dla mnie zbyt wysoka.

Postać w szybie nie odpowiedziała na te zarzuty. Nagle jednak świeca stojąca na biurku uniosła się i przeleciawszy przez pokój, stłukła lustro i niewielkie porcelanowe popiersie Thomasa Lanchestera.

Zapadła cisza.

Pan Norrell siedział przerażony i drżący. Spoglądał na książki rozłożone na biurku, ale jeśli czytał, to w sposób znany jedynie magom, gdyż jego oko nie wędrowało po stronicach. Po kilku minutach uniósł wzrok. Osoba w szybie zniknęła.

Plany londyńczyków dotyczące lady Pole spełzyły na niczym. W małżeństwie, z którym przez kilka krótkich tygodni oboje partnerów wiązało takie nadzieje, zapanowały obojętność i milczenie oraz niepokój i smutek. Lady Pole nie tylko nie została ozdobą towarzystwa, ale przestała gdziekolwiek wychodzić. Nikt jej nie odwiedzał i wkrótce o niej zapomniano.

Służący na Harley Street z ociąganiem wchodzili do pokoju, w którym przesiadywała, choć żaden nie umiał wytłumaczyć, skąd bierze się ta niechęć. Kłopot polegał na tym, że w pobliżu lady Pole zawsze słychać było ciche echo dzwonu. Wydawało się, że owiewa ją przenikliwy wiatr z oddali, więc wszyscy w jej obecności drżeli. A ona siedziała, godzinę za godziną, otulona szalem, nie ruszając się i milcząc, podczas gdy złe sny i cienie gromadziły się wokół niej.

## Rozdział dziewiętnasty

*Baczna kompania luty 1808*

O dziwo, nikt nie zauważył, że osobliwa dolegliwość, która dręczyła lady Pole, dokuczała również Stephenowi Blackowi. I on narzekał na zmęczenie i zimno. Jeśli już się odzywali, to oboje mówili cicho i z trudem.

Być może nie było w tym nic dziwnego. Różnice w trybie życia damy i kamerdynera usuwają na drugi plan wszelkie podobieństwa ich sytuacji. Kamerdyner ma obowiązki. W przeciwieństwie do lady Pole Stephen nie siedział beczynn timer przy oknie całymi godzinami. Objawy podniesione do rangi choroby u lady Pole u Stephena traktowano za ledwie jako melancholię.

John Longridge, kucharz na Harley Street, od ponad trzydziestu lat chodził przygnębiony, z życzliwością zatem powitał nowego członka bractwa melancholików. Biedak wyglądał na zadowolonego z towarzysza niedoli. Wieczorami, gdy Stephen przesiadywał przy stole kuchennym z twarzą ukrytą w dłoniach, John Longridge zajmował miejsce naprzeciwko niego i zaczynał narzekać:

- Bardzo panu współczuję. Melancholia, proszę pana, to najgorsze, co się może przytrafić człowiekowi. Myślę czasem, że cały Londyn przypomina zimną grochówkę zarówno barwą, jak i konsystencją. Widzę ludzi o twarzach i rękach jak z zimnej grochówki, widzę, jak brną w zimnej grochówce ulic. Ojej, ależ wtedy cierpię! Słońce na niebie jest zimne i szare i też jak grochówka nie potrafi mnie rozgrzać. Często panu zimno? - John Longridge kładł rękę na dłoni Stephena. - Ach, jest pan lodowaty jak wnętrze grobowca!

Stephen czuł się jak lunatyk. Już nie żył, śnił jedynie. Śnił o domu na Harley Street i innych sługach. Śnił o swej pracy, przyjaciółach i pani Brandy. Niekiedy śnił o bardzo osobliwych rzeczach, które - czuł to jakąś maleńką, wyiębłą, niedostępną cząstką umysłu - istnieć nie powinny. Szedł korytarzem lub schodami domu na Harley Street, odwracał się i widział korytarze oraz schody, których wcześniej tu nie było. Jakby dom na Harley Street osiadł wewnątrz większej i starszej budowli. Kamienne sklepienia pokryte grubą warstwą kurzu wieńczyły mroczne przejścia. Schody i podłogi były tak zniszczone i nierówne, że bardziej przypominały nieoszlifowane głady niż dzieło ludzkich rąk. Najdziwniejsze jednak, że Stephen znał te upiorne korytarze. Nie rozumiał skąd się biorą takie myśli, ale przyłapywał się na konstatacjach: „Tak, tuż za tym rogiem jest Wschodnia Zbrojownia” albo „Te schody prowadzą do Wieży Patroszniczej”.

Za każdym razem, gdy dostrzegał te przejścia lub, jak czasem bywało, zaledwie wyczuwał ich obecność, budziła się w nim energia, jak dawniej. Ta jego część, która zamarzła (dusza? serce?), tajała o milimetr i znów zaczynał czuć, myśleć i się dziwić. Zazwyczaj jednak nic go nie bawiło, nic nie zadowalało. Wszędzie cienie, pustka, echo, kurz.

Niepokój skłaniał Stephena do długich samotnych wędrówek po ciemnych ośnieżonych ulicach Mayfair i Piccadilly. Pewnego wieczoru, pod koniec lutego, znalazł się przed kawiarnią pana Whartona na Oxford Street. Dobrze znał ten lokal. Na górze mieściła się siedziba Bacznej Kompanii, klubu starszych rangą służących płci męskiej, zatrudnionych w szacownych londyńskich domach. Osobisty lokaj lorda Castlereagha był cenionym członkiem tej organizacji, podobnie jak woźnica księcia Portlandu oraz właśnie Stephen. Baczna Kompania spotykała się w każdy trzeci wtorek miesiąca. Służący odpoczywali tutaj tak samo jak członkowie każdego klubu w Londynie: pili i jedli, uprawiali hazard, prowadzili dyskusje o polityce i plotkowali o kochankach. W pozostałe wieczory ci, którzy właśnie mieli wolne, udawali się do górnej izby kawiarni pana Whartona, by tam cieszyć się towarzystwem kolegów po fachu.

Stephen wszedł do środka i powędrował schodami na górę. Pomieszczenie wypełniał

dym tytoniowy, jak to zwykle bywa w przybytkach przeznaczonych dla męskiej części populacji. Ściany wyłożono boazerią z ciemnego drewna, które posłużyło również do podzielenia części sali na boksy, zapewniające klientom niewielką przestrzeń wyłącznie do ich dyspozycji. Podłoga codziennie posypywana była trocinami. Na stołach leżały białe obrusy, a lampy olejowe utrzymywano w należytej czystości. Stephen usiadł w jednym z boksów i zamówił kieliszek porto, po czym zapałzył się nań posępnie.

Za każdym razem, gdy któryś z członków Baczej Kompanii mijał boks Stephena, przystawał, by się przywitać. Stephen zwykle unosił rękę w obojętnym pozdrowieniu, lecz dzisiejszego wieczoru nie reagował na te przyjazne gesty. Stało się tak dwa, może trzy razy, kiedy nagle usłyszał energiczny szept: „Masz absolutną rację, nie zwracając na nich uwagi! W końcu to tylko sługi i pacholki! Kiedy przy mojej pomocy osiągniesz wyżyny szlachectwa i chwały, z radością wspomnisz, że wzgardziłeś ich przyjaźnią!”

Był to zaledwie szept, Stephen jednak słyszał go wyraźniej niż głosy i śmiechy Baczej Kompanii oraz pozostałych dżentelmenów. Miał wrażenie, że szept ów mógłby przeniknąć kamień, żelazo i miedź. Mógłby przemówić z głębokości kilkuset metrów i dałby się słyszeć. Mógłby rozbijać cenne kamienie i sprowadzać szaleństwo.

Ten niezwykle szept na moment wyrwał Stephena z letargu. Zapragnął odkryć, kto do niego przemawia, rozejrzał się więc dookoła, ale ujrzał jedynie same znajome twarze. Wychylił się tedy za przepierzenie i zerknął do boks obok. Siedziała tam osoba o niezwyklej aparycji i w bardzo swobodnej pozie. Dżentelmen ów oparł ramiona na górnej krawędzi przepierzenia, a obute stopy położył na blacie. Wyróżniało go kilka niezwyklej cech, lecz najbardziej rzucała się w oczy grzywa srebrzystych włosów, jasnych, miękkich i lśniących niczym puch ostu. Dżentelmen mrugnął do Stephena, po czym wstał i usiadł koło niego.

- Muszę ci powiedzieć - zaczął bardzo poufałym tonem - że miasto nie ma nawet setnej części dawnej świetności! Odkąd wróciłem, wciąż spotykają mnie rozczarowania. Niegdyś cały Londyn był jednym wielkim lasem wież, pinakli i iglic. Na nich, ciesząc oko, wisiały wielobarwne sztandary i proporce! Z każdej strony widziało się kamienne rzeźby, delikatne jak paliczki i finezyjne niczym zmarszczki na wodzie. Stały tu domy zdobione wizerunkami kamiennych smoków, gryfów i lwów czy symbolami mądrości, odwagi i srogości mieszkańców. A w ogrodach podziwiać można było zamknięte w klatkach żywe smoki, gryfy i lwy. Ich ryki przerażały słabych duchem. W każdym kościele spoczywał święty i co godzina wyczyniał cuda na prośbę ludu. Prochy świętych leżały w szkatułach z kości słoniowej, ukrytych w zdobionych szlachetnymi kamieniami trumnach, które wystawiano we wspianych kapliczkach ze srebra i złota, dniem i nocą oświetlonych

blaskiem tysiąca świec! Każdego dnia urządzano wspaniałe procesje ku czci tego czy innego świętego, a sława Londynu docierała do wszystkich światów! W tamtych czasach mieszkańcy stolicy zwykli zasięgać u mnie rady w sprawie budowy domów, układu ogrodu, dekoracji salonów. Jeśli okazywali mi należyty szacunek, zazwyczaj służyłem pomocą. O tak! Gdy miasto zwracało się o radę do mnie, było piękne, imponujące, niezrównane. Teraz jednak... - Wymownie zacisnął dłoń w pięść, jakby miażdżył w niej Londyn i ciskał go precz. - Jakże głupio wyglądasz, tak się na mnie gapiąc! Zadałem sobie sporo trudu, by cię tu odwiedzić, a ty siedzisz milczący i ponury, z otwartymi ustami! Rozumiem, że dziwi cię mój widok, nie wolno jednak zapominać o dobrych manierach. Rzecz jasna - dodał tonem kogoś, komu nie brak dobrej woli - Anglików często zdumiewa moja obecność. Ale my jesteśmy zaprzyjaźnieni, zasłużyłem więc na życzliwsze powitanie!

- Czy my się znamy? - spytał Stephen ze zdumieniem. - Z pewnością śniłem o panu. Śniłem, że razem przebywamy w ogromnym domu pełnym nie kończących się, zakurzonych korytarzy!

- Czy my się znamy? - powtórzył z drwiną w głosie dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Coś podobnego! Cóż to za brednie? Jakbyśmy od wielu tygodni nie bywali na tych samych ucztach, balach i przyjęciach!

- Z pewnością w moich snach...

- Nie sądziłem, że jesteś taki tępy! - wykrzyknął dżentelmen. - Utracona Nadzieja to nie sen! To najstarsza i najpiękniejsza z moich posiadłości, równie prawdziwa jak Carlton House<sup>[37]</sup>. Właściwie nawet prawdziwsza! Znam przyszłość i powiem ci, że Carlton House w ciągu dwudziestu lat zostanie zrównane z ziemią, a Londyn istnieć będzie, och!, zaledwie jeszcze przez dwa tysiące lat. Utracona Nadzieja natomiast przetrwa aż do następnej epoki. - Dziwny dżentelmen wydawał się rozradowany tą myślą. Należy w tym miejscu chyba zauważyć, że najwyraźniej naturalnym stanem dżentelmena było skrajne zadowolenie. - Nie, to nie sen. Znajdujesz się pod wpływem zaklęcia, które co noc sprowadza cię do Utraconej Nadziei!

Oszołomiony Stephen tylko patrzył na rozmówcę. Nagle uświadomił sobie, że musi przemówić, by dżentelmen znów nie oskarżył go o ponuractwo i złe maniery.

- Czy... Czy pan rzucił zaklęcie? - wyjąkał.

- Naturalnie!

Rozradowanie dżentelmena o włosach jak puch ostu wskazywało na to, że w swoim mniemaniu uczynił Stephenowi wielki zaszczyt, więc Stephen uprzejmie mu podziękował.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, choć nie mam pojęcia, czym zasłużyłem na pańską



życzliwość - dodał.

- Ach! - wykrzyknął rozradowany dżentelmen. - Masz nienaganne maniery, Stephenie Blacku! Mógłbyś uczyć dumnych Anglików. Twoja ogłada towarzyska przyniesie ci w końcu szczęście!

- Czy złote gwinee w kasetce pani Brandy to pańskie dzieło? - spytał Stephen.

- Ach! Dopiero teraz odgadłeś? Pomyśl tylko, jakim sprytem się wykazałem! Pamiętając, co mówiłeś o swoich wrogach, którzy dniem i nocą spiskują przeciwko tobie, pieniądze dostarczyłem twej przyjaciółce. Gdy ją poślubisz, będą należały do ciebie.

- Ja... - zaczął Stephen i umilkł. Dżentelmen najwyraźniej czuł się upoważniony do ingerencji w każdą sferę jego życia. - Myli się pan jednak co do moich wrogów - dodał. - Nie mam żadnych.

- Drogi Stephenie, naturalnie, że masz! - oznajmił dżentelmen z pobłażliwym rozbawieniem. - Największym jest ten niegodziwiec, twój pan! Zmusza cię, byś mu służył dniem i nocą. Wyznacza ci zadania nieodpowiednie dla osoby tak godnej. A po co to robi?

- Pewnie, żeby... - zaczął Stephen.

- No właśnie! - oznajmił dżentelmen triumfalnie. - Żeby w swej odrażającej niegodziwości zniewolić cię i zakuć w kajdany. Teraz nad tobą triumfuje, tańczy i zanoszą się podłym śmiechem, widząc cię w tarapatach!

Stephen otworzył usta, by oświadczyć, że sir Walter Pole nigdy nie robił żadnej ze wzmiankowanych rzeczy, zawsze traktował go z wielką uprzejmością i troską. Dawniej, choć mu się nie przelewało, zapłacił nawet za nauki Stephena, a później, gdy wpadł w jeszcze większą nędzę, wiele razy jadł to samo, co Stephen, i ogrzewał się z nim przy jednym kominku. Co do triumfowania nad wrogami, Stephen często widywał zadowolenie na twarzy swego pana, gdy ten był przekonany o przewadze nad politycznym oponentem, nigdy jednak sir Walter nie tańczył, zanosząc się podłym śmiechem. Stephen już miał powiedzieć to wszystko, gdy na dźwięk słowa „kajdany” przeszła go niewidzialna błyskawica. Nagle oczyma wyobraźni ujrzał ciemne miejsce - okropne, budzące lęk, duszne, cuchnące i ciasne. W mroku wiły się cienie, słychać było brzęk żelaznych łańcuchów. Nie miał pojęcia, skąd wziął się ten obraz ani co oznaczał. Raczej nie było to wspomnienie. Chyba nigdy nie trafił w podobne miejsce?

-...Gdyby odkrył, że co noc ty i ona uciekacie od niego, by się radować w moim domu, och, szalałby z zazdrości i śmiem twierdzić, że zapragnąłby zgładzić was oboje. Bez obaw jednak, drogi Stephenie! Zadbam o to, by nigdy nie poznał prawdy. Och, jakże nie znoszę takich samolubów! Wiem, co to pogarda dumnych Anglików, lekceważenie i zadania poniżej

godności. Nie dopuszczę, by podobny los spotkał ciebie. - Dżentelmen urwał, by pogłaskać lodowatymi palcami policzek i czoło Stephena. Stephen poczuł mrowienie na skórze. - Nie wyobrażasz sobie, jak ciepłe uczucia do ciebie żywią! Dlatego postanowiłem uczynić cię królem elfiego państwa.

- Ja... Przepraszam, myślałem o czymś innym... Królem? Nie, panie. Nie mógłbym nim być. Tylko pańska niesłychana życzliwość sprawia, iż wierzy pan w taką możliwość. Obawiam się, że krainy elfów mi nie służą. Od kiedy po raz pierwszy trafiłem do pańskiego domu, czuję oszołomienie i ociążałość. Jestem znużony rankiem, w południe i nocą, a życie stało się nieznośnym ciężarem. Wina leży wyłącznie po mojej stronie. Może śmiertelnicy nie potrafią kosztować elfiego szczęścia?

- Och! Najzwyczajniej przytłacza cię posępność Anglii, gdy myślisz o radosnych chwilach spędzonych w mym domu, gdzie wciąż się tańczy i gdzie wszyscy noszą najpiękniejsze stroje.

- Zapewne tak właśnie jest, gdyby jednak uznał pan za stosowne uwolnić mnie od zaklęcia, byłbym bardzo wdzięczny.

- Wykluczone - oświadczył dżentelmen. - Nie wiesz, że moje piękne siostry i kuzynki - o które pojedynkowali się władcy i przez które upadały cesarstwa - wciąż toczą spory o to, która zostanie twą następną partnerką do tańca. Co by poczuły, gdybym powiedział im, że nie zawitasz więcej do Utraconej Nadziei? Wśród wielu zalet mam i taką, że jestem niezwykle troskliwym bratem i kuzynem. Co do twych obaw dotyczących królowania, zapewniam cię, że nie ma nic przyjemniejszego, niż patrzeć, jak wszyscy kłaniają ci się w pas, i słuchać pełnych szacunku inwokacji.

Mężczyzna znów począł wychwalać urodę, godność i elegancję Stephena, najwyraźniej uważając te cechy za zasadnicze przymioty władcy części Faerie. Potem zastanawiał się, które królestwo najbardziej odpowiadałoby Stephenowi.

- Nieprzeliczone Dary to piękna kraina, pełna ponurych, niedostępnych lasów, wysokich szczytów i mórz nie do przebycia. Szczęśliwie chwilowo nie ma tam żadnego władcy, nieszczęśliwie jednak jest już dwudziestu sześciu pretendentów do tronu. Trafiłbyś w sam środek krwawej wojny domowej, na co pewnie nie masz ochoty. Zostaje jeszcze księstwo Użalsie. Obecny książę nie ma żadnych wpływowych popleczników. Ale nie chciałbym widzieć swego przyjaciela jako władcy tak żalosego miejsca jak Użalsie!

## Rozdział dwudziesty

*Dziwny kapelusznik luty 1808*

Ci, którzy sądzili, że wraz z pojawieniem się maga wojna dobiegnie końca, szybko doznali zawodu.

- Magia! - oświadczył pan Canning, minister spraw zagranicznych. - Nie mówcie mi o magii! Jak wszystko inne, i ona pełna jest komplikacji. Rozczarowuje!

Nie mijał się z prawdą. Pan Norrell zawsze chętnie udzielał długich i skomplikowanych wyjaśnień, czemu to lub tamto nie jest możliwe. Raz mimochodem powiedział coś, czego później żałował. Zdarzyło się to w Burlington House, gdy tłumaczył lordowi Hawkesbury, ministrowi spraw wewnętrznych<sup>[38]</sup>, że aż dwunastu magów musiałoby pracować dniem i nocą nad pewnym zadaniem. Wygłosił długą, nużącą mowę o żalostnej sytuacji angielskiej magii i zakończył ją słowami:

- Chciałbym, aby było inaczej, ale jak zapewne wiadomo waszej lordowskiej mości, utalentowani młodzieńcy wybierają armię, marynarkę i Kościół. Moją profesję bardzo zaniedbano. - I westchnął ciężko.

Właściwie wcale nie zamierzał nad tym ubolewać, może jedynie zwrócić uwagę na swój niepospolity talent. Niestety, lord Hawkesbury wpadł na całkiem nowy pomysł.

- Och! - wykrzyknął. - Więcej magów, tak? Rozumiem. No właśnie. Może szkoła? Albo towarzystwo pod patronatem Jego Królewskiej Mości? Cóż, szczegóły zostawimy panu. Gdyby był pan łaskaw sporządzić stosowne opracowanie, chętnie je przeczytam i przedłożę pańskie propozycje innym ministrom. Wszyscy wiemy, jak znakomicie radzi pan sobie z tego rodzaju notami, pisze jasno i przejrzyście, a do tego wyraźnie. Sądzę nawet, że wykroimy dla pana skromną sumkę na ten cel. Proszę się tym zająć w wolnej chwili, bez pośpiechu. Wiem, że jest pan zapracowany.

Biedny pan Norrell! Nic nie mogłoby go bardziej przerazić niż kreowanie nowych magów. Pocieszał się myślą, że lord Hawkesbury to wzorowy minister, oddany swej pracy i mający mnóstwo obowiązków. Bez wątpienia wkrótce zapomni o całej sprawie.

Gdy jednak pan Norrell następnym razem zjawił się w Burlington House, lord Hawkesbury pośpieszył ku niemu z okrzykiem:

- Drogie panie! Rozmawiałem z królem o pańskim planie wykształcenia nowych magów. Jego Królewska Mość był bardzo zadowolony, uznał pomysł za doskonały i poprosił,

bym panu przekazał, że chętnie obejmie patronat nad uczelnią.

Nim pan Norrell zdążył odpowiedzieć, nagłe pojawienie się ambasadora Szwecji zmusiło jego lordowską mość do odejścia.

Mniej więcej tydzień później pan Norrell ponownie spotkał lorda Hawkesbury, tym razem w Carlton House, na kolacji wydanej na cześć maga przez księżną Walii.

- O, tu pan jest! Pewnie nie ma pan przy sobie pisma na temat szkoły magów? Właśnie gawędziłem z księciem Devonu - jest bardzo zainteresowany. Jego dom w Leamington Spa dobrze by się nadał na akademię. Księżę pytał mnie o program nauczania, modlitwy przed zajęciami i o to, gdzie magowie będą sypiać - słowem, o rozmaite sprawy, których nie potrafiłem wyjaśnić. Zechce pan z nim porozmawiać? Stoi przy kominku i właśnie tutaj spogląda. Wasza Wysokość, pan Norrell chętnie wszystko panu opowie!

Z niejakim trudem pan Norrell przekonał lorda Hawkesbury i księcia Devonu, że założenie szkoły zajęłoby zbyt wiele czasu, a poza tym najpierw musiałby znaleźć młodych ludzi o talencie na tyle dużym, by skórka warta była wyprawki. Jego Wysokość i jego lordowską mość niechętnie uznali racje pana Norrella, a ten mógł się wreszcie oddać o wiele przyjemniejszemu zajęciu: prześladowaniu praktykujących magów.

Londyńscy uliczni sztukmistrze od dawna działali mu na nerwy. Jeszcze jako człowiek nieznany i pozbawiony wpływów domagał się od członków parlamentu i innych ważnych osobistości usunięcia tych wagabundów. Naturalnie, w chwili gdy zyskał sławę, zdwoił, a wręcz potroił wysiłki. Najpierw uznał, że kwestię magii powinien regulować rząd. Magowie otrzymywaliby koncesję na swoje usługi (choć nie przychodził mu do głowy nikt, kto poza nim miałby na nią szansę). Zaproponował nawet ustanowienie organu regulacyjnego w postaci Rady Magii, ale tu już przesadził.

- Nie chcemy obrażać człowieka, który oddał takie przysługi naszemu krajowi - zauważył lord Hawkesbury w rozmowie z sir Walterem - ale żeby w trakcie długiej wojny żądać ustanowienia nowego urzędu, pełnego tajnych radców, ministrów i Bóg wie kogo jeszcze?! I po co? Żeby słuchali pana Norrella i go chwalili! Drogi sir Walterze, proszę mu zasugerować inne rozwiązanie, błagam pana.

Wobec tego podczas następnego spotkania z panem Norrellem (w domu na Hanover Square) sir Walter zwrócił się do przyjaciela tymi słowami:

- Cel godny podziwu, nikt temu nie przeczy, ale rada to nie jest dobre rozwiązanie. W naszym mieście, a głównie tu tkwi problem, taka rada nie będzie miała władzy. Powiem panu, co zrobię. Jutro obaj udamy się do rezydencji lorda burmistrza Londynu, by złożyć wizytę jemu i jednemu lub dwóm radnym. Myślę, że szybko znajdziemy przyjaciół dla naszej

sprawy.

- Drogi sir Walterze! - wykrzyknął pan Norrell. - To nie wystarczy. Problem nie dotyczy wyłącznie Londynu. Pracuję nad tym od czasu opuszczenia hrabstwa York... - (Poszperał w stosiku dokumentów na stoliczku i wyciągnął listę.) - W Norwich jest dwunastu ulicznych magików, dwóch w Yarmouth, dwóch w Gloucesterze, sześciu w Winchesterze, czterdziestu dwóch w Penzance! Coś podobnego! Zaledwie kilka dni temu pewna brudna kobieta wdarła się do mojego domu, wykrzykując, że nie odejdzie bez spotkania ze mną, po czym zażądała ode mnie zaświadczenia o jej umiejętnościach magicznych. Całkiem mnie zaskoczyła. Powiedziałem więc: „Kobieto...”

- Myślę - przerwał sir Walter pośpiesznie - że kiedy Londyn pozbędzie się tego utrapienia, inne miasta pójdą w jego ślady. Żadne nie zechce pozostać w tyle.

Pan Norrell wkrótce się przekonał, że sir Walter miał wiele racji. Burmistrz i radni zapragnęli przyczynić się do pełnego chwały odrodzenia angielskiej magii. Skłonili Sąd Rady Miejskiej Londynu do powołania Komitetu Sztuk Magicznych, a ten uchwalił, że w granicach miasta tylko pan Norrell może czarować, a inne osoby, które „prowadzą magiczne budki lub stragany albo w inny sposób nękają mieszkańców Londynu, roszcząc sobie pretensje do czynienia sztuk magicznych, zostaną niezwłocznie wydalone”.

Uliczni sztukmistrze zlikwidowali straganiki, załadowali skromny dobytek na wózki i opuścili miasto. Niektórzy na odchodnym rzucili klątwę na Londyn, ale ogólnie biorąc, zaakceptowali zmianę ze stoickim spokojem. Większość po prostu pogodziła się z tym, że musi porzucić magię i zająć się zebranią lub złodziejstwem, a ponieważ od lat amatorsko się tym parała, zmiana nie była aż tak bolesna.

Tylko jeden samozwaniec nie opuścił miasta - Vinculus, mag z Threadneedle Street. Został w swej budce i nadal przepowiadał nieszczęśliwą przyszłość oraz sprzedawał zaklęcia zemsty odrażonym kochankom i rozżalonym czeladnikom. Naturalnie pan Norrell błyskawicznie złożył skargę do Komitetu Sztuk Magicznych, gdyż to właśnie Vinculusa nie cierpiał najbardziej. Komitet wyekspediował woźnych kościelnych i urzędników, by postraszyli Vinculusa dybami, ale ten ich zlekceważył. Był tak popularny wśród mieszkańców Londynu, że komitet obawiał się zamieszek, gdyby spróbował usunąć go siłą.

W ponury lutowy dzień Vinculus siedział w swojej budce pod kościołem St Christopher Le Stocks. Na wypadek gdyby któryś z czytelników nie pamiętał z dzieciństwa siedzib ulicznych magów, należy przypomnieć, że budka taka przypomina raczej teatrzyk z Punchem i Judy<sup>[39]</sup> albo straganik na jarmarku zrobiony z drewna i płótna. Żółta kotara, do połowy długości zdobiona grubą warstwą brudu, służyła jako drzwiczki i reklama

oferowanych w środku usług.

Akurat w ten dzień Vinculus nie miał klientów ani nadziei na ich przybycie. Ulice były wyludnione. Nad Londynem zawisła dokuczliwa szara mgła o aromacie dymu i smoły. Sklepikarze dorzucili węgla do ognia i zapalili wszystkie lampy w nadziei, że rozproszą mrok i odegnają chłód. Ale dziś z okrągłych okien sklepów nie padał na ulicę ciepły blask: światło nie mogło przeniknąć przez mgłę.

W rezultacie nikogo nie kusila wizja zakupów, więc ekspedienci w długich białych fartuchach i pudrowanych perukach swobodnie gawędzili albo rozgrzewali się przy kominku. Takiego dnia każdy, kto miał coś do roboty, nie wyściubiał nosa z domu czy ze sklepu, a ten, kto musiał wyjść, jak najszybciej załatwiał swoje sprawy i wracał.

Przemarznięty do szpiku kości Vinculus siedział ponuro za kotarą i myślał o kilku właścicielach piwiarni, którzy może zechcieliby sprzedać mu na kredyt szklaneczkę lub dwie grzanego wina z przyprawami. Już prawie zdecydował, od kogo zacząć, kiedy tupot i głośnie chuchanie w dłonie podpowiedziały mu, że przed budką stoi klient. Vinculus uniósł kotarę i wyrzwał.

- Jesteś magiem?

Vinculus przytaknął z wahaniem, że i owszem (człowiek miał wygląd urzędnika sądowego).

- Znakomicie. Mam dla ciebie zadanie.

- Dwa szylingi za konsultację.

Mężczyzna włożył rękę do kieszeni, wyciągnął sakiewkę i wetknął dwa szylingi w dłoń maga. Następnie opisał problem, który Vinculus miał załatwić za pomocą magii. Wyjaśnienia były bardzo przejrzyste, klient dokładnie wiedział, czego chce. Jedyne problem polegał na tym, że im więcej gadał, tym mniej Vinculus mu wierzył. Mężczyzna twierdził, że przybywa z Windsoru. Było to całkiem możliwe. Co prawda mówił z północnym akcentem, ale to akurat nie dziwiło: ludzie często przyjeżdżali tu z północy, by zbić majątek. Nieznajomy przedstawił się jako właściciel dobrze prosperującego sklepu modniarskiego i to właśnie wydawało się najbardziej podejrzane, gdyż zupełnie nie wyglądał na kapelusznika. Vinculus niewiele wiedział o kapelusznikach, intuicja jednak podpowiadała mu, że powinni się ubierać według najnowszej mody. Tymczasem ten człowiek miał na sobie stary czarny płaszcz, wielokrotnie łatany i cerowany. Jego koszula, choć czysta i dobrej jakości, była niemodna już dwadzieścia lat temu. Vinculus nie znał nazw modniarskich akcesoriów, ale kapelusznicy z pewnością tak, ten osobnik jednak nazywał je „faramuszkami”.

Panował przejmujący ziąb, a ziemia zamieniła się w paskudną mieszaninę lodu i

zamarzniętego błota. Gdy Vinculus spisywał informacje w wytłuszczonym notesie, poślizgnął się nagle i runął na dziwnego kapelusznika. Usiłował wstać, ale lód był tak zdradliwy, że mag musiał użyć rozmówcy jako podpórki. Dziwny kapelusznik wydawał się zbulwersowany, gdy jego nozdrzy dosięgły wyziewy piwa i kapusty, a kościste palce obmacywały go po całym ciele, milczał jednak.

- Przepraszam - wymamrotał Vinculus, gdy powrócił do pozycji stojącej.

- Bardzo proszę - odparł uprzejmie kapelusznik, strzepując z płaszcza okruszki czerstwego chleba, bryłki pozlepianego tłuszczu i kurzu oraz inne ślady obecności Vinculusa.

Mag także poprawił ubranie, które nieco się rozchełstało. Po chwili dziwny kapelusznik podjął opowieść:

- Jak mówię, mój zakład prosperuje, czepki są rozchwytywane, nie ma tygodnia, by księżniczka nie zamawiała nowego kapelusza albo faramuski. Wywiesiłem wielki gipsowy wizerunek królewskiego herbu, żeby poinformować klientów o najwyższym patronacie nad sklepem. Wciąż jednak uważam, że modniarstwo to żmudne zajęcie. Siedzenie po nocach przy czepkach, liczenie pieniędzy i tak dalej. Sądzę, że byłoby mi znacznie łatwiej, gdyby jedna z królewskich cór mnie pokochała i posłubiła. Znasz odpowiednie zaklęcie, magu?

- Miłosne zaklęcie? Naturalnie. Ale to kosztuje. Zazwyczaj liczę sobie cztery szylingi za rozkochanie dójki, dziesięć za szwaczkę i sześć gwinei za wdówkę z własnym sklepem. Królewska córka... hm... - Vinculus podrapał nie ogolony policzek brudnymi palcami. - Czterdzieści gwinei - zaryzykował.

- Doskonale.

- Która? - spytał Vinculus.

- Co która?

- Która córka?

- Właściwie wszystkie są takie same, prawda? Czy cena zależy od osoby?

- Nie, raczej nie. Zapiszę zaklęcie na kartce. Proszę przedrzeć kartkę na dwie części i zaszyć jedną z połówek pod podszewką płaszcza. Drugą należy ukryć w części garderoby tej damy, na którą padnie pański wybór.

Dziwny kapelusznik wydawał się zdumiony.

- Niby jak miałbym to zrobić?

- Myślałem, że szyje im pan czepki?

- No tak - zaśmiał się kapelusznik. - Oczywiście. Vinculus popatrzył na niego podejrzliwie.

- Taki z ciebie kapelusznik jak ze mnie...

- Mag? - zasugerował drwiąco dziwny klient. - Musisz przyznać, że to nie jedyna twoja profesja. W końcu przed chwilą opróżniłeś mi kieszenie.

- Chciałem sprawdzić, co z ciebie za niegodziwiec - odparł Vinculus i zaczął potrząsać ręką, aż z rękawa wypadły mu wszystkie przedmioty wyciągnięte z kieszeni kapelusznika. Była tam garść srebrnych monet, dwie złote gwinee i trzy albo cztery złożone kartki papieru. Te podniósł.

Kartki były nieduże, grube i znakomitej jakości. Wszystkie pokrywało drobne schludne pismo. Na górze pierwszej kartki napisano: „Dwa zaklęcia mające skłonić upartego osobnika do opuszczenia Londynu oraz jedno zaklęcie, by odkryć, co obecnie czyni mój wróg”.

- Mag z Hanover Square! - oświadczył Vinculus. Childermass (gdyż był to on) skinął głową. Vinculus przebiegł wzrokiem zaklęcie. Pierwsze miało sprawić, by ten, na kogo je rzucono, uwierzył, że każdy londyński cmentarz nawiedzają pogrzebani tam ludzie i że na każdym moście snują się samobójcy, którzy się zeń rzucili. Nieszczęśnik, na którego rzucono by zaklęcie, widziałby duchy w takiej postaci, jak wyglądały w chwili śmierci - ze wszystkimi śladami gwałtu, choroby czy starości. To miałyby go tak przerazić, że bałby się przejść po jakimkolwiek moście lub obok kościoła, co w Londynie byłoby poważną niedogodnością, gdyż mosty dzieliło nie więcej niż sto metrów, a kościoły nawet mniej. Pod wpływem drugiego zaklęcia człowiek miał nabrać - przekonania, że znajdzie prawdziwą miłość i szczęście na wsi. Do trzeciego zaś - które odkrywało poczynania wroga - potrzeba było zwierciadła, a zaklęcie to miało zapewne ułatwić Childermassowi szpiegowanie Vinculusa.

Vinculus prychnął pogardliwie.

- Możesz powiedzieć magowi z Mayfair, że jego zaklęcia na mnie nie działają.

- Doprawdy? - spytał Childermass ironicznie. - Pewnie dlatego, że ich nie rzuciłem.

Vinculus cisnął papiery na ziemię.

- No to rzucaj! - Wyzywająco skrzyżował ramiona i łypnął okiem tak, jak to robił, gdy przywoływał ducha rzeki Tamizy.

- Dziękuję, ale nie.

- A to czemu?

- Bo, podobnie jak ty, sam chcę decydować o sposobie załatwiania spraw. Mój chlebodawca nakazał mi dopilnować, byś opuścił Londyn. Zrobię to po swojemu. Chodź, porozmawiamy, Vinculusie.

Vinculus myślał nad tym przez chwilę.

- Czy możemy pogawędzić w cieplejszym miejscu? Może w piwiarni?



- Naturalnie, skoro chcesz.

Kartki z zaklęciami Norrella fruwały u ich stóp. Vinculus się pochylił, zebrał je i nie zważając na przylepione do nich źdźbła słomy i błoto, ukrył w kieszonce na piersi.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

*Karty marsylskie luty 1808*

Piwiarnia zwała się Ananas i była kiedyś kryjówką notorycznego złodzieja i mordercy. Przestępca ów miał wroga równie niegodziwego jak on sam. Złodziej i jego wróg byli niegdyś współnikami w jakiejś potwornej zbrodni. Złodziej zagarnął cały łup i zawiadomił urzędników sądowych, gdzie znajdą jego wroga. Ten zaś po ucieczce z Newgate przybył do Ananasa ciemną nocą, wraz z trzydziestką kompanów. Nakazał im zerwać dachówki i rozbierać cegły dopóty, dopóki nie wyłuskają złodzieja z pokoju. "Nikt nie widział, co było później, ale wielu słyszało przeraźliwe krzyki na pogrążonej w nieprzeniknionym mroku ulicy. Właściciel odkrył, że ponura sława Ananasa przynosi zyski, więc wyremontował go jedynie prowizorycznie - załatał dziury drewnem i smołą, przez co piwiarnia wyglądała, jakby opatrzono jej rany po bijatyce z sąsiadami.

Trzy śliskie schodki prowadziły z ulicy do ponurej sali. Ananas miał szczególny zapach: była to mieszanka woni piwa, tytoniu, klientów i smrodu rzeki Fleet, która od wielu lat służyła za kanał ściekowy. Fleet płynęła pod fundamentami Ananasa i piwiarnia podobno się w nią zapadała. Na ścianach sali powieszono tanie sztychy - portrety słynnych kryminalistów ostatniego stulecia (wszyscy skończyli na stryczku) oraz rozpustnych synów króla (żaden nie zawisł).

Childermass i Vinculus usiedli przy stoliku w kącie. Błada dziewczyna przyniosła tanią świeczkę z łoju i dwa cynowe kufle z grzany piwem z korzeniami. Childermass zapłacił.

Pili w milczeniu. Nagle Vinculus zerknął na Childermassa.

- Po co te nonsensy o czepkach i królewskich córkach?

- Ach, miałem taki kaprys. - Childermass zaśmiał się pod nosem. - Od dnia, w którym zjawiłeś się w bibliotece, mój chlebodawca zabiega o pomoc swych ważnych przyjaciół w pogębieniu ciebie. Już prosił lorda Hawkesbury i sir Waltera Pole'a, żeby w jego imieniu

poskarżyli się królowi. Wierzył chyba, że Jego Wysokość wyśle armię przeciw tobie, ale lord Hawkesbury i sir Walter wytłumaczyli mu, że król raczej nie zada sobie tyle trudu dla jednego łachmyty i sztukmistrza z jarmarcznej budy. Przyszło mi do głowy, że jeśli Jego Królewska Mość dowie się, że pośrednio zagroziłeś cnotie jego córek, inaczej spojrzysz na sprawę<sup>[40]</sup>. - Childermass upił łyk piwa. - Powiedz mi, Vinculusie, nie jesteś zmęczony wymyślaniem zaklęć i przepowiadaniem bredni? Połowa klientów drwi z ciebie. Nie wierzą w twą magię, podobnie jak ty. Twój czas dobiegł końca. Teraz w Anglii jest prawdziwy mag.

- Mag z Hanover Square! - Vinculus prychnął z pogardą. - Wszyscy wielcy ludzie w Londynie powtarzają, że nie widzieli równie uczciwego człowieka. Znam jednak i magów, i magię, więc powiadam: wszyscy magowie kłamią, a ten najbardziej.

Childermass wzruszył ramionami, jakby nie chciało mu się zaprzeczać. Vinculus nachylił się do rozmówcy.

- *Magia będzie spisana na kamienistych wzgórzach, lecz ich umysły jej nie ogarną. Zimą jałowe drzewa będą czarnym pismem, lecz oni tego nie pojmą...*

- Drzewa i wzgórza, Vinculusie? Kiedy ostatnio widziałeś drzewo albo wzgórze? Dlaczego nie powiesz, że magia będzie spisana na ścianach brudnych domów albo że dym jest czarnym pismem na niebie?

- To nie moja przepowiednia.

- A tak. Oczywiście. Twierdzisz, że to proroctwo Króla Kruków. Cóż, nie ma w tym nic niezwykłego. Każdy znany mi szarlatan niósł przesłanie od Króla Kruków.

- *Zasiadam na czarnym tronie w cieniu, lecz oni mnie nie dostrzegą* - wymamrotał Vinculus. - *Deszcz utworzy dla mnie wrota, a ja je przekroczę.*

- No właśnie. A zatem, skoro sam nie spisałeś tego proroctwa, gdzie je znalazłeś?

Przez chwilę Vinculus się wahał, ale nagle oznajmił:

- Spisano je w księdze.

- Księdze? Jakiej księdze? Biblioteka mojego pana jest bardzo zasobna, a nie zna on takiego proroctwa.

Vinculus milczał.

- W twojej księdze? - dociekał Childermass.

- Jest w moim posiadaniu.

- Skąd ją masz? Komu ją ukradłeś?

- Nie ukradłem. Odziedziczyłem. To największa chwała i największe brzemię, jakie spoczęło na ludzkich barkach w obecnych czasach.

- Jeśli faktycznie jest cenna, możesz ją sprzedać Norrellowi. Płaci bająnskie sumy za

książki.

- Mag z Hanover Square nigdy nie dostanie tej książki. Nigdy jej nawet nie ujrzy.

- Gdzie ukrywasz ten wielki skarb?

Vinculus zaśmiał się zimno, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza wyznać tego słudze swego wroga.

Childermass nakazał dziewczynie przynieść jeszcze piwa. Popijali je w milczeniu. Następnie dysponent wydobyl talię kart z kieszeni płaszcza i pokazał je Vinculusowi.

- Tarok marsylski. Widziałeś już coś podobnego?

- Nieraz. - Vinculus pokiwał głową. - Twoje karty są jednak inne.

- To kopia talii pewnego marynarza, którego poznałem w Whitby. Kupił te karty w Genewie, by pomogły mu szukać ukrytego złota piratów. Ale ich nie rozumiał. Chciał mi je sprzedać, ale nie stać mnie było. Doszliśmy do porozumienia: przepowiedziałem mu przyszłość, a w zamian pożyczył mi karty, żebym mógł je skopiować.

- Niestety, statek odpłynął, nim ukończyłem rysunki, więc połowa powstała z pamięci.

- Co mu przepowiedziałeś?

- Prawdę. Że utonie przed końcem roku.

Vinculus zaśmiał się z aprobatą.

Gdy Childermass układał się z marynarzem, najwyraźniej nie stać go było również na papier, więc rysował karty na odwrocie rachunków z piwiarni, spisów ubrań z pralni, listów i afiszów. Później przykleił te rysunki na kolorowy karton, ale na niektórych pismo przebijało i karty prezentowały się dość osobliwie.

Childermass wyłożył dziewięć kart w rzędzie. Odwrócił pierwszą.

Pod obrazkiem widniała liczba i nazwa: *VIII. LJermite*. Karta przedstawiała starego człowieka w szacie zakonnej z kapturem. Dzierżył w dłoni latarnię i szedł z laską, jakby na skutek długiego siedzenia i nauki nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zdawało się, że od karty bije suchość, która wręcz pochłania obserwatora, jakby rysunek był pokryty warstwą pyłu.

- Hm - mruknął Childermass. - Chwilowo twymi czynami rządzi Pustelnik. Cóż, tego sam się domyśliłem.

Następna karta, *Le Mat*, jedyna bez numeru, jakby nie była związana z pozostałymi, przedstawiała człowieka idącego drogą pod zielonym drzewem. Jednym kijem się podpierał, a na drugim miał przywiązany tobołek. Za nim skakał piesek. Postać symbolizowała głupca albo błazna z dawnych czasów. Nosił dzwoneczek na czapce, a przy kolanach czerwone i zielone wstążki. Wyglądało na to, że Childermass nie potrafi zinterpretować znaczenia tej karty. Zastanawiał się przez moment, a potem odwrócił dwie następne: *VIII. La Justice*,

kobieta w koronie, z mieczem i wagą, oraz dwójka pałek. Pałki były skrzyżowane: być może symbolizowały także rozdroże.

Childermass parsknął śmiechem.

- Coś podobnego. - Splótł ręce na piersiach i z rozbawieniem popatrzył na Vinculusa. - Ta karta tutaj - postukał w *La Justice* - mówi, że rozważyłeś swoje wybory i podjąłeś decyzję. Ta - wskazał dwójkę pałek - wyjaśnia, jaka to decyzja: ruszasz w drogę. Najwyraźniej marnowałem czas. Już postanowiłeś opuścić Londyn. Tyle protestów, Vinculusie, choć od początku zamierzałeś odejść!

Vinculus wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że Childermass nie mógł oczekiwać po nim innego zachowania.

Piątą kartą był *Valet de Coupe*, Walet Kielichów. Zwykle walet to osoba młoda, ten obrazek jednak przedstawiał dojrzałego mężczyznę z pochyloną głową. Miał on potargane włosy i gęstą brodę. W lewej dłoni dzierżył ciężki kielich, z pewnością jednak nie tłumaczyło to pełnego napięcia wyrazu twarzy postaci, no, chyba że był to najcięższy kielich świata. Musiał dźwigać inne brzemie. Ze względu na materiały użyte przez Childermassa do tworzenia kart obrazek wyglądał bardzo szczególnie. Narysowano go na odwrocie listu, a litery przebijały przez papier. Strój waleta pokryty był płataniną bazgrołów, które prześwitywały nawet na twarzy i rękach.

Na widok tej karty Vinculus wybuchnął śmiechem. Postukał waleta przyjaźnie, jakby na powitanie. Childermass poczuł się mniej pewnie.

- Musisz przekazać komuś wiadomość - powiedział z wahaniem.

Vinculus skinął głową.

- Czy następna karta pokaże mi tę osobę?

- Tak.

- Och! - Vinculus sam obrócił szóstą kartę.

Okazał się nią *Cavalier de Baton*, Rycerz Pałek. Mężczyzna w kapeluszu o szerokim rondzie siedział na jasnym koniu. Elementami charakterystycznymi okolicy, przez którą jechał, było kilka kamieni i kępki trawy pod kopytami konia. Strój jeźdźcy wyglądał schludnie i elegancko, ale z jakiejś dziwnej przyczyny rycerz dzierżył w dłoni ciężką pałkę. Właściwie słowo „pałka” to przesada. Był to gruby konar, z którego wyrastały gałązki i listki. Vinculus podniósł kartę i uważnie ją obejrzał.

Siódmą kartą była dwójka mieczy. Childermass nic nie powiedział, lecz natychmiast odwrócił ósmą kartę - *Le Pendu*, Wisielec. Dziewiątą kartę nazwano *Le Monde*, Świat. Ukazywała nagą kobietę w tańcu, a w rogach karty widniał anioł, orzeł, skrzydlaty byk oraz

skrzydlaty lew, czyli symbole ewangelistów.

- Możesz oczekiwać spotkania, które doprowadzi do ciężkiej próby, może nawet śmierci - oznajmił Childermass. - Karty nie mówią, czy przeżyjesz, ale cokolwiek się stanie, ona - dotknął ostatniej karty - oznacza, że osiągniesz swój cel.

- Zdołałeś mnie poznać? - spytał Vinculus.

- Niezupełnie, ale wiem o tobie więcej niż wcześniej.

- Sam widzisz, że różnię się od innych.

- Nic tu nie świadczy o tym, że jesteś kimś więcej niż zwykłym szarlatanem - mruknął Childermass i zaczął zbierać karty.

- Czekaj - rzekł Vinculus. - Przepowiem ci przyszłość.

Wziął karty i wyłożył dziewięć. Obracał je powoli, jedną po drugiej: *XVIII. La Lune*, *XVI. La Maison Dieu*, odwrócony. Dziewiątka mieczy, *Valet de Baton*, dziesiątka pałek odwrócona, *III. La Papesse*, *X. La Rove de Fortune*, dwójka monet, Król Kielichów. Popatrzył na nie. Podniósł *La Maison Dieu* i uważnie przyjrzał się karcie, lecz nie odezwał się ani słowem.

Childermass wybuchnął śmiechem.

- Masz rację, Vinculusie. Jesteś inny niż wszyscy. Oto moje życie, tu na stole. Nie potrafisz go jednak odczytać. Dziwny z ciebie osobnik - przeciwieństwo wszystkich magów z ostatnich stuleci. Oni mieli ogromną wiedzę i za grosz talentu, ty masz talent, ale brak ci wiedzy. Na nic ci twoje umiejętności.

Vinculus brudnymi paznokciami podrapał chudy, blady policzek. Childermass zaczął zbierać karty, ale raz jeszcze sztukmistrz mu przeszkodził i pokazał, że ponownie je rozłoży.

- Co takiego? - spytał zaskoczony Childermass. - Przepowiedziałem ci już przyszłość. Ty nie zdołałeś przepowiedzieć jej mnie. Czego jeszcze chcesz?

- Przepowiem przyszłość jemu.

- Komu? Norrellowi? Nie zrozumiesz jej.

- Potasuj karty - upierał się Vinculus.

Wobec tego Childermass potasował karty, Vinculus wyjął dziewięć i je rozłożył. Obrócił pierwszą kartę.

*III. L'Emperevr.* Ukazywała króla na tronie pod gołym niebem, z atrybutami królewskiej władzy - koroną i berłem. Childermass pochylił się nad kartą.

- Co się stało? - spytał Vinculus.

- Chyba nie najlepiej ją skopiowałem. Wcześniej tego nie zauważyłem - tusz jest źle nałożony, linie są grube i zamazane, włosy i szata cesarza wydają się prawie czarne. I ktoś

zostawił ślad brudnego palca na orle. Cesarz powinien być starszy. Narysowałem młodego człowieka. Zaryzykujesz interpretację?

- Nie - odparł Vinculus i ruchem głowy dał znak, by Childermass odwrócił następną kartę. *III. L'Emperevr.*

Zapadła cisza.

- To niemożliwe - powiedział Childermass. - W tej talii nie ma dwóch Cesarzy.

Ten król wyglądał chyba jeszcze młodziej i bardziej dziko niż poprzedni. Jego włosy i szata były czarne, korona na głowie zamieniła się w cienką obręcz z jasnego metalu. Na karcie nie było śladu kciuka, ale wielki ptak w rogu przybrał zdecydowanie czarną barwę i bardziej charakterystyczny dla Anglii kształt. Nie miał już cech orła, stał się krukiem.

Childermass odwrócił trzecią kartę. *III. L'Emperevr.* I czwartą. *III. L'Emperevr.* Przy piątej napis na karcie zniknął, ale obrazek pozostał: widniał na nim młody czarnowłosy król i wielki czarny ptak u jego stóp. Childermass odwrócił wszystkie karty. Nawet przejrzał resztę talii, która w zdenerwowaniu wysliznęła mu się z rąk. Czarni królowie tłoczyli się wokół Childermassa, wirowali w zimnym powietrzu. Na każdej karcie widniała ta sama blada postać o surowym spojrzeniu.

- Proszę bardzo! - powiedział Vinculus cicho. - To możesz powtórzyć magowi z Hanover Square! Oto jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Rzecz jasna, kiedy Childermass powrócił na Hanover Square i zdał Norrellowi relację z tego, co zaszło, mag wpadł we wściekłość. Nie dość, że Vinculus mu się sprzeciwił, nie dość, że miał ponoć księgę, której pan Norrell nie mógł przeczytać, to jeszcze udawał, że zna jego losy i straszyl go obrazkami Króla Kruków. Było to absolutnie niedopuszczalne.

- Zwiódł cię! - oświadczył pan Norrell ze złością. - Ukrył twoje karty, a pokazał ci własne. Zdumiewające, że dałeś się wystrychnąć na dudka!

- Właśnie - przytaknął pan Lascelles, patrząc zimno na Childermassa.

- Vinculus jest zwykłym sztukmistrzem - wtrącił Drawlight. - Choć i tak chętnie bym to zobaczył. Przepadam za nim. Szkoda, że nic mi pan nie wspomniał o tym spotkaniu. Poszedłbym z panem.

Childermass zignorował Lascellesa i Drawlighta, zwrócił się wprost do pana Norrella:

- Nawet jeśli potrafi wykonać tak zręczną sztuczkę - a bardzo w to wątpię - skąd by wiedział, że mam karty marsylskie? Skąd miałby to wiedzieć, skoro nawet pan nie miał o tym pojęcia?

- Twoje szczęście, że nie miałem! Przepowiadanie przyszłości za pomocą kart z obrazkami! Jakże tego nienawidzę! Źle się zabrałem do sprawy.

- A co z księgą, którą rzekomo dysponuje ten sztukmistrz? - spytał Lascelles.

- Otóż to - powiedział pan Norrell. - Dziwaczne proroctwo. To pewnie nic niewarte, choć jeden czy dwa zwroty świadczą o tym, że może pochodzić z dawnych czasów. Powinienem obejrzeć tę księgę.

- No i? - spytał Lascelles Childermassa.

- Nie wiem, gdzie ją trzyma.

- Zatem należy jej poszukać.

Childermass wysłał szpiegów za Vinculusem i dokonali oni zdumiewającego odkrycia: Vinculus był żonaty. Nawet bardziej żonaty niż większość ludzi. Miał pięć małżonek w różnych parafiach w Londynie oraz w okolicznych miasteczkach i wioskach. Najstarsza liczyła sobie lat czterdzieści pięć, najmłodsza - piętnaście, i żadna nie była świadoma istnienia pozostałych. Childermass zaaranżował spotkanie z każdą po kolei. Dla dwóch wcielił się w dziwnego kapelusznika, kolejnej zaprezentował się jako urzędnik celny, przed czwartą odgrywał pijaka i hazardzistę, a piątej powiedział, że choć świat zna go jako sługę wielkiego pana Norrella z Hanover Square, w rzeczywistości sam jest magiem. Dwie usiłowały go okraść, trzecia oświadczyła, że powie mu wszystko, jeśli tylko zapłaci za jej gin. Czwarta próbowała go zaciągnąć na spotkanie metodystów, a ostatnia, ku zaskoczeniu wszystkich, zakochała się w nim. Koniec końców cała ta maskarada zdała się psu na budę, bo żadna z kobiet nie była nawet świadoma, że Vinculus ma jakąś księgę, a już z pewnością nie wiedziały, gdzie ją trzyma.

Pan Norrell nie chciał w to uwierzyć; w gabinecie na drugim piętrze rzucał zaklęcia i zaglądał do srebrnej misy, wpatrując się w mieszkania pięciu żon Vinculusa, ale nie dostrzegł niczego, co przypominałoby księgę.

Tymczasem piętro wyżej, we własnym pokoiku, Childermass rozkładał karty. Wszystkie powróciły do pierwotnej postaci, poza Cesarzem, który nadal przypominał Króla Kruków. Pewne karty wciąż się powtarzały, wśród nich As Kielichów (wyglądający na kościelne naczynie, tak misterne, że kojarzył się raczej z otoczonym murem miastem na łodydze) oraz *II. La Papesse*. Zdaniem Childermassa obie te karty symbolizowały tajemnicę. Niespotykane często wyciągał też palki, ale zawsze wyższe numery, siódmkę, ósemkę, dziewiątkę i dziesiątkę. Im dłużej Childermass wpatrywał się w te palki, tym bardziej przypominały mu linijki tekstu. Ale ponieważ przeszkadzały w zrozumieniu czegokolwiek, Childermass zaczynał wierzyć, że tajemnicza księga Vinculusa została spisana w nieznanym języku.

## Rozdział dwudziesty drugi

*Rycerz Palek luty 1808*

Jonathan Strange bardzo się różnił od swego ojca. Nie był chciwy, nie był dumny, nie był kłótniwy ani nieprzyjemny. Choć nie miał uderzających wad, z trudem wyliczano jednak jego zalety. Na przyjęciach w Weymouth i w salonach Bath modne towarzystwo, które tam spotykał, nazywało go najbardziej czarującym człowiekiem na świecie, ale właściwie oznaczało to jedynie, że ładnie się wysławiał, dobrze tańczył, a także polował i grał w karty jak na dżentelmena przystało.

Był mężczyzną raczej wysokim, o zgrabnej sylwetce. Niektórym wydawał się nawet przystojny, ale nie wszyscy podzielali to zdanie. Jego twarz miała dwa defekty: długi nos i ironiczny wyraz. Prawdą jest również, że odcień włosów Strange'a był czerwonawy, a jak wszyscy wiedzą, nikogo o rudych włosach nie można nazwać przystojnym.

Tuż przed odejściem pana Strange'a z tego świata Jonathan postanowił przekonać pewną młodą damę, by za niego wyszła. Gdy w dniu śmierci ojca powrócił ze Shrewsbury i służba ogłosiła mu smutną nowinę, zaczął się zastanawiać, jak to wpłynie na decyzję jego wybranki. Czy teraz dama chętniej się zgodzi? A jeśli przeciwnie?

Ślub mógł się odbyć bez żadnych przeszkód. Wszyscy przyjaciele byli życzliwie nastawieni, a brat damy, jej jedyny krewny, życzył go sobie niemal równie gorąco jak Jonathan. Co prawda Laurence Strange wcześniej głośno protestował ze względu na ubóstwo damy, ale sam sobie uniemożliwił interwencję, zamarzając na śmierć.

I choć Jonathan Strange był oficjalnym zalotnikiem damy już od kilku miesięcy, oczekiwanych przez znajomych zaręczyn wciąż nie ogłaszano. Nie ze względu na nieprzychylną damę - był pewien jej uczucia. Czasem jednak wydawało mu się, że pokochała go jedynie po to, by się z nim wyklócać. Nie potrafił tego pojąć. Zmienił przecież swoje postępowanie, zgodnie z jej życzeniem - niemal nie grał już karty i nie uprawiał hazardu, pił też bardzo niewiele, zaledwie nieco ponad butelkę wina dziennie. Powiedział, że nie ma nic przeciwko częstszym wizytom w kościele - raz w tygodniu albo i dwa, jeśli ona zechce - oświadczyła jednak, że pozostawia te sprawy jego sumieniu, że takich rzeczy nie można narzucać. Wiedział, że dama nie pochwała jego częstych wizyt w Bath, Brighton,



Weymouth i Cheltenham, i zapewnił ją, że nie musi się obawiać obecnych tam pań - bez wątpienia są czarujące, nic jednak dla niego nie znaczą. Odparła, że nie w tym rzecz. To jej nawet nie przyszło do głowy. Po prostu wołałaby, żeby znalazł sobie lepsze zajęcie. Nie miała zamiaru moralizować i nikt nie kochał wywczaśu bardziej od niej, ale nieustający wypoczynek?! Czy tego rzeczywiście pragnął? Czy to go uszczęśliwiło?

Zaprzeczył i przez ubiegły rok nieustannie snuł interesujące plany dotyczące takich czy innych zajęć lub studiów. Strange postanowił zostać patronem żyjącego w ubóstwie poety geniusza. Potem miał studiować prawo, szukać skamielin na plaży w Lyme Regis, kupić hutę stali, spytać znajomego o nowe metody uprawy roli, podjąć studia teologiczne, skończyć lekturę fascynującego dzieła o inżynierii, które położył na stoliczku w kącie biblioteki ojca dwa lub trzy lata temu... Jednakże przed przystąpieniem do realizacji każdego z tych projektów odkrywał nowe problemy. Ubodzy genialni poeci należeli do rzadkości<sup>[41]</sup>, księgi prawa ziały nudą, nie pamiętał nazwiska specjalisty od uprawy roli, a w dniu, w którym wybierał się do Lyme Regis, lało jak z cebra.

I tak dalej, i tak dalej. Powiedział więc młodej damie, że szczerze żałuje, iż przed laty nie wstąpił do marynarki. Nic w świecie nie odpowiadałoby mu równie mocno! Ojciec jednak nie chciał wyrazić na to zgody, a Jonathan miał teraz dwadzieścia osiem lat i na wojskową karierę było już za późno.

Ta osobliwie niezadowolona młoda dama zwała się Arabella Woodhope i była córką nieżyjącego wikariusza w kościele St Swithin w Clunbury<sup>[42]</sup>. Gdy zmarł Laurence Strange, bawiła u przyjaciół w wiosce w hrabstwie Gloucester, gdzie jej brat był wikarym. List z kondolencjami od damy dotarł do Strange'a rankiem w dniu pogrzebu. Wyrażał wszystkie stosowne emocje - współczucie z powodu straty, ale i świadomość wielu wad pana Strange'a jako rodzica. W liście kryło się coś jeszcze. Martwiła się o niego. Żałowała, że nie ma jej w Shropshire. Przejmowało ją, że w takiej chwili Strange został sam, bez przyjaciół.

Natychmiast się zdecydował. Wyobraził sobie, że nie trafi mu się lepsza okazja. Dama nigdy nie będzie czulej zatroskana, a on już się nie wzbogaci. (Nie do końca wierzył, że jego majątek jest jej całkiem obojętny, jak utrzymywała). Uznał, że powinien odczekać stosowną chwilę po pogrzebie. Trzy dni wydawały się w sam raz, więc rankiem czwartego dnia nakazał służącemu spakować ubrania, a masztalerzowi osiodłać konia i wyruszył do hrabstwa Gloucester.

Zabrał z sobą nowego pokojowca. Dużo rozmawiał z tym człowiekiem i uznał, że jest energiczny, pomysłowy i kompetentny. Nowego pokojowca ogromnie uradował ten wybór, choć próżność podpowiadała mu, że stała się rzecz najnaturalniejsza w świecie. Teraz, gdy

nowy pokojowiec przestał być jedynie bohaterem opowiadań i stał się częścią rzeczywistości, wygodniej chyba będzie go nazywać po imieniu, jak zwykłych śmiertelników. Jeremy Johns - tak się zwał.

Pierwszego dnia spotkały ich jedynie typowe dla podróżnych przygody: pokłócili się z człowiekiem, który bez powodu szczuł ich psem, niepokoił się o konia Strange'a - wydawał się chory, ale po bliższych oględzinach okazał się zdrow jak ryba. Rankiem drugiego dnia jechali przez piękną okolicę pełną łagodnych pagórków, ośnieżonych lasów i dobrze utrzymanych farm. Jeremy Johns zajął się ćwiczeniem doży wyniosłości właściwej służącemu dżentelmena, który niedawno odziedziczył majątek, a Jonathan Strange rozmyślał o pannie Woodhope.

Teraz, gdy znów miał ją ujrzeć, ogarnęły go wątpliwości. Cieszył się, że towarzyszy jej brat - poczciwy Henry, który widział same jasne strony tego ślubu i bez wątpienia wychwalał Jonathana przed siostrą. Obawy Strange'a dotyczyły przyjaciół damy, duchownego z małżonką. Nie znał ich, jednak przedstawiciele duchowieństwa budzili w nim naturalną dla młodego i bogatego sybaryty podejrzliwość. Kto wiedział, czy nie indoktrynowali jej codziennie wizjami niezwykłych cnót i zbędnych wyrzeczeń?

Zimowe słońce rzucało długie cienie. Szron iskrzył się na gałęziach drzew i w brzdach na polach. Na widok oracza Jonathan pomyślał o rodzinach dzierżawców swej ziemi, których los zawsze przejmował pannę Woodhope. Zaczął sobie wyobrażać powitalną rozmowę. „Jakie pan ma plany co do swych dzierżawców?” - zapyta ona. „Plany?” - zdziwi się on. „Tak” - przytaknie ona. „Jak im pan ulży? Pański ojciec odbierał im każdy grosz. Bardzo ich unieszczęśliwiał”. „O tak, wiem” - powie Strange. „Nigdy nie pochwalałem jego postępowania”. „A obniżył pan już opłaty? Rozmawiał z radą parafialną? Myślał o przytułkach dla starców i szkole?”

- To nierozsądne, żeby rozprawiała o dochodach, przytułkach i szkole - westchnął Strange ponuro. - W końcu ojciec zmarł dopiero w czwartek.

- Cóż, to dziwne - zauważył Jeremy Johns.

- Hm? - mruknął Strange.

- Odkrył, że zatrzymali się przed białą bramą. Przy drodze stał schludny biały budynek. Był stosunkowo nowy, miał sześć ścian i gotyckie okna.

- Gdzie poborca myta? - chciał wiedzieć Jeremy Johns.

- Hm?

- To rogatka. O, tu napisano, ile trzeba zapłacić. Nikogo jednak nie ma. Zostawić sześciopensówkę?

- Tak, tak. Jeśli chcesz.

I tak Jeremy Johns zostawił opłatę na progu budynku i otworzył bramę, by mogli przejechać. Sto metrów dalej zaczynała się wioska. Był tu stary kamienny kościół skąpany w złocistym zimowym świetle, aleja pełna wiekowych, poskręcanych grabów i mniej więcej dwudziestka kamiennych domków. Z ich kominów unosił się dym. Obok drogi płynął strumyk, a brzegi porastała pożółkła trawa, zdobiona wisiorami lodu.

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytał Jeremy.

- Co? - Strange rozejrzał się dookoła i w jednym z okien ujrzał dwie dziewczynki. - Tutaj.

- Nie, proszę pana. To są dzieci. Miałem na myśli dorosłych. Nikogo nie widzę.

Mówił prawdę, nie było dorosłych. Nieopodal dreptały kurczaki, kot siedział na wozie ze słomą, na polu stały konie, ale ludzi zabrakło. Gdy jednak Strange i Jeremy Johns opuścili wioskę, wyjaśniła się przyczyna tego dziwnego zjawiska. Mniej więcej sto metrów za ostatnim domem rósł żywopłot, a przy nim zebrał się tłum. Ludzie mieli z sobą różną broń - sierpaki, sierpy, kije i strzelby. Był to dziwny widok, jednocześnie złowieszczy i nieco niepokojący. Można by pomyśleć, że wioska postanowiła wypowiedzieć wojnę krzakom głogu i dzikim bżom. Zimowe słońce padało na ludzi, złocąc ich ubrania, broń i skupione twarze. Za mieszkańcami wioski rozciągały się długie sine cienie. Wszyscy milczeli, a jeśli ktoś się ruszał, czynił to bardzo ostrożnie, by nie wszcząć hałasu.

Bez zatrzymywania wierzchowców Strange i Jeremy unieśli się w strzemionach i wyciągnęli szyje, żeby dojrzeć, na co patrzą wieśniacy.

- To dziwne! - wykrzyknął Jeremy, gdy przejechali. - Nic tam nie było!

- Nie, był człowiek. Nie dziwię się, że go nie dostrzegłeś. Początkowo wziąłem go za przerośnięty korzeń, ale z pewnością był to człowiek - szary, zabiedzony, wymizerowany.

Droga prowadziła do ciemnego lasu. Ciekawość Jeremy'ego Johnsa rosła. Zastanawiał się, kim był ten człowiek i co wieśniacy chcieli mu zrobić. Strange raz czy drugi odpowiedział na pytanie służącego, ale wkrótce znów pogrążył się w myślach o pannie Woodhope.

Najlepiej będzie uniknąć dyskusji o zmianach po śmierci ojca, deliberował. To zbyt niebezpieczne. Zaczę od lekkich, niezobowiązujących tematów, na przykład od przygód w tej podróży. Cóż mogłoby ją rozbawić? Podniósł wzrok. Otaczały go złowieszczo pochylone drzewa. Musi być coś takiego. Przypomniawszy sobie wiatrak, który widzieli nieopodal Hereford, z dziecięcą pelerynką na łopacie. Gdy wiatr obracał łopatami, pelerynka zanurzała się w pośniegowym błocie, a w następnej chwili wznosiła niczym jaskrawoczerwona chorągiewka.

Całkiem jak alegoria tego czy owego. Potem opowiem jej o pustej wiosce i dzieciach zerkających zza zasłonek, jednym z laleczką w ręce, a drugim z drewnianym konikiem. Potem przyjdzie pora na milczący zbrojny tłum i człowieka pod żywoplotem. „Och”, powie ona z pewnością. „Biedak! Co się z nim stało?” Nie wiem. „Chyba został pan, by pomóc?” Nie, odpowie Strange. „Ach”, ona na to...

- Czekaj! - Ściągnął lejce. - Tak nie można! Musimy wracać. Niepokoi mnie ten człowiek pod żywoplotem.

- Och! - zakrzyknął Jeremy Johns z ulgą. - Cieszę się, proszę pana. Mnie on też niepokoi.

- Pewnie nie zabrałeś pistoletów, prawda? - spytał Strange.

- Nie, proszę pana.

- Psia... - zaczął Strange i się skrzywił, bo panna Woodhope była przeciwniczką przekleństw. - A nóż? Coś w tym rodzaju?

- Nie. Proszę się jednak nie obawiać. - Jeremy zeskoczył z konia i zanurkował w podszycie. - Te gałęzie znakomicie się nadadzą na pałki.

Znalazł potężne gałęzie, które ktoś odrąbał z drzew i rzucił na ziemię. Podał jedną z nich swemu panu. Właściwie nie wyglądała jak pałka, raczej konar porośnięty gałązkami.

- No cóż - mruknął Strange. - Lepsze to niż nic. Jeremy zaopatrzył się w taką samą gałąź i tak uzbrojeni powrócili do wioski i milczącego tłumu.

- Hej, ty! - zakrzyknął Strange do mężczyzny w pasterskiej bluzie, przewiązanej kilkoma zrobionymi na drutach szalami, i w kapeluszu o szerokim rondzie. Pomachał pałką, w swoim mniemaniu groźnie. - Co...?

W tej samej chwili kilka osób z tłumu obróciło się równocześnie, przykładając palce do ust. Do Strange'a podszedł inny człowiek. Był lepiej ubrany od pierwszego, w prążkowany płaszcz. Przyłożył dłoń do kapelusza i powiedział bardzo cicho:

- Proszę o wybaczenie, ale czy zechciałby pan zabrać stąd konie? Tupią i parszczą.

- Ale... - zaczął Strange.

- Ciii! - wyszeptał mężczyzna. - Pański głos jest zbyt donośny. Zbudzi go pan.

- Zbudzę go? Kogo?

- Człowieka pod żywoplotem. To mag. Nigdy pan nie słyszał, że budząc maga przed czasem, ryzykuje się, że jego sny przejdą do naszego świata?

- Kto wie, o jakich okropnościach śni? - dodał szeptem inny człowiek.

- Skąd jednak... - zaczął Strange.

Kilka osób z tłumu znów się odwróciło, marszcząc z oburzeniem czoła i gestami dając

mu do zrozumienia, by zamilkł.

- Skąd wiecie, że to mag? - wyszeptał.

- Och! Ostatnie dwa dni spędził w Monk Gretton. Rozповіда po całej wsi, że jest magiem. Pierwszego dnia przekonał część dzieci, żeby wykradły pasztet i piwo ze spiżarni matek. Wmówił im, że to dla królowej elfów. Wczoraj wędrował po Farwater Hali, naszej najwspanialszej posiadłości. Jej właścicielka, pani Morrow, zapłaciła mu za wróżbę, ale powiedział jej tylko, że jej syn, kapitan Morrow, zginął z ręki Francuzów. Teraz biedna dama leży w łóżku i powtarza, że pozostanie w nim aż do śmierci. Mamy już dość tego człowieka. Chcemy go zmusić do odejścia. Jeśli stąd nie zniknie, wtrącimy go do więzienia.

- Cóż, to bardzo rozsądne - wyszeptał Strange. - Nie rozumiem jednak...

W tej samej chwili mężczyzna pod żywoplotem otworzył oczy. Tłum jęknął, ale kilka osób cofnęło się o krok.

Przebudzony odsunął się od żywoplotu. Nie było to łatwe, bo gałązki głogu, gałęzie bzu, wici bluszczu, jasiołka i czarcia miotła wplątały mu się nocą w ubiór, członki i włosy albo do niego przymarzły. Usiadł. Nie wydawał się ani trochę zdumiony publicznością, można by nawet pomyśleć, że wręcz jej oczekiwał. Popatrzył na zebranych i wydał kilka wzgardliwych pomruków. Przejechał ręką po włosach, usuwając z nich suche liście, gałązki i z tuzin skorków.

- *Wyciągnąłem dłoń* - wymamrotał w przestrzeń. - *Rzeki Anglii zawróciły i popłynęły w przeciwną stronę.*

Poluzował krawat i wyciągnął kilka pajaków, które znalazły sobie kryjówkę w jego koszuli. Przy okazji zademonstrował, że szyje pokrytą ma dziwnym wzorem niebieskich linii, kropek, krzyżyków i kółek. Potem poprawił krawat i tak oto ukończywszy poranną toaletę, wstał.

- Nazywam się Vinculus - oświadczył. Jak na osobę, która spędziła noc pod żywoplotem, miał silny i dźwięczny głos. - Od dziesięciu dni wędruję na zachód, szukając człowieka, który zostanie wielkim magiem. Dziesięć dni temu ujrzałem jego wizerunek i teraz dzięki mistycznym znakom widzę, że to ty!

Wszyscy rozejrzeli się, by zobaczyć, kogo ma na myśli. Człowiek w koszuli pasterskiej i szalach podszedł do Strange'a i pociągnął go za płaszcz.

- Chodzi o pana - powiedział.

- O mnie?

Vinculus podszedł do Strange'a.

- *Dwaj magowie objawią się w Anglii - oznajmił.*

*Pierwszy się złąknie, drugi zapragnie mnie ujrzeć.*

*Pierwszy będzie na usługach złodziei i morderców, drugi snuć będzie knowania na własną zgubę.*

*Pierwszy pogrzebie serce w mrocznym lesie pod śniegiem, lecz bólu czuć nie przestanie.*

*Drugi w rękę wroga dojrzy najcenniejszą swą własność...*

- Rozumiem - przerwał mu Strange. - A którym jestem, pierwszym czy drugim? Nie, nie mów. To bez znaczenia. Obaj wydają się okropni. Jak na kogoś, kto pragnie, żebym został magiem, roztaczasz przede mną niezbyt radosne perspektywy. Wkrótce zamierzam się ożenić i życie w lasach w towarzystwie złodziei i morderców byłoby dla mnie nieco kłopotliwe. Proponuję, żebyś wybrał kogoś innego.

- Nie wybrałem cię, magu! Wskazano cię dawno temu.

- Ktokolwiek zatem mnie wybrał, poważnie się rozczaruje.

Vinculus zignorował tę uwagę i chwycił konia Strange'a, żeby rozmówca mu nie umknął. Potem wyrecytował całe proroctwo, jak niegdyś panu Norrellowi w bibliotece na Hanover Square. Strange przyjął je z podobnym entuzjazmem jak pan Norrell. Pochylił się na koniu i oświadczył bardzo powoli i wyraźnie:

- Nie mam pojęcia o magii!

Vinculus milczał. Wyglądało na to, że lada chwila przyzna, iż może to stanowić niejaką przeszkodę. Na szczęście od razu przyszło mu do głowy rozwiązanie: sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej kartki, do których przyczepiły się źdźbła słomy.

- Proszę - powiedział. Wydawał się jeszcze bardziej tajemniczy i groźny niż przed chwilą. - Tu są zaklęcia, które... O nie! Nie mogę ci ich ot tak podarować! - (Strange wyciągnął po nie rękę.) - To cenna rzecz. Długo cierpiałem i wiele przeszedłem, by je zdobyć.

- Ile chcesz? - spytał Strange.

- Siedem szylingów i sześciopensówkę - odparł Vinculus.

- Doskonale.

- Chyba nie da mu pan pieniędzy? - szepnął Jeremy Johns.

- Jeśli dzięki temu przestanie gadać, z pewnością mu je dam.

Tymczasem tłum zerkał niezbyt przyjaźnie na Strange'a i Jeremy'ego Johnsa. Ich przyjazd zbiegł się z przebudzeniem Vinculusa i wieśniakom przyszło do głowy, że być może obaj jeźdźcy to postaci ze snu maga. Mieszkańcy wioski zaczęli się nawzajem oskarżać o głośne zachowanie. Już miała wybuchnąć kłótnia, kiedy nagle pojawił się osobnik o

wyglądzie urzędnika, w dostojnym kapeluszu, i poinformował Vinculusa, że jako nędzacz musi trafić do więzienia. Vinculus odparł, że mowy nie ma, bo nie jest już nędzaczem - ma siedem szylingów i sześciopensówkę! Potem impertynencko potrząsnął monetami przed twarzą mężczyzny. Awantura z tego czy innego powodu wydawała się nieuchronna, lecz nagle do wioski Monk Gretton powrócił spokój, gdyż Vinculus po prostu obrócił się i odszedł w jedną stronę, a Strange i Jeremy Johns odjechali w drugą.

Tuż przed piątą po południu dotarli do gospody w wiosce S. nieopodal Gloucester. Strange był do tego stopnia przekonany, że spotkanie z panną Woodhope sprawi przykrość im obojgu, że zaprzagnął przełożyć je na następny poranek. Zamówił smaczny posiłek i z gazetą w dłoniach zasiadł w wygodnym fotelu przed kominkiem. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że komfort i spokój to mizerne substytuty towarzystwa panny Woodhope, zrezygnował więc z kolacji i natychmiast udał się do państwa Redmondów, by jak najszybciej poczuć się nieszczęśliwy. W domu zastał tylko damy, panią Redmond i pannę Woodhope.

O kochankach z całą pewnością nie da się powiedzieć, że rozumują najlogiczniej pod słońcem, więc czytelnika nie zdziwi, że obraz panny Woodhope w głowie Strange'a bardzo odbiegał od oryginału. Choć rozmowy, które prowadził z nią w myślach, rzeczywiście odzwierciedlały jej poglądy, nie były żadną wskazówką co do jej usposobienia i manier. Nie miała ona zwyczaju dręczyć niedawno osieroconych dżentelmenów żadaniami, aby budowali szkoły i przytułki. Nie wytykała im też błędów. Nie była tak okrutna.

Powitała go zupełnie inaczej niż naburmuszona dama z jego wyobrażeń. Nie kazała mu natychmiast naprawiać całego zła, jakie wyrządził bliźnim jego ojciec, i traktowała Strange'a z wyjątkową uprzejmością, najwyraźniej zachwycona wizytą.

Liczyła sobie około dwudziestu dwóch lat. Podczas odpoczynku rysy panny Woodhope nie wydawały się szczególnie piękne. Twarz oraz figura damy nie były pod żadnym względem wyjątkowe, ale jej oblicze, ożywione rozmową lub śmiechem, zmieniało się nie do poznania. Pannę Woodhope cechowały żywe usposobienie, bystry umysł i skłonność do żartów. Chętnie się uśmiechała, a ponieważ uśmiech jest najpiękniejszą ozdobą każdej damy, przy takich okazjach panna Woodhope przyćmiewała uznane piękności z trzech okolicznych hrabstw.

Jej przyjaciółka, pani Redmond, serdeczna, spokojna istota, skończyła lat czterdzieści pięć. Nie była bogata, szczególnie bystra ani też nie podróżowała po świecie. W innych okolicznościach nie miałyby pojęcia, o czym rozmawiać z takim światowcem jak Jonathan Strange, ale szczęśliwie jego ojciec właśnie zmarł, co dostarczyło tematu do konwersacji.

- Zapewne jest pan obecnie bardzo zajęty - powiedziała. - Pamiętam, ile miałam pracy

tuż po śmierci ojca. Zostawił tyle zapisów! Weźmy porcelanowe kubeczki znad kominka w kuchni. Ojciec chciał, aby każdy wierny sługa w domu dostał po jednym, jednak opis tych naczyń był bardzo niejasny. Nikt nie umiał powiedzieć, który kubek dla kogo przeznaczono. Potem służący pokłócili się o żółty, w różowe kwiaty. Och! Myślałam, że nigdy sobie z tym nie poradzę. Czy pański ojciec zostawił dużo zapisów, panie Strange?

- Nie, proszę pani. Żadnych. Nienawidził ludzi.

- Och. To chyba dobrze, prawda? I co pan teraz zrobi?

- Zrobi? - powtórzył Strange.

- Panna Woodhope mówiła, że pański drogi zmarły ojciec trudnił się kupnem i sprzedażą. Czy pójdzie pan w jego ślady?

- Nie. Jeśli wszystko ułoży się zgodnie z moją wolą, interesy ojca zostaną jak najszybciej zlikwidowane.

- Och! Czyli zajmie się pan uprawą ziemi? Panna Woodhope wspominała, że ma pan dużą posiadłość.

- Owszem, proszę pani. Próbowałem już jednak gospodarowania i doszedłem do wniosku, że mi nie odpowiada.

- Ach! - zdumiała się pani Redmond.

Zapadła cisza. Zegar pani Redmond tykał, węgielki syczały w palenisku. Pani Redmond postanowiła rozplatać fatalny supeł z nici do haftowania, które położyła sobie na kolanach. Jej czarny kot niesłusznie potraktował to jak zaproszenie do zabawy. Zaczaił się na sofie i usiłował łapać nici. Arabella wybuchnęła śmiechem, chwyciła kota i zaczęła się z nim bawić. Właśnie o takiej domowej sielance marzył Strange (choć bez pani Redmond; co do kota nie miał zdania) i tym bardziej chwyciła go ona za serce, że we własnym domu spotykał się tylko z chłodem i nieprzyjemnościami. Pytanie brzmiało: jak przekonać Arabellę, że i ona pragnie takiego szczęścia? Nagle w głowie zaświtała mu pewna myśl. Przemówił do pani Redmond:

- Wątpię, czy będę miał czas na uprawę ziemi. Zamierzam studiować magię.

- Magię?! - wykrzyknęła Arabella, patrząc na niego ze zdumieniem.

Chyba miała zamiar zadać mu kilka pytań, ale w tej niezmiernie interesującej chwili z sieni dobiegł ich głos pana Redmonda. Towarzyszył mu wikariusz, Henry Woodhope - ten sam Henry Woodhope, który był bratem Arabelli i towarzyszem dziecięcych zabaw Strange'a. Rzecz jasna, przyszedł czas na powitanie i wyjaśnienia (Henry Woodhope nie wiedział nic o przyjeździe Strange'a) i na moment zapomniano o nieoczekiwanym wyznaniu gościa.



Dżentelmeni właśnie powrócili z zebrania parafialnego, a kiedy wszyscy zasiedli w salonie, pan Redmond i Henry przekazali interesujące nowiny pani Redmond i Arabelli. Potem zaciekała ich podróż Strange'a, stan dróg i sytuacja farmerów w Shropshire, Herefordshire i Gloucestershire. O siódmej wieczorem przyniesiono podwieczorek. W ciszy pani Redmond powiedziała do męża:

- Pan Strange zamierza zostać magiem, mój drogi. Oznajmiła to jak rzecz najnaturalniejszą w świecie, gdyż jej zdaniem tak właśnie było.

- Magiem? - spytał Henry ze zdumieniem. - Ale po co?

Strange milczał. Nie chciał zdradzać, że tak naprawdę pragnął wyrzucić wrażenie na Arabelli swoją gotowością zajęcia się czymś poważnym i uczonym, więc uchwycił się jedynego wytłumaczenia, które mu przyszło do głowy.

- Pewien człowiek napotkany pod żywoptem w Monk Gretton zdradził mi, że jestem magiem.

Pan Redmond roześmiał się z uznaniem.

- Wyborny żart! - oznajmił.

- Naprawdę? - zapytała pani Redmond.

- Nie rozumiem - powiedział Henry Woodhope.

- Zapewne mi pani nie wierzy? - zwrócił się Strange do Arabelli.

- Wręcz przeciwnie, drogi panie - odparła z rozbawieniem. - To bardzo do pana pasuje. Spodziewałam się, że swoją karierę oprze pan na równie solidnym fundamencie.

- Skoro jednak chcesz zdobyć zawód - choć nie rozumiem po co, otrzymałeś przecież spadek - możesz wybrać coś lepszego od magii - zauważył Henry. - To zupełnie niepraktyczne.

- Bardzo się pan myli! - oświadczył pan Redmond. - Pewien dżentelmen w Londynie miesza szyki Francuzom, mając ich magią! Zapomniałem jego nazwiska. Jak on nazwał tę swoją teorię? Magią nowoczesną?

- A czym się ona różni od dawnej magii? - chciała wiedzieć pani Redmond. - Którą pan wybierze?

- O tak, proszę nam zdradzić, drogi panie, którą pan wybierze? - dołączyła do niej Arabella, z filuterną miną.

- Trochę tej i tamtej, panno Woodhope. Trochę tej i tamtej. - Odwróciwszy się do pani Redmond, Strange oznajmił: - Zakupiłem trzy zaklęcia od człowieka pod żywoptem. Czy mam któreś wypróbować?

- O tak!

- Panno Woodhope? - spytał.

- Co to za zaklęcia?

- Nie wiem. Jeszcze ich nie czytałem. - Jonathan Strange wyjął z kieszonki na piersi trzy zaklęcia od Vinculusa i podał je rozmówcy.

- Bardzo brudne - zauważyła.

- Och! Nam, magom, odrobina brudu nie przeszkadza. Poza tym śmiem twierdzić, że są bardzo stare. Dawne tajemne zaklęcia, takie jak te, często bywają...

- Na górze napisano 2 lutego 1808. To data sprzed dwóch tygodni.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

- „Dwa zaklęcia mające skłonić upartego osobnika do opuszczenia Londynu” - przeczytała Arabella. - Zastanawiam się, po co mag pozbywałby się ludzi z Londynu.

- Nie wiem. W Londynie z pewnością jest zbyt wiele osób, ale ekspediowanie jednego po drugim z miasta wymaga sporego wysiłku.

- A te są wprost okropne! Pełne duchów i potworności! Biedni nieszczęśnicy mają myśleć, że wkrótce spotkają prawdziwą miłość, kiedy tak naprawdę zaklęcie im tego nie umożliwi!

- Niech spojrzę. - Strange pochwyił problematyczne zaklęcia. Obejrzał je pobieżnie i rzekł: - Daję słowo, że nic o tym nie wiedziałem przy zakupie. Nic a nic. Tak naprawdę człowiek, od którego je kupiłem, był włóczęgą w skrajnej nędzy. Dzięki pieniądзом ode mnie uniknął więzienia.

- Bardzo mnie to cieszy. Ale te zaklęcia są okropne, mam nadzieję, że ich pan nie rzuci.

- A ostatnie zaklęcie? „Jedno zaklęcie, by odkryć, co obecnie czyni mój wróg”. Do tego chyba nie ma pani zastrzeżeń? Proszę pozwolić mi je wypróbować.

- Ale czy zadziała? Chyba nie ma pan wrogów?

- Nic o tym nie wiem. Nie zaszkodzi sprawdzić, prawda?

Do zaklęcia niezbędne było lustro i martwe kwiaty<sup>[43]</sup>, wobec czego Strange i Henry zdjęli ze ściany zwierciadło i położyli je na stole. Kwiaty przysporzyły im więcej kłopotów - był luty i pani Redmond dysponowała jedynie suszoną lawendą i różą oraz tymiankiem.

- Czy się nadadzą? Strange wzruszył ramionami.

Kto wie? A teraz... - Uważnie przeczytał zaklęcie. - Kwiaty należy ułożyć dookoła. Potem palcem zakreślę koło na lustrze, o tak. Podzielę koło na cztery części. Zastukam trzykrotnie w taflę zwierciadła i wypowiem te oto słowa...

- Strange, skąd wytrzasnąłeś te brednie? - przerwał Henry Woodhope.

- Od człowieka pod żywoplotem. Henry, nie słuchasz.

- Wydawał się uczciwy?

- Uczciwy? Nieszczególnie. Moim zdaniem wydawał się zmarznięty. Tak, „zmarznięty” to dobre słowo, podobnie jak „głodny”.

- Ile za nie zapłaciłeś?

- Henry! - upomniała go siostra. - Nie dosłyszałeś, jak pan Strange mówi, że kupując je, okazał miłosierdzie temu człowiekowi?

Strange z roztargnieniem rysował kółka na powierzchni lustra i dzielił je na czworo. Arabella nagle krzyknęła ze zdumieniem. Strange spojrzął w lustro.

- Dobry Boże! - powiedział.

W zwierciadle odbijał się pokój - nie był to jednak salon pani Redmond. Widzieli niewielkie pomieszczenie, umeblowane bardzo przyzwoicie, lecz nie ekstrawagancko. Wysoki sufit sugerował, że to pokój w dużym i raczej bogatym domu. Stały tu regały pełne książek, książki leżały też na stołach. W kominku płonął ogień, na biurku paliły się świece. Pracował przy nich jakiś człowiek. Miał zapewne około pięćdziesięciu lat, był skromnie ubrany w szary strój i staroświecką perukę. Wydawał się spokojny i niegroźny. Na biurku leżało kilka otwartych woluminów. Czytał coś w jednej księdze, a zapisywał w drugiej.

- Pani Redmond! Henry! - zawołała Arabella. - Chodźcie szybko! Patrzcie, co zrobił pan Strange!

- Ale kto to, na Boga? - spytał zdumiony Strange. Uniósł lustro i zajrzał pod nie, sądząc zapewne, że odkryje tam malutkiego dżentelmena w szarym stroju, gotowego odpowiadać na pytania. Kiedy zwierciadło ponownie spoczęło na blacie, obraz pokoju i nieznajomego nie zniknął. Nie słyszeli żadnych dźwięków, ale płomienie tańczyły w palenisku, a człowiek w okularach na nosie przenosił spojrzenie z jednej książki na drugą.

- Czemu to pański wróg? - spytała Arabella.

- Nie mam pojęcia.

- Może jest mu pan winien pieniądze? - spytała pani Redmond.

- Nie sądzę.

- Może to bankier. To pomieszczenie nieco przypomina kantor - zasugerowała Arabella.

Strange wybuchnął śmiechem.

- Henry, przestań tak na mnie patrzeć. Jeśli jestem magiem, to wyjątkowo miernym. Inni wzywają elfy i dawno zmarłych królów. Mnie udało się wywołać ducha bankiera.

## KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Jak będzie się układać współpraca pana Norrella z Jonathanem Strange'em, gdy ten przybędzie do Londynu? Czy Strange dostąpi zaszczytu obejrzenia bogatego księgozbioru magicznych woluminów zgromadzonych przez pana Norrella? Jak Norrell zareaguje na wieść o tym, że Strange posiada magiczną moc i - o, zgrozo - zamierza z niej jak najczęściej korzystać? Czy Jonathan Strange wreszcie się ożeni? Jak wybranka jego serca (lub rozsądku...) poradzi sobie z niezwykłymi zdolnościami męża i jego ciągotami ku mrocznej stronie magii? A może i małżonkę Jonathana odwiedzi pewnego dnia dżentelmen o włosach jak puch ostu? I najważniejsze pytanie: kiedy w końcu Jonathan Strange i pan Norrell, których pomimo różnic charakteru połączy magia, zdadzą sobie sprawę, że na ich przyszłości kładzie się mroczny cień?...

Magiczne królestwa Króla Kruków otwierają swoje podwoje. Po Drugiej Stronie kryją się tajemnice, śmiertelnie niebezpieczne, mrozące krew w żyłach, ale i pociągające. Któż jest w stanie oprzeć się ich urokowi? Z pewnością nie Jonathan Strange. Podejmie on ryzyko, którego może kiedyś gorzko żałować...

Wilgotny od mgły i deszczu Londyn, skąpana w słońcu Portugalia, zasnuta malowniczymi chmurami Wenecja, przesycona posępną muzyką kraina Faerie - to miejsca, w których toczą się dalsze losy parających się czarami dżentelmenów. Dokąd zaprowadzi bohaterów magia?

[1] Jonathan Strange, *Historia i zastosowanie angielskiej magii*, t. i, rozdz. 2, John Murray, Londyn 1816

[2] Prawidłowo nazywanych aureatami lub magami złotego wieku.

[3] John Segundus, Pełny opis elfów doktora Pale'a, ich imiona, historie, charaktery i zakres świadczonych mu usług, Thomas Burnham, Księgarz, Northampton 1799.

[4] Doktor Martin Pale (1485-1567) był synem garbarza z Warwick, a także ostatnim z aureatów, czyli magów złotego wieku. Inni magowie poszli w jego ślady (por. Gregory Absalom), ale nie cieszyli się dobrą reputacją. Pale był z pewnością ostatnim angielskim magiem, który zaryzykował wyprawę do Faerie.

[5] Magowie, jak wiemy z dzieł Jonathana Strange'a, potrafią latami toczyć spory o każdą rzecz. Wiele czasu poświęcono problematycznej kwestii przynależności danych

foliałów do ksiąg magii. Większość laików zadowala się jednak następującą zasadą: tomy napisane przed zanikiem magii w Anglii to księgi magii, dzieła powstałe później to księgi o magii. Założenie jest bardzo proste: księgę magii powinien napisać praktykujący mag, nie zaś teoretyk ani historyk magii. Czy może istnieć bardziej racjonalny podział? Niestety, w tym miejscu pojawiają się trudności. Wielcy mistrzowie magii, których określamy mianem aureatów lub magów złotego wieku (Thomas Godbless, Ralph Stokesey, Katarzyna z Winchesteru, Król Kruków), pisali niewiele bądź niewiele ich tekstów przetrwało. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że Thomas Godbless był niepiśmienny. Z kolei Stokesey uczył się łaciny w małej szkółce w rodzinnym hrabstwie Devon, lecz wszystko, co o nim wiemy, napisali inni.

Magowie zajęli się pisaniem ksiąg, kiedy magia była już w zaniku. Nadciągał mrok, który spowił chwałę angielskiej magii. Ludzie, nazywani magami srebrnego wieku lub argentami (Thomas Lanchester, 1518-1590; Jacques Belasis, 1526-1604; Nicholas Goubert, 1535-1578; Gregory Absalom, 1507-1599) byli jak gasnące świece w zapadających ciemnościach - w pierwszej kolejności uczeni, dopiero później magowie. Ponad wszelką wątpliwość twierdzili, że uprawiają magię, niektórzy mieli nawet do pomocy elfa lub dwóch, lecz wszystko wskazuje na to, że nie dokonali zbyt wiele. Dlatego część współczesnych badaczy powątpiewa, czy argenci w ogóle potrafili czarować.

[6] Pierwszy ustęp przeczytany przez pana Segundusa dotyczył Anglii, Faerie (którą magowie zwą czasem Innymi Ziemiemi) i dziwnej krainy, która rzekomo leży po drugiej stronie Piekła. Pan Segundus słyszał o symbolicznej i magicznej więzi łączącej te trzy krainy, do tej pory jednak nigdy nie natrafił na równie przejrzysty ich opis.

Drugi fragment dotyczył jednego z największych angielskich magów, Martina Pale'a. W Drzewie nauki Gregory'ego Absaloma znajduje się słynny ustęp, który opisuje, jak podczas podróży przez Faerie ostatni z wielkich aureatów, Martin Pale, złożył wizytę księciu elfów. Jak większość przedstawicieli swojej rasy, elf miał mnóstwo imion, godności, tytułów i pseudonimów, zazwyczaj jednak zwano go Zimnym Henrym. Zimny Henry wygłosił długą i barwną mowę, adresowaną do gościa. Była ona pełna przenośni i aluzji, ale Zimny Henry pragnął chyba powiedzieć, że elfy to z natury psotne stworzenia, które nie zawsze wiedzą, kiedy postępują niewłaściwie. Na to Martin Pale krótko i nieco enigmatycznie odparł, że nie wszyscy Anglicy mają stopy tej samej długości.

Przez kilka stuleci nikt nie miał bladego pojęcia, cóż to może oznaczać, choć pojawiło się kilka hipotez - John Segundus znał je wszystkie. Najpopularniejszą rozwinął William Pantler na początku osiemnastego wieku. Pantler twierdził, że Zimny Henry i Pale

dyskutowali o teologii. Elfy (jak każdy wie) są poza zasięgiem Kościoła. Nie przyszedł do nich Chrystus i nigdy nie przyjdzie, nikt nie wie, co się z nimi stanie w dniu Sądu Ostatecznego. Zdaniem Pantlera, Zimny Henry próbował spytać Pale'a, czy jest nadzieja, by elfy, podobnie jak ludzie, zostały zbawione. Odpowiedź Pale'a miała oznaczać, że nie wszyscy Anglicy dostąpią zbawienia. Opierając się na tej interpretacji, Pantler przypisuje Pale'owi raczej dziwaczne przekonanie, że Niebiosa mogą pomieścić tylko skończoną liczbę błogosławionych; za każdego skazanego na potępienie Anglika może wejść tam elf. Pantler zyskał renomę maga teoretyka jedynie na podstawie książki, którą napisał na ten temat.

We Wskazówkach Jacques'a Belasisa pan Segundus znalazł inne wytłumaczenie. Na trzy stulecia przed wizytą Martina Pale'a Zimny Henry podejmował gościa z krainy ludzi, angielskiego maga, potężniejszego nawet niż Pale - Ralpa Stokeseya, który pozostawił tam buty. Te buty, zdaniem Belasisa, były stare i dlatego zapewne Stokesey ich nie zabrał. Ich obecność w zamku wywołała ogromną konsternację wśród mieszkających tam elfów, którzy darzyli wielkim szacunkiem angielskich magów. Zimny Henry znalazł się w tarapatkach, gdyż obawiał się, że w jakiś niezrozumiały sposób chrześcijańska moralność obarczy go odpowiedzialnością za utratę butów przez maga. Usiłował się ich pozbyć, przekazując je Pale'owi, ten jednak ich nie przyjął.

<sup>[7]</sup> Bohaterów Cesarstwa Rzymskiego honorowano wieńcami z liści laurowych. Na drodze kochanków i wybrańców losu podobno rozrzucano róże. Angielskim magom dostał się w udziale jedynie pospolity bluszcz.

<sup>[8]</sup> Wielka świątynia w Yorku była zarówno katedrą (czyli siedzibą biskupa lub arcybiskupa), jak i kościołem przyklasztornym, gdyż została zbudowana przez misjonarzy. Nosła różne nazwy. Niegdyś najczęściej nazywano ją „minster”, co znaczy właśnie „kościół przyklasztorny”, obecnie jednak mieszkańcy Yorku stosują określenie „katedra”, gdyż daje im to przewagę nad pobliskimi miasteczkami, Ripon i Beverley.

<sup>[9]</sup>Takie porwanie opisuje znana ballada Król Kruków.

Niedługo już, mój ojciec rzekł  
Niedługo będziesz z nami  
Król Kruków bardzo dobrze wie  
Gdzie najpiękniejsza pani  
Książdz zbytnio był światowy  
Choć modlił się i dzwonił  
Król Kruków świec trzy sztuki dał  
Książdz rzekł: nie będę bronił

Ramiona kruche miała zbyt  
Choć słowo już mi dała  
Król Kruków dłoń wyciągnął doń  
Westchnieniem mnie żegnała  
Ta ziemia jest zbyt płytka  
Skreślona jest na niebie  
I drży jak deszcz na wietrze gdy  
Kruków Król pomknie biegiem  
Na zawsze i na wieki  
Wspominaj przy mnie spokój  
Na bagnach pod gwiazdami  
U obłąkańca boku  
Przekład Piotr Budkiewicz

<sup>[10]</sup>Precedens przytoczony przez pana Honeyfoota dotyczył morderstwa popełnionego w 1279 roku w ponurym, położonym na wrzosowiskach mieście Alston. Na przykościelnym cmentarzu odnaleziono zwłoki chłopca; wisiały na głogu przed wrotami kościoła. Nad drzwiami widniała rzeźba Błogosławionej Dziewicy z Dzieciątkiem. Mieszkańcy Alston posłali ludzi do Newcastle, do zamku Króla Kruków. Jego dwaj magowie nakazali Dziewicy i Dzieciątku Jezus przemówić. Rzeźba oznajmiła, iż widziała śmierć chłopca, lecz nie zna przyczyny zbrodni. Zabił go nieznajomy. Potem, gdy do miasta zawitał obcy, za każdym razem mieszkańcy Alston ciągnęli go do wrót kościoła, i pytali: „Czy to ten?”, lecz Dziewica i Dzieciątko zawsze zaprzeczali. Pod stopami Dziewicy spoczywały lew i smok, dziwacznie splecione i kłające się po szyjach. Wyrzeźbił je ktoś, kto nigdy nie widział lwa ani smoka, za to oglądał bardzo wiele psów i owiec, i coś z charakteru tych zwierząt przeniknęło do rzeźby. Kiedy jakiś nieszczęśnik trafiał na przesłuchanie przed oblicze Dziewicy i Dzieciątka, lew i smok przestawały się gryźć i warowały niczym dziwne psy obronne, przy czym lew ryczał, smok zaś parskał ze złością.

Minęły lata. Umarli wszyscy, którzy pamiętali chłopca. Morderca najprawdopodobniej również zszedł z tego świata. Dziewica i Dzieciątko nie przestali jednak mówić. Gdy pojawiał się przed nimi jakiś obcy biedak, oświadczały: „To nie on”, odwracając kamienne głowy. Alston zyskało opinię dziwnego miejsca i ludzie woleli je omijać.

<sup>[11]</sup> By lepiej zrozumieć charakter i niezwykle umiejętności pana Norrella, pan Segundus sporządził dokładny opis wizyty w opactwie Hurtfew, ale jego wspomnienia z wizyty były zdumiewająco niejasne. Za każdym razem, gdy czytał swoje słowa, odkrywał, że

teraz inaczej to pamięta. Wykreślał zdania i pisał nowe, w końcu sporządzał następny opis. Po czterech lub pięciu miesiącach musiał przyznać sam przed sobą, że już nie wie, co pan Honeyfoot powiedział do pana Norrella, co odpowiedział na to pan Norrell i co on sam zobaczył w Hurtfew. Doszedł do wniosku, że próba spisania czegokolwiek na ten temat jest daremna, i cisnął zapiski w ogień.

<sup>[12]</sup> Kiedyś Drawlight znalazł się w jednym pomieszczeniu z długowłosym białym kotem lady Bessborough. Miał wtedy na sobie nieskazitelnie czarny frak i spodnie, toteż niepokoił go widok zwierzęcia, które najwyraźniej zamierzało się rozsiąść na jego kolanach. Drawlight poczekał na stosowną chwilę i, przekonany, iż nikt na niego nie patrzy, złapał kota, otworzył okno i go wyrzucił. Kot przeżył upadek z trzeciego piętra, ale nie odzyskał pełnej sprawności w jednej nodze i od tej pory zawsze okazywał niechęć dżentelmenom w czerni.

<sup>[13]</sup> Uważa się, że Merlin został uwięziony w pniu głogu przez czarodziejkę Nimic.

<sup>[14]</sup> Pan Lascelles przesadza. Król Kruków miał zaledwie trzy królestwa.

<sup>[15]</sup> Mieszkaniec hrabstwa Nottingham, pan Tubbs, bardzo pragnął zobaczyć elfa i wbił sobie do głowy, że jego stangret jest przedstawicielem tej rasy. Stangret zwał się Jack Starhouse. Był ciemnowłosy, wysoki i rzadko się odzywał, co wprawiało w zakłopotanie innych służących. Do gospodarstwa pana Tubbsa trafił niedawno. Twierdził, że wcześniej był stangretem starszego pana Browne'a w Coldmicklehill, na północy. Miał niezwykle dar: kochały go wszystkie stworzenia. Konie zawsze były posłuszne, gdy on dzierżył lejce. Umiał też rozkazywać kotom w sposób nieznaną w hrabstwie Nottingham. Porozumiewał się z nimi szeptem: kot, do którego mówił, nieruchomiał ze zdumionym wyrazem pyszczka, jakby nigdy w życiu nie słyszał równie rozsądnych słów ani nie spodziewał się usłyszeć ich w przyszłości. Potrafił też zmusić je do tańca. Koty w domostwie pana Tubbsa były równie poważne i pełne godności jak wszystkie inne, ale Jack Starhouse umiał je skłonić do dzikich harców, skakania na tylnych nogach i rzucania się na wszystkie strony. Czynił to za pomocą dziwnych westchnień, gwizdów i syków.

Ktoś ze służby zauważył, że gdyby tylko te koty się do czegoś nadawały - a nie nadawały się do niczego - działanie to miałoby jakiś sens. Zadziwiające umiejętności Starhouse'a były jednak bezużyteczne; nie bawiły też służących, tylko wprawiały ich w zakłopotanie.

Nie wiadomo, czy to te sztuczki, czy też urodziwe oblicze Starhouse'a (o nieco zbyt szeroko rozstawionych oczach) sprawiły, iż pan Tubbs wkrótce zaczął w sekrecie rozpytywać o stangreta. Pewnego dnia oznajmił mu, iż dowiedział się, że pan Browne jest bardzo chory. Był już bardzo chory, gdy Starhouse rzekomo dla niego pracował, i nie wychodził z domu od



wielu lat. Pan Tubbs chciał zatem wiedzieć, do czego pan Browne potrzebował stangreta. Jack Starhouse w końcu przyznał, że nie był w służbie u pana Browne'a, lecz pracował dla innej rodziny w okolicy. Pracował ciężko i był szczęśliwy, ale inni słudzy go nie lubili. Nie wiedział dlaczego. Choć zdarzało się to już wcześniej. Jedna ze służących rozpowiadała kłamstwa o nim i został odprawiony. Kiedyś, wiele lat wcześniej, widział pana Browne'a. Bardzo mu przykro, że okłamał pana Tubbsa, ale nie miał pojęcia, co robić.

Pan Tubbs wyjaśnił, że już nie ma potrzeby bajdurzyć. Wie, że Starhouse jest elfem, i sługa nie musi się niczego obawiać, nie zdradzi go. Chciał tylko porozmawiać z nim o jego ojczyźnie i krajanach. Początkowo Starhouse nie rozumiał, o co chodzi panu Tubbsowi. Kiedy w końcu to pojął, na próżno zapewniał, że jest człowiekiem i w dodatku Anglikiem. Po tej rozmowie Starhouse ciągle wpadał na pana Tubbsa, który zasypywał go setkami pytań o elfy oraz Faerie. Przez to Starhouse popadł w takie przygnębienie, że musiał zrezygnować z posady. W piwiarni w Southwell poznał człowieka, który namówił go na wniesienie sprawy przeciwko byłemu pracodawcy za zniesławienie. Słynną decyzją sądu Jack Starhouse został uznany za istotę ludzką. Ten dziwaczny epizod skończył się niefortunnie zarówno dla Tubbsa, jak i Starhouse'a. Przez niewinne pragnienie zobaczenia elfa Tubbs stał się obiektem powszechnych drwin. W gazetach w Londynie, Derby i Sheffield drukowano jego karykatury, sąsiedzi przestali się do niego odzywać. Starhouse zaś szybko się przekonał, że nikt nie zatrudni stangreta, który wniósł sprawę przeciwko własnemu panu. Musiał przyjąć byle jaką pracę i wkrótce popadł w ubóstwo.

Proces Tubbs kontra Starhouse jest interesujący zwłaszcza z tej przyczyny, że ilustruje szeroko rozpowszechniony pogląd, że elfy nadal żyją w Anglii. Zdaniem wielu Anglików i Angielek wszędzie ich pełno. Niektóre są niewidzialne, inne zaś udają porządnych chrześcijan, mogą być nawet naszymi znajomymi. Uczni debatuje nad tym od wieków, ale nie doszli do żadnych konstruktywnych wniosków.

<sup>[16]</sup>Elf Simona Bloodwortha przyszedł doń całkiem niespodziewanie. Zaproponował swe usługi i poprosił, by zwracać się do niego „Buckler”. Każde dziecko mogłoby wyjaśnić czytelnikowi, że Bloodworth lepiej by zrobił, gdyby zbadał sprawę i przekonał się, kim właściwie jest Buckler i czemu przybył z Faerie, by służyć magowi trzeciej kategorii. Buckler świetnie radził sobie z magią: interesy Bloodwortha w małym miasteczku Bradford on Avon kwitły. Tylko raz Buckler był przyczyną kłopotów, gdy w nagłym ataku szału zniszczył książeczkę, która należała do kapelana lorda Lovela. Im dłużej Buckler przebywał u Bloodwortha, tym stawał się mocniejszy. Gdy nabrał sił, zmienił swój wygląd. Zakurzone łachmany przeobraziły się w porządną ubiór. Zardzewiałe nożyce, które ukradł ślusarzowi w

mieście, w miecz. Chuda, upstrzona plamami lisią twarz stała się urodziwym ludzkim obliczem, poza tym nagle urósł o pół metra albo i więcej. Zapewniał panią Bloodworth, że tak wyglądał naprawdę, a poprzedni wygląd był winą zaklęcia.

W piękny majowy poranek roku 1310, kiedy Bloodworth wyjechał z domu, pani Bloodworth zauważyła, że w kącie kuchni pojawił się wysoki kredens. Kiedy spytała o to Bucklera, natychmiast odparł, że mebel jest magiczny i on go tu sprowadził. Dodał, że z wielkim bólem obserwował, jak pani Bloodworth i jej córki zmywają, gotują, sprzątają od świtu do nocy, podczas gdy powinny siedzieć na haftowanych poduszkach, ubrane w zdobione klejnotami suknie, i zjadać się kandyzowanymi owocami. Bardzo rozsądne, pomyślała pani Bloodworth. Buckler dodał, że często ganił jej męża za to, że nie ułatwia życia żonie, ale ten nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Odparła, że ani trochę jej to nie dziwi. Buckler oświadczył na to, że jeśli pani Bloodworth wejdzie do kredensu, trafi w magiczne miejsce, gdzie nauczy się zaklęć, które pomogą jej migiem dokończyć pracę. Sprawia, że będzie piękna w oczach każdego, kto na nią spojrzy, że będzie mogła wyczarować stosiki złota, zmusić męża do posłuszeństwa i tak dalej. „Ile tych zaklęć?” - przerwała pani Bloodworth. Mniej więcej trzy, jak sądził. „Trudne?” „O nie! Bardzo proste”. „Długo to potrwa?” „Nie, niedługo, wróci pani akurat na mszę”.

Tego ranka do kredensu Bucklera weszło siedemnaście osób. Nigdy już ich nie zobaczono w Anglii. Wśród nich byli: pani Bloodworth, jej dwie młodsze córki, dwie służące i dwóch służących, wuj pani Bloodworth i sześcioro sąsiadów. Tylko Margaret, najstarsza córka Bloodwortha, odmówiła wejścia do kredensu.

Król Kruków wysłał dwóch magów, by zbadali tę sprawę. To właśnie ich pisemnym sprawozdaniom zawdzięczamy informację o tym zdarzeniu.

Najważniejszym świadkiem była Margaret, która powiedziała: „Mój biedny ojciec wszedł do kredensu po to, by ich uratować, choć błagałam, by tego nie robił. I tura znikł”. Dwieście lat później doktor Martin Pale podróżował przez Faerie. W zamku Johna Hollyshoesa (wiekowego i potężnego księcia elfów) znalazł ludzkie dziecko, siedmiobądz ośmioletnią dziewczynkę, wyjątkowo bladą i zabiedzoną. Przedstawiła się jako Annę Bloodworth i powiedziała, że przebywa w Faerie od dwóch tygodni. Dziewczynce nakazano zmyć wielką stertę brudnych naczyń. Mówiła, że zmywa je od przybycia, a kiedy skończy, wróci do domu, do rodziców i sióstr.

<sup>[17]</sup>Francis SuttonGrove (1682-1765), mag teoretyk. Autor dwóch ksiąg: *De Generibus Artium Magicarum Anglorum*, 1741, oraz *Przepisów i opisów*, 1749. Ale nawet pan Norrell, jedyny miłośnik SuttonaGrove'a, uważał, że *Przepisy popisy* są nieprawdopodobnie kiepskie.

Uczeń pana Norrella, Jonathan Strange, takich nienawdził, że podarł swój egzemplarz na drobne kawałeczki i nakarmił nimi osiołka druciarza (patrz *Życie Jonathana Strange'a* autorstwa Johna Segundusa, 1820, wyd. John Murray).

Dzieło *De Generibus Artium Magicarum Ang/orum* zyskało opinię najnudniejszej księgi z kanonu angielskiej magii. Była to pierwsza podjęta przez Anglika próba opisania dziedzin magii, które współczesny mag powinien przestudiować. Zdaniem SuttonaGrove'a, było ich trzydzieści osiem tysięcy dziewięćset czterdzieści pięć; wyszczególnił je wszystkie. SuttonGrove wyprzedza wielkiego pana Norrella w jeszcze jednym: żadne z jego zestawień nie wspomina o magii tradycyjnie przypisywanej ptakom oraz innej dzikiej zwierzynie. Poza tym SuttonGrove celowo pomija te rodzaje magii, do których zwyczajowo wykorzystuje się elfy, jak wskrzeszanie umarłych.

<sup>[18]</sup> Księżę Portlandu - premier i pierwszy lord skarbu w latach 1807-1809.

<sup>[19]</sup> W Polsce znana raczej jako Fanny Burney. Autorka sentymentalnych romansów, jak Ewelina (przyp. tłum.).

<sup>[20]</sup> O elfie! Bardzo potrzebuje twjej pomocy. Dziewica nie żyje, rodzina pragnie, by powróciła do życia.

<sup>[21]</sup> Oto martwa kobieta pomiędzy niebem a ziemią! Wiedz, o elfie, że Wybrałem cię do tego zadania, gdyż...

<sup>[22]</sup> Burlington House na Piccadilly był londyńską rezydencją księcia Portlandu, pierwszego ministra skarbu (wiele osób, na francuską modłę, nazywa piastującego tę funkcję premierem). Burlington House wzniesiono w czasach, gdy arystokraci nie obawiali się rywalizować z władcami w demonstracji władzy i bogactwa. Budynek ten nie miał sobie równych w stolicy. Sam księżę, bardzo szacowny staruszek, nie nadawał się na premiera. Był bardzo wiekowy i schorowany. Leżał teraz gdzieś w odległej części domu, w pokoju z zaciągniętymi kotarami, otumaniony laudanum i powoli umierał. Kraj nie miał z niego żadnego pożytku. Jediną korzyścią z jego premierostwa było to, że Portland pozwalał wykorzystywać swój przepiękny dom na miejsce spotkań i użyczał służby do przynoszenia z piwniczki, czego tylko dusza ministrów zapragnie (bowiem rządzenie Wielką Brytanią wysusza gardła).

<sup>[23]</sup> William Pitt Młodszy (1759-1806). Wątpliwe, czy kiedykolwiek pojawi się podobna postać, gdyż Pitt został premierem w wieku dwudziestu czterech lat i rządził krajem, z trzyletnią przerwą, aż do śmierci.

<sup>[24]</sup> Cztery lata później, podczas wojen na Półwyspie Iberyjskim, uczeń pana Norrella, Jonathan Strange, w podobny sposób krytykował ten rodzaj magii.

[25] W tej przemowie pan Lascelles zdołał dokonać kompilacji wszystkich dzieł lorda Portisheada. Zanim ten zrezygnował ze studiów nad magią na początku 1808 roku, opublikował trzy książki: *Życie Jacques'a Belasisa*, Longman, Londyn 1801, *Życie Nicholasa Gouierta*, Longman, Londyn 1805, i *Dziecięce lata Króla Kruków*, Longman, Londyn 1807, z ilustracjami Thomasa Bewicka. Dwie pierwsze były naukowymi rozprawkami o dwóch szesnastowiecznych magach. Pan Norrell niezbyt je cenił, a już szczególnie nie cierpiał *Dziecięcych lat...* Jonathan Strange z kolei uważał je za znakomitą książeczkę.

[26]”Dziwne, że takiego bogacza (gdyż lord Portishead był właścicielem sporej części angielskich ziem) charakteryzowała podobna skromność, ale pan Lascelles nie miał się z prawdą. Lord Portishead był poza wszystkim oddanym mężem i ojcem dziesięciorga dzieci. Pan Strange mówił mi, że obserwowanie lorda Portisheada podczas zabawy z dziećmi to najwspanialsza rzecz pod słońcem.

W istocie lord sam nieco przypominał dziecko. Mimo wielkiej wiedzy nie potrafił rozpoznać zła, tak samo jak nie potrafiłby zniecka przemówić po chińsku. Był najskromniejszym lordem wśród całej angielskiej arystokracji” (John Segundus, *Życie Jonathana Strange'a*, John Murray, Londyn 1820).

[27]Pismo „Przyjaciele Angielskiej Magii” wyszło po raz pierwszy w lutym 1808 roku i odniosło niebywały sukces. Do 1812 roku Norrell i Lascelles chwalili się nakładem w wysokości 13 000 egzemplarzy, choć nie wiadomo, czy to wiarygodne dane.

Od 1808 do 1810 roku redaktorem nominalnie był lord Portishead, ale nie ma wątpliwości, że zarówno pan Norrell, jak i Lascelles mieli wielki wpływ na charakter pisma. Zaistniała pewna niezgoda między Norrellem i Lascellesem co do ogólnych celów periodyku. Pan Norrell życzył sobie, by „Przyjaciele Angielskiej Magii” przede wszystkim uzmysłowili społeczeństwu ważność współczesnej angielskiej magii, po drugie korygowali błędne spojrzenie na jej historię, po trzecie zaś oczerniali tych magów i grupy, do których żywił nienawiść. Nie zamierzał zdradzać tajników magii - innymi słowy, nie chciał, by czasopismo było choć w najmniejszym stopniu pouczające. Lord Portishead, którego podziw dla pana Norrella nie miał granic, uznał za swój redaktorski obowiązek postępowanie według wskazówek wielkiego maga. W rezultacie pierwsze numery „Przyjaciół Angielskiej Magii” są raczej nudne i często zdumiewające, pełne dziwnych przeoczeń, zaprzeczeń i uników. Lascelles z kolei doskonale rozumiał, jak posłużyć się periodykiem, by zyskać poparcie dla idei odrodzenia magii w Anglii, i koniecznie pragnął nadać mu lekki ton. Coraz bardziej irtowała go skrupulatność lorda Portisheada. Dzięki sprytnemu manewrowi Lascellesa od 1810 roku on i lord Portishead wspólnie redagowali czasopismo.

John Murray był wydawcą „Przyjaciół Angielskiej Magii” aż do początku 1815 roku, kiedy to wdał się w awanturę z panem Norrellem. Pozbawiony poparcia Norrella zmuszony był sprzedać czasopismo innemu wydawcy, Thomasowi Nortonowi Longmanowi. W 1816 roku Murray i Strange planowali wydawać konkurencyjne czasopismo, zatytułowane „Famulus”, ale ukazał się tylko jeden numer.

[28] Wierząco, że Król Kruków władał trzema królestwami: jednym w Anglii, jednym w Faerie i jednym w dziwnej krainie na krańcach Piekła.

[29] Thomas Lanchester, *Język ptaków*, rozdz. 6

[30] W końcu w obu procesach zapadły wyroki korzystne dla syna Laurence’a Strange’a.

[31] Wręcz przeciwnie. Laurence Strange gratulował sobie, że przez wiele miesięcy nie będzie musiał płacić za jedzenie i ubrania chłopca. Oto jak przez miłość do pieniędzy człowiek inteligentny staje się małostkowy i śmieszny.

[32] Biograf Strange’a, John Segundus, zauważył przy kilku okazjach, że Strange wolał towarzystwo inteligentnych kobiet od towarzystwa mężczyzn. *Życie Jonathana Strange’a*, John Murray, Londyn 1820.

[33] Spodnie do kolan noszone przez wyższe warstwy społeczne (przyp. tłum.).

[34] Teorię tę po raz pierwszy wyłożył kornwalijski mnich o nazwisku Meraud w dwunastym wieku; istniało wiele jej wariantów. W najbardziej skrajnej postaci teoria ta wyraża przekonanie, że każdy, kto został wyleczony, ocalony lub wskrzeszony za pomocą magii, nie podlega Bogu ani jego Kościołowi, tylko musi być posłuszny magowi lub elfowi, który mu pomógł.

Merauda aresztowano i sprowadzono przed oblicze Stefana, króla Anglii Południowej, i jego biskupów w Radzie Winchesteru. Meraud został napiętnowany, wychłostany i częściowo pozbawiony odzienia. Potem go wygnano. Biskupi nakazali wszystkim odmawiać mu pomocy. Meraud usiłował dostać się do Newcastle, zamku Króla Kruków. Zmarł w drodze.

Wierzenie, rozpowszechnione na północy kraju, że pewni mordercy nie należą do Boga ani do Szatana, lecz do Króla Kruków, to inna postać herezji meraudiańskiej.

[35] William Pantler, *Trzy doskonałe stany istnienia*, Henry Lintot, Londyn 1735. Te trzy doskonałe stany istnienia to anioły, ludzie i elfy.

[36] Co dowodzi tylko, że pan Norrell nie pojmował jeszcze, jak bardzo cenią go ministrowie i jak bardzo chcą go wykorzystać podczas wojny.

[37] Londyńska siedziba księcia Walii w Pali Mali.

[38] Robert Banks Jenkinson, lord Hawkesbury (1779-1828). Po śmierci ojca w grudniu 1808 roku został earlem Liverpoolu. Przez dziewięć lat był jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników pana Norrella.

[39] Para małżeńska, kłócąca się ze sobą i przeżywająca tragikomiczne przygody; bohaterowie angielskiego widowiska kukielkowego (przyp. tłum.).

[40] Król był kochającym ojcem sześciu córek, rodzicielska miłość sprawiła jednak, że zachowywał się niemal jak więzienny strażnik. Nie mógł znieść myśli, że któraś z nich mogłaby wyjść za mąż i go zostawić. Wymagał od córek, by wiodły wręcz nieznośnie nudne życie u boku cholerycznej królowej w zamku Windsor. Z całej szóstki tylko jedna zdołała wyjść za mąż przed ukończeniem czterdziestego roku życia.

[41] Wygląda na to, że Strange nie do końca zarzucił marzenia o poetyckiej karierze. W Życiu Jonathana Strange'a (John Murray, 1820) John Segundus opisuje, jak po rozczarowaniu związanym z szukaniem genialnego poety Strange postanowił sam pisać wiersze. „Pierwszego dnia wszystko szło jak z płatka; od śniadania do kolacji siedział w szlafroku przy biurku w garderobie i błyskawicznie zapełniał kilka tuzinów kartek rozmiaru kwarto. Bardzo podobało mu się wszystko, co napisał, podobnie jak jego służącemu, który również był człowiekiem słowa i chętnie odpowiadał na skomplikowane pytania dotyczące metafor i retoryki. Zbierał krążące po pokoju papiery, porządkował je, po czym zbiegał na dół, by przeczytać co ciekawsze fragmenty przyjacielowi, pomocnikowi ogrodnika. Tempo, w jakim pisał Strange, było naprawdę zdumiewające. Służący oświadczył, że kiedy przysunął rękę do dłoni Strange'a, czuł bijące od niej ciepło, olbrzymią twórczą energię. Drugiego dnia Strange zasiadł do napisania następnych pięćdziesięciu stron i natychmiast napotkał trudności, bo nie mógł wymyślić rymu do «wystarczy miłość». Sformułowanie „zgubna otyłość” nie rokowało wielkich nadziei, „stroma pochyłość” wydawało się nie na miejscu, a «utkwiała mi ość» brzmiało wręcz prostacko. Męczył się przez godzinę, nic nie wymyślił, urządził sobie przerwę na konną przejażdżkę i już nigdy nie wrócił do tego poematu”.

[42] Wioska leżąca osiem lub dziewięć kilometrów od domu Strange'a.

[43] Pan Norrell chyba zainspirował się przy tworzeniu tego czaru opisem zaklęcia z hrabstwa Lancaster zamieszczonym w Bibliotece Śmierci (1448) Petera Watershippe'a.

**Susanna Clarke**

**Jonathan Strange i pan  
Norrell**

*Tom 02*

*Tłumaczenie: Małgorzata Hesko-Kołodzińska*

*Tytuł oryginału: Jonathan Strange & Mr Norrell*

*Pamięci mojego brata, Paula Fredericka Gunna Clarke'a,*

*Jonathan Strange*

*- Czy mag może zabić za pomocą magii? - spytał Strange'a lord Wellington.*

*Strange zmarszczył brwi. Pytanie najwyraźniej nie przypadło mu do gustu.*

*- Mag zapewne może - przyznał - lecz dżentelmen z pewnością nie powinien.*



## Rozdział pierwszy

*Dom Cieni lipiec 1809*

W pewien letni dzień 1809 roku dwaj jeźdźcy podróżowali suchą jak pieprz wiejską dróżką w Wiltshire. Niebo miało barwę głębokiego, lśniącego błękitu, a pod nim rozpościerała się skąpana w słońcu Anglia.

Przy drodze rósł wielki kasztanowiec, rzucający na ziemię rozległą plamę cienia. Ów cień pochłoniął sylwetki podróżnych, gdy tylko wjechali pod rozłożyste konary - teraz jedynie głosy świadczyły o ich obecności w tym miejscu.

- Jak długo jeszcze będzie się pan wstrzymywał z publikacją? - spytał jeden z mężczyzn. - Już najwyższy czas. Zastanawiałem się nad tym i uważam, że publikowanie jest obowiązkiem każdego nowoczesnego maga. Zdumiewa mnie, że Norrell nic nie wydaje.

- Z pewnością prędzej czy później coś napisze - odparł drugi głos. - Ale kto zechce czytać moje przemyślenia? Teraz, kiedy Norrell niemal bez przerwy czyni cuda, nie spodziewam się, że dzieło maga teoretyka kogokolwiek zainteresuje.

- Och! Przesadna skromność - powiedział pierwszy głos. - Norrell nie jest jedyny na świecie. Nie może się zajmować wszystkim.

- Owszem, może. Może... - westchnął drugi.

Jakże miło powitać starych przyjaciół! Byli to bowiem panowie Honeyfoot i Segundus. Dlaczego jednak spotykamy ich w siodłach? Przecież jazda konna im nie służyła, nieczęsto wybierali ten środek lokomocji z racji podeszłego wieku pana Honeyfoota oraz ubóstwa pana Segundusa. I do tego w taki dzień! Upał sprawiał, że pan Honeyfoot oblał się potem, odczuwał nieznośne swędzenie, a na ciele wyskoczyły mu czerwone krostki. Z kolei pana Segundusa taka oślepiająca jasność z pewnością mogła przyprawić o atak migreny. Co zatem robili w Wiltshire?

Tak się złożyło, że w trakcie badania sprawy dziewczęcia z liśćmi bluszczu we włosach pan Honeyfoot natrafił na pewien trop. Był przekonany, że morderca to mieszkaniec Avebury, przyjechał więc do Wiltshire, by zerknąć do dawnych dokumentów przechowywanych w tutejszej parafii.

- Jeśli ustalę jego tożsamość, być może zdołam również odkryć, jaka niegodziwość popchnęła go do zbrodni i kim była owa dziewczyna - wyjaśnił panu Segundusowi.

Pan Segundus pojechał z przyjacielem, przejrzał z nim wszystkie papiery i pomógł

zrozumieć starołacińskie zwroty. Ale choć kochał stare dokumenty (nikt nie darzył ich większym uczuciem) i szczerze wierzył, że mogą dostarczyć informacji, w duchu powątpiewał w to, że siedem łacińskich słów sprzed pięciu stuleci zdoła wyjaśnić tajemnice czyjegoś życia. Pan Honeyfoot natomiast tryskał optymizmem.

W pewnym momencie pan Segundus doszedł do wniosku, że skoro są już w Wiltshire, mogą skorzystać z okazji i odwiedzić Dom Cieni, który znajdował się w tym hrabstwie. Żaden z nich go jeszcze nie widział.

Większość z nas słyszała w szkole o Domu Cieni. Nazwa ta przywołuje na myśl magię i ruiny, niewielu jednak ma pojęcie, dlaczego budynek ten jest tak ważny. W istocie historycy magii wciąż toczą spór o jego znaczenie - część z nich twierdzi, że Dom Cieni nie odgrywa wielkiej roli w historii angielskiej magii. Nie zdarzyło się tam nic ważnego, do tego mieszkali w nim jedynie dwaj magowie, z których jeden okazał się szarlatanem, a drugi kobietą. Oczywiście nie wzbudza to zachwyty obecnych magów dżentelmenów i historyków, ale przez dwa stulecia Dom Cieni słynął jako jedno z najbardziej magicznych miejsc w Anglii.

Zbudował go w szesnastym wieku Gregory Absalom, nadworny mag króla Henryka VIII i dwóch królowych: Marii oraz Elżbiety. Jeśli mierzyć sukces maga skutecznością praktykowanej przezeń magii, to Absaloma w ogóle magiem zwać nie należało, gdyż jego zaklęcia nie działały. Jeśli jednak miarą staną się zarobione przezeń pieniądze, to Absalom z pewnością należał do grona największych angielskich magów: urodził się w biedzie, a zmarł jako bogacz.

Jednym z jego największych osiągnięć było przekonanie króla Danii, by zapłacił garścią brylantów za zaklęcie, które, zdaniem Absaloma, powinno zmienić ciało króla Szwecji w wodę. Rzecz jasna, zaklęcie nie zadziałało, ale za pieniądze uzyskane ze sprzedaży połowy duńskich klejnotów Absalom wznosił Dom Cieni. Położył w nim tureckie dywany, zawiesił weneckie lustra, wstawił szyby i mnóstwo innych zachwycających rzeczy. Kiedy dom był gotów, zdarzyło się coś dziwnego (choć to tylko przypuszczenie; niektórzy twierdzą, że nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego). Mianowicie, zdaniem niektórych osób (ale tylko niektórych), magia oferowana klientom przez Absaloma zaczęła się samodzielnie objawiać.

Pewnej księżycowej nocy 1610 roku dwie służące wyglądały przez okno na piętrze i zobaczyły dwadzieścia lub trzydzieści pięknych dam, tańczących w kółko na trawniku wraz z przystojnymi dżentelmenami. W lutym 1666 roku Valentine Greatrakes, Irlandczyk, rozmawiał po hebrajsku z prorokami Mojżeszem i Aaronem w małym korytarzu nieopodal magla. W 1667 roku goszcząca w domu pani Penelope Chelmsorton ujrzała w zwierciadle małą, trzy - lub czteroletnią dziewczynkę. Dziecko rosło, dojrzewało, i w końcu dama

rozpoznała samą siebie. Odbicie pani Chelmorton nie przestawało się starzeć, aż w lustrze pozostało jedynie wysuszone truchło. Po tych i setkach podobnych opowieści Dom Cieni zyskał złą sławę.

Absalom miał jedyną córkę o imieniu Maria. Urodziła się ona w Domu Cieni i mieszkała tam przez całe życie, wyjeżdżając z rzadka na dzień lub dwa. Gdy była dzieckiem, dom odwiedzali królowie i ambasadorzy, uczeni, wojacy i poeci. Nawet po śmierci jej ojca przybywali ludzie, by rzucić okiem na ostatni przejaw działania angielskiej magii, na jej łabędzi śpiew. Potem goście zjawiali się coraz rzadziej, dom podupadł, a ogród zarósł chwastami. Maria Absalom nie chciała jednak wyremontować domostwa ojca. Nie sprzątało nawet potłuczonych naczyń<sup>[1]</sup>.

Gdy Maria miała lat pięćdziesiąt, bluszcz tak się rozrósł, że wdarł się do wszystkich szaf i pokrył podłogę, aż niebezpiecznie było po niej stąpać. Ptaki śpiewały nie tylko przed domem, ale i w nim. Dobiegłszy setki, panna Absalom była równie zniszczona jak dom, oboje jednak nie poddawali się śmierci. Przeżyła jeszcze czterdzieści dziewięć lat, aż zmarła pewnego letniego poranka, w łóżku, pod olbrzymim wiązem, a promienie słońca prześwitujące przez gałęzie padały na jej oblicze.

Gdy panowie Honeyfoot i Segundus śpieszyli tego upalnego popołudnia do Domu Cieni, denerwowali się nieco, że pan Norrell dowie się o ich wyprawie. Dzięki pełnym szacunku listom i wizytom admirałów oraz ministrów znaczenie pana Norrella wciąż rosło, więc tym bardziej obawiali się, by mag nie uznał, że pan Honeyfoot złamał warunki umowy. Dlatego też nikomu nie powiedzieli dokąd jadą i wyruszyli bardzo wczesnym rankiem. Miejscowy farmer wynajął im konie. Do Domu Cieni dotarli okrężną drogą.

Na końcu szerokiej zakurzonej białej ścieżki ujrzeli wysoką bramę o dwóch skrzydłach. Pan Segundus zsiadł z konia. Bramę wykonano z kastylijskiego kutego żelaza, ale obecnie miała już rdzawą, ciemnoczerwoną barwę, a jej pierwotny kształt uległ deformacji. Na dłoni pana Segundusa zostały ciemne ślady, całkiem jakby bramę wzniesiono z miliona suszonych, sprasowanych róż. Żelazne zawijasy były zdobione małymi płaskorzeźbami psotnych, roześmianych twarzyczek, szkarłatnych i zniekształconych, zupełnie jakby część Piekła zamieszkaną przez dusze owych pogan miał w swej pieczy nieuważny demon, który zbytnio rozgrzał piec.

Za bramą kwitły tysiące białych róż; rosły tam również wysokie, oświetlone słońcem wiązy, jesiony i kasztanowce, a zza nich wyzierało intensywnie błękitne niebo. Widzieli cztery trójkątne ściany szczytowe, długie, szare kominy oraz okna z kamiennymi kratownicami. Dom Cieni stał zrujnowany już od ponad wieku. W równym stopniu tworzyły

go dzikie bzy i szypszyna, jak i srebrzysty wapień, a unosił się w nim nie tylko zapach żelaza i drewna, ale również aromat lata.

- Całkiem jak w Innych Ziemiach<sup>[2]</sup> - oznajmił pan Segundus, z entuzjazmem przyciskając twarz do kraty, przez co na jego policzku pozostało jej rdzawe odbicie. Otworzył bramę i wprowadził konia. Pan Honeyfoot poszedł w jego ślady. Przywiązali wierzchowce do kamiennej fontanny i postanowili udać się na przechadzkę po ogrodzie.

Tereny wokół Domu Cieni nie zasłużyły być może na miano ogrodu. Od ponad stu lat nikt się nimi nie zajmował. Nie były jednak lasem ani dziczą. Nie istnieje w naszym języku słowo opisujące ogród maga dwieście lat po jego śmierci. Panowie Segundus i Honeyfoot w życiu nie widzieli tak gęstego, bujnie porośniętego ogrodu, który sprawiał wrażenie całkowicie dzikiego.

Pana Honeyfoota zachwycało dosłownie wszystko. Wyraził podziw dla wielkiej alei wiązków, gdzie drzewa rosły zanurzone w morzu jaskraworóżowych naporstnic. Zadziwiła go rzeźba lisa, który trzymał w pysku małe dziecko. Opowiadał z ożywieniem o niezwykle magicznej atmosferze tego miejsca i oświadczył, że nawet pan Norrell mógłby dojść tutaj do całkiem nowych wniosków.

W rzeczywistości jednak pan Honeyfoot nie był szczególnie podatny na tę atmosferę. Pan Segundus zaś zaczął odczuwać niepokój. Nabierał przekonania, że ogród Absaloma ma na niego dziwny wpływ. Kilkakrotnie, gdy tak spacerował z panem Honeyfootem, zdawało mu się, że widzi znajomych ludzi, i już chciał się z nimi witać. Innym razem pomyślał, że rozpoznaje pewne miejsca. Ale gdy otwierał usta, uświadamiał sobie nagle, że sylwetka przyjaciela to tylko gra cieni na różanym krzewie, a rzekoma głowa lub ręka znajomego okazywała się jedynie gałązką białych kwiatów. Miejsce, które wydawało się panu Segundusowi dobrze znane z dzieciństwa, było plataniną liści żółtego krzewu i kołyszących się gałęzi bzu obok skąpanego w słońcu węgła domu. Poza tym nie mógł sobie przypomnieć, którego ze znajomych widział, ani nie potrafił dokładnie określić, czym było owo niby znajome miejsce. Tak go to zmęczyło, że po pół godzinie zaproponował panu Honeyfootowi krótki odpoczynek.

- Drogi przyjacielu! - westchnął pan Honeyfoot. - O co chodzi? Źle się pan poczuł? Jest pan bardzo błydy, drżą panu ręce. Czemu mi pan wcześniej nic nie powiedział?

Pan Segundus przetarł dłonią czoło i wymamrotał, że jego zdaniem zaraz doświadczą działania magii. Był o tym wręcz przekonany.

- Magii? - powtórzył pan Honeyfoot. - Jakiej magii? - Rozejrzał się nerwowo, jakby w obawie, że zza drzewa wyskoczy pan Norrell. - Obawiam się, że dzisiejszy upał panu

zaszkodził. Sam jestem bardzo zgrzany. Ale z nas zakute pały, że to lekceważymy. Tam jednak znajdziemy ulgę! Tam czeka nas błogość! Odpoczynek w cieniu wysokich drzew, takich jak te nad szemrzącym potokiem, to najlepszy środek na wzmocnienie! Chodźmy, drogi panie, usiądziemy.

Spoczęli na porośniętym trawą brzegu brunatnego strumyka. Ciepłe, delikatne powietrze i aromat róż ukoili pana Segundusa. Zamknął oczy. Otworzył. Znowu zamknął. Otworzył, powoli i z trudem.

Niemal natychmiast zaczął śnić:

*Ujrzał wysokie odrzwia w ciemnym budynku, wyrzeźbione w srebrzystym kamieniu, który lekko lśnił, jakby oświetlony blaskiem księżyca. Pionowe elementy futryny wykonano na podobieństwo dwóch mężczyzn (a może tylko jednego, gdyż wyglądali tak samo). Postać jakby wychodziła ze ściany, i John Segundus natychmiast zrozumiał, że to mag. Niezbyt dobrze widział jego oblicze, choć zauważył, że jest ono młode i urodziwe. Mężczyzna miał na głowie czapkę z ostrym dziobem i kruczymi skrzydłami po bokach.*

*John Segundus minął drzwi. Przez chwilę widział tylko czarne niebo, gwiazdy; słyszał świst wiatru. Potem jednak spostrzegł, że znalazł się w zdewastowanym pomieszczeniu. Na ścianach wisiały obrazy, gobeliny i zwierciadła. Postaci na gobelinach poruszały się i prowadziły rozmowy, a w lustrach nie odbijał się pokój, lecz całkiem inne miejsca.*

*Po przeciwnej stronie pomieszczenia, przy stole, w blasku księżyca i świec, siedziała kobieta. Ubrana była w bardzo staroświecką suknię, uszytą, zdaniem Johna Segundusa, ze zbyt dużej ilości materiału. Strój miał dziwną, głęboką niebieską barwę, lśniły na nim brylanty króla Danii. Nieznajoma patrzyła na pana Segundusa, gdy ten się zbliżał. Miała skośne oczy, rozstawione zbyt szeroko jak na kanon kobiecej urody, i szerokie wargi, rozciągnięte w uśmiechu, którego znaczenia Segundus nie umiał odgadnąć. W migoczącym blasku świec widział ogniście rude włosy.*

*Nagle we śnie Johna Segundusa pojawiła się inna osoba - dżentelmen we współczesnym stroju. Nie wydawał się ani trochę zdumiony pięknie (choć raczej niemodnie) ubraną damą, ale bardzo go zdziwiła obecność Johna Segundusa. Wyciągnął zatem rękę, złapał go za ramię i zaczął nim potrząsać...*

Nagle pan Segundus poczuł, że pan Honeyfoot trzyma go za ramię i delikatnie nim potrząsa.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział pan Honeyfoot. - Krzyczał pan przez sen, pomyślałem więc, że lepiej pana zbudzę.

Speszony pan Segundus spojrział na pana Honeyfoota.

- Miałem sen - oświadczył. - Przedziwny. I opowiedział jego treść przyjacielowi.

- Bardzo magiczne miejsce - rzekł pan Honeyfoot z aprobatą. - Mamy na to jeszcze jeden dowód: pański sen pełen jest dziwnych symboli i wróżb.

- Ale co on oznacza? - spytał pan Segundus.

- Och! - westchnął pan Honeyfoot i raptem umilkł. - Dama ubrana była w niebieski strój, tak? Niech pomyślę... Niebieska barwa symbolizuje nieśmiertelność, niewinność i wierność, poza tym to kolor Jowisza. Bywa symbolizowany przez cynę. Uch. I co z tego wynika?

- Niewiele, jak sądzę - odparł pan Segundus. - Chodźmy.

Pan Honeyfoot bardzo chciał zobaczyć więcej, więc zaproponował, by jeszcze zwiedzili wnętrze Domu Cieni. W oślepiającym słońcu budynek wyglądał jak niebieskozielony tuman mgły.

- Och! - wykrzyknął pan Segundus, gdy minęli wejście do sali głównej.

- Co? Co takiego? - dopytywał się poruszony pan Honeyfoot.

Po obu stronach drzwi ujrzeli dwie kamienne rzeźby Króla Kruków.

- Widziałem je w swoim śnie - wyjaśnił pan Segundus.

W sali głównej pan Segundus rozejrzał się dookoła. Nie było tu zwierciadeł i obrazów z jego snu. Lilaki i dzikie bzy pięły się po splekanych ścianach. Kasztanowce i jesiony tworzyły srebrzystozielony dach, który falował i pstrzył się na tle niebieskiego nieba. Delikatna złocista trawa i firletka stanowiły ramy pustych kamiennych okien.

Na podłodze goście dostrzegli kilka osobliwie wyglądających przedmiotów. Były to zapewne magiczne narzędzia: kartki papieru z nabazgranymi na nich zaklęciami, srebrną misę pełną wody i na wpół wypaloną świeczkę w starym mosiężnym świeczniku.

W najdalszej części pokoju, w słońcu, stały dwie osoby. Pan Honeyfoot przywitał się grzecznie z nieznanymi. Jeden z nich odpowiedział mu poważnym, uprzejmym tonem, lecz drugi natychmiast wykrzyknął:

- Henry, to on! To ten człowiek! Ten, którego opisywałem! Nie widzisz? Człowieczek o włosach i oczach tak ciemnych, że wygląda jak południowiec, chociaż w tej czerni widać srebrne nitki. Wyraz jego twarzy jest tak spokojny i bojaźliwy, że to z pewnością Anglik! Sfatygowane okrycie, zakurzone i połatane, wystrzępione rękawy, które usiłuje ukryć, bo obciążł nitki. Och! Henry, to on! Proszę się wytłumaczyć! - wrzasnął nagle do pana Segundusa.

Biedny pan Segundus ze zdumieniem wysłuchał dokładnego (choć bardzo

przygnębiającego!) opisu swojej osoby i odzienia. Gdy tak stał, usiłując zebrać myśli, nieznajomy wszedł w cień jesionu, który tworzył część północnej ściany sali. Wtedy po raz pierwszy na jawie pan Segundus zobaczył Jonathana Strange'a.

Z niejakim wahaniem (gdyż zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to dziwnie) powiedział:

- Sądzę, że widziałem pana w swoim śnie. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Strange'a:

- To był mój sen, zapewniam pana! Specjalnie się położyłem, by go śnić. Mogę dostarczyć dowodów, przedstawić świadków, którzy potwierdzą, że sen należał do mnie. Pan Woodhope - wskazał na swego towarzysza - widział, co robię. Pan Woodhope to duchowny, pastor w hrabstwie Gloucester! Chyba nikt nie będzie wątpił w jego słowa! Moim zdaniem w Anglii sny dżentelmena to jego prywatna sprawa. Zastanawiam się, czy istnieje prawo, które to reguluje, a jeśli nie, to powinno się zmusić parlament, by natychmiast je uchwalił! Nie wypada, by obcy człowiek wdierał się w cudze sny! - Strange urwał, by zaczerpnąć tchu.

- Drogi panie! - wykrzyknął pan Honeyfoot z pasją. - Bardzo proszę, by zwracał się pan do tego dżentelmena z większym szacunkiem. Nie ma pan przyjemności znać go równie dobrze jak ja, ale gdyby spotkał pana ten zaszczyt, wiedziałby pan, że obrażanie innych jest całkiem sprzeczne z jego naturą.

Strange jęknął ze zniecierpliwieniem.

- Rzeczywiście, bardzo to dziwne, że ludzie wchodzi do cudzych snów - zauważył Henry Woodhope. - Ale to chyba nie mógł być ten sam sen?

- Och! Obawiam się, że był ten sam - westchnął ciężko pan Segundus. - Od momentu, gdy znalazłem się w tym ogrodzie, czułem, że jest on pełen niewidzialnych drzwi. Mijałem jedno po drugim, aż zapadłem w drzemkę i wyśniłem sen, w którym zobaczyłem tego dżentelmena. Wszystko mi się pomieszało. Zdawałem sobie sprawę, że to nie ja otworzyłem te drzwi, ale na to nie zważałem. Pragnąłem jedynie sprawdzić, co znajdę po drugiej stronie.

Henry Woodhope spoglądał na pana Segundusa, jakby nic nie rozumiał.

- Nadal wątpię, czy to był ten sam sen. - Zwracał się do pana Segundusa jak do ociężałego umysłowo dziecka. - O czym pan śnił?

- O damie w niebieskiej sukni - odparł pan Segundus. - Podejrzewam, że była to panna Absalom.

- Naturalnie, że była to panna Absalom! - wykrzyknął Strange z irytacją, jakby nie mógł słuchać takich oczywistości. - Niestety, miała się spotkać z jednym dżentelmenem. Zaniepokoił ją widok dwóch, więc pośpiesznie znikła. - Pokręcił głową. - W całej Anglii jest góra pięciu ludzi parających się magią, ale na moje nieszczęście jeden z nich musiał się

zjawić akurat tutaj i zakłócić przebieg mojego spotkania z córką Absaloma. Trudno mi w to uwierzyć! Jestem największym pechowcem w całym kraju! Długo pracowałem nad tym snem. Przygotowanie zaklęcia przywołującego zajęło mi trzy tygodnie. Męczyłem się dniami i nocami, a jeśli chodzi o...

- Cudownie - przerwał mu pan Honeyfoot. - Wspaniale! Nawet pan Norrell nie zdołałby tego dokonać!

- Och, nie jest to takie trudne, jak pan sądzi - Strange obrócił się do pana Honeyfoota.  
- Najpierw należy wysłać damie zaproszenie: nada się każde zaklęcie przywołujące. Ja wykorzystałem Ormskirka<sup>[3]</sup>. Rzecz jasna, trudność polegała na tym, byśmy - panna Absalom i ja - zjawili się w moim śnie w tym samym czasie. Czar Ormskirka jest tak nieprecyzyjny, że wzywana osoba może się udać gdziekolwiek i stwierdzić, że wypełniła zobowiązanie. Przyznaję, problem synchronizacji nie sprawił mi wielkiej trudności. Rezultat był zadowalający. Potem musiałem rzucić zaklęcie na siebie, bym zapadł w magiczny sen. Naturalnie słyszałem o takich czarach, ale nie natrafiłem na żaden z nich i musiałem sam go wymyślić. Jest marny, ale czegoż innego można by się spodziewać?

- Dobry Boże! - krzyknął pan Honeyfoot. - Chce pan powiedzieć, że cała ta magia to właściwie pański wynalazek?

- No cóż - odparł Strange. - Jeśli o to chodzi... Miałem Ormskirka - wszystko oparte jest na Ormskirku.

- Och? Ale czy HetherGray<sup>[4]</sup> nie nadałby się lepiej od Ormskirka? - spytał pan Segundus. - Wybaczcie mi. Nie jestem praktykującym magiem, ale HetherGray zawsze wydawał mi się znacznie bardziej wiarygodny niż Ormskirka.

- Doprawdy? - zdziwił się Strange. - Naturalnie słyszałem o HetherzeGray'u. Niedawno nawiązałem korespondencję z pewnym dżentelmenem z hrabstwa Lincoln. Twierdzi on, że dysponuje egzemplarzem *Anatomii Minotaura* HetherGray'a. A więc warto do niej zajrzeć, tak?

Pan Honeyfoot oświadczył, że w żadnym wypadku, bo dzieło HetherGray'a to najgorsze brednie pod słońcem. Pan Segundus wyraził sprzeciw. Strange bardzo się zainteresował tą wymianą zdań. Już prawie zapomniał o gniewie. No bo kto mógłby żywić urazę do pana Segundusa? Są na świecie ludzie, którzy nie lubią dobroci i grzeczności, których irytuje łagodność - ale z radością oświadczam, że Jonathan Strange się do nich nie zaliczał. Pan Segundus ponownie przeprosił za popsucie czarów, a Strange z uśmiechem i ukłonem oświadczył, że rozmówca może już o tym zapomnieć.

- Nie będę pytał, czy jest pan magiem - dodał. - Łatwość, z jaką wnika pan do cudzych



snów, dowodzi pańskiej mocy. - Strange odwrócił się do pana Honeyfoota. - Czy i pan para się magią?

Nieszczęsny pan Honeyfoot! Takie niewinne pytanie, a trafiło w tak czuły punkt! Nadal w głębi serca był magiem i nie lubił, gdy przypominano mu, co utracił. Odparł, że do niedawna zajmował się tą dziedziną, zmuszono go jednak do zaniechania studiów. Pozostawało to w całkowitej sprzeczności z jego wolą. Studiowanie magii - dobrej angielskiej magii - było, jego zdaniem, najszlachetniejszym zajęciem na świecie.

Strange patrzył na niego ze zdumieniem.

- Zupełnie nie pojmuję pańskich słów. Jak ktoś mógł zmusić pana do rezygnacji z magii, skoro pan sobie tego nie życzył?

I wtedy panowie Segundus i Honeyfoot opowiedzieli mu o Uczonym Towarzystwie Magów Yorku, rozwiązanym na żądanie pana Norrella. Pan Honeyfoot spytał Strange'a, co sądzi o słynnym magu.

- Och, to ulubieniec angielskich księgarzy - odparł Strange z uśmiechem.

- Słucham? - zainteresował się pan Honeyfoot.

- Jego nazwisko znane jest we wszystkich miejscach, gdzie się handluje książkami, od Newcastle do Penzance. Księgarz kłania się i mówi z uśmiechem: „Przybywa pan zbyt późno! Miałem mnóstwo dzieł o magii i historii. Sprzedałem je jednak uczonemu dżentelmenowi z hrabstwa York”. Zawsze chodzi o Norrella. Kto chce, może kupić to, co pozostawił. Odkryłem, że książki wzgardzone przez Norrella znakomicie się nadają na podpałkę.

Panowie Segundus i Honeyfoot naturalnie natychmiast zapragnęli lepiej poznać Jonathana Strange'a, a i on miał chyba ochotę z nimi pogawędzić. Gdy obie strony zadały zwyczajowe pytania oraz zaspokoili ciekawość („Gdzie się panowie zatrzymali?”; „Och! U George'a w Avebury”; „Zdumiewające. My również”), pośpiesznie zdecydowano, że cała czwórka powróci do gospody, by wspólnie spożyć obiad.

Opuszczając Dom Cieni, Strange przystanął przy odrzwiach z wizerunkami Króla Kruków i spytał, czy któryś z dżentelmenów odwiedził na północy Newcastle, dawną stolicę króla. Okazało się, że żaden tam nie był.

- Podobne drzwi znajdują panowie na każdym rogu w tamtym mieście - powiedział Strange. - Pierwsze powstały jeszcze za bytności króla w Anglii. W Newcastle wydaje się, że wszędzie, dokąd człowiek pójdzie, z jakiegoś ciemnego, pełnego kurzu przejścia zmierza ku niemu król. - Strange uśmiechnął się krzywo. - Milczy jednak, a jego twarz częściowo ukryta jest w cieniu.

O piątej zasiedli do posiłku w gospodzie U George'a. Panowie Honeyfoot i Segundus

uznali Strange'a za niezwykle sympatycznego towarzysza - był on energiczny i rozmowny. Henry Woodhope skoncentrował się na jedzeniu, a gdy skończył, zaczął wyglądać przez okno. Pan Segundus pomyślał, że pan Woodhope czuje się nieco zaniedbywany, więc nachylił się do niego i pochwalił sztukę, którą Strange zaprezentował w Domu Cieni. Henry Woodhope wydawał się zdumiony.

- Nie sądziłem, że jest czego gratulować - oświadczył. - Strange nie mówił, że to coś niezwykłego.

- Drogi panie! - wykrzyknął pan Segundus. - Kto wie, kiedy ostatnio widziano w Anglii taką sztukę?

- Och! Nic nie wiem o magii. Jest chyba modna, zauważyłem wzmianki o niej w londyńskich gazetach. Duchowny nie może jednak poświęcać zbyt wiele czasu na lekturę. Poza tym znam Strange'a od dzieciństwa i wiem, że ma wielce kapryśny charakter. Zdumiewa mnie, że ten zapal do magii trwa tak długo. Śmiem twierdzić, że wkrótce się nią znudzi, jak wszystkim innym.

Po tych słowach wstał od stołu i oświadczył, że od pewnego czasu ma ochotę na przechadzkę po wiosce. Życzył panom Honeyfootowi i Segundusowi miłego wieczoru, po czym ich opuścił.

- Biedny Henry - powiedział Strange po jego wyjściu. - Podejrzewam, że okrutnie go znudziliśmy.

- Bardzo jest życzliwy, skoro zgodził się panu towarzyszyć, choć nie interesował go cel wyprawy - zauważył pan Honeyfoot.

- Och, naturalnie! - zgodził się Strange. - Ale właściwie został zmuszony do tej podróży, bo zaczął mu doskwierać spokój w domu. Henry przyjechał do nas na kilka tygodni, ale u nas nic się nie dzieje, a ja wciąż jestem zajęty studiami.

Pan Segundus zapytał, kiedy pan Strange zainteresował się magią.

- Wiosną zeszłego roku.

- I tyle pan już osiągnął?! - zdumiał się pan Honeyfoot. - W niespełna dwa lata?! Drogi panie, to nadzwyczajne!

- Doprawdy? Mnie się wydaje, że prawie nic nie osiągnąłem. W dodatku nawet nie miałem kogo prosić o radę. Są panowie pierwszymi kolegami po fachu, jakich napotykam, i lojalnie uprzedzam, że zamierzam wypytywać panów przez pół nocy.

- Będziemy zachwyceni, jeśli się na coś przydamy - zapewnił go pan Segundus. - Wątpię jednak, czy nasza wiedza przyniesie panu jakiś pożytek. Jesteśmy jedynie magami teoretykami.

- Nadmierna skromność - zauważył Strange. - Proszę choćby wziąć pod uwagę, że czytali panowie znacznie więcej ode mnie.

I tak pan Segundus zaczął polecać autorów, o których Strange być może jeszcze nie słyszał, a ten nieco chaotycznie zapisywał ich nazwiska i dzieła w małym notesie, czasem na odwrocie rachunku za obiad, innym razem na grzbiecie dłoni. Potem przystąpił do szczegółowego wypytywania pana Segundusa o księgi.

Nieszczęsny pan Honeyfoot! Jakże pragnął uczestniczyć w tej interesującej konwersacji! I faktycznie brał w niej udział, oszukując jedynie samego siebie swoimi przebiegłymi fortelami:

- Proszę mu powiedzieć, by przeczytał *Język ptaków* Thomasa Lanchestera - mówił do pana Segundusa. - Och! Może niezbyt pan sobie ceni to dzieło, uważam jednak, że można się z niego sporo nauczyć.

Pan Strange odparł, że zaledwie pięć lat temu z całą pewnością w Anglii były cztery egzemplarze *Języka ptaków*, jeden znajdował się w księgarni w Gloucester, drugi w prywatnej bibliotece maga dżentelmena w Kendal, trzeci nieopodal Penzance, u kowala, który przyjął księgę w formie płatności za naprawę bramy, a ostatni posłużył za klin w uchylonym oknie szkoły dla chłopców w pobliżu katedry w Durham.

- Gdzie są teraz? - zapytał pan Honeyfoot. - Czemu nie zakupił pan żadnego z nich?

- Przybywszy w każde z tych miejsc, dowiadywałem się, że Norrell był tam przede mną - wyjaśnił Strange. - Nigdy go nawet na oczy nie widziałem, ale na każdym kroku psuje mi szyki. Dlatego właśnie postanowiłem sprowadzić jakiegoś zmarłego maga i zadać mu - lub też jej - kilka pytań. Doszedłem do wniosku, że dama życzliwiej potraktuje mą prośbę, toteż wybrałem pannę Absalom<sup>[5]</sup>.

Pan Segundus pokręcił głową.

- To chyba zbyt radykalne działanie. Nie mógł pan wymyślić prostszego sposobu na zaspokojenie głodu wiedzy? W końcu w złotym wieku angielskiej magii księgi były rzadsze niż obecnie, a magów mimo to nie brakowało.

- Studiowałem historię i biografie aureatów, by odkryć, jak zaczynali - odparł Strange. - Wygląda na to, że w tamtych czasach, gdy ktoś odkrył swoje powołanie, natychmiast wyruszał do domu innego, starszego, maga z większym doświadczeniem i zostawał jego uczniem<sup>[6]</sup>. - Powinien się pan zatem zgłosić do pana Norrella! - wykrzyknął pan Honeyfoot. - W rzeczy samej! O tak, wiem - dodał, widząc, że pan Segundus zamierza protestować. - Norrell jest nieco powściągliwy, ale cóż z tego, przy panu Strange'u z pewnością zwalczy nieśmiałość. Mimo swoich wad Norrell nie jest głupcem i bez wątpienia dostrzeże pożytki

płynące z przyjęcia takiego asystenta!

Pan Segundus miał wiele zastrzeżeń do tego planu, zwłaszcza brał pod uwagę awersję pana Norrella do innych magów. Za to pan Honeyfoot z wrodzonym entuzjazmem uznał, że pomysł da się zrealizować bez żadnych przeszkód.

- Zgadzam się, że Norrell nigdy nie spoglądał na nas, magów teoretyków, łaskawym okiem. Śmiem jednak twierdzić, że równego sobie potraktuje inaczej.

Strange nie miał nic przeciwko temu, bardzo ciekawił go pan Norrell. Natomiast pan Segundus, podejrzewając, że decyzja i tak już została podjęta, pozwalał na stopniowe zbijanie swoich argumentów.

- To cudowny dzień dla Wielkiej Brytanii! - radował się pan Honeyfoot. - Proszę spojrzeć, czego dokonał jeden mag! A ilu cudów dokonałoby dwóch! Strange i Norrell! Brzmi znakomicie!

Po czym pan Honeyfoot kilkakrotnie powtórzył „Strange i Norrell” zachwyconym tonem, co bardzo rozbawiło Strange’a.

Jak wiele osób o miękkim sercu, pan Segundus często zmieniał zdanie. Gdy Strange stał tak przed nim, wysoki, uśmiechnięty i pewny siebie, pan Segundus szczerze wierzył, że jego geniusz musi się spotkać z uznaniem, na jakie zasługuje, nawet jeśli pan Norrell, zamiast pomóc, będzie wolał rzucać mu kłody pod nogi. Następnego ranka jednak, po odjeździe Strange’a i Henry’ego Woodhope’a, jego myśli powróciły do wszystkich magów, których pan Norrell skutecznie wyeliminował, i Segundus znów zaczął się zastanawiać, czy pan Honeyfoot i on sam nie wskazali Strange’owi złej drogi.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że należało przestrzec pana Strange’a przed panem Norrellem. Zamiast zachęcać go do szukania z nim kontaktu, należało poradzić mu, by znalazł sobie dobrą kryjówkę.

Pan Honeyfoot w ogóle tego nie pojmował.

- Żaden dżentelmen nie lubi, gdy doradza mu się ucieczkę - odparł - a jeśli pan Norrell zechce skrzywdzić pana Strange’a, w co bardzo wątpię, z pewnością pan Strange pierwszy się o tym dowie.

## Rozdział drugi

*Drugi mag wrzesień 1809*

Pan Drawlight poprawił się lekko na krześle, uśmiechnął się i rzekł:

- Wygląda na to, że ktoś będzie miał rywala. Zanim pan Norrell zdołał wymyślić stosowną odpowiedź, Lascelles zapytał o nazwisko.

- Strange - odparł Drawlight.

- Nie znam - powiedział Lascelles.

- Och! - wykrzyknął Drawlight. - Musisz go znać. Jonathan Strange ze Shropshire. Dwa tysiące funtów rocznie.

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz. Czekał no! Czy to nie ten, który jeszcze na studiach przeraził kota prezydenta kolegium Corpus Christi?

Drawlight przytaknął. Lascelles od razu przypomniał sobie Strange'a i obaj wybuchnęli śmiechem.

Pan Norrell siedział, milcząc jak głaz. Uwaga Drawlighta była okropnym ciosem. Całkiem się załamał, miał wrażenie, że nawet przedmioty w pomieszczeniu sprzysięgły się przeciwko niemu. Wzburzenie niemal odebrało mu mowę, był pewien, że lada chwila się rozchoruje. Wolał nie myśleć, co zaraz powie Drawlight - może coś o wielkiej mocy lub o cudach, w porównaniu z którymi wyczyny pana Norrella okażą się żalospną zabawą? A przecież zadał sobie tyle trudu, by usunąć ewentualnych rywali! Czuł się jak człowiek, który nocą obchodzi swój dom, rygluje drzwi i okna, po czym słyszy kroki w pokoju na górze.

Powoli jednak te nieprzyjemne doznania mijały i pan Norrell odzyskiwał spokój. Gdy Drawlight i Lascelles rozmawiali o wycieczkach Strange'a do Brighton i jego wizytach w Bath, a także o posiadłości w Shropshire, doszedł do wniosku, że chyba wie, co to za człowiek: modny i płytki, podobny do Lascellesa. Skoro tak (pomyślał pan Norrell), być może zdanie: „Ktoś będzie miał rywala”, wypowiedziane zostało pod adresem Lascellesa właśnie? Ten Strange (rozumował dalej pan Norrell) zapewne rywalizuje z Lascellesem o względy jakiejś damy. Norrell popatrzył na swoje dłonie kurczowo zaciśnięte na kolanach i pomyślał z rozbawieniem o własnej wybujałej fantazji.

- Czyżby Strange był obecnie magiem? - chciał wiedzieć Lascelles.

- Och! - Drawlight obrócił się do pana Norrella. - Jestem pewien, że nawet najlepsi przyjaciele pana Strange'a nie porównują jego talentów z umiejętnościami szacownego pana Norrella. Ale chyba cieszy się powodzeniem w Bristolu i Bath. Obecnie bawi w Londynie. Jego przyjaciele liczą na to, że będzie pan łaskaw go przyjąć. Czy mógłbym prosić o pozwolenie na uczestnictwo w spotkaniu dwóch wybitnych przedstawicieli magicznej profesji?

Pan Norrell powoli uniósł brwi.

- Z przyjemnością poznam pana Strange'a - powiedział.

Pan Drawlight nie musiał długo czekać na doniosłe spotkanie magów (i bardzo dobrze, bo nie cierpiał czekania). Zaproszenie wystosowano, a panowie Lascelles i Drawlight również obiecali się zjawić.

Strange nie był ani tak młody, ani tak przystojny, jak się obawiał pan Norrell. Zbliżał się do trzydziestki i jeśli inny dżentelmen mógł oceniać takie rzeczy, natura nie obdarzyła go urodą. Nieoczekiwanie jednak przyprowadził z sobą ładną młodą kobietę, panią Strange.

Już na progu pan Norrell spytał Strange'a, czy przyniósł swoje publikacje. Chętnie by je przeczytał.

- Moje publikacje? - Strange na moment umilkł. - Obawiam się, że nie rozumiem, co pan ma na myśli. Niczego nie napisałem.

- Och! - zdumiał się pan Norrell. - Pan Drawlight mówił mi, że proszono pana o tekst do „The Gentleman's Magazine”, ale może...

- Ach, to! - przerwał Strange. - W ogóle o tym nie pomyślałem. Nichols zapewniał mnie, że potrzebuje tego tekstu dopiero na następny piątek.

- W piątek zostanie panu tydzień, a jeszcze pan nie zaczął?! - zdumiał się pan Norrell.

- Och, myślę, że im szybciej ktoś przelewa myśli na papier i oddaje do druku, tym lepiej. Zapewne podziela pan moje zdanie. - Uśmiechnął się przyjaźnie do rozmówcy.

Pan Norrell, który nigdy nie przelał swych myśli na papier, który niczego nie zaniósł do druku i którego każda literacka próba znajdowała się na etapie takiej czy innej redakcji, nic nie odpowiedział.

- Sam jeszcze nie wiem, co napiszę, najprawdopodobniej będę polemizował z tezami artykułu Portisheada w „Magu Nowoczesnym”<sup>[7]</sup>. Widział pan ten artykuł? Przez tydzień chodziłem wściekły. Autor chce udowodnić, że współcześni magowie nie powinni zadawać się z elfami. Czym innym jest twierdzenie, że utraciliśmy moc przyzywania tego typu istot, a czymś zupełnie innym przekonywanie, że w ogóle nie powinniśmy korzystać z ich usług! Nie mam cierpliwości do takich wywodów. Najdziwniejsze jednak, że na razie nigdzie nie widziałem krytyki artykułu Portisheada. Teraz, gdy zbliżamy się do utworzenia społeczności magicznej, poważnym błędem byłoby pozostawić podobne bzdury bez komentarza.

Strange zamilkł, najwyraźniej uznawszy, że dość już się nagadał, i czekał na reakcję któregoś z dżentelmenów.

Po chwili pan Lascelles zauważył, że lord Portishead napisał ten artykuł na życzenie pana Norrella, z jego pomocą i przy jego aprobachie.

- Doprawdy? - Strange wydawał się zaskoczony. Znowu zapadła cisza, po czym Lascelles zapytał ze znużeniem w głosie, jak można się obecnie uczyć magii.

- Z ksiąg - odparł Strange.

- Drogi panie, jak dobrze, że pan tak twierdzi! - wykrzyknął pan Norrell. - Bardzo proszę nie tracić czasu, lecz przykładać się do czytania! Nie ma takiej rzeczy, której nie warto byłoby poświęcić dla zagłębiania się w magiczne księgi!

Strange posłał panu Norrellowi nieco ironiczne spojrzenie i zauważył:

- Niestety, brak materiałów jest poważną przeszkodą. Chyba nie ma pan pojęcia, jak niewiele ksiąg o magii pozostało w Anglii. Wszyscy księgarze przyznają, że niegdyś było ich wiele, teraz jednak...

- Doprawdy? - przerwał pan Norrell pośpiesznie. - Cóż, to bez wątpienia bardzo dziwne.

Zapadła wyjątkowo niezręczna cisza. Oto w pomieszczeniu siedzieli jedyni współcześni angielscy magowie. Jeden wyznał, że brak mu ksiąg, drugi, jak wszyscy wiedzieli, miał dwie wielkie biblioteki wypełnione po brzegi. Zwykła uprzejmość wymagała, by pan Norrell zaoferował pomoc, choćby symboliczną. On jednak milczał.

- Pewnie bardzo dziwne okoliczności skłoniły pana do zostania magiem - odezwał się w końcu pan Lascelles.

- Rzeczywiście osobliwe - przyznał Strange.

- Opowie nam pan o nich? Strange uśmiechnął się złośliwie.

- Jestem pewien, że pana Norrella bardzo ucieszy informacja, że to dzięki niemu zostałem magiem.

- Dzięki mnie? - wykrzyknął pan Norrell przerażony.

- Prawda jest taka - wtrąciła Arabella Strange szybko - że chwycił się już wszystkiego: uprawy roli, poezji, odlewania żelaza. W jednym roku próbował wielu zajęć, przy żadnym nie pozostał. Prędzej czy później musiał natrafić na magię.

Znowu na chwilę zapadła cisza, a potem Strange powiedział:

- Nie wiedziałem wcześniej, że lord Portishead pisze w pańskim imieniu. Może będzie pan łaskaw coś mi wyjaśnić. Czytałem wszystkie rozprawy jego lordowskiej mości w „Przyjaciołach Angielskiej Magii” i „Magu Nowoczesnym”, ale nie zauważyłem ani jednej wzmianki o Królu Kruków. To przeoczenie jest tak uderzające, że zaczynam wierzyć, iż celowe.

Pan Norrell skinął głową.

- Jednym z moich zamiarów jest przyczynienie się do tego, by jak najszybciej o nim

zapomniano, na co sobie zresztą w pełni zasłużył - oznajmił.

- No ale bez Króla Kruków nie byłoby ani magii, ani magów...

O, to tylko powszechna opinia. Ale nawet gdyby była prawdziwa - choć zupełnie się z tym nie zgadzam - już dawno temu utracił on prawo do naszego szacunku. Cóż bowiem uczynił po przybyciu do Anglii? Wszczął wojnę przeciwko prawowitemu władcy kraju i odebrał mu pół królestwa! Czy ja i pan powinniśmy rozgłaszać, że taki człowiek jest dla nas przykładem? Uważać go za najważniejszego z nas? Czy to przyda autorytetu naszej profesji? Czy przekona królewskich ministrów, by nam ufali? Szczerze wątpię! Nie, drogi panie, jeśli nie uda nam się doprowadzić do tego, by jego imię zostało wymazane z kart historii, to naszym obowiązkiem - pańskim i moim! - jest demonstrować nienawiść do niego. Niech wszyscy wiedzą, jaką odrazę żywimy do jego zdemoralizowanej natury i złych uczynków!

Było jasne, że obu magów różnią i poglądy, i charakter. Arabella Strange najwyraźniej doszła do wniosku, że nie ma powodu, by dżentelmeni dłużej działali sobie na nerwy, tak więc państwo Strange'owie wkrótce pożegnali się i wyszli.

Naturalnie pan Drawlight pierwszy wypowiedział się na temat nowego maga.

- No cóż! - wykrzyknął, zanim jeszcze za Strange'em zamknęły się drzwi. - Nie wiem, jaka jest pańska opinia, ale ja nigdy w życiu nie byłem bardziej zaskoczony. Kilka osób wspominało mi, że to przystojny mężczyzna. Jak pan sądzi, co mogli mieć na myśli? Ten nos i jeszcze te włosy. Rudawy brąz to taki dziwaczny kolor, do niczego nie pasuje. Do tego jestem pewien, że widziałem na jego głowie siwe włosy. A przecież ma nie więcej niż... ile?... trzydzieści lat. Może trzydzieści dwa. Za to ona jest urocza. Te brązowe loki, jak pięknie utrefione. Szkoda, że nie zapoznała się wcześniej z londyńską modą. Bardzo ładny był ten muślin we wzorki, ale należało włożyć coś bardziej szykownego - na przykład butelkowitzelony jedwab obramowany czarnymi wstążkami i haftowany czarnymi paciorkami. To taka luźna uwaga, być może, kiedy ponownie ujrzę tę damę, przyjdzie mi do głowy coś całkiem innego.

- Sądzą panowie, że ludzie się nim zainteresują? - spytał pan Norrell.

- Och, z pewnością - oznajmił pan Lascelles.

- Ach. Drogi panie Lascellesie, zależy mi na pańskiej radzie. Bardzo się obawiam, że lord Mulgrave zaprosi go na spotkanie. Zapał jego lordowskiej mości do stosowania magii na wojnie - sam w sobie godny pochwały, rzecz jasna - ma ten nieszczęsny skutek uboczny, że zachęca jego lordowska mość do czytania rozmaitych ksiąg historii magii i wyrabiania sobie opinii na temat ich treści. Zasugerował przywołanie wiedźm, które by mi pomogły pokonać Francuzów. Chyba ma na myśli te na pół magiczne, na pół ludzkie istoty, wzywane przez



niegodziwców chcących krzywdzić bliźnich. Innymi słowy, takie więdźmy, jakie Szekspir opisuje w *Makbecie*. Prosił, bym sprowadził trzy lub cztery. Nie był zachwycony moją odmową. Nowoczesna magia może wiele zdziałać, ale sprowadzenie więdźm na ten świat oznaczałoby kłopoty dla nas wszystkich. Obawiam się teraz, że jego lordowska mość poprosi o pomoc pana Strange'a. Myśli pan, że tak będzie, drogi panie? Pan Strange może się podjąć tego zadania, nie rozumiejąc niebezpieczeństwa. Może należałoby napisać do sir Waltera, z prośbą, by był tak dobry i szepnął do ucha jego lordowskiej mości ostrzeżenie przed panem Strange'em?

- Och, nie widzę powodu - odparł pan Lascelles. - Jeśli uważa pan, że magia pana Strange'a jest niebezpieczna, wkrótce rozejdzie się to po mieście.

Nieco później tego dnia wydawano kolację na cześć pana Norrella w domu na Great Titchfield Street, gdzie stawili się również panowie Drawlight i Lascelles. Wszyscy chcieli poznać opinię pana Norrella o magu ze Shropshire.

- Pan Strange wydaje się niezwykle miłym dżentelmenem i utalentowanym magiem - rzekł pan Norrell. - Bardzo się przyda w rozwijaniu naszej profesji, tak ostatnio zaniedbanej.

- Pan Strange ma osobliwe spojrzenie na magię - oświadczył pan Lascelles. - Nie zadał sobie trudu, by poznać nowoczesne poglądy na ten temat. Mam na myśli poglądy pana Norrella, zdumiewająco jasne i zwięzłe.

Pan Drawlight dodał, że rude włosy pana Strange'a do niczego nie pasują i że suknia pani Strange, choć niezbyt modna, uszyta została z bardzo ładnego muślinu.

Mniej więcej w tym samym czasie inne towarzystwo, w którym znaleźli się państwo Strange'owie, spożywało kolację w skromniejszym salonie w domu na Charterhouse Square. Przyjaciele państwa Strange'ów naturalnie chcieli poznać ich opinię o wielkim panu Norrellu.

- Mówi, że ma nadzieję, iż Król Kruków wkrótce zostanie zapomniany - oznajmił Strange ze zdumieniem. - Co państwo na to? Mag, który pragnie, by zapomniano Króla Kruków! Gdyby arcybiskup Canterbury potajemnie usiłował ukryć całą wiedzę o Trójcy Świętej, miałoby to dla mnie więcej sensu.

- Jest niczym muzyk, który chciałby zataić muzykę pana Haendla - powiedziała dama w turbanie, zającując karczochy z migdałami.

- Albo jak handlarz rybami, który ma nadzieję przekonać ludzi, że morze nie istnieje - dodał jeden z dżentelmenów i nałożył sobie dużą porcję cefala w pysznym winnym sosie.

Inni zebrani podawali podobne przykłady szaleństwa, rozbawiając wszystkich prócz Strange'a, który siedział zaszępiiony nad talerzem.

- Myślałam, że zamierzasz prosić pana Norrella o pomoc - powiedziała Arabella.

- Jak mogę go o coś prosić, skoro od samego początku się spieramy? - odrzekł Strange. - Nie lubi mnie. Ja jego też nie lubię.

- Ależ skąd! Chociaż może faktycznie cię nie polubił. Ale kiedy tam siedzieliśmy, nie odrywał od ciebie spojrzenia, wręcz pożerał cię wzrokiem. Moim zdaniem jest samotny. Tyle lat ślęczał nad księgami i nie miał komu się zwierzyć. Bo przecież nie porozmawia szczerze z tymi niemiłymi panami - zapomniałam już, jak się nazywali. Teraz jednak, gdy cię poznał i wie, że można z tobą pogawędzić, byłoby bardzo dziwne, gdyby nie ponowił zaproszenia.

Na Great Titchfield Street pan Norrell odłożył widelec i otarł usta chusteczką.

- Rzecz jasna, musi się przyłożyć - oznajmił. - Prosiłem go o to.

Na Charterhouse Square Strange powiedział:

- Kazał mi się przyłożyć. Do czego, chciałem wiedzieć. Do czytania. Nigdy nie byłem bardziej zdumiony. Prawie spytałem, co czytać, skoro wykupił wszystkie księgi.

Następnego dnia Strange oznajmił Arabelli, że mogą wracać do Shropshire, gdy tylko sobie tego zażyczy - nic już nie trzymało ich w Londynie. Dodał również, że postanowił więcej nie myśleć o panu Norrellu. To akurat nie do końca mu się udało, gdyż przez następne kilka dni Arabella musiała wysłuchiwać długich monologów na temat wad pana Norrella, zawodowych i osobistych.

Tymczasem na Hanover Square pan Norrell nieustannie wypytywał pana Drawlighta, co robi pan Strange, kogo odwiedza i co sądzą o nim ludzie.

Panowie Lascelles i Drawlight byli nieco zaniepokojeni rozwojem sytuacji. Przez ponad rok cieszyli się niemałym wpływem na maga. Nadskakiwali im admirałowie, generałowie, politycy - słowem, każdy, kto miał do pana Norrella jakikolwiek interes. Myśl, że jakiś mag mógłby się zbliżyć do pana Norrella bardziej niż oni, że mógłby wziąć na siebie ciężar obowiązków związanych z doradzaniem mu, była wielce nieprzyjemna. Pan Drawlight oznajmił, że Norrellowi trzeba wybić z głowy maga ze Shropshire, i choć kapryśna natura pana Lascellesa nie pozwalała mu bez problemów zgadzać się z innymi, niewątpliwie w tym wypadku myślał podobnie.

Trzy lub cztery dni po wizycie pana Strange'a pan Norrell jednak powiedział:

- Przemyślałem sprawę i uważam, że należy coś zrobić dla pana Strange'a. Narzekał na brak materiałów. Cóż, wydaje mi się, że mógłbym, rzecz jasna... To znaczy... Mówiąc krótko, postanowiłem sprezentować mu książkę.

- Ależ drogi panie! - wykrzyknął pan Drawlight. - Pańskie cenne księgi! Nie wolno ich oddawać innym ludziom - zwłaszcza magom, którzy mogą z nich zrobić niewłaściwy użytek!

- Och, nie miałem na myśli własnej książki - odparł pan Norrell. - Obawiam się, że żadnej nie mogę udostępnić. Nie, zakupiłem tom u Edwarda i Skitteringa, by go podarować panu Strange'owi. Przyznaję, że wybór był trudny. Jest tyle ksiąg, których, jeśli mam być szczerzy, na tym etapie nie mógłbym z czystym sumieniem polecić panu Strange'owi. Nabiłby sobie głowę niewłaściwymi pomysłami. Ta księga - pan Norrell popatrzył na nią niespokojnie - ma wiele wad, obawiam się, że nawet bardzo wiele. Pan Strange nie nauczy się z niej prawdziwej magii. Sporo jednak tu napisano o pilnych studiach i niebezpieczeństwach zbyt pośpiesznego publikowania. Mam nadzieję, że pan Strange weźmie to sobie do serca.

Pan Norrell ponownie zaprosił Strange'a na Hanover Square i tak jak poprzednio zjawili się panowie Drawlight i Lascelles; Strange natomiast tym razem przyszedł sam.

Drugie spotkanie odbywało się w bibliotece. Strange patrzył na niezwykłą liczbę ksiąg w pomieszczeniu, nie rzekł jednak ani słowa. Może jego gniew już się wypalił? Obie strony wykazywały dużo dobrej woli: magowie próbowali rozmawiać i przyjaźniej się traktować.

- Uczynił mi pan wielki zaszczyt - powiedział Strange, gdy pan Norrell wręczył mu prezent. - *Angielska magia* Jeremy'ego Totta. - Otworzył księgę. - Nigdy nie słyszałem o tym autorze.

- To biografia jego brata, maga teoretyka z zeszłego stulecia, Horace'a Totta<sup>[8]</sup> - wyjaśnił pan Norrell.

Opisał znaczenie pilnych badań i dystansu do gazetowych publikacji, którego Strange powinien się nauczyć. Strange uśmiechnął się uprzejmie, uklonił i oznajmił, że księga z pewnością okaże się bardzo interesująca.

Pan Drawlight wyraził aprobatę dla prezentu.

Pan Norrell spoglądał na Strange'a z dziwnym wyrazem twarzy, jakby miał ochotę na pogawędkę, ale zupełnie nie wiedział, jak ją rozpocząć.

Pan Lascelles przypomniał gospodarzowi, że lord Mulgrave z admiralicji zjawi się za godzinę.

- Ma pan ważne sprawy do załatwienia - zauważył Strange. - Nie powinienem przeszkadzać. Sam muszę wypełnić niecierpiący zwłoki obowiązek na Bond Street, zlecony przez panią Strange.

- Może pewnego dnia spotka nas zaszczyt ujrzenia magii w wykonaniu pana Strange'a - dodał Drawlight. - Bardzo lubię oglądać sztuczki.

- Być może - odparł Strange.

Pan Lascelles zadzwonił po służącego. Nagle pan Norrell powiedział:

- Sam chętnie zobaczyłbym magię pana Strange'a, jeśli zechciałby nas teraz

zaszczyć pokazem.

- Och! - wykrzyknął Strange. - Ale ja nie...

- Byłbym naprawdę zaszczycony - nalegał pan Norrell.

- Zatem zgoda - powiedział Strange. - Z wielką przyjemnością coś panom pokażę. Pewnie będzie to nieco niezdarne w porównaniu z tym, do czego pan przywykł. Wątpię, drogi panie, bym dorównywał mu finezją.

Pan Norrell tylko się uklonił.

Strange rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, jaką magię może zademonstrować. Jego spojrzenie padło na lustro wiszące w kącie pokoju, do którego nie docierało światło. Położył Angielską magię Jeremy'ego Totta na stoliku, tak że jej odbicie widać było w zwierciadle. Przez kilka minut wpatrywał się w książkę, lecz nic się nie działo. Nagle uczynił dziwny gest: przesunął rękoma po włosach, klepnął się w kark i przeciągnął jak człowiek, który chce rozruszać zeszytniałe mięśnie. Następnie się uśmiechnął, bardzo z siebie zadowolony.

Było to dziwne, gdyż księga wyglądała tak samo jak wcześniej.

Na Lascellesie i Drawlightcie, przyzwyczajonych do oglądania cudownej magii pana Norrella albo słuchania opowieści o niej, nie wywarło to wrażenia. Uznali, że to dużo mniej, niż można by oczekiwać od byle sztukmistrza na jarmarku. Lascelles otworzył usta, bez wątpienia pragnąc wygłosić szyderczą uwagę, lecz nie zdążył, gdyż pan Norrell wykrzyknął nagle ze zdumieniem:

- Niezwykłe! To naprawdę... Drogi panie! Nigdy nie słyzałem o takim zaklęciu. Nie opisał go SuttonGrove. Zapewniam pana, że nie ma tego u SuttonaGrove'a!

Lascelles i Drawlight ze zdumieniem przenosili spojrzenie z jednego maga na drugiego.

Lascelles podszedł do stolika i zapatrzył się na księgę.

- Może jest trochę dłuższa - powiedział.

- Wątpię - mruknął Drawlight.

- Teraz jest oprawiona w jasnobrązową skórę - ciągnął Lascelles. - Czy wcześniej była niebieska?

- Nie, zawsze była jasnobrązową.

Pan Norrell wybuchnął śmiechem; on, który rzadko się uśmiechał, teraz był bardzo rozbawiony ich uwagami.

- Nie, nie, panowie! Nie zgadliście. Nie rozumiecie ani w ząb. Och, drogi panie, nie umiem wyrazić... Ależ oni nie rozumieją, czego pan dokonał! Proszę ją podnieść! - krzyknął.

- Niech ją pan podniesie.

Całkiem zaskoczony Lascelles wyciągnął rękę po książkę, lecz chwycił puste powietrze. Po książce pozostał tylko obraz.

- Sprawił, że książka i jej odbicie zamieniły się miejscami - wyjaśnił pan Norrell. - Prawdziwa książka jest tam, w lustrze. - Podszedł do zwierciadła z wielkim zaciekawieniem na twarzy. - Jak pan tego dokonał?

- No właśnie, jak? - mruknął Strange. Zaczął chodzić po pokoju. Analizował odbicie książki na stole pod różnymi kątami, jak gracz w bilard, zamykając wpierw jedno, potem drugie oko.

- Może je pan zamienić? - spytał Drawlight.

- Niestety nie - odparł Strange. - Prawdę mówiąc, nie do końca pojmuję, czego dokonałem. Nie wiem, jak pan to odbiera, ale ja odnoszę wrażenie, że w głębi mojego umysłu gra muzyka i po prostu wiem, jak powinna zabrzmieć następna nuta.

- Nadzwyczajne - powiedział pan Norrell. Jeszcze bardziej nadzwyczajne było to, że pan Norrell, który całe życie obawiał się rywala, w końcu ujrzał magię w wykonaniu innego człowieka i zamiast upaść na duchu, poczuł radość.

Panowie Norrell i Strange rozstali się tego popołudnia w bardzo przyjaznej atmosferze, a następnego ranka pan Strange ponownie przyszedł na Hanover Square, bez wiedzy panów Lascellesa i Drawlighta. Podczas tego spotkania pan Norrell zaproponował, że przyjmie pana Strange'a na ucznia, a ten wyraził zgodę.

- Szkoda tylko, że wziął ślub - burknął pod nosem pan Norrell. - Magowie nie powinni się żenić.

## Rozdział trzeci

### *Edukacja maga wrzesień-grudzień 1809*

Pierwszy dzień nauki Strange'a zaczął się od wczesnego śniadania na Hanover Square. Gdy obaj magowie zasiedli do stołu, pan Norrell powiedział:

- Pozwoliłem sobie przygotować plan pańskich studiów na najbliższe trzy lub cztery lata.

Strange wydawał się nieco zaniepokojony wzmianką o tylu latach nauki, w żaden jednak sposób tego nie skomentował.

- Mamy mało czasu - ciągnął pan Norrell. - Wątpię, czy zdołamy wiele osiągnąć.

Podał Strange'owi kilkanaście kartek. Każdą pokrywały trzy słupki zapisane drobnym, wyraźnym pismem pana Norrella, a w każdym słupku znajdowała się długa lista rozmaitych rodzajów magii<sup>[9]</sup>.

Strange pochylił nad nimi głowę, po czym przyznał, że będzie się musiał nauczyć dużo więcej, niż przypuszczał. - Ależ panu zazdroszczę! - westchnął pan Norrell. - Naprawdę. Praktykowanie magii wiąże się z frustracją i rozczarowaniem, lecz studia nad nią to nieustanna rozkosz! Każdy wielki mag Anglii służy studentowi za towarzysza i przewodnika. Ciężka praca pogłębia wiedzę o magii, a najlepsze jest to, że można miesiącami unikać oglądania innych ludzkich istot, jeśli taka jest nasza wola!

Przez chwilę pan Norrell kontemplował ten błogi stan, a gdy się wreszcie ocknął, uznał, że nie ma co dłużej zwlekać z rozpoczęciem edukacji Strange'a, wobec czego natychmiast przeszli do biblioteki.

Mieściła się ona na pierwszym piętrze. Był to uroczy pokój, urządony zgodnie z upodobaniami właściciela, który często przychodził szukać tu ukojenia i relaksu. Pan Drawlight namówił pana Norrella, by w kątach i zakamarkach biblioteki umieścić fragmenty zwierciadeł. Przez to człowiek był nieustannie narażony na błysk srebrzystego światła albo nagły widok odbitego w lustrze ulicznego przechodnia. Ściany pokrywała jasnozielona tapeta ze wzorem dębowych liści i guzkowatych gałązek, a na suficie umieszczono małą kopułę, pomalowaną tak, że przypominała liściasty okap nad wiosenną polaną. Wszystkie książki oprawiono w jasną cielęcą skórę, a tytuły na grzbiecie wytłoczone były schludnymi, srebrnymi kapitalikami. W tej elegancji i harmonii dziwnie wyglądały liczne luki między książkami. Niektóre półki były całkiem puste.

Strange i pan Norrell usadowili się po obu stronach kominka.

- Jeśli pan pozwoli, zacznę od kilku pytań - odezwał się Strange. - Przyznaję, że to, co niedawno słyszałem o elfach, bardzo mnie zdumiało. Zastanawiam się, czy zdołam pana skłonić do rozmowy o nich. Na jakie niebezpieczeństwa naraża się mag, biorąc elfy na służbę? I jaka jest pańska opinia o ich przydatności?

- Zachwyty nad ich przydatnością są zdecydowanie wyolbrzymione, natomiast zupełnie nie docenia się grozących z ich strony niebezpieczeństw - odparł pan Norrell.

- Och? Czy pańskim zdaniem elfy to, jak sądzą niektórzy, demony? - spytał Strange.

- Wręcz przeciwnie. Jestem całkiem pewien, że powszechna opinia na ich temat jest słuszna. Zna pan poglądy Chastona? Nie zdziwiłbym się, gdyby był bliski prawdy<sup>[10]</sup>. Nie, nie, moje zarzuty wobec elfów opierają się na całkiem innych przesłankach. Drogi panie, proszę

powiedzieć, czemu, pańskim zdaniem, angielska magia zależy, przynajmniej pozornie, od elfiej ingerencji?

Strange dumiał nad tym przez chwilę.

- Pewnie dlatego, że cała angielska magia pochodzi od Króla Kruków, który pobierał nauki na dworze elfów.

- Zgadza się, że Król Kruków ma z nią wiele wspólnego, jednak nie w tym sensie, jak pan sądzi - oświadczył pan Norrell. - Proszę pamiętać, że podlegała mu nie tylko północna Anglia, ale i królestwo elfów, i że żaden inny król w historii nie rządził tak bardzo odmiennymi rasami. Był równie wielkim władcą, jak i magiem, ale niemal wszyscy historycy przytykają na to oczy. Moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że najbardziej zależało mu na zbliżeniu do siebie tych dwóch ras. Osiągnął sukces, drogi panie, celowo wyolbrzymiając znaczenie elfów w magii, przez co zapewnił im szacunek ludzi, a elfim poddanym - pożyteczne zajęcie. W rezultacie jedni i drudzy pożądali nawzajem swojego towarzystwa.

- Tak - mruknął Strange w zamyśleniu. - Tak, rozumiem.

- Mam wrażenie, że nawet najwięksi aureaci błędnie szacowali, w jakim stopniu pomoc elfów przydatna jest ludziom w praktykowaniu magii. Weźmy Pale'a! Uważał swych elfich służących za nieodzownych. Napisał, że jego największy skarb to trzy lub cztery elfy mieszkające wraz z nim! Mój własny przykład udowadnia jednak, że niemal każdy szacowny rodzaj magii można praktykować bez niczyjej pomocy! Czy któryś z moich czynów wymagał współpracy z elfem?

- Rozumiem doskonale - powiedział Strange, uznawszy pytanie pana Norrella za retoryczne. - I muszę przyznać, że to dla mnie całkiem nowy pogląd. Nigdy się z nim nie zetknąłem.

- Ja również nie - przyznał pan Norrell. - Rzecz jasna, pewne rodzaje magii nie obejdują się bez pomocy elfów. Może się zdarzyć, oby jak najrzadziej, że wyjątkowo będziemy musieli zadawać się z tymi podstępными istotami. Naturalnie, należy przy tym zachować daleko posuniętą ostrożność. Każdy elf, którego przywołałyśmy, niemal na pewno miał już do czynienia z angielskimi magami. Bez mrugnięcia wyrecytuje imiona wielkich mężów, którym służył, i wspomni o zadaniach, które wykonał. Będzie doskonale wiedział, jak dobijać targu i stosować podstępne sztuczki - znacznie lepiej od nas! Dlatego też z góry stać będziemy na gorszej pozycji. Mogę ręczyć, że w Innych Ziemiach doskonale znają się na angielskiej magii, a już na pewno wiedzą o przyczynach jej upadku.

- Tak, zwykłych ludzi fascynują istoty nadprzyrodzone - mruknął Strange. - I może gdyby co pewien czas zatrudniał pan jedną z nich, łatwiej byłoby spopularyzować naszą

sztukę? Wciąż nie brak uprzedzeń względem stosowania magii podczas wojny.

- Och! Też mi coś! - wykrzyknął pan Norrell z irytacją. - Ludziom się wydaje, że wszystko, co związane z magią, kręci się wokół elfów! Rzadko kiedy biorą pod uwagę umiejętności i wykształcenie maga! O nie, drogi panie, to nie jest argument, który mógłby mnie skłonić do współpracy z elfami! Wręcz przeciwnie! Historyk magii, Valentine Munday, sto lat temu oświadczył, że Inne Ziemie nie istnieją. Uważał, iż wszyscy, którzy twierdzą, że tam byli, to kłamcy. Tu akurat się mylił, ale jego stanowisko wzbudza moją sympatię. Szkoda, że Munday nie cieszy się większą popularnością. Pamiętam, oczywiście, że również zaprzeczył istnieniu Ameryki, potem Francji i tak dalej - dodał pan Norrell. - Na łożu śmierci zwątpił już chyba w Szkocję i zaczynał żywić podejrzenia co do Carlisle... Mam tu gdzieś jego dzieło<sup>[1]</sup>.

Pan Norrell wstał i zdjął księgę z półki, jednak nie podał jej Strange'owi.

Po chwili milczenia Strange zapytał:

- Radzi mi pan przeczytać tę księgę?

- Tak, w rzeczy samej. Powinien ją pan przeczytać - odparł pan Norrell.

Strange czekał, ale pan Norrell wciąż spoglądał na księgę w swojej dłoni, jakby zupełnie nie wiedział, co dalej robić.

- No to musi mi ją pan wręczyć - zasugerował Strange łagodnie.

- Tak, oczywiście - powiedział pan Norrell. Ostrożnie podszedł do Strange'a i przez chwilę trzymał księgę w wyciągniętej ręce. Nagle przełożył ją na dłoń Strange'a dziwnym gestem, jakby to nie była książka, lecz mały ptaszek, który za żadne skarby nie chce opuścić właściciela, więc należy go zwieść, by przestał czepiać się ręki. Norrella na szczęście tak zajął ten manewr, że nie zauważył oblicza Strange'a, który z całych sił powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Pan Norrell z zalem w oczach poświęcił minutę ciszy księdze spoczywającej w dłoni drugiego maga.

Skoro jednak rozstał się już z jedną, ból przy stracie następnych był o wiele mniejszy. Pół godziny później polecił Strange'owi inne dzieło i podał mu je bez zbędnych ceregieli. W południe pokazywał już uczniowi książki na półkach, a nawet pozwalał mu samodzielnie po nie sięgać. Pod koniec dnia pan Norrell pożyczył Strange'owi stos książek i oznajmił, że uczeń powinien przeczytać je do końca tygodnia.

Niestety na całodzienne rozmowy i badania rzadko mogli sobie pozwolić. Zazwyczaj musieli spędzać część dnia na rozmowach z gośćmi pana Norrella: czy to z modnym towarzystwem, o



którego względy mag nie przestawał zabiegać, czy też z dżentelmenami z różnych ministerstw.

Po dwóch tygodniach zachwyty pana Norrella nowym uczniem nie miał granic.

- Wystarczy powiedzieć mu coś jeden raz, a natychmiast rozumie! - wykrzyknął pan Norrell w rozmowie z sir Walterem. - Dobrze pamiętam, przez ile tygodni próbowałem pojąć *Spekulacje związane z przewidywaniem rzeczy przyszłych* Pale'a. Pan Strange jednak opanował tę niesłychanie skomplikowaną teorię w niespełna trzy godziny!

- Nie wątpię - sir Walter uśmiechnął się do rozmówcy. - Myślę jednak, że nie docenia pan własnych osiągnięć. Pan Strange ma nad panem przewagę - nauczyciela, który objaśnia mu zawile kwestie. Pan go nie miał. Pan Strange stąpa po przetartym szlaku, dlatego wszystko idzie mu szybko i gładko.

- Ach! - westchnął pan Norrell. - Kiedy jednak usiedliśmy, by porozmawiać o *Spekulacjach...* uświadomiłem sobie, że mają o wiele szersze zastosowanie, niż przypuszczałem. To właśnie pytania pana Strange'a sprawiły, że dziś inaczej rozumiem teorie doktora Pale'a!

- Cieszę się, że znalazł pan przyjaciela, z którym osiągnął pan takie porozumienie. To wielka satysfakcja!

- Ja również się cieszę, sir Walterze - powiedział pan Norrell. - Ja również.

Strange był nieco bardziej powściągliwy w swojej ocenie pana Norrella. Nudnawe wywody oraz dziwactwa maga działały mu na nerwy. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pan Norrell wychwalał Strange'a przed sir Walterem, Strange skarżył się na niego Arabelli:

- Nawet teraz nie wiem, co o nim myśleć. To jednocześnie najbardziej niezwykły i nudny człowiek na świecie. Tego ranka dwukrotnie przerwał rozmowę, gdyż uznał, że słyszy mysz w pokoju. Nie cierpi myszy. Dwaj lokaje, dwie pokojówki i ja przestawialiśmy wszystkie meble, a on tkwił przy kominku, sparaliżowany strachem.

- Ma kota? - spytała Arabella. - Powinien sprawić sobie kota.

- Wykluczone! Kotów nie cierpi jeszcze bardziej niż myszy. Mówił mi, że gdyby jakimś nieszczęsnym zbiegiem okoliczności trafił do jednego pomieszczenia z kotem, z pewnością w ciągu godziny pokryłyby się czerwonymi krostami.

Pan Norrell miał szczerzy zamiar dobrze wyedukować swojego ucznia, ale trudno mu było wyzbyć się pielęgnowanych przez całe życie nawyków maskowania prawdy i utrzymywania wszystkiego w tajemnicy. Pewnego grudniowego dnia, kiedy z sinego nieba prosiły miękkie płatki, obaj magowie siedzieli w bibliotece na Hanover Square. Leniwie

opadający śnieg za oknami, żar z kominka i duży kieliszek sherry, na który niepotrzebnie dał się namówić - wszystko to razem sprawiło, że Strange stał się ociężały i śpiący. Oparł głowę na dłoni i co chwila przymykał oczy. Tymczasem pan Norrell właśnie wygłaszał przemowę.

- Wielu magów - mówił, złożony dłońmi jak do modlitwy - próbowało zmagazynować magiczną moc w przedmiocie. Przedmiot może być dowolny, a sam proces nie nastęcza trudności. Używano w tym celu drzew, klejnotów, ksiąg, kul, nawet kapeluszy. - W tym momencie pan Norrell groźnie zmarszczył brwi. - Umieszczając w danym przedmiocie swoją moc, magowie liczą na to, że moc ta nigdy nie osłabnie, co w naturalnych okolicznościach niewątpliwie by nastąpiło w związku z chorobą czy podeszłym wiekiem. I mnie nieraz kusiło, by spróbować tej sztuczki. Grypa lub ból gardła potrafią skutecznie osłabić moje magiczne umiejętności. Po dogłębnym przemyśleniu sprawy doszedłem jednakże do wniosku, że takie przenoszenie mocy jest bardzo niekorzystne dla maga. Weźmy choćby pierścienie. Od dawna uważa się je za szczególnie przydatne w stosowaniu tego typu magii ze względu na ich niewielkie rozmiary. Człowiek może latami nosić pierścień na palcu, nie ściągając na siebie żadnych podejrzeń, które byłyby nieuniknione, gdyby okazywał podobne przywiązanie księdze czy kamykowi. Ale historia właściwie nie zna magów, którzy umieściwszy część swoich umiejętności i mocy w magicznym pierścieniu, nie utracili go. Potem z wielkim trudem próbowali go odzyskać. Weźmy choćby dwunastowiecznego lorda Nottinghama. Jego córka wzięła pierścień mocy za zwykłą błyskotkę, włożyła go na palec i udała się na jarmark świętego Mateusza. Ta lekkomyślna młoda istota...

- Co takiego?! - wykrzyknął Strange zniecacka.

- Co takiego? - powtórzył zaniepokojony pan Norrell.

Strange rzucił rozmówcy baczne, pytające spojrzenie. Pan Norrell, nieco przestraszony, wpatrywał się w niego.

- Bardzo przepraszam - powiedział Strange. - Ale czy dobrze zrozumiałem? Mówimy o magicznych mocach, które w jakiś sposób dostały się do pierścieni, kamieni, amuletów i tego rodzaju rzeczy?

Pan Norrell ostrożnie pokiwał głową.

- Ale myślałem, że twierdził pan... To znaczy... - Usiłował mówić spokojnie. - Wydawało mi się, że kilka tygodni temu powiedział pan, że magiczne pierścienie i kamienie to bajka.

Zdenerwowany pan Norrell gapił się na ucznia.

- A może się mylę? Pan Norrell milczał.

- Mylę się - mruknął Strange. - Bardzo przepraszam. Proszę kontynuować.

Choć panu Norrellowi najwyraźniej ulżyło, że Strange nie naciska, nie chciał już ciągnąć tematu i zaproponował przerwę na herbatę. Strange ochno na to przystał<sup>[12]</sup>.

Wieczorem streścił Arabelli przebieg tamtej rozmowy.

- Najdziwniejsza rzecz pod słońcem! Gdy przyłapałem go na kręceniu, tak się przeraził, że zupełnie go zatkało. Sam musiałem podsuwać mu różne kłamstwa, żeby mógł mnie nimi uraczyć. Byłem zmuszony spiskować z nim przeciwko sobie!

- Nie rozumiem - oznajmiła Arabella. - Dlaczego zaprzeczał swym poprzednim słowom w tak dziwny sposób?

- Och! Jest zdecydowany zachować niektóre informacje dla siebie, to oczywiste. Pewnie nie zawsze pamięta, co jest sekretem, a co nie. Wspominałem ci o lukach w jego bibliotece, prawda? W dniu, w którym przyjął mnie do terminu, kazał ogołocić pięć regałów z książek i odesłać je do hrabstwa York, gdyż uznał je za zbyt niebezpieczne, bym mógł do nich zajrzeć.

- Dobry Boże! Skąd to wiesz? - spytała zdumiona Arabella.

- Drawlight i Lascelles mi powiedzieli. Sprawilo im to wielką satysfakcję.

- Niegodziwe kreatury!

Pan Norrell był bardzo rozczarowany wiadomością, że zajęcia trzeba przerwać na dzień lub dwa, gdyż Strange i Arabella właśnie szukali odpowiedniego domu.

- Jego żona staje się problemem - westchnął pan Norrell w rozmowie z Drawlightem. - Gdyby był kawalerem, na pewno nie miałby nic przeciwko zamieszkaniu wraz ze mną.

Drawlighta bardzo zaniepokoiły dziwne pomysły pana Norrella. Chcąc im zapobiec w przyszłości, powiedział:

- Ależ drogi panie! Proszę pomyśleć o swojej, tak ważnej i tajnej, pracy dla admiralicji i ministerstwa wojny! Obecność innej osoby w domu na pewno zbytby pana rozpraszała!

- Przecież pan Strange będzie mi pomagał w pracy! - odparł pan Norrell. - Popelniałbym poważny błąd, pozbawiając kraj jego talentów. W ostatni czwartek obaj złożyliśmy wizytę lordowi Mulgrave'owi z admiralicji. Chyba jego lordowska mość początkowo nie był zachwycony widokiem pana Strange'a...

- To dlatego, że jego lordowska mość przywykł do pańskich nieprzeciętnych mocy! Uważa zapewne, że zwykły amator, jakkolwiek utalentowany, nie powinien się mieszać w sprawy admiralicji.

-...kiedy jednak poznał plany pana Strange'a dotyczące pokonania Francuzów magią, odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy i rzekł: „Obaj, ja i pan, gnuśnieliśmy. Potrzebna była świeża krew, by nas rozruszać, czyż nie?”.

- Tak powiedział lord Mulgrave? Do pana? Wyjątkowo impertynencko. Mam nadzieję, że zgromił go pan spojrzeniem.

- Co? - Pan Norrell tak się skupił na swojej opowieści, że nie usłyszał słów Drawlighta. - Och! Powiedziałem mu: „Podzielam pańską opinię, wasza lordowska mość. Proszę jednak wysłuchać, co pan Strange ma do zakomunikowania. Nie słyszał pan nawet połowy”.

Pojawienie się Jonathana Strange’a dostarczyło powodów do zadowolenia nie tylko admiralicji, ministerstwu wojny i innym resortom. Nagle udało się przewyciężyć wiele trudności. Królewscy ministrowie już dawno upodobali sobie plan trapienia wrogów Anglii koszmarami. Minister spraw zagranicznych przedłożył go w styczniu 1808 roku i już od ponad roku każdej nocy pan Norrell posłusznie wysyłał cesarzowi Bonapartemu koszmar senny. Nic się jednak nie działo. Cesarstwo Bonapartego nie upadło, a on sam toczył bitwy równie konsekwentnie jak poprzednio. W końcu polecono panu Norrellowi porzucić to zajęcie. Prywatnie sir Walter i pan Canning uważali, że plan zawiódł, gdyż mag nie miał na tyle wybujałej wyobraźni, by tworzyć okropieństwa. Pan Canning narzekał, że koszmary, które pan Norrell śle Cesarzowi (zwykle występował w nich kapitan dragonów ukryty w cesarskiej szafie), nie przstraszyłyby nawet guwernantki jego dzieci, a co dopiero zdobywcy połowy Europy. Przez pewien czas usiłował przekonać innych ministrów, by zlecili panom Beckfordowi, Lewisowi oraz pani Radcliffe wymyślenie przerażającego snu, który za sprawą pana Norrella trafi do głowy Bonapartego. Reszta ministrów doszła jednak do wniosku, że zatrudnienie maga jeszcze ujdzie, ale mowy nie ma o pisarzach, byłaby to już przesada i nie będą się do tego zniżać.

Dzięki Strange’owi plan wznowiono. Strange i pan Canning podejrzewali, że niegodziwy Cesarz Francuzów jest odporny na ulotne wrażenia w postaci snów, więc tym razem postanowili zaatakować jego sojusznika, cara Rosji, Aleksandra. Mieli przewagę w osobach wielu przyjaciół Wielkiej Brytanii na dworze cara: rosyjskiej arystokracji, która zbijała majątek na sprzedaży drewna do Anglii i nie zamierzała z tego rezygnować, a także dzielnej i pomysłowej Szkotki, żony carskiego pokojowca.

Dowiedziawszy się, że Aleksander jest osobnikiem niezwykle podatnym na wpływy, ze skłonnościami do mistyki, Strange postanowił, że ześle nań sen pełen dziwnych zwiastunów i symboli. Przez siedem nocy z rzędu Aleksander śnił, że siedzi na kolacji z Napoleonem Bonapartem, a lokaje serwują im doskonałą zupę z sarniny. Kiedy tylko cesarz spróbował zupy, skoczył na równe nogi i wykrzyknął: *J'ai une faim qui ne saurait se satisfaire de soupe!*<sup>[13]</sup>, po czym zmienił się w wilczycę. Wilczyca najpierw pożerała

carskiego kota, potem jego konia, a następnie urodziwą turecką kochankę. Kiedy bestia zabierała się do pożarcia innych krewnych i znajomych Aleksandra, pękał jej brzuch i wyskakiwali z niego: kot, pies, koń, turecka kochanka i tak dalej, straszliwie zdeformowani. Wilczyca z każdym kęsem rosła, a gdy była już tak wielka jak Kreml, ruszała z nabrzmiętymi sutkami i zakrwawioną paszczą, by pożreć całą Moskwę.

- Nie ma nic nieuczciwego w trapieniu cara snem, w którym informuję go, że nie powinien wierzyć Bonapartemu i że cesarz w końcu go zdradzi - wyjaśnił Strange Arabelli. - Mógłbym przecież wysłać mu list z taką informacją. Źle czyni. To pewne, że Bonaparte się od niego odwróci.

Szkocka dama doniosła, że koszmary bardzo niepokoiły cara. Podobnie jak król Nabuchodonozor w Biblii, Aleksander posłał po astrologów i wróżbitów, żeby zinterpretowali koszmar, co ci pośpiesznie uczynili.

Po pewnym czasie Strange zesłał nowe sny carowi.

- Poszedłem za pańską radą. Sny są o wiele bardziej zagmatwane i trudniejsze w interpretacji. Carscy wróżbici będą mieli twarde orzechy do zgryzienia - oznajmił Strange panu Canningowi.

Niestrudzona pani Janet Archibaldowna Barsukowa wkrótce powiadomiła ich, że Aleksander zaniedbuje rządzenie krajem i prowadzenie wojny. Za to całymi dniami zastanawia się nad każdym swym snem i dyskutuje o nich z astrologami i wróżbitami, a kiedy przychodzi list od cesarza Napoleona, car blednie i zaczyna drzeć.

## **Rozdział czwarty**

*Jabłko, korona i berło wrzesień 1809*

Każdej bez wyjątku nocy smutny dzwon wzywał lady Pole i Stephena Blacka na tańce w mrocznych salach Utraconej Nadziei. Bez wątpienia byty to najwspanialsze, najpiękniejsze i najmodniejsze bale, jakie Stephen kiedykolwiek widział, ale cudne stroje i uroda tancerzy stanowiły dziwny kontrast z posiadłością, która nosiła liczne ślady biedy i rozpadu. Grano zawsze tę samą wiązkę melodii wyskrzypionych przez jedną jedyną wiołę i wypiszczanych przez piszczałkę. Jako kamerdyner Stephen nie mógł nie zauważyć, że w wielkiej sali balowej jest zdecydowanie zbyt mało łożowych świec. Rzuciły one dziwne cienie na ściany, gdy

tancerze wykonywali taneczne figury.

Przy innych okazjach lady Pole i Stephen przemierzali w orszaku zakurzone, mroczne korytarze (dżentelmen o włosach jak puch ostu bardzo sobie upodobał takie ceremonie). Niektórzy uczestnicy nieśli sztandary, czyli zazwyczaj stare i bardzo zniszczone płachty wyszywanej tkaniny. Część proporców przedstawiała zwycięstwa dżentelmena, a wykonano je z wyprawionych skór pokonanych wrogów. Krewne dżentelmena wyhaftowały na tych pożółkłych sztandarach usta, oczy, włosy i stroje. Gospodarza nigdy nie męczyły te rozrywki i ani przez moment nie wątpił, że Stephen i lady Pole są nimi równie zachwyceni.

Mimo że kapryśny pod każdym innym względem, w dwóch sprawach pozostawał niezmienny: w swoim podziwieniu dla lady Pole i uczuciu do Stephena Blacka. To ostatnie demonstrował sprawiając Stephenowi ekstrawaganckie podarki. Poza tym życie Stephena obfitowało w podejrzanie szczęśliwe wydarzenia. Jak poprzednio, część darów w imieniu Stephena otrzymywała pani Brandy, część zaś trafiała bezpośrednio do kamerdynera.

- Twój niegodziwy wróg się o tym nie dowie! - oznajmił radośnie dżentelmen (miał na myśli sir Waltera). - Bardzo sprytnie oślepiłem go swą magią, nie przyjdzie mu do głowy dziwić się czemukolwiek. A niech mnie! Nawet gdybyś jutro został arcybiskupem Canterbury, w ogóle by go to nie zdumiało. - Coś mu nagle przyszło do głowy. - Chciałbyś jutro zostać arcybiskupem Canterbury, Stephenie?

- Nie, bardzo dziękuję.

- Na pewno? To drobiazg, ale jeśli nęci cię Kościół...

- Daję słowo, panie, że tak nie jest.

- Twój dobry gust jak zwykle przynosi ci zaszczyt. Infuła to piekielnie niewygodne nakrycie głowy, a przy tym niezbyt dobrze się prezentuje.

Biednego Stephena nękały cuda. Co kilka dni pojawiała się dlań jakaś nagroda. Czasem prawdziwa wartość tych darów była dość przeciętna, nie wyższa od kilku szylingów, za to dar przybywał w nadzwyczajny sposób. Raz odwiedził Stephena rządcą pewnej posiadłości, który twierdził uparcie, że poznali się kilka lat temu podczas walki kogutów nieopodal Richmondu w północnym Riding, w hrabstwie York, gdzie Stephen założył się, że książę Walii pewnego dnia okryje hańbą cały kraj. Ponieważ tak się stało (jegomość uważał porzucenie żony przez księcia za uczynek godny potępienia), rządcą przybył do Londynu dyliżansem, by wręczyć Stephenowi dwadzieścia siedem szylingów i sześciopensówkę, czyli, jak twierdził, stawkę zakładu. Stephen na próżno zapewniał go, że nigdy nie stawiał na walki kogutów ani nawet nie był w Richmondzie w hrabstwie York. Rządcą poty nalegał, póki Stephen nie przyjął pieniędzy.

Kilka dni po wizycie rządcy naprzeciwko domu na Harley Street zatrzymał się na ulicy duży szary pies. Biedne, ubłocone po długiej wędrówce stworzenie długo mokło na deszczu. W zębach trzymało jakiś dokument. Stangreci, Robert i Geoffrey, oraz kucharz John Longridge robili, co mogli, by przepędzić psa, krzycząc na niego i ciskając weń butelkami oraz kamieniami. On jednak ze stoickim spokojem znosił swój los i nie chciał się ruszyć, póki nie wyszedł Stephen Black i nie zabrał dokumentu. Wtedy pies odszedł z zadowolonym wyrazem pyska, jakby wieszował sobie dobrze wykonanego zadania. Dokument okazał się mapą wioski w hrabstwie Derby i przedstawiał, poza innymi zdumiewającymi rzeczami, sekretne drzwi w stoku wzgórza.

Innym razem Stephen otrzymał list od burmistrza i radnych Bath, w którym opisywali, że dwa miesiące wcześniej w mieście bawił markiz Wellesley i po całych dniach opowiadał wszystkim o Stephenie Blacku, jego niesłychanej uczciwości, inteligencji i oddaniu swemu chlebodawcy. Burmistrz i radni byli pod takim wrażeniem słów markiza, że natychmiast nakazali wybić medal w celu upamiętnienia życia i cnót Stephena. Wykonano pięćset sztuk odznaczeń, a burmistrz i radni polecieli rozdać je (ku ogólnej radości) pięciuset właścicielom domów w Bath. Do listu dołączono medal dla Stephena. Włodarze Bath prosili ponadto, by podczas pobytu w mieście Stephen do nich zawitał, to wydadzą na jego cześć wspianą kolację.

Żaden z tych cudów nie wyrwał jednak Stephena z melancholii. Zdołały one jedynie podkreślić dziwaczny aspekt jego obecnego życia. Wiedział, że rządcą, pies, burmistrz oraz radni działali wbrew swej naturze. Rządcą kochał pieniądze i nie rozdawałby ich bez powodu. Psy nie miały zwyczaju tygodniami cierpliwie przemierzać wielkich odległości, burmistrz i radni zaś nie zwykli wykazywać nagłego zainteresowania czarnymi służącymi, których nigdy nie widzieli na oczy. Mimo to żaden z przyjaciół Stephena nie dostrzegł w tych zdarzeniach niczego niezwykłego. Stephen natomiast czuł się znużony widokiem złota i srebra - jego pokoik na piętrze domu przy Harley Street z trudem mieścił niechciane bogactwa.

Minęły już niemal dwa lata, od kiedy dżentelmen go zauroczył. Stephen często prosił o wolność, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla lady Pole. Dżentelmen jednak nie chciał o niczym słyszeć. Pewnego dnia Stephen zebrał się w sobie i postanowił powierzyć komuś tajemnicę cierpień swoich i małżonki jego lordowskiej mości. Bardzo był ciekaw, czy zdarzały się już takie przypadki. Miał nadzieję, że zdoła znaleźć kogoś, kto może ich uwolnić. Najpierw zwrócił się do lokaja Roberta, uprzedzając go, że zamierza mu się zwierzyć z sekretnej zgrzyoty. Robert wydawał się zainteresowany. Gdy jednak Stephen zaczął mówić, ku własnemu zdumieniu odkrył, że wcale nie opowiada o tym, o czym chciał powiedzieć!

Wygłosił pełen werwy i uczony wykład na temat pożytków z uprawy groszku i fasoli, choć nie miał o tym bladego pojęcia. Co gorsza, część wywodu była raczej niezwykła; pewnie zadziwiłaby farmera czy ogrodnika. Stephen objaśniał różnice między fasolą zasadzoną lub zerwaną przy księżycowym świetle albo podczas nowiu, podczas Bekane albo w noc świętego Jana... Mówił, jak zmieniają się właściwości fasoli, jeśli sieje się ją lub zbiera łopatką czy też nożem ze srebra.

Potem próbował opowiedzieć o swych kłopotach Johnowi Longridge'owi. Tym razem okazało się, że precyzyjnie przedstawia uczynki i przeżycia Juliusza Cezara w Brytanii. Opis był bardziej przejrzysty i szczegółowy niż w wykonaniu specjalisty, który zgłębiał ten temat co najmniej przez dwadzieścia lat. Raz jeszcze Stephen mówił o rzeczach których nie znajdzie się w żadnej księdze<sup>[14]</sup>.

Jeszcze dwukrotnie próbował przybliżyć innym swą dramatyczną sytuację. Przed panią Brandy wziął w obronę Judasza Iskariotę. Oświadczył, że pod koniec życia Iskariota wypełniał polecenia dwóch osobników, Johna Miedzianołba i Johna Spizostopa, których uważał za anioły. Toby'emu Smithowi zaś, ekspedientowi pani Brandy, wyrecytował listę wszystkich obywateli Irlandii, Szkocji, Walii i Anglii, których w ostatnich dwustu latach porwały elfy. Nigdy nie słyszał o żadnej z tych osób.

Stephen w końcu zrozumiał, że mimo wysiłków nie może mówić o zaklęciu! Osobą, która najbardziej ucierpiała przez jego dziwne milczenie i posępność, była bez wątpienia pani Brandy. Nie rozumiała jego całkowitej przemiany. Myślała tylko, że zmienił się w stosunku do niej. Pewnego dnia na początku września Stephen złożył jej wizytę. Nie widzieli się przez kilka tygodni i tak to przygnębiło panią Brandy, że aż napisała do Roberta Austina. Robert wybrał się do Stephena, by zganić go za opieszałość. Tak więc Stephen w końcu zjawił się w saloniku nad sklepem na St James's Street, ale nikt nie miałby pretensji do pani Brandy, gdyby podczas tej wizyty zapragnęła, by gość zniknął jej z oczu. Przez całe spotkanie siedział z głową w dłoniach, wzdychał ciężko, wcale się nie odzywał. Proponowała mu wino z Konstancji, marmoladę, babeczki, najrozmaitsze łakocie. On jednak ich nie kosztował. Nic nie chciał. W końcu pani Brandy zasiadła przed kominkiem naprzeciwko Stephena i z przygnębieniem zaczęła ozdabiać haftem szlafmycę dla niego.

- Może jest już pan zmęczony Londynem i mną i pragnie powrócić do Afryki? - spytała.

- Nie - odparł Stephen.

- Afryka to z pewnością urocze miejsce. - Pani Brandy najwyraźniej postanowiła ukarać siebie, bezzwłocznie wysyłając Stephena na inny kontynent. - Tak słyszałam.



Wszędzie rosną pomarańcze i ananasy, trzcina cukrowa i kakaowce... - Od czternastu lat handlowała artykułami spożywczymi i geografii świata nauczyła się dzięki produktom ze swego sklepu. Zaśmiała się z goryczą. - Marnie bym sobie radziła w Afryce. Jaki tam pożytek ze sklepów, skoro wystarczy wyciągnąć rękę i zerwać owoc z najbliższego drzewa? O tak. W Afryce straciłabym wszystko. - Przegryzła nitkę. - Chociaż z radością bym tam pojechała, choćby jutro - energicznie wbiła nitkę w niewinne ucho igielne - gdyby mnie ktoś o to poprosił.

- Pojechałaby pani do Afryki przez wzgląd na mnie? - spytał Stephen ze zdumieniem.

Pani Brandy uniosła wzrok.

- Wszędzie bym pojechała przez wzgląd na pana - odparła. - Myślałam, że pan to wie.

Popatrzyli na siebie ze smutkiem.

Stephen powiedział, że musi wrócić do obowiązków na Harley Street.

Niebo zaciągnęło się chmurami, zaczął padać deszcz, ludzie wyjęli parasole. Wędrując po St James's Street, Stephen ujrzał dziwny widok - w szarości ponad głowami tłumu płynął ku niemu czarny statek. Była to fregata wysoka na ponad pół metra, o brudnych poszarpanych żaglach i oblażącej farbie. Wznosiła się i opadała, naśladując kołysanie statku na morzu. Stephen zadrżał na ten widok. Z tłumu wyłonił się żebrak o skórze tak czarnej i lśniącej jak skóra Stephena. Okręt przymocowany był do jego kapelusza. Idąc, żebrak pochylał i unosił głowę tak, by statek poruszał się łagodnie. Mężczyzna kołysał się i podskakiwał, powoli i ostrożnie, z obawy, że olbrzymi kapelusz spadnie na ziemię. W rezultacie wyglądało to tak, jakby w zwolnionym tempie tańczył. Żebrak ten nazywał się Johnson. Był kalekim żeglarzem, któremu odmówiono renty. Nie mając innych środków do życia, musiał śpiewać i żebrać, co zresztą szło mu znakomicie, a do tego słynął w całym mieście ze swojego dziwnego kapelusza.

Johnson wyciągnął rękę do Stephena, lecz kamerdyner odwrócił wzrok. Nigdy się nie odzywał do czarnych o niższym statusie ani w ogóle nie zwracał na nich uwagi. Obawiał się, że jeśli zostanie przyłapany na rozmowach z takimi ludźmi, ktoś może uznać, że Stephen jest jednym z nich.

Nagle usłyszał swoje nazwisko i podskoczył jak oparzony. Wołał go Toby Smith, ekspedient pani Brandy.

- Och! Panie Black! - Toby przyspieszył kroku. - Tu pan jest! Zazwyczaj chodzi pan tak prędko! Byłem pewien, że dotarł pan już na Harley Street. Pani Brandy pozdrawia i mówi, że zostawił pan to obok krzesła.

Toby pokazał mu srebrny diadem, delikatną obręcz z metalu. Diadem zdobiło tylko

kilka dziwnych znaków i powykręcanych liter.

- Przecież to nie moje! - powiedział Stephen.

- Och! - jęknął głucho Toby, po czym najwyraźniej doszedł do wniosku, że Stephen żartuje. - Zupełnie, jakby setki razy nie miał go pan na głowie.

Zaśmiał się, uklonił i biegiem wrócił do sklepu, zostawiając Stephena z diademem w dłoni.

Stephen minął Piccadilly i ruszył wzdłuż Bond Street. Nie zaszedł zbyt daleko, gdy naraz usłyszał krzyki. Ulicą biegła jakaś drobna postać. Posturą przypominała cztero lub pięcioletniego malca, ale twarz miała znacznie starszą. Za nią pędziło w pewnej odległości dwóch bądź trzech mężczyzn, którzy krzyczeli: „Złodziej! Zatrzymać go!”

Stephen zagroził drogę malcowi. Mimo że złodziejaszek nie mógł umknąć zwinnemu Stephenowi, Black nie zdołał go pochwycić. Chłopiec trzymał zawiniątko z czerwonej tkaniny, które dziwnym trafem wpadło w ręce Stephena, nim chłopak wmieszał się w tłumek przed sklepem złotnika Hemmingsa. Ludzie dopiero w tej chwili wyszli ze sklepu, a ponieważ nic nie wiedzieli o pościgu, nie rozstąpili się, gdy złodziej wbiegł między nich. Nie sposób było ustalić, dokąd uciekł.

Stephen pozostał na ulicy z zawiniątkiem. Miękki stary aksamit rozchylił się, a oczom Blacka ukazała się srebrna laska.

Jednym z członków ekipy pościgowej był wysoki, przystojny dżentelmen, odziany w dość ponurą, acz elegancką czerń.

- Niemalże go pan dorwał - powiedział do Stephena.

- Ogromnie mi przykro, że nie potrafiłem go zatrzymać - odparł Stephen. - Na szczęście, jak pan widzi, odzyskałem pańską własność. - Stephen wyciągnął ku mężczyźnie srebrną laskę, ten jednak jej nie przyjął.

- To wszystko wina mojej matki! - oświadczył ze złością. - Och! Jak mogła być tak lekkomyślna? Tysiące razy jej mówiłem, że jeśli będzie zostawiać otwarte okno w salonie, prędzej czy później wejdzie przez nie złodziej. Czyż nie powtarzałem jej tego, Edwardzie? Nie mówiłem, Johnie?

Pytania te skierowane były do służących dżentelmena, którzy przybiegli za nim. Zabrakło im tchu, więc tylko energicznie kiwając głowami, zapewnili Stephena, że w istocie ich pan tak właśnie mówił.

- Wszyscy wiedzą, że trzymam w domu wiele kosztowności - ciągnął dżentelmen - a matka otwiera okno mimo mych usilnych próśb. Teraz, rzecz jasna, szlocha z powodu utraty

skarbu, który należał do mojej rodziny od setek lat. Matka bardzo jest dumna z naszego rodu i majątku. To berło dowodzi, że wywodzimy się od dawnych królów Wesseksu... Należało do Edgara, Alfreda czy kogoś tam...

- Wobec tego musi je pan zabrać - oświadczył Stephen. - Pańskiej matce z pewnością ulży, gdy zobaczy, że nic się nie stało.

Dżentelmen sięgnął po berło, lecz nagle cofnął rękę.

- Nie! - wykrzyknął. - Nie zrobię tego! Daję słowo, że nie zrobię. Gdybym zwrócił ten skarb mojej matce, z pewnością nie wyciągnęłaby żadnych wniosków na przyszłość! Nigdy się nie nauczy zamykać okien! Kto wie, co jeszcze bym utracił? Być może jutro zastałbym dom ogołocony! Nie, musi pan zatrzymać berło! To nagroda za przysługę, którą próbował mi pan oddać, łapiąc złodziejzka.

Służący dżentelmena pokiwali głowami, jakby uznali decyzję za niezwykle rozsądną. Po chwili obok nich przystanęła karetka, a dżentelmen wraz ze sługami wsiadł do niej i odjechał.

Stephen stał w deszczu z diademem w jednej dłoni i berłem w drugiej. Przed nim rozciągały się najmodniejsze w mieście sklepy na Bond Street. W ich witrynach wystawiono jedwabie, aksamity, przybrania głowy z pereł i pawich piór, brylantów, rubinów, klejnotów i rozmaitych złotych i srebrnych świecidełek. „No cóż - pomyślał Stephen. - Bez wątpienia zechce mi ofiarować wszelkiego rodzaju dziwaczne prezenty, dobierając je z wystaw tych sklepów. Ale będę sprytniejszy od niego. Udam się do domu inną drogą”.

Skręcił w wąską alejkę pomiędzy dwoma budynkami, minął niewielkie podwórze, bramę, potem jeszcze jedną alejkę i wyłonił się na uliczkę ze skromnymi domkami. Było tu całkiem pusto i dziwnie cicho, słyszał jedynie deszcz padający na kocie łby. Ze względu na ulewę fronty domów wydawały się ciemniejsze niż zwykle, niemal czarne. Mieszkańcy tej ulicy musieli być bardzo oszczędni, gdyż pomimo mroku nikt nie zapalił lampy. Chmury jednak nie do końca pokrywały niebo, więc na horyzoncie jaśniało dziwne blade światło, sprawiając, że deszcz przypominał srebrzyste promienie lejące się z czarnych niebios na mroczną ziemię.

Nagle z ciemnej alejki wytoczyło się coś błyszczącego i podskakując na mokrych kociach łbach, znieruchomiało u stóp Stephena.

Popatrzył na przedmiot, ciężko westchnął. Nawet się nie zdziwił, gdy ujrzął srebrne jabłko. Było bardzo zniszczone i wyglądało na stare. Na jego szczycie, w miejscu krzyża symbolizującego przynależność świata do Boga, znajdowała się rozpostarta dłoń z odłamanym palcem. Motyw otwartej dłoni był dobrze znany Stephenowi. Symbolem tym

posługiwał się dżentelmen o włosach jak puch ostu. Zaledwie wczorajszej nocy Stephen brał udział w procesji i niósł proporzec z takim emblematem przez ciemne, chłostane wiatrami korytarze i wzdłuż szpalerów potężnych dębów.

Naraz usłyszał otwierające się okno na górnym piętrze. Wychyliła się z niego głowa kobiety. Włosy miała nawinięte na papiloty.

- No, podnoś! - wrzasnęła, piorunując Stephena wzrokiem.

- To nie należy do mnie! - odkrzyknął.

- Ze niby co?! - To ją rozwścieczyło jeszcze bardziej. - Jeszcze mi może powiesz, że to nie wypadło z twojej kieszeni? I że nie nazywam się Mariah Tompkins?! I pewnie dniami i nocami nie haruję, żeby utrzymać Pepper Street w czystości?! A ty masz czelność przychodzić tutaj i wyrzucać swoje śmiecie!

Wzdychając ciężko, Stephen podniósł jabłko. Niestety, wbrew temu, co twierdziła Mariah Tompkins, nie mógł go nosić w kieszeni, gdyż było tak ciężkie, że mało jej nie przedziurawiło. Wobec tego szedł w deszczu z berłem w jednej dłoni i jabłkiem w drugiej. Diadem włożył na głowę, gdzie najlepiej pasował. Tak ustrojony powędrował do domu.

Po przybyciu na miejsce otworzył drzwi kuchenne. Okazało się, że nie było za nimi kuchni, lecz pomieszczenie, którego nigdy wcześniej nie widział. Trzykrotnie kichnął.

Wystarczyła chwila, by zrozumiał, że nie jest w Utraconej Nadziei, lecz w dość przeciętnym pokoju, takim, jaki można by znaleźć w każdym dobrze sytuowanym domu w Londynie. Panował tu jednak nieporządek. Mieszkańcy zapewne niedawno się sprowadzili i nie zdążyli rozpakować rzeczy. Stephen widział różne przedmioty, zazwyczaj zapełniające salony i gabinety: stoliki, biurka, pulpity pod książki, przybory do kominka, krzesła rozmaitego sortu, zwierciadła, filizanki, lak, świece, obrazki, książki (w wielkiej liczbie), meble z drzewa sandałowego, stojaki pod kałamarze, pióra, kartki, zegary, kłębki sznurka, stołki, osłony kominka i sekretarzyki. Wszystko jednak było pomieszane i stało jedno na drugim w zadziwiających kombinacjach. Wszędzie leżały skrzynie do pakowania, pudełka i pakunki, niektóre całkiem opróżnione, inne do połowy, a kilka ledwo tknięto. Słoma ze skrzyń walała się po podłodze i meblach, a w powietrzu unosił się pył, więc Stephen znowu dwukrotnie kichnął. Zauważył, że część słomy wpadła do kominka, co groziło pożarem.

W pokoju znajdowały się dwie osoby: człowiek, którego Stephen nie znał, oraz dżentelmen o włosach jak puch ostu. Człowiek, którego nigdy nie widział, siedział przy biurku pod oknem. Zapewne powinien rozpakowywać rzeczy i robić porządki, ale porzucił swe zajęcie i zatonął w lekturze. Co jakiś czas odrywał się od tekstu, żeby zajrzeć do dwóch lub trzech innych woluminów leżących na stole. Z ożywieniem mamrotał pod nosem albo

zapisywał coś w kajecie poplamionym atramentem.

Tymczasem dżentelmen o włosach jak puch ostu siedział w fotelu po drugiej stronie kominka i patrzył na tamtego mężczyznę z tak niesłychaną wrogością i irytacją, że Stephen zaczął się obawiać o życie nieznanego. Ale w chwili, gdy dżentelmen o włosach jak puch ostu ujrzał swego ulubieńca, stał się słodki jak miód.

- Tu jesteś! - wykrzyknął. - Jakże szlachetnie wyglądasz w tych regaliach!

Naprzeciw drzwi stało wielkie zwierciadło. Po raz pierwszy Stephen ujrzał się w koronie, z berłem i jabłkiem. W każdym calu wyglądał jak król. Odwrócił się, by zobaczyć, jak jegomość przy biurku zareaguje na nagłe pojawienie się czarnego człowieka w koronie.

- Och! Nim się nie kłopotz! - powiedział dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Nie widzi nas ani nie słyszy. Ma tyle talentu co ten drugi. Patrz!

Zgniótł kartkę w kulkę i energicznie cisnął nią w głowę mężczyzny. Ten nawet się nie skrzywił, chyba w ogóle nie zdał sobie sprawy z zaczepki.

- Drugi? - powtórzył Stephen. - Co pan ma na myśli?

- To ten młodszy mag. Niedawno zawitał do Londynu.

- Doprawdy? Słyszałem o nim, rzecz jasna. Sir Walter bardzo go poważa. Przyznam jednak, że zapomniałem jego nazwiska.

- A kogóż ono obchodzi? Najważniejsze, że jest niemal równie głupi jak ten starszy i prawie tak samo brzydki.

- Co? - odezwał się nagle mag. Oderwał się od książki i z podejrzliwym wyrazem twarzy rozejrzał po pokoju. - Jeremy! - zawołał bardzo głośno.

Służący wetknął głowę przez drzwi, ale nie zadał sobie trudu, by wejść.

- Panie? - zapytał.

Stephen otworzył szeroko oczy - takie zachowanie nie uszłoby płazem na Harley Street. Celowo zgromił sługę lodowatym wzrokiem, by ten wiedział, co o nim myśli. Po chwili przypomniał sobie, że przecież służący go nie widzi.

- Te londyńskie domy są okropnie akustyczne - powiedział mag. - Słyszę ludzi w domu obok.

Było to na tyle interesujące, by sługa imieniem Jeremy raczył wejść do pokoju. Stał na środku i zaczął nasłuchiwać.

- Czy wszystkie ściany są tak cienkie? - ciągnął mag. - Myślisz, że coś z nimi nie w porządku?

Jeremy zadudnił w ścianę, która dzieliła dom od sąsiedniego. Odpowiedział mu głuchy cichy dźwięk, jaki mogłaby wydać każda inna gruba, solidna ściana w królestwie. Nic

nie rozumiejąc, powiedział:

- Nic nie słyszę. Co mówili?

- Chyba jeden nazwał drugiego brzydkim i głupim.

- Na pewno? Po tej stronie mieszkają dwie leciwe damy.

- Ha! To nie jest żaden dowód. W dzisiejszych czasach wiek niczego nie gwarantuje.

Maga najwyraźniej znudziła wymiana zdań po tej uwadze i ponownie zatonał w lekturze. Jeremy czekał przez chwilę, a ponieważ pan o nim zapomniał, odszedł. - Jeszcze nie zdążyłem panu podziękować za te wspaniałe dary - powiedział Stephen do dżentelmena.

- Och, Stephenie! Tak się cieszę, że sprawiłem ci radość. Wyznam w sekrecie, że diadem to twój kapelusz odmieniony mocą magii. Wolałbym podarować ci prawdziwą koronę, ale w tak krótkim czasie nie miałem skąd jej wziąć. Zapewne jesteś rozczarowany. Właściwie teraz przyszło mi do głowy, że król Anglii ma kilka koron i rzadko je wkłada.

Uniósł dłonie w powietrze i wycelował w niebo dwa niezwykle długie i blade palce.

- Och! - krzyknął Stephen, uświadomiwszy sobie, co knuje dżentelmen. - Jeśli chce pan rzucić zaklęcie, by król Anglii przybył tu z jedną ze swoich koron - a zapewne tak jest, znam przecież pańską życzliwość, błagam, by oszczędził pan sobie trudu! Korona nie jest mi w tej chwili potrzebna, a król Anglii ma już swoje lata. Może uprzejmiej będzie pozwolić mu pozostać w domu?

- No dobrze! - zgodził się dżentelmen wielkodusznie i opuścił ręce.

Z braku lepszego zajęcia powrócił do wyzywania maga. Nic mu w nim nie odpowiadało. Wyśmiał książkę, którą czytał, nie spodobał mu się fason jego butów i zupełnie nie przypadł mu do gustu jego wzrost (mimo że mag był dokładnie takiego samego wzrostu jak dżentelmen o włosach jak puch ostu, co wyszło na jaw w chwili, gdy przypadkiem stanęli obok siebie).

Stephen chciał jak najszybciej powrócić do obowiązków na Harley Street, obawiał się jednak, że jeśli zostawi obu mężczyzn samych, dżentelmen zacznie rzucać w maga czymś o wiele cięższym niż kulki z papieru.

- Może przejdziemy się razem na Harley Street? - zapytał. - Opowie mi pan, jak pańskie szlachetne czyny okryły chwałą Londyn. To takie interesujące. Nigdy mnie nie nuży.

- Z radością, Stephenie! Z radością!

- Czy to daleko?

- Co, Stephenie?

- Harley Street. Nie wiem, gdzie jesteśmy.

- Na Soho Square, nie, to wcale nie jest daleko! Gdy dotarli do domu na Harley Street,

dżentelmen wyjątkowo serdecznie pożegnał się ze Stephenem, prosząc, by nie czuł smutku, gdyż jeszcze tej nocy spotkają się w Utraconej Nadziei.

- Odbędzie się uroczona ceremonia w dzwonnicy wschodniej wieży. Uczymy pewne wydarzenie mniej więcej sprzed pięciu setek lat, kiedy dzięki swemu sprytowi schwytałem nieletnich potomków mego wroga. Zrzuciliśmy ich z dzwonnicy. Dziś odtworzymy ten podniosły moment triumfu. Ubierzemy słomiane kukły w poplamione krwią ubrania, zrzucimy je na bruk, a potem będziemy śpiewać i radować się ich upadkiem.

- Co roku odprawia się tę ceremonię, panie? Z pewnością bym ją zapamiętał. Robi... wielkie wrażenie.

- Cieszy mnie, że tak uważasz. Odprawiamy ją zawsze, gdy tylko mam na nią ochotę. Ale muszę ci powiedzieć, że uroczystość robiła znacznie większe wrażenie, gdy z dzwonnicy zrzucaliśmy prawdziwe dzieci.

## Rozdział piąty

*Żona maga grudzień 1809-styczeń 1810*

Teraz Londyn miał dwóch magów do podziwiania i uwielbiania. Czytelnika zapewne nie zdziwi, gdy zdradzę, że z tej dwójki metropolia wołała pana Strange'a. Zdaniem wszystkich tak właśnie powinien prezentować się mag. Strange był wysoki, czarujący, obdarzony niezwykle ironicznym uśmiechem. W przeciwieństwie do pana Norrella dużo mówił o magii i bez oporów odpowiadał na pytania. Państwo Strange'owie bywali na rozmaitych przyjęciach i kolacjach, podczas których Strange zwykle zabawiał towarzystwo drobnymi magicznymi sztuczkami. Największym powodzeniem cieszyły się wizje ukazujące się na powierzchni wody<sup>[15]</sup>. W przeciwieństwie do pana Norrella Strange nie używał srebrnej miednicy - tradycyjnego naczynia do tworzenia wizji. Jego zdaniem nie warto było się męczyć z czymś tak małym. Wołał raczej czekać, aż służba uprzątnie stoły, po czym rozlewał na blacie wodę lub wino i przywoływał obrazy. Na szczęście gospodarze byli zazwyczaj tak zachwyceni magią, że rzadko narzekali na poplamione i zniszczone meble oraz dywany.

Państwo Strange'owie zdomowili się w Londynie. Zamieszkali na Soho Square. Arabella z przyjemnością zajęła się urządzeniem nowego domu: zamawiała eleganckie meble u stolarzy, zapraszała przyjaciółki, by pomogły jej dobrać idealną służbę, i codziennie

odwiedzała sklepy.

Pewnego ranka w połowie grudnia otrzymała wiadomość od jednego z ekspedientów (bardzo uczynnego jegomościa) ze sklepu Haiga i Chippendale'a, że brązowy jedwab w naprzemienne pasy gładkiej i morowanej tkaniny właśnie przybył i (zdaniem ekspedienta) doskonale nada się na zasłony w salonie pani Strange. To wymusiło pewną zmianę w planie dnia Arabelli.

- Z opisu pana Sumnera wynika, że tkanina jest bardzo elegancka - powiedziała Strange'owi przy śniadaniu. - Sądzę, że przypadnie mi do gustu. Jeśli jednak wybiorę brązowy jedwab na zasłony, będę musiała zrezygnować z aksamitu w kolorze wina na szeslong. Brąz i głęboka czerwień nie pasują do siebie. Pójdę jutro do Flinta i Clarka, by znów zerknąć na czerwony aksamit. Zobaczymy, czy zdołam się przekonać do rezygnacji z tego pomysłu. Potem udam się do Haiga i Chippendale'a. Oznacza to jednak, że nie będę miała czasu odwiedzić twojej ciotki, choć powinnam, przecież dziś przed południem wyjeżdża do Edynburga. Chciałam jej podziękować za to, że znalazła nam Mary.

- Hm? - mruknął Strange, pałaszując gorące bułeczki z marmoladą i czytając *Znamienne uwagi o elfiej anatomii* Holgartha i Pickle'a<sup>[16]</sup>.

- Mary. To nowa pokojówka. Widziałeś ją wczoraj wieczorem.

- Aha - odparł Strange i odwrócił stronę.

- Wygląda na miłą, sympatyczną dziewczynę o pogodnym usposobieniu. Na pewno nie da nam powodów do niezadowolenia. Wracając do tematu - byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś dzisiejszego ranka odwiedził ciotkę. Możesz zająć na Henrietta Street po śniadaniu i podziękować jej za Mary. Potem idź do Haiga i Chippendale'a i tam na mnie poczekaj. Och, czy zechciałbyś wstąpić do Wedgwooda i Byerleya i spytać, kiedy pojawi się zastawa stołowa? To nie nastarczy ci problemów. Sklep jest niemal po drodze. - Popatrzyła na męża z powątpiewaniem. - Jonathanie, czy ty mnie słuchasz?

- Hm? - mruknął znów Strange i uniósł wzrok. - Ależ naturalnie!

Tak więc Arabella w towarzystwie jednego z lokajów wyruszyła na Wigmore Street, gdzie mieścił się sklep Flinta i Clarka. Tym razem doszła do wniosku, że aksamit w kolorze głębokiej czerwieni, jakkolwiek piękny, jest jednak zbyt posępny. Pośpiesznie przeszła na St Martin's Lane, by nacieszyć wzrok widokiem jedwabiu o barwie brązu. U Haiga i Chippendalea odkryła, że wprawdzie czeka na nią ekspedient, ale jej mąż tu jeszcze nie dotarł. Ekspedient z przykrością oświadczył, że pan Strange dziś się w ogóle nie zjawił. Arabella ponownie wyszła na ulicę.

- George, czy widziałeś gdzieś swego pana? - zapytała lokaja.



- Nie, proszę pani.

Z nieba zaczął siąpić deszczyk. Przeczucie nakazało Arabelli popatrzeć w okno księgarni. Ujrzała tam Strange'a - dyskutował z sir Walterem Pole'em. Weszła zatem do środka i po przywitaniu się z sir Walterem grzecznie spytała małżonka, czy odwiedził ciotkę i czy zajrzał do Wedgwooda i Byerleya.

Strange wydawał się zakłopotany. Opuścił wzrok, zdając sobie sprawę, że trzyma w dłoni wielką księgę.

- Zrobiłbym to, skarbie, naturalnie - powiedział. - Ale sir Walter przez cały czas ze mną rozmawiał... Dlatego właśnie nie dotrymałem zobowiązań.

- To wyłącznie moja wina - pośpiesznie zapewnił sir Walter Arabellę. - Mamy problem z blokadą. To nic poważnego, właśnie rozmawiam o tym z panem Strange'em w nadziei, że może on i pan Norrell będą nam w stanie pomóc.

- Pomożecie? - spytała Arabella.

- Tak przypuszczam - odparł Strange.

Sir Walter wyjaśnił, że rząd brytyjski otrzymał informację o kilku, najprawdopodobniej dziesięciu, francuskich okrętach, które przerwały angielską blokadę. Nikt nie wiedział, dokąd popłynęły i jakie były zamiary załogi. Rząd nie orientował się również, gdzie się podział admirał Armingcroft, który miał nie dopuścić do takiej sytuacji. Admirał wraz z flotą złożoną z dziesięciu fregat oraz dwóch okrętów liniowych po prostu zniknął - zapewne udał się w pościg za Francuzami. Tymczasem w Maderze stacjonował dobrze rokujący młody kapitan. Gdyby admiralicja zdołała się dowiedzieć, co zaszło (a przede wszystkim gdzie), bardzo chętnie powierzyłaby kapitanowi Lightwoodowi dowodzenie czterema czy pięcioma dodatkowymi okrętami i wysłała go ze wsparciem we właściwe miejsce. Lord Mulgrave spytał admirała Greenwaxa, co czynić, a admirał przekazał to pytanie ministrom. Członkowie rządu nakazali zaś admiralicji natychmiastowe konsultacje z panami Strange'em i Norrellem.

- Proszę nie myśleć, że admiralicja jest zupełnie bezradna bez pomocy pana Strange'a.

- Sir Walter uśmiechnął się do Arabelli. - Wszyscy robili, co mogli. Wysłali jednego z urzędników, pana Petrofaxa, do Greenwich, by odszukał przyjaciela admirała Armingcrofta z lat dziecięcych. Ponieważ przyjaciel świetnie znał Armingcrofta, istniała nadzieja, że powie nam, jak zachowałby się on w danych okolicznościach. Kiedy jednak pan Petrofax dotarł do Greenwich, przyjaciel admirała leżał w łóżku tak pijany, że chyba nawet nie rozumiał, co się do niego mówi.

- Sądzę, że Norrell i ja zdołamy coś wymyślić - oświadczył Strange. - Najpierw będę

jednak musiał obejrzeć mapy.

- W domu mam wszystkie niezbędne mapy i dokumenty. Jeden z naszych służących zanieś je dzisiaj na Hanover Square, więc gdyby zechciał pan porozmawiać z panem Norrellem...

- Och, możemy się zająć tym od razu - przerwał Strange. - Arabella na pewno chwilę zaczeka. Prawda? - zwrócił się do żony. - O drugiej mam spotkanie z panem Norrellem i sądzę, że jeśli od razu wytłumaczę mu, na czym polega problem, zdołamy obmyślić rozwiązanie jeszcze przed obiadem.

Arabella, niczym słodka, uległa kobieta i dobra żona, postanowiła chwilowo nie myśleć o nowych zasłonach i zapewniła obu panów, że poczeka. Ustalono, że państwo Strange'owie udadzą się wraz z sir Walterem do jego domu na Harley Street.

Strange wyciągnął zegarek i popatrzył na cyferblat.

- Dwadzieścia minut na Harley Street, trzy kwadransy na poznanie problemu. Potem piętnaście minut na Soho Square. Tak, jest mnóstwo czasu.

Arabella się roześmiała.

- Nie zawsze jest taki skrupulatny, zapewniam pana - powiedziała do sir Waltera. - We wtorek spóźnił się na spotkanie z lordem Liverpoolem. Pan Norrell nie był zachwycony.

- To nie moja wina - wtrącił Strange. - Byłem gotów na czas, ale nie mogłem znaleźć rękawiczek.

Żartobliwa uwaga Arabelli najwyraźniej nie przestawała go trapić, gdyż w drodze na Harley Street co chwila spoglądał na zegarek, jakby miał nadzieję, że odkryje tajemnicę Czasu i udowodni, że spóźnił się nie bez przyczyny. Kiedy dotarli do Harley Street, wykrzyknął nagle:

- Ha! Wiem, co się dzieje. Mój zegarek źle chodzi!

- Nie sądzę. - Sir Walter wyjął własny i pokazał go Strange'owi. - Jest południe. Mój czasomierz wskazuje tę samą godzinę.

- Czemu zatem nie słychać dzwonów? - zapytał Strange. - Słyszysz dzwony? - zwrócił się do małżonki.

- Nie, niczego nie słyszę.

Sir Walter poczerwieniał i wymamrotał coś o tym, że dzwony w tej parafii oraz w sąsiednich już nie biją.

- Naprawdę? - zdumiał się Strange. - Ale dlaczego, na Boga?

Sądząc z miny, sir Walter wolałby, aby Strange się tym nie interesował, lecz mimo to odparł:

- Choroba lady Pole źle wpłynęła na stan jej nerwów. Bicie dzwonów szczególnie ją drażni, dlatego też poprosiłem członków rady parafialnej St Mary Le Bonę i św. Piotra, by przez wzgląd na nerwy lady Pole nie dzwonili. Łaskawie wyrazili zgodę.

Brzmiało to raczej niezwykle, no ale w końcu wszyscy wiedzieli, że choroba lady Pole także nie należała do zwyczajnych, a jej symptomy nie były typowe. Państwo Strange'owie nigdy nie spotkali lady Pole. Od dwóch lat nikt jej nie widywał.

Gdy tylko dotarli na Harley Street numer dziewięć, Strange jak najszybciej chciał zerknąć w dokumenty sir Waltera. Musiał jednak uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż sir Walter upewni się, że pod ich nieobecność Arabelli nie zabraknie rozrywek. Sir Walter był dobrze wychowanym człowiekiem i wyjątkowo nie lubił zostawiać gościa samego. Porzucenie damy zaś było szczególnym nietaktem. Strange z kolei nie chciał się spóźnić na spotkanie z panem Norrellem, więc gdy sir Walter proponował Arabelli rozmaite rozrywki, Strange wychodził ze skóry, aby udowodnić, że jego żona ich nie potrzebuje.

Sir Walter właśnie pokazywał Arabelli książki na regale. Polecił jej uwadze *Belindę* pani Edgeworth, rozrywkową lekturę.

- Och, czytałem Arabelli *Belindę* dwa albo trzy lata temu - przerwał mu Strange. - Poza tym chyba nie zabawimy tak długo, by miała czas przebrnąć przez trzytomowe dzieło.

- Może herbaty i ciasta? - spytał zatem sir Walter.

- Arabella nie lubi makowca - znowu przerwał Strange, biorąc do ręki *Belindę* i podczytując pierwszy tom. - Wyjątkowo nie lubi.

- No to kieliszek madery - nie rezygnował sir Walter. - Z pewnością chętnie skosztuje pani madery. Stephenie, Stephenie, przynieś pani Strange kieliszek madery.

W tajemniczy, cichy sposób, typowy dla dobrze wyszkolonych londyńskich lokajów, u boku sir Waltera zmaterializował się wysoki czarnoskóry służący. Pana Strange'a bardzo zaintrygowało nagłe pojawienie się Stephena. Przez chwilę uważnie się w niego wpatrywał, po czym powiedział do żony:

- Nie chcesz madery, prawda? Niczego nie chcesz.

- Zgadza się, Jonathanie. - Arabella była wyraźnie rozbawiona tą dziwną wymianą zdań. - Dziękuję za wszystko, sir Walterze, chętnie tu sobie posiedzę i poczytam.

Czarny służący skłonił się i odszedł tak cicho, jak przyszedł, a Strange i sir Walter poszli dyskutować o francuskiej flocie i zaginionych angielskich okrętach. Kiedy Arabella została sama, doszła do wniosku, że istotnie nie ma nastroju do czytania. Rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu czegoś ciekawego. Jej wzrok przyciągnęło wielkie malowidło: pejzaż przedstawiający las i ruiny zamku na urwisku. Drzewa były ciemne i ponure, a ruiny oraz

strome zbocze muskał złoty blask zachodzącego słońca. Przez kontrast niebo wydawało się tak pełne światła, że aż opalizowało. Dużą część tła zajmował srebrzysty staw, w którym tonęła jakaś młoda dama. Pochylała się nad nią inna osoba, nie dało się jednak powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta, satyr lub może faun. Choć Arabella uważnie wpatrywała się w postaci, nie potrafiła ustalić, czy osoba ta planuje ocalić tonącą, czy pogrążyć ją w toni. Zmęczony się patrzeniem na obraz, Arabella wyszła na korytarz, by obejrzyć inne malowidła. Ponieważ były to głównie akwarele przedstawiające Brighton i Chelmsford, szybko ją znudziły.

Z pokoju obok usłyszała głosy sir Waltera i Strange'a:

-...nadmierzalnie! A przecież w sumie byczy z niego chłop - mówił sir Walter.

- Ach, wiem, o kogo chodzi! Ma brata, organistę w katedrze w Bath - powiedział Strange. - A ten ma czarnobiałego kota, który spaceruje ulicami Bath tuż przed swym panem. Raz, gdy szedłem Milsom Street...

Jedne drzwi były uchylone i Arabella ujrzała za nimi bardzo elegancki salon z wieloma obrazami, chyba wspanialszymi i barwniejszymi niż te, które już miała sposobność obejrzyć. Weszła.

Pokój wydawał się pełen światła, choć za oknem nadal było szaro i ponuro.

„Skąd to światło?“, zastanawiała się Arabella. Całkiem, jakby biło od obrazów, a to przecież niemożliwe. Wszystkie malowidła przedstawiały Wenecję<sup>[17]</sup>. Z pewnością osobliwa atmosfera panująca w pomieszczeniu brała się z przytłaczająco wielu przedstawień nieba oraz morza na płótnach.

Kiedy Arabella obejrzała obrazy na jednej ścianie, odwróciła się do drugiej i ku swojemu przerażeniu odkryła, że nie jest sama. Na niebieskiej sofie przed kominkiem siedziała młoda kobieta i patrzyła na gościa z ciekawością. Sofa miała wysokie oparcie - to dlatego wcześniej Arabella nikogo nie dostrzegła.

- Och! Bardzo przepraszam!

Młoda kobieta nie odpowiedziała.

Była niesłychanie elegancką damą o bladej, idealnej cerze i pięknie ułożonych ciemnych włosach. Miała na sobie suknię z białego muślinu i hinduską chustę w barwach kości słoniowej, srebra i czerni. Wydawała się zbyt dobrze ubrana jak na guwernantkę i zbyt swobodna jak na damę do towarzystwa. Skoro jednak bawiła tu w gościnie, czemu sir Walter jej nie przedstawił?

Sploniona Arabella dygnęła przed młodą kobietą i powiedziała:

- Myślałam, że nikogo tu nie ma. Proszę mi wybaczyć to najście. - Odwróciła się, by

opuścić salon.

- Och, mam nadzieję, że nie chce pani odejść - rzekła młoda dama. - Tak rzadko kogoś widuję. Niemal nigdy! Poza tym pragnęła pani obejrzeć obrazy. Proszę nie zaprzeczać, widziałam w lustrze, jak wchodzi pani do pokoju.

Nad kominkiem wisiało duże weneckie zwierciadło oprawione w nadzwyczaj kunsztowną ramę ze szkła, dekorowaną niesłychanie brzydkimi szklanymi kwiatami i wolutami.

- Mam nadzieję, że nie będę pani przeszkadzała - dodała nieznajoma.

- Ależ to ja nie chcę przeszkadzać pani - wyjaśniła Arabella.

- Skądże znowu! - Młoda kobieta wskazała ręką obrazy. - Proszę.

Czując, że odmowa byłaby demonstracją bardzo złych manier, Arabella podziękowała nieznajomej i podeszła do malowideł, jednak przyglądała im się dużo mniej uważnie niż poprzednio, świadoma, że kobieta przez cały czas obserwuje ją w lustrze.

Kiedy skończyła, młoda dama poprosiła ją o zajęcie miejsca.

- Jak się pani podobały? - zapytała nieznajoma.

- Cóż, z pewnością są piękne - odparła Arabella. - Zwłaszcza te przedstawiające procesje i święta. Takie obchody nie są znane w Anglii! Tyle powiewających proporców! Tyle złożonych łodzi i wytwornych kostiumów! Moim zdaniem jednak artysta woli budynki i błękitne niebo od ludzi. Namalował ich tak małymi, tak nieważnymi! Wydają się wręcz zagubieni pośród tylu marmurowych pałaców i mostów. Nie uważa pani?

Te słowa chyba rozbawiły młodą kobietę, gdyż uśmiechnęła się zagadkowo.

- Och, wydaje mi się, że faktycznie są zagubieni, biedacy! Pomijając wszystko inne, Wenecja to zwykły labirynt - ogromny i piękny, rzecz jasna, niemniej labirynt, i tylko najstarsi mieszkańcy umieją się w nim odnaleźć. Przynajmniej ja to tak odbieram.

- Naprawdę? - zdziwiła się Arabella. - To z pewnością bardzo kłopotliwe. Ale uczucie zagubienia w labiryncie musi być wspaniałe! Oddałabym niemal wszystko, by się tam znaleźć!

Młoda kobieta patrzyła na nią z melancholijnym uśmiechem.

- Gdyby tak jak ja miesiącami wędrowała pani przez nie kończące się ciemne korytarze, nie miałaby pani takich pragnień. Przyjemność wynikająca z zagubienia się w labiryncie szybko powszednieje. A co do dziwacznych ceremonii, procesji i świąt, cóż... - Wzruszyła ramionami. - Nie cierpię ich!

Arabella niezbyt ją rozumiała, ale doszła do wniosku, że chyba powinna poznać tożsamość młodej damy. Zapytała ją zatem o imię.

- Jestem lady Pole.

- Och! No tak. - Arabella nie wiedziała, czemu wcześniej na to nie wpadła. Przedstawiła się gospodyni, po czym wyjaśniła, że jej mąż załatwia sprawę z sir Walterem i dlatego się tu dziś znalazła.

Z biblioteki dobiegł je wybuch śmiechu.

- Podobno rozmawiają o wojnie - zauważyła Arabella. - Albo ostatnio zrobiła się o wiele bardziej rozrywkowa, albo, jak podejrzewam, dawno od niej odeszli i teraz obgadują znajomych. Pół godziny temu pan Strange myślał wyłącznie o następnym spotkaniu, teraz jednak zapewne sir Walter skłonił go do pogawędki o innych sprawach i Jonathan zapewne całkiem zapomniał o swych planach. - Uśmiechnęła się do siebie jak żona, która udaje, że krytykuje męża, ale tak naprawdę się nim chwali. - Uważam, że to najbardziej roztargniony człowiek pod słońcem. Zapewne często wystawia cierpliwość pana Norrella na próbę.

- Pana Norrella? - powtórzyła lady Pole.

- Pan Strange ma zaszczyt być uczniem pana Norrella - wyjaśniła Arabella.

Spodziewała się, że lady Pole zaraz pochwali niezwykle umiejętności pana Norrella lub wyrazi wdzięczność za jego dobroć. Lady Pole jednak milczała, więc Arabella ciągnęła:

- Rzecz jasna, słyszeliśmy o cudownej magii, którą zaprezentował pan Norrell, by panią ratować.

- Pan Norrell nie jest moim przyjacielem - powiedziała lady Pole chłodnym, rzeczowym tonem. - Wolałabym być martwa, niż tak żyć.

Zaskoczona Arabella przez moment nie mogła wykrztusić ani słowa. Nie miała powodów darzyć pana Norrella ciepłymi uczuciami - nigdy nie wyświadczył jej żadnej grzeczności, kilkakrotnie wręcz wychodził z siebie, by okazać jej swoje lekceważenie, ale mimo wszystko był jedynym poza Jonathanem przedstawicielem magicznej profesji. I tak jak żona admirała zawsze bierze stronę marynarki, a żona biskupa zawsze przychylnie wypowiada się o Kościele, Arabella czuła się zobowiązana bronić drugiego maga.

- Ból i cierpienie to najgorsi towarzysze, z pewnością ma ich pani serdecznie dosyć. Nikt na świecie nie mógłby pani winić za to, że chce się ich pozbyć. - Ale mówiąc te słowa, Arabella myślała: „Bardzo to dziwne, przecież nie wygląda na chorą. Ani trochę”. - Jeśli się jednak nie mylę, ma pani pociechę w swoim cierpieniu. Muszę wyznać, że zawsze, gdy słyszę nazwisko pani, towarzyszą mu pochwały pod adresem jego lordowskiej mości. Z pewnością nie chciałyby pani zostawić męża. Musi pani czuć choćby odrobinę wdzięczności dla pana Norrella właśnie przez wzgląd na sir Waltera.

Lady Pole nic na to nie odpowiedziała, zaczęła natomiast wypytywać Arabellę o jej

męża. Od jak dawna praktykuje magię? Od jak dawna jest uczniem pana Norrella? Czy odnosi sukcesy? Czy sam czaruje, czy tylko słucha wskazówek nauczyciela?

Arabella usiłowała jak najrzetelniej odpowiadać na pytania.

- Jeśli chciałaby pani o coś zapytać pana Strange'a, jeśli mógłby w czymś pomóc, proszę tylko powiedzieć.

- Dziękuję. Muszę coś wyznać dla dobra pani męża, a także swojego. Pan Strange powinien wiedzieć, na jak straszliwy los skazał mnie pan Norrell. Powinien wiedzieć, z kim się zadaje. Powie mu pani?

- Oczywiście. Ja...

- Proszę obiecać.

- Powiem panu Strange'owi wszystko, czego sobie pani życzy.

- Muszę panią przestrzec, że niejednokrotnie próbowałam opowiedzieć ludziom o swoim nieszczęściu i nigdy mi się to nie udało.

Gdy lady Pole zamilkła, zdarzyło się coś, w co Arabelli trudno było uwierzyć. Miała wrażenie, że jeden z obrazów się poruszył albo że ktoś przemknął za lustrami, i przyszło jej do głowy, że ten pokój wcale nie jest pokojem, że ścianom brakuje trwałości, że to tylko rozstaje dróg, gdzie dziwne wiatry z odległych miejsc hulają nad lady Pole.

- W 1607 roku - zaczęła dama - pewien dżentelmen nazwiskiem Redeshawe, z Halifaksu, w zachodniej części hrabstwa York, odziedziczył po ciotce dziesięć funtów. Przeznaczył tę sumę na turecki dywan, który przywiózł do domu i rozłożył na kamiennych płytach w salonie. Potem uraczył się piwem i zasnął w fotelu przy kominku. Zbudził się o drugiej nad ranem i ujrzał na dywanie trzystu lub czterystu ludzi, płci obojga, wysokich na pięć do ośmiu centymetrów. Pan Redeshawe zauważył, że najważniejsi wśród nich mają na sobie przepiękne złote i srebrne zbroje i siedzą na białych królikach, pełniących rolę naszych słoni. Gdy spytał, co robią, pewien śmiałek wspiał się na jego ramię i pisnął mu do ucha, że zamierzają stoczyć bitwę podług zasad Honore Boneta i że dywan pana Redeshawe'a idealnie się do tego nadaje, gdyż dzięki regularności wzorów heroldom łatwiej jest ustalić, czy obie armie stoją na właściwych pozycjach i czy nie mają niesprawiedliwej przewagi nad przeciwnikiem. Pan Redeshawe nie życzył sobie jednak, by na jego nowym dywanie toczono bitwy, wziął zatem miotłę... Nie, chwileczkę! - Lady Pole umilkła i ukryła twarz w dłoniach. - Nie to chciałam powiedzieć.

Zaczęła ponownie. Tym razem opowiedziała historię człowieka, który wybrał się do lasu na polowanie. W pewnym momencie oddalił się od towarzyszy. Nagle jego koń zahaczył podkową o króliczą norę, potknął się, a jeździec wyleciał z siodła. Miał dziwne wrażenie, że

wpadł do króliczej dziury. Kiedy się pozbierał, odkrył, iż jest w niezwyklej krainie, oświetlonej własnym słońcem i skrapianej własnym deszczem. W lesie podobnym do tego, który właśnie opuścił, ujrzał dwór, gdzie grupa dosyć ekscentrycznych dżentelmenów grała w karty.

Lady Pole właśnie dotarła do części, w której dżentelmeni poprosili zagubionego myśliwego, by do nich dołączył, kiedy nagle cichy dźwięk, zaledwie odrobinę głośniejszy niż szelest wciąganego do płuc powietrza, sprawił, że Arabella odwróciła głowę. Odkryła, że do pokoju wszedł sir Walter i ze zdumieniem patrzy na żonę.

- Jesteś zmęczona - powiedział do niej.

Lady Pole odwzajemniła jego spojrzenie. Miała dziwny wyraz twarzy. Malował się na niej smutek i żal, ale i, o dziwo, lekkie rozbawienie, całkiem jakby pomyślała: „Popatrz no tylko! Ależ z nas żalosna para!”

- Jestem tak samo zmęczona jak zawsze - powiedziała. - Wczoraj w nocy strasznie się nachodziłam. Tańczyłam godzinami.

- Wobec tego odpocznij - zasugerował. - Zabiorę cię na górę do Pampisford, ona się tobą zajmie.

Początkowo lady Pole miała chyba zamiar protestować. Złapała Arabellę za rękę i ją uścisnęła, jakby chcąc pokazać mężowi, że nie zamierza rozstać się z gościem. Nagle jednak puściła dłoń Arabelli, wsparła się na mężu, a ten poprowadził ją do drzwi. Przystanęła w progu.

- Do widzenia pani. Mam nadzieję, że pozwolą pani znów mnie odwiedzić. Proszę, by uczyniła mi pani ten zaszczyt. Nikogo nie widuję... Właściwie widuję mnóstwo osób, ale nie ma wśród nich chrześcijan.

Arabella zrobiła krok w przód, chcąc uścisnąć dłoń lady Pole i zapewnić gospodynię, że chętnie przyjdzie, ale sir Walter już wyprowadził małżonkę. Po raz drugi Arabella została całkiem sama w pokoju na Harley Street.

Usłyszała bicie dzwonu.

Zdziwiła się nieco, pamiętając, co wcześniej mówił sir Walter. Dzwon wydawał się bardzo smutny... Dźwięk dochodził z oddali... Oczyma duszy zobaczyła rozmaite melancholijne sceny...

*Posępne, chłostane wiatrami moczary i wrzosowiska; puste pola, a na nich gdzieś mury w ruinie i bramy zwisające krzywo z zawiasów; czarny walący się kościół; otwarty grób; samobójca pochowany na rozstaju dróg; stos kości na śniegu w poświęcacie zmierzchu; szubienica z wisielcem; człowiek ukrzyżowany na kole; stara włócznia*



*zanurzona w bagnie, a na niej dziwny talizman, przypominający mały skórzany palec; strach na wróble, którego czarne łachmany powiewają na wietrze tak gwałtownie, jakby lada chwila miał skoczyć i przyfrunąć do niej na wielkich czarnych skrzydłach...*

- Błagam o wybaczenie, jeśli zobaczyła tu pani coś, co ją zaniepokoiło - powiedział sir Walter, który właśnie wrócił do pokoju.

Arabella przytrzymała się oparcia krzesła, żeby nie stracić równowagi.

- Pani Strange? Nie wygląda pani najlepiej. - Ujął ramię Arabelli i pomógł jej usiąść. - Czy kogoś sprowadzić? Męża pani? Pokojówkę lady Pole?

- Nie, nie - odparła Arabella nieco stłumionym głosem. - Nikogo, nic. Myślałam... Nie wiedziałam, że pan tu jest. To wszystko.

Sir Walter patrzył na nią z wielką troską. Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie była pewna, czy jej wyszło. Sir Walter włożył ręce do kieszeni, wyjął je, przejechał palcami po włosach, po czym głęboko westchnął.

- Rozumiem, że lady Pole opowiadała pani rozmaite dziwne historie - powiedział ze smutkiem.

Arabella skinęła głową.

- To panią przygnębiło. Bardzo mi przykro.

- Ależ nie, skąd. Lady Pole mówiła o... o nieco dziwnych sprawach, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Ani trochę! Poczułam się nieco słabo, bardzo proszę jednak nie łączyć tych dwóch rzeczy! Moje samopoczucie nie ma nic wspólnego z pańską małżonką! Niemądrze wyobraziłam sobie, że widzę coś w rodzaju zwierciadła, a w nim dziwne krajobrazy... Czułam, że zapadam się w tym zwierciadle. Chyba byłam bliska omdlenia, ale pańskie wejście mu zapobiegło. Bardzo dziwne. Do tej pory nic takiego mnie nie spotkało.

- Przyprowadzę pana Strange'a.

- Proszę bardzo, jeśli pan sobie tego życzy, ale zapewniam pana, że będzie znacznie mniej przejęty niż pan. - Arabella zaśmiała się serdecznie. - Pana Strange'a nie interesują niedyspozycje innych. Jego własne to całkiem inna sprawa. Nie ma potrzeby po nikogo posyłać. Widzi pan, doszłam do siebie. Nic mi nie jest. Zapadła cisza.

- Lady Pole... - zaczęła nagle Arabella, ale urwała, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Moja małżonka zazwyczaj jest spokojna - zapewnił ją sir Walter. - Może niezbyt pogodna, ale spokojna. Te rzadkie okazje jednak, gdy w naszym domu pojawia się nowy gość, zawsze poruszają ją do tego stopnia, że wygłasza dziwaczne mowy. Liczę na pani wyrozumiałość i mam nadzieję, że nie będzie pani powtarzać historyjek zasłyszanych od mojej żony.

- Och! Oczywiście. Będę milczeć jak grób.

- Bardzo pani życzliwa.

- Czy mogłabym... czy mogłabym jeszcze ją odwiedzić? Lady Pole chyba bardzo sobie tego życzyła, a i mnie by to uszczęśliwiło.

Sir Walter bardzo długo rozważał tę prośbę. W końcu skinął głową, po czym płynnie zmienił to skinienie w ukłon.

- Oboje będziemy zobowiązani - oznajmił. - Dziękuję.

Wkrótce Strange i Arabella opuścili dom na Harley Street. Strange był niezwykle zadowolony.

- Wiem już, co robić - powiedział do żony. - Bułka z masłem. Szkoda, że muszę czekać na opinię Norrella, zanim zacznę, bez tego problem zostałby rozwiązany w pół godziny. Moim zdaniem najważniejsze są dwie rzeczy. Pierwsza... O co chodzi?

Z okrzykiem „och!” Arabella nagle przystanęła. Uświadomiła sobie, że złożyła dwie całkiem sprzeczne obietnice: najpierw przyrzekła lady Pole, że opowie Strange’owi o dzentelmenie z hrabstwa York, który nabył dywan, a potem obiecała sir Walterowi, że nie powtórzy nikomu słów jego małżonki.

- Nic takiego - odparła.

- Którą z rozlicznych propozycji sir Waltera wybrałaś, by zabić czas?

- Żadną. Poznałam lady Pole i... i trochę porozmawiałyśmy. To wszystko.

- Naprawdę? Szkoda, że nie było mnie z tobą. Chętnie poznałbym kobietę, która zawdzięcza życie magii Norrella. Ale nie powiedziałem ci, co mnie się przydarzyło. Pamiętasz, jak nagle wszedł ten czarnoskóry służący? Przez chwilę miałem niejasne wrażenie, że stoi przede mną wysoki czarny król w srebrnym diademie, z błyszczącym srebrnym berłem i jabłkiem. Kiedy jednak spojrzałem na niego ponownie, dostrzegłem tylko sługę sir Waltera. Absurd, nieprawdaż? - Zaśmiał się.

Strange tak długo plotkował z sir Walterem, że był niemal godzinę spóźniony na spotkanie z panem Norrellem, czym go bardzo zdenerwował. Później tego dnia Strange wysłał do admiralicji wiadomość, że on i pan Norrell rozpatrzyli problem zaginionych francuskich okrętów. Doszli do wniosku, że okręty zapewne znajdują się na Atlantyku, w drodze do Indii Zachodnich, gdzie Francuzi planują jakąś niegodziwość. Ponadto obaj magowie zgodzili się co do tego, że admirał Armingcroft trafnie odgadł zamiary wroga i popłynął za nimi. Za radą panów Strange’a i Norrella admiralicja nakazała kapitanowi Lightwoodowi płynąć na zachód, śladem admirała. Wkrótce niektóre francuskie okręty zdobyto, a te, których nie dało się przechwycić, uciekły do francuskich portów.

Arabellę dręczyło sumienie z powodu dwóch sprzecznych obietnic. Opowiedziała o kłopotcie kilku matronom, swoim przyjaciółkom, których rozumowi i sprawiedliwości bezgranicznie ufała. Oczywiście przedstawiła problem czysto teoretycznie, nie wymieniając nikogo z nazwiska ani nie opisując szczegółowo okoliczności. Niestety, przez to jej dylemat był całkowicie niezrozumiały, a mądre matrony nie potrafiły jej pomóc. Przygnębiało ją, że nie może się zwierzyć Strange'owi, bo to oznaczałoby złamanie obietnicy danej sir Walterowi. Przemysłała sprawę i w końcu uznała, że przyrzeczenie złożone osobie przy zdrowych zmysłach bardziej zobowiązuje niż przyrzeczenie złożone osobie, której zmysły się pomieszały. Po co w ogóle miałyby powtarzać nonsensy wygadywane przez nieszczęsną wariatkę? Wobec tego ani słowem nie wspomniała mężowi o opowieściach lady Pole.

Kilka dni później państwo Strange'owie udali się na koncert włoskiej muzyki w domu na Bedford Square. Arabella bardzo dobrze się bawiła, jednak salon, w którym siedzieli słuchacze, był wychłodzony. Podczas krótkiej przerwy między zmianą śpiewaczek bezszelestnie wysliznęła się do sąsiedniego pokoju po szal. Gdy tylko się nim otuliła, usłyszała szmer za plecami. Odwróciła się i ujrzała Drawlighta, który błyskawicznie przytruchtał ku niej.

- Pani Strange! - wykrzyknął. - Jakże miło panią widzieć! Jak się miewa droga lady Pole? Podobno pani ją widziała?

Arabella przytaknęła niechętnie. Drawlight otoczył ją ramieniem, jakby pragnął powstrzymać ją od ucieczki, i rzekł:

- Nie uwierzyłaby pani, jak bardzo się starałem, by zdobyć zaproszenie do ich domu! I wszystko na nic. Sir Walter zbywa mnie jedną marną wymówką po drugiej! Ciągłe to samo - jego małżonka źle się czuje albo czuje się nieco lepiej, ale nigdy na tyle dobrze, by przyjmować gości.

- Cóż, wydaje mi się... - zaczęła Arabella.

- Oczywiście! - przerwał Drawlight. - Jeśli jest chora, naturalnie należy trzymać pospólstwo z dala od niej. Nie ma jednak powodu wykluczać mnie. Oglądałem jej zwłoki! O tak! Nic pani o tym nie wiedziała, prawda? Tej nocy, gdy pan Norrell sprowadził ją ze świata umarłych, wpierv przyszedł do mnie i błagał, bym mu towarzyszył. Powiedział, co następuje: „Proszę jechać ze mną, drogi panie, wątpię, bym mógł znieść widok damy, młodej, pięknej i niewinnej, zabranej z tego świata u progu dorosłości”. A teraz lady Pole siedzi w domu i nikogo nie widuje. Niektórzy uważają, że po zmartwychwstaniu stała się zbyt dumna, by zadawać się ze zwykłymi śmiertelnikami. Myślę jednak, że prawda jest całkiem inna. Sądzę, że śmierć i zmartwychwstanie obudziły w niej apetyt na dziwaczne doznania. Zgodzi się pani

ze mną? Wydaje mi się całkiem możliwe, że przyjmuje jakiś środek, który zsyła na nią koszmary. Nie dostrzegła pani dowodów na takie postępowanie? Nie popijała przypadkiem płynu w dziwnym kolorze? Nie kryła pośpiesznie zwiniętej kartki, gdy weszła pani do pokoju? Kartki, na której mogła leżeć szczypta proszku? Nie? Opium zazwyczaj trzyma się w szklanych niebieskich fiolkach o długości od pięciu do siedmiu centymetrów. W wypadku uzależnienia rodzina skrzętnie skrywa fakty, przeważnie jednak na próżno. Prawda zawsze wychodzi na jaw. - Roześmiał się afektowanie. - Już moja w tym głowa!

Arabella delikatnie uwolniła się z jego uścisku. Było jej przykro, ale niestety nie mogła dostarczyć mu żadnych informacji. Nie wiedziała nic a nic o fiolkach ani proszkach.

Wróciła na koncert w o wiele gorszym nastroju.

- Paskudny, paskudny człowieczek!

## Rozdział szósty

*Biblioteka księcia Roxburghea listopad 1810-styczeń 1811*

Pod koniec 1810 roku sytuacja rządu przedstawiała się fatalnie. Zewsząd ministrowie słyszeli złe wieści. Francuzi triumfowali. Europejskie potęgi, które niegdyś stały u boku Wielkiej Brytanii w walce z Napoleonem Bonapartem (i zostały przez niego pokonane), ponieważ nie rozumiały swój błąd i zawarły sojusz z Cesarzem. W kraju wojna zniszczyła przemysł, ludzie we wszystkich rejonach królestwa bankrutowali, plony były słabe drugi rok z rzędu. Najmłodsza córka króla zachorowała i zmarła, a monarcha oszalał z rozpacz.

Wojna odebrała ludziom spokój. Przyszłość stała pod znakiem zapytania. Żołnierze, kupcy, politycy, farmerzy przeklinali dzień, w którym przyszli na świat, magowie jednak (najwyraźniej rodzaj całkowicie odmienny od reszty ludzi) byli zachwyceni rozwojem wypadków. Od setek lat ich sztuka nie cieszyła się takim poważaniem jak teraz. Skoro każda próba wygrania wojny skazana była na porażkę, magia wydawała się obecnie największą nadzieją Wielkiej Brytanii. Wielu dżentelmenów w rozmaitych resortach ministerstwa wojny i admiralicji bardzo pragnęło zatrudnić panów Norrella i Strange'a. Nawał obowiązków zawodowych sprawił, że goście w domu na Hanover Square musieli czekać do trzeciej bądź czwartej nad ranem, aż panowie Strange i Norrell do nich dołączą. Gdy salon pana Norrella wypełniały tłumy dżentelmenów, nie stanowiło to poważnego problemu, ale biada

nieszczęśliwemu, który przyszedł ostatni! Czekanie w środku nocy za zamkniętymi drzwiami, ze świadomością, że po ich drugiej stronie dwóch magów odprawia czary<sup>[18]</sup>, nie należało do przyjemności.

W tamtym czasie dość popularna była historyjka (dosłownie wszędzie się ją słyszało) o tym, jak to cesarz Napoleon Bonaparte poszukiwał maga na swoje usługi. Szpiegdy lorda Liverpoola<sup>[19]</sup> donosili, iż Cesarz był tak zazdrosny o sukcesy angielskich magów, że rozesłał swych oficerów po całym imperium w poszukiwaniu osoby lub osób obdarzonych magicznymi umiejętnościami. Udało im się znaleźć jedynie Holendra nazwiskiem Witloof, właściciela magicznej szafy. Mebel natychmiast przetransportowano do Paryża w landzie. Już w Wersalu Witloof zaręczył Cesarzowi, że szafa kryje odpowiedzi na wszystkie pytania.

Zgodnie z doniesieniami angielskich szpiegów Bonaparte chciał wiedzieć trzy rzeczy: Czy dziecko cesarzowej będzie płci męskiej? Czy car znów zmieni sprzymierzeńców? I: „Kiedy pokonamy Anglików?”

Witloof wlaźł do szafy i po chwili wyszedł z następującymi odpowiedziami: „Tak”, „Nie”, „Za cztery tygodnie”. Za każdym razem, gdy Witloof wchodził do szafy, dobiegał z niej przeraźliwy hałas, jakby darła się tam połowa demonów z piekła rodem. Chmury maleńkich srebrnych gwiazdek wyfruwały ze szczelin i spod zawiasów, a mebel kołysał się lekko na ozdobnych nóżkach. Po wysłuchaniu wszystkich trzech odpowiedzi Bonaparte przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w szafę, po czym podszedł do niej i otworzył drzwi na oścież. W środku znalazł gęś (która hałasowała), saletrę (do produkcji srebrnych gwiazdek) i karła (który zapalał saletrę i poszturchiwał ptaka). Nie wiadomo dokładnie, co się stało z Witloofem i karłem, ale następnego wieczoru gęś podano cesarzowi na kolację.

W połowie listopada admiralicja zaprosiła panów Norrella i Strange'a do Portsmouth na inspekcję floty strzegącej kanału. Ten przywilej był zazwyczaj zarezerwowany dla admirałów, bohaterów narodowych i królów. W wyznaczonym dniu obaj magowie oraz Arabella przyjechali do Portsmouth karetą pana Norrella. Ich wjazdowi do miasta towarzyszył salut armatni ze wszystkich okrętów stojących w porcie, a także z arsenałów i fortów otaczających port. Przepłynęli między okrętami cumującymi w Spithead, a na łodziach paradnych towarzyszyli im admirałowie, kontradmirałowie i kapitanowie. Płynęły z nimi również mniej dostojne łodzie, pełne szacownych obywateli Portsmouth, którzy przybyli tu, by oglądać obu magów, machać i wiwatować. Po powrocie do Portsmouth pan Norrell oraz państwo Strange'owie obejrżeli stocznię, a wieczorem wydano na ich cześć wielkie przyjęcie w sali balowej. Całe miasto było oświetlone.

Bal okazał się bardzo udany. Na początku nastąpił niemiły zgrzyt, kiedy część gości

niemądrze napomknęła panu Norrellowi o wspaniałości balu i przepychu sali. Niegrzeczne odpowiedzi maga szybko uświadomiły im, że to złośliwy, nieprzyjemny człowiek, gardzący rozmową z kimkolwiek poniżej stopnia admirała. Na szczęście goście przekonali się, że dla odmiany państwo Strange'owie są miłą i pogodną parą. Małżeństwo z przyjemnością witało się z prominentnymi mieszkańcami Portsmouth, z podziwem mówiło o mieście, okrętach oraz ogólnie o marynarce i żeglowaniu. Pan Strange przetańczył wszystkie tańce bez wyjątku, pani Strange odpoczywała tylko przez dwa, a do swych pokoi w Koronie wrócili dopiero po drugiej w nocy.

Strange położył się spać tuż przed trzecią, więc nie był zachwycony, gdy o siódmej rano zbudziło go pukanie. Wstał, otworzył drzwi, a w korytarzu zastał jednego ze służących z gospody.

- Bardzo przepraszam - powiedział mężczyzna - ale admirał portu kazał powtórzyć, że „Czarny Humor” utknął w Końskich Piaskach. Posłał kapitana Gilbeya po któregoś maga, ale tego drugiego boli głowa i nie chce przyjść.

Mimo najlepszych intencji sługa nie zdołał jasno przedstawić sprawy, ale Strange podejrzewał, że nawet gdyby był mniej zaspany, to i tak nic by nie zrozumiał. Nie ulegało jednak wątpliwości, iż coś się stało i że powinien dokądś pójść.

- Powiedz kapitanowi jakmutam, żeby zaczekał - westchnął. - Już idę.

Ubrał się i zszedł do kawiarni, gdzie ujrzał przystojnego młodzieńca w mundurze kapitana, który niecierpliwie krążył po pomieszczeniu. Był to kapitan Gilbey, Strange pamiętał go z sali balowej. Gilbey wydawał się inteligentnym mężczyzną o ujmującym sposobie bycia. Na widok Strange'a najwyraźniej mu ulżyło i wyjaśnił, że okręt „Czarny Humor” osiadł na mieliźnie w Spithead. Sytuacja była bardzo kłopotliwa. Okrętowi groziło poważne uszkodzenie. Tak więc admirał przekazywał najlepsze życzenia panom Norrellowi i Strange'owi i błagał, by jeden z nich lub najlepiej obaj pojechali z kapitanem Gilbeyem i zobaczyli, czy da się coś zrobić.

Przed Koroną stał gig, a jeden ze służących z gospody kręcił się przy koniu. Strange i kapitan Gilbey wsiedli do powozu i ruszyli przez miasto. W Portsmouth dawało się zauważyć oznaki pośpiechu i niepokoju. W oknach ukazywały się głowy w szlafmycach, wykrzykujące pytania; przechodnie krzyczeli coś w odpowiedzi. Bardzo wiele osób spieszyło w tym samym kierunku co gig kapitana Gilbeya.

Gdy dotarli do wałów obronnych, kapitan Gilbey zatrzymał powóz. Było zimno i wilgotno, od morza wiała świeża bryza. Nieopodal olbrzymi okręt leżał na boku, a jego żagle nurzały się, beużyteczne, w ołowianej wodzie. Żeglarze, podobni małym czarnym

punkcikom, trzymali kurczowo relingi i zsuwali się w dół burty. Wokół okrętu tłoczyło się tuzin łodzi i małych jednostek.

Dla nienawykłego do morza Strange'a wyglądało to tak, jakby okręt położył się i zasnął. Pomyślał, że na miejscu kapitana przemówiłby doń surowo i zarządził pobudkę.

- Co robią te łódeczki? - zwrócił się Strange do Gilbeya.

- Przeładowują zapasy i broń.

- A po co?

- Żeby zmniejszyć obciążenie. Jeśli okręt będzie lekki, może się wyprostuje podczas przyływu i spłynie z mielizny.

- Rozumiem. Ale przecież dziesiątki statków przez cały czas wpływają do Portsmouth i zeń wypływają. Jak to się mogło stać?

- Cóż, nie jest to tak niezwykle, jak pan przypuszcza. - Gilbey wzruszył ramionami. - Kapitan mógł być nieobeznany z kanałami Spithead. Poza tym możliwe, że się upił.

Na brzegu zebrał się spory tłum. Prawie każdy mieszkaniec Portsmouth był jakoś związany z morzem lub żeglarstwem. W mieście codziennie plotkowało się o przybijających statkach i o tych, które wypływały oraz kotwiczyły w Spithead. Dzisiejsze wydarzenie wzbudziło powszechne współczucie, a także ciekawość - nie tylko stałych (i licznych) bywalców miejscowych lokali, ale również bardziej szacownych obywateli i kupców, no i, rzecz jasna, wszystkich dżentelmenów z marynarki, którzy mieli czas przyjść i popatrzeć. Właśnie toczyła się ożywiona dyskusja o tym, jaki błąd popełnił dowódca okrętu i co takiego musi zrobić, by postawić jednostkę, więc gdy tylko zrozumiano, kim jest Strange i po co przyszedł, ludzie z radością zaczęli dzielić się z nim swymi opiniami. Niestety, używali przy tym fachowego języka i Strange mógł jedynie się domyślać, o co chodziło. W pewnym momencie popełnił błąd, pytając, co znaczy „płynąć bejdewindem” oraz „stanąć w dryfie”. Doprowadziło to do tak szalenie skomplikowanych wyjaśnień zasad żeglowania, że rozumiał jeszcze mniej niż na początku.

- No cóż, zasadniczy problem polega na tym, że okręt leży na boku - powiedział. - Mam go postawić? To pestka.

- Dobry Boże, nie! - wykrzyknął kapitan Gilbey. - To się nie sprawdzi. Dół z pewnością uderzy o piasek i kadłub się przedziurawi. Wpłyne woda, a wtedy wszyscy zatoną.

- Och - mruknął Strange.

Kolejna próba okazała się jeszcze gorsza. Gdy ktoś napomknął, że świeża bryza zepchnęłaby okręt z mielizny na głębsze wody, Strange'owi przyszło do głowy, że silniejszy

wiatr mógłby pomóc. Uniósł dłonie, by go przywołać.

- Co pan robi? - spytał kapitan Gilbey.

Strange mu wyjaśnił.

- Nie, nie, nie! - zakrzyknął przerażony kapitan.

Kilku mężczyzn otoczyło Strange'a. Jeden z nich zaczął nim energicznie potrząsać, jakby w ten sposób mógł zawczasu udaremnić zastosowanie magii.

- Wiatr wieje z południowego zachodu - wyjaśnił kapitan Gilbey. - Jeśli się wzmoże, kadłub będzie uderzał o piasek i niemal na pewno się przełamie. Wszyscy utoną.

Któryś z gapiów zauważył, że za żadne skarby świata nie może zrozumieć, czemu admiralicja uważa tak zdumiewającego ignoranta. Drugi mężczyzna dodał sarkastycznie, że może Strange nie jest najlepszym magiem, ale przynajmniej dobrze tańczy. Trzecia osoba wybuchnęła śmiechem.

- Jak się nazywa ta mielizna? - spytał Strange. Kapitan Gilbey pokręcił ze znużeniem głową, chcąc dać do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o czym mówi Strange.

- No. To miejsce... To miejsce, gdzie ugrzązł okręt - wykrztusił Strange. - Coś z końmi?

- Mielizna zwie się Końskie Piaski - odparł kapitan Gilbey zimno i odwrócił głowę, by porozmawiać z kimś innym.

Przez następnych kilka minut nikt nie zwracał uwagi na maga. Ludzie przyglądali się sunącym nieopodal „Czarnego Humoru” słupom, brygom i barkom, patrzyli na niebo i rozmawiali o tym, jak zmienia się pogoda i skąd będzie wiał wiatr podczas przyływu.

Nagle kilka osób zawołało, by spojrzeć na wodę, na której pojawiło się coś osobliwego. Był to wielki srebrzysty stwór o wydłużonym łbie niecodziennego kształtu i grzywie przypominającej długie blade wodorosty. Stworzenie to najwyraźniej płynęło ku „Czarnemu Humorowi”. Gdy tłum krzyknął ze zdumienia na widok tajemniczego kształtu, pojawiło się ich jeszcze kilka. W następnej chwili w wodzie pływał cały zastęp srebrzystych osobliwości. Wszystkie podążały ku okrętowi z wielką łatwością i nadzwyczaj prędko.

- Cóż to takiego? - spytał ktoś z tłumu. Kształty były zbyt duże jak na ludzi i wcale nie przypominały ryb ani delfinów.

- To konie - powiedział Strange.

- Skąd się wzięły? - chciał wiedzieć ktoś inny.

- Ja je stworzyłem - wyjaśnił Strange. - Z piachu. Z Końskich Piasków, ściśle biorąc.

- Nie rozpuszczą się? - spytał człowiek z tłumu.

- Po co powstały? - dodał kapitan Gilbey.



- Zrobione są z piachu, morskiej wody i magii, przetrwają dopóty, dopóki będą miały zajęcie. Kapitanie, proszę kazać załodze jednej z łodzi poinformować kapitana „Czarnego Humoru”, że jego ludzie mają zaprząć jak najwięcej koni do jednostki. One ściągną okręt z mielizny.

- Och! - powiedział kapitan Gilbey. - Tak jest, już się robi.

W pół godziny po tym, jak informacja dotarła na pokład „Czarnego Humoru”, okręt był już poza mielizną, a marynarze mieli pełne ręce roboty z porządkowaniem żagli i wykonywaniem tysiąca i jednej czynności, którymi zwykle zajmują się żeglarze (czynności te są równie tajemnicze jak poczynania magów). Należy jednak zauważyć, że magia nie działała zgodnie z zamierzeniami Strange’a.

Nie przewidział, ile zachodu będą mieli marynarze z okiełznaniem koni. Sądził, że na okręcie znajdzie się mnóstwo lin, które posłużą do sprokurowania uździenic; postarał się, by magiczne konie były posłuszne. Marynarze znają się jednak tylko na morzu i na niczym więcej, a już z pewnością nie na koniach. Niektórzy z nich robili, co mogli, by pochwycić i ujarzmić stwory, lecz większość zupełnie nie rozumiała, od czego zacząć, albo też zbytnio obawiała się srebrzystych nieziemskich istot, by do nich podejść. Z setki koni wyczarowanych przez Strange’a zaledwie około dwudziestu zaprzęgnięto do okrętu. Niewątpliwie odegrały one główną rolę w ściągnięciu „Czarnego Humoru” z mielizny, lecz równie przydatna okazała się wyrwa w piasku, pogłębiająca się w miarę tworzenia coraz większej liczby koni.

W Portsmouth opinie były podzielone: jedni twierdzili, że Strange dokonał wielkiej rzeczy, ocalając „Czarny Humor”, inni, że wykorzystał katastrofę do zyskania większej sławy. Wielu tutejszych kapitanów i oficerów uważało, że jego magia była bardzo efekciarska i przede wszystkim miała zwrócić uwagę na niepospolity talent wykonawcy oraz wyrzucić wrażenie na admiralicji, a nie ocalić okręt. Nie byli też zachwyceni piaskowymi końmi. Wcale nie znikły po pracy, jak obiecywał Strange, lecz przez półtora dnia pływały po Spithead, by w końcu zamienić się w piaszczyste ławice w nowych i zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Kapitanowie i sternicy w Portsmouth uskarżali się w kapitanacie, że Strange na stałe zmienił kanały i mielizny w Spithead, zatem marynarka będzie musiała ponieść koszty i ponownie przeprowadzić sondowanie i pomiary kotwiczowiska.

W Londynie jednak, gdzie ministrowie mieli równie niewielkie pojęcie o statkach i żeglowaniu jak Strange, jedno było jasne - ocalił on okręt, którego utrata kosztowałaby

admiralicję ogromne pieniądze.

- Uratowanie „Czarnego Humoru” dowodzi, że dobrze mieć na miejscu maga, który natychmiast poradzi sobie z problemem - zauważył sir Walter Pole w rozmowie z lordem Liverpoolem. - Wiem, że musieliśmy zrezygnować z planu wysłania Norrella na front, ale co ze Strange'em?

Lord Liverpool zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Myślę, że moglibyśmy wysłać pana Strange'a, by służył jednemu z generałów, gdybyśmy mieli względną pewność, że generał ten wkrótce odniesie sukces w walce z Francuzami. W innym wypadku byłoby to niewybaczalne marnowanie talentów pana Strange'a, których Bóg jeden wie, jak bardzo nam trzeba w Londynie. Zatem nie mamy zbyt wielkiego wyboru. W grę wchodzi jedynie lord Wellington.

- W rzeczy samej!

Lord Wellington przebywał w Portugalii ze swoją armią, więc zasięgnięcie jego opinii raczej nie wchodziło w grę. Traf chciał jednak, że jego małżonka mieszkała na Harley Street pod numerem jedenastym, naprzeciwko domu sir Waltera. Kiedy tego wieczoru sir Walter udawał się do siebie, najpierw zastukał do drzwi lady Wellington i spytał ją, jak jej zdaniem lord Wellington zareagowałby na ewentualną obecność maga u swego boku. Lady Wellington, drobna, nieszczęśliwa istota, której mąż nigdy nie słuchał, nie miała zielonego pojęcia.

Strange z kolei był zachwycony pomysłem. Arabella, choć nieco mniej rozentuzjasmowana, prędko wyraziła zgodę. Największą przeszkodą w wyjeździe Strange'a okazał się - a jakże - pan Norrell. Z miesiąca na miesiąc był coraz bardziej uzależniony od swego ucznia. Konsultował ze Strange'em wszystkie sprawy, z których dawniej zwierzał się Drawlightowi i Lascellesowi. Pod nieobecność Strange'a pan Norrell mówił tylko o nim, a w jego obecności tylko do niego. Nigdy wcześniej nie był do nikogo aż tak przywiązany. Nigdy wcześniej nie czuł się komfortowo w niczym towarzystwie. Dochodziło do tego, że jeśli na jakimś przyjęciu w zatłoczonym salonie lub sali balowej Strange zdołał wymknąć się na kwadrans, pan Norrell natychmiast posyłał za nim Drawlighta, by ten sprawdził, dokąd poszedł młody mag i z kim rozmawiał.

Kiedy zatem pan Norrell odkrył istnienie planu, który miał na celu wysłanie jego jedyne go ucznia i przyjaciela na wojnę, był rozgoryczony.

- Jestem zdumiony, sir Walterze, że sugeruje pan coś podobnego!

- W czasie wojny każdy człowiek musi być przygotowany na ofiarę w imię dobra kraju - powiedział sir Walter nie bez irytacji. - Tysiące już się poświęciły, jak pan wie.

- Przecież to byli żołnierze! - wykrzyknął pan Norrell. - Och! Rzecz jasna, żołnierz na swój sposób jest niezwykle cenny, ale jego śmierć to pestka w porównaniu ze stratą, jaką poniesie naród, gdy coś się stanie panu Strange'owi. Jeśli dobrze rozumiem, w High Wycombe działa szkoła, gdzie każdego roku szkoli się trzystu oficerów. Dziękowałbym Bogu, gdybym miał szczęście uczyć trzystu magów! Być może wtedy sytuacja angielskiej magii przedstawiałaby się o wiele bardziej obiecująco!

Po niepowodzeniu sir Waltera lord Liverpool i księżę Yorku postanowili porozmawiać z panem Norrellem na ten temat, jednak żaden z nich nie zdołał stłumić przerażenia maga na myśl o wyjeździe Strange'a.

- Czy wziął pan pod uwagę, jakim szacunkiem będzie się dzięki temu cieszyła angielska magia? - spytał Strange.

- O, być może - prychnął pan Norrell. - Ale nic nie kojarzy się bardziej z Królem Kruków i tą dziką, szkodliwą magią niż widok angielskiego maga na polu bitwy! Ludzie pomyślą, że przyzywamy elfy i naradzamy się z sowami i niedźwiedziami. Ja marzę o tym, by angielską magię uważano za szacowną profesję, taką jak...

- Drogie panie - przerwał Strange pośpiesznie, by nie wysłuchiwać po raz setny tej samej tyrady. - Nie zamierzam podróżować w towarzystwie elfich pomocników. Należy także wziąć pod uwagę inne aspekty sprawy. Często obaj lamentowaliśmy, że każe się nam rzucać w kółko te same czary. Moim zdaniem wojna sprawi, że będę miał do czynienia z magią, której wcześniej nie praktykowałem. Jak już często obaj mieliśmy okazję się przekonać, dzięki praktyce znacznie łatwiej zrozumieć teorię.

Dwaj magowie jednak zbyt różnili się charakterami, żeby osiągnąć porozumienie w tej sprawie. Strange twierdził, że należy zlekceważyć niebezpieczeństwo, by magii przysporzyć chwały. Mówił językiem naszpikowanym metaforami rodem z gier losowych i pola bitwy, przez co raczej nietrudno mu było znaleźć zrozumienie w oczach pana Norrella. Starszy mag nieustannie zapewniał Strange'a, że wojna z pewnością nie przypadnie mu do gustu.

- Na polu bitwy często jest zimno i mokro. Wbrew temu, co pan sądzi, nie spodoba się to panu.

Przez kilka tygodni stycznia i lutego 1811 roku wydawało się, że sprzeciw Norrella powstrzyma Strange'a przed wyjazdem na wojnę. Wszyscy, sir Walter, lord Liverpool, księżę Yorku i Strange, popełnili poważny błąd, apelując do szlachetności, patriotyzmu i poczucia obowiązku pana Norrella. Bez wątplenia posiadał wszystkie te cnoty, ale przeważały inne pryncypia, dominujące w jego przekonaniach i zawsze oddalające myśli o wyższych wartościach.

Na szczęście wokół niego kręciło się dwóch dżentelmenów, którzy potrafili załatwić sprawę po swojej myśli. Lascelles i Drawlight równie mocno jak inni pragnęli, by Strange wyjechał do Portugalii, i dlatego właśnie postanowili zagrać na niepokojach pana Norrella dotyczących losu biblioteki księcia Roxburghe'a.

Rzeczona biblioteka już od dawna była solą w oku maga. Jako jeden z najważniejszych prywatnych zbiorów w królestwie zbiór księcia ustępował jedynie bibliotece pana Norrella. Miał przy tym dziwną i ciekawą historię. Mniej więcej pięćdziesiąt lat temu książę Roxburghe, inteligentny, kulturalny i szacowny dżentelmen, zakochał się w siostrze królowej i poprosił jego wysokość o jej rękę. Z rozmaitych powodów, związanych z dworską etykietą, formą oraz ze względu na brak precedensu, król odmówił. Zrozpaczony książę i siostra królowej ze złamanym sercem poprzysięgli sobie kochać się aż do śmierci i za nic w świecie nie poślubić nikogo innego. Czy siostra królowej dotrzymała obietnicy, tego nie wiem, książę jednak powrócił do swego zamku na granicy ze Szkocją i by wypełnić czymś samotne dni, zaczął kolekcjonować rzadkie książki: kunsztownie iluminowane średniowieczne manuskrypty oraz egzemplarze pierwszych drukowanych ksiąg z warsztatów ludzi o niepospolitym talencie, takich jak William Caxton z Londynu i Valdarfer z Wenecji. Na początku wieku biblioteka księcia została okrzyknięta jednym z cudów świata. Jego wysokość lubił poezję, romanse rycerskie, historię i teologię. Nieszczerólnie zajmowała go magia, ale uwielbiał wszystkie stare książki i byłoby dziwne, gdyby do jego zbiorów nie trafiło kilka magicznych tekstów.

Pan Norrell wiele razy pisał do księcia, błagając o zgodę na przejrzanie i ewentualny zakup ksiąg magii, jeśli takowe znalazłyby się w bibliotece. Książę jednak wcale nie zamierzał zaspokajać ciekawości pana Norrella, a że był bogaczem, za nic miał jego pieniądze.

Dotrzymawszy obietnicy złożonej wiele lat wcześniej siostrze królowej, książę nie doczekał się dzieci ani bezpośredniego dziedzica. Kiedy zmarł, spora liczba jego męskich krewnych była przekonana, że to właśnie im należy się tytuł następnego księcia Roxburghe'a. Dżentelmeni ci dochodzili swych praw przed sądem parów w Izbie Lordów. Sąd po obradach wydał werdykt, że nowym księciem jest albo generał dywizji Ker, albo sir James Innes, ale który z nich - sąd nie był pewien i postanowił zająć się sprawą w późniejszym terminie. Na początku 1811 roku decyzja wciąż jeszcze nie została podjęta.

W pewien zimny, mokry wtorkowy poranek pan Norrell siedział razem z panami Lascellesem i Drawlightem w bibliotece na Hanover Square. W pomieszczeniu przebywał również

Childermass, który w imieniu pana Norrella pisał listy do rozmaitych resortów rządowych. Strange wraz z małżonką pojechał odwiedzić przyjaciela w Twickenham.

Lascalles i Drawlight rozmawiali o procesie pomiędzy Kerem i Innesem. Kilka pozornie niewinnych aluzji Lascallesa do słynnej biblioteki zainteresowało pana Norrella.

- Co wiemy o tych ludziach? - spytał. - Interesuje ich praktykowanie magii?

Lascalles uśmiechnął się do niego.

- W tej materii może być pan spokojny, drogi panie. Zapewniam pana, że Innesa i Kera interesuje jedynie tytuł książęcy. Wątpię, by któryś z nich kiedykolwiek zajrzał do książki.

- Doprawdy? Nie interesują ich księgi? Bardzo krzepiące. - Pan Norrell zastanawiał się przez chwilę. - Mimo to założmy, że jeden z nich odziedziczy bibliotekę księcia, znajdzie przypadkiem jakiś rzadki magiczny tekst na półce i się nim zainteresuje. Ludzi ciekawi magia, dobrze pan o tym wie. To jedna z najsmutniejszych konsekwencji mojego sukcesu. Być może człowiek ten po lekturze zechce rzucić jedno czy dwa zaklęcia. W końcu sam zaczynałem w ten sposób, gdy jako dwunastolatek otworzyłem księgę w bibliotece wuja i znalazłem w niej kartkę wyrwaną ze znacznie starszego woluminu. Natychmiast po jej przeczytaniu doszedłem do wniosku, że muszę zostać magiem!

- Doprawdy? Bardzo interesujące - powiedział Lascalles śmiertelnie znudzonym tonem. - Wątpię jednak, czy tak się stanie w wypadku Innesa lub Kera. Innesowi stuknęła siedemdziesiątka, Kerowi podobnie. Żaden z nich nie szuka nowego zajęcia.

- Och, ale czy nie mają młodych krewnych? Krewnych, którzy pilnie czytują „Przyjaciół Angielskiej Magii” i „Maga Nowoczesnego”? Krewnych, gotowych rzucić się na każdą księgę magii w ich zasięgu? Proszę wybaczyć, drogi panie, ale zaawansowany wiek obu panów nie jest dla mnie żadną gwarancją bezpieczeństwa.

- No cóż. Śmiem wątpić, by ci młodzi taumatomani<sup>[20]</sup>, których pan tak barwnie opisał, mieli okazję obejrzeć bibliotekę. Żeby umożliwić swoje starania o tytuł księcia, obaj, Ker i Innes, ponieśli olbrzymie wydatki. Pierwszym zmartwieniem księcia - ktokolwiek nim zostanie - będzie spłacenie adwokatów. Gdy tylko trafi do zamku Floors<sup>[21]</sup>, natychmiast zacznie rozglądać się za czymś do sprzedania. Mocno się zdziwię, jeśli biblioteka nie zostanie wystawiona na licytację w ciągu tygodnia od postanowienia sądu.

- Licytacja! - wykrzyknął pan Norrell zaniepokojony.

- Czego się pan znowu obawia? - Childermass oderwał się od pisania. - Przecież zazwyczaj cieszą pana licytacje.

- Tak było wcześniej, kiedy nikt poza mną nie interesował się księgami magii - wyjaśnił pan Norrell. - Teraz obawiam się, że wiele osób zechce je kupić. Zapewne nawet pojawi się wzmianka w „Timesie”.

- Och! - wykrzyknął Drawlight. - Jeśli księgi kupi ktoś inny, poskarży się pan ministrom! Albo księciu Walii! Nie leży w interesie narodu, by księgi magii trafiły na własność do kogoś poza panem, drogi panie.

- Nie licząc Strange’a - zauważył Lascelles. - Nie sądzę, by księżę Walii albo ministrowie mieli coś przeciwko temu, by Strange zakupił te księgi.

- Prawda - zgodził się Drawlight. - Zapomniałem o Strange’u.

Pan Norrell wydawał się bardziej zaniepokojony niż zwykle.

- Ale pan Strange na pewno zrozumie, że te księgi powinny należeć do mnie - powiedział. - Muszą trafić do jednej biblioteki. Nie wolno ich rozdzielać. - Popatrzył po rozmówcach z nadzieją, że któryś z nich mu przytaknie. - Naturalnie nie mam nic przeciwko temu, by pan Strange się z nimi zapoznał. Wszyscy wiedzą, ile swych ksiąg, bardzo cennych, udostępniłem panu Strange’owi. To znaczy... oczywiście, wszystko zależy od treści.

Drawlight, Lascelles i Childermass milczeli. Rzeczywiście wiedzieli, ile ksiąg pan Norrell pożyczył Strange’owi. Wiedzieli również, ile przed nim ukrył.

- Strange to dżentelmen - odezwał się w końcu Lascelles. - Zachowa się jak dżentelmen i będzie oczekiwał tego samego od pana. Jeśli księgi zostaną zaoferowane panu i tylko panu, prywatnie, z kupnem nie będzie problemu, jeśli jednak trafią na aukcję, pan Strange będzie się czuł upoważniony licytować przeciwko panu.

Pan Norrell milczał, patrząc na Lascellesa i nerwowo oblizując usta.

- Sądzi pan, że jak sprzedadzą te księgi? Na licytacji czy w wyniku prywatnej transakcji?

- Na licytacji - odparli jednocześnie Lascelles, Drawlight i Childermass.

Pan Norrell zakrył twarz rękoma.

- Rzecz jasna - powiedział Lascelles powoli, jakby ta myśl dopiero co przyszła mu do głowy - gdyby Strange przebywał za granicą, nie mógłby licytować. - Upił łyk kawy. - Prawda?

Pan Norrell podniósł głowę, a na jego obliczu pojawiła się nowa nadzieja. Nagle mniej więcej roczny wyjazd pana Strange’a do Portugalii stał się wielce pożądany<sup>[22]</sup>.

## Rozdział siódmy

*U Jose Estonia styczeńmarzec 1811*

- Przyszło mi do głowy, drogi panie, że mój wyjazd na Półwysep Iberyjski spowoduje znaczne zmiany w pańskich stosunkach z Ministerstwem Wojny - powiedział Strange. - Obawiam się, że pod moją nieobecność czeka pana sporo kłopotów, gdy petenci dniem i nocą będą stukali do pańskich drzwi, żądając natychmiast takich czy innych czarów. Nikt inny poza panem o nich nie zadba. Kiedy będzie pan spał? Myślę, że należy przekonać ludzi do innego sposobu rozwiązywania problemów. Jeśli mogę w czymś pomóc, chętnie to zrobię. Może w tym tygodniu zaprosimy lorda Liverpoola na kolację?

- O tak! - Ten przejaw troski Strange'a wprawił pana Norrella w dobry humor. - Musi pan przyjść. Tak dobrze pan wszystko tłumaczy. Wystarczy, że powie pan kilka słów, a lord Liverpool natychmiast wszystko pojmie.

- Mam napisać do jego lordowskiej mości?

- O tak! Tak!

Był pierwszy tydzień stycznia. Daty wyjazdu Strange'a jeszcze nie ustalono, ale zbliżała się nieuchronnie. Strange natychmiast wystosował zaproszenie. Lord Liverpool odpowiedział bez zwłoki, a dwa dni później zjawił się na Hanover Square.

Pan Norrell i Jonathan Strange mieli zwyczaj spędzać godzinę przed kolacją w bibliotece pana Norrella i właśnie w tym pomieszczeniu przyjęli jego lordowską mość. Childermass także był obecny, gotów pełnić obowiązki urzędnika, doradcy, posłańca lub sługi - w zależności od sytuacji.

Lord Liverpool nigdy nie widział biblioteki pana Norrella. Nim usiadł, rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Mówiono mi, drogi panie, że pańska biblioteka to jeden z cudów współczesnego świata, ale nie sądziłem, że jest choćby w połowie tak obszerna.

Pan Norrell był bardzo zadowolony. Właśnie takich gości lubił - gości, którzy podziwiali książki, ale nie wykazywali chęci zdejmowania ich z półek i czytania.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o książkach, które muszę zabrać - zwrócił się Strange do pana Norrella. - Sporządziłem listę czterdziestu tytułów, ale jeśli sędzi pan, że można ją wzbogacić, chętnie wysłucham pańskiej rady.

Ze sterty papierów na stole wyciągnął złożoną kartkę i wręczył ją panu Norrellowi.

Lista nie uradowała pana Norrella. Pełna była świeżych i starych notatek, krzywo spisanych, czasami okrążających słowa, które im stanęły na drodze. Było tam również mnóstwo kleksów, błędów w tytułach, nazwiskach autorów i, co najgorsze, trzy wersy wierszowanej zagadki, którą Strange zaczął układać w prezencie pożegnalnym dla Arabelli. Nie dlatego jednak pan Norrell pobladł. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Strange będzie potrzebował ksiąg w Portugalii. Myśl, że czterdzieści cennych tomów trafi do kraju ogarniętego wojną, gdzie mogą spłonąć, wylecieć w powietrze, pójść na dno lub zniknąć pod warstwą pyłu, była niemal nie do zniesienia. Pan Norrell niewiele wiedział o wojnie, ale podejrzewał, że żołnierze nie są zagorzałymi miłośnikami literatury. Mogliby dotykać ksiąg brudnymi palcami. Podrzeć je. Mogliby, o zgrozo, je przeczytać i wypróbować zaklęcia! Pan Norrell nie wiedział nawet, czy żołnierze potrafią czytać, jednak mając los całego kontynentu w rękach i lorda Liverpoola przed nosem, zrozumiał, jak trudna, wręcz niemożliwa będzie odmowa.

Odwrócił głowę i popatrzył błagalnie na Childermassa. Dysponent wzruszył ramionami.

Lord Liverpool spoglądał na pana Norrella ze spokojem. Wydawało się, że jego zdaniem chwilowa nieobecność mniej więcej czterdziestu ksiąg spośród tylu tysięcy będzie niemal niezauważalna.

- Nie chciałbym zabierać więcej niż czterdziestu - ciągnął Strange rzeczowym tonem.

- Bardzo rozsądnie - zauważył lord Liverpool. - Bardzo rozsądnie. Proszę nie brać więcej, niż zdoła pan mieć na podorędziu.

- Na podorędziu! - wykrzyknął pan Norrell, zaskoczony bardziej niż zwykle. - Chyba nie zamierza ich pan nosić z miejsca na miejsce? Natychmiast po przyjeździe musi je pan umieścić w bibliotece. Najlepiej w bibliotece zamkowej. Zamek powinien być solidny i dobrze broniony...

- Obawiam się, że w bibliotece nie na wiele mi się zdadzą - przerwał mu Strange z irytującym spokojem. - Będę przebywał w obozowiskach i na polach bitwy. Księgi muszą mi towarzyszyć.

- Wobec tego proszę trzymać je w kufrze - zażądał pan Norrell. - Solidnym drewnianym kufrze albo w żelaznej skrzyni! Tak, taka skrzynia będzie najodpowiedniejsza. Każemy ją wykuć, a potem...

- Proszę wybaczyć, drogi panie - wtrącił lord Liverpool - jednak stanowczo odradzałbym żelazną skrzynię. Trudno byłoby znaleźć dla niej miejsce na wozach. Żołnierze przewożą na nich sprzęt, mapy, żywność, amunicję i inne rzeczy. Pan Strange przysporzy



armii najmniej kłopotów, jeśli będzie wioził swój dobytek na mule lub osły, tak jak oficerowie.

- Odwrócił się do Strange'a. - Przyda się panu dobry, silny muł, by dźwigał bagaż i pańskiego sługę. Proszę u Hewleya i Ratta zakupić juki i w nich umieścić księgi. Wojskowe juki są najbardziej pojemne. Poza tym na wozie księgi niemal na pewno zostałyby skradzione. Przykro mi to mówić, ale żołnierze kradną wszystko. - Podumał przez chwilę i dodał: - Przynajmniej w naszej armii.

Pan Norrell ledwie zdawał sobie sprawę z przebiegu kolacji. Niemal nie zauważył, że Strange i jego lordowska mość dużo rozmawiają i dużo się śmieją. Kilka razy słyszał, jak Strange mówi: „Zatem to postanowione!”, a jego lordowska mość odpowiada: „O, naturalnie!” O czym jednak rozprawiali, tego pan Norrell nie wiedział, zresztą wcale o to nie dbał. Żałował, że w ogóle przyjechał do Londynu. Żałował, że postanowił uratować od zapomnienia angielską magię. Żałował, że nie został w opactwie Hurlfrew, by czytać i czarować dla własnej przyjemności. Uważał, że nic nie jest warte utraty czterdziestu ksiąg.

Po wyjściu lorda Liverpoola i Strange'a poszedł do biblioteki, by popatrzeć na czterdzieści ksiąg, potrzymać je w rękach i nacieszyć się nimi, póki jeszcze mógł.

Childermass nadal tam był. Spożył kolację przy jednym z biurek, a teraz zajął się rachunkami. Po wejściu pana Norrella uniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Sądzę, że pan Strange znakomicie poradzi sobie na wojnie, proszę pana - powiedział.  
- Pana zdołał przechytrzyć.

W jasną księżycową noc na początku lutego brytyjski okręt „Dar Świętego Seria”<sup>[23]</sup> popłynął w górę Tagu i przycumował przy placu Karego Konia w Lizbonie. Strange i jego służący Jeremy Johns byli wśród osób, które najwcześniej zeszły z trapu. Strange nigdy nie bawił za granicą. Odkrył, że podróżowanie, na dodatek w czasach ważnych operacji militarnych i morskich, jest wielce ekscytujące. Rwał się do rzucania zaklęć.

- Zastanawiam się, gdzie jest lord Wellington - powiedział do Jeremy'ego Johnsa. - Myślisz, że któryś z nich będzie wiedział?

Popatrzył z ciekawością na wysoki niedokończony łuk na skraju placu. Wyglądał bardzo wojskowo. Strange wcale by się nie zdziwił, gdyby gdzieś za nim odkrył Wellingtona.

- Jest druga w nocy - zauważył Jeremy. - Jego lordowska mość zapewne śpi.

- Tak przypuszczasz? Mimo że losy całej Europy są w jego rękach? Zapewne masz rację.

Strange niechętnie postanowił udać się teraz do hotelu, a lorda Wellingtona poszukać rankiem.

Polecono im hotel na ulicy Szewskiej. Należał do Kornwalijszczyka, pana Prideaux.

Gośćmi pana Prideaux byli niemal wszyscy brytyjscy oficerowie, którzy właśnie powrócili z Anglii do Portugalii albo czekali na statek, mający ich zabrać na przepustkę. Pan Prideaux robił co w jego mocy, by podczas pobytu w hotelu oficerowie czuli się jak u siebie w domu. Nie do końca mu się to jednak udało. Wkrótce bowiem odkrył, że Portugalia niestrudzenie narzuca się jego gościom. Choć tapetę i meble w hotelu sprowadzono z Londynu, portugalskie słońce świeciło na nie już od pięciu lat, przez co zbladły na portugalską modłę. Pan Prideaux pouczył kucharkę, by przygotowywała angielskie potrawy, ale była ona Portugalką i w daniach zawsze znajdowało się więcej pieprzu i oliwy, niż życzyliby sobie goście. Nawet buty gości wyglądały nieco portugalsko, kiedy wyczyścił je portugalski pucybut.

Następnego ranka Strange wstał raczej późno. Zjadł pożywne śniadanie, po czym spacerował przez godzinę bądź dwie. Lizbona okazała się miastem pełnym placów z pasażami, eleganckich nowoczesnych budynków, posągów, teatrów i sklepów. Strange pomyślał, że wojna wcale nie jest taka okropna.

Po powrocie do hotelu ujrzał czterech lub pięciu angielskich oficerów - rozmawiali z ożywieniem przy wejściu do budynku. Właśnie na taką okazję czekał. Podeszedł do nich, przeprosił, że przeszkadza, wyjaśnił, kim jest, i spytał, gdzie w Lizbonie można znaleźć lorda Wellingtona.

Oficerowie odwrócili głowy i spojrzeli na niego z niejakim zdumieniem, jakby uważali pytanie za niestosowne, choć Strange nie miał pojęcia dlaczego.

- Lorda Wellingtona nie ma w Lizbonie - powiedział w końcu jeden z nich, mężczyzna w niebieskiej kurtce i białych huzarskich bryczesach.

- Och! A kiedy wróci? - spytał Strange.

- Wróci? - powtórzył oficer. - Nie wróci przez wiele tygodni, może miesięcy, jak sądzę. Może nigdy.

- No to gdzie go znajdę?

- Dobry Boże! - westchnął oficer. - Może przebywać gdziekolwiek.

- Nie wie pan, gdzie jest? - nie ustępował Strange. Oficer zgromił go wzrokiem.

- Lord Wellington nie siedzi w jednym miejscu - oświadczył. - Lord Wellington udaje się tam, gdzie jest potrzebny - dodał, by Strange lepiej zrozumiał. - A jest potrzebny wszędzie.

Inny oficer, w szkarłatnej kurtce obficie zdobionej srebrną koronką, powiedział nieco przyjaźniej:

- Lord Wellington jest na linii.

- Na linii? - powtórzył Strange.

- Tak.

Niestety, nie była to tak jasna i pomocna odpowiedź, jak sądził oficer. Strange czuł jednak, że już wystarczająco długo demonstrował ignorancję. Pragnienie zadawania pytań gdzie się ulotniło.

„Lord Wellington jest na linii”. Zdanie było bardzo dziwne... Gdyby Strange miał ryzykować zgadywanie, zapewne oświadczyłby, że to jakieś potoczne określenie popijawy.

Wrócił do hotelu i kazał portierowi odnaleźć Jeremy’ego Johnsa. Doszedł do wniosku, że jeśli ktoś ma z siebie robić ignoranta i głupca przed armią Wielkiej Brytanii, niechaj to będzie Jeremy.

- Tu jesteś! - powiedział na widok sługi. - Poszukaj jakiegoś żołnierza albo oficera i spytaj go, gdzie znajdę lorda Wellingtona.

- Naturalnie, proszę pana. Ale nie chce pan o to spytać osobiście?

- Wykluczone. Muszę natychmiast zająć się magią. Wobec tego Jeremy wyszedł i po krótkiej chwili powrócił.

- Dowiedziałeś się? - spytał Strange.

- O tak! - odparł Jeremy radośnie. - To nie tajemnica. Lord Wellington jest na linii.

- Ale co to znaczy?

- Proszę o wybaczenie! Tamten dżentelmen powiedział to tak swobodnie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Myślałem, że pan wie.

- Nie wiem. Może lepiej spytajmy Prideaux.

Pan Prideaux był zachwycony, że może się na coś przydać. Odnalezienie Wellingtona wydawało mu się rzeczą najprostszą pod słońcem. Wystarczyło, że pan Strange uda się do kwatery głównej armii. Z pewnością znajdzie tam jego lordowską mość. Kwatera leżała pół dnia drogi od miasta, może nieco dalej.

- To taka sama odległość jak ta, która dzieli Tyburn i Godalming, jeśli może pan to sobie wyobrazić.

- Gdyby był pan tak łaskaw i pokazał mi na mapie...

- A niech to! - powiedział pan Prideaux, wielce rozbawiony. - Nigdy pan tam nie trafi. Muszę znaleźć kogoś, kto pana poprowadzi.

Osobą znaną przez pana Prideaux okazał się intendent przebywający w interesach w Torres Vedras, mieście oddalonym o cztery lub pięć kilometrów od kwatery głównej. Intendent bardzo się ucieszył, że może jechać ze Strange’em i wskazać mu drogę. Strange

pomyślał, że nareszcie robi jakieś postępy.

Pierwsza część drogi wiodła przez przyjemną okolicę pełną pól i winnic. Gdzieś dało się zauważyć pomalowane na biało domki i kamienne wiatraki o śmigłach obitych brązowym płótnem. Drogę przemierzało wielu portugalskich żołnierzy w brązowych mundurach. Dostrzegli też kilku oficerów Wielkiej Brytanii, których jaśniejsze uniformy, szkarłatne bądź niebieskie, były bardziej - jak na patriotyczny gust Strange'a - męskie i zadziorne. Po trzech godzinach jazdy ujrzeli pasmo górskie, niczym mur wyrastające z równiny.

Gdy dotarli do wąskiej dolinki między najwyższymi górami, intendent oznajmił:

- To początek linii. Widzi pan fort? Wysoko, po tej stronie przełęczy? - Wskazał na prawo. „Fort” chyba z początku był zaledwie wiatrakiem, ale niedawno wzbogacono go we wszelkiego typu dodatki, takie jak bastiony, blanki i ambrazury. - Tam, po drugiej stronie przełęczy, widać drugi fort - ciągnął intendent, wskazując na lewo. - A tam, na tym kamiennym wypiętrzeniu, jest jeszcze jeden mały fort. I jeszcze dalej, choć pan tego nie widzi, bo dziś są straszne chmury, też jest fort. I tak dalej, i tak dalej. Cała linia fortów od Tagu do morza! To nie wszystko! Są jeszcze dwie linie na północy. Razem trzy linie!

- Rzeczywiście robi wrażenie. To robota Portugalczyków?

- Nie, proszę pana. Lorda Wellingtona. Francuzi tędy nie przejdą. A niech mnie! Mysz się tu nie przecisnie bez listu żelaznego od lorda Wellingtona! Dlatego właśnie francuska armia siedzi w Santarem i nie może się ruszyć, a my śpimy spokojnie w naszych łóżkach w Lizbonie!

Wkrótce zjechali z drogi na ścieżkę, która prowadziła po wzgórzu do maleńkiej wioski Pero Negro. Strange'a uderzyła różnica między wojną, jaką sobie wyobrażał, a rzeczywistością. Wcześniej sądził, że lord Wellington urzęduje w pełnym przepychu budynku w Lizbonie i stamtąd wydaje rozkazy. Odnalazł go jednak w miejscu tak maleńkim, że w Anglii ledwie uszłoby za wioskę.

Kwaterna główna armii okazała się zwykłym domem na brukowanym podwórzu. Strange'a poinformowano, że Wellington udał się na inspekcję linii. Nikt nie wiedział, kiedy wróci, ale zapewne nie przed kolacją. Nikt nie miał też nic przeciwko temu, żeby Strange na niego poczekał, pod warunkiem, że nie będzie przeszkadzał.

Od pierwszej chwili po wejściu do domu Strange nieprzyjemnie odczuł na sobie prawidłowość, że ktoś, kto pojawia się w nowym miejscu, zawsze zawadza. Nie mógł usiąść, bo pomieszczenie, do którego trafił, było tak urządzone, że zabrakło w nim krzeseł - zapewne na wypadek, gdyby Francuzi jakoś wniknęli do budynku i próbowali się za nimi skryć.

Wobec tego zajął miejsce przy oknie. Po chwili przyszło dwóch oficerów. Jeden chciał pokazać drugiemu ważny militarnie element krajobrazu Portugalii, a w tym celu musieli wyrzeć przez okno. Popatrzyli wilkiem na Strange'a, więc przesunął się pod na wpół zasłoniętą alkowę.

Tymczasem głos z korytarza nieustannie nawoływał kogoś nazwiskiem Winespill, by przyniósł beczki z prochem, i to migiem. Do pokoju wszedł garbaty żołnierz bardzo niskiej postury. Miał jaskrawoczerwone znamię na twarzy, a każda część jego munduru zdawała się pochodzić z innego pułku armii brytyjskiej. Był to zapewne Winespill. Wydawał się nieszczęśliwy. Nie mógł znaleźć prochu. Szukał w szafkach, pod schodami i na balkonach. Co pewien czas wykrzykiwał: „Chwileczkę!”, aż w końcu przyszło mu do głowy zerknąć za Strange'a, za zasłonę, do alkowy. Natychmiast wrzasnął, że znalazł beczki z prochem i że dostrzegłby je już wcześniej, gdyby ktoś - tu popatrzył ponuro na Strange'a - ich nie zasłaniał.

Czas włókł się niemiłosiernie. Strange znowu zajął stanowisko przy oknie i już prawie zasypiał, kiedy nagle zorientował się po zamieszaniu, jakie zapanowało, że do domu wszedł ktoś ważny. Po chwili do pokoju wmaszerowało trzech mężczyzn i Strange w końcu stanął przed obliczem lorda Wellingtona.

Jak opisać lorda Wellingtona? Czy to konieczne i w ogóle możliwe? Jego twarz jest wszędzie, gdzie się spojrzy, tania rycina wisi na ścianie zajazdu; bardziej wyszukana, zdobiona we flagi i bębny - na szczycie schodów prowadzących do sali balowej. W obecnych czasach każda, choćby umiarkowanie romantyczna panna, przed ukończeniem siedemnastu lat kupuje sobie przynajmniej jedną podobiznę lorda. Panna taka uważa, że długi orli nos jest nieskończenie ładniejszy niż krótki i perkaty, a najgorszym nieszczęściem jej życia jest to, iż lord ma już małżonkę. Na pociechę szczerze zamierza nazwać pierworodnego Arturem. Nie jest osamotniona w swej fascynacji. Jej młodsze rodzeństwo darzy lorda podobnym uwielbieniem. Najprzystojniejszy ołowiany żołnierz w angielskim pokoju dziecięcym zawsze nosi nazwisko Wellington i ma więcej przygód niż wszystkie inne zabawki razem wzięte. Każdy uczeń udaje Wellingtona przynajmniej raz w tygodniu, podobnie jak jego młodsze siostry. Wellington to ucieleśnienie wszystkich angielskich cnót. Jego angielskość jest niedościgniona. Jeśli Napoleon tkwi w żołądkach Francuzów (a niewątpliwie tak właśnie jest, sądząc po kulcie, jakim Francuzi darzą jedzenie), my nosimy Wellingtona w sercach<sup>[24]</sup>.

Akurat w tej chwili jego lordowska mość nie wydawał się przesadnie zachwycony.

- Przecież moje rozkazy były absolutnie jasne! - powiedział do dwóch oficerów. - Portugalczycy mieli zniszczyć całe zboże, którego nie uda im się zabrać, by nie wpadło w łapy Francuzów. A dziś przez pół dnia obserwowałem francuskich żołnierzy, którzy

wchodzili do jaskiń w Cartaxo i wynosili z nich worki.

- Portugalscy farmerzy nie mają serca niszczyć zboża. Obawiają się głodu - wyjaśnił jeden z oficerów.

Drugi oficer zauważył z nadzieją, że może Francuzi nie znaleźli w workach zboża, lecz coś o wiele mniej użytecznego, chociażby złoto lub srebro?

Lord Wellington popatrzył na niego lodowato.

- Francuscy żołnierze zanieśli torby do młynów. Z daleka widać było obracające się skrzydła wiatraków! Myślicie, że mełły złoto? Dalziel, proszę złożyć skargę do portugalskich władz, jeśli łaska! - Jego spojrzenie, krążące gniewnie po pokoju, spoczęło na Strange'u. - A to kto?

Oficer o nazwisku Dalziel wyszeptał coś do ucha jego lordowskiej mości.

- Och - mruknął lord Wellington, a następnie odezwał się do Strange'a: - Jest pan magiem.

W tym stwierdzeniu dało się słyszeć pytającą nutę.

- Tak - powiedział Strange.

- Pan Norrell?

- Nie. Pan Norrell został w Anglii. Nazywam się Strange.

Lord Wellington wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

- Drugi mag - wyjaśnił Strange.

- Rozumiem - odparł lord Wellington.

Oficer Dalziel patrzył na Strange'a z wyrazem zaskoczenia na twarzy, jakby uważał, że skoro lord Wellington powiedział Strange'owi, kim jest, nie wypada upierać się przy innej tożsamości.

- No cóż, obawiam się, że traci pan czas - oznajmił lord Wellington. - Powiem szczerze, że gdybym mógł zapobiec pańskiemu przyjazdowi, uczyniłbym to. Skoro jednak pan tu jest, wykorzystam okazję i wytłumaczę mu, jak wielkim utrapieniem jest pan, wraz z tym drugim dżentelmenem, dla armii.

- Utrapieniem? - zapytał Strange.

- Utrapieniem - przytaknął lord Wellington. - Przez wasze wizje ministrowie uwierzyli, że rozumieją, jak się mają sprawy w Portugalii. Zaczęli wysyłać mi znacznie więcej rozkazów i wtrącać się bardziej niż w normalnych okolicznościach. Tylko ja wiem, co należy robić w Portugalii, szanowny panie, gdyż znam sytuację. Nie twierdzę, że pan i ten drugi dżentelmen nie zrobiliście nic dobrego. Marynarka jest chyba bardzo z panów zadowolona. Ja nic o tym nie wiem, ale uważam, że tu, w Portugalii, nie trzeba nam maga.

- Z pewnością jednak w Portugalii magia nie będzie źle wykorzystywana, gdyż pozostaną do pańskiej dyspozycji i pod pańskimi rozkazami.

Lord Wellington popatrzył przenikliwie na Strange'a.

- Przede wszystkim potrzeba mi ludzi. Dostarczy mi pan więcej ludzi?

- Ludzi? Zależy, o co chodzi waszej lordowskiej mości. Interesujące pytanie. - Ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu Strange uświadomił sobie, że mówi jak pan Norrell.

- Dostarczy mi pan więcej ludzi? - powtórzył lord.

- Nie.

- Sprawi pan, by kule latały szybciej i szybciej trafiały Francuzów? I tak latają bardzo prędko. Może pan wyrzucić ziemię i przesunąć kamienie tak, by zbudować z nich reduty, szańce i inne umocnienia obronne?

- Nie, wasza lordowska mość. Ale...

- Kapelan w kwaterze głównej nazywa się Briscall. Naczelnym lekarzem wojskowym jest doktor McGrigor. Jeśli postanowi pan pozostać w Portugalii, proponuję, by przedstawił się pan tym dżentelmenom. Może im pan się na coś przyda. Mnie z pewnością nie.

Lord Wellington odwrócił się plecami do Strange'a i natychmiast krzyknął do niejakiego Thorntona, by przygotował kolację. W ten sposób dał Strange'owi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Strange przywykł do innego traktowania. Najwięksi w kraju zwracali się do niego jak do równego sobie. Nagłe znalezienie się w tym samym gronie co wojskowi kapelani i medycy, zwykle szaraczki, było bardzo przykre.

Spędził fatalną noc w jedynej gospodzie w Pero Negro, a tuż po wschodzie słońca wrócił do Lizbony. Gdy przybył do hotelu na ulicy Szewskiej, napisał długi list do Arabelli, w którym zrelacjonował jej, jak strasznie go potraktowano. Skończywszy, poczuł się nieco lepiej, a ponieważ uznał, że utyskiwanie jest niemęskie, podarł list na strzępy.

Następnie sporządził listę wszystkich zaklęć, które wraz z Norrellem przygotował dla admiralicji, i zaczął się zastanawiać, co najbardziej przypadnie do gustu lordowi Wellingtonowi. Po namyśle doszedł do wniosku, że pioruny i ulewy to zapewne jeden z najlepszych sposobów na pogięcie francuskiej armii. Natychmiast postanowił napisać do jego lordowskiej mości list z propozycjami zastosowania takiej właśnie magii. Zdecydowane działania zawsze poprawiają humor i Strange od razu poczuł się lepiej - dopóki nie zerknął w okno. Niebo zasnuło się chmurami, lunął deszcz i zerwał się gwałtowny wiatr. Wyglądało na to, że lada chwila rozpęta się burza. Strange udał się na poszukiwanie pana Prideaux. Hotelarz potwierdził, że leje tak już od wielu tygodni i zdaniem Portugalczyków prędko nie przestanie,

a Francuzi faktycznie są bardzo nieszczęśliwi.

Strange zastanawiał się nad tym przez chwilę. Kusiło go, by zaproponować lordowi Wellingtonowi, że powstrzyma deszcz, który zapewne bardzo przeszkadzał brytyjskim żołnierzom. W końcu uznał, że całą niejasną kwestię magii pogodowej lepiej zostawić w spokoju, dopóki nie zrozumie wojny i samego lorda Wellingtona. Tymczasem zdecydował, że plaga żab spadających wprost na głowy Francuzów będzie najlepsza. Wielce biblijna - czy mogłoby być coś bardziej szacownego?

Następnego ranka siedział z ponurą miną w hotelowym pokoju, udając sam przed sobą, że czyta jedną z ksiąg Norrella, ale Cak naprawdę wpatrywał się w deszcz. Nagle usłyszał stukanie do drzwi. Przyszedł szkocki oficer w mundurze huzara. Spojrzał pytająco na Strange'a.

- Pan Norrell?

- Nie, jestem... Och, wszystko jedno! Czym mogę służyć?

- Wiadomość z kwatery głównej dla pana Norrella. - Młody oficer wręczył Strange'owi kartkę papieru.

Był to jego własny list do Wellingtona. Ktoś nabazgrał na nim grubą niebieską kredką jedno słowo: „Odrzucono”.

- Czyje to pismo? - spytał Strange.

- Lorda Wellingtona, proszę pana.

- Ach.

Następnego dnia Strange wysłał Wellingtonowi kolejne pismo, sugerując, by za pomocą magii podnieść wody Tagu i zalać Francuzów. To przynajmniej doprowadziło do tego, że Wellington w długiej odpowiedzi wyjaśnił, że obecnie cała brytyjska armia oraz większość armii portugalskiej znajdowały się między Tagiem a Francuzami, zatem propozycja pana Strange'a nie została przyjęta z entuzjazmem.

Strange nie dawał się zbyć. Codziennie wysyłał Wellingtonowi jedną propozycję. Wszystkie zostały odrzucone.

W pewien szczególnie ponury wieczór pod koniec lutego Strange wędrował hotelowym korytarzem na samotną kolację, kiedy niemal zderzył się z młodzieńcem o rumianym obliczu i w angielskim stroju. Młody człowiek przeprosił i spytał, czy wie, gdzie można znaleźć pana Strange'a.

- Ja jestem Strange. A pan?

- Nazywam się Briscall. Jestem kapelanem w kwaterze głównej.

- Pan Briscall. No tak. Oczywiście.



- Lord Wellington kazał mi złożyć panu wizytę - wyjaśnił pan Briscall. - Mówił, że może mnie pan wspomóc magią. - Uśmiechnął się. - Moim zdaniem jego lordowska mość ma w duchu nadzieję, iż powstrzymam pana przed codziennym kierowaniem listów na jego ręce.

- Nie przestanę pisać, póki nie da mi czegoś do roboty - burknął Strange.

Pan Briscall wybuchnął śmiechem.

- Wobec tego to właśnie mu powtórzę.

- Dziękuję. Mogę czymś służyć? Do tej pory nigdy nie czarowałem dla Kościoła. Będę z panem szczery, kapelanie - moja znajomość eklezjastycznej magii jest bardzo powierzchowna, ale chętnie spróbuję się na coś przydać.

- Hmm. I ja będę z panem szczery. Moje obowiązki są nieskomplikowane. Odwiedzam chorych i rannych. Celebruję nabożeństwa i usiłuję odprawiać ceremonie pogrzebowe dla poległych nieszczęśników. Nie wiem, w czym mógłby mi pan pomóc.

- Nikt nie wie - westchnął Strange. - Może zatem zje pan ze mną kolację? Przynajmniej nie będę samotny jak kołek w płocie.

Kapelan się zgodził i obaj panowie zajęli miejsca w hotelowej jadalni. Wkrótce okazało się, że pan Briscall to przyjemny towarzysz. Chętnie opowiedział Strange'owi, co wie o lordzie Wellingtonie i armii.

- Ogólnie biorąc, żołnierze nie są religijni - mówił - jednak wcale tego nie oczekiwałem. Bardzo pomogła mi okoliczność, że wszyscy kapelani przede mną rezygnowali niemal tuż po przybyciu. Ja pierwszy zostałem dłużej i ludzie są mi za to wdzięczni. Patrzą łaskawym okiem na każdego, kto jest gotów dzielić z nimi trudy.

Strange w to nie wątpił.

- A pan, drogi panie? Jak pan sobie radzi?

- Ja? Wcale sobie nie radzę. Nikt mnie tu nie chce. Przy tych rzadkich okazjach, gdy ktoś raczy się do mnie odezwać, czasem tytułuje mnie panem Strange'em, czasem panem Norrellem. Najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że to dwie różne osoby. Briscall znów się roześmiał.

- Lord Wellington odrzuca wszystkie moje propozycje pomocy, gdy tylko je przedstawię.

- Czemu? Co mu pan proponował?

Strange powiedział mu o pomysle zesłania z nieba plagi żab na Francuzów.

- Wcale się nie dziwię, że odmówił - prychnął Briscall. - Francuscy kucharze przyrządzają potrawy z żab, prawda? Tymczasem zasadniczą częścią planu lorda Wellingtona jest zagłodzenie Francuzów. Równie dobrze mógł pan zaproponować, że zrzuci na nich z

nieba pieczone kurczęta lub placki z wieprzowiną!

- To nie moja wina - odparł Strange nieco urażony. - Bardzo chętnie uwzględniłbym plany lorda Wellingtona, jednakże w ogóle ich nie znam. W Londynie admiralicja mówiła nam, czego sobie życzy, i dostosowaliśmy do tego zaklęcia.

- Rozumiem - mruknął Briscall. - Proszę mi wybaczyć, drogi panie, może się mylę, ale moim zdaniem znalazł się pan w bardzo korzystnej sytuacji. W Londynie musiał pan zakładać, że admiralicja dobrze wie, co się dzieje setki kilometrów dalej. Śmiem twierdzić, że często się myliła. Teraz sam pan może wszystko weryfikować. Poza tym ja też kiedyś byłem w podobnej sytuacji. Gdy tu przyjechałem, nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Krążyłem między jednym pułkiem a drugim. Nikt mnie nie chciał.

- Teraz jednak jest pan częścią sztabu Wellingtona. Jak pan tego dokonał?

- Zajęło to sporo czasu, w końcu jednak zdołałem udowodnić swą przydatność jego lordowskiej mości. Z pewnością panu również się uda.

- Przecież próbuję - Strange westchnął ciężko. - Najwyraźniej jednak przez cały czas dowodzę jedynie swej zbyteczności. Raz za razem!

- Nonsens! Widzę, że na razie popełnił pan tylko jeden poważny błąd: pozostał pan w Lizbonie. Proszę posłuchać mej rady i jak najszybciej opuścić miasto. Niech pan jedzie w góry i zamieszka wraz z żołnierzami i oficerami! W innym wypadku ich pan nie zrozumie. Proszę z nimi rozmawiać. Spędzać z nimi czas w opuszczonych wioskach, za linią frontu. Pokochają pana za to. To najlepsi ludzie pod słońcem.

- Doprawdy? W Londynie donoszono, że Wellington nazywa ich szumowinami tego świata.

Briscall wybuchnął śmiechem, jakby określenie „szumowina” nie było obraźliwe, lecz wręcz świadczyło o urokach armii. Strange pomyślał, że duchowny zachowuje się raczej dziwnie.

- To czym w końcu są? - zapytał.

Jednym i drugim, drogi panie. Jednym i drugim. I co pan na moją propozycję? Pojedzie pan?

- Nie wiem - Strange zmarszczył brwi. - Nie obawiam się trudów i niewygód, myślę, że zniosę je równie mężnie jak większość ludzi. Nikogo jednak tam nie znam. Od przybycia najwyraźniej wszystkim wadziłem, a bez przyjaciół...

- Och! Łatwo temu zaradzić! To nie Londyn ani Bath, gdzie potrzeba listów polecających. Proszę wziąć beczułkę brandy i skrzynkę albo dwie szampana, jeśli pański sługa zdoła je udźwignąć. Mając te trunki, szybko zaprzyjaźni się pan z wieloma oficerami.

- Naprawdę? To wystarczy?

- Oczywiście! Ale proszę nie brać czerwonego wina. Już je mają.

Kilka dni później Strange i Jeremy Johns wyjechali z Lizbony na tereny za linią. Brytyjscy oficerowie i żołnierze byli zdumieni widokiem maga między sobą. W listach do przyjaciół opisywali go bardzo niekorzystnie, zastanawiając się, co tu, u licha, robi. Strange poszedł za radą pana Briscalla i tego wieczoru po kolacji wszyscy oficerowie otrzymali zaproszenie na szampana. Wkrótce wybaczyli mu ekscentryczność jego profesji. Najważniejsze było to, że na biwaku u Strange'a można było spotkać wesołych kompanów i napić się przyzwoitego trunku.

Strange zaczął również palić. Nigdy wcześniej nie pociągał go ten nałóg, odkrył jednak, że zapas tabaki jest niezbędny do nawiązania kontaktu z wojakami.

Tutejsze życie było dziwne, podobnie jak okolice. Wioski za linią zostały na rozkaz lorda Wellingtona opuszczone, zbiory spalono. Żołnierze obu armii zachodzili do okolicznych domostw i brali wszystko, co wydawało się im przydatne. Po brytyjskiej stronie na zboczach albo na leśnej polance można się było natknąć na sofy, szafy, łóżka, krzesła i stoły. Co pewien czas trafiała się cała sypialnia lub salon, a w nim nawet przybory do golenia, książki i lampy. Brakowało jedynie ścian i sufitu.

Armia Wielkiej Brytanii znosiła niewygodę z powodu wichru i deszczu, jednak los armii francuskiej był o wiele gorszy. Ubrania żołnierzy się podarły, nie mieli co jeść. Wpatrywali się w linię lorda Wellingtona od października ubiegłego roku i nie mogli zaatakować brytyjskiej armii - dysponowała trzema liniami umocnień, za którymi mogła się skryć w każdym momencie. Lord Wellington także nie próbował atakować Francuzów. Po co, skoro głód i choroby dziesiątkowały ich szybciej, niż on by zdołał? Piątego marca Francuzi zwinęli namioty i wyruszyli na północ. Lord Wellington i armia Wielkiej Brytanii udali się w pościg, a Jonathan Strange im towarzyszył.

Pewnego bardzo deszczowego poranka w połowie miesiąca Strange jechał drogą, po której maszerował 95. Pułk Karabinierów. Zauważył bliższych swemu sercu towarzyszy nieco z przodu, więc zmusił konia do galopu i wkrótce się z nimi zrównał.

- Witaj, Ned - powiedział do człowieka, którego miał powody uważać za myślącą i rozsądną osobę.

- Witam pana - odparł Ned radośnie.

- Ned?

- Tak, proszę pana?

- Czego najbardziej pragniesz? Wiem, że to dziwne pytanie, Ned i wybac, że ci je

zadaniem. Naprawdę muszę wiedzieć.

Ned nie odpowiedział do razu. Ze świstem wciągnął powietrze do płuc, zmarszczył brwi i zaczął wykazywać inne oznaki głębokiego namysłu. Tymczasem jego kompani na wypródki opowiadali Strange'owi o tym, czego najbardziej pragną - czyli o magicznych dzbanach ze złota, które nigdy nie pustoszeją, i o domu wyrzeźbionym z jednego kawałka diamentu.

- Grzanki z serem! Grzanki z serem! - zaczął zawodzić jeden z żołnierzy, Walijczyk, co bardzo rozbawiło pozostałych (Walijczycy mają wrodzone poczucie humoru).

Tymczasem Ned zdążył się już namyślić.

- Nowych butów - powiedział.

- Naprawdę? - spytał Strange zaskoczony.

- Tak, proszę pana - odparł Ned. - Nowych butów. To przez te portugalskie szosy. - Wskazał na zbiorowisko kamieni i dziur, które Portugalczycy ośmielili się nazwać drogą. - Drań buty na strzępy, a w nocy bolą kości od takich spacerów. Ale gdybym miał nowe buty, och! Czułbym się rześko po całodniowym marszu. Walczyłbym z Francuzami! I innych bym zachęcał!

- Twoja chętko do bitki przynosi ci zaszczyt, Ned - powiedział Strange. - Dziękuję. Udzieliłeś mi doskonałej odpowiedzi. - Odjechał, słysząc za plecami okrzyki: „Kiedy Ned dostanie nowe buty?!” i „Gdzie buty Neda?!”.

Tego dnia kwaterę główną lorda Wellingtona urządzono w pięknej niegdyś posiadłości, w wiosce Lousao. Dom należał dawniej do bogatego szlachcica patrioty, Jose Estorila, który wraz z synami cierpiał męki i w końcu poniósł śmierć z ręki Francuzów. Żona szlachcica zmarła z gorączki, a o losie jego córek krążyły rozmaite smutne opowieści. Przez wiele miesięcy było to ponure, przygnębiające miejsce, ale teraz, gdy przybył sztab Wellingtona, kłócąc się i dowcipkując, smutne pokoje wydawały się niemal wesołe dzięki oficerom w czerwono-niebieskich mundurach, którzy bez przerwy kręcili się po domu.

Godzinę przed kolacją salon zapełnili oficerowie, przynosząc raporty, przyjmując rozkazy albo po prostu plotkując. Wiekowe ozdobne i rozsypujące się schody prowadziły do bardzo starych drzwi. Mówiono, że za nimi lord Wellington ciężko pracuje nad nowymi planami pokonania Francuzów. Zastanawiające było to, że każdy, kto wchodził do pokoju, rzucał pełne szacunku spojrzenie na szczyt tych schodów. Dwaj starsi oficerowie sztabu Wellingtona, główny kwatermistrz generał sir George Murray i dowódca administracji wojskowej generał sir Charles Stewart, siedzieli po obu stronach dużego stołu, pogrążeni w rozmowie dotyczącej jutrzejszego rozmieszczenia wojsk.

Na chwilę zatrzymam się w tym miejscu, by zauważyć, że jeśli czytając słowo „generał”, wyobraziłeś sobie, czytelniku, przy stole dwóch zasuszonych starców, jesteś w błędzie. To prawda, że gdy osiemnaście lat wcześniej wybuchła wojna z Francją, armią Wielkiej Brytanii dowodzili szacowni staruszkowie. Większość z nich ani razu w życiu nawet nie widziała pola bitwy. Minęło jednak sporo czasu, wszyscy ci wiekowi generałowie przeszli na emeryturę bądź zmarli i okazało się, że należy zastąpić ich młodszymi, pełnymi energii ludźmi. Sam Wellington niedawno skończył czterdziestkę; większość jego oficerów była jeszcze młodsza. Salon w domu Jose Estorila wypełnili młodzi ludzie, skorzy do walki, miłujący taniec i bardzo oddani dowódcy.

Marcowy wieczór, choć deszczowy, był ciepły, niemal tak ciepły jak majowy wieczór w Anglii. Po śmierci Jose Estorila ogród zarósł i pojawiło się w nim wiele krzaków bzu, które oploty ściany domu. Teraz bzy kwitły, okna i okiennice były otwarte, a do środka wpadało wilgotne, przesycone słodyczą powietrze.

Nagle generał Murray i sir Charles Stewart odkryli, że i na nich, i na ich ważnych dokumentach wylądowało mnóstwo kropli deszczu. Unosząc z oburzeniem wzrok, ujrzeli na werandzie Strange'a, beztrąsco strząsającego wodę z parasola.

Wszedł do pomieszczenia i przywitał się z oficerami, których znał. Potem podszedł do stołu i spytał, czy mógłby porozmawiać z lordem Wellingtonem. Sir Charles Stewart, dumny, przystojny mężczyzna, nie raczył odpowiedzieć, jedynie energicznie pokręcił głową. Generał Murray, łagodniejszy i bardziej uprzejmy jegomość, odparł, że obawia się, iż nie będzie to możliwe.

Strange popatrzył na schody i na wielkie rzeźbione drzwi, za którymi deliberował jego lordowska mość. (Dziwne, że każdy, kto wchodził, instynktownie wiedział, gdzie go znaleźć. Taką oto fascynację budził ten wybitny mąż!) Nic nie wskazywało na to, że Strange zamierza odejść. Generał Murray pomyślał, że mag z pewnością czuje się samotny.

Do stołu podszedł wysoki mężczyzna o wyrazistych czarnych brwiach i długich wąsach. Miał na sobie granatową marynarkę i złote insygnia lekkich dragonów.

- Gdzie trzymacie francuskich jeńców? - zwrócił się do generała Murraya.

- Na dzwonnicy - odparł generał.

- To dobrze - powiedział mężczyzna. - Pytam, bo zaledwie wczoraj pułkownik Pursey umieścił trzech francuskich jeńców w niewielkiej szopie, uznawszy, że tam nie narobią szkód. Okazało się jednak, że wcześniej chłopcy z pięćdziesiątego drugiego schowali w szopie kilka kurczaków, a w nocy Francuzi je zjedli. Pułkownik Pursey wyjawiał, że tego ranka kilku jego ludzi bardzo dziwnie patrzyło na jeńców. Chyba się zastanawiali, ile kurczaka zostało we

Francuzach i czy warto by było ugotować jednego z nich, by się o tym przekonać.

- O, nie ma niebezpieczeństwa, że sytuacja się powtórzy - oznajmił generał Murray. - Na dzwonnicy są tylko szczury. Prędeż one zjedzą jeńców...

Generał Murray, sir Charles Stewart i mężczyzna o czarnych wąsach wybuchnęli śmiechem, lecz nagle przerwał im mag, mówiąc:

- Droga między Espinhal i Lousao jest przeraźliwie kiepska.

Chodziło o drogę, którą dziś maszerowała znacząca część brytyjskiej armii.

Generał Murray zgodził się, że droga faktycznie jest w okropnym stanie.

- Nie umiem powiedzieć, ile razy mój koń potykał się dziś na dziurach i ślizgał w błocie - ciągnął Strange. - Byłem pewien, że okuleje. Ale droga ta wcale nie była gorsza od innych, które tu widziałem. Rozumiem, że jutro część z nas musi udać się tam, gdzie w ogóle nie ma dróg.

- Tak - powiedział generał Murray, życząc sobie z całego serca, żeby mag wreszcie poszedł precz.

- Przez wezbrane rzeki i kamieniste równiny, przez lasy i chaszczę, jak mniemam - dodał Strange. - To będzie bardzo przykre dla nas wszystkich. Marnie nam pójdzie. Być może wcale nie zdołamy poczynić żadnych postępów.

- To jedna z niedogodności prowadzenia wojny w tak zacofanym i zaściankowym kraju jak Portugalia - westchnął generał Murray.

Sir Charles Stewart nic nie powiedział, ale gniewne spojrzenie, które posłał magowi, jasno wyrażało myśl, że pan Strange poczyniłby większe postępy, gdyby wraz ze swym wierzchowcem powrócił do Londynu.

- Przeprowadzić czterdzieści pięć tysięcy osób z końmi, wozami i sprzętem przez tak okropny kraj! Nikt w Anglii nie uwierzyłby, że to możliwe - Strange parsknął śmiechem. - Szkoda, że jego lordowska mość nie znalazł chwili, by ze mną porozmawiać. Może będą panowie tak dobrzy i przekażą mu wiadomość. Proszę powiedzieć, co następuje: pan Strange składa wyrazy uszanowania lordowi Wellingtonowi i mówi, że jeśli jego lordowska mość jest zainteresowany miłą, porządną drogą, po której jutro może przejść cała armia, pan Strange chętnie mu ją wyczaruje. Och! Jeśli sobie życzy, może dostać również mosty, w miejsce tych wysadzonych przez Francuzów. Dobranoc.

Strange skłonił się obu dżentelmenom, podniósł parasol i wyszedł.

Strange i Jeremy Johns nie mogli znaleźć noclegu w całym Lousao. Żaden z dżentelmenów, którzy wyszukali kwatery dla generałów, a reszcie żołnierzy wskazali wilgotne pole do obozowania, nie zadbał o maga i jego sługę. Strange w końcu wynajął

pokoik od właściciela niewielkiej winiarni kilka kilometrów dalej, na drodze do Miranda de Corvo.

Strange i Jeremy zjedli gulasz, którym uraczył ich właściciel winiarni. Postanowili zabawić się w zgadywanie, z jakich to składników upieczono potrawę.

- Co to takiego, u licha? - spytał nagle Strange, podnosząc widelec.

Na końcu było coś białego i lśniącego, co po chwili zwinęło się w pętelkę.

- Może ryba? - zaryzykował Jeremy.

- Raczej ślimak - mruknął Strange.

- Albo kawałek ucha - uznał Jeremy. Strange wbił wzrok w kęs potrawy.

- Masz ochotę? - spytał sługę.

- Nie, dziękuję, proszę pana. - Jeremy z rezygnacją popatrzył na własny wyszczerbiony talerz. - Mam już kilka takich.

Kiedy skończyli kolację i zgasła ostatnia świeca, nie pozostało im nic innego, jak udać się na spoczynek, co też uczynili. Jeremy zwinął się po jednej stronie pokoju, Strange zajął drugą. Obaj przygotowali sobie posłania z rozmaitych materiałów. Jeremy miał materac z zapasowych ubrań, a Strange poduszkę z książek z biblioteki pana Norrella.

Nagle usłyszeli galop na drodze do małej winiarni. Po nim dobiegł ich tupot butów na rozchwianych schodach, a potem dudnienie pięścią w liche drzwi. Otworzyły się i żwawy młodzieniec w mundurze huzarów niemal wtoczył się do pokoju. Młodzieńcowi brakowało oddechu, zdołał jednak między chwytnymi haustów powietrza wyjaśnić, że lord Wellington składa wyrazy uszanowania panu Strange'owi i jeśli to możliwe, chciałby z nim jak najszybciej porozmawiać.

W domu Jose Estorila Wellington spożywał kolację w towarzystwie oficerów sztabowych i innych dżentelmenów. Strange mógłby przysiąc, że panowie przy stole byli pogrążeni w rozmowie aż do chwili, gdy wkroczył do pokoju. Wtedy wszyscy zamilkli, co wyraźnie sugerowało, że rozmawiali o nim.

- O, Strange! - Wellington wznosił kielich na powitanie. - Tu pan jest! Trzech moich adiutantów szukało pana przez cały wieczór. Chciałem, żebyśmy razem zjedli kolację, ale chłopcy nie mogli pana znaleźć. Proszę siadać, napić się szampana i skosztować deseru.

Strange popatrzył tęsknie na resztki kolacji, którą właśnie uprzętał służący. Poza innymi smakołykami ujrzał, jak sądził, skrawki pieczonej gęsi, łupiny po krewetkach w maśle, pół ragout z selerem i resztki pikantnych portugalskich kiełbasek. Podziękował jego lordowskiej mości i usiadł. Służący przyniósł mu kieliszek szampana, a Strange poczęstował się migdałową tartą i suszonymi wiśniami.

- I jak się panu podoba wojna, szanowny panie? - spytał go płomiennorudy dżentelmen o lisiej twarzy, siedzący po drugiej stronie stołu.

- O, na początku wydaje się nieco pogmatwana, jak niemal wszystko - powiedział Strange. - Doświadczywszy jednak pewnych przygód w naturalny sposób z nią powiązanych, już do niej przywykłem. Raz mnie obrabowano. Raz do mnie strzelano. Raz znalazłem w kuchni Francuza i musiałem go pogonić, a raz dom, w którym spałem, został podpalony.

- Przez Francuzów? - chciał wiedzieć sir Charles Stewart.

- Nie, nie. Przez Anglików. Ściślej rzecz biorąc, przez żołnierzy z kompanii 43. pułku, którzy najwyraźniej zmarzli nocą i rozpalili ogień, by się rozgrzać.

- O, to się często zdarza! - zauważył sir Charles Stewart.

Zapadła cisza, a po chwili inny dżentelmen w mundurze kawalerzysty powiedział:

- Rozmawialiśmy o magii, a raczej kłóciliśmy się o to, jak wygląda w praktyce. Strathchycie twierdzi, że pan i ten drugi mag przyporządkowujecie liczbę każdemu słowu w Biblii, potem wyszukujecie odpowiednie słowa do zaklęć, a następnie sumujecie wszystkie dopasowane do nich liczby, coś tam jeszcze robicie i dopiero wówczas...

- Wcale nie tak mówiłem! - przerwała inna osoba, zapewne Strathchycie. - Nic nie zrozumiałeś.

- Obawiam się, że nigdy nie robiłem niczego, co przypominałoby pański opis - powiedział Strange. - To raczej skomplikowane i wątpię, czy by zadziało. A co do sposobu, w jaki rzucam zaklęcia - istnieje wiele, wiele procedur. Śmiem twierdzić, że tyle, ile jest sposobów prowadzenia wojny.

- Chciałbym czarować - oświadczył płomiennorudy dżentelmen o twarzy lisa. - Codziennie wyprawiałbym bal przy niezziemskiej muzyce i niezziemskich fajerwerkach i przyzywałbym najpiękniejsze kobiety w historii świata: Helenę trojańską, Kleopatę, Lukrecję Borgię, lady Marian i markizę de Pompadour. Sprowadziłbym je, by z wami tańczyły. A gdyby na horyzoncie pojawili się Francuzi... - Pomachał ręką w powietrzu. - Zrobiłbym coś, by wszyscy padli trupem.

- Czy mag może zabić za pomocą magii? - spytał Strange'a lord Wellington.

Strange zmarszczył brwi. Pytanie najwyraźniej nie przypadło mu do gustu.

- Mag zapewne może - przyznał - lecz dżentelmen z pewnością nie powinien.

Lord Wellington pokiwał głową, jakby oczekiwał takiej właśnie odpowiedzi.

- Jaka będzie ta droga, którą był pan nam łaskaw zaoferować? - zapytał.

- Och! Proszę się nie martwić o detale, wasza lordowska mość, dogranie szczegółów to najprostsza rzecz pod słońcem. Jakiej drogi by pan sobie życzył?



Oficerowie i dżentelmeni przy stole lorda Wellingtona popatrzyli po sobie. Nie poświęcili temu ani jednej myśli.

- Może drogę kredową? - spytał Strange usłużnie. - Drogi kredowe są ładne.

- Zbyt zakurzona suchą porą, za to rzeka błota w czasie deszczu - odparł lord Wellington. - Nie, nie. Droga kredowa się nie nada. Droga kredowa niewiele jest lepsza od braku drogi.

- Może brukowana? - zasugerował generał Murray.

- Bruk zniszczy buty żołnierzom - zauważył Wellington.

- Poza tym artyleria będzie narzekać - zauważył płomiennorudy dżentelmen o lisiej twarzy. - Holowanie armat po brukowanej drodze zajmie szmat czasu.

Ktoś zaproponował drogę żwirową. Ta jednak, zdaniem Wellingtona, stwarzała takie same problemy jak droga kredowa: zamieniłaby się w błotnistą rzekę podczas deszczu, a Portugalczycy mówili, że jutro lunie.

- Nie - oznajmił jego lordowska mość. - Moim zdaniem, szanowny panie, najlepsza byłaby droga wzorowana na rzymskiej, ze stosownymi rowami melioracyjnymi po bokach, o nawierzchni z solidnych płaskich kamieni, dopasowanych precyzyjnie krawędziami.

- Doskonale - oznajmił Strange.

- Wyruszamy o świcie - dodał Wellington.

- Wobec tego, wasza lordowska mość, jeśli ktoś będzie tak uprzejmy, by pokazać mi, dokąd ma prowadzić ta droga, natychmiast przystąpię do pracy.

Rankiem droga była na swoim miejscu. Lord Wellington wyruszył nią na Kopenhadze, swoim ulubionym wierzchowcu, a za nim Strange na Egipcjaninie, swoim ulubionym wierzchowcu. W typowy dla siebie, stanowczy sposób Wellington wymienił zalety i wady nowej drogi.

- Ale właściwie nie mam zastrzeżeń - zakończył. - Jest doskonała! Proszę jednak jutro nieco ją poszerzyć.

Lord Wellington i Strange doszli do wniosku, że droga powinna znajdować się na miejscu dwie godziny przed wyruszeniem pierwszego pułku i zniknąć godzinę po tym, jak przejdzie nią ostatni żołnierz. To miało uniemożliwić Francuzom korzystanie z niej. Sukces planu zależał od tego, czy sztab Wellingtona zaopatrzy Strange'a w dokładne informacje na temat czasu prawdopodobnego wymarszu armii i zakończenia jej wędrówki. Naturalnie wyliczenia te nie zawsze były precyzyjne. Mniej więcej tydzień po pojawieniu się pierwszej drogi wściekły pułkownik Mackenzie z 11. Pułku Piechoty przyszedł na spotkanie z lordem Wellingtonem i poskarżył się, że droga maga znikła, zanim pułk do niej dotarł.

- Gdy dochodziliśmy do Celorico, wasza lordowska mość, znikła wprost pod naszymi stopami! Po godzinie nie było po niej śladu. Czy mag nie mógłby przywoływać wizji, by sprawdzać, gdzie przebywają rozmaite pułki? Na pewno przysłoby mu to bez trudu. Wtedy mógłby dopilnować, by drogi nie zniknęły, dopóki wszyscy po nich nie przejdą.

- Mag ma bardzo dużo pracy - odparł lord Wellington ostro. - Beresford potrzebuje dróg<sup>[25]</sup>, ja potrzebuję dróg. Naprawdę nie mogę wymagać od Strange'a, żeby wciąż gapił się w lustro i misy z wodą i sprawdzał, dokąd zawędrował każdy zaginiony pułk. Pan i pańscy ludzie musicie sami dawać sobie radę, pułkownikowi Mackenzie. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Niedługo potem brytyjska kwatera główna otrzymała od swojego wywiadu informację o tym, co się przytrafiło sporej części francuskiej armii maszerującej z Gaurdy do Sabugalu. Francuzi wysłali zwiadowców, których zadaniem było wyszukanie drogi łączącej obydwie miasta. Od napotkanych Portugalczyków zwiad uzyskał wiadomość, że ta droga jest dziełem maga i z pewnością zniknie za godzinę lub dwie, a wszyscy kroczący nią ludzie powędrują do piekła albo nawet do Anglii. Kiedy tylko te pogłoski dotarły do uszu żołnierzy, stanowczo odmówili wchodzenia na drogę, w rzeczywistości całkowicie prawdziwą i nietkniętą przez magię - stworzono ją niemal tysiąc lat wcześniej. W takiej sytuacji Francuzi musieli obrać trasę okrężną, przez góry i skaliste doliny, dlatego ich podeszwy całkiem się zdarły, ubrania poprzecierały, a opóźnienie sięgnęło kilku dni.

Lord Wellington nie krył zachwyty.

## Rozdział ósmy

*Księga Roberta Findhelma styczeńluty 1812*

W domu każdego maga należy spodziewać się pewnych osobliwości. Najbardziej osobliwym elementem domostwa pana Norrella był bez wątpienia Childermass. W żadnym innym londyńskim domu nie mieszkał podobny służący. Jednego dnia Childermass sprzątał brudne kubki i wycierał okruszki ze stołu, jak pospolity lokaj, a następnego przerywał zgromadzonym w pokoju admirałom, generałom i arystokratom, tłumacząc im, w jakich szczegółach się mylą. Pan Norrell raz nawet publicznie skarcił księcia Devonshire'u za to, że ten ośmielił się odezwać w tej samej chwili co dysponent.

Pewnego mglistego dnia pod koniec stycznia 1812 roku Childermass wszedł do biblioteki na Hanover Square, gdzie pracował pan Norrell, i poinformował go zwięźle, że zmuszony jest wyjechać w interesach i nie wie, kiedy wróci. Potem, wydawszy innym służącym rozmaite polecenia, dosiadł konia i opuścił Londyn.

W ciągu następnych trzech tygodni pan Norrell otrzymał od niego cztery listy: jeden z Newarku w hrabstwie Nottingham, jeden z Yorku we wschodnim Riding w hrabstwie York, jeden z Richmondu w północnym Riding i jeden z Sheffield w zachodnim Riding. Listy te dotyczyły jedynie spraw zawodowych i nie wyjaśniały przyczyn jego tajemniczej podróży.

Powrócił pewnego wieczoru w drugiej połowie lutego. Lascelles i Drawlight po kolacji przebywali w salonie wraz z panem Norrellem, gdy nagle wszedł Childermass. Przybył prosto ze stajni, jego buty i spodnie były ubłocone, a płaszcz wilgotny od deszczu.

- Gdzieś ty był, u licha? - zapytał pan Norrell.

- W hrabstwie York - wyjaśnił Childermass. - Wypytywałem o Vinculusa.

- Widział go pan? - ożywił się Drawlight.

- Nie, nie widziałem.

- Wiesz, gdzie jest? - zadał następne pytanie pan Norrell.

- Nie, nie wiem.

- Znalazł pan jego księgę? - wtrącił Lascelles.

- Nie, nie znalazłem.

- Hm - mruknął Lascelles. Popatrzył nieprzychylnie na Childermassa, a potem zwrócił się do pana Norrella: - Proszę posłuchać mojej rady i nie dopuścić do tego, by pan Childermass marnował czas na Vinculusa. Od lat nikt o nim nie słyszał. Zapewne już nie żyje.

Childermass usiadł swobodnie na sofie, jakby był równy swym rozmówcom, i powiedział:

- Karty twierdzą, że nie umarł. Mówią, że wciąż żyje i ma księgę.

- Karty! Karty! - wykrzyknął pan Norrell. - Tysiące razy ci powtarzałem, że nie zniosę nawet wzmianki o nich! Wyświadczyć mi przysługę, usuń je z mojego domu i nigdy więcej o nich nie wspominaj!

Childermass rzucił swemu panu lodowate spojrzenie.

- Mam powiedzieć, czego się dowiedziałem? - zapytał.

Pan Norrell ponuro pokiwał głową.

- W pańskim interesie zadbałem o to, by zbliżyć się do wszystkich żon Vinculusa - oświadczył Childermass. - Nigdy nie uwierzyłem, że żadna z nich nie wie nic, co mogłoby nam pomóc. Uznałem, że wystarczy chodzić z nimi do gospod z wyszynkiem, kupować im

gin, pozwalać mówić, a w końcu któraś coś ujawni. Okazało się, że miałem rację. Trzy tygodnie temu Nan Purvis zdradziła mi coś, co w końcu naprowadziło mnie na właściwy trop.

- Która to Nan Purvis? - zainteresował się Lascelles.

- Pierwsza. Opowiedziała mi o wydarzeniu sprzed dwudziestu lub trzydziestu lat, kiedy to wyszła za Vinculusa. Pewnego dnia popijali sobie w karczmie. Gdy wydali wszystkie pieniądze, odmówiono im sprzedaży na kredyt, więc nadeszła pora na powrót do domu. Zataczając się po ulicy, nagle ujrzeli w rynsztoku kreaturę jeszcze bardziej pijaną od nich samych. Był to staruch, całkiem nieprzytomny. Brudna woda zalewała mu twarz i ciało, cudem nie utonął. Coś w tym łachmycie przyciągnęło uwagę Vinculusa. Wyglądało na to, że rozpoznał pijaka. Podszedł i nań zerknął, a po chwili wybuchnął śmiechem i wymierzył mu solidnego kopniaka. Nan spytała Vinculusa, kto to taki, a on powiedział, że starzec ma na nazwisko Clegg. Chciała wiedzieć, skąd go znał. Vinculus odparł, że nie zna Clegga. Nigdy go nie znał! Co więcej, nie zamierza go znać! Krótko mówiąc, nienawidzi Clegga najbardziej na świecie! Kiedy Nan zaczęła utyskiwać, że nie wystarczy jej takie wyjaśnienie, Vinculus burknął, że człowiek ten jest jego ojcem. Potem już nic nie chciał dodać.

- Ale co to ma do rzeczy? - przerwał pan Norrell. - Dlaczego po prostu nie spytałeś Vinculusowych żon o księgę?

Childermass wydawał się zirytowany.

- Ależ zapytałem, proszę pana. Cztery lata temu. Mówiłem już. Żadna nic nie wiedziała.

Zniecierpliwiony pan Norrell machnięciem ręki dał do zrozumienia, że Childermass ma kontynuować. - Kilka miesięcy później Nan była w tawernie, słuchała, jak ktoś czytał na głos gazetową relację o pewnym powieszeniu w Yorku. Nan uwielbiała sprawozdania z porządnych egzekucji, a to zainteresowało ją szczególnie, gdyż nazwisko skazańca brzmiało Clegg. Wspomniała o nim Vincuiusowi. Ku jej zdumieniu okazało się, że już o wszystkim słyszał i że faktycznie chodziło o jego ojca. Vinculus był zachwycony, że Clegga powiesili. Powiedział, że w pełni na to zasłużył. Dodał, że Clegg winien był najcięższej zbrodni popełnionej w Anglii w ostatnich stu latach.

- Jakiej zbrodni? - zapytał Lascelles.

Początkowo Nan nie mogła sobie przypomnieć - powiedział Childermass. - Uparte wypytywanie jednak i obietnica ginu przywróciły jej pamięć. Ukradł księgę.

- Księgę! - wykrzyknął pan Norrell.

- Drogi panie, to musi być ta sama księga! - powiedział do niego Drawlight. - To z pewnością księga Vinculusa!

- Czyżby? - Pan Norrell spojrział na dysponenta.

- Tak przypuszczam - przyznał Childermass.

- Czy ta kobieta wiedziała coś więcej o księdze? - dopytywał się pan Norrell.

- Nie, to koniec informacji Nan. Pojechałem więc na północ, do Yorku, gdzie więziono i stracono Clegga, i przejrzałem dokumenty sądu kwartalnego. Bardzo szybko odkryłem, że Clegg urodził się w Richmondzie w hrabstwie York. O tak! - Childermass popatrzył znacząco na pana Norrella. - Vinculus to, przynajmniej z pochodzenia, mieszkaniec naszego hrabstwa<sup>[26]</sup>. Clegg w młodości był linoskoczkiem, zabawiał gawieź na jarmarkach, ale akrobacje na linie nie chodzą w parze z piciem, a Clegg pił na umór. Musiał zatem zrezygnować z występów. Powrócił do Richmondu i zatrudnił się jako służący na farmie przynoszącej wysokie dochody. Dobrze sobie radził, a swą bystrością zasłużył na podziw pracodawcy, więc powierzano mu coraz więcej obowiązków. Od czasu do czasu popijał z towarzystwem spod ciemnej gwiazdy i przy takich okazjach nie zadowalał się jedną czy dwiema butelkami. Chlał do upadłego, zalewał się w trupa, padał pod stół pijany jak bela. Całymi dniami nie trzeźwiał i robił rozmaite niegodziwe rzeczy: kradł, uprawiał hazard, bił się, niszczył cudzą własność. Zawsze jednak pilnował, by działał się to z dala od domu i by znaleźć wiarygodne usprawiedliwienia na wytłumaczenie swej nieobecności. Jego pracodawca, farmer, niczego nie podejrzewał, choć reszta służby dobrze o wszystkim wiedziała. Farmer zwał się Robert Findhelm. Był cichym, miłym, szacownym człowiekiem, z tych, co to łatwo dadzą się zwieść łajdakowi pokroju Clegga. Farma od wielu pokoleń należała do jego rodziny, ale kiedyś, dawno temu, był to jeden z folwarków opactwa Easby...

Pan Norrell ze świstem wciągnął powietrze i niespokojnie poruszył się na krześle. Lascelles popatrzył na niego pytająco.

- Opactwo Easby było jednym z filarów państwa Króla Kruków - wyjaśnił pan Norrell.

- Podobnie jak Hurtfew - dodał Childermass.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Lascelles ze zdumieniem<sup>[27]</sup>. - Przyznam, że po wszystkim, co pan opowiadał o Królu Kruków, zdumiewa mnie, że mieszkał pan w pobliżu jego ziem.

- Nic pan nie rozumie - odparł pan Norrell poirytowany. - Mówimy przecież o hrabstwie York, o królestwie Johna Uskglassa w północnej Anglii, gdzie mieszkał i rządził przez trzysta lat! Trudno właściwie znaleźć wioskę czy choćby nawet kawałek pola, które nie byłyby z nim powiązane.

- Rodzina Findhelma miała coś jeszcze, co niegdyś było własnością opactwa - skarb,

który oddał im na przechowanie ostatni opat, skarb, który wraz z ziemią przechodził z ojca na syna - kontynuował Childermass.

- Księgę magii? - spytał pan Norrell niecierpliwie.

- Jeśli to, co powiedziano mi w hrabstwie York, jest prawdą, to więcej niż księgę magii. Jedyłą w swoim rodzaju Księgę Magii. Spisaną własnoręcznie przez Króla Kruków.

Zapadła cisza.

- Czy to możliwe? - spytał Lascelles pana Norrella.

Zadumany pan Norrell milczał, całkowicie skoncentrowany na tej nowej i niezbyt miłej myśli. W końcu przemówił, ale najwyraźniej tłumaczył coś sam sobie, a nie odpowiadał na pytanie Lascellesa.

- Księga należąca do Króla Kruków lub napisana przez niego to jedna z największych tajemnic angielskiej magii. Kilka osób wyobraziło sobie, że ją znalazło lub też wie, gdzie jest ukryta. Niektórzy z nich, mądrzy ludzie, mogli stworzyć wielkie dzieła, ale zamiast tego zmarnowali życie na poszukiwaniach księgi Króla. Oczywiście nie twierdzą, że taka księga nie mogłaby istnieć...

- Gdyby istniała - przerwał Lascelles - i została znaleziona, to co wtedy?

Pan Norrell tylko pokręcił głową.

- Wtedy całą angielską magię należałoby ponownie zinterpretować w świetle tego, co napisano w tej księdze - odpowiedział za niego Childermass.

Lascelles uniósł brew.

- Czy to prawda? - zapytał.

Pan Norrell się zawahał. Wyglądał tak, jakby miał wielką ochotę zaprzeczyć.

- Wierzy pan, że to księga Króla? - zwrócił się Lascelles do Childermassa.

Ten wzruszył ramionami.

- Findhelm z pewnością w to wierzył. W Richmondzie znalazłem dwóch starszków, którzy w młodości pełnili służbę w domu farmera. Twierdzili, że królewska księga była jego dumą i radością. Przede wszystkim był strażnikiem księgi, a dopiero potem mężem, rodzicem i farmerem. - Childermass umilkł. - Ta księga stanowiłaby powód do największej chwały i największe brzemie dla każdego człowieka - westchnął po chwili. - W zasadzie Findhelm sam był kimś w rodzaju maga teoretyka. Kupował księgi o magii i płacił magowi z Northallertonu za nauki. Jedna rzecz wydała mi się bardzo osobliwa: obaj ci starcy twierdzili z uporem, że Findhelm nigdy nie przeczytał królewskiej księgi i tylko z grubsza znał jej treść.

- Ach! - wykrzyknął pan Norrell cicho. Lascelles i Childermass popatrzyli na niego.

- A więc nie mógł jej przeczytać - wyjaśnił pan Norrell. - Hm, to bardzo... - Ponownie

zamilkł i zaczął obgryzać paznokcie.

- Może napisano ją po łacinie - zasugerował Lascelles.

- Czemu pan zakłada, że Findhelm nie znał łaciny? - spytał rozdrażniony Childermass.

- Tylko dlatego, że był farmerem...

- Ach, zapewniam pana, że nie zamierzałem obrażać farmerów - zaśmiał się Lascelles.

- Po prostu nie słyną oni z klasycznego wykształcenia. Czy ta osoba w ogóle byłaby w stanie odróżnić łaciński tekst od innych?

Childermass odparł, że naturalnie. Findhelm nie był głupcem. Na to Lascelles oświadczył lodowato, że wcale tego nie twierdził. Kłótnia wisiała na włosku, kiedy nagle uciszył ich pan Norrell.

- Gdy Król Kruków przybył do Anglii, nie umiał czytać ani pisać... - zadumał się. - W tamtych czasach niewielu to potrafiło, nawet pośród władców. Poza tym Król Kruków wychował się na dworze elfów, gdzie nie używano pisma. Nowi słudzy, ludzie, pokazali mu je i wyjaśnili jego cel. Był jednak młodym, bardzo młodym człowiekiem, miał nie więcej niż czternaście lub piętnaście lat. Podbił już królestwa w dwóch światach i dysponował magią, o jakiej każdy mag mógłby tylko zamarzyć. Był arogancki i pełen buty. Nie miał chęci poznawać spisanych wniosków innych ludzi. Czym one były w porównaniu z jego przemyśleniami? Wobec tego, wbrew sugestii sług, postanowił nie uczyć się czytać i pisać po łacinie. Zamiast tego sam wymyślił pismo, żeby zachować swe wnioski dla potomności. I zapewne pismo to lepiej odzwierciedlało pracę jego umysłu, niż mogłaby to uczynić łacina. Tak było na samym początku. Im dłużej jednak przebywał w Anglii, tym bardziej się zmieniał, stawał się mniej milczący, mniej osamotniony. Coraz bardziej przypominał człowieka, coraz mniej elfa. W końcu postanowił nauczyć się czytać i pisać jak inni ludzie. Nie zapomniał jednak swojego pisma - alfabetu królewskiego, tak je nazywają - i zapoznał z nim ulubionych magów, by lepiej rozumieli jego magię. Co prawda Martin Pale wspomina o alfabecie królewskim, podobnie jak Belasis, ale żaden z nich nie widział choćby kawałeczka tekstu w nim napisanego. Jeśli coś przetrwało, a napisał to sam Król, z pewnością... - Pan Norrell znowu umilkł.

- No cóż, drogi panie - powiedział Lascelles. - Dziś raz za razem nas pan zaskakuje! Tyle podziwu dla człowieka, którego podobno zawsze pan nienawidził!

- Podziw w niczym nie umniejsza mojej nienawiści! - odparł pan Norrell ostro. - Mówiłem, że był wielkim magiem. Nie twierdziłem, że to dobry człowiek ani że cieszy mnie jego wpływ na angielską magię. Poza tym usłyszeli panowie moją prywatną opinię, nie przeznaczoną do publicznej wiadomości. Childermass wie. Childermass rozumie.

Pan Norrell zerknął nerwowo na Drawlighta, ale Drawlight przestał słuchać już w chwili, gdy odkrył, że opowieść Childermassa nie dotyczy nikogo z socjety, tylko farmerów z hrabstwa York i pijanych sług. Chwilowo koncentrował się na polerowaniu chusteczką tabakiery.

- Czyli Clegg ukradł księgę? - spytał Lascelles Childermassa. - To chce nam pan powiedzieć?

- W pewnym sensie. Jesienią 1754 roku Findhelm dał księgę Cleggowi i kazał mu ją dostarczyć pewnemu mieszkańcowi wioski Bretton w dystrykcie Derbyshire Peak. Nie wiem, w jakim celu. Clegg po dwóch czy trzech dniach podróży dotarł do Sheffield. Zatrzymał się w oberży i tam zbratał z pewnym człowiekiem, kowalem, którego reputacja moczymordy niemal dorównywała reputacji Clegga. Rozpoczęli pijackie zawody, które trwały dwa dni i dwie noce. Początkowo po prostu pili, by przekonać się, który może więcej, ale drugiego dnia zaczęli rzucać sobie idiotyczne pijackie wyzwania. W kącie oberży stała beczka solonych śledzi. Clegg zażądał, by kowal przeszedł po podłodze pełnej ryb. W lokalu zebrał się tłum gapiów i bywalców, którzy opróżnili beczkę, wyrzucając śledzie na podłogę. Potem kowal chodził od ściany do ściany, aż podłoga zamieniła się w śmierdzącą ślizgawkę. Był cały zalany krwią z powodu urazów, jakich doznał w czasie licznych upadków. Zażądał od Clegga, by ten przeszedł po krawędzi dachu oberży. Clegg pił przez cały czas. Raz za razem gapiom wydawało się, że zleci i skręci kark, ale do tego nie doszło. Potem Clegg zażądał od kowala, by upiekł i zjadł swoje buty, i tak się stało. Na koniec kowal chciał, by Clegg zjadł księgę Roberta Findhelma. Clegg podarł ją na kawałeczki i pożarł.

Pan Norrell krzyknął z przerażeniem. Nawet Lascelles zamrugął, zdumiony.

- Kilka dni później Clegg wytrzeźwiał i uświadomił sobie, co zrobił - ciągnął Childermass. - Ruszył do Londynu, a cztery lata później zbałamucił służącą w tawernie w Wapping. To ona urodziła Vinculusa.

- Wszystko jasne! - wykrzyknął pan Norrell. - Księga wcale nie przepadła. Historię o picciu wymyślił Clegg, by zwieść Findhelma. Tak naprawdę ukrył księgę i podarował ją synowi! Jeśli tylko odkryjemy...

- Ale po co? - przerwał Childermass. - Po co miałby sobie zadawać tyle trudu, by ukryć księgę dla syna, którego nigdy nie widział i o którego nie dbał? Poza tym Vinculusa nawet nie było na świecie, gdy Clegg wyruszył do hrabstwa Derby.

Lascelles odchrząknął.

- Jeden jedyny raz muszę się zgodzić z panem Childermassem. Gdyby Clegg nadal miał księgę lub wiedział, gdzie jej szukać, z pewnością zaprezentowałby ją na procesie albo



wykorzystał jako element przetargowy, by ocalić skórę.

- A gdyby Vinculus tak się wzbogacił dzięki występкови ojca, dlaczego miałby go nienawidzić? - dodał Childermass. - Dlaczego by się cieszył, że Clegga powieszono? Robert Findhelm był absolutnie pewien, że księga przypadła. To jasne jak słońce. Nan powiedziała mi, że Clegga powieszono za kradzież księgi, ale Robert Findhelm nie oskarżył go o złodziejstwo. Oskarżył go o księgobójstwo. Clegg był ostatnim człowiekiem w Anglii powieszonym za tego typu zbrodnię<sup>[28]</sup>.

- Czemu więc Vinculus twierdzi, że ma tę księgę, skoro jego ojciec ją zjadł? - zadumał się Lascelles. - Przecież to niemożliwe.

- Dziedzictwo Roberta Findhelma trafiło w ręce Vinculusa, nie mam jednak pojęcia, jak do tego doszło.

- A co z tym człowiekiem w hrabstwie Derby? - spytał pan Norrell nieoczekiwanie. - Mówiłeś, że Findhelm pragnął, by księga trafiła do człowieka w Derby.

Childermass westchnął.

- W drodze powrotnej do Londynu przejeżdżałem przez to hrabstwo. Byłem w wiosce Bretton. Trzy domy na krzyż i gospoda na ponurym wzgórzu. Kimkolwiek był człowiek, do którego wysłano Clegga, dawno nie żyje. Nic tam nie znalazłem.

Stephen Black i dżentelmen o włosach jak puch ostu siedzieli w górnej izbie kawiarni pana Whartona na Oxford Street, miejscu spotkań Bacznej Kompanii. Dżentelmen jak zwykle opowiadał o swym wielkim uczuciu do Stephena.

- Coś mi przypomina, że już od miesięcy jestem ci winien przeprosiny i wyjaśnienie - powiedział.

- Przeprosiny?

- Tak, Stephenie. Obaj najbardziej w świecie pragniemy szczęścia lady Pole. Przez umowę z tym niegodziwym magiem mam związane ręce i każdego ranka muszę odsyłać tę damę do domu męża, gdzie przez cały długi dzień czeka na nadejście wieczoru. Ty jednak, człowiek bystry, z pewnością zauważyłeś, że w twoim wypadku nie ograniczają mnie takie warunki. Dziwisz się zapewne, dlaczego nie zabrałem cię na zawsze do Utraconej Nadziei, byś tam się radował.

- Zastanawiałem się nad tym, panie. - Stephen pokiwał głową. - Czy coś pana powstrzymuje?

- Tak, Stephenie. W pewnym sensie.

- No cóż, to bardzo przykre.

- Chciałbyś wiedzieć, co to takiego? - zapytał dżentelmen.

- O tak, oczywiście.

- Wiedz zatem - dżentelmen przybrał pełen powagi wyraz twarzy, całkiem inny niż zwykle - że istoty nadprzyrodzone znają przyszłe wydarzenia. Fortuna często wybiera nas na posłańców jej przepowiedni. W przeszłości często pomagaliśmy osiągać wielkie i szlachetne cele rozmaitym chrześcijanom - Juliuszowi Cezarowi, Aleksandrowi Wielkiemu, Karolowi Wielkiemu, Williamowi Szekspirowi, Johnowi Wesleyowi i innym<sup>[29]</sup>. Zazwyczaj jednak nasza znajomość wydarzeń jest niejasna i... - dżentelmen z furią zamachał rękoma, jakby zrywał z twarzy gęste pajęczyny - niedoskonała. Z wielkiej miłości do ciebie, Stephenie, przedzierałem się przez dymy płonących miast oraz pól bitewnych, patrosząc dogorywających i zaglądając w ich skąpane w posoce trzewia, by poznać twą przyszłość. Rzeczywiście pisane ci jest zostać królem! Muszę powiedzieć, że wcale nie jestem zdumiony! Od początku czułem wyraźnie, że powinieneś nim być, a to mało prawdopodobne, bym się mylił. Co więcej, wiem chyba, które królestwo ci przeznaczono. Dym, wnętrzności i wszystkie inne znaki jasno wskazują na to, że byłeś już w tym królestwie! Że jest z tobą blisko powiązane. Stephen czekał.

- Czy nie rozumiesz?! - wykrzyknął dżentelmen ze zniecierpliwieniem. - Z pewnością chodzi o Anglię! Nie masz pojęcia, jak uradowany byłem, gdy to pojąłem!

- Anglię?! - zawołał Stephen.

- W rzeczy samej! Nic nie może być dla niej korzystniejsze niż twoje królowanie. Obecny władca jest stary i ślepy, a wszyscy jego synowie to opasłe moczymordy! Rozumiesz zatem, czemu nie mogę cię zabrać na zawsze do Utraconej Nadziei. Popęłniłbym poważny błąd, gdybym usunął cię z twojego prawowitego królestwa!

Stephen siedział w milczeniu, próbując to pojąć.

- Ale czy nie chodzi o jakieś królestwo w Afryce? - spytał w końcu. - Może pisane mi jest odnaleźć drogę powrotną? Może jakimś cudem ludzie rozpoznają we mnie potomka jednego ze swych królów?

- Może... - powiedział dżentelmen z powątpiewaniem. - Ale nie, nie! Wykluczone. Poza tym chodzi o królestwo, w którym już byłeś. A ty Afryki nie widziałeś na oczy. Och, Stephenie! Jakże bym pragnął, by wypełniło się twoje przeznaczenie. Pewnego dnia sprzymierzę swe rozliczne królestwa z Wielką Brytanią i obaj będziemy żyli w przyjaźni i braterstwie. Pomyśl, jak to pomiesza szyki naszym nieprzyjaciołom! Pomyśl, jak się wściekną magowie! Jak będą przeklinali samych siebie, że nie traktowali nas z większym szacunkiem!

- Obawiam się, że jest pan w błędzie. Nie mogę rządzić Anglią. Nie z tą... - Bezradnie

rozłożył ręce. „Czarną skórą”, pomyślał, na głos zaś powiedział: - Tylko pan, przez swą słabość do mnie, uważa to za możliwe. Niewolnicy nie zostają królami, panie.

- Niewolnicy, Stephenie? Co masz na myśli?

Urodziłem się w niewoli, jak wielu z mojej rasy. Matka była niewolnicą na jamajskiej plantacji należącej do dziada sir Waltera. Kiedy wpadł w jeszcze większe długi, powrócił na Jamajkę, by sprzedać posiadłość i przywiózł z sobą moją matkę. Zamierzał zatrudnić ją jako służącą w swym domu, ale podczas podróży urodziła mnie i zmarła.

- Ha! - wykrzyknął dżentelmen triumfalnie. - Jest właśnie tak, jak mówiłem! Ty i twoja szacowna matka zostaliście pojmani przez niegodziwych Anglików, a ich knowania doprowadziły was do upadku!

- No cóż, tak. To w pewnym sensie prawda. Ale już nie jestem niewolnikiem. Nikt na angielskiej ziemi nie jest niewolnikiem. Powietrze Anglii to wolne powietrze. Anglicy tym się szczycą. - „Mimo to mają niewolników w innych krajach”, pomyślał i dodał: - Od chwili, gdy pokojowiec sir Williama zniósł mnie, niemowlę, ze statku, byłem wolny.

- I tak powinniśmy ich ukarać! - krzyknął dżentelmen. - Możemy bez trudu zabić małżonka lady Pole. Potem zejdę do piekieł, poszukam jego dziada i...

- Ale to nie sir William ani nie sir Walter mnie zniewolili - wyjaśnił Stephen. - Sir Walter zawsze stanowczo sprzeciwiał się niewolnictwu. A sir William był dla mnie dobry. Ochrzcił mnie i wykształcił.

- Ochrzcił? Co takiego? Nawet twoje imię jest narzucone przez wrogów? Symbolizuje niewolę? Wobec tego stanowczo radzę ci je odrzucić i wybrać inne po wstąpieniu na tron Anglii. Jakim imieniem zwała cię matka?

- Nie wiem, panie. Nie jestem pewien, czy w ogóle mnie nazywała.

Dżentelmen zmrugał oczy na znak, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

- Dziwna byłaby matka, która nie nazywa dziecka - zauważył. - Tak, musi istnieć imię, które do ciebie należy, naprawdę do ciebie należy. To dla mnie jasne. To imię, którym w duchu nazywała cię matka, w tych pięknych chwilach, gdy trzymała cię w ramionach. Nie jesteś ciekaw, jak ono brzmi?

- Naturalnie, proszę pana. Ale moja matka od dawna nie żyje. Być może nigdy nikomu nie zdradziła tego imienia. Jej imię także jest mi nie znane. Jeszcze w dzieciństwie pytałem o nie sir Williama, ale zapomniał.

- Z pewnością dobrze pamiętał, jednak w swej niegodziwości nie chciał ci go zdradzić. Do odzyskania swego imienia, Stephenie, potrzebujesz kogoś niezwyklego, kogoś o niespotykanej bystrości, olbrzymich talentach i szlachetnym charakterze. Czyli mnie. Tak, to

właśnie zrobię. W imię miłości, jaką cię darzę, odnajdę twe prawdziwe imię!

## Rozdział dziewiąty

*Siedemnastu martwych Neapolitańczyków kwiecień 1812-czerwiec 1814*

W owych czasach brytyjska armia dysponowała grupą „oficerów zwiadowczych”, których zadaniem było prowadzenie rozmów z miejscowymi, kradzież korespondencji francuskiej armii i orientowanie się w lokalizacji francuskich wojsk. Bez względu na to, jak romantyczna może ci się wydawać wojna, czytelniku, przygody oficerów zwiadowczych Wellingtona z pewnością przejdą wszelkie twe oczekiwania. Pokonywali oni rzeki w blasku księżyca i łańcuchy górskie w palących promieniach słońca. Więcej czasu spędzili za francuską linią frontu niż po stronie angielskiej i znali każdego, kto sprzyjał słusznej sprawie.

Najwybitniejszym oficerem zwiadowczym był bez wątpienia major Colquhoun Grant z 11. Pułku Piechoty. Francuzi nieraz odrywali wzrok od swych aktualnych zajęć i patrzyli na majora Granta, który z kolei obserwował ich z siodła, stojąc na szczycie odległego wzgórza. Zerkał na wrogów przez lunetę i zapisywał coś w małym notatniku. Wprawiało to Francuzów w wyjątkową irytację.

Pewnego kwietniowego ranka 1812 roku major Grant przypadkiem został wzięty w kleszcze przez dwa francuskie patrole kawalerii. Kiedy stało się jasne, że nie umknie im konno, porzucił wierzchowca i skrył się w pobliskim gaju. Major Grant zawsze miał się za żołnierza, a nie szpiega, toteż jako żołnierz stale nosił mundur. Niestety, uniform 11. Pułku Piechoty (podobnie jak wszystkich innych wojsk pieszych) miał kolor jaskrawoszkarałatny i gdy major ukrył się wśród młodych wiosennych listków, Francuzi bez trudu go wypatryli.

Pochwycenie Granta przez nieprzyjaciela było dla Anglików powodem do frasunku porównywalnym z utratą brygady zwykłych żołnierzy. Lord Wellington bezzwłocznie wysłał pilne listy do niektórych francuskich generałów, proponując im wymianę jeńców, a także do kilku dowódców wojsk partyzanckich<sup>[30]</sup>, którym obiecał srebrne pięcioszylingówki i mnóstwo broni w zamian za pomoc w uwolnieniu Granta. Kiedy żadna z tych ofert nie przyczyniła się do wypuszczenia cennego oficera na wolność, lord Wellington stanął przed koniecznością opracowania nowego planu. Opłacił więc jednego z najbardziej nieprzejednanych i groźnych hersztów band partyzanckich, Jeronima Saornila, by ten

doprowadził Jonathana Strange'a do majora Granta.

- Przekona się pan, że Saornil to dość przerażający jegomość - wyjawiał lord Wellington przed wyjazdem Strange'owi. - Ale szczerze mówiąc, niezbyt mnie to martwi, bo i pan potrafi wzbudzać lęk.

Saornil oraz jego ludzie tworzyli bandę morderców i łotrów spod ciemnej gwiazdy. Byli brudni, ohydnie cuchnęli i od dawna się nie golili. Za pasy zatykali szable i noże, z ich ramion zwisały strzelby. Na ubraniach i końskich derkach widniały okrutne i potworne sceny: trupie czaszki i skrzyżowane kości, serca przebite nożami, szubienice, sceny ukrzyżowania na kołach wozu, kruki żerujące na sercach i oczach, a także inne równie przyjemne obrazki. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wyszyto je z perłowych guzików, lecz przy bliższych oględzinach okazywało się, iż są to zęby Francuzów zabitych przez bandziorów. Saornil miał na sobie szczególnie wiele takich ozdób, przez co przy każdym ruchu grzechotał, jakby wszyscy pozabijani wrogowie wciąż szczękali zębami ze strachu.

W takim towarzystwie symboli i akcesoriów powiązanych ze śmiercią Saornil i jego ludzie byli przekonani, że wzbudzą lęk w każdym napotkanym człowieku. Ogarnęło ich lekkie zmieszanie, kiedy odkryli, że Anglik pokonał ich na tym polu, przynosząc z sobą trumnę. Podobnie jak wielu mężczyzn żyjących z przemocy, partyzanci byli raczej przesądni. Jeden z nich spytał Strange'a, co takiego skrywa w trumnie, a ten wyjaśnił beztrąsko, że wewnątrz znajduje się człowiek.

Po kilku dniach forsownej jazdy banda doprowadziła Strange'a do wzgórza nad główną drogą, która łączyła Hiszpanię z Francją. Partyzanci zapewnili Strange'a, że major Grant i jego strażnicy z pewnością będą tamtędy szli.

Podkomendni Saornila rozbili w pobliżu obozowisko i cierpliwie czekali. Trzeciego dnia ujrzeli sporą grupę francuskich żołnierzy podążających drogą, a wśród nich majora Granta w szkarłatnym mundurze. Strange niezwłocznie nakazał otworzyć trumnę. Trzech *guerrilleros* chwyciło łomy i odbiło wieko. W środku zobaczyli ceramiczną lalkę, rodzaj manekina ulepionego z takiej samej szorstkiej czerwonej gliny, jaką Hiszpanie wykorzystują do wyrobu kolorowych talerzy oraz dzbanów. Postać była naturalnej wielkości, choć wykonano ją niechlujnie: zamiast oczu wydłubano dwa otwory w głowie, nos zaś całkiem pominięto. Lalka była za to starannie ubrana w mundur oficera 11. Pułku Piechoty.

- Dobrze - oznajmił Strange, zwracając się do Jeronima Saornila. - Kiedy francuska awangarda dotrze do tamtej skały, proszę zebrać ludzi i ruszać do ataku.

Saornil przez chwilę usiłował pojąć sens słów maga, między innymi dlatego, że hiszpańszczyznę Strange'a cechowało kilka ekscentryzmów w gramatyce i wymowie. Kiedy

wreszcie zrozumiał, o co chodzi, spytał:

- Czy mamy starać się uwolnić *El Bueno Granto*. Tak Hiszpanie nazywali majora Granta.

- Żadną miarą! - odparł Strange. - *El Bueno Granto* zostawcie mnie!

Saornil i jego ludzie zeszli do połowy zbocza i zajęli pozycje w miejscu, w którym wątle drzewa chroniły ich przed wzrokiem wroga. Stamtąd otworzyli ogień do kompletnie zaskoczonych Francuzów. Kilku położyli trupem, wielu ranili. W okolicy brakowało skał, tu i tam rosły rzadkie krzaki, słowem, nie było gdzie się skryć, lecz przed zaatakowanymi wciąż rozpościerała się droga, dając sporą szansę na uciezkę. Po kilku minutach paniki i chaosu Francuzi odzyskali spokój, zebrali rannych i rzucili się pędem przed siebie.

Kiedy partyzanci wspinali się z powrotem na wzgórze, mocno wątpili, czy ich wyprawę uwieńczył sukces: w końcu osoba w szkarłatnym uniformie wciąż towarzyszyła czmychającym Francuzom. *Guerrilleros* dotarli do miejsca, w którym zostawili maga, i ze zdumieniem odkryli, że nie jest on sam. Siedział na skale i gawędził z majorem Grantem, pogryzając kurczaka na zimno i sącząc bordo.

-...Brighton jest całkiem przyjemne - mówił major Grant - niemniej wolę Weymouth.

- Zdziwiał mnie pan! - wykrzyknął Strange. - Nie cierpię Weymouth. Spędziłem tam jeden z najgorszych tygodni w życiu. Zakochałem się po uszy w dziewczynie o imieniu Mariannę, a ona rzuciła mnie dla jegomości ze szklanym okiem i posiadłością na Jamajce.

- Ale to nie wina Weymouth - mruknął major Grant. - Och! *Capitan Saornil!* - Machnął hersztowi udkiem kurczaka na powitanie. - *Buenos dias!*

Tymczasem francuscy oficerowie oraz żołnierze podążali dalej do Francji, a gdy dotarli do Bayonne, przekazali więźnia w ręce dowódcy miejscowej tajnej policji. Ten podszedł do jeńca, by go powitać. Zmieszał się jednak, kiedy ujął rękę majora Granta, by nią potrząsnąć, a całe ramię zostało mu w dłoni. Tak bardzo zdumiał go ten fakt, że upuścił ramię na ziemię, gdzie rozbiło się na tysiąc kawałków. Natychmiast zaczął błagać Granta o wybaczenie, a wtedy z jeszcze większym poruszeniem odkrył wielkie czarne szczeliny na całym obliczu oficera. W następnej chwili odpadł fragment głowy majora i ukazało się całkiem puste wnętrze, a później Grant pękł na kawałki niczym HumptyDumpty z popularnego wierszyka.

Dwudziestego drugiego lipca Wellington pokonał Francuzów nieopodal Salamanki, starego miasta uniwersyteckiego. W ostatnich latach był to najważniejszy sukces armii brytyjskiej.

Tamtej nocy francuska armia pierzchała przez lasy na południe od Salamanki.

Zmykający żołnierze spoglądali do góry i ze zdumieniem dostrzegali zastępy oślepiająco jasnych aniołów, sfruwające spomiędzy drzew. Anielskie skrzydła dorównywały biały skrzydłom łabędzim, a szaty nieziemskich istot lśniły rozmaitymi odcieniami macicy perłowej, rybich łusek lub nieba przed burzą. W dłoniach anioły dzierżyły płonące lance, a ich oczy pełne były nieziemskiego gniewu. Ze zdumiewającą prędkością istoty te spadły na Francuzów, wymachując im bronią przed nosem.

Wielu żołnierzy ogarnął taki lęk, że odwrócili się i pobiegli z powrotem ku miastu i gotowej do walki armii brytyjskiej. Większość jednak była zbyt oszołomiona, by zrobić cokolwiek, więc tylko stała i patrzyła. Pewien mężczyzna, odważniejszy i bardziej przedsiębiorczy od reszty, usiłował pojąć, co się dzieje. Wydało mu się wysoce nieprawdopodobne, by niebiosa nagle sprzymierzyły się z wrogami Francji. Ostatecznie o takich wypadkach nie słyszano od czasu Starego Testamentu. Zauważył, że choć anioły wygrażają żołnierzom lancami, ani razu nikogo nie skrzywdziły. Wobec tego zaczekał, aż jedna z nieziemskich istot sfrunie do niego, i wtedy przebił ją szablą. Broń nie napotkała oporu i przeszła puste powietrze. Również anioł nie okazał żadnego bólu, nie był też ranny. Francuz natychmiast krzyknął do swych pobratymców, że nie mają się czego lękać, gdyż anioły to tylko zupełnie nieszkodliwe iluzje stworzone przez maga Wellingtona.

Francuscy żołnierze wznowili ucieczkę, ścigani przez żłudy. Kiedy wyszli z lasu, znaleźli się na brzegu rzeki Tormes, nad którą wznosił się stary most prowadzący do miasteczka Alba de Tormes. W wyniku błędu popełnionego przez jednego ze sprzymierzeńców lorda Wellingtona mostu tego nie pilnowała żadna straż, Francuzi zatem przeszli na drugi brzeg i uciekli przez miasto.

Kilka godzin później, tuż po świcie, lord Wellington ostrożnie jechał mostem w Alba de Tormes. Towarzyszyło mu trzech dżentelmenów: pułkownik De Lancey, pełniący funkcję zastępcy kwatermistrza armii, pewien przystojny młody mężczyzna, Fitzroy Somerset, sekretarz wojskowy lorda Wellingtona, i wreszcie Jonathan Strange. Wszyscy byli przyprószeni pyłem i brudni po bitwie, od kilku dni żaden z nich nie miał okazji odpocząć w łóżku. Niewielkie też było prawdopodobieństwo, że wkrótce do niego trafią, Wellington bowiem wciąż planował ścigać Francuzów salwujących się ucieczką.

Miasto, pełne kościołów, klasztorów i średniowiecznych budynków, było doskonale widoczne na tle opalizującego nieba. Pomimo wczesnej pory (minęło wpół do szóstej) mieszkańcy wylegli przed domy. Biły dzwony, by uczcić triumfalne zwycięstwo nad Francuzami. Pułki wymęczonych brytyjskich i portugalskich żołnierzy przetaczały się ulicami, a miejscowi wciskali wojakom upominki: chleb, owoce i kwiaty. Pod murem

ustawiono wozy z rannymi, oficer dowodzący rozesłał ludzi na poszukiwania szpitala oraz miejsc, w których można zakwaterować poszkodowanych. Z jednego z klasztorów przydreptało pięć lub sześć poczciwych i budzących zaufanie zakonnic, które kręciły się wśród rannych, częstując ich świeżym mlekiem z cynowych kubków. Mali chłopcy, których nikt nie potrafił nakłonić do pozostania w łózkach, wznosili entuzjastyczne okrzyki na widok każdego przechodzącego w pobliżu żołnierza, a jeśli nie miał on nic przeciwko temu, za jego plecami spontanicznie organizowali parady zwycięstwa.

Lord Wellington rozejrzał się dookoła.

- Watkins! - zawołał, zatrzymując żołnierza w mundurze artylerzysty.

- Tak, wasza lordowska mość? - odezwał się mężczyzna.

- Chcę zjeść śniadanie, Watkins. Zapewne nie widziałeś kucharza?

- Sierżant Jefford wspomniał, że widział, jak pańscy ludzie wędrowali na górę, do zamku.

- Dziękuję, Watkins - zakończył rozmowę jego lordowska mość i odjechał wraz ze swą kompanią.

Zamek w Alba de Tormes nie przypominał już budowli obronnej. Wiele lat temu, na początku wojny, Francuzi otoczyli go i z wyjątkiem jednej wieży cała konstrukcja legła w gruzach. Ptactwo uwiło gniazda, a dzika zwierzyna wykopała nory tam, gdzie niegdyś w nieprawdopodobnym luksusie żyli książęta Alby. Piękne włoskie malowidła ścienne, dawniej przedmiot zachwyty, robiły teraz o wiele mniejsze wrażenie, gdyż znikły dachy, przez co dzieła sztuki doświadczyły surowych pieszczot deszczu, gradu i śniegu. W jadalni brakowało typowych wygod - znajdowała się pod gołym niebem, a pośrodku niej rosła samotna brzoźka. Służba lorda Wellingtona ani trochę się tym nie przejęła, przyzwyczajona do podawania posiłków jego lordowskiej mości w znacznie osobliwszych miejscach. Pod brzoźką ustawiono nakryty białym obrusem stół. Kiedy Wellington i jego towarzysze przybyli do zamku, służący właśnie przystępowali do rozstawiania talerzy z bułkami, salatek z plasterkami hiszpańskiej szynki, misek moreli i maselnicy ze świeżym masłem. Kucharz Wellingtona z miejsca zabrał się do smażenia ryby oraz nerek na ostro i parzenia kawy.

Czterech dżentelmenów usiadło. Pułkownik De Lancey zauważył, że nie przypomina sobie, kiedy ostatnio coś jadł. Ktoś przytaknął, a potem wszyscy w poważnym milczeniu przystąpili do konsumpcji. Zaczynali powracać do normalnego stanu i nabierać ochoty na pogawędkę, kiedy przybył major Grant.

- Ach! Grant - ucieszył się lord Wellington. - Dzień dobry. Proszę siadać i zjeść śniadanie.



- Z przyjemnością, wasza lordowska mość, lecz za chwilę. Przede wszystkim chciałbym oznajmić dość zaskakującą w moim mniemaniu nowinę. Zdaje się, że Francuzi stracili sześć armat.

- Armat? - powtórzył lord niespecjalnie zainteresowany i uraczył się bułką oraz porcją nerek na ostro. - To jasne, że stracili armaty. Somerset! - zwrócił się do sekretarza. - Ile francuskich armat wczoraj zdobyliśmy?

- Jedenaście, wasza lordowska mość.

- Nie, nie - zaprotestował major Grant. - Za pozwoleniem, wasza lordowska mość nie zrozumiał. Nie mówię o armatach przejętych podczas bitwy. Tych armat nigdy nie skierowano do boju. Transportowano je od generała Caffarellego na północy do miejsc stacjonowania armii francuskiej. Nie przybyły jednak na czas, by wziąć udział w walce. Właściwie nie przybyły wcale. Wiedząc, że wasza lordowska mość będzie w pobliżu i zacznie mocno przyciskać Francuzów, generał Caffarelli wysłał broń z największym pośpiechem. Eskortę stanowiła trzydziestka pierwszych lepszych żołnierzy, którzy mu się nawinęli pod rękę. Tak czy owak, panie, działał w pośpiechu i później pożałował podjętej decyzji, gdyż na tych trzydziestu aż dziesięciu ludzi pochodziło z Neapolu.

- Neapolitańczycy! - wykrzyknął lord. - Czy to prawda?

De Lancey i Somerset wymienili zadowolone spojrzenia i nawet Jonathan Strange się rozpogodził.

Wprawdzie Neapol formalnie należał do imperium francuskiego, lecz Neapolitańczycy nienawidzili Francuzów. Młodzi mężczyźni z Neapolu musieli służyć we francuskiej armii, lecz przy każdej nadarzającej się sposobności dezercerowali, często przechodząc na stronę wroga.

- A co z pozostałymi żołnierzami? - zainteresował się Somerset. - Z pewnością powinniśmy założyć, że uniemożliwią Neapolitańczykom wyrządzenie zbyt poważnych szkód?

- Dla pozostałych żołnierzy jest już za późno na cokolwiek - zakomunikował major Grant. - Wszyscy są martwi. Dwadzieścia par francuskich butów i dwadzieścia francuskich mundurów wisi obecnie w sklepie ze starzyzną w Salamance. Płaszczki mają długie rozcięcia na plecach, jak po włoskim sztylcie, i są całe poplamione krwią.

- A zatem armaty pozostają w rękach bandy włoskich dezercerów, czy tak? - odezwał się Strange. - I co oni zrobią? Zaczną toczyć własną wojnę?

- Nie, skąd! - zaprzeczył Grant. - Sprzedadzą działa temu, kto da więcej. Innymi słowy, waszej lordowskiej mości lub generałowi Castanosowi.

Tak brzmiało nazwisko głównodowodzącego armii hiszpańskiej.

- Somerset - westchnął lord. - Ile mógłbym zaproponować za sześć francuskich armat? Sto funtów szterlingów?

- Och, taka suma jest absolutnie do przyjęcia, jeśli dzięki niej Francuzi odczuliby skutki swej głupoty, wasza lordowska mość. Nie rozumiem jednak, dlaczego Neapolitańczycy jeszcze nie usiłowali nawiązać z nami kontaktu? Na co czekają?

- Podejrzewam, że znam odpowiedź na to pytanie - przemówił major Grant. - Cztery noce temu dwóch mężczyzn spotkało się potajemnie na terenie małego cmentarza na wzgórzu nieopodal Castrejon. Mieli na sobie obszarpane francuskie mundury i mówili z włoskim akcentem. Przez chwilę dyskutowali, a potem jeden powędrował na południe, ku francuskiej armii w Cantalapiedra, a drugi na północ, do Duero. Wasza lordowska mość, uważam, iż neapolitańscy dezercerzy przesyłają wiadomości swoim rodakom, zachęcając ich do przybycia i dołączenia do nich. Ośmielę się twierdzić, że wierzą oni, iż dzięki pieniądzom uzyskanym za broń od waszej lordowskiej mości lub od generała Castanosa będą mogli opłacić komfortową powrotną podróż morską do Neapolu. W ich gronie nie ma zapewne ani jednego mężczyzny, którego brat albo kuzyn nie służyłby w jakimś pułku francuskim. Nie chcą powracać do domu bez krewnych, bo musieliby wtedy stawić czoło matkom oraz babkom.

- Wielokrotnie słyszałem, że Włoszki są krewkie z natury - potwierdził pułkownik De Lancey.

- Możemy zrobić tylko jedno, wasza lordowska mość - kontynuował major Grant. - Trzeba schwytać kilku Neapolitańczyków i przesłuchać ich. Jestem pewien, że w ten sposób dowiemy się, gdzie są złodzieje oraz skradzione przez nich armaty.

- Czy wśród żołnierzy wziętych wczoraj do niewoli znajdują się jacyś Neapolitańczycy? - spytał Wellington.

Pułkownik De Lancey wysłał umyślnego, by uzyskał wyjaśnienia w tej kwestii.

- Rzecz jasna, znacznie korzystniej byłoby uniknąć jakiegokolwiek zapłaty - zamyślił się Wellington. - Merlinie...

Tak Wellington nazywał Jonathana Strange'a.

- Proszę łaskawie wywołać nam wizję Neapolitańczyków. Być może uzyskamy dzięki temu wskazówkę dotyczącą miejsca ich pobytu oraz lokalizacji dział. Wtedy po prostu byśmy je przejęli!

- Być może... - mruknął Strange.

- Moim zdaniem gdzieś w tle ujrzymy charakterystyczny kształt góry lub wieś z nietypową wieżą kościelną. Któryś z naszych hiszpańskich przewodników z pewnością

prędko rozpozna miejsce.

- Całkiem prawdopodobne... - westchnął Strange.

- Nie wydaje się pan przekonany.

- Niech wasza lordowska mość mi wybaczy, ale chyba już wcześniej powtarzałem, że wizje nie są przydatne w tego typu sprawach<sup>[31]</sup>.

- Czy zatem może pan zaproponować coś lepszego? - spytał lord.

- Nie, wasza lordowska mość. Nie w tej chwili.

- Wobec tego postanowione! - zdecydował lord Wellington. - Pułkownik De Lancey oraz major Grant skupią uwagę na poszukiwaniach armat. Somerset i ja wyruszymy niepokoić Francuzów. - Zwięzłość wypowiedzi jego lordowskiej mości wyraźnie sugerowała, że oczekuje on rychłej realizacji poleceń. Strange oraz dżentelmeni ze sztabu przełknęli resztki śniadania i powrócili do obowiązków.

Około południa lord Wellington oraz Fitzroy Somerset siedzieli w siodłach i pokonywali niewysoki łańcuch górski nieopodal wioski Garcia Hernandez. Na kamienistej równinie w dole kilka brygad brytyjskich dragonów przygotowywało się do szarży na szwadrony kawalerii, tworzącej straż tylną francuskiej armii.

W pewnej chwili do głównodowodzącego podjechał pułkownik De Lancey.

- Ach, pułkownik! - powitał go Wellington. - Czy znalazł pan dla mnie jakichś Neapolitańczyków?

- Wśród jeńców ich nie ma, wasza lordowska mość - wyjaśnił De Lancey. - Pan Strange zasugerował jednak, byśmy poszukali wśród zwłok pozostałych po wczorajszej bitwie. Magicznym sposobem odkrył, że siedemnaście trupów to Neapolitańczycy.

- Zwłoki! - wykrzyknął lord Wellington, ze zdumieniem odkładając lunetę. - A na cóż mu zwłoki, u licha?

- Pytaliśmy o to, lecz nie chciał udzielić nam wyjaśnień. Poprosił jednak, by trupy złożono w bezpiecznym miejscu, w którym nikt ich nie zgubi i nie będą napastowane.

- Cóż, skoro już zatrudniłszy maga, to nie powinniśmy narzekać na jego dziwaczne zachowanie... - westchnął Wellington.

W tym momencie przebywający w pobliżu oficer wykrzyknął, że dragoni przyspieszyli do galopu i wkrótce dogonią Francuzów. Ekscentryczne zachowanie maga z miejsca poszło w niepamięć, lord Wellington przyłożył lunetę do oka, a wszyscy obecni skupili uwagę na przebiegu batalii.

Tymczasem Strange powrócił z pola bitwy do zamku w Alba de Tormes. W wieży zbrojowni (jedynej ocalałej części budowli) już wcześniej odkrył pomieszczenie, z którego

nikt nie korzystał, i zajął je na własne potrzeby. W różnych częściach pokoju leżało czterdzieści ksiąg Norrella. Ogólnie biorąc, wszystkie były w jednym kawałku, choć część zdecydowanie wyglądała na sponiewieraną. Podłogę zaśmiecały notatniki Strange'a oraz jego papiery, zabazgrane fragmentami zaklęć i magicznymi obliczeniami. Na stole pośrodku pomieszczenia leżała duża, płytka, srebrna misa napełniona wodą. Strange starannie zamknął okiennice; teraz jedynym źródłem światła w mrocznej komnacie była misa. Krótko mówiąc, była to prawdziwa jaskinia maga, a ładna hiszpańska pokojówka, która w regularnych odstępach czasu przynosiła kawę i ciastka migdałowe, nie kryła przerażenia i za każdym razem zmykała natychmiast po odstawieniu tacy.

Do pomocy Strange'owi skierowano kapitana Whyte'a z 18. Pułku Huzarów. Whyte przez pewien czas mieszkał w ambasadzie Wielkiej Brytanii w Neapolu, miał niezwykle zdolności językowe i świetnie rozumiał dialekt neapolitański.

Strange bez trudu wyczarował wizje, lecz zgodnie z jego przewidywaniami obrazy w niewielkim stopniu pozwalały się zorientować, gdzie przebywają poszukiwani. Mag odkrył, że armaty częściowo ukryto za jasnożółtymi skałami (występującymi na całym obszarze Półwyspu Iberyjskiego), mężczyźni zaś obozują wśród nielicznych drzew oliwnych i sosnowych (tego typu lasy znajdowały się na półwyspie wszędzie, gdzie okiem sięgnąć).

Kapitan Whyte stał u boku Strange'a i tłumaczył na prosty, zwięzły angielski każde słowo wypowiedziane przez Neapolitańczyków. Choć obaj panowie przez cały dzień z ogromną uwagą wpatrywali się w misę, dowiedzieli się bardzo niewiele. Kiedy człowiek przez półtora roku chodzi głodny, kiedy od dwóch lat nie widział żony lub narzeczonej, kiedy przez ostatnie cztery miesiące sypiał w błocie i na kamieniach, jego zdolność prowadzenia rozmowy zdecydowanie się pogarsza. Neapolitańczycy nie mieli sobie wiele do powiedzenia, a jeśli już otwierali usta, to tylko po to, by głośno zakomunikować, co chcieliby zjeść, wspomnieć walory nieobecnych żon i narzeczonych, którymi chętnie by się nacieszyli, i pożałować, że nie sypiają na miękkich materacach z pierza.

Przez pół nocy i większość następnego dnia Strange i kapitan Whyte tkwili w wieży zbrojowni, skupieni na nudnej pracy, polegającej na podglądaniu Neapolitańczyków. Pod wieczór drugiego dnia adiutant przyniósł wiadomość od Wellingtona. Jego lordowska mość urządził sobie kwaterę główną w miejscu zwanym Flores de Avila, a Strange oraz kapitan Whyte mieli się tam stawić. Wobec tego spakowali księgi, srebrną misę i inne dobra, a następnie ruszyli w drogę po rozpalonych, pełnych kurzu drogach.

Flores de Avila okazało się dość tajemniczym miejscem: żaden z Hiszpanów indagowanych

przez kapitana Whyte'a nigdy nie słyshał o takiej miejscowości. Kiedy jednak dwie z największych armii Europy przewalają się drogą, siłą rzeczy pozostawiają po sobie ślady. Strange i kapitan Whyte przekonali się, że najlepiej podążać szlakiem porzuconych bagaży, uszkodzonych wozów, trupów i żerujących czarnych ptaszysk. Na tle pustych kamienistych równin takie widoki kojarzyły się ze średniowiecznymi obrazami przedstawiającymi piekło i prowokowały Strange'a do ponurych uwag na temat potworności i bezsensu wojny. Jako zawodowy żołnierz kapitan Whyte w normalnych okolicznościach podjąłby dyskusję, lecz bardzo przygnębiało go upiorne otoczenie, więc tylko przytaknął:

- Szczera prawda, proszę pana. Szczera prawda.

Żołnierz nie powinien jednak skupiać się na ponurych sprawach. Jego życie jest pełne trudów, więc musi przy każdej okazji wynajdywać sobie powody do radości. Chociaż czasem duma nad widzianymi okropieństwami, to wystarczy, że trafi do grona kompanów, a niemal na pewno humor mu się poprawi. Strange i kapitan Whyte dotarli do Flores de Avila około godziny dziewiątej i już po pięciu minutach wesoło witali przyjaciół, wysłuchiwali najświeższych plotek o lordzie Wellingtonie i wypytywali o szczegóły bitwy stoczonej poprzedniego dnia, jeszcze jednej, która zakończyła się porażką Francuzów. Trudno było uwierzyć, że w ciągu ostatniego roku widzieli cokolwiek, co mogłoby popsuć im humor.

Kwaterę główną ulokowano w ruinach kościoła na wzgórzu nad wsią. Tam właśnie czekał na przybyłych lord Wellington, a wraz z nim Fitzroy Somerset, pułkownik De Lancey oraz major Grant.

Pomimo zwycięstwa w dwóch bitwach stoczonych w trakcie dwóch dni lordowi Wellingtonowi nie dopisywał humor. Francuska armia, słynąca w całej Europie z niesłychanego tempa przemarszu, uciekła mu, a teraz szybko zbliżała się do Valladolid.

- Nie pojmuję, jak to możliwe, że tak prędko mkną - poskarżył się lord. - Wiele bym dał, by ich dogonić i zniszczyć. Cóż, nie mam jednak innej armii i jeśli tę zmarnuję, nikt nie podaruje mi następnej.

- Otrzymaliśmy wiadomość od Neapolitańczyków z armatami - major Grant poinformował Strange'a i kapitana Whyte'a. - Żądają dwudziestu pięciu funtów szterlingów za działo. Łącznie sto pięćdziesiąt funtów szterlingów.

- Za dużo - mruknął Wellington. - Panie Strange, kapitanie Whyte, liczę na dobre wieści od panów.

- Niestety, wasza lordowska mość - westchnął Strange. - Neapolitańczycy przebywają w lesie, lecz nie wiem, gdzie się on znajduje. Trudno powiedzieć, co dalej. Wykorzystałem wszystkie swoje umiejętności.

- Wobec tego proszę nauczyć się czegoś nowego!

Przez chwilę Strange wyglądał tak, jakby miał wybuchnąć gniewem, lecz przemyślawszy sprawę, westchnął tylko i spytał, czy siedemnastu martwych Neapolitańczyków znajduje się w bezpiecznym miejscu.

- Zostali umieszczeni w dzwonnicy - wyjaśnił pułkownik De Lancey. - Pilnuje ich sierżant Nash. Bez względu na to, do czego są panu potrzebni, doradzam pośpiech. Wątpię, czy długo wytrzymają w takim upale.

- Wytrzymają jeszcze przez jedną noc - mruknął Strange. - Wieczory są chłodne.

Mag odwrócił się na pięcie i wyszedł z kościoła. Członkowie sztabu Wellingtona z ciekawością przypatrywali się odchodzącemu Strange'owi.

- Nie mogę nie zastanawiać się nad tym, co on zamierza uczynić z tymi siedemnastoma trupami - przerwał milczenie Fitzroy Somerset.

- Cokolwiek to jest, nie sprawi mu przyjemności - skomentował Wellington, zanurzając pióro w atramencie i przystępując do pisania listu do ministrów w Londynie. - Robi, co może, by tego uniknąć.

Tamtego wieczoru Strange skupił się na magii, której nigdy wcześniej nie próbował: postanowił wniknąć do snów Neapolitańczyków. Ta sztuka udała mu się wyśmienicie.

Jeden z nich śnił, że uciekając przed zjadłym udźcem jagnięcym wdrapuje się na drzewo i siedzi tam, łkając z głodu, podczas gdy udziec biega dookoła i natrętnie tłucze go kością. Wkrótce do udźca dołączyło pięć lub sześć złośliwych jaj na twardo, które szeptały odrażające kłamstwa na temat śniącego.

Innemu mężczyźnie przyśniło się, że idąc przez zagajnik, napotkał zmarłą matkę, która powiedziała mu, że przed chwilą zajrzała do króliczej nory i dostrzegła na jej dnie Napoleona Bonapartego, króla Anglii, papieża i cara Rosji. Neapolitańczyk wszedł do nory, by rzucić na nich okiem, lecz po dotarciu na dno odkrył, że Napoleon Bonaparte, król Anglii, papież i car Rosji są w rzeczywistości tą samą osobą: potężnym, opasłym jegomościem, wielkim niczym kościół, z pordzewiałymi zębami z żelaza i płonącymi kołami od wozu zamiast oczu. „Ha! - zakrzyknął potwór. - Nie wierzyłeś chyba, że jesteśmy różnymi ludźmi, co?” Po tych słowach monstrum sięgnęło do bulgoczącego kotła, który stał obok, wyciągnęło z niego synka nieszczęsnego Neapolitańczyka i pożarło malucha. Ogólnie biorąc, sny Neapolitańczyków były interesujące, lecz niezbyt przydatne.

Następnego ranka około dziesiątej lord Wellington siedział przy prowizorycznym biurku w prezbiterium zniszczonego kościoła. Dowódca uniósł wzrok na dźwięk kroków Strange'a.

- I jak tam? - spytał. Mag westchnął.

- Gdzie jest sierżant Nash? - spytał w odpowiedzi. - Chciałbym, żeby sprowadził zwłoki. Za pozwoleniem waszej lordowskiej mości, zamierzam wypróbować magię, o której niegdyś słyszałem<sup>[32]</sup>.

W sztabie wkrótce gruchnęła wieść, że mag zamierza coś zrobić z martwymi Neapolitańczykami. Flores de Avila to mała miejscowość, licząca może sto domostw. Poprzedni wieczór okazał się wyjątkowo nudny dla armii młodych mężczyzn, którzy właśnie zwyciężyli w wielkiej bitwie i mieli ochotę uczcić sukces. Uznali, że magia Strange'a najprawdopodobniej zapewni im godziwą rozrywkę. Wkrótce zebrał się tłumek oficerów i żołnierzy, chętnych do podziwiania sztuk magicznych.

Przed kościołem znajdował się kamienny taras z widokiem na wąską dolinę i jasne, wysokie góry o zboczach porośniętych winoroślą i drzewami oliwnymi. Sierżant Nash oraz jego ludzie znieśli siedemnastu nieboszczyków z dzwonnicy i usadowili ich na ziemi w pozycji siedzącej, z plecami opartymi o niski murek wyznaczający skraj tarasu. Strange przeszedł wzdłuż rzędu truposzków, przypatrując się każdemu z osobna.

- Przecież mówiłem, że absolutnie nikt nie może dotykać zwłok - upomniał sierżanta Nasha.

Żołnierz wyglądał na zirytowanego.

- Jestem całkowicie pewien, że żaden z moich ludzi ich nie tknął - zapewnił i popatrzył na lorda Wellingtona. - Wasza lordowska mość, na polu bitwy nie pozostały właściwie żadne zwłoki, których nie uszkodziła ta hiszpańska zbieranina... - I tutaj skoncentrował się na wyliczaniu narodowych wad tej nacji, konkludując, że gdyby ktoś spędził noc pod jednym dachem z Hiszpanem, z pewnością pożałowałby tego po przebudzeniu.

Zniecierpliwiony lord Wellington machnął ręką, by uciszyć podkomendnego.

- Nie dostrzegam u nich szczególnych śladów okaleczenia - zwrócił się do Strange'a. - Czy to ma jakieś znaczenie?

Strange mruknął ponuro, że chyba nie, poza tym, że trzeba ich będzie oglądać.

W rzeczy samej, większość ran na ciałach Neapolitańczyków spowodowała ich śmierć, lecz wszystkie trupy zostały odarte z odzieży, a w dodatku kilku brakowało palców, gdyż złodzieje nie mogli inaczej ściągnąć pierścieni. Jeden z poległych był niegdyś przystojnym młodym mężczyzną, lecz jego oblicze srodze ucierpiało po wyrwaniu zębów (przydatnych na sztuczne szczęki) i obcięciu czarnych włosów (na peruki).

Strange zażądał ostrego noża i czystego bandaża. Potem ściągnął płaszcz i podwinął

rękaw koszuli, mamrocząc pod nosem łacińskie sentencje. Następnie wykonał długie i głębokie cięcia na ręce, a gdy zaczął intensywnie broczyć, opryskał krwią głowy trupów i starannie rozsmarował czerwoną ciecz na ich oczach, językach i nozdrzach. Po chwili pierwszy nieboszczyk drgnął. Rozległo się potworne rżenie, kiedy jego wysuszone płuca wypełniły się powietrzem, a kończyny zatrzęsły w przerażający sposób. Pozostałe zwłoki również odzyskiwały zdolność poruszania się, bełkocząc coś gardłowo w języku złożonym ze znacznie większej liczby wrzasków niż jakikolwiek inny sposób komunikacji werbalnej znany obserwatorom.

Na ten widok nawet Wellington pobladł i tylko Strange kontynuował swoje dzieło, zachowując pozory spokoju.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Fitzroy Somerset. - A cóż to za język?

- Podejrzewam, że jeden z dialektów piekielnych - wytłumaczył Strange.

- Czyżby? - prychnął Somerset. - Niewiarygodne.

- Bardzo szybko się go nauczyli - przyznał lord Wellington. - Nie żyją zaledwie od trzech dni. - Doceniał ludzi, którzy robią wszystko solidnie i rzetelnie. - Czy rozumie pan ich mowę? - zwrócił się do Strange'a.

- Nie, wasza lordowska mość.

- Wobec tego jak się z nimi porozumiemy?

Zamiast odpowiedzieć, Strange chwycił głowę pierwszego trupa, rozchylił jego podrygujące szczęki i splunął mu między wargi. Nieboszczyk natychmiast przestawił się na ojczysty, ziemski język - trudny do zrozumienia neapolitański dialekt języka włoskiego, dla większości ludzi równie niejasny i niemal tak samo potworny jak język, którym truchło posługiwało się uprzednio. Miał on jednak tę zaletę, że kapitan Whyte doskonale rozumiał każde wypowiedane słowo.

Z pomocą kapitana major Grant i pułkownik De Lancey przesłuchali ożywionych Neapolitańczyków. Nie kryli zadowolenia z uzyskiwanych odpowiedzi. Martwi wojacy byli nieskończenie bardziej skłonni zaspokajać ciekawość pytających niż jakikolwiek żyjący informator. Najwyraźniej niedługo przed śmiercią na polu bitwy pod Salamanką nieszczęśnicy otrzymali tajne wiadomości od ukrytych w lesie ziomków, którzy poinformowali ich o zdobyciu armat i zachęcali do przybycia do wioski oddalonej o kilkanaście kilometrów na północ od Salamanki. Stamtąd bez trudu mieli trafić do zagajnika, podążając za tajnymi znakami, wyrysowanymi kredą na drzewach i głązach.

Major Grant zebrał niewielki oddział kawalerii i po kilku dniach powrócił z armatami i dezertkami. Wellington był wniebowzięty.



Niestety, Strange absolutnie nie potrafił znaleźć zaklęcia, które ponownie zesłałyby na martwych Neapolitańczyków wieczny sen<sup>[33]</sup>. Wykonał kilka prób, lecz nie dały one spodziewanych rezultatów, poza tym, że ni stąd, ni zowąd cała siedemnastka nagle urosła do wysokości sześciu metrów, stając się osobliwie przezroczysta, niczym portrety malowane akwarelą na muślinowych sztandarach. Strange przywrócił zwłokom normalne gabaryty, ale problem likwidacji trupów pozostał.

Z początku przyłączono ich do pozostałych francuskich więźniów, lecz ci głośno zaprotestowali przeciwko skazywaniu ich na towarzystwo takich rozlazłych, podrygujących okropieństw. (Obserwując z niesmakiem nieboszczyków, lord Wellington zauważył, że doprawdy trudno się dziwić tym skargom).

Więźniów odesłano do Anglii, natomiast martwi Neapolitańczycy towarzyszyli armii. Przez całe lato podróżowali wozem bydłowym, na rozkaz lorda Wellingtona skuci kajdanami, które z założenia miały ograniczyć im ruchy i utrzymywać ich w jednym miejscu. Truposze jednak nie obawiały się bólu (najwyraźniej nic nie czuły), więc nie miały trudności z oswoadzaniem się z oków, niekiedy pozostawiając w nich strzępy ciała. Po odzyskaniu wolności Neapolitańczycy natychmiast ruszali na poszukiwanie Strange'a, by w sposób najżałośniejszy z możliwych błagać go o przywrócenie im pełni życia. Widzieli piekło i zupełnie nie mieli ochoty doń powracać.

Mieszkający w Madrycie hiszpański artysta Francisco Goya narysował czerwoną kredą szkic przedstawiający Jonathana Strange'a w otoczeniu martwych Neapolitańczyków. Na rysunku mag siedzi na ziemi z opuszczonym wzrokiem i zwisającymi rękoma. Cała jego postawa dowodzi bezradności i desperacji. Neapolitańczycy zaś kłębią się wokół Strange'a; niektórzy wpatrują się w niego wygłodniałym wzrokiem, inni błagalnie. Jeden niepewnie wyciąga palec, by pogłaskać maga po głowie. Nie trzeba dodawać, że ten portret Strange'a w niczym nie przypomina pozostałych.

Dwudziestego piątego sierpnia lord Wellington wydał rozkaz likwidacji martwych Neapolitańczyków<sup>[34]</sup>.

Strange miał obawy, że pan Norrell dowie się czegoś o magii odprawianej w ruinach kościoła we Flores de Avila. Nie wspominał o niej w listach i poprosił lorda Wellingtona o pominięcie wzmianki o tych czarach w raportach.

- Och, doskonale! - zgodził się jego lordowska mość. Lord Wellington nie przepadał za rozpisywaniem się na temat magii: nie lubił niczego, co niespecjalnie rozumiał. - Ale to chyba niewiele pomoże - zauważył. - Każdy, kto w ciągu ostatnich pięciu dni wysłał list do

domu, z pewnością ze szczegółami opisał tę historię.

- Tak, wiem - przytaknął Strange niechętnie. - Ale idzie o to, że ludzie zawsze przesadzają, opowiadając o moich dokonaniach. Kiedy obywatele Anglii wezmą to pod uwagę, sprawa nie będzie zbyt bulwersująca. Po prostu wyobrażą sobie, że uzdrowiłem kilku rannych Neapolitańczyków lub coś w tym rodzaju.

Przywrócenie do życia siedemnastu martwych żołnierzy dobrze ilustrowało problem, z którym zetknął się Strange w drugiej połowie wojny. Podobnie jak wcześniej ministrowie, lord Wellington szybko przyzwyczajał się do stosowania magii w celu osiągnięcia określonych korzyści i dlatego oczekiwał od maga coraz bardziej skomplikowanych zaklęć. W przeciwieństwie jednak do ministrów Wellingtonowi brakowało czasu lub ochoty na wysłuchiwanie przydługich wyjaśnień, czemu coś nie jest możliwe. Ostatecznie bardzo często wymagał nadludzkich wysiłków od swoich inżynierów, generałów oraz oficerów i nie widział powodu, by robić wyjątek dla maga. „Niech pan znajdzie inny sposób!” - oświadczał, kiedy Strange usiłował wytłumaczyć, że takiej magii nie praktykowano od 1302 roku albo że zaklęcie zaginęło, albo wreszcie, że tak naprawdę nigdy nie istniało. Podobnie jak na początku, jeszcze przed spotkaniem z Norrellem, Strange musiał wymyślać większość rzucanych przez siebie zaklęć, opierając się na ogólnych zasadach i wyszperanych w pamięci niepełnych opisach ze starych ksiąg.

Na początku lata 1813 roku Strange raz jeszcze rzucił zaklęcie, którego nie praktykowano od czasów Króla Kruków: przesunął rzekę.

Tamtego lata wszystkie poczynania lorda Wellingtona wieńczył sukces. Pewnego czerwcowego poranka Francuzi znaleźli się w nieco lepszym położeniu niż do tej pory. Jego lordowska mość oraz generałowie natychmiast zwołali posiedzenie, by przedyskutować dalszą taktykę i sposoby zaradzenia tej niekorzystnej sytuacji. Strange również został wezwany do namiotu lorda Wellingtona. Na miejscu ujrzał wojskowych zebranych wokół okrągłego stołu z wielką mapą.

Tego dnia jego lordowska mość był w dobrym humorze.

- Ach, Merlinie! - powitał Strange'a wręcz wylewnie. - Tu pan jest! Proszę posłuchać, jaki mamy problem. Znajdujemy się na tym brzegu rzeki, Francuzi na tamtym, a znacznie lepiej dla nas byłoby zamienić się z nimi pozycjami.

Jeden z generałów zaczął wyjaśniać, że gdyby przemaszerowali z armią na zachód w tamto miejsce, a następnie wzniesli most przez rzekę tam i wreszcie otworzyli ogień do Francuzów tutaj...

- To potrwa zbyt długo! - zaopiniował lord Wellington. - O wiele za długo! Merlinie,

czy nie mógłby pan sprawić, żeby naszym żołnierzom wyrosły skrzydła, na których przefrunęliby na drugi brzeg, prosto na Francuzów? Jak pan sądzi, czy potrafiłby pan dokonać takiej sztuki? - Jego lordowska mość być może żartował, lecz nie całkiem. - Kwestia wiązałaby się wyłącznie z wyposażeniem każdego człowieka w parę niewielkich skrzydeł. Weźmy dla przykładu kapitana Macphersona - zaproponował, zerkając na ogromnego Szkota. - Chętnie zobaczyłbym, jak Macphersonowi rosną skrzydła, a potem na nich fruwa.

Zamyślony Strange popatrzył z uwagą na kapitana Macphersona.

- Nie - zdecydował w końcu. - Niemniej byłbym wdzięczny waszej lordowskiej mości za wypożyczenie mi pana kapitana oraz mapy na godzinę lub dwie.

Strange i kapitan Macpherson przez pewien czas spoglądali na mapę, aż wreszcie mag wrócił do lorda Wellingtona i oświadczył, że wyposażenie każdego żołnierza w skrzydła trwałoby zbyt długo, lecz w jednej chwili potrafi przemieścić rzekę. Czy jego lordowska mość jest tym zainteresowany?

- Obecnie - tłumaczył Strange - rzeka płynie na południe, a następnie skręca na północ w tym miejscu. Gdyby zaś toczyła wody na północ, a tutaj skręcała na południe, wówczas znajdowalibyśmy się na północnym jej brzegu, a Francuzi na południowym.

- Och! - wykrzyknął jego lordowska mość. - Doskonale.

Nowa pozycja rzeki do tego stopnia zbiła Francuzów z pantafelku, że kilka ich kompanii po otrzymaniu rozkazu wymarszu na północ powędrowało w przeciwnym kierunku, gdyż żołnierze byli absolutnie przekonani, że oddalając się od wody, idą tam, dokąd trzeba. Tych kompanii nie odnaleziono już nigdy - w powszechnym przekonaniu powybijali je hiszpańscy *guerrilleros*.

Później lord Wellington pogodnie zakomunikował generałowi Pictonowi, że nic nie wyczerpuje wojska i koni równie skutecznie jak ciągłe przemarsze, więc jego zdaniem w przyszłości lepiej będzie zatrzymać żołnierzy w jednym miejscu, podczas gdy pan Strange przesunie Hiszpanię pod ich stopami niczym dywan.

Tymczasem członkowie Hiszpańskiej Rady Regencyjnej w Kadyksie zaniepokoiili się takim obrotem spraw i zaczęli zastanawiać, czy odzyskawszy swe państwo z rąk Francuzów, będą jeszcze w stanie je rozpoznać. Ostatecznie złożyli skargę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (przez wielu uznaną za przejaw niewdzięczności). Minister przekonał Strange'a, by mag napisał do Rady Regencyjnej list z zapewnieniem, że po zakończeniu działań wojennych przywróci rzece poprzedni bieg, a także: „...naprawi wszystko, co lord Wellington uzna za konieczne poprzesuwać w czasie wojny”. Pośród wielu obiektów przesuniętych przez Strange'a znalazły się: las oliwny i sosnowy w Nawarze<sup>[35]</sup>, miasto

Pampeluna<sup>[36]</sup> oraz dwa kościoły w mieście St Jean de Luz we Francji<sup>[37]</sup>.

Szóstego kwietnia 1814 roku cesarz Napoleon Bonaparte abdykował. Podobno na wieść o tym zdarzeniu lord Wellington odtańczył szybki taniec. Kiedy informacja dotarła do Strange'a, roześmiał się, lecz raptem zamilkł i mruknął: „Dobry Boże! Co oni teraz z nami zrobią?” W tamtej chwili zakładano, że ta dość enigmatyczna uwaga odnosi się do armii, niemniej później kilka osób zastanawiało się, czy przypadkiem nie chodziło o samego Strange'a oraz drugiego maga.

Mapę Europy stworzono od zera: nowe królestwa Napoleona zlikwidowano, a w ich miejsce przywrócono poprzednie. Kilku królów zdeponizowano, inni powrócili na trony. Narody kontynentu gratulowały sobie ostatecznej rozprawy z Wielkim Uzurpatorem, lecz dla Brytyjczyków nagle stało się jasne, że wojna miała całkiem odmienny cel: dzięki niej Wielka Brytania stała się najważniejszym państwem na świecie. W Londynie pan Norrell nie krył satysfakcji, słysząc od wszystkich, że to magia - jego i pana Strange'a - bardzo przyczyniła się do wiktorii.

Pewnego wieczoru pod koniec maja Arabella powróciła do domu po uroczystej kolacji, zorganizowanej w Carlton House z okazji zwycięstwa. Wysłuchiła tam wielu ciepłych słów i gorących pochwał pod adresem męża, wraz z innymi wznosiła na jego cześć toasty, a księżę regent prawił jej mnóstwo komplementów. Arabella dotarła do domu tuż po północy. Siedziała właśnie w salonie, myśląc, że do pełni szczęścia brak jej jedynie obecności męża w domu, kiedy jedna z pokojówek wpadła do pokoju z okrzykiem:

- Och, proszę pani! Pan tu jest! Ktoś wszedł do salonu.

Był szczuplejszy i bardziej opalony niż wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni. W jego włosach połyskiwało więcej siwizny, a nad lewą brwią widniała biaława szrama. Blizna nie była chyba świeża, lecz Arabella jej nie pamiętała. Coś się zmieniło i nie chodziło tu o rysy jego twarzy. Zupełnie nie przypominał osoby, za którą przed chwilą tęskniła Arabella. Zanim jednak zdołała wyrazić rozczarowanie, zakłopotanie lub to, co poczuła na jego widok, rozejrzał się po pokoju, obrzucając wszystko pobieżnym, lekko ironicznym spojrzeniem, które rozpoznała w jednej chwili. Następnie popatrzył na nią, uśmiechnął się w najbardziej znajomy sposób na świecie i oznajmił krótko:

- Wróciłem.

Nadszedł ranek, a oni wciąż jeszcze nie zdążyli powiedzieć sobie choćby jednej setnej tego, co zamierzali.

- Usiądź tutaj - nakazał Strange Arabelli.

- Na tym krześle?

- Tak.

- Czemu?

- Bo chcę cię lepiej widzieć. Nie oglądałem cię od trzech lat i od dawna mi tego brakowało. Pora nadrobić zaległości.

Usiadła, lecz po krótkiej chwili zaczęła się uśmiechać.

- Jonathanie, nie potrafię zachować powagi, kiedy patrzysz na mnie w taki sposób. W tym tempie nadrobisz zaległości w pół godziny. Wybacz, że cię rozczarowuję, lecz dotychczas nie spoglądałeś na mnie zbyt często. Zawsze siedziałeś z nosem w jakiejś starej zakurzonej księdze.

- Nieprawda. Całkiem zapomniałem, jaka jesteś kłótniwa. Podaj mi tamtą kartkę, muszę to sobie zanotować.

- Nie zrobię tego - zaśmiała się Arabella.

- Czy wiesz, jaka myśl przyszła mi do głowy dzisiaj rano, zaraz po przebudzeniu? Uznałem, że powinienem wstać, ogolić się i zjeść śniadanie, nim jakiś służący wyniesie całą gorącą wodę i zabierze bułki. Dopiero potem przypomniałem sobie, że wszyscy służący w domu są moi, podobnie jak gorąca woda i bułki. Nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej doświadczał podobnego szczęścia.

- W Hiszpanii nie zapewniało ci żadnych wygód?

- Na wojnie żyje się jak księżę albo jak włóczęga. Trzeciego wyjścia nie ma. Widziałem lorda Wellingtona - powinienem powiedzieć: jaśnie oświeconego księcia Wellingtona<sup>[38]</sup> - jak spał pod drzewem z głową na kamieniu zamiast na poduszce. Kiedy indziej widywałem złodziei i żebraków chrapiących na materacach z pierza w pałacowych sypialniach. W czasie wojny wszystko stoi na głowie.

- Mam nadzieję, że Londyn nie wyda ci się nieciekawym. Dżentelmen o włosach jak puch ostu zauważył, że posmakowawszy wojny, z pewnością będziesz się nudził w domu.

- Ha! Nie, bynajmniej! Kiedy wszystko jest takie czyste? A książki i przedmioty osobiste stoją tuż pod ręką? Gdy żona jest w zasięgu wzroku za każdym razem, gdy się podniesie głowę? Zaraz, chwileczkę... O kim przed chwilą mówiłaś? Dżentelmen o jakich włosach?

- Jak puch ostu. Jestem pewna, że wiesz, kogo mam na myśli. Mieszka wraz z sir Walterem oraz lady Pole. Właściwie nie jestem pewna, czy tam mieszka, lecz widuję go u nich za każdym razem, gdy przychodzę z wizytą do ich domu.

Strange zmarszczył brwi.

- Nie znam go. Jak się nazywa? Arabella nie wiedziała.

- Zawsze podejrzewałam, że należy do grona krewnych sir Waltera lub lady Pole. To dziwne, że nigdy nie pomyślałam, by spytać go o imię. Spędziłam z nim przecież... och, wiele godzin na rozmowach.

- Doprawdy? Nie jestem pewien, czy to powinien być dla mnie powód do zadowolenia. Jest przystojny?

- Ależ tak! Niezwykle! Naprawdę osobliwe, że nie znam jego imienia. To szalenie zajmujący interlokutor, w przeciwieństwie do większości osób, które się spotyka.

- I o czym gawędziliście?

- Ach, o wszystkim! I za każdym razem proponuje mi jakiś prezent. W ostatni poniedziałek zapewnił mnie o swej gotowości sprowadzenia dla mnie tygrysa z Bengalów. W środę miał ogromną ochotę przywieźć mi królową Neapolu - jego zdaniem obie jesteśmy tak bardzo do siebie podobne, że z pewnością zostałybyśmy najlepszymi przyjaciółkami. W piątek chciał posłać służącego po muzyczne drzewo dla mnie...

- Muzyczne drzewo?

- Muzyczne drzewo! - zaśmiała się Arabella. - Twierdzi, że gdzieś na górze o jakiejś bajkowej nazwie rośnie drzewo rodzące stronice z nutami, a muzyka na nich spisana przewyższa każdą inną. Nigdy nie wiem, czy on wierzy w swoje opowiadania, czy też nie. Momentami zastanawiałam się, czy jest szaleńcem. Niezmiennie wymyślam takie czy inne wymówki, by nie przyjmować jego upominków.

- To mnie cieszy. Z pewnością nie chciałbym wracać do domu pełnego tygrysów, królowych oraz muzycznych drzew. Czy pan Norrell odezwał się w ostatnim czasie?

- W ostatnim czasie nie.

- Skąd ten uśmiech? - zainteresował się natychmiast Strange.

- Uśmiechnęłam się? Sama nie wiem. No dobrze, niech będzie. Powiem ci. Pan Norrell raz przesłał mi wiadomość i na tym stanęło.

- Raz? Na trzy lata?

- Tak właśnie. Jakiś rok temu pojawiły się pogłoski o twojej śmierci pod Vitorią, więc pan Norrell przysłał do mnie Childermassa z zapytaniem, czy to prawda. Nie wiedziałam więcej niż on, lecz tamtego wieczoru przybył kapitan Moulthrop. Wylądował w Portsmouth niespełna dwie doby wcześniej i przyjechał tutaj, by mnie zapewnić, iż w plotkach nie ma krzty prawdy. Zawsze będę o tym pamiętała. Biedny młodzieniec. Zaledwie miesiąc wcześniej amputowano mu rękę i nadal ogromnie cierpiał. Ale, ale, na stole leży list do ciebie od pana Norrella. Childermass przyniósł go wczoraj.

Strange wstał i podszedł do stołu, a następnie podniósł list i obrócił go w palcach.

- Cóż, chyba będę musiał iść - mruknął z niechęcią.

Wcale nie cieszyła go perspektywa spotkania z nauczycielem. Przyzwyczyił się do niezależności. W Hiszpanii otrzymywał polecenia od księcia Wellingtona, lecz całkiem samodzielnie decydował o wyborze najstosowniejszego rodzaju magii. Wizja czarowania pod nadzorem pana Norrella nie była zbyt obiecująca. Po miesiącach spędzonych w towarzystwie odważnych, przebojowych młodych oficerów Wellingtona myśl o wielogodzinnym przebywaniu jedynie z panem Norrellem budziła przygnębienie.

Spotkanie jednak przebiegło w nader serdecznej atmosferze. Pan Norrell nie krył radości i zasypał ucznia pytaniami o szczegóły zaklęć użytych w Hiszpanii. Obdarzył go tyłoma komplementami, że Strange niemal poczuł wyrzuty sumienia z powodu niesprawiedliwej oceny nauczyciela. Rzecz jasna, pan Norrell nawet nie chciał słyszeć o rezygnacji Strange'a z roli ucznia.

- Nie i nie! Po trzykroć nie! Musi pan do mnie wrócić! Czeka nas mnóstwo pracy. Teraz, po zakończeniu wojny, ponownie skupimy się na tym, co najważniejsze. Stoimy przed koniecznością stworzenia magii nowoczesnej! Kilku ministrów zapewnia mnie, że absolutnie nie widzi możliwości dalszego sprawowania władzy w państwie bez magii. I pomimo wszystkiego, co obaj uczyniliśmy, nadal nie brak mylnych opinii! Coś podobnego! Zaledwie parę dni temu podsłuchałem, jak lord Castlereagh tłumaczył komuś, że na stanowcze polecenie księcia Wellingtona stosował pan w Hiszpanii czarną magię! Niezwłocznie pospieszyłem zapewnić jego lordowską mość, że używa pan tylko i wyłącznie najnowocześniejszych metod.

Strange znieruchomiał, lekko przychyłając głowę w sposób, który pan Norrell uznał za potwierdzenie.

- Mówimy jednak o tym, czy powinienem kontynuować nauki pod pańską kuratelą. Opanowałem wszystkie odmiany magii, znajdujące się na liście ofiarowanej mi przez pana kilka lat temu. Zanim wybrałem się na wojnę na Półwyspie Iberyjskim, słyszałem od pana, że jest zachwycony moimi postępami. Zapewne pamięta pan swoje słowa.

- Och! Ależ to był zaledwie początek. Pod pańską nieobecność sporządziłem następną listę. Nakazę Lucasowi dostarczyć ją z biblioteki. Zresztą dobrze pan wie, że są jeszcze inne księgi, których treść należy znać. - Patrząc na Strange'a, nerwowo zamrugał niebieskimi oczyma.

Strange się zawahał. Czyżby właśnie usłyszał wzmiankę na temat biblioteki w opactwie Hurtfew, której jeszcze nigdy nie widział?

- Ach, proszę pana! - wykrzyknął pan Norrell. - Tak się cieszę z pańskiego przybycia.

Raduje mnie pański widok i mam nadzieję, że jeszcze wiele godzin spędzimy na rozmowach. Panowie Lascelles i Drawlight siedzieli tutaj całymi dniami...

Strange oświadczył, że był tego pewien.

-...lecz z nimi nie ma co rozmawiać o magii. Niechże pan przyjdzie jutro. I to z rana! Na śniadanie!

## Rozdział dziesiąty

*Król listopad 1814*

Na początku listopada 1814 roku pana Norrella zaszczyliło wizytą kilku niezwykle szlachetnych dżentelmenów: earl, księżę i dwóch baronetów. Twierdzili, że przybywają, by porozmawiać z nim na niezwykle drażliwy temat, a zachowywali się tak dyskretnie, że po półtoragodzinnej pogawędce pan Norrell wciąż nie miał pojęcia, czego od niego oczekują.

Po pewnym czasie wyszło na jaw, że niezwykle szacowni dżentelmeni przybywają w imieniu kogoś jeszcze od nich ważniejszego, czyli księcia Yorku. Chcieli zamienić z panem Norrellem parę słów na temat szaleństwa króla. Królewscy synowie już złożyli ojcu wizytę i niesłychanie poruszył ich jego godny pożałowania stan zdrowia. Chociaż wszyscy bez wyjątku byli samolubni, niektórzy służyli z rozpustnego życia i żaden nie przejawiał skłonności do jakichkolwiek poświęceń, zgodnie oświadczyli, że oddaliby każde pieniądze i pozwoliliby obciąć sobie dowolną liczbę kończyn, byle tylko królowi choć trochę ulżyło.

Królewskie potomstwo najpierw nie potrafiło dojść do porozumienia w sprawie lekarza, który powinien zajmować się ich ojcem, a następnie spierało się o to, czy władzę powinien zbadać mag. Najzagorzalszym przeciwnikiem tego pomysłu był księżę regent. Wiele lat wcześniej, za życia niezrównanego pana Pitta, król miał poważny napad szaleństwa i księżę przejął wtedy ster rządów. Potem jednak Jego Wysokość ozdrowiał, syn zatem musiał zrezygnować z władzy oraz przywilejów. Księżę regent uważał, że ze wszystkich męczarni na świecie najgorsza jest codzienna poranna niepewność: „jestem już władcą Wielkiej Brytanii czy jeszcze nie?” Z tego powodu być może należałoby wybaczyć księciu jego pragnienie, by król pozostał szalony lub by odnalazł wieczny spokój.

Pan Norrell, który nie miał zamiaru urazić księcia regenta, postanowił nie proponować swojego wsparcia. Wyjaśnił, że mocno wątpi, by królewską chorobę można było uleczyć



magią. W takiej sytuacji drugi syn Jego Wysokości, książę Yorku, żołnierz przede wszystkim, spytał księcia Wellingtona, czyjego zdaniem dałoby się przekonać pana Strange'a do odwiedzenia króla.

- Och, ależ oczywiście! Jestem tego pewien - odparł książę Wellington. - Pan Strange chętnie wita każdą nadarzącą się okazję do rzucania zaklęć. Nic nie sprawia mu większej satysfakcji. Zadania zlecone przeze mnie w Hiszpanii wiązały się z najrozmaitszymi utrudnieniami i chociaż głośno wyrażał niezadowolenie, w gruncie rzeczy był zachwycony. Mam bardzo wysokie mniemanie o umiejętnościach pana Strange'a. Jak Wasza Wysokość wie, Hiszpania to jedno z najmniej cywilizowanych miejsc na świecie, właściwie pozbawione dróg bardziej komfortowych od ścieżek wydeptanych przez kozy. Dzięki panu Strange'owi moi ludzie dysponowali jednak solidnymi angielskimi drogami, prowadzącymi dokąd trzeba, a jeśli napotykalismy górę lub las - bagatela! - Pan Strange zwyczajnie odsuwał przeszkodę w inne miejsce.

Książę Yorku zauważył, że król Hiszpanii Ferdynand wystosował do księcia regenta list ze skargą, za sprawą angielskiego maga bowiem wiele rejonów półwyspu zmieniło się wręcz nie do poznania. W związku z powyższym Jego Wysokość Ferdynand domagał się powrotu pana Strange'a i przywrócenia państwu pierwotnej formy.

- Och - mruknął książę Wellington, nieszczerze przejęty. - Nadal się na to uskarżają?

W wyniku tej rozmowy pewnego czwartkowego ranka Arabella Strange zastała w salonie pięciu potomków króla - książąt: Yorku, Clarence, Susseksu, Kentu oraz Cambridge. Wszyscy liczyli sobie od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Niegdyś byli przystojni, lecz ze względu na zamiłowanie do jedzenia oraz picia dość drastycznie przybrali na wadze.

Pan Strange stał oparty o kominek. W ręce trzymał jedną z ksiąg pana Norrella, a na twarz przywołał wyraz uprzejmego zainteresowania. Mówili jednocześnie i przerywali sobie nawzajem, chcąc jak najdokładniej opisać dramatyczną sytuację króla.

- Gdybyś tylko widziała, jak podczas posiłku Jego Wysokość ślini się nad chlebem i mlekiem - opowiadał Arabelli ze łzami w oczach książę Clarence. - Ile w nim wyimaginowanych lęków... jakie prowadzi długie dysputy z panem Pittem, od dawna przecież nieżyjącym...

- Cóż, moja droga, taki widok z pewnością wprawiłby cię w ogromne przygnębienie. - Książę wziął Arabellę za rękę i zaczął ją głaskać, najwyraźniej przekonany, że ma do czynienia z pokojówką.

- Wszyscy królewscy poddani są ogromnie zasmuceni chorobą Jego Wysokości -

westchnęła Arabella. - Nikt z nas nie potrafi obojętnie myśleć o jego cierpieniach.

- Och, moja droga! - wykrzyknął książę zachwycony. - Jakże te słowa poruszają moje serce! - Następnie złożył mokry pocałunek na dłoni rozmówczyni i spojrzał jej w oczy z nieskrywaną czułością.

- Jeśli pan Norrell nie uważa tej choroby za możliwą do wykurowania magią, to, szczerze powiedziawszy, nie sądzę, byśmy mieli duże szansę powodzenia - oznajmił Strange.

- Niemniej z chęcią odwiedzę Jego Wysokość.

- Wobec tego pozostaje tylko problem z Willisami - obwieścił książę Yorku.

- Z Willisami? - zdziwił się pan Strange.

- W rzeczy samej - potwierdził książę Cambridge. - Willisowie są impertynency ponad miarę.

- Musimy uważać, by ich do siebie nie zrazić - ostrzegł książę Clarence. - Gdyby do tego doszło, z pewnością zemściliby się na Jego Wysokości.

- Willisowie żywią wiele obiekcji wobec wizyty pana Strange'a u króla - westchnął książę Kentu.

Bracia Willisowie byli właścicielami domu wariatów w hrabstwie Lincoln. Od wielu lat troszczyli się o króla w okresach szaleństwa. Za każdym razem, kiedy władca zdawał się odzyskiwać zmysły, wielokrotnie powtarzał wszystkim, jak straszliwie nienawidzi Willisów i ich okrucieństwa. Król zmusił królową, książęta i księżniczki do obietnicy, że gdyby jeszcze kiedykolwiek zwariował, nie przekażą go Willisom. Na nic się to jednak nie zdało. Przy pierwszym symptomie utraty rozumu z miejsca posłano po Willisów, a oni przybyli niezwłocznie, by zamknąć króla w odosobnionym pokoju w kaftanie bezpieczeństwa i podać Jego Wysokości silne środki przeczyszczające.

Jestem przekonana, że moich czytelników zaskoczy wiadomość, iż król miał tak niewielki wpływ na swój los. Pomyśl, czytelniku, z jakim niepokojem zwykle rodziny traktują pogłoski o szaleństwie. Weź pod uwagę, o ile większa musi być ta troska, kiedy chorym jest król Wielkiej Brytanii! Gdyby szaleństwo dotknęło ciebie lub mnie, wówczas nieszczęście dotyczyłoby wyłącznie nas samych, naszych przyjaciół i krewnych. Utrata rozumu przez króla oznacza katastrofę całego państwa. W przeszłości wielokrotnie się zdarzało, że choroba króla Jerzego całkowicie uniemożliwiała precyzyjne określenie, kto powinien sprawować rządy. Precedensy nie istniały. Nikt nie wiedział, co robić. Nie idzie o to, czy Willisowie byli lubiani lub szanowani (nie byli). Ani o to, czy ich sposoby leczenia przynosiły królowi ulgę w cierpieniach (nie przynosiły). Tajemnica powodzenia obu medyków tkwiła w tym, że zachowywali zimną krew, podczas gdy inni tracili głowę. Brali na siebie odpowiedzialność,

której pozostali za wszelką cenę chcieli uniknąć. W zamian żądali pełnej kontroli nad osobą króla. Nikt nie mógł z nim rozmawiać pod nieobecność jednego z Willisów - ani królowa, ani premier, ani nawet trzynaścioro synów i córek króla.

- Cóż - zaczął Strange, kiedy to wszystko usłyszał - - Przyznaję, że znacznie chętniej przeprowadziłbym rozmowę z Jego Wysokością bez osób trzecich, szczególnie nieprzychylnie nastawionych do mych poczynań. Należy jednak pamiętać, że zapędziłem w kozi róg całą francuską armię, więc zapewne potrafię sprostować dwóm lekarzom. Zostawcie Willisów mnie.

Strange odmówił rozważenia kwestii zapłaty do czasu spotkania z królem. Za same odwiedziny u Jego Wysokości nie zamierzał pobierać wynagrodzenia, co książęta - hazardziści obarczeni długami, a na dodatek zmuszeni łożyć na wyżywienie i wykształcenie gromady nieślubnej dziatwy - uznali za niezwykle szlachetne z jego strony.

Następnego ranka Strange wyruszył na zamek Windsor. Panował przenikliwy chłód, świat spowija gęsta biała mgła. Po drodze mag rzucił trzy dość błahe zaklęcia. Pierwsze gwarantowało, że Willisowie spali o wiele dłużej niż zwykle; drugie sprawiło, że żony i służący zapomnieli ich obudzić; trzecie spowodowało kompletne przemieszenie i poprzesztawianie ubrań i obuwia Willisów. Jeszcze dwa lata wcześniej Strange miałby skrupuły przed splataniem nawet tak niegroźnego psikusia dwóm zupełnie obcym osobom, lecz teraz się nie zawahał. Podobnie jak wielu innych dżentelmenów, którzy trafili do Hiszpanii wraz z Wellingtonem, zaczął nieświadomie naśladować jaśnie oświeconego księcia, który zawsze starał się działać szybko i skutecznie<sup>[39]</sup>.

Przed godziną dziesiątą Strange przeszedł po drewnianym mostku w wiosce Datchet i ruszył drogą między Tamizą i murem zamkowym. Wkrótce znalazł się w mieście, a przy bramie poinformował straż, kim jest, i wyjaśnił, że ma sprawę do króla. Sługa w niebieskim uniformie odprowadził go do królewskich komnat. Był to uprzejmy, inteligentny mężczyzna i jak to często bywa w przypadku służby w pełnych przepychu miejscach, nie krył dumy z zamku i wszystkiego, co się z nim wiązało. Jego największą przyjemnością w życiu było oprowadzanie gości po budowli i wyobrażanie sobie, w jaki zachwyty i zdumienie ich wprawiała.

- Z pewnością nie jest to pańska pierwsza wizyta w zamku? - zwrócił się do Strange'a.

- Wręcz przeciwnie. Nigdy tu nie byłem. Mężczyzna wydawał się wstrząśnięty.

- Wobec tego nie miał pan okazji podziwiać najwspanialszego widoku, jaki Anglia ma do zaoferowania!

- Doprawdy? Cóż, teraz tu jestem.

- Ale w interesach - wypomniał mu sługa surowym tonem. - Zapewne zabraknie panu wolnego czasu na dokładne obejrzenie budowli. Musi pan zawitać tu ponownie. W lecie. Na wypadek, gdyby miał pan małżonkę, pozwolę sobie zauważyć, że damy są zawsze niezwykle zachwycone zamkiem.

Powiódł Strange'a przez imponujących rozmiarów podwórze. Dawno temu, w czasach wojny, z pewnością zapewniało ono schronienie dużej liczbie ludzi wraz z żywym inwentarzem. W pobliżu wciąż wznosiło się kilka starych budynków w bardzo surowym stylu, świadczącym o wojskowym charakterze pierwotnej budowli. Z czasem chęć zademonstrowania królewskiego przepychu zaczęła przeważać nad względami praktycznymi i w rezultacie wybudowano imponujący kościół, który zapełnił prawie całą przestrzeń. Świątynia (zwana kaplicą, choć w rzeczywistości bardziej przypominała katedrę) prezentowała całą złożoność i dostojność stylu gotyckiego. Budynek otaczały nierówne kamienne przypory, zwieńczone wieżyczkami. Mnóstwo w nim było kaplic publicznych i prywatnych oraz salek parafialnych. Sługa przeprowadził Strange'a obok stromego kopca gładkich bokach, z którego wyrastała okrągła wieża, czyli najłatwiej rozpoznawalny i najlepiej widoczny z oddali fragment zamku. Minęli średniowieczną bramę i wyszli na inne podwórze. Miało niemal równie wspaniałe proporcje jak poprzednie, ale o ile po tamtym kręcili się słudzy, wojskowi i służba, o tyle to było ciche i opustoszałe.

- Jaka szkoda, że nie przybył tu pan kilka lat temu - westchnął sługa. - Wtedy, po wystosowaniu odpowiedniej prośby do ochmistrza, mógłby pan zwiedzić komnaty króla i królowej. Choroba Jego Królewskiej Mości to uniemożliwiła.

Zaprowadził Strange'a do imponującego gotyckiego wejścia. Kiedy wspinali się po kamiennych schodach, sługa nie przestawał ubolewać nad rozlicznymi przeszkodami, które uniemożliwiały Strange'owi obejrzenie zamku. Sądził, że gość jest niesłychanie rozczarowany.

- Wiem! - wykrzyknął nagle. - Pokażę panu Salę Świętego Jerzego! Och, nie jest to nawet setna część tego, co powinien pan ujrzeć, niemniej da panu pojęcie o wspaniałości zamku Windsor!

Na szczycie schodów sługa skrzył w prawo i przeszedł przez salę o ścianach zdobionych kompozycjami z mieczów i pistoletów. Strange nie odstępował przewodnika ani na krok. W końcu weszli do przestronnej komnaty długiej na sto, może sto pięćdziesiąt metrów.

- Bardzo proszę! - wykrzyknął sługa, przepelniony taką satysfakcją, jakby ją osobiście

wybudował i ozdobił.

Przez wysokie łukowate okna wzdłuż południowej ściany wpadało do środka chłodne, matowe światło. Niższą część ścian pokrywała boazeria z gruszy, a wszystkie tablice miały rzeźbione i pozłacane krawędzie. Pod sufitem oraz na nim umieszczono malowidła przedstawiające bogów i boginie, królów i królowe. Na suficie widniał Karol II na niebieskobiałej chmurze, w otoczeniu tłustych różowych cherubinów. Dowódcy wojskowi i dyplomaci składali u jego stóp trofea, a Juliusz Cezar, Mars, Herkules oraz rozmaite ważne osoby stały wokół zakłopotane, uświadomiwszy sobie z przerażeniem, o ile są gorsze od króla Wielkiej Brytanii.

Wszystko to wyglądało nadzwyczaj majestatycznie, lecz wzrok Strange'a przykuł ogromny fresk, który zajmował całą północną ścianę. Na dwóch tronach pośrodku malowidła zasiadało dwóch królów. Po bokach każdego z nich stali lub klęczeli rycerze, damy, dworzanie, paziowie, bogowie i boginie. Lewa strona malowidła była skąpana w słonecznym świetle. Przedstawiony na niej król w jasnej szacie był silnym, przystojnym mężczyzną, włosy miał złociste, ułożone w loki. Jego skroń zdobił wieniec laurowy, a w dłoni monarcha dzierżył berło. Ludzie i bogowie wokoło nosili hełmy, plastrony, włócznie i miecze, co miało zapewne sugerować, że ten król przyciąga do siebie tylko najwaleczniej szych mężczyzn i bogów i właśnie ich obdarza przyjaźnią. Po prawej stronie obrazu światło było mroczne i przyćmione, jakby artysta zamierzał odmalować letni zmierzch. Nad postaciami i wokół nich świeciły gwiazdy. Król po tej stronie nosił czarną szatę, miał bladą cerę, ciemne włosy i zagadkowy wyraz twarzy. Głowę zdobiła mu korona z ciemnych liści bluszczu, a w lewej dłoni trzymał różdżkę z kości słoniowej. Jego otoczenie składało się głównie z istot magicznych: feniksa, jednorożca, mantikory, faunów i satyrów. Widać jednak było także kilka tajemniczych postaci: mężczyznę z twarzą ukrytą pod kapturem szaty przypominającej habit mnicha oraz niewiastę w ciemnej gwiazdzistej pelerynie, zasłaniającą oczy ręką. Między obydwoma tronami stała młoda kobieta w luźnej białej sukni i złotym hełmie. Wojowniczy król opiekuńczym gestem kładł prawą dłoń na ramieniu kobiety. Mroczny król wyciągał ku niej prawą rękę, a ona odwzajemniała jego gest, dzięki czemu końce ich palców lekko się stykały.

- Dzieło Antonia Verria, dżentelmena z Włoch - wyjaśnił sługa i wskazał na króla z prawej. - A to król mag z północnej Anglii, John Uskglass.

- Doprawdy? - mruknął Strange autentycznie zainteresowany. - Rzecz jasna, widziałem jego posągi, jak również ryciny w księgach, chyba jednak nigdy nie miałem okazji obejrzeć portretu. A kim jest dama między dwoma królami?

- To pani Gwynn, jedna z nałożnic Karola II. Ma uosabiać Brytanię.

- Rozumiem. To dobrze, jak mniemam, że John Uskglass wciąż gości na honorowym miejscu w domu króla. Ale za to przebrano go za Rzymianina i kazano trzymać się za ręce z aktorką. Ciekawe, co by na to powiedział?

Sługa i Strange przeszli przez pomieszczenie wypełnione różnymi rodzajami broni i dotarli do imponująco wielkich czarnych drzwi z okazałym marmurowym frontonem.

- Dalej nie mogę pana prowadzić. Tutaj kończy się mój rejon i zaczyna teren doktorów Willisów. Króla znajdzie pan za tymi drzwiami. - Sługa skłonił się i cofnął ku schodom.

Strange zapukał. Ze środka dobiegał dźwięk klawesynu i śpiew.

Drzwi się otworzyły, a za nimi mag ujrzał wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w wieku trzydziestu kilku lat. Miał okrągłą bladą twarz, całą w dziobach i zroszoną potem, podobną do sera z Cheshire. Ogolił się niezbyt udatnie: tu i tam na jego obliczu widniały dwa lub trzy grube czarne włosy, jakby rodzina much utonęła w zsiadłym mleku i teraz sterczały z niego ich nogi. Płaszcz mężczyzny uszyto z drogietu o brązowej barwie, a koszulę i krawat z wyjątkowo szorstkiego płótna. Nie miał na sobie chyba ani jednej czystej sztuki odzienia.

- Tak? - spytał, nie odrywając dłoni od drzwi, jakby zamierzał zatrzasać je pod byle pretekstem.

W bardzo niewielkim stopniu przypominał sługę pałacowego, raczej kojarzył się z sanitariuszem z domu wariatów. Zresztą w istocie nim był.

W odpowiedzi na to obcesowe zachowanie Strange uniósł brew, chłodno się przedstawił i obwieścił, że przybył na spotkanie z królem.

- Cóż, nie da się zaprzeczyć, faktycznie pana oczekiwaliśmy - westchnął nieznajomy. - Problem polega na tym, że nie może pan wejść. Doktor John i doktor Robert - były to imiona braci Willisów - są nieobecni. Od półtorej godziny spodziewamy się ich lada moment. Zupełnie nie wiemy, dokąd mogli się udać.

- To ogromnie niefortunny zbieg okoliczności - przyznał Strange. - Niemniej nie ma to żadnego związku ze mną. Nie pragnę spotkania z wymienionymi przez pana dżentelmenami. Zjawiłem się tu ze względu na króla. Dysponuję sygnowanym przez arcybiskupów Canterbury oraz Yorku listem, zezwalającym mi dziś na odwiedziny u Jego Królewskiej Mości. - Strange machnął piśmieniem przed obliczem mężczyzny.

- Tak czy owak, musi pan poczekać do nadejścia doktora Johna i doktora Roberta. Nie pozwalają nikomu wtrącać się do systemu leczenia naszego władcy. Cisza i odosobnienie służą królowi. Rozmowa jest dla niego czymś strasznym. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak

potworną szkodę mógłby pan wyrządzić królowi, tylko z nim konwersując. Powiedzmy, że wspomniałby pan o tym, iż pada. Zapewne pańskim zdaniem to najniewinniejsza uwaga pod słońcem, lecz uruchomiłaby u króla proces myślenia, a przy jego szaleństwie umysł pędzi od jednej myśli do drugiej, budząc w nim niebezpieczną wściekłość. Mógłby zacząć myśleć o wydarzeniach z dżdżystej przeszłości, kiedy to słudzy przynosili mu wieści o przegranych bitwach, śmierci córki czy synach, którzy go zhańbili. Ach! To mogłoby w zupełności wystarczyć, by król z miejsca padł trupem! Życzy pan sobie śmierci króla?

- Nie - odparł Strange.

- Wobec tego - ciągnął mężczyzna przekonująco - czyż nie widzi pan, że znacznie lepiej byłoby poczekać na doktora Johna i doktora Roberta?

- Dziękuję, lecz podejmę ryzyko. Jeśli łaska, proszę mnie prowadzić do króla.

- Doktor John i doktor Robert będą bardzo źli - ostrzegł mężczyzna.

- To mnie nie obchodzi - odparł Strange chłodno. Jegomość wyglądał na zdumionego taką postawą.

- Wystarczy - oświadczył Strange. Zrobił zdecydowaną minę i ponownie pomachał listem. - Czy zaprowadzi mnie pan do króla, czy też podważy autorytet dwóch arcybiskupów? To bardzo poważne przewinienie, podlegające karze... Właściwie nie wiem jakiej, lecz z pewnością surowej.

Mężczyzna westchnął. Zawołał innego człowieka (który był podobnie niezadbany i brudny), nakazał mu iść do domów doktora Johna i doktora Roberta i bezzwłocznie ich sprowadzić. Następnie z nieskrywaną niechęcią odsunął się od drzwi, pozwalając Strange'owi wejść.

Ściany przestronnej sali obito dębowymi tablicami, wszędzie widać było precyzyjne rzeźbienia. Na suficie fruwały na chmurach jeszcze inne postaci królewskie i symboliczne, lecz poza tym miejsce wyglądało strasznie. Podłogi nie wyłożono dywanem, wszędzie panował przenikliwy chłód. Nie było tu nic prócz krzesła oraz sfatygowanego klawesynu. Przy instrumencie zasiadał starzec, odwrócony plecami do drzwi wejściowych. Miał na sobie płaszcz kąpielowy ze starego fioletowego brokatu, głowę przykrywała mu wygnieciona szlafmyca z jasnoczerwonego aksamitu, a na nogi wsunął brudne, dziurawe kapcie. Z wielkim zapamiętaniem tłukł w klawisze i donośnie śpiewał po niemiecku, lecz urwał, usłyszawszy stukot kroków.

- Kto tam? - spytał. - Kto idzie?

- Mag, Wasza Wysokość - odparł sanitariusz z domu wariatów.

Starzec przez chwilę najwyraźniej rozważał tę informację, bo w końcu oświadczył

głośno:

- Oto profesja, do której odczuwam wyjątkową antypatię!

Potem ponownie zaczął grać i głośno śpiewać.

Początek spotkania nie wyglądał obiecująco. Sanitariusz wydał z siebie impertynencki rechot, po czym odszedł, pozostawiając Strange'a z królem. Mag zrobił kilka kroków i przystanął w miejscu, z którego mógł obserwować twarz władcy.

Było to oblicze, na którym nieszczęście szaleństwa połączyło się z tragedią ślepoty. Tęczówki króla miały kolor zachmurzonego błękitu, a białka były odbarwione niczym zepsute mleko. Długie siwiejące loki opadały na policzki pełne popękanych naczyń krwionośnych. Kiedy król śpiewał, po jego obwisłych czerwonych wargach ściekała ślina. Brodę miał niemal równie długą i siwą jak włosy. W niczym nie przypominał postaci z portretów, które widział Strange, gdyż namalowano je, nim władca postradał zmysły. Z długimi włosami, długą brodą i w długim fioletowym płaszczu bardzo kojarzył się zjedną z postaci z Szekspira, a dokładniej z dwoma szekspirowskimi bohaterami, wyjątkowo tragicznymi i starymi. W swym szaleństwie i ślepotcie był jednocześnie Lirem i Gloucesterem.

Królewscy potomkowie ostrzegli Strange'a, że mówienie do monarchy, nim on się odezwie pierwszy, jest wbrew dworskiej etykietce. Nie bardzo jednak mógł liczyć na to, że król zabierze głos, skoro nie cierpiał magów. Kiedy więc władca ponownie przestał grać i śpiewać, gość przemówił:

- Jestem unizonym sługą Waszej Wysokości, nazywam się Jonathan Strange i pochodzę z Ashfair w Shropshire. Na polecenie rządu byłem magiem w armii podczas niedawnej wojny w Hiszpanii, gdzie, co oznajmiam z satysfakcją, mogłem oddać Waszej Wysokości wiele przysług. Synowie i córki Waszej Wysokości mają nadzieję, że moja magia ulży mu w chorobie.

- Powiedz magowi, że go nie dostrzegam! - oznajmił król.

Strange nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć na tę absurdalną uwagę. Naturalnie, że król nie mógł go widzieć, był przecież ślepy.

- Niemniej jego kompana widzę bardzo dobrze! - ciągnął z aprobatą władca. Odwrócił głowę, jakby spoglądając w punkt oddalony o pół metra, może metr na lewo od Strange'a. - To nie sztuka dostrzec kogoś o tak srebrzystych włosach. Wygląda niezwykle dziwnie.

Owe słowa były tak przekonujące, że Strange odwrócił głowę. Oczywiście nikogo obok siebie nie zobaczył.

Przez kilka ostatnich dni mag przeglądał księgi Norrella w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc królowi. Zadziwiająco niewiele zakłęb leczyło szaleństwo. Właściwie znalazł



tylko jedno, a i tak nie miał pewności, czy chodziło w nim o to, co należy. Wyszukał je w *Obywieniach trzydziestu sześciu innych światów* Ormskirka. Zdaniem autora zaklęcie rozpraszało iluzje i korygowało błędne osądy. Strange wyjął księgę i ponownie przeczytał formułę. Ten rodzaj magii był szczególnie niejasny, składał się jedynie z następujących słów:

*Umieść księżyc w jego oczach, a biel miesiąca pochłonie fałszywe widoki, dzieło oszusta.*

*Umieść rój pszczół w jego uszach. Pszczoły kochają prawdę i zniszczą kłamstwa oszusta.*

*Umieść sól w jego ustach, by oszust nie próbował zachwycić go smakiem miodu lub wzbudzić jego wstrętu smakiem popiołu.*

*Przybij jego dłoń żelaznym gwoździem, by za jej pomocą nie spełnił żądań oszusta.*

*Umieść jego serce w kryjówce, by nie odczuwał cudzych pragnień i aby oszust nie zagrzebał w nim miejsca.*

*Uwaga: kolor czerwony może mieć zbawienne działanie.*

Czytając ten tekst, Strange musiał przyznać, że nie ma bladego pojęcia, co on oznacza<sup>[40]</sup>. Jakże mag mógłby sprowadzić księżyc dla poszkodowanej osoby? Gdyby druga część zaklęcia mówiła prawdę, księżęta lepiej by zrobili, zatrudniając pszczelarza, a nie maga. Strange nie sądził też, że królewscy potomkowie byliby zadowoleni, gdyby przebił ręce króla żelaznymi gwoździami. Informacja o czerwonej barwie także go zdziwiła. Strange pamiętał, że słyszał lub czytał coś na temat czerwonego koloru, lecz obecnie nie mógł sobie przypomnieć co.

Tymczasem król zajął się rozmową z wyimaginowaną osobą o srebrzystych włosach.

- Proszę o wybaczenie, że wzięłem pana za zwykłego śmiertelnika - mówił. - Pewnie jest pan królem, skoro pan tak twierdzi, lecz pozwolę sobie zauważyć, że jeszcze nigdy nie słyszałem o żadnym z pana królestw. Gdzie jest Utracona Nadzieja? Gdzie są Błękitne Zamki? Gdzie Miasto Żelaznych Aniołów? Jeśli o mnie chodzi, władam Wielką Brytanią, krajem doskonale wszystkim znanym i wyraźnie oznaczonym na mapach! - Jego Wysokość umilkł, najwyraźniej wsłuchując się w odpowiedź srebrnowłosej osoby. Nagle wykrzyknął: - Och, proszę się nie złościć! Jest pan królem, tak jak ja nim jestem! Wszyscy wspólnie bądźmy królami! Zagram i zaśpiewam dla pana! - Wydobył z kieszeni płaszcz flet i zagwizdał melancholijną arię.

W ramach eksperymentu Strange wyciągnął rękę i zdarł szkarłatną szlafmycę Jego Wysokości, a następnie uważnie patrzył, czy bez niej króla ogarnie jeszcze większe szaleństwo. Po kilku minutach musiał przyznać, że nie widzi najmniejszej różnicy, więc

umieścił szlafmycę z powrotem na królewskiej głowie.

Przez następne półtorej godziny wypróbował wszystkie znane sobie rodzaje magii. Rzucił zaklęcia pamięci, odnajdywania, przebudzenia, koncentracji umysłu, odpędzania koszmarów nocnych i złych myśli, wyszukiwania schematów w chaosie, lokalizowania ścieżki, kiedy ktoś się zgubi, demistyfikacji, przenikliwości, poprawy inteligencji, leczenia choroby i naprawy potrzaskanej kończyny. Niektóre z zaklęć były długie i zawile, inne sprowadzały się do jednego słowa. Część należało wypowiedzieć na głos, pozostałe zaledwie pomyśleć, w niektórych wystarczał gest. Pewne zaklęcia były już w takiej czy innej formie zastosowane przez Strange'a i Norrella w poprzednich pięciu latach, reszty zapewne nie używano od wieków. Niektóre sprawdzały się z wykorzystaniem zwierciadła, w dwóch potrzeba było kropli krwi z palca maga, w jednym świecy i wstążki. Wszystkie łączyło jedno: w najmniejszy sposób nie wpływały na stan króla.

W końcu Strange doszedł do wniosku, że nic z tego nie będzie.

Jego Wysokość, nieświadomy magicznych zaklęć, poufale gawędził ze srebrnowłosą istotą, której nikt poza nim nie widział.

- Czy został pan tu przysłany na stałe, czy też może pan odejść? Och, niechże pan nie zostaje, mogą pana pojmać! To miejsce nie jest przychylne królom. Umieszczają nas w kaftanach bezpieczeństwa! Ostatni raz zezwolono mi na opuszczenie tych komnat w któryś poniedziałek 1811 roku. Wmawiają mi, że to było trzy lata temu, lecz łą! Wedle moich kalkulacji w sobotę za dwa tygodnie minie dwieście czterdzieści sześć lat.

„Biedny, nieszczęśliwy dżentelmen - pomyślał Strange. - Zamknięty w tym wychłodzonym, smutnym miejscu, bez przyjaciół i rozrywek! Trudno się dziwić, że czas mija mu tak wolno. To oczywiście, że oszalał!”

Na głos zaś oznajmił:

- Z ogromną przyjemnością wyprowadzę stąd Waszą Wysokość, jeśli taka jest jego wola.

Król przerwał pogawędkę i lekko odwrócił głowę.

- Czyje to słowa? - spytał stanowczo.

- Moje, Wasza Wysokość. Jonathana Strange'a, maga. - Strange uklonił się królowi z szacunkiem i dopiero potem uświadomił sobie, że Jego Wysokość nie mógł tego widzieć.

- Wielka Brytania! Moje ukochane królestwo! - wykrzyknął król. - Jakżebym pragnął ujrzeć je ponownie, zwłaszcza teraz, letnią porą. Drzewa i łąki w pogodnych barwach, powietrze słodkie niczym wiśniowe ciasto!

Strange wyjrzał przez okno na białą lodową mgiełkę oraz szkielety zimowych drzew.

- Otóż to. Możliwość towarzyszenia Waszej Królewskiej Mości w spacerze byłaby dla mnie ogromnym zaszczytem.

Król zdawał się rozważać tę propozycję. Zdjął jeden z kapci i spróbował położyć go na głowie tak, by nie spadał. Kiedy ta sztuka się nie powiodła, z powrotem wsunął kapeć na stopę, sięgnął po frędzelek przy płaszczu i zaczął go z namysłem ssać.

- Ale skąd mogę mieć pewność, że nie jesteś niegodziwym demonem, który przybył, by mnie kusić? - spytał w końcu całkiem rozsądnym tonem.

Strange nieco się pogubił, usiłując znaleźć właściwe słowa. Kiedy rozmyślał, co powiedzieć, król kontynuował:

- To jasne, że gdybyś był niegodziwym demonem, wiedziałbyś, że jestem wieczny i nie mogę umrzeć. Jeżeli odkryję w tobie wroga, tupnę nogą i odeślę cię z powrotem do piekła!

- Doprawdy? Wasza Wysokość musi mnie nauczyć tej sztuki. Chciałbym opanować równie przydatną umiejętność. Proszę jednak pozwolić mi zwrócić sobie uwagę, że przy tak potężnej magii Wasza Wysokość nie musi obawiać się wspólnego spaceru. Odejdziemy szybko i dyskretnie. Willisowie z pewnością wkrótce się tu zjawią, więc Wasza Wysokość musi zachowywać się bardzo cicho!

Król nie odrzekł ani słowa, jedynie zrobił chytrą minę i postukał się palcem w nos.

Następne zadanie Strange'a polegało na opuszczeniu zamku w taki sposób, by służba domu wariatów nie spostrzegła, co się święci. Pod tym względem król nie okazał się pomocny. Zapytany, dokąd prowadzą rozmaite drzwi, odparł, że jedne wiodą do Ameryki, drugie do wiecznego potępienia, a trzecie najprawdopodobniej do przyszłego piątku. Strange wybrał te, za którymi podobno znajdowała się Ameryka, i szybko poprowadził króla przez kilka komnat. Sufity wszystkich ozdobiono malowidłami, na których angielscy monarchowie pędzili po niebie w ognistych rydwanach, gromiąc postaci symbolizujące zazdrość, gniew oraz bunt i wznosząc świątynie cnoty, pałace wiecznej sprawiedliwości oraz inne równie przyteczne instytucje. Chociaż na sufitach tętniło życie, pomieszczenia pod nimi były zapuszczone, biedne, pełne kurzu i pajaków. Meble pokryto prześcieradłami, przez co zdawało się, że krzesła i stoły zmarły i śpią wiecznym snem pod nagrobkami.

Po chwili dotarli do tylnych schodów. Król, który poważnie wziął sobie do serca ostrzeżenie Strange'a, zachowywał się bardzo cicho i nalegał, by zeszli po schodach na palcach, niczym małe dzieci gorliwie wypełniające polecenia. W rezultacie poruszali się o wiele wolniej, niż planował mag.

- Wasza Wysokość - odezwał się Strange, kiedy wreszcie dotarli na dół. - Moim

zdaniem na razie radzimy sobie całkiem nieźle. Nie słyszę odgłosów pościgu. Książę Wellington z ochotą zatrudniłby nas jako oficerów wywiadu. Nie wierzę, że kapitan SomersCocks lub Colquhoun Grant mogliby pokonać terytorium wroga z większą...

Przerwał mu triumfalny, potwornie głośny pisk królewskiego fletu.

- Do diabła! - stęknął Strange i zamarł, nasłuchując kroków sanitariuszy lub, co gorsza, Willisów.

Nic jednak się nie stało. Nieopodal rozległo się dziwne, nieregularne dudnienie i trzaski. Towarzyszyły im krzyki oraz zawodzenie, zupełnie jakby ktoś dostawał ciągi całą baterią mioteł naraz. Poza tym wszędzie panowały spokój i cisza.

Za drzwiami wejściowymi znajdował się obszerny kamienny taras. Dalej grunt dość gwałtownie się obniżał, a u podnóża zbocza rosły parkowe drzewa. Biała mgielka rozmazała wszystkie szczegóły i przysłoniła barwy, nadając widokom nieziemski charakter. Ziemia i niebo zlały się w szarą i bezcielesną jedność. Z prawej strony ciągnął się długi szpaler nagich drzew.

Król oraz Strange przeszli ramię w ramię po tarasie i dotarli do narożnika zamku. Tam mag natrafił na ścieżkę prowadzącą w dół zbocza. Zeszli po niej i gdy znaleźli się w parku, ujrzeli ozdobną sadzawkę, otoczoną niskim kamiennym murkiem<sup>[41]</sup>. Pośrodku oczka wodnego wznosił się kamienny domek ozdobiony rzeźbionymi stworami. Niektóre z nich przypominały psy, lecz były małe i miały ciała wydłużone niczym jaszczurki, a także rząd koleców na grzbiecie. Inne kojarzyły się z delfinami, które dziwnym sposobem przywarły do muru. Na dachu siedziało sześcioro kobiet i mężczyzn w strojach klasycznych, z wazami w dłoniach. Nie ulegało wątpliwości, że zgodnie z intencjami architekta woda z fontanny powinna tryskać z pysków wszystkich tych dziwnych zwierząt, jak również wylewać się z waz na dachu i wdzięcznie spływać do sadzawki. Dziś jednak wszystko było skute lodem i pograżone w ciszy.

Strange zamierzał wygłosić jakąś uwagę na temat melancholijnego stawu, kiedy usłyszał krzyki. Obejrzał się i ujrzął grupę ludzi bardzo szybko zbiegających z zamkowego wzniesienia. Po chwili okazało się, że jest ich czterech: dwóch dżentelmenów, których nigdy wcześniej nie widział, oraz dwóch sanitariuszy - jeden z twarzą jak ser z Cheshire i drugi, wcześniej wysłany po Willisów. Wszyscy wyglądali na wściekłych.

Dżentelmeni pędzili ile sił w nogach, skrzywieni z powodu uzasadnionego zdenerwowania. Wyglądali tak, jakby ubierali się w ogromnym pośpiechu. Jeden bez większego sukcesu wciąż usiłował zapiąć guziki fraka. Kiedy tylko je powtykał w dziurki, momentalnie wyskakiwały z powrotem. Był mniej więcej w wieku pana Norrella i nosił

staromodną perukę (nieco podobną do peruki pana Norrella), która od czasu do czasu podskakiwała, obracając mu się na głowie. Różnił się jednak od pana Norrella wysokim wzrostem, urodą i wyniosłym, pewnym siebie sposobem bycia. Drugi dżentelmen (kilka lat młodszy) zupełnie nie radził sobie z butami, które najwyraźniej miały własne zdanie. Kiedy on z trudem brnął przed siebie, one usiłowały nieść go w zupełnie inną stronę. Strange podejrzewał, że zakłęcie okazało się skuteczniejsze, niż zakładał, i odzież była teraz trudna do okiełznania.

Najwyższy dżentelmen (ten w niesfornej peruce) spojrział z wściekłością na Strange'a.

- Kto zdecydował o wypuszczeniu króla na dwór? - warknął.

- Ja - Strange wzruszył ramionami.

- Pan! A kim pan jest?

Strange'owi nie przypadł do gustu ton rozmówcy.

- A kim pan jest? - prychnął w odpowiedzi.

- Doktor John Willis. To mój brat, doktor Robert Darling Willis. Jesteśmy królewskimi medykami. Opiekujemy się władcą na polecenie Rady Królowej. Nikt nie może widywać Jego Królewskiej Mości bez naszego zezwolenia. Ponawiam pytanie: kim pan jest?

- Jonathan Strange. Przybywam na prośbę ich książęcych wysokości książąt Yorku, Clarence, Susseksu, Kentu i Cambridge, żeby sprawdzić, czyjego Wysokość można wyleczyć magią.

- Ha! - wykrzyknął doktor John z pogardą. - Magia! Głównie wykorzystywana do zabijania Francuzów, czyż nie?

Doktor Robert zaśmiał się szyderczo, lecz efekt, jaki miała wywołać ta lodowata, naukowa wzgarda, został osłabiony, kiedy jego buty nagle rzuciły nim w bok tak mocno, że palnął nosem w pień drzewa.

- Mag, coś podobnego! - parsknął doktor John. - Myli się pan w ocenie ludzi, jeśli sądzi, że może bezkarnie poniewierać mną i moją służbą. Przyzna pan, że skleił drzwi zamku magią, by moi ludzie nie zdołali udaremnić panu odejścia?

- Bynajmniej! - zaprzeczył Strange. - Nie zrobiłem nic podobnego. Niemniej mogłem tak uczynić, gdyby zaszła potrzeba. Pańscy ludzie są leniwi i impertynency! Kiedy wraz z Jego Wysokością opuszczałem zamek, nie spotkałem ich nigdzie po drodze.

Pierwszy sanitariusz (ten z twarzą niczym ser z Cheshire) niemal wybuchł, słysząc te słowa.

- To nieprawda! - wrzasnął. - Panowie doktorzy, błagam, nie słuchajcie tych łgarstw! Obecny tu Martin - wskazał drugiego sanitariusza - kompletnie stracił głos! Nie potrafił

wydobyć z siebie dźwięku, by wszcząć alarm!

Drugi sanitariusz otwierał i zamykał usta, z furią gestykułując na znak potwierdzenia.

- Jeśli chodzi o mnie, stałem w przejściu u podnóża schodów, kiedy na górze otworzyły się drzwi. Właśnie przygotowywałem się do rozmowy z tym magiem: w imieniu panów pragnąłem powiedzieć mu do słuchu, kiedy magia wciągnęła mnie do skrytki na miotły i zatrasnęła za mną drzwi...

- Wierutna bzdura! - krzyknął Strange.

- Bzdura? Czyżby? - nie ustępował sanitariusz. - I może jeszcze nie nakazał pan miotłom w schowku spuścić mi manta? Cały jestem poobijany.

Przynajmniej w tej kwestii nie mijał się z prawdą. Na jego twarzy i rękach widniały czerwone plamy.

- I co pan na to, panie magu? - spytał doktor John triumfalnie. - Co pan powie teraz, kiedy wszystkie pańskie sztuczki wyszły na jaw?

- Och, doprawdy! - burknął Strange. - Sam to zrobił, żeby uwiarygodnić swoją historyjkę!

Król dmuchnął we flet, który wydał z siebie wulgarny odgłos.

- Może pan być pewien, że Rada Królowej wkrótce się dowie o pańskim niegodnym postępku! - zakomunikował doktor John, a następnie odwrócił się plecami do Strange'a i zawołał: - Wasza Wysokość! Proszę tutaj!

Król zwinnie skrył się za magiem.

- Żądam, by przekazał pan króla pod moją opiekę - warknął doktor John.

- Nie zrobię tego - odparł Strange.

- Wie pan zatem, jak należy leczyć chorych na umyśle, zgadza się? - wycedził doktor Robert. - Przeprowadził pan odpowiednie badania?

- Wiem, że odizolowanie od towarzystwa, odmawianie ćwiczeń i brak świeżego powietrza żadną miarą nikogo nie ulecza! - prychnął Strange. - To barbarzyństwo! Psa bym tak nie potraktował.

- Przemawiając tymi słowami, dowodzi pan swej ignorancji - upierał się doktor Robert. - Odosobnienie oraz spokój, na które pan tak narzeka, to podstawy naszego systemu kuracji króla.

- Czyżby? - powątpiewał Strange. - Swoje postępowanie nazywają panowie systemem? I niby co się nań składa, na ten system?

- Istnieją trzy podstawowe zasady - zaczął tłumaczyć doktor Robert. - Zastraszenie...

Król zagrał na flecie kilka smutnych tonów.

-...odosobnienie...

Jego Wysokość zilustrował je pojedynczą krótką nutą.

-...oraz wstrzemięźliwość.

Po tym słowie rozległo się długie piśnienie, niby westchnienie.

- Dzięki temu - podjął doktor Robert - wszelkie źródła ekscytacji są stłumione, a pacjent nie ma dostępu do materiału, na którym mógłby budować fantazje oraz niedorzeczne przemyślenia.

- W ostatecznym rozrachunku narzucenie pacjentowi woli lekarza prowadzi do wyleczenia - wtrącił doktor John. - Siła charakteru medyka stanowi o jego sukcesie lub porażce. Wielu ludzi potwierdziło, że nasz ojciec potrafił podporządkować sobie obłąkańca, zaledwie wbijając weń wzrok.

- Czyżby? - mruknął Strange, wbrew sobie zainteresowany tematem. - Nigdy o tym nie pomyślałem, niemniej takie podejście do zagadnienia z pewnością sprawdza się na polu magii. W pewnych wypadkach jej sukces zależy od siły charakteru maga.

- Doprawdy? - bąknął doktor John, przelotnie zerkając w lewo.

- Tak jest. Weźmy na przykład Martina Pale'a. Otóż... - Strange mimowolnie popatrzył tam, gdzie i doktor John. Jeden z sanitariuszy - ten, któremu odjęto mowę - okrążał sadzawkę, skradając się ku królowi i ściskając w rękach coś jasnoszarego. Strange jeszcze nie wiedział, co to, lecz wkrótce wszystko stało się jasne. Sanitariusz nadchodził z kaftanem bezpieczeństwa.

Wtedy jednocześnie wydarzyło się kilka rzeczy. Strange coś krzyknął, sam nie wiedział co, drugi sanitariusz rzucił się na króla, obydwaj Willisowie usiłowali pojmać Strange'a, król przeraźliwie zapiszczał na flecie i rozległ się osobliwy hałas, jakby setka ludzi jednocześnie odchrząknęła.

Wszyscy zamarli, rozglądając się dookoła. Dźwięk najwyraźniej dobiegał z kamiennego domku pośrodku zamrażonego stawu. Z pysków wyrzeźbionych stworów wydobyła się gęsta biała chmura, jakby dziwadła w tej samej chwili wypuściły powietrze. Opary zamigotały w bladym mglistym świetle, a następnie z cichym brzękiem opadły na lód.

Zaległa cisza, niemal natychmiast przerwana koszmarnym dźwiękiem przypominającym rozrywanie bloków marmuru. Wtedy to kamienne potwory odczepiły się od ścian domku i zaczęły wić się oraz pełznąć, najpierw w dół, potem po lodzie, prosto ku Willisom. Czarne kamienne ślepia poczwary obracały się w oczodołach. Maskary rozwarły paszczyki i jednocześnie wyrzuciły z gardzieli strumienie wody. Kamienne ogony uderzały na boki, a rzeźbione kończyny unosiły się sztywno i opadały. Ołowiane rury, doprowadzające

wodę do pysków, magicznym sposobem rozciągały się za postępującymi paskudami.

Willisowie oraz sanitariusze z domu wariatów wpatrywali się w to widowisko, zupełnie nie pojmując, co się dzieje. Groteskowe istoty pełzły, ciągnąc za sobą rury i tryskając wodą na lekarzy. Willisowie pisnęli i odskoczyli, bardziej z przestachu niż z faktycznego bólu.

Sanitariusze rzucili się do ucieczki, Willisowie ponad wszelką wątpliwość również nie mieli ochoty trwać przy królu. W mroźnym powietrzu ich przemoczone ubrania pokryły się szronem.

- Mag! - ryknął doktor John, odwracając się ku zamkowi. - Wszystko jasne! Mag to inne określenie łgarza! Lord Liverpool dowie się o tym, magu! Dowie się, jak traktujesz królewskich medyków! Au! Au! - Zamierzał kontynuować, lecz rzeźbione postaci z dachu domku powstały i zaczęły go bombardować kamieniami.

Strange tylko uśmiechnął się pogardliwie do obu Willisów, w głębi duszy jednak wcale nie czuł się pewnie. To nie on był odpowiedzialny za czary, których przed chwilą doświadczyli.

## Rozdział jedenasty

*Umieść książyc na mych oczach listopad 1814*

Było to bardzo zagadkowe. Czyżby na zamku działał mag? Może czarował ktoś ze służby albo jedna z królewskich cór? Wydawało się to nieprawdopodobne. A jeśli interweniował pan Norrell? Strange wyobraził sobie, jak jego nauczyciel siedzi w maleńkim gabinecie na drugim piętrze domu na Hanover Square i zerka do srebrnej misy, obserwując wszystko, co się działo, i na koniec przepędzając Willisów za pomocą magii. Po chwili Strange doszedł do wniosku, że to całkiem możliwe. Pan Norrell specjalizował się w ozywianiu posągów i właśnie taką magię zaprezentował publicznie po raz pierwszy. A jednak, a jednak... Niby dlaczego pan Norrell miałby mu pomóc? Z dobroci serca? Mało prawdopodobne. Poza tym magia ta zabarwiona była czarnym humorem, który zupełnie nie pasował do Norrella. Wyglądało na to, że nieznaną mag nie tylko pragnął wystraszyć Willisów, ale chciał ich również ośmieszyć. Nie, to nie mógł być Norrell. Zatem kto?

Król nie wydawał się ani trochę zmęczony. Miał ochotę tańczyć, skakać i ogólnie



radować się klęską obu medyków. Strange uznał, że trochę ruchu nie zaszkodzi Jego Wysokości, więc otworzył bramę i obaj weszli do parku. Biała mgła ukryła wszystkie szczegóły i barwy, przydając okolicy niezmiernie charakteru. Ziemia i niebo połączyły się w tej samej bezcielesnej szarości.

Władca czule ujął Strange'a pod ramię i chyba całkiem zapomniał, że nie lubi magów. Zaczął mówić o rzeczach, które zaprzętały jego chory umysł. Był przekonany, że od kiedy oszalał, Wielką Brytanię dotknęły przeróżne nieszczęścia. Najwyraźniej wyobraził sobie, że kres jego rozsądku idzie w parze z upadkiem królestwa. Najpoważniejsze wśród tych urojeń było przekonanie, że Londyn zalała wielka powódź.

- Nie potrafię opisać, co poczułem, kiedy przyszli i powiedzieli, że zimne szare wody pochłonęły katedrę Świętego Pawła i że Londyn stał się państwem ryb i morskich stworów - mówił z przejęciem. - Płakałem przez trzy tygodnie. Teraz wąsonogi poobsiadały budynki, a na targach sprzedaje się jedynie ostrygi i jeżowce! Pan Fox wspominał, że trzy tygodnie temu zaszedł do St Vedast Church na Foster Lane, gdzie, jak słyszał, turbot wygłasza znakomite kazania<sup>[42]</sup>. Ale mam plany odrestaurowania królestwa. Wysłałem ambasadorów do króla ryb, proponując, że poślubię syrenę, by zakończyć niesnaski między naszymi krajami!

Jego Wysokość także bez przerwy nawiązywał do srebrzystowłosej istoty, której nie widział nikt prócz niego.

- Mówi, że jest królem - wyszeptał przenikliwie. - Moim zdaniem jednak to anioł! Bardzo prawdopodobne, zważywszy na srebrzyste włosy. I straszliwie ukarał dwa złe duchy, te, do których pan mówił. Wierzę, że przybył, by doprowadzić je do zguby i wtrącić do czeluści piekielnych. O, bez wątpienia w stosownym czasie poniesie mnie i pana aż do niemieckiej chwały!

- Niebieskiej - powiedział Strange. - Wasza Wysokość ma na myśli chwałę niebieską.

Gdy tak szli, zaczął sypać śnieg. Białe płatki powoli przykrywały szary świat, było bardzo cicho. Nagle dał się słyszeć dźwięk fletu. Muzyka brzmiała niezwykle melancholijnie i jednocześnie szlachetnie. Sądząc, że to gra król, Strange się odwrócił. Monarcha stał jednak za nim, z rękoma po bokach i fletem w kieszeni. Mag rozejrzał się dookoła. Mgła nie była na tyle gęsta, by ukryć kogoś w pobliżu. Ale nikogo nie dojrzał, park wydawał się pusty.

- Proszę posłuchać! - wykrzyknął król. - Muzyka opisuje tragedię władcy Wielkiej Brytanii. Ta sekwencja nut! Oto dawne potęgi, które przeminęły! Ta melancholijna fraza! To jego rozum, zrujnowany przez kłamliwych polityków i nieprzystojne zachowanie jego synów. Ta chwytająca za serce melodyjka opisuje piękno młodej istoty, którą król uwielbiał w latach chłopięcych i którą musiał opuścić z winy swych przyjaciół. Och, mój Boże! Jakże wtedy

szlochał!

Łzy popłynęły po królewskim obliczu. Władca rozpoczął powolny, dostoyny taniec, wykonując rękoma falujące ruchy i obracając się wkoło. Muzyka zaczęła się oddalać, a król, tańcząc, postępował za nią.

Strange był zafascynowany. Muzyka najwyraźniej wiodła króla w kierunku niewielkiego zagajnika (przynajmniej Strange przypuszczał, że to zagajnik). Mag był niemal pewien, że przed chwilą widział tam zaledwie tuzin drzewek, może nawet mniej. Teraz jednak zagajnik zmienił się w chaszczę, a po chwili w las, ciemny, ponury bór pełen starych dzikich drzew. Ich potężne konary przypominały powykrzywiane członki, korzenie zaś - gniazda węży, gęsto porośnięte bluszczem i jemiolą. Między drzewami ujrzał wąską ścieżkę pełną głębokich, otoczonych lodem jam i zeszywniałego na mrozie zielska. Białe plamki światła w głębi lasu wskazywały na obecność domu w miejscu, w którym żaden dom stać nie powinien.

- Wasza Wysokość! - wykrzyknął Strange. Pobiegł za królem i chwycił go za rękę. - Wasza Wysokość, proszę wybaczyć, ale nie podobają mi się te drzewa. Moim zdaniem powinniśmy wrócić do zamku.

Król był jednak oczarowany muzyką i nie chciał wracać. Mamrocząc coś pod nosem, wyrwał rękę z uścisku Strange'a. Mag ponownie go pochwycił i na wpół poprowadził, na wpół zawlókł ku bramie. Niewidzialny muzyk jednak nie zamierzał im tak łatwo odpuścić. Muzyka grała coraz głośniejsze, otoczyła ich ze wszystkich stron. Niemal niezauważalnie zabrzmiała druga melodia i urokliwie stopiła się z pierwszą.

- Proszę posłuchać! Proszę posłuchać! - wykrzyknął król, kręcąc się wkoło. - Teraz gra dla pana! Ta surowa melodia opisuje pańskiego niegodziwego nauczyciela, który nie uczy pana tego, co naprawdę powinien pan wiedzieć. Te dysharmonijne nuty opisują pański gniew spowodowany tym, że nie może pan dokonać żadnych nowych odkryć. Powolny, smutny marsz mówi o wspaniałej bibliotece, której ten egoista nie chce panu pokazać.

- Jakim cudem... - zaczął Strange i nagle umilkł. On też słyszał muzykę, która opisywała całe jego życie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak smutną wiedzie egzystencję. Otoczony był niegodziwcami, którzy go nienawidzili i w duchu zazdrościli mu talentu. Teraz wiedział, że cały jego gniew był usprawiedliwiony, a każda życziwa myśl zbędna. Miał odrażających wrogów i zdradliwych przyjaciół. Norrell (naturalnie) był najgorszy ze wszystkich, ale nawet słaba Arabella nie zasługiwała na miłość.

- Ach - westchnął Jego Wysokość. - Zatem i pana zdradzono.

- Tak - przytaknął Strange ze smutkiem.

Znowu kierowali się w stronę lasu. Maleńkie światełka wśród drzew kojarzyły się magowi z domem i wszystkimi jego wygodami. Strange niemal dostrzegł łagodny blask świec, padający na komfortowe krzesła; widział staromodne paleniska, gdzie wesoło trzaskał ogień; patrzył na kielichy pełne gorącego wina, które mogłoby rozgrzać ich obu po wędrowce ciemnym lasem. Ale światełka sugerowały coś jeszcze.

- Myślę, że tam jest biblioteka - powiedział.

- O, bez wątplenia! - Król z entuzjazmem klasnął w dłonie. - Przeczyta pan książki, a gdy pański wzrok się zmęczy, ja je będę panu czytał! Musimy się jednak pośpieszyć! Proszę słuchać muzyki! On się niecierpliwi, musimy iść za nim!

-

Jego Wysokość wyciągnął rękę i ujął Strange'a pod ramię. Strange musiał przelożyć do drugiej ręki coś, co trzymał w lewej dłoni. Okazało się, że to *Objawienia trzydziestu sześciu innych światów* Ormskirka. „Cóż, nie będą mi więcej potrzebne - pomyślał. - Z pewnością w leśnym domu są ciekawsze książki!”

Rozchylił palce i patrzył, jak *Obyawienia...* spadają w śnieg. Było go coraz więcej. Flet wciąż grał, więc pospieszyli ku lasowi. Gdy tak biegli, szkarłatna szlafmyca króla opadła mu na oczy, a Strange wyciągnął rękę i ją poprawił. W tej samej chwili przypomniał sobie, co wie o czerwonym kolorze: znakomicie chronił przed zaklęciami.

- Spieszmy! Spieszmy! - krzyczał król.

Flecista zagrał serię szybkich nut, które wznosiły się i opadały, naśladując szum wiatru. Nagle, zupełnie znikąd, pojawił się prawdziwy wiatr i częściowo pchnął, częściowo poniósł ich ku lasowi. Kiedy w końcu wiatr zostawił ich w spokoju, byli o wiele, wiele bliżej leśnej gęstwiny.

- Doskonale! - zawołał król.

Szlafmyca ponownie przyciągnęła wzrok Strange'a...*ochrona przed zaklęciem...*

Flecista wyczarował następny wiatr, który zerwał szlafmycę króla.

- Nieważne! Nieważne! - zakrzyknął król radośnie. - Obiecał mi mnóstwo nocnych czepków po dotarciu do jego domu.

Strange puścił jednak ramię króla i zaczął brnąć w zamieci, by odzyskać szlafmycę. Leżała w śniegu, a jej szkarłat lśnił jasno wśród szarych i białych cieni.

...*ochrona przed zaklęciem...*

Przypomniał sobie, jak mówił do jednego z Willisów, że sukces maga zależy od siły jego charakteru. Czemu właśnie teraz to sobie przypominał?

*Umieść księżyc w mych oczach, pomyślał, a biel miesiąca pochłonie fałszywe widoki,*

*dzieło oszusta.*

Nagle jego oczom ukazała się poorana biała tarcza księżycy. Gdyby Strange miał określić, gdzie dokładnie ją widzi, oświadczyłby zapewne, że w swojej głowie. Nie było to przyjemne uczucie. Dostrzegał tylko księżyc, myślał tylko o nim, księżyc wyglądał jak fragment wiekowej kości. Strange zapomniał o królu. Zapomniał, że jest magiem. Zapomniał o panu Norrellu. Zapomniał własnego imienia.

Zapomniał o wszystkim z wyjątkiem księżycy...

Wtem księżyc zniknął. Strange uniósł wzrok i ujrzał, że stoi na śniegu dość daleko od lasu. Pomiędzy nim a drzewami plątał się ślepy król w nocnej koszuli. Pewnie szedł dalej, podczas gdy Strange przystanął. Bez wsparcia władca czuł się zagubiony i wystraszony.

- Magu! Magu! - krzyczał. - Gdzie się pan podziewa?

Las nie wydawał się już Strange'owi przyjaznym miejscem. Teraz był taki jak na samym początku - złowróźbny, nieznany, nieangielski. Strange ledwie widział światełka. Były jedynie białymi punkcikami w ciemności i nie sugerowały nic poza tym, że mieszkańców domu najwyraźniej nie stać było na więcej świateł.

- Magu! - wykrzyknął ponownie król.

- Tu jestem, Wasza Wysokość.

*Umieść rój pszczół w mych uszach, pomyślał. Pszczoły kochają prawdę i zniszczą kłamstwa oszusta.*

Cichy pomruk wypełnił jego uszy, zagłuszył melodię fletu. Bardzo przypominał ludzki język i Strange pomyślał, że lada chwila go zrozumie. Pomruk robił się coraz bardziej donośny, wypełniał głowę i klatkę piersiową maga aż po koniuszki palców u rąk i nóg. Nawet włosy wydawały się zelektryzowane, skóra bzycała i drżała od hałasu. Przez jedną straszną chwilę myślał, że ma usta pełne pszczół i że owady bzyczą i latają pod jego skórą, w brzuchu i uszach.

Brzęczenie ustało. Strange znowu usłyszał muzykę, ale nie brzmiała już tak słodko jak uprzednio i nie miał wrażenia, że opisuje jego życie.

*Umieść sól w mych ustach, pomyślał, by oszust nie próbował zachwycić mnie smakiem miodu lub wzbudzić mego wstrętu smakiem popiołu.*

Ta część zaklęcia najwyraźniej niczego nie zmieniła<sup>[43]</sup>.

*Przebij mą dłoń żelaznym gwoździem, bym za jej pomocą nie spełnił żądań oszusta.*

- Aa! Dobry Boże! - wrzasnął Strange.

Poczuł niewyobrażalny ból w lewej dłoni. Gdy ustał (równie nagle, jak się pojawił), Strange nie miał już ochoty spieszyć w kierunku lasu.

*Umieść me serce w kryjówce, bym nie odczuwał cudzych pragnień i by oszust nie zagrzeał w nim miejsca.*

Wyobraził sobie Arabellę taką, jaką widział tysiące razy, w ślicznej sukni, siedzącą w salonie wśród rozbawionych i rozgadanych ludzi. Podał jej swoje serce, a ona dyskretnie ukryła je w kieszeni. Nikt niczego nie zauważył.

Strange rzucił identyczne zaklęcie na króla, a na koniec wręczył królewskie serce Arabelli, by i je schowała. Obserwowanie tej magii z zewnątrz było wielce interesujące. W skołowanej głowie króla działo się tyle dziwacznych rzeczy, że nagle obecność księżycy wcale go nie zaskoczyła. Nie spodobały mu się jednak pszczoły - jeszcze długo się od nich opędzał.

Kiedy Strange zakończył rzucanie zaklęcia, muzyka nagle umilkła.

- Wasza Wysokość, czas wracać do zamku - powiedział. - Ja jestem angielskim magiem, a Wasza Wysokość królem. Mimo że Wielka Brytania nas opuściła, nam nie wolno opuścić w potrzebie Wielkiej Brytanii. Może nas jeszcze potrzebować.

- Co prawda, to prawda! Przysiągłem podczas koronacji, że zawsze będę jej wiernie służył. Ach, mój biedny kraj! - Król odwrócił się i pomachał tam, gdzie, jak sądził, krył się tajemniczy flecista. - Zegnaj! Zegnaj, drogi panie! Niech cię Bóg błogosławi za twą dobroć dla Jerzego III!

*Objawienia trzydziestu sześciu innych światów* leżały w śniegu, częściowo nim przysypane. Strange podniósł je i otrzepał.

Gdy dotarli do bramy, obejrzał się za siebie. Ciemny las zniknął, a na jego miejscu rosła niewinna kępa pięciu nagich brzózek.

W drodze powrotnej do Londynu Strange tonął w myślach. Miał świadomość, że wydarzenia w Windsorze powinny go zaniepokoić, może nawet wystraszyć, lecz zwyciężyły ciekawość i podniecenie. Pokonał innego maga, narzucił mu swoją wolę! Przeciwnik był silny, lecz on okazał się silniejszy. Cała ta przygoda potwierdziła to, co podejrzewał już od dawna: w Anglii było dużo więcej magii, niż utrzymywał pan Norrell.

Rozważając zagadnienie ze wszystkich stron, wciąż powracał do istoty o srebrzystych włosach, którą widział tylko król. Usiłował sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział monarcha o tym jegomościu, ale pamiętał jedynie uwagi dotyczące srebrnej grzywy.

Dotarł do Londynu około wpół do piątej. W mieście zapadał zmierzch, we wszystkich sklepach zapalono światła, po ulicach kręcili się latarnicy. Na rogu Oxford Street i New Bond Street Strange nakazał woźnicy skręcić i ruszył na Hanover Square. Zastał gospodarza w bibliotece, pijącego herbatę.

Pan Norrell był jak zwykle uradowany widokiem kolegi po fachu i bardzo pragnął wysłuchać relacji Strange'a z wizyty u króla.

Strange opowiedział mu, że król jest więźniem we własnym zamku, wymienił zastosowane rodzaje magii, jednak nie pisał ani słowa o prysznicu, który spotkał Willisów, zaczarowanym lesie ani niewidzialnym fleciście.

- Wcale mnie nie dziwi, że nie zdołał pan pomóc Jego Wysokości - oznajmił pan Norrell. - Moim zdaniem nawet aureaci nie wyleczyliby szaleństwa. Nie jestem pewien, czy w ogóle podjęli takie próby. Chyba kwestię obłądu rozpatrywali z całkiem odmiennej perspektywy. Darzyli szaleńców szacunkiem i uważali, że wiedzą oni rzeczy, o których zwyczajni ludzie nie mają pojęcia, rzeczy przydatne magom. Chodzą słuchy, że Ralph Stokesey i Katarzyna z Winchesteru zasięgały rady u szaleńców.

- Ale chyba nie chodzi tylko o magów? - spytał Strange. - Także i elfy bardzo interesują się obłąkańcami. Pamiętam, że gdzieś o tym czytałem.

- Tak, istotnie! Kilku wybitnych pisarzy wspominało o znacznym podobieństwie szaleńców do elfów. Jedni i drudzy słyną z gadaniny bez ładu i składu - na pewno zauważył to pan podczas wizyty u króla. Istnieją również inne podobieństwa - jeśli dobrze pamiętam, Chaston miał sporo do powiedzenia na ten temat. Opisuje wariata z Bristolu, który każdego ranka opowiadał rodzinie, iż zamierza udać się na przechadzkę w towarzystwie jednego z krzesel z jadalni. Bardzo się przywiązał do tego mebla, uważał go za najlepszego przyjaciela i prowadził z nim urojone dyskusje na temat spaceru i ewentualnego spotkania z innymi stołami oraz krzesłami. Człowiek ten wpadał w przygnębienie, gdy ktoś siadał na jego krześle. Bez wątplenia był szaleńcem, ale Chaston twierdzi, że w przeciwieństwie do nas elfy nie uważały jego zachowania za idiotyczne. Elfy nie kreślą wyraźnych granic między przedmiotami ożywionymi a nieożywionymi. Wierzą, że kamienie, drzwi, drzewa, ogień, chmury i tak dalej mają dusze i pragnienia, a także płęć. Być może to tłumaczy niesłychaną sympatię elfów do obłądu. Na przykład dawniej wierzono, że choć skrywały się przed ludzkim wzrokiem, wariaci często je widzieli. Najsłynniejszy przykład, który sobie przypominam, to żyjący w czternastym wieku szalony chłopiec imieniem Duffy, mieszkaniec Chesterfield w hrabstwie Derby, który był ulubieńcem niegodziwego elfa, od lat gnębiącego miasto. Elf bardzo sobie upodobał tego chłopca i sprawiał mu ekstrawaganckie podarki. Większość z nich z pewnością niezbyt by mu się przydała, nawet gdyby był przy zdrowych zmysłach, a już na pewno nie miał z nich żadnego pożytku jako wariat. Dostał żaglowiec wysadzany brylantami, buty ze srebra oraz śpiewającą świnię.

- Czemu elf okazywał mu takie względy?

- Och! Wyznał Duffyemu, że są braćmi w nieszczęściu. Pojęcia nie mam dlaczego. Zdaniem Chastona bardzo wiele elfów uważało, że Anglicy źle je traktują. Chaston nie rozumiał przyczyny takiego rozumowania, podobnie jak ja. W domach wielkich angielskich magów elfy były najważniejszymi ze sług i zajmowały najlepsze miejsca przy stole, tuż obok maga i jego małżonki. Chaston napisał na ten temat mnóstwo interesujących rzeczy. Jego najlepsze dzieło to *Liber Novus*. - Pan Norrell zmarszczył brwi. - Z pewnością wielokrotnie je panu polecałem. Nie czytał pan jeszcze?

Niestety, pan Norrell nie zawsze dokładnie pamiętał, które książki rekomendował Strange'owi, a które odesłał do hrabstwa York, byle tylko trzymać je z dala od ucznia. *Liber Novus* stała bezpiecznie na półce w bibliotece w opactwie Hurlfrew. Strange westchnął i oznajmił, że jeśli tylko pan Norrell pożyczy mu tę książkę, z radością ją przeczyta.

- Tymczasem jednak może zechciałby pan dokończyć historię elfa z Chesterfield?

- O tak! Na czym to stanąłem? Cóż, przez kilka lat Duffyemu wszystko szło jak z płatka, miasto jednak cierpiało. Na placu targowym wyrósł las, ludzie nie mogli normalnie pracować. Kozom oraz świniom wyrosły skrzydła i zwierzęta odleciały. Elf zmienił kamienie z na wpół wybudowanego kościoła w bryły cukru. Cukier rozgrzewał się w słońcu i lepił, a część budynku zupełnie się rozpuściła. Chesterfield pachniało jak olbrzymie ciastko. Najgorsze, że psy i koty przychodziły lizać kościół, a ptaki, szczury i myszy go skubały. I tak mieszkańcom pozostał na wpół zjedzony, zniekształcony gmach - niezupełnie tak sobie wyobrażali gotowy kościół. Zwrócili się więc do Duffyego z prośbą, by wstawił się za nimi u elfa. Chłopak nadąsał się jednak i nie chciał im pomóc, bo pamiętał, jak go dawniej wyśmiewali. W takiej sytuacji musieli prawić temu biednemu, nierozgarniętemu szaleńcowi komplementy, zachwalając jego mądrość i urodę. Usatysfakcjonowany Duffy porozmawiał z elfem i nagle wszystko się zmieniło. Elf przestał dręczyć ludzi i na powrót zmienił cukrowy kościół w kamienny. Mieszkańcy ścięli drzewa porastające targ i zakupili nowe zwierzęta. Nie umieli jednak doprowadzić kościoła do porządku. Do dzisiaj jest jakiś dziwny. Kościół w Chesterfield nie przypomina żadnego innego.

Strange przez chwilę milczał.

- Czy uważa pan, że elfy całkiem zniknęły z Anglii? - spytał w końcu.

- Sam nie wiem. Krąży wiele opowieści o obywatelach naszej ojczyzny spotykających elfy w dziwnych miejscach. Tak się działo w ostatnich trzystu bądź czterystu latach, ale że żadna z tych osób nie była magiem, więc ich relacje nie są wiele warte. Jeśli pan i ja wezwiemy elfy... To znaczy, gdyby przyszło nam do głowy coś równie niemądrego - poprawił się pośpiesznie pan Norrell - to zakładając, że prawidłowo wypowiemy zaklęcie,

zjawia się natychmiast. Ale skąd przybędą i jakimi drogami, nie wiadomo. W czasach Johna Uskglassa zbudowano przejścia z Anglii do Faerie. Były to szerokie zielone drogi pomiędzy wysokimi wzgórzami albo murami z kamienia. Nadal istnieją, ale wątpię, by elfy używały ich obecnie częściej niż chrześcijanie. Drogi zarosły chwastami i są w ruinie. Wyglądają ponuro. Mówiono mi, że ludzie starają się ich unikać.

- Wierzą, że elfie drogi przynoszą pecha - powiedział Strange.

- To głupcy - odparł Norrell. - Elfie drogi nie uczynią im krzywdy. Przecież prowadzą donikąd<sup>[44]</sup>.

- A potomkowie elfów, pół ludzie, pół elfy? Czy dziedziczą wiedzę i moce przodków? - dopytywał się Strange.

- O! To całkiem inne pytanie. Obecnie wiele osób nosi nazwiska świadczące o elfim pochodzeniu przodków, jak choćby: Darelficki, Chochlicki, Skrzatuski czy Lichocki. No i, rzecz jasna, Inostroński. Pamiętam Tomasza Inostrońskiego, pracował na jednej z naszych farm, gdy byłem dzieckiem. Rzadko jednak potomkowie elfów dysponują choćby odrobiną wrodzonych umiejętności magicznych. Za to często słyną z niegodziwości, dumy i lenistwa, czyli wad typowych dla swoich przodków.

Następnego dnia Strange spotkał się z królewskimi synami i wyraził ubolewanie, że nie zdołał złagodzić szaleństwa króla. Zasmuciło to ich wysokości, ale wcale nie byli zaskoczeni. Właśnie tego się spodziewali i zapewnili Strange'a, że ani trochę go nie winią. Właściwie byli zadowoleni ze wszystkiego, co zrobił, zwłaszcza cieszyło ich, że nic sobie za to nie policzył. W nagrodę podarowali mu królewskie przywileje. Oznaczało to, że może powiesić złoczone i gipsowe modele wszystkich pięciu herbów nad drzwiami na Soho Square i mówić każdemu, kto zechce słuchać, że królewscy synowie ustanowili go ich osobistym magiem.

Strange nie powiedział księżetom, że zasłużył na ich wdzięczność bardziej, niż sądzą. Był całkiem pewien, że ocalił króla przed straszliwym losem, choć nie wiedział dokładnie, co groziło Jego Wysokości.

## **Rozdział dwunasty**

*Na skraju pustyni listopad 1814*



Stephen i dżentelmen o włosach jak puch ostu spacerowali ulicami nieznanego miasta.

- Nie jest pan zmęczony? - spytał Stephen. - Ja jestem. Chodzimy już od wielu godzin.

Dżentelmen wybuchnął wysokim śmiechem.

- Drogi Stephenie! Przecież dopiero się tutaj zjawiłeś! Jeszcze przed chwilą przebywałeś w domu lady Pole, wykonując pod przymusem jeden z rozkazów jej niegodziwego męża!

- Och! - powiedział Stephen.

Uświadomił sobie, że ostatnią rzeczą, jaką pamięta, jest polerowanie sreber w maleńkim pokoiku nieopodal kuchni. Wydawało mu się jednak, że było to... ech, całe wieki temu.

Rozejrzał się dookoła. Niczego nie poznawał. Nawet zapach tego miejsca - mieszanka przypraw, kawy, gnijących warzyw i pieczonych mięs - był dla niego całkiem nowy.

- Wszystko przez tę magię, proszę pana - westchnął ciężko. - To takie pogmatwane.

Dżentelmen czule ścisnął jego ramię.

Miasto wybudowano na stromym wzgórzu. Najwyraźniej nie było tu żadnych normalnych ulic, jedynie wąskie alejki złożone głównie ze schodków wijących się między domami. Same domy wyglądały niezwykle skromnie, wręcz surowo. Ściany ulepione były z ziemi albo gliny i pomalowane na biało, podobnie jak drewniane drzwi; w okna zostały wstawione zwykłe okiennice z drewna. Schodki w alejkach także pomalowano na biało. W całym mieście nie było choćby plamki koloru, który mógłby ulżyć oku: zabrakło kwiatka w doniczce na parapecie lub malowanej zabawki porzuconej w progu przez dziecko. Wędrówka po tych wąskich ulicach przypominała Stephenowi błądzenie w fałdach olbrzymiej płóciennej serwety.

Było niezwykle cicho. Gdy pokonywali kamienne schodki, słyszeli szmer rozmów dochodzących z domów, ale nie dobiegał ich żaden śpiew, żadne pieśni, żadne dziecięce okrzyki. Napotykanii przez nich mieszkańcy tego miejsca byli poważnymi, smagłymi mężczyznami w białych szatach i turbanach. Wszyscy nosili laski, nawet młodzi, chociaż właściwie nikt nie wyglądał młodo. Tutejsza ludność najwyraźniej rodziła się stara.

Widzieli tylko jedną kobietę (przynajmniej dżentelmen o włosach jak puch ostu utrzymywał, że to niewiasta). Przystanąła u boku męża, odziana od czubka głowy po koniuszki palców w szatę o barwie cieni. Z początku stała plecami do Stephena, ale gdy się odwróciła, spostrzegł, że jej twarz to wcale nie twarz, lecz fragment gęsto wyszywanego materiału w takim samym kolorze jak reszta ubioru. Cała jej postać pasowała do niezmiernie atmosfery tego miejsca.

- Ci ludzie są bardzo dziwni - wyszeptał Stephen. - Ale nie wydają się zdumieni naszym widokiem.

- Och, to sprawka mojej magii - odparł dżentelmen. - Wydaje im się, że jesteśmy tacy jak oni. Są przekonani, że znają nas od dzieciństwa. To nie wszystko - przekonasz się, że będziesz rozumiał, co mówią, a oni rozumieją ciebie, mimo niejasności ich języka, który z trudem pojmują ludzie zamieszkujący tereny o kilkadziesiąt kilometrów stąd.

Stephen uznał, że zapewne również magii zawdzięczają fakt, iż mieszkańcy miasta nie zwracają uwagi na głośne słowa dżentelmena, roznoszące się echem na każdym bielonym rogu ulicy.

Ulica, w którą weszli, skręcała i kończyła się nagle niskim murkiem, który wzniesiono tu, by uchronić nieostrożnych przechodniów przed upadkiem. Z tego miejsca widać było całą okolicę. Przed nimi, pod bezchmurnym niebem, rozpościerała się posępna dolina z białego kamienia. Wiał gorący wiatr. Było tak, jakby świat ten pozbawiono ciała i pozostały zeń jedynie kości.

Stephenowi to miejsce wydawało się snem lub skutkiem zaklęcia.

- To Afryka! - wyprowadził go z błędu dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Ziemia twych przodków, drogi Stephenie!

„Z pewnością moi przodkowie tu nie mieszkali - pomyślał Stephen. - Ci ludzie mają ciemniejszą skórę niż Anglicy, ale o wiele jaśniejszą niż ja. To zapewne Arabowie”.

- Czy zmierzamy w jakieś konkretne miejsce? - zapytał głośno.

- Na targ, Stephenie!

Stephena ucieszyły te słowa. Milczenie i pustka go przygnębiały. Uznał, że na targu zapewne będzie hałas, jakieś zamieszanie.

Ale targ w tym mieście okazał się bardzo osobliwy. Rozpościerał się tuż przy wysokich miejskich murach, obok wielkiej drewnianej bramy. Nie było tu straganów ani tłumów niecierpliwych ludzi spieszących oglądać towary. Zamiast tego wszyscy, którzy mieli ochotę coś kupić, siadali w ciszy na ziemi, ze skrzyżowanymi rękoma, podczas gdy urzędnik targowy, ktoś w rodzaju licytatora, obnosił rzeczy i pokazywał je potencjalnym nabywcom. Licytator wymieniał ostatnią zaoferowaną cenę, a wówczas kupiec albo kręcił głową, albo ją przebijał. Towary szczególnie się różniły - były to bele pięknego materiału i jakieś haftowane tkaniny, ale przede wszystkim dywany. Kiedy Stephen wspomniał o tym towarzyszowi, dżentelmen powiedział:

- Mają niesłychanie surową religię, Stephenie. Potępia niemal wszystko z wyjątkiem dywanów.

Stephen obserwował ponure ruchy tych ludzi, których usta były ciągle zamknięte, by nie wymknęło się z nich zakazane słowo. Ich wzrok stale był odwrócony od nieprzystojnych widoków, ich ręce co chwila wstrzymywały się przed wykonaniem zabronionego gestu. Wydało się, że ludzie ci tkwią w jakimś półbycie. Równie dobrze mogliby być widziadłami lub duchami. W tym milczącym mieście, w milczącej okolicy tylko gorący wiatr wydawał się prawdziwy. Stephen wcale by się nie zdziwił, gdyby pewnego dnia wiatr zdmuchnął z powierzchni całe miasto wraz z mieszkańcami.

Stephen i dżentelmen usadowili się w rogu targowiska pod zniszczoną brązową markizą.

- Dlaczego tu jesteśmy, panie? - chciał wiedzieć Stephen.

- Żeby spokojnie porozmawiać, Stephenie. Otóż wydarzyło się coś bardzo ważnego. Przykro mi to mówić, ale wszystkie nasze cudowne plany obróciły się wniwecz. Raz jeszcze magowie nas pokonali! Nigdy nie widziałem takich niegodziwców! Najwyraźniej rozkoszują się okazywaniem nam pogardy. Przyjdzie jednak dzień...

Dżentelmena o wiele bardziej interesowało wyzywanie magów niż jasne przedstawienie sprawy i minęło sporo czasu, nim Stephen cokolwiek zrozumiał. Najwyraźniej Jonathan Strange złożył wizytę królowi Anglii - dżentelmen nie wyjaśnił, w jakim celu, za to w pierwszej kolejności skoncentrował się na wyczynach maga, a dopiero potem na królu:

-...nie wiem jak, ale z jakiegoś powodu nigdy nie złożyłem wyrazów uszanowania Jego Królewskiej Mości. Co za uroczy staruszek! Pełen szacunku dla mnie! Ucieliśmy sobie pogawędkę! Cierpi, gdyż poddani traktują go wprost fatalnie. Anglików widocznie raduje upokarzanie wielkich i szlachetnych. Mnóstwo wartościowych jednostek cierpiało przez ich godne pogardy prześladowania - na przykład Karol I, Juliusz Cezar, a przede wszystkim ty i ja!

- Proszę mi wybaczyć, ale wspomniał pan o planach. O jakie plany chodzi?

- O uczynienie cię królem Anglii, rzecz jasna! Czyżbyś zapomniał?

- Ależ skąd! Jednakże...

- Cóż, nie znam twej opinii, Stephenie - przerwał dżentelmen i nie racząc nawet jej wysłuchać, dodał: - Muszę jednak wyznać, że męczy mnie czekanie, aż twe cudowne przeznaczenie się ziści. Kusi mnie, by uprzedzić opieszały los i samemu uczynić cię królem. Kto wie? Może mam stać się narzędziem, które wyniesie cię na tron należny ci z mocy prawa! Wielce prawdopodobne! Cóż! Podczas rozmowy z królem przyszło mi do głowy, że pierwszym krokiem do uczynienia cię władcą jest usunięcie obecnego króla. Zauważ, że nie życzyłem mu nic złego. Wręcz przeciwnie! Wniosłem nieco słodyczy do jego smutnego

życia. Od lat nie był równie szczęśliwy. Ale magowi nie przypadło to do gustu! Ledwie zacząłem wypowiadać zaklęcie, zadziałał przeciwko mnie. Użył dawnej magii o wielkiej mocy. Nigdy w życiu nie byłem równie zdumiony. Kto by przypuszczał, że będzie znał to zaklęcie?

Dżentelmen przerwał tyradę, a wtedy Stephen zdołał wtrącić:

- Jestem ogromnie wdzięczny za pańską troskę, muszę jednak zauważyć, że obecny król ma trzynaścioro potomstwa. Jego najstarszy syn już pełni obowiązki władcy. Po śmierci króla korona z pewnością trafi w ręce jednego z synów.

- Tak, tak! Ale królewskie dzieci to tępe grubasy. Kto chciałby, by krajem rządziły takie straszdyła? Kiedyś mieszkańcy Anglii zrozumieją, że mógłbyś nimi władać ty, Stephenie! Jesteś uosobieniem elegancji i wdzięku, twe oblicze pięknie prezentowałoby się na monetach! Anglicy chyba nie wykażą aż tak niesłychanej tępoty i nie odrzucą twej kandydatury!

Stephen pomyślał, że dżentelmen wcale nie zna charakteru Anglików.

W tym momencie rozmowę przerwał im barbarzyński dźwięk wielkiego rogu. Kilku ludzi pobiegło zamknąć wielkie bramy. Stephen nie wiedział, czy grozi im niebezpieczeństwo; rozejrzał się z niepokojem.

- Co się dzieje?

- Ach, ludzie ci mają zwyczaj zamykać na noc bramę z obawy przed niegodziwymi poganami, za których uważają wszystkich z wyjątkiem siebie - odparł lekceważąco dżentelmen. - Ale jaka jest twoja opinia, Stephenie? Co powinniśmy uczynić?

- Uczynić? W jakiej sprawie?

- W sprawie magów, Stephenie! Magów! To jasne, że gdy tylko twe przeznaczenie zacznie się wypełniać, z pewnością interweniują. Zupełnie nie wiem, co za różnica, kto jest królem Anglii. Podejrzewam, że jako brzydale i głupcy chcą mieć równie paskudnego króla. Nie, to nasi wrogowie i w związku z tym powinniśmy ich usunąć. Ale jak? Trucizna? Noże? Pistolety?

Podszedł do nich licytator z dywanem.

- Dwadzieścia srebrnych monet - powiedział ospale i z naciskiem, jakby ogłaszał nadejście końca świata.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu popatrzył z zadumą na dywan.

- Można oczywiście uwięzić kogoś we wzorze na dywanie, nawet na tysiąc lat - mruknął. - To straszny los, zawsze karzę nim tych, którzy mnie okrutnie obrazili, jak ci magowie! Niekończąca się powtarzalność barwy i wzoru, nie mówiąc już o drażniącym kurzu

i upokorzeniu związanym z plamami, doprowadzają więźnia do szaleństwa. Więzień uwalnia się z dywanu z pragnieniem zemsty, a wtedy najwięksi magowie oraz bohaterowie epoki muszą połączyć swe siły, by go zabić lub, co zdarza się częściej, uwięzić po raz drugi na jeszcze dłuższy czas w jeszcze straszniejszym więzieniu. I tak mijają wieki, a on coraz bardziej pogrąża się w szaleństwie i nienawiści. Tak, dywany! Może...

- Dziękujemy bardzo za ten dywan - powiedział Stephen szybko do licytatora. - Proszę odejść.

- Masz słuszność, Stephenie - oświadczył dżentelmen. - Mimo swych słabości magowie ci potrafią się bronić przed naszymi zaklęciami. Musimy znaleźć inny sposób, by podupadli na duchu i stracili wolę walki! Musimy sprawić, by pożałowali, że w ogóle zaczęli praktykować magię!

## Rozdział trzynasty

*Dżentelmen z hrabstwa Nottingham listopad 1814*

Podczas trzyletniej nieobecności Strange'a panowie Drawlight i Lascelles znów zaczęli mieć większy wpływ na pana Norrella. Każdy, kto pragnął z nim rozmawiać lub prosić go o wsparcie, musiał najpierw zwrócić się do nich. Sugerowali panu Norrellowi, jak postępować z ministrami, a ministrom, jak postępować z panem Norrellem. Najbogatsi i najpopularniejsi w królestwie zabiegali o znajomość z przyjaciółmi i doradcami najbardziej wpływowego maga Anglii.

Po powrocie Strange'a Drawlight i Lascelles zachodzili do pana Norrella również często jak niegdyś, ale teraz pan Norrell najchętniej słuchał opinii Strange'a i właśnie jego pytał o radę. Naturalnie nie podobał im się taki stan rzeczy, zwłaszcza Drawlight robił, co mógł, by podsycać drobne animozje i niechęć, którą od czasu do czasu odczuwali do siebie obaj magowie.

- To nie do wiary, ale nie mam pojęcia, jak mu zaszkodzić! - złościł się Drawlight. - Mogę jedynie wykorzystać rozmaite dziwne plotki na temat tego, co wyprawiał w Hiszpanii. Kilka osób wspominało mi, że wskrzesił całą armię zmarłych żołnierzy i rzucił ich do walki z Francuzami. Trupy o poszarpanych kończynach, oczach niemal wypadających z oczodołów - najstraszliwsze okropności, jakie tylko możesz sobie wyobrazić! Co twoim zdaniem

powiedziałby Norrell, gdyby to usłyszał?

- Czy ty naprawdę nie widzisz, że wszelkie próby skłócenia ich są bezsensowne? - westchnął Lascelles. - Prędzej czy później sami się znenawidzą.

Kilka dni po wizycie Strange'a u króla tłum przyjaciół i admiratorów pana Norrella zebrał się w bibliotece na Hanover Square, by podziwiać nowy portret obu magów namalowany przez pana Lawrence'a<sup>[45]</sup>. Przybyli również panowie Lascelles i Drawlight, państwo Strange'owie oraz kilku królewskich ministrów.

Portret przedstawiał pana Norrella w skromnym szarym fraku i staroświeckiej peruce. Zarówno frak, jak i peruka wydawały się nieco za duże. Mag wręcz w nich tonął, a jego małe niebieskie oczka spoglądały na świat z mieszaniną obawy i arogancji, co nasunęło sir Walterowi Pole'owi skojarzenie z kotem pokojowca z Harley Street. Wyglądało na to, że większość ludzi z niejakim trudem wypowiada komplementy pod adresem portretu pana Norrella, za to wszyscy na wypródki podziwiają podobiznę Strange'a. Na obrazie stał za Norrellem; ni to siedział na stoliku, ni to się o niego opierał, całkiem zrelaksowany, z szyderczym półśmieszkami. W jego spojrzeniu kryło się rozbawienie, tajemnice i czary - tak właśnie powinny wyglądać oczy maga.

- Och, znakomity portret - entuzjasmowała się pewna dama. - Proszę zobaczyć, jak mrok zwierciadła za postaciami kontrastuje z głową pana Strange'a.

- Ludziom się zawsze wydaje, że mag musi mieć zwierciadło - utyskiwał pan Norrell. - A w tej części biblioteki nie ma żadnego lustra.

- Artyści to sztukmistrze, drogi panie. Kształtują świat podług swej wizji - powiedział Strange. - Pod tym względem przypominają nieco magów. Ale w rzeczy samej, dziwnie przedstawił to zwierciadło. Bardziej przypomina drzwi, takie jest ciemne. Niemal czuć od niego przeciąg. Nie podoba mi się, że siedzę tak blisko lustra, mógłbym się od tego przeziębic.

Jeden z ministrów, który do tej pory nie odwiedził biblioteki pana Norrella, nagroził komplementem harmonijne proporcje i styl pomieszczenia, a za nim inni wyrazili swoje uznanie.

- Tak, to piękny pokój - przytaknął Drawlight. - Ale nie może się równać z biblioteką w opactwie Hurtfew! Jest urocza! Nigdy nie widziałem nic równie pięknego. Są tam strzeliste łuki i kolumny, i kolumny w gotyckim stylu, a także rzeźby przedstawiające liście, suche i poskręcane, jakby pod wpływem podmuchu zimowego wiatru. A wszystko to wyrzeźbiono w porządnym angielskim dębie, jesionie, wiązcie - zaiste piękne. „Drogi panie - powiedziałem na ich widok. - Jest w panu głębia, której istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. Romantyk z

pana”.

Pan Norrell wyglądał tak, jakby nieszczególnie pragnął gawędzić o bibliotece w Hurtfew, ale niezrażony Drawlight ciągnął:

- Człowiek czuje się jak w lesie, w ślicznym niewielkim zagajniku późną jesienią. Grzbiety ksiąg, beżowe, brązowe i wyschnięte ze starości, potęgują to wrażenie. Jest tam chyba tyle ksiąg, ile liści w lesie. - Pan Drawlight zamilkł, a po chwili zwrócił się do Strange’a. - Był pan kiedyś w Hurtfew?

Strange odparł, że jeszcze nie miał tej przyjemności.

- Koniecznie musi pan pojechać. - Drawlight uśmiechnął się złośliwie. - Koniecznie. Biblioteka doprawdy jest cudowna.

Pan Norrell spoglądał niespokojnie na Strange’a, ale ten milczał. Odwrócił się do nich plecami i zaczął w napięciu oglądać swój portret. Gdy reszta towarzystwa odeszła od malowidła, rozprawiając o innych sprawach, sir Walter szepnął:

- Nie przejmuj się jego złośliwościami.

- Hm? - mruknął Strange. - Och, nie o to chodzi. Myślę o tym lustrze. Czyż nie wygląda tak, jakby dało się w nie wkroczyć? Sądzę, że to nie takie trudne. Można by wykorzystać zakłęcie objawienia. Nie, ujawnienia. Albo jedno i drugie. Droga będzie wolna. Jeden krok w przód i już mnie nie ma. - Rozejrzał się wokół i oznajmił: - Pewnego dnia odejdę.

- Dokąd? - Sir Walter był zdumiony. Nie było miejsca, które wolałby od Londynu, pełnego latarni gazowych i sklepów, kawiarni i klubów, pięknych pań i plotek. Sądził, że to samo czuje każdy człowiek.

- Och, tam, dokąd wiele lat temu udawali się tacy jak ja. Będę przemierzał drogi nie widziane przez innych ludzi. Za nieboskłonem. Po drugiej stronie tęczy.

Strange znowu westchnął. Prawą nogą potupał niecierpliwie w dywan pana Norrella, jakby sugerując, że jeśli nawet z własnej woli nie wybierze się wkrótce na zapomniane szlaki, to nogi same go tam poniosą.

O drugiej wyszli ostatni goście, a pan Norrell, który za wszelką cenę chciał uniknąć rozmowy ze Strange’em, poszedł na górę i zaszył się w małym gabinecie na tyłach domu. Usiadł przy biurku i przystąpił do pracy. Wkrótce całkiem zapomniał o Strange’u, bibliotece w Hurtfew i wszystkich nieprzyjemnych odczuciach, które wzbudziła w nim przemowa Drawlighta. Dlatego też był nieco skonsternowany, kiedy po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Strange.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym o coś zapytać - powiedział.

- Och! - odezwał się pan Norrell nerwowo. - Rzecz jasna, zawsze z radością odpowiadam na pańskie pytania, ale w tej chwili muszę załatwić sprawy nie cierpiące zwłoki. Rozmawiałem z lordem Liverpoolem o naszym planie zabezpieczenia wybrzeża Wielkiej Brytanii przed sztormami. Bardzo mu przypadł do gustu. Lord Liverpool twierdzi, że każdego roku morze pochłania dobra wyceniane na setki tysięcy funtów. Jego zdaniem ochrona własności powinna być priorytetowym zadaniem magii w czasie pokoju. Jak zawsze, jego lordowska mość chce, aby zająć się tym jak najszybciej, a to ciężka praca. Robota nad samą Kornwalią zajmie około tygodnia. Obawiam się, że musimy przełożyć naszą pogawędkę na później.

Strange uśmiechnął się.

- Skoro to takie pilne, chętnie panu pomogę w przygotowaniu zaklęć, a porozmawiamy podczas pracy. Gdzie pan zaczął?

- W Warmouth.

- Czego pan użył? Belasisa?

- Nie, nie Belasisa. W Języku ptaków Lanchestera znalazłem rekonstrukcję zaklęcia wymyślonego przez Stokeseya, które uspokaja wzburzone wody. Mam dość rozsądku, by wiedzieć, że wersja Lanchestera to nie to samo co oryginalny Stokesey, ale nie dysponujemy niczym lepszym. Wprowadziłem pewne poprawki i dodałem też zaklęcia Pevenseya, dotyczące straży i czuwania<sup>[46]</sup>. - Pan Norrell podsunął rozmówcy dokumenty.

Strange je przejrzał i wkrótce również zabrał się do pracy.

- Ostatnio odkryłem w *Objawieniach trzydziestu sześciu innych światów* Ormskirka odniesienie do królestwa, które leży za zwierciadłami - powiedział po pewnym czasie. - Jest pełne komfortowych dróg, którymi podróżny może przedostać się z jednego miejsca w drugie.

W innych okolicznościach pan Norrell nie byłby zachwycony tematem rozmowy, ale tak mu ulżyło, że Strange nie zamierza się wyklócać o bibliotekę w Hurtfew, iż chętnie podjął wątek.

- Och, w rzeczy samej! Istnieje droga, która łączy wszystkie zwierciadła świata. Była dobrze znana wielkim średniowiecznym. Bez wątpienia często ją przemierzali. Obawiam się, że nie mogę udzielić panu dokładniejszej informacji. Każdy autor opisuje tę drogę inaczej. Ormskirk twierdzi, że trakt wiedzie przez szerokie ponure moczary, a zdaniem Hickmana to olbrzymi dom, pełen mrocznych korytarzy i długich schodów<sup>[47]</sup>. Hickman utrzymuje, że są w tym domu kamienne mosty, rozpięte nad głębokimi przepaściami oraz kanałami z czarną



wodą, która płynie między murami. Nikt nie wie dokąd ani w jakim celu.

Pan Norrell był w doskonałym humorze. Niespieszne czarowanie wraz z panem Strange'em sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

- Jak tam artykuł do następnego numeru „Gentleman Magazine”? - zapytał.

Strange zastanawiał się przez chwilę.

- Jeszcze go nie skończyłem - odparł w końcu.

- A o czym jest? Nie, proszę nie mówić! Nie mogę się doczekać, kiedy go przeczytam! Może go pan jutro przyniesie?

- Och! Z całą pewnością.

Tego wieczoru Arabella weszła do salonu w domu na Soho Square i ze zdumieniem ujrzała, że dywan zaśmiecają kawałeczki papieru, na których jej mąż spisał zaklęcia, notatki i fragmenty rozmowy z Norrellem. Strange stał na środku pokoju, patrząc na zapiski i rwąc sobie włosy z głowy.

- Co, na Boga, mam zamieścić w następnym artykule dla „Gentleman Magazine”?

- Nie wiem, najdroższy. Pan Norrell niczego nie sugerował?

Strange zmarszczył brwi.

- Z jakiegoś powodu uważa, że artykuł jest gotowy.

- Może napiszesz o drzewach i magii? - zaproponowała Arabella. - Wspominałeś niedawno, że strasznie zaniedbano tak interesujący przedmiot.

Strange złapał czystą kartkę papieru i zaczął coś na niej notować.

- Z dębami można się zaprzyjaźnić. Jeśli uznają sprawę za słuszną, chętnie sprzymierzą się z człowiekiem przeciwko jego wrogom. Brzozy bywają portalami prowadzącymi do Faerie. Jesiony będą w żałobie aż do powrotu Króla Kruków<sup>[48]</sup>. Nie, nie! To się nie nadaje. Nie mogę tego napisać. Norrella szlag by trafił. - Zmiał kartkę i wrzucił ją do ognia.

- Och! No to może choć przez chwilę posłuchasz, co ja mam do powiedzenia? - zapytała Arabella. - Dziś złożyłam wizytę lady Westby. W jej domu spotkałam bardzo dziwną młodą osobę, która najwyraźniej pozostaje w przekonaniu, że nauczysz ją magii.

Strange ledwie rzucił na nią okiem.

- Nikogo nie uczę magii - powiedział.

- Zgadza się, najdroższy - przytaknęła Arabella. - Wiem, że nie. I dlatego to takie dziwne.

- A jak się nazywa ta młoda kobieta, której wszystko się pomieszało?

- Panna Gray.

- Nie znam jej.

- Szykowna młoda osoba, aczkolwiek niezbyt urodziwa. Najwyraźniej jest niesłychanie bogata i szaleje za magią. Wszyscy tak twierdzą. Nosi wachlarz zdobiony podobiznami twoimi i Norrella. Czytała każde opublikowane przez was słowo.

Strange wpatrywał się w nią z zadumą, więc Arabella błędnie założyła, że z pewnością rozważa jej słowa. W końcu przemówił:

- Najdroższa, stoisz na moich zapiskach - powiedział tonem łagodnej przygany i delikatnie ją odsunął.

- Podobno zapłaciła czterysta gwinei za przywilej zostania twą uczennicą. Twierdzi, że w zamian wysyłała jej listy z opisami zaklęć oraz tytuły ksiąg, które powinna przeczytać.

- Czterysta gwinei! No cóż, to bardzo dziwne. Mógłbym zapomnieć młodą damę, ale czterystu gwinei raczej nie. - Nagle jakaś kartka przyciągnęła uwagę Strange'a, więc ją podniósł i zaczął czytać.

- Początkowo sądziłam, że może wymyśliła sobie tę historyjkę, by wzbudzić we mnie zazdrość i sprowokować kłótnię między nami, ale jej obsesja jest chyba innego rodzaju. Ona nie wielbi mężczyzny, lecz maga. Nic z tego nie rozumiem. Jakie listy miała w takim razie na myśli? Kto mógł je napisać?

Strange podniósł niewielki zeszyt (był to dziennik rachunków Arabelli) i zaczął w nim notować.

- Jonathanie!

- Tak?

- Co mam powiedzieć panie Gray, kiedy znów ją ujrzę?

- Spytaj o czterysta gwinei. Przekaż jej, że jeszcze ich nie otrzymałem.

- Jonathanie! To poważna sprawa.

- Och, zgadzam się z tobą. Mało jest rzeczy równie poważnych jak czterysta gwinei.

Arabella raz jeszcze wspomniała, że to niesłychanie dziwne. Dodała, że sprawa panny Gray bardzo ją przejęła i pragnie, by Jonathan sam porozmawiał z tą młodą kobietą i rozwikłał zagadkę. Mówiła jednak wyłącznie do siebie, doskonale wiedziała, że mąż wcale jej nie słucha.

Kilka dni później Strange i sir Walter Pole grali w bilard u Bedforda na Covent Garden. Gra utknęła w martwym punkcie, gdy sir Walter jak zwykle zaczął oskarżać Strange'a o przesuwanie kul bilardowych po stole mocą magii. Strange z oburzeniem zaprzeczał.

- Widziałem, jak dotykasz nosa - poskarżył się sir Walter.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Strange. - Człowiekowi wolno chyba pociągać nosem? Przeziębilem się.

Dwaj inni przyjaciele Strange'a i sir Waltera, podpułkownik Colquhoun Grant i pułkownik Manningham, którzy obserwowali grę, oznajmili, że jeśli Strange i sir Walter mają chętkę na klótnię, to chyba nie muszą w tym celu zajmować stołu. Podpułkownik Grant i pułkownik Manningham zauważyli, że inne osoby zainteresowane grą czekają. Wybuchła sprzeczka bardziej ogólnej natury. Niestety, dwaj ziemianie, najwyraźniej zwabieni hałasem, wetknęli głowy w drzwi, pytając, kiedy stół będzie wolny. Widocznie nie wiedzieli, że w czwartkowe wieczory sala bilardowa u Bedforda jest powszechnie uznawana za prywatną własność sir Waltera Pole'a, Jonathana Strange'a i ich bliskich przyjaciół.

- Nie mam pojęcia - powiedział Colquhoun Grant. - Zapewne nieprędko.

Pierwszy ziemianin był przysadzystym, krępyim osobnikiem we fraku z grubej brązowej tkaniny i w butach, które bardziej pasowałyby do małomiasteczkowego jarmarku niż modnej kawiarni. Drugi dżentelmen był kulawym człowieczkiem z wiecznie zdziwioną miną.

- Ależ szanowny panie, pan gada, zamiast grać - oświadczył pierwszy jegomość rzeczowym tonem. - Pan Tantony i ja przyjechaliśmy z hrabstwa Nottingham. Zamówiliśmy kolację, powiedziano nam jednak, że musimy czekać jeszcze godzinę, nim będzie gotowa. My sobie pogramy, panowie zaś w tym czasie pogawędzą, a potem chętnie oddamy panom stół.

Mówił to bardzo grzecznie, ale tylko zdenerwował Strange'a i jego towarzyszy. Wszyscy od razu dostrzegli, że nieznajomy jest farmerem lub kupcem, i nikt nie był zachwycony, że się szarogęsi.

- Jeśli spojrzysz pan na stół, przekona się, że ledwie zaczęliśmy - oznajmił Strange. - Prosić dżentelmena, by przerwał grę przed jej zakończeniem... no cóż, to nie uchodzi u Bedforda.

- Och! Czyżby? - spytał uprzejmie dżentelmen z hrabstwa Nottingham. - Wobec tego proszę o wybaczenie. Ale może zechce mi pan powiedzieć, czy gra będzie krótka, czy też długa?

- Już panu tłumaczyliśmy - odparł Grant. - Nie wiemy.

Rzucił Strange'owi spojrzenie, które mówiło: „Cóż za głupi człek”.

W tej samej chwili dżentelmen z hrabstwa Nottingham zaczął podejrzewać, że Strange i jego towarzystwo nie tylko nie chcą mu dopomóc, ale celowo odnoszą się do niego nieuprzejmie. Zmarszczył brwi i wskazał głową stojącego u swego boku kulawego człowieczka o zdumionej minie.

- To pierwsza wizyta pana Tantony'ego w Londynie, nie zamierza tu wracać. Bardzo chciałem pokazać mu kawiarnię Bedforda, ale nie sądziłem, że jej bywalcy są tak niemili.

- Skoro się tu panu nie podoba - zaczął Strange ze złością - proponuję, by powrócił pan do domu w... hrabstwie Notocham, tak?

Colquhoun Grant spiorunował spojrzeniem dżentelmena z hrabstwa Nottingham i rzucił w przestrzeń:

- Nic dziwnego, że rolnictwo jest w opłakanym stanie. Obecnie farmerzy włączają się po całym kraju. Można ich spotkać we wszystkich lokalach, bez przerwy oddają się rozrywkom. Czy w hrabstwie Nottingham nie ma zboża do posiania? Świń do nakarmienia?

- Pan Tantony i ja nie jesteśmy farmerami! - z oburzeniem wykrzyknął dżentelmen z hrabstwa Nottingham. - Zajmujemy się piwowarstwem. Czysty porter Gatcombea i Tantonyego to nasze najbardziej cenione piwo. Słynie w trzech hrabstwach.

- Bardzo dziękujemy, w Londynie mamy pod dostatkiem piwa i piwowarów - zauważył pułkownik Manningham. - Nie zatrzymujemy panów...

- Ależ nie przyjechaliśmy tu sprzedawać piwa! Przybywamy w znacznie ważniejszym celu! Pan Tantony i ja jesteśmy entuzjastami magii. Naszym zdaniem zainteresowanie tą dziedziną wiedzy to obowiązek każdego patrioty. Londyn jest nie tylko stolicą Wielkiej Brytanii, stał się również centrum nauki o magii. Przez wiele lat pan Tantony marzył o tym, by uczyć się tej sztuki, ale do rozpaczy doprowadzał go fakt, że była w tak opłakanym stanie. Przyjaciele błagali go, by się rozpogodził. Mówiliśmy, że po każdej burzy wychodzi słońce. I mieliśmy rację, gdyż wkrótce pojawiło się dwóch wielkich angielskich magów. Oczywiście chodzi mi o panów Norrella i Strange'a! Dzięki ich cudownej magii Anglicy zaczęli błogosławić swój ojczysty kraj. Pan Tantony doszedł do wniosku, że i on pewnego dnia powiększy grono magów.

- Doprawdy? Cóż, moim zdaniem srogo się rozczaruje - mruknął Strange.

- Wobec tego jest pan w błędzie! - wykrzyknął triumfalnie dżentelmen z hrabstwa Nottingham. - Pana Tantony'ego uczy sztuk magicznych sam pan Strange!

Niestety, akurat właśnie w tym momencie Strange pochylał się nad stołem, balansując na jednej nodze, by precyzyjnie wymierzyć w kulę bilardową. Był tak zdumiony tymi słowami, że nie trafił w bilę, trzasnął kijem w krawędź stołu, stracił równowagę i runął jak długi.

- Musiała zająć pomyłka - powiedział Colquhoun Grant.

- Nie, proszę pana. Nie ma mowy o pomyłce - odparł z irytującym spokojem dżentelmen z hrabstwa Nottingham.

Strange pozbierał się z podłogi i zapytał:

- Jak wygląda ten pan Strange?

- Niestety, nie potrafię udzielić panu precyzyjnej odpowiedzi - westchnął dżentelmen z hrabstwa Nottingham. - Pan Tantony nie poznał pana Strange'a osobiście. Edukuje on pana Tantonyego korespondencyjnie. Jutro idziemy na Soho Square, żeby obejrzyć dom maga.

- Korespondencyjnie! - wykrzyknął Strange.

- Wydaje mi się, że listowna edukacja jest niewiele warta - zauważył sir Walter.

- Ależ nie! - wykrzyknął dżentelmen z hrabstwa Nottingham. - Listy pana Strange'a pełne są mądrych rad i wnikliwych wniosków na temat stanu angielskiej magii. Zaledwie kilka dni temu pan Tantony napisał do pana Strange'a z prośbą o zaklęcie powstrzymujące deszcz - w naszej części hrabstwa stale pada. Już następnego dnia pan Strange odpisał, że choć rzeczywiście istnieją zaklęcia, które potrafią przesuwać deszcz i słoneczną pogodę niczym figury szachowe, rzuca je tylko w razie konieczności. Poradził panu Tantony'emu, by poszedł w jego ślady. Pan Strange twierdzi, że angielska magia wsiąknęła w angielską glebę i w pewnym sensie jest zasilana angielskim deszczem. Napisał, że czyniąc zamęt w naszej pogodzie, jednocześnie mącimy w Anglii, a chaos w kraju oznacza niszczenie podstaw rodzimej magii. Uznaliśmy to za oczywisty przejaw geniuszu pana Strange'a, prawda, drogi panie? - Dżentelmen z hrabstwa Nottingham delikatnie szturchnął przyjaciela, który kilka razy zamrugnął.

- Mówiłeś coś podobnego? - mruknął sir Walter.

- No cóż, tak - odparł Strange. - Zapewne powiedziałem coś w tym rodzaju... Kiedy to było? Chyba w zeszły piątek.

- Komu?

- Norrellowi, naturalnie.

- Czy w pokoju był ktoś jeszcze? Strange zamilkł.

- Drawlight - wydusił w końcu.

- Och!

- Szanowny panie, przepraszam, jeśli pana obraziłem - powiedział Strange do dżentelmena z hrabstwa Nottingham. - Musi pan jednak przyznać, że zwrócił się pan do mnie niezbyt... Najogólniej biorąc, łatwo się unoszę, a pan wytrącił mnie z równowagi. Nazywam się Jonathan Strange. Bardzo mi przykro, ale do dzisiaj nie słyszałem ani o panu, ani o panu Tantonym. Podejrzewam, że i on, i ja padliśmy ofiarą człowieka pozbawionego skrupułów. Zakładam, że pan Tantony płaci mi za naukę? Mógłbym spytać, dokąd wysyła pieniądze? Jeśli na Little Ryder Street, będę miał dowód, którego mi trzeba.

Niestety, dżentelmen z hrabstwa Nottingham oraz pan Tantony wbili sobie do głów, że Strange jest wysokim, potężnym mężczyzną o długiej siwej brodzie, donośnym głose i w staroświeckim ubiorze. Pan Strange, który stał przed nimi, był smukłym, gładko ogolonym, wygadany dżentelmenem, ubranym tak jak każdy bogaty i modny mieszkaniec Londynu, więc początkowo nie chcieli uwierzyć, że mają do czynienia z właściwą osobą.

- To łatwo udowodnić - powiedział Colquhoun Grant.

- Naturalnie - dodał sir Walter. - Wezwę kelnera. Może słowo sługi zdoła uczynić to, czego nie zdołało słowo dżentelmena. John, tutaj!

- Nie, nie! - wykrzyknął Grant. - Nie o to mi chodziło. John, możesz odejść, nie jesteś już potrzebny. Pan Strange może dowieść swych niezrównanych umiejętności magicznych w inny sposób. W końcu jest największym magiem naszej epoki.

- Chyba ten tytuł należy się panu Norrellowi? - Dżentelmen z hrabstwa Nottingham zmarszczył brwi.

Colquhoun Grant uśmiechnął się do niego.

- Pułkownik Manningham i ja mieliśmy zaszczyt walczyć pod rozkazami Jego Wysokości księcia Wellingtona w Hiszpanii. Zapewniam pana, że nie było tam pana Norrella. To właśnie pan Strange, ten oto dżentelmen, zdobył nasze zaufanie. Myślę, że gdyby teraz pokazał zadziwiającą magiczną sztukę, nie wątpilibyście już ani chwili w jego słowa, a wielki szacunek do angielskiej magii i angielskich magów nie pozwoliłby panom dłużej milczeć. Z pewnością powiedzieliby mu panowie wszystko, co wiedzą o tych fałszowanych listach. - Grant pytająco popatrzył na dżentelmena z hrabstwa Nottingham.

- No cóż” - zaczął dżentelmen z hrabstwa Nottingham - dziwne z panów grono, muszę przyznać. Nie mam pojęcia, po co mieliby panowie mamić nas takimi opowieściami. Powiem jednak wprost, że będę zaskoczony, jeśli listy okażą się fałszywe, gdyż każde zdanie, każde słowo tchnie mądrością dobrej angielskiej magii!

- Przypuszczamy, że ów niegodziwiec wykorzystał słowa pana Strange’a. To by wyjaśniało sprawę, prawda? - spytał Grant. - Żeby potwierdzić swą tożsamość, pan Strange pokaże panom coś, czego nie widział żaden śmiertelnik.

- Co takiego zrobi? - zainteresował się dżentelmen z hrabstwa Nottingham.

Grant uśmiechnął się szeroko i odwrócił do Strange’a.

- Tak, Strange, powiedz nam. Co zrobisz?

Odpowiedział jednak sir Walter. Głową wskazał wielkie weneckie lustro, zajmujące większość ściany. W tej chwili odbijało jedynie ciemność.

- Wejdzie w to zwierciadło i już z niego nie wyjdzie - oznajmił.

## Rozdział czternasty

*Wszystkie zwierciadła świata listopad 1814*

Wioska Hampstead leży osiem kilometrów na północ od Londynu. W czasach naszych dziadków było to niewielkie skupisko farm i chałup, ale ten sielski skrawek ziemi w pobliżu stolicy przyciągał wielkie tłumy, szukające świeżego powietrza i zieleni. Dla ich rozrywki powstał tam tor wyścigowy i trawnik do gry w kule, pojawiły się ciastkarnie i herbaciarnie. Bogacze kupowali tu letnie domy, więc Hampstead wkrótce przekształciło się w to, czym jest do dzisiaj, czyli w jedno z ulubionych letnisk śmietanki towarzyskiej Londynu. W krótkim czasie wioska stała się całkiem sporą miejscowością, wręcz niewielkim miasteczkiem.

Dwie godziny po sprzeczce sir Waltera, podpułkownika Granta, pułkownika Mannighama i Jonathana Strange'a z dżentelmenem z hrabstwa Nottingham londyńską drogą wjechała do Hampstead kareta. Po chwili skręciła w ciemną ścieżkę, wzdłuż której rosły dzikie bzy, lilaki i głogi. W końcu zatrzymała się przed dużym domem i wysiadł z niej pan Drawlight.

Dom był niegdyś zwykłą farmą, ale w ostatnich latach go zmodernizowano. Niewielkie wiejskie okna - skuteczniej zatrzymujące ciepło w środku niż wpuszczające światło z zewnątrz - powiększono i rozmieszczono w regularnych odstępach. Wsparty na kolumnach portyk zastąpił brzydkie wiejskie wejście. Gospodarskie podwórze znikło, jego miejsce zajęły rabaty oraz krzewy.

Pan Drawlight zapukał do drzwi, a pokojówka natychmiast wprowadziła gościa do salonu. Niegdyś była to wiejska bawialnia, ale pozostałości jej pierwotnego charakteru pokryto kosztownymi tapetami z Francji. Rozłożono tu perskie dywany i poustawiano najmodniejsze angielskie meble.

Po kilku minutach do salonu weszła wysoka, postawna i piękna dama. Miała na sobie suknię ze szkarłatnego aksamitu, a jej alabastrową szyję otaczał kunsztowny naszyjnik z agatów.

Przez otwarte drzwi widać było jadalnię, równie elegancką jak salon. Nakrycie stołu świadczyło o tym, że dama spożywała posiłek samotnie. Najwyraźniej włożyła czerwoną suknię i czarny naszyjnik jedynie dla własnej przyjemności.

- Och, droga pani! - wykrzyknął Drawlight, podrywając się z miejsca. - Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa?

- Pewnie dobrze. - Machnęła z lekceważeniem ręką. - Tak dobrze, jak może się miewać osoba niemal pozbawiona towarzystwa i skazana na monotonię.

- Co takiego? - zapytał Drawlight z niedowierzaniem. - Jest tu pani sama?

- Mam towarzyszkę, starą ciotkę. Ciągle każe mi się modlić.

- Och, droga pani, proszę nie tracić energii na modlitwy i kazania. Nie płynię z nich żadna pociecha. Należy raczej skupić się na zemście.

- To właśnie uczynię - odparła trzeźwo i usiadła na sofie naprzeciwko okna. - Jak się miewają panowie Strange i Norrell?

- Są bardzo zapracowani, szanowna pani! Wprost niesłychanie. Życzyłbym sobie, dla ich dobra, podobnie jak i dla dobra drogiej pani, by mieli mniej zajęć. Jeszcze wczoraj pan Strange wypytywał mnie o panią. Koniecznie chciał wiedzieć, w jakim jest pani nastroju. „W znośnym - odpowiedziałem mu. - Zaledwie w znośnym”. Pan Strange jest zaskoczony, droga pani, szczerze zaskoczony bezdusznym zachowaniem pani krewnych.

- Doprawdy? Szkoda, że jego oburzenie nie przejawia się w bardziej praktyczny sposób - odparła lodowato. - Zapłaciłam mu ponad sto gwinei, a nie zrobił zupełnie nic. Nuży mnie załatwianie spraw przez pośrednika. Proszę przekazać panu Strange'owi moje wyrazy uszanowania i powiedzieć mu, że jestem gotowa na spotkanie w dowolnie ustalonym przezeń terminie, dniem czy nocą, wszystko mi jedno. Nie mam innych zobowiązań.

- Droga pani, bardzo bym tego pragnął, podobnie jak pan Strange. Obawiam się jednak, że to zupełnie niemożliwe.

- Wciąż pan to powtarza, ale nie słyszałam żadnego wytłumaczenia, nic, co by mnie usatysfakcjonowało. Podejrzewam, że pan Strange przejmuję się tym, co powiedzą ludzie, gdy zobaczą nas razem. Ale nasze spotkanie będzie poufne, nikt nie musi o nim wiedzieć.

- Droga pani, opacznie pojmuję pani intencje pana Strange'a. Nic nie ucieszyłoby go bardziej niż możliwość zademonstrowania światu nienawiści do pani prześladowców. Jedyne z pani powodu jest tak ostrożny. Obawia się...

Dama jednak nigdy nie poznała obaw pana Strange'a. Drawlight urwał nagle i rozejrzał się dookoła z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy.

- Co to, na Boga? - wyszeptał.

A było tak, jakby gdzieś otworzyły się drzwi, i to więcej niż jedno. Oboje odnieśli wrażenie, że do pokoju wpadł wiatr, przynosząc z sobą na wpół zapomniane zapachy z dzieciństwa. Zamigotało światło, a cienie na ścianach zatańczyły. Nie doszło do żadnej



bardziej znaczącej zmiany, mimo to - jak to zwykle bywa w związku z działaniem magii - zarówno Drawlight, jak i dama pomyśleli, że nic już nie jest pewne. Było tak, jakby to, czego chcieli dotknąć w pokoju, zniknęło zaraz po wyciągnięciu ręki.

Na ścianie nad sofą wisiało wysokie zwierciadło. Odbijał się w nim olbrzymi biały księżyc, widoczny w wielkim ciemnym oknie, i pogrążony w półmroku pokój. Drawlighta jednak ani damy w lustrze nie było. Zamiast nich widniał tam pewien nieokreślony obraz, który przekształcił się w cień, a następnie w mroczny kształt kogoś, kto ku nim zmierzał. Ścieżka, którą podążała nieznajoma osoba, jednoznacznie świadczyła o tym, że pokój w zwierciadle w niczym nie przypomina oryginału, a podobieństwo opiera się wyłącznie na chytrych sztuczkach związanych z oświetleniem i perspektywą. Zdawało się, że pomieszczenie w zwierciadle jest w gruncie rzeczy długim korytarzem. Włosami i płaszczem tajemniczej postaci poruszał wiatr, niewyczuwalny w pokoju, w którym wisiało lustro. Chociaż nieznajomy osobnik energicznie zmierzał ku szybko oddzielającej pomieszczenia, dotarcie do niej zajęło mu dłuższą chwilę. W końcu jednak postać doszła do tafli i przez chwilę stała tuż za nią, w mroku, rzucając ogromny cień.

Strange - gdyż był to on - zręcznie wyskoczył z lustra, uśmiechnął się czarująco i przywitał z Drawlightem i damą. Zamilkł na chwilę, jakby czekając, aż któreś z nich przemówi. Tak się jednak nie stało.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani tak późną wizytę - oznajmił wobec tego. - Prawdę mówiąc, błędziłem trochę dłużej, niż się spodziewałem. Skręciłem w niewłaściwą stronę i prawie dotarłem do... hm, sam nie wiem dokąd. - Znowu umilkł, czekając, aż ktoś go poprosi, by usiadł. Nie doczekał się, ale i tak spoczął. - Poznałem pana Tantony'ego - oznajmił, patrząc na Drawlighta: - Wyjątkowo miły dżentelmen, choć niezbyt rozmowny. Jego przyjaciel zaś, pan Gatcombe, powiedział mi wszystko, co pragnąłem wiedzieć.

- Pan Strange? - zapytała dama w czerwonej sukni.

- Owszem, szanowna pani.

- Doskonale się składa. Pan Drawlight właśnie wyjaśniał mi, dlaczego nie możemy się spotkać.

- To prawda, do dzisiaj okoliczności nie sprzyjały naszemu spotkaniu. Szanowny panie, proszę nas sobie przedstawić.

Drawlight wymamrotał, że dama w czerwonej sukni to pani Bullworth. Strange wstał, uklonił się pani Bullworth i ponownie usiadł.

- Rozumiem, że pan Drawlight przedstawił panu moją sytuację? - zapytała gospodyni.

Strange lekko poruszył głową, co mogło oznaczać potwierdzenie albo zaprzeczenie,

ale też nie musiało niczego oznaczać.

- Przedstawienie sprawy przez postronnego obserwatora nie może się równać z opowieścią osoby zaangażowanej w wydarzenia. Być może pan Drawlight z takiej czy innej przyczyny ominął pewne zasadnicze punkty. Proszę mnie wtajemniczyć, droga pani. Niech usłyszę wszystko z pani ust.

- Wszystko?

- Wszystko.

- Znakomicie. Jestem, jak pan wie, córką dżentelmena z hrabstwa Northampton. Mój ojciec, majątny człowiek, ma ogromną posiadłość i pieniądze. Zalicza się nas do najważniejszych rodzin w kraju. Bliscy zawsze jednak sugerowali, że z moją urodą i gracją mogę zająć nawet lepsze miejsce w świecie. Dwa lata temu bardzo dobrze wyszłam za mąż. Pan Bullworth jest bogaty, obracaliśmy się w najmodniejszych kręgach, jednakże nie byłam usatysfakcjonowana. Na swoje nieszczęście latem zeszłego roku spotkałam człowieka, który miał wszystko to, czego brak panu Bullworthowi: był przystojny, mądry, zabawny. Po kilku tygodniach znajomości zrozumiałam, że wolę go od wszystkich innych. - Lekko wzruszyła ramionami. - Dwa dni przed Bożym Narodzeniem opuściłam dom męża w towarzystwie owego dżentelmena. Miałam nadzieję - wręcz oczekiwałam - że wyjdę za niego za mąż po rozwodzie z panem Bullworthem. Mój przyjaciel miał jednak inne plany. Pod koniec stycznia pokłóciliśmy się i ze mną zerwał. Powrócił do swego domu i swych starych rozrywek, ja jednak nie mogłam uczynić tego samego. Mąż mnie wypędził. Przyjaciele nie chcieli mnie przyjmować. Musiałam błagać ojca o zmiłowanie. Powiedział, że będzie mnie utrzymywał do końca życia, ale w zamian za to muszę żyć w całkowitym odosobnieniu. Żadnych balów, żadnych przyjęć, żadnych przyjaciół, niczego. - Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, jakby kontemplując wszystko, co utraciła, ale szybko otrząsnęła się z melancholii i dodała: - Przejdźmy do interesów. - Skierowała się do niewielkiego biurka, otworzyła szufladę i wyciągnęła kartkę, którą następnie podała Strange'owi. - Tak jak pan sugerował, sporządziłam listę wszystkich osób, które mnie zdradziły.

- Kazałem pani to przygotować, tak? - Strange wziął kartkę. - Ależ jestem skrupulatny. Długa lista.

- O tak, na każdego jest inne zlecenie, oczywiście osobno płatne. Pozwoliłam sobie przy każdym nazwisku dopisać rodzaj kary, jaka powinna spotkać daną osobę. Oczywiście dzięki znajomości magii może pan zaproponować coś bardziej stosownego. Chętnie wysłucham pańskich sugestii.

- Sir James Southwell. Podagra.

- To mój ojciec - wyjaśniła pani Bullworth. - Śmiertelnie mnie nudzi przemowami na temat mego niegodziwego charakteru, poza tym skazał mnie na odosobnienie. Pod wieloma względami to on jest winien wszystkich moich nieszczęść. Chciałabym mieć twardsze serce i wymyślić mu straszliwszą chorobę, jednak nie potrafię. To pewnie ta słynna słabość kobiecej natury.

- Podagra jest niezwykle bolesna - zauważył Strange. - Przynajmniej tak mi mówiono.

Pani Bullworth niecierpliwie machnęła ręką.

- Panna Elizabeth Church - ciągnął Strange. - Zerwanie zaręczyn. Kim jest panna Elizabeth Church?

- To moja kuzynka, nudna dziewczyna, interesuje ją tylko wyszywanie. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, póki nie wyszłam za pana Bullwortha. Nagle dowiaduję się, że ma poślubić duchownego, a mój ojciec dał jej weksel, by opłaciła suknię ślubną i nowe meble. Do tego obiecał Lizzie i duchownemu, że zapewni im wszelkie dostatki. Czeka ich słodkie życie. Mieszkają w Yorku, gdzie będą chodzili na kolacje, przyjęcia i bale i radowali się wszystkimi przyjemnościami, które powinny być moim udziałem. Szanowny panie! - wykrzyknęła z ożywieniem. - Z pewnością istnieje jakieś zaklęcie, by duchowny z obrzydzeniem patrzył na Lizzie? By wzdrygał się na sam dźwięk jej głosu?

- Nie wiem - odparł Strange. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Przypuszczam, że istnieje. - Powrócił do listy. - Pan Bullworth...

- Mój mąż.

-...pogryzienie przez psy.

- Ma siedem wielkich bestii i darzy je większym uczuciem niż jakiegokolwiek ludzkie istoty.

- Pani Bullworthowa starsza... Rozumiem, że to matka pani męża. Ma utonąć w balii. Zakrzusić się śmiertelnie własną konfiturą morelową. Przypadkiem upiec się w piecu. To trzy rodzaje śmierci dla jednej kobiety. Proszę wybaczyć, droga pani, ale nawet największy mag świata nie zdołałby zabić jednego człowieka na trzy sposoby.

- Proszę zrobić tyle, ile pan zdoła - burknęła pani Bullworth. - Stara jest niesłychanie dumna ze swych umiejętności prowadzenia domu. Zanudzała mnie tym na śmierć.

- Rozumiem. Bardzo to wszystko szekspirowskie. I tu dochodzimy do ostatniego nazwiska. Henry Lascelles. Znam tego dżentelmena. - Strange popatrzył pytająco na Drawlighta.

- To właśnie osoba, z którą opuściłam dom mego męża - wyjaśniła pani Bullworth.

- Ach! I jaki los go czeka?

- Bankructwo - odparła ponurym, niskim głosem. - Szaleństwo. Pożar. Choroba zniekształcająca ciało. Niech koń go stratuje. Niech zaczai się na niego niegodziwiec i potnie mu twarz nożem! Niech noc po nocy prześladowają go koszmary! - Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Niech każdy jego niegodny i haniebny czyn opiszą gazety! Niech nie przyjmuje go nikt w Londynie! Niech uwiedzie jakąś wieśniaczkę, która pokocha go na zabój. Niech go tropi całymi latami. Niech stanie się przez nią obiektem drwin. Niech ta dziewczyna nigdy nie zostawi go w spokoju. Niech przez omyłkę jakiegoś uczciwego człowieka zostanie oskarżony o popełnienie zbrodni. Niech cierpi wszystkie upokorzenia procesu i aresztu. Niech zostanie napiętnowany! Pobity! Wybatożony! Ścięty!

- Droga pani, proszę się uspokoić - przerwał tę litanie Strange.

Pani Bullworth przystanęła. Przestała rzucać gromy na głowę Lascellesa, ale raczej się nie uspokoiła. Oddychała bardzo szybko, trzęsła się, a na jej twarzy wciąż widniała furia.

Strange patrzył na nią dopóty, dopóki nie uznał, że dama panuje nad sobą do tego stopnia, żeby zrozumieć, co miał jej do powiedzenia.

- Bardzo mi przykro, droga pani, ale padła pani ofiarą okrutnego oszusta. Ta osoba... - tu spojrzął na Drawlighta - panią zwiódł. Pan Norrell i ja nigdy nie przyjmowaliśmy prywatnych zleceń. Nie zatrudnialiśmy tego człowieka do wynajdywania nam klientów. Do dzisiejszego wieczoru nie słyszałem pani nazwiska.

Pani Bullworth wpatrywała się w niego przez moment, po czym odwróciła się do Drawlighta.

- Czy to prawda?

Drawlight wbił smętne spojrzenie w dywan i wymamrotał jakieś wytłumaczenie. Dało się słyszeć jedynie słowa „pani” i „szczególna sytuacja”. Pani Bullworth wyciągnęła rękę i zadzwoniła. Natychmiast w progu stanęła pokojówka, ta sama, która wprowadziła Drawlighta.

- Haverhill, usuń stąd pana Drawlighta - przykazała jej pani Bullworth.

W przeciwieństwie do zatrudnianych w modnych domach służących, których najważniejszym atutem jest ładna buzia, niemłoda Haverhill o krzepkich rękach i nieubłaganym wyrazie twarzy wyglądała na rzeczową niewiastę. Tym razem nie musiała się szczególnie wysilać, gdyż Drawlight skwapliwie sam się usunął. Złapał laskę i truchtem opuścił pokój, w chwili gdy Haverhill otworzyła drzwi.

Pani Bullworth spojrzała na Strange'a.

- Pomoże mi pan? Zrobi pan, o co proszę? Jeśli ta suma pana nie satysfakcjonuje...

- Ach, pieniądze! - Strange machnął lekceważąco ręką. - Przykro mi, ale tak jak

powiedziałem, nie przyjmuję prywatnych zleceń.

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Czy moja rozpaczliwa sytuacja w ogóle pana nie poruszyła? - spytała ze zdumieniem.

- Wręcz przeciwnie, droga pani, obca mi i wstrętna jest moralność, która za błędy wini wyłącznie kobietę. Ale tylko tyle. Nie zamierzam krzywdzić niewinnych ludzi.

- Niewinnych! - wykrzyknęła. - Niewinnych! Kto jest niewinny? Nikt!

- Droga pani, powiedziałem już wszystko. Nic nie mogę dla pani zrobić. Przykro mi.

- No cóż. - Popatrzyła na niego ponuro. - Przynajmniej ma pan dość przyzwoitości, by nie proponować mi wyrażania skruchy, zajęcia się dobrymi uczynkami lub haftem, ewentualnie czymś innym, co rozmaici głupcy podsuwają mi jako remedium na nudne życie i złamane serce. Tak czy inaczej, najlepiej będzie, jeśli zakończymy to spotkanie. Życzę dobrej nocy.

Strange się uklonił. Spojrzał tęsknie na zwierciadło nad sofą, jakby wolał wyjść właśnie tamtędy, ale Haverhill trzymała otwarte drzwi. Uprzejmość nakazywała, by z nich skorzystał.

Nie mając ani konia, ani powozu, przeszedł piechotą osiem kilometrów z Hampstead na Soho Square. Gdy przybył pod drzwi swego domu, odkrył, że choć jest już prawie druga w nocy, we wszystkich oknach palą się światła. Zanim zdążył sięgnąć po klucz, drzwi otworzył mu Colquhoun Grant.

- Dobry Boże! A co ty tu robisz?! - wykrzyknął Strange.

Grant nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, tylko odwrócił się plecami do Strange'a i zawołał:

- Przyszedł, droga pani! Nic mu nie jest. Arabella przygnała na złamanie karku prosto z salonu, a po chwili nadbiegł za nią sir Walter. W korytarzu prowadzącym do kuchni pokazali się Jeremy Johns i kilku innych służących.

- Stało się coś? Coś złego? - Strange spoglądał na nich wszystkich ze zdumieniem.

- Ty zakuta pało! - zaśmiał się Grant, klepiąc go czule po głowie. - Martwiliśmy się o ciebie! Gdzie byłeś, u licha?

- W Hampstead.

- W Hampstead! - powtórzył sir Walter ze zdumieniem. - Bardzo nas cieszy twój widok! - Popatrzył na Arabelle i dodał nerwowo: - Obawiam się, że niepotrzebnie niepokoiłiśmy panią Strange.

- Chyba się nie bałaś, prawda? - zapytał Strange żonę. - Nic mi nie było, jak zawsze.

- No i proszę, a nie mówiłem?! - wykrzyknął radośnie pułkownik Grant. - W Hiszpanii pan Strange często był w olbrzymim niebezpieczeństwie, nigdy jednak nie baliśmy się o niego. Ma zbyt dużo sprytu, by cokolwiek mu się stało.

- Czy musimy stać w progu? - spytał Strange.

Po drodze z Hampstead myślał o magii i wcale nie skończył swych rozważań. Niestety, zastał dom pełen rozgadanych ludzi, co go wytrąciło z równowagi. Poprowadził gości do salonu i nakazał Jeremy'emu przynieść wino i coś do jedzenia.

- Było tak, jak przypuszczałem - powiedział, gdy wszyscy usiedli. - Drawlight usiłował przekonywać ludzi, że pan Norrell i ja paramy się czarną magią. Zostałem go z bardzo podekscytowaną młodą kobietą, która chciała, bym zadał cierpienia jej krewnym.

- Okropność - westchnął pułkownik Grant.

- A co powiedział Drawlight? - chciał wiedzieć sir Walter. - Jak się tłumaczył?

- Ha! - Strange zaśmiał się niewesoło. - Nic nie mówił. Po prostu uciekł, a szkoda, bo miałem wielką ochotę wyzwać go na pojedynek.

- O, teraz gustujesz w pojedynkach, tak? - odezwała się zniecierpliwiona Arabella.

Sir Walter i Grant popatrzyli na nią z niepokojem, ale Strange był zbyt zaabsorbowany własnymi słowami, by zauważyć gniewny wyraz twarzy żony.

- Zapewne nie przyjąłby wyzwania, ale chętnie bym go postraszył. Bóg wie, że na to zasłużył.

- Ale nic nie mówisz o tym królestwie czy ścieżce po drugiej stronie lustra - przypomniał pułkownik Grant. - Czy spełniła twoje oczekiwania?

Strange pokręcił głową.

- Brak mi słów, by to opisać. Wszystko, co Norrell i ja zrobiliśmy, jest przy tym błahostką. Mamy jednak czelność nazywać się magami! Szkoda, że nie potrafię wam opowiedzieć jak należy o wspaniałościach tej krainy! O jej wielkości i zawiłościach! O wielkich kamiennych korytarzach, które rozchodzą się we wszystkich kierunkach! Początkowo korciło mnie, by oszacować ich długość i liczbę, ale wkrótce zrezygnowałem. Odniosłem wrażenie, że nie mają końca. Widziałem obwałowane kanały pełne stojącej wody, która w ponurym świetle wydawała się niemal czarna. Widziałem schody, które wznosiły się tak wysoko, że nie dostrzegałem ich szczytu, a także inne, prowadzące w kompletną ciemność. Nagle przeszedłem pod łukiem i znalazłem się na kamiennym moście, który wiodł przez mroczną i pustą okolicę. Był tak potężny, że nie widziałem jego końca. Wyobraźcie sobie most, który łączy Islington z Twickenham! Albo York z Newcastle! A wszędzie - w tych korytarzach i na moście - widniały jego podobizny.

- Czyje? - spytał sir Walter.

- Człowieka, którego Norrell i ja zniesławialiśmy we wszystkich naszych tekstach. Człowieka, o którym Norrell w ogóle nie chce słyszeć. Człowieka, który wybudował te korytarze, kanały, most, wszystko. Johna Uskglassa, Króla Kruków! Rzecz jasna, przez wieki konstrukcja popadła w ruinę. Nie wiem, w jakich okolicznościach John Uskglass używał tych dróg, ale najwyraźniej już ich nie potrzebuje. Posągi i kamieniarka legły w gruzach. Bóg raczy wiedzieć, skąd pada światło. Niektóre korytarze są zawałone, inne zalane. Powiem wam jeszcze coś dziwnego. Dokądkolwiek poszedłem, natrafiałem na mnóstwo porzuconych butów, zapewne własność innych podróżnych. Były bardzo stare i zniszczone. Wnioskuje z tego, że w ostatnich latach rzadko korzystano z tych przejść. Podczas całej wędrówki dostrzegłem tylko jednego człowieka.

- Widziałeś kogoś? - spytał sir Walter.

- O tak! Przynajmniej wydaje mi się, że był to człowiek. Dostrzegłem cień sunący po białej drodze, która przecinała ciemne moczary. Musicie zrozumieć, że wtedy stałem na moście znacznie wyższym niż jakikolwiek most w naszym świecie. Ziemia znajdowała się chyba kilka tysięcy metrów pode mną. Spojrzałem w dół i kogoś zobaczyłem. Gdyby nie to, że z taką desperacją poszukiwałem Drawlighta, z pewnością znalazłbym drogę na dół i poszedł za tym kimś, gdyż mag koniecznie powinien porozmawiać z taką istotą.

- A czy istota ta była niegroźna? - spytała Arabella.

- „Niegroźna” - powtórzył Strange lekceważąco. - O nie, nie sądzę. Pochlebiam sobie jednak, że i ja nie jestem szczególnie „niegroźny”. Mam nadzieję, że nie straciłem okazji. Wrócę tam jutro. Liczę na to, że wykoncypuję, dokąd poszła tajemnicza postać.

- Chcesz wrócić?! - zawołał sir Walter. - Jesteś pewien?

- Och, wiem, jak to się skończy! - przerwała mu Arabella. - Będziesz łaził po tych drogach w każdej chwili, którą podaruje ci pan Norrell, a ja tymczasem będę się zamartwiała i zachodziła w głowę, czy cię jeszcze kiedyś zobaczę.

Strange popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Arabello, o co chodzi?

- O co chodzi? Narazasz się na straszliwe niebezpieczeństwa i oczekujesz, że wyrażę na to zgodę?

Strange wykonał gest łączący prośbę i bezradność, zupełnie jakby wzywał sir Waltera i Granta na świadków tak niesłychanie irracjonalnego zachowania.

- Kiedy powiedziałem, że jadę do Hiszpanii, byłaś całkiem spokojna, choć przecież wtedy szalała wojna. To zaś jest zupełnie...

- Całkiem spokojna? Zapewniam cię, że wręcz przeciwnie. Potwornie się o ciebie bałam - tak samo jak wszystkie żony, matki i siostry bały się o mężczyzn walczących w Hiszpanii. Zgadzałam się jednak z tobą, że obowiązek cię wzywa. Poza tym w Hiszpanii miałeś wsparcie całej armii, a tam będziesz całkiem sam. Mówię „tam”, choć nikt z nas nawet nie wie, gdzie „tam” jest!

- Bardzo przepraszam, ale ja dobrze wiem. To Królewskie Trakty. Doprawdy, Arabello, nieco późno doszłaś do wniosku, że nie podoba ci się moja profesja!

- To niesprawiedliwe! Nigdy nie powiedziałam złego słowa o twojej profesji. Myślę, że jest jedną z najszlachetniejszych w świecie. Przepelnia mnie wielka duma na myśl o tym, czego dokonałeś wraz z panem Norrellem, i nigdy nie sprzeciwiałam się temu, byś uczył się takiej magii, jakiej zapragniesz. Ale do dzisiaj zawsze zadowalało cię dokonywanie odkryć w księgach.

- Dość tego. Ograniczanie prac badawczych maga do czytania ksiąg w bibliotece! Równie dobrze mogłabyś powiedzieć odkrywcy, że może sobie szukać źródła, źródła... - nie pamiętam, jak się nazywają te afrykańskie rzeki - pod warunkiem że nigdy nie opuści Tunbridge Wells!

Arabella prychnęła z oburzeniem.

- Myślałam, że chcesz być magiem, nie odkrywcą!

- To jedno i to samo. Odkrywca nie może siedzieć w domu i tylko oglądać map sporządzonych przez innych. Mag nie może pogłębiać ogólnych zasobów wiedzy magicznej, wyłącznie czytając dzieła innych autorów. Jest dla mnie całkiem jasne, że prędzej czy później Norrell i ja musimy wychylić nosy poza księgi!

- O, to jest dla ciebie jasne, tak? No cóż, Jonathanie, bardzo wątpię, czy jest to równie jasne dla pana Norrella.

Podczas tej wymiany zdań sir Walter i pułkownik Grant wydawali się zakłopotani, jak osoby, które nie ze swojej winy zostały świadkami małżeńskiej kłótni. Sytuacji nie poprawiała świadomość, że ani Arabella, ani Strange nie byli w tamtym momencie zbyt im przychylni. Goście już usłyszeli kilka ostrych słów od Arabelli, gdy wyznali, że zachęcili Strange'a do niebezpiecznej magii. Teraz mag rzucał im gniewne spojrzenia, jakby się zastanawiał, jakim prawem przychodzą tu w środku nocy i denerwują jego zazwyczaj łagodną żonę. Gdy nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, pułkownik Grant wymamrotał coś na temat późnej pory oraz nadużywania gościnności państwa Strange'ów i życzył im dobrej nocy. Ponieważ nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, tkwił w miejscu jak kołek w płocie.

Sir Walter miał bardziej stanowczy charakter. Doszedł do wniosku, że popełnił błąd,



wysyłając Strange'a na zwierciadlany szlak, pragnął zatem naprawić sytuację. Jako polityk przywykł do dzielnego wygłaszania własnych opinii, nawet jeśli nikt nie chciał ich słuchać.

- Czytałeś wszystkie księgi o magii? - zapytał Strange'a.

- Co? Nie, skąd! Doskonale wiesz, że nie - odparł Strange. (Myślał o księgach w bibliotece w Hurtfew).

- Czy wiesz, dokąd prowadzą korytarze, które dziś widziałeś? - spytał sir Walter.

- Nie - odparł Strange.

- Wiesz, przez jaką mroczną krainę wiedzie most?

- Nie, ale...

- Stanowczo zatem należałoby postąpić tak, jak sugeruje pani Strange, i przeczytać wszystko na temat tych dróg, nim się na nie wróci, prawda? - zauważył sir Walter.

- Ale informacje w księgach są niedokładne i sprzeczne! Nawet Norrell tak twierdzi, a przeczytał na ich temat wszystko, co jest do przeczytania. Możecie być pewni.

Arabella, Strange i sir Walter spierali się przez kolejne pół godziny, aż wszyscy poczuli irytację i znużenie i zapragnęli jak najszybciej pójść spać. Tylko Strange wydawał się zachwycony opisami dziwacznych, cichych korytarzy, nie kończących się dróg i pustych, rozległych okolic. Arabella była autentycznie przerażona tym, co usłyszała. Nawet sir Walter i pułkownik Grant czuli niepokój. Magia, pozornie tak znajoma jeszcze kilka godzin wcześniej, stała się nagle nieludzka, nieznana, nieziemska.

Strange uznał ich za grono najbardziej irracjonalnych i denerwujących osób w całym kraju. Najwyraźniej nie pojmowali, że uczynił coś niezwykłego. Nie przesadziłby, twierdząc, że było to najważniejsze dokonanie w jego karierze. Od czasów Martina Pale'a żaden mag nie znalazł się na Królewskich Traktach. Zamiast mu jednak gratulować i wychwalać jego zdolności, co byłoby wysoce pożądane, tylko narzekali, całkiem jak Norrell.

Następnego ranka obudził się zdecydowany powrócić na Królewskie Trakty. Radośnie przywitał się z Arabella, rozmawiał z nią na różne obojętne tematy i ogólnie usiłował udawać, że wieczorna kłótnia wybuchła z powodu jej przemęczenia i dziwnej determinacji. Zanim jednak zdołał przez najbliższe lustro wymknąć się na Trakty, Arabella powiedziała mu wprost, że czuje to samo co uprzedniej nocy.

Czy w ostatecznym rozrachunku śledzenie przebiegu kłótni między mężem i żoną nie jest jałowe? Przecież z pewnością tylko jeszcze bardziej gmatwa ona sytuację. Dyskusje tego typu prowadzą do wyciągania argumentów i żalów sprzed lat, całkowicie niezrozumiałych dla wszystkich z wyjątkiem dwojga zainteresowanych. Żadna strona nie potrafi udowodnić swoich racji, a jeśli nawet, cóż z tego?

Chęć życia w harmonii i przyjaźni z małżonkiem jest bardzo silna, a Strange i Arabella nie różnili się pod tym względem od innych. W końcu po dwóch dniach nieustannych swarów złożyli sobie obietnicę. On zobowiązał się nie wracać na Królewskie Trakty dopóty, dopóki ona mu nie pozwoli. W zamian za to ona obiecała mu to pozwolenie, gdy tylko on zdołają przekonać, że wyprawa jest bezpieczna.

## Rozdział piętnasty

*Ława Pięciu Smoków listopad 1814*

Siedem lat temu dom pana Lascellesa na Bruton Street uważano za jeden z najpiękniejszych w Londynie. Osiągnięcie takiej doskonałości było możliwe jedynie przez bardzo bogatego próżniaka, który poświęca większość życia na zbieranie malowideł i rzeźb, a niemal cały wysiłek intelektualny koncentruje na wyborze mebli oraz tapet. Lascelles miał niezwykle dobry gust i talent do zestawiania barw na nowatorskie, czasem niezwykle sposoby. Szczególnie upodobał sobie błękity, szarości i ciemny metaliczny brąz. Nigdy jednak nie przywiązywał się zbyt do swej własności. Sprzedawał obrazy równie często, jak je kupował, tak więc jego dom nie upodobił się do galerii sztuki, jak to bywa z domami niektórych kolekcjonerów. W każdym z pokoi Lascellesa znajdowało się zaledwie kilka obrazów i *objets d'art*, niemniej były wśród nich najpiękniejsze i najbardziej niezwykle przedmioty w całym Londynie.

W ciągu ostatnich siedmiu lat jednak doskonałość domu pana Lascellesa nieco przybladła. Kolory, choć nadal wysmakowane, nie zmieniły się od siedmiu lat. Drogie meble były modne siedem lat wcześniej. W ciągu siedmiu lat kolekcja Lascellesa nie powiększyła się o żaden nowy obraz. Choć w tym czasie do Londynu trafiły niezwykle antyczne rzeźby z Włoch, Egiptu i Grecji, nie zakupił ich Lascelles, lecz inni dżentelmeni.

Co więcej, wiele wskazywało na to, że właściciel domu znalazł sobie pożyteczne zajęcie, innymi słowy - zaczął pracować. Sprawozdania, manuskrypty, listy i dokumenty rządowe leżały na każdym stole i krześle, egzemplarze „Przyjaciół Angielskiej Magii” i księgi o magii można było znaleźć we wszystkich pokojach.

Działo się tak dlatego, że choć Lascelles wciąż udawał wstręt do pracy, był nią teraz wprost zavalony. Mimo że to właśnie Lascelles przyczynił się do wyboru lorda Portisheada

na redaktora „Przyjaciół Angielskiej Magii”, sposób, w jaki jego lordowska mość pełnił redaktorskie obowiązki, niesłuchanie go irytował. Lord Portishead podporządkowywał się panu Norrellowi we wszystkim - natychmiast wprowadzał zupełnie niepotrzebne poprawki i w rezultacie z numeru na numer czasopismo stawało się coraz nudniejsze i bardziej ogólnikowe. Na jesieni 1810 roku Lascelles znalazł sposób, by zostać jego współredaktorem. „Przyjaciele Angielskiej Magii” byli w czołówce pism najpowszechniej prenumerowanych w królestwie, co oznaczało sporo pracy. Dodatkowo Lascelles pisał o magii nowoczesnej do innych periodyków i gazet, doradzał rządowi w sprawach polityki magicznej, niemal codziennie składał wizyty panu Norrellowi, a w wolnym czasie studiował historię i teorię magii.

Trzeciego dnia po wizycie Strange’a u pani Bullworth Lascelles ciężko pracował w swojej bibliotece nad najświeższym numerem „Przyjaciół Angielskiej Magii”. Choć minęło już południe, nie znalazł czasu, by się ogolić i ubrać, i siedział teraz w płaszczu kąpielowym wśród stosu książek, papierów, talerzy śniadaniowych i filiżanek. Brakowało mu pewnego listu, więc postanowił go poszukać. Kiedy wszedł do salonu, ze zdumieniem ujrzał, że nie jest sam.

- Och, to ty - powiedział.

Nieszczęsny osobnik, który kulił się na fotelu przy kominku, uniósł głowę.

- Twój sługa poszedł cię szukać, by mnie zaanonsować - oznajmił.

- Ach! - Lascelles zamilkł, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. Usiadł w fotelu naprzeciwko Drawlighta, oparł głowę na rękach i uważnie popatrzył na gościa.

Twarz Drawlighta była blada, oczy wydawały się zapadnięte. Miał na sobie zakurzony frak, byle jak wyczyszczone buty, nawet nieco wymiętą koszulę.

- Uważam, że postąpiłeś bardzo nieuprzejmie, przyjmując zapłatę za wpędzenie mnie w ruinę, kalectwo i szaleństwo - odezwał się w końcu Lascelles. - I to od Marii Bullworth! Zupełnie nie rozumiem, czemu się tak piekli, przecież nic się nie działo bez jej zgody. Nie zmuszałem jej do ślubu z Bullworthem. Po prostu zaproponowałem jej ucieczkę, kiedy już nie mogła znieść jego widoku. Czy rzeczywiście nalegała, by Strange pokarał mnie trądem?

- Och, pewnie tak - westchnął Drawlight. - Sam nie wiem. Ani przez chwilę nic ci nie groziło. Siedzisz tu, bogaty, zdrowy i zadowolony jak zawsze, a ja jestem największym nieszczęśnikiem w całym Londynie. Nie spałem od trzech dni. Tego ranka ręce drżały mi tak bardzo, że ledwie zawiązałem krawat. Nie masz pojęcia, jak upokarza mnie wychodzenie w takim stanie. Chociaż i tak nikt mnie nie przyjmuje, więc co za różnica. Zatrzaśnięto mi przed nosem wszystkie drzwi w Londynie. Ty jeden mnie przyjąłeś. - Umilkł. - Nie powinienem ci

tego mówić.

Lascelles wzruszył ramionami.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział. - Jak mogłeś wierzyć, że tak idiotyczny plan się nie wyda?

- Wcale nie był idiotyczny! Wręcz przeciwnie, bardzo starannie selekcjonowałem... klientów. Maria Bullworth żyje z dala od towarzystwa. Gatcombe i Tantony to piwowarzy! Z Nottinghamu! Kto mógł przewidzieć, że kiedykolwiek spotkają Strange'a?

- A panna Gray? Arabella Strange poznała ją w domu lady Westby na Bedford Square. Drawlight westchnął.

- Panna Gray ma osiemnaście lat, mieszkała ze swymi opiekunami w Bedford. Zgodnie z testamentem swego ojca musiała uwzględniać ich wolę aż do trzydziestego szóstego roku życia. Oni zaś nienawidzili Londynu i byli zdecydowani nigdy nie opuszczać Whitby. Niestety, oboje się przeziębili, zmarli nieoczekiwanie dwa miesiące temu, a ta paskudna dziewczyna natychmiast wyruszyła do stolicy. - Drawlight urwał i nerwowo oblizał usta. - Czy Norrell jest wściekły?

- Ponad wszelką miarę - odparł Lascelles cicho. Drawlight jeszcze bardziej skulił się w fotelu.

- Co zrobią?

- Nie mam pojęcia. Skoro wszyscy już wiedzą o twoim wybryku, najlepiej będzie przez pewien czas trzymać się z dala od Hanover Square. Słyszałem od admirała Summerhayesa, że Strange chciał cię wyzwać na pojedynek...

Drawlight krzyknął cicho z przestraszeniem.

-...ale Arabella nie pochwała pojedyneków, więc nic z tego nie wyszło.

- Norrell nie ma prawa się na mnie wściekać! - wybuchnął Drawlight. - Wszystko zawdzięcza właśnie mnie! Sztuka magiczna to jedno, ale gdybym ja nie przedstawił go innym, nikt by o nim nie usłyszał. Nie mógł się wtedy beze mnie obyć, teraz też nie może.

- Tak sądzisz?

Drawlight szeroko otworzył ciemne oczy i dotknął palcami warg, jakby miał ochotę ukoić nerwy obgryzaniem paznokci. Zauważywszy, że wciąż ma na sobie rękawiczki, szybko cofnął rękę.

- Wieczorem znowu zajdę - powiedział. - Będziesz w domu?

- Och, zapewne! Co prawda obiecałem lady Blessington, że odwiedzę jej salon, ale wątpię, czy tam pójdę. Mamy duże opóźnienie z „Przyjaciółmi”. Norrell dręczy nas sprzecznymi poleceniami.

- Tyle pracy! Mój biedny Lascellesie! To ci na pewno nie na rękę. Co za tyran z tego starca!

Po wyjściu Drawlighta Lascelles wezwał sługę.

- Za godzinę wychodzę, Emerson. Każ Wallisowi wszystko przygotować. A, i jeszcze coś! Pan Drawlight wyraził chęć powrotu dzisiejszego wieczoru. Jeśli przyjdzie, pod żadnym pozorem go nie wpuszczaj.

Gdy obaj panowie prowadzili pogawędkę, Norrell, Strange i John Childermass zebrali się w bibliotece na Hanover Square, by przedyskutować zdradę Drawlighta. Pan Norrell siedział w milczeniu, spoglądając w ogień, podczas gdy Childermass opisywał Strange'owi, jak w Twickenhamie odkrył jeszcze jedną ofiarę szubrawca - niemłodego dżentelmena nazwiskiem Palgrave. Dał on Drawlightowi dwieście gwinei za przywrócenie młodości i wydłużenie życia o kolejne osiemdziesiąt lat.

- Zapewne nigdy się nie dowiemy, ile osób zapłaciło Drawlightowi w przekonaniu, że zlecają panu odprawianie czarnej magii - ciągnął Childermass. - Zarówno pan Tantony, jak i panna Gray byli mamieni członkostwem w organizacji magów, która wedle słów Drawlighta miała wkrótce powstać. Przyznam, że niezbyt dobrze pojmuję, o co chodziło.

Strange westchnął.

- Jak przekonać ludzi, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego? Powinniśmy coś zrobić, ale przyznaję, że nie mam pojęcia co.

- W ostatnich dniach bardzo głęboko zastanawiałem się nad tą sprawą - przemówił nagle pan Norrell. - Właściwie nie myślałem o niczym innym i doszedłem do wniosku, że musimy przywrócić Ławę Pięciu Smoków<sup>[49]</sup>.

Zapadła cisza.

- Proszę o wybaczenie. Czy powiedział pan „Ława Pięciu Smoków”? - zapytał Strange po chwili.

Pan Norrell skinął głową.

- Jestem przekonany, że tego niegodziwca powinna sądzić Ława Pięciu Smoków. Jest winien fałszywej magii i złych dążeń. Na szczęście średniowieczne prawo nie zostało nigdy anulowane.

- Średniowieczne prawo nakazuje, by w Ławie Pięciu Smoków zasiadało dwunastu magów - prychnął Strange. - W Anglii nie ma dwunastu magów. Doskonale pan o tym wie. Jest dwóch.

- Możemy znaleźć innych - powiedział pan Norrell.

Strange i Childermass popatrzyli na niego ze zdumieniem. Pan Norrell miał dość przyzwoitości, by się nieco spieszyć faktem, że właśnie zaprzeczył wszystkiemu, co utrzymywał przez ostatnich siedem lat. Mimo to ciągnął niezrażony:

- Jest przecież lord Portishead i ten ciemnowłosy człowieczek z Yorku, który nie podpisał umowy. To już dwóch, a nie mam wątpliwości - tu zerknął na Childermassa - że znalazłbyś ich więcej, gdybyś się do tego przyłożył.

Childermass otworzył usta, zapewne chcąc zauważyć, że wszyscy magowie, których odszukał dla pana Norrella, już nie są magami, gdyż pan Norrell przejął ich zbiory, odmówił im prawa do wykonywania zawodu, nakazał podpisać podstępne umowy albo zniszczył ich w jeszcze inny sposób.

- Proszę mi wybaczyć, ale kiedy mówiłem, że powinniśmy coś zrobić, miałem na myśli na przykład ogłoszenie w gazecie - oświadczył Strange. - Bardzo wątpię, czy lord Liverpool i ministrowie pozwoliliby nam przez wzgląd na jednego człowieka ożywić gałąź angielskiego prawa, które nie obowiązuje już od ponad dwustu lat. Nawet gdyby byli skłonni na to przystać, moim zdaniem dwunastu magów oznacza dwunastu magów praktykujących. Zarówno lord Portishead, jak i John Segundus to magowie teoretycy. Poza tym bardzo prawdopodobne, że Drawlighta wkrótce oskarżą o oszustwo, fałszerstwo, kradzież i sam jeszcze nie wiem o co. Nie rozumiem, jaką przewagę ma Ława Pięciu Smoków nad sądem powszechnym.

- Wyrok sądu powszechnego będzie zupełnie nieprzewidywalny! Sędzia nie ma przecież pojęcia o magii. Ogrom przestępstw tego człowieka nie zostanie dostrzeżony. Mówiłem o jego zbrodniach przeciwko angielskiej magii, przeciwko mnie. Ława Pięciu Smoków słynęła z surowości. Uważam, że dla naszego dobra Drawlighta powinno się powiesić.

- Powiesić!

- O tak. Zamierzam doprowadzić do egzekucji. Myślałem, że właśnie o tym rozmawiamy. - Pan Norrell kilkakrotnie zamrugał.

- Drogi panie, jestem zły na tego człowieka tak samo jak pan. Jest pozbawiony skrupułów. Kłamliwy. Uosabia wszystko, czego nienawidzę. Ale nie stanę się przyczyną niczyjej śmierci. Byłem na Półwyspie Iberyjskim, widziałem umierających ludzi.

- Zaledwie dwa dni temu chciał go pan wyzwąć na pojedynek!

- To coś zupełnie innego! - Strange posłał mu gniewne spojrzenie.

- Tak czy owak, uważam, że jest pan równie winny jak Drawlight! - wykrzyknął pan Norrell.

- Ja? - spytał Strange zaskoczony. - Dlaczego? Co takiego, zrobiłem?

- Doskonale pan wie, o co mi chodzi! Co pana podkusiło, by udać się na Królewskie Trakty? Samotnie, bez żadnych przygotowań! Chyba nie sądził pan, że temu przyklasnę? Pańskie uczynki tamtej nocy zaszkodziły magii w takim samym stopniu jak postępowanie tego człowieka, a może nawet bardziej! Ludzie nigdy nie mieli dobrego zdania o Christopherze Drawlighcie, więc nikt się nie zdziwił, gdy okazał się niegodziwcem. Ale wszyscy znają pana jako mojego ucznia! Jest pan drugim magiem w tym kraju! Ludzie pomyślą, że pochwalam pańskie postępowanie. Uznają, że to część mojego planu ożywienia angielskiej magii!

Strange popatrzył na swego nauczyciela.

- Zapewniam pana, że absolutnie nie życzyłbym sobie, by moje zachowanie pana kompromitowało. Łatwo jednak temu zaradzić. Jeśli się rozejdziemy, każdy z nas będzie mógł działać na własną rękę.

Pan Norrell wydawał się zaskoczony. Zerknął na Strange'a, potem odwrócił wzrok i wymamrotał cicho, że nie o to mu chodziło i że pan Strange chyba to rozumie.

- Mam nadzieję, że pan Strange okaże mi wyrozumiałość. - Odchrząknął. - Mam nadzieję, że panu Strange'owi zależy na angielskiej magii i zniesie moje narzekania. Wie, jak ważne jest to, żebyśmy przemawiali i działali razem dla dobra angielskiej magii. Jeszcze za wcześnie, by narażać ją na podmuchy przeciwnych wiatrów. Jeśli pan Strange i ja zaczniemy przeczyć sobie w ważnych sprawach, wątpię, czy angielska magia przetrwa.

Zapadła cisza. Strange podniósł się z fotela i złożył panu Norrellowi sztywny ukłon. Następne minuty były bardzo niezręczne. Pan Norrell wyglądał tak, jakby miał ochotę coś powiedzieć, jednak zupełnie nie wiedział co. Tak się złożyło, że nowe dzieło lorda Portisheada, *Rozprawa o niesłychanym odrodzeniu angielskiej magii*, właśnie przybyło od drukarza i leżało na stolyczku. Pan Norrell sięgnął więc po książkę.

- Znakomite dziełko! Jak bardzo lord Portishead jest oddany naszej sprawie! Po takim kryzysie trudno komuś zaufać, ale wydaje mi się, że zawsze możemy polegać na lordzie Portisheadzie!

Wręczył Strange'owi książkę. Strange z rozmysłem zaczął przerzucać jej stronicę.

- Zrobił wszystko, o co go prosiliśmy. Dwa obszernie rozdziały pełne ataków na Króla Kruków i niemal żadnej wzmianki o elfach. Jeśli dobrze pamiętam, pierwsza wersja zawierała długi opis magii Króla Kruków.

- Istotnie - przytaknął pan Norrell. - Przed pana poprawkami książka była bezwartościowa. Gorzej niż bezwartościowa - niebezpieczna! Te długie godziny jednak, które

pan z nim spędził, kierując jego opiniami, zrodziły owoce! Jestem z tego niesłychanie zadowolony.

Kiedy Lucas przyniósł tacę z herbatą i ciasteczkami, obaj magowie zachowywali się jak dawniej (choć może Strange był nieco bardziej milczący niż zazwyczaj). Kłótnia wydawała się zażegnana.

Tuż przed wyjściem Strange zapytał, czy może pożyczyć książkę lorda Portisheada.

- Naturalnie! - wykrzyknął pan Norrell. - Proszę ją sobie zatrzymać! Mam jeszcze kilka egzemplarzy.

Mimo wszystkich argumentów Strange'a i Childermassa pan Norrell nie potrafił zrezygnować z planu przywrócenia Ławy Pięciu Smoków. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że nie zazna spokoju, póki w Anglii nie powstanie stosowny sąd prawa magicznego. Czuł, że nie usatysfakcjonuje go żadna kara wymierzona Drawlightowi przez jakikolwiek inny organ prawa. Później tego samego dnia wysłał Childermassa do domu lorda Liverpoola, by wybłągał u niego kilkuminutowe spotkanie. Lord Liverpool przesłał wiadomość, że spotka się z panem Norrellem następnego dnia.

O wyznaczonej porze pan Norrell odwiedził premiera i wyłuszczył swój plan. Gdy skończył, lord Liverpool zmarszczył brwi.

- Ależ magiczne prawo przestało funkcjonować - oznajmił. - Nie ma prawników wyszkolonych w takich sądach. Kto poprowadzi sprawy? Kto osądzi oskarżonych?

- Ach! - Pan Norrell wyciągnął gruby plik papierów. - Cieszę się, że wasza lordowska mość zadaje te pytania. Przygotowałem dokument opisujący funkcjonowanie Ławy Pięciu Smoków. Niestety, niewiele o tym nam wiadomo, ale zasugerowałem sposoby, które pozwolą przywrócić to, co utraciliśmy. Posłużyłem się przykładem kościelnych sądów z Doctor's Commons<sup>[50]</sup>. Jak wasza lordowska mość się przekona, przed nami wiele pracy.

Lord Liverpool zerknął na dokumenty.

- Zbyt wiele, drogi panie - oświadczył głucho.

- To konieczne, zapewniam pana. Niezbędne! Jak inaczej regulować magię? Jak inaczej mamy strzec się niegodziwych magów i ich sług?

- Jakich niegodziwych magów? Jest tylko pan i pan Strange.

- To prawda, ale...

- Czy w tej chwili czuje się pan szczególnie niegodziwy? Czy istnieje pałaca potrzeba, by rząd Wielkiej Brytanii tworzył oddzielny organ prawa do kontrolowania pańskich występnych skłonności?

- Nie, ja...



- A może to pan Strange wykazuje silną inklinację do mordowania oraz okaleczania bliźnich, tudzież kradzieży?

- Nie, lecz...

- Wobec tego zostaje nam tylko ten pan Drawlight, a jeśli się nie mylę, on nie jest magiem.

- Jednak jego zbrodnie podlegają paragrafom prawa magicznego. Powinien być sądzony przez Ławę Pięciu Smoków, to odpowiednia instytucja. Oto lista jego przewinień. - Pan Norrell położył przed premierem następną dokument. - Proszę bardzo! Fałszywa magia, złe dążności i szkodliwa pedagogia. Żaden zwykły sąd sobie z tym nie poradzi.

- Bez wątplenia. Ale jak już zauważyłem, nie ma nikogo, kto mógłby go sądzić.

- Gdyby tylko wasza lordowska mość zechciał rzucić okiem na czterdziestą drugą stronę moich notatek. Proponuję zatrudnienie sędziów, adwokatów i prokuratorów z Doctor's Commons. Mógłbym im wyjaśnić podstawy prawa taumatycznego. To zajmie mniej więcej tydzień, Mogę też przydzielić im swojego sługę, Johna Childermassa, na czas trwania procesu. Zna się na rzeczy, będzie interweniował, gdyby coś poszło nie tak.

- Co? Sędzia i prawnicy mają być pouczani przez powoda i jego sługę?! To wykluczone! Ten pomysł to obraza wymiaru sprawiedliwości!

Pan Norrell zamrugał.

- Ale jaką mogę mieć pewność, że inni magowie nie zakwestionują mojego autorytetu i nie będą mi się sprzeciwiać?

- Szanowny panie, żaden sąd nie powinien wyносить opinii jednego człowieka nad pozostałe! Ani w tej kwestii, ani w żadnej innej. Jeśli reszta magów ma odmienne zdanie niż pan, musi pan ich przekonać, dowieść wyższości swych wniosków, jak ja to robię w polityce. Musi pan polemizować, publikować i praktykować magię, uczyć się żyć tak jak ja - stawiając czoło nieustannej krytyce, sprzeciwom i cenzurze. Tak to się robi w Anglii, proszę pana.

- Ale...

- Bardzo mi przykro, dość już wysłuchałem. Koniec dyskusji. Rząd Wielkiej Brytanii jest pańskim dłużnikiem. Oddał pan krajowi niezwykle przysługi. Każdy wie, jak bardzo pana cenimy, ale prosi pan o niemożliwe.

Wiść o oszustwie Drawlighta wkrótce się rozniosła i jak przewidział Strange, winą częściowo obarczono magów. W końcu Drawlight był ich bliskim kompanem. Ta historia okazała się doskonałym tematem dla karykaturzystów - opublikowano kilka poruszających rysunków. Na jednym z nich, autorstwa George'a Cruikshanka, pan Norrell zapewniał grupę wielbicieli o szlachetności angielskiej magii, podczas gdy na zapleczu Strange dyktował coś

w rodzaju cennika służącemu, który pisał kredą na tablicy: „Za zabójstwo magią znajomka - dwadzieścia gwinei. Za zabójstwo bliskiego przyjaciela - czterdzieści gwinei. Za zabójstwo krewniaka - sto gwinei. Za zabójstwo małżonka - czterysta gwinei”. Na innej karykaturze, autorstwa Rowlandsona, modna dama wędruje ulicą, prowadząc na smyczy puchatego pieska. Spotyka znajomego, który krzyczy na widok zwierzątka: „Och! Pani Foulkes, jaka słodka psina”. „Tak - odpowiada pani Foulkes. - To pan Foulkes. Zapłaciłam panom Strange’owi i Norrellowi pięćdziesiąt gwinei za to, by mąż słuchał wszystkich mych życzeń. Oto skutek”.

Bez wątpienia karykatury i złośliwe wzmianki w gazetach wyrządziły sprawie angielskiej magii znaczną szkodę. Można teraz było magię rozpatrywać z całkiem innego punktu widzenia - nie jako najskuteczniejszą obronę narodu, lecz narzędzie niegodziwości i zazdrości.

A co z ludźmi, których skrzywdził Drawlight? Jaki był ich pogląd na całą sprawę? Bez wątpienia pan Palgrave - schorowany, kłótlivy staruszek, który życzył sobie żyć wiecznie, zamierzał oskarżyć Drawlighta o oszustwo, ale nie zdążył, gdyż następnego dnia niespodzianie umarł. Dzieci i spadkobierców pana Palgrave’a (znenawidzonego przez wszystkich) właściwie ucieszyła świadomość, że w ostatnich dniach staruszkowi towarzyszyły frustracja, smutek i rozczarowanie. Drawlight nie musiał się również obawiać panny Gray ani pani Bullworth. Przyjaciele i krewni panny Gray nie pozwoliliby jej się wmieszać w żalósną sprawę sądową, a życzenia pani Bullworth były tak niegodziwe, że w ich świetle to właśnie ona mogłaby wydać się winna; miała związane ręce. Pozostawali tylko Gatcombe i Tantony, piwowarzy z hrabstwa Nottingham. Jako człowiek interesu pan Gatcombe przede wszystkim przejął się odzyskaniem pieniędzy i wysłał po nie urzędników sądowych. Niestety, Drawlight nie mógł usatysfakcjonować pana Gatcombe’a, gdyż wszystko wydał znacznie wcześniej.

I tak oto dochodzimy do upadku Drawlighta. Choć uniknął stryczka, ponure przeznaczenie i tak objawiło się na zasnutym chmurami niebie jego egzystencji, by na czarnych skrzydłach sfrunąć ku niemu i go pokonać. Nigdy nie był majątny, wręcz przeciwnie. Zwykle żył na kredyt i z pożyczek. Czasem wygrywał pieniądze w jaskiniach hazardu, ale częściej zachęcał naiwniaków do gry, a kiedy (nieuchronnie) przegrywali, ujmował ich pod ramię i nie zamykając ust, prowadził do tego czy innego znajomego lichwiarza. „Nie mógłbym uczciwie polecić panu nikogo innego - mówił z powagą. - Wszyscy żądają potwornych odsetek, ale pan Buzzard bardzo się od nich różni. To taki sympatyczny staruszek. Nie potrafi spokojnie patrzeć, jak ktoś zmuszony jest do wyrzeczeń, podczas gdy on ma środki na pomoc. Moim zdaniem pożyczanie niewielkich sumek traktuje

raczej jako działalność dobroczynną niż interes!” Za tę niezbyt ważną, niemniej istotną rolę we wpędzaniu młodych mężczyzn w długi Drawlight otrzymywał od lichwiarzy zapłatę - zazwyczaj cztery procent od odsetek z pierwszego roku za syna człowieka z ludu, sześć procent za syna wicehrabiego albo baroneta i dziesięć procent za syna earla lub księcia.

Wiadomość o jego hańbie krążyła po mieście. Krawcy, kapelusznicy i rękawicznicy, którym był winien pieniądze, zaczęli z niepokojem żądać zapłaty. Długi, które, jak przypuszczał, miały być odroczone o następne cztery lata albo i pięć, nagle trzeba było natychmiast uregulować. Mężczyźni o grubo ciosanych rysach i uzbrojeni w pałki bębniłi mu do drzwi. Kilka osób radziło mu jak najszybciej wyjechać za granicę, ale Drawlight nie mógł uwierzyć, że przyjaciele tak szybko się od niego odsunęli. Sądził, że pan Norrell zmięknie, a Lascelles, jego najdroższy przyjaciel Lascelles, pomoże. Wysłał im obu pełne szacunku listy z prośbą o natychmiastową pożyczkę w wysokości czterystu gwinei. Pan Norrell nie odpowiedział, a Lascelles napisał tylko, że z zasady nigdy nie pożycza pieniędzy. We wtorkowy poranek Drawlighta aresztowano za długi i w piątek był już osadzony w więzieniu Sądu Ławy Królewskiej.

Wieczorem, pod koniec listopada, mniej więcej tydzień po tych wydarzeniach, Strange i Arabella siedzieli w salonie na Soho Square. Arabella pisała list, a Strange z roztargnieniem wrywał sobie włosy i gapił się przed siebie. Nagle wstał i wyszedł z pokoju.

Wrócił po godzinie z naręczem kartek pokrytych zapiskami.

Arabella uniosła wzrok.

- Myślałam, że skończyłeś artykuł do „Przyjaciół Angielskiej Magii” - zauważyła.

- To nie jest artykuł do „Przyjaciół Angielskiej Magii”. To recenzja książki Portisheada.

- Nie możesz recenzować książki, którą sam pomagałeś napisać. - Arabella zmarszczyła brwi.

- Owszem, mogę. W pewnych okolicznościach.

- Coś podobnego! A cóż to za okoliczności?

- Zamierzam ujawnić, że to odrażająca książka, niegodziwe oszustwo i występki przeciwko narodowi brytyjskiemu.

Arabella spojrzała uważnie na męża.

- Jonathanie - powiedziała w końcu.

- To naprawdę odrażająca książka.

Wręczył jej kartki, a ona zabrała się do lektury. Zegar nad kominkiem wybił dziewiątą, Jeremy przyniósł herbatę i kanapki. Kiedy Arabella skończyła czytać, westchnęła.

- Co zamierzasz zrobić?

- Sam nie wiem. Chyba to opublikuję.

- Ale co z biednym lordem Portisheadem? Gdyby napisał w książce nieprawdę, wtedy rzecz jasna ktoś powinien mu to wytknąć. Ale dobrze wiesz, że napisał to wszystko, bo mu kazałeś. Poczuj się wykorzystany.

- Zgoda! Od początku do końca pomysł był chybiony - oznajmił Strange niefrasobliwie. Upił odrobinę herbaty i ugryzł kawałek tosta. - Ale nie o to chodzi. Czy powinienem pozwalać, by sympatia dla Portisheada powstrzymała mnie od ujawnienia prawdy? Wątpię. A ty jak sądzisz?

- Ale czy to musisz być ty? - zapytała z nieszczęśliwą miną. - Dla tego biedaka to będzie potworny cios.

Strange zmarszczył brwi.

- Naturalnie, że to muszę być ja. A niby kto? Obiecuję ci jednak, że go przeproszę, kiedy tylko nadarzy się odpowiednia okazja.

Arabella musiała się tym zadowolić.

Tymczasem Strange zastanawiał się, do kogo wysłać recenzję. Jego wybór padł na pana Jeffreya, redaktora „The Edinburgh Review” w Szkocji. „The Edinburgh Review”, jak zapewne pamiętasz, czytelniku, to radykalny dziennik pochwalający polityczne reformy, emancypację katolików i żydów oraz wszystkie te rzeczy, których nie akceptował pan Norrell. W konsekwencji pan Jeffrey widział recenzje oraz artykuły na temat odrodzenia angielskiej magii w konkurencyjnych czasopismach, sam jednak nie otrzymywał do druku żadnych tego typu tekstów. Naturalnie z zachwytem przyjął recenzję Strange’a. Wcale się nie przejmował jej zdumiewającą i rewolucyjną treścią, gdyż właśnie takie rzeczy lubił najbardziej. Natychmiast napisał do Strange’a, zapewniając go, że opublikuje jego tekst jak najszybciej. Kilka dni później wysłał mu w prezencie haggis (rodzaj szkockiego puddingu).

## Rozdział szesnasty

*Z „The Edinburgh Review” styczeń 1815*

ART. XIII.

*Rozprawa o niesłychanym odrodzeniu angielskiej magii. Autor JOHN*

WATERBURY, lord PORTISHEAD. Zawiera również opis magii, odprawianej pod koniec wojny na Półwyspie Iberyjskim: autor JONATHAN STRANGE, mag na służbie u Jaśnie Oświeconego Księcia WELLINGTONA. Londyn, 1814. John Murray.

Jako ceniony i zaufany pomocnik pana NORRELLA oraz przyjaciel pana STRANGE'A, lord PORTISHEAD jest odpowiednią osobą do spisania historii niedawnych magicznych zdarzeń, znajdował się bowiem w samym centrum wielu z nich. Każde z osiągnięć panów NORRELLA oraz STRANGE'A omawiano na łamach gazet i przeglądów, lecz czytelnicy lorda PORTISHEADA lepiej pojmą istotę zagadnienia dzięki temu, iż zostanie im ono zaprezentowane w całej złożoności.

Najbardziej entuzjastyczni wielbiele panu NORRELLA twierdzą, że przybył on do Londynu wiosną 1807 roku jako wszechstronnie wykształcony, największy mag Anglii oraz fenomen epoki, lecz z opisu lorda PORTISHEADA jasno wynika, że zarówno NORRELL, jak i STRANGE zaczęli na o wiele słabszych pozycjach. Lord PORTISHEAD nie ukrywa ani niepowodzeń, ani sukcesów obydwu magów. W rozdziale piątym znajduje się tragicomiczny opis ich długotrwałego sporu z KONNICA, który rozpoczął się w 1810 roku, kiedy to jeden z generałów wpadł na oryginalny pomysł, by konie kawaleryjskie zastąpić jednorożcami. Pomysłodawca liczył na to, że żołnierze dzięki temu będą przeszywali rogiami serca Francuzów. Niestety, tego znakomitego planu nie wcielono w życie, panowie NORRELL i STRANGE nie widzieli bowiem na oczy ani jednego jednorożca, nie mówiąc już o takiej ich liczbie, która zaspokoiłaby potrzeby kawalerii.

Bardziej kontrowersyjna jest druga część książki jego lordowskiej mości, w której rezygnuje on z opisu i zaczyna wyklądać zasady, mające na celu ustalenie, co jest, a co nie jest godną szacunku angielską magią - innymi słowy, pisze o tym, co należy zwać białą, a co czarną magią. W tej kwestii autor nie ma nic nowego do powiedzenia. Gdyby czytelnik rzucił okiem na wypowiedzi współczesnych komentatorów magii, dostrzegłby zdumiewającą jednomyślność opinii. Wszyscy oni opowiadają tę samą historię i bez wyjątku powtarzają takie same argumenty, z których wyciągają wnioski.

Chyba nadszedł czas zadać sobie pytanie, dlaczego tak właśnie ma być. W każdej innej gałęzi wiedzy nasze rozumienie pogłębiają racjonalne spory i debaty. Różne są poglądy na prawo, teologię, historię i nauki ścisłe. Dlaczego zatem w dziedzinie magii nie słyszymy nic nowego poza tymi samymi wyświechtanymi argumentami? Można zacząć się zastanawiać, po co w ogóle głosić swoje poglądy, skoro najwyraźniej wszyscy są przekonani do jednej tylko prawdy. Ta przerażająca monotonia jest szczególnie widoczna w najnowszych opisach HISTORII ANGIELSKIEJ MAGII, które przy każdym powtórzeniu stają się coraz

bardziej dziwaczne.

Osiem lat temu ten sam autor wydał *Dziecięce lata Króla Kruków*, jedną z najdoskonalszych pozycji w swojej dziedzinie. Opisuje ona tajemnicę i cudowność magii JOHNA USKGLASSA. Dlaczego zatem autor udaje, że wierzy, iż prawdziwa angielska magia rozpoczęła się w szesnastym wieku wraz z MARTINEM PALE'EM? W rozdziale szóstym *Rozprawy o niesłychanym odrodzeniu angielskiej magii* oznajmia, że PALE świadomie postanowił oczyścić angielską magię z jej mroczniejszych elementów. Nie próbuje on przedstawiać jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie tej nadzwyczajnej tezy - co zresztą nie ma znaczenia, gdyż żadne dowody nie istnieją.

Zgodnie z obecnymi poglądami lorda PORTISHEADA tradycja zapoczątkowana przez PALE'A została udoskonalona i dopracowana przez HICKMANA, LANCHESTERA, GOUBERTA, BELASISA i innych (nazywanych magami ARGENTAMI), a kontynuują ją panowie NORRELL i STRANGE. Autor *Rozprawy...* głosi, że panowie STRANGE i NORRELL ciężko pracowali, by nastąpił dalszy rozkwit tradycji. Rzecz ma się jednak zupełnie inaczej, MARTIN PALE oraz magowie ARGENCI nigdy nie pragnęli kłaść podwalin angielskiej magii. W każdym zapisanym przez nich zaklęciu, w każdym przelanym na papier słowie usiłowali odtworzyć chwalebna magię swych przodków (tych, których nazywamy magami złotego wieku lub AUREATAMI): THOMASA GODBLESSA, RALPHA STOKESEYA, KATARZYNY z WINCHESTERU oraz, przede wszystkim, JOHNA USKGLASSA. MARTIN PALE był zagorzałym wielbicielem sztuki tych magów. Nigdy nie przestał żałować, że urodził się dwieście lat za późno.

Jednym z najbardziej niezwykłych zjawisk związanych z odrodzeniem angielskiej magii jest stosunek magów do JOHNA USKGLASSA. Można odnieść wrażenie, że jego nazwisko przywołuje się obecnie tylko po to, by obrzucić go inwektywami. A gdyby tak DAVY i pan FARADAY, a wraz z nimi inni nasi wielcy przedstawiciele świata nauki, czuli się zobowiązani rozpoczynać swe wykłady od wyrażenia pogardy i nienawiści do ISAACA NEWTONA? Albo gdyby nasi wybitni medycy poprzedzali ogłoszenie każdego nowego odkrycia w medycynie opisem niegodziwości WILLIAMA HARVEYA?

Lord PORTISHEAD poświęca długi rozdział książki próbom udowodnienia, że wbrew obiegowej opinii JOHN USKGLASS nie jest twórcą angielskiej magii, bowiem jeszcze przed jego narodzinami na tych wyspach żyli magowie. Tego nie neguję. Jednak stanowczo sprzeciwiam się twierdzeniom, jakoby przed JOHNEM USKGLASSEM W Anglii istniała jakakolwiek tradycja magii.

Przyjrzyjmy się bliżej tym wcześniejszym magom, wokół których PORTISHEAD robi

tyle szumu. Kim byli? Jeden z nich to JÓZEF Z ARYMATEI, mag, który przybył z Ziemi Świętej i zasadził magiczne drzewo, mające chronić Anglię przed niebezpieczeństwem. Jeśli się nie mylę, nie pozostał na wyspie na tyle długo, by swe umiejętności przekazać jej mieszkańcom, MERLIN to mag, który po kądzieli był Walijszym, a po mieczu - obywatelem Piekła, więc niespecjalnie pasuje do szanowanej angielskiej magii, tak miłej sercom lorda PORTISHEADA oraz panów NORRELLA i STRANGE'A. A kim byli uczniowie i następcy MERLINA? Nie sposób wymienić choćby jednego. Nie, tym razem powszechne mniemanie jest słuszne: magia na długo znikła z tych wysp, a powróciła dopiero wraz z JOHNEM USKGLASSEM, który przybył z Faerie i na północy Anglii ustanowił własne królestwo.

Tu lord PORTISHEAD zdaje się zdradzać pewne wątpliwości, a na wypadek gdyby jego argumenty nie przekonały czytelników, próbuje udowodnić, że magia JOHNA USKGLASSA była z gruntu niegodziwa. Żadną miarą nie da się jednak powiedzieć, że wybrane przez niego przykłady potwierdzają tę konkluzję. Zapoznajmy się z niektórymi.

Każdy słyszał o czterech magicznych lasach otaczających Newcastle, stolicę królestwa JOHNA USKGLASSA. Nosily one nazwy: Duży Tom, Cytadela Asmodyego, Mały Egipt i Dar Świętego Seria. Lasy wędrowały z miejsca na miejsce i słynęły z tego, że od czasu do czasu pożerały ludzi przybywających z zamiarem skrzywdzenia mieszkańców miasta. Wizja lasów spożywających istoty ludzkie z całą pewnością wydaje się tajemnicza i potworna, niemniej brak dowodów, by współcześni JOHNA USKGLASSA tak właśnie ją postrzegali. Epoka nie należała do spokojnych; JOHN USKGLASS był średniowiecznym królem i postępował jak na takiego władcę przystało.

Często trudno ocenić moralność poczynań USKGLASSA, gdyż jego motywacja pozostaje nieodgadniona. Uznaje się go za najbardziej tajemniczego spośród wszystkich AUREATÓW. Nikt nie wie, dlaczego w 1138 roku doprowadził do zniknięcia z nieba Księżyca i czemu nakazał mu wędrować po wszystkich jeziorach i rzekach Anglii. Nie wiadomo, z jakiego powodu w 1202 roku pokłócił się z zimą i wygnał ją z królestwa, dzięki czemu przez cztery lata Anglia Północna cieszyła się bezustannym latem. Trudno również powiedzieć, dlaczego przez trzydzieści następujących po sobie nocy w maju i czerwcu 1345 roku wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci w królestwie śnili o tym, że wspólnie zebrali się na ciemnoczerwonej równinie pod jasnożłotym niebem, by wybudować wysoką czarną wieżę. Każdej nocy pracowali i rankiem budzili się kompletnie wyczerpani. Sen przestał ich nachodzić dopiero wtedy, gdy trzydziestej nocy ukończono budowę wieży i fortyfikacji. Wszystkie te historie - a szczególnie ostatnia - najwyraźniej świadczą o czymś ważnym, nie

wiadomo jednak o czym. Pewna grupa uczonych rozważała możliwość, że wysoka czarna wieża znajdowała się w tej części Piekle, którą USKGLASS rzekomo wydzierżawił od LUCYFERA, a forteca była magowi potrzebna do prowadzenia wojny z jego wrogami w Piekle, MARTIN PALE miał jednak odmienną opinię. Uważał, że istnieje związek między budową wieży i pojawieniem się czarnej śmierci trzy lata później. Królestwo JOHNA USKGLASSA na północy Anglii w znacznie mniejszym stopniu ucierpiało wskutek epidemii niż jego południowy sąsiad, PALE wierzył, że wynikało to z faktu, iż USKGLASS zastosował bliżej nie określoną formę obrony przed chorobą.

Wedle autora *Rozprawy o niesłychanym odrodzeniu angielskiej magii* nie mamy powodu nawet się zastanawiać nad takimi kwestiami. Zdaniem pana NORRELLA i lorda PORTISHEADA nowoczesny mag nie powinien rozważać spraw, których nie potrafi do końca pojąć. Ja twierdzę, iż musimy badać te sprawy właśnie dlatego, że nie potrafimy ich do końca pojąć.

Angielska magia to osobliwa budowla, zamieszkała przez nas, magów. Wzniesiono ją na fundamencie stworzonym przez JOHNA USKGLASSA, a my na własną zgubę ignorujemy tę podstawę. Powinniśmy ją studiować i pojmować jej charakter, by wiedzieć, co wesprze, a czego nie. W przeciwnym razie pojawią się pęknięcia, które zaczną przepuszczać wiatry, wiejące nie wiadomo skąd. Korytarze zaprowadzą nas do miejsc, których nigdy nie zamierzaliśmy odwiedzać.

W podsumowaniu należy podkreślić, że książka lorda PORTISHEADA - choć zawierająca wiele znakomitych myśli - jest dobrym przykładem szalonej sprzeczności w samym sercu współczesnej angielskiej magii: nasi najwięksi magowie stale deklarują intencję wymazania z angielskiej magii wszelkich śladów istnienia JOHNA USKGLASSA, lecz jakże to w ogóle możliwe? Magia, którą stosujemy, jest magią JOHNA USKGLASSA.

## **Rozdział siedemnasty**

*Dwaj magowie luty 1815*

Ze wszystkich kontrowersyjnych artykułów w „The Edinburgh Review” ten był najbardziej kontrowersyjny. Pod koniec stycznia chyba każdy wykształcony obywatel, jak kraj długi i szeroki, już go przeczytał i wyrobił sobie o nim opinię. Choć artykułu nie podpisano, wszyscy



znali autora. Rzecz jasna, z początku niektórzy nie mieli absolutnej pewności; wskazywali na fakt, że Strange jest w nim krytykowany równie mocno jak Norrell, może nawet mocniej. Ludzie ci uznani zostali przez swych przyjaciół za bardzo naiwnych. Czyż nie było powszechnie wiadomo, że Jonathan Strange to kapryśny, pełen sprzeczności człowiek, który mógłby napisać coś na własną szkodę? Czy autor artykułu nie deklarował, że jest magiem? Któż inny zatem mógłby to być? Kto inny przemawiałby z takim zdecydowaniem?

Kiedy pan Norrell przybył do Londynu, jego opinie wydawały się bardzo nowatorskie i wyjątkowo ekscentryczne, ludzie jednak zdążyli się do nich przyzwyczaić. Teraz pan Norrell zachowywał się jak typowy przedstawiciel swoich czasów, gdy twierdził, że magią, podobnie jak oceanami, powinni władać Anglicy. Należało zakreślić jej granice, a wszystko to, co wydawało się niezrozumiałe dla współczesnych dam i dżentelmenów - trzysta lat władzy Johna Uskglassa, dziwna, trudna historia naszych kontaktów z elfami - zwyczajnie pominąć. Strange postawił wszystko na głowie. Nagle zaistniała możliwość, że to, czego każdy Anglik dowiedział się w dzieciństwie na temat nieokiełznanej angielskiej magii, jest prawdą, i że John Uskglass w towarzystwie ludzi i elfów nadal przemierza dawno zapomniane ścieżki po drugiej stronie niebios i tęczy.

Zdaniem większości współpraca obu magów dobiegała końca. Po Londynie krążyła plotka, że Strange pojawił się na Hanover Square i że służba odprawiła go z kwitkiem. Kursowała też inna, sprzeczna z poprzednią pogłoska, a mianowicie że pan Norrell dniem i nocą przesiaduje w bibliotece. Czekają na swego ucznia i każą służącym co pięć minut wyglądać przez okno, by sprawdzili, czy pan Strange nadchodzi.

W niedzielny wieczór na początku lutego Strange odwiedził w końcu pana Norrella. Była to informacja pewna, bowiem dwaj dżentelmeni zmierzający do kościoła St George na Hanover Square zauważyli go na schodkach domu. Widzieli też, jak otwierają się drzwi, Strange mówi coś do sługi i zostaje natychmiast wpuszczony, jak ktoś od dawna oczekiwany. Znalazłszy się w kościele, obaj dżentelmeni natychmiast powiadomili znajomych w sąsiednich ławach o tym, co zobaczyli. Pięć minut później w świątyni zjawił się smukły młody człowiek o uduchowionym wyglądzie. Udając, że odmawia modlitwę, wyszeptał, że właśnie rozmawiał z kimś, kto wychylał się z okna na pierwszym piętrze domu tuż obok siedziby pana Norrella i kto podobno słyszał, jak pan Strange ciska gromy na swego mistrza i prawi mu kazanie. Dwie minuty później kościół obiegnęła informacja, że obaj magowie grożą sobie magiczną ekskomuniką. Rozpoczęła się msza, a kilkoro wiernych zerkało tęsknie na okna, jakby dziwiąc się, czemu w budynkach kościelnych otwory te zawsze umieszcza się tak wysoko. Rozległa się antyfona do muzyki organowej, ale niektórzy twierdzili później, że

mimo to usłyszeli huk gromów - pewny znak magicznej ingerencji.

Wszystkie te domysły bardzo zaskoczyłyby obu magów. Stali bowiem w bibliotece pana Norrella, milcząc i patrząc na siebie podejrzliwie. Strange'a, który od kilku dni nie widział nauczyciela, zdumiała przemiana, jaka w nim zaszła. Na twarzy pana Norrella widać było zmęczenie, a ciało wydawało się skurczone, jakby starsze o dziesięć lat.

- Usiądziemy, drogi panie? - spytał Strange.

Zrobił krok w przód, a pan Norrell zmrużył oczy, zaskoczony tym nagłym ruchem. Zachowywał się tak, jakby oczekiwał ataku ze strony ucznia. Po chwili jednak odzyskał równowagę i usiadł. Strange także czuł się fatalnie. W ostatnich dniach wielokrotnie pytał sam siebie, czy miał prawo publikować recenzję, i wielokrotnie dochodził do wniosku, że tak. Uznał, że w takiej sytuacji najwłaściwszą postawą będzie pełna godności moralna wyższość, złagodzona przez nutę skruchy. Teraz jednak, gdy siedział w bibliotece pana Norrella, niełatwo mu było spojrzeć w oczy nauczycielowi. Jego wzrok padał na coraz to inną rzecz - porcelanową figurkę przedstawiającą doktora Martina Pale'a, gałkę u drzwi, własny kciuk i lewy but gospodarza.

Pan Norrell z kolei nie odrywał wzroku od twarzy Strange'a. Po chwili obaj przemówili jednocześnie:

- Po tym wszystkim, co pan dla mnie zrobił... - zaczął Strange.

- Sądzi pan, że jestem zły - wszedł mu pan Norrell w słowo.

Umilkli, a Strange skinął głową, dając panu Norrellowi do zrozumienia, żeby kontynuował.

- Sądzi pan, że jestem zły - powtórzył pan Norrell. - Ale nie jestem. Sądzi pan, że nie wiem, czemu pan to zrobił, ale wiem. Sądzi pan, że włożył w ten artykuł całe swoje serce i że teraz każdy w Anglii pana zrozumie. A cóż rozumieją? Nic. Ja rozumiałem pana, zanim napisał pan choćby słowo. - Umilkł, a jego twarz stężała, jakby chciał coś wyznać. - Napisał pan to dla mnie. Tylko dla mnie.

Strange otworzył usta, by zaprotestować. Po chwili zastanowienia doszedł jednak do wniosku, że to chyba prawda, milczał zatem.

- Naprawdę pan uważa, że nigdy nie czułem tej samej co pan... tęsknoty? - ciągnął pan Norrell. - Magia, którą stosujemy, jest magią Johna Uskglassa. Naturalnie że tak. A czymże by innym? Kiedyś, gdy byłem młody, zrobiłbym wszystko, zniósłbym wszystko, by go znaleźć i rzucić mu się do stóp. Usiłowałem go przywołać! Ha! Nieszczęsny młody głupiec - potraktować króla jak lokaja i żądać, by ze mną rozmawiał. Uważam za niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności, że nic mi z tego nie wyszło. Potem próbowałem odnaleźć go za pomocą

starych zaklęć wyboru. Nawet nie zadziałały. Za młodu zmitrężyłem swoją magię na te poszukiwania. Przez dziesięć lat nie mogłem myśleć o niczym innym.

- Nigdy mi pan tego nie mówił. Pan Norrell westchnął.

- Chciałem pana uchronić przed powtórzeniem mego błędu. - Bezradnie uniósł ręce.

- Sam pan jednak twierdzi, że to się działo dawno temu, gdy był pan młody i niedoświadczony. Teraz stał się pan całkiem innym magiem, a i ja pochlebiam sobie, że nie jestem już zwykłym asystentem. Może spróbujemy ponownie?

- Nie sposób znaleźć tak potężnego maga, jeśli on sam nie chce zostać znaleziony - powiedział pan Norrell bezbarwnym głosem. - Szkoda zachodu na próby. Myśli pan, że jego obchodzi, co się dzieje z Anglią? Otóż nie. Opuścił nas już dawno temu.

- Opuścił? - Strange zmarszczył brwi. - To mocne słowo. Podejrzewam, że lata rozczarowań skłaniają człowieka do takich konkluzji. Ale jest wiele relacji osób, które widziały Johna Uskglassa długo po tym, jak podobno opuścił Anglię. Dziecko rękawicznika z Newcastle<sup>[51]</sup>, farmer z hrabstwa York<sup>[52]</sup>, baskijski marynarz<sup>[53]</sup>...

Pan Norrell prychnął z irytacją.

- Przesady i pogłoski! Nawet gdyby te historie były prawdziwe - a bardzo w to wątpię - nie rozumiem, jak niby ci ludzie mieliby rozpoznać Johna Uskglassa. Nie istnieją żadne jego portrety. Dziecko rękawicznika i baskijski marynarz wcale nie zidentyfikowali go jako Uskglassa. Widzieli człowieka w czarnym stroju, a inni wmówili im później, że był to John Uskglass. Ale tak naprawdę, to, czy wrócił i czy ktoś go widział, ma niewielkie znaczenie. Faktem jest, że kiedy porzucił tron i opuścił Anglię, zabrał z sobą to, co w naszej magii było najlepsze. Od tamtego dnia zaczęła podupadać. Z pewnością już tylko to wystarczy, by uznać go za naszego wroga. Zna pan chyba *Kres magicznego lasu Watershippe'a*<sup>[54]</sup>?

- Nie, nie znam - odparł Strange. Rzucił panu Norrellowi wymowne spojrzenie, które miało świadczyć o tym, że nie przeczytał książki z wiadomych powodów. - Bardzo żałuję, że nie wspomniał pan o tym wszystkim wcześniej.

- Może niesłusznie tyle ukrywałem przed panem. - Pan Norrell splótł palce rąk. - Teraz jestem niemal pewien, że popełniłem błąd. Dawno temu uznałem jednak, że w interesie Wielkiej Brytanii należy całkowicie przemilczać te tematy, a stare nawyki trudno wykorzenić. Ale chyba widzi pan, jakie czeka nas zadanie? Pana i mnie? Magia nie może służyć królowi, którego nie obchodzi los kraju. Musimy wyrwać angielskich magów z zależności od niego. Powinni zapomnieć o Johnie Uskglassie, tak jak on zapomniał o nas.

- Nie - Strange zmarszczył brwi i pokręcił głową. - Mimo pańskich słów nadal wydaje mi się, że John Uskglass odpowiada za kształt angielskiej magii i że niebezpiecznie jest go

ignorować. Być może okaże się, że popełniam błąd. To bardzo prawdopodobne. W kwestii tak istotnej dla angielskiej magii muszę jednak wyrobić sobie własną opinię. Proszę nie brać mnie za niewdzięcznika, drogi panie, ale moim zdaniem nasza współpraca dobiega końca. Wydaje mi się, że zbyt różniemy.

- Och! - wykrzyknął pan Norrell. - Wiem, że w kwestii temperamentu... - Machnął ręką. - Ale jakie to ma znaczenie? Przede wszystkim jesteśmy magami. Tylko to nas interesuje. Jeśli dziś opuści pan ten dom i pójdzie własną drogą, z kim będzie pan rozmawiał tak, jak rozmawiamy teraz? Z nikim. Zostanie pan sam. - I niemal błagalnym tonem wyszeptał: - Proszę tego nie robić!

Strange patrzył z zakłopotaniem na nauczyciela. Nie tego się spodziewał. Zamiast wzbudzić w magu wściekłość, recenzja najwyraźniej sprowokowała pana Norrella do wybuchu szczerości i pokory. W tym momencie powrót pod kuratelę pana Norrella wydał się Strange'owi zarówno rozsądny, jak i pożądany. Tylko duma i świadomość, że zaledwie kilka godzin wcześniej czuł coś całkiem innego, kazały mu powiedzieć:

- Przykro mi, drogi panie, ale od powrotu z Półwyspu Iberyjskiego czułem, że nie powinienem nazywać się pańskim uczniem. Miałem wrażenie, że odgrywam narzuconą sobie rolę. Nie chcę poddawać swoich artykułów pańskiej ocenie, by dokonywał w nich pan dowolnych zmian. Nie chcę głosić tego, w co już nie wierzę.

- Trzeba z tym publicznie skończyć - westchnął pan Norrell. Wychylił się i powiedział głośniej: - Proszę dać mi się prowadzić. Proszę obiecać, że niczego pan nie opublikuje, nic nie będzie pan mówił ani czynił, nim nie wyrobi pan sobie zdecydowanej opinii na ten temat. Niech mi pan wierzy, kiedy upieram się, że warto milczeć dziesięć, dwadzieścia, nawet pięćdziesiąt lat, jeśli na koniec człowiek ma satysfakcję, że powiedział to, co powinien. Milczenie i brak działania są panu nie w smak, dobrze o tym wiem. Ale obiecuję, że naprawię, co w mojej mocy. Nic pan nie straci. Jeśli kiedykolwiek miał pan powody uważać mnie za człeka niewdzięcznego, przekona się pan, że w przyszłości tak nie będzie. Opowiem wszystkim, jak wysoko pana cenię. Nie będziemy już nauczycielem i uczniem. Zostaniemy partnerami! W końcu ja nauczyłem się równie dużo od pana, jak pan ode mnie. Pan się zajmie najbardziej dochodowymi sprawami! Księgi... - Przełknął ślinę. - Księgi, które powinienem panu pożyczyć, a które ukrywałem, będą do pańskiej dyspozycji. Jeszcze dzisiaj pojedziemy do hrabstwa York, jeśli pan sobie życzy! Wręcę panu klucz do biblioteki i przeczyta pan tam, co tylko zechce. Ja... - Pan Norrell otarł dłonią czoło, jakby zdumiony własnymi słowami. - Nawet nie poproszę o sprostowanie recenzji. Niech już tak zostanie. Niech już tak zostanie. Z czasem obaj, pan i ja, odpowiemy na wszystkie postawione przez pana pytania.

Zapadła długa cisza. Pan Norrell z niepokojem wpatrywał się w twarz drugiego maga. Propozycja udostępnienia biblioteki nie przeszła bez echa. Przez dłuższą chwilę Strange bez wątpienia się wahał.

- Jestem zaszczycony, drogi panie - odparł w końcu. - Wiem, że zazwyczaj nie uznaje pan kompromisów. Uważam jednak, że powinienem podążyć własną drogą. Musimy się rozstać.

Pan Norrell zamknął oczy. W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Lucas z drugim lokajem weszli z herbatą i podwieczorkiem.

- Chodźmy, drogi panie - westchnął Strange.

Dotknął ramienia nauczyciela, by pomóc mu się podnieść, a po chwili dwaj jedyni magowie Anglii po raz ostatni wypili wspólnie herbatę.

Strange wyszedł z domu na Hanover Square o wpół do dziewiątej. Widziało go kilka osób tkwiących w oknach na parterze. Inni, którzy nie mieli zamiaru zniżać się do podglądania, wysłali pokojówki i lokajów, by ci krążyli po placu. Nie wiadomo, czy Lascelles poszedł w ich ślady, jednak dziesięć minut po tym, jak Strange skręcił w Oxford Street, Lascelles zapukał do drzwi pana Norrella.

Pan Norrell wciąż siedział w fotelu w bibliotece i wpatrywał się w dywan.

- Poszedł? - zapytał Lascelles.

Pan Norrell nie odpowiedział. Lascelles usiadł.

- Jak przyjął nasze warunki? Nadal nie było odpowiedzi.

- Mistrzu? Powiedział mu pan, co postanowiliśmy? Powiedział pan, że jeśli nie zamieści sprostowania, będziemy zmuszeni ujawnić, co wiemy o czarnej magii w Hiszpanii? Ze pod żadnym pozorem nie przyjmie go pan na ucznia?

- Nie - odparł pan Norrell. - Nic takiego nie mówiłem.

- Ale...

- Nie ma znaczenia, co mu powiedziałem. - Pan Norrell westchnął głęboko. - Odszedł.

Lascelles przez chwilę milczał i z lekkim niesmakiem patrzył na maga. Pogrążony we własnych myślach pan Norrell w ogóle tego nie zauważył. W końcu Lascelles wzruszył ramionami.

- Miał pan rację od początku - mruknął. - W Anglii może być tylko jeden mag.

- Co pan ma na myśli?

- A to, że dwa to bardzo kłopotliwa liczba. Jeden może robić, co mu się żywnie podoba, sześciu się dogada. Dwóch zawsze będzie walczyło o palmę pierwszeństwa. Dwóch zawsze będzie miało na siebie baczenie. Świat będzie słuchał raz jednego, raz drugiego,

niepewny, który ma rację. Wzdycha pan. Wie pan, że się nie mylę. Będziemy musieli uwzględnić Strange'a we wszystkich naszych planach - liczyć się z tym, co powie, co zrobi, obmyślać, jak mu się przeciwstawić. Często mi pan powtarzał, że to wybitny mag. Jego błyskotliwość była przydatna, gdy panu służyła. Teraz to już przeszłość. Prędzej czy później Strange wykorzysta swe talenty przeciwko panu. Od tej chwili musimy się zbroić przeciwko niemu. Mówię dosłownie. Magiczny geniusz Strange'a jest wielki, ale środki materialne niewystarczające - w pewnym momencie zacznie wierzyć, że magowi wolno wszystko: włamywać się do czyjegoś domu, kraść bądź oszukiwać. - Lascelles wychylił się ku magowi. - Nie twierdzą, że jest tak zdeprawowany, by już odebrał panu własność, lecz jeśli nadejdzie dzień, w którym znajdzie się w potrzebie, wtedy jego niezdyscyplinowany umysł uzna, że naruszenie zaufania bywa usprawiedliwione. - Umilkł. - Zabezpieczył pan Hurtfew przed złodziejami? Zaklęcia maskujące?

- Zaklęcia maskujące nie zadziałają na Strange'a - warknął pan Norrell gniewnie. - Tylko przyciągną jego uwagę! Zaprowadzą go wprost do mych najcenniejszych ksiąg! Nie, nie, ma pan rację. - Westchnął. - Należy coś zrobić, muszę pomyśleć.

Dwie godziny po wyjściu Strange'a panowie Norrell i Lascelles opuścili Hanover Square w karecie pana Norrella. Towarzyszyło im trzech służących. Wszystko wskazywało na to, że udają się w długą podróż.

Następnego dnia Strange, kapryśny i niekonsekwentny jak zwykle, zaczął żałować rozstania z nauczycielem. W jego głowie wciąż rozbrzmiewały słowa pana Norrella dotyczące braku partnera do konwersacji. Przypomniawszy sobie wczorajszą rozmowę. Był niemal pewien, że Norrell wyciągnął same niewłaściwe wnioski dotyczące Johna Uskglassa. Strange'owi przyszło do głowy mnóstwo nowych myśli na ten temat, a teraz cierpiał, gdyż nie miał z kim podzielić się nimi. Z braku bardziej odpowiedniego słuchacza poszedł na Harley Street, ponarzekać w obecności sir Waltera Pole'a.

- Od wczoraj przyszło mi do głowy z pięćdziesiąt rzeczy, które powinienem był mu powiedzieć. Teraz pewnie będę musiał zamieścić je w artykule albo recenzji. Najwcześniej opublikują ją w kwietniu, potem Norrell nakaze Lascellesowi albo Portisheadowi wydrukować polemikę, która ukaże się w czerwcu albo w lipcu. Pięć lub sześć miesięcy, nim się dowiem, co on na to! Bardzo kłopotliwy sposób toczenia sporu, wzięwszy pod uwagę, że jeszcze wczoraj mogłem po prostu pójść na Hanover Square i spytać go, co o tym myśli. No i z pewnością teraz nawet z daleka nie ujrzę ważnych ksiąg. A jak mag może egzystować bez ksiąg? Niech mi to ktoś wytłumaczy. To przypomina proszenie polityka, by doszedł do zaszczytów bez łapówek i protekcji.

Zamiast się obrazić za tę nieuprzejmą uwagę, sir Walter wspaniałomyślnie wziął poprawkę na irytację Strange'a. W dzieciństwie w szkole w Harrow zmuszano go do uczenia się historii magii (czego nie cierpiał) i teraz wysilał umysł, by sprawdzić, czy pamięta coś użytecznego. Odkrył, że niewiele - pomyślał z ironią, że cała ta wiedza wypełniłaby pół bardzo małego kieliszka do wina.

Zastanawiał się jeszcze chwilę, po czym powiedział:

- Król Kruków nauczył się wszystkiego o angielskiej magii bez pomocy ksiąg, gdyż wtedy nie było ich w Anglii. Może pójdziesz w jego ślady?

Strange rzucił mu lodowate spojrzenie.

- Król Kruków był ulubionym wychowankiem króla Oberona, który, poza innymi drobiazgami, zapewnił mu doskonale magiczne wychowanie i podarował wielkie królestwo. Pewnie mógłbym zacząć snuć się po ustronnych zagajnikach i omszałych polanach, w nadziei, że adoptuje mnie jakiś elf królewskiego rodu, ale podejrzewam, że mogę się okazać nieco zbyt wysoki jak na ich gust. Sir Walter parsknął śmiechem.

- I co teraz zrobisz bez pana Norrella, który zajmował cię po całych dniach? Mam nakazać Robsonowi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby zamówił u ciebie jakieś zaklęcie? W zeszłym tygodniu narzekał, że musi czekać, aż Norrell upora się ze zleceniami z admiralicji i Ministerstwa Skarbu.

- Naturalnie. Ale dopiero za dwa lub trzy miesiące. Jedziemy do domu, do Shropshire. Arabella i ja mamy ochotę odwiedzić nasze hrabstwo, a teraz, gdy nie musimy uzgadniać tego z panem Norrellem, nic nas już tu nie trzyma.

- Och! Chyba nie wyjeżdżacie natychmiast?

- Za dwa dni.

- Tak szybko?

- Czemu zbladłeś? Doprawdy, Pole, nie miałem pojęcia, że tak sobie cenisz moje towarzystwo!

- Wcale nie. Myślałem o lady Pole. To dla niej przykra wiadomość. Będzie tęskniła za przyjaciółką.

- No tak, tak - powiedział Strange, nieco zakłopotany. - Naturalnie.

Późnym rankiem Arabella złożyła pożegnalną wizytę lady Pole. Siedem lat cierpienia nie odebrało piękności lady Pole, nie zmieniło też jej smutnego położenia. Jak zwykle była milcząca i obojętna na ból i przyjemności.

Nie poruszał jej ani chłód, ani uprzejmość. Spędzała dni przy oknie w weneckim salonie w domu na Harley Street. Nigdy nie zainteresowało jej żadne zajęcie, a odwiedzała ją

jedynie Arabella.

- Szkoda, że pani wyjeżdża - westchnęła lady Pole, gdy Arabella przekazała jej nowiny. - Jak prezentuje się Shropshire?

- Cóż, nie będę obiektywna, ale moim zdaniem większość ludzi uważa Shropshire za piękne miejsce, pełne zielonych wzgórz, lasów i uroczych wiejskich ścieżek. Rzecz jasna, żeby to w pełni ocenić, należałoby poczekać do wiosny, ale nawet zimą widoki są niezwykle. To bardzo romantyczne hrabstwo o szlachetnej historii. Na wzgórzach stoją ruiny zamczysk, zbudowanych przez Bóg wie kogo. Wszędzie leżą głazy... Często walczone o Shropshire - to przez bliskość Walii. Niemal każda dolina była niegdyś polem bitwy.

- Polem bitwy! - powtórzyła lady Pole. - Aż nazbyt dobrze wiem, jak to wygląda. Człowiek patrzy przez okno i co widzi? Wszędzie zgruchotane kości i przeżarte rdzą zbroje. Bardzo melancholijny widok! Mam nadzieję, że zbytnio pani nie przygnębi.

- Kości i zbroje? Ależ nie. Pani mnie nie zrozumiała. Bitwy stoczono wiele lat temu. Tam nic już nie ma - przynajmniej nic, co mogłoby mnie przygnębić.

- A jednak - ciągnęła lady Pole, niemal nie zwracając na nią uwagi - walki toczy się nieustannie, w takim czy innym miejscu. Dowiedziałam się w dzieciństwie od guwernera, że niegdyś w Londynie stoczono bardzo krwawą bitwę. Ludzie umierali w męczarniach, a miasto puszczono z dymem. Zawsze i wszędzie towarzyszą nam cienie minionych nieszczęść. Moim zdaniem nie ma większego znaczenia, czy pozostały po nich jakieś materialne ślady.

Coś w pokoju się zmieniło, zupełnie jakby zimne, szare, łopoczące skrzydła przeleciały nad ich głowami lub jakby ktoś przeszedł przez zwierciadła, rzucając wokół cień. Była to dziwna gra światła, którą Arabella często widywała w obecności lady Pole. Nie mając pojęcia, czemu to przypisać, doszła do wniosku, że dzieje się tak z powodu obecności wielu luster w pokoju.

Lady Pole zadrżała i ciaśniej otuliła się szalem. Arabella wzięła ją za rękę.

- Proszę się skupić na radośniejszych sprawach - szepnęła.

Lady Pole spojrzała na nią obojętnie. O wesołości miała takie samo pojęcie jak o lataniu.

Wobec tego Arabella wzięła na siebie ciężar konwersacji, w nadziei, że lady Pole przestanie myśleć o okropieństwach. Mówiła o nowych sklepach i ostatniej modzie. Opisała prześliczny jedwab w kolorze kości słoniowej, widziany w witrynie sklepu na Friday Street, i ozdóbki do turkusowych czepków, które pięknie pasowałyby do owego jedwabiu barwy kości słoniowej. Potem powtórzyła, co jej krawcowa sądzi o czepkach, następnie zaś opisała niezwykle roślinę krawcowej na balkoniku za oknem. Roślina przez rok tak wyrosła, że



całkiem zasłoniła okno piętro wyżej, w mieszkaniu wytwórcy świec. Potem przyszedł czas na opowieści o niezwykle wysokich roślinach, o Jasiu i łodydze fasoli, o olbrzymach na szczycie łądygi, o olbrzymach i olbrzymich okrutnikach, o Napoleonie Bonapartem i księciu Wellingtonie, o zasługach księcia w każdej sferze życia poza jedną i o wielkiej zgryzocie księżnej.

- Na szczęście ani pani, ani ja nigdy się nie dowiemy, co czuje żona, gdy jej mąż ogląda się za innymi kobietami - skończyła, lekko zadyszana.

- Pewnie nie - odparła lady Pole z lekkim powątpiewaniem.

To zirytowało Arabellę. Usiłowała brać poprawkę na dziwactwa lady Pole, ale trudno jej było wybaczyć damie zimny stosunek do męża. Arabella nie mogłaby tak często składać wizyt w domu na Harley Street, gdyby nie wiedziała, jak oddany małżonkowi jest sir Walter. Robił wszystko, by sprawić przyjemność lady Pole lub ulżyć jej w cierpieniu. Arabella ze ściśniętym sercem obserwowała, jak mizerną nagrodę otrzymywał za swe wysiłki. Lady Pole nie okazywała mu niechęci, po prostu najwyraźniej ledwie zdawała sobie sprawę z jego obecności.

- Och! Nie ma pani pojęcia, jakie to błogosławieństwo - oznajmiła Arabella. - Jedno z największych w życiu.

- Ale co takiego?

- Mężowska miłość.

Lady Pole wydawała się zdumiona.

- Tak, on mnie kocha - westchnęła w końcu. - Przynajmniej tak mówi. Ale co z tego wynika? Ta miłość nigdy mnie nie rozgrzała, gdy marzłam - a zawsze marznę, jak pani wie. Nigdy nie skróciła choćby o minutę tych długich, okropnych balów ani nie zatrzymała orszaku idącego długimi, ciemnymi, przerażającymi korytarzami. Nigdy nie uchroniła mnie przed żadną zgryzotą. Czy miłość pani męża ustrzegła panią przed czymkolwiek?

- Miłość pana Strange'a? - Arabella uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Nie, nigdy. To raczej ja go wciąż chronię! To znaczy - dodała szybko, gdyż było jasne, że lady Pole jej nie rozumie - często spotyka ludzi, którzy żądają od niego czarów albo chcą, żeby uczył magii wnuka ich brata, albo wierzą, że znaleźli magiczny but, widelec czy inną bzdurę. Nie mają złych zamiarów, odnoszą się do niego z wielkim szacunkiem. Jonathan nie należy jednak do przesadnie cierpliwych osób, więc muszę go ratować z opresji, nim powie coś niestosownego.

Nadeszła pora, by Arabella zaczęła zbierać się do wyjścia. Ponieważ przez kilka najbliższych miesięcy nie miały się spotkać, chciała powiedzieć na odchodnym coś radosnego.

- Mam nadzieję, moja droga, że kiedy wrócę, będzie pani czuła się o wiele lepiej i być może znów dołączy do towarzystwa. Marzę, byśmy pewnego dnia spotkały się w teatrze lub na balu...

- Na balu! - powtórzyła lady Pole z przerażeniem. - Dlaczego pani to powiedziała? Obyśmy nigdy nie spotkały się na balu!

- Ciii! Ciii! Nie chciałam pani przygnębić. Zapomniałam, jak nienawidzi pani tańca. Proszę nie płakać! Proszę o tym nie myśleć, skoro to panią unieszczęśliwia!

Robiła, co mogła, by pocieszyć przyjaciółkę. Objęła ją, pocałowała w policzek, w głowę, pogłaskała po dłoni, przyniosła wodę lawendową. Nic nie pomogło. Przez kilka minut lady Pole rozpaczliwie szlochała. Arabella nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Ale co tu było do rozumienia? Przecież choroba lady Pole polegała właśnie na tym, że przerażały ją błahostki, unieszczęśliwiały drobiazgi. Arabella zadzwoniła po pokojówkę. Dopiero po jej przyjściu lady Pole wzięła się w garść.

- Nie rozumie pani, co powiedziała! - krzyknęła. - Oby pani nigdy tego nie pojęła. Postaram się raz jeszcze panią przestrzec. Wprawdzie to daremny trud, jednak spróbuję. Proszę posłuchać, droga, droga pani. Proszę słuchać, jakby od tego zależało pani zbawienie!

Arabella starała się przywołać wyraz wielkiego skupienia na twarzy. Na próżno jednak. Znów było tak jak przy każdej innej okazji, gdy gospodyni twierdziła, że ma dla Arabelli informację wielkiej wagi. Lady Pole jeszcze bardziej pobladła, wzięła kilka głębokich oddechów, a potem opowiedziała niesłychanie dziwną historię o właścicielu kopalni rudy ołowiu w hrabstwie Derby, który zakochał się w dójce. Była ona ucieleśnieniem jego marzeń, tyle że jej odbicie w lustrze pojawiała się o kilka minut za późno, jej oczy o zachodzie słońca zmieniały barwę, a jej cień często puszczał się w dzikie tany, gdy ona stała nieruchomo.

W końcu lady Pole poszła na górę, Arabella zaś została w salonie. „Ależ jestem niemądra - westchnęła w duchu. - Doskonale wiem, że każda wzmianka o tańcu wytrącają z równowagi! Jak mogłam być tak nieostrożna! Co też pragnęła mi powiedzieć? Czy ona sama to wie? Biedactwo. Na cóż bogactwa i uroda, gdy brak zdrowia i rozumu?”

I tak sobie rozmyślała, kiedy nagle lekki hałas sprawił, że odwróciła głowę. Natychmiast wstała z fotela i z wyciągniętymi rękoma podeszła ku drzwiom.

- Och, to pan! Jakże miło pana widzieć! Uściśnijmy dłonie! Nieprędko się zobaczymy.

Tego wieczoru powiedziała do Strange'a:

- Przynajmniej jedna osoba jest zachwycona, że zainteresował cię John Uskglass i

elfy.

- Tak? A któż to taki?

- Dżentelmen o włosach jak puch ostu.

- Kto?

- Dżentelmen, który mieszka wraz z sir Walterem i lady Pole. Już ci o nim wspominałam.

- A tak, pamiętam. - Zapadła cisza. - Arabello! - wykrzyknął nagle Strange. - Chcesz mi powiedzieć, że jeszcze nie poznałeś jego imienia? - Wybuchnął śmiechem.

Arabella wyglądała na zirytowaną.

- To nie moja wina - odparła. - Nigdy się nie przedstawił, a ja wciąż zapominam go o to poprosić. Cieszy mnie, że tak lekko to traktujesz. Kiedyś myślałam, że jesteś zazdrosny.

- Nie przypominam sobie.

- Dziwne! Ja dobrze to pamiętam.

- Wybacz, Arabello, ale trudno być zazdrosnym o człowieka, którego poznałeś wiele lat temu i którego imię wciąż pozostaje dla ciebie tajemnicą. A więc pochwała on moje zajęcie, tak?

- Tak, często mi powtarzał, że nigdzie nie zajdziesz, jeśli będziesz zaniedbywał elfy. Mówi, że prawdziwa magia to właśnie studia nad elfami i elfią magią.

- Czyżby? Zdaje się, że ma zdecydowane poglądy na tę sprawę. A cóż on o tym może wiedzieć? Jest magiem?

- Wątpię. Oświadczył kiedyś, że nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki na ten temat.

- Ach, więc to jeden z tych, co? - prychnął Strange z pogardą. - Nigdy nie studiował magii, za to ma tysiąc teorii na ten temat. W kółko stykam się z takimi. No ale skoro nie jest magiem, to kim? Może powiesz mi chociaż tyle?

- Spróbuję - odparła Arabella zadowolonym tonem kogoś, kto przed chwilą dokonał wielkiego odkrycia.

Strange czekał w milczeniu.

- Nie. - Arabella nagle zmieniła zdanie. - Nie powiem ci. Tylko się będziesz śmiał.

- Pewnie tak.

- No cóż - odezwała się po chwili. - Moim zdaniem to książę. Albo król. Z pewnością w jego żyłach płynie królewska krew.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo wciąż mi opowiada o swych królestwach, zamkach i posiadłościach, chociaż

przyznaję, że wszystkie mają bardzo dziwne nazwy i nigdy wcześniej o nich nie słyszałam. Pewnie musi być jednym z tych książąt, których Bonaparte wygnał z Niemiec i Szwajcarii.

- Czyżby? - mruknął Strange nie bez irytacji. - Bonaparte został pokonany, więc niechże książę wraca do domu.

Żadne z tych półprawd i domysłów dotyczących dżentelmena o włosach jak puch ostu nie zadowolily Strange'a. Wciąż myślał o przyjacielu Arabelli. Następnego dnia (ostatniego dnia pobytu Strange'ów w Londynie) przyszedł do gabinetu sir Waltera w Whitehall z mocnym postanowieniem poznania tożsamości dziwnego osobnika. Ale kiedy się tam pojawił, zastał jedynie pogrążonego w pracy prywatnego sekretarza sir Waltera.

- Och! Moorcock! Dzień dobry! Sir Walter wyszedł?

- Udał się do Fife House<sup>[55]</sup>, szanowny panie. Mogę w czymś pomóc?

- Nie, ja... A może jednak. Ciągle chcę o coś zapytać sir Waltera i ciągle zapominam.

Pewnie nie zna pan dżentelmena, który mieszka w jego domu?

- W czyim domu?

- Sir Waltera.

Pan Moorcock zmarszczył brwi.

- Dżentelmen w domu sir Waltera? Nie wiem, kogo może mieć pan na myśli. Jak on się nazywa?

- Właśnie to chciałbym wiedzieć. Nigdy nie widziałem tego jegomościa, ale pani Strange spotyka go chyba za każdym razem, gdy wystawi nogę za próg naszego domu. Widuje go od lat, ale nie poznała jego imienia. Ten pan musi być strasznym ekscentrykiem, skoro robi z tego tajemnicę. Pani Strange nazywa go dżentelmenem o srebrnym nosie lub dżentelmenem z cerą jak płatek śniegu. Albo równie dziwnie.

Pan Moorcock wydawał się jeszcze bardziej zdumiony.

- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale chyba nigdy go nie widziałem - powiedział.

## Rozdział osiemnasty

*„Proszę mi wierzyć. Takie miejsce nie istnieje!” czerwiec 1815 roku*

Napoleona zesłano na wyspę Elbę. Jego cesarska mość miał jednak wątpliwości, czy odpowiada mu cichy żywot na wyspie - ostatecznie był przyzwyczajony do rządzenia sporą

częścią świata. Nim opuścił Francję, oznajmił paru osobom, że powróci, kiedy ponownie zakwitną fiołki. Dotrzymał słowa.

Tuż po przybyciu na francuską ziemię zebrał armię i pomaszerował na północ, do Paryża, ku swojemu przeznaczeniu czyli wojnie ze wszystkimi narodami świata. Rzecz jasna, gorąco pragnął ponownie zasiąść na cesarskim tronie, lecz nikt nie wiedział jeszcze, którymi ziemiami chce rządzić. Zawsze stawiał sobie Aleksandra Wielkiego za wzór, więc sądzono, że podąży na wschód. Niegdyś najechał Egipt i odniósł tam sukces. Mógł również skierować się na zachód: pojawiły się pogłoski o flotylli okrętów nieopodal Cherbourga, gotowej płynąć do Ameryki na podbój nowego świata.

Cokolwiek jednak by wybrał, wszyscy się zgadzali, że z całą pewnością zacznie od inwazji na Belgię. Wobec tego książę Wellington ruszył do Brukseli, by tam czekać na przybycie Wielkiego Nieprzyjaciela Europy.

W angielskiej prasie zaroilo się od pogłosek: Bonaparte zbiera armię; błyskawicznie podąży do Belgii; jest na miejscu; zwycięża! Następnego dnia okazywało się, że wciąż tkwi w paryskim pałacu, nie ruszywszy się stamtąd ani na krok.

Pod koniec maja Jonathan Strange ruszył z Wellingtonem i armią do Brukseli. Poprzednie trzy miesiące spędził w zaciszu Shropshire na rozmyślaniach o magii, trudno się zatem dziwić, że początkowo był nieco zagubiony. Po godzinie lub dwóch spaceru doszedł jednak do wniosku, że wina nie leżała po jego stronie. Rzecz miała związek z Brukselą. Wiedział, jak wygląda miasto w czasie wojny, a tym razem wszystko prezentowało się zgoła odmiennie od jego oczekiwań. Na ulicach spodziewał się maszerujących kompanii wojsk, wozów z aprowizacją, zaniepokojonych twarzy. Tymczasem mijał modnie urządzone sklepy i damy zażywające przejażdżki w eleganckich powozach. Prawda, wszędzie kręciły się gromadki oficerów, lecz żaden z nich nie wyglądał na zaabsorbowanego żołnierskimi sprawami (jednego na przykład pochłonęła naprawa parasolki zabawki dla jakiejś dziewczynki). Wokół rozlegały się radosne śmiechy osób najwyraźniej pogodzonych z nieuchronnym najazdem Napoleona.

Ktoś zawołał Strange'a po nazwisku. Mag się odwrócił i ujrzał pułkownika Manninghama, swojego znajomego, który z miejsca zaprosił go do domu lady Charlotte Greville (była to angielska dama mieszkająca w Brukseli). Strange zaprotestował ze względu na brak oficjalnego zaproszenia, poza tym uznał, że powinien ruszyć na poszukiwania księcia. Manningham obwieścił jednak, że nie ma problemu, Strange z pewnością będzie mile widziany u lady Greville, książę zaś może równie dobrze być w jej bawialni, jak w każdym innym miejscu.

Dziesięć minut później Strange znalazł się w luksusowym apartamencie pełnym ludzi. Część z nich znał. Byli tu oficerowie, piękne damy, modni dżentelmeni, brytyjscy politycy oraz przedstawiciele, jak się zdawało, wszystkich kręgów brytyjskiej arystokracji. Głośno rozprawiali o wojnie i opowiadali sobie o niej dowcipy. Było to całkiem nowe doświadczenie dla Strange'a: wojna jako modna rozrywka. W Hiszpanii i Portugalii żołnierze zwyczajowo postrzegali siebie w kategoriach wzgardzonych i zapomnianych męczenników. Brytyjskie gazety zaś zawsze usiłowały odmalować sytuację w najbardziej ponurych barwach. Tutaj, w Brukseli, służba oficera pod rozkazami księcia była najszlachetniejszym zajęciem pod słońcem, a drugą w hierarchii szlachetności służbę pełnił książęcy mag.

- Czy Wellington naprawdę nie ma nic przeciwko temu, by ci wszyscy ludzie tu tkwili? - szepnął zdumiony Strange do Manninghama. - A jeśli Francuzi zaatakują? Żałuję, że przyjechałem. Jestem pewien, że lada moment ktoś zagadnie mnie o spór z Norrellem, a ja naprawdę nie mam ochoty mówić o tej sprawie.

- Nonsens! - odszepnął Manningham. - Tutaj nikt się tym nie przejmuje! Zresztą księżę właśnie nadchodzi.

Pojawieniu się księcia towarzyszyło niewielkie zamieszanie.

- Ach, Merlin! - wykrzyknął Wellington, gdy jego wzrok spoczął na Strange'u. - Cieszę się, że pana widzę! Proszę pozwolić uścisnąć sobie prawicę. Z pewnością zna pan księcia Richmondu. Nie? Wobec tego was zapoznam.

Do tego momentu na przyjęciu panowała ożywiona atmosfera, lecz po przybyciu księcia zebrani rozruszali się jeszcze bardziej. Wszyscy obserwowali, z kim rozmawia i (co jeszcze ciekawsze) z kim flirtuje. Zgromadzeni najwyraźniej doszli do wniosku, że Wellington przybył do Brukseli wyłącznie po to, by się zabawić. Za każdym razem, kiedy Strange usiłował odejść, księżę mroził go spojrzeniem, jakby mówił: „Nie, naprawdę musi pan zostać! Chcę, by pan przy mnie był!”. W końcu, nie przestając się uśmiechać, pochylił głowę i mruknął prosto do ucha maga:

- Już, to powinno wystarczyć. Chodźmy! W drugim końcu pokoju jest oranżeria. Tam się skryjemy przed tłumem.

Zajęli miejsca wśród palm i innych egzotycznych roślin.

- Słowo ostrzeżenia - podjął księżę. - Nie jesteśmy w Hiszpanii, gdzie każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko uważało Francuzów za zniechęconych wrogów. Tutaj sprawy mają się inaczej. Przyjaciele Bonapartego krążą po wszystkich ulicach i bez trudu można ich napotkać w armii. W mieście roi się od szpiegów. W takiej sytuacji naszym obowiązkiem - pańskim i moim - jest zachowywać się tak, jakby nic na świecie nie było

równie pewne jak jego porażka. Uszy do góry, Merlinie! Proszę się napić herbaty, ukoj pańskie nerwy.

Strange usiłował uśmiechnąć się beztrąsko, lecz na jego twarzy pojawił się niespokojny grymas. By odwrócić uwagę księcia, mag spytał, jak głównodowodzący znajduje armię.

- Och! - westchnął Wellington. - Najłagodniej mówiąc, wojsko jest kiepskie. Nigdy nie dowodziłem taką zbieraniną. Brytyjczycy, Belgowie, Holendrzy i Niemcy, wszyscy wymieszani - całkiem, jakbym miał wznieść mur z kilku rodzajów budulca. Każdy materiał jest doskonały na swój sposób, ale czy taka konstrukcja ma szansę się utrzymać? Pruska armia zobowiązała się walczyć po naszej stronie. Blucher to wspaniały staruszek, uwielbia walkę. - Chodziło o pruskiego generała. - Niestety, poza tym jest także szalony. Żyje w przekonaniu, że zaszedł w ciążę.

- Ach!

- I spodziewa się słoniowego oseska.

- Ach!

- Musimy natychmiast znaleźć panu zajęcie! Ma pan swoje księgi? Srebrne naczynie? Kąt do pracy? Jestem przekonany, że Bonaparte przybędzie z zachodu, od strony Lilie. Z całą pewnością sam wybrałbym tę trasę. Od tamtejszych przyjaciół otrzymałem listy, w których zapewniano mnie, iż spodziewają się go w Lilie lada moment. Oto pańskie zadanie: proszę się rozejrzeć po zachodniej granicy w poszukiwaniu śladów francuskich wojsk. Jeśli ujrzy pan coś niepokojącego, niech pan natychmiast da mi znać.

Przez następne dwa tygodnie Strange przywoływał wizje miejsc, w których zdaniem księcia mogłaby się pojawić francuska armia. Dowódca ofiarował magowi pomoc w postaci wielkiej mapy oraz w osobie młodego oficera, Williama HadleyaBrighta.

HadleyBright należał do tych szczęśliwców, których fortuna obsypała darami. Wszystko przychodziło mu bez trudu. Był uwielbianym jedynakiem, synem bogatej wdowy. Pragnął robić karierę w wojsku - przyjaciele zapewnili mu przydział do modnego pułku. Brakowało mu przygód i mocnych wrażeń - książę Wellington wybrał go do grona swych adiutantów. Potem, kiedy młodzieniec uznał, że jedyną rzeczą bardziej zajmującą od wojaczki jest angielska magia, książę przydzielił go do pomocy niezwykle i tajemniczemu Jonathanowi Strange'owi. Tylko osoby o nadzwyczaj zgorzkniałym usposobieniu mogły nie lubić HadleyaBrighta i nie cieszyć się jego sukcesami. Innych rozbrajała jego radość i pogoda ducha.

Dzień po dniu Strange i HadleyBright obserwowali stare fortyfikacje miejskie na

zachodzie Belgii, oglądali szare wiejskie dróżki, patrzyli na rozległe puste pola, rozpościerające się pod jeszcze bardziej rozległymi chmurami. Francuzi jednak nie nadchodzili.

Pewnego gorącego, parnego dnia w połowie czerwca obaj siedzieli skoncentrowani na tym, co zwykle. Było około trzeciej po południu. Służący zapomniał wynieść brudne filiżanki po kawie i teraz brzęczała nad nimi mucha. Przez otwarte okno wpadała zmieszana woń końskiego potu, brzoskwiń i kwaśnego mleka. HadleyBright, zasiadający na jadalnianym krześle, demonstrował perfekcyjnie opanowaną umiejętność, jedną z najważniejszych dla żołnierza: zdolność zasypiania o każdej porze, bez względu na okoliczności.

Strange zerknął na mapę i losowo wybrał miejsce. W wodzie wypełniającej srebrne naczynie pojawiło się rozdroże, w pobliżu stała farma z dwoma lub trzema budynkami. Mag przypatrywał się przez chwilę obrazowi, lecz nie dostrzegł nic niepokojącego, więc przymknął oczy i już miał zasnąć, gdy nagle ujrzał grupę żołnierzy ustawiających pod wiązami dział w pozycji bojowej. Wyglądali na zaabsorbowanych pracą. Strange trącił nogą HadleyaBrighta, by go zbudzić.

- Kim są ci ludzie? - spytał.

Asystent zamrugnął oczami nad srebrną misą.

Żołnierze na rozstajach dróg nosili zielone płaszcze z czerwonymi dystynkcjami. W wizji pojawiała się coraz więcej oddziałów.

- Nassauczycy - wyjaśnił HadleyBright, mając na myśli podległe Wellingtonowi oddziały niemieckie. - Chłopcy księcia orańskiego. Nie ma się czym przejmować. Cóż to za okolica?

- Skrzyżowanie odległe o trzydzieści sześć kilometrów na południe od miasta. Miejsce zwane Quatre Bras.

- Och, szkoda na to czasu - ziewnął HadleyBright. - To po drodze do Charleroi. Jeśli się nie mylę, na drugim końcu stacjonuje pruska armia. Ciekawe, czy ci żołnierze powinni tam przebywać? - Zaczął wertować dokumenty opisujące rozmieszczenie rozmaitych wojsk sprzymierzonych. - Nie, naprawdę nie sędzę...

- A cóż to takiego? - przerwał Strange, wskazując na żołnierza w niebieskim płaszczu, który nagle pojawił się po drugiej stronie wzgórza z muszkietem gotowym do strzału.

Zapadła cisza.

- Francuz - mruknął HadleyBright.

- Czy on ma prawo tam być? - spytał mag.

Do pierwszego Francuza dołączył drugi. Potem zjawiono się jeszcze pięćdziesięciu. Z



pięćdziesiątki zrobiły się dwie setki, trzy setki, tysiąc! Na wzgórzu zaroilo się od Francuzów jak na starym serze od larw. W następnej chwili wszyscy przystąpili do ostrzeliwania nassauczyków stojących na skrzyżowaniu dróg. Potyczka nie trwała długo. Nassauczycy wystrzelili z armat, a Francuzi, najwyraźniej nie dysponujący własną bronią ciężką, wycofali się za wzgórze.

- Ha! - wykrzyknął zachwycony Strange. - Pokonani! Uciekli!

- Tak, ale właściwie skąd oni się tam wzięli? - zamyślił się HadleyBright. - Czy może pan zajrzeć za wzgórze?

Strange dotknął powierzchni wody i obrócił dłoń nad misą. Rozstaje dróg znikły, a w ich miejsce pojawił się doskonały widok na francuską armię - jeśli nie na całą, to przynajmniej na jej zasadniczą część.

HadleyBright wyglądał jak marionetka z odciętymi sznurkami. Strange zaklął po hiszpańsku (w języku, który w naturalny sposób kojarzył z wojną). Armie sprzymierzone znajdowały się w całkowicie nieodpowiednim miejscu. Oddziały Wellingtona zgromadzono na zachodzie, by broniły do ostatniej kropli krwi wszystkich miejsc, których Napoleon wcale nie zamierzał atakować. Generał Blucher oraz pruska armia stacjonowali za daleko na wschodzie, by stawić czoło wojskom francuskim, nieoczekiwanie przybywającym z południa. Biorąc pod uwagę rozmieszczenie sił sprzymierzonych, nassauczycy (w liczbie trzech do czterech tysięcy) stanowili jedyną przeszkodę na drodze Francuzów zdążających do Brukseli.

- Proszę pana! Niechże pan natychmiast coś zrobi, błagam! - krzyknął HadleyBright.

Strange odetchnął głęboko i szeroko rozłożył ramiona, jakby gromadził całą znaną sobie magię.

- Szybciej, proszę pana, szybciej!

- Mogę przenieść miasto - zamyślił się Strange. - Jestem w stanie przenieść Brukselę. Potrafię ją ukryć w miejscu, którego Francuzi nie znajdą.

- Przenieść Brukselę? - gorączkował się HadleyBright, chwytając ręce Strange'a i opuszczając je siłą. - Dokąd? Jesteśmy otoczeni przez wojsko. Własne wojsko! Jeśli przeniesie pan Brukselę, znajdzie niebezpieczeństwo zmiążdżenia części naszych pułków, zgniecenia ich budynkami i kamieniami brukowymi. Książę nie będzie zadowolony. Potrzebuje każdego żołnierza.

Strange pomyślał jeszcze chwilę.

- Mam! - wykrzyknął nagle.

Powiał lekki wiatr. Nie był nieprzyjemny, przeciwnie, niósł z sobą odświeżającą woń oceanu. HadleyBright wyjrzał przez okno. Za domami, kościołami, pałacami i parkami

ciągnęły się pasma grzbietów górskich, których jeszcze przed chwilą tam nie było. Wszystkie miały barwę czarną, jakby skrywały się pod sosnami. Powietrze stało się wyraźnie świeższe.

- Gdzie jesteśmy? - spytał HadleyBright.

- W Ameryce - oznajmił Strange. - Na mapach zawsze wydawała mi się taka pusta... - dodał tytułem wyjaśnienia.

- Dobry Boże! Ależ nasza sytuacja wcale się nie poprawiła! Czyżby zapomniał pan, że całkiem niedawno podpisaliśmy układ pokojowy z Ameryką? Nic nie zdenerwuje Amerykanów bardziej niż pojawienie się na ich ziemi europejskiego miasta!

- Och, możliwe! Niemniej nie ma powodów do zmartwień, zapewniam pana. Jesteśmy daleko od Waszyngtonu, Nowego Orleanu czy też innego miejsca, w którym toczyły się bitwy. Dzieli nas od tamtych okolic setki kilometrów. Co najmniej... Właściwie nie jestem dokładnie pewien, jaki to dystans. Czy to ma znaczenie<sup>[56]</sup>?

HadleyBright wybiegł na dwór, by odszukać księcia i poinformować go, że Francuzi stacjonują w Belgii, a on, Wellington, bynajmniej.

Jaśnie oświecony książę (który akurat jadł podwieczorek w towarzystwie kilku brytyjskich polityków oraz belgijskich hrabin) wysłuchał wieści z typowym dla siebie niezmaconym spokojem. Pół godziny później pojawił się jednak w hotelu goszczącym Strange'a. Wraz z nim przybył szef służby kwatermistrzowskiej pułkownik De Lancey. Dowódca z ponurą miną zajął do srebrnej misy.

- Na Boga, Napoleon mnie przechytrył! - krzyknął. - Panie De Lancey, proszę natychmiast spisać nowe rozkazy. Armia musi się zebrać pod Quatre Bras.

Biedny pułkownik De Lancey wpadł w panikę.

- Ale jak przekażę rozkazy oficerom, skoro dzieli nas cały Atlantyk? - spytał.

- Och - mruknął jaśnie oświecony książę - pan Strange się tym zajmie.

Wellington nagle zauważył za oknem czterech jeźdźców, którzy nosili się jak królowie i mieli miny cesarzy. Ich skóra była barwy mahoniu, długie włosy lśniły czernią kruczego skrzydła. Ubrali się w skóry zdobione igłami jeżozwierza. Każdy miał karabin w skórzanym pokrowcu, groźnie wyglądającą włócznię (przyozdobioną piórami jak ich głowy) oraz łuk.

- Och, panie De Lancey, jeszcze jedno! Niechże pan kogoś znajdzie, by spytać tych jegomościów, czy mieliby ochotę jutro powalczyć. Wyglądają na takich, co znają się na rzeczy.

Mniej więcej godzinę później w mieście Ath, oddalonym o trzydzieści pięć

kilometrów od Brukseli (a raczej o trzydzieści pięć kilometrów od miejsca, gdzie zwykle leżała Bruksela), pewien *patissier* wyciągnął z pieca tacę pełną małych ciasteczek. Kiedy wystygły, na każdym narysował różowym lukrem literę - choć nigdy wcześniej tego nie robił. Jego żona (nie znająca ani jednego angielskiego słowa) przełożyła ciastka na drewnianą tacę, którą wręczyła *souspatissier*. Ten zaniósł ją do kwatery głównej sprzymierzonej armii, gdzie sir Henry Clinton wydawał rozkazy oficerom. *Souspatissier* wręczył tacę sir Henry'emu. Ten wziął jeden smakołyk i już miał go wsunąć do ust, kiedy major Norcott z 95. Pułku Strzelców krzyknął zdumiony. Przed nimi, napisana różowym lukrem na małych ciasteczkach, widniała wiadomość od Wellingtona, nakazująca sir Henry'emu przesunąć 2. Dywizję Piechoty do Quatre Bras z jak najmniejszym opóźnieniem. Sir Henry ze zdumieniem podniósł wzrok. *Souspatissier* spoglądał na niego rozpromieniony.

Mniej więcej w tym samym czasie dowódca 3. Dywizji, hanowerczyk, sir Charles Alten, ciężko pracował w zamku oddalonym o czterdzieści pięć kilometrów na południowy zachód od Brukseli. Kiedy przypadkiem wyjrzał przez okno, zwrócił uwagę na małą i osobliwą burzę, która rozpełtała się na podwórzu. Deszcz padał na sam jego środek, wcale nie dotykając murów. Zaintrygowany sir Charles wyszedł na dwór, by się lepiej przyjrzeć. Na ziemi widniał oficjalny list sporządzony kroplami deszczu:

*Bruksela, 15 czerwca 1815 roku Natychmiast skierować Dywizję do Quatre Bras.*

*Wellington*

Tymczasem część holenderskich i belgijskich dowódców w armii Wellingtona dowiedziała się z własnych źródeł, że Francuzi stacjonują w Quatre Bras. W związku z tym generałowie zmierzali już w tamte strony wraz z 2. Dywizją Holenderską. Generałowie ci (których nazwiska brzmiały Rebecq i Perponcher) byli bardzo zirytowani, kiedy stado ptaków usiadło na okolicznych drzewach i zaczęło ćwierkać:

*Wyjaśnijmy księcia zamiary: W Quatre Bras Francuzów są koszary. Niech zdążą tam księcia wojsk chmary, By na rozstajach dróg losu poznać dary.*

- Tak, tak! Wiemy! - krzyczał generał Perponcher, wymachując rękami, by spłoszyć ptaki. - Wynocha stąd, przebrzydłe stworzenia!

Ptaki jednak tylko podfrunęły bliżej, a niektóre wręcz usiadły na ramionach generała i jego koniu, gdzie irytująco i natrętnie śpiewały dalej:

Tam sławę zdobyć można będzie. „Nie bójcie się!” - brzmi księcia orędzie. Wszystkie plany armii są jasne jak łabędzie. Idźcie już, ale szybko, a dojdziecie wszędzie!

Ptactwo towarzyszyło żołnierzom przez resztę dnia, ani przez moment nie przestając świergotać i ćwierkać tej samej irytującej piosenki. Generał Rebecq - którego angielszczyzna była bez zarzutu - złapał jednego ptaka i próbował nauczyć go nowej piosenki, w nadziei że stworzenie powróci do Jonathana Strange'a i zaśpiewa mu, co następuje:

*Gdy maga się wykopie, to lud się rozweseli Od Maastricht do Brukseli.*

*Mag oberwie i polecą za sztuczki swe z łoskotem Do Maastricht i z powrotem<sup>[57]</sup>.*

O szóstej Strange na powrót przeniósł Brukselę do Europy. Pułki zakwaterowane w mieście niezwłocznie wymaszerowały przez bramę Namurską i podążyły drogą do Quatre Bras. Następnie Strange skoncentrował się na osobistych przygotowaniach do wojny. Zebrał srebrną misę, sześć ksiąg magii, kilka pistoletów, lekki letni płaszcz z wieloma niespotykanie głębokimi kieszeniami, dwanaście jaj na twardo, trzy butelki brandy, kilka plastrów pasztetu wieprzowego zawiniętego w papier oraz ogromny parasol z jedwabiu.

Następnego ranka, kiedy wszystkie te niezbędne drobiazgi spoczywały w rozmaitych kieszeniach jego płaszcza oraz przytroczone do siodła, pojechał wraz z księciem oraz jego sztabem ku skrzyżowaniu w Quatre Bras. Zgromadziło się tam już kilka tysięcy żołnierzy sił sprzymierzonych, lecz Francuzi jeszcze się nie pokazali. Od czasu do czasu rozlegał się strzał z muszkietu, lecz niczym nie różnił się od hałasu broni dżentelmenów polujących w angielskich lasach.

Kiedy Strange się rozglądał, na jego ramieniu przysiadł drozd i rozpoczął trel:

*Wyjaśnijmy księcia zamiary: w Quatre Bras Francuzów są koszary.*

- Co takiego? - mruknął Strange. - Co ty tutaj robisz? Powinieneś być zniknąć wiele godzin temu!

Nakreślił w powietrzu znak Ormskirka, by cofnąć magiczne zaklęcie, a wówczas ptak odleciał. Ku konsternacji maga w tej samej chwili całe stado zerwało się do lotu. Strange rozejrzał się nerwowo, chcąc sprawdzić, czy ktoś zauważył jego czary, ale ponieważ wszyscy wydawali się zaaferowani sprawami wojskowymi, uznał, że zachował się dyskretnie.

Znalazł sobie miejsce, które mu najbardziej odpowiadało - w okopie, tuż przed jedną z farm w Quatre Bras. Rozstaje dróg znajdowały się na prawo od Strange'a, na lewo stacjonowali żołnierze 92. Pułku Szkotów pod dowództwem pułkownika Gordona. Mag wydobyl z kieszeni jaja na twardo i wręczył je tym Szkotom, którzy jego zdaniem mieliby ochotę coś przekąsić. (W czasie pokoju ludzie z reguły muszą się sobie jakoś przedstawić, by zawrzeć znajomość; na wojnie ułatwia im to drobny poczęstunek). Szkoci ofiarowali mu w zamian nieco słodkiej herbaty z mlekiem i wkrótce wszyscy toczyli przyjacielską pogawędkę.

Dzień był upalny. Droga prowadziła między polami żyta, które w jaskrawym słońcu

wydawały się jaśnieć z niemal niezmierną intensywnością. Pięć kilometrów dalej trwała potyczka pruskiej armii z Francuzami - słychać było niezbyt donośne odgłosy wystrzałów armatnich oraz ludzkie krzyki. Wszystko to zdawało się zwiastować nadchodzące wydarzenia. Tuż przed południem w oddali rozległo się dudnienie bębnow i złowrogie śpiewy. Ziemia zadrżała od stąpania dziesiątków tysięcy stóp, a przez żyto zaczęły brnąć szerokie kolumny francuskiej piechoty.

Księżę nie wydał Strange'owi żadnych konkretnych rozkazów, toteż po rozpoczęciu walki mag rzucił to samo zaklęcie, które stosował na polach bitewnych Hiszpanii. Zesłał na Francuzów ogniste anioły, a także smoki, by zionęły na wroga ogniem. Iluzje były większe i bardziej wyraziste niż te, które prokurował na Półwyspie Iberyjskim. Kilka razy nawet wyszedł z okopu, by podziwiać swe efektowne dzieło. Tym samym zignorował ostrzeżenia Szkotów, że grozi mu postrzelenie.

Przez trzy lub cztery godziny Strange pilnie rzucał zaklęcia, kiedy nagle coś się wydarzyło. Francuscy szaserzy przeprowadzili niespodziewany atak, próbując okrążyć księcia i jego sztab. Dżentelmeni musieli zrobić w tył zwrot i na złamanie karku pognać do linii wojsk sprzymierzonych. Najbliższą jednostką okazał się 92. Pułk Szkotów Gordona.

- Żołnierze! - krzyknął księżę. - Padnij! Szkoci momentalnie padli plackiem. Strange wychylił głowę z okopu i ujrzał księcia na Kopenhadze<sup>[58]</sup>, przeskakującego nad głowami podkomendnych. Jaśnie oświecony księżę wydawał się nietknięty i sprawiał wrażenie bardziej ożywionego niż zaniepokojonego przygodą. Nagle dowódca się rozejrzał, a jego wzrok spoczął na Strange'u.

- Pan Strange! - powitał maga. - Cóż pan tutaj wyprawia? Kiedy zapragnę popisów magicznych rodem z ogrodów Vauxhall, z pewnością pana o nie poproszę!<sup>[59]</sup> Francuzi widzieli mnóstwo tego typu spektakli w Hiszpanii i teraz w ogóle nie są nimi przerażeni, podczas gdy pańskie sztuczki są czymś całkiem nowym dla Belgów, Holendrów i Niemców w mojej armii. Przed chwilą widziałem, jak w tamtym lesie jeden z pańskich smoków dręczył kompanię wojsk brunszwickich. Czterech żołnierzy się przewróciło. Nie tędy droga, drogi panie! Nie tędy droga! - Z tymi słowami Wellington odgalopował.

Strange wbił wzrok w odjeżdżającego księcia. Miał ochotę wygłosić kilka cierpkich uwag na temat niewdzięczności dowódcy, by wojacy z 92. Pułku Szkotów Gordona poznali opinię drugiej strony, lecz żołnierze byli nieco zajęci, gdyż właśnie ostrzeliwano ich z armat i siekano szablami. Wobec tego sięgnął po mapę, wygramolił się z okopu i powędrował ku skrzyżowaniu dróg, gdzie sekretarz wojskowy księcia, lord Fitzroy Somerset, rozglądał się z wyraźnym niepokojem.

- Wasza lordowska mość? - odezwał się Strange. - Muszę pana o coś spytać. Jak przebiega bitwa?

Somerset westchnął.

- Wszystko dobrze się skończy - zapowiedział. - To jasne. Niemniej połowy armii wciąż jeszcze nie ma. Praktycznie nie dysponujemy żadną kawalerią. Wiem, że rozesłał pan rozkazy, lecz niektóre dywizje są zbyt oddalone. Jeśli Francuzi pierwsi ściągną posiłki, wówczas... - Wzruszył ramionami.

- A jeśli Francuzi faktycznie przybędą, to skąd nadciągną? Z południa, jak mniemam?

- Z południa i z południowego wschodu. Strange nie powrócił na pole bitwy, lecz poszedł na farmę w Quatre Bras, znajdującą się tuż za liniami brytyjskimi. Gospodarstwo było zupełnie opustoszałe. Drzwi stały otworem, wiatr wywiewał zasłony z okien. Niedawni uciekinierzy w pośpiechu cisnęli na ziemię kosę i motykę. W półmroku cuchnącej mleczarni Strange ujrzał kotkę z gromadką nowo narodzonych kociąt. Za każdym razem, kiedy rozbrzmiewał huk wystrzałów (czyli często), kotka drżała. Mag przyniósł zwierzęciu miskę wody i łagodnie do niego przemówił. Usiadł na zimnych płytach chodnikowych i rozpostarł przed sobą mapę, a następnie przystąpił do przemieszczania dróg, ścieżek i wiosek na południe i na wschód od pola bitwy. Na początek zmienił lokalizację dwóch wsi. Potem sprawił, że wszystkie drogi biegnące ze wschodu na zachód biegły teraz z północy na południe. Odczekał dziesięć minut i przywrócił pierwotny porządek. Następnie obrócił wszystkie lasy w okolicy, tak że skierowały się w przeciwną stronę. Nakazał wodom potoków popłynąć w odwrotnym kierunku. Godzina po godzinie zmieniał krajobraz. Zajęcie było skomplikowane i wyczerpujące - pod tym względem ogromnie przypominało wszystko to, co Strange robił z Norrellem. O wpół do siódmej usłyszał w oddali trąby wojsk sprzymierzonych. O ósmej wstał i wyprostował zdrętwiałe kończyny.

- Problem polega na tym - zwrócił się do kotki - że nie mam zielonego pojęcia, czy moje poczynania cokolwiek dały<sup>[60]</sup>.

Nad polami zawisł czarny dym. Nadleciały setki wron i kruków, ponurych uczestników każdej bitwy. Strange przekonał się, że jego szkoccy przyjaciele znaleźli się w wyjątkowo żałosnym położeniu. Zdobyli co prawda dom przy drodze, lecz podczas natarcia stracili połowę ludzi i dwudziestu pięciu z trzydziestu sześciu oficerów, wliczając w to pułkownika - człowieka, którego wielu z nich traktowało jak ojca. Niejeden weteran siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i płakał.

Francuzi najwyraźniej powrócili do Frasnés, miasta, z którego wyruszyli rankiem. Strange spytał kilka osób, czy świadczą to o zwycięstwie sprzymierzonych, lecz nikt nie

potrafił udzielić mu jednoznacznych informacji.

Tamtej nocy mag spał w Genappe, wsi oddalonej o pięć kilometrów i leżącej na drodze do Brukseli. Strange jadł właśnie śniadanie, kiedy przybył kapitan HadleyBright z wiadomościami: poprzedniego dnia sojusznicza pruska armia poważnie ucierpiała w trakcie walk.

- Prusacy pokonani? - spytał Strange.

- Nie, ale się wycofali. Książę twierdzi, że musimy postąpić tak samo. Jego wysokość wybrał miejsce bitwy. Tam spotkamy się z Prusakami. Miejscowość nosi nazwę Waterloo.

- Waterloo? Nigdy nie słyszałem - skomentował Strange.

- Ja też nie potrafiłem znaleźć tego miasteczka na mapie.

- Och! - westchnął mag. - W Hiszpanii bez przerwy borykaliśmy się z takimi trudnościami. Ponad wszelką wątpliwość osoba, która dostarczyła panu informacji, przekreśliła nazwę. Proszę mi wierzyć: takie miejsce jak Waterloo nie istnieje!

Wczesnym popołudniem obaj dosiedli koni i właśnie mieli wyruszyć z wioski w ślad za armią, kiedy dotarła do nich wiadomość od Wellingtona: nadciągała dywizja francuskich lansjerów. Czy w związku z tym pan Strange nie mógłby podzielać im na nerwy? Strange, zaniepokojony perspektywą następnych oskarżeń o magię rodem z ogrodów Vauxhall, poprosił HadleyaBrighta o radę.

- Czego najbardziej nienawidzą kawalerzyści? - spytał.

HadleyBright przez chwilę rozmyślał.

- Błota - zdecydował ostatecznie.

- Błota? Naprawdę? Tak, chyba ma pan rację. Cóż, niewiele jest rzeczy bardziej oczywistych i prostszych od magii pogodowej!

Niebo pociemniało. Nadciągnęła atramentowa chmura burzowa, wielka niczym Belgia i tak napuchnięta i ciężka, że jej poszarpane krawędzie zdawały się ocierać o wierzchołki drzew. W mroku zaślnęła błyskawica i świat na krótką chwilę stał się biały niczym płótno. Rozległ się ogłuszający trzask i chlusnął deszcz tak gwałtowny, że ziemia wręcz się gotowała i syczała.

Okoliczne pola w kilka minut zmieniły się w trzęsawisko. Francuscy lansjerzy momentalnie stracili możliwość popisywania się tym, co lubili najbardziej, czyli szybką i brawurową jazdą. Tylne straże Wellingtona bezpiecznie umknęły.

Godzinę później Strange i HadleyBright ze zdumieniem odkryli, że miejscowość Waterloo naprawdę istnieje i że właśnie do niej dotarli. Mimo deszczu książę w wyjątkowo pogodnym nastroju spoglądał ze swego konia na umorusanych mężczyzn, zaprzęgi oraz

wozy.

- Wyborne błoto, Merlinie! - zawołał beztrąsko. - Nadzwyczaj lepkie i śliskie. Francuzom zupełnie się nie spodoba. Nieco więcej deszczu, jeśli łaska. Czy widzi pan to drzewo w miejscu, gdzie droga prowadzi w dół zbocza?

- Chodzi o tamten wiąz, wasza wysokość?

- Otóż to. Byłbym ogromnie zobowiązany, gdyby zatrzymał się pan tam podczas jutrzejszej bitwy. Sam będę się tam pojawiał od czasu do czasu, niemniej niezbyt często. Moi chłopcy przekażą panu stosowne polecenia.

Tamtego wieczoru rozmaite oddziały wojsk sprzymierzonych zajęły pozycje na południe od Waterloo. Nad nimi grzmiały pioruny, a deszcz lał się strumieniami. Od czasu do czasu do wiązu docierała grupka umorusanych żołnierzy, błagając Strange'a o to, by powstrzymał ulewę, lecz on tylko kręcił głową.

- Uczynię to jedynie na rozkaz księcia - powtarzał.

Weterani wojny na Półwyspie Iberyjskim zauważali jednak z aprobatą, że podczas wojny deszcz był zawsze sprzymierzeńcem Anglików.

- Po prostu nie ma dla nas nic bardziej kojącego i znajomego - wyjaśniali towarzyszom. - Inne narody źle sobie radzą podczas deszczu. Padało w noc poprzedzającą Fuentes, Salamankę i Vitorię. - (Były to nazwy miejscowości, pod którymi Wellington odniósł kilka wielkich zwycięstw na półwyspie).

Pod osłoną parasola Strange rozmyślał o nadchodzącej bitwie. Od końca wojny na Półwyspie Iberyjskim pilnie studiował magię, którą aureaci stosowali podczas konfliktów zbrojnych. Niewiele o niej wiedziano. Krążyły pogłoski - nie potwierdzone - że przed bitwami John Uskglass rzucał zaklęcie, które odsłaniało skutki obecnych zdarzeń. Tuż przed zapadnięciem zmroku Strange doznał niespodziewanego olśnienia.

- Nie ma sposobu, by się przekonać, co robił Uskglass - powiedział sobie mag. - Zawsze jednak można skorzystać z opracowanej przez Pale'a metody interpretacji przyszłych zdarzeń, będącej w gruncie rzeczy prostszą odmianą tego samego zaklęcia. Tę magię mogę zastosować.

Jeszcze nim zaklęcie zadziało, Strange zaczął doskonale słyszeć i rozróżniać wszystkie dźwięki. Do jego uszu dotarł odgłos deszczu padającego na metal i skórę, a także spływającego po płótnie, usłyszał parskanie koni i stukot kopyt, śpiew Anglików i szkockie melodie wygrywane na dudach, głosy dwóch walijskich żołnierzy toczących spór o właściwą interpretację ustępu z Biblii, szkockiego kapitana Johna Kincaida zabawiającego rozmową dwóch amerykańskich dzikusów i uczącego ich pić herbatę (oficer zapewne wychodził z



założenia, że kiedy ktoś nabędzie nawyku sączenia herbaty, wówczas inne przyzwyczajenia i typowo brytyjskie cechy przyjdą same).

Potem zapadła cisza. Ludzie i konie zaczęli znikać, z początku powoli, potem szybciej: rozplywali się w powietrzu setkami i tysiącami. Wśród tłumów żołnierzy pojawiły się luki. Nieco dalej na wschód znikł cały pułk, pozostawiając po sobie pustą przestrzeń wielkości Hanover Square. Tam, gdzie przed momentem tętniło życie, trwały rozmowy, ludzie czymś się zajmowali - pozostał tylko deszcz, półmrok i rozkołysane łodygi żyta. Strange otarł usta - nagle poczuł mdłości.

„Ha! - pomyślał. - Mam za swoje, nie powinienem się mieszać do magii przeznaczonej dla królów. Norrell ma słuszość. Istnieją zaklęcia, od których zwykli magowie powinni się trzymać z daleka. John Uskglass zapewne wiedział, co robić z tą potworną wiedzą. Ja nie mam pojęcia. Czy powinienem komuś powiedzieć? Księżciu? Nie podziękuję mi za to”.

Ktoś spojrział na niego z góry, ktoś do niego przemówił - kapitan z artylerii konnej. Strange widział usta żołnierza, lecz nie słyszał ani słowa. Strzelił palcami, by zdjąć zaklęcie. Kapitan zapraszał go na brandy i cygara. Mag zadrżał i odrzucił propozycję.

Przez resztę nocy siedział samotnie pod więzaniem. Do tej chwili nie uświadamiał sobie, że jego umiejętności magiczne tworzą barierę oddzielającą go od innych ludzi. Teraz jednak zajrzał w nieodpowiednie miejsce, tam, gdzie nie powinien. Ogarnęło go ponure uczucie, jakby świat wokół niego się starzał, a to, co najlepsze w życiu - śmiech, miłość i niewinność - nieodwracalnie odchodziło w przeszłość.

O wpół do dwunastej następnego ranka zagrzmiały francuskie armaty. Artyleria sprzymierzonych odpowiedziała ogniem. Czyste letnie powietrze nad obiema armiami wypełniły kłęby ostrego czarnego dymu.

Francuski atak był głównie ukierunkowany na Chateau Hougomont, przyczółek wojsk sprzymierzonych położony w dolinie, gdzie lasów i budynków bronili Szkoci, gwardia z Coldstream, nassauczycy i hanowerczycy. Strange przywoływał w srebrnej misie jedną wizję za drugą i oglądał krwawe potyczki w lasach wokół chateau. Nosił się z zamiarem przeniesienia drzew, by sprzymierzeni mogli celniej ostrzeliwać napastników, lecz walka bezpośrednia jest najgorsza dla magii. Strange musiał pamiętać, że podczas wojny żołnierze potrafi narobić więcej szkód, rozpoczynając działania przed czasem lub postępując zbyt zapalczywie. Wobec tego Strange czekał, przekonany, że niekiedy lepiej nic nie robić.

Kanonada stawała się coraz bardziej zaciekle. Brytyjscy weterani jeszcze nigdy nie spotkali się z równie gęstym gradem kul armatnich. Żołnierze widzieli, jak eksplodujące

pociski rozrywają na strzępy i pozbawiają głów ich towarzyszy. Powietrze drżało od wybuchów.

- Intensywny ostrzał - zauważył zimno księżę i rozkazał, by pierwsze szeregi wycofały się za grzbiet wzniesienia i przyjęły pozycję leżącą.

Kiedy działa umilkły, sprzymierzeńcy unieśli głowy. Ujrzeni francuską piechotę podążającą przez dolinę wypełnioną dymem: szesnaście tysięcy mężczyzn maszerowało ramię w ramię, tworząc niespotykanej wielkości kolumny, wznosząc okrzyki i głośno tupiąc.

Niejeden żołnierz zastanawiał się, czy Francuzi w końcu znaleźli własnego maga. Ich piechurzy sprawiali wrażenie znacznie wyższych niż zwykli ludzie, gdy zaś podeszli bliżej, można było dostrzec w ich oczach błysk nieziemskiej furii. Tę magię zawdzięczali jednak wyłącznie Napoleonowi, który dobrze wiedział, jak umundurować żołnierzy, by swym wyglądem budzili przerażenie wroga, i jak ich ustawić w szyku bojowym, by każdy uznał ich za niezwycięzonych.

Strange pojął, co należy zrobić. Gęste, zawiesiste błoto zdecydowanie utrudniało żołnierzom marsz. Aby dodatkowo ich spowolnić, mag zaczął łączyć żywioły, które od tego momentu owijały się wokół stóp Francuzów. Łodygi okazały się twarde jak drut i żołnierze bez przerwy potykali się i padali. Strange liczył na to, że błoto unieruchomi wrogie siły, dzięki czemu nieprzyjaciele będą się nawzajem tratować, a potem zginą pod kopytami francuskiej kawalerii, która wkrótce pojawiła się za ich plecami. Rzucanie zaklęć było jednak niesłychanie pracochłonne i pomimo wysiłków Strange'a magia ta prawdopodobnie wyrządziła Francuzom mniej szkód niż jeden doborowy brytyjski muszkieter lub karabinier.

W pewnej chwili do maga przybiegł (nieprawdopodobnie prędko) adiutant i wepchnął mu w rękę skrawek kozłej skóry.

- Wiadomość od księcia! - krzyknął i w następnym momencie już go nie było.

*Od francuskich pocisków zajęło się Chateau Hougoumont. Proszę ugasić pożar.*

*Wellington*

Strange przywołał następną wizję Hougoumont. Załoga broniąca tego miejsca ogromnie ucierpiała od czasu, gdy mag ostatnio do niej zaglądał. Rannych obu stron ułożono we wszystkich pomieszczeniach. Sterta siana, budynki gospodarcze i chateau stały w ogniu. Wszędzie unosił się czarny gryzący dym. Konie ryczały, a ranni usiłowali uciekać, lecz nie mieli gdzie się skryć. Tymczasem wokół wrzała bitwa. Strange dostrzegł w kaplicy sześć namalowanych na ścianach wizerunków świętych. Mieli oni dwa do dwóch i pół metra

wysokości, dziwne proporcje, długie brązowe brody i duże melancholijne oczy. Najprawdopodobniej dzieła wyszły spod pędzla amatora entuzjasty.

- Oni załatwią sprawę! - mruknął do siebie.

Na jego rozkaz święci zeszli z murów. Poruszali się niepewnie, drząc i kuśtykając niczym marionetki, lecz nie brakowało im lekkości i gracji. Przeszli chybotliwie między rzędami rannych i zbliżyli się do studni na jednym z podwórz. Wszystko zdawało się przebiegać zgodnie z planem, do czasu kiedy dwie postaci (zapewne święty Piotr i święty Hieronim) zajęły się od ognia i szczyły w płomieniach. Stworzeni wyłącznie z farby i magii, palili się z wielką łatwością. Strange gorączkowo myślał, co robić dalej, kiedy odłamek francuskiego pocisku trafił w krawędź srebrnej misy, odrzucając ją na pięćdziesiąt metrów. Nim mag odzyskał naczynie, ostukał pokaźne wgłębienie w jego boku i prawidłowo ustawił misę, wszyscy malowani święci znikli w płomieniach. Ranni i konie również płonęli. Na ścianach nie było już żadnych malowideł. Bliski płaczu, sfrustrowany Strange przeklinał nieznanego artystę za lenistwo.

Co tam jeszcze było? Co jeszcze wiedział? Myślał gorączkowo. W minionych czasach John Uskglass niekiedy tworzył dla siebie rumaka z kruków - ptaki zbijały się w stado i tak powstawał czarny, niespokojny, chyży olbrzym, który z łatwością wykonywał każde polecenie. Przy innych okazjach Uskglass tworzył służbę z ziemi.

Strange przywołał obraz studni w Hougoumont i sprawił, że woda wytrysnęła z niej niczym fontanna. Nim rozlała się po ziemi, zmusił ją do przybrania postaci z grubsza przypominającej istotę ludzką. Wtedy nakazał wodnemu człowiekowi podążyć prędko ku płomieniom i się w nie rzucić. W ten sposób ugasił pożar w jednym z boksów w stajni i uratował życie trzem żołnierzom. Jak najszybciej tworzył następne stwory, miał jednak trudności z uzyskaniem spójnego kształtu z wody. Mniej więcej po godzinie pracy magowi zaczęło się kręcić w głowie, nie potrafił opanować drżenia rąk.

Między godziną czwartą a piątą wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Strange uniósł wzrok i ujrzał nadciągającą francuską kawalerię, która imponująco błyszczała w oddali. Konni tworzyli dwanaście rzędów szerokich na pięciuset ludzi. Huk dział był tak ogłuszający, że wydawało się, iż kawalerzyści nie czynią najmniejszego hałasu.

„Z pewnością są świadomi, że piechota Wellingtona trzyma się mocno - pomyślał Strange. - Posieka ich na kawałeczki”.

Za jego plecami pułki piechoty stawały w szyku bojowym, tworząc czworoboki; kilku żołnierzy zawołało maga, by schronił się między oddziałami. Rada wydawała się sensowna, więc Strange bez wahania zastosował się do niej.

Względnie bezpieczny, mag przypatrywał się nadciągającej konnicy. Kirasjerzy nosili lśniące napierśniki i wysokie hełmy z grzebieniami; lansjerzy przyozdobili broń łopoczącymi chorągiewkami w kolorze białym i czerwonym. Ze swą imponującą prezencją nie pasowali do dzisiejszych czasów. Szli w chwale minionych epok, lecz Strange był zdecydowany stawić im czoło. W jego umyśle pojawiły się wizje sług Johna Uskglassa, stworzonych z kruków i ziemi. Błoto pod kopytami francuskich jeźdźców zaczęło nabrzmiewać i bulgotać. W pewnej chwili wyrosły z niego ogromne ręce, które sięgały wysoko, chwytając ludzi i konie i ciskając ich na ziemię. Ci, którzy upadli, byli trатовani przez własnych towarzyszy; pozostałych zaś zasypał grad kul z muszkietów piechoty wojsk sprzymierzonych. Strange chłodno obserwował przebieg zdarzeń.

Kiedy Francuzi dali sygnał do odwrotu, ponownie skupił się na obrazie w srebrnej misie.

- Jest pan magiem? - spytał ktoś.

Zdumiony pytaniem Strange się obrócił i ujrzał małego, okrągłego mężczyznę o łagodnym wyglądzie, ubranego w cywilny strój. Nieznajomy uśmiechał się pogodnie.

- Kimże pan jest, na Boga? - spytał mag.

- Nazywam się Pink - przedstawił się jegomość. - Jestem komiwojazerem zatrudnionym przez firmę Przednie Guziki, należąca do pana Welbecka z Birmingham. Mam dla pana wieści od księcia.

Strange, utyłany błotem i tak zmęczony jak nigdy wcześniej, przez chwilę rozważał usłyszane informacje.

- A gdzie wszyscy adiutanci księcia?

- Księżę powiedział, że żaden nie przeżył.

- Co takiego? HadleyBright nie żyje? A co z pułkownikiem Canningiem?

- Niestety. - Pan Pink się uśmiechnął. - Nie potrafię udzielić panu szczegółowych informacji. Wczoraj opuściłem Antwerpię, by dotrzeć na miejsce bitwy, a wypatrywszy księcia, skorzystałem z okazji i się przedstawiłem. Przy okazji napomknąłem o doskonałej jakości wyrobach firmy Przednie Guziki, należącej do pana Welbecka. Księżę poprosił mnie o przysługę - chodziło o to, bym udał się do pana i przekazał mu, że pruska armia już tutaj zdążyła i znajduje się obecnie w lasku otaczającym zameczek. Jego wysokość dodał, że diabelnie im tam ciężko... - pan Pink uśmiechnął się i zamrugał, słysząc w swych ustach żołnierski żargon - ...diabelnie im tam ciężko, bo ścieżki wąskie, wszędzie błoto... Pyta, czy byłby pan tak uprzejmy i stworzył dla nich drogę między lasem a polem bitwy.

- Oczywiście - zgodził się Strange, wycierając część błota z twarzy.

- Powiem księciu - zakomunikował komiwojazer i zamilkł, a po chwili spytał: - Czy sądzi pan, że jaśnie oświecony książę chciałby zamówić trochę guzików?

- Nie widzę przeciwwskazań. Ma przychylny stosunek do guzików, podobnie jak większość mężczyzn.

- Wobec tego moglibyśmy umieścić na wszystkich reklamach napis: „Dostawca guzików dla jaśnie oświeconego księcia Wellingtona”. - Pan Pink promieniał. - Ruszam zatem w drogę!

- Tak, tak. Niechże pan rusza - mruknął Strange i stworzył drogę dla Prusaków. Później jednak zaczął podejrzewać, że postać pana Pinka z firmy Przednie Guziki, należącej do pana Welbecka, to tylko wytwór jego wyobraźni<sup>[61]</sup>.

Raz po raz francuska kawaleria szarżowała, a Strange skrywał się w czworoboku piechoty. Śmiertelnie niebezpieczni konni odbijali się od boków czworokąta niczym fale, a Strange znowu wyciągał z ziemi mocarne ręce, by ich ściągać z rumaków. Za każdym razem, kiedy kawaleria się wycofywała, ponownie wybuchała kanonada; wówczas Strange biegł do srebrnej misy i tworzył wodnych ludzi, którzy gasili płomienie i ratowali umierających w desperacko bronionych ruinach Hougoumont. I tak w kółko... Trudno było uwierzyć, że walki kiedykolwiek dobiegną końca. Strange zaczął odnosić wrażenie, że taka sytuacja trwa od zawsze. Kiedyś skończą się kule muszkietowe i pociski armatnie, rozważał w duchu. I co wówczas poczniemy? Rzucimy się na siebie z szablami i bagnietami? A jeśli wszyscy zginiemy, bez wyjątku, kogo wówczas uznają za zwycięzcę?

Dym zniknął, ukazując fragmenty pola bitwy, niczym sceny pełne dramatycznego napięcia w teatrze duchów: na farmie La Haye Sainte żołnierze francuscy wspinali się po gorze ciał swych towarzyszy, by pokonać mur i wybić niemieckich obrońców.

W pewnej chwili Strange nie zdążył się skryć w czworoboku przed przybyciem Francuzów. Nagle, tuż przed magiem, wyrósł jak spod ziemi potężny francuski kirasjer na olbrzymim koniu. Strange zaczął się zastanawiać, czy żołnierz ma pojęcie, kogo napotkał. (Magowi powiedziano, że cała francuska armia nienawidzi go serdecznie, z całego francuskiego serca). Po chwili przypomniał sobie, że pistolety zostawił wewnątrz czworoboku piechoty.

Kirasjer uniósł szablę. Strange bez zastanowienia wymamrotał *Ad Animam Vocare* Stokeseseya. Z klatki piersiowej kirasjera wyleciało coś podobnego do pszczoły i usadowiło się na dłoni maga. Nie był to jednak owad, tylko kulka perłowoniebieskiego światła. Drugie światełko wyfrunęło z piersi konia, który zarżał przeraźliwie i stanął dęba. Zaskoczony kirasjer wpatrywał się w Strange'a.

Mag podniósł drugą dłoń, by jednym ruchem pozbawić życia konia i jeźdźca. Nagle zamarł.

- *Czy mag może zabić za pomocą magii?* - spytał Strange a lord Wellington.

- *Mag zapewne może - przyznał - lecz dżentelmen z pewnością nie powinien.*

Gdy tak się wahał, nie wiadomo skąd nadjechał brytyjski oficer szkockiej kawalerii o nazwisku Grey i rozciął kirasjerowi głowę, od brody przez zęby. Francuz padł niczym ścięte drzewo, a Grey pojechał dalej.

Strange nigdy nie zdołał przypomnieć sobie, co się stało później. Chyba włączył się bez celu, oszołomiony - nie miał pojęcia, jak długo. Ocknął się dopiero na dźwięk donośnych okrzyków radości. Podniósł wzrok i ujrzał Wellingtona na Kopenhadze. Dowódca machał kapeluszem - był to sygnał, że sprzymierzeni mają ruszać na Francuzów. Miejsce tonęło jednak w tak gęstym dymie, że tylko żołnierze stojący najbliżej księcia mogli dzielić z nim radość zwycięstwa.

Strange wyszeptał słowo i w kłębach pojawiła się wąska szczelina, a promyk wieczornego słońca oświetlił Wellingtona. Wszystkie twarze żołnierzy na wzniesieniu zwróciły się ku dowódcy, a wiwaty przybrały na sile. „Tak jest - pomyślał Strange. - Właśnie w taki sposób należy wykorzystywać angielską magię”.

Podążył za żołnierzami i wycofującymi się siłami francuskimi w dół wzniesienia, przez pole bitwy. Między trupami i dogorywającymi sterczały wielkie ręce, które sam stworzył. Sprawiały wrażenie znieruchomiałych w geście przerażenia i grozy, jak gdyby ziemia rozpaczała nad tym, co się zdarzyło. Kiedy dotarł do francuskich armat, które tak poważnie zaszkodziły sprzymierzonym armiom, wypowiedział ostatnie zaklęcie w tej bitwie. Na jego wezwanie z gruntu wyłoniły się nowe ręce, które pochwytyły armaty i wciągnęły je głęboko pod ziemię.

W gospodzie Dobrego Przymierza po drugiej stronie pola bitwy mag natrafił na Wellingtona i na pruskiego generała, księcia Bluchera. Jego Wysokość skinął głową.

- Zapraszam na kolację - odezwał się życzliwie. Księżę Blucher zamaszycie potrząsnął dłonią maga i wypowiedział po niemiecku wiele słów, z których Strange nie zrozumiał ani jednego. Następnie podstarzały dżentelmen wskazał na brzuch, w którym rzekomo rozwijał się słoń, i wykrzywił twarz, jakby chciał powiedzieć: „Cóż na to poradzę?”

Strange wyszedł na dwór i od razu wpadł na kapitana HadleyaBrighta.

- Powiedziano mi, że pan nie żyje! - wykrzyknął.

- Byłem pewien, że pan zginie - odparł HadleyBright.

Zapadło milczenie. Obaj mężczyźni poczuli się nieco zakłopotani. Wszędzie leżały rzędy martwych i rannych. Pozostawanie przy życiu w takiej chwili wydawało się wręcz nie na miejscu.

- Kto jeszcze przeżył? Ma pan jakieś informacje? - chciał wiedzieć HadleyBright.

Strange pokręcił głową.

- Nie - westchnął. Po chwili się rozstali.

Tamtego wieczoru w kwaterze Wellingtona w Waterloo nakryto stół dla czterdziestu, pięćdziesięciu gości. Kiedy jednak nadeszła pora kolacji, przybyły tylko trzy osoby: ksiązę, generał Alava (jego hiszpański attache) oraz Strange. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, ksiązę odwracał głowę, by sprawdzić, czy to któryś z jego przyjaciół, cały i zdrowy. Ale nikt więcej nie przyszedł.

Wiele miejsc przy stole przygotowano dla dżentelmenów, którzy zginęli lub właśnie umierali: dla pułkownika Canninga, pułkownika Gordona, generała Pictona, pułkownika De Lanceya. Z upływem godzin lista się wydłużała.

Ksiązę, generał Alava i pan Strange siedzieli w milczeniu.

## Rozdział dziewiętnasty

*Starecross koniec wrześniagrudzień 1815*

Fortuna nie sprzyjała panu Segundusowi. Zamieszkał w Yorku, mając nadzieję na wejście do towarzystwa i dyskusje z wieloma kolegami po fachu, tymczasem tuż po jego przyjeździe pan Norrell pozbawił wszystkich tutejszych magów prawa do wykonywania zawodu. Pan Segundus został sam. Jego skromne oszczędności szybko się skurczyły i jesienią 1815 roku był zmuszony poszukać sobie zajęcia.

- Nie ma co liczyć na to, że zdołam zarobić przyzwoite pieniądze - westchnął, patrząc na pana Honeyfoota. - Jakie mam kwalifikacje?

Pan Honeyfoot nie chciał tego słuchać.

- Proszę napisać do pana Strange'a! - doradził przyjacielowi. - Być może trzeba mu sekretarza.

Nic nie ucieszyłoby pana Segundusa bardziej niż praca dla Jonathana Strange'a, ale

wrodzona skromność nie pozwalała mu złożyć takiej propozycji. Narzucanie się było nie do przyjęcia. Pan Strange mógłby się poczuć zażenowany i nie wiedziałby, jak wybrnąć z sytuacji. A gdyby pomyślał, że on, John Segundus, uważa się za równego tak wielkiemu magowi?

Państwo Honeyfootowie zapewnili go, że jeśli Strange'owi nie spodoba się ten pomysł, jasno postawi sprawę. Na pewno nie zaszkodzi zapytać. Niestety, w tej kwestii pan Segundus pozostał nieugięty, ale za to następna propozycja przypadła mu do gustu.

- Może sprawdzimy, czy jacyś mali chłopcy w mieście chcą się uczyć magii? - spytała pani Honeyfoot. Jej wnukowie, krzepki pięcio- i siedmiolatek, niedawno rozpoczęli edukację, dlatego jej myśli krążyły wokół szkoły.

I tak pan Segundus zaczął nauczać magii. Oprócz małych chłopców zgłosiły się do niego młode panny, które w innych okolicznościach poprzestałyby na nauce francuskiego, niemieckiego i muzyki. Teraz jednak zapragnęły poznać magię teoretyczną. Wkrótce poproszono go o udzielanie lekcji starszym braciom młodych dam. Wielu z nich oczyma wyobraźni widziało siebie jako magów. Dla młodzieńców o bystrym umyśle, których nie pociągały Kościół ani prawo, ta perspektywa była bardzo kusząca zwłaszcza od czasów triumfu Strange'a na polach bitewnych Europy. W końcu minęło wiele stuleci od czasu, gdy duchowni po raz ostatni wyróżnili się w bitwach, a prawnicy w ogóle nie mieli z nimi do czynienia.

Wczesną jesienią 1815 roku pan Segundus dostał zlecenie od ojca jednego ze swych uczniów. Ów dżentelmen, pan Palmer, słyszał o domu na północy hrabstwa, który wkrótce miał być wystawiony na sprzedaż. Pan Palmer nie chciał kupić domu, ale przyjaciel napomknął mu, że warto rzucić okiem na tamtejszą bibliotekę. Pan Palmer nie miał czasu przekonać się o tym osobiście. Choć ufał swym sługom, dysponowali oni ograniczonymi umiejętnościami, poprosił zatem pana Segundusa, by pojechał tam, sprawdził liczbę ksiąg, ich stan i zdecydował, czy warto cokolwiek nabyć.

Starecross Hali był największym budynkiem we wsi, w której znajdowało się jeszcze kilka kamiennych domków i farm. Starecross wybudowano w najbardziej odosobnionej części wioski, otoczonej ze wszystkich stron przez brunatne, rozległe wrzosowiska. Wysokie drzewa chroniły dom przed burzą i wiatrem, lecz jednocześnie sprawiały, że wyglądał niezwykle ponuro. W wiosce nie brakowało zrujnowanych murów i rozpadających się kamiennych stodół. Było tu niezwykle cicho, całkiem jak na końcu świata.

Nad głębokim, rwącym potokiem rozciągał się bardzo stary i zniszczony most. Jaskrawożółte liście płynęły chyżo po ciemnej, niemal czarnej wodzie, po drodze rysując



wzory na jej powierzchni. Panu Segundusowi skojarzyły się one z magicznym pismem - jak wiele innych rzeczy zresztą.

Sam dom był długą, niską, rozbudowaną konstrukcją, wzniesioną z tego samego ciemnego kamienia co reszta wioski. W zaniedbanych ogrodach, na dziedzińcach i podwórzach wznosiły się stopy jesiennych liści. Mało prawdopodobne, by ktoś zechciał kupić taki dom, zbyt duży na farmę oraz zbyt ponury i odludny jak na rezydencję dżentelmena. Nadałby się na plebanię, ale w wiosce nie było kościoła. Sprawdziłby się jako gospoda, tyle że po gościńcu, który niegdyś przebiegał przez wioskę, pozostał jedynie most.

Nikt nie odpowiedział na pukanie pana Segundusa. Gość zauważył, że drzwi frontowe są uchylone. Wejście do środka bez zaproszenia wydawało się impertynencją, jednak po czterech czy pięciu minutach bezowocnego stukania Segundus odrzucił skrupuły.

Domy, podobnie jak ludzie, pozostawione same sobie często dziwaczej. Ten dom był architektonicznym odpowiednikiem wiekowego dżentelmena w zniszczonym płaszczu kąpielowym i podartych kapciach, który wstaje z łóżka i chodzi spać o dziwnych porach i nieustannie rozmawia z wyimaginowanymi przyjaciółmi. Kiedy pan Segundus wędrował w poszukiwaniu kogoś dozorującego budynek, trafił na pokój, w którym znajdowały się jedynie porcelanowe formy do sera, ułożone jedna na drugiej. W innym pokoju ujrzał stopy dziwnych czerwonych strojów, jakich nigdy wcześniej nie widział - coś między fartuchem robotnika a szatą duchownego. W kuchni znalazł bardzo niewiele przedmiotów typowych dla takich pomieszczeń, za to w srebrnej gablotce leżała czaszka aligatora i radośnie szczyrzyła zęby. Pan Segundus nie - miał pojęcia, skąd ta wesołość. Do jednego pokoju można było dotrzeć tylko po pokonaniu dziwnej płataniny stopni i schodów. Obrazy w tym pomieszczeniu najwyraźniej wybierał jakiś rozentuzjasmowany miłośnik walk. Wisiały tu malowidła przedstawiające walczących mężczyzn, walczących chłopców, walczące koguty, byki, psy, centaury, a także poruszający obraz walki dwóch żuków. W innym pokoju stał tylko stół, a na jego środku domek dla lalek. Była to idealna kopia prawdziwego domu, gdzie kilka elegancko ubranych laleczek wiodło spokojną i racjonalną egzystencję - razem piekły małe ciasta i bochny chleba, zabawiały przyjaciół grą na małym klawesynie, grały w kasyno, uczyły miniaturowe dzieci oraz spożywały pieczonego indyka wielkości kciuka pana Segundusa. Ta sielanka dziwnie kontrastowała z ponurym, pustym otoczeniem.

Pan Segundus zajrzał chyba do wszystkich pokoi, nie znalazł jednak biblioteki ani żadnych ludzi. W końcu trafił na małe drzwi na wprost ukryte pod schodami. Za nimi znajdował się pokój niewiele większy od schowka. Mężczyzna w brudnym fraku, z nogami na stole, popijał brandy i gapił się w sufit. Po krótkiej dyskusji zgodził się pokazać panu

Segundusowi bibliotekę.

Pierwszych dziesięć ksiąg, które obejrzał pan Segundus, nie miało żadnej wartości. Były to kazania i moralitety z ubiegłego wieku lub też opisy ludzi, którzy już nikogo nie interesowali. Następnym pięćdziesiąt niewiele się różniło od tych dziesięciu. Pan Segundus zaczynał dochodzić do wniosku, że wkrótce upora się z zadaniem, nagle jednak natrafił na bardzo interesujące i niezwykle dzieła dotyczące geologii, filozofii i medycyny. Było to pokrzepiające.

Pracował systematycznie przez dwie lub trzy godziny. Raz zdawało mu się, że przed dom zajechał ekwipaż, ale nie zwrócił na to uwagi. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że jest niezwykle głodny. Nie miał pojęcia, czy ktoś przygotował mu posiłek. Ponieważ od najbliższej gospody dzieliła go spora odległość, pan Segundus udał się na poszukiwanie flejtucha w norce pod schodami, by spytać go o jakąś przekąskę, i natychmiast się zgubił w labiryncie pokojów i korytarzy. Chodził po domu, otwierając każde drzwi, coraz bardziej głodny i coraz bardziej zeżłony na służącego.

Nagle znalazł się w staroświeckim saloniku wyłożonym ciemnym dębem i z kominkiem wielkości łuku triumfalnego. Dokładnie naprzeciwko drzwi, przy oknie, w głębokim fotelu siedziała prześliczna młoda kobieta i patrzyła na drzewa oraz wysokie, puste wzgórza. Pan Segundus zdążył zauważyć jedynie, że brakuje jej małego palca u lewej ręki, kiedy nagle zniknęła - a może należałoby raczej powiedzieć: uległa przeobrażeniu. Jej miejsce zajęła znacznie starsza tęga dama, mniej więcej w wieku pana Segundusa, ubrana w suknię z fiołkowego jedwabiu i otulona hinduskim szalem. Na kolanach trzymała małego pieska. Dama przyjęła tę samą pozę i wyglądała przez okno z identycznym tęsknym wyrazem twarzy.

Przemiana dokonała się w ciągu krótkiej chwili, lecz wizja obu dam wywarła na pana Segundusie niezwykle mocne wrażenie. Czuł się tak, jakby doznał omamów wzrokowych. Jego zmysły nie poradziły sobie z nadmiarem wrażeń, poczuł ciarki przebiegające po plecach i zemdlał.

Ocknął się na podłodze. Panie pochylały się nad nim, wykrzykując coś z konsternacją i niepokojem. Mimo oszołomienia szybko zrozumiał, że żadna z nich nie jest piękną młodą niewiastą bez palca, którą widział na samym początku. Jedna była damą z małym pieskiem, którą zobaczył później, a druga szczupłą, jasnowłosą, dojrzałą kobietą o przeciętnej powierzchowności i figurze. Okazało się, że siedziała w pokoju przez cały czas, ale za drzwiami, i dlatego jej nie zauważył.

Damy nie pozwoliły mu wstać ani w ogóle się poruszyć. Ledwie dały mu dość do głosu. Ostrzegły go surowo, że zapewne ponownie zemdleje. Przyniosły mu poduszki pod

głowę i koce, by nie zmarł (tłumaczył, że jest mu ciepło, ale w ogóle nie chciały słuchać). Zastosowały wodę lawendową i sal volatile. Zapobiegły przeciągowi, który ich zdaniem wydobywał się spod drzwi. Pan Segundus zaczął podejrzewać, że strasznie się nudziły i pojawienie się nieznanego dżentelmena, który momentalnie zemdlął, bardziej je ucieszyło, niż zmartwiło.

Po kwadransie tych zabiegów mógł wreszcie usiąść w fotelu i samodzielnie wypić herbatę.

- Wina leży po mojej stronie - oświadczyła dama z pieskiem. - Fellowes wspominał, że przyjechał dżentelmen z Yorku, by obejrzeć księgi. Powinnam się była wcześniej panu przedstawić. Doznał pan szoku na nasz widok.

Dama nosiła nazwisko Lennox, towarzyszyła jej pani Blake. Zazwyczaj przebywały w Bath, ale zjawily się w Starecross, by pani Lennox raz jeszcze popatrzyła na dom, zanim zostanie sprzedany.

- Niemądre, prawda? - westchnęła pani Lennox. - Tyle czasu stał pusty. Powinnam była sprzedać go już wiele lat temu, ale w dzieciństwie spędziłam tu niejedne szczęśliwe wakacje.

- Nadal jest pan bardzo blady - zauważyła pani Blake. - Posiłał się pan dzisiaj?

Pan Segundus przyznał, że jest bardzo głodny.

- Czyżby Fellowes nie zaproponował panu obiadu? - spytała pani Lennox ze zdumieniem.

Fellowes był zapewne niechlujem z pokoiku pod schodami. Pan Segundus nie chciał mówić damom, że ledwie zdołał go przekonać, by raczył otworzyć usta.

Szczęśliwie panie Lennox i Blake przywiozły z sobą suty obiad i Fellowes właśnie go przygotowywał. Pół godziny później obie damy w towarzystwie pana Segundusa zasiadły do posiłku w pokoju wyłożonym dębem, z melancholijnym widokiem na jesienne drzewa. Jedyną niedogodnością było życzenie obu pań, by pan Segundus ze względu na swą niedyspozycję spożył lekkostrawny posiłek, podczas gdy mag umierał z głodu i miał chętkę na befsztyki oraz gorący pudding.

Obie damy cieszyło towarzystwo pana Segundusa, zadawały mu mnóstwo pytań. Najbardziej zainteresowało je to, że jest magiem - do tej pory żadnego nie widziały.

- Natknął się pan na jakieś dzieła o magii w mojej bibliotece? - spytała pani Lennox.

- Nie, proszę pani - odparł pan Segundus. - Takie księgi to wielka rzadkość. Byłbym zdumiony, gdybym jakąś znalazł.

- Teraz przypominam sobie, że było ich tu kilka - zamyśliła się pani Lennox. - Wiele

lat temu sprzedałam je dżentelmenowi z okolic Yorku. Tak między nami, uznałam, że jest nieco niemądry, skoro płaci mi bająnskie sumy za książki, których nikt nie chciał. Może jednak wykazał się mądrością.

Pan Segundus wiedział, że „dżentelmen z okolic Yorku” zapewne nie zapłacił pani Lennox nawet ćwierci wartości ksiąg, ale nie wypadało mówić tego na głos. Zachował to spostrzeżenie dla siebie i tylko uprzejmie się uśmiechnął. Potem opowiedział paniom o swych uczniach i uczennicach, o tym, jacy są bystrzy i jak garną się do nauki.

- Skoro zachęca ich pan takimi pochwałami, na pewno lepiej się uczą pod pańskim kierunkiem niż przy innych pedagogach - zauważyła uprzejmie pani Blake.

- Nie jestem pewien - odparł pan Segundus.

- Nie sądziłam, że nauka magii jest tak popularna - powiedziała pani Lennox z zadumą. - Myślałam, że zajmują się nią tylko ci dwaj panowie w Londynie. Jakże się oni nazywają? Zapewne pańskim następnym posunięciem będzie założenie szkoły dla magów?

- Szkoły! - powtórzył pan Segundus. - Och! To wymagałoby mnóstwa pieniędzy, sam nie wiem, jakiej sumy, no i siedziby.

- Pewnie byłyby też problemy ze znalezieniem uczniów? - zasugerowała pani Lennox.

- Och, nie! Już teraz przychodzi mi na myśl czterech młodych ludzi.

- A gdyby miał pan zareklamować...

- Och, nigdy bym tego nie zrobił! - oświadczył pan Segundus nieco zaskoczony. - Magia to najszlachetniejsza profesja w świecie, może druga w kolejności, po stanie duchownym. Nikt nie powinien jej kłać komercjalizacją. Nie, przyjmowałbym tylko młodych ludzi z polecenia.

- Czyli pozostaje tylko znalezienie pewnej sumy i siedziby. Nic prostszego. Sądzę, że pański przyjaciel, pan Honeyfoot, o którym wypowiada się pan z takim szacunkiem, chętnie pożyczyc panu pieniądze. Zapewne wręcz tego pragnie.

- O nie! Pan Honeyfoot ma trzy córki, najmilsze dziewczęta pod słońcem. Jedna z nich jest zamężna, druga zaręczona, a trzecia nie może się zdecydować. Nie, pan Honeyfoot musi myśleć o swojej rodzinie. Jego pieniądze mają ściśle określone przeznaczenie.

- Wobec tego z czystym sumieniem złożę panu propozycję! Dlaczego ja nie miałabym udzielić panu pożyczki?

Zdumiony pan Segundus nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Bardzo pani uprzejma - wyjąkał w końcu.

- Ależ skąd. - Pani Lennox uśmiechnęła się do niego. - Jeszcze to sprawdzę, ale jeśli magia jest tak popularna, jak pan twierdzi, zyski z pewnością będą spore.

- Ale moje doświadczenie w interesach jest znikome - oświadczył pan Segundus. - Bałbym się popełnić błąd i stracić pani pieniądze. Jestem pani bardzo wdzięczny i z całego serca dziękuję, muszę jednak odmówić.

- Skoro nie podoba się panu wizja zaciągania długu - a wiem, że niektórzy tego nie lubią - łatwo obejść problem. Szkoła będzie moja, wyłącznie moja. Ja poniosę koszty i ryzyko. Pan zostanie dyrektorem, nasze nazwiska wspólnie pojawią się w informatorze. W końcu ten dom znakomicie nadaje się na szkołę dla magów. Jako rezydencja ma sporo wad, lecz jako szkoła mnóstwo zalet. To ustronna okolica, nie urządza się tu większych polowań. Młodzi ludzie raczej nie znajdą okazji ani do nich, ani do hazardu, więc skupią się na nauce.

- Nie wybrałbym młodzieży, która uprawia hazard! - Pan Segundus raz jeszcze się zdziwił.

Pani Lennox uśmiechnęła się do niego.

- Zapewne nigdy nie dał pan swym przyjaciołom najmniejszych powodów do niepokoju poza jednym: że ten niegodziwy świat szybko wykorzystywał kogoś tak szlachetnego.

Po obiedzie pan Segundus z obowiązku powrócił do biblioteki i wczesnym wieczorem pożegnał obie damy. Rozstali się w wielkiej przyjaźni, a pani Lennox obiecała, że wkrótce zaprosi pana Segundusa do Bath.

W drodze powrotnej pan Segundus zakazał sobie surowo snucia cudownych planów dotyczących Satysfakcjonującej Pracy i Prawdziwego Szczęścia. Wciąż jednak wyobrażał sobie, jak naucza młodych ludzi, obserwuje ich niesłychane postępy; marzył o odwiedzinach Jonathana Strange'a w szkole i o zachwycie uczniów, gdy odkryją, że ich dyrektor jest przyjacielem i powiernikiem najstynniejszego maga naszych czasów. Niemal słyszał Strange'a, który mówi do niego: „Doskonale, mój panie. Sam nie zrobiłbym tego lepiej. Dobra robota!”

Do domu dotarł po północy. Ledwie zdołał się powstrzymać od pobiegnięcia do pana Honeyfoota i podzielenia się z nim nowinami. Następnego dnia przybył do domu przyjaciela o bardzo wczesnej godzinie, a gdy powiedział państwu Honeyfootom, co zaszło, rozpływali się w zachwytach. Byli pełni radości, którą Segundus sam bał się okazywać. Pani Honeyfoot wciąż miała w sobie wiele z pensjonarki. Chwyliła męża za rękę i wirowała z nim wokół stołu, chcąc w ten sposób wyrazić radość. Potem złapała za rękę pana Segundusa, a kiedy obaj magowie zaprotestowali przeciwko tańcom, kręciła się sama. Pan Segundus żałował tylko (choć niezbyt głęboko), że państwo Honeyfootowie nie zdumieli się tak, jak tego oczekiwał. Cieszył się w ich oczach tak dobrą opinią, że nie dostrzegli nic niezwykłego w tym, że wielka dama pragnie wyłącznie ze względu na niego założyć szkołę.

- Miała szczęście, że pana znalazła! - oznajmił pan Honeyfoot. - Któż lepiej nadaje się do kierowania szkołą magów? Nikt!

- Poza tym, co zrobiłaby z pieniędzmi? - snuła rozważania pani Honeyfoot. - Biedna, bezdzietna dama.

Pan Honeyfoot był przekonany, że świat stoi otworem przed panem Segundusem. Wrodzony optymizm nie pozwalał mu w to wątpić. Był jednak człowiekiem praktycznym, więc powiedział panu Segundusowi, że popyta o panią Lennox i dowie się, kim jest i czy rzeczywiście jest tak bogata, jak utrzymuje.

Napisali do Bath, do przyjaciela pana Honeyfoota. Na szczęście pani Lennox okazała się wielką damą, nawet jak na Bath, ukochane miejsce ludzi majątnych i ważnych. Urodziła się zamożna i wyszła za mąż za jeszcze bogatszego dżentelmena. Umarł młodo, ona zaś mogła bez przeszkód wykorzystywać swe aktywne usposobienie i bystry umysł. Krótko opłakiwała męża, a później powiększyła fortunę, dobrze inwestując i zarządzając posiadłościami. Słynęła z odwagi i stanowczości, przedsięwzięć charytatywnych i lojalności wobec przyjaciół. Miała domy we wszystkich częściach królestwa, ale zazwyczaj rezydowała w Bath, razem z panią Blake.

Tymczasem pani Lennox również rozpytywała o pana Segundusa. Zasłyszane informacje najwyraźniej ją zadowolily, gdyż wkrótce zaprosiła go do Bath, gdzie omówili szczegóły dotyczące przyszłej szkoły.

Przez następne miesiące reperowano i modernizowano Starecross Hali. Dach ciekł, dwa kominy były zapchane, część kuchni się zapadła. Pan Segundus przeżył szok, gdy odkrył, ile wszystko kosztuje. Wyliczył sobie, że jeśli nie wyczyści drugiego komina, pozostawi stare wiejskie ławy oraz drewniane krzesła, zamiast kupować nowe meble, oraz ograniczy liczbę sług do trzech, to zaoszczędzi sześćdziesiąt funtów. Wysłał list w tej sprawie i nie czekał długo na odpowiedź od pani Lennox - dama nakazała mu zwiększyć wydatki. Jego uczniowie z dobrych rodzin będą oczekiwali ciepła i wygody. Poradziła mu zatrudnić dziewięciu służących, a do tego lokaja i francuskiego kucharza, całkiem zmienić umeblowanie i zakupić piwniczkę dobrych francuskich win. Sztućce muszą być ze srebra, a serwis od Wedgwooda.

Na początku grudnia pan Segundus otrzymał list z gratulacjami od Jonathana Strange'a, który obiecał na wiosnę przyjechać do Starecross. Niezależnie jednak od dobrych intencji i wysiłków wszystkich pan Segundus nie mógł się pozbyć wrażenia, że szkoła nigdy nie powstanie. Ta myśl wciąż go dręczyła, choć starał się ją wyrzucić z głowy.

Pewnego ranka w połowie grudnia przybył do Starecross Hali i ujrzał jakiegoś

człowieka siedzącego na schodkach. Choć nigdy wcześniej go nie widział, natychmiast jednak rozpoznał: było to uosobienie pecha, kres marzeń i nadziei pana Segundusa. Mężczyzna miał na sobie płaszcz o staroświeckim kroju, równie stary i wystrzępiony jak płaszcz pana Segundusa, a na nogach ubłocone buty. Z długimi potarganymi włosami wyglądał jak zwiastun zagłady w kiepskiej sztuce.

- Nie może pan tego zrobić! - powiedział z północnym akcentem nieznajomy.

- Słucham?

- Chodzi o szkołę, proszę pana. Proszę zaniechać tej myśli.

- Co takiego?! - krzyknął pan Segundus, dzielnie udając, że nie wie, iż przybysz mówi nieuchronną prawdę.

- Zna mnie pan i dobrze wie, że kiedy coś powiem, tak musi być - choć obaj możemy się z tym w duchu nie zgadzać.

- Myli się pan - powiedział pan Segundus. - Nie znam pana. Wątpię, czy się kiedykolwiek spotkaliśmy.

- Nazywam się John Childermass, jestem sługą pana Norrella. Rozmawialiśmy niemal dziewięć lat temu przed katedrą w Yorku. Kiedy ograniczał się pan do kilku uczniów, mogłem przymknąć na to oko. Milczałem i pan Norrell nie miał pojęcia, co pan robi. Jednakże prawdziwa szkoła dla dorosłych magów to całkiem inna sprawa. Jest pan zbyt ambitny. On wie, szanowny panie. Wie i pragnie, by pan natychmiast z tym skończył.

- Ale co pan Norrell i jego pragnienia mają ze mną wspólnego? Nie podpisałem umowy. Zapewne nie jest dla pana tajemnicą, że to nie tylko moje przedsięwzięcie. Teraz mam przyjaciół.

- O tak - przytaknął Childermass, lekko rozbawiony. - Pani Lennox to bardzo bogata kobieta, doskonale zna się na interesach. Czy jednak cieszy się przyjaźnią ministrów jak pan Norrell? Czy ma podobne wpływy? Proszę pamiętać o Uczonym Towarzystwie Magów Yorku, drogi panie! Proszę pamiętać, jak się z nimi rozprawił!

Childermass odczekał chwilę, a ponieważ rozmowa najwyraźniej dobiegła końca, odszedł w kierunku stajni. Pięć minut później pokazał się ponownie na dużym brązowym koniu. Pan Segundus ciągle stał w tym samym miejscu, ze skrzyżowanymi ramionami i spojrzeniem utkwionym w bruk.

- Przykro mi, że tak to się kończy - Childermass popatrzył na niego. - Ale chyba nie wszystko stracone? Ten dom nada się przecież na siedzibę innej instytucji. Może na takiego nie wyglądam, ale jestem wykształconym człowiekiem i mam rozliczne znajomości. Proszę wybrać inny rodzaj szkoły, a gdy tylko usłyszę, że jakiś lord lub dama potrzebują stosownej

placówki dla swojego potomka, natychmiast ich do pana przyśle.

- Nie chcę innej szkoły! - burknął pan Segundus opryskliwie.

Childermass uśmiechnął się półgębkiem i odjechał.

Pan Segundus udał się do Bath i powiadomił patronkę o problemach. Pani Lennox była bardzo niezadowolona, że jakiś dżentelmen, którego nawet nie zna, uznał za stosowne pouczać ją, co powinna robić. Napisała do pana Norrella pełen oburzenia list. Nie odpowiedział, lecz bankierzy, prawnicy i partnerzy pani Lennox w interesach nagle zaczęli otrzymywać dziwne pisma od znanych sobie ludzi z towarzystwa. Zawierały one liczne skargi na szkołę pana Segundusa. Jeden z tych bankierów, kłótlivy i uparty staruszek, był na tyle nierozsądny, by dziwić się publicznie (w westybulu Izby Gmin), co szkoła dla magów w hrabstwie York ma z nim wspólnego.

W rezultacie kilka osób z towarzystwa, zaprzyjaźnionych z panem Norrellem, natychmiast zrezygnowało z usług jego banku.

Parę dni później pan Segundus siedział w salonie państwa Honeyfootów, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Zupełnie jakby prześladował mnie pech; podtyka mi pod nos nagrody tylko po to, by je raptownie zabrać - rozpacział.

Pani Honeyfoot cmoknęła współczująco, poklepała go po ramieniu, po czym potępiła pana Norrella tymi samymi słowami, którymi przez ostatnich dziewięć lat potępiła go w obecności pana Segundusa i swojego męża: oświadczyła, że pan Norrell jest bardzo osobliwym dżentelmenem i że nigdy go nie zrozumie.

- Może napisze pan do Strange'a? - powiedział nagle pan Honeyfoot. - On będzie wiedział, co robić.

- Och! - Pan Segundus uniósł wzrok. - Wiem, że panowie Strange i Norrell się rozstali, lecz mimo to nie chciałbym być powodem kłótni między nimi.

- Nonsens! - wykrzyknął pan Honeyfoot. - Nie czytał pan ostatnich numerów „Maga Nowoczesnego”? Właśnie tego pragnie Strange - przykładu magii norelickiej, którą będzie mógł otwarcie zaatakować i w ten sposób zniszczyć cały system. Proszę mi wierzyć, będzie panu zobowiązany. Im więcej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się ten plan!

Pan Segundus w końcu ustąpił.

- Tylko skontaktuję się z panią Lennox, a jeśli i ona wyrazi zgodę, zrobię to, co pan sugeruje - powiedział.

Pani Lennox zupełnie nie miała pojęcia o ostatnich wydarzeniach w świecie magii. O Jonathanie Strange'u wiedziała jedynie, że istnieje i że coś go łączy z księciem Wellingtonem.



Zapewniła jednak pana Segundusa, że brak sympatii do pana Norrella przemawia na korzyść Strange'a. I tak dwudziestego grudnia pan Segundus wysłał Strange'owi list z informacją o postępowaniu Gilberta Norrella w związku ze szkołą w Starecross Hill.

Niestety, Jonathan Strange nie tylko nie wziął w obronę pana Segundusa, ale nawet nie odpisał.

## Rozdział dwudziesty

*Strange postanawia napisać książkę czerwiecgrudzień 1815*

Łatwo można sobie wyobrazić, jak ucieszył się pan Norrell na wieść, że po powrocie do Anglii Strange pojechał prosto do Shropshire.

- Na wsi raczej nie opublikuje tych szkodliwych artykułów o magii Króla Kruków - powiedział do Lascellesa.

- Rzeczywiście - przytaknął Lascelles. - Wątpię, by miał na to czas.

Pan Norrell przez chwilę zastanawiał się, cóż to może oznaczać.

- Nie słyszał pan? - ciągnął Lascelles. - Strange pisze książkę. Ciągłe wspomina o tym w listach do przyjaciół. Zaczął całkiem niespodziewanie, mniej więcej dwa tygodnie temu, i podobno robi postępy. Wszyscy zresztą wiemy, z jaką łatwością pisze. Obiecał sobie, że książka ta będzie kompendium wiedzy o angielskiej magii. Mówił sir Walterowi, że zapewne nie zdoła się ograniczyć do dwóch tomów. Uważa, że potrzebne będą trzy. Książka ma nosić tytuł *Historia i zastosowanie angielskiej magii*. Murray obiecał ją opublikować.

Była to chyba najgorsza wiadomość ze wszystkich możliwych. Pan Norrell zawsze sam planował napisać książkę *Wstęp do nauki sztuki magicznej*. Zaczął nad nią pracować, gdy został nauczycielem pana Strange'a. Jego notatki wypełniały już dwie półki niewielkiego, pełnego książek gabinetu na drugim piętrze. Ciągłe jednak odkładał pisanie na daleką przyszłość, gdyż odczuwał całkiem niezrozumiały strach przed przelewaniem wiedzy na papier. Nie wyleczyło go nawet osiem lat bezkrytycznego podziwu całego Londynu. Nikt (poza Strange'em i Childermassem) nie widział jego prywatnych notatek ani dzienników. Pan Norrell uważał, że nie jest jeszcze gotowy na publikację, nie miał pewności, czy dotarł do prawdy. Nie wierzył też, że wystarczająco przemyślał sprawy, i nie wiedział, czy jego wnioski nadają się do zaprezentowania czytelnikom.

Po wyjściu Lascellesa pan Norrell zażądał, by do gabinetu na drugim piętrze przyniesiono srebrne naczynie z czystą wodą.

W Shropshire Strange siedział nad swą książką. Nie uniósł wzroku, lecz nagle uśmiechnął się z lekką drwiną i pomachał palcem w powietrzu, jakby chciał pogrozić jakiejś niewidzialnej istocie. Wszystkie lustra w pokoju Strange'a były odwrócone do ściany i choć pan Norrell spędził kilka godzin nad srebrną misą, niczego się nie dowiedział.

Na początku grudnia Stephen Black czyścił srebra w pokoju na końcu korytarzyka, nieopodal kuchni. Nagle spuścił wzrok i zobaczył, że tasiemki jego fartucha się rozwiązują. Węzełek wcale się nie poluzował (Stephen zawsze wiązał go niezwykle starannie), lecz tasiemki same się rozplątywały, i to w odważny, zdecydowany sposób, jakby - wiedziały, co robią. Następnie zarękawki i rękawiczki do polerowania ześliznęły się z jego przedramion i dłoni, po czym schludnie złożyły się na stole. Potem frak sfrunął z oparcia krzesła i włożył się na Stephena. Na koniec pokoik kamerdynera zniknął.

Teraz Stephen stał w niewielkim pomieszczeniu wyłożonym ciemnym drewnem. Większość miejsca zajmował stół przykryty obrusem ze szkarłatnego płótna, o szerokiej i bogato zdobionej, srebrnozłotej bordiurze. Rozłożono na nim mnóstwo talerzy. Zdobione klejnotami dzbany wypełniało wino. Świece z wosku w złotych świecznikach rzucały złocistą poświatę na ściany, a nad dwiema złotymi kadzielnicami unosił się wonny dym. Poza stołem w pokoju znajdowały się jedynie dwa rzeźbione krzesła obite złotą tkaniną. Leżały na nich wygodne haftowane poduszki. Jedno z krzeseł zajmował dżentelmen o włosach jak puch ostu.

- Dobry wieczór, Stephenie!

- Dobry wieczór panu.

- Jesteś nieco blady, Stephenie. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

- Trochę brak mi tchu. Te nagle wędrówki do obcych krajów i na inne kontynenty są nieco kłopotliwe.

- Och, nadal jesteście w Londynie, Stephenie. To kawiarnia Jerozolimska na Cowper's Court. Nie znasz jej?

- Och, w rzeczy samej, panie. Za kawalerskich czasów sir Walter często tu biesiadował z bogatymi przyjaciółmi. Kawiarnia jednak nigdy nie prezentowała się tak znakomicie. Właściwie nie rozpoznaję niemal żadnych dań na tym bankiecie.

- Ach, to dlatego, że zamówiłem dokładną kopię posiłku, który jadłem w tym miejscu czterysta bądź pięćset lat temu. Oto udziec pieczonego skrzydlatego smoka i pasztet z kolibrów w miodzie. Tu mamy pieczoną salamandrę w sosie z granatów. To delikatna potrawka z grzebieni bazyliisków z szafranem, sproszkowaną tęczą, zdobiona złotymi

gwiazdami! A teraz siadaj i jedz, to najlepsze lekarstwo na zawroty głowy. Czego skosztujesz?

- Wszystko jest wspaniałe, panie, ale chyba wezmę zwykłe steki wieprzowe. Wyglądają bardzo smakowicie.

- Och, Stephenie! Jak zwykle twój dobry smak wpłynął na wybór najbardziej wyrafinowanego dania! Choć steki rzeczywiście wyglądają zwyczajnie, smażyły się w tłuszczu wytopionym z wyegzorcyzmowanych duchów czarnych świń, które nocą błakają się po wzgórzach Walii, strasząc mieszkańców tego żalostnego kraju! Upiorność i zajadłość świń nadają stekom niezwykły posmak, całkiem niepodobny do innych! A sos do nich przyrządzono z wiśni z sadu centaury!

Dżentelmen podniósł wysadzany klejnotami pozłacany dzban i nalał Stephenowi wina.

- Oto wino z jednej z piekielnych winnic. Niech cię to jednak nie zniechęca! Na pewno słyszałeś o Tantalusie, niegodziwym królu, który upiekł własnego syna i podał go bogom na ucztę? Musi teraz stać po szyję w wodzie, której nie wolno mu pić, pod gałęzią pełną winogron, których nie może zjeść. Wino wyciśnięto właśnie z nich. A ponieważ winorośl zasadzono tam wyłącznie po to, by dręczyć Tantalusa, możesz być pewien, że winogrona mają znakomity smak i aromat. Granaty zaś pochodzą z sadu Persefony.

Stephen skosztował wina i steków z wieprzowiny.

- Wyśmienite, panie. Przy jakiej okazji biesiadował tu pan poprzednio?

- Och, wraz z przyjaciółmi świętowałem wyjazd na krucjaty. Towarzyszyli mi William Lanchester<sup>[62]</sup> i Tom Dundell<sup>[63]</sup> oraz wielu innych szlachetnych lordów, rycerzy, chrześcijan i elfów. Rzecz jasna, wtedy nie była to kawiarnia, lecz gospoda. Z miejsca, w którym siedzieliśmy, rozciągał się widok na podwórze otoczone rzeźbionymi, pozłacanymi filarami. Służący, giermkowie i pacholki biegali w tę i z powrotem, przygotowując wszystko, byśmy mogli zadać straszliwy cios naszym niegodziwym wrogom. Po drugiej stronie podwórza znajdowały się stajnie. Odpoczywały w nich nie tylko najwspanialsze rumaki w Anglii, lecz także trzy jednorożce, które inny elf, mój kuzyn, zabierał do Ziemi Świętej, by ich rogami dziurawić nieprzyjaciół. Biesiadowało z nami kilku utalentowanych magów. W niczym nie przypominali patałachów, którzy teraz uchodzą za przedstawicieli tej profesji. Byli nie tylko przystojni, lecz także oddani swej sztuce! Ptaki na niebie nieruchomiały, by wysłuchać ich poleceń. Służyły im deszcze i rzeki. Wiatry z północy, południa i wszystkie inne istniały tylko po to, by spełniać ich rozkazy. Wznosili ręce, a miasta waliły się w gruzy albo powstawały! Jakiż to kontrast z tym okropnym staruchem, który

siedzi w zakurzonej sypialni, mamrocąc pod nosem i wertując starą księgę. - Dżentelmen z zadumą żuł potrawkę z bazyliuszka. - A ten drugi pisze książkę - dodał.

- Słyszałem o tym. Przyglądał mu się pan ostatnio?

- Ja? - Dżentelmen zmarszczył brwi. - Czyżbyś nie dosłyszał, że uważam tych magów za najgłupszych, najohydniejszych ludzi w Anglii? Nie, od chwili gdy opuścił Londyn, widuję go zaledwie dwa lub trzy razy w tygodniu. Kiedy pisze, topornie ostrzy pióro starym nożykiem. Mnie byłoby wstyd używać tak brzydkiego i zniszczonego narzędzia, ale ci magowie tolerują wszelkie obrzydlistwa, na których widok ty i ja wzdragalibyśmy się ze wstrętem! Czasem tak się zapamiętuje w pisaniu, że w ogóle zapomina o ostrzeniu pióra. Atrament kapie na kartki, do kawy, a on nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

Stephen uznał za dziwne, że dżentelmen, który zamieszkiwał na wpół zrujnowaną posiadłość otoczoną ponurymi śladami minionych bitew, jest tak przeczulony na punkcie bałaganu w cudzych domach.

- A temat księgi? - zapytał. - Co pan o tym myśli?

- Bardzo to dziwne! Opisuje wszystkie najważniejsze objawienia przedstawicieli mojej rasy w tym kraju. To relacje z naszych interwencji w sprawę Wielkiej Brytanii dla dobra królestwa i chwały jego mieszkańców. Ciągłe powtarza, że nowocześni magowie powinni nas wzywać i błagać o pomoc. Rozumiesz coś z tego, Stephenie? Bo ja nic. Kiedy usiłowałem zwabić króla Anglii do mego domu i okazywałem mu zainteresowanie, ten sam mag popsuł mi szyki. Wówczas najwyraźniej postanowił mnie obrazić.

- Być może nie rozumiał, kim pan jest - Stephen zasugerował łagodnie.

- Och! Kto wie, co rozumieją ci Anglicy? Ich myśli biegną dziwnymi torami! Obawiam się, Stephenie, że sam to odkryjesz, kiedy zostaniesz ich królem!

- Naprawdę nie pragnę być niczym królem.

Zmienisz zdanie, gdy zaczniesz rządzić. Przygnębia cię myśl, że znajdziesz się z dala od Utraconej Nadziei i wszystkich przyjaciół. Ale rozchmurz się! Też byłbym nieszczęśliwy, gdyby twoja koronacja oznaczała nasze rozstanie. Nie widzę powodu, żebyś ciągle siedział w Anglii tylko dlatego, że jesteś jej władcą. Żadna osoba o dobrym smaku nie mogłaby spędzić w takim nudnym kraju więcej niż tydzień. Tydzień to nawet zbyt długo!

- Co jednak z moimi obowiązkami? Jeśli dobrze rozumiem, królowie mają mnóstwo zajęć, a choć nie chcę być królem, nie powinienem...

Najdroższy Stephenie! - przerwał mu dżentelmen z czułością i rozbawieniem. - Od czego są seneszałowie? Oni zajmą się nudnymi obowiązkami związanymi z rządem. Ty będziesz bawił wraz ze mną w Utraconej Nadziei i tam oddawał się rozrywkom. Powrócisz tu

od czasu do czasu, po to tylko, by zbierać podatki i dary od podbitych narodów i umieszczać je w banku. Podejrzewam, że raz na jakiś czas będziesz zmuszony pozostać w Anglii nieco dłużej, a wtedy namalują twój portret, poddani zaś będą cię jeszcze bardziej wielbić. Czasem łaskawie pozwolisz, by najpiękniejsze damy w kraju czekały w kolejce do ucałowania twej dłoni i by cię pokochały. Dopelnivszy obowiązku, z czystym sumieniem powrócisz do lady Pole i do mnie. - Nagle dżentelmen urwał i popadł w zadumę (co było dla niego raczej nietypowe), po czym dodał: - Muszę przyznać, że mój zachwyty nad piękną lady Pole nie jest tak bezgraniczny jak niegdyś. Spotkałem pewną damę, którą od niej wolę. Jest umiarkowanie ładna, lecz braki w urodzie nadrabia energicznym usposobieniem i elokwencją. Dama ta ma wielką przewagę nad lady Pole. Jak obaj wiemy, Stephenie, gdy lady Pole odwiedza mój dom, zawsze musi wrócić do siebie, zgodnie z umową, którą zawarłem z magiem. W przypadku tej damy nic mnie jednak nie wiąże. Gdy ją zdobędę, pozostanie u mego boku na zawsze!

Stephen westchnął. Myśl o następnej biednej niewieście na wieki uwięzionej w Utraconej Nadziei była doprawdy przygnębiająca. Wiedział dobrze, że nie zdoła temu zapobiec, mógł jedynie spróbować obrócić sytuację na korzyść lady Pole.

- A może - zaczął z respektem - w takim wypadku uwolniąby pan lady Pole od zaklęcia? Wiem, że jej mąż i przyjaciele chętnie by ją odzyskali.

- Och! Zawsze będę uważał lady Pole za niezwykle pożądaną ozdobę naszych przyjęć. Piękna kobieta wszędzie znakomicie się prezentuje i szczerze wątpię, czy w Anglii są inne równie urodziwe damy. Nawet w Faerie niewiele pań może się z nią równać. Nie, to, co sugerujesz, jest wykluczone. Musimy obmyślić plan, jak przenieść tę drugą damę do Utraconej Nadziei. Wiem, Stephenie, że tym chętniej mi pomożesz, kiedy ci powiem, że zabranie jej z Anglii jest moim zdaniem niezbędne do tego, byś został królem. To będzie straszliwy cios dla naszych wrogów! Pogrąży ich w czarnej rozpacz! Wywoła wśród nich niesnaski i zasieje ziarno niezgody. O tak! Będzie dobre dla nas i złe dla nich! Zaprzepaścilibyśmy nasze wysiłki, nie czyniąc tego!

Stephen prawie nic nie rozumiał. Czy dżentelmen mówił o jednej z księżniczek z zamku Windsor? Wszyscy dobrze wiedzieli, że król oszalał, gdy zmarła jego najmłodsza, ukochana córka. Może dżentelmen o włosach jak puch ostu przypuszczał, że utrata następnej księżniczki wpędzi go do grobu albo pomiesza zmysły innych członków rodziny królewskiej?

- Drogie Stephenie, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, jak sprowadzić tę damę tak, by nikt niczego nie zauważył. Zwłaszcza by nie zauważyli tego magowie! - Dżentelmen zastanawiał się przez chwilę. - Wiem! Przynies mi dębinę torfową!

- Słucham?

- Ma być szeroka jak ty i sięgać mi do obojczyka.

- Przyniosłbym z rozkoszą, panie, ale nie wiem, co to takiego.

- Stare drewno, które przez niezliczone stulecia tkwiło w torfowisku.

- Obawiam się, panie, że raczej nie znajdziemy go w Londynie. Brak tu torfowisk.

- Co prawda to prawda. - Dżentelmen odchylił się na krześle i wbił wzrok w sufit, rozważając ten problem.

- Może nada się inne? - spytał Stephen. - Na Gracechurch Street jest handlarz drewnem, który moim zdaniem...

- Nie, nie - przerwał dżentelmen. - Wszystko musi...

W tym samym momencie Stephen doświadczył bardzo dziwnego uczucia: coś nim szarpnęło i postawiło go na nogi. Jednocześnie kawiarnia zniknęła - zastąpiła ją czarna jak smoła, lodowata pustka. Choć Stephen nic nie widział, czuł, że znajduje się w otwartej przestrzeni. Ostry wiatr gwizdał mu w uszach, a gęsty deszcz zdawał się padać ze wszystkich stron naraz.

-...pójść zgodnie z planem - ciągnął dżentelmen tym samym tonem co wcześniej. - Tu w okolicy jest piękna dębina torfowa. Wydaje mi się, że pamiętam... - Jego głos, który dobiegał z okolicy prawego ucha Stephena, był coraz cichszy. - Stephenie, masz z sobą łopotnik, koleinik i ciośnik?

- Co takiego? Nie, panie. Nie przyniosłem tych rzeczy. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że dokądś się wybieramy.

Stephen odkrył, że tkwi po kostki w zimnej wodzie. Spróbował wyjść na brzeg, ale w tym samym momencie ziemia usunęła mu się spod stóp. Zanurzył się w wodzie po łydki. Krzyknął.

- Hm? - mruknął pytająco dżentelmen.

- Nie chciałem przeszkadzać, ale chyba ziemia mnie wciąga.

- Bo to bagno - wyjaśnił dżentelmen uprzejmie.

- Zdecydowanie przerażający teren.

Stephen usiłował naśladować spokojny, obojętny ton dżentelmena. Wiedział aż nazbyt dobrze, że przywiązuje on wielką wagę do zachowania godności w każdej sytuacji, więc obawiał się, że jeśli okaże strach, zdegustowany dżentelmen pójdzie sobie, a jego pochłonie trzęsawisko. Usiłował się poruszyć, ale nie znalazł pod nogami gruntu. Zamachał ramionami, by odzyskać równowagę, zamiast tego jednak nieomal runął na ziemię. W rezultacie jego stopy i nogi zapadły się jeszcze bardziej. Znowu krzyknął, a trzęsawisko wydało kilka

wyjatkowo nieprzyjemnych cmoknięć, jakby wsysało Stephen.

- Och, Boże! Pozwolę sobie zauważyć, panie, że powoli tonę. Ach! - Zaczął zapadać się bokiem. - Wielokrotnie był pan tak miły i zapewniał mnie o swoim uczuciu, powtarzając, że przedkłada pan moje towarzystwo nad towarzystwo innych. Jeśli to nie kłopot, może mógłby mi pan pomóc uwolnić się z tego okropnego bagna?

Dżentelmen nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Nagle Stephen poczuł, że coś wyciąga go z błota. Stał na pewniejszym gruncie. Był osłabiony ze strachu i chętnie by się położył, ale bał się poruszyć. Tu ziemia wydawała się twarda, za to była nieprzyjemnie mokra i nie miał pojęcia, gdzie zaczynają się moczary.

- Chętnie bym panu pomógł! - zawołał w ciemności. - Nie zrobię jednak ani kroku ze strachu, że znowu wpadnę w bagno.

- Ach, to bez znaczenia - oznajmił dżentelmen. - Szczerze mówiąc, pozostaje nam tylko czekanie. Dębiny torfową najłatwiej znaleźć rankiem.

- Ale ranek nadejdzie dopiero za dziewięć godzin! - wykrzyknął z przerażeniem Stephen.

- Rzeczywiście! Wobec tego usiadźmy i poczekajmy.

- Tutaj, panie? To okropne miejsce, ciemne, zimne i straszne.

- Rzeczywiście! Bardzo nieprzyjemne - przytaknął dżentelmen z irytującym spokojem. Stephen mógł tylko przypuszczać, że działa on zgodnie ze swym obłąkańczym planem, czekając na świt.

Lodowaty wiatr owiewał Stephen, wilgoć wkradała się w każdą część jego jestestwa, ciemność go przytłaczała, a długie godziny mijały boleśnie powoli. Nie oczekiwał, że zdoła zasnąć, jednak w nocy na moment uwolnił się od swej rozpaczliwej sytuacji. Może nie tyle zasnął, ile się zdrzemnął.

W swym śnie poszedł do spizarki, by przynieść komuś plaster wspaniałej wieprzowiny zapiekanej w cieście. Kiedy rozkroił placek, okazało się, że wewnątrz jest bardzo mało mięsa - większość miejsca zajmowało miasto Birmingham. W wierzchniej skórce ciasta dymiły piece i kuźnie, huczały silniki. Jeden z mieszkańców, z wyglądu uprzejmy jegomość, wyszedł z nacięcia, a kiedy jego wzrok padł na Stephen, powiedział...

Wtedy właśnie do snu Stephen wdarł się wysoki, żalony dźwięk - powolna, smutna pieśń w nieznanym języku. Stephen natychmiast, nawet bez otwierania oczu, zrozumiał, że dżentelmen o włosach jak puch ostu śpiewa.

Można przypuszczać, że jeśli człowiek zaczyna śpiewać, tylko inni ludzie zwracają na to uwagę. Nawet gdy pieśń jest wyjątkowo piękna, to jedynie oni mogą podziwiać zdolności

śpiewaka. Wszystkich pozostałych stworzeń, żywych i martwych, ten fakt, najogólniej biorąc, nie porusza. Być może na śpiewającego zerknie kot lub pies, może nawet jego koń na chwilę przerwie żucie trawy, jeśli to nadzwyczaj zmyślna bestia, ale na tym koniec. Kiedy jednak śpiewa elf, słucha go cały świat. Stephen czuł, że chmury nieruchomieją, że śpiące wzgórza poruszają się i mruczą, że zimne mgły zaczynają tańczyć. Po raz pierwszy zrozumiał, że świat wcale nie jest głuchy, lecz po prostu czeka na kogoś, kto przemówi doń w zrozumiałym języku. W pieśni elfa ziemia rozpoznała imiona, którymi nazywała samą siebie.

Stephen znowu zaczął śnić. Tym razem w jego śnie wzgórza wędrowały, a niebo tonęło we łzach. Drzewa przemówiły, zdradzając mu swe sekrety i deklarując przyjaźń lub wrogość. Ważne losy skrywały się w kamykach i zwiędłych liściach. Śnił, że wszystko na świecie ma określone przeznaczenie, ale rozumiał też, że kamienie i rzeki, liście i ogień czasem można przekonać do innych zadań.

Obudził się nad ranem, przynajmniej tak sądził. Światło było rozmyte, wodniste i niesłychanie smutne. Dookoła wznosiły się potężne, szare, ponure wzgórza, a między nimi znajdowały się rozległe moczary. Stephen nigdy wcześniej nie widział krajobrazu, który z takim powodzeniem potrafiłby błyskawicznie wpędzić obserwatora w czarną rozpacz.

- To zapewne jedno z pańskich królestw, tak? - zapytał.

- Moich królestw? - powtórzył zdumiony dżentelmen. - Ależ skąd! To Szkocja!

Dżentelmen nagle zniknął i po chwili pojawił się z naręczem narzędzi. Wśród nich była siekiera i rozeń, i trzy przedmioty, których Stephen nigdy wcześniej nie widział. Jeden przypominał motykę, drugi łopatę, a trzeci był bardzo dziwną krzyżówką łopaty i kosy. Dżentelmen wręczył je wszystkie Stephenowi, który przyglądał się im ze zdumieniem.

- Czy są nowe? Tak mocno lśnią...

- No cóż, do magicznego zadania nie można użyć narzędzi ze zwykłego metalu. Zrobiono je ze stopu żywego srebra i blasku gwiazd. A teraz, Stephenie, musisz poszukać kawałka ziemi, na którym nie osiadła rosa. Jeśli tam pokopujemy, z pewnością natrafimy na pniak dębiny torfowej!

W całej dolince trawa i małe kolorowe rośliny z moczarów pokryte były rosą. Na ubraniu Stephena, jego dłoniach, włosach i skórze pojawił się aksamitny szary nalot, a włosy dżentelmena, i tak niezwykle, dodatkowo rozświetlały miliony błyszczących kropelek wody. Wyglądał, jakby wokół głowy miał wysadzaną klejnotami aureolę.

Dżentelmen przeszedł powoli przez dolinkę ze wzrokiem wbitym w ziemię. Stephen kroczył tuż za nim.

- Ach! - wykrzyknął nagle dżentelmen. - Tutaj! Stephen nie miał pojęcia, skąd on to



wiedział.

Stali pośrodku rozległego torfowiska, które wyglądało dokładnie tak samo jak każda inna część dolinki. Nie wyróżniały go żadne drzewo ani głąz. Dżentelmen szedł jednak pewnie przed siebie, aż dotarł do płytkiego wgłębienia. W jego środku widniał podłużny, szeroki pas ziemi wolnej od rosy.

- Kop tutaj, Stephenie!

Dżentelmen okazał się zadziwiająco dobrze poinformowany w kwestii krojenia torfu. Nie ruszył nawet palcem, za to dokładnie instruuował Stephena, jak za pomocą jednego z narzędzi zerwać wierzchnią warstwę trawy i mchu, potem innym przyrządem wykroić odpowiedni kawałek torfu i wreszcie, używając trzeciego narzędzia, ten kawałek wydobyć.

Stephen nie przywykł do ciężkiej pracy, więc wkrótce zabrakło mu tchu i czuł ból w każdej części ciała. Na szczęście nie musiał bardzo głęboko kopać, nim natrafił na coś znacznie twardszego niż torf.

- Ach! - wykrzyknął zadowolony dżentelmen. - To właśnie dębina torfowa. Doskonale! Teraz, Stephenie, tnij dokoła.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nawet gdy Stephen wyciął wystarczająco dużo torfu, by całkiem odsłonić dębinę, wciąż bardzo trudno było odróżnić ją od gleby - i jedna, i druga miały czarną barwę, były wilgotne i śliskie. Kopał jeszcze chwilę. Miał dziwne przeczucie, że choć dżentelmen wspominał jedynie o kłodzie dębiny torfowej, być może w torfie zanurzone było całe drzewo.

- Nie mógłby pan wydobyć tego mocą magii? - spytał Stephen.

- Nie, nie! Ależ skąd! Będę miał wielką prośbę do tego drzewa, więc naszym obowiązkiem jest sprawić, by jego przejście z trzęsawiska do szerokiego świata było jak najłatwiejsze! Weź tę siekierę, Stephenie, i wyrąb mi stosowny pniak. Potem za pomocą rozna i ciośnika wydzwigniemy go na ziemię.

Zajęło im to kolejne trzy godziny. Stephen porąbał drewno do odpowiednich rozmiarów, ale wyciągnięcie go przekraczało możliwości jednego człowieka. Dżentelmen musiał zejść w błotnistą, śmierdzącą dziurę i razem się męczyli. Już po wszystkim, niemal całkowicie wyczerpany, Stephen padł na ziemię, a dżentelmen stał i z wyraźnym ukontentowaniem wpatrywał się w pniak.

- No cóż - powiedział. - Okazało się to o wiele prostsze, niż przypuszczałem.

Stephen nagle odkrył, że ponownie trafili do górnej izby kawiarni Jerozolimskiej. Popatrzył na siebie i na dżentelmena. Ubrania mieli w strzępach, od stóp do głów pokrywało ich błoto. Po raz pierwszy też mógł się dobrze przyjrzeć dębinie torfowej. Była czarna jak

smoła, niezwykle gładka i ciekła z niej czarna woda.

- Musi wyschnąć, nim się do czegoś nada - powiedział.

- O nie - oświadczył dżentelmen z promiennym uśmiechem. - Do moich celów potrzebna jest właśnie taka!

## Rozdział dwudziesty pierwszy

*Dziwna przygoda pana Hydea grudzień 1815*

Pewnego ranka na początku grudnia Jeremy zapukał do drzwi biblioteki Strange'a w Ashfair House i oznajmił, że pan Hyde prosi o chwilę rozmowy.

Strange nie był zachwycony, że mu się przeszkadza. Od czasu przeprowadzki na wieś zagustował w spokoju i samotności niemal tak jak Norrell.

- No dobrze - mruknął.

Napisał jeszcze jeden akapit, sprawdził trzy lub cztery rzeczy w biografii Valentine'a Greatrakesa, osuszył bibułką tekst, poprawił błędy w pisowni, znowu osuszył całość, po czym udał się do salonu.

Przy kominku siedział samotnie pewien dżentelmen i z zadumą wpatrywał się w ogień. Był dziarskim pięćdziesięciolatkiem w skromnym stroju i obuwiu. Na stoliku obok stał kieliszek wina i talerzyk herbatników. Najwyraźniej Jeremy doszedł do wniosku, że gość czeka dość długo i potrzebuje wzmocnienia.

Pan Hyde i Jonathan Strange byli sąsiadami przez całe życie, jednak różnice w majątku i upodobaniach sprawiły, że ich stosunki nigdy nie wyszły poza zwykłą uprzejmość. Dziś spotkali się po raz pierwszy od momentu, gdy Strange został magiem. Uścisnęli sobie dłonie.

- Zapewne zastanawia się pan, co mnie sprowadza do pana w taką pogodę - zaczął pan Hyde.

- Pogodę?

- Tak. Jest bardzo brzydko.

Strange wyjrzał przez okno. Wysokie wzgórza wokół Ashfair oraz drzewa przed domem pokrywał śnieg. Nawet powietrze wydawało się białe od mrozu i mgły.

- Rzeczywiście. Nie zauważyłem. Nie opuściłem domu od niedzieli.

- Pański sługa wspominał, że jest pan bardzo zajęty. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, muszę jednak donieść panu o sprawie nie cierpiącej zwłoki.

- Och, nie ma potrzeby się tłumaczyć. Jak tam... - Strange urwał i usiłował sobie przypomnieć, czy pan Hyde ma żonę, dzieci, braci, siostry lub przyjaciół. Odkrył, że zupełnie nic mu nie wiadomo na ten temat. - ...pańska farma? Jeśli dobrze pamiętam, leży w Aston.

- Blżej Clunbury.

- Clunbury. Tak.

- Wszystko w porządku, poza jedną niepokojącą rzeczą, która wydarzyła się trzy dni temu. Zastanawiałem się długo, czy przyjść do pana i o tym porozmawiać. Prosiłem o radę przyjaciół i żonę - doszliśmy do wniosku, że powinienem panu powiedzieć, co zobaczyłem. Trzy dni temu miałem sprawę do załatwienia po walijskiej stronie granicy. Z Davidem Evansem, zapewne pan go zna?

- Z widzenia. Nigdy z nim nie rozmawiałem. Wydaje mi się, że Ford go zna.

(Ford był zarządcą majątku Strange'a).

- Cóż, David Evans i ja skończyliśmy nasze sprawy przed drugą, więc pilnie chciałem powrócić do domu. Wszędzie leżał głęboki śnieg, drogi pomiędzy naszą okolicą i Llanfair Waterdine są w opłakanym stanie. Pewnie pan tego nie wie, ale dom Davida Evansa stoi na wzgórzu. Rozciąga się stamtąd doskonały widok na zachód. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, zobaczyliśmy, że zmierzają ku nam stamtąd wielkie szare chmury śniegowe. Pani Evans, matka Davida, nalegała, bym przenocowałem u nich i powrócił do domu następnego dnia, ale Evans i ja doszliśmy do wniosku, że wszystko będzie dobrze, pod warunkiem że natychmiast ruszę do domu najkrótszą drogą - innymi słowy, że dojadę do Wału Offy i przekroczę granicę, nim burza zdoła mnie złapać<sup>[64]</sup>.

- Do Wału - powtórzył Strange i zmarszczył brwi. - To niebezpieczne miejsce, nawet latem, i bardzo odludne. Chybabym nie ryzykował. Pewnie jednak zna pan te wzgórza lepiej niż ja.

- Widzę, że jest pan ode mnie rozsądniejszy. Gdy jechałem ku Wałowi, zerwał się mocny wiatr, który wzbijał leżący na ziemi śnieg. Wkrótce sierść konia i mój płaszcz były białe jak stoki wzgórza, białe jak cała okolica. Wiatr wyczarowywał ze śniegu dziwaczne kształty, miałem wrażenie, że otaczają mnie wirujące duchy, złe widma i upadłe anioły rodem z opowieści tej arabskiej damy. Mój biedny wierzchowiec, zazwyczaj spokojne zwierzę, też chyba widział przerażające rzeczy. Jak może pan sobie wyobrazić, plułem sobie w brodę, że nie skorzystałem z gościnności pani Evans, kiedy nagle dobiegło mnie bicie dzwonu.

- Dzwonu? - powtórzył Strange.

- Tak, proszę pana.

- Ale jaki tam jest dzwon?

- No cóż, nie ma żadnego. Właściwie bardzo mnie dziwi, jak mogłem cokolwiek usłyszeć, skoro wył wiatr, a mój koń parskał.

Strange uznał, że pan Hyde przyszedł do niego wyjaśnić tę zagadkę, więc natychmiast zaczął opowiadać, że dźwięk dzwonu służył dawniej do obrony przed elfami i innymi złymi duchami. Mówił też, że niegodziwe elfy można było czasem przepędzić za pomocą kościelnych dzwonów. Ale należało również pamiętać, że elfy kochały dźwięk dzwonów. Elfiej magii często towarzyszyło ich bicie. Słyszano je również w chwilach, gdy elfy pojawiały się na tym świecie.

- Nie potrafię wyjaśnić tej sprzeczności - powiedział w końcu. - Magowie teoretycy głowili się nad tym przez całe wieki.

Pan Hyde wysłuchał przemowy Strange'a z uprzejmym zainteresowaniem.

- Ale ten dzwon to dopiero początek mojej opowieści - oznajmił, gdy gospodarz skończył swe wywody.

- Och - Strange wydawał się nieco zirytowany. - Proszę kontynuować.

- Dotarłem tak wysoko, że widziałem Wał, kilka skręconych drzew i fragmenty muru w ruinie. Popatrzyłem na południe i dostrzegłem, że wzdłuż Wału idzie ku mnie bardzo prędko pewna dama...

- Dama!

- Widziałem ją bardzo wyraźnie. Miała rozpuszczone włosy, które unosił wiatr i okręcał wokół jej głowy. - Pan Hyde uniósł ręce, żeby pokazać, jak włosy damy tańczyły w powietrzu pełnym śniegu. - Chyba do niej zawołałem. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie, ale nie przystanęła, nawet nie zwolniła kroku. Znow się odwróciła, ale dalej wędrowała wzdłuż Wału, w otoczeniu śnieżnych zwidów. Miała na sobie jedynie czarną suknię - żadnego szala ani pelisy. Zacząłem się o nią obawiać. Pomyślałem, że pewnie spotkało ją coś strasznego, i zmusiłem swego biednego konia do truchtu. Usiłowałem nie spuszczać z niej wzroku, ale wiatr wciskał mi śnieg do oczu. Dotarłem do Wału, lecz już jej tam nie było. Jeździłem wzdłuż Wału, w tę i z powrotem. Szukałem, krzyczałem, aż zachryłem - byłem pewien, że przewróciła się za stosem kamieni albo za zaspą lub wpadła w króliczą norę. A może uprowadził ją ten zły człowiek, który ją skrzywdził.

- Zły człowiek?

- Doszedłem do wniosku, że na Wał przyprowadził ją ktoś, kto pragnął wyrządzić jej krzywdę. Przecież słyszy się rozmaite okropne rzeczy.

- Zna pan tę damę?

- Tak, proszę pana.

- Któż to był?

- Pani Strange. Zapadła cisza.

- To niemożliwe - rzekł w końcu zakłopotany mag. - Drogi panie, gdyby coś przykrego spotkało panią Strange, sądzę, że ktoś by mnie o tym powiadomił. Nie jestem aż tak pochłonięty pracą. Przykro mi, ale pan się myli. Kimkolwiek była ta nieszczęsna kobieta, na pewno nie chodzi o panią Strange. Pan Hyde pokręcił głową.

- Gdybym ujrzął pana w Shrewsbury i Ludlow, być może nie od razu bym pana rozpoznał. Jednakże ojciec pani Strange był przez czterdzieści siedem lat wikariuszem w mojej parafii. Znam panią Strange, niegdyś pannę Woodhope, odkąd jako małe dziecko uczyła się stawiać pierwsze kroki w kościele w Clunbury. Nawet gdyby na mnie nie spojrziała, rozpoznałbym ją. Po sylwetce, sposobie chodzenia, po wszystkim.

- Co pan zrobił, gdy stracił ją pan z oczu?

- Od razu przyjechałem tutaj, ale pański sługa nie chciał mnie wpuścić.

- Jeremy? Ten sam, z którym przed chwilą pan rozmawiał?

- Tak. Powiedział mi, że pani Strange jest w domu, cała i zdrowa. Przyznaję, że mu nie uwierzyłem, więc obszedłem budynek i zajrzałem we wszystkie okna, aż w końcu zobaczyłem ją na sofie właśnie w tym pokoju. - Pan Hyde wskazał na sofę. - Miała na sobie bladoniebieską suknię, nie czarną.

- Och, nic w tym dziwnego. Pani Strange nigdy nie nosi czerni. Nie lubię tego koloru na młodej kobiecie.

Pan Hyde ponownie pokręcił głową i zmarszczył brwi.

- Bardzo chciałbym przekonać pana, że mówię prawdę, widzę jednak, że nie potrafię.

- A ja chciałbym panu wytłumaczyć, że mam rację. Niestety, też nie potrafię.

Przy pożegnaniu uścisnęli sobie dłonie.

- Nigdy nie życzyłem jej nic złego, proszę pana. - Pan Hyde popatrzył z powagą na Strange'a. - Świadomość, że jest bezpieczna, przynosi mi wielką ulgę.

Strange skłonił głowę.

- Nie dopuścimy, by było inaczej.

Gdy za panem Hyde'em zamknęły się drzwi, Strange odczekał chwilę i poszedł szukać Jeremy'ego.

- Dlaczego nie mówiłeś, że był tu wcześniej? - spytał.

Jeremy prychnął lekceważąco.

- Mam dość rozumu, by nie zawracać panu głowy bzdurami! Damsy w czarnych sukniach błakające się po okolicy w czasie śnieżnej burzy, też coś!

- Mam nadzieję, że nie potraktowałeś go zbyt obcesowo.

- Ja? Ależ skąd!

- Może był pijany. O, właśnie. Z pewnością on i David Evans uczcili pomyślną transakcję.

Jeremy zmarszczył brwi.

- Wątpię, proszę pana. David Evans to pastor w kościele metodystów.

- Och. Hm, pewnie masz rację. Poza tym to, o czym mówił, to nie pijackie omamy, lecz raczej coś, co mógłby wyobrazić sobie czytelnik powieści pani Radcliffe po zażyciu opium.

Wizyta pana Hyde'a wytrąciła Strange'a z równowagi. Wizja Arabelli błakającej się w śniegu po wzgórzach była niepokojąca. Mimowolnie powracał myślą do własnej matki, która lubiła wędrować po okolicy, by uciec od smutków nieudanego małżeństwa, i w końcu przeziębila się podczas burzy i umarła.

Tego wieczoru przy kolacji powiedział do Arabelli:

- Dziś odwiedził mnie John Hyde. Twierdzi, że widział, jak w ostatni wtorek w środku burzy śnieżnej spacerowałaś po Wale.

- Nie!

- Tak.

- Biedaczysko! Musiał się bardzo wystraszyć.

- Chyba tak.

- Odwiedzę państwa Hyde'ów po przyjeździe Henry'ego.

- Masz zamiar wizytować wszystkich mieszkańców Shropshire po przyjeździe Henry'ego - zauważył Strange. - Obyś się nie rozczarowała.

- Rozczarowała? Co masz na myśli?

- To, że pogoda jest okropna.

- No to każemy Harrisowi jechać powoli i ostrożnie. Zresztą zawsze tak jeździ. Szpak to bardzo spokojny koń. Trzeba okropnej zadymki, by go przestraszyć, nie jest bojaźliwy. Poza tym sam wiesz, że Henry musi odwiedzić mnóstwo ludzi. Byliby bardzo nieszczęśliwi, gdyby tego nie zrobił. Jenny i Alwen, dawni słudzy mojego ojca, mówią wyłącznie o przyjeździe Henry'ego. Ostatni raz widzieli go pięć lat temu, a raczej wątpliwe, by żyli jeszcze drugie tyle.

- Dobrze, już dobrze! Powiedziałem tylko, że pogoda jest okropna. To wszystko.

Było jednak coś jeszcze. Strange miał świadomość, że Arabella niecierpliwie czeka na tę wizytę. Od ślubu rzadko widywała brata. Nie przyjeżdżał na Soho Square tak często, jak pragnęła, a gdy już się zjawiał, nie gościł u nich zbyt długo. Bożonarodzeniowa wizyta miała przywrócić rodzeństwu dawną bliskość. Oboje zamierzali wspólnie spędzać czas, tak jak w dzieciństwie, poza tym Henry obiecał, że zostanie u nich niemal miesiąc.

Po przybyciu Henry'ego początkowo wszystko wskazywało na to, że ziszczą się najskrytsze marzenia Arabelli. Tego wieczoru rozmowa przy kolacji była bardzo ożywiona. Henry przywiózł mnóstwo nowinek z Great Hitherden w hrabstwie Northampton, gdzie pełnił obowiązki pastora<sup>[65]</sup>.

Great Hitherden było dużą i majątną wsią, której okolice zamieszkiwało kilka arystokratycznych rodzin. Henry'ego cieszyła pozycja, którą zajmował w lokalnej społeczności. Długie opisy przyjaciół, ich przyjęć oraz balów zakończył słowami:

- Nie chciałbym, abyście myśleli, że zaniedbujemy dobroczynność. Jesteśmy bardzo aktywni. Mamy mnóstwo pracy, wiele osób jest w potrzebie. Przedwczoraj odwiedziłem biedną, schorowaną rodzinę i spotkałem u nich pannę Watkins. Rozdawała pieniądze, służyła dobrymi radami. Panna Watkins to niesłychanie wrażliwa młoda dama. - Tu urwał, jakby oczekiwał komentarza.

Strange spojrział na niego bezmyślnie. Nagle coś mu przyszło do głowy.

- Henry, błagam o wybaczenie! - zawołał. - Pewnie uznałeś nas za gamoni. W ciągu dziesięciu minut pięć razy wspomniałeś pannę Watkins, jednak ani Bell, ani ja o nią nie spyaliśmy. Wolno dzisiaj myślimy, pewnie przez to chłodne walijskie powietrze - wyiębia umysł. Teraz jednak, skoro pojąłem, o co chodzi, chętnie cię o nią wypytam, jak tego pragniesz. Ma jasne czy ciemne włosy? Rumianą czy bladą cerę? Woli grę na fortepianie czy na harfie? Co najchętniej czyta?

Henry, który podejrzewał, że Strange się z niego natrząsa, zmarszczył brwi i w ogóle nie chciał rozmawiać o pannie. Arabella spojrzała wymownie na męża, po czym łagodnie zaczęła o nią rozpytywać. Wydobyła z Henry'ego następujące informacje: panna Watkins dopiero niedawno powróciła w okolice Great Hitherden, nosi imię Sophronia, mieszka ze swymi opiekunami, państwem Swoonfirst (dalecy kuzyni), lubi czytać (choć Henry nie wiedział dokładnie co), jej ulubiony kolor to żółć, a do tego nie gustuje w ananasach.

- A jak wygląda? Jest ładna? - chciał wiedzieć Strange.

To pytanie najwyraźniej zakłopotало Henry'ego.

- Panna Watkins nie jest uważana za wielką piękność, co to, to nie. Jednak z czasem dostrzega się jej przymioty. Niektórzy początkowo wydają się nam obojętni, ale bardzo

zyskują przy bliższym poznaniu. Żywy umysł, dobre maniery i łagodny charakter - to wszystko o wiele bardziej przyczynia się do małżeńskiego szczęścia niż uroda, która przemija.

Ta przemowa nieco zaskoczyła Strange'a i Arabellę.

- Pieniądze? - spytał Strange po chwili.

Henry spojrział na niego ze źle skrywanym triumfem.

- Dziesięć tysięcy funtów - powiedział.

- Mój drogi Henry! - wykrzyknął Strange. Później, gdy zostali sami, powiedział do Arabelli:

- Henry'emu należałoby pogratulować refleksu. Najwyraźniej znalazł tę damę przed innymi. Rozumiem, że zalotnicy nie pchali się do niej drzwiami i oknami - zapewne coś w jej twarzy lub sylwetce chroni ją przed powszechnym zachwytem.

- Nie sądzę, żeby chodziło tylko o pieniądze - Arabella była zdecydowana bronić brata. - Myślę, że w grę wchodzi również sympatia. Inaczej Henry w ogóle by nie pomyślał o ożenku.

- O, bez wątplenia - mruknął Strange. - Henry to porządny chłop. Poza tym ja się nigdy nie wtrącam, jak wiesz.

- Uśmiechasz się drwiąco, a nie masz prawa - zauważyła Arabella. - Ja byłam równie sprytna jak Henry. Nie wierzę, że ktoś chciał wyjść za ciebie, z tym twoim długim nosem i niemiłym usposobieniem, dopóki mnie to nie przyszło do głowy.

- To prawda - odparł Strange z namysłem. - Zapomniałem. Widać to u was rodzinne.

Następnego dnia Strange siedział w bibliotece, podczas gdy Arabella i Henry udali się z wizytą do Jenny i Alwena. Radość tych pierwszych dni nie trwała jednak długo. Arabella szybko się przekonała, że niewiele już łączy ją z bratem. Henry spędził ostatnich siedem lat na wsi, jego siostra zaś przebywała w Londynie i była naocznym świadkiem najważniejszych wydarzeń epoki. Przyjaźniła się z niejednym ministrem, znała premiera i kilka razy zatańczyła z księciem Wellingtonem. Przedstawiono ją królewskim synom oraz księżniczkom, a bywając w Carlton House, zawsze mogła liczyć na uśmiech i miłe słówko księcia regenta. Do tego znała wszystkie osoby odpowiedzialne za odnowienie angielskiej magii.

I chociaż bardzo ją interesowały nowiny brata, jego w ogóle nie obchodziło, co ona ma do powiedzenia. Na jej opisy londyńskiego życia reagował jedynie uprzejmym: „Czyżby?”. Raz, kiedy relacjonowała mu, co powiedział jej książę Wellington i co ona na to, Henry odwrócił głowę, uniósł brwi i popatrzył na siostrę z beznamietnym uśmiechem, który



mówił wyraźnie: „Nie wierzę ci”. Tego typu zachowanie ją raniło. Nie przechwalała się przecież - takie spotkania były na porządku dziennym w Londynie. Uświadomiła sobie z bólem serca, że choć listy brata zawsze ją cieszyły, jej odpowiedzi musiały być dla niego nudne i afektowane.

Tymczasem biedny Henry miał własne zmartwienia. W dzieciństwie bardzo podziwiał Ashfair House, jego wielkość, usytuowanie i pozycję właściciela w okolicy. Wszystko to zdawało mu się cudowne. Niecierpliwie czekał na dzień, w którym Jonathan Strange odziedziczy posiadłość, a on sam będzie mógł ją odwiedzać jako przyjaciel pana domu. Gdy tak się stało, odkrył jednak, że pobyt tutaj nie sprawia mu przyjemności. Ashfair było brzydsze od wielu domów, które widział w ostatnich latach. Prezentowało się ponuro, sufity w pokojach były niskie, kształty pomieszczeń dziwne. Wiele pokoleń mieszkańców kazało wykuwać okna, jak im się podobało, a wszystkie były zasłonięte przez róże i bluszcz pnący się po murach. Dom wyglądał staroświecko, właśnie tak, jak kiedyś zauważył Strange: w takiej budowli można by więzić heroinę z powieści.

Kilka domów w okolicy Great Hitherden ostatnio wyremontowano, przybyło też parę eleganckich rezydencji dla pań i panów o wiejskich ciągotach. Częściowo dlatego, że Henry lubił się dzielić informacjami z parafii, a także dlatego, że wkrótce zamierzał się żenić i myślał o domowych udogodnieniach, wciąż udzielał szwagrowi dobrych rad. Zwłaszcza przygnębiało go usytuowanie stajni. Bezustannie narzekał: „Trzeba ją mijać w drodze do południowej części terenów rekreacyjnych sadu. Mógłbyś ją zburzyć i wybudować w innym miejscu”.

Strange nie skomentował tej propozycji, tylko nagle zwrócił się do żony:

- Najdroższa, mam nadzieję, że podoba ci się ten dom? Obawiam się, że do tej pory nie przyszło mi do głowy spytać cię o to. Powiedz, że go nie lubisz, a natychmiast przeniesiemy się w inne miejsce!

Arabella zaśmiała się i odparła, że dom jej odpowiada.

- Przykro mi, Henry, aleja również jestem zadowolona z położenia stajni - dodała.

Henry postanowił spróbować raz jeszcze.

- Na pewno zgodzicie się ze mną, że można by wyciąć drzewa, które tłoczą się wokół domu i zacieniają każdy pokój. Rosną, gdzie im się podoba - pewnie tam, gdzie spadnie żołądź lub nasionko.

- Co takiego? - spytał Strange, który podczas rozmowy zdążył powrócić do lektury.

- Drzewa - wyjaśnił mu Henry.

- Jakie drzewa?

- Te - Henry wskazał na zastępy starych pięknych dębów, jesionów i buków.
- Te drzewa to wzorowi sąsiedzi. Pilnują własnych spraw i nigdy mnie nie kłopotczą.

Mam nadzieję, że odwzajemnam im się tym samym.

- Ale zasłaniają światło.
- Ty też, Henry, jednak nie zamachnąłem się na ciebie siekierą.

Choć Henry nieustannie krytykował tereny i stan Ashfair, tak naprawdę jednak najbardziej przeszkadzała mu przedziwna atmosfera panująca w domu. Kiedy Strange zajął się magią, Henry niezbyt się tym przejął. Wtedy informacje o cudownych dokonaniach pana Norrella dopiero zaczynały krążyć po królestwie. Magia wydawała się jedynie ezoteryczną gałęzią historii, rozrywką bogatych próżniaków. Henry nadal ją tak postrzegał. Szczycił się bogactwem, posiadłością, pozycją Strange'a, ale nie jego magią. Zawsze był nieco zdumiony, kiedy ktoś gratulował mu powinowactwa z drugim największym magiem epoki.

Henry nie tak wyobrażał sobie bogatego angielskiego dżentelmena. Strange już dawno porzucił zajęcia, którymi dżentelmeni na angielskiej wsi zazwyczaj wypełniali czas. Nie interesowały go rolnictwo ani polowanie. Jego sąsiedzi chętnie tropili zwierzynę - Henry często słyszał w ośnieżonych lasach i na polach strzały oraz szczekanie psów, ale Strange nigdy nie wziął broni do ręki. Arabella musiała długo przekonywać go do wyjścia i choćby półgodzinnego spaceru. W bibliotece książki należące do ojca i dziadka Strange'a - dzieła po angielsku, grecku i łacinie, które każdy dżentelmen trzyma na półkach - trafiły na podłogę, by zrobić miejsce dla ksiąg i notatek pana domu<sup>[66]</sup>. Wszędzie walały się periodyki dotyczące praktykowania magii, takie jak „Przyjaciele Angielskiej Magii” i „Mag Nowoczesny”. Na jednym ze stolików w bibliotece stało wielkie srebrne naczynie, czasem pełne wody. Strange często siedział mniej więcej przez dwa kwadransy wpatrzony w tę wodę, muskając jej powierzchnię i wykonując dziwne gesty, a przy okazji zapisywał, co widzi. Na innym stole wśród stosu książek leżała mapa Anglii, na której Strange zaznaczał dawne elfie drogi, niegdyś prowadzące z królestwa lichu wie dokąd.

Były jeszcze inne rzeczy, które Henry nie do końca rozumiał i których bardzo nie lubił. Wiedział na przykład, że pokoje w Ashfair wyglądają dziwnie, nie miał jednak pojęcia, że wynika to z faktu, iż lustra w domu Strange'a czasem odbijają światło sprzed półgodziny, a czasem sprzed setek lat. Rankiem, gdy się budził, i wieczorem, tuż przed zaśnięciem, słyszał odległe bicie dzwonu, smutny dźwięk, jakby dochodzący z zatopionego w głębi oceanu miasta. Właściwie nie myślał o dzwonie ani o nim nie pamiętał, dźwięk ten jednak nastrojał go melancholijnie na cały dzień.

Henry znajdował ukojenie w niezliczonych porównaniach Great Hitherden ze

Shropshire (które wypadają na niekorzyść Shropshire) oraz w zastanawianiu się na głos, czemu Strange tak ciężko pracuje, „całkiem jakby nie miał majątku i wszystko musiał budować od podstaw”. Te uwagi wygłaszał zazwyczaj do Arabelli, ale Strange też czasem je słyszał i wkrótce Arabella odkryła, że znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia - przypadła jej rola mediatora między mężem a bratem.

- Kiedy zapragnę rady Henry’ego, to o nią poproszę - oświadczył Strange. - Czy to jego sprawa, gdzie zbuduję stajnie? Albo jak spędzam czas?

- Tak, to bardzo denerwujące, najdroższy - zgodziła się Arabella. - Nic dziwnego, że wyprowadza cię z równowagi, ale pomyśl tylko...

- Przecież on ciągle się ze mną kłóci!

- Cii! Cii! Usłyszysz cię. Bardzo dużo znosisz i masz anielską cierpliwość. Ale zrozum, on chce być miły. Po prostu nie umie się jasno wyrazić i mimo wszystkich jego wad będziemy za nim tęsknić, gdy odjedzie.

W ostatniej kwestii Strange chyba nie do końca podzielał jej zdanie.

- Będziesz miły dla Henry’ego? - zapytała więc. - Ze względu na mnie?

- Naturalnie! Naturalnie! Jestem cierpliwy jak anioł. Doskonale o tym wiesz. Istniało kiedyś takie powiedzenie o duchownych siejących pszenicę i magach siejących żyto na tym samym polu. Znaczyło ono, że duchowni i magowie nigdy się nie dogadają<sup>[67]</sup>. Dotychczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wydaje mi się, że żyłem w przyjaźni z londyńskim duchowieństwem. Dziekan opactwa Westminster i kapelan księcia regenta to zacni jegomoście. Za to Henry mnie irytuje.

W dzień Bożego Narodzenia spadł gęsty śnieg. Czy to przez utrapienia ostatnich dni, czy też z innego powodu Arabella obudziła się z mdłościami i bólem głowy i nie była w stanie wstać z łóżka. Strange i Henry musieli przez cały dzień dotrzymać sobie towarzystwa. Henry bez przerwy gadał o Great Hitherden, a wieczorem grali w ecarte, co obaj lubili. Być może gra dostarczyłaby im więcej radości, gdyby w połowie drugiej partii Strange nie wyłożył dziewiątki pik i nagle nie przyszłoby mu do głowy kilka nowych pomysłów dotyczących magicznego znaczenia tej karty. Porzucił grę, a kartę zabrał do biblioteki, by nad nią deliberować. Zostawił Henry’ego samemu sobie.

Wczesnym rankiem Strange przebudził się, a raczej - prawie się przebudził. Pokój rozświetlała dziwna srebrzysta poświata, która mogła być blaskiem księżyca odbitym od śniegu. Strange’owi wydało się, że widzi Arabellę - ubraną, siedzącą w nogach łóżka, plecami do niego. Cesała włosy. Mruknął coś do niej - przynajmniej tak mu się zdawało - po czym zaraz zasnął.

Okolo siódmej przebudził się na dobre. Chciał jak najszybciej przejść do biblioteki i popracować godzinę lub dwie przed pojawieniem się Henry'ego. Wstał szybko, poszedł do garderoby i zadzwonił po Jeremy'ego Johnsa, by ten go ogolił.

O ósmej pokojówka Arabelli, Janet Hughes, zapukała do drzwi sypialni. Odpowiedziała jej cisza, więc Janet, sądząc, że jej pani wciąż cierpi na migrenę, poszła sobie.

O dziesiątej Strange i Henry wspólnie zjedli śniadanie. Henry postanowił spędzić dzień na polowaniu. Usilnie próbował przekonać do tego pomysłu gospodarza.

- Nie, nie. Mam pracę, ale nie będę cię zatrzymywał. W końcu znasz te pola i lasy równie dobrze jak ja. Pożyczę ci broń, a psy z pewnością gdzieś sobie znajdziesz.

Przyszedł Jeremy Johns i powiedział, że powrócił pan Hyde. Był w westybulu i twierdził, że musi rozmawiać ze Strange'em.

- Czego tym razem chce? - mruknął Strange zirytowany.

Pan Hyde wszedł w pośpiechu, z twarzą ściągniętą ze zgryzoty.

- Cóż ten człowiek wyprawia?! - wykrzyknął Henry. - Ni to jest w pokoju, ni to go w nim nie ma!

Jednym ze źródeł utrapienia Henry'ego w Ashfair była służba, która rzadko kiedy przestrzegała etykiety, nieodzwonej jego zdaniem w tak szacownym domu. Akurat przy tej okazji chodziło o Jeremy'ego Johnsa - zaczął wychodzić z pokoju, ale dotarł tylko do progu, gdzie, częściowo ukryty za drzwiami, głośnym szeptem prowadził rozmowę z innym służącym.

Strange zerknął na drzwi i westchnął.

- Henry, to naprawdę nie ma znaczenia - powiedział. - Panie Hyde, ja...

Tymczasem pan Hyde, którego wzburzenie chyba jeszcze bardziej wzrosło podczas oczekiwania, wybuchnął:

- Przed godziną widziałem panią Strange na walijskich wzgórzach!

Henry wzdrygnął się i popatrzył na Strange'a. Ten posłał panu Hyde owi lodowate spojrzenie i powiedział:

- To nic, Henry. To naprawdę nic.

Pan Hyde drgnął, słysząc te słowa, ale nie dawał za wygraną.

- To było na Castle Idris i tak jak poprzednio pani Strange oddalała się ode mnie. Nie widziałem jej twarzy. Usiłowałem ją dogonić, ale ponownie straciłem ją z oczu. Poprzednim razem uznano, że to złudzenie, widmo wyczarowane ze śniegu i wiatru, ale dziś jest jasno i pogodnie. I wiem, że widziałem panią Strange równie wyraźnie, jak teraz widzę pana.

- Poprzednim razem? - powtórzył zdumiony Henry.

Strange, nieco niecierpliwie, podziękował panu Hyde'owi za przekazanie im tej... (nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa), po czym dodał:

- Ale ponieważ wiem, że pani Strange jest bezpieczna w domu, pewnie nie będzie pan zdumiony, jeśli...

Nagle do pokoju wpadł Jeremy. Natychmiast podszedł do Strange'a, nachylił się i wyszeptał mu coś do ucha.

- Głośno! Mów, o co chodzi! - zażądał Henry. Jeremy popatrzył pytająco na Strange'a, ten jednak milczał - zakrył usta dłonią i patrzył, jakby nagle przyszła mu do głowy nowa, niezbyt przyjemna myśl.

- Pani Strange nie ma już w domu, proszę pana - oznajmił Jeremy. - Nie wiemy, gdzie przebywa.

Henry natychmiast zaczął wypytywać pana Hyde'a o to, co ten widział na wzgórzach. Nie czekał, aż gość skończy, tylko przerywał mu i zadawał następne pytanie. Jeremy Johns patrzył na nich ze strapioną miną. Tymczasem Strange siedział w milczeniu, gapiąc się przed siebie. Nagle wstał i wyszedł z pokoju.

- Dokąd pan idzie?! - zawołał pan Hyde.

- Strange!!! - wrzasnął Henry.

Jako że nic nie można było zrobić bez niego, musieli za nim podążyć. Strange wspiął się po schodach do biblioteki na pierwszym piętrze, po czym natychmiast podszedł do jednego ze stołów z wielkim srebrnym naczyniem.

- Przynieś wodę - nakazał Jeremy'emu Johnswi. Służący przyniósł dzban wody i napełnił misę. Strange wypowiedział jedno słowo i wszystkim nagle wydało się, że w pokoju zapadł zmierzch. W tym samym momencie woda w misie pociemniała i zmętniała. Ta ucieczka światła przeraziła Henry'ego.

- Strange! - krzyknął. - Co my robimy? Światło znika! Moja siostra jest poza domem. Nie powinniśmy zostawać tu ani chwili dłużej! - Odwrócił się do Jeremy'ego Johnsa jak do jedynej osoby, która może mieć jakiś wpływ na Strange'a. - Każ mu to przerwać! Musimy ruszać na poszukiwania!

- Cicho bądź, Henry - syknął Strange. Dwukrotnie przeciągnął palcem po powierzchni wody. Dwie migotliwe linie światła podzieliły ją na cztery części. Strange wykonał jakiś gest nad jedną z ćwiartek i nagle ukazały się w niej gwiazdy, jeszcze więcej linii - żyłki i sieci ze światła. Wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym wykonał gest nad sąsiednią ćwiartką. Pojawił się na niej inny świetlny wzór. Strange powtórzył te same gesty nad trzecią i czwartą ćwiartką. Wzory nie były nieruchome, ruszały się i lśniły, czasem przypominały pismo,

czasem linie na mapie, a przy innych okazjach konstelacje gwiazd.

- Czemu to ma służyć? - spytał pan Hyde zdumiony.

- Odnalezieniu jej - wyjaśnił Strange. - Przynajmniej powinno pomóc.

Postukał w jedną z ćwiartek. Trzy pozostałe natychmiast zniknęły. Pierwszy wzór rozrastał się, aż wypełnił całą taflę. Strange podzielił ją na ćwiartki, przyglądał im się przez chwilę, po czym znów stuknął w jedną z ćwiartek. Kilkakrotnie powtórzył te czynności. Wzory robiły się coraz bardziej gęste i coraz bardziej przypominały mapy. Im dalej jednak brnął Strange, tym bardziej zdumioną miał minę i wydawał się coraz mniej pewny, czy rozumie to, co pojawiało się w naczyniu.

Po kilku minutach Henry nie mógł już tego znieść.

- Na litość boską, nie czas na magię! Arabella zaginęła! Strange, błagam, porzuć te nonsensy i pozwól nam jej szukać.

Strange nic nie odpowiedział. W zdenerwowaniu uderzył ręką o wodę. Linie i gwiazdy natychmiast znikły. Odetchnął głęboko, po czym zaczął od początku. Tym razem robił wszystko pewnie, szybko wykreował wzór, który wydał mu się odpowiedni. Zamiast jednak wyciągnąć z tego przydatne wnioski, usiadł i przyglądał mu się z konsternacją i trwogą.

- O co chodzi? - spytał pan Hyde zaniepokojony. - Czy widzi pan swoją żonę?

- Nie mam pojęcia, co to ma znaczyć. Zakłęcie pokazuje, że nie ma jej w Anglii. Ani w Walii. Ani w Szkocji. Ani we Francji. Nie potrafię rozgryźć tej magii. Masz rację, Henry, tylko tracę czas. Jeremy, przynieś moje buty i płaszcz!

Nagle na powierzchni wody pojawiła się wizja. W staroświeckiej mrocznej sali tańczył tłum przystojnych mężczyzn i pięknych pań. Ponieważ nie mogło to mieć żadnego wyraźnego związku z Arabellą, Strange ponownie zmacił wodę. Wizja zniknęła.

Na zewnątrz wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu. Okolica była pusta i cicha. Najpierw przeszukano całą posiadłość. Kiedy nie znaleziono tam niczego poza kilkoma ptakami, Strange, Henry, pan Hyde i służący wyszli na drogi.

Trzy pokojówki udały się na strych, który stał pusty od czasów dzieciństwa Strange'a. Wzięły z sobą siekiere i młotek, by otworzyć skrzynie zamknięte przed pięćdziesięciu laty. Zaglądały do szafek i szuflad, w których pewnie nie zmieściłoby się nawet niemowlę, nie mówiąc już o dorosłej kobiecie.

Część służby pojechała do domów w Clun, inni udali się konno do Clunton, Purslow, Clunbury i Whitcott. Wkrótce w okolicy nie było ani jednego majątku, w którym nie wiadano by, że pani Strange zaginęła. Wszyscy przystąpili do poszukiwań. Niewiasty

kazały napalić w kominkach i przygotować wszystko tak, by w razie czego pani Strange mogła się rozgrzać, najeść i odpocząć.

Nim minęła godzina, przybył kapitan John Ayrton z 12. Pułku Lekkich Dragonów. Kapitan był wraz ze Strange'em i Wellingtonem na Półwyspie Iberyjskim i pod Waterloo. Jego ziemie sąsiadowały z posiadłością Strange'a. Obaj panowie, rówieśnicy, od urodzenia mieszkali obok siebie, jednak kapitan Ayrton był tak nieśmiałym i powściągliwym dżentelmenem, że w zasadzie zamieniali mniej więcej dwadzieścia słów na rok. Tym razem przybył z mapami, obiecując z powagą, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc.

Wkrótce okazało się, że nie tylko pan Hyde widział Arabellę. Dwaj robotnicy na farmie, Martin Oakley i Owen Bullbridge, także ją dostrzegli. Jeremy Johns dowiedział się tego od znajomych obu mężczyzn, więc natychmiast dosiadł pierwszego z brzegu konia i pojechał na ośnieżone pola nad rzeką Clun, gdzie Oakley i Bullbridge przyłączyli się do poszukiwań. Jeremy zabrał ich do Clun, by stanęli przed obliczem kapitana Ayrtona, pana Hyde'a, Henry'ego Woodhope'a i Strange'a.

Okazało się, że relacja Oakleya i Bullbridge'a znacznie odbiega od opisu pana Hyde'a. Pan Hyde widział Arabellę na nagich, ośnieżonych wzgórzach Castle Idris. Szła na północ. Ujrzał ją dokładnie o dziewiątej i tak jak poprzednio słyszał bicie dzwonów. Oakley i Bullbridge z kolei widzieli ją wśród ośnieżonych drzew mniej więcej osiem kilometrów na wschód od Castle Idris, podobno również dokładnie o dziewiątej.

Kapitan Ayrton zmarszczył brwi i żądał, by wyjaśnili, skąd wiedzieli, że jest dziewiąta, skoro w przeciwieństwie do pana Hyde'a żaden z nich nie dysponował zegarkiem. Oakley odparł, że musiała być dziewiąta, gdyż dobiegło ich bicie dzwonów z kościoła St George w Clun. Bullbridge powiedział jednak, że to niemożliwe, gdyż słyszał wiele dzwonów, a w St George mają tylko jeden. Jego zdaniem był to smutny dźwięk, dzwony były na pogrzeb. Poproszony o wyjaśnienia, nie potrafił wytłumaczyć, skąd mu to przyszło do głowy.

Inne szczegóły się zgadzały. Tym razem nie było żadnych nonsensów na temat czarnych sukien. Wszyscy trzej mężczyźni zgodzili się, że Arabella miała na sobie białą suknię i szła żwawym krokiem. Żaden z nich nie widział jej twarzy.

Kapitan Ayrton wyznaczył do przeszukiwania lasów cztero - i pięcioosobowe grupy mężczyzn. Kobietom nakazał znalezienie latarni i ciepłych ubrań, wysłał też jeźdźców na wysokie wzgórza wokół Castle Idris. Ich dowódcą ustanowił pana Hyde'a, który był z tego bardzo zadowolony. Dziesięć minut po tym, jak Oakley i Bullbridge zakończyli swą relację, wszyscy się rozeszli. Szukali do zmroku, ale zapadł on wcześniej - do przesilenia zimowego

brakowało zaledwie pięciu dni. O trzeciej po południu zaczęło zmierzchać, o czwartej było już całkiem ciemno.

Ekipy poszukiwawcze wróciły do domu Strange'a, gdzie kapitan Ayrton zamierzał podsumować dotychczasowe działania i ustalić dalszą strategię. Przybyło również kilka pań z sąsiedztwa. Usiływały czekać we własnych domach na nowiny o losie pani Strange, ale doszły do wniosku, że to zbyt męczące. Wyruszyły więc do Ashfair - jak twierdziły, na wypadek gdyby okazały się potrzebne, ale przede wszystkim po to, by czerpać pociechę z towarzystwa sąsiadek.

Ostatni zjawili się Strange i Jeremy Johns. Przyszli w ubłoconych butach prosto ze stajni. Strange był śmiertelnie blady, miał podkrążone oczy. Wyglądał i poruszał się jak lunatyk. Pewnie nawet by nie usiadł, gdyby Jeremy Johns nie popchnął go na krzesło.

Kapitan Ayrton rozłożył na stole mapy i zaczął przepytawać każdą ekipę poszukiwawczą, gdzie była i co znalazła - ale ani jedna nie natrafiła na żaden ślad.

Wszyscy obecni popatrzyli na starannie wyrysowane linie i słowa wypisane na mapie. Pomyśleli o pokrytych lodem stawach i rzekach, cichych lasach, zamrzniętych rowach, wysokich nagich wzgórzach... Pomyśleli też, że w tym roku zdechło wiele owiec i bydła.

- Chyba obudziłem się w nocy... - rozległ się nagle zachrypnięty głos.

Wszyscy rozejrzeli się dookoła.

Strange ciągle siedział na krześle, na którym posadził go Jeremy. Ręce zwisały mu po bokach, wpatrywał się w podłogę.

- Chyba obudziłem się w nocy. Nie wiem dokładnie, o której. Arabella siedziała w nogach łoża. Ubrana.

- Wcześniej pan tego nie mówił - zauważył pan Hyde.

- Bo nie pamiętałem. Myślałem, że mi się to śniło.

- Nie rozumiem - wtrącił kapitan Ayrton. - Chce pan powiedzieć, że pani Strange mogła opuścić dom nocą?

Strange gorączkowo szukał odpowiedzi na to całkiem rozsądne pytanie, ale bez powodzenia.

- Z pewnością się pan orientuje, czy była tu rankiem, czy też nie? - zapytał pan Hyde.

- Była. Naturalnie, że była. To idiotyczne, żeby... Przynajmniej - Strange umilkł. - Chciałem powiedzieć, że wstając, myślałem o książce, a w pokoju było ciemno.

Kilkoro obecnych pomyślało, że jeśli nawet Jonathan Strange nie zaniedbuje wszystkich męzowskich obowiązków, to przynajmniej jest dziwnie mało spostrzegawczy. Patrzyli na niego z powątpiewaniem, zastanawiając się, dlaczego pozornie oddana żona nagle



ucieka w taką pogodę. Czyżby powodem były okrutne słowa jej męża?

Jego gwałtowne usposobienie? Potworne widoki towarzyszące pracy maga - duchy, demony, okropieństwa? Niespodziewane odkrycie, że ma gdzieś kochankę i pół tuzina nieślubnych dzieci?

Nagle w westybulu rozległ się wrzask. Potem nikt już nie potrafił powiedzieć, kto krzyczał. Kilkoro sąsiadów Strange'a, tych znajdujących się najbliżej drzwi, poszło sprawdzić, co się dzieje. Ich wrzaski wywabiły z pokoju resztę ludzi.

Początkowo westybul był całkiem ciemny, ale po chwili przeniesiono świece i wszyscy zobaczyli postać stojącą u stóp schodów.

Była to Arabella.

Henry rzucił się ku siostrze, by ją wyściskać. Pan Hyde i pani Ayrton powiedzieli, że bardzo się cieszą na jej widok. Inni wyrazili zdumienie i informowali każdego, kto chciał słuchać, iż nie mieli pojęcia o jej obecności. Otoczyło ją kilka dam i pokojówek, zadając pytania: Czy coś się jej stało? Gdzie była? Czy zablądziła? Czy coś ją zasmuciło?

I tak, jak to czasem bywa, kilka osób jednocześnie zdało sobie sprawę z pewnej dziwnej rzeczy: Strange nic nie powiedział, nie wykonał żadnego ruchu. Ona również do niego nie przemówiła ani nie podeszła. Mag stał i patrzył w milczeniu na żonę.

- Dobry Boże, Arabello! - wykrzyknął nagle. - Co ty włożyłaś?

Nawet w wątłym, migotliwym blasku świec było oczywiste, że Arabella ma na sobie czarną suknię.

## Rozdział dwudziesty drugi

*Arabella grudzień 1815*

- Musiała pani przemarznąć do szpiku kości! - oznajmiła pani Ayrton, ujmując dłoń Arabelli.

- Moja droga! Jest pani zimna jak lód.

Inna dama pospieszyła do salonu po jeden z szalów Arabelli. Był to niebieski hinduski kaszmir oblamowany złotą i różową nicią. Kiedy pani Ayrton otuliła nim Arabellę, okazało się, że piękna tkanina na czarnej sukni prezentuje się wyjątkowo nieciekawie.

Arabella splotła dłonie na brzuchu i patrzyła na wszystkich ze spokojną, obojętną miną. Nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć na uprzejme pytania. Nie wydawała się ani

zdumiona, ani zakłopotana obecnością tylu osób w domu.

- Gdzieś ty była? - zapytał Strange.

- Na spacerze - odparła zupełnie normalnym głosem.

- Na spacerze?! Arabello, oszalałaś? Spacer w śniegu po pas? Gdzie?

- W ciemnych lasach wśród mych pogrążonych we śnie sióstr i braci. Na wysokich wrzosowiskach wśród słodko pachnących duchów mych dawno zmarłych sióstr i braci. Pod szarym niebem, gdzie narodzą się sny i szepty moich sióstr i braci.

- Co? - Strange gapił się na nią.

To subtelne pytanie sprawiło, że zamilkła na dobre (czemu nikt się nie dziwił). Co najmniej jedna dama doszła do wniosku, że to męzowska szorstkość była przyczyną milczenia i dziwnych odpowiedzi Arabelli.

Pani Ayrton łagodnie objęła Arabellę i delikatnie popchnęła ją ku schodom.

- Pani Strange jest zmęczona - powiedziała stanowczo. - Chodźmy, moja droga, pójdziemy do...

- O nie! - przerwał Strange. - Jeszcze nie. Chcę wiedzieć, skąd się wzięła ta suknia. Bardzo panią przepraszam, ale jestem zdecydowany...

Ruszył ku nim, lecz nagle się zatrzymał. Popatrzył ze zdumieniem na podłogę. Potem starannie ominął jakąś przeszkodę.

- Jeremy! Skąd się wzięła ta woda? W miejscu, w którym stała pani Strange?

Jeremy Johns przybliżył świecę do stóp schodów. Była tam spora kałuża. Potem i on, i Strange popatrzyli na sufit i ściany. Problemem zainteresowali się inni służący oraz dżentelmeni, a tymczasem pani Ayrton i reszta pań dyskretnie zaprowadziły Arabellę na górę.

Westybul Ashfair był równie staroświecki jak reszta domu, wyłożony kremowym wiążem. Podłogę ułożono z brukowych kamieni. Któryś służący uznał, że woda wydobywa się właśnie spod nich, więc przyniósł pogrzebacz, by je podważyć. Chciał udowodnić, że jeden się oblużował. Nawet nie drgnęły. Nikt nie miał pojęcia, skąd się wzięła woda. Ktoś zasugerował, że może z sierści dwóch psów kapitana Ayrtona, więc je dokładnie obejrzano. Były całkiem suche.

W końcu przyjrzeni się samej wodzie.

- Jest czarna i pływają w niej jakieś drobiny - zauważył Strange.

- Wygląda to na mech - dodał Jeremy Johns. Przez jakiś czas dziwili się, wygłaszali różne teorie, aż wreszcie zmuszeni byli odstąpić od oględzin. Niedługo potem dżentelmeni zabrali żony i sobie poszli.

O piątej Janet Hughes weszła do sypialni swej pani. Zastała ją na łóżku. Arabella

nawet nie zdjęła czarnej sukni. Kiedy Janet zapytała ją o samopoczucie, Arabella poskarżyła się na ból rąk. Janet pomogła się jej rozebrać, po czym znalazła Strange'a i powiedziała mu o wszystkim.

Drugiego dnia Arabella narzekała na bóle od czubka głowy przez prawy bok aż do stóp (bo chyba to miała na myśli, mówiąc: „Od korony po koniuszki korzeni”). Zaniepokojony Strange posłał po pana Newtona, medyka z Church Stretton. Pan Newton po południu zajeżdżał do Clun, ale nie znalazł nic niepokojącego, więc niczym się nie martwiąc, odjechał, obiecując Strange'owi, że powróci za dzień lub dwa.

Trzeciego dnia Arabella zmarła.

## KONIEC TOMU DRUGIEGO

Współpraca pana Norrella i Jonathana Strange'a to już przeszłość, ale czy stosunki między dwoma dżentelmenami mogą się jeszcze bardziej pogorszyć? Strange wydaje książkę o prawdziwej naturze angielskiej magii, która z pewnością nie przypadnie do gustu konserwatywnemu magowi. Norrella nie zachwyci również wiadomość o tym, że Strange planuje założyć własne pismo i przyjąć na magiczną praktykę kilku uczniów. Mało tego - krążą pogłoski, że mag zadaje się z lordem Byronem!

Słowem, pan Norrell ma powody do zmartwień. Wszystko wymyka się spod kontroli: powstają szkoły dla przyszłych magów, w sklepach sprzedaje się magiczne błyskotki, a pewna dama, którą dobrze znamy, próbuje nieszczęsnego maga zastrzelić. Na szczęście po stronie pana Norrella stanie garstka lojalnych wielbicieli. Problem w tym, że Jonathan Strange również nie może narzekać na brak popularności, a jego wypowiedzi o Królu Kruków odbijają się w Anglii coraz głośniejszym echem...

Nie zapomnijmy o pozostałych bohaterach tej niezwykłej historii. Poczciwy pan Segundus, pożegnawszy się z marzeniem o prowadzeniu szkoły magii, zostanie dyrektorem... przytułku dla obłąkanych. Trzeba przyznać, że zawitają do niego bardzo intrygujący pacjenci. Z kolei Childermass skrywa pewną tajemnicę, a dżentelmen o włosach jak puch ostu nie przestaje snuć swoich intryg...

Drogi czytelniku, finał tej opowieści cię zaskoczy.

Wszystkie tajemnice zostaną odkryte w trzecim tomie powieści *Jonathan Strange i pan Norrell*.

[1] Niektórzy uczeni (wśród nich Jonathan Strange) twierdzili, że Maria Absalom doskonale wiedziała, co robi, doprowadzając dom do ruiny. Badacze uważali, że panna Absalom podzielała powszechne przekonanie, iż wszystkie zniszczone budowle należą do Króla Kruków. To zapewne tłumaczyło fakt, że magia w Domu Cieni nabrała mocy, kiedy budynek podupadł.

„Wszystkie wytwory ludzkich rąk, wszystkie miasta, cesarstwa, pomniki pewnego dnia obrócą się w proch. Nawet domy moich drogich czytelników muszą - choćby na jeden dzień, na jedną godzinę - zmienić się w ruinę, gdzie księżycowy blask zespala kamienie i oświetla pomieszczenia, umeblowane przez wiatr niosący kurz. Podobno w tym dniu, w tej godzinie nasze domy staną się własnością Króla Kruków. I choć oplakujemy koniec angielskiej magii, twierdzimy, że dawno już nas opuściła, i pytamy jeden drugiego, jak mogliśmy utracić coś tak cennego, nie zapominajmy, że magia oczekuje nas u kresu Anglii i pewnego dnia nie będziemy mogli umknąć Królowi Kruków, tak jak obecnie nie potrafimy go sprowadzić”. *Historia i zastosowanie angielskiej magii*, Jonathan Strange, wyd. John Murray, Londyn 1816.

[2] Kiedy ludzie mówią o Innych Ziemiach, zazwyczaj myślą o Faerie albo czymś równie mało konkretnym. W rozmowie ogólnej ta definicja wystarcza, ale mag powinien się wykazać większą precyzją. Wszystkim wiadomo, że Król Kruków rządził trzema królestwami: pierwsze to królestwo północnej Anglii, czyli Cumberland, Northumberland, Durham, Yorkshire, Lancashire, Derbyshire i część Nottinghamshire. Pozostałe dwa zwano Innymi Ziemiąmi. Jedno to część Faerie, a za drugie uważa się kraj na krańcach Piekła, zwany czasem Ziemią Goryczy. Wrogowie Króla Kruków utrzymywali, że wydzierżawił je on od Lucyfera.

[3] Paris Ormskirk (1496-1587), nauczyciel z wioski Clerkenwell nieopodal Londynu. Napisał kilka traktatów o magii. Nie był zbyt oryginalnym myślicielem, ale jako pracowity osobnik wziął na siebie zadanie zgromadzenia i posegregowania wszystkich zaklęć przywołujących, jakie znalazł, chcąc odkryć jedno niezawodne. Zajęło mu to dwanaście lat, podczas których jego domek na Clerkenwell Green wypełniło tysiące karteczek z zaklęciami. Pani Ormskirk nie była zachwycona. Biedaczka stała się pierwowzorem żony maga dla autorów drugorzędnych komedii i powieści - sarkającej, niezadowolonej i nieszczęśliwej osoby.

Zaklęcie, które w końcu wybrał Ormskirk, zyskało wielką popularność. Było powszechnie stosowane w jego czasach i przez dwa następne wieki. Nic mi jednak nie wiadomo, by jakakolwiek próba rzucenia zaklęcia zakończyła się sukcesem, może z

powodów, które podaje Jonathan Strange. Dopiero jemu udało się zmodyfikować zaklęcie i sprowadzić Marię Absalom do snu swojego i pana Segundusa.

[4] Najwyraźniej w tej kwestii rozsądek zawiódł pana Segundusa. Charles HetherGray (1712-1789) był jeszcze jednym historykiem magii, który opublikował słynne zaklęcie przywołujące. Jest ono równie marne jak zaklęcie Ormskirka; niczym się nie różnią.

[5] W średniowieczu wywoływanie duchów zmarłych było popularną praktyką i chyba panowała powszechna zgoda co do tego, że najłatwiej i najlepiej wzywać zmarłych magów.

[6] Bardzo niewielu magów nie uczyło się magii od innego praktyka. Król Kruków nie był pierwszym angielskim magiem. Przed nim istnieli inni - przede wszystkim pół człowiek, pół demon z siódmego wieku, Merlin - ale w czasach, gdy Król Kruków przybył do Anglii, już ich nie było. Niewiele wiadomo o dzieciństwie i młodości Króla Kruków, ale należy przypuszczać, że uczył się magii oraz królewskiego fachu na dworze władcy Faerie. Z kolei magowie w średniowiecznej Anglii poznawali swą sztukę na dworze Króla Kruków, a potem nauczali innych.

Jedynym wyjątkiem jest mag z hrabstwa Nottingham, Thomas Godbless (no5?n82). Jego życiorys jest nam niemal nieznan. Z pewnością spędził trochę czasu z Królem Kruków, ale u schyłku życia, gdy już od wielu lat był magiem. Być może Godbless to przykład na to, że mag może samodzielnie osiąść moc, podobnie jak Gilbert Norrell i Jonathan Strange.

[7] „Mag Nowoczesny” był jednym z kilku periodyków o magii, które wydano na fali sukcesu „Przyjaciół Angielskiej Magii” w 1808 roku. Choć pan Norrell nie miał wpływu na redaktorów, ani im się śniło krytykować jego ortodoksyjne opinie.

[8] Horace Tott wiódł spokojne życie w Cheshire i miał zamiar napisać wielką księgę angielskiej magii, lecz nawet jej nie zaczął. Zmarł w wieku siedemdziesięciu czterech lat, przekonany, że weźmie się do pracy w następnym tygodniu, no, góra za dwa tygodnie.

[9] Naturalnie pan Norrell oparł swój program nauczania na zestawieniach z *De Generibus Artium Magicarum Anglorum* Francisa SuttonaGrove’a.

[10] Richard Chaston (1620-1695) napisał, że zarówno ludzie, jak i elfy mają w sobie przynajmniej odrobinę zdrowego rozsądku i talentu magicznego. W ludziach rozsądek jest silny, magia słaba, u elfów odwrotnie: z magią są za pan brat, jednak według ludzkich standardów właściwie brak im piątej klepki.

[11] *Błękitna księga. Próba ujawnienia najpowszechniejszych kłamstw i popularnych oszustw, prokurowanych przez angielskich magów przeciwko królewskim poddanym, jak i sobie nawzajem*, Yalentine Munday, wyd. 1698.

[12] Opowieść o córce lorda Nottinghamu (pan Norrell nic już nie wspominał na ten

temat) warta jest przytoczenia, więc ją tu umieszczam.

Jarmark, na który udała się młoda kobieta, odbywał się w dzień świętego Mateusza w Nottinghamie. Córka lorda spędziła przyjemny dzień, krążąc między straganami, kupując płótna, koronki i przyprawy. Po południu odwróciła się nagle, by popatrzeć na włoskich artystów, którzy występowali za jej plecami, i rąbkiem peleryny zahaczyła gęś stojącą obok. Zdenerwowany ptak ruszył na nią, wymachując skrzydłami ‘ gęgając. Zaskoczona dziewczyna upuściła pierścień ojca, który wpadł prosto w otwarty dziób gęsi, a ta, zaskoczona, połknęła go. Zanim jednak córka lorda Nottinghamu zdołała zareagować, gęsiarek pędził gęś i oboje znikli w tłumie.

Ptaka kupił niejaki John Ford i zabrał go do swego domu w wiosce Fiskerton. Następnego dnia Margaret Ford, jego żona, zabiła gęś, oskubała i wyjęła wnętrzności. W żołądku znalazła ciężki srebrny pierścień z oczkiem z żółtego bursztynu. Położyła go na stole obok trzech kurzych jaj, które tego ranka zebrała.

Jajka natychmiast zadrżały i pękły. W każdym kryło się coś cudownego. W pierwszym był instrument strunowy podobny do wioli, tyle że miał ręczki i nóżki. Małym smyczkiem sam na sobie wygrywał słodkie melodie. Z drugiego jajka wyłonił się statek z kości słoniowej z żaglami z pięknego białego płótna i wiosłami ze srebra. Z ostatniego wydostało się pisklę o dziwnym, czerwonożółtym upierzeniu. Po godzinie lub dwóch wiola pękła jak skorupka jaja, a o zachodzie słońca statek z kości słoniowej postawił żagle i odplłynął w powietrze. Tylko ptak przetrwał. Kiedy urósł, spowodował pożar, który zniszczył większość Granthamu. Podczas pożaru widziano pisklę, które kąpie się w płomieniach, założono zatem, że to feniks.

Kiedy Margaret Ford uświadomiła sobie, że weszła w posiadanie magicznego pierścienia, postanowiła rzucać zaklęcia. Na nieszczęście była wyjątkowo niegodziwą kobietą; tyranizowała uległego męża i całymi godzinami knuła, jak by tu dopiec wrogom. John Ford, właściciel folwarku w Fiskerton, w ciągu kilku miesięcy otrzymał liczne ziemie i bogactwa od rozmaitych możnowładców, którzy obawiali się złej magii jego małżonki.

Informacja o czarach Margaret Ford wkrótce dotarła do Nottinghamu. Lord leżał wówczas na łożu śmierci. Tak wiele swych mocy ukrył w pierścieniu, że po jego utracie najpierw popadł w melancholię, potem w rozpacz, a w końcu się rozchorował. Gdy dowiedział się, gdzie jest pierścień, był już za słaby, aby działać.

Tymczasem jego córka bardzo sobie wyrzucała, że sprowadziła nieszczęście na rodzinę, uznała zatem za swój obowiązek odzyskanie pierścienia. Nie mówiąc nikomu o swych zamiarach, wyruszyła drogą wzdłuż rzeki do wioski Fiskerton.

Już w pobliskim Gunthorpe jej oczom ukazał się straszliwy widok. Niewielki zagajnik płonął. Od czarnego gryzącego dymu oczy dziewczyny łzały, a gardło piekło, lecz płomienie nie trawiły pni i gałęzi. Drzewa tylko szumiały jękliwie, jakby doskwierał im nienaturalny ból. Córka lorda rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby wyjaśnić jej, co się dzieje. Dostrzegła przechodzącego nieopodal leśniczego.

„Dwa tygodnie temu Margaret Ford zatrzymała się w tym lasu, wracając z Thurgarton - powiedział młody człowiek. - Odpoczywała w cieniu drzew, piła wodę ze strumienia i raczyła się orzechami oraz jagodami. Gdy zbierała się do dalszej podróży, korzeń chwycił jej stopę i przewrócił ją na ziemię. Kiedy tylko udało jej się wstać, wrzosiec dał dowód swej impertynencji, drapiąc ją w rękę. Tak więc rzuciła na las kłótwę. Biedne drzewa będą wiecznie płonąć”.

Dziewczyna podziękowała rozmówcy za informacje i kontynuowała wędrówkę. W końcu, dręczona pragnieniem, przykucnęła, by nabrać wody z rzeki. Wtedy niespodziewanie z toni wychyliła się jakaś kobieta lub raczej istota niezwykle ją przypominająca). Jej ciało pokrywały rybie łuski, skórę miała szarą i nakrapianą jak pstrąg, a włosy były plątaniną kolczastych rybich płetw o burej barwie. Wydawało się, że istota patrzy na córkę lorda, ale ponieważ jej wylupiane, zimne rybie ślepie oraz sztywna skóra nie nadawały się do prezentowania ludzkich min, trudno to było ocenić.

„Och! - wykrzyknęła przestraszona córka lorda. - Proszę o wybaczenie!” Kobieta otworzyła usta, ukazując rybie gardło i brzydkie zęby, lecz nie mogła wydobyć żadnego dźwięku. W następnej chwili obróciła się i z powrotem zanurzyła w wodzie.

Świadkiem tego zdarzenia była niewiasta piorąca odzież na brzegu. Natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniami. „To Joscelin Trent. Na swoje nieszczęście wyszła za mężczyznę kochanego przez Margaret Ford - tłumaczyła praczka. - Ta, trawiona zazdrością, rzuciła zaklęcie i teraz biedna dama musi dzień i noc spędzać na płycznach rzeki, by zaczarowana skóra i ciało nie wyschły. A że nie potrafi pływać, wciąż się boi, że utonie”.

Córka lorda podziękowała za wyjaśnienia i poszła do wsi Hoveringham. Po drodze napotkała małżonków jadących na grzbiecie kuca. Poradzili jej, by nie szła do wioski, i powiedli ją okrężną drogą, wąskimi drózkami i ścieżkami. Dziewczyna wspięła się na trawiasty pagórek i dostrzegła, że mieszkańcy wsi w dolinie noszą grube przepaski na oczach, a nieprzyzwyczajeni do ślepoty, nieustannie uderzają czołami w ściany, przewracają się o stołki i wózki, kaleczą nożami i narzędziami, parzą ogniem. W rezultacie wszyscy nosili ślady stłuczeń i obrażeń, ale mimo to nikt nie zdejmował opasek.

„Och! - westchnęła żona. - Ojciec z Hoveringhamu ośmielił się z ambony napiętnować

niegodziwość Margaret Ford. Biskupi, opaci i kanonicy milczeli, lecz ten słaby stary człowiek przeciwstawił się jej, przez co rzuciła zaklęcie na całą wieś. Skazała mieszkańców na ciągłe oglądanie najgorszych koszmarów. Ci biedacy widzą, jak ich dzieci głodują, rodzice tracą rozum, ukochani gardzą nimi i ich zdradzają. Małżonkowie widzą swoich towarzyszy życia okrutnie pomordowanych. Choć to jedynie iluzje, wieśniacy muszą zasłaniać oczy, by nie popaść w szaleństwo”.

Córka lorda pokręciła głową nad niegodziwością Margaret Ford i ruszyła w dalszą podróż do posiadłości Johna Forda, gdzie napotkała Margaret i jej służki, każdą z kijem w dłoni. Właśnie przepędzały krowy na wieczorne dojenie. Dziewczyna śmiało podeszła do Margaret Ford, lecz ta w jednej chwili okręciła się i zdzieliła ją kijem.

„Niegodziwa dziewczko! - wykrzyknęła. - Wiem, kim jesteś! Pierścień mnie uprzedził. Wiem, że planujesz mi skłamać, choć nigdy nie wyrzuciłam ci krzywdy, i poprosić o przyjęcie na służbę. Wiem, że zamierzasz skraść mój pierścień. Usłysz zatem, że rzuciłam nań potężne zaklęcia. Jeśli jakiś złodziej okaże się na tyle dumny, by go dotknąć, wówczas nadlecą pszczoły, osy i wszelkiego rodzaju owady, ażeby żądlić nieszczęśnika. Orły, jastrzębie oraz inne gatunki ptactwa sfruną z nieba i go podziobią, a na koniec niedźwiedzie, dziki i inne bestie rozszarpią i zdeptają nikczemnika”.

Po tych słowach Margaret Ford stłukła dziewczynę na kwaśne jabłko i przykazała służkom skierować ją do pracy w kuchni. Służba Margaret - nieszczęsna, źle traktowana gromada - obarczała nową pomoc kuchenną najtrudniejszą pracą, a za każdym razem, gdy pani ich biła lub na nich wrzeszczała (czyli nader często), wyżywała się na córce lorda. Mimo to dziewczyna nie załamała się. Przez kilka miesięcy pracowała w kuchni, głowiąc się nad tym, jak przechytryć swą panią i sprawić, by upuściła lub zgubiła magiczny przedmiot.

Margaret Ford należała do kobiet okrutnych i gwałtownych, a jej złości, raz wywołanej, nie sposób było załagodzić. Przy tym wszystkim jednak darzyła uwielbieniem małe dzieci i korzystała z każdej okazji, by je tulić. Z dzieckiem w objęciach stawiała się uosobieniem łagodności. Sama nie miała potomstwa i wszyscy, którzy ją znali, dobrze wiedzieli, jaki to dla niej dramat. Powszechnie podejrzewano, że Margaret usiłuje zająć w ciąży za pomocą magii, lecz na razie bezowocnie.

Pewnego dnia Margaret Ford bawiła się z córeczką sąsiadki i opowiadała, że najchętniej urodziłaby dziewczynkę, najlepiej o różanej cerze, zielonych oczach i miedzianych loczkach (taki był koloryt jej samej). „Och! - westchnęła niewinnie córka lorda. - Żona namiestnika królewskiego w Epperstone ma właśnie takie dziecko. To najpiękniejsze maleństwo pod słońcem”. Wówczas Margaret Ford nakłoniła ją do wspólnej wyprawy do



Epperstone, gdzie zobaczyła pociechę namiestnika. W rzeczy samej, dziewczynka była najśladszym i najładniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek przyszło na świat. W związku z tym Margaret Ford zakomunikowała zdjętej grozą matce, że zamierza zabrać małą ze sobą.

Dziecko należało teraz do Margaret, która stała się całkiem inną osobą. Całymi dniami zajmowała się dziewczynką, bawiła się z nią i śpiewała jej. Znacznie rzadziej korzystała z magicznego pierścienia i prawie wcale nie traciła cierpliwości.

Córka lorda spędziła rok w domu Margaret Ford. Pewnego letniego dnia obydwie wraz z dzieckiem i służkami posilały się nad brzegiem rzeki. Po posiłku Margaret spoczęła w cieniu krzewu róży. Jako że dzień był upalny, wkrótce wszystkich ogarnęła senność.

Upewniwszy się, że Margaret Ford śpi, córka lorda wyjęła kandyzowaną śliwkę i pokazała ją dziecku. Dziewczynka doskonale wiedziała, do czego służą kandyzowane owoce, więc szeroko otworzyła usta, a córka lorda wsunęła w nie przysmak. Potem błyskawicznie (i tak, by żadna ze służek się nie zorientowała) zsunęła magiczny pierścień z palca Margaret Ford.

„Och, och! - wykrzyknęła następnie. - Proszę pani, proszę się zbudzić! Dziecko zdjęło pani pierścień i wepchnęło go do ust! Och, dla dobra kochanego maleństwa proszę zdjąć zaklęcie! Niech pani zdejmie zaklęcie!” Margaret Ford ujrzała dziewczynkę z wypchniętym policzkiem, lecz była nazbyt senna i zdumiona, by zrozumieć, co się dzieje. W pobliżu przeleciała pszczoła - córka lorda wskazała ją i wrzasnęła, a wraz z nią wszystkie inne służki. „Szybko, proszę pani, błagam!” - krzyczała dziewczyna. „Och! - podniosła wzrok. - Nadlatują orły i jastrzębie! Och! - popatrzyła w dal. - Biegną niedźwiedzie i dziki, by rozedrzeć biedactwo na strzępy!”

Margaret Ford zawołała, by pierścień powstrzymał magię, co też się momentalnie stało. Niemal w tej samej chwili dziecko połknęło śliwkę. Gdy Margaret Ford oraz służki nakłaniały dziewczynkę do wykrztuszenia magicznego pierścienia, córka lorda uciekła w stronę Nottinghamu.

Dalej historia przebiega w typowy dla takich opowieści sposób. Gdy tylko Margaret Ford odkryła podstęp, posłała w pościg konnych z psami. Kilka razy zdawało się, że córkę lorda spotka tragiczny los - jeźdźcy byli tużtuż, a psy prawie jej dosięgały. Lecz jak to w baśniach bywa, dziewczyna wychodziła za każdym razem z opresji dzięki wszystkim ofiarom złej magii Margaret Ford: wieśniacy z Hoveringhamu zdarli opaski i mimo przerażających wizji, które ich nawiedzały, popędzili budować barykady, powstrzymujące pogoń. Biedna Joscelin Trent wychyliła się z rzeki, próbując wciągnąć Margaret Ford do błotnistej wody. Torturowany ogniem las ciskał w nią płonącymi gałęziami.

Ostatecznie pierścień zwrócono lordowi Nottinghamu, który naprawił wszystkie niegodziwości, jakich dopuściła się Margaret Ford, dzięki czemu wyzdrowiał, odzyskał majątek oraz reputację.

Istnieje jeszcze jedna wersja tej historii, w której nie ma mowy o magicznym pierścieniu, gorejącym zagajniku ani o feniksie. Tak naprawdę nie pojawiają się tam żadne cuda. Wedle tej wersji Margaret Ford oraz córka lorda Nottinghamu (zwała się Donata Torel) wcale nie były przeciwniczkami, tylko przewodziły stowarzyszeniu kobiet magów, założonemu w dwunastowiecznym hrabstwie Nottingham. Hugh Torel, lord Nottinghamu, był przeciwnikiem organizacji i postanowił za wszelką cenę doprowadzić do jej rozbicia (mimo że córka była jej członkinią). Zamiary możnowładcy niemalże się powiodły, lecz kobiety uciekły od swych ojców i mężów i osiadły w lasach pod ochroną Thomasa Godblessa, maga znacznie wybitniejszego niż Hugh Torel. Ta mniej barwna wersja opowieści nigdy nie dorównała popularnością pierwszej, ale właśnie ją Jonathan Strange uznał za prawdziwą i umieścił w Historii i zastosowaniu angielskiej magii.

<sup>[13]</sup> Cierpię głód, którego zupa nie zaspokoi.

<sup>[14]</sup> Stephen opisał, jak Juliusz Cezar wkrótce po przybyciu na te ziemie oddalił się od swych oddziałów i skierował się do małego lasu. Po krótkim czasie napotkał dwóch młodych mężczyzn, którzy głęboko wzdychali i tupali ze złością. Obaj byli niezwykle przystojni i ubrani w piękne szaty ufarbowane na nietypowe barwy. Juliusza Cezara tak uderzyła szlachetność bijąca od młodych ludzi, że zaczął zadawać im najrozmaitsze pytania, a oni odpowiadali mu otwarcie i bez zahamowań. Wyjaśnili, że obaj są powodami w sprawie sądowej. Sąd zbierał się w dzień wpłat kwartalnych, by rozstrzygać spory i karać złoczyńców wśród miejscowych. Niestety, przedstawiciele ich rasy byli niezwykle niegodziwi i kłótliw. W tej chwili nie rozsądzano żadnych konfliktów, gdyż nie dało się znaleźć bezstronnego sędziego - każdą szacowną osobę wśród nich natychmiast oskarżano o przestępstwo albo okazywała się ona powiązana zjedną ze stron. Słyszac to, Juliusz Cezar natychmiast ich pożałował i z miejsca złożył propozycję, że sam zostanie sędzią - na co z chęcią przystali.

Zaprowadzili go przez las do leżącej nieopodal, porośniętej trawą doliny. Tu znalazł około tysiąca najpiękniejszych kobiet i mężczyzn, jakich kiedykolwiek widział. Usiadł na zboczu i wysłuchał ich skarg oraz pretensji, a potem wydawał wyroki tak mądre, że wszyscy byli zachwyceni i nikt nie czuł się pokrzywdzony.

W rzeczy samej tak uradowały ich wyroki Juliusza Cezara, że w ramach zapłaty zaproponowali mu wszystko, czego tylko zapragnie. Juliusz Cezur zastanowił się przez chwilę i odparł, że chciałby rządzić światem. Wobec tego zgodzili się spełnić jego życzenie.

[15] 14 maja 1810 roku pan Strange napisał do Johna Segundusa: „Ludzie z wielkim zainteresowaniem śledzą przeróżne wizje, a ja to zainteresowanie zaspokajam, gdy tylko jestem w stanie. Pomimo narzekań Norrella kłopotu z tym niewiele, a laicy są wniebowzięci. Ubolewam tylko nad jednym: ludzie zawsze proszą o pokazywanie im krewnych. We wtorek gościłem na Tavistock Square, w domu państwa Fulcherów. Rozlałem na stół nieco wina, rzuciłem zaklęcie i ukazałem zebrany bitwę morską, która właśnie toczyła się na Bahamach. Potem zaprezentowałem widok zburzonego neapolitańskiego klasztoru w świetle księżyca, a na koniec cesarza Napoleona, jak sączy czekoladę z filiżanki i moczy stopy w misie z gorącą wodą.

Fulcherowie byli dość grzeczni, żeby udawać zainteresowanie moją prezentacją, lecz pod koniec wieczoru spytali, czy mógłbym pokazać ich ciotunię z Carlisle. Przez następne pół godziny musiałem gawędzić z Arabellą, podczas gdy członkowie rodziny wybałuszali oczy w bezruchu, zapatrzeni w starszą panią w białym czepcu. Siedziała przy ogniu i robiła na drutach”. Listy i pisma różne Jonathana Strange a, red. John Segundus, wyd. John Murray, 1824.

[16] Jedną z ksiąg pana Norrella, który wspominał o niej mimochodem, gdy panowie Segundus oraz Honeyfoot odwiedzili go na początku stycznia 1807 roku.

[17] Były to weneckie obrazy, które pan Norrell widział w domu pani Wintertowne dwa lata wcześniej. Wtedy pani Wintertowne poinformowała pana Norrella, że zamierza podarować je sir Walterowi i córce w prezencie ślubnym.

[18] Oto zaklęcia, jakie rzucili panowie Strange i Norrell w 1810 roku: zamulenie części morza w Zatoce Biskajskiej i doprowadzenie do pojawienia się tam gęstego lasu olbrzymich drzew (co zaowocowało zniszczeniem dwudziestu francuskich okrętów); wywołanie niezwykłych pływów oraz wiatrów, które pomieszały szyki francuskiej flocie i zniszczyły wrogie uprawy oraz wybiły trzodę; nadawanie deszczowi kształtu flotylli okrętów, warowni, monstualnych postaci, fruujących aniołów itp. w celu przerażenia, skonfundowania i oszołomienia francuskich żołnierzy oraz marynarzy; wywoływanie we Francji nocy w porze dnia i na odwrót.

Wszystkie powyższe zaklęcia zostały opisane w *De Generibus Artium Magicarum Anglorum* Francisa SuttonaGrove’a.

[19] Poprzedni minister wojny, lord Castlereagh, wdał się w gwałtowną kłótnię z panem Canningiem pod koniec 1809 roku. Dżentelmeni odbyli pojedynek i w rezultacie obaj musieli zrezygnować z pracy w rządzie. Obecny minister wojny, lord Liverpool, to dawny lord Hawkesbury, wspomniany już wcześniej na stronicach tej księgi. Otóż odrzucił on jeden tytuł

i przyjął drugi, kiedy jego ojciec zmarł w grudniu 1808 roku.

[20] Taumatoman - osoba, której fascynacja magią i cudami graniczy z opętaniem (Samuel Johnson, Słownik języka angielskiego).

[21] Zamek Floors to siedziba książąt Roxburghe.

[22] Sąd parów ostatecznie wypowiedział się na korzyść sir Jamesa Innesa. Zgodnie z przewidywaniami pana Lascellesa, nowy książę z miejsca wystawił bibliotekę na sprzedaż. Licytację przeprowadzono latem 1812 roku (kiedy Strange przebywał na Półwyspie Iberyjskim). Stała się ona bodaj najważniejszym wydarzeniem bibliograficznym od czasu spalenia Biblioteki Aleksandryjskiej. Trwała czterdzieści jeden dni i była przyczyną co najmniej dwóch pojedynków.

Wśród książek księcia znalazło się siedem tekstów magicznych, bez wyjątku niezwykle cennych.

*Medytacja Rosa et Fons* była mistycznym dziełem poświęconym magii, napisanym przez nieznanego czternastowiecznego maga.

*Thomas de Dundelle*, do tej pory nieznaną poemat autorstwa Chretien de Troyes, był barwną opowieścią o życiu Thomasa Dundale'a, pierwszego człowieka w służbie Króla Kruków.

*Księga Loveday Ingham* to zapis codziennych poczynań pewnego piętnastowiecznego maga z Cambridge.

*Pozycja Exercitatio Magica Nobilissima* była siedemnastowieczną próbą opisaną całej angielskiej magii.

*Historia Siedem* należała do nader niejasnych dzieł, napisanych częściowo po angielsku, częściowo po łacinie, z fragmentami w nieznanym odmianie języka elfickiego. Wieku tego tomu nie dało się ustalić nawet w przybliżeniu, autor pozostał nie zidentyfikowany, trudno też było określić cele, które mu przyświecały podczas pisania tej książki. Ogólnie można było odnieść wrażenie, że dzieło jest historią pewnego miasta w Faerie, znanego jako Siedem. Pisarz przedstawił wszystko w wyjątkowo mylący sposób, a na domiar złego często przerywał narrację, by oskarżać bliżej nie określoną osobę o tajemnicze obrażenia, które mu zadała. Te partie tekstu przypominały raczej kipiący wściekłością list.

*Parlament kobiet* był alegorycznym szesnastowiecznym opisem mądrości i magii, przynależnych wyłącznie kobietom.

Zdecydowanie jednak najwspanialszą pozycją była księga *Ilustracja żywota Ralphi Stokeseya*, która wraz z pierwszym wydaniem Dekameronu Boccaccia trafiła na licytację ostatniego dnia aukcji. Nawet pan Norrell wcześniej nie zdawał sobie sprawy z istnienia tego

tekstu. Napisało go zapewne dwóch autorów: piętnastowieczny mag o nazwisku William Thorpe i elfi sługa Alpha Stokeseya, Col Tom Blue. Za ten rarytas pan Norrell zapłacił niesłychaną sumę dwóch tysięcy stu gwinei.

Inni licytujący darzyli pana Norrella tak głęboką rewerencją, że ani jeden z obecnych na sali dżentelmenów nie zdecydował się licytować przeciwko niemu. Z ogólnej tendencji wyłamała się pewna dama, usiłująca przebić pana Norrella przy licytacji każdej książki. Tygodnie poprzedzające aukcję były dla Arabelli Strange niezwykle wyczerpujące. Pisała liczne listy do krewnych współmałżonka i składała wizyty wszystkim swoim przyjaciółom w Londynie, usiłując pożyczyć odpowiednią sumę na kupno kilku książek dla męża, lecz Norrell przelicytowywał ją za każdym razem.

Sir Walter Scott, pisarz, obserwował przebieg licytacji i tak opisał jej zakończenie: „Tak głębokie było rozczarowanie pani Strange utratą *Ilustracji żywota Alpha Stokeseya*, że aż zalała się łzami. Akurat w tym momencie pan Norrell przechodził w pobliżu, w dłoni trzymając książkę. Ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem nie zaszczyił żony swego ucznia. Nie pomnę, kiedy ostatnio widziałem równie nieuprzejme zachowanie. Kilka osób zauważyło szorstkość pana Norrella i dotarły do mnie surowe komentarze na jego temat. Nawet lord Portishead, którego podziw dla maga nie ma granic, przyznaje, że w jego opinii Norrell zachował się wyjątkowo niegrzecznie wobec pani Strange”.

Nie tylko jednak ten epizod doczekał się niepoehlebnych reakcji. W tygodniach po zakończeniu aukcji uczeni oraz historycy czekali na artykuły i informacje o wiedzy zawartej w siedmiu zakupionych przez Norrella księgach. Szczególne nadzieje wiązali z *Ilustracją żywota Alpha Stokeseya*, mogącą wyjaśnić kilka niesłychanie istotnych tajemnic angielskiej magii. Powszechnie zakładano, że pan Norrell ujawni nowe odkrycia na łamach „Przyjaciół Angielskiej Magii” lub też pozwoli skopiować nabytą księgę, lecz nic takiego się nie stało. Jedna czy dwie osoby skierowały do niego listy z konkretnymi zapytaniami, lecz nie udzielił odpowiedzi. Pan Norrell nie krył zdziwienia, gdy w gazetach zaczęto publikować listy ze skargami. Ostatecznie zachowywał się dokładnie tak samo jak zawsze: kupował cenne księgi i ukrywał je skrzętnie przed wzrokiem innych ludzi. Różnica sprowadzała się do tego, że w czasach, kiedy był zupełnie nie znanym dżentelmenem, nikt nie poświęcił jego postępowaniu ani jednej myśli. Teraz oczy świata były w nim utkwione. Jego małomówność budziła zdumienie, a ludzie coraz częściej przypominali sobie chwile, kiedy pan Norrell postępował w sposób nieuprzejmy i arogancki.

<sup>[23]</sup> „Dar Świętego Seria” został zdobyty na Francuzach. Jego francuska nazwa brzmiała „Le Tempie Foudroye”. Nazwa „Dar Świętego Seria” wywodzi się, rzecz jasna, od

jednego z czterech magicznych lasów otaczających i chroniących główną siedzibę Króla Kruków, Newcastle.

<sup>[24]</sup> Naturalnie, można zaprotestować, Wellington bowiem był Irlandczykiem, lecz patriotyczne pióro angielskie nie zniży się do polemiki z takimi żartami.

<sup>[25]</sup> Trzy wielkie fortece strzegły granic Hiszpanii: Almeida, Badajoz i Ciudad Rodriguez. W pierwszych miesiącach 1811 roku wszystkie trzy znajdowały się w rękach Francuzów. Kiedy Wellington podążał ku Almeidzie, wysłał generała Beresforda wraz z armią portugalską, by rozpoczął oblężenie fortecy Badajoz dalej na północy.

<sup>[26]</sup> Hrabstwo York było częścią królestwa północnej Anglii, rządzonego przez Króla Kruków. Szacunek Childermassa oraz pana Norrella do Vinculusa wzrósł nieco, gdy się dowiedzieli, że podobnie jak oni pochodził z północy.

<sup>[27]</sup> Wielu ludzi oprócz Lascellesa zwróciło uwagę na dziwną okoliczność: pan Norrell, który nienawidził każdej wzmianki o Królu Kruków, mieszkał w domu zbudowanym z kamieni wydobytych w kamieniołomie na polecenie Króla i wzniesionym na ziemi, która niegdyś do niego należała.

<sup>[28]</sup> Księgobójstwo było jednym z późniejszych przestępstw uwzględnionych przez angielskie prawo magiczne. Celowe zniszczenie magicznej księgi zasługiwało na taką samą karę jak zamordowanie chrześcijanina.

<sup>[29]</sup> Nie wszyscy wielcy, wzmiankowani przez dżentelmena, to chrześcijanie. Podobnie jak my nie do końca właściwie określamy mianem „elfy” ogromną mnogość różnorodnych plemion i ras, tak one powszechnie mówią o nas „chrześcijanie”, bez względu na naszą religię, rasę lub epokę, w jakiej przyszło nam żyć.

<sup>[30]</sup> Ugrupowania partyzanckie, z hiszpańska zwane *guerrilla*, czyli „wojenka”, liczyły od kilkudziesięciu do kilku tysięcy ludzi, którzy walczyli i nękali francuską armię. Na czele niektórych jednostek partyzanckich stali byli żołnierze, dbający o przestrzeganie dyscypliny wojskowej. Członkowie innych ugrupowań zasadniczo wywodzili się spośród bandytów i niewiele od nich różnili. Tyle samo energii zużywali na prześladowanie nieszczęsnych rodaków, co na walkę z Francuzami.

<sup>[31]</sup> Fragment listu Jonathana Strange’a do Johna Segundusa, Madryt, 20 sierpnia 1812 roku:

„Zawsze kiedy zachodzi potrzeba znalezienia kogoś lub czegoś, lord Wellington z miejsca zwraca się do mnie z prośbą o wizję, która nigdy nie przynosi spodziewanych rezultatów. Król Kruków oraz inni aureaci znali pewien rodzaj magii służącej do odszukiwania przedmiotów i ludzi. Jak rozumiem, na wstępie przygotowywali srebrną misę z

wodą. Następnie za pomocą błyszczących świetlnych linii dzielili powierzchnię wody na kwarty. (Tak na marginesie, Johnie, naprawdę nie potrafię uwierzyć, że tworzenie tych linii nastęrcza ci aż tylu kłopotów, o czym wspominasz w listach. Nie jestem w stanie jeszcze jaśniej opisać tej magii. Linie to najprostsza rzecz pod słońcem!) Kwarty symbolizują Niebo, Piekło, Ziemię i Faerie. Zdaje się, że należy zastosować zaklęcie wyboru w celu ustalenia, w którym z tych królestw można znaleźć poszukiwaną osobę lub przedmiot. Niewielkie mam jednak pojęcie, co robi się dalej, podobnie jak Norrell. Gdybym tylko znał ten rodzaj magii! Wellington lub ludzie z jego sztabu bez przerwy dają mi zadania, których nie potrafię wykonać, i takie, które muszę zostawiać rozgrzebane, gdyż nie znam odpowiednich zaklęć. Tak więc niemal codziennie odczuwam niedobory wiedzy. Na domiar złego brak mi czasu na eksperymenty. Tak więc, Johnie, byłbym ci zobowiązany, gdybyś mógł poświęcić nieco czasu na badanie tego zaklęcia i z miejsca mnie powiadomić w wypadku choćby znikomego sukcesu”.

W dokumentach pozostawionych przez Johna Segundusa nie było ani jednej informacji świadczącej o tym, że jego próby opracowania owego zaklęcia przyniosły jakiegokolwiek skutki.

<sup>[32]</sup> Strange wiedział, że tą formą magii parął się niegdyś Król Kruków. Zwykle stosowana przezeń magia była tajemnicza, piękna i subtelna, dlatego czytelnik może być zaskoczony, gdy usłyszy, iż Król posługiwał się również brutalnymi zaklęciami.

W połowie XIII wieku kilku wrogów Króla usiłowało stworzyć przymierze przeciwko niemu. Większość nieprzyjaciół znał: jednym był król Francji, drugim król Szkocji; poza nimi w pakcie uczestniczyła jeszcze grupa niełojalnych elfów, które ponadawały sobie dumnie brzmiące tytuły i mogły (choć niekoniecznie) sprawować władzę nad rozległymi ziemiami - tak przynajmniej twierdziły. Przymierze zgrupowało też kilka innych osobistości, bardziej tajemniczych i potężniejszych. Przez większą część rządów Król utrzymywał poprawne stosunki z wieloma aniołami i demonami, lecz z czasem pojawiły się pogłoski o kłótni między nim i Zadkiem, aniołem dobroczynności, oraz Alrinachem, który odpowiada za klęski żywiołowe.

Król chyba niewiele przejmował się poczynaniami sprzymierzonych. Bardziej się nimi zainteresował, kiedy pewne magiczne znaki wskazały mu, że jeden z jego możnowładców dołączył do porozumienia i spiskuje przeciwko swemu panu. Podejrzany był Robert Barbatus, książę Wharfdale, cwany manipuland, zwany przez otoczenie Lisem.

W oczach Króla nie istniała gorsza zbrodnia od zdrady.

Kiedy pierworodny Lisa, Henry Barbatus, zmarł na gorączkę, Król Kruków nakazał

wykopanie trupa i przywrócenie go do życia, by powiedział wszystko, co wie. Thomas Dundale i William Lanchester nie kryli niesmaku i poprosili Króla o zastosowanie innych środków. Przepelniony goryczą i rozzłoszczony władca nie dał się jednak przekonać. Istniały setki innych magicznych sztuk, których mógł użyć, lecz żadna nie była równie szybka i bezpośrednia. Król Kruków, tak jak większość wielkich magów, ogromnie cenił praktyczność.

Podobno ogarnięty furją Król pobił Henry'ego Barbatusa. Za życia Henry był wspaniałym młodzieńcem, wielce podziwianym za urodziwą twarz i godne maniery, a przy tym jego niezrównane męstwo budziło we wszystkich lęk. Królewska magia sprawiła, że ten szlachetny rycerz stał się zalęknionym, jęczącym truchłem, co rozzłościło Williama Lanchestera do tego stopnia, że pokłócił się z władcą i ich stosunki na kilka lat bardzo się ochłodziły.

<sup>[33]</sup> Aby zakończyć „życie” trupów, należy wydłubać im oczy oraz wyciąć języki i serca.

<sup>[34]</sup> „Oдноśnie martwych włoskich żołnierzy mogę tylko podkreślić, jak ogromnie ubolewamy nad koniecznością dopuszczenia się takiego okrucieństwa wobec ludzi, którzy i bez tego wiele wycierpieli. Niestety, byliśmy zmuszeni tak postąpić. Żadną miarą nie dało się ich przekonać do pozostawienia maga w spokoju. Gdyby nawet go nie zabili, z pewnością doprowadziliby go do obłądu. Musieliśmy wyznaczyć dwóch ludzi do pilnowania pana Strange'a podczas snu, by uniemożliwić trupom dotykanie go i budzenie. Bardzo byli z maltretowani po śmierci. Biedacy nie przedstawiali widoku, który chciałoby się ujrzeć po przebudzeniu. Koniec końców rozpaliliśmy ognisko i cisnęliśmy ich w płomienie”. Lord Fitzroy Somerset w liście do brata, 2 września 1812 roku.

<sup>[35]</sup> Pułkownik przeprowadził zwiad w tym lesie i odkrył, że skrywa się w nim mnóstwo francuskich żołnierzy, czekających tylko na sposobność, by otworzyć ogień do brytyjskiej armii. Jego oficerowie dyskutowali właśnie, co dalej robić, kiedy podjechał do nich lord Wellington.

- Mniemam, że możemy obejść las - zasugerował dowódca. - Problem polega jednak na tym, że zajmie to dużo czasu, a mnie się spieszy. Gdzie mag?

Ktoś migiem sprowadził Strange'a.

- Drogi panie! - zaczął lord Wellington. - Nie wierzę, by przesunięcie tych drzew sprawiło panu kłopot. Z pewnością natrudzi się pan przy tym mniej niż cztery tysiące ludzi przy pokonywaniu dwunastokilometrowej drogi wokół lasu. Proszę z łaski swojej przemieścić drzewa!



Strange zrobił to, czego od niego oczekiwano: przeniósł las na drugą stronę doliny. Francuscy żołnierze, przycupnięci na nagim zboczu, bardzo szybko się poddali.

<sup>[36]</sup> Ze względu na błąd na mapach Hiszpanii, z których korzystał Wellington, miasto Pampeluna znajdowało się niezupełnie tam, gdzie się tego spodziewali Anglicy. Wellington był głęboko rozczarowany, kiedy jego wojska pokonały trzydzieści sześć kilometrów w jeden dzień, lecz nie dotarły do Pampeluny, która - jak się okazało - leżała osiemnaście kilometrów dalej na północ. Po krótkiej dyskusji postanowiono, że mniej problemów nastęrczy przeniesienie całego miasta przez pana Strange'a niż zmiana map.

<sup>[37]</sup> Kościoły w St Jean de Luz stały się przyczyną pewnej kłopotliwej sytuacji, nie istniał bowiem ani jeden powód, by je przemieszczać. Sprawa miała się następująco: pewnego niedzielnego poranka Strange popijał brandy na śniadanie w hotelu w St Jean de Luz. Magowi towarzyszyło trzech kapitanów i dwóch poruczników z 16. Pułku Lekkich Dragonów, którym tłumaczył teorię magicznego transportu rozmaitych obiektów. Na próżno: żołnierze nie zrozumieliby maga, nawet gdyby nie byli pijani, a tymczasem ani oni, ani Strange od dwóch dni nie mieli okazji wytrzeźwieć. Aby zilustrować zagadnienie, Strange zamienił miejscami dwa kościoły wraz ze zgromadzonymi w środku wiernymi. Miał szczerzy zamiar przenieść obydwie świątynie na właściwe im miejsca jeszcze przed zakończeniem mszy, lecz wkrótce po tej demonstracji zawołano go do stołu bilardowego i kompletnie o tym zapomniał. Wbrew swoim rozlicznym zapewnieniom Strange nigdy nie znalazł czasu ani chęci, by przenieść rzekę, las, miasto lub cokolwiek innego na pierwotną pozycję.

<sup>[38]</sup> Rząd brytyjski zdecydował o przyznaniu lordowi Wellingtonowi tytułu książęcego. W tym samym czasie wybuchła burzliwa dysputa, poświęcona nobilitacji Strange'a.

- Będzie oczekiwał co najmniej tytułu baroneta - zakomunikował lord Liverpool w rozmowie z sir Walterem. - A my moglibyśmy uczynić dla niego znacznie więcej. Co by pan powiedział o wicehrabiostwie?

Mag nie otrzymał ani jednego z tych tytułów, gdyż, jak zauważył sir Walter, nie istniała absolutnie żadna możliwość przyznania szlachectwa Strange'owi i jednoczesnego pominięcia Norrella, a ministrowie nie przepadali za Norrellem aż tak, by życzyć mu podobnej chwały. Sama myśl o konieczności zwracania się do pana Norrella „sir Gilbercie” lub „wasza lordowska mość” była przygnębiająca.

<sup>[39]</sup> W *Życiu Jonathana Strange'a* John Segundus omawia inne, późniejsze poczynania Strange'a, które zdaniem autora wynikały z wpływu księcia Wellingtona.

<sup>[40]</sup> Możliwe jest, że Ormskirk również tego nie wiedział, gdyż po prostu spisał

zaklęcie przekazane mu przez kogoś lub znalezione w księdze. Istnieje pewien problem z tekstami argentów. Dążąc do przechowania każdego fragmentu magicznej wiedzy, często musieli spisywać to, czego sami nie rozumieli.

<sup>[41]</sup> Ta sadzawka oraz szpaler drzew były jedynymi pozostałościami rozległego, zadbanego ogrodu, rozplanowanego przez króla Wilhelma III. Rozpoczął on swe dzieło, lecz nikt nigdy go nie dokończył. Projekt zarzucono, gdy rzeczywisty koszt znacznie przewyższył szacunki. Ziemię zostawiono w spokoju, dzięki czemu powróciła do poprzedniego stanu, typowego dla parku i łąki.

<sup>[42]</sup> Charles James Fox, radykalny polityk, zmarły około ośmiu lat wcześniej. Ta uwaga dowodzi, jak dalece naruszone były królewskie zmysły: pan Fox był zdeklarowanym ateistą i nigdy, pod żadnym pozorem nie przekroczyłby progu kościoła.

<sup>[43]</sup> Rozmyślając później o wydarzeniach tego poranka, Strange doszedł do wniosku, że flecista nie podjął próby oszukiwania jego zmysłu smaku.

<sup>[44]</sup> Wbrew słowom pana Norrella kwestia bezpieczeństwa elfich dróg jest sporna. Są to miejsca budzące niepokój. Krążą dziesiątki opowieści o dziwnych przygodach, które spotkały ludzi usiłujących nimi wędrować. Historia przytoczona poniżej jest jedną z lepiej znanych. Trudno powiedzieć, co właściwie przydarzyło się bohaterom tej opowieści, lecz z pewnością nie chcielibyśmy podzielić ich losu.

Pewnego letniego poranka, pod koniec szesnastego wieku w hrabstwie York pewien farmer wyszedł wraz z dwoma lub trzema synami na sianokosy. Okolica tonęła we mgle, było chłodno. Wzdłuż skraju pola ciągnęła się stara elfia droga, otoczona wysokim żywopłotem z głogu. Drogę porastała bujna trawa i młode pędy roślin; nawet w najpogodniejszy dzień miejsce to tonęło w półmroku. Farmer jeszcze nigdy nie widział, by ktoś z niej korzystał, lecz tamtego ranka on i jego towarzysze ujrzeli na drodze grupę ludzi. Ich twarze i stroje wyglądały obco. Jeden z wędrowców wysunął się przed gromadę i zszedł z drogi na pole. Nosił się na czarno, był miody i przystojny, chociaż ludzie nigdy wcześniej go nie widzieli, rozpoznali go w mig: stał przed nimi Król Mag, John Uskglass. Ukłękli przed nim, a on nakazał im powstać. Wyjaśnił, że jest w podróży, na co oni sprowadzili mu konia, jadło i napój. Potem poszli po żony i dzieci, a John Uskglass ich pobłogosławił i życzył wszelkiej pomyślności.

Farmer popatrywał z niejaką trwogą na obcych, którzy pozostali na magicznej drodze, lecz John Uskglass zapewnił go, że nie ma powodu do obaw. Obiecał, że farmer nie dozna krzywdy z rąk tamtych ludzi, a potem odjechał.

Obcy postali jeszcze chwilę na starej drodze, lecz kiedy musnęły ich pierwsze

mocniejsze promienie słońca, rozplynęli się wraz z mgłą.

[45] Portret ten, obecnie zaginiony, wisiał w bibliotece pana Norrella od listopada 1814 roku do lata roku następnego, kiedy go usunięto. Od tamtej pory go nie widziano.

Poniższy cytat pochodzi z książki wspomnień i opisuje trudności, których doświadczał pan Lawrence (później znany jako sir Thomas Lawrence) podczas malowania. Dzieło jest interesujące między innymi z tej przyczyny, że rzuca światło na relacje łączące Norrella i Strange'a pod koniec 1814 roku. Wydaje się, że mimo licznych prowokacji Strange nadal cierpliwie znosił kaprysy podstarzałego maga i zachęcał do tego innych.

„Magowie pozwali do portretu w bibliotece pana Norrella. Pan Lawrence przekonał się, że pan Strange jest nader zgodnym dżentelmenem, dzięki czemu współpraca z nim przebiegała szybko i sprawnie. Z kolei pan Norrell od samego początku się denerwował. Co rusz poprawiał się na fotelu i wyciągał szyję, jakby usiłował zerknąć na dłonie pana Lawrence'a. Próby te były jałowe, bo obu panów dzieliła sztaluga. Pan Lawrence wyszedł z założenia, że modela z pewnością niepokoi jakość obrazu, toteż zapewnił go, iż praca przebiega zgodnie z planem. Pan Lawrence dodał, że jeśli pan Norrell ma ochotę, może zerknąć na płótno, lecz maga wcale to nie uspokoiło.

W pewnej chwili pan Norrell zwrócił się do obecnego w pomieszczeniu pana Strange'a, który właśnie pisał list do jednego z ministrów.

- Drogi panie, czuję przeciąg! Jestem pewien, że okno za panem Lawrence'em jest otwarte. Proszę z łaski swojej podejść i to sprawdzić.

- Bynajmniej, okno jest zamknięte - odparł Strange, nie podnosząc wzroku.

Kilka minut później panu Norrellowi zdało się, że słyszy głos ulicznego sprzedawcy bułek, więc gorąco poprosił pana Strange'a o podejście do okna i wyrznięcie na dwór. Lecz ten ponownie odmówił. Następnie pan Norrell usłyszał turkot kół powozu księżnej. Próbował wszystkiego, co mu przyszło do głowy, byle tylko skłonić pana Strange'a do podejścia do okna, lecz pan Strange ani myślał go słuchać. Wszystko to wyglądało niesłychanie dziwnie i pan Lawrence zaczął podejrzewać, że niepokój pana Norrella nie wynikał z wyimaginowanych przeciągów, okrzyków handlarzy bułkami czy księżnej, lecz miał coś wspólnego z obrazem.

Kiedy więc pan Norrell wyszedł z pokoju, pan Lawrence spytał pana Strange'a o przyczynę zachowania pana Norrella. Z początku mag utrzymywał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, lecz malarz się uparł i dręczył rozmówcę, domagając się prawdy.

- Och, niech będzie - westchnął pan Strange. - Wbił sobie do głowy, że skrywając się za sztalugami, kopiuje pan zaklęcia z jego ksiąg.

Pan Lawrence był zaskoczony. Malował już największe osobistości i do tej pory nikt nie posądził go o kradzież. Nie takiego traktowania oczekiwiał.

- Proszę się uspokoić - zasugerował pan Strange łagodnie. - Jeżeli ktokolwiek w Anglii zasługuje na naszą cierpliwość, to na pewno pan Norrell. Cała przyszłość angielskiej magii spoczywa na jego barkach i zapewniam pana, że ma on tego świadomość. Właśnie dlatego stał się nieco ekscentryczny. Zastanawiam się, co pan by poczuł, gdyby pewnego ranka zbudził się pan i skonstatował, że jest jedynym artystą w Europie? Nie byłby pan odrobinę osamotniony? Nie miałyby pan wrażenia, że Michał Anioł, Rafael, Rembrandt i cała reszta uważnie się panu przypatrują, jakby nie wierzyli, że im pan dorówna, i jednocześnie o to błagali? Czy od czasu do czasu nie traciłby pan cierpliwości?"

*Zaczerpnięte ze Wspomnień panny Croft o sir Thomasie Lawrensie z niemal trzydziestoletniego związku z nim.*

[46] Francis Pevensey, szesnastowieczny mag. Spod jego pióra wyszedł tom Osiemnaście cudów w Domu Albionu. Wiadomo nam, że Pevensey był uczniem Martina Pale'a. Osiemnaście cudów w... nosi wszelkie cechy stylu magii Pale'a, łącznie z jego zamiłowaniem do skomplikowanych tabel oraz misternej machinerii magicznej.

Przez wiele lat Francis Pevensey zajmował drugorzędne, lecz szanowane miejsce w historii angielskiej magii jako podopieczny Martina Pale'a, lecz ku powszechnemu zdumieniu nagle stał się przedmiotem jednego z najbardziej zagorzałych i kontrowersyjnych sporów w historii osiemnastowiecznej teorii magii.

Wszystko zaczęło się w 1754 roku, kiedy w bibliotece pewnego dżentelmena ze Stamfordu w hrabstwie Lincoln odkryto zbiór listów. Napisano je ozdobnym charakterem pisma i sygnowano nazwiskiem Martina Pale a. Ówczesni badacze magii nie posiadali się z radości. Po bliższych oględzinach okazało się jednak, że pisma te to w gruncie rzeczy listy miłosne, pozbawione najdrobniejszej choćby wzmianki o magii. Zawierały za to niezwykle zmysłowe opisy: Pale przyrównywał swoją ukochaną do obmywających go słodkich strug deszczu, do ognia, przy którym się ogrzewał, do mąk, które przedkładał nad wszelkie wygody. W listach przewijały się liczne odniesienia do mlecznobiałych piersi, wonnych nóg, długich, miękkich, kasztanowych włosów, w które wplątały się gwiazdy, a także rozmaitych innych rzeczy, nie stanowiących przedmiotu zainteresowania badaczy magii.

Pale maniakalnie często przywoływał w swych tekstach imię ukochanej - brzmiało ono Francis. W jednym z listów zamieścił coś w rodzaju dowcipnego wierszyka czy też zagadki związanej z nazwiskiem wybranki: Pevensey. Osiemnastowieczni uczeni z początku twierdzili, że kochanka Pale'a musiała być siostrą bądź żoną jakiegoś Francisa Pevenseya,

bowiem w szesnastym wieku Francis było imieniem popularnym zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Potem jednak Charles HetherGray opublikował siedem wyjątków z listów, w których autor wspomina Osiemnaście cudów w Domu Albionu, i na ich podstawie jednoznacznie wykazał, że kochanka Pale'a oraz autor książki to jedna i ta sama osoba.

William Pantler utrzymywał, że listy są fałszerstwem. Znalaziono je w bibliotece niejakiego pana Whittlesea, którego żona była autorką kilku sztuk teatralnych. Dwie z nich wystawiono w teatrze Drury Lane. Zdaniem Pantlera było jasne, że kobieta, która zniżyła się do pisania sztuk, zniży się do wszystkiego, tak więc przedstawił własną koncepcję: jego zdaniem pani Whittlesea sfalszowała listy „...w celu wyniesienia swej płci ponad z natury należne jej i dane od Boga miejsce...” Pan Whittlesea wyzwiał Williama Pantlera na pojedynek. Pantler natomiast, uczony do szpiku kości, bez żadnego pojęcia o broni, przeprosił i opublikował oficjalne sprostowanie.

Pan Norrell chętnie wykorzystał magię Pevensey, gdyż już wcześniej wbił sobie do głowy, że Pevensey był mężczyzną. Co do listów: nie zawierały one słowa o magii, toteż nie przejmował się nimi. Jonathan Strange zajął odmienne stanowisko. Wedle jego opinii należało zadać sobie tylko jedno pytanie i znaleźć nań odpowiedź, by definitywnie rozstrzygnąć sporną kwestię: czy Martin Pale nauczałby kobiety magii? Strange doszedł do wniosku, że i owszem. Ostatecznie sam Martin Pale głosił, że swą wiedzę zawdzięcza kobiecie, Katarzynie z Winchesteru.

[47] Thaddeus Hickman (1700-1738), autor biografii Martina Pale'a.

[48] *Bluszcz przyobiegał spętać wrogów Anglii*

*Wrzośce i bielunie chłostę im sprawić przysięgły*

*Głóg zapowiedział, że odpowie na wszelkie pytania*

*Brzoza zapewniła, że wrota do innych krajów utworzy*

*Cis sprowadził nam broń*

*Kruk wrogów naszych ukarał*

*Gąb odległe wzgórze obserwował*

*Deszcz smutki nasze zmył*

Ta stara angielska wyliczanka prawdopodobnie opisuje rozmaite układy zawarte w imieniu Anglii z lasami przez Johna Uskglasa, Króla Kruków.

[49] Ława Pięciu Smoków (Les Cinque Dragownes). Wbrew powszechnemu mniemaniu nazwa tego organu sądowego nie miała związku z surowością ferowanych przezeń wyroków. Pochodziła od komnaty w domu Johna Uskglasa, Króla Kruków, w Newcastle, gdzie pierwotnie obradowała Ława. Rzeczona komnata podobno miała dwanaście

ścian, udekorowanych wyjątkowej urody rzeźbami, których część stworzyli ludzie, część elfy. Najcudowniejsze arcydzieła przedstawiały pięć smoków.

Zbrodnie osądzone przez Ławę Pięciu Smoków obejmowały: „złe dążności” - magię uprawianą celowo ze złymi zamiarami; „falszywą magię” - pozorowanie magii lub obiecywanie jej bez zamiaru wcielenia w życie; sprzedaż magicznych pierścieni, kapeluszy, butów, płaszczy, pasów, nakryć głowy duchownych, nasion, instrumentów muzycznych itp. ludziom, którym brakowało zdolności utrzymania kontroli nad tak potężnymi artefaktami; udawanie maga lub podawanie się za jego pełnomocnika; przekazywanie zasad magii osobom niepowołanym, tj. pijakom, szaleńcom, dzieciom, ludziom niegodnym, oraz wiele pozostałych zbrodni magicznych, popełnianych przez przeszkolonych magów oraz innych chrześcijan. Ława Pięciu Smoków sądziła również przestępstwa przeciwko Johnowi Uskglassowi. Jedyną kategorią przestępstw magicznych, które nie podlegały jurysdykcji Ławy Pięciu Smoków, były te popełnione przez elfy. Zajmował się nimi oddzielny sąd w Folflures.

W dwunastym, trzynastym i czternastym wieku istniała w Anglii liczna społeczność magów oraz elfów stale praktykujących magię, a magia z natury rzeczy jest trudna do regulowania, tym bardziej że magom nie zawsze przyświecały szlachetne intencje. John Uskglass najwyraźniej poświęcił sporo czasu i energii na stworzenie organu władzy sądowniczej mającego sprawować kontrolę nad magią i magami. Kiedy magia upowszechniła się w Anglii, królowie Anglii Południowej z wdzięcznością skorzystali z doświadczeń północnego sąsiada. Osobliwością tamtych czasów jest fakt, że choć Anglia była podzielona na dwa państwa o odrębnym sądownictwie, organ kierujący sprawami magii był taki sam dla obu krajów. Południowoangielskim odpowiednikiem Ławy Pięciu Smoków była instytucja zwana Londyńską Małą Ławą Smoków. Miała swą siedzibę w pobliżu Blackfriars.

<sup>[50]</sup> W latach 1572-1867 londyńska siedziba Akademii Adwokatów i Doktorów Prawa, w której mieściły się sądy Kościoła i admiralicji.

<sup>[51]</sup> Pod koniec siedemnastego wieku w królewskim mieście Newcastle żył pewien rękawicznik, który miał córkę - małą, odważną istotkę, która pewnego dnia zaginęła. Szukali jej matka, ojciec i bracia. Szukali sąsiedzi, lecz nikt nie natrafił na żaden ślad. Późnym popołudniem dostrzegli dziecko, schodzące ze wzgórza kamienistą, pokrytą błotem drogą. Część poszukiwaczy myślała przez chwilę, że nieopodal widzi jakąś postać, lecz dziewczynka dotarła do domu sama. Zupełnie nic jej się nie stało, a kiedy zdołano poskładać wszystkie fragmenty jej opowieści, przedstawiała się ona następująco:

Mała wyszła z domu, żeby pobłąkać się po mieście. Wkrótce natrafiła na ulicę, której

nigdy wcześniej nie widziała. Ulica była szeroka, wybrukowana i prowadziła pod górę, wyżej niż kiedykolwiek dotarła dziewczynka, wprost do bramy, podwórca i ogromnego domu z kamienia. Dziecko weszło do budynku i zajrzało do wielu pokoi, lecz wszędzie panowała cisza i pustka, wszędzie leżał kurz i biegały pająki. Z jednej strony domu znajdował się apartament, w którym na ściany i podłogę padały cienie liści, jakby za oknami rosły zielone drzewa (była zima). W jednym z pokoi wisiało tylko długie lustro. Pokój i zwierciadło najwyraźniej się pokłóciły, gdyż w odbitym w lustrze pomieszczeniu przebywało mnóstwo ptaków, podczas gdy w rzeczywistości pokój był całkiem pusty. Mimo to dziecko rękawicznika wszędzie słyszało ich śpiew. W domu ciągnął się długi ciemny korytarz. Z jego końca dobiegał szum wody, jakby znajdowało się tam mroczne morze lub rzeka. Z okien niektórych pokoi widać było Newcastle, z innych dziecko dostrzegło zupełnie odmienne miasto, a z jeszcze innych - wysokie dzikie wrzosowiska i zimne błękitne niebo.

Dziewczynka zobaczyła kręte schody. Na dole były szerokie, lecz gwałtownie się zwężały i coraz bardziej wiły, aż wreszcie na samej górze zmieniały się w szczeliny i szczyby w murze. Tylko dziecko mogło je dostrzec i tylko ono mogło się przez nie prześliznąć. Te położone najwyżej prowadziły do drzwiczek ze zwykłego drewna.

Nie mając powodów do obaw, dziewczynka pchnęła drzwi i niemal natychmiast krzyknęła. Wydało się jej, że tysiące ptaków fruwało w powietrzu, przez co nie wiedziała, czy to dzień, czy noc, bo widać było tylko płataninę czarnych skrzydeł. Wiał wiatr jakby z oddali; dziewczynka miała wrażenie, że dotarła do kruczego nieba. Dziecko rękawicznika przestraszyło się okropnie, lecz w następnej chwili usłyszało, jak ktoś woła je po imieniu. Ptaki momentalnie znikły, a dziewczynka znalazła się w małym pokoju o kamiennych ścianach i kamiennej podłodze. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli, lecz na podłodze siedział mężczyzna, który skinął na małą, ponownie wymówił jej imię i powiedział, by się nie obawiała. Miał długie włosy i dziwne czarne obszarpane ubranie. Nic nie wskazywało na to, że jest królem, a jedynym magicznym przedmiotem była wielka srebrna misa z wodą, stojąca u jego stóp. Dziewczynka spędziła kilka godzin z mężczyzną, a gdy zapadł zmierzch, nieznajomy sprowadził ją na dół budynku i do miasta, skąd dotarła do domu.

<sup>[52]</sup> Patrz Rozdział jedenasty, przypis 3.

<sup>[53]</sup> Bodaj najdziwniejszą historię o powrocie Johna Uskglassa opowiedział pewien baskijski marynarz, który przeżył rozbicie wielkiej armady hiszpańskiego króla. Okręt marynarza zatonął podczas burzy u północnych wybrzeży Anglii, ale marynarzowi i jego dwóm kompanom udało się dotrzeć na ląd. Obawiali się podchodzić do wsi, lecz była zima i okolice skuwał lód - mogli zamarznąć. Gdy nadeszła noc, ujrzeli pusty kamienny budynek na

wysokim, nagim i zamarzniętym wzgórzem. W środku panowały niemal kompletne ciemności, lecz wysoko w ścianie znajdowały się szczeliny, przez które wpadało światło gwiazd. Marynarze legli na gołej ziemi i zasnęli.

Baskijskiemu marynarzowi przyśniło się, że obserwuje go król. Gdy się ocknął, zimowy mrok nad jego głową przeszywały snopy przyćmionego szarego światła. Wydało mu się, że w cieniu po drugiej stronie budynku widzi kamienne podium. Gdy światło nabrało intensywności, na podium ujrzał krzesło lub tron, a na nim mężczyznę. Był on blady, otulony czarną szatą, miał długie, czarne włosy. Przerażony marynarz obudził kompanów i pokazał im nieznajomego na tronie. Obcy zdawał się ich obserwować. Nawet nie drgnął, mimo to rozbitkom nie przyszło do głowy, że mężczyzna być może nie żyje. Rzucili się pędem ku drzwiom i uciekli przez zamarznięte pola.

Baskijski marynarz wkrótce stracił towarzyszy: jeden z nich zmarł w ciągu tygodnia z zimna i przygnębienia, a drugi uparł się wrócić do Zatoki Biskajskiej, więc udał się na południe. Nikt nie wie, co się z nim stało. Baskijski marynarz pozostał w Cumbrii, gdzie przygarnęli go miejscowi rolnicy. Został służącym na jednej z farm i poślubił młodą dziewczynę z sąsiedniego gospodarstwa. Przez całe życie opowiadał historię o kamiennym budynku na wysokich wzgórzach, a jego nowi przyjaciele i sąsiedzi przekonali go, że mężczyzną na czarnym tronie był Król Kruków. Bask nigdy nie odnalazł domu z kamienia, nie udało się to także jego dzieciom i przyjaciołom.

Przez całe życie, za każdym razem, kiedy wchodził do ciemnych pomieszczeń, mówił: „Pozdrawiam cię, Panie, i przyjmuję cię całym sercem” - na wypadek gdyby czekał na niego w mroku blady król o długich, czarnych włosach. Król mógł przebywać w tysiącu miejsc w całej północnej Anglii, w tysiącu mrocznych miejsc.

<sup>[54]</sup> Peter Watershippe, *Kres magicznego lasu* (1444). W tym niesłychanie szczegółowym dziele autor, mag, precyzyjnie opisał, w jaki sposób angielska magia podupadła po opuszczeniu Anglii przez Johna Uskglassa. W 1434 roku (rok odejścia Uskglassa) Watershippe miał dwadzieścia pięć lat i zaczynał praktykować magię w Norwich. *Kres magicznego lasu* wydaje się książką napastliwą, dopóki nie porówna się jej z dwoma późniejszymi tekstami Watershippe'a: *Obrona mych uczynków*, spisana w zamku Newark podczas niesprawiedliwego uwięzienia przez mych wrogów (1459/1460) oraz *Zbrodnie fałszywego króla* (książka napisana prawdopodobnie w roku 1461, a opublikowana w roku 1697 w Penzance).

<sup>[55]</sup> Londyński dom lorda Liverpoola, wiekowa, staromodna, dziwacznie zaprojektowana posiadłość nad Tamizą.



[56] Mieszkańcy Brukseli oraz członkowie rozmaitych armii zajmujących miasto z zainteresowaniem przyjęli do wiadomości, że znaleźli się w odległym kraju. Niestety, zbyt pochłonięty ich przygotowaniem do nadchodzącej bitwy (a bogatszą i bardziej frywolną część populacji przygotowaniem do wieczornego balu u księżnej Richmondu), toteż mało kto znalazł czas na wyprawę po okolice i poznanie mieszkańców Ameryki. W rezultacie przez długi czas nie uświadamiano sobie, gdzie dokładnie Strange umieścił Brukselę tamtego czerwcowego popołudnia.

W 1830 roku pewien handlarz i traper, Pearson Denby, wędrował przez Krainę Wielkich Równin. W trakcie podróży spotkał znajomego wodza plemienia Lakota, imieniem Człowiek Który Łęka się Wody. Wódz spytał, czy Denby potrafiłby zdobyć dla niego czarne kule z piorunami, i wyjaśnił, że wybiera się na wojnę z wrogiem i pilnie takich kul potrzebuje. Podobno swego czasu dysponował około pięćdziesięcioma sztukami i zawsze korzystał z nich z umiarem, niemniej zapas się już skończył. Denby nie zrozumiał. Spytał zatem Człowieka Który Łęka się Wody, czy chodzi mu o amunicję do karabinów. Nie, usłyszał w odpowiedzi, chodzi o coś podobnego, lecz znacznie większego. Wódz zaprowadził Denby'ego do obozu i zaprezentował mu mosiężną pięcioipółcalową haubicę wyprodukowaną przez Carron Company z Falkirk w Szkocji. Denby nie krył zdumienia i spytał, jak Człowiek Który Łęka się Wody zdobył działo. Wódz wytłumaczył, że na pobliskich wzgórzach mieszka plemię Niedokończonych Ludzi. Pewnego lata stworzono ich zupełnie nieoczekiwanie, lecz ich twórca ofiarował im tylko jedną z potrzebnych człowiekowi do życia umiejętności: znajomość walki. Brakowało im wszystkich innych zdolności - nie mieli pojęcia, jak upolować bizona czy antylopę, jak okiełznać konia i jak zbudować dla siebie dom. Nie potrafili nawet zrozumieć siebie nawzajem, bo zwariowany twórca obdarował ich czterema bądź pięcioma językami. Mieli oni jednak działo, które sprzedali za żywność Człowiekowi Który Łęka się Wody.

Zaintrygowany Denby odszukał plemię Niedokończonych Ludzi. Z początku nie wiedział, czym różnili się oni od innych plemion, lecz po chwili dostrzegł, że starsi mężczyźni mają osobliwie europejski wygląd, a część z nich posługuje się językiem angielskim. Niektóre z ich obyczajów niczym się nie różniły od tych, które pielęgnowało plemię Lakota, lecz inne najwyraźniej wyrastały z europejskiej tradycji wojskowej. Ich język kojarzył się z językiem ludu Lakota, lecz zawierał wiele słów angielskich, holenderskich i niemieckich.

Pewien mężczyzna, znany jako Robert Heath (nazywany też Małym Człowiekiem Który za Dużo Mówi), poinformował Denby'ego, że popołudniem 15 czerwca 1815 roku

wszyscy oni zdezerterowali z kilku armii

1 pułków, gdyż na następnym dniu planowano wielką bitwę, a oni żywili silne przekonanie, że zginą, jeśli zostaną w szeregach. Pytał, kto jest teraz królem Francji, księżę Wellington czy też Napoleon Bonaparte? Denby nie miał pojęcia. „Cóż - westchnął filozoficznie Heath - to w sumie nieistotne. Ktokolwiek zasiadłby na tronie, życie takich jak my ludzi i tak toczyłoby się bez zmian”.

<sup>[57]</sup> Generał Rebecą ułożył też holenderską wersję tej przyśpiewki, którą nucili jego żołnierze w drodze do Quatre Bras. Następnie wojacy nauczyli jej swych angielskich towarzyszy, dzięki czemu stała się później dziecięcą wyliczanką, popularną zarówno w Anglii, jak i w Holandii.

<sup>[58]</sup> Kopenhaga, słynny, wspominany już wcześniej kasztan księcia, 1808-1836.

<sup>[59]</sup> W 1810 roku panowie George i Jonathan Barratt, właściciele ogrodów Vauxhall, zaproponowali Strange'owi i Norrellowi zawrotną sumę w zamian za conočne pokazy magii. Pokazy miały wyglądać dokładnie tak jak czary Strange'a na polu bitwy: chodziło o iluzje stworzeń magicznych, słynnych postaci biblijnych, historycznych itd. Rzecz jasna, pan Norrell odrzucił ofertę.

<sup>[60]</sup> Ogólnie przyjęta magiczna technika wprowadzania zamętu w rozkładzie dróg, krajobrazów, pomieszczeń i innych przestrzeni fizycznych polega na stworzeniu labiryntu w ich obrębie. Strange nie poznał jednak tego sposobu aż do lutego 1817 roku. Mimo to jego poczynania najprawdopodobniej przesądziły o losach kampanii. Strange nie wiedział, że francuski generał D'Erlon usiłował dotrzeć na pole bitwy wraz z dwudziestotysięczną armią, lecz decydujące godziny spędził na marszu po okolicy, która co kilka minut zmieniała się w niewyjaśniony sposób. Gdyby on i jego żołnierze znaleźli właściwą drogę do Quatre Bras, bitwę prawdopodobnie wygraliby Francuzi i nigdy nie doszłoby do Waterloo. Strange'a uraziły szorstkie słowa księcia, których wysłuchał wcześniej tego samego dnia, i z tego powodu nikomu nie wspomniął o tym, co uczynił. Prawdę wyjawiał później Johnowi Segundusowi oraz Thomasowi Levy'emu. W rezultacie historycy opisujący wydarzenia z Quatre Bras ze zdumieniem odnotowywali niepowodzenie D'Erlona, a ich wątpliwości rozwiały się dopiero po opublikowaniu w 1820 roku *Życia Jonathana Strange'a* pióra Johna Segundusa.

<sup>[61]</sup> W rzeczywistości pan Pink był tylko jednym z cywilów, których tamtego dnia księżę wcielił do służby w charakterze nieoficjalnych adiutantów. Wśród nich znalazł się też młody szwajcarski dżentelmen oraz jeszcze jeden komiwojażer.

<sup>[62]</sup> William Lanchester był seneszałem Johna Uskglassa oraz jego ulubionym sługą,

czyli jednym z najważniejszych ludzi w Anglii.

<sup>[63]</sup> Thomas Dundale, pierwszy ludzki sługa Johna Uskglassa. Patrz tom 3, rozdział pierwszy, przypis 2.

<sup>[64]</sup> Wał Offy to wielki mur z ziemi i kamieni, obecnie w dużej części zniszczony, oddzielający Walię od Anglii. Został wzniesiony przez Offy, żyjącego w ósmym wieku króla Mercji, który wiedział z doświadczenia, że nie należy ufać walijskim sąsiadom.

<sup>[65]</sup> Kiedy Strange i Arabella brali ślub, Henry pełnił obowiązki pastora w Grace Adieu w hrabstwie Gloucester. Zamierzał poślubić pewną młodą damę, pannę Parbringer. Strange nie zaaprobował jednak ani tej damy, ani jej przyjaciół. W tym samym czasie zwolniło się beneficjum w Great Hitherden, toteż Strange przekonał sir Waltera Pole'a, by skierował tam Henry'ego, który nie krył zachwytu. Great Hitherden było znacznie większą miejscowością niż Grace Adieu i Henry wkrótce zapomniał o młodej damie.

<sup>[66]</sup> Książki Strange'a były rzecz jasna księgami o magii, a nie księgami magii. Te ostatnie w całości znajdowały się w zbiorach pana Norrella. Patrz tom I, rozdział pierwszy, przypis 5.

<sup>[67]</sup> Chodziło o coś więcej. Już w dwunastym wieku zauważono rywalizację magów i duchowieństwa. I jedni, i drudzy wierzyli, że wszechświat zamieszkują najrozmaitsze nadnaturalne istoty i działają w nim nadnaturalne moce. Ponadto obydwie te grupy uważały, że można zwracać się do tych istot z prośbami drogą zaklęć lub modlitw i w ten sposób wspierać rodzaj ludzki lub mu szkodzić. Te dwie kosmologie są często zdumiewająco zbieżne, ale duchowni i magowie wyciągają kompletnie odmienne wnioski ze swych założeń.

Magowie są przede wszystkim zainteresowani przydatnością owych nadnaturalnych bytów; chcą wiedzieć, w jakich okolicznościach i jakimi sposobami mogą skłonić anioły, demony i elfy do pomocy w czynnościach magicznych. Z tego względu magowi jest niemal całkowicie obojętne, że pierwsza grupa wspomnianych istot jest bosko dobra, druga - piekielnie niegodziwa, a trzecia - moralnie podejrzana. Z kolei duchowni interesują się niemal tylko i wyłącznie tym rozróżnieniem.

W średniowiecznej Anglii wszelkie próby pogodzenia dwóch kosmologii były skazane na porażkę. Kościół w krótkim czasie dostrzegł mnóstwo wszelkiego typu herezji, których może być winien nic nie podejrzewający mag. Wcześniej wspomnieliśmy już o herezji meraudiańskiej.

Alexander Whitby (lata trzydzieste XIII w.-1302) uczył, że wszechświat przypomina gobelin. Z naszej perspektywy widać tylko jego fragmenty. Dopiero po śmierci zyskamy możliwość obejrzenia go w całości i wtedy uświadomimy sobie, w jaki sposób różne jego

części się łączą. Alexander został zmuszony do publicznego wyrzeczenia się swoich tez. Od tamtej pory duchowni zaczęli zwracać uwagę na herezję whitbyańską. Nawet najskromniejszy wiejski mag musiał wykazywać niezwykłą przebiegłość, by uniknąć oskarżenia o nią.

Nie oznacza to, że wszyscy magowie unikali mieszania religii z magią. Wiele „zaklęć”, które zachowało się do naszych czasów, wiąże się z wzywaniem na pomoc jakiegoś świętego. Co zdumiewające, źródłem zamieszania często bywały elfy w służbie magów. Większość z nich zmuszano do chrztu natychmiast po ich przybyciu do Anglii, toteż wkrótce zaczęły wprowadzać do swojej magii odniesienia do świętych i apostołów.

**Susanna Clarke**

**Jonathan Strange i pan  
Norrell**

*Tom 3*

*Tłumacz: Małgorzata Hesko - Kołodzińska*

*Tytuł oryginału: Jonathan Strange & Mr Norrell*

*Pamięci mojego brata, Paula Fredericka Gunna Clarke'a, 1961-2000*

John Uskglass

*Pan Norrell z Hanover Square pragnie, aby z magii nowoczesnej usunięto wszystko, co wiąże się z Johnem Uskglassem, tak jak usuwa się mole i kurz z płaszcza. Czy rozumie, do czego to doprowadzi? Jeśli pozbedziemy się Johna Uskgiassa, zostanie nam jedynie powietrze.*

Jonathan Strange, prolog *Historii i zastosowania angielskiej magii*, wyd. John Murray, Londyn 1816.

## Rozdział pierwszy

### *Prolog Historii i zastosowania angielskiej magii Jonathana Strange'a*

*Pod koniec roku w północnej Anglii pojawiła się dziwna armia. Najpierw usłyszano o niej w niejakim Penlaw, trzydzieści bądź czterdzieści kilometrów na północny zachód od Newcastle. Nikt nie wiedział, skąd przybywa - powszechnie sądzono, że to inwazja Szkotów, Duńczyków, a nawet Francuzów.*

*Na początku grudnia armia zajęła zamki w Newcastle i Durham i kontynuowała marsz na zachód. W końcu przybyła do Allendale, niewielkiej kamiennej osady położonej wysoko na wzgórzach Northumbrii. Nocą rozbiła obóz na skraju wrzosowiska, za miasteczkiem. Ludzie w Allendale trudnili się hodowlą owiec, nie wojaczką. Miasteczka nie otaczały mury obronne, a żołnierze stacjonowali ponad pięćdziesiąt kilometrów od nich i zajęci byli przygotowaniami do obrony zamku w Carlisle. Tak więc mieszkańcy Allendale uznali, że należy bezzwłocznie zaprzyjaźnić się z obcą armią. W tym celu wysłano do żołnierzy kilka ładnych dziewcząt - dzielnych Judyt gotowych za wszelką cenę bronić siebie i sąsiadów. Gdy jednak przybyły one do obozu, obleciał je strach.*

*Obozowisko wydało im się posępne i ciche. Sypał gęsty śnieg. Nieprzyjaciele leżeli na ziemi, otuleni czarnymi pelerynami. Zrazu dziewczęta pomyślały, że mężczyźni nie żyją. Wrażenie to pogłębiała obecność kruków i innych czarnych ptaków, które rozsiadły się w okolicy, oraz fakt, że żołnierze leżeli na brzuchach. Żyli jednak; od czasu do czasu któryś się wzdragał, podnosił i szedł do koni lub odpędzał ptaki, gdy te usiłowały podziobać mu twarz. Jeden z żołnierzy wstał na widok młodych kobiet. Najodważniejsza zebrała się w sobie, podeszła do niego i ucałowała go w usta.*

*Miał bardzo bladą cerę (opalizowała niczym księżyc) bez najmniejszej skazy. Jego włosy były długie i proste; przypominały kaskady ciemnobrązowej wody. Kości twarzy miał niezwykle delikatne, lecz mocne, minę poważną. Jego niebieskie oczy były przepastne i skośne, a cienkie i ciemne brwi przypominały pociągnięcie piórem zakończone dziwnym zawijasem. Żaden z tych szczegółów ani trochę nie zaniepokoił dziewczyny. Wiedziała przecież, że każdy Duńczyk, Szkot i Francuz, który kiedykolwiek przyszedł na ten świat, jest nieziemsko urodziwy.*

*Nieznajomy chętnie przyjął całusa i pozwolił ucałować się raz jeszcze. Potem*

odwzajemnił pieśczętę. Z ziemi podniósł się inny żołnierz i otworzył usta, a z jego gardła popłynęły smutne, melodyjne dźwięki. Pierwszy żołnierz poprosił dziewczynę do tańca. Dotykał, obracał i popychał ją długimi białymi palcami, aż zaczęła się poruszać tak, jak tego pragnął.

Po pewnym czasie dziewczyna rozgrzała się tańcem, więc przystanęła, by ściągnąć pelerynę. Wtedy pozostałe kobiety ujrzały na jej ramionach, twarzy i nogach, perlące się niczym pot, krople krwi, które zaczęły skapywać na śnieg. Widok był przerażający, więc uciekły.

Dziwne wojsko nigdy nie weszło do Allendale. W nocy żołnierze wyruszyli w kierunku Carlisle. Następnego dnia mieszkańcy miasta ostrożnie wspięli się na wzgórze, gdzie uprzednio obozowała armia. Tam znaleźli białą jak płótno i pozbawioną krwi dziewczynę. Śnieg wokół niej zabarwił się szkarłatnie.

Dzięki tym śladom rozpoznali Daoine Sidhe - Elfi Zastęp.

Walczone wszędzie, Anglicy przegrywali na całego. Na Boże Narodzenie Elfi Zastęp był już w Yorku. Elfy zajęły Newcastle, Durham, Carlisle i Lancaster. Poza doprowadzeniem do śmierci dziewczęcia z Allendale nie okazywały okrucieństwa, z którego słynie ich rasa. Ze wszystkich zajętych przez siebie miast i fortyfikacji z dymem puściły jedynie Lancaster. W Thirsku zaś, na północ od Yorku, świnia obraziła jednego z członków zastępu, wpadając pod kopyta jego rumaka. Koń runął na ziemię i skręcił kark. Elfy dopadły świnie i wylupiły jej ślepią. Zazwyczaj jednak przybycie zastępu budziło wielki entuzjazm wśród zwierząt, zarówno dzikich, jak i udomowionych, gdyż rozpoznawały one w elfach sojuszników w walce ze wspólnym wrogiem - człowiekiem.

Na Boże Narodzenie król Henryk wezwał earłów, biskupów, opatów i wielkich ludzi królestwa na naradę do swej siedziby w Westminsterze. W tamtych czasach elfy można było spotkać łatwiej niż obecnie. Swoje osady miały w wielu miejscach - część była ukryta dzięki magii, a inne chrześcijanie starali się omijać. Doradcy króla Henryka doszli do wniosku, że elfy są niegodziwe z natury - lubieżne, kłamliwe i skłonne do kradzieży. Do tego uwodziły młodzież, mąciły w głowach podróżnym, porywały dzieci, kradły bydło i zboże. Były nieprawdopodobnie leniwe: już przed tysiącem lat opanowały sztukę kamieniarki, ciesielki i rzeźby, ale miast zadać sobie trud budowania domów, wolały mieszkać w miejscach, które nazywały zamkami, a które w istocie były starymi kopcami. Mówiono na nie brugh. Elfy spędzały czas na picciu i tańcach, podczas gdy owies i ziarna gniły na polach, zwierzęta zaś trzęsły się z zimna i padały z chłodu na wzgórzach. Wszyscy doradcy króla Henryka doszli do wniosku, że gdyby nie magia i zdolność przedłużania życia niemal w nieskończoność, cała



*rasa elfów dawno by wymarła z głodu i pragnienia. Ale te niezaradne i niegospodarne istoty podbiły jednak dobrze strzeżone chrześcijańskie królestwo, wygrywały wszystkie bitwy i przejmowały każdą twierdzę napotkaną na swej drodze. To wszystko świadczyło o pewnej stanowczości, o jaką nikt elfów nie podejrzewał.*

*Nie wiadomo było, jak sobie z tym poradzić.*

*W styczniu Elfi Zastęp opuścił York i ruszył na południe. Zatrzymał się nad Trentem. I to właśnie na brzegu owej rzeki, w Newarku, król Henryk i jego armia starli się z Daoine Sidhe.*

*Tuż przed bitwą szeregi armii króla Henryka owiał magiczny wiatr i rozbrzmiała wśród nich słodka muzyka wygrywana na flecie. Wiele koni pogalopowało ku elfom, niejednokrotnie unosząc na grzbietach nieszczęsnych jeźdźców. Po chwili zaś żołnierze usłyszeli głosy swych bliskich - matek, ojców, dzieci, kochanek - proszące ich, by wrócili do domu. Stado kruków runęło z nieba, dziobiąc Anglików i oślepiając ich płataniną czarnych skrzydeł. Żołnierze nie tylko musieli poradzić sobie z umiejętnościami oraz gwałtownością Sidhe, ale i pokonać własny lęk przed ich niesamowitą magią. Trudno się dziwić, że bitwa była krótka i że król Henryk przegrał z kretesem. W chwili gdy zapadła cisza i stało się jasne, że król został pokonany, ptaki rozśpiewały się z radości.*

*Król i jego doradcy czekali na zjawienie się dowódcy wroga. W końcu szeregi Daoine Sidhe się rozstały i wysunął się przed nie piętnastoletni chłopiec. Podobnie jak reszta Daoine Sidhe, ubrany był w obszarpany strój z szorstkiej czarnej wełny i miał długie, proste, czarne włosy. Tak jak elfy nie mówił ani po angielsku, ani po francusku (były to języki używane wtedy w Anglii), jedynie w dialekcie Faerie. Był blady, przystojny i poważny i nikt nie miał wątpliwości, że to jednak człowiek, nie elf.*

*Zdaniem normañskich i angielskich earłów i rycerzy, którzy tamtego dnia zobaczyli go po raz pierwszy, zdecydowanie brakowało mu obycia. Nie widział nigdy łyżki ani krzesła, ani żelaznego dzbanka, ani pensa, ani świecy z wosku. W tamtych czasach żaden klan elfów nie miał tak zbytkownych przedmiotów. Kiedy król Henryk i chłopiec przystąpili do podziału Anglii, król, siedząc na drewnianej ławie, popijał wino ze srebrnego kielicha, chłopiec zaś usiadł na podłodze i pił z kamiennego kubka owcze mleko. Kronikarz Orderic Vitalis opisuje około trzydziestu lat później zaskoczenie dworzan, którzy ujrzeli, jak podczas ważnych rokowań żołnierz Daoine Sidhe pochyla się i pieczołowicie wyciąga wszy z brudnych włosów chłopca.*

*W Elfim Zastępie walczył młody normañski żołnierz Thomas Dundale. Choć wiele lat wcześniej został porwany do Faerie, na tyle dobrze pamiętał własny język (francuski), by*

*posłużyć za tłumacza chłopca i króla Henryka.*

*Król spytał chłopca o imię, ten zaś odparł, że nie ma żadnego. Król Henryk chciał wiedzieć, dlaczego wydał wojnę Anglii. Chłopiec odparł, że jest jedynym żyjącym potomkiem normańskich arystokratów, którym ojciec króla Henryka, Wilhelm Zdobywca, podarował ziemię na północy Anglii. Włości i życia pozbawił rodzinę niegodziwy Hubert de Cotentin. Chłopiec powiedział, że wiele lat temu jego ojciec zwracał się do Wilhelma II (brata i poprzednika króla Henryka) o sprawiedliwość, nie doczekał się jej jednak. Wkrótce ojca chłopca zamordowano. Chłopiec dodał, że jako niemowlę został pojmany przez ludzi Huberta i porzucony w lesie. Znalazł go Daoine Sidhe i zabrał do Faerie. Teraz chłopiec powrócił.*

*Z młodzieńczą żarliwością wierzył, że to on ma rację, natomiast cała reszta się myli. Wbił sobie do głowy, że część Anglii między rzekami Tweed i Trent będzie sprawiedliwą rekompensatą za niedopełnienie zemsty przez królów normańskich na mordercach jego rodziny. Królowi Henrykowi miała natomiast przypaść południowa część królestwa.*

*Chłopiec oznajmił, że już jest królem, w Faerie. Wymienił władcę elfów, swojego pana. Nikt nic nie zrozumiał.*

*Tego dnia rozpoczął ponad trzystuletnie rządy.*

*W wieku czternastu lat zdążył już stworzyć podwaliny magii, którą stosujemy dzisiaj, a raczej stosowalibyśmy, gdybyśmy mogli. Większość tej wiedzy poszła w zapomnienie. Jego magia była idealną mieszanką magii elfów i ludzkiej organizacji - potęga elfów została sprzężona z jego przerażającą determinacją. Nie potrafimy wyjaśnić, czemu jedno porwane ludzkie dziecko wyrosło na maga wszech czasów. I przed nim, i po nim porywano dzieci do Faerie, ale żadne nie skorzystało na tym doświadczeniu tak jak ono. W porównaniu z jego osiągnięciami nasze wysiłki wydają się trywialne i nic nie znaczące.*

*Pan Norrell z Hanover Square pragnie, żeby z magii nowoczesnej usunięto wszystko, co wiąże się z Johnem Uskglassem, tak jak usuwa się mole i kurz z płaszcza. Czy rozumie, do czego to doprowadzi? Jeśli pozbedziemy się Johna Uskglassa, zostanie nam jedynie powietrze.*

Jonathan Strange, *prolog Historii i zastosowania angielskiej magii*, tom I, wyd. John Murray, Londyn 1816

## **Rozdział drugi**

## **„Niebo przemówiło...” styczeń 1816**

Dzień był pochmurny. Lodowaty wiatr zwiewał płatki śniegu na okna biblioteki pana Norrella, gdzie Childermass pisał służbowe listy. Choć dopiero co minęła godzina dziesiąta, świece już się paliły. Słysząc było jedynie syk węgielków w palenisku i skrobanie pióra Childermassa.

*Hanover Square, 8 stycznia 1816*

*Do lorda Sidmoutha, ministra spraw wewnętrznych*

*Wasza Lordowska Mość, Pan Norrell pragnie poinformować Pana, że zakłęcia wstrzymujące wylew rzek w hrabstwie Suffolk są gotowe. Rachunek wyślemy w dniu dzisiejszym do pana Wynne'a z Ministerstwa Skarbu...*

Gdzieś, bardzo daleko, bił dzwon - żałobny dźwięk. Ghildermass ledwie zdawał sobie z tego sprawę, ale bicie dzwonu sprawiło, że pokój pociemniał i posmutniał.

*...Magia zatrzyma wody w granicach rzecznych koryt. Jednakże pan Leeves, młody inżynier zatrudniony przez reprezentanta korony w Suffolk do oceny wytrzymałości obecnych mostów i innych budowli sąsiadujących z rzekami, wyraził pewne wątpliwości...*

Rozciągał się przed nim posępny krajobraz. Widział go bardzo wyraźnie, jakby dobrze znał to miejsce lub widywał ten obraz codziennie przez całe lata. Brunatne puste pola i ruiny budynków pod smutnym szarym niebem...

*...czy mosty na Stour i Orwell wytrzymają o wiele gwałtowniejszy napór wody, której poziom z pewnością się podniesie podczas intensywnych opadów. Pan Leeves zaleca natychmiastową i dokładną inspekcję mostów, młynów i brodów w Suffolku, od Stour i Orwell począwszy. Mówiono mi, że pisał już do Waszej Lordowskiej Mości w tej sprawie...*

Już nie tylko myślał o pejzażu. Wydawało mu się, że właśnie doń trafił. Stał na pokrytej koleinami wiekowej drodze, która wiała się po czarnym wzgórzu ku niebu. Na wzgórzu zbierało się wielkie stado czarnych ptaków...

*...Pan Norrell odmówił wydania gwarancji trwałości zakłéc. Jego zdaniem przetrwają one*

*równie długo jak same rzeki, choć pan Norrell prosi Waszą Lordowską Mość o pozwolenie na skontrolowanie zaklęć za dwadzieścia lat. W następnym wtorek zamierza użyć tej samej magii w hrabstwie Norfolk...*

Ptaki były niczym czarne litery na szarym niebie. Pomyślał, że za moment zrozumie, co oznacza to pismo. Kamienie na starej drodze były symbolami przepowiadającymi drogę wędrowca.

Childermass drgnął, zaniepokojony. Pióro wypadło mu z ręki, a atrament poplamiał list.

Rozejrzał się, zdezorientowany. Chyba nie śnił. Widział wszystkie dobrze mu znane przedmioty: półki pełne książek, zwierciadło, kałamarz, przybory do kominka, porcelanową figurkę Martina Pale'a. Nie ufał już jednak własnym zmysłom. Nie wierzył, że książki, lustro, porcelanowa figurka naprawdę się tutaj znajdują. Czuł, że to wszystko jest jak bibuła, że gdyby ją rozdarł, znalazłby pod nią zimne pustkowie.

Brunatne pola były częściowo zalane. Pokrywały je łańcuszki lodowatych szarych kałuż. Ich układ na polach miał znaczenie. Kałuże zostały wypisane przez deszcz. Były magią deszczu, tak jak stado czarnych ptaków było zaklęciem rzuconym przez niebo, a ruch szarobrazowych traw zaklęciem wiatru. Wszystko miało ukryte znaczenie.

Childermass zerwał się od biurka i zadrzał. Obiegł cały pokój i zadzwonił po służącego, ale magia ponownie dała mu się we znaki. Gdy przyszedł Lucas, Childermass nie wiedział już, czy przebywa w bibliotece pana Norrella, czy też stoi na starej drodze...

Gwałtownie pokręcił głową i kilkakrotnie zamrugał.

- Gdzie pan Norrell? - zapytał. - Coś się nie zgadza.- Proszę pana? - Lucas patrzył na niego z niepokojem. - Jest pan chory?- Nieważne. Gdzie pan Norrell?- W admiralicji. Myślałem, że pan wie. Przed godziną przyjechała karetka. Sądzę, że niedługo wróci.

- Nie, to niemożliwe - odparł Childermass. - Nie mógł wyjść. Na pewno nie czaruje na górze?

- Na pewno nie, proszę pana. Widziałem, jak odjeżdża karetka z panem Norrellem. Poślę Matthew po medyka. Wygląda pan bardzo niezdrowo.

Childermass otworzył usta, by zaprotestować, że wcale nie jest chory, ale w tej samej chwili...

... niebo spojrzęło na niego. Ziemia wruszyła ramionami, gdyż poczuła go na swym grzbiecie.

Niebo przemówiło.

Nigdy wcześniej nie słyszał tego języka. Nawet nie był pewien, czy to słowa.

Zapewne przemówiło do niego czarnym pismem stworzonym przez ptaki. Był mały, bezbronny, nie mógł uciekać. Uwiązł pomiędzy ziemią a niebem, jakby zamknięty w dwóch dłoniach. Mogły go zmiażdżyć, gdyby tylko chciały.

Niebo znowu przemówiło.

- Nie rozumiem - odparł.

Zamrugnął oczyma i zobaczył nad sobą Lucasa. Childermass oddychał z trudem. Wyciągnął rękę, dotknęła czegoś u jego boku. Odwrócił głowę i ze zdumieniem ujrzał nogę krzesła. Leżał na podłodze.

- Co...? - zaczął.

- Jest pan w bibliotece - wyjaśnił Lucas. - Chyba pan zemdłał.

- Pomóż mi wstać. Muszę porozmawiać z Norrellem.

- Mówiłem już panu...

- Nie, mylisz się - przerwał Childermass. - Musi tu być. Musi. Prowadź mnie na górę.

Lucas pomógł mu wyjść z pomieszczenia, ale kiedy dotarli do schodów, Childermass ponownie omal nie zemdłał. Lucas zawołał Matthew, drugiego lokaja, i razem na wół zanieśli, na wół zawlekli Childermassa do małego gabinetu na drugim piętrze, gdzie pan Norrell odprawiał swą najbardziej sekretną magię.

Lucas otworzył drzwi. W pokoju płonął ogień. Pióra, nożyki do piór, obsadki spoczywały na niewielkiej tacy, kałamarz był pełen i zamknięty srebrnym korkiem. Książki i notatniki leżały w schludnych kupkach albo stały na półkach. Wszystko odkurzone i wypolerowano. Najwyraźniej pan Norrell nie wchodził tu dzisiejszego ranka.

Childermass odepchnął lokajów i w zdumieniu oglądał pokój.

- Widzi pan? - spytał Lucas. - Tak jak mówiłem. Pan przebywa w admiralicji.

- Tak - powiedział Childermass.

To nie miało sensu. Jeśli nie Norrell był autorem tej dziwnej magii, to kto?

- Czy Strange tu był? - zapytał.

- Ależ skąd! - odparł Lucas z oburzeniem. - Zbyt dobrze znam swoje obowiązki, nie wpuściłbym pana Strange'a do domu. Nadal dziwnie pan wygląda. Proszę mi pozwolić posłać po medyka.

- Nie, nie. Już mi lepiej. Znacznie lepiej. Pomóż mi usiąść. - Childermass z westchnieniem opadł na krzesło. - Na co się obaj gapicie, u licha? - Niecierpliwie machnął ręką. - Matthew, brak ci zajęć? Lucas, przynieś szklankę wody.

Wciąż był oszołomiony i kręciło mu się w głowie, ale mdłości ustąpiły. Dobrze przypominał sobie krajobraz, utrwalił się w jego umyśle. Wyczuwał jego pustkę, jego

nieziemskość, ale już nie przerażało go, że się w nim zgubi. Mógł myśleć.

Lucas powrócił z tacą, na której stał kieliszek do wina i karafka z wodą. Nalał wody do kieliszka.

Childermass znał pewne zaklęcie, które odkrywało magię. Nie mówiło, co to za magia ani kto ją odprawia; po prostu pozwalało rozpoznać, czy w pobliżu ktoś ją stosuje.

Przynajmniej tak brzmiała teoria. Childermass wypróbował je tylko raz, nic wtedy nie zaszło, nie wiedział zatem, czy zadziałało.

- Nalej jeszcze wody - nakazał Lucasowi. Lucas wypełnił polecenie.

Childermass nie opróżnił kieliszka. Wymamrotał do niego kilka słów, potem podniósł go do światła i obejrzał przez szkło wszystkie kąty pokoju.

Nic.

- Nawet nie wiem, czego szukam - mruknął i rzucił do Lucasa: - Podejdź, potrzebna mi twoja pomoc.

Wrócili do biblioteki. Childermass znowu uniósł kieliszek, wypowiedział zaklęcie i ponownie się rozejrzał.

Nic.

Podszedł do okna. Wydawało mu się, że dojrzał na dnie kieliszka coś, co wyglądało jak perła białego światła.

- To jest na placu - powiedział.

- Co jest na placu? - zainteresował się Lucas. Childermass nie odpowiedział. Zamiast tego wyjrzał przez okno. Kocie łby na Hanover Square pokrył śnieg. Czarne balustrady, które ogradzały środkową część placu, wyraźnie odcinały się od bieli. Śnieg wciąż padał, wiał silny wiatr, mimo to na dole znajdowało się kilka osób. Było powszechnie wiadomo, że pan Norrell mieszka na Hanover Square, więc mnóstwo ludzi przychodziło tu w nadziei, że go zobaczą. Teraz również jakiś dżentelmen i dwie młode damy (bez wątpienia fanatycy magii) stali przed domem, patrząc nań z zainteresowaniem. Nieco dalej ciemnowłosy młodzieniec opierał się o barierki. Obok niego stał sprzedawca atramentu w podartym paltocie i z beczułką inkaustu na plecach. Po prawej Childermass ujrzał jakąś kobietę. Odwrócona plecami do domu, szła powoli ku Hanover Street, ale Childermass odniósł wrażenie, że przed chwilą znajdowała się wśród gapiów. Była w modnej i drogiej ciemnozielonej pelisie zdobionej gronostajami, a ręce ukryła w obszernej mufce z takiego samego futra.

Childermass dobrze znał sprzedawcę atramentu, często się u niego zaopatrywał.

Wszyscy inni byli mu obcy.

- Rozpoznasz kogoś? - zapytał.

- Tego o ciemnych włosach. - Lucas wskazał młodzieńca opartego o barierki. - To Frederick Marston. Był tu kilka razy prosić, by pan Norrell przyjął go na ucznia, ale nasz pan nie chciał go widzieć.

- Tak. Chyba mi o nim wspominałeś. - Childermass jeszcze przez chwilę przyglądał się ludziom na placu, po czym powiedział: - Choć wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne, ktoś z nich czaruje. Muszę zejść i to sprawdzić. Chodź. Nie dam sobie rady bez ciebie.

Na placu działanie magii było jeszcze silniej wyczuwalne. W głowie Childermassa zabił smutny dzwon. Za zasłoną śniegu oba światy migotały na przemian jak obrazy w magicznej latarni - w jednej chwili Hanover Square, w następnej posępne pola i czarne pismo na niebie.

Childermass wyciągnął kieliszek, by wypowiedzieć słowa zaklęcia, ale nie było takiej potrzeby. Szkło zaśniło miękkim białym światłem, najjaśniejszym w tym zimowym dniu. Było ono czystsze niż światło jakiegokolwiek lampy - rzuciło przy tym dziwne cienie na twarze Childermassa i Lucasa.

Niebo przemówiło do niego raz jeszcze. Tym razem uznał, że to pytanie. Od jego odpowiedzi zależało bardzo wiele. Gdyby tylko rozumiał, czego od niego chcą, i znalazł właściwe słowa odpowiedzi, coś by się okazało - coś, co na zawsze zmieniłoby angielską magię, coś, czego Strange i Norrell nawet nie podejrzewali.

Przez długą chwilę usiłował zrozumieć. Język czy zaklęcie wydawało się teraz zwodniczo znajome. Pomyślał, że lada chwila wszystko pojmie. W końcu świat przemawiał do niego przez całe życie - tyle że wcześniej tego nie dostrzegał...

Lucas coś mówił. Childermass musiał ponownie zasłabnąć, bo uświadomił sobie, że lokaj go podtrzymuje i stawia na nogi. Kieliszek leżał strzaskany na bruku, białe światło rozlało się na śniegu.

-...bardzo dziwne - oznajmił Lucas. - O tak, proszę pana. Proszę się wyprostować. Nigdy nie widziałem pana w takim stanie. Na pewno nie chce pan wrócić do domu? O, jest pan Norrell. Będzie wiedział, co robić.

Childermass spojrział w prawo. Karetą pana Norrella właśnie wjeżdżała na plac od strony George Street.

Sprzedawca atramentu też ją dostrzegł. Natychmiast podszedł do dżentelmena i obu młodych dam. Ukłonił się im z szacunkiem i przemówił do mężczyzny, a wtedy cała trójka odwróciła głowy i spojrzała na powóz. Dżentelmen sięgnął do kieszeni i wręczył sprzedawcy atramentu monetę. Sprzedawca raz jeszcze złożył im ukłon i odszedł.

Pan Marston, ciemnowłosy młodzian, także rozpoznał karetę pana Norrella. Na jej

widok oderwał się od barierek i ruszył przed siebie.

Nawet dama w modnym stroju zawróciła i szła teraz ku nim, zapewne z zamiarem zerknięcia na pierwszego maga Anglii.

Kareta stanęła pod domem. Lokaj zszedł z kozła i otworzył drzwi. Pan Norrell wysiadł. Był tak okutany szalami, że jego drobna sylwetka wydawała się niemal barczysta. Natychmiast zatrzymał go pan Marston i zaczął coś mówić. Pan Norrell pokręcił głową i niecierpliwie machnął ręką.

Dama w modnym stroju minęła Childermassa i Lucasa. Była bardzo blada i poważna. Childermass pomyślał, że ludzie, których interesują tego typu sprawy, zapewne uważają ją za przystojną. Teraz jednak, gdy dokładniej jej się przyjrzał, zdało mu się, że ją zna.

- Lucas - mruknął. - Kim jest ta kobieta?

- Przykro mi, proszę pana, chyba nigdy jej nie widziałem.

Pan Marston był coraz natarczywszy, pan Norrell coraz bardziej się złościł. Rozejrzał się dookoła i ujrawszy w pobliżu Lucasa i Childermassa, skinął na nich.

Właśnie w tej samej chwili dama w modnym stroju zrobiła krok ku panu Norrellowi.

Przez chwilę wydawało się, że przemówi do niego, ale nie to było jej zamiarem. Wyjęła z mufki pistolet i z zimną krwią wycelowała w serce maga.

Obaj panowie, Norrell i Marston, gapili się na nią.

Wtedy kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Lucas puścił Childermassa, który runął jak kamień na ziemię, i ruszył na pomoc swemu panu. Pan Marston chwycił damę w pasie. Davey, stangret pana Norrella, zeskoczył z kozła i złapał ją za rękę, w której trzymała pistolet.

Childermass leżał w śniegu, wśród szkła. Widział, jak kobieta z niezwykłą łatwością oswobadza się z uścisku pana Marstona. Popchnęła go na ziemię z taką siłą, że już nie wstał. Drobna dłoń w rękawiczce przyłożyła do piersi Davey'a i stangret poleciał kilka metrów do tyłu. Lokaj pana Norrella, ten, który otworzył drzwi karety, usiłował ją obalić, ale jego cios nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. Przyłożyła dłoń do jego twarzy. Wydawało się, że to najłżejszy dotyk na świecie, ale lokaj osunął się na bruk. Lucasa zdzieliła pistoletem.

Childermass niewiele z tego rozumiał. Zdołał wstać i przejść kilka metrów, lecz nie wiedział, czy wędruje po bruku Hanover Square, czy też starej drodze w Faerie.

Pan Norrell wpatrywał się w damę zbyt przerażony, by krzyknąć czy uciec.

Childermass dotknął kobiety pojednawczym gestem.

- Proszę pani... - zaczął.



Nawet na niego nie spojrziała.

Białe, padające z nieba płatki go rozpraszały. Mimo wysiłku nie mógł pozostać na Hanover Square. Nieziemski pejzaż go wzywał. Pan Norrell miał zginąć, a on nie mógł temu zapobiec.

I wtedy zdarzyła się dziwna rzecz.

I wtedy zdarzyła się dziwna rzecz. Hanover Square zniknął. Pan Norrell, Lucas i cała reszta również.

Dama jednak pozostała.

Patrzyła na niego, stojąc na starej drodze, pod niebem pełnym kłębiących się i niespokojnych czarnych ptaków. Uniosła pistolet i wycelowała z Faerie do Anglii, wprost w serce pana Norrella.

- Proszę pani - powiedział Childermass ponownie.

Popatrzyła na niego z zimną, żarliwą furią w oczach. Żadne na świecie słowa nie mogły jej powstrzymać, ani na tym świecie, ani na innym. Zrobił zatem jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Chwycił za lufę pistoletu.

Rozległ się wystrzał, nieprawdopodobnie głośny.

Childermass pomyślał, że to właśnie huk wystrzału wepchnął go na powrót do Anglii.

Teraz ni to siedział, ni to leżał na Hanover Square, plecami do stopni karety. Zastanawiał się, gdzie jest Norrell i czy już nie żyje. Pomyślał, że powinien to sprawdzić, ale uświadomił sobie, że niewiele go to obchodzi, więc pozostał na miejscu.

Dopiero po przybyciu chirurga zrozumiał, że dama faktycznie kogoś postrzeliła i że tym kimś jest właśnie on.

Reszta dnia i większa część następnego upłynęły mu w bólu i na snach wywołanych opiatami. Czasem Childermass myślał, że stoi na starej drodze pod mówiącym niebem, ale to Lucas opowiadał mu o pannach z fraucymeru i wiadrach na węgiel. Na niebie rozpięto linę akrobatyczną, po której wędrował tłum ludzi. Byli wśród nich Strange i Norrell, każdy ze stosikiem książek w rękach. Childermass widział tam też wydawcę Johna Murraya, Vinculusa i wielu innych. Czasem ból w ramieniu uciekał, biegał po drodze i się ukrywał. Kiedy tak się działo, Childermass myślał, że ból zamienił się w małe zwierzątko. A ponieważ nikt nie był tego świadom, uznał, że powinien się podzielić tą informacją z innymi, żeby mogli zwierzątko wypędzić. Czasami je widział; miało futerko koloru płomienia, bardziej jaskrawe niż lis...

Wieczorem drugiego dnia leżał w łóżku już jako tako zorientowany, kim jest, gdzie przebywa i co zaszło. Około siódmej wieczorem do pokoju wszedł Lucas z krzesłem z jadalni. Ustawił je przy łóżku. Po chwili nadszedł pan Norrell i usiadł na krześle.

Przez kilka minut nic nie mówił, jedynie z niepokojem wpatrywał się w narzutę. Potem wymamrotał pytanie. Childermass nie dosłyszał, ale naturalnie założył, że pan Norrell pyta go o zdrowie, zaczął zatem tłumaczyć, że lada dzień mu się poprawi.

- Dlaczego rzuciłeś Oko Belasisa? - przerwał mu ostro pan Norrell.- Co?- Lucas powiedział, że czarowałaś - wyjaśnił pan Norrell. - Opisał mi, jak. Natychmiast rozpoznałem Oko Belasisa. - Zerknął podejrzliwie na dysponenta. - Dlaczego je rzuciłeś? I co ważniejsze, gdzie, u licha, się tego nauczyłeś? Jak mam pracować, skoro wciąż jestem zdradzany? Zdumiewa mnie, że w ogóle zdołałem cokolwiek osiągnąć, skoro otaczają mnie słudzy uczący się zaklęć za moimi plecami i uczniowie stawiający sobie za cel zniweczenie wszystkich moich sukcesów.

Childermass popatrzył na niego z lekką irytacją.

- Sam mnie go pan nauczył.

- Ja?! - wykrzyknął pan Norrell, a jego głos był o kilka tonów wyższy niż zwykle.

- Zanim przyjechał pan do Londynu, w czasach, gdy przesiadywał pan w bibliotece w Hurtfew, a ja jeździłem po kraju i skupowałem dla pana cenne książki. Nauczył mnie pan tego zaklęcia na wypadek, gdybym natknął się na kogoś, kto będzie się podawał za praktykującego maga. Obawiał się pan, że jakiś inny mag mógłby...

- Tak, tak - przerwał pan Norrell niecierpliwie. - Teraz pamiętam. Ale to nie wyjaśnia, po co wczorajszego ranka rzuciłeś to zaklęcie na placu.

- Bo wszędzie odczuwało się działanie magii.- Lucas niczego nie zauważył.- To nie należy do jego obowiązków, tylko do moich. To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Wydawało mi się, że jestem zupełnie gdzie indziej. Sądzę, że przez chwilę groziło mi prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie bardzo wiem, co to było za miejsce. Z pewnością nie w Anglii. Miało kilka dziwnych cech, zaraz je panu opiszę. To było chyba Faerie. Jakie zaklęcia dają taki rezultat? Skąd pochodziły? Czy ta kobieta mogła być magiem?

- Która kobieta?- Ta, która mnie postrzeliła. Pan Norrell mruknął z irytacją.- Kula zraniła cię dotkliwiej, niż przypuszczałem - powiedział lekceważąco. - Czy gdyby ta kobieta była wielkim magiem, poradziłbyś sobie z nią tak łatwo? Na placu nie było maga. A już ona z pewnością nim nie jest.

- Więc któż to taki?

Pan Norrell przez chwilę milczał.

- Żona sir Waltera Pole'a - odparł w końcu. - Dama, którą sprowadziłem z krainy umarłych.

Teraz zamilkł Childermass.

- Zdumiewa mnie pan! - wykrztusił po chwili. - Przychodzi mi na myśl kilka osób, które miałyby powód mierzyć do pana z pistoletu, ale za nic nie potrafię zrozumieć, czemu ta kobieta jest jedną z nich.

- Mówiono mi, że jest szalona - mruknął pan Norrell. - Uciekła ludziom, którzy mieli jej strzec, i przybyła tu, by mnie zabić. Zgodzisz się chyba ze mną, że to dowód szaleństwa. - Małe oczka maga wpatrywały się w przestrzeń. - W końcu każdy wie, że jestem jej dobroczyńcą.

Childermass prawie go nie słuchał.

- Skąd wzięła pistolet? Sir Walter to rozsądny człowiek. Trudno mi wierzyć, że zostawił broń na wierzchu.

- To był pistolet do pojedynków, jeden z dwóch należących do sir Waltera. Trzyma je w zamkniętej szkatułce w zamkniętej szufladzie biurka w gabinecie. Mówi, że mógłby przysiąc, iż nic o nich nie wiedziała. Skąd wzięła klucz - oba klucze - jest zagadką dla wszystkich.

- A dla mnie nie. Żony, nawet te szalone, potrafią wyciągnąć od męża wszystko, czego pragną...

- Ale sir Walter nie miał tych kluczy. To właśnie najdziwniejsze. Te pistolety to jedyna broń w domu, a sir Walter bardzo dbał o bezpieczeństwo żony i swej własności, gdyż często bywa nieobecny. Klucze miał kamerdyner - ten wysoki czarnoskóry mężczyzna, na pewno wiesz, o kogo mi chodzi. Sir Walter nie rozumie, jak mógł popełnić taki błąd. Twierdzi, że ten kamerdyner to najbardziej solidny i godny zaufania człowiek pod słońcem. Rzecz jasna, nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę myśli sobie służba - ciągnął pan Norrell beztrąsko, zapominając najwyraźniej, z kim rozmawia. - Trudno jednak zakładać, że ten kamerdyner ma coś przeciwko mnie. Nigdy w życiu nie zamieniłem z nim słowa. Oczywiście mógłbym wnieść oskarżenie przeciwko lady Pole. Wczoraj byłem nawet gotów to zrobić. Kilka osób uświadomiło mi jednak, że muszę wziąć pod uwagę dobro sir Waltera. Twierdzą tak zarówno lord Liverpool, jak i pan Lascelles. Moim zdaniem mają rację. Sir Walter to przyjaciel angielskiej magii. Nie mogę mu dawać powodu do tego, by kiedykolwiek żałował swej przyjaźni ze mną. Obiecał mi solennie, że jego żona zostanie umieszczona w jakimś odległym zakładzie, gdzie nie będzie nikogo widywała ani też nikt nie będzie widywał jej.

Pan Norrell nie zadał sobie trudu, by zapytać Childermassa o zdanie w tym względzie.

Było jasne, że pan Norrell uważał się za ofiarę, mimo iż to Childermass leżał w łóżku osłabiony z bólu i utraty krwi, a obrażenia pana Norrella sprowadzały się do lekkiego bólu głowy i rozcięcia na palcu.

- Więc kto rzucał zaklęcia? - spytał Childermass.

- Ja, naturalnie! - odparł pan Norrell ze złością. - A niby kto? To magia, której użyłem, żeby przywrócić lady Pole do życia. To odczułeś i to ujawniło Oko Belasisa. Ponieważ zaklęcie rzuciłem na początku mojej kariery, przyznaję, że przez pewne nieprawidłowości skutkuje dziwnymi konsekwencjami...

- Dziwnymi konsekwencjami...?! - wykrzyknął szorstko Childermass i w tym momencie chwycił go atak kaszlu. Kiedy ustał, Childermass powiedział: - W każdej chwili mogłem trafić do krainy całkowicie przesiąkniętej magią. Niebo przemówiło do mnie! Wszystko do mnie mówiło! Jak to możliwe?

- Nie wiem. - Pan Norrell uniósł brew. - Może byłeś pijany.

- Czy kiedykolwiek widział pan, abym był pijany podczas wykonywania obowiązków? - zapytał Childermass lodowato.

Pan Norrell wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, co robisz. Wydaje mi się, że od chwili, gdy zagościłeś w moim domu, nie liczysz się z nikim ani z niczym.

- Ale z pewnością nie jest to takie dziwne w świetle dawnej angielskiej magii - upierał się Childermass. - Czyż nie mówił mi pan, że aureaci uważali drzewa, wzgórza, rzeki i tak dalej za żywe stworzenia obdarzone rozumem, wspomnieniami i pragnieniami? Aureaci sądzili, że cały świat przesiąknięty jest magią.

- Niektórzy rzeczywiście tak uważali. Tę wiarę przejęli od swych elfich służących, którzy przypisywali część swojej niezwykłej magii umiejętnościom rozmawiania z drzewami i rzekami; potrafili też zawierać z nimi sojusze. Nie ma jednak powodu przypuszczać, że mieli rację. Moja magia nie opiera się na tak nonsensownych podstawach.

- Niebo przemówiło do mnie - powiedział Childermass. - Jeśli to, co widziałem, jest prawdą... - urwał.

- To co? - spytał pan Norrell.

Oslabiony Childermass myślał na głos. Chciał powiedzieć, że jeśli wszystko, co widział, jest prawdą, wtedy dokonania Strange'a i Norrella można przyrównać do dziecięcej zabawy, a magia jest o wiele silniejsza i bardziej przerażająca, niż ktokolwiek podejrzewał. Strange i Norrell ciskali papierowe rzutki po salonie, prawdziwa magia zaś szybowała, nurkowała i wyginała swoje wielkie skrzydła na bezkresnym niebie, wysoko, wysoko nad ich

głowami.

Uświadomił sobie jednak, że pan Norrell raczej nie zareaguje z entuzjazmem na takie nowiny, więc nic nie powiedział. O dziwo, pan Norrell i tak odgadł jego myśli.

- Och! - wykrzyknął z nagłą złością. - Proszę bardzo! Tak myślisz, co? Wobec tego radzę ci natychmiast dołączyć do Strange'a, Murraya i innych zdrajców! Sądzę, że w twoim obecnym stanie ich poglądy bardzo przypadną ci do gustu! A i oni ucieszą się z twojego towarzystwa. Będiesz mógł zdradzić im wszystkie moje sekrety! Na pewno sownie cię wynagrodzą. Będę zrujnowany i...

- Niech się pan uspokoi. Nie mam zamiaru szukać nowego zajęcia. Jest pan moim ostatnim pracodawcą.

Zapadła krótka cisza i pan Norrell miał chyba czas przemyśleć niestosowność wyklócania się z człowiekiem, który zaledwie dzień wcześniej ocalił mu życie. Bardziej rzeczowym tonem oświadczył:

- Chyba nikt ci jeszcze nie mówił, że żona Strange'a nie żyje.

- Co takiego?

- Nie żyje. Sir Walter mi powiedział. Najwyraźniej wybrała się na spacer podczas śnieżycy. Bardzo nierozsądnie. Dwa dni później zmarła.

Childermassa przeszył zimny dreszcz. Posępny krajobraz nagle znów się zbliżył, niemalże przesłaniał widoki Anglii. Childermass mógł sobie ponownie wyobrazić siebie na pradawnej drodze...

...a przed nim stała Arabella Strange. Była odwrócona plecami do niego i szła samotnie po chłodnej szarej ziemi, pod magicznie przemawiającym niebem...

- Mówiono mi - ciągnął pan Norrell, nieświadomy nagłej bladości i przyśpieszonego oddechu Childermassa - że śmierć pani Strange bardzo unieszczęśliwiła lady Pole. Jej smutek najprawdopodobniej wynikał z tego, że były przyjaciółkami. Aż do teraz nie uświadamiałem sobie tego faktu. Gdybym miał o tym pojęcie, być może... - urwał, a jego twarz odzwierciedlała emocje, które nim targwały. - Teraz jednak nie ma to znaczenia. Jedna z nich oszalała, druga zmarła. Ze słów sir Waltera Pole'a wywnioskowałem, że lady Pole mnie wini za śmierć pani Strange. - Na wypadek jakichkolwiek wątpliwości dodał: - Nonsens, rzecz jasna.

Właśnie w tej samej chwili do pokoju weszli dwaj znakomici lekarze, których pan Norrell

weszał do Childermassa. Zdumiał ich widok pana Norrella - zdumiał i zachwyił. Z ich uśmiechniętych oblicz i zgiętych w ukłonach ciał można było wywnioskować, że uważają jego obecność za wspaniały przykład łaskawości wielkiego człowieka, który przychodzi z wizytą do służy. Powiedzieli, że rzadko kiedy pan domu tak dba o zdrowie ostatnich istot i rzadko kiedy służy są gotowi bronić swego pana nie z poczucia obowiązku, lecz z szacunku i uwielbienia.

Pan Norrell był równie łasy na pochlebstwa jak większość ludzi, chyba nawet bardziej, i już zaczynał myśleć, że być może rzeczywiście zachowuje się niezwykle szlachetnie. Wyciągnął rękę, mając zamiar przyjacielsko poklepać Childermassa po dłoni, jednak na widok zimnego spojrzenia dysponenta zreflektował się, zakaszłał i wyszedł.

Childermass odprowadził go wzrokiem.

„Wszyscy magowie kłamią, a ten z nich najbardziej”, powiedział kiedyś Vinculus.

## Rozdział trzeci

### „Czarny młodzian i niebieski jegomość - to coś znaczy” koniec stycznia 1816

Kareta sir Waltera Pole'a podskakiwała na opustoszałej drodze w hrabstwie York. Stephen Black jechał obok na białym koniu. Po obu stronach drogi puste, sine wrzosowiska rozciągały się hen do szarego nieba, z którego lada chwila mógł spaść śnieg. Tu i ówdzie z ziemi wyrastały szare zdeformowane skały, przez co krajobraz wydawał się jeszcze bardziej ponury i nieprzyjemny. Raz na jakiś czas promień słońca przeszywał chmury, podświetlając spieniony strumień albo trafiając w pełne wody wgłębienie w ziemi, które nagle zaczynało błyszczeć jak zgubiona srebrna jednopensówka.

Dotarli do rozstaju dróg. Stangret wstrzymał konie i spojrzał ponuro na miejsce, w którym jego zdaniem powinien stać drogowskaz.

- Nie ma drogowskazów - zauważył Stephen. - Po czym poznać, dokąd prowadzą te drogi?

- Jeśli założymy, że w ogóle dokądś prowadzą - mruknął stangret. - Zaczynam w to wątpić. - Wyciągnął z kieszeni tabakę i zażył sporą szczyptę.

Obok stangreta na koźle siedział lokaj (jemu było najzimniej i najmniej wygodnie z

całej trójki), który zaczął siarczyście kląć na hrabstwo York, jego wszystkich mieszkańców oraz drogi.

- Chyba powinniśmy jechać na północ lub północny wschód - powiedział Stephen. - Ale trochę się zgubiłem przez te wrzosowiska. Masz pojęcie, gdzie leży północ?

Stangret, do którego skierowane było pytanie, burknął, że jego zdaniem wszystkie kierunki wyglądają na północ. Lokaj parsknął niewesołym śmiechem.

Nie uzyskawszy pomocy od towarzyszy, Stephen zrobił to, co zawsze w takich okolicznościach - przejął dowodzenie. Nakazał stangretowi jechać jedną drogą, a sam postanowił podążyć drugą.

- Jeśli mnie się powiedzie, znajdę was albo wyślę posłańca - oświadczył. - Jeśli wy traficie we właściwie miejsce, załatwcie sprawę. Mną się nie przejmujcie.

I ruszył przed siebie, przyglądając się sceptycznie wszystkim mijanym dróżkom i ścieżkom. Raz napotkał samotnego jeźdźca i poprosił go o wskazówki, ale nieznajomy, jak się okazało nietutejszy, nigdy nie słyszał o miejscu wspomnianym przez Stephena.

W końcu Stephen dotarł do wąskiej dróżki, która wiła się między murami, zgodnie z miejscową tradycją zbudowanymi wyłącznie z kamieni, bez zaprawy. Ruszył tą dróżką. Pod murami wznosiły się bezlistne drzewa. Gdy z nieba zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu, zobaczył wioskę, a w niej ponure kamienne domki i walące się mury. Wszędzie panowała dziwna cisza. Ponieważ wioska była nieduża, szybko znalazł budynek, którego szukał. Był to długi, niski dom z wybrukowanym podwórzem. Stephen obrzucił niechętnym spojrzeniem niskie dachy, staroświeckie okna i porośnięte mchem kamienie.

- Halo! - zawołał. - Jest tam kto?!

Śnieg sypał coraz mocniej. Zza rogu budynku wybiegli dwaj służący. Mieli schludne i czyste stroje, ale ich nerwowość i niezręczność sprawiły, że Stephen aż się skrzywił i żałował, że to nie on ich szkolił.

Służący gapili się na czarnego człowieka na białej klaczy. Dzielniejszy wykonał coś w rodzaju półukłonu.

- Czy to Starecross Hall? - zapytał Stephen.

- Tak, proszę pana - odparł odważny sługa.

- Przyjechałem w sprawie sir Waltera Pole'a. Idź po swego pana.

Mężczyzna natychmiast pobiegł. Po chwili otworzyły się drzwi frontowe i stanął w nich szczupły ciemnowłosy człowiek.

- Jest pan dyrektorem domu wariatów? - spytał Stephen. - Pan John Segundus?

- W rzeczy samej! - wykrzyknął pan Segundus. - Zapraszam do środka!

Stephen zsiadł z konia i rzucił lejce słudze.

- Cóż za miejsce, diabelsko trudne do znalezienia! Jedziemy tym przeklętym wrzosowiskiem od ponad godziny. Czy może pan wysłać człowieka po karetę mojej pani? Skrzyła w lewo na rozstaju dróg, trzy kilometry stąd.

- Oczywiście. Bezzwłocznie - zapewnił pan Segundus. - Przykro mi, że mieli państwo trudności z dojazdem. Dom jest, jak pan widzi, położony na zupełnym uboczu, ale w końcu to jeden z powodów, dla których sir Walter go wybrał. Jego małżonka dobrze się miewa, mam nadzieję.

- Jego małżonka jest bardzo zmęczona podróżą.

- Wszystko gotowe na jej przyjazd. - Pan Segundus zaprowadził Stephena do domu.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że to lokum bardzo się różni od tego, do czego przywykła...

Przeszli przez kamienny korytarzyk i weszli do pokoju, który przyjemnie kontrastował z ponurym otoczeniem. Był wyjątkowo przytulny i miły. Wyposażono go w obrazy i ładne meble, miękkie dywany i lampy, które rzucały ciepłe światło. Znalazły się tu również podnóżki dla zmęczonych stóp lady, parawany mające ją chronić od przeciągów, książki dla jej rozrywki, gdyby życzyła sobie poczytać.

- Pokój nie jest odpowiedni? - spytał pan Segundus. - Wnioskuje z pańskiej miny, że nie.

Stephen otworzył usta, żeby poinformować gospodarza, że widzi coś zupełnie innego niż on. Dojrzał to, co miała zobaczyć lady Pole po wejściu do pokoju. Fotele, obrazy, lampy były wręcz widmowe. Za nimi znajdowały się o wiele solidniejsze i bardziej namacalne kształty ponurych sal i schodów Utraconej Nadziei.

Tłumaczenie tego nie miało jednak sensu. Słowa zmieniałyby się w jego ustach w brednie o piwie warzonym z gniewu i pragnienia zemsty; o dziewczętach, których łyzy zmieniały się w opale i perły, gdy przybywało księżyc, i których ślady stóp wypełniały się krwią, gdy go ubywało. Wobec tego powiedział jedynie:

- Nie, nie. Jest zadowalający. Lady Pole nie potrzeba niczego więcej.

Wiele osób uznałoby ten komentarz za niezbyt entuzjastyczny, zwłaszcza gdyby pracowały tak ciężko jak pan Segundus, ale ten się nie obruszył.

- Czy to dama, którą pan Norrell sprowadził z krainy umarłych? - spytał. - Tak - potwierdził Stephen. - Oto czyn, na którym opiera się cała odnowa angielskiej magii! - Tak. - Ale próbowała go zabić! Bardzo to wszystko dziwne! Bardzo dziwne!

Stephen milczał. Jego zdaniem nie był to odpowiedni temat do rozmowy z dyrektorem



domu wariatów. Nie sądził, by pan Segundus cokolwiek wniósł do sprawy. Żeby odciągnąć jego myśli od lady Pole i jej domniemanej zbrodni, powiedział:

- Sir Walter sam wybrał to miejsce. Nie wiem za czyją radą. Od dawna jest pan dyrektorem tego przytułku dla obłąkanych?

Pan Segundus wybuchnął śmiechem.

- Nie, od niedawna. Mniej więcej od dwóch tygodni. Lady Pole to moja pierwsza podopieczna.

- Coś podobnego!

- Zapewne sir Walter uważa mój brak doświadczenia za atut. Inni dżentelmeni parający się tą profesją są przyzwyczajeni do swobodnego dysponowania losem swoich pacjentów i narzucają im najrozmaitsze ograniczenia. Sir Walter jest bardzo temu przeciwny, a ja, jak pan widzi, nie mam takich nawyków. Małżonka sir Waltera spotka się tu wyłącznie z uprzejmością i szacunkiem. I poza podstawowymi środkami ostrożności, które dyktuje zdrowy rozsądek - chodzi o ukrywanie przed nią broni i noży - będzie tu traktowana jak gość. Zrobimy wszystko, by czuła się szczęśliwa.

Stephen skłonił głowę, przyjmując to do wiadomości.

- Jak pan trafił w to miejsce?- Jak znalazłem ten dom?- Nie, tę posiadłość.- Och! Przez przypadek. We wrześniu miałem szczęście poznać pewną damę, lady Lennox, moją dobrodziejkę. Dom należy do niej. Przez lata szukała odpowiedniego lokatora, ale bez powodzenia. Polubiła mnie i chciała mi wyświadczyć przysługę. Postanowiła wykorzystać to miejsce do prowadzenia interesów, a mnie postawić na czele przedsięwzięcia. Najpierw pragnęliśmy założyć szkołę dla magów, ale...

- Magów?! - wykrzyknął Stephen ze zdumieniem. - Ale co pan ma wspólnego z magami?

- Sam jestem magiem. Od lat.

- Coś podobnego!

Stephen wydawał się tak rozgniewany tą nowiną, że pan Segundus poczuł się w obowiązku przeprosić, choć zupełnie nie wiedział, dlaczego ma się kajać.

- Pan Norrell jednak sprzeciwił się naszym planom - ciągnął. - Wysłał tu Childermassa, by mnie ostrzegł. Zna pan Childermassa?

- Z widzenia - odparł Stephen. - Nigdy z nim nie rozmawiałem.

- Początkowo pani Lennox i ja pragnęliśmy stawić mu czoło - naturalnie mam na myśli pana Norrella, nie Childermassa. Napisałem do pana Strange'a, ale mój list dotarł tego ranka, gdy zaginęła jego żona. Jak pan zapewne wie, biedna dama zmarła po kilku dniach.

Stephen chyba zamierzał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową, więc pan Segundus ciągnął:

- Było jasne, że bez wsparcia pana Strange'a musimy porzucić myśl o szkole, więc udałem się do Bath, by zawiadomić o tym panią Lennox. Była bardzo miła i powiedziała, że wkrótce obmyśli nowy plan. Przyznaję, że opuściłem jej dom bardzo przygnębiony. Szedłem przed siebie i po pewnym czasie ujrzałem coś niezwykłego. Na środku drogi stała dziwna postać w czarnych łachmanach. Podrażnione zaczerwienione oczy tego nieszczęśnika były pozbawione rozumu i nadziei; wywijał rękoma, opędzając się od upiorów, które go dręczyły, i krzyczał, żeby się nad nim zlitowały. Biedak! Chorzy na ciele mogą czasem znaleźć ukojenie we śnie, ale od razu pojąłem, że tego człowieka demony prześladują nawet nocą. Wcisnąłem mu w dłoń kilka monet i ruszyłem dalej. Nie jestem pewien, czy w ogóle o nim myślałem podczas powrotnej podróży, jednak gdy tylko stanąłem na progu tego domu, zdarzyło się coś dziwnego. Chyba muszę nazwać to wizją... Ujrzałem tego szaleńca, dokładnie takiego jak w Bath, w tym westybulu, i uświadomiłem sobie, że ów cichy dom na odludziu mógłby być przystanią dla ludzi dotkniętych chorobą umysłu. Napisałem do pani Lennox, a ona zaaprobowała nowy plan. Wspominał pan, że nie wie, kto polecił mnie sir Walterowi. To Childermass. Childermass obiecał, że mi pomoże, jeśli zdoła.

- Chyba będzie najlepiej, jeśli nie wspomni pan o swej profesji ani o szkole, przynajmniej na początku - powiedział Stephen. - Nie ma na tym świecie - na tym ani na innych - niczego, co sprawiłoby lady Pole większą przykrość niż świadomość, że znowu tkwi w niewoli maga.

- W niewoli?! - powtórzył pan Segundus zdumiony. - Co za dziwny pomysł! Naprawdę, mam nadzieję, że nikt nigdy nie uzna się za mojego niewolnika, a już z pewnością nie ta dama!

Stephen przez chwilę się w niego wpatrywał.

- Jestem pewien, że bardzo się pan różni od pana Norrella - oświadczył w końcu.

- Mam nadzieję - odparł pan Segundus z powagą. Godzinę później dobiegły ich hałasy z podwórza.

Stephen i pan Segundus wyszli po lady Pole. Konie i kareta nie mogły przejechać przez most towarowy, więc dama zmuszona była przejść pieszo ostatnich pięćdziesiąt metrów. Z wahaniem weszła na podwórze, rozglądając się po ponurej, przysypanej śniegiem okolicy. Stephen pomyślał, że tylko ludzie o wyjątkowo okrutnych sercach mogliby popatrzeć na nią, na jej młodość, urodę i smutną przypadłość i nie zechcieć natychmiast pośpieszyć jej z pomocą. W duchu przeklął pana Norrella.

Coś w wyglądzie damy poruszyło pana Segundusa. Popatrzył na jej lewą rękę, ale była okryta rękawiczką. Szybko odzyskał równowagę i powitał lady Pole w Starecross Hall.

Stephen przyniósł im herbatę do salonu.

- Mówiono mi, że bardzo przygnębiła panią śmierć pani Strange - powiedział pan Segundus. - Czy wolno mi złożyć kondolencje?

Odwróciła głowę, by ukryć łzy.

- Kondolencje należałoby raczej złożyć jej, nie mnie - westchnęła. - Mój mąż zaproponował, że napisze do pana Strange'a z prośbą o wypożyczenie portretu jego małżonki, by ofiarować mi kopię na pociechę. Co to da? Trudno przecież, bym zapomniała jej oblicze... Wszak każdej nocy spotykamy się na tych samych balach i w tych samych orszakach. Tak będzie aż do końca naszego żywota. Stephen wie. Stephen rozumie.

- O tak - westchnął pan Segundus. - Dręczą panią koszmary związane z tańcem i muzyką, wiem. Zapewniam panią, że tutaj złe sny się nie pojawiają. Nie zdarzy się nic smutnego, co by panią unieszczęśliwiło.

Zaczął opowiadać jej o książkach, które wspólnie przeczytają, i o spacerach, które odbędą na wiosnę, jeśli lady Pole wyrazi takie życzenie.

Stephenowi, zajętemu przynoszeniem podwieczorku, ta rozmowa wydawała się całkiem nieszkodliwa, tyle że raz czy dwa zauważył, że pan Segundus przenosi spojrzenie z lady Pole na niego - spojrzenie uważne i świdrujące, które jednocześnie go zdumiewało i wprawiało w zakłopotanie.

Kareta, stangret, pokojówka i lokaj mieli pozostać w Starecross Hall wraz z lady Pole, Stephen jednak wracał na Harley Street. Wczesnym rankiem, gdy jego pani spożywała śniadanie, poszedł się z nią pożegnać. Złożył jej ukłon, ona zaś roześmiała się melancholijnie.

- Pożegnanie to nonsens, skoro oboje wiemy, że za kilka godzin znów się spotkamy. Nie martw się o mnie, Stephenie. Będzie mi tu dobrze. Wiem to.

Stephen poszedł do stajni, gdzie czekał na niego koń. Właśnie wkładał rękawice, kiedy usłyszał za sobą głos:

- Bardzo przepraszam!

Był to pan Segundus, nieśmiały i skromny jak zawsze.

- Czy mogę o coś zapytać? Jaka magia otacza pana i lady Pole? - Wyciągnął rękę, jakby zamierzał musnąć palcami twarz Stephena. - W pańskich ustach tkwi czerwono-biała róża. Taka sama jak w jej. Cóż to oznacza?

Stephen przyłożył palce do warg. Nic tam nie było. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł, by wyznać panu Segundusowi prawdę o zaklęciu, przez które cierpiał on sam i obie

damy. Wyobraził sobie, że pan Segundus go zrozumie, że okaże się wielkim magiem, znacznie potężniejszym od Strange'a i Norrella, i zdoła pokonać dżentelmena o włosach jak puch ostu. Była to jednak mrzonka. Po chwili powróciła wrodzona nieufność Stephena do Anglików i angielskich magów w szczególności.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedział szybko.

Wsiadł na konia i odjechał bez słowa.

Nigdy nie miał do czynienia z równie parszywymi drogami jak tamtego zimowego dnia. Błoto pozamarzało, tworząc koleiny i wybrzuszenia twardością dorównujące żelazu. Pola i drogi pokrywała gruba warstwa białego szronu, a mroźna mgła spowiła całą okolicę, przez co krajobraz prezentował się nad wyraz przygnębiająco.

Koń Stephena był jednym z niezliczonych darów dżentelmena. Kamerdyner dosiadał mlecznobiałej klaczy, pozbawionej nawet jednego czarnego włoska, chyżej, wytrzymałej i tak przywiązanej do Stephena, jak to tylko możliwe w wypadku konia. Nadał jej imię Florencja i wątpił, czy sam książę regent albo książę Wellington mieli lepszego wierzchowca. Jedną z osobliwości jego dziwaczного, zaczarowanego życia był fakt, że niezależnie od tego, dokąd pojechał, nikt nie komentował tej niestosowności: czarny służący na najszlachetniejszym rumaku w królestwie.

Stephen dotarł do małej wioski położonej około trzydziestu kilometrów na południe od Starecross Hall. W pewnym miejscu droga skręcała pod kątem prostym między dużym eleganckim domem oraz ogrodem z prawej strony i zrujnowanymi budynkami stajennymi z lewej. Kiedy Stephen mijał wejście do posiadłości, zza rogu nagle wyjechał powóz, niemalże się z nim zderzając. Woźnica rozejrzał się, by sprawdzić, co spłoszyło konie i zmusiło go do ściągnięcia lejców. Widząc jedynie czarnego człowieka, zamachnął się na niego batem.

Chybił, a bat trafił Florencję tuż nad prawym okiem. Czując przenikliwy ból, przerażona klacz stanęła dęba i straciła równowagę na oblodzonej drodze.

Był to moment, w którym wszystko wywróciło się do góry nogami. Kiedy Stephen odzyskał świadomość, dostrzegł, że leży na ziemi. Florencja upadła, wysadzając jeźdźca z siodła, lecz jego lewa noga pozostała uwięziona w strzemieniu i teraz spoczywała nieruchomo, wykręcona w nader niepokojący sposób. Stephen był pewien, że jest złamana.

Uwolnił stopę i przez chwilę siedział oszołomiony, walcząc z nudnościami. Czuł, że po twarzy spływa mu coś wilgotnego. Podczas upadku jego dłonie pokaleczyły się do żywego mięsa. Z ulgą zorientował się jednak, że zdoła utrzymać równowagę. Jego noga była potłuczona, ale kość ocalała.

Florencja rzeziła, szaleńczo wywracając ślepiami. Zastanawiał się, czemu klacz nie

próbuję się podnieść, a przynajmniej wierzgać. Wstrząsały nią dreszcze, ale poza tym była całkiem nieruchoma. Jej zeszywniałe nogi dziwacznie sterczały na wszystkie strony. Dopiero po chwili zrozumiał, że miała złamany kręgosłup.

Spojrzał na dom w nadziei, że ktoś wyjdzie i mu pomoże. W oknie na moment pojawiła się kobieta. Stephen dostrzegł elegancki strój i zimną, wyniosłą minę. Kiedy jednak nieznajoma nabrała pewności, że w wypadku nikt nie ucierpiał ani nie zniszczono niczego, co uważała za swoją własność, zniknęła i Stephen więcej jej nie ujrzał.

Ukląkł przy Florencji, pogłaskał ją po łbie i karku. Z sakwy dobył pistolet, prochownicę, pobończyk i nabój. Załadował i odbezpieczył broń. Potem wstał i odciągnął kurek.

Okazało się jednak, że nic więcej uczynić nie może. Zwierzę było dla niego zbyt bliskim przyjacielem, nie potrafił go uśmiercić. Zrozpaczony, już miał dać za wygraną, kiedy na drodze za sobą usłyszał stukot. Zza zakrętu wyjechał dylizans, ciągnięty przez wielkiego, niezgrabnego i na pierwszy rzut oka spokojnego konia. Na koźle siedział przewoźnik w wytartym paltocie - potężny, korpulentny mężczyzna o okrągłej twarzy. Na widok Stephena ściągnął lejce.

- Ejże, chłopcze! - zawołał. - Co tu się dzieje?!

Stephen pistoletem wskazał Florencję.

Przewoźnik zsunął się z wozu i podszedł bliżej.

- Ładne było z niej zwierzę - oznajmił uprzejmym tonem. Poklepał kamerdynera po ramieniu i życzliwie chuchnął mu w twarz kapustą. - Dalej, chłopcze! Nie zdołasz jej uratować.

Przeniósł spojrzenie z twarzy Stephena na jego pistolet. Wyciągnął rękę i powoli uniósł lufę, nakierowując ją na podrygujący łeb Florencji. Gdy Stephen nadal nie naciskał spustu, spytał:

- Mam cię wyręczyć, chłopcze?

Stephen skinął głową.

Przewoźnik wziął od niego pistolet, Stephen odwrócił wzrok. Rozległ się wystrzał, straszliwie głośny, a potem szaleńcze krakanie i szum skrzydeł, kiedy wszystkie ptaki w okolicy nagle poderwały się do lotu. Stephen obejrzał się za siebie. Florencja drgnęła gwałtownie i znieruchomiała.

- Dziękuję - powiedział Stephen do przewoźnika. Usłyszał kroki i pomyślał, że grubas odchodzi, ale za chwilę przewoźnik powrócił. Trącił Stephena i podał mu czarną butelkę. Był to gin najgorszego sortu. Stephen wypił łyk i gwałtownie zakaszłał.

Mimo że wartość ubrania i butów Stephena dwukrotnie przewyższała wartość powozu i koni przewoźnika, ten ostatni traktował kamerdynera z pobłażliwą wyższością, jaką biały zazwyczaj okazuje czarnym. Rozważył sprawę i oznajmił Stephenowi, że teraz należy się zająć usunięciem padliny.

- To piękne stworzenie, nawet po śmierci. Twój pan nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że ktoś inny zgarnął konia i nabił kabzę.

- To nie jest koń mojego pana, tylko mój - odparł Stephen.

- Patrz! - rzekł nagle przewoźnik.

Na mlecznobiałym boku Florencji usiadł kruk.

- Nie! - krzyknął Stephen i ruszył przed siebie, żeby odpędzić ptaka, przewoźnik jednak go powstrzymał.

- Nie, chłopcze! Nie! To dobry znak! Chyba nigdy nie widziałem lepszego!

- Dobry znak? - powtórzył Stephen. - Jak to?

- To znak starego króla, prawda? Kruk na białym tle. Proporzec starego Johna.

Przewoźnik poinformował Stephena, że nieopodal można wynająć ludzi, którzy pomogą usunąć z drogi Florencję. Stephen wsiadł na kozła, a przewoźnik zawiózł go na farmę.

Farmer nigdy wcześniej nie widział czarnego człowieka i był zdumiony obecnością tak niezwyklej istoty na swym podwórzu. Mimo dowodów nie mógł uwierzyć, że Stephen mówi po angielsku. Przewoźnik, który współczuł farmerowi, stał obok kamerdynera i grzecznie powtarzał wszystkie jego słowa, by ułatwić gospodarzowi zrozumienie. Nie miało to jednak znaczenia. Farmer nie słuchał żadnego z przybyszów, tylko gapił się na Stephena i obgadywał go z jednym ze swych parobków, który również zachowywał się jak zahipnotyzowany. Farmer zastanawiał się, czy czerń schodzi, gdy Stephen dotyka przedmiotów, czynił również inne bardzo impertynenckie uwagi. Wszystkie szczegółowe polecenia Stephena dotyczące usunięcia truchła Florencji zdałyby się psu na budę, gdyby z pobliskiego targu nie wróciła żona farmera. Jej zdaniem człowiek w porządnym stroju, właściciel kosztownego (choć martwego) konia był dżentelmenem, niezależnie od barwy skóry. Opowiedziała Stephenowi o człowieku skupującym padlinę na mięso dla zwierząt, który zabiera końskie zwłoki z farmy, usuwa tkanki, a kości i kopyta sprzedaje na klej.

Powiedziała mu także, że sama zorganizuje wszystko za jedną trzecią sumy zapłaconej przez handlarza padliną. Stephen przystał na te warunki.

Stephen i przewoźnik wyszli z podwórza na drogę.

- Dziękuję - powiedział Stephen. - Bez pana byłoby mi bardzo ciężko. Rzecz jasna,

zapłacę za pańskie trudy. Obawiam się jednak, że to nie koniec - nie mam jak dotrzeć do domu. Byłbym zobowiązany, gdyby mógł mnie pan podwieźć do najbliższej stacji pocztowej.

- Schowaj tę sakiewkę, chłopcze! - prychnął przewoźnik. - Zawiozę cię do Doncasteru za darmo.

Stephen wolałby trafić do najbliższej stacji pocztowej, ale przewoźnik wydawał się tak uradowany perspektywą towarzystwa, że po prostu wypadało z nim pojechać. Wóz potoczył się do Doncasteru. Sunął wiejskimi drogami i zatrzymywał się w gospodach oraz różnych miejscowościach, gdzie zaskakiwali lokalną społeczność. Tu dostarczyli ramę łóżka, tam placek owocowy, a zabierali z sobą niezliczone paczki o dziwacznych kształtach. Przystanęli przy domku, który samotnie stał pośrodku lasu, ogrodzony wysokim, ogołoconym z liści żywopłotem. Tam otrzymali z rąk wiekowej służącej ażurową, starą, pomalowaną na czarno klatkę na ptaki z małym kanarkiem w środku. Przewoźnik poinformował Stephena, że ptak należał do pewnej starej damy, która zmarła, i obecnie trzeba go dostarczyć wnuczce jej siostry mieszkającej na południe od Selby.

Niedługo po załadowaniu kanarka na tył wozu Stephen usłyszał zdumiewającą serię dobiegających stamtąd donośnych pochrapywań. Wydawało się niemożliwe, by tak straszliwy hałas wydobywał się z gardła tak małego ptaszka, dlatego Stephen doszedł do wniosku, że wozem musi podróżować osoba, której jeszcze nie miał okazji ujrzeć.

Przewoźnik wyciągnął z koszyka duży placek z nadzieniem z wieprzowiny oraz ser. Wielkim nożem odkroił kawałek placka i już miał go podać Stephenowi, kiedy nagle ogarnęły go wątpliwości.

- Czy czarni jadają to samo co my? - spytał, jakby uważał, że może żywią się trawą albo poświęcą księżycu.

- Tak - odparł Stephen. Przewoźnik podał mu placek i trochę sera.

- Dziękuję. Czy drugi pasażer niczego nie chce?

- Pewnie zechce. Jak się obudzi. Zabrałem go w Ripon. Nie miał pieniędzy. Pomyślałem, że sobie z nim pogawędzę. Na początku był rozmowny, ale w Boroughbridge zasnął i do tej pory śpi.

- Bardzo irytujące.

- Wszystko jedno. Teraz mam z kim gadać.

- Musi być bardzo zmęczony - zadumał się Stephen. - Przespał strzał, który dobił mojego konia, wizytę u niemądrego farmera, dostawę ramy łóżka i kanarka - wszystkie dzisiejsze wydarzenia. Dokąd jedzie?

- On? Donikąd. Włóczy się po całym kraju. Prześladowuje go jakiś słynny człowiek w

Londynie i dlatego ten wagabunda nigdzie nie może zagrać miejsca, bo mógłby go złapać sługa owego człowieka.

- Doprawdy?

- Jest niebieski - zauważył przewoźnik.

- Niebieski? - powtórzył Stephen zaintrygowany.

Przewoźnik skinął głową.

- Jak to? Może siny z zimna? Albo ktoś go pobił?

- Nie, chłopcze. Jest tak niebieski, jak ty jesteś czarny. Ech! Mam w dyliżansie czarnego i niebieskiego pasażera. Nie słyszałem, żeby komuś się to przytrafiło. Jeśli czarny przynosi szczęście - a na pewno przynosi, jak koty - to obecność czarnego młodziana i niebieskiego jegomościa w jednym miejscu z pewnością coś znaczy. Ale co?

- Może znaczy, ale nie dla pana - podsunął mu Stephen. - Może znaczy coś dla niego. Albo dla mnie.

- Nie, niemożliwe - zaprotestował przewoźnik. - Przecież to mnie spotkało.

Stephen zastanawiał się nad nietypowym kolorem nieznanego człowieka.

- Czy jest na coś chory?

- Może - odparł przewoźnik, nieoczekiwanie zniechęcony do rozmowy.

Po posiłku mężczyzna zaczął się kiwać i wkrótce przysnął z lejcami w dłoniach. Wóz jechał spokojnie, ciągniony przez stworzenie o znakomitym zmyśle orientacji.

Podróż, bardzo męczyła Stephena. Przymusowe wygnanie i utrata Florencji niesłychanie go przygnębiły. Cieszył się, że mógł zająć myśli rozmową z przewoźnikiem.

W pewnej chwili usłyszał jakieś mamrotanie, sugerujące, że niebieski pasażer się przebudził. Początkowo Stephen nie słyszał, co mówi, lecz nagle dobiegły go słowa:

- Bezimienny niewolnik będzie królem w obcym kraju.

Zadrzał; przypomniał sobie obietnicę dżentelmena, że ten uczyni z niego króla Anglii.

Zapadał zmierzch. Stephen wstrzymał konia, zsiadł z kozła i zapalił trzy stare lampy, przymocowane do wozu. Już miał z powrotem usiąść na koźle, gdy niechlujny obdartus wyskoczył na skutą lodem ziemię i stanął przed nim. Przyjrzał się Stephenowi w świetle latarni.

- Jesteśmy już na miejscu? - wychrypiał. - Czyli gdzie? - spytał Stephen. Nieznajomy zastanawiał się przez chwilę, po czym postanowił nieco zmodyfikować pytanie:

- Gdzie jesteśmy?

- Nigdzie. Między miejscem o nazwie Ulleskelf i innym miejscem zwanym Thorpe



Willoughby.

Choć mężczyzna domagał się informacji, odpowiedź najwyraźniej go nie interesowała. Brudną koszulę rozpiął do pasa i Stephen zorientował się, że opis przewoźnika był nieprecyzyjny. Mężczyzna nie miał niebieskiej skóry tak jak Stephen czarną. Był to chudy, nędzny obszarpaniec, którego skóra miała taki sam kolor jak skóra każdego Anglika, pokrywały ją jednak dziwne niebieskie wzory, zawijasy oraz kropki i koła.

- Znasz Johna Childermassa, sługę maga? - zapytał.

Stephen był poruszony tak jak każdy, komu dwaj nieznajomi zadaliby jednego dnia to samo pytanie.

- Znam go z widzenia. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

Mężczyzna uśmiechnął się i mrugnął.

- Szuka mnie od ośmiu lat i jeszcze nie znalazł. Wpadłem popatrzeć na dom jego pana w hrabstwie York. Stoi w wielkim parku. Miałem ochotę coś zwędzić. W jego domu w Londynie zjadłem kilka pasztecików.

Przebywanie w towarzystwie zdeklarowanego złodzieja było nieco niepokojące, jednakże Stephen nie mógł nie czuć odrobiny życzliwości dla kogoś, kto usiłował ograbić maga. W końcu gdyby nie pan Norrell, ani on, ani lady Pole nie byłiby teraz pod wpływem zaklęcia. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwie korony.

- Proszę - powiedział.- A to za co? - spytał nieznajomy podejrzliwie (ale przyjął monety).- Żal mi ciebie.- A to dlaczego?- Bo jeśli to, co słyszałem, jest prawdą, nie masz domu.Mężczyzna znów się uśmiechnął i podrapał po brudnym policzku.- A jeśli to, co ja słyszałem, jest prawdą, ty nie masz imienia!- Co?- Ja mam imię. Zwę się Vinculus. - Złapał Stephena za rękę. - Dlaczego odsuwasz się ode mnie?

- Weale nie - zaprotestował Stephen.- Próbowaleś. Przed chwilą. Stephen wyraźnie się zawahał.- Twoja skóra jest oszpecona i ma dziwną barwę. Pomyślałem, że to może być jakaś choroba.

- Nie to oznacza moja skóra - powiedział Vinculus.

- Oznacza? - powtórzył Stephen. - Dziwnie dobrane słowo. Ale masz rację, skóra może oznaczać wiele rzeczy. Moja oznacza, że każdy może mnie publicznie uderzyć i nie poniesie żadnych konsekwencji. Oznacza, że moi przyjaciele nie zawsze chcą się pokazywać ze mną na ulicy. Oznacza, że niezależnie od tego, ile ksiąg przeczytam czy języków opanuję, nigdy nie będę niczym innym jak tylko dziwadłem, takim samym jak gadająca świnia lub koń, który rachuje.

Vinculus uśmiechnął się szeroko.

- A moja oznacza coś wręcz przeciwnego. Oznacza, że wysoko zajdziesz, bezimienny królu. Oznacza, że twoje królestwo czeka na ciebie, a twój wróg poniesie klęskę. Oznacza, że niedługo wybije właściwa godzina. Bezimienny niewolnik srebrną włoży koronę; bezimienny niewolnik królem będzie w obcym kraju...

Trzymając Stephena za rękę, Vinculus wyrecytował całą przepowiednię.

- No, proszę - mruknął, gdy skończył. - Teraz zdradziłem ją obu magom i tobie. Pierwsza część mojego zadania zakończona.

- Ale ja nie jestem magiem - zauważył Stephen.

- Nigdy tak nie twierdziłem - odparł Vinculus. Puścił rękę Stephena, otulił się podartym płaszczem, zanurkował w ciemności za poświęcą latarni i zniknął.

Kilka dni później dżentelmen o włosach jak puch ostu nagle zapragnął obejrzyć polowanie na wilki, czego najwyraźniej nie robił od kilku stuleci.

Tego typu impreza trwała właśnie w południowej Szwecji, dlatego niezwłocznie przeniósł tam siebie oraz Stephena. Ten ostatni odkrył, że stoi na konarze prastarego dębu, który rósł pośrodku zaśnieżonego lasu. Ze swojego stanowiska doskonale widział niewielką polanę, gdzie z ziemi sterczał wysoki drewniany słup. Na jego szczycie zamocowano koło od wozu, a na nim pozostawiono solidnie przywiązane koźle. Zwierzę meczało żałośnie.

Spomiędzy drzew wychynęła wilcza rodzina. Futra zwierząt były pokryte szronem i śniegiem; wilki skierowały wygłodniały wzrok na młodą kozę. Gdy tylko zjawiała się wataha, ze wszystkich stron lasu rozległo się ujadanie psów. W kierunku polany pędzili widoczni w oddali jeźdźcy. Stado ogarów wpadło na polanę; pierwsze dwa psy skoczyły na jednego z wilków, zmieniając się w kłębowisko kłapiących, warczących, gryzących, ciskających się ciał, nóg i zębów. Przygalopowali myśliwi i zastrzelili wilka. Reszta watahy umknęła w mrok drzew, psy i łowcy pognali jej tropem.

Gdy tylko zabrakło rozrywki w jednym miejscu, dżentelmen magicznym sposobem przeniósł siebie i Stephena tam, skąd mogli lepiej śledzić przebieg zdarzeń. Przeskakiwali z jednego wierzchołka drzewa na drugie, ze wzgórza na skałę. W pewnej chwili dotarli nawet na szczyt kościelnej wieży w wiosce pełnej drewnianych domków, w których okna i drzwi miały bajkowe kształty, a dachy przykrywała cienka warstwa puszystego, lśniącego w słońcu śniegu.

Czekali w cichej części lasu na pojawienie się myśliwych, kiedy ich kryjówkę minął samotny wilk. Prezentował się nad wyraz wspaniale, miał piękne ciemne oczy i ciemnoszarą okrywę. Stał pod drzewem i podniósł wzrok, zwracając się do dżentelmena w języku przypominającym bulgot wody na kamieniach, westchnienie wiatru wśród nagich gałęzi i

trzask ognia, trawiącego martwe liście.

Dżentelmen odpowiedział mu w tej samej mowie, po czym zaśmiał się lekceważąco i odgonił zwierzę ręką.

Wilk rzucił mu ostatnie pełne wyrzutu spojrzenie i uciekł.

- Błagał, bym go ocalił - wyjaśnił dżentelmen.- Nie mógł pan tego zrobić? Nie znoszę, gdy te szlachetne stworzenia giną!- Stephen o miękkim sercu - powiedział dżentelmen z czułością. Nie uratował jednak wilka.

Polowanie w ogóle nie przypadło Stephenowi do gustu. To prawda, że myśliwi byli dzielni, a ich psy wierne i posłuszne, ale zbyt mało czasu minęło od utraty Florencji, by radowała go śmierć jakiegokolwiek stworzenia, zwłaszcza tak pięknego i silnego jak wilk. Myśl o Florencji przypomniała mu, że jeszcze nie powiedział dżentelmenowi o spotkaniu z niebieskoskórym mężczyzną ani o przepowiedni. Uczynił to teraz.

- Naprawdę? To bardzo zaskakujące - oznajmił dżentelmen.- Słyszał już pan tę przepowiednię?- W rzeczy samej! Znam ją dobrze, jak cała moja rasa. To przepowiednia... - Tu dżentelmen użył słowa, którego Stephen nie zrozumiał. -...lepiej znanego jako John Uskglass. Nie pojmuję jednak, jak uchowała się w Anglii. Sądziłem, że Anglików nie obchodzą już takie sprawy.

- „Bezimienny niewolnik”! To ja, panie, prawda? A to prorocstwo tłumaczy chyba, jak zostanę królem.

- Naturalnie, że zostaniesz królem! Przecież ci mówiłem, a w takich sprawach nigdy się nie mylę. Ale choć bardzo cię kocham, Stephenie, obawiam się, że przepowiednia nie ciebie dotyczy. Chodzi w niej o odnowę angielskiej magii, a fragment wyrecytowany przez ciebie w ogóle nie jest prorocstwem. Król wspomina, jak przyszedł do swych trzech królestw, jednego w Anglii, drugiego w Faerie, trzeciego w Piekło. Bezimiennym niewolnikiem nazywał siebie. Był bezimiennym niewolnikiem w Faerie, chrześcijańskim dzieckiem ukrytym w brugh, sprowadzonym tam przez niegodziwego elfa, który wykradł go z Anglii.

Stephen poczuł rozczarowanie, choć nie rozumiał dlaczego. W końcu nie pragnął zostać królem. Nie był Anglikiem. Nie był Afrykaninem. Wszędzie był obcy. Słowa Vinculusa na chwilę dały mu poczucie, że do czegoś pasuje, że jest częścią większej całości i ma cel. Była to jednak tylko ułudą.

## Rozdział czwarty

### Ryciny koniec lutegomarec 1816

- Zmieniłeś się. Jestem zaskoczony.

- Naprawdę? Może trochę zeszczuplałem, ale nie widzę w sobie innych zmian.

- Chodzi o twoją twarz, wygląd, jakąś... inność. Strange się uśmiechnął czy też raczej wykrzywił usta, a sir Walter wziął to za uśmiech. Nie mógł sobie przypomnieć, jak wcześniej wyglądał uśmiech przyjaciela.

- To przez te ciemne ubrania - odparł Strange. - Wyglądam jak zagubiony członek konduktu pogrzebowego, skazany na spacer po mieście i zmuszający ludzi do rozmyślań nad własną śmiertelnością.

Znajdowali się w kawiarni u Bedforda na Covent Garden. Sir Walter wybrał to miejsce, gdyż niegdyś znakomicie się tutaj bawili, a chciał poprawić humor przyjacielowi. Jednakże w wieczór taki jak ten nawet u Bedforda nie było wesoło. Na zewnątrz zimny ponury wiatr spychał ludzi z drogi i wciskał im w oczy gęsty deszcz. Pomieszczenia pełne wilgotnych i niezadowolonych dżentelmenów przesycił ponury ziąb, który kelnerzy usiłowali rozproszyć dodatkowymi szuflami węgla dorzucanymi do ognia i darmowymi szklanicami gorącego wina korzennego.

Po wejściu do sali sir Walter odkrył, że Strange zawzięcie skrobie w niewielkim notesie. Sir Walter wskazał głową książkę i zapytał:

- Nie porzuciłeś zatem magii?

Strange parsknął śmiechem.

Sir Walter potraktował to jako potwierdzenie swych słów i nawet się ucieszył. Bardzo szanował ludzi, którzy mają zawód, i uważał, że pożyteczne stałe zajęcie może wyleczyć wiele przypadłości, z jakimi nie poradzą sobie lekarstwa. Nie spodobał mu się jednak ten śmiech Strange'a - gorzki i hałaśliwy.

- W końcu sam mówiłeś... - zaczął.

- Mówiłem wiele rzeczy! Do mojego mózgu zakradają się rozmaite dziwactwa. Nadmiar żaloby może spowodować taki sam atak szaleństwa jak nadmiar czegokolwiek innego. Prawdę mówiąc, przez pewien czas nie byłem sobą. Zachowywałem się nieco dziwnie. Jak widzisz, wszystko minęło.

Prawdę mówiąc, sir Walter wcale tego nie widział.

Nie chodziło wyłącznie o zmiany w wyglądzie. Pod pewnymi względami zresztą Strange nie zmienił się wcale. Uśmiechał się równie często jak niegdyś (choć inaczej). Mówił tak samo ironicznym tonem (choć sprawiał wrażenie, że właściwie nie słucha sam siebie).

Jego komentarze i miny były właśnie takie, jak zapamiętali je przyjaciele, choć z pewną różnicą: ich sprawca zdawał się jedynie odgrywać jakąś rolę, podczas gdy jego myśli i serce były zupełnie gdzie indziej. Patrzył na nich zza swego sarkastycznego uśmiechu i nikt nie wiedział, o czym myślał. Teraz bardziej niż dawniej wyglądał na maga. Było to dziwne i nie mieli pojęcia, co o tym sądzić, ale pod pewnymi względami Strange zaczął przypominać Norrella.

Na serdecznym palcu lewej ręki nosił żałobną obrączkę z ukrytym w środku pasemkiem brązowych włosów. Sir Walter zauważył, że wciąż jej dotykał.

Zamówili porządny obiad złożony z zółwia, trzech lub czterech befsztyków, sosu z gęsiego tłuszczu, kilku minóg, ostryg pieczonych w muszlach i buraków.

- Cieszę się, że wróciłem - powiedział Strange. - Skoro już tu jestem, zamierzam jak najwięcej narozrabiać. Norrell za długo wszystkim rządził.

- Dostaje drgawek, gdy tylko ktoś wspomni o twojej książce. Wciąż wypytuje ludzi, czy wiedzą, co w niej zamieścisz.

- Och! Książka to zaledwie początek. Poza tym ukończę ją dopiero za kilka miesięcy. Potrzeba nam nowego periodyku. Murray jak najszybciej chce go wprowadzić na rynek. Rzecz jasna, będzie to bardzo nieprzeciętne pismo. Ma nosić nazwę „*Famulus*” i prezentować moje poglądy na magię.

- A one bardzo różnią się od poglądów Norrella, prawda?

- Oczywiście! Przede wszystkim zamierzam racjonalnie analizować temat, bez ograniczeń i restrykcji wprowadzonych przez Norrella. Jestem pewien, że ponowne zbadanie problemu szybko otworzy przed nami nowe nieznane ścieżki. Bo do czego tak naprawdę sprowadza się dotychczasowa tak zwana odnowa angielskiej magii? Co osiągnęliśmy, ja i Norrell? Tworzenie iluzji chmur, deszczu, dymu i tak dalej to rzecz najłatwiejsza pod słońcem! Podarowaliśmy przedmiotom nieożywionym mowę - no cóż, to akurat wymaga nieco wprawy. Ale zsyłanie burzy i złej pogody na wrogów...? Nawet nie umiem wyrazić, jaka to prosta magia. Cóż jeszcze? Przywoływanie wizji mogłoby robić wrażenie, gdyby się do tego umiejętnie zabrać, ale żaden z nas tego nie potrafi. I co? Porównaj te żalosne dokonania z magią aureatów. Przekonali jawory i dęby, aby dołączyły do nich, by walczyć z nieprzyjaciółmi, wyczarowywali żony i służących z kwiatów, przybierali postać myszy, lisa,

drzewa, rzeki i tak dalej, budowali statki z pajęczych sieci, domy z krzewów róż...

- Tak, tak - przerwał mu sir Walter. - Rozumiem, że bardzo chciałbyś wypróbować te wszystkie rodzaje magii. Z przykrością to mówię, jednak sądzę, że Norrell może mieć rację. Nie wszystkie rodzaje magii są odpowiednie w dzisiejszych czasach. Zmiany kształtów i temu podobne świetnie sprawdzały się w przeszłości. To bardzo spektakularne działanie, rzecz jasna, ale, Strange, chyba nie chciałbyś tego praktykować? Dżentelmen nie może zmieniać kształtu. Dżentelmen nie zniży się do tego, by wyglądać inaczej, niż wygląda. Sam nie chciałbyś się zmienić w kuchcika ani latarnika...

Strange wybuchnął śmiechem.

- A pomyśl, jak straszne byłoby zostać psem lub świnią - ciągnął sir Walter.- Specjalnie wybierasz takie przykłady.- Doprawdy? No to lwem! Chciałbyś zostać lwem?- Kto wie? Możliwe. Pewnie nie. Ale nie o to chodzi. Zgadzam się, że magia transformacyjna wymaga ostrożności, co nie znaczy, że jest całkiem nieprzydatna. Spytaj księcia Wellingtona, czy zmieniłby swych oficerów zwiadowczych w lisy albo myszy i kazał im krążyć po francuskich obozowiskach. Zapewniam cię, że jaśnie oświecony książę nie miałby skrupułów.

- Wątpię, byś zdołał przekonać Cokjuhouna Granta do zmiany w lisa.

- Och! Grant nie miałby nic przeciwko temu, pod warunkiem że byłby lisem w mundurze. Nie, musimy skupić się na magii aureatów. Należy poświęcić o wiele więcej energii studiom nad życiem i magią Johna Uskglassa, a kiedy zdołamy...

- Tego nie wolno nam robić. Nawet o tym nie myśl.- O czym ty mówisz?- Poważnie, Strange. Nie mam nic przeciwko aureatom. Najogólniej mówiąc, moim zdaniem masz rację. Anglicy są bardzo dumni ze swej magicznej przeszłości - z Godblessa, Stokesey'a, Pale'a i całej reszty. Nie lubią czytać w gazetach o tym, że Norrell lekceważy ich dokonania. Ale ty możesz popełnić błąd. Zbyt dużo gadania o innych królach na pewno zdenerwuje rządzących. Zwłaszcza że lada chwila mogą ich napaść johannici.

- Johannici?

- Co? Dobry Boże, Strange! Czy ty nie zaglądasz do gazet?

Strange wydawał się nieco urażony.

- Studia zajmują mi mnóstwo czasu. Właściwie cały czas. Poza tym, jak wiesz, w ostatnim miesiącu pochłonęły mnie sprawy osobiste.

- Nie mówiłem o ostatnim miesiącu. Johannici działają na północy już od czterech lat.

- Tak, ale któż to taki?

- To rzemieślnicy, którzy nocą zakradają się do zakładów przemysłowych i je niszczą. Palą domy właścicieli fabryk. Organizują tajne zebrania, zachęcają ludzi do urządzania

awantur i pustoszą targi.

- Aa... niszczyciele maszyn. Tak, teraz rozumiem. Zmyliła mnie ta nazwa. Ale co oni mają wspólnego z Królem Kruków?

- Wielu z nich jest zwolennikami króla, tak przynajmniej twierdzą. Malują kruka w locie na ścianie każdej zniszczonej własności. Ich dowódcy noszą mandaty rzekomo wystawione przez Johna Uskglassa i głoszą, że wkrótce ponownie zasiądzie on na tronie w Newcastle.

- A rząd im wierzy? - spytał Strange ze zdumieniem.

- Naturalnie, że nie! Nie jesteśmy idiotami. Obawiamy się czegoś o wiele bardziej przyziemnego - rewolucji. Proporzec Johna Uskglassa powiewa wszędzie na północy, od Nottinghamu do Newcastle. Oczywiście mamy swoich szpiegów i informatorów, którzy mówią nam, co robią i myślą ci ludzie. I nie twierdzą, że wszyscy wierzą w powrót Johna Uskglassa. Większość z nich to realiści, tacy jak ty czy ja, ale znają siłę jego imienia wśród ludu. Rowley FisherDrake, poseł z Hampshire, przedłożył projekt ustawy, w którym proponuje delegalizację symbolu kruka w locie. Nie możemy jednak zabronić ludziom wywieszania własnych flag, sztandarów ich prawnego króla. - Sir Walter westchnął i dziabnął widelcem befsztyk na talerzu. - W innych krajach krążą legendy o królach, którzy powrócą w ciężkich czasach. Tylko w Anglii jest to zagwarantowane w konstytucji.

Strange zamachał widelcem na ministra.

- Przecież to wszystko polityka. Nie ma nic wspólnego ze mną. Nie zamierzam wzywać do restauracji królestwa Johna Uskglassa. Pragnę jedynie zbadać, spokojnie i naukowo, jego dokonania jako maga. Jak możemy odtworzyć angielską magię, jeśli nie rozumiemy, co właściwie odtwarzamy?

- To studiuj sobie dokonania aureatów, ale nie wyciągaj Johna Uskglassa z mroków historii, gdzie umieścił go Norrell.

Strange pokręcił głową.

- Norrell zatruł twój umysł. Norrell wszystkich was zaczarował.

Przez pewien czas jedli w milczeniu, aż w końcu Strange powiedział:

- Mówiłem ci kiedyś, że w zamku w Windsorze widziałem jego portret?

- Kogo?

- Uskglassa. Dziwna scenka namalowana przez jakiegoś Włocha na ścianie jednej z sal recepcyjnych. Przedstawia Edwarda III i Johna Uskglassa - króla wojownika i króla maga - siedzących obok siebie. Minęło niemal czterysta lat, od kiedy John Uskglass opuścił Anglię, a Anglicy wciąż nie mogą się zdecydować, czy go podziwiać, czy też nienawidzić.

- Ha! - wykrzyknął sir Walter. - Na północy dobrze wiedzą, co o nim myśleć. Zmieniliby prawo westminsterskie na jego nawet jutro, gdyby mogli.

Mniej więcej tydzień później wyszedł pierwszy numer „*Famulusa*”. Ze względu na pewien sensacyjny artykuł cały nakład sprzedał się w dwa dni. Pan Murray, który wkrótce miał opublikować *Historię i zastosowanie angielskiej magii*, radośnie liczył na niesłychane zyski. Artykuł, który tak poruszył czytelników, opisywał, jak magowie mogą wzywać zmarłych, by uzyskać od nich pożyteczne informacje. Ten szokujący (choć niezwykle ciekawy) temat spowodował takie poruszenie, że kilka młodych dam podobno zemdlało na wieść, iż egzemplarz „*Famulusa*” znajduje się w ich domach. Wszyscy podejrzewali, że pan Norrell nigdy nie zaakceptuje takiej publikacji, więc każdy, kto nie pałał szczególną sympatią do niego, z wielką przyjemnością kupował „*Famulusa*”.

Na Hanover Square pan Lascelles przeczytał głośno na życzenie pana Norrella:

- „...Gdy magowi brakuje umiejętności i wiedzy - a dotyczy to wszystkich współczesnych magów, nasza narodowa mądrość w tego typu sprawach niestety nie dorównuje tej z dawnych czasów - wówczas najlepszym rozwiązaniem może się okazać zawezwanie ducha kogoś, kto za życia był magiem, a przynajmniej przejawiał pewne talenty w tej dziedzinie. Jeśli jesteśmy niepewni, jaką drogą zmierzamy, najlepiej przywołać kogoś choćby z niewielką wiedzą, aby wyszedł nam naprzeciw i spotkał nas w pół drogi”.

- Wszystko przeinaczył! - wykrzyknął Norrell z wściekłością. - Postanowił mnie zniszczyć!

- Bardzo irytujące - zauważył Lascelles z niezwykłym spokojem. - I to po tym, jak przysięgał sir Walterowi, że po śmierci żony zaniecha magii.

- Och! My wszyscy moglibyśmy umrzeć, pół Londynu mogłoby zniknąć z powierzchni ziemi, ale Strange nadal zajmowałby się magią. Nie potrafi przestać. Za bardzo się wciągnął, by teraz się wycofać. A magia, którą zgłębia, jest zła. Nie wiem, jak mam go powstrzymać!

- Proszę się uspokoić - powiedział Lascelles. - Na pewno pan coś wymyśli.- Kiedy opublikują jego książkę?- W ogłoszeniu Murraya napisano, że pierwszy tom ukaże się w sierpniu.- Pierwszy tom?!-- O tak! Nie wiedział pan? To trytomowe dzieło. Pierwszy tom przedstawi całą historię angielskiej magii. Drugi pomoże czytelnikowi dobrze zrozumieć jej naturę, a trzeci położy fundamenty pod przyszłe zastosowania.

Pan Norrell jęknął, zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach.



- Rzecz jasna - zaczął Lascelles z namysłem - choć tekst z pewnością będzie miał zgubne skutki, jeszcze bardziej niepokoją mnie ryciny...

- Ryciny?!!! - Pan Norrell osłupiał. - Jakie znowu ryciny?

- Och, Strange znalazł jakiegoś emigranta, który studiował pod kierunkiem największych mistrzów włoskich, francuskich i hiszpańskich - odparł Lascelles. - Teraz płaci temu człowiekowi ogromne pieniądze za ryciny.

- Ale co to za ryciny? Co przedstawiają?

- Ano właśnie. - Lascelles ziewnął. - Nie mam pojęcia.

Wziął do ręki „*Famulusa*” i wrócił do lektury.

Pan Norrell siedział przez pewien czas pogrążony w myślach i obgryzał paznokcie. W końcu posłał po Childerraassa.

Po wschodniej stronie Londynu leży Spitalfields, które słynie z wytwarzanych tam cudownych jedwabi. Nie ma i nigdy nie będzie w Anglii jedwabiu tak wspaniałej jakości jak ten ze Spitalfields. W przeszłości budowano tu porządne domy dla kupców, doskonałych tkaczy i farbiarzy, którzy żyli dostatnio dzięki swojej pracy. Obecnie jednak Spitalfields podupadło, choć jedwab stąd pochodzący nadal jest wspaniały. Domy są brudne i zaniedbane, bogaci kupcy przenieśli się do Islington, Clerkenwell i (ci rzeczywiście bardzo bogaci) parafii Mary Le Bonę na zachodzie. Dziś Spitalfields zamieszkuje biedota i pełno tu wyrostków, złodziei i innych osób zakłócających spokój porządnym obywateli.

Pewnego szczególnie paskudnego dnia, kiedy zimny deszcz zalewał brudne ulice i w błocie zbierał się w kałuże, na Elder Street w Spitalfields pojawiła się karetka. Przystanęła przed wysokim, wąskim domem. Stangret i lokaj byli w żałobie. Lokaj zeskoczył z kozła, wyciągnął czarny parasol, otworzył drzwi i przytrzymał parasol nad głową Jonathana Strange’a.

Strange przystanął na chwilę, by włożyć rękawiczki i rozejrzeć się po Elder Street. Poza dwoma kundlami, pracowicie grzebiącymi w stercie odpadków, ulica była pusta, ale on wciąż się rozglądał, aż wreszcie zauważył wejście po drugiej stronie ulicy.

Wyglądało najzwyczajniej w świecie, jak wejście do składu kupieckiego lub czegoś w tym rodzaju. Trzy zniszczone kamienne schodki wiodły do olbrzymich czarnych drzwi, zwieńczonych wielkim, wystającym frontonem. Prawie całe drzwi oklejono podartymi plakatami teatralnymi oraz obwieszczeniami informującymi czytelnika, że tego a tego dnia w takim a takim pubie zostanie wystawiony na sprzedaż cały dobytek pana takiego a takiego (w stanie upadłości).

- George - powiedział Strange do lokaja, który trzymał parasol. - Umiesz rysować?

- Słucham, proszę pana?

- Czy ktokolwiek uczył cię rysować? Rozumiesz zasady? Pierwszy plan, tło, perspektywa, tego typu zagadnienia?

- Ja, proszę pana? Nie, proszę pana.

- Szkoda. Mnie tego uczono. Mógłbym ci namalować pejzaż lub portret idealnie udany i idealnie nieciekawcy. Podobnie jak każdy inny wykształcony amator. Twoja zmarła pani nie pobierała lekcji malunku jak ja, miała jednak więcej talentu. Jej akwarele przedstawiające ludzi i dzieci przerażyłyby modnego nauczyciela rysunku. Uznałby, że postaci są zbyt sztywne, a kolory zbyt jaskrawe. Ale pani Strange potrafiła uchwycić zarówno wyraz twarzy, jak i pozę, znajdowała urok i dowcip w najzwyczajniejszych sytuacjach. W jej obrazach jest coś żywotnego i ładnego, co... - urwał i przez chwilę milczał. - Co takiego mówiłem? A tak. Rysowanie wyrabia nawyk bacznej obserwacji, zawsze przydatny. Weźmy choćby to wejście...

Lokaj posłusznie spojrział we wskazanym kierunku.

- Dziś jest zimno, ciemno, pada. Nie wyszło słońce, brak zatem cienia. Można by pomyśleć, że wewnątrz będzie ponure i pogrążone w półmroku. Trudno spodziewać się tam cienia - jednak jest, tam, od lewej do prawej, pogrążył lewą stronę wejścia w całkowitym mroku. Mam chyba rację, twierdząc, że nawet gdyby dziś było jasno i słonecznie, światło padałoby z drugiej strony. Ten cień budzi moje podejrzenia. Coś takiego nie występuje w naturze.

Lokaj zerknął na stangreta, szukając wsparcia, ten jednak postanowił nie brać udziału w dyskusji i tylko patrzył przed siebie.

- Rozumiem, proszę pana - powiedział lokaj. Strange wciąż oglądał wejście z taką samą zamyśloną i zainteresowaną miną.

- Childermass! - krzyknął nagle. - To ty?!

Przez chwilę nic się nie działo. Potem mroczny cień, który tak niepokoił Strange'a, drgnął. Odlepił się od wejścia jak mokre prześcieradło zdarte z łóżka i w tej samej chwili skurczył się, zmienił i stał człowiekiem: Johnem Childermassem.

Childermass uśmiechnął się drwiąco.

- No cóż, mogłem przewidzieć, że nie zdołam się zbyt długo przed panem ukrywać.

Strange prychnął.

- Spodziewałem się ciebie w tygodniu. Gdzie byłeś?- Mój pan posłał po mnie dopiero wczoraj.- Jak on się miewa?- Bardzo źle, proszę pana, bardzo źle. Trapią go przeziębienia,

migreny, drżą mu kończyny. Jak zawsze, gdy ktoś go rozdrażni, a nikt nie drażni go tak jak pan.

- Miło mi to słyszeć.

- Przy okazji, chciałem panu powiedzieć, że na Hanover Square czeka na pana honorarium z Ministerstwa Skarbu i admiralicji za ostatni kwartał 1814 roku.

Strange szeroko otworzył oczy.

- Norrell naprawdę chce się ze mną podzielić? Byłem pewien, że te pieniądze przepadły na dobre.

- Pan Norrell nic o nich nie wie. - Childermass uśmiechnął się do niego. - Mam przynieść pieniądze wieczorem?

- Naturalnie. Nie będzie mnie w domu, ale przekaż je Jeremy'emu. Powiedz mi coś, Childermass. Czy Norrell wie, że potrafisz być niewidzialny i zamieniać się w cień?

- Och, liźnąłem tego i owego. W końcu służę panu Norrellowi od dwudziestu sześciu lat. Musiałbym być bardzo głupi, gdybym niczego się nie nauczył.

- No tak, naturalnie. Ale nie o to pytałem. Czy Norrell wie?

- Nie, proszę pana. Podejrzewa, ale woli nie wiedzieć. Mag, który spędza całe życie w pokoju pełnym ksiąg, musi zatrudniać kogoś, kto będzie załatwiał za niego rozmaite sprawy. Nie wszystko można znaleźć w srebrnym naczyniu z wodą. Sam pan o tym wie.

- Hm... Chodź, kolego. Zobaczysz to, co miałeś zobaczyć.

Dom wydawał się bardzo zaniedbany, wręcz opuszczony. Ramy okienne i farba były brudne, okiennice pozamykane. Strange i Childermass czekali na chodniku, podczas gdy lokaj pukał do drzwi. Strange miał parasol, Childermass zaś nie zwracał uwagi na deszcz.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. W pewnym momencie jednak lokaj zrobił krok do przodu i zaczął rozmawiać z kimś ukrytym w cieniu drzwi. Ktokolwiek to był, lokaj Strange'a nie darzył go szczególnym poważaniem: jego zmarszczone brwi, poza (obie ręce na biodrach), sposób, w jaki zwracał się do rozmówcy, sugerowały ogromne zniecierpliwienie.

Po chwili drzwi otworzyła bardzo mała, bardzo brudna i bardzo przestraszona służąca.

Jonathan Strange, Childermass i lokaj weszli do środka, a potem każdy spojrzał z góry na dziewczynę. Biedaczka śmiertelnie się przeraziła, że patrzy na nią tyłu wysokich i wyglądających na bardzo ważnych panów.

Strange nie zawracał sobie głowy przedstawianiem się - było mało prawdopodobne, by dziewczyna powtórzyła jego nazwisko. Ruchem głowy dał Childermassowi do zrozumienia, by za nim podążył, po czym wbiegł po schodach i bez ceregieli wszedł do jednego z pokojów. Tam, w nikłym świetle wielu świec płonących w dziwnej mgle

(wydawało się, że w domu panuje całkiem odmienna pogoda), stali rytownik monsieur Minervois i jego asystent monsieur Forcalquier.

Monsieur Minervois był niewysoki i raczej wątlý. Miał długie włosy, cienkie, ciemne, błyszczące i miękkie jak pasma brązowego jedwabiu. Opadały mu na ramiona i twarz za każdym razem, gdy pochylał się nad ryciną, czyli niemal bez przerwy. Jego oczy też były niezwykle - duże, łagodne i brązowe, sugerujące południowe pochodzenie. Rysy monsieur Forcalquiera tworzyły uderzający kontrast z niezwykle urodą jego pana. Asystent miał kościstą twarz, zapadnięte oczy i głowę porośniętą jasną szczecinią. Nieco przypominał upióra, a raczej trupa; na szczęście zdradzał niezwykle dobre maniery.

Obaj panowie uciekli z Francji, jednakże rozróżnienie uchodźcy i wroga było zbyt trudne dla mieszkańców Spitalfields. Monsieur Minervois i monsieur Forcalquiera powszechnie uznawano za francuskich szpiegów. Wiele musieli wycierpieć z powodu tego niesprawiedliwego osądu: hordy dzieciaków ze Spitalfields uważały, że najlepszym zajęciem jest czajenie się na obu Francuzów, a następnie bicie ich i tarzanie w piachu, którego w Spitalfields było pod dostatkiem. Sąsiedzi okazywali Francuzom swoją niechęć poprzez opryskliwe traktowanie i odmowę sprzedaży wszystkiego, co było im potrzebne. Strange nieco pomógł, prowadząc mediacje między monsieur Minervois i jego gospodarzem, dzięki czemu ten nieco lepiej zrozumiał sytuację lokatora. Ponadto Strange wysyłał Jeremy'ego Johnsa do okolicznych pubów, by służący pił tam gin i wdawał się w rozmowy, dzięki czemu okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się, że obaj Francuzi są protegowanymi jednego z dwóch angielskich magów.

- I - oświadczył Strange, unosząc palec - jeśli powiedzą ci, że Norrell jest potężniejszy, puść to mimo uszu, ale poinformuj ich, że ja mam mniej cierpliwości i że łatwiej mnie zdenerwować, obrażając mych przyjaciół.

Monsieur Minervois i monsieur Forcalquier byli wdzięczni Strange'owi, ale tak ponure okoliczności sprawiły, iż już dawno doszli do wniosku, że ich najlepszą przyjaciółką jest brandy, popijana regularnie od samego rana.

Nie opuszczali domu na Elder Street. Okiennice pozostawały zamknięte dniem i nocą ze względu na niegościnnie sąsiedztwo. Żyli i mieszkali przy blasku świec i już dawno zerwali wszelkie kontakty z zegarami. Przybycie Strange'a i Childermassa ich zdumiało, gdyż byli przekonani, że jest środek nocy. Mieli jedną służącą - łatwowierną sierotkę, która ich nie rozumiała, czuła przed nimi lęk i której imienia nie znali. Ale na swój sposób obaj byli dla niej dobrzy i dali jej własny pokój z łóżkiem, z piernatami i pościelą, więc uważała ten ponury dom za raj. Jej obowiązki polegały na kupowaniu pożywienia, brandy i opium.

Brandy i opium Francuzi zatrzymywali dla siebie, dziewczyna zaś dostawała większość jedzenia. Przynosiła im również i podgrzewała wodę do kąpieli i golenia. Obaj byli raczej próżni, jednakże zdradzali całkowitą obojętność na brud i nieporządek panujące w domu, no i bardzo dobrze, gdyż sierotka tak się znała na prowadzeniu gospodarstwa jak na klasycznym hebrajskim.

Wszędzie leżały płachty grubego papieru i szmaty poplamione atramentem. W pokoju piętrzyły się cynowe naczynia z wyschniętymi skórkami sera oraz garnki z piórami do rysowania i kawałkami węgla drzewnego. Znajdował się tam też zeschnięty pęk selera, który z korzyścią dla siebie rósł zbyt długo i zbyt swobodnie w bliskim sąsiedztwie węgla drzewnego. Cała boazeria była pokryta pociemniałą, brudną tapetą oraz rycinami i rysunkami przypiętymi bezpośrednio do drewna. Jeden z wizerunków wyjątkowo wiernie przedstawiał Strange'a.

Z tyłu domu, na brudnym i małym podwórku rosła jabłoń, która niegdyś była drzewem wiejskim. Sytuacja się zmieniła, gdy nadciągnął szary Londyn i wchłonął ładną zieloną okolicę. Kilka lat temu ktoś w przypiływie przedsiębiorczości zerwał z drzewa wszystkie jabłka i poukładał na parapetach, gdzie spoczywały do dziś. Z początku zmieniły się w stare jabłka, potem w napuchnięte jabłkowe truchła, a na koniec w nieledwie duchy jabłek. Miejsce miało wyrazisty zapach, w którym mieszała się woń atramentu, papieru, węgla, brandy, opium, wyschniętych jabłek, świec, kawy. Wszystko to razem tworzyło wyjątkowe perfumy, wydzielane przez pracujących dniem i nocą na niewielkiej przestrzeni dwóch mężczyzn, którzy nigdy nie otwierali okien.

Prawda była taka, że Minervois i Forcalquier często zapominali, że na tej planecie są miejsca takie jak Spitalfields albo Francja. Całymi dniami żyli w małym wszechświecie rycin do książki Strange'a, które były bardzo dziwne.

Ilustracje ukazywały wielkie korytarze wyglądające na stworzone z cienia. Ciemne otwory w ścianach sugerowały, że znajdują się tam inne korytarze, tak jakby ryciny przedstawiały labirynt lub coś w tym rodzaju. Część obrazków zawierała szerokie schody prowadzące do podziemnych kanałów. Na niektórych widniały rozległe ponure wrzosowiska z wijącą się zapomnianą drogą. Widz patrzył na tę scenę z wielkiej wysokości. W oddali na drodze widniał cień, zaledwie rysa na jasnym tle, zbyt daleko, by dało się stwierdzić, czy to mężczyzna, kobieta lub dziecko, albo w ogóle człowiek. Niemniej jego obecność na tym odludziu była niezwykle niepokojąca.

Jeden obrazek ukazywał samotny most przerzucony nad rozległą mglistą próżnią, być może niebem. Most skonstruowano z tych samych masywnych kamieni co korytarze i kanały,

ale z obu jego stron odchodziły maleńkie schodki, przyczepione do potężnych filarów. Wyglądały mniej solidnie niż sam most, a wiele z nich wiło się przez chmury i zdążało ku niezbadanej przestrzeni w dole.

Strange pochylał się nad rycinami z nie mniejszym skupieniem niż Minervois, pytając, krytykując i szkicując rozmaite propozycje. Rozmawiali z sobą po francusku. Ku zdumieniu Strange'a Childermass świetnie wszystko pojmował i nawet zadał jedno czy dwa pytania w ojczystym języku Minervois. Niestety, jego francuszczyzna była tak naznaczona akcentem z hrabstwa York, że zdumiony Minervois, który nic nie zrozumiał, spytał Strange'a, czy Childermass jest Holendrem.

- Rzecz jasna, te scenki są zbyt romańskie, jak prace Palladia albo Piranesiego - mruknął Strange do Childermassa. - Nic nie mogą na to poradzić, tak ich nauczono, nie da się wykorzeńić starych nawyków. Jako mag też nigdy nie będę Strange'em czy też może raczej stuprocentowym Strange'em - za dużo we mnie Norrella.

- To właśnie widział pan na Królewskich Traktach? - spytał Childermass.

- Tak.

- A co to za kraina, nad którą biegnie ten most?

Strange popatrzył drwiąco na Childermassa.

- Nie wiem, magu. Co ty o tym sądzisz?

- To zapewne Faerie. - Childermass wzruszył ramionami.

- Być może. Zaczynam jednak sądzić, że to, co nazywamy Faerie, składa się z wielu krain. Równie dobrze można by powiedzieć „gdziekolwiek”. Znaczyłyby dokładnie to samo.

- Jak daleko są te miejsca?

- Niedaleko. Szedłem tamtędy z Covent Garden i obejrzałem je wszystkie w półtorej godziny.

- Czy ta magia jest trudna?

- Nie bardzo.

- Powie mi pan, co to za zaklęcie?

- Ależ z wielką przyjemnością. Musisz użyć zaklęcia objawienia, ja posłużyłem się Doncasterem. A potem dezintegracji, by rozpuścić taflę zwierciadła. W księgach, które znam, można natrafić na mnóstwo zaklęć dezintegracyjnych, ale według mnie są nic niewarte, więc musiałem wymyślić własne. Zapiszę ci je, jeśli sobie życzysz. Na koniec należy połączyć obydwie te zaklęcia z zaklęciem odnajdywania dróg. To ważne, inaczej nie zdołałbyś się wydostać. - Strange urwał i popatrzył na Childermassa. - Nadążasz za mną?

- Bez problemu.

- To dobrze. - Znowu zapadła cisza, po czym Strange powiedział: - Czy nie pora, Childermass, żebyś odszedł ze służby pana Norrella do mnie? Darujemy sobie te bzdury ze służącym. Będziesz moim uczniem i asystentem.

Childermass wybuchnął śmiechem.

- Bardzo panu dziękuję! Dziękuję! Ale pan Norrell i ja nie załatwiliśmy naszych spraw. Jeszcze nie. Poza tym byłbym bardzo złym uczniem - chyba nawet gorszym niż pan.

Strange z uśmiechem zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami.

- To dobra odpowiedź - powiedział w końcu. - Ale obawiam się, że nie dość dobra. Nie wierzę, że naprawdę trzymasz stronę Norrella. Jeden mag w Anglii! Jedna opinia o magii! Chyba się z tym nie zgadzasz? Masz charakter równie przekorny jak ja. Przejdź na moją stronę i wyklócaj się ze mną.

- Przecież wtedy musiałbym się z panem zgadzać, prawda? Nie wiem, jak skończy się spór pana i Norrella. Prosiłem karty, by mi to zdradziły, ale odpowiedź mi się wymyka. Przyszłość jest zbyt skomplikowana dla kart, a ja nie potrafię postawić odpowiedniego pytania. Powiem panu, co zrobię. Złożę obietnicę. Jeśli pan przegra, a pan Norrell zwycięży, wtedy rzeczywiście odejdę ze służby. Wesprę pańskie starania, sprzeciwię mu się z całą swoją mocą i znajdę argumenty, które go zdenerwują. Nadal będzie dwóch magów w Anglii i dwie opinie o magii. Jeśli jednak to on przegra, postąpię tak samo w stosunku do pana. Odpowiada to panu?

- Tak, odpowiada. - Strange uśmiechnął się do niego. - Wracaj do pana Norrella i złóż mu wyrazy uszanowania. Powiedz, że mam nadzieję, iż uszczęśliwią go odpowiedzi, których ci udzieliłem. Jeśli chciałby wiedzieć coś jeszcze, będę u siebie jutro około czwartej.

- Dziękuję panu. Był pan bardzo szczerzy i otwarty.

- Czemu nie? To Norrell lubuje się w sekretach, nie ja. Nie powiedziałem ci niczego, czego nie ma w mojej książce. Mniej więcej za miesiąc każdy obywatel w tym królestwie będzie mógł to przeczytać i wyrobić sobie własną opinię. Naprawdę nie wiem, jak Norrell miałby temu zapobiec.

## Rozdział piąty

**Odludzie i szaleństwo marzec 1816**

Kilka dni po wizycie u rytowników Strange zaprosił sir Waltera oraz lorda Portisheada na kolację. Obaj dżentelmeni biesiadowali z nim przy wielu okazjach, ale w domu na Soho Square pojawili się po raz pierwszy od śmierci pani Strange. Od razu dostrzegli smutne zmiany. Mag najwyraźniej powrócił do kawalerskich nawyków. Stół i krzesła tonęły pod stosami dokumentów, na wpół ukończone rozdziały jego książki można było znaleźć w każdym kącie domu, a w salonie notatki pojawiały się nawet na tapetach.

Sir Walter pochylił się, by usunąć stos książek z krzesła.

- Nie, nie! - wykrzyknął Strange. - Zostaw to! Leżą w ściśle określonym porządku.

- Ale gdzie ja mam usiąść? - spytał sir Walter z niejakim zdumieniem.

Strange jęknął niecierpliwie, jakby pytanie było zupełnie niedorzeczne, usunął jednak książki. Tylko raz zapomniał się podczas tej czynności i zatonął w lekturze. Gdy dwukrotnie przeczytał stosowny ustęp i zanotował swoje spostrzeżenia na tapecie, znów mógł zająć się gośćmi.

- Miło mi widzieć pana - powiedział do lorda portisheada. - Pytałem wszystkich o Norrella, a on zapewne wypytywał o mnie. Liczę na to, że ma mi pan dużo do powiedzenia.

- Już wszystko ci powiedziałem - wtrącił sir Walter z wyrzutem.

- Tak, tak. Mówiłeś mi, gdzie był, z kim rozmawiał i co sądzą o nim ministrowie, ale ja pytam jego lordowską mość o magię, a to, co ty wiesz o magii...

-...nieapełniłoby nawet centymetra na tapecie? - podsunął sir Walter usłudnie.

- No właśnie. Proszę mówić, wasza lordowska mość. Co ostatnio porabia pan Norrell?

- Na prośbę lorda Liverpoola pracuje nad zaklęciem, dzięki któremu Napoleon Bonaparte nigdy już nie ucieknie - odparł lord Portishead. - Studiuje Dysertacje o Królestwie Światła i Królestwie Mroku. Chyba dokonał pewnych odkryć.

- Jakich? - spytał Strange zaniepokojony. - W Dysertacjach?

- Znalazł coś na stronie siedemdziesiątej drugiej w wydaniu Cromforda. Nowe zastosowanie zaklęcia przywołania śmierci. Niezbyt dobrze to rozumiem. Pan Norrell uważa chyba, że tę samą zasadę można zastosować do leczenia przypadłości ludzi i zwierząt, zmuszając chorobę, by wyszła z ciała, całkiem jak demon.

- Ach, to! - wykrzyknął Strange z ulgą. - Tak, tak! Doszedłem do tego w czerwcu zeszłego roku. A więc Norrell dopiero teraz na to wpadł?! Wybornie!

- Wielu ludzi dziwi się, że nie wziął po panu ucznia - ciągnął lord Portishead. - Wiem, że otrzymał mnóstwo zgłoszeń. Ale nikogo nie przyjął. Chyba nawet nie rozmawiał z tymi młodymi ludźmi ani nie odpowiadał na ich listy. Ma bardzo wysokie wymagania, a nikt nie



może się równać z panem.

- Jest tak, jak się spodziewałem. - Strange uśmiechnął się do niego. - Ledwie toleruje istnienie drugiego maga. Na wieść o trzecim chyba padłby trupem. Wkrótce go pokonam. W walce o charakter angielskiej magii udział weźmie tylko jeden norelicki mag i dziesiątki strandzystów. A przynajmniej tylu, ilu zdołam wyuczyć. Zastanawiam się, czy nie zrobić z Jeremy'ego Johnsa kogoś w rodzaju antyChildermassa. Mógłby jeździć po kraju w poszukiwaniu osób, które Norrell i Childermass odsunęli od magii, i namawiać je, by znów się nią zajęły. Już rozmawiałem z kilkoma młodymi ludźmi. Dwaj czy trzej wydają się wielce obiecujący. Młodszy syn lorda Chaldecotta, Henry Purfois, czytał bardzo wiele czwartego sortu książek o magii i piątego sortu biografii magów. Przez te lektury rozmowa z nim jest nieco nużąca, ale trudno winić o to biedaka. Jest jeszcze William HadleyBright, jeden z adiutantów Wellingtona spod Waterloo, i dziwny mały człowieczek, Tom Levy, obecnie zatrudniony jako tancmistrz w Norwich.

- Tancmistrz? - Sir Walter zmarszczył brwi. - Czy naprawdę powinniśmy zachęcać takich ludzi do praktykowania magii? Chyba wasza profesja powinna być zarezerwowana dla dżentelmenów?

- Niby dlaczego? Poza tym Levy najbardziej przypadł mi do gustu. To jedyna znana mi osoba, która uważa, że magia powinna służyć rozrywce, i tylko on z całej trójki rzucił jakiegokolwiek zaklęcie. Sprawił, że rama okienna porosła gałęziami i liśćmi. Pewnie zachodziliście w głowę, dlaczego tak wygląda.

- Prawdę mówiąc, pokój pełen jest tylu osobliwości, że nawet nie zauważyłem - przyznał sir Walter.

- Oczywiście Levy nie chciał tego tak zostawić - dodał Strange. - Nie potrafił jednak zdjąć zaklęcia, a ja również nie. Chyba muszę poprosić Jeremy'ego o sprowadzenie stolarza.

- Cieszy mnie, że znalazłeś tylu odpowiednich młodzieńców - powiedział sir Walter. - To dobrze wróży angielskiej magii.

- Mam też kilka podań od młodych dam - oznajmił Strange.

- Dam?! - wykrzyknął lord Portishead.

- Naturalnie! Nie ma powodów, dla których kobiety nie mogłyby studiować magii. To kolejne z błędnych przekonań Norrella.

- Hm. Przybywa ich z chwili na chwilę - mruknął sir Walter.

- Czego?- Błędnych przekonań Norrella.- Co masz na myśli?- Nic! Nic! Nie obrażaj się. Zauważyłem jednak, że nic nie wspomniałeś o przyjmowaniu kobiet na uczennice.

- Chodzi o stronę praktyczną, tylko tyle - westchnął Strange. - Mag i jego uczeń muszą

spędzać razem dużo czasu na lekturze i dyskusjach. Gdyby Arabella nie umarła, pewnie przyjmowałbym uczennice. Teraz jednak musiałbym zadbać o przyzwoitki i pamiętać o innych nudziarstwach, do których chwilowo brak mi cierpliwości. Moje badania są ważniejsze.

- A jakie nowe zaklęcie nam pan zaprezentuje? - spytał zaciekawiony lord Portishead.

- Ach! Cieszę się, że zadał pan to pytanie. Długo się na tym zastanawiałem. Jeśli odnowa angielskiej magii ma rzeczywiście nastąpić, a raczej jeśli nie ma zależeć wyłącznie od Gilberta Norrella, muszę się nauczyć czegoś nowego. Nowe zaklęcia nie powstają jednak ot tak. Mógłbym powędrować na Królewskie Trakty i poszukać krain, gdzie magia jest regułą, nie wyjątkiem.

- Dobry Boże! - jęknął sir Walter. - Znow to samo! Oszalałeś? Myślałem, że obaj doszliśmy do wniosku, iż Królewskie Trakty są zbyt niebezpieczne, by usprawiedliwić...

- Tak, tak! Dobrze znam twoją opinię. Wystarczająco długo wykladałeś mi swoje poglądy na ten temat. Pozwól mi skończyć, tylko wymieniam możliwości. Nie pójdę na Królewskie Trakty. Dałem słowo mojej... dałem słowo Arabelli, że tego nie zrobię.

Zapadła cisza. Strange westchnął, a jego twarz przybrała ponury wyraz. Z pewnością myślał o czymś - albo o kimś - innym.

- Zawsze miałem wielkie zaufanie do opinii pani Strange - zauważył sir Walter cicho.  
- Stanowczo powinienes iść za jej radą. Strange, rozumiem, że pragniesz zająć się nowymi czarami - każdy uczony by tego chciał... Ale chyba jedyną bezpieczną możliwością jest nauka magii z ksiąg?

- Ależ mnie brakuje ksiąg! - krzyknął Strange. - Dobry Boże! Obiecuję ci, że będę łagodnym jak baranek domatorem, jeśli tylko rząd ustanowi prawo nakazujące Norrellowi udostępnienie mi biblioteki! Ale jako że ministrowie nie wyświadczą mi tej przysługi, muszę pogłębiać wiedzę w każdy możliwy sposób.

- Co pan zrobi? - spytał lord Portishead.

- Wezwę elfa - odparł Strange błyskawicznie. - Już kilka razy próbowałem.

- Czy pan Norrell nie głosi, że wzywanie elfów jest bardzo niebezpieczne? - spytał sir Walter.

- Nie ma takiej rzeczy, której Norrell nie uważałby za bardzo niebezpieczną - odparł Strange poirytowanym tonem.

- To prawda. - Sir Walter nie zamierzał protestować, w końcu wzywanie elfów było przyjętym od wieków elementem angielskiej magii. Robili to wszyscy aureaci i pragnęli robić wszyscy argenci.

- Jest pan pewien, że to w ogóle możliwe? - zapytał lord Portishead. - Większość autorytetów zgodnie twierdzi, że elfów nie ma już w Anglii.

- Panuje takie przekonanie - przytaknął Strange. - Ale jestem niemal pewien, że znalazłem się w towarzystwie elfa w listopadzie 1814 roku, mniej więcej na miesiąc lub dwa przed moim rozstaniem z Norrellem.

- Coś podobnego! - wykrzyknął lord Portishead.

- Nigdy o tym nie wspominałeś - zauważył sir Walter.

- Nie mogłem o tym wspomnieć - odparł Strange. - Gdybym szepnął choć słówko, moje terminowanie u Norrella byłoby zagrożone. Dostałby białej gorączki na samą wzmiankę o elfie.

- Jak wyglądał? - spytał lord Portishead.

- Elf? Nie mam pojęcia. Nie widziałem go, tylko słyszałem. Grał. Był tam też ktoś jeszcze, kto moim zdaniem, i słyszał go, i widział. Proszę sobie wyobrazić korzyści płynące z przebywania z taką istotą. Żaden mag, zmarły ani żywy, nie mógłby mnie nauczyć tyle co elf.

Elfy to źródło wszystkiego, czego pożądamy my, magowie. Magia to ich chleb powszedni! Co do złych stron... Cóż, szkopał w tym, że nie mam pojęcia, jak go wezwać. Rzucam zaklęcia całymi dziesiątkami, zrobiłem wszystko, co - według tego, o czym słyszałem lub czytałem - powinno sprawić, że ten elf wróci. Na próżno. Za nic nie mogę wydedukować, po co Norrell traci tyle energii na zabranianie czegoś, czego i tak nikomu nie udaje się dokonać. Mój Boże, pewnie nie zna pan żadnych zaklęć przywołujących elfy?

- Wiele - odrzekł lord Portishead. - Jestem jednak pewien, że już je pan wypróbował. To my oczekujemy od pana odtworzenia wszystkiego, co przepadło.

- Och, czasem myślę, że nic nie przepadło - westchnął Strange. - Tak naprawdę wszystko jest w bibliotece w Hurtfew.

- Mówiłeś, że był tam jeszcze ktoś, kto zarówno widział, jak i słyszał elfa? - spytał sir Walter.

- Tak.- Rozumiem, że tym kimś nie był Norrell.- Nie.- Doskonale. Co mówił ten człowiek?- Był... zagubiony. Sądził, że widzi anioła, ale ze względu na jego tryb życia i stan umysłu nie uznał tego za tak niezwykle, jak mogłoby się nam wydawać. Bardzo was przepraszam, ale dyskrecja nie pozwala mi zdradzać szczegółów.

- Tak, tak! To zrozumiałe! Ale twój towarzysz widział elfa. Czemu?- Och, wiem czemu. Ma w sobie coś bardzo szczególnego...- Nie możesz się tym posłużyć? Strange zastanawiał się przez chwilę.- Nie bardzo wiem jak. To zwykły przypadek, tak jak to, że człowiek czasem rodzi się z jednym okiem niebieskim, a drugim brązowym. - Przez chwilę

siedział w milczeniu. - A może nie. Może masz rację. To wcale nie jest takie niezwykle, jeśli się nad tym zastanowić. Weźmy chociażby aureatów. Część z nich niemal dorównywała elfom w obłędzie! Pomyślcie tylko o Ralphie Stokesey'u i jego elfim słudze, Colu Tomie Blue! Kiedy Stokesey był młody, właściwie nie dawało się ich odróżnić. Może jestem zbyt łagodnym, zbyt udomowionym magiem? Ale jak wypracować w sobie szaleństwo? Codziennie spotykam wariatów na ulicy, lecz do tej pory nigdy się nie zastanawiałem, dlaczego oszaleli. Może powinienem samotnie błądzić po wrzosowiskach i pustych wybrzeżach? To miejsca ulubione przez wariatów - przynajmniej w powieściach i sztukach. Może dzika Anglia sprawi, że oszaleję.

Strange wstał i podszedł do okna w salonie, jakby zamierzał się stąd poprzyglądać dzikiej Anglii, lecz ujrzał tylko bardzo zwyczajny Soho Square w gęstej mżawce.

- Chyba trafiłeś w sedno, Pole.

- Ja? - Sir Walter wydawał się nieco zaniepokojony kierunkiem rozmowy. - Nie zamierzałem sugerować niczego w tym rodzaju.

- Ależ drogi panie - zwrócił się do Strange'a łagodny lord Portishead. - Na pewno nie mówi pan poważnie. Człowiek o takiej erudycji nie może sugerować, że zostanie... włóczęgą. To bardzo... szokująca myśl.

Strange skrzyżował ręce na piersiach, raz jeszcze popatrzył na Soho Square i powiedział:

- Nie, dziś nigdzie nie idę. - A potem uśmiechnął się szyderczo i wyglądał niemal tak jak dawniej. - Poczekam, aż przestanie padać.

## Rozdział szósty

### *Historia i zastosowanie angielskiej magii kwiecień-koniec września 1816*

Przyjaciele Strange'a z ulgą przyjęli jego zapewnienie, że nie zamierza rezygnować ze swych wygodnych domów, przyzwoitego dochodu oraz służby, by zostać wagabundą i znosić kaprysy pogody. Mimo to niewielu odczuwało całkowity spokój w związku z jego nowymi poczynaniami. Mieli poważne podstawy do obaw, że zatracił hamulce i gotów jest angażować się we wszystkie formy magii. Obietnica złożona Arabelli chwilowo powstrzymywała go przed korzystaniem z Królewskich Traktów, ale żadne ostrzeżenia sir Waltera nie mogły

sprawić, by Strange przestał nieustannie mówić i myśleć o Johnie Uskglassie oraz jego elfich poddanych.

Pod koniec kwietnia trzech nowi uczniowie maga, czcigodny Henry Purfois, William HadleyBright i Tom Levy, tancmistrz, wynajęli sobie lokum w pobliżu Soho Square. Każdego dnia przychodzili do domu Strange'a, by zgłębiać magię. Podczas przerw w kierowaniu ich magiczną edukacją Strange pracował nad książką i zaklęciami dla armii oraz Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ponadto otrzymał oferty z propozycjami nawiązania współpracy z Korporacją Liverpoolską oraz Stowarzyszeniem Przedsiębiorców Handlowych z Bristolu.

Fakt, że Strange nadal będzie otrzymywał zlecenia od oficjalnie funkcjonujących organizacji (czy też w ogóle od kogokolwiek), do tego stopnia wstrząsnął panem Norrellem, że ten poskarżył się samemu premierowi, lordowi Liverpoolowi.

Ten nie okazał mu zrozumienia.

- Generałowie mogą postępować wedle swego uznania, drogi panie. Rząd nie wtrąca się w sprawy wojska, o czym pan świetnie wie. Generałowie przez kilka lat zatrudniali pana Strange'a jako swojego maga i nie widzą powodu, by rezygnować z jego współpracy tylko dlatego, że panowie się pokłócili. Jeśli chodzi o Kompanię Wschodnioindyjską, powiedziano mi, że jej władze najpierw zgłosiły się do pana, ale odmówił im pan wsparcia.

Pan Norrell gwałtownie zamrugął oczkami.

- Moja praca dla rządu - w istocie dla pana, lordzie - pochłania mnóstwo czasu. Żadną miarą nie mogę jej zaniedbywać na rzecz prywatnej instytucji.

- Szanowny panie, proszę mi wierzyć, że jesteśmy panu wdzięczni. Nie muszę jednak panu objaśniać, jak istotne jest powodzenie Kompanii Wschodnioindyjskiej dla dobrobytu państwa, a Kompania ogromnie potrzebuje maga. Kieruje ona flotą zdaną na łaskę i niełaskę sztormów oraz niepogody. Administruje rozległymi terytoriami, a jej armie są bezustannie nękanie przez indyjskich siebiepanków i bandytów. Pan Strange zgodził się kontrolować pogodę wokół przylądka oraz na Oceanie Indyjskim, a także wyraził gotowość udzielania porad w kwestii owocnego stosowania magii na wrogich terytoriach. Władze Kompanii Wschodnioindyjskiej sądzą, że doświadczenie pana Strange'a nabyte na Półwyspie Iberyjskim okaże się bezcenne. To jeszcze jeden dowód na istniejące w Wielkiej Brytanii ogromne zapotrzebowanie na usługi magów. Drogi panie, nawet przy swojej pracowitości nie może pan być wszędzie i robić wszystkiego - nikt zresztą tego od pana nie oczekuje. Słyszałem, że pan Strange przyjął uczniów. Niewymowną przyjemnością sprawiłaby mi informacja, że zamierza pan pójść w jego ślady.

Pomimo aprobaty lorda Liverpoola edukacja trzech nowych magów nie przebiegała

sprawniej niż nauka samego Strange'a sześć lat wcześniej. Jedyna różnica polegała na tym, że Strange musiał się zmagać z nieprzystępnością Norrella, młodzi mężczyźni zaś stale borykali się z przygnębieniem oraz niepokojem Strange'a.

Na początku czerwca mag zakończył prace nad pierwszym tomem *Historii i zastosowania angielskiej magii*. Strange dostarczył dzieło panu Murrayowi i nikogo nie zdziwiło, że następnego dnia poinformował Henry'ego Purfois, Williama HadleyaBrighta oraz Toma Levy'ego, iż muszą na pewien czas zawiesić swoją magiczną edukację, gdyż podjął decyzję o wyjeździe za granicę.

- Wyborny pomysł! - oznajmił sir Walter, kiedy tylko Strange powiadomił go o swym postanowieniu. - zmiana otoczenia. Zmiana towarzystwa. Właśnie to bym ci polecał. W drogę! W drogę!

- Nie uważasz, że jest zbyt wcześnie? - spytał Strange z niepokojem w głosie. - Można powiedzieć, że zostawię Londyn do dyspozycji Norrella.

- Twoim zdaniem mamy aż tak krótką pamięć? Wierz mi, dołożę wszelkich starań, byśmy nie zapomnieli o tobie w ciągu tych kilku miesięcy. Zresztą wkrótce pojawi się twoja książka, która posłuży nam wszystkim za przypomnienie, jak fatalnie sobie bez ciebie radzimy.

- Racja. Jest książka. Podważenie treści czterdziestu sześciu rozdziałów zajmie Norrellowi wiele miesięcy. Wrócę, nim skończy.

- Dokąd się wybierasz?

- Zapewne do Włoch. Południe Europy zawsze mnie kusilo. Interesowały mnie krajobrazy Hiszpanii - a raczej interesowałyby, gdyby nie było tam pełno żołnierzy i dymu armatniego.

- Liczę, że od czasu do czasu skreślisz kilka słów? Jakieś własne spostrzeżenia?

- Och, nie unikniesz tego. Prawem podróżnika jest dawanie upustu frustracji przy najdrobniejszej niewygodzie poprzez opisywanie jej przyjaciółom. Oczekuj epistoł na każdy temat.

Jak to się często zdarzało tamtymi czasy, nastrój Strange'a nagle się zmienił.

Sarkastyczny humor znikł w jednej chwili, i teraz mag chmurnie wpatrywał się w wiadro na węgiel.

- Zastanawiałem się, czy mógłbyś... - wydusił w końcu. - Chodzi o to, że chciałbym cię prosić... - westchnął, zirytowany własnym wahaniem. - Czy byłbyś łaskaw przesłać lady Pole wiadomość ode mnie? Będę niewymownie wdzięczny. Arabella była blisko związana z lady Pole i wiem, że nie zaaprobowalaby mojego wyjazdu z Anglii, gdybym wcześniej nie

przekazał stosownych wieści jej przyjaciółce.

- Oczywiście. Co mam jej powiedzieć?

- Och, proszę, przekaż moje szczerze życzenia powrotu do zdrowia. Zdaję się na ciebie.

Nie ma znaczenia, co powiesz, lecz proszę, koniecznie zaznacz, że wiadomość przesyła mąż Arabelli. Chcę, by lady Pole rozumiała, że mąż przyjaciółki o niej nie zapomniał.

- Z ogromną ochotą spełnię twą prośbę - zaręczył sir Walter.

- Dziękuję.

Strange był niemal pewny, że sir Walter zachęci go do osobistego spotkania z lady Pole, lecz takiej sugestii nie usłyszał. Nikt nawet nie wiedział, czy dama wciąż przebywa w domu na Harley Street. Po mieście krążyły pogłoski, że sir Walter wysłał ją na wieś.

Strange nie był osamotniony w chęci wyjazdu za granicę. Stało się to niezwykle modne. Brytyjczycy zbyt długo zmuszeni byli tkwić na własnej wyspie, co wynikało z ich uczestnictwa w wojnach napoleońskich. Zbyt długo musieli zaspokajać potrzebę podziwiania nowych widoków i spotkania ciekawych ludzi w Szkocji, nad angielskimi jeziorami oraz w Derbyshire Park. Kiedy wojna dobiegła końca, mogli się wybrać na kontynent i ujrzeć zupełnie inne góry oraz wybrzeża. Mogli osobiście obejrzeć uznane dzieła sztuki, które do tej pory oglądali wyłącznie w księgach z rycinami. Część wyjechała za granicę w nadziei na tańsze życie. Niektórzy wyruszyli w drogę po to, by uniknąć długów lub skandalu, a ostatnia grupa, do której należał Strange, postanowiła znaleźć spokój, jakiego w Anglii nie znalazła.

*Bruksela, 12 czerwca 1816*

*Jonathan Strange do Johna Segundusa*

*Wszystko wskazuje na to, że lord Byron wyprzedza mnie o miesiąc. W każdym miasteczku, w którym się zatrzymujemy, odkrywamy właścicieli gospod, forysiów, wysokich urzędników, mieszczan, pomocników karczmarza i wszelkiego typu damy, których umysły chyba zbłądziły po krótkotrwałym kontakcie z jego lordowską mością. Choć moi towarzysze gorliwie informują ludzi, że to ja jestem tym przerażającym osobnikiem, angielskim magiem, ewidentnie pozostaję w cieniu rodaka poety. Wszędzie, gdzie się pojawiam, cieszę się opinią (całkiem dla mnie nową, zaręczam) cichego, dobrotliwego Anglika, który nie hałasuje i nikomu nie sprawia kłopotu...*

Tamtego roku lato było nietypowe. Właściwie nie nadeszło. Zima wzięła świat w posiadanie aż do sierpnia. Słońce nie wychodziło prawie wcale. Ciężkie, szare chmury przysłoniły niebo, ostre wiatry hulały po miastach i niszczyły uprawy. Każdy zakątek Europy nawiedziły burze i grad, od czasu do czasu ożywiane grzmotami i błyskawicami. Pod wieloma względami pogoda była gorsza niż zimą: długie dni odbierały ludziom pociechę w postaci mroku, który na kilka godzin skryłby te wszystkie okropieństwa.

Londyn w połowie opustoszał. Prace parlamentu zawieszono, a parlamentarzyści powyjeżdżali do swych wiejskich posiadłości, by tam znaleźć lepsze warunki do obserwacji deszczu. Londyński wydawca, pan John Murray, siedział w swoim domu przy Albermarle Street. Przy rozmaitych okazjach jego pokoje tętniły życiem jak żadne w mieście - pełno w nich było poetów, eseistów, recenzentów i wybitnych literatów królestwa. Niestety, obecnie wielu literatów królestwa wyjechali na wieś. Deszcz stukał w okno, a wiatr wył w kominku.

Pan Murray dorzucił węgla do ognia i zasiadł przy biurku, by jak co dzień odczytać korespondencję. Każdy list przysuwał do lewego oka (prawe było zupełnie ślepe i bezużyteczne).

Tamtego dnia wydawca otrzymał dwie wiadomości z Genewy w Szwajcarii. Pierwsza pochodziła od lorda Byrona, uskarżającego się na Jonathana Strange'a, a druga od Strange'a, uskarżającego się na lorda Byrona. Obydwaj panowie kilka razy widzieli się w domu pana Murraya, lecz do tej pory nie mieli okazji zawrzeć bliższej znajomości. Parę tygodni wcześniej Strange odwiedził Byrona w Genewie, ale spotkanie nie zakończyło się dobrze. Strange (który był wówczas w nastroju do wychwalania pod niebiosa stanu małżeńskiego oraz uzalania się, jak wiele utracił po odejściu Arabelli) nieprzychylnie odniósł się do sytuacji domowej Byrona.

*„Zastąpiłem lorda w jego uroczej willi nad brzegiem jeziora. Nie był sam. Przebywał tam też inny poeta, nazwiskiem Shelley, a także pani Shelley i jeszcze jedna młoda kobieta, właściwie dziewczynka, która kazała nazywać się panią Clairmont i której związku z obydwoma panami nie pojąłem. Jeśli panu coś o tym wiadomo, proszę mnie nie wtajemniczać. Obecny był także pewien dziwny młody mężczyzna, niejaki pan Polidori, który przez cały czas wygadywał nonsensy”.*

Z kolei lord Byron miał zastrzeżenia do stroju Strange'a.

*„Nosił odzież jakby w połowie żałobną. Jego żona zmarła na Boże Narodzenie, prawda? Ale może uważa, że czerń dodaje mu tajemniczości i dzięki niej wygląda bardziej czarnoksiężsko”.*

Momentalnie poczuli do siebie antypatię i płynnie przeszli do sporu o sprawy



polityczne. Strange napisał: „*Nie wiem, jak to się stało, ale natychmiast skupiliśmy się na rozmowie o bitwie pod Waterloo. Smutny to temat, albowiem jestem magiem księcia Wellingtona, a oni wszyscy go nienawidzą, idealizując Napoleona. Pani Clairmont, z bezczelnością typową dla osiemnastolatki, spytała mnie, czy nie wstyd mi za to, że przyczyniłem się do upadku tak wybitnej osobistości. Odparłem, że bynajmniej*”.

Byron napisał: „*Jest gorącym zwolennikiem księcia W. Dobrze Ci życzę, drogi Murrayu, więc mam nadzieję, że książka jest bardziej interesująca niż autor*”.

Strange zakończył: „*Ludzie miewają czasem osobliwe mniemanie o magach. Chcieli, bym opowiedział im o wampirach*”.

Pan Murray z przykrością skonstatował, że jego dwaj autorzy nie potrafią się porozumieć i że zapewne było to naturalne, zwłaszcza że obaj słynęli ze swarliwości: Strange wyklócał się z Norrellem, a Byron praktycznie ze wszystkimi.

Po przeczytaniu listów pan Murray postanowił zejść do księgarni. Wydrukował dużą liczbę egzemplarzy książki Jonathana Strange’a i chciał sprawdzić, jak przebiega sprzedaż. Księgarnię prowadził niejaki Shackleton, który wyglądał właśnie tak, jak powinien wyglądać księgarz. Nie pasowałby do żadnego innego sklepu - z całą pewnością nie sprawdziłby się w sklepie bławatnym ani jako kapelusznik, który musi prezentować się bardziej elegancko niż jego klienci. Na księgarza zaś nadawał się idealnie. Trudno było ustalić jego wiek. Był chudy i ziemisty, a przy tym cały upstrzony plamkami atramentu. Przypominał nieco roztargnionego uczonego. Na nosie miał okulary, za uchem trzymał wetknięte pióro, a jego głowę zdobiła lekko rozczochrana peruka.

- Panie Shackleton, ile książek pana Strange’a już sprzedaliśmy? - spytał pan Murray.

- Jak miemam, około sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu egzemplarzy.

- Wyśmienicie!

Shackleton zmarszczył brwi i poprawił okulary.

- Tak, tak by się zdawało, nieprawdaż?

- Co pan ma na myśli?

Sprzedawca wyciągnął pióro zza ucha.

- Wielu ludzi przychodziło po dwakroć, by za każdym razem kupić egzemplarz.

- To jeszcze lepiej! W takim tempie prześcigniemy *Korsarza* lorda Byrona! Pod koniec przyszłego tygodnia będzie potrzebne drugie wydanie! - Widząc jednak chmurną minę Shackletona, pan Murray dodał: - I cóż w tym złego? Zapewne potrzebują ich na prezent dla przyjaciół.

Shackleton pokręcił głową tak energicznie, że zatrzęsa się na niej peruka.

- To dziwne. Jeszcze nigdy się z czymś podobnym nie spotkałem.

Drzwi księgarni otworzyły się i do środka wszedł młody, smukły mężczyzna niskiego wzrostu. Miał regularne rysy twarzy i, prawdę mówiąc, byłby całkiem przystojny, gdyby nie niefortunny sposób bycia. Należał do ludzi, których przemyślenia są zbyt żywiołowe, by je utrzymać w ryzach, dlatego wylewają się na świat ku konsternacji postronnych. Rozmawiał z sobą, bez przerwy strojąc miny. W jednej chwili sprawiał wrażenie zaskoczonego, w następnej urażonego, potem odprężonego i rozzłoszczonego - te emocje zapewne wynikały z żywiołowych dyskusji, które prowadził z rozmówcami istniejącymi jedynie w jego głowie.

W sklepach, zwłaszcza londyńskich, zdarzały się problemy z pomyłkami, toteż pan Murray oraz Shackleton od początku mieli się na baczności. A ich obawy ani trochę nie osłabły, kiedy młody mężczyzna o jasnoniebieskich oczach wbił w Shackletona przenikliwe spojrzenie.

- To ma być uczciwe traktowanie klientów?! - zawołał. - To ma być uprzejmość?! - Odwrócił się do pana Murraya. - Niech pan przyjmie moją radę. Proszę tu nie kupować książek. Tu pracują kłamcy i złodzieje!

- Kłamcy i złodzieje? - powtórzył pan Murray. - Nie, jest pan w błędzie. Z pewnością przekonamy pana, że to pomyłka.

- Ha! - wykrzyknął młody mężczyzna i posłał panu Murrayowi ostre spojrzenie, by dowieść, że już rozumie, iż pan Murray nie jest, jak mu się z początku zdawało, klientem.

- Jestem właścicielem - wytłumaczył pan Murray pospiesznie. - Nikt tutaj nikogo nie okrada. Proszę mi wyjaśnić, na czym polega problem, a ja z ochotą panu pomogę. Jestem przekonany, że zaszło nieporozumienie.

Młodego mężczyznę jednak ani trochę nie uspokoiły uprzejme słowa pana Murraya.

- Czy zaprzecza pan, że ten przybytek zatrudnia szmatławego oszusta o nazwisku Strange, podającego się za maga?! - zawołał.

Pan Murray otworzył usta, by wyjaśnić, że Strange jest jednym z jego autorów, lecz młody mężczyzna nie zamierzał czekać na wyjaśnienia.

- Czy zaprzecza pan, że pan Strange nałożył na swoje książki zaklęcie, sprawiające, że znikają, przez co trzeba kupować następną? I następną?! - Pogroził palcem Shackletonowi, robiąc chytrą minę. - Zapewne powie pan, że mnie nie pamięta!

- Nie, proszę pana, tego nie powiem. Pamiętam pana doskonale. Był pan jednym z pierwszych dżentelmenów, którzy kupili egzemplarz *Historii i zastosowania angielskiej magii*, a tydzień później przyszedł pan ponownie po następny.

Młody mężczyzna szeroko otworzył oczy.

- Musiałem kupić następny! - krzyknął oburzony. - Pierwszy zniknął!

- Zniknął? - spytał zaskoczony pan Murray. - Jeśli zgubił pan swoją książkę, panie... eee... jest mi z tego powodu bardzo przykro, niemniej nie całkiem rozumiem, na czym polega błąd sprzedawcy.

- Nazywam się Green, drogi panie. I nie zgubiłem swojej książki. Zniknęła. Dwukrotnie. - Pan Green westchnął ciężko jak człowiek, który odkrywa, że musi obcować z głupcami i ludźmi o miernych umysłach. - Pierwszą zabrałem do domu i położyłem na stole, na pudełku, w którym trzymam brzytwy i przybory do golenia. - Pan Green zademonstrował, jak odkładał książkę na pudełko. - Na książce położyłem gazetę, a na niej mosiężny świecznik z jajkiem.

- Jajkiem? - zdziwił się pan Murray.

- Jajkiem na twardo! Ale kiedy się odwróciłem - a nie minęło nawet dziesięć minut! - gazeta leżała bezpośrednio na pudełku, a książka znikła! Mimo to jajko i świecznik pozostały na swoim miejscu. Tydzień później wróciłem i kupiłem jeszcze jeden egzemplarz, tak jak mówi pański sprzedawca. Zabrałem go do domu. Położyłem na półce nad kominkiem wraz ze *Słownikiem praktycznej chirurgii* Coopera i przygniotłem od góry imbrykiem. Podczas zaparzania herbaty poruszyłem jednak obie książki, które wpadły do kosza z brudną bielizną. W poniedziałek mój służący Jack Boot włożył do kosza pościel, lecz kiedy przyszła po nią praczka, okazało się, że na dnie kosza pozostał tylko *Słownik praktycznej chirurgii*. Natomiast *Historia i zastosowanie angielskiej magii* zniknęła!

Ta przemowa, wskazująca na lekką ekscentryczność w sposobie prowadzenia gospodarstwa przez pana Greena, dawała pewną nadzieję na wytłumaczenie zagadki.

- Czy mógł pan pomylić miejsce, w które odłożył pan książkę? - podsunął pan Shackleton.

- Może praczka zabrała ją wraz z pościelą? - dodał pan Murray.

- Nie, nie! - wykrzyknął pan Green.

- Ktoś ją pożyczył? Odłożył w inne miejsce? - sugerował Shackleton.

Pan Green wydawał się zdumiony tym rozwiązaniem.

- Kto? - spytał. - Nie mam... nie mam pojęcia. Pani Green? Pański służący? - Nie istnieje żadna pani Green! Mieszkam sam! Nie licząc Jacka Boota, a Jack Boot nie umie czytać.

- Może przyjaciół?

Pan Green wyglądał tak, jakby chciał zaprzeczyć, że w ogóle ma jakichkolwiek przyjaciół. Pan Murray westchnął.

- Panie Shackleton, proszę wręczyć panu Greenowi egzemplarz i zwrócić mu pieniądze za drugą książkę. - Spojrzał na pana Greena. - Cieszę się, że jej treść tak bardzo przypadła panu do gustu, iż postanowił pan kupić jeszcze jeden egzemplarz.

- Przypadła do gustu?!!! - zawołał pan Green, zdumiony jak nigdy. - Nie mam zielonego pojęcia, czy mi się podoba, czy też nie. Nawet nie miałem okazji jej otworzyć.

Po wyjściu klienta pan Murray posiedział jeszcze chwilę w księgarni, dowcipkując o koszach z pościelą i jajkach na twardo, lecz pan Shackleton (wbrew pozorom obdarzony poczuciem humoru) nie wykazywał chęci udziału w konwersacji. Sprawiał wrażenie zamyszonego i niespokojnego, a kilka razy zauważył, że dzieje się coś, co trudno pojąć.

Pół godziny później pan Murray oglądał w swoim pokoju na piętrze szafkę z książkami. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał Shackletona.

- Wrócił - oznajmił sprzedawca.- Co?!- Green. Ponownie stracił książkę. Miał ją w prawej kieszeni, a kiedy dotarł do Great Pulteney Street, już jej nie było. Rzecz jasna, wyjaśniłem mu, że w Londynie grasuje mnóstwo złodziei, lecz musi pan przyznać...

- Tak, tak! Mniejsza z tym! - przerwał mu pan Murray. - Mój egzemplarz również znikł! Proszę spojrzeć! Zostawiłem go tutaj, między *Niedorzecznościami* Disraeliego oraz *Emmą* panny Austen. Widzi pan miejsce, gdzie stał. Co się tutaj dzieje?

- Magia - oznajmił Shackleton stanowczo. - Myślałem o tym i uważam, że Green ma rację. Jakieś zaklęcie działa na książki oraz na nas.

- Zaklęcie?! - Pan Murray szeroko otworzył oczy. - Tak, z pewnością. Po raz pierwszy doświadczam bezpośredniego działania magii... Nie chcę przechodzić przez to ponownie. Wyjątkowo dziwaczne i nieprzyjemne uczucie. Skąd, u licha, można wiedzieć, jak się zachować, kiedy nic nie jest takie, jakie być powinno?

- Cóż - westchnął Shackleton. - Na pana miejscu zacząłbym od przeprowadzenia konsultacji z innymi księgarzami, aby sprawdzić, czy ich książki również znikają. Przynajmniej byśmy wiedzieli, czy problem jest ogólny, czy dotyczy wyłącznie nas.

Rada wydawała się logiczna. Pan Murray oraz Shackleton włożyli kapelusze i wyszli na słońce, zostawiając sklep pod opieką stażysty. Najbliższa księgarnia należała do Edwardsa i Skitteringa, a mieściła się przy Piccadilly. Kiedy dotarli na miejsce, musieli ustąpić wychodzącemu ze środka lokajowi w niebieskiej liberii, który wynosił pokaźne naręcze książek.

Pan Murray ledwie zdążył pomyśleć, że zarówno lokaj, jak i liberia wyglądają znajomo, a mężczyzna już znikł.

Wewnątrz zastali pana Edwardsa pogrążonego w rozmowie z Johnem Childermassem.

Kiedy Murray i Shackleton weszli, pan Edwards przybrał minę pełną skruchy, lecz Childermass wcale nie wydawał się speszony.

- Ach, pan Murray! - powiedział. - Cieszę się, że pana widzę. Oszczędził mi pan spaceru w deszczu.

- Co się dzieje? - spytał pan Murray. - Co pan wyprawia? - Wyprawia? Pan Norrell kupuje trochę książek. To wszystko. - Ha! Jeśli pański mocodawca zamierza usunąć z rynku książkę pana Strange'a poprzez wykupienie całego nakładu, to niech się przygotuje na rozczarowanie. Pan Norrell jest bogatym człowiekiem, niemniej jego fortuna w końcu musi się wyczerpać, a ja mogę drukować książki w takim tempie, w jakim on będzie je kupował.

- Nie - zaprzeczył Childermass. - To się panu nie uda.

Pan Murray popatrzył na pana Edwardsa. - Robercie! Dlaczego pozwalasz się tak tyranizować? Biedny pan Edwards wydawał się wyjątkowo nieszczęśliwy. - Ogromnie mi przykro, ale wszystkie te książki znikają bez śladu. Musiałem zwrócić pieniądze ponad trzydziestu klientom. To dla mnie poważna strata. Teraz jednak pan Norrell zaproponował, że wykupi wszystkie moje egzemplarze książki Strange'a i ofiaruje za nie uczciwą kwotę, dlatego...

- Uczciwą?! - krzyknął Shackleton, nie mogąc tego dłużej znieść. - Uczciwą?! Co w tym uczciwego, pytam? Przede wszystkim, kto, pańskim zdaniem, sprawia, że książki znikają?

- Otóż to! - Pan Murray odwrócił się do Childermassa. - Nie zaprzeczy pan chyba, że to wszystko robota Norrella?

- Nie, nie. Przeciwnie, pan Norrell jest gotów wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Dysponuje listą powodów i z ochotą przedstawi ją każdemu, kto wyrazi gotowość wysłuchania jego racji.

- A cóż to za powody? - spytał pan Murray chłodno.

- Och, to co zwykle, jak sędzę - odparł Childermass, który po raz pierwszy się zawahał. - Właśnie trwa przygotowywanie listu z wyjaśnieniem całej sprawy.

- I pańskim zdaniem jego treść mnie usatysfakcjonuje? List z przeprosinami?

- Przeprosinami? Wątpię, czy pojawi się w nim choć słowo skruchy.

- Zamierzam porozmawiać z moim prawnikiem - zapowiedział pan Murray. - Jeszcze dzisiejszego popołudnia.

- Ależ bardzo proszę. Spodziewaliśmy się tego. Proszę jednak mieć na względzie, że pan Norrell nie chce, by w związku z tą sprawą poniósł pan straty finansowe. Jestem upoważniony do wypisania stosownego przekazu bankowego, kiedy tylko będzie pan w stanie

przedłożyć mi podsumowanie wszystkich wydatków związanych z publikacją książki pana Strange'a.

Pan Murray nie oczekiwał takiego obrotu sprawy. Z jednej strony chciał udzielić Childermassowi bardzo nieuprzejmej odpowiedzi, a z drugiej miał świadomość, że Norrell w poważny sposób uszczupła jego finanse i zdecydowanie powinien mu to zrekompensować.

Shackleton dyskretnie trącił pana Murraya w rękę, aby przestrzec go przed pośpiesznym podejmowaniem decyzji.

- A co z moim zarobkiem? - spytał pan Murray, starając się zyskać na czasie.

- Och, życzy pan sobie, żeby wziąć pod uwagę także tę kwestię? To chyba uczciwe postawienie sprawy. Porozmawiam o tym z panem Norrellem. - Childermass uklonił się i opuścił księgarnię.

Nie było powodu, by pozostawali w niej pan Murray i Shackleton. Kiedy tylko wyszli na ulicę, pan Murray odwrócił się do sprzedawcy i polecił:

- Proszę iść na Thames Street - (tam mieścił się magazyn, w którym pan Murray przechowywał swoje książki) - i dowiedzieć się, czy na stanie pozostały jeszcze jakieś książki pana Strange'a. Niech pan nie da się zbyć Jacksonowi zdawkową odpowiedzią. Niech panu pokaże księgi. Proszę mu kazać przeliczyć je i w ciągu godziny przysłać mi rachunek.

Gdy pan Murray powrócił na Albermarle Street, w księgarni zastał trzech młodych mężczyzn. Na jego widok zamknęli książki, natychmiast go otoczyli i wszyscy naraz zaczęli mówić. Rzecz jasna, pan Murray założył, że przyszli do niego w tej samej sprawie co Green.

Ponieważ dwóch z nich było bardzo wysokich, a wszyscy zachowywali się głośno i nerwowo, zaniepokoił się i dał znać stażyscie, żeby sprowadził pomoc. Niedoświadczony sprzedawca nawet nie drgnął, z niespotykanym zainteresowaniem obserwując rozwój wypadków.

Dość agresywne okrzyki młodych mężczyzn, takie jak: „Piekielny łotr!” czy „Ohydny kundel!” - nie poprawiły samopoczucia pana Murraya, lecz po chwili zaczął rozumieć, że nie jego obrzucają obelgami, tylko pana Norrella.

- Za przeproszeniem, panowie - odezwał się. - Jeśli nie sprawiłoby to panom zbytniego kłopotu, czy mógłbym się dowiedzieć, kim panowie są?

Młodzi mężczyźni sprawiali wrażenie zaskoczonych. Zakładali, że są lepiej znani. Przedstawili się. Byli to trzej uczniowie Strange'a, oczekujący powrotu swojego mistrza: Henry Purfois, William HadleyBright oraz Tom Levy.

William HadleyBright oraz Henry Purfois byli wysocy i przystojni, a ciemnowłosy i

ciemnooki Tom Levy dosyć drobny. Jak już wcześniej wspomniano, HadleyBright i Purfois pochodzili z dobrych angielskich domów, Tom zaś wcześniej zarabiał na życie jako tancmistrz, a wszyscy jego przodkowie byli Żydami. HadleyBright i Purfois szczęśliwie niewiele sobie robili z różnic klasowych i rodowodowych. Wiedząc, że Tom jest zdolniejszy od nich, zwracali się do niego we wszystkich sprawach związanych z magiczną edukacją.

Poza mówieniem mu po imieniu (podczas gdy on nazywał ich „panem Purfois” oraz „panem HadleyemBrightem”) i oczekiwaniem, że będzie zbierał pozostawione przez nich książki, właściwie traktowali go jak równego sobie.

- Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma, kiedy ten łotr, ten potwór niszczy wybitne dzieło pana Strange’a! - oświadczył Henry Purfois. - Panie Murray, proszę dać nam jakieś zajęcie! O nic więcej nam nie chodzi!

- A jeśli będzie się to wiązało z przesyceniem pana Norrella bardzo ostrą szablą, to tym lepiej - dodał William HadleyBright.

- Czy któryś z panów mógłby pojechać do Strange’a i sprowadzić go tutaj? - spytał pan Murray.

- Och, z całą pewnością! HadleyBright jest najodpowiedniejszą osobą do tego typu zleceń! - zapewnił Henry Purfois. - Pod Waterloo był jednym z adiutantów Wellingtona. Mało co lubi bardziej niż cwałowanie.

- Wie pan może, dokąd pojechał pan Strange? - spytał Tom Levy.

- Dwa tygodnie temu był w Genewie - wyjaśnił pan Murray. - Dzisiaj rano otrzymałem od niego list. Niewykluczone, że wciąż tam przebywa. Albo pojechał do Włoch.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Shackleton w peruce zroszonej kroplami deszczu, przypominającymi nieprzeliczone szklane paciorki.

- Wszystko w porządku - oznajmił panu Murrayowi. - Książki wciąż spoczywają w skrzyniach.

- Czy widział je pan na własne oczy?

- Tak, jak najbardziej. Powiedziałbym, że potrzeba niezłej sztuki magicznej, by doprowadzić do zniknięcia dziesięciu tysięcy książek.

- Zazdroszczę panu optymizmu - odezwał się Tom Levy. - Proszę mi wybaczyć, panie Murray, ale słyszałem, że kiedy pan Norrell postawi sobie jakiś cel, pracuje bez wytchnienia, aż go osiągnie. Nie sądzę, żebyśmy mieli wystarczająco dużo czasu, aby czekać na powrót pana Strange’a.

Shackleton wydawał się zaskoczony, że ktoś może z taką pewnością siebie mówić o sprawach związanych z magią.

Pan Murray pospiesznie przedstawił mu trzech uczniów Strange'a.

- Jak pan myśli, ile czasu nam jeszcze zostało? - spytał Toma.

- Dzień, może dwa... Z całą pewnością za mało, by odszukać pana Strange'a i sprowadzić go z powrotem. Moim zdaniem, powinien pan pozwolić nam działać. Wypróbujemy jedno czy dwa zaklęcia przeciwdziałające magii Norrella.

- Czy takie zaklęcia istnieją? - Pan Murray z powątpiewaniem spojrzął na początkujących magów.

- Och, są ich setki! - zapewnił Henry Purfois.

- Czy panowie znają któreś z nich? - ciągnął pan Murray.

- Wiemy, że istnieją - odparł William HadleyBright. - Zapewne potrafilibyśmy wspólnie stworzyć jedno całkiem przyzwoite. Byłoby wspaniale, gdyby pan Strange wrócił z kontynentu, a my moglibyśmy mu powiedzieć, że ocaliliśmy jego książkę! Myślę, że zrobiłby wielkie oczy.

- Może niewidzialne jakmutam i coś tam Pale'a? - zasugerował Henry Purfois. - Wiem, o czym mówisz - przytaknął William HadleyBright. - Prawdziwie wybitna procedura autorstwa doktora Pale'a - poinformował pana Murraya Henry Purfois. - Odwraca zaklęcie i kieruje je przeciwko rzucającemu. W ten sposób znikną książki Norrella lub ich stronicę zmieniają się w puste kartki papieru! W sumie na to zasłużył.

- Nie jestem pewien, czy pan Strange byłby zachwycony, gdyby odkrył po powrocie, że zniszczyliśmy najważniejszą magiczną bibliotekę w Anglii - mruknął Tom. - Zresztą w celu rzucenia Niewidzialnego Odbicia i Ochrony musielibyśmy zbudować kwilifon.

- Co takiego? - zdumiał się pan Murray.

- Kwilifon - powtórzył William HadleyBright. - W opracowaniach doktora Pale'a aż roi się od urządzeń do tworzenia magii. Podejrzewam, że taki instrument przypominałby skrzyżowanie trąbki z widelcem.

- A na jego szczycie znajdowałyby się cztery metalowe kule, które się bez przerwy obracają - dodał Henry Purfois.

- Rozumiem - mruknął pan Murray.

- Skonstruowanie kwilifonu trwałoby jednak zbyt długo - zdecydował Tom. - Proponuję, byśmy skupili się na Profilaktyce de Chepe'a. Można ją szybko wprowadzić w życie i na pewien czas powstrzymać magię Norrella - przynajmniej na tyle, by przekazać wiadomość panu Strange'owi.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do księgarni wszedł zaniedbany jegomość w skórzanym fartuchu. Wyraźnie się zmieszał, kiedy wszyscy obecni skierowali na niego



wzrok. Skłonił się uprzejmie, wręczył Shackletonowi kartkę papieru i pospiesznie wyszedł.

- Co to takiego? - zainteresował się pan Murray.

- Wiadomość z Thames Street. Zajrzano tam do książek, wszystkie strony są puste.

Nie pozostało na nich ani jedno słowo. Przykro mi, szanowny panie, ale *Historia i zastosowanie angielskiej magii* nie istnieje.

William HadleyBright wepchnął ręce do kieszeni i cicho gwizdnął.

Mijały godziny i stawało się jasne, że w obiegu nie pozostała ani jedna książka Strange'a. William HadleyBright i Henry Purfois rwali się do wyzwania pana Norrella na pojedynek, jednakże uświadomiono im, że to podstarzały dżentelmen, który rzadko uprawia ćwiczenia fizyczne i jeszcze nigdy nie widziano go z szablą ani pistoletem w dłoni. W żadnych okolicznościach nie wypadało, aby dwóch młodych mężczyzn w kwiecie wieku (jeden z nich żołnierz) zażądało od niego satysfakcji. HadleyBright oraz Purfois spokojnie przyjęli ten fakt do wiadomości. Purfois mimowolnie rozejrzał się po pokoju, poszukując osoby o powierzchowności zbliżonej do Norrella. Jego wzrok zatrzymał się na Shackletonie.

Inni przyjaciele Strange'a współczuli panu Murrayowi i dawali upust złości. Przybył lord Portishead i powtórzył, co napisał w liście do pana Norrella, zrywając z nim przyjaźń. Ponadto w piśmie do Lascellesa zrezygnował z funkcji redaktora „*Przyjaciół Angielskiej Magii*” i anulował subskrypcję.

- Od tej pory, panowie, uważam się za sympatyka tylko i wyłącznie panów stronnictwa - oświadczył uczniom Strange'a.

Uczniowie Strange'a zapewnili jego lordowską mość, że postąpił słusznie i nigdy nie pożałuje swojej decyzji.

O godzinie siódmej przybył Childermass. Do zatłoczonego pomieszczenia wkroczył z taką pewnością siebie, jakby wchodził do kościoła.

- No to ile pan stracił, panie Murray? - spytał. Wyciągnął notatnik, sięgnął po pióro z biurka pana Murraya i zanurzył je w kałamarzu.

- Proszę odłożyć ten notes, panie Childermass - oznajmił pan Murray. - Nie interesują mnie pańskie pieniądze.

- Czyżby? Niech pan będzie ostrożny, ci ludzie wywierają na pana zgubny wpływ. Niektórzy z nich są młodzi i nie mają obowiązków... - Childermass spojrzał chłodno na trzech uczniów Strange'a oraz obecnych w pokoju kilku oficerów w mundurach -...inni zaś są bogaci, więc sto funtów mniej czy więcej nie stanowi dla nich różnicy. - Skierował wzrok na

lorda Portisheada. - Ale pan, panie Murray, jest człowiekiem interesu i właśnie interes powinien być dla pana sprawą najwyższej wagi.

- Ha! - Pan Murray skrzyżował ręce na piersi i zdrowym okiem popatrzył triumfalnie na Childermassa. - Wydaje się panu, że desperacko potrzebuję pieniędzy. Otóż nie. Przez cały wieczór otrzymywałem propozycje pożyczek od przyjaciół pana Strange'a. Sądzę, że mógłbym rozpocząć zupełnie nową działalność, gdybym tylko zechciał! Proszę przekazać panu Norrellowi wiadomość. Oto ona: w końcu i tak przyjdzie mu zapłacić, lecz wówczas my będziemy stawiali warunki, nie on. Zamierzamy zmusić go do opłacenia kosztów nowego wydania. Zapłaci też za reklamy książki swojego rywala. To sprawi mu większy ból niż cokolwiek innego.

- Och, bez wątpienia! Jeśli do tego kiedykolwiek dojdzie - odrzekł Childermass oschle, odwrócił się ku drzwiom i znieruchomiał, zapatrzony w dywan, jakby zmagając się z myślami. - Coś panu powiem - przemówił w końcu. - Książka nie przepadła z kretesem, chociaż można odnieść takie wrażenie. Radziłem się kart i spytałem ich, czy pozostały jeszcze jakieś egzemplarze. Najwyraźniej wciąż istnieją dwie kopie książki. Jedna jest własnością Strange'a, druga - Norrella.

Przez następny miesiąc w Londynie mówiło się niemal wyłącznie o zdumiewającym czynie pana Norrella, lecz miasto podzieliło się w kwestii tego, czy doszukiwać się winy w przewrotności książki Strange'a, czy też w niegodziwości pana Norrella. Ludzie, którzy kupili egzemplarze, byli rozwścieczeni utratą książek, a pan Norrell nie załagodził problemu, wysyłając służących do domów wszystkich zainteresowanych, by przekazać im po jednej gwinei (koszt książki) wraz z listem wyjaśniającym powody zniknięcia dzieła. Spora grupa ludzi poczuła się wyjątkowo urażona i część z nich niezwłocznie wezwała swych prawników, by wytoczyć proces panu Norrellowi.

We wrześniu ministrowie powrócili z prowincji i jak się nietrudno domyślić - jednym z podstawowych tematów poruszanych podczas ich pierwszego zebrania był wybryk pana Norrella.

- Kiedy zatrudnialiśmy pana Norrella do czynienia magii w naszym imieniu - zaczął jeden z ministrów - nie zamierzaliśmy pozwalać mu, by swymi zaklęciami naruszał spokój obywateli i ich własność. Właściwie szkoda, że nie dysponujemy tym magicznym sądem, którego utworzenie sam wielokrotnie postulował. Jak się nazywa ta instytucja?

- Ława Pięciu Smoków - przypomniał sir Walter Pole.

- Zakładam, że Norrell jest winny jakiegoś przestępstwa przeciwko magii, prawda?

- Och, z całą pewnością! Nie mam jednak bladego pojęcia jakiego. Zapewne wie to John Childermass, lecz mocno wątpię, by nam powiedział.

- To bez znaczenia. W sądach powszechnych toczy się przeciwko Norrellowi kilka postępowań. Jest oskarżony o kradzież.

- Kradzież?! - powtórzył inny minister, nie kryjąc zaskoczenia. - To wyjątkowo wstrząsające, że człowiek, który oddał państwu tak znaczące usługi, jest sądzony za pospolite przestępstwo.

- Czemu? - spytał pierwszy. - Sam jest sobie winien.

- Problem polega na tym - zabrał głos sir Walter - że kiedy przyjdzie pora na jego obronę, powie coś o charakterze angielskiej magii, a nikt poza Strange'em nie jest dość kompetentny, by dyskutować z nim na ten temat. Moim zdaniem powinniśmy uzbroić się w cierpliwość. Zaczekajmy do powrotu Strange'a.

- W związku z czym nasuwa się następne pytanie - wtrącił inny minister. - W Anglii mamy tylko dwóch magów. Jak ich oceniać? Kto potrafi ustalić, który mija się z prawdą?

Ministrowie popatrzyli po sobie bezradnie. Tylko lord Liverpool, premier, nie wyglądał na skonfundowanego.

- Poznamy ich po tym samym, po czym poznamy innych ludzi - ogłosił. - Po owocach ich czynów.

Ministrowie zamilkli, rozmyślając o tym, że owoce obecnych czynów pana Norrella - arogancja, złodziejstwo, zła wola - nie są specjalnie obiecujące.

Ustalono, że minister spraw wewnętrznych porozmawia na osobności z panem Lascellesem i w imieniu premiera oraz wszystkich ministrów poprosi go o przekazanie panu Norrellowi wyrazów głębokiego niezadowolenia z powodu jego wybryku.

Wydawało się, że dyskusja powinna dobiec końca, lecz ministrowie nie potrafili nie podzielić się plotkami. Wszyscy zebrani słyszeli, w jaki sposób lord Portishead odciął się od pana Norrella. Sir Walter opowiedział jednak o tym, jak Childermass, do tej pory uważany za cień swego pana, zdystansował się od niego i przemówił do zebranych przyjaciół Strange'a z perspektywy osoby niezależnej, zapewniając ich, że książka nie została zniszczona. Sir Walter westchnął ciężko.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że pod wieloma względami jest to wyjątkowo zły znak. Norrell zawsze miał kłopoty z oceną wartości ludzi, a teraz opuszczają go najwierniejsi przyjaciele: odszedł Strange, potem John Murray, wreszcie lord Portishead. Jeśli wybuchnie

kłótnia między Childermassem i Norrellem, pozostanie mu tylko Henry Lascelles.

Tamtego wieczoru wszyscy przyjaciele Strange'a zasiedli do pisania pełnych oburzenia listów. Wiadomości docierały do Włoch po dwóch tygodniach, lecz Strange przemieszczał się tak pospiesznie, że mógł minąć nawet miesiąc, nim by go dogoniły.

Przyjaciele Strange'a byli przekonani, że natychmiast po otrzymaniu listów, mag wyruszy z powrotem do Anglii, oburzony i gotów do walki z Norrellem w sądach i na łamach gazet. We wrześniu otrzymali jednak wieści, które kazały im myśleć, że być może będą musieli jeszcze na to poczekać.

Dopóki Strange podróżował do Włoch, dopóty dopisywał mu dobry humor. W jego listach roiło się od pogodnych i błahych spostrzeżeń. Kiedy jednak dotarł na miejsce, jego nastrój się zmienił. Po raz pierwszy od śmierci Arabelli Strange nie miał pracy i nic nie odwracało jego uwagi od rozmyślań na temat samotności wdowca. Nie zachwycały go żadne widoki, a przez kilka tygodni ukojenie znajdował tylko w ciągłych zmianach miejsca pobytu. Na początku września dotarł do Genui, która przypadła mu do gustu nieco bardziej niż inne włoskie miasta, więc zabawił w niej prawie tydzień. W tym czasie do hotelu, w którym się zatrzymał, przybyła pewna angielska rodzina. Strange zawarł znajomość z jej członkami, chociaż wcześniej deklarował sir Walterowi, że podczas zagranicznych wojaży ma zamiar unikać towarzystwa rodaków. Wkrótce do Anglii zaczęły docierać listy pełne pochwał dla manier, bystrości umysłu i uprzejmości rodziny Greysteelów. Pod koniec tygodnia mag pojechał do Bolonii, lecz nie przypadła mu do gustu, więc wrócił do Genui, by pozostać tu z Greysteelami do końca miesiąca, kiedy to zaplanowali wspólny wyjazd do Wenecji.

Oczywiście przyjaciele Strange'a byli bardzo zadowoleni, że natrafił na tak przyjemne towarzystwo, lecz bardziej zaintrygowały ich przewijające się w listach wzmianki na temat córki państwa Greysteelów, osoby młodej i niezamężnej. Strange najwyraźniej bardzo zagustował w jej towarzystwie, a jego przyjaciółom przyszła do głowy ta sama interesująca myśl: co się stanie, jeśli Strange postanowi ponownie się ożenić? Uznali, że ładna i młoda żona szybciej i skuteczniej niż jakiegokolwiek inne lekarstwo uleczy jego duszę, a przede wszystkim oderwie go od tej mrocznej, niepokojącej magii, która tak bardzo go pociągała.

Panu Norrellowi doskwierał nie tylko jeden cierni w postaci Strange'a. W Covent Garden przy Henrietta Street pewien dżentelmen o nazwisku Knight założył szkołę dla magów. Pan Knight nie był praktykującym magiem ani się za takiego nie podawał. W ogłoszeniach oferował młodym dżentelmenom „wszechstronną edukację w dziedzinie magii teoretycznej i historii angielskiej magii, opartą na tych samych zasadach, którymi kierował się nasz wiodący mag, pan Norrell, podczas nauczania swojego wybitnego ucznia, Jonathana

Strange'a”.

Pan Lascelles wystosował do pana Knighta gniewny list, w którym oświadczył, że szkoła pana Knighta żadną miarą nie może być oparta na wspomnianych zasadach, gdyż są one znane wyłącznie panu Norrellowi oraz panu Strange'owi. Zagroził też panu Knightowi oskarżeniem o oszustwo, jeśli natychmiast nie zlikwiduje swojej szkoły.

Pan Knight odpisał uprzejmie i poprosił pana Lascellesa o polubowne rozwiązanie konfliktu. Wyjaśnił, że stosowany przez pana Norrella system edukacji jest dobrze znany i skierował uwagę adresata na stronę czterdziestą siódmą „*Przyjaciół Angielskiej Magii*” z jesieni 1810 roku, gdzie lord Portishead oznajmił, że jedynym sposobem szkolenia nowych magów, zaaprobowanym przez pana Norrella, jest system opracowany przez Francisca SuttonaGrove'a. Pan Knight (który zadeklarował się jako szczerzy admirator pana Norrella) zakupił egzemplarz *De Generibus Artium Magicarum Anglorum* SuttonaGrove'a i uważnie go przestudiował. Ponadto zastanawiał się, czy pan Norrell nie byłby skłonny go zaszczyścić, wyrażając zgodę na przyjęcie tytułu pedagoga dochodzącego, który prowadziłby wykłady, i tak dalej. Pan Knight zamierzał kształcić czterech młodych mężczyzn, lecz został zasypany podaniami o przyjęcie do szkoły, dlatego musiał wynająć jeszcze jeden dom, by pomieścić uczniów, a także zatrudnić dodatkowych nauczycieli. Zachęcony powodzeniem, planował otworzenie następnych szkół w Bath, Chesterze i Newcastle.

Niemal jeszcze gorsze niż szkoły okazały się sklepy. Kilka przybytków w Londynie rozpoczęło sprzedaż magicznych eliksirów miłości, zaczarowanych zwierciadeł i srebrnych mis, wedle zapewnień producentów specjalnie dostosowanych do wywoływania wizji. Pan Norrell robił, co mógł, by powstrzymać handel, i w „*Przyjaciółach Angielskiej Magii*” publikował diatryby wymierzone przeciwko temu procederowi. Ponadto nagabywał (z różnym efektem) redaktorów naczelnych periodyków poświęconych magii, by zamieścili artykuły wyjaśniające, że nigdy nie istniało coś takiego jak zaczarowane zwierciadło, a magowie uprawiający ten rodzaj zaklęć (było ich ledwie kilka rodzajów, pan Norrell zaś nie aprobował żadnego z nich) korzystają z normalnych luster. Mimo to magiczne przedmioty sprzedawały się tak dobrze, że sklepikarze ledwie nadążali z zamawianiem dostaw. Niektórzy doszli nawet do wniosku, że powinni zrezygnować z innych zajęć i skoncentrować się wyłącznie na sprzedaży asortymentu magicznego.

## Rozdział siódmy

### Rodzina Greysteelów październiklistopad 1816

*Campo Santa Maria Zobenigo, Wenecja 16 października 1816*

*Jonathan Strange do sir Waltera Pole'a*

*Opuściliśmy terram firmam w Mestre. Gondole były dwie. Panna Greysteel i jej ciotka miały popłynąć jedną, doktor i ja drugą. Najwyraźniej jednak wystąpiła jakaś niejasność w moim włoskim, gdy tłumaczyłem to gondolieri, a może rozkład kufrów i skrzyń panny Greysteel sugerował inne rozwiązanie, sam nie wiem - w każdym razie wypadki nie potoczyły się zgodnie z planem. Pierwsza gondola wypłynęła na lagunę ze wszystkimi Greysteelami, podczas gdy ja wciąż stałem na brzegu. Doktor Greysteel wychylił głowę i zdążył krzyknąć słowa przeprosin, jak na przyzwoitego człowieka przystało, nim jego siostra - która moim zdaniem odczuwa pewien lęk przed wodą - odciągnęła go od burty. Był to wyjątkowo banalny wypadek, niemniej, nie wiedzieć czemu, wyprowadził mnie z równowagi i przez chwilę walczyłem z niezwykle przygnębiającymi wizjami.*

*Spojrzałem na swoją gondolę. Wiem, wiele słów już padło na temat ponurego wyglądu tego typu jednostek, będących czymś w rodzaju skrzyżowania trumny i łodzi. Mnie jednak przyszła do głowy zupełnie inna myśl - że gondole niesłychanie przypominają pomalowane na czarno, osłonięte ciemnymi zasłonami czarodziejskie skrzynki, znane mi z dzieciństwa, do których magicy z bożej łaski wkładali chustki wieśniaków, monety i puzderka. Bywało, że tego typu akcesoria nigdy nie wracały, nad czym magik oczywiście bardzo ubolewał, lecz „elfy, sir, to niesłychanie frywolne, dokuczliwe stworzenia”. Z kolei wszystkie piastunki oraz kucharki, jakie pamiętam, zawsze miały ciotkę, która знаła kobietę, której syn bliskiego kuzyna trafił do takiej skrzynki i już nigdy potem go nie widziano. Gdy stałem na nabrzeżu w Mestre, przyszła mi do głowy koszmarna myśl, że po dotarciu do Wenecji Greysteelowie otworzą gondolę, która powinna mnie tam dowieźć, i nic nie ujrzą w środku. Ta myśl poruszyła mnie do tego stopnia, że przez kilka minut nie myślałem o niczym innym, a w moich oczach pojawiły się łzy. To chyba dowodzi, że stałem się niezwykle nerwowy. To niedorzeczne, by mężczyzna zaczynał się bać tego, że wkrótce zniknie.*

*Zmierzchało i nasze dwie gondole były czarne jak noc i równie melancholijne. Mimo*

*to niebo przybrało najzimniejszą, najbledszą barwę, jaką można sobie wyobrazić, a morze wiernie odbijało jego kolor. Było całkiem lub prawie całkiem bezwietrznie. Widzieliśmy niezmierną przestrzeń nieruchomego, zimnego światła nad sobą i niezmierną przestrzeń nieruchomego, zimnego światła pod sobą, lecz miasta przed nami nie oświetlały ani blask zmierzchu, ani błyski światła na wodzie. Wenecja wyglądała jak okazała kolekcja cienistych wież oraz pinakli, upstrzonych światełkami i osadzonych na lśniącej wodzie. Kiedy wpłynęliśmy do miasta, woda zaroila się od odpadków: drzazg, źdźbeł słomy, skórek pomarańczy i głąbów kapusty. Spojrzałem w dół i przez chwilę - tylko przez chwilę - widziałem widmową dłoń. Uwierzyłem, że pod brudną wodą znajduje się kobieta, która chce powrócić do światła. Rzecz jasna, była to tylko biała rękawiczka, niemniej obleciał mnie strach. Mimo to nie musisz się o mnie martwić. Nie brakuje mi zajęć, bo pracuję nad drugim tomem Historii i zastosowania... a kiedy nie piszę, spędzam czas z Greysteelami, którzy z pewnością przypadliby Ci do gustu: są pogodni, niezależni i światli. Przyznaję, że jestem nieco podenerwowany brakiem wiadomości na temat przyjęcia pierwszego tomu. Ufam, że osiągnął wielki sukces. Jestem pewien, że po jego przeczytaniu N. padł na ziemię, zdjęty atakiem zazdrości i z pianą na ustach, lecz nie przestaję mieć nadziei, że ktoś do mnie napisze i zrelacjonuje te fakty.*

*Campo Santa Maria Zobenigo, Wenecja 27 października 1816*

*Jonathan Strange do Johna Murraya*

*...od ośmiu osób o tym, co zrobił Norrell. Och, mógłbym dać się ponieść wściekłości. Mógłbym, śmiem twierdzić, zużyć pióro i własne siły na pisywanie tyrady - lecz w jakim celu? Nie zamierzam dłużej poddawać się władzy tego bezczelnego człowieczka. Powrócę do Londynu wczesną wiosną, tak jak planowałem, i wydrukujemy nowe wydanie. Zatrudnimy prawników. Mam przyjaciół, podobnie jak on. Niech powie w sądzie (jeśli starczy mu odwagi), dlaczego uważa, że Anglicy dzieciennieli i nie mogą wiedzieć tego, co dla ich dziadów nie było tajemnicą. A jeśli ośmieli się ponownie użyć magii przeciwko mnie, zastosujemy kontrmagię i definitywnie rozstrzygniemy, kto jest Największym Magiem Epoki. Myślę, drogi Panie, że tym razem powinien Pan wydrukować o wiele więcej egzemplarzy niż poprzednio. Był to jeden z najbardziej nagannych czynów Norrella i jestem pewien, że ludzie będą chcieli zobaczyć książkę, która skłoniła go do takiego zachowania. Na marginesie: kiedy będzie Pan drukował nowe wydanie, wprowadzimy do książki poprawki, gdyż dostrzegłem w niej kilka potwornych błędów. Rozdziały szósty i czterdziesty drugi są szczególnie fatalne...*

*Harley Street, Londyn i października 1816*

*Sir Walter Pole do Jonathana Strange'a*

*...księgarz na St Paul's Churchyard, Titus Watkins, wydrukował niesłychanie bzdurną książkę, którą sprzedaje jako zaginioną Historię i zastosowanie angielskiej magii Strange'a. Lord Portishead powiada, że jej część przepisano z Absaloma, a reszta to zwykłe brednie. Portishead zastanawia się, co uznasz za bardziej obraźliwe: fragmenty z Absaloma czy brednie. Jako przyzwoity człowiek Portishead podkreśla fałsz tej pozycji, gdziekolwiek trafi, niemniej spora grupa ludzi została już oszukana, a Watkins z pewnością nieźle zarobił. Cieszę się, że tak bardzo lubisz pannę Greysteel...*

*Campo Santa Maria Zobenigo, Wenecja 16 listopada 1816*

*Jonathan Strange do Johna Murraya*

*Drogi Panie Murray, Chyba będzie Pan zadowolony, słysząc, że ze zniszczenia Historii i zastosowania angielskiej magii płynie choć trochę korzyści: zakończyłem spór z lordem Byronem. Jego lordowska mość nie ma pojęcia o głębokich kontrowersjach wokół angielskiej magii i, prawdę mówiąc, nic go one nie obchodzą. Żywi jednak nieopisany szacunek wobec książek. Informuje mnie, że stale ma się na baczności, by pańskie przesadnie ostrożne pióro, drogi Panie, nie zmieniło co bardziej zaskakujących słów jego poematów na godniejsze dżentelmena. Gdy usłyszał, że cała książka zniknęła za sprawą pokątnej magii, uprawianej przez wroga autora, wpadł w nieopisaną złość. Przesłał mi długi list, w którym obrzucił Norrella najgorszymi obelgami. Ze wszystkich listów, które otrzymałem przy tej smutnej okazji, ten jest moim ulubionym. Żaden żyjący Anglik nie może się równać z jego lordowska mością pod względem doboru obraźliwych słów. Byron przybył do Wenecji mniej więcej tydzień temu i spotkaliśmy się u Floriana. Przyznaję, że byłem nieco niespokojny, gdyż obawiałem się tej bezczelnej młodej osoby, pani Clairmont, lecz szczęśliwie nigdzie jej nie dostrzegłem. Najwyraźniej odprawił ją jakiś czas temu. Nasze nowe przyjacielskie relacje zostały przypieczętowane odkryciem wspólnego zamiłowania do bilardu: kiedy ja gram, myślę o magii, a kiedy on gra, układa wiersze...*

Promienie słońca, zimne i czyste niczym brzęknięcie uderzonego nożem delikatnego



kieliszka, padały na mury kościoła Santa Maria Formosa. W tym świetle świątynia była biała jak muszle albo kości, a cienie na bruku błękitne jak niebo.

Drzwi kościoła otworzyły się i na campo wyszła gromadka ludzi. Damy i dżentelmeni byli gośćmi w Wenecji - zwiedzali kościoły, oglądali ołtarze i interesujące obiekty. Teraz, gdy mieli to już za sobą, naszła ich ochota na rozmowę, więc głośną pogawędką wypełnili ciszę tego miejsca, zakłócaną jedynie chłupotem fal. Campo Santa Maria Formosa bardzo przypadło im do gustu. Fasady domów uznali za wspaniałe i nie mogli się ich nachwalić.

Wszystkie te budynki, most oraz kościół chyliły się ku upadkowi, ale to najwyraźniej oczarowało gości. Przyjechali z Anglii, więc dla nich upadek innych narodów był rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem. Należeli do rasy obdarzonej taką aprobatą dla własnych talentów (i powątpiewającej w talenty wszystkich innych), że wcale nie zdumiałoby ich, gdyby weneccjanie zupełnie nie zdawali sobie sprawy z uroków własnego miasta. Dopiero musieli tu przybyć oni, Anglicy, by uświadomić im, że jest piękne.

Zakończywszy swe zachwyty, jedna dama zaczęła opowiadać drugiej o pogodzie:

- Wiesz, moja droga, to bardzo dziwne, ale w kościele, kiedy ty i pan Strange spoglądaliście na obrazy, wytknęłam głowę za drzwi i zdało mi się, że pada. Bardzo się przestraszyłam, że zmokniesz.

- Nie, ciociu. Widzisz, kamienie są całkiem suche. Nie ma na nich kropli deszczu.

- No cóż, moja droga, mam nadzieję, że ten wiatr nie będzie ci przeszkadzał. Nieco gwizdże w uszach. Zawsze możemy poprosić pana Strange'a i papę, żeby przyspieszyli kroku.

- Dziękuję, ciociu, ale czuję się doskonale. Odpowiada mi ten wietrzyk i zapach morza. Oczyszcza umysł i zmysły. Ale może tobie przeszkadza, ciociu?

- Nie, moja droga. Nie zwracam uwagi na takie rzeczy, jestem bardzo wytrzymała. Myślę wyłącznie o tobie.

- Wiem, ciociu - odparła młoda dama.

Była zapewne świadoma, że blask słońca i wietrzyk, które tak korzystnie wpływają na urodę Wenecji, dzięki którym błękitnieją kanały, a marmury błyszczą tajemniczo, są równie łaskawe dla niej. Nic tak nie podkreślało niemal przezroczystej cery panny Greysteel jak gra światłocienia. Nic tak nie pasowało do jej białej muślinowej sukni jak bryza, która ją unosiła.

- Ach, papa pokazuje panu Strange'owi coś nowego - oświadczyła ciotka. - Floro, moja droga, może chciałabyś zobaczyć...

- Dość już widziałam. Ty idź, ciociu.

Ciotka zatem pospieszyła na drugą stronę campo, panna Greysteel zaś dostojnie

weszła na biały mostek obok kościoła, z irytacją stukając czubkiem białej parasolki o kamienie i mamrocząc pod nosem:

- Dość widziałam. O, rzeczywiście, dość widziałam!

Powtórzenie tego tajemniczego zdania chyba nie poprawiło jej nastroju, a nawet przeciwnie, wpędziło ją w większą melancholię. Jeszcze częściej wzdychała.

- Bardzo pani dziś milcząca - odezwał się nagle Strange.

Drgnęła, poruszona. Nie miała pojęcia, że stał tak blisko.

- Tak? Nie zdawałam sobie z tego sprawy. - Skupiła się na widoku i przez chwilę nie odzywała się ani słowem.

Strange oparł się o barierkę, skrzyżował ręce na piersiach i bardzo uważnie przyjrzał się rozmówczyni.

- Milcząca - powtórzył - i chyba trochę smutna. Dlatego właśnie muszę z panią rozmawiać.

To ostatnie zdanie sprawiło, że uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Musi pan?

Ale uśmiech i te dwa słowa najwyraźniej ją przygnębiły, gdyż westchnęła i znów odwróciła wzrok.

- W rzeczy samej. Kiedy ja popadam w melancholię, opowiada mi pani radosne rzeczy i poprawia humor, więc muszę się odwdziżyć. Na tym polega przyjaźń.

- Otwartość i uczciwość, drogi panie. Oto podstawy przyjaźni, przynajmniej moim zdaniem.

- Ach. Uważa mnie pani za człowieka skrytego. Widzę to po pani minie. Może ma pani rację, ale ja... To znaczy... Nie, rzeczywiście ma pani rację. Zapewne moja profesja nie zachęca do...

- Wcale nie miałam na myśli pana profesji - przerwała mu gwałtownie. - Wszystkie zawody wymagają pewnej dyskrecji. To całkiem zrozumiałe.

- Wobec tego nie pojmuję.

- Nieważne. Dołączmy do cioci i papy.

- Nie, chwileczkę, panno Greysteel, tak nie można. Kto, jeśli nie pani, wskaże mi, co powinienem zmienić, jeśli postępuję niewłaściwie? Proszę powiedzieć - niby kogo oszukuję?

Panna Greysteel przez chwilę milczała, a potem odparła z niechęcią:

- Może przyjaciółkę, która odwiedziła pana wczoraj wieczorem?

- Przyjaciółkę?! Wczoraj wieczorem?! Kogo ma pani na myśli?

Panna Greysteel wyglądała na mocno strapioną.

- Młodą kobietę w gondoli, która tak bardzo chciała rozmawiać z panem i przez pół godziny nie dopuszczała do pana nikogo innego.

- Ach! - Strange uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nie, wyciągnęła pani niewłaściwe wnioski. To nie jest moja przyjaciółka, tylko lorda Byrona.

- Ach...! - Panna Greysteel poczerwieniała. - Wydawała się raczej wzburzona.

- Nie zachwyca jej postępowanie jego lordowskiej mości. - Strange wzruszył ramionami. - Nikogo nie zachwyca. Chciała się dowiedzieć, czy mógłbym jakoś wpłynąć na lorda. Z trudem usiłowałem jej wytłumaczyć, że w całej Anglii nie ma i zapewne nigdy nie było wystarczająco silnego zaklęcia, by tego dokonać.

- Uraziłam pana.

- Skądże znowu. Wierzę, że teraz lepiej się rozumiemy, a to niezbędne w przyjaźni. Uściśnie mi pani dłoń?

- Z największą przyjemnością! - zawołała.

- Floro?! Proszę pana?! - krzyknął doktor Greysteel, zmierzając ku nim. - Co to takiego?

Panna Greysteel była nieco zmieszana. Bardzo jej zależało, by ciotka i ojciec mieli dobrą opinię o panu Strangeu. Nie chciała, by wiedzieli, że przed chwilą oskarżyła go o coś zdrożnego. Udała zatem, że nie słyszy pytania ojca, i zaczęła perorować o obrazach w Scuola di San Giorgio degli Schiavone, które bardzo pragnie obejrzeć.

- To niedaleko. Moglibyśmy iść tam teraz. Będzie nam pan towarzyszył, mam nadzieję? - zwróciła się do Strange'a.

Uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

- Muszę popracować.- Książka? - zainteresował się doktor Greysteel.- Nie dzisiaj. Pracuję nad zaklęciem, które pomoże mi sprowadzić elfa, by został moim asystentem. Nie zliczę, ile razy próbowałem i na ile sposobów. Bez powodzenia, naturalnie. Taki to już los maga nowoczesnego! Zaklęcia, które niegdyś były znane wszystkim trzeciorzędnym czarnoksiężnikom w Anglii, zostały całkiem zapomniane. Robimy wszystko, by je odzyskać. Martin Pale miał dwudziestu ośmiu elfów w służbie. Ja byłbym szczęśliwy, mając jednego.

- Elfy! - wykrzyknęła ciocia Greysteel. - Wszyscy mówią, że to niegodziwe stworzenia. Jest pan pewien, że pragnie się obarczyć tak kłopotliwym towarzyszem?

- Droga ciociu! - przerwała jej panna Greysteel. - Pan Strange wie, co robi.

Ciocia Greysteel była jednak bardzo przejęta i by zilustrować swój punkt widzenia, przytoczyła opowieść o rzece płynącej przez wioskę w hrabstwie Derby, gdzie dorastała wraz z bratem. Rzeka dawno, dawno temu została zaklęta przez elfy i w rezultacie skurczyła się do

rozmiarów strumyka, a choć zdarzyło się to przed wiekami, mieszkańcy okolicy wciąż o tym pamiętali. Nadal mówili o warsztatach, które mogliby tu zbudować, zakładach, które by tu prosperowały, gdyby tylko rzeka dostarczała więcej energii.

Strange uprzejmie wysłuchał tej opowieści, a kiedy ciocia Greysteel skończyła, powiedział:

- Och, bez wątpienia! Elfy są z natury niegodziwe i bardzo trudno je kontrolować. Gdybym odniósł sukces, z pewnością ostrożnie dobrałbym towarzysza bądź towarzyszy. - Zerknął na pannę Greysteel. - Jednakże ich moc i wiedza są tak wielkie, że mag nie może odrzucić ich pomocy, chyba że nazywa się Gilbert Norrell. Każdy elf, który kiedykolwiek pojawił się na świecie, miał więcej magii w głowie, dłoniach i sercu, niż mógłby pomieścić najobszerniejszy zbiór ksiąg magicznych.

Doktor Greysteel i jego siostra życzyli Strange'owi powodzenia w czarowaniu, a panna Greysteel przypomniała mu, że obiecał jej, iż wkrótce obejrzą fortepian, który podobno był do wypożyczenia u antykwariusza mieszkającego nieopodal Campo San Angelo. Następnie Greysteelowie poszli zakosztować jeszcze trochę rozrywek, Strange zaś wrócił do swego mieszkania w pobliżu Santa Maria Zobenigo.

Większość angielskich dżentelmenów przyjeżdżających do Włoch pisała poematy lub sporządzała opisy wycieczek. Tubylcy wynajmujący im mieszkania przystosowywali pokoje o takich właśnie zajęć. Gospodarz Strange'a na przykład przygotował dla najemców zacieniony pokoik na poddaszu swego domu. Pomieszczenie wyposażono w stary stół, któremu za nogi służyły cztery rzeźbione gryfy. Były tam również fotel kapitański, pomalowany kredens, jaki można znaleźć w kościele, i drewniana figura na kolumnie, wysoka niemal na metr. Przedstawiała uśmiechniętego mężczyznę, który trzymał w dłoniach coś okrągłego i czerwonego - może jabłko, może granat, a może czerwoną piłkę. Trudno było zgadnąć, skąd pochodził ten pan: był trochę zbyt radosny na świętego z kościoła, ale nie dość komiczny jak na ozdobę kawiarni.

Strange odkrył, że kredens jest wilgotny i pełen pleśni, więc zostawił go w spokoju i porozkładał książki i notatki w stosikach po całym pokoju. Na swój sposób zaprzyjaźnił się z drewnianą figurą i podczas pracy wciąż wygłaszał rozmaite uwagi pod jej adresem, na przykład: „Co o tym sądzisz?”, „Doncaster czy Belasis? Co proponujesz?” albo: „No i? Widzisz go? Bo ja nie”. I raz, tonem największej irytacji: „Och, bidzie cicho, dobrze?”

Strange wziął do ręki kartkę, na której napisał zaklęcie, i zaczął poruszać ustami, recytując magiczne słowa. Następnie rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się tu kogoś ujrzeć. Nikogo nie zobaczył. Westchnął, zmiął kartkę w kulkę i cisnął nią w drewnianą

statuetkę. Potem wziął kolejną kartkę, sporządził notatki, zerknął do książki, podniósł pierwszą kartkę z podłogi, wygładził ją, wpatrywał się w nią przez dwa kwadransy, od czasu do czasu wyrywając sobie włosy z głowy, po czym zmiął ją ponownie i wyrzucił przez okno.

Rozległo się bicie dzwonu. Był to melancholijny dźwięk, nasuwający na myśl wymarłe miejsca, ciemne niebo i pustkę. Bez wątplenia przyszło to do głowy również Strange'owi, gdyż się zdekoncentrował, oderwał od zajęć i wyjrzał przez okno, jakby zapragnął sprawdzić, czy Wenecja nie zmieniła się nagle w pełne ruiny, milczące pustkowie. Jak zwykle ujrzał ruch i gwar; promienie słońca padały na błękitną wodę. Campo pełne było ludzi - weneckie damy szły do Santa Maria Zobenigo, austriaccy żołnierze kroczyli ramię w ramię, przyglądając się otoczeniu, kupcy usiłowali sprzedać im towar, urwisy biły się i żebrały, a koty, jak to koty, chodziły swymi ścieżkami. Strange wrócił do pracy. Zdjął płaszcz i podwinął rękawy koszuli. Potem wyszedł z pokoju i pojawił się ponownie z nożem i niedużą białą miską. Nożem naciął skórę i popuścił kilka kropli krwi z ręki. Postawił misę na stole i zerknął do niej, żeby sprawdzić, czy wystarczy. Utrata krwi jednak najwyraźniej osłabiła go bardziej, niż się spodziewał, bo nagle zakręciło mu się w głowie, kopnął stół, a misa zleciała na podłogę. Zaklął po włosku (wyborny język do przeklinania) i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś do starcia krwi.

Na blacie leżał zwinięty biały materiał. Była to koszula nocna, którą Arabella uszyła na początku małżeństwa. Nie patrząc na tkaninę, Strange wyciągnął po nią rękę. Niemal złapał koszulę, kiedy nagle z ciemności wyłonił się Stephen Black i wręczył mu inną szmatkę.

Potem skłonił się lekko, jak to ma w zwyczaju dobrze wyszkolony służący. Strange wziął szmatę i (byle jak) wytarł krew, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z obecności Stephena w pokoju. Kamerdyner podniósł koszulę, strzepnął ją, starannie poskładał i położył na stolku w kącie.

Strange rzucił się na krzesło, oparł skaleczoną rękę na skraju stołu, znowu zaklął i ukrył twarz w dłoniach.

- Co on wyprawia, na litość boską? - spytał Stephen Black szeptem.

- Och, próbuje mnie wezwać! - oświadczył dżentelmen o włosach jak puch ostu. - Chce mnie wypytywać o magię! Nie musisz jednak szeptać, drogi Stephenie. On nie może cię widzieć ani słyszeć. Ci angielscy magowie zachowują się idiotycznie. Wszystko robią nie tak, jak należy. Wierz mi, Stephenie, przyglądanie się, jak ten osobnik usiłuje czarować, przypomina patrzenie na człowieka, który siada do obiadu we fraku nałożonym tyłem na przód, z przepaską na oczach i w wiadrze na głowie! Czy kiedykolwiek widziałeś, żeby wycyzniał tak bezsensowne sztuczki? Upuszczał sobie krwi albo pisał jakieś słowa na

kartkach? Kiedy chcę coś zrobić, po prostu przemawiam do powietrza, kamieni, słońca, morza albo do czegokolwiek i grzecznie proszę o pomoc. Ponieważ zawarłem sojusze z tymi potężnymi duchami wiele tysięcy lat temu, z radością spełniają moje życzenia.

- Rozumiem - powiedział Stephen. - Ale choć ten mag jest ignorantem, odniósł jednak sukces. Bo przecież pan tu jest, prawda?

- No tak - przytaknął poirytowany dżentelmen. - Co nie zmienia faktu, że magia, którą mnie tu sprowadził, jest niezręczna i nieelegancka. Poza tym, co mu z tego przyszło? Nic. Postanowiłem mu się nie pokazywać, a on nie zna zaklęć, które mogłyby mnie do tego zmusić. Stephenie! Szybko! Przewróć stronicę tej księgi. W pokoju nie ma przeciagu, więc to go zdumieje ponad miarę. Ha! Patrz, jak się gapi! Podejrzewa, że tu jesteśmy, ale nas nie widzi. Ha, ha! Ale się rozzłościł! Uszczypnij go w szyję! Pomyśli, że to komar!

## Rozdział ósmy

### Stara dama z Cannaregio koniec listopada 1816

Niedługo przed wyjazdem z Anglii doktor Greysteel otrzymał list od przyjaciela ze Szkocji z prośbą, by doktor odwiedził pewną damę mieszkającą w Wenecji. Miał to być miłosierny uczynek, gdyż dama ta, niegdyś majętna, obecnie klepała biedę. Doktor Greysteel pamiętał niejasno, że była mieszanego pochodzenia - mogła być pół Szkotką, pół Hiszpanką bądź pół Irlandką, pół Hebrajką.

Doktor miał szczerzy zamiar ją odwiedzić, ale przez ciągłe zmiany gospod i powozów, nagłe wyprowadzki i modyfikacje planów po przybyciu do Wenecji odkrył, że nie może znaleźć listu, nie pamiętał też zbyt dobrze jego treści. Nigdzie nie zapisał nazwiska damy - miał zaledwie świstek papieru ze wskazówkami, gdzie ją znaleźć.

Ciocia Greysteel oświadczyła, że w takich okolicznościach najlepiej wysłać damie list z informacją o planowanej wizycie, i dodała, że przez to, iż nie znają jej nazwiska, bez wątplenia dama uzna ich za żalonych, niegodnych zaufania ludzi. Doktor Greysteel był skonfundowany, pociągał nosem i wiercił się niespokojnie, ale nie miał lepszego pomysłu.

Napisałi zatem list i oddali go swej gospodyni, by zaniósła go starej damie.

Potem zdarzyło się coś dziwnego, gdyż gospodyni obejrzała wskazówki, zmarszczyła

brwi i z powodów, których doktor Greysteel nie rozumiał, wysłała list do swego szwagra na wyspie Giudecca.

Kilka dni później ów szwagier (elegancki niewysoki prawnik) odwiedził doktora Greysteela. Poinformował go, że wysłał list, tak jak doktor sobie tego życzył, i dodał, że doktor Greysteel powinien wiedzieć, iż dama mieszka w części miasta zwanej Cannaregio, w getcie dla Żydów. List został przekazany szacownemu żydowskiemu dżentelmenowi.

Odpowiedź nie nadeszła. Jak doktor Greysteel zamierzał postąpić? Niewysoki wenecki prawnik zadeklarował pomoc.

Późnym popołudniem panna Greysteel, ciocia Greysteel, doktor Greysteel i prawnik (zwał się signor Tosetti) płynęli gondolą przez miasto, a dokładnie przez część miasta zwaną Świętym Markiem, gdzie widzieli ludzi przygotowujących się do nocnych rozrywek; płynęli obok nabrzeża Santa Maria Zobenigo, gdzie panna Greysteel popatrzyła na oświetlone świeczkami okno, za którym mógł przebywać Jonathan Strange; płynęli przez Rialto, gdzie ciocia Greysteel zaczęła cmokać, wzdychać i bardzo żałować, że tak mało dzieci ma buty na nóżkach.

Wysiedli z gondoli przy Ghetto Nuovo. Choć wszystkie budynki w Wenecji są dziwne i stare, te w getcie wydawały się szczególnie niezwykle, jakby niecodziennosc i archaicznosc były towarami, którymi obracali ci przedsiębiorczy ludzie i z których wznoszono tu domy.

Choć wszystkie ulice w Wenecji są pełne melancholii, melancholia tej ulicy była inna, jakby

Żydzi i goje smucili się na różne sposoby. Domy wyglądały bardzo ubogo, a drzwi, do których zapukał signor Tosetti, były tak czarne i skromne, że nadawałyby się na drzwi angielskiego zboru kwaków.

Otworzył im służący i wprowadził do ciemnego pomieszczenia wyłożonego wyschniętym, chyba bardzo starym drewnem, które pachniało morzem.

Przez lekko uchylone drzwi doktor Greysteel dostrzegł w drugim pokoju stare, zniszczone książki w oprawach z cienkiej skóry, srebrne lichtarze, które miały więcej ramion niż lichtarze angielskie, i tajemnicze skrzynie z polerowanego drewna. Doktor Greysteel uznał, że to przedmioty związane z żydowską religią. Na ścianie wisiała ubrana w kobiece szaty lalka lub marionetka rozmiarów człowieka, z wielkimi dłońmi i stopami oraz głową opuszczoną na piersi, tak że nie było widać jej twarzy.

Służący poszedł porozmawiać ze swym panem. Doktor Greysteel wyszeptał do siostry, że służba wygląda całkiem przyzwoicie. Tak, przytaknęła ciocia Greysteel, tyle że służący nie miał fraka. Dodała, że męska służba często paraduje w samej koszuli, a jeśli

panem domu jest samotny dżentelmen, nic się nie poradzi na ten fatalny nawyk. Ciocia Greysteel nie miała pojęcia dlaczego. Przypuszczała, że żydowski dżentelmen jest wdowcem.

- Och! - Doktor Greysteel zajrzał przez uchylone drzwi. - Przeszkodził mi w posiłku.

Szacowny żydowski dżentelmen miał na sobie długi szarawy frak. Jego oblicze zdobiła krzaczasta siwiejąca broda, na głowie miał czarną jarmułkę. Siedział przy długim stole nakrytym nieskazitelnie białym obrusem, którego okazały fragment zatknął sobie za kołnierzyk czarnej szaty, by mu posłużył za serwetę.

Ciocia Greysteel była oburzona, że doktor Greysteel podgląda przez szparę w drzwiach, i usiłowała przywołać brata do porządku, dżgając go parasolką. Ale doktor Greysteel przyjechał do Włoch, by zobaczyć tu wszystko, co się da, i nie zamierzał robić wyjątku dla żydowskiego dżentelmena w jego prywatnych apartamentach.

Akurat ten żydowski dżentelmen najwyraźniej postanowił nie przerywać posiłku dla nie znanej sobie angielskiej rodziny: chyba tłumaczył służącemu, co ma odpowiedzieć gościom.

Służący wrócił i powiedział coś do signora Tosetti. Gdy skończył, signor Tosetti pokłonił się nisko cioci Greysteel i oznajmił, że nazwisko poszukiwanej damy brzmi Delgado i że mieszka ona na poddaszu. Signor Tosetti był nieco zirytowany, że żaden ze służących żydowskiego dżentelmena nie zechciał poprowadzić go na miejsce i zaanonsować jego przybycia. Wobec tego oświadczył, że jako śmiali ryzykanci bez wątpienia sami znajdą drogę na ostatnie piętro.

Doktor Greysteel i signor Tosetti wzięli po świecy. Klatka schodowa tonęła w mroku. Minęli wiele drzwi, które mimo okazałych rozmiarów prezentowały się dosyć dziwnie. Aby pomieścić tylu lokatorów, w getcie wznoszono domy wysokie i wielopiętrowe, w związku z czym pomieszczenia miały stosunkowo niskie sufity. Początkowo słyszeli tylko rozmowy, ale z jednego pokoju dochodził smutny męski śpiew w nie znanym im języku. Potem stanęli przed otwartymi drzwiami, za którymi rozciągała się tylko ciemność, a z niej wiał zimny, nieświeży przeciąg. Ostatnie drzwi były zamknięte. Zapukali, lecz nikt nie otworzył. Zakrzyknęli, że przyszli w odwiedziny do pani Delgado, mimo to wciąż nie było odpowiedzi. Ponieważ ciocia Greysteel oświadczyła, że byłoby niemądrze rezygnować na tym etapie, popchnęli drzwi i weszli do środka.

Pokój, niewiele wygodniejszy od mansardy, świadczył o skrajnym ubóstwie lokatora. Wszystko było połamane, obdrapane lub w strzępach. Każdy kolor w pomieszczeniu spłowił bądź ściemniał albo zrobił, co w jego mocy, by zszarzeć. W jednym otwartym okienku



świecił księżyc - zaskakujące, że zniżył się do tego, by pokazać się w tym brudnym pokoiku. Nie to jednak zaniepokoiło doktora Greysteela, nie to sprawiło, że zaczął szarpać krawat, na przemian czerwieniał i bladł, z trudem łapał powietrze. Jeśli istniało coś, czego doktor Greysteel naprawdę nie cierpiał, były to koty - a w tym pokoju przebywało mnóstwo kotów.

Pomiędzy nimi, na zakurzonym drewnianym krześle, siedziała bardzo szczupła osoba. Na swoje szczęście Greysteelowie byli śmiałymi ryzykantami (jak twierdził signor Tosetti), gdyż inaczej widok pani Delgado zbyt by ich zszokował. Choć dama była wyprostowana - można by nawet powiedzieć, że gotowa do ataku, jakby na coś czekała - przez zniekształcenia ciała charakterystyczne dla osób w bardzo podeszłym wieku traciła podobieństwo do ludzkiej istoty i zaczynała przypominać zwierzę. Na podołku złożyła ręce obficie upstrzone brązowymi plamami. Miała białą, niemal przezroczystą skórę, delikatną i pomarszczoną jak pajęczyna, pełną niebieskich żyłek.

Nie wstała, by ich powitać, nie uczyniła żadnego znaku, który wskazywałby, że w ogóle widzi gości. Być może ich nie usłyszała, bo chociaż w pokoju panowała cisza, cisza pół setki kotów jest bardzo szczególna, niczym pięćdziesiąt osobnych cisz, jedna na drugiej.

I tak Greysteelowie i signor Tosetti, ludzie praktyczni, rozsiedli się w okropnym pokoiku, a ciocia Greysteel z miłym uśmiechem i jak zawsze skora do uszczęśliwiania innych postanowiła porozmawiać ze starą damą.

- Mam nadzieję, droga pani Delgado, że wybaczy nam pani to najście, ale bratanica i ja chcieliśmy panią odwiedzić. - Ciocia Greysteel umilkła na wypadek, gdyby dama zapragnęła to skomentować, staruszka jednak milczała. - Ależ ma tu pani powietrze! Moja droga przyjaciółka, panna Whilesmith, mieszka w pokoiku na górze domu na Queen Square w Bath, w pokoiku takim jak ten, droga pani, i twierdzi, że latem nie zamieniłaby go na najlepszy dom w mieście. Ma wiatr wtedy, gdy nikt inny nie może się nim cieszyć, i jest jej przyjemnie chłodno, podczas gdy bogacze gotują się w swoich eleganckich apartamentach. Do tego ma wszystko wysprzątane i pod ręką. Narzeka jedynie, że dziewczyna z sąsiedniego mieszkania ciągle stawia na schodach gorące czajniki, co jest bardzo nieprzyjemne, kiedy się na nie nadeptnie. Czy bardzo pani niewygodnie na klatce schodowej, droga pani?

Zapadła cisza. Czas mijał, a wypełniały go jedynie oddechy pięćdziesięciu kotów.

Doktor Greysteel ocierał spocone czoło chustką i wiercił się niespokojnie.

- Przybyliśmy tu, proszę pani - zaczął - na gorącą prośbę pana Johna McKeara z Aberdeenshire. Poleca się pani pamięci. Ma nadzieję, że pozostaje pani w dobrym zdrowiu i życzy pani pomyślności.

Doktor Greysteel mówił głośniej niż zazwyczaj, gdyż podejrzewał, że starsza pani jest głucha. Jego przemowa jednak zdołała jedynie zaniepokoić koty. Większość z nich zaczęła krążyć po pokoju, ocierając się o siebie i posyłając iskry w powietrze. Czarny kot skoczył skądś na oparcie krzesła doktora Greysteela i zaczął na nim spacerować jak po linie.

Doktor Greysteel przez chwilę dochodził do siebie, po czym rzekł:

- Czy możemy powiadomić pana McKeana o pani sytuacji?

Stara dama nie odpowiedziała.

Panna Greysteel postanowiła zabrać głos.

- Cieszę się, że nie brak pani dobrych przyjaciół - powiedziała. - Na pewno to wielka pociecha. Ta śliczna miodowa kulka u pani stóp - co za eleganckie stworzonko! I tak wytwornie myje sobie pyszczek! Jak ma na imię?

Stara dama uparcie milczała.

Ponaglany spojrzeniem doktora Greysteela niewysoki wenecki prawnik zaczął powtarzać po włosku to, co zostało powiedziane. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz stara pani przestała patrzeć na nich i wbiła wzrok w wielkiego szarego kota, a ten z kolei patrzył na białego kota, który z kolei patrzył na księżyc.

- Proszę jej powiedzieć, że przyniosłem pieniądze - polecił doktor Greysteel prawnikowi. - Proszę jej powiedzieć, że to prezent od Johna McKeana. Proszę jej powiedzieć, że nie powinna mi dziękować... - Doktor Greysteel energicznie pomachał ręką, jakby eputacja człowieka znanego z hojności i dobroczynności była dokuczliwa niczym komar i w ten sposób się od niej opędzał.

- Panie Tosetti, nie czuje się pan dobrze - zauważyła ciocia Greysteel. - Jest pan błady. Napije się pan wody? Na pewno pani Delgado poczęstuje pana szklanką wody.

- Nie, madamina Greysteel, nie jestem chory. Tylko... - Signor Tosetti rozejrzył się po pokoju, by znaleźć odpowiednie słowo -...złęczniony.

- Złęczniony? - wyszeptał doktor Greysteel. - Dlaczego? Czego się pan boi?

- Ach, signor, to straszne miejsce! - odparł Włoch szeptem, a jego przerażony wzrok powędrował najpierw do jednego z kotów, który lizał łapę, by wymyć nią pysk, a potem do starej damy, jakby się spodziewał, że i ona uczyni to samo.

Panna Greysteel wyszeptała, że pragnąc okazać troskę pani Delgado, przyszli tu w zbyt licznym gronie i zbyt nagle. Najwyraźniej staruszka od wielu lat nie miała gości. Czy to dziwne, że jej zmysły chwilowo pobłądziły? Przeszła ciężką próbę!

- Och, Floro! - westchnęła ciocia Greysteel. - Pomyśl tylko! Całe lata bez żadnego towarzystwa!

Szeptanie w tak małym pokoju, podczas gdy starą damę dzielił najwyżej metr od każdego z nich, wydało się doktorowi Greysteelowi idiotyczne. Nie wiedząc, co robić, zirytował się na swych towarzyszy, tak więc jego siostra i córka uznały, że najlepiej będzie już iść.

Ciocia Greysteel długo żegnała się ze starą damą i oznajmiła jej, że powrócą, gdy tylko poczuje się lepiej, czyli wkrótce, jak miała nadzieję.

Mijając próg, odwrócili głowy. W tym samym momencie na parapecie pojawił się nowy kot z czymś sztywnym i kolczastym w pysku, co bardzo przypominało martwego ptaka. Staruszka pisnęła radośnie i ze zdumiewającą energią zeskoczyła z fotela. Był to najdziwniejszy dźwięk na świecie i w ogóle nie przypominał ludzkiej mowy. Na to signor Tosetti krzyknął ze strachem i zatrzasnął za sobą drzwi, więc nie zobaczyli, co stara dama zrobiła potem.

## **Rozdział dziewiąty**

### **Szara, zdechła myszka koniec listopada 1816**

Następnego dnia w pomieszczeniu, gdzie wenecka melancholia i wenecki przepych mieszały się w wielce romantyczny i stosowny sposób, Greysteelowie i Strange zasiedli do kolacji. Podłoga była popękana, marmur zniszczony, wszystkie kolory przypominały wenecką zimę. Głowa cioci Greysteel w schludnym białym czepeczku kontrastowała z wielkimi czarnymi drzwiami za nią, zwieńczonymi rzeźbieniami i przypominającymi nagrobek pogrążony w mroku. Na gipsowych ścianach widniały wspomnienia po freskach namalowanych widmowymi kolorami, a wszystkie upamiętniały jakąś wenecką rodzinę, której ostatni potomek utonął dawno temu. Obecni właściciele domu byli biedni jak myszy kościelne i od lat nie przeprowadzali tu remontu. Padało na zewnątrz i - co było o wiele bardziej zdumiewające - wewnątrz. W pokoju słychać było nieprzyjemny dźwięk towarzyszący swobodnemu skapywaniu na podłogę i meble dużych ilości wody.

Greysteelowie jednak nie dopuściliby do tego, by taka błaźnista popsuła im humor i pyszną kolację. Rozproszyli pogrzebowe mroki blaskiem świec, a kapanie wody zamaskowali śmiechem i rozmowami. Ogólnie biorąc, swoją część pokoju zdominowali radosną

angielskością.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Strange. - Kto się zajmuje tą staruszką?

- Żydowski dżentelmen, bardzo miłosierny człowiek, zapewnił jej mieszkanie - odparł doktor Greysteel. - Jego służdy zostawiają jej talerze z posiłkami u stóp schodów.

- Nikt nie wie na pewno, jak jedzenie do niej trafia - oświadczyła panna Greysteel. - Signor Tosetti twierdzi, że zanoszą je koty.

- Nonsens - oświadczył doktor Greysteel. - Czy kiedykolwiek koty zrobiły coś pożytecznego?

- Poza wyniosłym gapieniem się na ludzi? - dodał Strange. - Co może być użyteczne moralnie, jak mniemam. Wprawia w zakłopotanie, przez co człowiek zaczyna się zastanawiać nad własnymi niedociągnięciami.

Od kiedy zasiedli do kolacji, rozprawiali w kółko o dziwnej przygodzie Greysteelów.

- Droga Floro, pan Strange pomyśli, że nie potrafimy rozmawiać o niczym innym - zauważyła ciocia Greysteel.

- Och, mną się proszę nie przejmować - rzekł Strange. - To dziwne, a my, magowie, kolekcjonujemy dziwactwa.

- Mógłby ją pan uzdrowić za pomocą magii? - zapytała panna Greysteel.

- Uzdrowić szaleństwo? Nie. Ale nie z powodu lenistwa. Kiedyś poproszono mnie, żebym odwiedził pewnego starego dżentelmena i postarał się coś dla niego zrobić. Chyba rzucałem wtedy najpotężniejsze znane mi zaklęcia, mimo to pod koniec mojej wizyty był równie szalony jak na początku.

- Ale istnieją zaklęcia leczące szaleństwo, prawda? - spytała panna Greysteel z zainteresowaniem. - Zapewne aureaci jakieś znali.

Panna Greysteel niedawno zaczęła się interesować historią magii i teraz w jej wywodach często padały takie słowa, jak „aureaci” czy „argenci”.

- Być może - przytaknął Strange. - Ale jeśli nawet, wskazówki zaginęły setki lat temu.

- Nawet gdyby zaginęły tysiąc lat temu, na pewno nie byłoby to dla pana przeszkodą. Wiele razy opowiadał nam pan o dziesiątkach zaklęć, rzekomo zagubionych, które zdołał pan odtworzyć.

- To prawda, ale zazwyczaj mam pomysł, od czego zacząć. Nigdy nie słyszałem, by którykolwiek z aureatów wykurował szaleństwo. Traktowali wariatów zupełnie inaczej niż my. Uważali ich za jasnowidzów i proroków i z największą uwagą wysłuchiwali ich bredni.

- Jakież to dziwne! Dlaczego?

- Pan Norrell uważał, że ma to coś wspólnego ze współczuciem, jakie elfy żywią dla

szaleńców, no i z faktem, że szaleńcy dostrzegają elfy, gdy nikt inny ich nie widzi. - Strange umilkł. - Pani zdaniem ta staruszka jest bardzo szalona?

- O tak! Tak sędzę.

Po kolacji doktor Greysteel zapadł w drzemkę w salonie. Ciocia Greysteel kiwała się na swoim fotelu, od czasu do czasu się budziła, przepraszała za senność, po czym znowu przysypiała. I tak przez resztę wieczoru panna Greysteel mogła się cieszyć teteatete ze Strange'em. Miała mu mnóstwo do powiedzenia. Zarekomendował jej *Dziecięce lata Króla Kruków* lorda Portisheada, więc je przeczytała i zapragnęła zadać magowi kilka pytań.

Strange jednak wydawał się roztargniony; kilka razy odniosła nieprzyjemne wrażenie, że wcale jej nie słuchał.

Następnego dnia Greysteelowie odwiedzili arsenał. Jego rozmiary i ponury charakter wzbudziły ich podziw. Kręcili się przez godzinę lub dwie po sklepach z osobliwościami (gdzie sprzedawcy byli równie dziwaczni i staroświeccy jak osobliwości) i zjedli lody w cukierni nieopodal kościoła San Stefano. Strange został zaproszony na wycieczkę, ale wczesnym rankiem ciocia Greysteel otrzymała krótki liścik z najlepszymi życzeniami i podziękowaniami. Niestety, Strange przypadkiem natrafił na całkiem nowy trop i musiał nim podążyć. *„Uczeni, droga Pani, jak Pani wie na przykładzie swojego brata, to najbardziej samolubne istoty na świecie. Uważają, że ich poświęcenie pracom badawczym usprawiedliwia wszystko...”* Nie pojawił się również następnego dnia, kiedy popłynęli gondolą na Torcello, samotną, porośniętą trzciniami wyspę spowitą szarą mgłą, gdzie powstało pierwsze weneckie miasto, urosło w siłę, potem zostało opuszczone i popadło w ruinę, a to wszystko działo się dawno, dawno temu.

Ale choć Strange zamknął się w swym mieszkaniu w pobliżu Santa Maria Zobenigo i skupił na magii, doktor Greysteel nie miał okazji za nim zatęsknić, gdyż nazwisko maga adalo w rozmowie niemal co chwilę. Gdy Greysteelowie szli obok Rialto, a widok mostu skłaniał doktora Greysteela do uwag o Shylocku, Szekspirze i stanie współczesnego teatru, mógł być pewien, że zaraz pozna opinię Strange'a na te tematy, gdyż panna Greysteel potrafiła przedstawiać ją z równą pasją jak własną. Gdy w małym sklepie z osobliwościami uwagę Greysteelów przyciągnął dziwaczny obraz tańczącego niedźwiedzia, dla panny Greysteel stanowił on jedynie pretekst do opowieści o znajomym pana Strange'a, właścicielu wypchanego brązowego niedźwiedzia trzymanego w szklanej klatce. Gdy Greysteelowie jedli baraninę, panna Greysteel miała powód, by wspomnieć o tym, jak pan Strange opowiadał jej, że kiedyś jadł baraninę w Lyme Regis.

Wieczorem trzeciego dnia doktor Greysteel wysłał Strange'owi liścik z zaproszeniem

na kawę i kieliszek włoskiego alkoholu. Kilka minut po szóstej spotkali się u Floriana.

- Miło mi pana widzieć - powiedział doktor Greysteel. - Bardzo pan blady. Pamięta pan o jedzeniu? Śnie? Ćwiczeniach?

- Chyba coś jadłem - mruknął Strange. - Chociaż nie bardzo pamiętam co.

Przez chwilę rozmawiali o nieistotnych sprawach, ale Strange był rozkojarzony. Kilka razy odpowiedział doktorowi Greysteelowi niemal bez sensu. Potem, przełknąwszy ostatni łyk grappy, wyjął zegarek i powiedział:

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pan ten pośpiech. Mam spotkanie. Dobranoc.

Doktor Greysteel był nieco zdumiony i od razu zaczął się zastanawiać, cóż to za spotkanie. Wszędzie na świecie ludzie zachowują się fatalnie, niemniej doktorowi Greysteelowi przeszło przez myśl, że Wenecja wprost prowokuje do najgorszych zachowań. Żadne inne miasto nie zapewnia tylu okazji do rozmaitych występków, a obecnie doktorowi Greysteelowi szczególnie zależało na tym, żeby Strange prezentował się bez zarzutu. Wobec tego zapytał jak najswobodniej, czy chodzi o spotkanie z lordem Byronem.

- Ależ nie. Prawdę mówiąc... - Strange zmrużył oczy i zaczął szeptać w zaufaniu: - Sądzę, że znalazłem kogoś do pomocy.

- Elfa?

- Nie. Człowieka. Wiążę z tą współpracą wielkie nadzieje. Jednocześnie nie jestem pewien, jak ta druga osoba zareaguje na moją propozycję. Rozumie pan, że w takich okolicznościach nie chcę się spóźnić.

- Oczywiście! - wykrzyknął doktor Greysteel. - Proszę nie zwlekać!

Strange odszedł i wkrótce stał się jedną z wielu sylwetek o niewyraźnych rysach twarzy, w czarnych strojach przemierzających Wenecję koloru księżyca. Sam księżyc tkwił między monumentalnymi bryłami chmur, tak iż wydawało się, że na niebie wyrosło jeszcze jedno miasto, które splendorem dorównuje Wenecji i którego wielkie pałace i ulice wałęsają się w gruzy, jakby jakiś kapryśny byt postanowił w ten sposób zakpić z powolnego upadku miasta w dole.

Tymczasem panie Greysteel skorzystały z nieobecności doktora i powróciły do okropnego pokoiku na poddaszu domu w getcie. Przyszły w sekrecie, gdyż dobrze wiedziały, że doktor Greysteel, a może nawet sam pan Strange mogliby powstrzymać albo nalegać, że będą im asystować - a tym razem zupełnie nie miały ochoty na męskie towarzystwo.

- Chcieliby o tym rozmawiać - zauważyła ciocia Greysteel. - Próbowali odgadnąć, jak znalazła się w tak okropnej sytuacji. I co by to dało? Jak by jej to pomogło?

Panna Greysteel przyniosła świeczki oraz lichtarz. Zapaliła świecę, żeby widzieć, co

robi. Potem obie panie wyjęły z koszyka smakowitą potrawkę z cielęciny, dzięki której zatęchły smutny pokój wypełnił się pięknym zapachem. Wyłożyły również białe bułeczki, jabłka i ciepły szal. Ciocia Greysteel postawiła talerzyk z potrawką przed panią Delgado, ale ujrzała, że palce i paznokcie staruszki są wykrzywione i sztywne jak szpony i dama nie zdoła nimi ująć sztuczków.

- No cóż, moja droga - powiedziała w końcu ciocia Greysteel. - Wykazuje zainteresowanie jedzeniem. Na pewno dobrze jej zrobi. Ale chodźmy już, zostawmy ją w spokoju. Niech zje tak, jak jej wygodnie.

Zeszły, a gdy znalazły się na ulicy, ciocia Greysteel wykrzyknęła:

- Och, Floro! Widziałaś?! Już miała przygotowaną kolację. Był tam mały porcelanowy talerzyk, całkiem ładny, ja też mam taki, z pączkami róży i niezapominajkami, w każdym razie był tam spodeczek, a ona położyła na nim mysz. Zdechłą, szarą myszkę!

Panna Greysteel wydawała się zamyślona.

- Główka ugotowanej cykorii w sosie, tak jak się ją tutaj przyrządza, przypomina nieco mysz.

- Och, moja droga! - zachnęła się ciocia Greysteel. - Doskonale wiesz, że nie była to żadna cykorcia.

Szły przez Ghetto Vecchio ku kanałowi Cannaregio, kiedy nagle panna Greysteel odwróciła się i zniknęła w cieniu budynków.

- Floro! Co się dzieje?! - wykrzyknęła ciocia Greysteel. - Co ty tam widzisz? Nie ociągaj się, moja droga. Tu, pomiędzy tymi domami, jest bardzo ciemno. Najdroższa! Floro!

Panna Greysteel wyłoniła się z mroku równie szybko, jak weń wbiegła.

- Nic takiego, ciociu - powiedziała. - Nie niepokój się. Po prostu wydawało mi się, że ktoś woła mnie po imieniu, i poszłam sprawdzić, kto to. Myślałam, że to ktoś znajomy, ale nikogo tam nie ma.

Gondola czekała na nie przy Fondamenta. Przewoźnik pomógł im wejść do łodzi, a potem powoli odwiosłował. Ciocia Greysteel usiadła wygodnie pod baldachimem. O płótno uderzyły pierwsze krople deszczu.

- Może po powrocie do domu zastaniemy pana Strange'a razem z papą - powiedziała.

- Może - przytaknęła panna Greysteel.

- A może znów poszedł grać w bilard z lordem Byronem - westchnęła ciocia Greysteel. - Dziwne, że się przyjaźnią. Są tak różni.

- Och, rzeczywiście! Chociaż zdaniem pana Strange'a lord Byron jest teraz o wiele bardziej sympatyczny niż podczas ich spotkania w Szwajcarii. Jego lordowska mość

przebywał wtedy z jakimiś poetami, którym poświęcał całą uwagę i których towarzystwo przedkładał nad towarzystwo innych. Pan Strange twierdzi, że zachowywał się wtedy wręcz nieuprzejmie.

- Cóż, bardzo niedobrze. Ale nic w tym dziwnego. Nie boisz się na niego patrzeć, moja droga? Mam na myśli lorda Byrona. Ja chyba bym się bała... troszeczkę.

- Nie, ja się nie boję.

- Pewnie dlatego, że jesteś bardziej roztropna i zrównoważona niż większość ludzi. Naprawdę nie wiem, czy obawiasz się czegokolwiek na tym świecie.

- Och! Wątpię, czy to wynika z mojej niesłychanej odwagi. A co do cnoty - nie mnie ją oceniać. Nigdy mnie nie kusiło, by zgrzeszyć. Po prostu lord Byron nie ma nade mną żadnej władzy i nie mógłby w najmniejszym stopniu wpłynąć na moje myśli ani uczynki. Jestem bezpieczna. Nie oznacza to jednak, że na tym świecie nie ma nikogo - choć nie twierdzę, że już go poznałam - na kogo nie obawiałabym się czasem patrzeć, ze strachu, że może być smutny, zagubiony lub zamyślony albo, co najgorsze, że rozpamiętuje jakąś osobistą urazę czy krzywdę i w ogóle nie zwraca uwagi na to, że na niego patrzę.

Na poddaszu domu w getcie świece panny Greysteel dopaliły się i zgasły. Księżyc oświetlał koszarne mieszkanie, a stara dama z Cannaregio rzuciła się na potrawkę z cielęciny przyniesioną przez panię Greysteel. Miała właśnie przełknąć ostatni kęs, gdy nagle odezwał się jakiś głos. Mówił po angielsku:

- Niestety, moje przyjaciółki nie zostały, by dokonać prezentacji. To zawsze niezręczna sytuacja, droga pani, kiedy dwójka ludzi pozostawiona w pokoju musi się zapoznać sama, prawda? Jestem Strange. Pani nazwisko, moja droga, choć pani tego nie wie, brzmi Delgado. Miło mi panią poznać.

Strange, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, opierał się o parapet i patrzył na nią z przejęciem. Ona z kolei ignorowała go tak jak ciotkę Greysteel, pannę Greysteel czy któregośkolwiek ze swych gości kilka dni wcześniej.

Wykazywała takie samo ożywienie jak kot na widok ludzi, którzy w ogóle go nie obchodzą.

- Zapewniam panią, że nie jestem jednym z tych męczących gości, przychodzących nie wiadomo po co i nie mających nic do powiedzenia - rzekł Strange. - Zamierzam pani coś zaproponować. Szczęściarze z nas, droga pani, że mogliśmy się spotkać. Dam pani to, czego pani tak bardzo pragnie, a w zamian za to pani ofiaruje mi coś, czego ja pragnę.

Pani Delgado nie dała żadnego znaku, że w ogóle słyszy. Całą uwagę poświęcała spodeczkowi ze zdechłą myszą. Jej pomarszczone usta rozchyliły się, by pożreć gryzonia.



- Doprawdy, droga pani! - wykrzyknął Strange. - Nalegam, by na moment odstawiła pani posiłek i postarała się wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Pochylił się i wyjął spodek z jej dłoni. Po raz pierwszy pani Delgado uświadomiła sobie, że ktoś tu jest. Miauknęła z niezadowoleniem i popatrzyła na niego wrogo.

- Proszę mnie nauczyć szaleństwa. To takie proste. Nie mam pojęcia, czemu nie wpadłem na to wcześniej.

Pani Delgado cicho warknęła.

- Och! Kwestionuje pani sens moich poczynań? Zapewne słusznie. Życzyć sobie szaleństwa? Bardzo nierozważne. Mój nauczyciel, żona i wszyscy przyjaciele byliby wściekli, gdyby o tym wiedzieli. - Urwał. Sarkastyczna mina zniknęła, podobnie jak beztroski ton. - Ale porzuciłem swego nauczyciela, moja żona nie żyje, a od przyjaciół dzieli mnie wiele kilometrów zimnej wody i kawał kontynentu. Po raz pierwszy, od kiedy praktykuję tę dziwną profesję, nie muszę się z nikim konsultować. Od czego zacząć? Powinna mi pani coś dać, coś, co posłuży jako symbol i nośnik pani szaleństwa. - Rozejrzał się po pokoju. - Niestety, zdaje się, że nie ma pani nic poza suknią... - popatrzył na spodek, który trzymał w dłoni -...i tą myszą. Chyba wolę mysz.

Strange wypowiedział zaklęcie. W pokoju rozbłysły srebrzyste światełka, wyglądające jak skrzyżowanie białych płomieni z poświatą sztucznych ogni. Przez chwilę wisiały w powietrzu pomiędzy panią Delgado i Strange'em. Potem Strange uczynił taki gest, jakby chciał cisnąć tymi światełkami w staruszkę: podążyły ku niej i na chwilę spowił ją srebrzysty blask. Nagle miejsce pani Delgado zajęła poważna, nadąsana dziewczynka w staroświeckiej sukience. Potem dziewczynka również zniknęła, a pojawiła się piękna młoda kobieta o upartym wyrazie twarzy. Szybko zastąpiła ją starsza, dostojna dama z błyskiem szaleństwa w oku. Wszystkie kobiety, którymi niegdyś była pani Delgado, zamigotały na fotelu i zniknęły.

Na siedzeniu pozostał jedynie zmięty jedwab. Wysunął się z niego mały szary kot. Z wdziękiem wylądował na ziemi, potem wskoczył na parapet i przepadł w ciemnościach.

- Zdziałało - mruknął Strange.

Podniósł gnijącą mysz za ogon i natychmiast wzbudził zainteresowanie kilku kotów, które miauczały, mruczały i ocierały się o nogę maga, by przyciągnąć jego uwagę. Skrzywił się.

- Co takiego musiał znosić John Uskglass, żeby ukształtować angielską magię?

Zastanawiał się, czy zauważy jakąś różnicę. Czy po wypowiedzeniu zaklęcia będzie siłował zgadnąć, czy już oszalał? Czy będzie nadal stał i starał się przywołać szalone myśli, by sprawdzić, czy któreś z nich wydają się bardziej naturalne od innych? Po raz ostatni

rozejrzał się po świecie, otworzył usta i powoli zanurzył w nich mysz...

Było to jak skok do wodospadu albo dźwięk dwóch tysięcy trąbek w uchu. Wszystko, co myślał wcześniej, wszystko, co wiedział, wszystko, czym był, zniknęło w wielkiej powodzi emocji i doznań. Świat pojawił się ponownie w płomiennych kolorach, których nie mógł znieść. Był pełen nowych lęków, nowych pragnień, nowych nienawiści. Otoczyły go ogromne zjawy. Niektóre miały wykrzywione, pełne zębów usta i wielkie płonące oczy. Za nim górował potwór przypominający okaleczonego pająka. Był wyjątkowo niegodziwy. Strange miał coś w ustach, smak tego był nie do opisania. Nie mogąc myśleć, nic nie widząc, Bóg jeden wie, jak odnalazł w sobie rozum i to wypłuł. Ktoś krzyknął...

Uświadomił sobie, że leży na plecach i wpatruje się w ciemność, belki stropowe i księżycowe światło. Z mroku wychyliła się twarz i wbiła w niego denerwujące spojrzenie. Jej oddech był ciepły, wilgotny i cuchnący. Strange nie pamiętał, żeby się kładł, ale w ogóle niewiele pamiętał. Zastanawiał się, czy jest w Londynie, czy też może w Shropshire. Dziwnie się czuł, jakby spacerowało po nim kilka kotów. Po chwili uniósł głowę i odkrył, że tak jest w istocie.

Usiadł, a koty zeskoczyły. Przez wybite okno wpadały promienie księżyca w pełni. Potem, od jednego wspomnienia do drugiego, Strange usiłował odtworzyć bieg wydarzeń. Przypomnił sobie zaklęcie, którym zmienił staruszkę, i swój plan, by popaść w szaleństwo i dzięki temu ujrzeć elfa. Początkowo wydawało mu się, że wspomina zdarzenia co najmniej sprzed miesiąca. Ale wciąż był w tym samym pokoju, a po konsultacji z zegarkiem wywnioskował, że minęło bardzo niewiele czasu.

Zdołał ocalić mysz. Na szczęście nakrył ją ręką i koty nie dobrały się do gryzonia. Wsunął martwe stworzenie do kieszeni i w pośpiechu opuścił poddasze. Nie chciał przebywać tu ani chwili dłużej. Pokój od początku był koszmarny, ale teraz wydawał się Strange'owi miejscem niewypowiedzianych okropności.

Na schodach spotkał kilka osób, nie zwróciły jednak na niego uwagi. Już wcześniej rzucił zaklęcie na mieszkańców tego domu. Byli teraz przekonani, że widują go codziennie, że stale odwiedza tutejsze mieszkania i że jego obecność jest najnaturalniejsza pod słońcem.

Wrócił do swego lokum przy Santa Maria Zobenigo. Szaleństwo staruszki chyba wciąż go nie opuszczało. Przechodnie byli dziwnie odmienieni, ich miny wydawały się zawzięte i nieodgadnione, a ich krok niepewny i nieelegancki. „Jedno jest pewne - pomyślał. - Staruszka naprawdę była szalona. W takim stanie raczej nie zdołałbym wezwać elfa”.

Następnego ranka zerwał się wcześniej i po śniadaniu przystąpił do proskowania mięsa i kiszki myszki wedle rozmaitych, dobrze znanych zasad magii. Kości zachował

nietknięte. Następnie zmienił proszek w nalewkę. Było to korzystne z dwóch powodów. Po pierwsze (co bardzo ważne) przełknięcie kilku kropli nalewki budziło mniejsze obrzydzenie niż wkładanie w usta zdechłej myszy. Po drugie uważał, że w ten sposób zdoła regulować stopień narzuconego sobie szaleństwa.

O piątej po południu miał już ciemnobrązowy płyn, który zalatywał brandy użytą do jego sporządzenia. Strange zlał nalewkę do butelki. Potem starannie odliczył czternaście kropli do szklaneczki i wypił.

Po kilku minutach wyrzął z okna na Campo Santa Maria Zobenigo. Wszędzie chodzili ludzie, jednak ich twarze były tylko cienkimi maskami, za którymi widniała pustka. W każdej pustce płonęła świeca. Teraz było to dla niego tak oczywiste, że nie rozumiał, czemu wcześniej tego nie dostrzegał. Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby zszedł na ulicę i zdmuchnął kilka świeczek. Roześmiał się na myśl o tym. Ryczał ze śmiechu tak długo, że nie mógł już utrzymać się na nogach. Jego śmiech krążył po całym domu. Jakaś resztką rozumu ostrzegła Strange'a, że gospodarz oraz jego rodzina nie powinni wiedzieć, co robi lokator, więc poszedł do łóżka i tłumił śmiech poduszkami, od czasu do czasu wierzgając, rozbawiony niesłychanym komizmem swych myśli.

Następnego ranka przebudził się w łóżku kompletnie ubrany i w butach. Poza nieprzyjemnym uczuciem lepkości, które zazwyczaj występuje po przespaniu nocy w dziennym stroju, jego stan nie odbiegał raczej od normy. Umył się, ogolił i włożył czyste ubranie. Potem wyszedł coś zjeść i wypić. Na rogu Calle de la Cortesia i Campo San Angelo znajdowała się niewielka kawiarnia, którą lubił. Wszystko przebiegało jak trzeba, póki przy stoliku nie pojawił się kelner i nie postawił na blacie filiżanki z kawą. Strange uniósł wzrok i ujrzał w oku mężczyzny błysk płomyka świeczki. Odkrył, że już nie pamięta, czy ludzie mają świeczki w głowach, czy nie. Ale wiedział, że te dwa przekonania dzieli ogromna przepaść: jedno było rozsądne, drugie wręcz przeciwnie, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, które jest które. To go zaniepokoiło.

„Jedyny problem z nalewką jest taki, że trudno zorientować się, kiedy przestaje działać - uznał. - Nie pomyślałem o tym wcześniej. Powinienem poczekać dzień lub dwa, nim ponownie spróbuję”.

Jednakże w połowie dnia niecierpliwość wzięła górę nad rozsądkiem. Poczul się lepiej. Był skłonny założyć, że ludzie nie mają świeczek w głowach. „Poza tym nie to jest najważniejsze - pomyślał. - To pytanie nie ma nic wspólnego z moim obecnym zadaniem”.

Nalał dziewięć kropli nalewki do kieliszka vin santo i wypił.

Natychmiast nabrał przekonania, że we wszystkich kredensach w domu pełno jest

ananasów. Był pewien, że pod łóżkiem i stołem także je znajdzie. Tak go zaniepokoiła ta myśl, że na przemian robiło mu się zimno i gorąco i musiał usiąść na podłodze. Wszystkie domy i palazzi w mieście były pełne ananasów, a ludzie na ulicach nosili ananasy pod ubraniami. Wszędzie wyczuwał ananasy, ich zapach był jednocześnie słodki i ostry.

Jakiś czas później usłyszał pukanie do drzwi. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że zapadł zmierzch i w pokoju jest całkiem ciemno. Pukanie znowu się rozległo. Pod drzwiami stał gospodarz. Zaczął coś mówić, ale Strange nic nie rozumiał. Działo się tak dlatego, że mężczyzna miał ananasa w ustach. Zdołał go tam wepchnąć w całości - Strange nie miał pojęcia jak. Z ust gospodarza wyłaniały się zielone kolczaste liście i znów się kryły, gdy mówił. Strange zastanawiał się, czy pójść po nóż albo haczyk i spróbować wyciągnąć owoc, żeby gospodarz się nie zadławił. Ale zasadniczo było mu to obojętne. „W końcu to jego wina - pomyślał nie bez irytacji. - Sam go tam wepchnął”.

Następnego dnia w kawiarni na rogu Calle de la Cortesia jeden z kelnerów kroił ananasa. Zgarbiony nad kawą Strange aż się wzdrygnął na ten widok.

Odkrył, że popaść w szaleństwo jest znacznie łatwiej, niż przypuszczał, ale podobnie jak cała magia obłęd najeżony jest trudnościami i rodzi frustrację. Strange zrozumiał, że nawet gdyby zdołał wezwać elfa (co nie wydawało się szczególnie prawdopodobne) i tak nie byłby w stanie z nim rozmawiać. Każda książka, którą kiedykolwiek czytał, nakazywała magom mieć się na baczności podczas spotkania z elfami. Akurat wtedy, gdy należało wykazać się rozumem, właśnie rozsądku mogłoby mu zabraknąć. „Jak mam go olśnić wyższością swej sztuki magicznej, skoro będę bełkotał o ananasach i świecach?” - pomyślał.

Przez cały dzień spacerował po pokoju, a co jakiś czas przystawał, żeby zanotować coś na skrawkach papieru. Gdy zapadł zmierzch, Strange napisał zaklęcie wzywające elfy i położył je na stole. Następnie wlał cztery krople mikstury do szklanki wody i wypił.

Tym razem nalewka podziałała w inny sposób. Nie nękały go szczególne natręctwa ani lęki. Właściwie pod wieloma względami czuł się lepiej niż ostatnimi czasy: był spokojniejszy, bardziej opanowany, mniej przejęty. Odkrył, że już mu tak nie zależy na magii. W jego umyśle trzaskały drzwi, a on wędrował po pokojach i korytarzach, których nie odwiedzał od lat. Przez pierwszych dziesięć minut był takim człowiekiem jak wtedy, kiedy miał dwadzieścia lub dwadzieścia kilka lat; potem zmienił się w kogoś całkiem innego, kogoś, kim mógł zostać, ale z rozmaitych powodów nie został.

Po wypiciu nalewki nagle zapragnął zobaczyć ridotto. Wydawało się idiotyczne, że przebywa w Wenecji od początku października, a do tej pory nie widział maskarady. Po konsultacji z zegarkiem odkrył jednak, że jest dopiero ósma wieczorem.

- O wiele za wcześnie - rzucił w przestrzeń.

Był w nastroju do rozmowy i rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, komu mógłby się zwierzyć. Z braku lepszego rozmówcy wybrał drewnianą figurkę w kącie.

- Przez najbliższe trzy, cztery godziny nie pojawi się tam nikt godny uwagi.

Żeby zabić czas, pomyślał, że pójdzie poszukać panny Greysteek.

- Ale pewnie będą z nią ciotka i ojciec. - Jęknął poirytowany. - Nuda! Nuda! Nuda! Czemu ładne kobiety zawsze mają stada krewnych? - Popatrzył na siebie w lustrze. - Dobry Boże! Ten krawat wygląda, jakby wiązał go parobek.

Następne pół godziny wiązał i rozwiązywał krawat, aż wreszcie poczuł się usatysfakcjonowany. Potem odkrył, że jego paznokcie są dłuższe, niż lubi, i do tego niezbyt czyste. Poszedł szukać nożyczek, by je skrócić.

Nożyczki leżały na stole. I nie tylko one.

- Co my tu mamy? - spytał. - Kartki! Kartki z magicznymi zaklęciami. - Wydało mu się to niezwykle zabawne. - A to dopiero - powiedział do drewnianej figurki. - Znam jegomościa, który to napisał! Nazywa się Jonathan Strange. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że te księgi należą do niego. - Przeczytał kilka zdań. - Ha! Nigdy nie zgadniesz, jakimi idiotyzmami zajmuje się teraz! Rzuca zaklęcia, by wezwać elfy! Ha, ha! Powtarza sobie, że robi to po to, by przysłużyć się sprawie angielskiej magii. A tak naprawdę chce jedynie przerazić Gilberta Norrella! Przebył setki kilometrów, by znaleźć się w najbardziej zbytkownym mieście na świecie, a przejmuje się wyłącznie tym, co myśli jakiś starzec w Londynie! Idiotyzm!

Z niesmakiem odłożył kartkę i wziął nożyczki. Odwrócił się i w ostatniej chwili uchylił przed czymś głowę.

- Co, u licha...? - zaczął.

Z sufitu zwisała czarna wstążka. Do jej końca przywiązano kilka cienkich kosteczek, fiolkę z ciemnym płynem (może krwią) i zapisaną kartkę. Wszystko to związane. Wstążka wisiała na takiej wysokości, że osoba chodząca po pokoju musiała prędzej czy później o nią zahaczyć. Strange z niedowierzaniem pokręcił głową, myśląc o głupocie innych. Oparł się o stół i zaczął obcinać paznokcie.

Minęło kilka minut.

- Wiesz, miał żonę - mruknął do drewnianej figurki. Podsunął dłoń do światła, żeby obejrzeć paznokcie. - Arabelle Woodhope. Najbardziej urocza istota pod słońcem. Ale martwa. Martwa, martwa, martwa. - Podniósł ze stołu pilniczek i zaczął polerować paznokcie. - Kiedy tak o tym myślę, zastanawiam się, czy sam jej nie kochałem. Chyba tak. Uroczo

wypowiadała moje imię, z uśmiechem, i za każdym razem, gdy to robiła, miękło mi serce. - Roześmiał się. - Wiesz, to naprawdę paradne, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak mam na imię. Laurence? Arthur? Frank? Szkoda, że nie ma tu Arabelli. Ona na pewno by mi powiedziała. Nie jest jedną z tych kobiet, które lubią się drażnić i grają w rozmaite gierki długo po tym, gdy przestaje to być zabawne. Mój Boże, szkoda, że jej tu nie ma. Czuję ból w tym miejscu. - Poklepał się po piersi. - I coś gorącego i twardego tutaj. - Postukał się w czoło. - Ale półgodzinna rozmowa z Arabellą wszystko by naprawiła, tego jestem pewien. Może wezwę elfiego sługę tego jegomościa i każę mu ją tutaj sprowadzić. Elfy potrafią sprowadzać zmarłych z zaświatów, prawda? - Wziął zaklęcie ze stołu i ponownie je przeczytał. - Nic w tym trudnego. Najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

Wyrecytował słowa zaklęcia, a potem powrócił do polerowania paznokci, gdyż wydawało mu się to niezwykle istotne.

W cieniu obok kredensu stała osoba we fraku barwy liści; osoba z włosami koloru puchu ostu; osoba z rozbawionym, pełnym wyższości uśmiechem na ustach.

Strange wciąż był zajęty paznokciami.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu bardzo szybko podszedł do miejsca, w którym stał mag, i wyciągnął rękę, żeby go szarpnąć za włosy. Zanim jednak zdołał to zrobić, Strange spojrział wprost na niego i rzekł:

- Zapewne nie ma pan szczypty tabaki?

Dżentelmen o włosach jak puch ostu zamarł.

- Sprawdziłem kieszenie tego przekłętego fraka - ciągnął Strange, zupełnie nieświadomy zdumienia dżentelmena. - Nigdzie nie ma tabakiery. Nie wiem, co ja sobie myślałem, wychodząc bez niej. Zazwyczaj zażywam kendel brown, może pan ma?

Cały czas szperał po kieszeniach. Zapomniał jednak o małym zawiniątku z kości i krwi, które zwisało z sufitu, i teraz uderzył o nie głową. Zawiniątko zakołysało się w przód i w tył i trafiło go prosto w czoło.

## **Rozdział dziesiąty**

**Szkatułka koloru rozpaczy**

**1 i 2 grudnia 1816**

Rozległo się trzaśnięcie, a potem powiał lekki wiatr i napłynęła świeżość, jakby stęchlizna nagle ulotniła się z pokoju.

Strange zamrugał dwa albo trzy razy. Gdy nieco doszedł do siebie, pierwszą jego myślą było to, że misterny plan się powiódł. Ktoś nad nim stał - bez wątpienia był to elf. Potem mag zaczął się zastanawiać, co, u licha, robił. Wyciągnął zegarek i spojrział na tarczę. Od wypicia nalewki minęła niecała godzina.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Wiem, że to dziwne pytanie, ale czy o cokolwiek pana prosiłem?

- O tabakę - odparł dżentelmen o włosach jak puch ostu.

- Tabakę?- Prosiłeś mnie o szczyptę tabaki, panie.- Kiedy?- Co kiedy?- Kiedy prosiłem o tabakę?- Przed chwilą.

- O! Ach. No dobrze. Proszę się nie kłopotać. Już jej nie potrzebuję.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu się uklonił.

Strange miał świadomość, że zdradza zakłopotanie. Przypomniiał sobie, że za żadne skarby przedstawiciel tej zwodniczej rasy nie powinien podejrzewać, że wie więcej od tego, kto go przywołał. Wobec tego Strange pokrył zmieszanie sarkastyczną miną. Wtedy przypomniał sobie, że pysznienie się jest jeszcze bardziej niebezpieczne i irytuje elfy, więc zamaskował sarkazm uśmiechem. Na koniec znowu wyglądał na zdezorientowanego.

Nie zauważył, że dżentelmen czuje się równie niezręcznie jak on.

- Wezwałem pana, gdyż od dawna pragnąłem, by przedstawiciel pańskiej rasy prowadził mnie i nauczał magii - powiedział Strange. Już wcześniej kilka razy przećwiczył to zdanie i doszedł do wniosku, że brzmi pewnie i dostojnie. Niestety, zepsuł cały efekt, dodając z niepokojem: - Czy już o tym wspominałem?

Dżentelmen nie odpowiedział.

- Nazywam się Jonathan Strange. Może pan o mnie słyszał? Znalazłem się w punkcie zwrotnym kariery. Nie przesadzę chyba, twierdząc, że cała przyszłość angielskiej magii zależy od mego postępowania w najbliższych miesiącach. Jeśli zgodzi mi się pan pomagać, pańskie imię będzie równie sławne, jak Cola Toma Blue i Mistrza Witcherleya.

- Też coś! - oznajmił dżentelmen z pogardą. - Prostacy!

- Naprawdę? - spytał Strange. - Nie wiedziałem. Pańska... - umilkł, by znaleźć odpowiedni zwrot -...życzliwość dla króla Anglii sprawiła, że zdałem sobie sprawę z pańskiego istnienia. Taka moc! Taka pomysłowość! Dziś angielskiej magii brak ducha! Brak jej ognia i energii! Nie umiem wyrazić, jak nudzi mnie powtarzanie tych samych pospolitych

zaklęć, by rozwiązywać te same pospolite problemy. Rzut oka na pańską magię uświadomił mi, że jest ona zupełnie inna. Mógłby mnie pan zadziwić! A ja pragnę być zadziwiony!

Dżentelmen uniósł idealną elfią brew, jakby nie miał nic przeciwko zadziwianiu Jonathana Strange'a.

- Och! - ciągnął Strange z przejęciem. - Od razu mogę panu zdradzić, że w Londynie mieszka pewien stary człowiek nazwiskiem Norrell, tak jakby mag. Wpadnie we wściekłość na wieść o tym, że sprzymierzył się pan ze mną. Zrobi wszystko, by nas rozdzielić, ale ośmielę się twierdzić, że bijemy go na głowę.

Dżentelmen najwyraźniej przestał słuchać. Rozglądał się po pokoju, wpatrując się raz w jeden przedmiot, raz w drugi.

- Czy coś w tym pokoju panu przeszkadza? - zapytał Strange - Błagam, by pan zdradził, cóż to takiego. Pańska magiczna wrażliwość z pewnością znacznie przewyższa moją. Ale i w moim wypadku pewne rzeczy zakłócają zdolność czarowania - zapewne tak jest ze wszystkimi magami. Solniczka, jarzębina, fragment poświęconej hostii: to wszystko budzi mój wielki niepokój. Nie twierdzą, że nie potrafię w ich obecności czynić magii» ale muszę je brać pod uwagę w swych zaklęciach. Jeśli cokolwiek się panu nie podoba, proszę powiedzieć, a ja z chęcią to usunę.

Oślupiały dżentelmen wpatrywał się w niego przez chwilę, jakby nie miał pojęcia, co też Strange wygaduje. Nagle jednak wykrzyknął:

- Moja magiczna wrażliwość, tak! Ależ jesteś bystry, panie! Moja magiczna wrażliwość jest, jak słusznie podejrzewasz, niesłychana. Właśnie mi podpowiada, że zostałeś właścicielem przedmiotu o wielkiej mocy! Pierścień odczarowujący? Czara postrzegania? Coś w tym rodzaju? Moje gratulacje! Pokaż mi ten przedmiot, a ja natychmiast zaznajomię cię z jego historią i sposobem używania.

- Szczerze mówiąc, nie mam nic w tym rodzaju - odparł Strange zdumiony.

Dżentelmen zmarszczył brwi. Rozglądał się uważnie. Najpierw popatrzył na nocnik częściowo ukryty pod stołem, potem na żałobny pierścień z miniaturką anioła namalowaną na kości słoniowej, a po chwili na malowany ceramiczny słój, w którym niedawno znajdowały się kandyzowane brzoskwinie i śliwki.

- Może natrafiłeś na niego przypadkiem, panie? - zapytał. - Takie przedmioty mają ogromną moc, nawet jeśli mag nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Raczej nie - powiedział Strange. - Na przykład ten słój został zakupiony w genueńskiej cukierni. Stały ich tam dziesiątki, takich samych. Nie mam pojęcia, czemu ten miałby być magiczny, a reszta nie.



- Rzeczywiście. - Dżentelmen pokiwał głową. - Chyba faktycznie nie ma tu niczego poza zwykłymi przedmiotami. To znaczy - dodał pośpiesznie - przedmiotami, których można oczekiwać w apartamentach tak genialnego maga.

Zapadła cisza.

- Nie ustosunkował się pan do mojej propozycji - zauważył Strange. - Chce mnie pan lepiej poznać, rozumiem. I tak powinno być. Za dzień lub dwa znów będę miał zaszczyt poprosić pana o wizytę i porozmawiamy.

- To była bardzo interesująca konwersacja! - oświadczył dżentelmen.

- Mam nadzieję, że pierwsza z wielu - odparł Strange uprzejmie i skłonił się.

Dżentelmen zrewanżował się ukłonem.

Następnie Strange zwolnił dżentelmena z zaklęcia przywołania, a ten szybko zniknął.

Strange był niesłychanie poruszony. Przypuszczał, że powinien usiąść i sporządzić poważne, uczone notatki na temat tego, co widział, ale nie mógł się powstrzymać od płasów, śmiechu i zacierania rąk. Nawet wykonał kilka figur wiejskiego tańca, a gdyby drewniana figurka nie była przymocowana do drewnianego postumentu, z pewnością złapałby ją w objęcia i skakał z nią po pokoju.

Kiedy przeszedł mu ten atak radości, poczuł pokusę, żeby napisać do Norrella. Właściwie nawet usiadł i zaczął kreślić pełen wyższości i przesiąknięty sarkazmem list („*bez wątpienia uraduje Pana wieść o tym, że...*”). Po chwili jednak się rozmyślił.

„Tylko go sprowokuję, by doprowadził do zniknięcia mojego domu albo zrobił coś w tym rodzaju. Ha! Ale się wścieknie, kiedy wrócę do Anglii. Muszę opublikować te wieści natychmiast po przyjeździe. Nie poczekam na następne wydanie „*Famulusa*”. Zbyt długo by to trwało. Murray będzie narzekał, ale nic na to nie poradzę. «Times» bardziej mi odpowiada. Cóż takiego miał na myśli, bredząc o pierścieniach mocy i nocnikach? Pewnie chciał mi wyjaśnić, czemu zdołałem go wezwać”.

Właściwie nie byłby bardziej z siebie zadowolony, nawet gdyby wezwał Johna Uskglassa i uciął sobie z nim półgodzinną pogawędkę. Jedyne, co go niepokoiło, to powracające we fragmentach wspomnienie form, które tym razem przybrało jego szaleństwo.

- Chyba zamieniłem się w Lascellesa albo Drawlighta! Przerażające!

Następnego ranka Stephen Black miał do załatwienia pewną sprawę dla sir Waltera. Złożył wizytę bankierowi na Lombard Street, rozmawiał z portrecistą na Little Britain, kobiecie na Fetter Lane dostarczył wskazówki dotyczące sukni dla lady Pole. Następnie miał się udać do

biura adwokata. Padał miękki, ciężki śnieg. Wszędzie wokół siebie Stephen słyszał typowe odgłosy miasta: parskanie i tupot koni, terkot powozów, krzyki ulicznych handlarzy, trzask drzwi i chrzęst kroków na śniegu.

Stanął na rogu Fleet Street i Mitre Court. Wyciągnął zegarek kieszonkowy (dar dżentelmena o włosach jak puch ostu), kiedy nagle wszystkie dźwięki ucichły jak nożem uciął. Przez chwilę myślał, że ogłuchł, zanim jednak zdążył się zaniepokoić, uświadomił sobie, że to nie jedyna zmiana. Ulica nagle opustoszała. Nie było na niej ani ludzi, ani kotów, ani psów, ani koni, ani ptaków. Wszystkie stworzenia zniknęły.

A śnieg?! To było najdziwniejsze. Wisiał w powietrzu - wielkie miękkie płatki wielkości suwerenów.

„Magia!” pomyślał z niesmakiem Stephen. Powędrował Mitre Court, zaglądając w okna wystawowe. Lampy wciąż się paliły, towary leżały w stosach albo porozkładane na ladach - jedwabie, tytoń, zapisy nutowe. Ogień płonął w kominkach, lecz i płomienie zamarły. Odwrócił się i odkrył, że uczynił coś w rodzaju tunelu w trójwymiarowej koronce ze śniegu. Była to najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział.

Nagle, nie wiadomo skąd, dobiegł go rozwścieczony głos:

- Myślałem, że z jego strony nic mi nie zagraża! Jakimi sztuczkami się posługuje?

Przed Stephenem wyrósł dżentelmen o włosach jak puch ostu, wściekłym obliczu i błyszczących oczach.

Szok był tak wielki, że przez moment Stephen obawiał się, że straci przytomność. Był jednak doskonale świadom, jak dżentelmen ceni sobie opanowanie i spokój, ukrył więc lęk i spytał:

- Zagraża? Kto, proszę pana?

- Jak to kto? Mag, Stephenie! Myślałem, że zdobył jakiś potężny przedmiot, który ujawnił mu moją obecność, ale niczego nie znalazłem w jego pokoju, a i on przysięgał, że nie ma nic podobnego. Żeby się upewnić, przez ostatnie pół godziny okrążyłem ziemski glob i sprawdzałem każdy pierścień mocy, każdy magiczny kielich i młynek. Niczego nie brakuje. Wszystko jest na swoim miejscu.

Z tego raczej niepełnego wyjaśnienia Stephen wywnioskował, że mag najwyraźniej zdołał wezwać dżentelmena o włosach jak puch ostu i z nim porozmawiać.

- Ale przecież dawniej pragnął pan pomagać magom, czarować z nimi i zaskarbić sobie ich wdzięczność - powiedział. - Przecież po to zgodził się pan uratować lady Pole, prawda? Może spodoba się to panu bardziej, niż pan sądzi.

- Może! Wątpię jednak. Powiem ci, Stephenie, że poza niedogodnością wynikającą z

tego, że może mnie wezwać, gdy tylko zapragnie, było to dla mnie najnudniejsze pół godziny od wielu, wielu lat. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto by tyle gadał! To najbardziej zrozumiałły człowiek, z jakim miałem do czynienia. Ludzie, którzy muszą bez przerwy mówić i nie mają czasu wysłuchać innych, są dla mnie odrażający.

- Och, w rzeczy samej, panie! To bardzo irytujące. A zatem skoro będzie pan zajęty tym magiem, moje królowanie w Anglii musi poczekać?

Dżentelmen wymamrotał coś dosadnego we własnym języku. Zapewne było to przekleństwo.

- Chyba masz rację, i to rozwściecza mnie najbardziej! - Zastanawiał się przez chwilę.  
- Ale może nie będzie tak źle, jak się obawiamy. Angielscy magowie są wyjątkowo głupi. Zazwyczaj pragną tego samego. Biedni pragną nie kończącego się zapasu rzepy albo owsianki, bogaci pragną jeszcze większych bogactw; młodzi pragną miłości jakiejś księżniczki albo królowej. Jeśli tylko poprosi o którąś z tych rzeczy, dam mu ją. Z pewnością ściągnie mu to na głowę mnóstwo problemów, zawsze tak jest. Będzie zajęty, a wtedy ty i ja przeprowadzimy nasz plan, mający na celu uczynienie cię królem Anglii! Och, Stephenie! Tak się cieszę, że do ciebie przyszedłem! Zawsze mówisz rozsądniej niż cała reszta!

Znienacka gniew dżentelmena wyparował i zastąpił go zachwyt. Zza chmury wyszło słońce, a zawieszony w powietrzu śnieg zaśnieżył i rozblęsnął (choć Stephen nie mógłby zaświadczyć z ręką na sercu, że była to robota dżentelmena).

Stephen już miał zauważyć, że wcale niczego nie sugerował, ale w tej samej chwili dżentelmen zniknął. Wszystko - ludzie, konie, karoce, koty i psy - powróciło na swoje miejsce, a Stephen wpadł na zażywną panią w fioletowej pelisie.

Strange wstał z łóżka w doskonałym humorze. Spał osiem godzin bez przerwy. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie zrywał się w środku nocy, by odprawiać czary. W związku z sukcesem w przywoływaniu elfa postanowił zrobić sobie dzień przerwy. Tuż po dziesiątej zjawił się w palazzo, gdzie mieszkali Greysteelowie, i zastał rodzinę przy śniadaniu. Przyjął ich zaproszenie, usiadł, zjadł gorące bułeczki, wypił kawę i oświadczył paniom Greysteel, że jest do ich usług.

Ciocia Greysteel z radością pozwoliła bratanicy zostać sam na sam z magiem. Panna Greysteel i Strange spędzili przedpołudnie na wspólnym czytaniu książek o magii. Były to dzieła, które jej pożyczył lub które zakupiła z jego polecenia, czyli *Dziecięce lata Króla Kruków* Portisheada, *Życie Martina Palea* Hickmana i *Anatomia Minotaura* HetheraGraya.

Strange czytał je, gdy zaczynał studiować magię, i był teraz rozbawiony tym, jak proste, wręcz niewinne się wydają. Czytanie ich pannie Greysteel, odpowiadanie na jej pytania i wysłuchiwanie jej opinii, żarliwych, inteligentnych i, jak mu się wydawało, nieco zbyt poważnych, było najprzyjemniejszą rzeczą pod słońcem.

O pierwszej, po przekąsce na zimno, ciocia Greysteel oświadczyła, że już zbyt długo siedzą, i zaproponowała spacer.

- Moim zdaniem, drogi panie, przyda się panu łyk świeżego powietrza. Uczni często zaniedbują ćwiczenia.

- Bardzo z nas leniwi osobnicy - przytaknął Strange radośnie.

Dzień był piękny. Wędrowali po wąskich uliczkach i alejkach i natknęli się na kilka interesujących obiektów: rzeźbę psa z kością w pysku, kapliczkę świętego, którego nikt nie rozpoznał, rząd okien, gdzie firanki wydawały się zrobione z ciężkich płacht niezwykle delikatnej koronki, jednak po oględzinach okazały się jedynie olbrzymimi, splątanymi pajęczynami, które wypełniały cały pokój. Nie mieli przewodnika, a w okolicy nie było nikogo, kto by opowiedział im o tych atrakcjach.

Tuż przed zmierzchem weszli na kamienny placik ze studnią pośrodku. Było to puste i chłodne miejsce. W murach znajdowało się zadziwiająco mało okien, zupełnie jakby plac naraził się czymś domom, więc odwróciły się do niego plecami i patrzyły w inną stronę. W maleńkim, zamkniętym obecnie sklepiku najwyraźniej nie sprzedawano niczego poza rachatlukum w nieskończonej liczbie odmian i barw. Panie Greysteel zerknęły na wystawę, zastanawiając się głośno, kiedy sklepik będzie otwarty i czy zdołają ponownie znaleźć drogę do niego.

Strange przechadzał się po placu. Nie rozmyślał o niczym szczególnym. Powietrze było bardzo rześkie, przyjemnie zimne, na niebie ukazała się pierwsza gwiazda. Nagle usłyszał dziwne skrobanie za sobą i odwrócił głowę, żeby sprawdzić, coż to takiego.

W najciemniejszym kącie małego placu coś stało - coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Było to czarne, tak czarne, jakby stworzone z otaczającej ciemności. Na głowie czy też na szczycie miało coś w rodzaju staroświeckiej lektyki, w jakiej czasami można zobaczyć matrony zwiedzające Bath. Okna lektyki były zakryte czarnymi zasłonami, a pod nią znajdowały się nogi i korpus wielkiego czarnego ptaka. Stworzenie miało wysoki czarny kapelusz i cienką czarną laskę. Brakowało mu oczu, ale Strange był pewien, że patrzyło wprost na niego i przeraźliwie drapało czubkiem laski o kamienie.

Strange uznał, że powinien się bać. Doszedł do wniosku, że może należałoby odprawić jakąś magię, by się tego pozbyć - zaklęcie rozproszenia, zaklęcie odprawienia,

zakłęcie ochrony. Nie mógł się na nich skupić. Choć to coś cuchnęło złem i niegodziwością, miał przeczucie, że nie zagraża ani jemu, ani nikomu z obecnych. Było raczej zwiastunem zła, które dopiero nadejdzie.

Właśnie zaczynał się zastanawiać, jak Greysteelowie znoszą to nagłe pojawienie się maskary, kiedy ta drgnęła. Widziadło zniknęło. W jego miejscu stał doktor Greysteel - doktor Greysteel w czarnym stroju i z laską w dłoni.

- I co?! - zawołał.

- Bardzo... bardzo przepraszam! - odkrzyknął Strange. - Czy pan coś mówił? Myślałem... myślałem o czymś innym.

- Pytałem, czy zje pan dziś z nami kolację!

Strange wpatrywał się w niego.

- Co się dzieje? Słabo panu? - spytał doktor Greysteel.

Popatrzył dziwnie na Strange'a, jakby w twarzy lub zachowaniu maga dostrzegł coś, co nie przypadło mu do gustu.

- Czuję się znakomicie, zapewniam pana - powiedział Strange. - I chętnie zjem z państwem kolację. Sprawi mi to ogromną przyjemność. Tylko że obiecałem lordowi Byronowi, że o czwartej zagram z nim w bilard.

- Musimy znaleźć gondolę, by wrócić - oznajmił doktor Greysteel. - Chyba Louisa jest bardziej zmęczona, niż chce przyznać. - (Miał na myśli ciocię Greysteel). - Gdzie spotyka się pan z jego lordowską mością? Skąd odbierze pana stangret?

- Dziękuję, ale pójdę pieszo - odparł Strange. - Pańska siostra miała rację. Potrzeba mi świeżego powietrza i wysiłku.

Panna Greysteel była nieco rozczarowana informacją, że Strange z nimi nie wraca. Obie damy i mag żegnali się długo i po kilka razy przypominali sobie, że spotkają się za kilka godzin. W końcu doktor Greysteel zaczął tracić cierpliwość.

Greysteelowie odeszli w kierunku Rio. Strange kroczył w pewnej odległości za nimi. Był wstrząśnięty. Usiłował wmówić sobie, że widziadło było zaledwie wynikiem gry światła, ale sam w to nie wierzył. Musiał przyznać, że doświadczenie to przypominało nawrót szaleństwa starej damy.

- To bardzo irytujące! Wydawało mi się, że skutki działania nalewki całkiem minęły! No cóż, Bogu dzięki, więcej nie muszę jej pić. Jeśli ten elf nie zechce mi służyć, znajdę sposób na wezwanie innego.

Wyszedł z mroku alejki na światła Rio i ujrzał, że Greysteelowie znaleźli gondolę i jakiś dżentelmen pomaga pannie Greysteel do niej wsiąść. Najpierw uznał, że to nieznajomy,

ale po chwili dostrzegł, że osoba ta ma grzywę lśniących włosów podobnych do puchu ostu. Pospieszył się przywitać.

- Urodziwa młoda dama! - oświadczył dżentelmen, gdy gondola odbiła od nabrzeża. Jego oczy zalśniły. - Pewnie przepięknie tańczy?

- Tańczy? - powtórzył Strange - Nie wiem. Mieliśmy iść razem na bal w Genui, ale rozboleł ją ząb. Zdumiewa mnie pański widok. Nie oczekiwałem, że się pan zjawi, nim znów pana wezwę.

- Ach, przemyślałem propozycję naszej współpracy, panie! Uważam, że to doskonały pomysł.

- Cieszy mnie to - odparł Strange, skrywając uśmiech. - Proszę mi coś powiedzieć. Od wielu tygodni usiłowałem pana wezwać. Dlaczego nie zjawił się pan wcześniej?

- Och. Łatwo to wyjaśnić! - odrzekł dżentelmen i zaczął snuć rozwlekłą opowieść o niegodziwym kuzynie, ogromnie zazdrosnym o jego cnoty i talenty. Kuzyn ten nienawidził wszystkich angielskich magów i uparcie psuł czary Strange'a, tak że do wczorajszego wieczoru dżentelmen nie miał pojęcia o jego staraniach. Historia była niesłychanie skomplikowana i Strange nie uwierzył w ani jedno słowo dżentelmena. Pomyślał jednak, że nie powinien dać tego po sobie poznać, i skłonił się w milczeniu.

- Ażeby ci pokazać, że doceniam, jaki honor mi uczyniłeś, przyniosę ci wszystko, czego pragniesz, panie - zakończył dżentelmen.

- Wszystko? - powtórzył Strange i spojrzał na niego uważnie. - Rozumiem, że ta propozycja jest wiążąca. Kiedy już sobie czegoś zażyczę, nie będzie mógł mi pan odmówić?

- Nawet nie będę chciał!- Mogę prosić o bogactwa, władzę nad światem? Tego typu rzeczy?- Właśnie! - przytaknął rozradowany dżentelmen. Uniósł ręce, by zacząć czarowanie.- Ale ja wcale tego nie chcę. Zależy mi przede wszystkim na informacjach. Z jakim angielskim magiem miał pan ostatnio do czynienia?

Zapadła cisza.

- Och, nie chciałbyś tego słuchać! - oświadczył w końcu dżentelmen. - Zapewniam cię, panie, że to strasznie nudne. No, mów! Musi być coś, czego pragniesz ponad wszystko. Własne królestwo? Piękna towarzyszka? Księżna Paulina Borghese to cudowna kobieta, a mogę ją tu sprowadzić w mgnieniu oka!

Strange otworzył usta, by coś powiedzieć, i nagle znieruchomiał.

- Paulina Borghese? Widziałem jej portret w Paryżu. - Ponownie się zamyślił i po chwili podjął: - Chwilowo nie jestem zainteresowany. Proszę mi opowiedzieć o magii. Jak miałbym się zmienić w niedźwiedzia? Albo w lisa? Jak się nazywają trzy magiczne rzeki z

królestwa Łaska? Ralph Stokesey uważał, że miały one wpływ na wydarzenia w Anglii - czy to prawda? W Języku ptaków jest wzmianka o grupie zaklęć rzucanych poprzez manipulację barwami. Opowie mi pan o tym? Co symbolizują Kwadraty z Doncasteru?

Dżentelmen w udawanym zdumieniu wyrzucił w górę dłonie.

- Tyle pytań! - Zaśmiał się. Z całą pewnością miał to być radosny, beztroski śmiech, ale wydawał się nieco wymuszony.

- Niech pan odpowie na jedno z nich. Dowolne.

Dżentelmen tylko uprzejmie się uśmiechnął.

Strange patrzył na niego z rozczarowaniem. Najwyraźniej propozycja elfa nie dotyczyła wiedzy, jedynie przedmiotów. „Gdybym chciał sprawić sobie prezent, to coś bym kupił - pomyślał Strange. - Gdybym chciał poznać Paulinę Borghese, to poszedłbym do niej i się przedstawił. Nie potrzebuję do tego magii. Jak u licha...” Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Proszę przynieść coś, co zyskał pan po ostatnim spotkaniu z angielskim magiem!

- Co?! - wykrzyknął poruszony dżentelmen. - Nie, nie chciałbyś tego! To bezwartościowe, zupełnie bezwartościowe! Pomyśl jeszcze!

Najwyraźniej prośba Strange'a bardzo go poruszyła. Strange nie miał pojęcia dlaczego. „Może ten mag dał mu coś drogiego i dlatego nie chce się z tym rozstawać - pomyślał. - Nieważne. Kiedy zobaczę, co to jest, i nauczę się z tego, co się da, zwrócę mu dar. To powinno przekonać go o moich dobrych zamiarach”. Uśmiechnął się uprzejmie.

- Umowa zobowiązuje, tak pan chyba mówił? - powiedział. - Oczekuję tego, cokolwiek to jest, dziś wieczorem.

O ósmej jadł kolację z Greysteelami w ich ponurej jadalni. Panna Greysteel zapytała o lorda Byrona.

- Och, nie zamierza wracać do Anglii - odparł. - Poematy może pisać wszędzie. Natomiast ja... Tak jak angielska magia została ukształtowana w Anglii, tak Anglia kształtowana jest przez angielską magię. Są nierozzerwalne.

Panna Greysteel lekko zmarszczyła brwi.

- Chce pan powiedzieć, że angielskie umysły, historia i tak dalej są ukształtowane przez magię. Posłużył się pan metaforą.

- Nie, mówiłem dosłownie. Na przykład to miasto zbudowano w zwykły sposób...

- Och! - przerwał doktor Greysteel ze śmiechem. - Typowa opinia maga! Nutka pogardy dla wszystkiego, co powstało w zwykły sposób.

- Nie zamierzałem okazywać braku szacunku. Zapewniam pana, że bardzo poważam

wszystko, co zostało stworzone w zwykły sposób. Chciałem jedynie zauważyć, że kształt granic Anglii został ustalony w magiczny sposób.

- Nie jestem tego pewien. - Doktor Greysteel pokręcił głową. - Proszę o przykład.

- Naturalnie. Było kiedyś piękne miasto na wybrzeżu w hrabstwie York, Jego mieszkańcy zaczęli się zastanawiać, czy ich król, John Uskglass, powinien żądać od nich podatków. Twierdzili, że przecież tak wielki mag może sobie wyczarować złoto z powietrza. Zastanawiać się jest rzeczą ludzką, ale ci głupcy na tym nie poprzestali. Odmówili zapłaty i zaczęli spiskować wraz z wrogami króla. Człowiek powinien trzy razy pomyśleć, zanim pokłóci się z magiem, jeszcze dłużej, nim pokłóci się z królem. A co dopiero, kiedy magiem i królem jest jedna osoba! Niebezpieczeństwo wzrasta kilkaset razy. Najpierw pojawił się wiatr z północy. Gdy owiał zwierzęta, krowy, świnie, drób, owce, nawet koty i psy zestarzały się i zdechły. Gdy dotknął samego miasta, domy zamieniły się w ruiny na oczach nieszczęśliwych mieszkańców. Pękały narzędzia, tłukły się naczynia, drewno się paczyło i rozszczeniało, cegły i kamienie zamieniły się w pył. Kamienne rzeźby w kościele kruszyły się jakby ze starości, ich oblicza zdawały się krzyczeć. Wiatr chłostał morze, nadając mu groźne kształty. Ludzie, bardzo rozsądnie, zaczęli uciekać. Gdy dotarli na wyższe tereny, odwrócili się i ujrzeli, jak resztki miasta powoli nikną pod zimnymi szarymi falami.

Doktor Greysteel uśmiechnął się.

- Żaden rząd - ani wigowie, ani torysi, ani cesarze, ani magowie - nie lubi, gdy ludzie nie płacą podatków. Czy zamieści pan takie opowieści w swym następnym dziele?

- Naturalnie. Nie jestem jednym z tych skąpych autorów, którzy ważą słowa co do grama. Mam bardzo liberalne poglądy, jeśli chodzi o magię. Każdy, kto zapłaci panu Murrayowi gwineę, przekona się, że szeroko otwarłem drzwi do moich zasobów i moja wiedza jest na sprzedaż. Czytelnicy mogą wędrować wśród nich i bez pośpiechu wybierać.

Panna Greysteel poważnie zastanowiła się nad tą opowieścią.

- Został sprowokowany - powiedziała w końcu - ale i tak zachował się jak tyran.

Usłyszeli odgłos kroków.

- O co chodzi, Frank? - spytał doktor Greysteel. Służący Frank wyłonił się z cienia.

- Znaleźliśmy list i niewielką szkatułkę. Obie rzeczy są dla pana Strange'a. - Frank wydawał się zaniepokojony.

- No to nie stój i się nie gap! Pan Strange siedzi tutaj. Podaj mu list i szkatułkę.

Wyraz twarzy Franka i jego zachowanie świadczyły o tym, że zмага się z wielkim problemem. Zmarszczone brwi dowodziły, że jest w kropce. Po raz ostatni spróbował podzielić się z chlebodawcą swoimi wątpliwościami:



- List i szkatułka leżały na podłodze tuż pod drzwiami, ale drzwi były zamknięte na skobel!

- No to ktoś musiał je otworzyć, Frank. Nie wymyślaj tajemnic tam, gdzie ich nie ma - powiedział doktor Greysteel.

Wobec tego Frank podał list i szkatułkę Strange'owi i odszedł w ciemność, mamrocząc pod nosem i wypytyując krzesła oraz stoły po drodze, czemu bierze się go za ciołka.

Ciocia Greysteel życzliwie poradziła Strange'owi, żeby się nie krępował - był wśród przyjaciół i mógł swobodnie przeczytać list. Było to bardzo uprzejme z jej strony, acz niepotrzebne, gdyż Strange już dawno zaczął czytać.

- Och, ciociu! - wykrzyknęła panna Greysteel, podnosząc szkatułkę postawioną na stole przez Franka. - Patrz, jakie to piękne.

Szkatułka była mała i długa, ze srebra i porcelany. Miała przepiękny niebieski odcień, chociaż właściwie bardziej liliowy. A właściwie niezupełnie liliowy, raczej szarawy. Ściśle biorąc, był to kolor rozpaczy. Na szczęście ani panna Greysteel, ani ciocia Greysteel nigdy nie odczuły prawdziwej rozpaczy, toteż nie rozpoznały tej barwy.

- Rzeczywiście jest bardzo piękna - przyznała ciocia. - Czy to włoska robota, proszę pana?

- Mmm? - Strange uniósł oczy znad listu. - Nie wiem.

- Czy coś jest w środku? - dopytywała się ciocia Greysteel.

- Tak mi się wydaje. - Panna Greysteel sięgnęła do szkatułki, by ją otworzyć.

- Floro! - Doktor Greysteel z oburzeniem pokręcił głową.

Przyszło mu na myśl, że szkatułka może być prezentem, który Strange zamierza wręczyć Florze. Nie bardzo mu się podobał ten pomysł, ale doktor Greysteel nie uważał się za osobę kompetentną do oceny zachowań takiego bywalca jak Strange.

Mag, wciąż z nosem w liście, nie słyszał ostatnich uwag. Wziął do ręki szkatułkę i otworzył ją.

- Czy coś jest w środku, proszę pana? - spytała ciocia Greysteel.

Strange pośpiesznie zamknął szkatułkę.

- Nie, proszę pani, nic. - Wsunął szkatułkę do kieszeni, natychmiast wezwał Franka i poprosił o wodę.

Opuścił Greysteelów tuż po kolacji i poszedł prosto do kawiarni na rogu Calle de la Cortesia. Zawartość szkatułki nim wstrząsnęła, więc Strange pragnął być między ludźmi, gdy otworzy ją ponownie.

Kelner przyniósł mu brandy. Strange wypił łyk i otworzył pudełeczko.

Najpierw uznał, że elf przysłał mu woskową kopię małego, białego, amputowanego ludzkiego palca. Palec był tak blady, że niemal wydawał się zielonkawy, z nutą różu w rowkach wokół paznokcia. Strange zastanawiał się, dlaczego ktoś tak ciężko pracował nad stworzeniem czegoś tak paskudnego.

Ale w chwili, gdy dotknął palca, zorientował się, że wcale nie wykonano go z wosku. Był lodowato zimny, lecz skóra przesuwiała się na nim tak samo jak na jego palcu. Można było zauważyć pod nią mięśnie i je wymacać. Bez wątplenia był to ludzki palec. Sądząc z wielkości, musiał należeć do dziecka, a może był to mały palec kobiety o drobnych dłoniach.

„Ale dlaczego mag dał mi palec? - zastanawiał się Strange. - Może to palec maga? Tylko to raczej niemożliwe, chyba że mag był dzieckiem albo kobietą”.

Przyszło mu do głowy, że już kiedyś słyszał coś o jakimś palcu, ale w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć co. O dziwo, pamiętał jednak, kto o tym mówił - Drawlight. „To wyjaśnia, dlaczego nie zwróciłem na to uwagi. Ale dlaczego Drawlight mówił o magii? Nic o niej nie wiedział i nic go nie obchodziła”. Upił jeszcze trochę brandy. „Myślałem, że jeśli poznam elfa, wszystkie tajemnice znikną. Okazało się jednak, że pojawiła się nowa”.

Zaczął się zastanawiać nad różnymi opowieściami o wielkich angielskich magach i ich elfich sługach. Martin Pale i Mistrz Witcherley, Mistrz Fallowthought i cała reszta. Thomas Godbless i Dick Wpadnijwtorek, Meraud i Coleman Gray i naj słynniejsi: Ralph Stokesey i Col Tom Blue.

Kiedy Stokesey po raz pierwszy natrafił na Cola Toma Blue, ten był dzikim, niesfornym stworzeniem - ostatnim elfem, który sprzymierzyłby się z angielskim magiem. Wobec tego Stokesey podążył za nim do Faerie, do zamku Cola Toma Blue. Chodził po nim niewidzialny i odkrył mnóstwo interesujących rzeczy.

Strange nie był tak naiwny, aby wierzyć, że opowieść przedstawiana dzieciom i historykom magii oddaje rzeczywiste wydarzenia. „Ale na pewno jest w tym ziarno prawdy - pomyślał. „Być może Stokesey zdołał się wdrzeć do zamku Cola Toma Blue, a to przekonało elfa, że warto się zadawać z takim magiem. Nie ma powodu, bym nie zrobił czegoś w tym rodzaju. W końcu ten elf nic nie wie o moich osiągnięciach. Gdybym złożył mu nieoczekiwaną wizytę, pokazałoby mu to moje umiejętności”.

Pomyślał o mglistym zimowym dniu w Windsorze, gdy mało brakowało, by on i król znaleźli się w Faerie, zwabieni magią dżentelmena. Przypomniał sobie las i światełka, które sugerowały istnienie starego domu. Królewskie Trakty z pewnością by go tam zaprowadziły, ale, pomijając obietnicę złożoną Arabelli, nie miał ochoty szukać dżentelmena za pomocą magii, którą już raz się posłużył. Chciał czegoś nowego, poruszającego. Przy następnym

spotkaniu z dżentelmenem pragnął być pewien siebie i radosny, a tak zawsze się czuł po szczęśliwym zastosowaniu nowego zaklęcia.

„Faerie nie jest tak daleko stąd - pomyślał. - Można się tam dostać na tysiące sposobów. Chyba zdołam znaleźć choć jeden z nich...”

Znał zaklęcie, które otwierało ścieżkę między dwoma wskazanymi przez maga bytami. Było bardzo stare i bardzo bliskie elfiej magii. Utworzone ścieżki z pewnością wiodły z jednego świata do drugiego. Strange nigdy jeszcze go nie rzucał, nie miał więc pojęcia, jak ścieżka będzie wyglądała i jak ją pokonać. Wierzył jednak, że zdoła to uczynić. Wymamrotał kilka słów, uczynił kilka gestów i wyznaczył siebie i dżentelmena na dwa byty, które należało połączyć.

Nastąpiło drgnięcie przestrzeni, jak to się czasem dzieje tuż po rzuceniu zaklęcia - całkiem jakby otworzyły się i zamknęły niewidzialne drzwi, a on znalazł się po obu stronach. Albo jakby wszystkie budynki w mieście się obróciły i stały teraz frontem w innym kierunku. Magia najwyraźniej udała się znakomicie. Z pewnością coś zaszło, nie widział jednak rezultatów. Zastanawiał się, co dalej robić.

„To zapewne kwestia postrzegania. Wiem, jak temu zaradzić”. Zastanowił się. „To nie będzie przyjemne. Chyba nie powinienem znowu jej używać, ale może jeszcze jeden raz nie zaszkodzi”. Sięgnął do kieszonki na piersi i wyciągnął nalewkę szaleństwa. Kelner przyniósł mu szklanekę wody, a Strange ostrożnie odmierzył jedną kropelkę i wypił.

Rozejrzał się i po raz pierwszy dostrzegł linię migotliwego światła, która biegła po wyłożonej kafelkami podłodze kawiarni od jego stolika aż za drzwi. Bardzo przypominała linie, które zwykle pojawiały się w srebrnej misie pełnej wody. Odkrył, że jeśli patrzy wprost na nią, linia znika. Kiedy jednak zerkał kątem oka, widział ją bardzo dobrze.

Zapłacił kelnerowi i wyszedł na ulicę.

„Imponujące” - pomyślał.

## Rozdział jedenasty

*„Drugi w ręku wroga ujrzy najcenniejszą swą własność...”* noc z 2 na 3 grudnia

Było tak, jakby niebezpieczeństwo, które zawsze zagrażało Wenecji, w końcu ją dopadło. Nie pochłonęła jej jednak woda, lecz las. Ciemne, przerażające drzewa tłoczyły się w alejkach i na placach, wypełniły kanały. Mury nie stanowiły dla nich żadnej przeszkody.

Gałęzie przeszywały kamienie i szkło, korzenie zapuszczały się głęboko pod bruk, bluszcz porósł rzeźby i kolumny. Nagle zrobiło się o wiele ciemniej i ciszej. Zwisające brody jemioły ukryły lampy i świece, a gęsty baldachim z gałęzi zasłonił księżyc.

Mimo to weneccjanie nie zauważyli żadnej zmiany. Strange często czytał o tym, jak radośnie nieświadomi magii potrafią być ludzie, ale nigdy tego nie widział. Pomocnik piekarza niósł na głowie tacę z chlebem. Kiedy Strange patrzył, mężczyzna zgrabnie wymijał drzewa, których istnienia nawet nie podejrzewał, i uchylał się, by uniknąć gałęzi, które mogły wykłuć mu oko. Mężczyzna i kobieta, ubrani jak na bal albo ridotto, szli ramię w ramię po Salizzada San Moise, szepcząc do siebie. Na ich drodze stało wielkie drzewo. Oderwali się od siebie bardzo naturalnie, minęli drzewo z obu stron, a potem znów zetknęli się ramionami.

Strange kroczył linią migotliwego światła po alei prowadzącej do nabrzeża. Tam, gdzie kończyło się miasto, rosły drzewa, a linia światła biegła wśród nich.

Perspektywa skoku do wody niezbyt przypadła mu do gustu. W Wenecji nie ma łagodnie opadającej plaży - kamienny świat miasta kończy się na nabrzeżu, gdzie natychmiast zaczyna się Adriatyk. Strange nie miał pojęcia, jak głęboka jest tu woda, ale nie wątpił, że można się w niej utopić. Mógł tylko mieć nadzieję, że lśniąca ścieżka, która wiodła go wśród drzew, nie da mu utonąć. Jednocześnie świadomość, że o wiele lepiej się nadaje do tej przygody niż Norrell, mile łechtala jego próżność. Norrell za nic nie wszedłby do morza. Nie cierpiał moknąć. Kto powiedział, że magowi trzeba subtelności jezuita, śmiałości żołnierza i sprytu złodzieja? To chyba miała być zniewaga, ale tkwiło w tym ziarno prawdy.

Zszedł z nabrzeża. Natychmiast morze stało się bardzo nierzeczywiste i nieziemskie, a las bardziej namacalny. Wkrótce woda była jedynie ledwie dostrzegalnym przebłyskiem wśród ciemnych drzew, a słony zapach mieszał się z typowym aromatem nocnego lasu.

„Jestem pierwszym od niemal trzystu lat angielskim magiem, który wchodzi do Faerie”, pomyślał Strange. Był niezwykle zadowolony i żałował, że nie ma tu nikogo, kto by go podziwiał i się zdumiewał. Uświadomił sobie, jak bardzo ma dosyć ksiąg i milczenia, jak tęskni za czasami, kiedy bycie magiem oznaczało podróże do miejsc, których nie widział żaden Anglik. Po raz pierwszy od czasów bitwy pod Waterloo działał. Potem przyszło mu do głowy, że zamiast sobie gratulować, powinien rozejrzeć się wokół i sprawdzić, czy może się czegoś nauczyć. Zmusił się do uważnej obserwacji otoczenia.

Ten las tylko pozornie przypominał angielskie lasy, drzewa były nieco zbyt stare, nieco zbyt potężne, o nieco zbyt fantastycznych kształtach. Strange odniósł wrażenie, że mają charaktery, sympatie, antypatie i pragnienia. Wyglądały tak, jakby przywykły do takiego samego traktowania jak ludzie i oczekiwały, że zostaną wtajemniczone w sprawy, które ich dotyczą.

„Jest tak, jak się spodziewałem, ale powinienem to potraktować jako ostrzeżenie, że ten świat bardzo się różni od mojego - pomyślał. - Istoty, które tutaj spotkam, z pewnością będą zadawały mi pytania. Spróbują mnie zwiść”. Zaczął sobie wyobrażać, jakie pytania mogą mu postawić, i przygotowywał mnóstwo błyskotliwych odpowiedzi. Nie czuł strachu, nie uląkłby się nawet smoka. W ostatnich dwóch dniach przebył długą drogę. Czuł, że nie ma takiej rzeczy, której nie zdołałby zrobić, gdyby tylko zechciał.

Mniej więcej po dwudziestu minutach spaceru lśniąca linia zaprowadziła go do domu, który natychmiast rozpoznał: widział go równie dobrze jak tamtego dnia w Windsorze. Obecnie jednak dom wyglądał inaczej. W Windsorze wydawał się jasno oświetlony i przyjazny, teraz - ubogi i w ruinie. Okna były liczne i bardzo małe, w większości ciemne. Budynek okazał się znacznie większy, niż Strange oczekiwał - znacznie większy niż jakakolwiek ziemská budowla. „Car Rosji może mieć równie duży dom - pomyślał. - Albo papież w Rzymie. Sam nie wiem. Nigdy u nich nie byłem”.

Dom był otoczony wysokim murem i tam właśnie urywała się migotliwa linia. Strange nie widział żadnego wejścia, więc wymamrotał zaklęcie objawienia Ormskirka, a natychmiast po nim Tarczę Taillemache'a, zaklęcie zapewniające bezpieczne przejście przez zaczarowane miejsca. Miał szczęście, natychmiast otworzyła się niewielka furтка. Minął ją i znalazł się na wielkim mrocznym podwórzu, pełnym kości, które lśniły w świetle gwiazd. Niektóre szkielety miały na sobie zardzewiałe zbroje. Broń, która je przeszyla, wciąż tkwiła w żebrach trupów lub wystawała z ich oczodołów.

Strange widział pola bitewne Badajoz i Waterloo. Kilka starych szkieletów nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia, choć uznał, że to interesujące. Czuł, że naprawdę znalazł się w Faerie.

Dom był wprawdzie w żalosnej kondycji, ale Strange podejrzewał, że jest w nim coś magicznego. Znowu wypróbował objawienie Ormskirka. Dom natychmiast się poruszył i zmienił, a wtedy Strange zobaczył, że tylko częściowo jest zbudowany z kamienia. Część murów, przypór i wież przybrała teraz formę wielkiej kopy ziemi, a właściwie wzgórze. „To brugh pomyślał z ożywieniem.

Minął niskie wejście i znalazł się w pomieszczeniu pełnym tancerzy. Byli ubrani w

przepiękne stroje, ale sala wymagała natychmiastowego remontu. Część jednej ze ścian się zapadła, leżał tam gruz. Nieliczne meble były zniszczone, świece najlichsze z możliwych, a grało zaledwie dwóch muzyków: jeden na skrzypcach, drugi na piszczalce.

Nikt nie zwracał na Strange'a najmniejszej uwagi, więc mag stał pod ścianą i obserwował bawiące się pary. Pod wieloma względami ta rozrywka była mu bliższa niż, powiedzmy, *conversazione* w Wenecji. Maniery gości wydawały się bardziej angielskie, a same tańce przypominały te, w których z upodobaniem co tydzień uczestniczyli dżentelmeni i damy od Newcastle po Penzance.

Przyszło mu do głowy, że dawniej i on lubił tańczyć, podobnie jak Arabella. Po wojnie w Hiszpanii jednak rzadko oddawał się tej rozrywce z Arabella lub innymi damami. W Londynie, czy to na balu, czy w siedzibie rządu, zawsze wciągały go rozmowy o magii. Zastanawiał się, czy Arabella tańczyła z innymi dżentelmenami. Zastanawiał się, czy ją o to pytał. „Jeśli nawet ją spytałem - pomyślał z westchnieniem - na pewno nie słuchałem odpowiedzi. Nic nie pamiętam”.

- Dobry Boże, proszę pana! Co pan tu robi?

Strange odwrócił się, by sprawdzić, kto to mówi. Nie był przygotowany na to, że pierwszą osobą, którą tu spotka, będzie kamerdyner sir Waltera Pole'a. Nie pamiętał imienia tego człowieka, chociaż sir Walter powtarzał je setki razy. Simon? Samuel?

Mężczyzna złapał Strange'a za ramię i potrząsnął nim. Wydawał się niesłuchanie poruszony.

- Na litość boską, co pan tu robi? Czy pan nie wie, że on pana nienawidzi?

Strange otworzył usta, żeby udzielić jednej ze swych błyskotliwych odpowiedzi, lecz się zawahał. Niby kto go nienawidził? Norrell?

Mężczyzna zniknął wśród osób uczestniczących w skomplikowanym tańcu. Strange rozglądał się za nim i nagle zauważył go po drugiej stronie sali. Kamerdyner patrzył na niego z wściekłością, jakby złościło go, że Strange ciągle tu jest. „Bardzo dziwne - pomyślał Strange. - Ale oczywiście. Robią to, czego się można najmniej spodziewać. To pewnie wcale nie jest kamerdyner Pole'a, tylko elf, który się pod niego podszył. Albo magiczna iluzja”.

Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu swojego elfa.

- Stephenie! Stephenie!

- Jestem, proszę pana! - Stephen odwrócił się i ujrzał u swego boku dżentelmena o włosach jak puch ostu.

- Mag przybył! Jest tutaj! Czego może chcieć?

- Nie wiem.

- Och! Zamierza mnie zniszczyć!

Wiem, że tak. Stephen był zdumiony. Przez długi czas wydawało mu się, że dżentelmen nie lęka się żadnych niebezpieczeństw. Teraz jednak był niespokojny i przerażony.

- Ale dlaczego miałby to robić? - spytał Stephen uspokajającym tonem. - Sądzę, że raczej przyszedł tu, by uwolnić... by zabrać swoją żonę. Może powinniśmy zdjąć zaklęcie z pani Strange i pozwolić jej wrócić do domu wraz z mężem? I lady Pole też. Pozwólmy pani Strange i lady Pole powrócić do Anglii razem z magiem. Jestem pewien, że to złagodzi jego gniew. Na pewno zdołam go przekonać.

- Co? O czym ty mówisz? Pani Strange? Ależ nie, Stephenie! Bardzo się mylisz. Ani słowem nie wspomniał o naszej drogiej pani Strange. Ty i ja, drogi Stephenie, potrafimy docenić towarzystwo takiej kobiety. On nie. Całkiem o niej zapomniał. Znalazł sobie nową ukochaną - uroczą młodą damę, która, mam nadzieję, kiedyś zaszczyści swą obecnością nasze bale. Jest równie niestały w uczuciach jak każdy Anglik! Tak, wierz mi, przybył mnie zniszczyć! Od chwili, w której poprosił o palec lady Pole, wiedziałem, że jest o wiele mądrzejszy, niż sądziłem. Poradź mi coś, Stephenie, tyle lat żyłeś wśród tych Anglików. Co powinienem zrobić? Jak mam się strzec? Jak ukarać taką niegodziwość?

Mimo ociężałości i otumanienia wywołanego zaklęciem Stephen starał się trzeźwo myśleć. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżał się wielki kryzys. Jeszcze nigdy dżentelmen tak jawnie nie prosił go o pomoc. Stephen uznał, że na pewno zdoła obrócić to na swoją korzyść. Tylko jak? Wiedział z doświadczenia, że żaden z nastrojów dżentelmena nie trwa długo, gdyż był on najbardziej zmienną istotą na świecie. Jedno słowo mogło zmienić jego strach w jawną wściekłość i nienawiść. Gdyby Stephen popełnił jakiś błąd, to zamiast uwolnić siebie i innych, mógłby sprowokować dżentelmena do zgładzenia ich wszystkich. Rozejrzał się po sali w poszukiwaniu inspiracji.

- Co mam robić, Stephenie? - jęczał dżentelmen. - Co robić?

Coś przyciągnęło uwagę Stephena. Pod czarnym łukiem dostrzegł znajomą sylwetkę elfki, która zwykle nosiła czarny welon. Ciągnął się od czubka jej głowy po koniuszki palców u stóp. Nigdy nie przyłączyła się do tańczących, tylko przechadzała się wśród nich. Stephen nie widział, by kiedykolwiek z kimś rozmawiała, jednak gdy przechodziła, czuć było od niej leciutki zapach cmentarzy, ziemi i kostnicy. Nie mógł na nią spojrzeć bez dreszczu strachu, ale nie miał pojęcia, czy była zła, przeklęta, czy też jedno i drugie.

- Żyją na tym świecie ludzie, dla których życie stanowi udrękę - zaczął. - Od świata oddziela ich czarny welon. Są jak nocne cienie, odcięci od radości, miłości i wszystkich

ludzkich emocji, niezdolni nawet pocieszyć się nawzajem. Ich dni wypełniają jedynie mrok, ból i samotność. Wie pan, kogo mam na myśli. Nie... Nie mówię tu o winie...

Dżentelmen patrzył na niego niesłuchanie uważnie.

- Jestem pewien, że zdołamy załagodzić gniew maga, jeśli tylko uwolni pan...

- Ach! - wykrzyknął dżentelmen, a w jego oczach pojawiło się zrozumienie. Uniósł ręce na znak, że Stephen ma zamilknąć.

Stephen był pewien, że posunął się za daleko.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptał.

- Wybaczyc? - powtórzył dżentelmen zaskoczony. - Ależ tu nie ma nic do wybaczenia.

Od wieków nikt nie przemówił do mnie tak otwarcie. Darzę cię za to wielkim szacunkiem! Mrok, o tak! Mrok, ból i samotność! - Obrócił się na pięcie i wmieszał się w tłum.

Strange znakomicie się bawił. Osobliwe sprzeczności nie zaniepokoiły go w najmniejszym stopniu; właśnie tego się spodziewał. Mimo ubogiego wyglądu wielka sala pełna była magii. Wprawnym okiem Strange zauważył, że co najmniej część pomieszczenia znajduje się pod ziemią.

Stojąca nieopodal elfka patrzyła na niego spokojnie. Miała na sobie suknię koloru zimowego zachodu słońca, a w dłoniach trzymała delikatny, migoczący wachlarz ozdobiony kryształowymi perełkami, które przypominały szron na liściach i sopelki lodu zwisające z gałązek.

Lada moment znów miały rozpocząć się tańce. Żaden z panów nie poprosił do tańca elfki, więc wiedziony impulsem Strange uśmiechnął się, skłonił i rzekł:

- Właściwie nikt z gości mnie nie zna. Nie możemy zostać sobie przedstawieni. Mimo to byłbym zaszczycony, gdyby zgodziła się pani ze mną zatańczyć.

Nie odpowiedziała mu, ani się nie uśmiechnęła, lecz ujęła jego wyciągniętą dłoń i pozwoliła się poprowadzić. Zajęli miejsca wśród pozostałych tancerzy i przez chwilę stali bez słowa.

- Myli się pan, twierdząc, że nikt pana nie zna - odezwała się nagle. - Znam pana. Jest pan jednym z dwóch magów, dzięki którym magia powróci do Anglii. - A potem dodała, jakby recytując prorocstwo lub powszechnie znaną przepowiednię: - Imię jednego to Bojaźń. Imię drugiego - Arogancja. Cóż, z pewnością nie jest pan Bojaźnią, więc zapewne chodzi o Arogancję.

Nie było to uprzejme.

- To rzeczywiście moje przeznaczenie - przytaknął Strange. - Niezwykle obiecujący



los!

- Tak pan uważa? - Zerknęła na niego z ukosa. - To dlaczego jeszcze pan niczego nie dokonał?

Strange uśmiechnął się do niej.

- A czemu sądzi pani, że niczego nie dokonałem?

- Bo pan tu stoi.

- Nie rozumiem.- Nie słuchał pan przepowiedni, kiedy ją panu wyrecytowano.- Przepowiedni?- Tak, przepowiedni... - Tu wypowiedziała jakieś imię, ale we własnym języku, więc Strange nic nie zrozumiał.

- Słucham?- Przepowiedni Króla.Strange pomyślał o Vinculusie, jak dźwigał się spod żywopłotu w ubraniu, do którego przyczepiły się źdźbła wyschniętej trawy i puste strączki. Pamiętał, że Vinculus coś wyrecytował, jednakże nie miał pojęcia co. Wtedy Strange nie planował zostać magiem i nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Chyba rzeczywiście istniała jakaś przepowiednia, pani - przytaknęła. - Prawdę mówiąc, słyszałem ją bardzo dawno temu i nie pamiętam. Co ta przepowiednia głosi? Co zrobimy, ten drugi mag i ja?

- Poniesiecie klęskę.

Zaskoczony Strange zamrugął.

- Ja... Nie sądzę... Poniesiemy klęskę? Nie, pani. Za późno. Odnosimy największe sukcesy od czasów Martina Pale'a.

Kobieta milczała.

Strange zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście jest zbyt późno na upadek. Pomyślał o panu Norrellu w domu na Hanover Square, o panu Norrellu w opactwie Hurtfew, panu Norrellu chwalonym przez wszystkich ministrów o życzliwie traktowanym przez księcia regenta. Być może zakrawało na ironię, że właśnie on pocieszał się sukcesem pana Norrella, ale w tej chwili nic na świecie nie wydawało się równie solidne, równe pewne. Elfka się myliła. Przez kilka minut zajęci byli tańcem. W pewnej chwili kobieta zauważyła:

- Wykazałeś wielką odwagę, przychodząc tutaj, magu.

- Dlaczego? Czemu powinienem się obawiać?

Zaśmiała się.

- Jak sądzisz, ilu angielskich magów pozostawiło tutaj swoje kości? Pod tymi gwiazdami?

- Nie mam pojęcia.- Czterdziestu siedmiu.Strange poczuł się nieco mniej komfortowo.

- Nie licząc Petera Porkissa, ale on nie był magiem, tylko najzwyczajniejszym w

świecie fuszerem.

- W rzeczy samej.

- Nie udawaj, że wiesz, o co mi chodzi - zachnęła się. - To oczywiste jak koniec świata, że nie wiesz.

Strange znów nie miał pojęcia, co odrzec. Najwyraźniej uparła się okazywać niezadowolenie. Po chwili doszedł do wniosku, że nie ma w tym nic niezwykłego. W końcu w Bath i Londynie, i we wszystkich miastach Europy damy udawały, że besztają mężczyzn, których pragnęły sobą zainteresować. Jego zdaniem elfka była taka sama. Postanowił traktować jej surowość jak zaproszenie do flirtu i sprawdzić, czy to ją ułagodzi.

Zaśmiał się lekko i rzekł:

- Najwyraźniej dobrze pani wie, co się wydarzyło w tym brugh. - Wymawiając to słowo, tak romantyczne i archaiczne, poczuł lekki dreszczyk.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- W końcu goszczę tu od czterech tysięcy lat.

- Chętnie z panią porozmawiam, gdy tylko będzie pani wolna.

- Raczej kiedy ty będziesz wolny, magu. Wtedy bez sprzeciwu odpowiem na każde moje pytanie.

- Bardzo pani uprzejma.- Drobiazg. Może za sto lat od dzisiaj?- Prze... przepraszam? Elfka jednak najwyraźniej doszła do wniosku, że dość już się nagadała, i nie mógł wyciągnąć z niej niczego, oprócz banalnych uwag o balu i pozostałych tancerzach.

Taniec dobiegł końca, rozeszli się. Była to najdziwniejsza i najbardziej niepokojąca konwersacja, jaką kiedykolwiek prowadził Strange. Dlaczego elfka uważała, że magia jeszcze nie powróciła do Anglii? Co to były za bzdury o setce lat? Pocieszył się myślą, że kobieta, która spędziła większość życia w ponurej posiadłości w ciemnym, gęstym lesie, zapewne niewiele wie o tym, co się dzieje w wielkim świecie.

Powrócił do gapiów pod ścianą. Podczas następnego tańca przystanęła obok niego niesłychanie piękna kobieta. Uderzył go kontrast pomiędzy jej urodą a utrwalonym na twarzy smutkiem. Gdy uniosła dłonie, by połączyć ręce z rękoma partnera, ujrzał, że brak jej małego palca.

„Dziwne”, pomyślał i dotknął kieszeni fraka, gdzie znajdowała się szkatułka ze srebra i porcelany. „Może...” Nie mógł jednak wyobrazić sobie sytuacji, w której mag podarowałby elfowi palec kogoś z dworu tego elfa. To nie miało sensu.

„Pewnie te dwie rzeczy wcale się nie wiążą - pomyślał. Ale dłoń kobiety wydała mu się mała i blada. Był pewien, że palec w jego kieszeni pasowałby idealnie. Zzerała go

ciekawość i postanowił porozmawiać z nieznajomą, zapytać, jak straciła palec.

Taniec dobiegł końca. Kobieta rozmawiała z inną damą, stojącą plecami do Strange'a.

- Bardzo przepraszam... - zaczął.

Druga dama odwróciła głowę. To była Arabella.

Miała na sobie białą suknię z narzutką z błękitnej siateczki i brylantów. Suknia lśniła jak ścięta mrozem i była o wiele ładniejsza niż jakakolwiek suknia Arabelli z czasów, gdy mieszkała w Anglii. W jej włosach tkwiły gałązki pełne pączków podobnych do gwiazdek, a na szyi miała czarną aksamitkę.

Patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, w którym zdumienie mieszało się z ostrożnością, radość z niedowierzaniem.

- Jonathanie! Patrz, kochana! - wykrzyknęła do towarzyszek. - To Jonathan.

- Arabello... - zaczął.

Nie wiedział, co powiedzieć. Wyciągnął do niej rękę, ale nie zareagowała. Zmieszana, cofnęła się o krok i ujęła dłonie tej drugiej, nie znanej mu kobiety, jakby to właśnie do niej zwracała się po pociechę i wsparcie. Nieznana kobieta popatrzyła na Strange'a.

- Wygląda jak większość mężczyzn - zauważyła zimno. Po chwili jednak dodała, jakby spotkanie dobiegło końca: - Chodź.

Najwyraźniej usiłowała wyprowadzić stąd Arabellę.

- Poczekaj! - zaprotestowała Arabella cicho. - Na pewno przyszedł nam pomóc! Nie sądzisz, że tak właśnie jest?

- Może - odparła dama z powątpiewaniem. Ponownie popatrzyła na Strange'a. - Nie, nie sądzę. Myślę, że przybył tu z całkiem innych powodów.

- Wiem, że ostrzegałaś mnie, żebym nie robiła sobie fałszywych nadziei - powiedziała Arabella. - I staram się postępować zgodnie z twoją radą. Ale on tu jest! Byłam pewna, że mnie tak szybko nie zapomni.

- Zapomnieć cię?! - wykrzyknął Strange. - Ależ skąd! Arabello, ja...

- Czy przyszedł pan nam pomóc? - zapytała wprost kobieta.

- Co? Nie, ja... Musisz wiedzieć, że do teraz nie wiedziałem... To znaczy, chcę przez to powiedzieć, że niezupełnie rozumiem...

Nieznana kobieta jęknęła niecierpliwie.

- Przyszedł pan z pomocą czy nie? To chyba proste pytanie?

- Nie - odparł Strange. - Arabello, porozmawiaj ze mną, błagam. Powiedz mi, co...

- No i? Widzisz? - oświadczyła kobieta Arabelli. - Chodź, poszukamy sobie spokojnego miejsca, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Chyba widziałam wolną

ławeczkę nieopodal drzwi.

Arabella jednak nie chciała tak prędko odchodzić. Wciąż patrzyła na Strange'a w dziwny sposób, zupełnie jakby przyglądała się jego portretowi, a nie mężczyźnie z krwi i kości.

- Wiem, że nie pokładasz wielkiej nadziei w zamiarach mężczyzn, ale...

- W ogóle nie pokładam nadziei w mężczyznach - przerwała jej kobieta. - Wiem, co znaczy marnować lata na próżną wiarę, że ktoś ci pomoże. Brak wiary jest lepszy niż te nie kończące się rozczarowania!

Cierpliwość Strange'a się wyczerpała.

- Proszę wybaczyć, że przerywam, pani - powiedział do nieznajomej - ale chciałem zauważyć, że od kiedy do pań dołączyłem, nieustannie pani mi przerywa. Obawiam się, że muszę prosić o umożliwienie mi spokojnej rozmowy z żoną. Gdyby łaskawie udała się pani na przechadzkę...

Ale ani ona, ani Arabella go nie słuchały. Obie patrzyły trochę w prawo. U boku Strange'a pojawił się dżentelmen o włosach jak puch ostu.

Stephen przepychał się przez tłum tancerzy. Jego konwersacja z dżentelmenem o włosach jak puch ostu była bardzo niepokojąca. Coś zostało postanowione, ale im dłużej Stephen o tym myślał, tym mniejsze miał pojęcie co.

- Jeszcze nie jest za późno - mamrotał, brnąc przez tłum. - Jeszcze nie jest za późno.

Jakaś jego część - zimna, obojętna, zaczarowana - zastanawiała się, co miał na myśli. Nie jest za późno, żeby ocalić siebie? Ocalić lady Pole i panią Strange? Ocalić maga?

Nigdy szeregi tancerzy nie wydawały mu się takie długie - przypominały płot, który wyrósł mu na drodze.

- Proszę pana! - krzyknął, gdyż wydało mu się, że po drugiej stronie sali widzi szopę włosów podobnych do puchu ostu. - Proszę poczekać! Muszę z panem porozmawiać!

Światła się zmieniły. Muzyka i rozmowy ucichły. Stephen rozejrzał się wokół, przekonany, że właśnie znalazł się w nowym mieście albo na innym kontynencie, wciąż jednak przebywał w głównej sali Utraconej Nadziei. Było pusto, tancerze i muzycy zniknęli. Zostały jedynie trzy osoby: Stephen, a nieco dalej mag oraz dżentelmen o włosach jak puch ostu.

Mag wypowiedział imię żony. Pośpieszył ku ciemnym drzwiom, jakby zamierzał przetrząsnąć cały dom w jej poszukiwaniu.

- Czekaj! - krzyknął dżentelmen o włosach jak puch ostu.

Mag się odwrócił, a Stephen ujrzał, że jego twarz pociemniała od gniewu, a usta

poruszają się, jakby lada chwila miało z nich eksplodować zaklęcie.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu uniósł dłonie.

Sala wypełniła się stadem ptaków. Pojawiły się w mgnieniu oka, w mgnieniu oka zniknęły.

Ptaki uderzały Stephena skrzydłami, zabrakło mu tchu. Kiedy doszedł do siebie na tyle, by unieść głowę, dostrzegł, że dżentelmen o włosach jak puch ostu po raz drugi podniósł ręce.

Salę wypełniły wirujące liście. Były suche jak wiór i brązowe, zmieniły się w wiatr, który wiał znikąd. Pojawiły się w mgnieniu oka, w mgnieniu oka zniknęły.

Mag patrzył z przerażeniem. Najwyraźniej nie wiedział, jak ma postąpić w obliczu takiej magii.

„Już po nim” - pomyślał Stephen.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu wznosił dłonie po raz trzeci.

Sala pełna była deszczu - nie z wody, lecz krwi. Pojawił się w mgnieniu oka, w mgnieniu oka zniknął.

Zaklęcie prysło. W tej samej chwili mag zniknął, a dżentelmen o włosach jak puch ostu padł na podłogę, bliski omdlenia.

- Gdzie mag, proszę pana?! - wykrzyknął Stephen, przyklękawszy obok. - Co się stało?

- Odesłałem go do kolonii nadmorskiej Altinum - Odparł dżentelmen chrapliwym szeptem. Usiłował się uśmiechnąć, bez powodzenia. - Zrobiłem to, Stephenie! Zrobiłem, co mi doradziłeś. Odebrało mi to wszystkie siły. Do granic możliwości wykorzystałem swe dawne sojusze. Ale odmieniłem świat. Och! Zadałem mu ciężki cios! Mrok, ból i samotność! Już nas nie skrzywdzi! - Usiłował zaśmiać się triumfalnie, ale okropnie się rozkaszał i zaczął rzeźić. Kiedy mu przeszło, ujął Stephena za rękę. - Nie kłopotz się mną, Stephenie. Jestem nieco zmęczony, to wszystko. Okazałeś się człowiekiem niesłychanej przenikliwości i wizjonerem. Od tej chwili nie jesteśmy już przyjaciółmi, lecz braćmi! Pomogłeś mi pokonać wroga, a w dowód wdzięczności ja odnajdę twoje imię! Uczynię cię królem. - Jego głos zamarł.

- Proszę powiedzieć, co pan zrobił - wyszeptał Stephen.

Dżentelmen tylko zamknął oczy.

Stephen przez cały czas klęczał w sali balowej i trzymał go za rękę. Łojowe świece się dopaliły; otoczyła ich ciemność.

## Rozdział dwunasty

**Czarna wieża**

**3-4 grudnia 1816**

Doktor Greysteel spał. We śnie ktoś do niego wołał i czegoś od niego żądał. Doktor koniecznie pragnął spełnić polecenie, więc poszedł tam, dokąd trzeba, i szukał rozmówcy. Nikogo nie znalazł, ale wciąż słyszał swoje nazwisko. W końcu otworzył oczy.

- Kto tam? - zapytał.- Ja, proszę pana. Frank.- O co chodzi?- Jest tu pan Strange. Pragnie z panem mówić.- Coście stało?- Nie chce powiedzieć. Ale sądzę, że tak.- Gdzie on jest, Frank?- Nie chce wejść, proszę pana. Uparł się. Jest przed domem.Doktor Greysteel opuścił nogi i głęboko odetchnął.- Zimno, Frank! - oznajmił.- Tak, proszę pana.Frank pomógł doktorowi Greysteelowi włożyć szlafrok i kapcie. Przemierzyli wiele pograżonych w mroku pokojów, całe połączenie podłogi z ciemnego marmuru.

W westybulu paliła się lampa. Frank popchnął wielkie żelazne drzwi, wziął lampę do ręki i wyszedł przed dom. Doktor Greysteel podążył za nim.

Kamienne schodki niknęły w ciemnościach. Tylko zapach morza, chlupot wody rozbijającej się o kamienie oraz sporadyczne migotanie i wyczuwalny ruch pograżonej w ciemnościach przestrzeni sugerowały postronnym obserwatorom, że u stóp schodów rozciąga się kanał. W oknach na balkonach kilku okolicznych domów paliły się lampy. Poza tym wszędzie było ciemno i cicho.

- Nikogo tam nie ma! - wykrzyknął doktor Greysteel. - Gdzie jest pan Strange?

W odpowiedzi Frank wyciągnął rękę. Nagle pod mostem zajaśniała lampa, a w jej świetle doktor Greysteel ujrzał gondolę. Gondoliero podpłynął do nich. Doktor Greysteel dostrzegł w łodzi pasażera. Mimo słów Franka nie od razu rozpoznał maga.

- Strange! - wykrzyknął. - Dobry Boże! Co się stało? Nie poznałem pana! Mój... mój., drogi przyjacielu... - Język stanął mu kołkiem, nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. W ostatnich tygodniach przywykł do myśli, że wkrótce jego i Strange'a połączy znacznie bliższa więź. - Proszę wejść do środka. Frank, chyżo! Kieliszek wina dla pana Strange'a!

- Nie! - krzyknął Strange szorstkim, obcym głosem.

Powiedział coś po włosku do gondoliera. Władał tym językiem znacznie sprawniej niż doktor Greysteel, więc lekarz nic nie rozumiał, ale znaczenie słów maga wkrótce stało się jasne, gdyż gondolier zaczął odbijać od brzegu.

- Nie mogę wejść do środka - powiedział Strange. - Niech pan nie nalega.

- Dobrze, ale proszę powiedzieć, co zaszło.

- Jestem przeklęty!- Przeklęty?! Nie! Niech pan tak nie mówi.- To prawda. Myliłem się od początku do końca. Powiedziałem temu człowiekowi, żeby trochę odwiosłował. Nie powinienem przebywać zbyt blisko pańskiego domu, to niebezpieczne. Doktorze! Proszę odesłać córkę.

- Florę? Czemu?

- Jest tu ktoś, kto pragnie ją skrzywdzić!

- Dobry Boże!

- Ktoś chce zamienić jej życie w nie kończące się tortury! - Strange szeroko otworzył oczy. - Będzie niewolnicą dzikiego ducha! W starym więzieniu, zbudowanym nie tylko z kamienia i ziemi, lecz również z zaklęć. Co za niegodziwiec! A może nie? Przecież tylko podąża za głosem natury. Cóż zdoła na to poradzić?

Ani doktor Greysteel, ani Frank nic z tego nie rozumieli.

- Jest pan chory - oświadczył doktor Greysteel. - Ma pan gorączkę. Proszę wejść. Napije się pan czegoś. Proszę wejść, drogi panie. - Odsunął się nieco, by zrobić miejsce Strange'owi, ale ten nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

- Myślałem... - zaczął i nagle urwał. Cisza trwała tak długo, jakby całkiem zapomniał, co ma do powiedzenia, ale po chwili znowu przemówił: - Myślałem, że Norrell okłamał tylko mnie. Myliłem się jednak. Bardzo się myliłem. Kłamał każdemu. Okłamał nas wszystkich. - Potem powiedział coś do gondoliera i łódź odpłynęła w ciemność.

- Proszę poczekać! Poczekać! - wykrzyknął doktor Greysteel, ale było za późno.

Wpatrywał się w ciemność w nadziei, że Strange ponownie się pojawi, tak się jednak nie stało.

- Mam biec za nim? - spytał Frank.

- Nie wiemy, dokąd się udał.

- Zapewne do siebie. Mogę iść tam piechotą.

- I co mu powiesz, Frank? Nie będzie nas słuchał. Nie, wracajmy do domu. Musimy myśleć o Florze.

W domu jednak doktor Greysteel zupełnie nie wiedział, co robić. Był całkiem bezradny. Frank wziął go pod ramię i ostrożnie poprowadził po ciemnych kamiennych

schodach do kuchni.

Kuchnia, która obsługiwała tyle wielkich marmurowych pokojów, była bardzo mała. Za dnia wyglądała ponuro. Było tu tylko jedno okratowane okienko, wysoko na ścianie, tuż nad wodą, co oznaczało, że większość pomieszczenia znajdowała się poniżej poziomu kanału. Ale po spotkaniu ze Strange'em kuchnia wydała się doktorowi ciepłym i przyjaznym miejscem. Frank rozpałił świecie i dorzucił drew do ognia. Następnie postawił czajnik na piecu, by zaparzyć im obu herbaty.

Doktor Greysteel usiadł na wygodnym krześle. Zatopiony w myślach, wpatrywał się w ogień.

- Gdy wspomniał o kimś, kto chce skrzywdzić Florę... - odezwał się po chwili.

Frank pokiwał głową, jakby wiedział, co za chwilę usłyszy.

- Nie mogę opędzić się od myśli, że mówił o sobie - dokończył doktor Greysteel. - Boi się, że zrobi jej krzywdę, i przybył, by mnie ostrzec.

- Tak jest, proszę pana! - przytaknął Frank. - Chciał nas ostrzec, co dowodzi, że w głębi duszy jest dobrym człowiekiem.

- O tak, jest dobrym człowiekiem - powiedział doktor Greysteel z przekonaniem. - Ale coś się stało. To ta magia, Frank. Na pewno. Niezmiernie dziwna profesja, bardzo żałuję, że Strange nie jest kimś innym - żołnierzem, duchownym! Co powiemy Florze, Frank? Nie będzie chciała wyjeżdżać, tego możesz być pewien. Nie zechce go zostawić, zwłaszcza że jest... chory. Co ja jej powiem? Powiniennem jechać z nią. Ale kto zostanie w Wenecji, żeby się zająć panem Strange'em?

- Pan i ja zostaniemy tutaj. Ale proszę odesłać pannę Florę wraz z ciotką.

- Tak, Frank! Wyborny pomysł! Tak właśnie postąpimy.

- Chociaż muszę powiedzieć, że panna Flora nie potrzebuje opieki - dodał Frank. - Nie jest taka jak inne młode damy. - Frank dość długo już służył u Greysteelów, by zauważyć niesłychane możliwości panny Greysteel i jej inteligencję.

Czując, że zrobili wszystko, co w obecnej sytuacji dało się zrobić, doktor Greysteel i Frank wrócili do łóżek.

Planowanie w środku nocy jednak to jedno, a realizacja owych planów w jasnym świetle dnia to drugie. Jak przewidział doktor Greysteel, Flora bardzo stanowczo oprotestowała wyjazd z Wenecji i rozstanie z Jonathanem Strange'em. Nie rozumiała, dlaczego musi jechać.

Bo Strange jest chory, wyjaśnił doktor Greysteel. Oświadczyła, że tym bardziej powinna zostać. Będzie mu potrzebna opieka.



Doktor Greysteel usiłował dać jej do zrozumienia, że choroba Strange'a jest zaraźliwa, ale był człowiekiem z zasadami i uczciwym. Rzadko kiedy kłamał, a jeśli już, robił to wyjątkowo nieudolnie. Flora mu nie uwierzyła.

Ciocia Greysteel także nie rozumiała powodów tej nagłej zmiany planów. Doktor Greysteel nie mógł sobie poradzić ze sprzeciwem obu pań, wobec czego musiał wtajemniczyć siostrę w przebieg wypadków ostatniej nocy. Niestety, nie miał talentu do kreowania klimatu opowieści. Przerazająca wymowa słów Strange'a całkiem znikła w wyjaśnieniach doktora. Ciocia Greysteel zrozumiała jedynie, że Strange bełkotał. Naturalnie, doszła do wniosku, że się upił. Choć było to wysoce niestosowne, zdarzało się dżentelmenom i raczej nie powinno być powodem wyjazdu całej rodziny do innego miasta.

- W końcu, Lancelocie, ty jeszcze gorzej reagujesz na wino. Kiedyś jedliśmy kolację z panem Sixsmithem, a ty uparłeś się życzyć dobrej nocy wszystkim kurczętom. Wyszedłeś na podwórze, wyciągałeś jedno kurczę po drugim z kurnika, a one biegały jak oszalałe. Połowę pożarł lis. Nigdy nie widziałam, żeby Antoinette była aż tak wściekła na ciebie. - Miała na myśli zmarłą żonę doktora.

Była to historia stara i bardzo ponizająca. Doktor Greysteel słuchał jej z narastającym zniecierpliwieniem.

- Na litość boską, Louiso! Jestem lekarzem! Potrafię rozpoznać pijanego człowieka!

Wobec tego sprowadzono Franka. O wiele lepiej pamiętał słowa Strange'a. Wizja Flory uwięzionej na wieczność wystarczyła, by przerazić jej ciotkę. Wkrótce ciocia Greysteel równie mocno jak wszyscy inni pragnęła wyekspediować Florę z Wenecji. Nalegała jednak na coś, co nawet nie powstało w głowie doktorowi Greysteelowi ani jego słudze: żądała, by powiedzieć Florze prawdę.

Flora Greysteel z bólem serca przyjęła do wiadomości, że Strange postradał zmysły. Początkowo myślała, że się mylą, a kiedy w końcu przekonali ją, że to prawda, była pewna, że wcale nie musi opuszczać Wenecji. Nie wierzyła, że Strange mógłby ją skrzywdzić. Widziała jednak, że ojciec i ciotka uważają inaczej i że nie zaznają spokoju, póki nie wyjedzie. Zgodziła się na to z największą niechęcią.

Niedługo po wyjeździe obu dam doktor Greysteel siedział w jednym z marmurowych pokojów w palazzo. Pokrzepiał się szklaneczką brandy i usiłował się przygotować na spotkanie ze Strange'em, kiedy nagle do pokoju wszedł Frank i powiedział coś o czarnej wieży.

- Co? - zapytał doktor Greysteel. Nie był w nastroju do rozszyfrowywania

dziwacznych uwag Franka.

- Proszę podejść do okna, a pokażę panu.

Doktor Greysteel wstał i podszedł do okna.

Coś wyrosło na samym środku Wenecji. Można to było opisać jako czarną wieżę olbrzymich rozmiarów. U podstawy zdawała się zajmować ponad hektar. Wyrastała z miasta wprost w niebo i nie było widać jej czubka. Z oddali wydawała się jednolicie czarna i gładka. Czasami jednak robiła się niemal przezroczysta, jakby wykonano ją z czarnego dymu. Można było zauważyć budynki za nią, a nawet w niej.

Doktor Greysteel nigdy nie widział nic równie tajemniczego.

- Skąd to się wzięło, Frank? I co się stało z domami, które tu wcześniej były?

Zanim Frank zdołał odpowiedzieć choćby na jedno z tych pytań, rozległo się pukanie do drzwi. Służący poszedł otworzyć. Wrócił po chwili z gromadką ludzi, których doktor Greysteel nigdy wcześniej nie widział. Przyszło dwóch duchownych oraz trzech lub czterech młodych mężczyzn o manierach wojskowych. Mieli na sobie jaskrawe mundury przyozdobione ekstrawagancką ilością złotej lamówki. Najprzystojniejszy wystąpił przed resztą. Miał najpiękniejszy uniform i długie złociste wąsy. Przedstawił się jako pułkownik Wenzel von Ottenfeld, sekretarz austriackiego gubernatora miasta. Dokonał również prezentacji swoich towarzyszy, austriackich żołnierzy oraz weneckich duchownych. Doktor Greysteel był niepomniernie zdumiony. Weneccjanie nienawidzili Austriaków i obie te nacje rzadko przebywały w swoim towarzystwie.

- Czy pan sir Doktor? - spytał pułkownik von Ottenfeld. - Przyjaciel Hexenmeister Wielkiego Fellingtona?

Doktor Greysteel potwierdził.

- Och! Sir Doktor! Błagam u pańskich stóp! - Von Ottenfeld zrobił melancholijną minę, w czym wydatnie pomogły mu długie wąsy.

Doktor Greysteel oświadczył, że jest zaskoczony.

- Przychodzimy dziś. Prosimy pańską... - von Ottenfeld zmarszczył brwi i strzelił palcami - ...Ver mittlung. Wir bitten um Ihre Vermittlung. Wie kann man das sagen?

Nastąpiła krótka dyskusja na temat tłumaczenia. W końcu jeden z włoskich duchownych zasugerował „interwencję”.

- Tak, tak - przytaknął von Ottenfeld gorliwie. - Prosimy interwencję u Hexenmeister Wielkiego Fellingtona. Sir Doktorze, bardzo cenimy Hexenmeister Wielkiego Fellingtona. Ale Hexenmeister Wielkiego Fellingtona zrobił nieszczęście. Ludzie w Wenecji się boją. Wielu musiało opuścić domy i odejść!

- Och! - oświadczył mądrze doktor Greysteel. Zastanawiał się przez chwilę i nagle go olśniło. - Och! Myśli pan, że pan Strange ma coś wspólnego z czarną wieżą?

- Nie! - wykrzyknął von Ottenfeld. - To nie wieża. To noc! Jakie nieszczęście!

- Przepraszam? - Doktor Greysteel popatrzył na Franka bezradnie.

Służący wzruszył ramionami.

Jeden z Księży, który posługiwał się nieco lepszą angielszczyzną, wyjaśnił, że tego ranka słońce wstało w każdej części miasta poza jedną - parafią Santa Maria Zobenigo, gdzie mieszkał Strange. Tam nadal rządziła noc.

- Czemu Hexenmeister Wielkiego Fellingtona to robi? - spytał von Ottenfeld. - Nie wiemy. Błagamy, by pan szedł, sir Doktorze. Niech pan prosi, by słońce wróciło nad Santa Maria Zobenigo. Niech pan grzecznie prosi, żeby dość czarów w Wenecji...

- Oczywiście, że się do niego udam - zapewnił doktor Greysteel. - To bardzo przykry sytuacja. I choć jestem pewien, że pan Strange nie zrobił tego celowo i wszystko okaże się pomyłką, jestem bardzo zadowolony, że mogę się na coś przydać.

- Ach! - powiedział ksiądz władający angielskim i uniósł ręce jakby w obawie, że doktor Greysteel lada moment pobiegnie do Santa Maria Zobenigo. - Ale weźmie pan z sobą sługę, prawda? Nie pójdzie pan sam?

Sypał bardzo gęsty śnieg. Wszystkie smutne kolory Wenecji zamieniły się w odcienie szarości i czerni. Plac Świętego Marka był zaledwie szarym szkicem samego siebie na białej kartce. Ludzie gdzieś zniknęli. Doktor Greysteel i Frank brnęli w śniegu. Doktor Greysteel niósł lampę, a Frank trzymał parasol nad głową doktora.

Za placem wznosił się czarny słup nocy. Przeszli pod łukiem Atrio, między cichymi domami. Ciemność zaczynała się w połowie małego mostu. Widok płatków śniegu wpadających w mrok był niesłychanie dziwny, gdyż wyglądało to tak, jakby ciemność łączywie je wsysała, jak żywa istota.

Po raz ostatni popatrzyli na nieme miasto i weszli w ciemność.

Alejki były opuszczone, mieszkańcy parafii uciekli do krewnych i znajomych w innych częściach miasta. Chociaż weneckie koty, równie nietypowe stworzenia jak koty zamieszkujące inne miasta, przybyły tłumnie do Santa Maria Zobenigo, by tańczyć, polować i bawić się podczas nieskończonej nocy, która dla nich była czymś w rodzaju niespodziewanych wakacji. W ciemnościach koty ocierały się o doktora Greysteela i Franka. Kilkakrotnie doktor Greysteel dostrzegł błyszczące oczy obserwujące go z jakiegoś wejścia. Gdy dotarli do domu, w którym mieszkał Strange, powitała ich cisza. Pukali i krzyczeli, nikt jednak nie wyszedł. Gdy odkryli, że drzwi są otwarte, pchnęli je. Dom

pogrążony był w mroku. Znaleźli schody i podążyli do pokoju Strange'a na szczycie domu. Po wszystkim, co się zdarzyło, oczekiwali czegoś niezwykłego, na przykład Strange'a pogrążonego w rozmowie z demonem albo prześladowanego przez potworne widziadła. Dziwnie się poczuli, gdy ujrzeli zupełnie zwyczajną scenkę. Pokój wyglądał jak zawsze. Oświetlało go wiele świec, żelazny piec przyjemnie grzał. Strange siedział przy stole, pochylony nad srebrnym naczyniem, a jasne światło padało wprost na jego twarz. Nie podniósł głowy. Zegar spokojnie tykał w kącie. Książki, dokumenty i przybory do pisania zaśmiecały całą wolną przestrzeń. Strange wodził czubkiem palca po tafli wody, dwukrotnie w nią postukał, a następnie odwrócił się i napisał coś w książce.

- Strange - odezwał się doktor Greysteel.

Strange uniósł wzrok. Nie wydawał się już tak rozgorączkowany jak poprzedniej nocy, ale miał równie udręczone spojrzenie. Długo patrzył na doktora, najwyraźniej go nie poznając.

- Greysteel - wymamrotał w końcu. - Co pan tu robi?

- Przyszedłem sprawdzić, jak pan się miewa. Martwię się o pana.

Strange nie odpowiedział. Powrócił do srebrnego naczynia, wykonał nad nim kilka gestów i od razu skrzywił się z niezadowolenia. Wziął szklankę i wlał do niej trochę wody, następnie z małej butelki ostrożnie odmierzył dwie krople płynu do szklanki.

Doktor Greysteel patrzył na niego uważnie. Na butelce nie było etykiety, a płyn miał bursztynową barwę. Mogło to być cokolwiek.

Strange wyczuł na sobie spojrzenie medyka.

- Pewnie zamierzał pan powiedzieć, że nie powinienem tego zażywać. Proszę sobie oszczędzić fatygi. - Wypił wszystko jednym haustem. - Zmieni pan zdanie, gdy pozna przyczynę mojego zachowania.

- Nie, nie - zaprzeczył doktor Greysteel kojącym tonem, zarezerwowanym dla najtrudniejszych pacjentów. - Zapewniam pana, że nie zamierzałem mówić nic podobnego. Chciałbym tylko wiedzieć, czy pan cierpi. Albo jest chory. Wczoraj myślałem, że tak... Jeśli mógłbym... - urwał. Coś wyczuł. Zapach - suchy, zbutwiały, z domieszką czegoś cuchnącego i zwierzęcego - był bardzo mocny. Nagle zrozumiał, że to smród pokoju szalonej staruszki z mnóstwem kotów.

- Moja żona żyje - oświadczył Strange. Jego głos był zachrypnięty i niski. - Zaskoczyłem pana! Nie wiedział pan tego.

Doktor Greysteel oblał się zimnym potem. Żadne oświadczenie, które padłoby z ust Strange'a, nie mogłoby bardziej zaniepokoić lekarza.

- Powiedzieli mi, że umarła! - ciągnął Strange. - Powiedzieli mi, że ją pochowali! Nie mogę uwierzyć, że dałem się nabrać! Była zaklęta! Odebrano mi ją! Właśnie po to tego potrzebuję! - Pomachał buteleczką z bursztynowym płynem.

Doktor Greysteel i Frank cofnęli się o krok.

- Wszystko w porządku, proszę pana - szepnął Frank do doktora. - Wszystko w orządku. Nie pozwolę mu pana skrzywdzić. Dam sobie z nim radę. Proszę się nie bać.

- Nie mogę wrócić do domu - powiedział Strange. - Wyrzucił mnie i nie pozwoli mi wrócić. Drzewa mnie nie przepuszczą. Próbowałem zakłęb odczarowania, ale nie działają. Nie działają...

- Czy po wczorajszej nocy rzucał pan zaklęcia? - spytał doktor Greysteel.

- Co? Tak!

- Przykro mi to słyszeć. Powinien pan odpocząć. Zapewne niewiele pan pamięta z ostatniej nocy.

- Ha! - wykrzyknął Strange z gorzką ironią. - Nigdy nie zapomnę żadnego szczegółu.

- Czyżby? - spytał doktor Greysteel równie kojącym tonem jak poprzednio. - Cóż, nie będę ukrywał, że pańskie zachowanie mnie zaniepokoiło. Jestem pewien, że to konsekwencje przepracowania. Może gdybym...

- Proszę wybaczyć, doktorze, ale wyjaśniłem już, że moja żona jest zaklęta, uwięziona pod ziemią. Bardzo chętnie ciągnąłbym tę pogawędkę, mam jednak ważniejsze sprawy na głowie!

- Doskonale. Proszę się uspokoić. Nasza obecność pana zdenerwowała. Odejdziemy, a jutro znów wrócimy. Przed wyjściem muszę coś panu powiedzieć: rankiem gubernator wysłał do mnie delegację. Bardzo prosi, żeby chwilowo powstrzymał się pan od czynienia magii...

- Powstrzymać się od magii! - Strange zaśmiał się zimno i nieprzyjemnie. - Prosi pan, bym teraz przestał? Niemożliwe. Po co Bóg uczynił mnie magiem, jeśli nie po to? - Powrócił do srebrnego naczynia i zaczął kreślić znaki w powietrzu, tuż nad powierzchnią wody.

- Wobec tego niech pan przynajmniej uwolni parafię od tej nienaturalnej nocy. Zrobi pan to dla mnie? W imię naszej przyjaźni? Dla dobra Flory?

Strange nagle zamarł.

- O czym pan mówi? Jakiej nienaturalnej nocy? Co w niej nienaturalnego?

- Na litość boską, Strange! Jest prawie południe!

Przez chwilę Strange milczał. Spojrzał na okno za sobą, na świecę w pokoju i w końcu na doktora Greysteela.

- Nie miałem pojęcia - wyszeptał przerażony. - Proszę mi wierzyć, to nie moja

sprawka.

- Zatem czyja?

Strange nie odpowiedział. Rozglądał się bezmyślnie po pomieszczeniu. Doktor Greysteel obawiał się, że dalsze pytania o ciemność rozwścieczą maga, więc spytał tylko:

- Może pan przywrócić dzień?

- Nie... nie wiem.

Doktor Greysteel powiedział Strange'owi, że wróć jutro, i po raz kolejny skorzystał z okazji, by polecić sen jako znakomite remedium na dolegliwości.

Strange nie słuchał, ale kiedy doktor Greysteel i Frank wychodzili, złapał lekarza za ramię i wyszeptał:

- Mogę o coś spytać?

Doktor Greysteel skinął głową.

- Nie obawia się pan, że zgaśnie?

- Co zgaśnie? - spytał doktor Greysteel.

- Świeca. - Strange wskazał na czoło doktora. - Świeca w pańskiej głowie.

Na zewnątrz ciemność wydawała się jeszcze bardziej niesamowita. Doktor Greysteel i Frank w milczeniu przemierzali ulice. Gdy wyszli na światło dzienne po zachodniej stronie placu Świętego Marka, obaj odetchnęli z ulgą.

- Jestem zdecydowany przemilczeć jego pomieszenie zmysłów przed gubernatorem - powiedział doktor Greysteel. - Bóg wie, jak zareagowałiby ci Austriacy. Mogliby wysłać po niego żołnierzy albo coś gorszego. Po prostu powiem, że chwilowo nie jest w stanie wypędzić nocy, ale i nie ma złych zamiarów względem miasta. Tego jestem pewien. Jestem również pewien, że wkrótce przekonam go, by uporządkował sytuację.

Następnego dnia, kiedy wstało słońce, ciemności nadal otulały parafię Santa Maria Zobenigo. O wpół do dziewiątej Frank wyszedł po mleko i ryby. Ładna ciemnowłosa wieśniaczka, która sprzedawała mleko z barki na kanale San Lorenzo, lubiła Franka. Zawsze iała dla niego uśmiech albo miłe słowo. Tego ranka wręczyła mu dzbanek mleka i spytała, czy słyszał, że angielski mag oszalał.

Na rybnym targu nad Canale Grandę rybak sprzedał Frankowi trzy cefale, ale niemal zapomniał przyjąć zapłaty, gdyż wdał się w kłótnię z sąsiadem. Spierali się o to, czy angielski mag oszalał dlatego, że był magiem, czy dlatego, że był Anglikiem. Gdy Frank wracał, dwie blade zakonnice szorujące marmurowe schody kościoła powitały go i oświadczyły, że zamierzają się modlić za biednego, szalonego maga. Dotarł już niemal pod drzwi domu, kiedy nagle z gondoli na nabrzeże wyskoczył biały kot. Frank czekał na komentarz dotyczący

obłądu Jonathana Strange'a, zwierzę jednak milczało.

- Jak do tego doszło, na Boga? - spytał doktor Greysteel i usiadł na łóżku. - Myślisz, że pan Strange wyszedł z domu i z kimś rozmawiał?

Frank nie miał pojęcia. Znowu poszedł do miasta, by się czegoś dowiedzieć. Wyglądało na to, że Strange nie ruszył się ze swojego pokoju na szczycie domu przy Santa Maria Zobenigo, jednak lord Byron (jedyna osoba w mieście, którą uradowało pojawienie się wiecznej nocy) odwiedził go około siedemnastej poprzedniego dnia. Strange właśnie czarował i bełkotał o świecach, ananasach, tańcach trwających przez wieki i mrocznych lasach porastających ulice Wenecji. Byron wrócił do siebie i powtórzył to swej kochance, gospodarzowi i lokajowi. Wszyscy byli ludźmi towarzyskimi i spędzali wieczory w gronie rozmownych przyjaciół. Stąd rankiem liczba osób wiedzących o sprawie była wręcz imponująca.

- Lord Byron! No jasne! - wykrzyknął doktor Greysteel. - Całkiem o nim zapomniałem. Muszę prosić go o dyskrecję.

- Chyba już na to za późno - zauważył Frank. Doktor Greysteel był zmuszony się z nim zgodzić.

Mimo to uważał, że powinien się z kimś skonsultować. Kto nadawał się do tego lepiej niż przyjaciel Strange'a? Tego wieczoru doktor elegancko się ubrał i popłynął gondolą do domu hrabiny Albrizzi. Hrabina była inteligentną grecką damą w zaawansowanym wieku, autorką kilku książek o rzeźbie. Jej główną rozrywkę stanowiło urządzanie conversazione, na których spotykali się modni i uczeni ludzie. Strange poszedł na jeden czy dwa bale, ale do tego wieczoru w ogóle nie interesowały one doktora Greysteela.

Wprowadzono go do dużej sali na beletage, który zdobiły marmurowe posadzki, przepiękne posągi oraz malowane ściany i sufity. W kącie sali damy otoczyły półkolem hrabinę, mężczyźni stali pod przeciwległą ścianą. Gdy doktor Greysteel wszedł do sali, od razu poczuł na sobie spojrzenia innych gości. Niejedna osoba wskazywała go sąsiadowi. Bez wątpienia wszyscy rozmawiali o Strange'u i ciemnościach.

Przy oknie stał niewysoki, przystojny mężczyzna w eleganckim stroju. Miał ciemne kręcone włosy i pełne czerwone usta. Takie usta przykuwałyby uwagę u kobiety, ale u mężczyzny wyglądały wręcz zdumiewająco. Ze swą drobną sylwetką, ciemnymi włosami i oczyma przypominał nieco Christophera Drawlighta - pod warunkiem że Drawlight byłby zastraszająco bystry. Doktor Greysteel podszedł wprost do nieznanego.

- Lord Byron? - spytał.

Mężczyzna odwrócił się do doktora. Nie wydawał się zachwycony faktem, że ten

nudny, krępy Anglik w średnim wieku czegoś od niego chce. Nie mógł jednak ukryć swej tożsamości.

- Tak?

- Nazywam się Greysteel. Jestem przyjacielem pana Strange'a.- Ach, medyk z piękną córką! - powiedział jego lordowska mość. Doktorowi Greysteelowi niezbyt się spodobało, że jeden z największych hulaków w Europie mówi tak o jego córce, nie mógł jednak zaprzeczyć, że Flora jest piękna, postanowił chwilowo o tym nie myśleć.

- Poszedłem do Strange'a - oświadczył. - Potwierdziły się moje najgorsze przypuszczenia. Odebrało mu rozum.

- O, faktycznie! - zgodził się Byron. - Widziałem się z nim zaledwie kilka godzin temu, mówił wyłącznie o swojej zmarłej żonie, o tym, że tak naprawdę nie umarła, lecz została zaklęta. Teraz otoczył się ciemnością i uprawia czarną magię! Jest w tym coś godnego podziwu, prawda?

- Godnego podziwu? - powtórzył lekarz ostro. - Raczej godnego pożałowania! Myśli pan, że to on stworzył ciemność? Mnie powiedział otwarcie, że nie ma z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, że on! - oświadczył Byron. - Mroczny świat, który współgra z jego mroczną osobowością. Chyba każdy pragnie czasem zgasić słońce? Ale jeśli jest się magiem, można to zrobić.

Doktor Greysteel rozważał to przez chwilę.

- Może ma pan rację. Może stworzył ciemność i o tym zapomniał. Nie zawsze pamięta, co powiedział albo zrobił. Odkryłem, że tylko z grubsza przypomina sobie nasze wcześniejsze rozmowy.

- No właśnie - potwierdził jego lordowska mość, jakby nie było w tym nic dziwnego i jak gdyby on sam z rozkoszą jak najszybciej zapomniał o swojej rozmowie z lekarzem. - Wiadomo panu, że napisał do szwagra?

- Nie, nic o tym nie wiedziałem.- Nakazał mu przyjechać do Wenecji na spotkanie ze zmarłą siostrą.- Sądzi pan, że przyjedzie?- Nie mam pojęcia! - Ton lorda Byrona sugerował, że doktor Greysteel prezentuje arogancję, oczekując, że największy poeta epoki będzie się interesował takimi błahostkami. Zapadła krótka cisza, po czym Byron dodał łagodniejszym tonem: - Moim zdaniem nie przyjedzie. Strange pokazał mi ten list. Był pełen pozbawionych związku uwag i wywodów, które mógłby zrozumieć jedynie szaleniec albo inny mag.

- To bardzo przykre - zauważył doktor Greysteel. - Naprawdę bardzo przykre. Jeszcze przedwczoraj odbyliśmy wspólny spacer! Był taki zadowolony! Żeby jednej nocy przejść ze stanu całkowitej przytomności do całkowitego szaleństwa? Zupełnie tego nie rozumiem.



Zastanawiam się, czy w grę nie wchodzi jakaś fizyczna dolegliwość. Może infekcja?

- Nonsens! - oświadczył Byron. - Powody jego szaleństwa są czysto metafizyczne. Leżą w głębokiej przepaści między tym, kim jest, a tym, kim pragnie być, między duszą a ciałem. Proszę wybaczyć, doktorze, ale i ronię nie jest to obce. Mówię o tym z własnego doświadczenia.

- Ale... - Doktor Greysteel zmarszczył brwi, by zebrać myśli. - Ale wydawało się, że okres głębokiej frustracji już minął. Jego praca posuwała się tak, jak pragnął.

- Mogę panu powiedzieć jedno. Zanim dopadła go obsesja zmarłej żony, zajmował się całkiem inną kwestią: Johnem Uskglassem. Na pewno pan to zauważył? Niewiele wiem o angielskich magach. Zawsze wydawali mi się gromadą nudnych starców - wszyscy poza Johnem Uskglassem. On to całkiem inna sprawa! Mag, który poskromił innoziemców, jedyny mag, który pokonał śmierć! Mag, którego Lucyfer był zmuszony traktować jak równego sobie! Kiedy Strange porównuje się do tej ponadprzeciętnej istoty - a musi to robić od czasu do czasu - widzi siebie takiego, jakim jest naprawdę: powolna, chodząca przeciętność! Wszystkie jego osiągnięcia, tak chwalone na tej odludnej wysepce, rozpadają się w proch na jego oczach! To musi wywoływać dziką rozpacz: „Ot, gdy ktoś śmiertelny, a szuka rzeczy poza śmiertelnością”. Lord Byron na chwilę urwał, jakby zapamiętując ostatnią uwagę na wypadek, gdyby miał ją umieścić w poemacie. - Mnie samego dotknęła podobna melancholia, kiedy we wrześniu bawiłem w szwajcarskich górach. Przemierzałem je, co kilka minut słysząc odgłosy lawiny. Całkiem jakby Bóg uparł się mnie zniszczyć! Przepelniały mnie żal i pragnienie nieśmiertelności. Kusiło mnie, żeby palnąć sobie w łeb, i dokonałbym żywota, gdybym nie przypomniał sobie, że uraduje to moją teściową.

Lord Byron mógł się zastrzelić w dowolnej chwili, dla doktora Greysteela nie miało to najmniejszego znaczenia. Uznał jednak, że Strange to całkiem inna sprawa.

- Myśli pan, że jest zdolny do autodestrukcji? - spytał niespokojnie.- Och, bez wątplenia.- Co zatem robić?- Robić? - powtórzył lord nieco zdumiony. - A po co chce pan cokolwiek robić? - Byron doszedł do wniosku, że już dość się nagadali o kimś innym, więc zaczął mówić o sobie: - Właściwie to jestem zadowolony, że się poznaliśmy, doktorze Greysteel. Przywiozłem z sobą medyka z Anglii, ale musiałem odprawić go w Genui. Teraz obawiam się, że zęby mi się chwieją. Proszę spojrzeć - Byron szeroko otworzył usta i zaprezentował uzębienie doktorowi Greysteelowi.

Doktor Greysteel delikatnie pociągnął za jeden z dużych białych zębów.

- Mnie się wydają solidne i zdrowe - powiedział.

- Och! Naprawdę? Już niedługo. Starzeję się. Kurczę. Czuję to. - Byron westchnął. Po

chwili, o wiele radośniej, dodał: - Właściwie ten kryzys ze Strange'em nie mógł nadejść w bardziej odpowiednim momencie. Tak się składa, że właśnie piszę poemat o magu, który walczy z nieznanymi potęgami rządzącymi jego losem. Oczywiście Strange daleki jest od doskonałości jako wzór dla mojego maga, brak mu prawdziwie heroicznej natury. Tu będę musiał dodać jakieś własne cechy.

Obok przeszła śliczna młoda Włoszka. Byron przechylił głowę pod bardzo dziwnym kątem, przymknął oczy i przybrał minę sugerującą chroniczną niestrawność i zwiastującą rychłe zejście. Doktor Greysteel mógł się tylko domyślać, że lord prezentuje dziewczęciu bajroniczny profil i bajroniczny wyraz twarzy.

## Rozdział trzynasty

### Czarne listy grudzień 1816

*Santa Marla Zobenigo, Wenecja 3 grudnia 1816*

*Jonathan Strange do wielbnego Henry'ego Woodhope'a*

*Drogi Henry*

*Przygotuj się na wspaniałą nowinę. Widziałem Arabellę. Widziałem ją i z nią rozmawiałem. Czy to nie cudowne? Czy to nie najlepsza ze wszystkich możliwych informacji? Nie uwierzysz mi, nie zrozumiesz. Bądź jednak pewien, że to prawda, nie przekonanie pijaka, szaleńca czy opiumisty. Posłuchaj: trzeba jedynie przyjąć, że w czasie ostatniego Bożego Narodzenia w Clun byliśmy częściowo zaczarowani, a wszystko stanie się prawdopodobne, wszystko stanie się możliwe. Co za ironia, że właśnie ja nie rozpoznałem magii, kiedy mnie otoczyła. Na swą obronę muszę powiedzieć, że była bardzo nieoczekiwanej natury i nadeszła z nieoczekiwanej strony. Wstyd przyznać, lecz inni okazali się mądrzejsi ode mnie. John Hyde wiedział, że coś jest nie tak, i usiłował mnie ostrzec, ja jednak nie chciałem go słuchać. Nawet Ty, Henry, mówileś mi otwarcie, że jestem zbyt zajęty księgami, że zaniedbuję obowiązki i żonę. Oburzony, przy kilku okazjach nieuprzejmie Cię potraktowałem. Przykro mi i pokornie proszę Cię o wybaczenie. Miałeś słuszność. I tak jestem bardziej winny, niż mógłbyś przypuszczać. Ale do rzeczy - musisz przyjechać do Wenecji. Arabella przebywa w miejscu*

*niezbyt odległym stąd, ale nie może go opuścić, a ja nie mogę do niej dołączyć - przynajmniej (kilka wykreślonych linijek). Moi przyjaciele w Wenecji to poczciwe dusze, ale zasypują mnie pytaniami. Nie mam tu służki, a coś utrudnia mi dyskretne poruszanie się po mieście. Nie mogę napisać nic więcej. Drogi Henry, nie wymyślaj sobie przeszkód. Przybywaj do Wenecji. Twoją nagrodą będzie cała i zdrowa Arabella, która do nas powróci. Niby po co Bóg uczynił mnie największym magiem epoki, jeśli nie po to?*

*Twój brat, S.*

*Santa Maria Zobenigo, Wenecja 6 grudnia 1816*

*Jonathan Strange do wielbnego Henry'ego Woodhope'a*

*Drogi Henry*

*Odkąd do Ciebie napisałem, sumienie nie daje mi spokoju. Wiesz, że nigdy Cię nie okłamałem, ale przyznaję, że zdradziłem Ci zbyt mało, żebyś mógł wyrobić sobie opinię, jak wygląda obecnie sprawa Arabelli. Nie jest martwa, lecz... (12 linijek wykreślonych i nieczytelnych) pod ziemią, we wzgórzu, które nazywają brugh. Żywa, lecz nieżywa, ale i nie martwa - zaklęta. Od niepamiętnych czasów elfy mają w zwyczaju porywać chrześcijan i czynić z nich swe służki albo zmuszać ich, jak w tym wypadku, do uczestnictwa w upiornych rozrywkach: tańcach, ucztach, długich, bezwartościowych celebracjach pustki i nicości. Ze wszystkich moich przewinień największą hańbę przynosi mi to, że zawiadłem Arabellę, choć moim obowiązkiem było jej strzec.*

*Santa Maria Zobenigo, Wenecja 15 grudnia 1816*

*Jonathan Strange do wielbnego Henry'ego Woodhope'a*

*Drogi Henry*

*Ze smutkiem muszę Ci oznajmić, że teraz mam większe powody do niepokoju, niż napisałem w ostatnim liście. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by umożliwić jej ucieczkę z ponurego więzienia, bezskutecznie jednak. Nie znam zaklęcia, które zdołałoby uczynić choćby najmniejszą lukę w tej prastarej magii. Jeśli się nie mylę, nie ma takiego zaklęcia w całym angielskim kanonie. Historie o magach wyzwalających jeńców z Faerie są rzadkością. W jednej z ksiąg Martin Pale opisuje, jak elfy nudzą się swymi ludzkimi gośćmi i bez ostrzeżenia odsyłają ich z brugh. Biedni więźniowie wracają do swych domów, ale setki lat po tym, jak je opuścili. Może tak właśnie się zdarzy. Arabella powróci do Anglii długo po naszej śmierci. Ta*

*myśl mrozi mi krew w żyłach. Nie mogę przed Tobą ukrywać, że popadam w czarną rozpacz. Czas i ja toczymy wojnę. Teraz wszystkie godziny są północą. Miałem zegar i kieszonkowy zegarek, ale zniszczyłem oba. Nie mogłem znieść, że się ze mnie natrzęsają. Nie śpię. Nie mogę jeść. Piję wino i coś jeszcze. Czasem robię się dziwny. Trzęsę się, śmieję i płaczę - nie wiem, jak długo to trwa, może godzinę, a może cały dzień. Dość jednak o tym. Klucz to szaleństwo. Chyba jestem pierwszym angielskim magiem, który to pojął. Norrell miał rację, gdy mówił, że nie potrzebujemy elfów do pomocy. Powiedział, że szaleńcy i elfy mają wiele wspólnego, ale wtedy nie rozumiałem implikacji, on zresztą również nie. Dlaczego nie przyjeżdżasz? Chorujesz? Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na listy, ale może to oznaczać, że już zmierzasz do Wenecji i że ten list nigdy do Ciebie nie dotrze.*

- Mrok, ból i samotność! - zarechotał radośnie dżentelmen. - To właśnie dostałem od niego i teraz on będzie tak cierpiał przez następnych sto lat! Och! Ależ jest przygnębiony! Zwyciężyłem! Zwyciężyłem!

Klasnął w dłonie, a jego oczy zaślniły.

W pokoju Strange'a w parafii Santa Maria Zobenigo płonęły trzy świece: jedna na biurku, jedna na malowanym kredensiku i jedna w kinkietowym lichtarzu na ścianie. Ktoś, kto obserwowałby tę scenę, mógłby pomyśleć, że to jedyne światła na całym świecie. Z okna Strange'a było widać tylko bezgłośną noc. Nie ogolony Strange, z podkrążonymi oczami i potarganymi włosami, czarował.

Stephen patrzył na niego z litością i przerażeniem.

- Ale nie jest tak samotny, jak sądziłem - zauważył dżentelmen z niezadowoleniem. - Ktoś tu przyszedł.

W rzeczy samej. Niski ciemnowłosy mężczyzna w kosztownym stroju opierał się o malowany kredensik, patrząc na Strange'a z wielkim zainteresowaniem i rozbawieniem. Od czasu do czasu wyjmował notesik i coś w nim skrobał.

- To lord Byron - wyjaśnił Stephen.

- Kto taki?- Bardzo niegodziwy dżentelmen. Poeta. Pokłócił się z żoną i uwiódł własną siostrę.- Naprawdę? Może go zabiję?- Och, niech pan tego nie robi. Co prawda, jego grzechy są wielkie i w zasadzie wygnano go z Anglii, niemniej...

- Ach, nie interesują mnie jego występki przeciwko innym ludziom. Interesują mnie jego występki przeciwko mnie! Nie powinno go tu być. Och, Stephenie, Stephenie, skąd to wzburzenie? Co cię obchodzi, cóż się stanie z jednym niegodziwym Anglikiem? Powiem ci,

co zrobię: darzę cię wielkim uczuciem, więc nie zabiję go od razu. Podaruję mu jeszcze ponad siedem lat życia! Ale potem musi umrzeć!

- Dziękuję panu - odparł Stephen z wdzięcznością. - To bardzo wspaniałomyślne.

Nagle Strange uniósł rękę i krzyknął:

- Wiem, że tu jesteś! Możesz się przede mną ukrywać, skoro taka twoja wola, ale już za późno. Wiem, że tu jesteś!

- Do kogo mówisz? - zainteresował się Byron.- Jestem pod obserwacją. - Strange zmarszczył brwi. - Siedzą mnie!- Naprawdę? A wiesz kto?- Elf i kamerdyner.- Kamerdyner? - powtórzył jego lordowska mość ze śmiechem. - No jasne. Krążą okropne pogłoski o chochlikach i goblinach, ale kamerdynerzy są zdecydowanie najgorsi.

- Co? - bąknął Strange.

Dzientelmen o włosach jak puch ostu rozglądał się niespokojnie po pokoju.

- Stephenie! Widzisz gdzieś moją szkatułkę?- Szkatułkę?- Tak, tak! Wiesz którą. Szkatułkę z palcem drogiej lady Pole!- Nie widzę jej, proszę pana. Ale z pewnością ta szkatułka nie jest już do niczego potrzebna... Teraz, gdy pokonał pan maga?

- O, jest! - krzyknął dzientelmen. - Widzisz? Oparłeś rękę na stole i niechący ją zasłoniłeś.

Stephen odsunął rękę.

- Nie podniósł jej pan - powiedział po chwili. Dzientelmen nic nie odrzekł. Po chwili powrócił do wyzywania maga i pławienia się we własnej chwale. „Już nie należy do niego - pomyślał podekscytowany Stephen. - Nie może jej zabrać! Teraz szkatułka przeszła na własność maga! Może dzięki temu zdoła on jakoś oswobodzić lady Pole!”

Patrzył i czekał, co uczyni mag. Po półgodzinie jednak zmuszony był przyznać, że sytuacja nie przedstawia się obiecująco. Strange chodził po pokoju, mamrocząc pod nosem magiczne zaklęcia. Wydawał się całkiem obłąkany. Lord Byron pytał go, co robi, a Strange udzielał mu bełkotliwych odpowiedzi (co niesłychanie odpowiadało lordowi Byronowi). A co do szkatułki - Strange nawet na nią nie spojrzał. Najwyraźniej całkiem o niej zapomniał.

## Rozdział czternasty

## Henry Woodhope składa wizytę grudzień 1816

- Dobrze pan zrobił, panie Woodhope, że przyszedł pan do mnie. Uważnie przestudiowałem wenecką korespondencję pana Strange'a i poza bijącą z niej grozą, o której słusznie pan mówi, wiele w tych listach może umknąć uwagi laika. Nie chwaląc się, uważam, że obecnie jestem jedynym człowiekiem w Anglii, który potrafi je zrozumieć.

Był wieczór, trzy dni przed Bożym Narodzeniem. W bibliotece na Hanover Square nie zapalono jeszcze świec ani lamp. Nadeszła ta dziwna pora dnia, gdy niebo jest jasne i pełne barw, lecz ulice już pogrążają się w mroku. Na stole stał wazon z kwiatami, które w zapadającym zmierzchu wydawały się całkiem czarne.

Pan Norrell siedział przy oknie z listami Strange'a w dłoniach. Lascelles rozsiadł się przy kominku i chłodno wpatrywał w Henry'ego Woodhope'a.

- Przyznam, że od chwili gdy otrzymałem pierwszy list, dręczy mnie przygnębienie - powiedział Henry Woodhope do pana Norrella. - Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić po pomoc. Prawdę mówiąc, nie interesuje mnie magia. Nie śledziłem modnych sporów na ten temat. Wszyscy jednak twierdzą, że jest pan największym magiem Anglii, a do tego niegdyś nauczał pan Strange'a. Będę bardzo wdzięczny, jeśli zechce pan udzielić mi rady.

Pan Norrell pokiwał głową.

- Nie wolno panu winić pana Strange'a - rzekł. - Nasza profesja jest niebezpieczna. W żadnej innej człowiek nie jest tak narażony na zagrożenia wynikłe z próżności. W porównaniu do magii polityka i prawo są zupełnie nieszkodliwe. Powinien pan zrozumieć, panie Woodhope, że bardzo się starałem zatrzymać go przy sobie, pokierować nim. Ale geniusz, który wszyscy podziwiamy, sprowadza go na złą drogę. Te listy dowodzą, że zblądził bardziej, niż przypuszczałem.

- Zblądził? Więc nie wierzy pan w tę dziwną opowieść o mojej odnalezionej siostrze?

- W ani jedno słowo, ani jedno. To jego nieszczęsne złudzenia.

- Ach! - Henry Woodhope przez chwilę milczał, jakby nie mogąc się zdecydować, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie. - A te dziwne narzekania pana Strange'a, że czas się zatrzymał? Czy pan coś z tego rozumie?

- Nasi korespondenci z Włoch utrzymują, że od wielu tygodni pana Strange'a otacza ciemność - oświadczył Lascelles. - Nie wiemy, czy stworzył ją celowo, czy też nie wyszło mu zaklęcie. Istnieje również możliwość, że obraził jakąś potęgę i oto skutek. Na pewno czyny pana Strange'a zakłóciły naturalny porządek rzeczy.

- Rozumiem - powiedział Henry Woodhope.

Lascalles popatrzył na niego surowo.

- To coś, czego pan Norrell za wszelką cenę starał się unikać.

- Ach - Henry popatrzył na pana Norrella. - Ale co powinienem zrobić? Jechać do niego, jak nalega?

Pan Norrell prychnął.

- Moim zdaniem najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, kiedy zdołamy znaleźć sposób, by sprowadzić go do Anglii, gdzie zajmą się nim przyjaciele i położą kres dręczącym go iluzjom.

- Może zechce pan do niego napisać?

- O nie. Obawiam się, że już od wielu lat nie mam wpływu na pana Strange'a. To przez wojnę w Hiszpanii. Zanim wyjechał na półwysep, chętnie przebywał w moim towarzystwie i uczył się wszystkiego, czego mogłem go nauczyć, później jednak... - Pan Norrell westchnął. - Nie, musimy zdać się na pana. Proszę skłonić go do powrotu do domu. Podejrzewam, że pański wyjazd do Wenecji tylko przedłużyłby jego pobyt w tym mieście. Pan Strange uznałby, że przynajmniej jeden człowiek mu uwierzył. Zdecydowanie to odradzam.

- Muszę przyznać, że cieszę mnie te słowa. Z pewnością posłucham pańskiej rady. Proszę o zwrot listów, nie będę dłużej pana kłopotał.

- Drogi panie, bez pośpiechu! - odezwał się Lascalles. - Nasza rozmowa jeszcze nie dobiegła końca. Pan Norrell otwarcie i bez zastrzeżeń odpowiedział na pańskie pytanie. Proszę się zrewanżować.

Henry Woodhope zmarszczył brwi. Wydawał się zaskoczony.

- Pan Norrell uwolnił mnie od wielkiego niepokoju. Jeśli mogę się odwdziżyć, z chęcią to uczynię. Nie rozumiem jednak...

- Być może niejasno się wyraziłem - przerwał mu Lascalles. - Mam na myśli to, że pan Norrell potrzebuje pańskiej pomocy, by z kolei pomóc panu Strange'owi. Czy mógłby pan powiedzieć nam coś jeszcze o włoskiej eskapadzie pana Strange'a? Jaki był, zanim popadł w ten smutny stan? Czy humor mu dopisywał?

- Nie! - odparł Henry z oburzeniem, jakby uważał, że tak sformułowane pytanie jest obraźliwe. - Śmierć mojej siostry wytrąciła go z równowagi. Przynajmniej początkowo. Wydawał się bardzo nieszczęśliwy. Gdy jednak dotarł do Genui, wszystko się zmieniło. - Umilkł. - Teraz o tym nie pisze, ale uprzednio w swych listach bardzo chwalił pewną młodą damę z towarzystwa, z którym podróżował. Miałem wrażenie, że myśli o ponownym ożenku.-

Drugi ożenek! - wykrzyknął Lascelles. - Tak prędko po śmierci pańskiej siostry! Coś podobnego! Szokujące! I bardzo dla pana przykre.

Henry ze smutkiem pokiwał głową. Znowu zapadło milczenie, aż w końcu Lascelles rzekł:

- Mam nadzieję, że wcześniej nie wykazywał takiego upodobania do towarzystwa innych dam? To znaczy za życia pani Strange? To by ją bardzo unieszczęśliwiło.

- Nie! Skąd! - wykrzyknął Henry.

- Przepraszam, jeśli pana uraziłem. Nie chciałem okazać braku szacunku pańskiej siostrze, czarującej damie. Ale to nic nadzwyczajnego, sam pan wie. Zwłaszcza wśród ludzi pewnego pokroju. - Lascelles sięgnął po leżące na stole listy Strange'a. Wodził po nich palcem, aż znalazł ten, którego szukał. - W tym liście - powiedział, przebiegając pismo wzrokiem - pan Strange napisał: „Jeremy doniósł mi, że nie zrobiłeś tego, o co proszę. Nieważne. Jeremy się tym zajął i rezultat jest właśnie taki, jak przypuszczałem”. - Lascelles odłożył list i uśmiechnął się życzliwie do pana Woodhope'a. - O co takiego prosił pan Strange i czego pan nie zrobił? Kim jest Jeremy i o jaki rezultat chodzi?

- Pan Strange... Pan Strange prosił mnie o ekshumację zwłok mojej siostry. - Henry wbił wzrok w podłogę. - Naturalnie nie wyraziłem zgody. Wobec tego Strange napisał do swego sługi, Jeremy'ego Johnsa. Bardzo arogancki człowiek!

- Johns przeprowadził ekshumację?

- Tak. Ma w Clun przyjaciela, grabarza. Razem to zrobili. Nie potrafię opisać, co poczułem na wieść o tym.

- Naturalnie. Co odkryli?

- A co mieli odkryć, jeśli nie zwłoki mojej biednej siostry? Oczywiście twierdzili co innego. Postanowili opowiadać bzdury.

- Czyli co?

- Nie powtarzam plotek z magła.

- Naturalnie. Ale pan Norrell pragnie, by na chwilę zapomniał pan o tej godnej pochwały zasadzie i wyznał nam to szczerze i otwarcie, tak jak on mówił panu rozmaite rzeczy.

Henry przygryzł wargę.

- Powiedzieli, że w trumnie znajdował się czarny pieniek.

- A nie ciało? - spytał Lascelles.

- Nie.

Lascelles popatrzył na pana Norrella. Pan Norrell wbił wzrok w swoje dłonie.



- Ale co ma do tego śmierć mojej siostry? - prychnął Henry ze złością. Odwrócił się do pana Norrella. - Z pańskich słów wywnioskowałem, że w śmierci mojej siostry nie ma niczego nadzwyczajnego. Chyba mówił pan, że nie było w tym magii?

- Och. Wręcz przeciwnie! - oświadczył Lascelles. - Oczywiście, że była w tym magia. To nie ulega wątpliwości! Pytanie brzmi - czyja to sprawka?

- Słucham?

- Oczywiście, dla mnie to zbyt głębokie - dodał Lascelles. - Tylko pan Norrell może się zajmować takimi sprawami.

Oszołomiony Henry przenosił spojrzenie z jednego dżentelmena na drugiego.

- Kto jest teraz ze Strange'em? - spytał Lascelles. - Ma chyba służących?

- Nie. Nie zabrał własnych sług. Sądzę, że obsługują go ludzie gospodarza. Przyjaźni się z angielską rodziną. To chyba dziwna gromada, uzależniona od podróży.

- Nazwisko?

- Greystone albo Greyfield. Nie pamiętam.

- A skąd pochodzą ci ludzie o nazwisku Greystone albo Greyfield?

- Nie wiem. Strange mi nie napisał. Ten dżentelmen był chyba medykiem okrętowym, a jego zmarła żona Francuzką.

Lascelles pokiwał głową. W pokoju było już tak ciemno, że Henry Woodhope nie widział miny żadnego z dżentelmenów.

- Wydaje się pan błądy i zmęczony - oznajmił Lascelles. - Może londyńskie powietrze panu nie służy.

- Niezbyt dobrze sypiam. Od kiedy zaczęły przychodzić te listy, śnił mi się wyłącznie koszmary.

- Czasem człowiek wie rzeczy, których nigdy by nie wypowiedział na głos, nawet nie wyszeptał w samotności - zauważył Lascelles. - Darzy pan pana Strange'a wielką sympatią, prawda?

Chyba należy wybaczyć Henry'emu Woodhope'owi, że wydawał się nieco zdumiony tym pytaniem, ale nie miał pojęcia, o czym mówi Lascelles.

- Dziękuję panu za radę - powiedział tylko do pana Norrella. - Z pewnością się do niej zastosuję. Czy mogę dostać moje listy?

- Ach, to - znowu wtrącił Lascelles. - Pan Norrell zastanawia się, czy mógłby je pożyczyć? Uważa, że można się z nich wiele nauczyć. - Henry Woodhope wyglądał tak, jakby zamierzał zaprotestować, więc Lascelles dodał z wyrzutem w głosie: - Myśli wyłącznie o panu Strange'u! To wszystko dla dobra pana Strange'a!

Wobec tego Henry Woodhope zostawił listy panu Norrellowi i Lascellesowi. Po jego wyjściu Lascelles powiedział:

- Teraz musimy wysłać kogoś do Wenecji.

- O tak! - zgodził się pan Norrell. - Bardzo pragnąłbym poznać prawdę w tej kwestii.

- Niewątpliwie. - Pan Lascelles parsknął pogardliwym śmiechem. - Prawdę...

Pan Norrell zamrugał oczkami, ale Lascelles nie wyjaśnił, co miał na myśli.

- Nie wiem, kogo możemy wysłać - ciągnął pan Norrell. - Włochy leżą daleko stąd, podróż zajmie około dwóch tygodni. Nie mógłbym się pozbyć Childermassa nawet na połowę tego czasu.

- Hm - mruknął Lascelles. - Właściwie nie myślałem o Childermassie. Kilka argumentów świadczy przeciwko niemu. Sam pan często podejrzewał go o strandżystowskie sympatie. Moim zdaniem ci dwaj nie powinni przebywać razem w obcym kraju, gdzie mogą spiskować przeciwko nam. Nie, już wiem, kogo wyślemy.

Następnego dnia słudzy Lascellesa udali się w rozmaite rejony Londynu. Niektóre z tych miejsc nie cieszyły się dobrą sławą, jak choćby slumsy i dzielnice biedoty w rodzaju St Giles, Seven Dials i Saffron Hill. Inne były wspaniałe i patrycjuszowskie, jak Golden Square, St James's i Mayfair. Zebrali dziwne towarzystwo: krawców, rękawiczników, kapeluszników, szewców, lichwiarzy (tych mnóstwo), urzędników sądowych i wiecznie pijane gospodynie domowe. Sprowadzili ich wszystkich do domu Lascellesa na Bruton Street. Kiedy goście zgromadzili się w kuchni (gospodarz nie miał najmniejszego zamiaru przyjmować takich ludzi w salonie), Lascelles zszedł do nich i zapłacił każdemu w cudzym imieniu. Powiedział im z lodowatym uśmiechem, że to jałmużna. W końcu jeśli człowiek nie okazuje dobroczynności na Gwiazdkę, to kiedy?

Trzy dni później, w dniu świętego Szczepana, w Londynie pojawił się książę Wellington. Mniej więcej od roku jaśnie oświecony książę mieszkał w Paryżu, gdzie dowodził sprzymierzoną armią okupacyjną. Właściwie nie byłoby przesady w stwierdzeniu, że obecnie to właśnie książę Wellington rządził Francją. Powstało pytanie, czy armia sojusznicza powinna pozostać we Francji, czy powrócić do swoich krajów (czego pragnęli Francuzi). Przez cały dzień książę odbywał przy drzwiach zamkniętych naradę z ministrem spraw zagranicznych lordem Castlereaghem. Dyskutował z nim o ważnych sprawach, a wieczorem zasiadł do kolacji wraz z ministrami w domu na Grosvenor Square.

Ledwie zaczęli posiłek, a rozmowa zaczęła kuleć (rzadkość wśród polityków). Ministrowie czekali, aż ktoś odezwie się pierwszy. Premier lord Liverpool odchrząknął

nerwowo i rzekł:

- Pewnie pan nie słyszał, ale z Włoch donoszą, że Strange oszalał.

Ręka księcia, ta, w której trzymał łyżkę, znieruchomiała. Wellington rozejrzał się dookoła, po czym znów powrócił do spożywania zupy.

- Nie wydaje się pan szczególnie przejęty tą informacją - powiedział lord Liverpool.

Książę wytarł usta serwetką.

- Bo nie jestem - odparł.- Poda nam pan powody? - zapytał sir Walter Pole.- Pan Strange to ekscentryk - odrzekł książę. - Otoczeniu może się wydawać szaleńcem. Śmiem twierdzić, że nie przywykło ono do magów.

To wyjaśnienie nie przekonało ministrów. Zaczęli wyliczać przykłady obłędu Strange'a: przekonanie, że jego żona nie umarła, dziwna wiara w to, że ludzie mają świece w głowach, i jeszcze dziwniejsza niechęć do ananasów, przez którą nie daje się ich wwozić do Wenecji.

- Przewoźnicy owoców mówią, że ananasy wylatują z łodzi, jakby wystrzelone przez armatę - powiedział lord Sidmouth, nieduży, zasuszony człowieczek. - Inne owoce, jabłka, gruszki i tak dalej, nie ucierpiały w najmniejszym stopniu, ale latające ananasy zraniły kilka osób. Nikt nie wie, dlaczego mag aż tak się uprzedził do tych owoców.

Książę wcale się tym nie przejął.

- To niczego nie dowodzi. Zapewniam panów, na półwyspie zachowywał się znacznie bardziej ekscentryczne. Jeśli jednak naprawdę jest szalony, ma ku temu powody. Posłuchajcie mojej rady, panowie, i przestańcie się tym trapić.

Zapadła cisza, podczas której ministrowie trawili tę informację.

- Chce pan powiedzieć, że celowo oszalał? - zapytał ktoś pełnym niedowierzania głosem.

- To wielce prawdopodobne - oświadczył książę.- Dlaczego? - spytał ktoś inny.- Nie mam pojęcia. Na półwyspie nauczyliśmy się, że nie zadaje się mu pytań. Prędzej czy później stawało się jasne, że jego niezrozumiałe i poruszające czyny są częścią magii. Pozwolić mu działać, ale nie okazywać zdumienia niczym, co robi. Tak, panowie, należy postępować z magiem.

- Nie słyszał pan jeszcze wszystkiego - wtrącił pierwszy lord admiralicji. - Stało się coś strasznego. Podobno otacza go bezustanna ciemność. Zaburzono naturalny porządek rzeczy, całą parafię w Wenecji pochłonęła wieczna noc.

- Nawet wasza wysokość mimo słabości do tego człowieka musi przyznać, że całun wiecznej ciemności niezbyt dobrze nam wróży - oświadczył lord Sidmouth. - Niezależnie od

zasług tego człowieka dla naszego kraju.

Lord Liverpool westchnął.

- Bardzo mi przykro, że do tego doszło. Strange zawsze chętnie dzielił się wiedzą. Miałem nadzieję, że będzie nam tłumaczył czyny Norrella. Okazuje się jednak, że musimy najpierw znaleźć kogoś, kto będzie nam tłumaczył czyny Strange'a.

- Możemy poprosić pana Norrella - zaproponował lord Sidmouth.

- Wątpię, byśmy mogli liczyć na bezstronną opinię tej osoby - wtrącił sir Walter Pole.

- No to co mamy robić? - spytał pierwszy lord admiralicji.

- Wyślemy pismo do Austriaków - oświadczył jak zawsze zdecydowanie książę Wellington. - Przypomnimy im, że księcia regenta i rząd brytyjski zawsze będzie interesował los pana Strange'a. Przypomnimy im również, jak wiele zawdzięcza cała Europa męstwu i umiejętnościom pana Strange'a, prezentowanym podczas ostatnich wojen. Przypomnimy im, że bylibyśmy bardzo niezadowoleni, gdyby stała mu się jakakolwiek krzywda.

- I tu się właśnie różnimy, wasza wysokość - oświadczył lord Liverpool. - Mnie się wydaje, że jeśli Strange'owi stanie się jakaś krzywda, to nie z winy Austriaków.

Najprawdopodobniej zagraża sam sobie.

W połowie stycznia księgarz Titus Watkins opublikował książkę zatytułowaną *Czarne listy*, która zawierała listy od Strange'a do Henry'ego Woodhope'a. Krążyły plotki, że to pan Norrell poniósł koszty druku. Henry Woodhope przysięgał, że nigdy nie dał pozwolenia na publikację listów. Oświadczył również, że część z nich zmieniono. Usunięto wzmianki o postępowaniu Norrella w sprawie lady Pole, a wstawiono inne, które sugerowały, że Strange zamordował żonę za pomocą zaklęć.

Mniej więcej w tym samym czasie jeden z przyjaciół lorda Byrona - zwał się Scrope Davies - spowodował sensację, kiedy okazało się, że w imieniu lorda Byrona zamierza oskarżyć pana Norrella o próbę przechwycenia prywatnej korespondencji jego lordowskiej mości za pomocą magii. Scrope Davies udał się do prawnika w gospodzie Lincoln i oświadczył pod przysięgą, że niedawno otrzymał kilka listów od Byrona, w których jego lordowska mość wspomina o słupie wiecznej ciemności zajmującym parafię Mary Sobendigo (sic!) w Wenecji, a także o szaleństwie Jonathana Strange'a. Scrope Davies umieścił listy w garderobie w swym mieszkaniu na Jermyn Street w Stjames. Pewnego wieczoru, najprawdopodobniej 7 stycznia, ubierał się przed wyjściem do klubu. Listy od Byrona leżały na toalecie. Akurat podnosił szczotkę, kiedy zauważył, że listy podskakują niczym suche liście na wietrze. Nie było jednak żadnego wiatru, więc to go zaintrygowało. Wziął listy do

ręki i ujrzał, że pismo na stronicach również dziwnie się zachowuje. Pociągnięte piórem kreski liter odrywały się od wyznaczonych im miejsc i tłukły na papierze niczym sznurki do rozwieszania bielizny na wietrze. Nagle przyszło mu do głowy, że listy znajdują się pod wpływem zaklęcia. Był hazardzistą i jak wszystkim hazardzistom, którzy odnoszą sukcesy, nie brakowało mu refleksu i zimnej krwi. Szybko włożył listy do Biblii, między stronicę Ewangelii Świętego Marka. Potem powiedział przyjaciółom, że choć w ogóle nie zna się na teorii magii, wydawało mu się, że nic nie chroni lepiej przed złowrogim zaklęciem niż Pismo Święte. Miał rację: listy pozostały jego własnością, nie zmienione. Potem w męskich klubach krążył dowcip, że najbardziej niezwykle w całej sprawie wcale nie było to, że pan Norrell usiłował zawłaszczyć listy, tylko że Scrope Davies - notoryczny hulaka i moczymorda - trzyma w domu Biblię.

## Rozdział piętnasty

### **Leukrokota, wieczorny wilk styczeń 1817**

Rankiem w połowie stycznia doktor Greysteel wyszedł drzwiami od ulicy i zatrzymał się, by naciągnąć rękawiczki. Podnosząc wzrok, zauważył niewysokiego człowieczka, który krył się przed wiatrem w drzwiach naprzeciwko.

Wszystkie wejścia do budynków w Wenecji są malownicze, a niekiedy także stojący w nich ludzie. Ten osobnik mimo oczywistych oznak ubóstwa miał w sobie coś z fireyka. Jego strój był niezwykle zniszczony i obdarty, ale człowieczek usiłował poprawić swą prezencję, polerując to, co dało się wypolerować, i szczotkując całą resztę. Natarł stare poźółkłe rękawiczki taką ilością kredy, że zostawił kredowe ślady na drzwiach za sobą. Na pierwszy rzut oka zdawał się mieć wszystkie atrybuty fireyka - długi łańcuszek do zegarka, kopertę, pokrętła do zegarka i lornion. Po bliższej obserwacji jednak dawało się zauważyć, że nie był to łańcuszek od zegarka, tylko tandetna złota wstążka, którą luźno przywiązał do dziurki od guzika. Podobnie funkcję pokręteł pełniły cynowe serduszka, krzyżyki i talizmany Dziewicy - jakie uliczni sprzedawcy oferują za franka albo dwa. Najbardziej interesujące było jego lornion - wszyscy firecykowie i dandysi kochają lorniony. Używają ich, by spoglądać kpiąco na tych mniej modnych od siebie. Najprawdopodobniej dziwny człowieczek czuł się

nagi bez tego atrybutu, więc powiesił zamiast niego łyżkę.

Doktor Greysteel uważnie przyjrzał się tym dziwactwom, by opowiedzieć o nich przyjacielom. Potem przypomniał sobie, że jego jedynym przyjacielem w tym mieście jest Strange, a Strange'a już nie interesują takie sprawy.

Nagle człowieczek oderwał się od drzwi i podszedł do doktora Greysteela. Przechylił głowę i zapytał po angielsku:

- Czy pan doktor Greyfield?

Zdumiony doktor Greysteel milczał.

- Czy pan doktor Greyfield? Przyjaciel maga?

- Tak - odparł doktor Greysteel ostrożnie. - Ale nazywam się Greysteel, nie Greyfield.

- Po tysiącokroć przepraszam, drogi doktorze! Jakiś głupiec błędnie podał mi pańskie nazwisko! Co za wstyd! Zapewniam pana, że jest pan ostatnią osobą na tej planecie, którą chciałbym obrazić! Nie ma pan pojęcia, jakim szacunkiem darzę pańską profesję. A teraz stoi pan tu w pełnej chwale, znawca okładów i specjalista od mierzenia tętna, i mówi pan do siebie: „Kim jest ta kreatura, ośmielająca się zaczepiać mnie na ulicy jak byle prostaka?” Proszę pozwolić, że się przedstawię. Przybywam z Londynu. Przyjaciele pana Strange'a na wieść o jego pomieszeniu zmysłów poczuli tak ogromny niepokój, że pozwolili sobie wysłać mnie, bym sprawdził, jak on się miewa.

- Hm. Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby bardziej się zaniepokoiili. Napisałem do nich na początku grudnia. Sześć tygodni temu, proszę pana. Sześć tygodni!

- Och, rzeczywiście! Zdumiewające, prawda? To największe próżniaki pod słońcem! Dbają jedynie o własną wygodę, podczas gdy pan, jedyny prawdziwy przyjaciel maga, tkwi w Wenecji! - Umilkł. - Nie myślę się, prawda? - zapytał całkiem innym tonem. - Nie ma innych przyjaciół prócz pana?

- No cóż, jest jeszcze lord Byron... - zaczął doktor Greysteel.

- Byron! - wykrzyknął człowieczek. - Naprawdę? A niech mnie! Szalony, a do tego przyjaciel lorda Byrona! - Zabrzmiało to tak, jakby nieznajomy nie wiedział, co gorsze. - Och! Drogi doktorze. O tyle muszę pana zapytać. Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Drzwi domu doktora Greysteela znajdowały się tuż za nimi, ale jego niesmak do człowieczka rósł z minuty na minutę. Choć medyk bardzo pragnął pomóc Strange'owi i jego przyjacielom, nie miał chęci zapraszać nieznajomego do siebie. Wymamrotał coś na temat tego, że jego służący właśnie przebywa w mieście. Kilka przecznic dalej znajdowała się niewielka kawiarnia: zaproponował, by tam się udali.

Człowieczek przystał na to z uśmiechem.

Ruszyli zatem do kawiarni. Droga biegła nad kanałem. Człowieczek szedł po prawej stronie doktora Greysteela, bliżej wody. Mówił coś, a doktor rozglądał się dookoła. Jego spojrzenie skierowane było na kanał. Ujrzał nagle, jak bez ostrzeżenia utworzyła się na nim fala. Samo w sobie było to dość zdumiewające, ale to, co nastąpiło po chwili, okazało się jeszcze dziwniejsze. Fala popędziła ku nim i przetoczyła przez kamienną krawędź kanału, zmieniając kształt. Wodne palce pełzły ku stopom człowieczka, jakby usiłowały go chwycić. W chwili gdy go dosięgały, odskoczył z przekleństwem na ustach, ale chyba nie zauważył, że zaszło coś niezwykłego, a i doktor Greysteel milczał.

Kawiarnia okazała się miłym schronieniem przed przenikliwym zimnem i wilgocią poranka. Było tu ciepło, może nieco mroczno, ale nie posępnie; pachniało dymem. Pomalowane na brąz ściany i sufit pociemniały ze starości i od tytoniowych wyziewów, ale prezentowały się pogodnie dzięki połyskom butelek wina, refleksom cynowych kufli i migotaniu wypolerowanych naczyń oraz zwierciadeł o złotych ramach. Na podłodze przed piecem leżał smętny, ociążały spaniel. Potrząsnął głową i kichnął, kiedy koniuszek laski doktora Greysteela niechcący musnął jego ucho.

- Powinienem pana uprzedzić - zaczął doktor Greysteel, gdy kelner przyniósł im kawę i brandy - że po mieście krążą rozmaite plotki na temat pana Strange'a. Ludzie mówią, że wezwał wiedźmy i stworzył sobie sługę z ognia. Proszę się nie przejmować takimi bzdurami, ale proszę być na nie przygotowanym. Przekona się pan, że Strange bardzo się zmienił. Nie ma co tego kryć. W głębi duszy jednak wciąż jest taki sam jak kiedyś. Żadne jego zalety, żadne cnoty nie zniknęły. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Czyżby? Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że zjadł swoje buty? Że zamienił kilka osób w szkło, a potem rzucał w nie kamieniami?

- Zjadł buty?! - zdumiał się doktor Greysteel. - Któż to panu powiedział?

- Och, parę osób: pani KendalBlair, lord Pope, sir Galahad Denehey, panna Underhills... - człowieczek wyrecytował długą listę nazwisk angielskich, irlandzkich oraz szkockich dam i dżentelmenów, którzy obecnie przebywali w Wenecji i okolicach.

Doktor Greysteel całkiem osłupiał. Nie miał pojęcia, czemu przyjaciele Strange'a woleli najpierw skontaktować się z tymi osobami, a nie z nim.

- Nie słyszał pan, co przed chwilą powiedziałem? To właśnie te bzdury, których nie należy słuchać!

Człowieczek roześmiał się przymilnie.

- Cierpliwości! Cierpliwości, drogi doktorze. Mój umysł nie pracuje tak sprawnie jak

pański. Pan ćwiczył swój, zgłębiając anatomię oraz chemię, mój zaś próżnował. - Przez chwilę trajkotał o tym, jak to nigdy nie przykładał się do nauki, jak jego pedagodzy rozpaczali i jak zupełnie nie interesowało go pogłębianie wiedzy.

Doktor Greysteel nawet nie zadawał sobie trudu, by go słuchać. Myślał gorączkowo. Przypomniał sobie, że choć człowieczek jakiś czas temu bardzo pragnął mu się przedstawić, zapomniał to uczynić. Doktor Greysteel już miał spytać nieznanego o nazwisko, gdy człowieczek zadał mu pytanie, które całkiem zaprzątnęło jego umysł.

- Ma pan córkę, prawda?

- Słucham?

Człowieczek, najwyraźniej przekonany, że ma do czynienia z głuchym, głośniej powtórzył pytanie.

- Owszem, mam, ale... - zaczął doktor Greysteel.

- Ludzie mówią, że odesłał ją pan z miasta.

- Ludzie? Jacy ludzie? Co moja córka ma z tym wspólnego?

- Och! Po prostu mówią, że wyjechała natychmiast po tym, jak Strange oszalał.

Najwyraźniej obawia się pan, że coś jej się stanie.

- Pewnie dowiedział się pan tego od pani KendalBlair i jej podobnych - oświadczył doktor Greysteel. - To banda idiotów.

- Och, bez wątpienia. Ale odesłał pan córkę?

Doktor Greysteel milczał.

Człowieczek przechylił głowę, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Uśmiechnął się jak ktoś, kto zna ważny sekret i gotów jest zadziwić nim świat.

- Wie pan, rzecz jasna, że Strange zamordował żonę? - spytał.

- Co? - Doktor Greysteel przez chwilę milczał, a potem wydał z siebie dziwne parsknięcie. - Nie wierzę!

- Musi pan uwierzyć - oświadczył nieznanomy i pochylił się. Jego oczy lśniły. - Wszyscy to wiedzą. Brat tej damyjszacowny obywatel, duchowny Woodhope, był na miejscu, gdy dama zmarła, i widział wszystko na własne oczy.

- Niby co?

- Podejrżane okoliczności. Zaklętą damę. Była zaczarowana, nie wiedziała, co robi. Nikt nie potrafił tego wytłumaczyć. To wszystko sprawka jej męża. Oczywiście będzie się starał wykorzystać magię do uniknięcia kary, ale pan Norrell, którego zżera, dosłownie zżera litość dla tej biednej damy, popsuje mu szyki. Pan Norrell pragnie ponad wszystko, by Strange poniósł karę za swe zbrodnie.



Doktor Greysteel pokręcił głową.

- Nigdy nie uwierzę w te oszczerstwa. Strange to człowiek honoru!

- Och, bez wątplenia! Ale uprawianie magii niszczyło już większe umysły. Magia w niewłaściwych rękach może prowadzić do unicestwienia każdej dobrej cechy i uwydatnienia każdej złej. Wyparł się swego nauczyciela, którym był cierpliwy, mądry, szlachetny, dobry...

- Człowieczek, mnożąc przymiotniki, najwyraźniej zapomniał, co chciał powiedzieć. Baczne spojrzenie doktora Greysteela wytrącało go z równowagi.

Doktor Greysteel pokręcił głową.

- Bardzo to dziwne - powiedział powoli. - Twierdzi pan, że został przysłany przez przyjaciół pana Strange'a, ale zapomniał mi pan powiedzieć, kim są owi przyjaciele. Muszą być dziwnymi typami, skoro głoszą wszem wobec, że człowiek ten jest mordercą.

Człowieczek milczał.

- Czy to sir Walter Pole?

- Nie - odparł nieznajomy po chwili zastanowienia. - Nie sir Walter. - No to może uczniowie pana Strange'a? Zapomniałem ich nazwisk. - Jak wszyscy. Najbardziej z nich nijacy ludzie na świecie. - Czy oni pana przysłali? - Nie. - Pan Norrell?

Człowieczek znowu zamilkł.

- Jak się pan nazywa? - nalegał doktor Greysteel.

Człowieczek kręcił głową, lecz nie mógł uniknąć odpowiedzi na tak bezpośrednie postawione pytanie, więc wykrztusił:

- Drawlight.

- O, ho, ho! To się dopiero znalazł oskarżyciel! W rzeczy samej, pańskie słowo wielce znaczy przeciwko słowu uczciwego człowieka, osobistego maga księcia Wellingtona! Christopher Drawlight! Słynny na całą Anglię kłamca, złodziej i łajdak!

Drawlight oblał się rumieńcem i popatrzył z niechęcią na lekarza.

- Wiem, dlaczego pan tak mówi! - syknął. - Strange jest bogaty, a pan chce wydać za niego córkę! Czy to honorowe postępowanie, drogi doktoru? Czy to honorowe?

Doktor Greysteel jęknął ze złości i irytacji. Wstał z miejsca.

- Odwiedzę każdą angielską rodzinę w Veneto. Ostrzegę wszystkich przed rozmową z panem. Idę i nie życzę miłego dnia! Nie żegnaj się z panem!

Po tych siewach rzucił kilka monet na stół i odszedł.

Ostatnia część rozmowy była donośna i pełna złości. Kelnerzy i ludzie w kawiarni patrzyli z ciekawością na Drawlighta, gdy został sam przy stoliku. Odczekał trochę, by nie natknąć się na lekarza na ulicy, a potem opuścił kawiarnię. Gdy szedł, woda w kanałach

wyginała się na najdziwniejsze sposoby. Tworzyły się fale, które podążały za Drawlightem, od czasu do czasu wystrzeliwując, przetaczając się przez brzeg kanału i podpływając do jego stóp. Ale on wcale tego nie widział.

Doktor Greysteel dotrzymał słowa. Złożył wizytę wszystkim angielskim rodzinom w mieście i przestrzegł je przed rozmową z Drawlightem. Tego ostatniego nic to nie obeszło. Skupił swe wysiłki na służących, kelnerach i gondolierach. Wiedział z doświadczenia, że ta klasa ludzi wie dużo więcej niż ich chlebodawcy, a jeśli nawet nie, mógł przecież znacząco wpłynąć na sytuację, szepnąwszy im to i owo. Wkrótce wielu ludzi zaczęło powtarzać, że Strange zamordował żonę, że usiłował zmusić pannę Greysteel do małżeństwa w katedrze Świętego Marka, a zapobiegło temu jedynie przybycie oddziału austriackich żołnierzy. Że postanowił wraz z lordem Byronem w przyszłości dzielić się żonami i kochankami. Drawlight opowiadał o Strange'u każde kłamstwo, jakie mu przyszło do głowy, ale miał dość ograniczoną wyobraźnię i z radością czepiał się półprawd i myśli pojawiających się w umysłach jego rozmówców.

Gondolier przedstawił go żonie właściciela sklepu z tkaninami, Mariannie Segati, kochance Byrona. Przez tłumacza Drawlight obsypał ją komplementami i opowiedział jej skandaliczne ploteczki o wielkich londyńskich damach, które, jak ją zapewnił, nie były nawet w połowie równie piękne jak ona. Powtórzyła mu, że zdaniem Byrona Strange siedział w swoim pokoju, pijąc wino i brandy i rzucając zaklęcia. Nie było to zbyt interesujące, ale powiedziała to, co wiedziała o bohaterze poematu lorda Byrona; mag ów przestawał z niegodziwymi stworzeniami, wyparł się bogów i rodzaju ludzkiego. Drawlight świadomie dodał te wymysły do swoich kłamstw.

Ze wszystkich mieszkańców Wenecji jednak Drawlight najbardziej pragnął się zaprzyjaźnić z Frankiem. Zniewagi doktora Greysteela nie zostały zapomniane i Drawlight wkrótce doszedł do wniosku, że najlepszą zemstą będzie zdrada jego sługi. Wobec tego poprosił Franka o spotkanie w niewielkiej winiarni na San Polo. Ku jego zdumieniu Frank zgodził się przyjść.

Pojawił się o wyznaczonej godzinie. Drawlight zamówił dzban pospolitego czerwonego wina i nalał im obu po szklanicy.

- Frank? - odezwał się łagodnym, smętnym głosem. - Na pewno wiesz, że kilka dni temu rozmawiałem z twoim panem. To chyba bardzo surowy starzec, a w dodatku niemiły. Mam nadzieję, że dobrze ci u niego, Frank? Pytam, bo mój bliski przyjaciel, który zwie się

Lascelles, wspominał mi, że trudno znaleźć dobrych służących w Londynie, i dodał, że jeśli ktoś pomoże mu wyszukać dobrego kamerdynera, zapłaci niemal każde pieniądze.

- Och! - powiedział Frank.

- Chciałbyś zamieszkać w Londynie, Frank?

Frank z zadumą rysował na stole kółka z rozlanego wina.

- Mógłbym - odezwał się w końcu.

- Gdybyś oddał mi kilka przysług, wspomniałbym przyjacielowi o twojej przydatności. Z pewnością doszedłby do wniosku, że jesteś człowiekiem w sam raz dla niego.

- O jakie przysługi chodzi? - spytał Frank.

- Och! Pierwsza to rzecz najłatwiejsza pod słońcem! W chwili gdy powiem ci, o co chodzi, natychmiast zechcesz to uczynić, nawet bez żadnej nagrody. Widzisz, Frank, obawiam się, że wkrótce twego pana i jego córkę spotka straszny los. Mag chce wyrządzić im krzywdę. Usiłowałem ostrzec twojego pana, ale jest tak uparty, że w ogóle mnie nie słucha. Tak się tym dręcę, że nie mogę zmrużyć oka. Przeklinam swoją głupotę, że nie potrafiłem mu tego wytłumaczyć. Oni ci ufają, Frank. Wspomnij o tym kilka razy, nie swojemu panu, lecz jego siostrze i córce. Wspomnij o niegodziwości Strange'a, niech się mają na baczności. - Po czym Drawlight opowiedział mu o zamordowaniu Arabelli Strange i pakcie z Byronem, dotyczącym dzielenia się kobietami. Frank ostrożnie pokiwał głową.

- Musimy strzec się tego maga - dodał Drawlight. - Inni, zwłaszcza twój pan, dali się zwieść jego kłamstwom. Ważne, żebyśmy wykorzystali całą naszą inteligencję i ujawnili jego niegodziwe plany świata. Powiedz mi, Frank, czy coś zauważyłeś? Jakieś przypadkowe słowo, jakąś rzecz, która wzbudziła twoje podejrzenia?

- Skoro pan o tym wspominał... - Frank podrapał się po głowie. - Jest coś takiego.

- Naprawdę?

- Nikomu o tym nie mówiłem. Nawet swojemu panu.- Doskonale! - Drawlight uśmiechnął się do niego.- Tylko nie potrafię tego wyjaśnić. Łatwiej mi będzie to pokazać.- Znakomicie! Dokąd mamy iść?- Wyjdźmy. Zobaczmy to pan już stąd.

Wobec tego Frank i Drawlight opuścili winiarnię, a Drawlight rozejrzał się dookoła. Widok był typowy dla tego miasta. Przed nimi rozciągał się kanał, po drugiej stronie stał złocistobrazowy kościół. Służąca oskubywała gołębie w otwartych drzwiach, ich brudne pióra leżały w szarawym kręgu wokół niej. Wszędzie widzieli budynki, posągi, sznury prania i kwiaty doniczkowe. W oddali wznosiła się gładka ściana ciemności.

- No cóż, może to niezupełnie tutaj - przyznał Frank. - Budynki zasłaniają. Podejdźmy kawałeczek, a od razu pan to zobaczy.

Drawlight posłusznie zrobił kilka kroków.

- Tu? - spytał, wciąż się rozglądając.

- Tak, właśnie tutaj - odparł Frank. I kopniakiem posłał Drawlighta do kanału.

Rozległ się głośny plusk.

Frank powstał tam jeszcze chwilę, by wygłosić kilka refleksji nad charakterem Drawlighta. Nawyzywał go od kłamliwych, podstępnych kundli, oszustów, zjadliwych, tchórzliwych szubrawców, żmij i świń. Z pewnością Frankowi ulżyło, opinie te jednak uszły uwagi Drawlighta, który tymczasem przebywał pod wodą i nie mógł ich słyszeć.

Uderzenie o powierzchnię wody było dla niego jak cios, boleśnie przeszło całe ciało, pozbawiając go tchu. Zapadł się w mroczną głębinę. Nie umiał pływać i był pewien, że utonie. Ale przebywał pod wodą zaledwie kilka sekund, kiedy nagle porwał go silny prąd. Przypadkiem woda co chwila wynosiła Drawlighta na powierzchnię, tak że mógł zaczerpnąć powietrza. Mijały minuty, a on, przerażony, trwał w stanie kompletnego bezwładu, zupełnie nie umiejąc się przeciwstawić żywiołowi. Pędząca woda raz wyniosła go wysoko i przez moment widział oświetlony promieniami słońca brzeg (nie poznawał tego miejsca). Ujrzał białą spienioną wodę, gnającą w kierunku nabrzeża, zalewającą ludzi i domy; dostrzegł przerażone twarze. Zrozumiał, że nie płynie ku morzu, jak wcześniej przypuszczał, ale nie przyszło mu do głowy, że prąd jest w jakikolwiek sposób nienaturalny. Czasem niósł go żwawo w jednym kierunku, czasem rządził nim chaos i Drawlight był pewien, że to jego ostatnie chwile. Nagle woda najwyraźniej się nim zmęczyła; ruch ustał, a Drawlight trafił na kamienne schodki. Ledwie zdawał sobie sprawę z przeraźliwego chłodu.

Oddychał gwałtownie, z trudem, a kiedy nieco się uspokoił, zwymiotował mnóstwo słonej wody. Potem przez długi czas leżał z zamkniętymi oczyma, tak jak mężczyzna mógłby leżeć na piersi kochanki. O niczym nie myślał. Jeśli pozostały w nim jakieś pragnienia, to tylko, by tak leżeć przez wieczność. Dużo później uświadomił sobie, że po pierwsze, kamienie są zapewne bardzo brudne, a po drugie, że okrutnie zmarzł. Zaczął się zastanawiać, czemu wszędzie panuje taka cisza i nikt nie przybiegł mu z pomocą.

Usiadł i otworzył oczy.

Otaczała go całkowita ciemność. Czyżby był w tunelu? W piwnicy? Pod ziemią?

Wszystkie te możliwości byłyby jednakowo potworne, gdyż nie miał pojęcia, jak się tu znalazł i jak zdoła się stąd wydostać. Potem nagle poczuł lekki, zimny wiatr na policzku.

Rozejrzał się i dostrzegł blade zimowe gwiazdy. Noc!

- Nie, nie, nie! - pisnął. Przywarł do kamieni i zaszlochał.

Budynki były pogrążone w mroku, który rozświetlały jedynie gwiazdy. Ich

konstelacje wyglądały jak gigantyczne migoczące litery nieznanego pisma. Drawlight domyślał się, że to mag przestawił gwiazdy i użył ich do spisania zaklęcia przeciwko niemu. We wszystkich kierunkach rozciągała się czarna, cicha gwiazdzista noc. W żadnym z domów nie płonęło światło. Jeśli to, co słyszał Drawlight, było prawdą, ludzie się z nich wynieśli. Z wyjątkiem maga, rzecz jasna.

Z wielką niechęcią wstał i rozejrzał się dookoła. W pobliżu zobaczył niewielki most. Po jego przeciwnej stronie alejka znikła między wysokimi budynkami. Mógł iść tędy, mógł też wybrać chodnik nad kanałem. Był posrebrzony światłem gwiazd, dobrze widoczny z daleka i wyglądał wyjątkowo niesamowicie. Drawlight zdecydował się na alejkę i ciemność.

Minął mostek i wszedł między domy. Alejka prowadziła na plac, z którego odchodziło kilka innych alejek. Którą powinien podążać? Pomyślał o wszystkich cieniach, które będzie musiał minąć, o wszystkich cichych wejściach do budynków. A gdyby nie zdołał się stąd wydostać? Zrobiło mu się niedobrze ze strachu.

Na placu stał kościół. Nawet w świetle gwiazd jego fasada była potworna: wybrzuszała się wielkimi kolumnami i jeżyła posągami. Anioły o rozpostartych skrzydłach przytykały do warg trąby, ukryta w cieniu figura wyciągała ręce pod kamiennym baldachimem. Obojętne twarze patrzyły na Drawlighta z ciemnych łuków.

„Skąd będę wiedział, że nie ma tu maga?” - pomyślał. Przyglądał się każdej ukrytej w mroku postaci, by sprawdzić, czy to nie Jonathan Strange. Kiedy już zaczął, nie mógł przestać; wyobraził sobie, że jeśli na moment oderwie od nich wzrok, któraś z figur się poruszy. W końcu niemal zdołał przekonać sam siebie, że bezpieczniej będzie się nieco oddalić, kiedy nagle maleńka plamka w głębokiej ciemności wejścia przyciągnęła jego uwagę. Przyjrzał się jej. Ktoś - człowiek - leżał na schodkach, rozciągnięty, jakby zemdłał, twarzą do ziemi i z rękami na głowie.

Przez chwilę, która trwała niemal wieczność, Drawlight czekał na to, co się stanie.

Nie stało się nic.

Nagle uświadomił sobie, że mag nie żyje! Może zabił się w swym szaleństwie! Drawlighta przepelniały ulga i radość. W podnieceniu zaśmiał się głośno - a był to niesamowity dźwięk w panującej wokół ciszy. Ciemna sylwetka w wejściu do kościoła nawet nie drgnęła. Drawlight podszedł bliżej i pochylił się nad nią. Nie słyszał oddechu. Żałował, że nie ma laski, by trącić tego człowieka.

Nagle, bez ostrzeżenia, sylwetka przetoczyła się na plecy. Drawlight pisnął ze strachu.

Zapadła cisza.

- Znam cię! - wyszeptał nagle Strange.

Drawlight usiłował się roześmiać. Zawsze używał śmiechu jako środka do uspokajania przeciwników. Śmiech łagodził obyczaje, prawda? Wszystko w porządku, tak? Ale z jego ust wydobyło się tylko dziwaczne rzenie.

Strange wstał i zrobił kilka kroków ku Drawlightowi. Drawlight się cofnął. W świetle gwiazd wyraźnie widział maga. Zaczął się przyglądać człowiekowi, którego znał. Strange miał bose stopy, rozpięty frak i koszulę. Z pewnością nie golił się od wielu dni.

- Znam cię - powtórzył Strange szeptem. - Jesteś... Jesteś... - Poruszył dłońmi w powietrzu, jakby nakreślał magiczne symbole. - Jesteś leukrokotą!

- Leu...?

- Jesteś wieczornym wilkiem! Polujesz na ludzi! Twój ojciec był hieną, a matka lwicą, masz ciało lwa i racice. Nie możesz obejrzeć się za siebie. Masz jeden długi ząb i brak ci dziąseł. Przyjmujesz jednak ludzki kształt i zwodzisz ofiary ludzkim głosem!

- Nie, nie! - krzyknął Drawlight. Chciał powiedzieć coś więcej, oświadczyć, że nie jest nikim takim, że Strange się myli, ale miał zbyt zaschnięte wargi i był osłabły z przerażenia; nie mógł już mówić.

- Teraz przywrócę ci twój naturalny kształt! - oznajmił Strange spokojnie. Uniósł rękę. - Abrakadabra! - ryknął.

Drawlight padł na ziemię, wrzeszcząc ile sił w płucach. Strange wybuchnął szalonym śmiechem, po czym zgął się wpół i zatoczył na schodkach.

W końcu strach jednego i wesołość drugiego osłabły. Drawlight uświadomił sobie, że nie zmienił się w potworną kreaturę, a Strange się uspokoił, nabrał powagi.

- Leukrokoto, wstań - szepnął. Wciąż pochlipping, Drawlight się podniósł.

- Leukrokoto, po co tu przybyłeś? Nie, czekaj! Wiem. - Strange strzelił palcami. - Sam cię tutaj sprowadziłem. Leukrokoto, powiedz, czemu mnie szpiegujesz? Czy działam w tajemnicy? Dlaczego nie przyszedłeś zapytać mnie wprost? Powiedziałbym ci wszystko.

- Zmusili mnie do tego. Lascelles i Norrell. Lascelles spłacił moje długi, tak że mogłem opuścić King's Bench. Zawsze byłem pańskim przyjacielem. - Drawlight się zawahał. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby uwierzył w to nawet szaleniec.

Strange uniósł głowę, jakby chciał spojrzeć wyzywająco na Drawlighta, ale w ciemności Drawlight nie widział wyrazu twarzy maga.

- Byłem szalony, leukrokoto! - syknął Strange. - Mówili ci? To prawda. Byłem szalony i wkrótce znów będę. Ale od kiedy zjawiłeś się w mieście, powstrzymałem się. Powstrzymałem się od pewnych zaklęć, abym był przy zdrowych zmysłach, gdy cię ujrzę. Tak jak kiedyś. Chciałem cię poznać i chciałem wiedzieć, co zamierzam ci przekazać,

leukrokoto. W ciemności nauczyłem się wielu rzeczy, na przykład tego, że sam nie dam rady. Sprowadziłem cię tutaj, byś mi pomógł.

- Naprawdę? Tak się cieszę! Zrobię wszystko! Dziękuję! Dziękuję! - Mówiąc to, Drawlight zastanawiał się, jak długo Strange będzie go tu trzymał. Na samą myśl o tym poczuł przerażenie.

- Jak... jak... - Strange miał chyba kłopoty z koncentracją. Zamachał rękoma w powietrzu. - Jak ma na imię żona Pole'a?

- Lady Pole?- Tak, ale... jak się nazywała?- Emma Wintertowne?- O właśnie. Emma Wintertowne. Gdzie jest? Teraz?- Wywieźli ją do domu wariatów w hrabstwie York. To miał być wielki sekret, ale i tak się dowiedziałem. Poznałem w King's Bench człowieka, którego syn ma ukochaną, a ona jest krawcową i wszystko wie, bo szyła ubrania na wyjazd lady Pole. W hrabstwie York jest bardzo zimno. Zabrali ją do miejsca, które zaczyna się na Star... Mam na myśli lady Pole, nie krawcową. Star coś tam. Chwileczkę! Już mówię, mam to na końcu języka. Starecross Hall w hrabstwie York.

- Starecross? Znam tę nazwę.

- Oczywiście, że tak! Dyrektor to pański przyjaciel. Był kiedyś magiem w Newcastle albo Yorku, albo w jednym z tych miast na północy. Niestety, nie znam jego nazwiska. Najwyraźniej pan Norrell potraktował go kiedyś nieżyczliwie, może nawet więcej niż jeden raz. Kiedy zatem lady Pole oszalała, Childermass postanowił naprawić szkody, polecając owego człowieka sir Walterowi.

Zapadła cisza. Drawlight zastanawiał się, ile z tego zrozumiał Strange. Nagle mag powiedział:

- Emma Wintertowne nie jest szalona. Tylko się taka wydaje. To wszystko wina Norrella. Wezwał elfa, by pomógł mu ją wskrzesić, a w zamian za to dał mu pewne prawa do niej. Ten sam elf zagroził bezpieczeństwu króla Anglii i z czarował przynajmniej dwójkę jego poddanych. Jednym z nich jest moja żona! - Umilkł. - Twym pierwszym zadaniem, leukrokoto, będzie przekazanie Johnowi Childermassowi moich słów i dostarczenie mu przesyłki.

Strange wyjął coś z kieszeni fraka i wręczył Drawlightowi. Była to mała szkatułka przypominająca tabakierkę, jednak dłuższa i węższa. Drawlight wziął ją i wsunął do kieszeni.

Strange westchnął ciężko. Najwyraźniej wysiłek związany z logicznym mówieniem go wyczerpał.

- Twoje drugie zadanie... Twoim drugim zadaniem będzie przekazanie wiadomości wszystkim angielskim magom. Czy mnie rozumiesz?

- Tak! Ale...- Ale co?- Jest tylko jeden.- Co?- Jest tylko jeden mag. Skoro pan przebywa tutaj, w Anglii pozostał zaledwie jeden mag.

Strange zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Moi uczniowie - powiedział. - Moi uczniowie są magami. I wszyscy ci, którzy chcieli zostać uczniami Norrella. Childermass jest magiem. Segundus. Subskrybenci magicznych dzienników. Członkowie dawnych towarzystw. Anglia jest pełna magów. Są ich setki, może tysiące! Norrell ich nie uznawał, wyparł się ich. Przez niego zamilkli. Ale i tak są magami. Przekaż im to. - Przyłożył dłoń do czoła i przez chwilę ciężko oddychał. - Drzewo mówi do kamienia; kamień mówi do wody. To nie takie trudne, jak przypuszczaliśmy. Powiedz im, by czytali to, co napisano na niebie. Powiedz, by pytali deszczu. Wszyscy dawni sprzymierzeńcy Johna Uskglassa wciąż są na miejscu. Wysłałem posłańców, by przypomnieli kamieniom, niebu i deszczowi o ich dawnych obietnicach. Powiedz im... - Znowu nie mógł znaleźć potrzebnych słów. Narysował coś w powietrzu. - Nie potrafię tego wyjaśnić - westchnął. - Leukrokoto, rozumiesz?

- O tak. Tak! - odparł Drawlight, choć nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi Strange.

- Dobrze. Wobec tego powtórz, co ci przed chwilą przekazałem.

Drawlight powtórzył. Lata zbierania i puszczenia w obieg obrzydliwych plotek o znanych sprawiły, że z łatwością zapamiętywał nazwiska i fakty. Pierwszą wiadomość zapamiętał doskonale, druga jednak ograniczała się do kilku bełkotliwych zdań o magach stojących w deszczu i wpatrzonych w kamienie.

- Pokażę ci, wtedy zrozumiesz, leukrokoto - oświadczył Strange. - Jeśli wykonasz te trzy zadania, nie będę szukał zemsty. Nie skrzywdzę cię. Przekaż te trzy informacje i możesz wracać do swych nocnych polowań, do pożerania mężczyzn i kobiet.

- Dziękuję! Dziękuję! - wydyszał Drawlight z wdzięcznością, kiedy nagle uświadomił sobie straszną rzecz. - Trzy! Ale przekazał mi pan tylko dwie!

- Trzy wiadomości, leukrokoto - powiedział Strange ze znużeniem. - Musisz przekazać trzy wiadomości.

- Nie wyjawiał mi pan trzeciej!

Strange nie odpowiedział. Odwrócił się, mamrocząc pod nosem.

Mimo przerażenia Drawlight miał wielką ochotę złapać maga za kark i mocno nim potrząsnąć. Może by tak postąpił, gdyby uważał, że to cokolwiek da. Rozczulił się nad sobą i po jego twarzy spłynęły łzy. Pomyślał, że teraz Strange zabije go za niewykonanie trzeciego zadania, a przecież niczym nie zawinił.



- Leukrokoto - powiedział Strange zniecała. - Przynieś mi wody.

Drawlight rozejrzył się dookoła. Na środku placu znajdowała się studnia. Podeszedł do niej i ujrzał okropny żelazny kubek na przymocowanym do kamieni zardzewiałym łańcuchu. Odsunął wieko studni, wyciągnął wiadro i zanurzył kubek. Dotykał go ze wstrętem. O dziwo, po tym, co przydarzyło się mu tego dnia, właśnie ten kubek wzbudził jego największe obrzydzenie. Przez całe życie Drawlight kochał piękne przedmioty, teraz zaś wszystko, co go otaczało, było straszne. To magowie za to odpowiadali. Jak bardzo ich nienawidził!

- Proszę pana?! Lordzie magu?! - zawołał. - Musi pan podejść, żeby się napić. - Pokazał mu żelazny łańcuch.

Strange podeszedł, lecz nie wziął kubka. Wyciągnął z kieszeni małą fiolkę i wręczył ją Drawlightowi.

- Wlej sześć kropli do wody - powiedział. Drawlight wyjął zatyczkę. Ręce mu drżały, bał się, że rozleje płyn na ziemię. Strange najwyraźniej niczego nie zauważał. Drawlight wytrząsnął kilka kropli.

Strange przyjął kubek i wypił wodę. Naczynie wypadło mu z ręki. Drawlight zrozumiał (choć nie wiedział, co dokładnie zaszło), że Strange się zmienił. Na tle rozgwieżdżonego nieba jego sylwetka się przygarbiła, opadła mu głowa. Drawlight zastanawiał się, czy mag jest pijany. Jak jednak kilka kropelek czegokolwiek miałyby upić człowieka? Poza tym nie wyczuwał zapachu alkoholu, Strange pachniał jak ktoś, kto od wielu tygodni nie mył się ani nie zmieniał ubrania. Drawlight wyczuł także inny zapach, którego wcześniej tu nie było - zapach starości i tabunów kotów.

Dziwnie się poczuł, tak jak zawsze w obliczu magii. Miał wrażenie, że wokół niego otwierają się niewidzialne drzwi; z oddali wieją wiatry, przynosząc z sobą aromaty lasów, wrzosowisk i bagien. W jego umyśle pojawiły się rozmaite obrazy. Domy wokół nie były już puste, mógł do nich zajrzeć, jakby usunięto ściany. W ciemnym pokojach nie przebywali ludzie, lecz byty, pradawne duchy. W jednym z pomieszczeń był ogień, w innym kamień, jeszcze w innym strumień deszczu, w następnym stado ptaków, potem stok, w kolejnych małe stworzenie o dzikich myślach. I tak dalej, i tak dalej.

- Co to? - wyszeptał ze zdumieniem.

Uświadomił sobie, że włosy stają mu dęba. Zawładnęło nim nowe uczucie: przypominało nieco spadanie, choć nie ruszył się z miejsca. Miał wrażenie, że jego myśli się przemieściły.

Pomyślał, że stoi na stoku angielskiego wzgórza. Padał deszcz, skręcał się w powietrzu niczym szary dym. Deszcz padał na niego, on robił się rzadki jak deszcz. Deszcz

zmywał myśli, zmywał wspomnienia, zarówno dobre, jak i złe. Jurnie znał swojego imienia. Wszystko spłynęło jak błoto z kamieni. Wypełniły go myśli i wspomnienia deszczu. Srebrne linie wody pokrywały stok niczym delikatna koronka albo żyły na ręce. Zapomniał, że jest, że kiedykolwiek był człowiekiem, zmienił się w wodę. Wsiąkł w ziemię wraz z deszczem.

Pomyślał, że leży pod ziemią, pod Anglią. Minęło wiele lat. Przenikał go chłód, sączył się przez niego deszcz, poruszały się w nim kamienie. W ciszy i ciemności potężniał. Stał się ziemią; stał się Anglią. Gwiazda spojrzała na niego i przemówiła. Kamień zadał mu pytanie, a on udzielił odpowiedzi we własnym języku. Rzeka wiła się u jego boku; wzgórza pączkowały pod jego palcami. Otworzył usta i tchnął wiosną...

Pomyślał, że tkwi w gęstwinie mrocznego lasu zimą. Drzewa ciągnęły się w nieskończoność - ciemne kolumny rozdzielone cienkimi, białymi płatami zimowego światła. Popatrzył na siebie. Młode drzewka go przeszywały, rosły na całym jego ciele, na stopach i dłoniach. Jego powieki nie były już zamknięte, gdyż między nimi wyrosły gałązki. Owady wbiegały mu do uszu i z nich wybiegały, pająki tkwały pajęczyny w jego ustach. Uświadomił sobie, że od wielu lat jest nierozzerwalnie spleciony z lasem. Znał ten las, a las znał jego. Nie dało się już powiedzieć, co jest drzewem, a co człowiekiem.

Wszędzie panowała cisza. Padał śnieg. Krzyknął...

Ciemność.

Drawlight miał wrażenie, że wynurzył się z ciemnych wód. Nie wiedział, kto go uwolnił: Strange, las czy sama Anglia, ale gdy odzyskał przytomność umysłu, odczuł pogardę wyzwoliciela. Pradawny duch odsunął się od niego. Do Drawlighta wróciły myśli i odczucia zwykłego człowieka. Kręciło mu się w głowie na wspomnienie tego, co przeżył. Przyjrzał się dłoniom i potarł te miejsca na ciele, które wcześniej przeszyły drzewa. Wydawały się całe, ale bolały! Jęknął cicho i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Strange'a.

Mag odszedł nieco, kuczał teraz przy ścianie i coś do siebie mamrotał. Uderzył w mur - kamienie wybrzuszyły się, zmieniły kształt, stały się krukiem. Ptak rozpostarł skrzydła i kracząc, odleciał ku czarnemu niebu. Mag znów uderzył w mur; wyłonił się z niego następny kruk i też odleciał. Potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i tak dalej, aż w końcu czarne skrzydła przysłoniły wszystkie gwiazdy.

Strange wznosił ręce.

- Lordzie magu - jęknął Drawlight. - Wciąż nie powiedział mi pan, jak brzmi trzecia wiadomość.

Strange rozejrzał się dookoła. Bez ostrzeżenia złapał Drawlighta za frak i przyciągnął do siebie. Drawlight czuł na twarzy cuchnący oddech maga i po raz pierwszy ujrzał z bliska

jego oblicze. W dzikich oczach, z których zniknął rozsądek i ludzkie odczucia, lśniły gwiazdy.

- Powiedz Norrellowi, że przybywam - wysyczał Strange. - A teraz idź.

Drawlightowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Natychmiast odbiegł w noc. Miał wrażenie, że ścigają go kruki. Nie widział ich, ale słyszał łopot skrzydeł i czuł podmuch powietrza. Na mostku wpadł bez ostrzeżenia w oślepiające światło. Natychmiast usłyszał świergot ptaków i głosy ludzi. Mężczyźni i kobiety chodzili, rozmawiali i zajmowali się swoimi codziennymi sprawami. Tu nie było żadnej strasznej magii, tylko najzwyklejszy świat - cudowny, piękny, zwykły świat.

Ubranie Drawlighta wciąż było mokre, bardzo marzł. Znajdował się w nie znanej sobie części miasta. Nikt nie zaoferował mu pomocy i przez długi czas Drawlight chodził w kółko, zagubiony i wyczerpany. W końcu natrafił na plac, który rozpoznał, dzięki czemu mógł wrócić do małej gospody, gdzie wynajmował pokój. Ledwo trzymał się na nogach. Rozebrał się i splukał z ciała morską sól, a następnie legł na wąskim łóżku.

Przez dwa dni leżał w gorączce. Śnił o niewypowiedzianych rzeczach, a były to sny pełne ciemności, magii i długich mrocznych lat spędzonych w ziemi. Wciąż nie opuszczały go obawy, że po przebudzeniu odkryje, iż leży pod ziemią lub został ukrzyżowany przez drzewa.

W połowie trzeciego dnia wydobrzeł na tyle, by wstać i udać się do portu. Tam znalazł angielski statek udający się do Portsmouth. Pokazał kapitanowi listy i dokumenty od Lascellesa, w których obiecywano sporą sumę temu, kto zabierze Drawlighta do Anglii.

Dokumenty podpisali dwaj najszlachetniejsi bankierzy w Europie.

Piątego dnia był już w drodze do Anglii.

Ciemna zimna mgła wisiała nad Londynem, naśladując - tak się przynajmniej wydawało - pusty, pozbawiony radości żywot Stephena. Ostatnio zakłęcie ciążyło mu bardziej niż zwykle. Radość, czułość i spokój były mu teraz zupełnie obce. Przez opary magii wokół jego serca przedzierały się jedynie gorzki gniew, niechęć i frustracja. Teraz Stephen czuł się jeszcze bardziej oddalony od swych angielskich przyjaciół. Dżentelmen mógł być potworem, ale kiedy mówił o dumie i zarozumialstwie Anglików, Stephenowi trudno było zaprzeczyć. Nawet Utracona Nadzieja, choć przerażająca, czasem zapewniała miłe schronienie przed angielską arogancją i niegodziwością. Tam przynajmniej Stephen nie musiał przeproszać za to, kim jest. Tam zawsze traktowano go jak godnego szacunku gościa.

Tego zimowego dnia Stephen przebywał w stajni sir Waltera na Harley Street. Sir Walter zakupił ostatnio dwa piękne charty, ku zachwytowi swych służących, którzy

marnowali spory kawał dnia na wizyty w stajni, podziwianie psów i rozmowy o ich domniemanej sprawności na wyścigach. Stephen wiedział, że powinien to ukrócić, odkrył jednak, że wszystko mu jedno. Dziś, gdy lokaj Robert poprosił go, by wraz z nim poszedł oglądać zwierzęta, zamiast go zbesztać, Stephen włożył kapelusz oraz płaszcz i wyszli. Teraz patrzył, jak Robert i stajenni wygłaszają peany na cześć psów. Czuł się tak, jakby dzieliła go od wszystkich gruba i brudna szyba.

Nagle mężczyźni wyprostowali się i wyszli gęsiego ze stajni. Stephen zadrżał. Doświadczenie nauczyło go, że tak nietypowe zachowania innych nieodmiennie zwiastują przybycie dżentelmena o włosach jak puch ostu.

I rzeczywiście tu był, rozjaśniając mrok stajni blaskiem swych srebrzystych włosów, lśnieniem błękitnych oczu i jaskrawością zielonego fraka; znów głośno mówił i śmiał się. Nawet przez chwilę nie wątpił, że Stephen jest równie zachwycony jego widokiem, jak on był zachwycony widokiem Stephena. Psy podobały mu się tak samo jak służącym i zawołał Stephena, by ten podziwiał je wraz z nim. Mówił do nich we własnym języku, a psy podskakiwały i szczekały radośnie, całkiem nim oczarowane.

- Przypomniało mi się pewne wydarzenie w 1413 roku, gdy udałem się na wschód z wizytą do nowego króla południowej Anglii - oświadczył dżentelmen. - Król, wytworny i dzielny pan, przedstawił mnie swym dworzanom, informując ich o moich wspaniałych dokonaniach, rozległych królestwach, walecznym charakterze i tak dalej, i tak dalej. Jednakże jeden ze szlachciców nie słuchał tej pouczającej przemowy. On i jego poplecznicy plotkowali, co rusz wybuchając śmiechem. Byłem, jak się pewnie domyślasz, bardzo urażony i postanowiłem nauczyć ich dobrych manier. Następnego dnia ci niegodziwcy polowali na zające nieopodal lasu Hatfield. Zaskoczyłem ich i zmieniłem w zające, a zające w ludzi. Najpierw psy rozszarpały swych panów na kawałeczki, a potem zające w ludzkiej postaci postanowiły straszliwie zemścić się na psach, które zwykle je goniły i zagryzały. - Urwał, by wysłuchać pochwał Stephena, zanim jednak ten zdołał wykrztusić choćby słowo, dżentelmen zawołał: - Och! Poczuleś?

- Co miałem poczuć? - spytał Stephen.

- Wszystkie drzwi zadrżały!

Stephen spojrział na drzwi stajni.

- Nie, nie te drzwi! - prychnął dżentelmen. - Chodziło mi o drzwi między Anglią i całą resztą! Ktoś usiłuje je otworzyć! Ktoś przemawiał do nieba, a nie byłem to ja! Ktoś wydaje polecenia kamieniom i rzekom i nie jestem to ja. Któż to robi? Kto? Chodź!

Dżentelmen schwycił Stephena za ramię i chyba wzniesli się w powietrze, gdyż po

chwili stali na szczycie góry albo bardzo wysokiej wieży. Stajnie na Harley Street zniknęły i teraz Stephen miał przed oczyma całkiem nowy widok, a potem jeszcze inny i inny. Był tu port z gęstwiną masztów przypominających las - zdawał się odlatywać spod ich stóp, a jego miejsce natychmiast zajmowało szare zimowe morze oraz statki pod żaglami pochylone na wietrze. Potem Stephen ujrzał miasto pełne strzelistych wież i imponujących mostów. O dziwo, nie miał wrażenia, że lecą, tylko że to świat nadlatuje ku nim, podczas gdy oni tkwią w miejscu. Potem pojawiły się pokryte śniegiem góry, po których pięli się maleńcy ludzie, następnie jezioro otoczone ciemnymi szczytami, a potem równiny pełne miniaturowych miast i rzek, przypominających dziecięce zabawki.

Zobaczyli coś przed sobą. Początkowo wyglądało to jak czarna linia, która przecinała niebo na pół. Kiedy jednak zbliżyli się do niej, zmieniła się w czarny słup, który wyrastał z ziemi i nie miał wierzchołka.

Stephen i dżentelmen zatrzymali się wysoko nad Wenecją (Stephen wołał się jednak nie zastanawiać, na czym się zatrzymali). Słońce właśnie zachodziło, ulice i domy pograżały się w ciemności, ale morze i niebo pełne były światła, a odcienie różu, niebieskiej bieli, topazu i perły harmonijnie się stapiały. Miasto zdawało się dryfować w promienistej próżni. Czarny słup był gładki jak obsydian, ale tuż nad poziomem dachów odpływały od niego zawirowania i spirale ciemności, dryfujące w powietrzu. Stephen nie miał pojęcia, cóż to takiego.

- Czy to dym, proszę pana? Czy wieża płonie? - zapytał.

Dżentelmen nie odpowiedział, lecz kiedy się zbliżyli, Stephen zrozumiał, że to nie dym. Z wieży odfruwiała chmara ptaków. Były to kruki. Tysiące, tysiące kruków. Wszystkie odlatywały z Wenecji i podążały w kierunku, z którego nadlecieli Stephen i dżentelmen.

Jedno stado zmierzało ku nim. Nagle w powietrzu usłyszeli łopot tysiąca skrzydeł. Kurz i żwir wciskały się Stephenowi do oczu, nosa i gardła. Schylił się i zasłonił ręką nozdrza, by nie czuć smrodu.

- Co to było? - zapytał ze zdumieniem, gdy ptaki zniknęły.

- Stworzenia wyczarowane przez maga - odparł dżentelmen. - Wysyła je do Anglii ze wskazówkami dla nieba, ziemi, rzek i wzgórz. Wzywa dawnych sojuszników Króla. Wkrótce będą usługiwać angielskim magom, a nie mnie! - Jęknął ze złością i rozpaczą. - Ukaralem go tak, jak nigdy jeszcze nie ukaralem żadnego z naszych wrogów! Ale wciąż spiskuje przeciwko mnie! Dlaczego nie pogodzi się ze swym losem? Dlaczego nie rozpacza?

- Nigdy nie brakowało mu odwagi, proszę pana - powiedział Stephen. - Wszyscy twierdzą, że wykazał się niezwykłym męstwem na półwyspie.

- Męstwem? O czym ty mówisz? To nie męstwo, lecz zwykła złośliwość! Zaniechaliśmy swoje obowiązki, Stephenie! Pozwoliliśmy, by angielscy magowie nas wykorzystali. Musimy znaleźć sposób, by ich pokonać. Musimy podwoić nasze wysiłki i w końcu uczynić cię królem!

## **Rozdział szesnasty**

### **Burza i kłamstwa luty 1817**

Ciocia Greysteel wynajęła bardzo wygodny dom nieopodal targu w Padwie, co kosztowało jedynie osiemdziesiąt cekinów na kwartał (czyli około trzydziestu ośmiu gwinei).

Ciocia Greysteel była niesłychanie z siebie zadowolona. Ale jak to się zdarza, kiedy ktoś działa szybko i zdecydowanie, wątpliwości przychodzą w chwili, gdy jest już za późno. Podobnie było w tym wypadku: panie Greysteel mieszkały w domu zaledwie od tygodnia, kiedy ciocia Greysteel zaczęła wyszukiwać w nim rozmaite wady i doszła do wniosku, że w ogóle nie powinna była go wynajmować. Choć był stary i ładny, miał małe gotyckie okna, niektóre ozdobione kamiennymi balkonami; innymi słowy, było w nim raczej mroczno. Wcześniej nie stanowiłoby to problemu, teraz jednak Flora potrzebowała pociechy, wobec czego (zdaniem cioci Greysteel) mrok i cienie, choć wielce malownicze, nie były chyba dla niej szczególnie odpowiednie. Do tego na podwórzu stały rozmaite kamienne damy, które z biegiem lat dorobiły się welonów i szat z bluszczu. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że kamiennym damom nieustannie groziło zniknięcie pod tą roślinnością. Za każdym razem gdy ciocia Greysteel zahaczała o nie wzrokiem, myślała o biednej żonie Jonathana Strange'a, która zmarła tak młodo i w tak tajemniczych okolicznościach i której nieszczęsny los najwyraźniej doprowadził maga do szaleństwa. Ciocia Greysteel miała tylko nadzieję, że takie melancholijne myśli nie przychodzą do głowy jej bratanicy.

Umowa została jednak zawarta, dom wynajęty, więc ciocia Greysteel postanowiła uczynić go jak najweselszym i najjaśniejszym. Nigdy nie marnotrawiła świec ani nafty, ale teraz, nie ustając w wysiłkach rozweselenia Flory, postanowiła nie zwracać uwagi na koszty. Na schodach znajdowało się szczególnie ponure miejsce - stopień skręcał w bardzo dziwny sposób, którego nie potrafił przewidzieć nikt wtedy idący. Więc ciocia Greysteel nalegała, żeby

na półce nad schodami umieścić lampkę, nim ktoś się potknie i skręci sobie kark. Lampka paliła się dniem i nocą. Niesłychanie irytowało to Bonifazję, starą włoską pokojówkę, którą przejęły z dobrodziejstwem inwentarza i która była jeszcze bardziej oszczędna od samej cioci Greysteel.

Bonifazia okazała się znakomitą służącą, ale skłoną do krytycyzmu i długich wyjaśnień na temat tego, czemu wskazówki, które przed chwilą dostała, są błędne lub niemożliwe do spełnienia. W pracy pomagał jej powolny, bezustannie wykorzystywany młody człowiek o imieniu Minichello. Na każde polecenie reagował mamrotaniem w niemożliwej do zrozumienia gwarze. Bonifazia traktowała Minichella z taką pogardą, że ciocia Greysteel zaczęła podejrzewać, iż łączy ich pokrewieństwo, choć nie miała na ten temat żadnych pewnych informacji.

Dzięki urządzaniu domu, codziennym potyczkom z Bonifazją i różnym odkryciom, nie zawsze przyjemnym, które towarzyszą pobytowi w nowym mieście, ciocia Greysteel nie miała czasu się nudzić. Jej głównym i najważniejszym obowiązkiem w tamtym czasie było jednak wynajdowanie rozrywek dla bratanicy. Flora rozsmakowała się w spokojnej samotności. Jeśli ciocia do niej mówiła, odpowiadała pogodnie, ale rzadko kiedy zabierała głos z własnej woli. W Wenecji Flora była inicjatorką niemal wszystkich rozrywek, teraz po prostu godziła się na każdą propozycję cioci Greysteel. Woląла zajęcia, które nie wymagały towarzystwa. Chodziła sama, czytała sama, samotnie siedziała w salonie albo w promieniach bladego słońca, które czasem padały około pierwszej na niewielkie podwórze. Była bardziej zamknięta i mniej skłonna do zwierzeń niż kiedyś, całkiem jakby ktoś - niekoniecznie Jonathan Strange - ją zawiódł i postanowiła w przyszłości zachowywać ostrożność.

W pierwszym tygodniu lutego w Padwie rozszalała się wielka burza. Było to mniej więcej w połowie dnia. Burza nadeszła całkiem nieoczekiwanie ze wschodu (od strony Wenecji i morza). Starzy ludzie, bywalcy kawiarenek, twierdzili, że nic nie zapowiadało nawałnicy. Inni jednak nie zgadzali się z nimi. O tej porze roku burze nie należały do rzadkości.

Najpierw w mieście powiał silny wiatr. Nie szanował drzwi ani okien, zdawało się, że wynajduje najmniejsze szczeliny i przez nie wieje w domach równie gwałtownie jak na zewnątrz. Ciocia Greysteel i Flora siedziały w saloniku na pierwszym piętrze. Okiennice zaczęły stukać, kryształ w żyrandolu się rozkołysał. Kartki listu, który pisała ciocia Greysteel, uciekły spod jej dłoni i zaczęły krążyć po pokoju.

Za oknem niebo pociemniało, zrobiło się mroczno jak w nocy i lunął rześisty deszcz. Bonifazia i Minichello weszli do salonu. Udawali, że przyszli wysłuchać poleceń cioci

Greysteel na czas burzy, ale tak naprawdę Bonifazia pragnęła wraz ciotką Greysteel wydziwiać nad gwałtownością wiatru i deszczu (i wyszedł im piękny duet, aczkolwiek w różnych językach). Minichello przywłókł się za Bonifazią. Ponuro obserwował burzę, jakby podejrzewał, że została celowo wywołana, by przysporzyć mu pracy.

Ciocia Greysteel, Bonifazia i Minichello wyglądali przez okno. Pierwsze uderzenie błyskawicy zmieniło całą dobrze im znaną okolicę w gotycki i niepokojący pejzaż, pełen bladego, nieziemskiego blasku i nieoczekiwanych cieni. Potem rozległ się grzmot, który zatrzęsł pokojem. Bonifazia poprosiła o zmiłowanie Dziewicę i kilkoro świętych. Ciocia Greysteel, równie zaniepokojona, chętnie poszłaby w ślady służącej, ale jako członkini Kościoła anglikańskiego, mogła jedynie wykrzyknąć: „Ojej!” albo „A niech to!”, albo „O Boże!”, co nie przynosiło szczególnej pociechy.

- Floro, kochanie - rzekła drżącym głosem. - Mam nadzieję, że się nie przestraszyłaś. Bardzo nieprzyjemna burza.

Flora podeszła do okna, ujęła ciotkę za rękę i powiedziała, że jej zdaniem burza wkrótce przeminie. Następną błyskawica oświetliła miasto. Flora puściła dłoń ciotki, odsunęła zasuwkę w balkonowych drzwiach i wyszła na zewnątrz.

- Floro! - wykrzyknęła ciocia Greysteel. Dziewczyna wychyliła się w ciemność, opierając obie dłonie na balustradzie, nieświadoma, że deszcz moczy jej suknię, a wiatr szarpie włosy.

- Kochanie! Floro! Floro! Zejdź z deszczu!

Flora odwróciła się i powiedziała coś do ciotki, ale nie usłyszeli co.

Minichello wyszedł na balkon i ze zdumiewającą delikatnością (choć i wrodzonym ponuractwem) zdołał wprowadzić Florę do środka, kierując ją za pomocą dużych rąk, tak jak pasterze manewrują barierkami do kierowania owiec.

- Nie widzicie?! - wykrzyknęła Flora. - Tam ktoś jest! Tam, w rogu! Widzicie, kto to? Myślałam... - Nagle umilkła i nie powiedziała nikomu, co jej przyszło do głowy.

- Cóż, moja droga, mam nadzieję, że się mylisz. Żal mi każdego, kto w tej chwili jest na ulicy. Oby jak najszybciej znalazł schronienie. Och, Floro! Ależ jesteś przemoczona!

Bonifazia przyniosła ręczniki, a ciocia Greysteel natychmiast przystąpiła do suszenia sukni Flory, obracając bratanicę we wszystkie strony. Jednocześnie obie panie wydawały Minichellowi niecierpiące zwłoki polecenia - ciocia Greysteel kulawym, lecz dobitnym włoskim, a Bonifazia w szybkim dialekcie padewskim. Wskazówki te, podobnie jak obroty, zapewne wzajemnie się wykluczały, gdyż Minichello nie robił nic, tylko patrzył na kobiety z przygnębioną miną.



Flora zerknęła nad ich głowami na ulicę. Znow załśniła błyskawica. Flora zeszywniała, jakby poraził ją prąd, a w następnej chwili wywinęła się ciotce oraz służącej i wybiegła z pokoju.

Nie mieli czasu się zastanawiać, dokąd pobiegła. Przez następne pół godziny trwała tytaniczna wojna domowa: Minichello usiłował zamknąć okiennice, Bonifazia potykała się w ciemnościach, szukając świec, ciocia Greysteel odkryła, że włoskie słowo, którego używała na określenie okiennic, tak naprawdę oznacza pergamin. Każde z nich po kolei traciło cierpliwość. Sytuacja nie zmieniła się na lepsze, gdy w całym mieście rozdzwoniły się dzwony, ponieważ uważano, że dzwony (jako przedmioty błogosławione) mogą odegnać burze i grzmoty (bez wątpienia dzieło szatana).

W końcu dom był bezpieczny albo niemal bezpieczny. Ciocia Greysteel opuściła Bonifazję i Minichella, którzy kończyli pracę. Zapomniawszy, że Flora wybiegła z salonu, powróciła tam ze świecą dla bratanicy. Nie zastała Flory, ale zauważyła, że Minichello wciąż nie zamknął okiennic.

Wdrapała się po schodach do sypialni Flory, jednak i tam nie odnalazła dziewczyny. Nie było jej też w maleńkiej jadalni ani w sypialni cioci Greysteel, ani w drugim, mniejszym saloniku, gdzie czasem zachodziły po kolacji. Potem ciocia Greysteel przeszukała kuchnię, westybul i pokój ogrodnika. Nie znalazła bratanicy w żadnym z tych miejsc.

Ciocia Greysteel przeraziła się nie na żarty. Jakiś głosik szeptał jej do ucha, że żona Jonathana Strange'a również nieoczekiwanie zaginęła podczas złej pogody.

- Ale wtedy padał śnieg, nie deszcz - mruknęła do siebie. Chodziła po domu, szukając Flory, i powtarzała sobie: - Śnieg, nie deszcz. Śnieg, nie deszcz.

„Może przez cały czas siedziała w salonie - pomyślała nagle. - Było tak ciemno, a ona wciąż milczy... Mogłam jej nie zauważyć”.

Wróciła do pokoju. W świetle błyskawic wyglądał nienaturalnie. Ściany były białe i straszne, meble i inne przedmioty szare, jakby zamieniły się w kamień. Ciocia Greysteel uświadomiła sobie z przerażeniem, że w pokoju rzeczywiście ktoś jest - kobieta, lecz nie Flora, tylko jakaś nieznajoma w ciemnej staroświeckiej sukni, ze świecą w lichtarzu. Kobieta, której twarz skrywał cień, przez co jej rysy były niewidoczne, patrzyła na ciocię Greysteel. Ciocia Greysteel zamarła.

Rozległ się grzmot, a potem pokój spowiła czarna jak atrament ciemność. Widać było jedynie dwa płomyki świec, jednakże świeca nieznajomej najwyraźniej niczego nie oświetlała. Ale najdziwniejsze było to, że pokój w tajemniczy sposób się powiększył: kobieta i jej świeca znalazły się nienaturalnie daleko od cioci Greysteel.

- Kto tu jest?! - krzyknęła ciocia Greysteel.

Nikt nie odpowiedział.

„Naturalnie jest Włoszką - pomyślała. - Muszę zadać pytanie po włosku. Może podczas tej burzy trafiła do niewłaściwego domu”. Ale mimo starań nie mogła sobie przypomnieć w tej chwili ani jednego włoskiego słowa.

Niebo znów przecięła błyskawica. Kobieta stała nieruchomo. „To duch żony Jonathana Strange’a” - pomyślała ciocia. Zrobiła krok do przodu, podobnie jak nieznajoma, i nagle poczuła niezwykłą ulgę. „To lustro! Och! Jak niemądrze z mojej strony! Jak niemądrze!

Przerazić się własnego oblicza!” Tak jej ulżyło, że niemal wybuchnęła śmiechem. Ale nagle głos zamarł jej w gardle. To wcale nie było niemądre, wcale: wcześniej w tym miejscu nie wisiało żadne lustro.

Następna błyskawica oświetliła zwierciadło. Było brzydkie i o wiele za duże jak na to pomieszczenie.

Pośpiesznie wybiegła z pokoju. Czują, że będzie mogła myśleć trzeźwiej z dala od złowrogiego lustra. Była w połowie schodów, gdy nagle jakieś hałasy dobiegające z sypialni Flory nakazały jej otworzyć drzwi i zajrzeć do środka.

Zobaczyła tam bratanicę. Dziewczyna zapaliła świece, które jej zostawili, i właśnie ściągała suknię przez głowę. Strój ociekał wodą, halka i pończochy były w opłakanym stanie. Buty, przemoczone i zniszczone od deszczu, leżały na podłodze obok łóżka.

Flora popatrzyła na ciotkę. Na jej twarzy mieszały się poczucie winy, zakłopotanie, bunt i kilka innych odczuć, trudnych do zdefiniowania.

- Nic! Nic! - wykrzyknęła.

Była to zapewne odpowiedź na pytanie, którego spodziewała się po ciotce, ale ta powiedziała tylko:

- Moja droga! Gdzieś ty była? Dlaczego wychodziłaś w taką okropną pogodę?

- Wyszłam... Wyszłam kupić jedwabnych nici do haftowania.

Ciocia Greysteel musiała wyglądać na zaskoczoną, gdyż Flora dodała bez przekonania:

- Nie sądziłam, że tak długo będzie padać.

- Cóż, moja droga, muszę przyznać, że zachowałam się niemądrze. Na pewno okropnie się przestraszyłaś! Czy dlatego płakałaś?

- Płakałam?! Nie, nie! Mylisz się, ciociu. Nie płakałam. To tylko deszcz.

- Ale przecież... - Ciocia Greysteel umilkła.

Już zamierzała dodać: „Przecież właśnie płaczesz”, lecz Flora odwróciła głowę. Z

jakiegoś powodu zwinęła szal, a ciocia Greysteel nie przestawała myśleć o tym, że przecież właśnie szal mógł uchronić bratanicę przed deszczem. Z zawiniątka wyciągnęła pół buteleczki płynu bursztynowej barwy. Otworzyła szufladę i włożyła do niej butelkę.

- Floro! Stało się coś dziwnego. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale jest lustro...

- Tak, wiem - przerwała jej Flora. - Należy do mnie.

- Do ciebie! - Zdumiona ciocia Greysteel umilkła. - Gdzie je kupiłaś? - zapytała w końcu. Nie potrafiła wymyślić nic innego.

- Nie pamiętam. Chyba je właśnie przyniesiono.

- Przecież nikt nie przynosiłby zwierciadła w czasie burzy! A nawet gdyby ktoś był aż tak niemądry, zapukałby do drzwi, a nie przemykał się chyłkiem.

Flora pominęła milczeniem te bardzo rozsądne argumenty, a ciocia Greysteel bez żalu zarzuciła ten temat. Miała już dosyć burzy, strachu i luster w nieoczekiwanych miejscach. Zagadka, dlaczego pojawiło się lustro, została chwilowo rozwiązana, a pytanie: „jak się pojawiło?” - ciocia odłożyła na później. Z ulgą wróciła do tematu sukni Flory i jej butów, i prawdopodobieństwa złapania grypy, konieczności natychmiastowego wysuszenia się, włożenia nocnej koszuli i zejścia przed kominek w salonie oraz zjedzenia gorącego posiłku.

Kiedy obie siedziały już w salonie, ciocia Greysteel powiedziała:

- Widzisz, burza mija. Chyba zmierza z powrotem na wybrzeże. Dziwne! Myślałam, że właśnie stamtąd przyszła. Pewnie twoje jedwabne nici zostały zniszczone przez deszcz, tak jak wszystko inne.

- Jedwabne nici? - powtórzyła Flora i dodała, nagle sobie przypominając: - Och! Nie dotarłam do sklepu. Masz rację, to był niemądry pomysł.

- Wyjdziemy później i kupimy, czego ci trzeba. Tak mi żal tych biednych ludzi na targu! Wszystko na straganach musiało się zepsuć. Bonifazia przygotowuje ci owsiankę, skarbie. Nie wiem, czy powiedziałam jej, by użyła świeżego mleka.

- Nie pamiętam, ciociu.

- Lepiej pójdę i o tym wspomnę.

- Ja pójdę, ciociu - zaproponowała Flora, wstając. Ale ciotka nie chciała o tym słyszeć. Flora musiała pozostać na swoim miejscu, przy kominku, z nogami na podnóżku.

Przejaśniało się z chwili na chwilę. Zanim ciocia Greysteel poszła do kuchni, przyjrzała się zwierciadłu. Było bardzo duże i ozdobne jak lustra z wyspy Murano na lagunie weneckiej.

- Cóż, zdumiewa mnie, że podoba ci się to zwierciadło, Floro. Tyle zawijasów i szklanych kwiatów. Zazwyczaj wolisz mniej ozdobne sprzęty.

Flora westchnęła i odparła, że od przyjazdu do Włoch zagustowała w misternych i okazałych przedmiotach.

- Czy było drogie? - zainteresowała się ciocia Greysteel. - Wygląda na kosztowne.

- Nie. Nie było.

- No cóż, zawsze to jakaś pociecha.

Ciocia Greysteel udała się do kuchni. Doszła już do siebie i była przekonana, że poranny ciąg zaskoczeń i niepokojów dobiega wreszcie końca. Myliła się jednak, i to bardzo.

W kuchni oprócz Bonifazii i Minichella zastała dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziała. Bonifazia najwyraźniej nie zaczęła jeszcze przyrządzać owsianki dla Flory, nawet nie przyniosła płatków owsianych i mleka ze spizarki.

W chwili gdy Bonifazia zobaczyła ciocię Greysteel, złapała ją za rękę i zalała potokiem natarczywych padewskich słów. Mówiła o okropnej burzy, tyle było jasne, oprócz tego ciocia Greysteel niewiele zrozumiała. Ku zdumieniu damy to Minichello pomógł jej pojąć słowa Bonifazii. Całkiem zręcznie naśladowując język angielski, powiedział:

- Mag angielska to robić. Mag angielska robić tempesta.

- Słucham?

Znosząc częste ingerencje Bonifazii i obu mężczyzn, Minichello wyjaśnił, że podczas burzy kilka osób spojrzało w górę i dostrzegło szczelinę w czarnych chmurach. To, co w niej zobaczyli, zdumiało ich i przeraziło: nie był to czysty lazur, którego się spodziewali, tylko czarne nocne niebo pełne gwiazd. Burza wcale nie była naturalna - wywołano ją, by ukryć słup ciemności Strange'a.

Wieść prędko rozeszła się po mieście i mieszkańcy bardzo się nią przejęli. Do tej pory słup ciemności był koszmarem Wenecji, która - przynajmniej padwańczykom - wydawała się najodpowiedniejszym miejscem na takie zjawiska. Teraz okazało się, że Strange przebywał w Wenecji z wyboru, nie na mocy zaklęcia. Wieczna ciemność mogła zagościć w każdym włoskim mieście, a nawet w każdym mieście na świecie. Samo w sobie było to wystarczająco straszne, ale ciocia Greysteel wydawało się jeszcze straszniejsze niż innym: do jej lęku przed Strange'em doszło nieprzyjemne przekonanie, że Flora nie powiedziała prawdy. Zastanawiała się, czy bratanica skłamała, gdyż znalazła się pod wpływem zaklęcia, czy też przywiązanie do Strange'a osłabiło jej zasady moralne. Ciocia Greysteel nie wiedziała, co gorsze.

Napisała do brata w Wenecji, błagając, by przyjeżdżał. Tymczasem postanowiła nie wracać do ostatnich wydarzeń. Przez resztę dnia bacznie obserwowała Florę. Bratanica zachowywała się tak jak zwykle, tyle że czasem ciotka dostrzegała w niej lekką skruchę, jakby Flora czuła się czemuś winna.

Następnego dnia o pierwszej, na kilka godzin przed nadejściem listu ciotki Greysteel do Wenecji, doktor Greysteel przyjechał wraz z Frankiem. Powiedzieli ciotki Greysteel, że w Wenecji nie jest tajemnicą, iż Strange opuścił parafię Santa Maria Zobenigo i przeniósł się na terram firmam. Słup ciemności widziano w wielu miejscach, przemieszczał się przez morze. Jego powierzchnia migotała, a zawirowania i spirale ciemności wystrzeliwały na zewnątrz i wpadały do środka, tak że wydawał się stworzony z czarnych płomieni. Jak Strange znalazł sposób na pokonywanie wody - czy podróżował łodzią, czy też używając magii - pozostawało tajemnicą. Burza, za pomocą której usiłował ukryć swą obecność, została wyczarowana dopiero, kiedy dotarł do Stra, trzysta kilometrów od Padwy.

- Mówię ci, Louiso, za nic bym się z nim nie zamienił - powiedział doktor Greysteel. - Wszyscy uciekają na jego widok. Od Mestre do Stra nie widział ani jednego żywego stworzenia, jedynie puste ulice i opuszczone pola. Obecnie świat jest dla niego wyludnionym miejscem.

Jeszcze kilka chwil temu ciotka Greysteel nie myślała o Strange'u zbyt przychylnie, ale obraz odmalowany przez brata był tak szokujący, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Gdzie jest teraz? - zapytała łagodnie.

- Wrócił do swego mieszkania przy Santa Maria Zobenigo - odparł doktor Greysteel. - Jest tak jak dawniej. Gdy tylko usłyszeliśmy, że był w Padwie, domyśliłem się, o co mu chodziło. Przybyliśmy jak najszybciej. Co z Florą?

Flora była w salonie. Czekala na ojca - chyba rzeczywiście jej ulżyło, że w końcu przyjechał. Ledwie doktor Greysteel zdołał wypowiedzieć pierwsze pytanie, od razu pośpieszyła z wyznaniem. Była to spowiedź serca obciążonego sekretem, przy której łzy płynęły ciurkiem. Flora wykrztusiła, że spotkała się ze Strange'em. Ujrzała go na ulicy i domyśliła się, że czeka na nią, więc wybiegła do niego z domu.

- Powiem wam wszystko, obiecuję - oświadczyła. - Ale jeszcze nie teraz. Nie zrobiłam nic złego. To znaczy... - Oblała się rumieńcem. - Poza kłamstwami, których naopowiadałam ciotki. Bardzo za nie przepraszam. Jednakże sekrety nie są moje i nie mogę ich powtarzać.

- Dlaczego to muszą być sekrety, Floro? - spytał ojciec. - Czy nie sądzisz, że właśnie przez nie powstają nieporozumienia? Ludzie o czystych intencjach nie miewają sekretów. Działają jawnie.

- Tak, tak przypuszczam... Ale to nie dotyczy magów! Pan Strange ma wrogów... Tego okropnego starca w Londynie i jeszcze innych. Ale nie wolno ci łączyć mnie za niestosowne zachowanie. Tak bardzo się starałam postępować właściwie i wierzę, że mi się udało! Magia, którą praktykuje, niszczy go. Wczoraj przekonałam go, by z niej zrezygnował!

Obiecał, że całkiem ją porzuci.

- Ależ Floro! - powiedział ojciec ze smutkiem. - To przygnębia mnie jeszcze bardziej niż cała reszta. To, że uważasz się za upoważnioną do wyciągania z niego obietnic, wymaga wyjaśnienia. Chyba to rozumiesz? Moja droga, czy jesteś z nim zaręczona?

- Nie, papo! - Flora ponownie wybuchnęła płaczem. Ciotka musiała długo pocieszać bratanicę. Gdy w końcu względnie się uspokoiła i mogła już mówić, wyjaśniła: - Nie było żadnych zaręczyn. To prawda, byłam do niego przywiązana. To jednak już skończone. Nie wolno wam mnie podejrzewać. Poprosiłam go o tę obietnicę z przyjaźni i dla dobra jego żony. On myśli, że robi to dla niej, ale ja wiem, że ona nie życzyłaby sobie, by zajmował się magią tak rujnącą zdrowie i rozum - niezależnie od przedmiotu, niezależnie od okoliczności! Ona nie może już kierować jego poczynaniami, wobec czego ja musiałam przemówić w jej imieniu.

Doktor Greysteel milczał.

- Floro - powiedział po dłuższej chwili. - Zapominasz, moja droga, że widywałem go w Wenecji. Nie jest w stanie dotrzymać obietnicy. Nawet nie będzie pamiętał, co obiecywał.

- Ależ będzie! Tak ułożyłam sprawy, że z pewnością będzie.

Nowy potok łez zdradził, że mimo zapewnień nie uwolniła się jeszcze od miłości. Ale jej słowa i tak przyniosły ulgę doktorowi Greysteelowi i jego siostrze. Byli przekonani, że przywiązanie do Jonathana Strange'a musi prędzej czy później minąć. Jak zauważyła tego wieczoru ciocia Greysteel, Flora nie należała do dziewcząt, które latami usychają w imię niespełnionej miłości. Była na to zbyt rozsądna.

Teraz gdy wszyscy się spotkali, doktor Greysteel i ciocia Greysteel zapragnęli kontynuować podróż. Ciocia Greysteel życzyła sobie pojechać do Rzymu i obejrzeć wszystkie starożytne budynki oraz artefakty, które podobno były wspaniałe. Flory jednak nie interesowały już żadne dzieła sztuki. Twierdziła, że jest szczęśliwa w Padwie. Przez większość czasu nawet nie wychodziła z domu, jeśli nie musiała. Kiedy proponowali jej spacer lub wizytę w kościele z renesansowym ołtarzem, nie chciała im towarzyszyć. Skarżyła się często, że pada albo że ulice są mokre. Wszystko to było prawdą, rzeczywiście tej zimy w Padwie bardzo padało, ale dotychczas deszcz nigdy Florze nie przeszkadzał.

Ciotka i ojciec byli cierpliwi, chociaż doktor Greysteel ciężko to znosił. Nie przyjechał do Włoch po to, by siedzieć w domu o połowę mniejszym niż jego własna wygodna posiadłość w Wiltshire. Pod nieobecność Flory utyskiwał, że czytać książki i haftować (ulubione rozrywki Flory) można i w Wiltshire, przy tym o wiele taniej, ale ciocia Greysteel besztła go i mówiła, żeby siedział cicho. Jeśli Flora właśnie tak postanowiła

opłakiwać Jonathana Strange'a, musieli jej na to pozwolić.

Flora zaproponowała tylko jedną wycieczkę, za to bardzo dziwną. Mniej więcej po tygodniu od przyjazdu doktora Greysteela do Padwy oznajmiła, że bardzo pragnie znaleźć się na morzu. Zapytali, czy chodzi jej o podróż statkiem. Mogli bez przeszkód udać się do Rzymu lub Neapolu drogą morską.

Nie miała jednak na myśli morskiej podróży. Nie zamierzała opuszczać Padwy. Nie, zapragnęła znaleźć się na jachcie albo innym rodzaju łodzi. Tylko na godzinkę lub dwie, może nawet krócej, jednakże natychmiast. Następnego dnia udali się do rybackiej wioski.

Wioska ta nie przyciągała szczególnie korzystnym położeniem, krajobrazem, architekturą ani historią - właściwie jedyną jej zaletą była bliskość Padwy. Doktor Greysteel popytał w niewielkiej winiarni i na plebani, aż usłyszał o dwóch spokojnych jegomościach, którzy skłonni byli ich zabrać w morze. Mężczyźni nie mieli nic przeciwko pieniądзом od doktora Greysteela, ale czuli się w obowiązku wyjaśnić, że z dala od lądu nie ma czego oglądać. Nie byłoby nawet przy dobrej pogodzie. Tego dnia pogoda nie dopisała - padało na tyle mocno, by cała morska wycieczka okazała się klęską, lecz nie wystarczająco mocno, by rozwiać ciężką, szarą mgłę.

- Na pewno tego chcesz, kochanie? - spytała ciocia Greysteel. - To okropne miejsce, a łódź przeraźliwie cuchnie rybami.

- Na pewno, ciociu - odparła Flora.

Wdrapała się na łódź i usiadła, a ciocia i ojciec poszli w jej ślady. Zaintrygowani rybacy wypłynęli i wkrótce ze wszystkich stron otaczała ich tylko szara woda zamknięta w granicach wyznaczonych przez mgłę. Rybacy popatrzyli pytająco na doktora Greysteela, on spojrzał na córkę.

Nie zwracała na nich uwagi. Zamyślona, siedziała oparta o burtę; prawą rękę wyciągnęła nad wodę.

- Znowu! - krzyknął doktor Greysteel.

- Co znowu? - spytała ciocia Greysteel poirytowana.

- Smród kotów i stęchlizny! To zapach pokoju tamtej staruszki. Staruszki, którą odwiedziliśmy w Cannaregio. Czy na pokładzie jest kot?

Pytanie było absurdalne. Widzieli absolutnie każdy fragment łodzi i nigdzie nie było kota.

- Czy coś się stało, kochanie? - zapytała ciocia Greysteel. Coś w pozie Flory bardzo się jej nie podobało. - Jesteś chora?

- Nie, ciociu. - Flora wyprostowała się i wzięła do ręki parasolkę. - Wszystko w

porządku. Możemy wracać, jeśli chcecie.

Przez chwilę ciocia Greysteel widziała na falach małą butelkę bez zatyczki. Potem buteleczka zatonięła w wodzie i przepadła na zawsze.

W następnych tygodniach Flora w ogóle nie dawała się wyciągnąć z domu. Czasem ciocia Greysteel próbowała ją przekonać, by choć usiadła w fotelu przy oknie i powyglądała na świat - na włoskich ulicach zawsze coś się działo. Flora była jednak bardzo przywiązana do fotela w zacienionym kącie pokoju, pod niezwyklejnym lustrem. Nabrała dziwnego zwyczaju porównywania obu pokojów - tego w lustrze i rzeczywistego. Bywało, że zainteresował ją szal rzucony na oparcie fotela oraz jego odbicie.

- Ten szal w lustrze wygląda inaczej - mówiła wtedy.
- Naprawdę? - pytała ciocia Greysteel zaintrygowana.
- Tak. W lustrze wydaje się brązowy, podczas gdy jest niebieski. Nie sądzisz?
- Cóż, moja droga, z pewnością masz rację, moim zdaniem jednak wygląda tak samo.
- Rzeczywiście - odpowiadała Flora z westchnieniem.

## **Rozdział siedemnasty**

### **„Drzewo mówi do kamienia; kamień mówi do wody” styczeńluty 1817**

Kiedy pan Norrell zniszczył książkę rywala, opinia publiczna opowiedziała się za Strange'em. Robiono (publicznie i prywatnie) liczne porównania między dwoma magami. Strange był otwarty, odważny i energiczny, podczas gdy pana Norrella charakteryzowała wyłącznie skrytość. Nie zapomniano również o tym, że kiedy Strange służył krajowi na półwyspie, Norrell wykupił wszystkie książki magii z biblioteki księcia Roxburghe'a, by nikt inny nie mógł ich przeczytać. Jednakże w połowie stycznia gazety doniosły o szaleństwie Strange'a, opisywały słup ciemności i spekulowały na temat magii, która go tam utrzymywała. Pewien Anglik nazwiskiem Lister bawił w Mestre na włoskim wybrzeżu w dniu, w którym Strange opuścił Wenecję i udał się do Padwy. Pan Lister był świadkiem przejścia słupa ciemności przez morze i wysłał do Anglii sprawozdanie z tych wydarzeń. Trzy tygodnie później w kilku londyńskich dziennikach wydrukowano opis tego, jak słup ślizgał się w ciszy na powierzchni



wody. W ciągu kilku miesięcy Strange stał się dla rodaków uosobieniem koszmaru, przeklętą istotą, nieledwie potworem.

Nagły upadek Strange'a nie poprawił jednak sytuacji pana Norrella. Pan Norrell nie otrzymywał nowych zleceń od rządu, a co gorsza, odwołano również zamówienia z innych źródeł. Na początku stycznia dziekan katedry Świętego Pawła chciał wiedzieć, czy pan Norrell odnajdzie miejsce pochówku pewnej zmarłej damy. Brat tej młodej kobiety chciał wzniesć nowy grobowiec dla wszystkich członków rodziny i wymagało to przeniesienia jej trumny. Ale rektor i kapituła z zakłopotaniem odkryli, że błędnie zapisano miejsce jej pochówku i nie wiadomo było, gdzie jej szukać. Pan Norrell zapewnił go, że to rzecz najprostsza pod słońcem. Gdy tylko rektor przekaze mu jej nazwisko i kilka szczegółów, niezwłocznie przystąpi do czarów. Jednakże rektor nie zdradził panu Norrellowi nazwiska damy. Zamiast tego wysłał niezręcznie sformułowany, pełen wymówek list, w którym wyjaśniał, że jego zdaniem przedstawicielom duchowieństwa nie przystoi zatrudniać magów.

Lascalles i pan Norrell doszli do wniosku, że sytuacja jest niepokojąca.

- Trudno będzie odnowić angielską magię, skoro się jej w ogóle nie praktykuje - zauważył Lascalles. - W czasie kryzysu musimy stale przypominać obywatelom o pańskim istnieniu i osiągnięciach.

Lascalles pisał artykuły do dzienników i we wszystkich czasopismach o magii potępiał Strange'a w czambuł. Wykorzystał też okazję, by podsumować magię czynioną przez pana Norrella w ostatnich dziesięciu latach, i zasugerował ulepszenia. Uznał, że wraz z panem Norrellem powinni się udać do Brighton, by rzucić okiem na mur zaklęć, którym pan Norrell i Jonathan Strange otoczyli wybrzeże Brytanii. Wtedy zajęło to panu Norrellowi mniej więcej dwa lata i kosztowało rząd ogromne pieniądze.

I tak pewnego szczególnie mroźnego i wietrznego lutowego dnia stali razem na plaży w Brighton i kontemplowali rozległą przestrzeń monotonnego szarego morza.

- Jest niewidzialny - powiedział Lascalles.

- Niewidzialny, o tak - przytaknął pan Norrell. - Co nie znaczy, że nieskuteczny! Chroni urwiska przed erozją, domy przed sztormami, inwentarz przed porwaniem przez wodę, a także przewróci wszystkie okręty wrogów naszej ojczyzny, które próbowałyby tu przybić.

- Ale czy nie mógłby pan w regularnych odstępach umieścić znaków nawigacyjnych, by przypominały ludziom, iż wznosi się tu magiczny mur? Może płomienie kołyszące się tajemniczo na powierzchni wody? Słup z glonów? Coś w tym rodzaju?

- Och, naturalnie! - odparł pan Norrell. - Mógłbym stworzyć takie magiczne iluzje, to

nie trudne. Ale musi pan zrozumieć, że służyłyby tylko do ozdoby. W żaden sposób nie wzmocnią magii. Nie będą miały najmniejszego znaczenia.

- Owszem, będą miały znaczenie - oznajmił Lascelles surowo. - Będą stale przypominały patrzącym, że to dzieło wielkiego pana Norrella. Uświadomią Brytyjczykom, że nadal jest pan obrońcą narodu, zawsze czujnym i chroniącym ich, gdy zajmują się swoimi sprawami. Będzie to warte dziesięciu, dwudziestu artykułów w gazetach.

- Doprawdy? - spytał pan Norrell.

Obiecał, że w przyszłości będzie brał pod uwagę czynienie magii, która zdoła pobudzić zbiorową wyobraźnię.

Tę noc spędzili w tawernie Pod Starą Łajbą, a następnego ranka powrócili do Londynu. Pan Norrell nie cierpiał dalekich podróży. Choć jego karetą była wspaniałym przykładem doskonałej sztuki powoźniczej, począwszy od żelaznych amortyzatorów, a na wygodnych kanapach skończywszy, i tak czuł każdy wybój i dziurę na drodze. Mniej więcej po półgodzinnej podróży zaczynał cierpieć na bóle krzyża, migreny i nudności. Tego ranka jednak nie poświęcił swemu kręgosłupowi ani żołądkowi nawet jednej myśli. Od kiedy wyruszyli ze Starej Łajby, był podenerwowany. Miewał nieoczekiwane pomysły i gnębiły go bliżej nieokreślone strachy.

Przez okienko karety widział wiele czarnych ptaków. Nie wiedział, czy to kruki, czy wrony, ale w swym sercu, sercu maga, czuł, że ich obecność coś oznacza. Wirowały i krążyły po bladym niebie, rozpościerały skrzydła niczym czarne dłonie, a wtedy każdy stawał się ucieleśnieniem Kruka w Locie, proporca Johna Uskglassa. Pan Norrell spytał Lascellesa, czy ptaków jest więcej niż zwykle, a Lascelles odparł, że nie wie. Drugą rzeczą, która dręczyła wyobraźnię pana Norrella, były spore kałuże gęsto rozsiane na polach. Gdy karetą jechała drogą, każda widziana z niej kałuża zamieniała się w srebrne lustro odbijające zimowe niebo. A dla maga między lustrem a drzwiami nie było wielkiej różnicy. Anglia zdawała się tracić siły na jego oczach. Czuł, że gdyby przeszedł przez jedno z lustrzanych drzwi, znalazłby się w którymś ze światów graniczących z Anglią. Co gorsza, zaczynał myśleć, że mogą to zrobić także inni. Krajobrazy Sussexu zaczęły nieprzyjemnie przypominać Anglię ze starej ballady.

*Ta ziemia jest zbyt płytka*

*Skreślona jest na niebie*

*I drży jak deszcz na wietrze gdy*

*Kruków Król pomknie biegiem*

Po raz pierwszy w życiu pan Norrell poczuł, że być może w Anglii jest zbyt dużo magii.

Kiedy dotarli na Hanover Square, natychmiast udali się do biblioteki. Przy biurku siedział Childermass i czytał jeden z listów leżących przed nim na stosiku. Podniósł wzrok, gdy do pomieszczenia wszedł pan Norrell.

- Świetnie, wrócił pan! Proszę to przeczytać.- Dlaczego? Co to?- List od człowieka o nazwisku Traquair. Młody mężczyzna w hrabstwie Nottingham ocalał dzięki magii życie dziecka, Traquair był tego świadkiem.

- Doprawdy, proszę pana! - westchnął Lascelles. - Myślałem, że ma pan więcej rozumu. Żeby zawracać chlebobdawcy głowę takimi bzdurami! - Zerknął na stosik otwartych listów. Na jednym widniała duża pieczęć z herbem. Lascelles wpatrywał się w nią przez chwilę, nim sobie uświadomił, że dobrze ją zna. Chwycił list. - Mistrzu! - krzyknął. - Mamy zlecenie od lorda Liverpoola!

- Nareszcie! - ucieszył się pan Norrell. - Co pisze?

Lascelles szybko przebiegł oczyma pismo.

- Tylko tyle, że prosi nas o obecność w Fife House w sprawie najwyższej wagi! - Przez chwilę myślał gorączkowo. - Pewnie chodzi o johannitów. W tej sprawie Liverpool powinien był poprosić pana o pomoc wiele lat temu. Cieszę się, że sobie to wreszcie uświadomił. A co do pana... - popatrzył na Childermassa - całkiem pan oszalał? A może knuje pan za naszymi plecami? Bredzi pan o rzekomej magii, podczas gdy na biurku leży list od premiera Anglii.

- Lord Liverpool może poczekać - powiedział Childermass do pana Norrella. - Proszę mi wierzyć, gdy mówię, że musi pan zapoznać się z tym listem!

Lascelles prychnął gniewnie.

Pan Norrell przenosił spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Był całkiem zagubiony. Przywykł już, że jest od nich zależny, a ich kłótnie (ostatnio coraz częstsze) całkowicie go rozstrajały. Stałby tak, nie umiejąc wybrać między nimi, gdyby Childermass nie chwycił go za rękę i nie wciągnął do wyłożonego drewnem przedsionka u wejścia do biblioteki. Dysponent zatrzasnął drzwi i oparł się o nie.

- Proszę posłuchać. W pewnym arystokratycznym domu w hrabstwie Nottingham zaobserwowano zjawisko magiczne. Dorośli rozmawiali w salonie, służący byli zajęci, a pewna dziewczynka powędrowała do ogrodu. Wspięła się na wysoki mur otaczający ogródek warzywny i zaczęła po nim spacerować. Mur pokryty był lodem, dziewczynka poślizgnęła się, spadła i przebiła dach cieplarni. Szkło bardzo ją poraniło. Służący usłyszał krzyk. Najbliższy chirurg mieszkał piętnaście kilometrów stamtąd. Jeden z obecnych, młody Joseph

Abney, ocalił dziewczynkę za pomocą magii. Wyciągnął z niej odłamki szkła i poskładał połamane kości dzięki Odnowie i Odtworzeniu Martina Pale'a, a upływ krwi powstrzymał za pomocą zaklęcia, które określił mianem Dłoni Teila.

- Idiocyzm! - oświadczył pan Norrell. - Zaklęcie Dłoni Teila zaginęło setki lat temu, a Odnowa i Odtworzenie Pale'a wiąże się z przestrzeganiem niesłychanie skomplikowanej procedury. Ten młody człowiek musiałby studiować przez długie lata.

- Tak, wiem, przyznał, że ledwie liźnął tej wiedzy. Z trudem przypominał sobie nazwy zaklęć, co dopiero mówić o ich wykonaniu. Ale Traquair twierdzi, że rzucił zaklęcia płynnie, bez wahania. Traquair i inni obecni pytali go, co robi - zwłaszcza ojciec dziewczynki był zaniepokojony tym, że Abney odprawia czynności magiczne - wszystko jednak wskazuje na to, iż Abney ich nie słyszał. Potem zachowywał się jak człowiek zbudzony ze snu. Powtarzał jedynie: „Drzewo przemawia do kamienia; kamień przemawia do wody”. Najwyraźniej uważał, że drzewa i niebo podyktowały mu, co należy robić.

- Mistyczne brednie!

- Być może! Ale od kiedy przybyliśmy do Londynu, czytałem setki listów od ludzi, którym błędnie wydawało się, że potrafią czarować. Tym razem to coś innego. Tym razem to prawda. Postawiłbym na to każde pieniądze. Poza tym mam tu listy od osób, które próbowały rzucać zaklęcia, i to z powodzeniem. Nie rozumiem jednak, jak...

W tym momencie drzwi, o które opierał się Childermass, zadrżały. Coś uderzyło w nie od drugiej strony i pchnęło Childermassa na pana Norrella. W drzwiach stanął Lucas, a za nim stangret Davey.

- Och! - odezwał się zaskoczony Lucas. - Proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że pan tu jest. Pan Lascelles twierdził, że drzwi się zatrzasnęły. Razem z Daveyem próbowaliśmy je otworzyć. Karetą gotowa.

- Jedźmy! - zakrzyknął Lascelles z biblioteki. - Lord Liverpool czeka.

Pan Norrell rzucił przejęte spojrzenie Childermassowi i wyszedł.

Podróż do Fife House nie przebiegała w miłej atmosferze: Lascelles był wściekły na Childermassa i nie starał się tego kryć.

- Przepraszam, że to mówię, ale może pan winić tylko siebie - oznajmił. - Czasem pozostawienie pewnej swobody inteligentnemu słudze wydaje się rozsądne, ale człowiek zawsze tego w końcu żałuje. Ten łajdak robi się coraz bardziej zuchwały. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że wolno mu się panu sprzeciwiać i obrażać pańskich przyjaciół. Mój ojciec batożył sługi za błaższe przewinienia, znacznie błaższe, zapewniam pana. Chciałbym, ach, chciałbym... - Lascelles krzywił się i wiercił, i rzucał na poduszkach. Po chwili dodał

spokojniejszym tonem: - Radzę panu zastanowić się nad tym, czy rzeczywiście potrzebuje go pan tak bardzo, jak pan sądzi. Jak wielką sympatią darzy Strange'a? Tak, to najważniejsze pytanie, czyż nie? - Zerknął przez szybkę na ponure, szare budynki. - Jesteśmy na miejscu. Proszę pamiętać, co panu powiedziałem. Nawet jeśli magia, której zażąda jego lordowska mość, będzie wymagała pokonania wielu trudności, proszę się nad nimi nie rozwodzić. Dzięki długim wyjaśnieniom trudności się nie skurczą. Pan Norrell i Lascelles zastali lorda Liverpoola w jego gabinecie. Stał przy stole, przy którym załatwiał większość spraw.

Towarzyszył mu lord Sidmouth, minister spraw wewnętrznych. Obaj popatrzyli z powagą na pana Norrella. W końcu lord Liverpool zabrał głos:

- Mam tu listy od reprezentantów korony w hrabstwach Lincoln, York, Somerset, Kornwalia, Warwick i Cumbria... - (Lascelles ledwie powstrzymał się od radosnego westchnienia na myśl o magii i sówitej zapłacie) -...wszyscy narzekają na zaklęcia, które ostatnio tam rzucono!

Pan Norrell zamrugał.

- Słucham?

- Pan Norrell nic nie wie o magii działającej w tamtych miejscach - pośpiesznie wtrącił Lascelles.

Lord Liverpool popatrzył na niego lodowato, jakby mu nie wierzył. Na stole leżał stosik dokumentów. Lord Liverpool wybrał na chybił trafił jedną kartkę.

- Cztery dni temu w mieście Stamford kwakierka i jej przyjaciółka zwierzały się sobie - zaczęły. - Usłyszały hałas i odkryły, że ich młodszy bracia podsłuchują. Oburzone, pobiegły za chłopcami do ogrodu. Potem chwyciły się za ręce i wyrecytowały zaklęcie. Uszy chłopców oderwały się od ich głów i odfrunęły. Dopiero gdy chłopcy uroczyście przysięgli, że nigdy więcej nie będą podsłuchiwać, dziewczynki wywabiły ich uszy z krzaków róży, gdzie uszy się ukryły, i przekonały je do powrotu na miejsce.

Pan Norrell był zdumiony.

- Bardzo mi przykro, że te niewychowane młode kobiety studiowały magię. W ogóle jestem przeciwny temu, by płeć żeńska zajmowała się magią. Nie rozumiem jednak...

- Szanowny panie - przerwał mu lord Liverpool. - Te dziewczynki mają po trzynaście lat. Ich rodzice twierdzą stanowczo, że nigdy nie widziały nawet tekstu o magii. W Stamfordie nie ma ani magów, ani magicznych ksiąg.

Pan Norrell otworzył usta, by coś powiedzieć. Uświadomił sobie jednak, że nie wie co, więc milczał.

- Bardzo dziwne - odezwał się Lascelles. - Czym to tłumaczą dziewczynki?

- Mówią, że spojrzały na ziemię i zobaczyły zaklęcie wypisane na ścieżce za pomocą kamyków. Twierdzą, że kamienie powiedziały im, co mają robić. Ludzie obejrzeni już tę ścieżkę, rzeczywiście leżą na niej szare kamienie, ale nie układają się w symbole ani mistyczne pismo. To zwyczajne kamyki.

- Wspominał pan też o innych przejawach magii, nie tylko w Stamfordzie... - powiedział pan Norrell.

- Wiele innych przejawów, wiele innych miejsc - zazwyczaj, choć nie tylko, na północy i niemal wszystkie zdarzyły się w ostatnich dwóch tygodniach. W hrabstwie York objawiło się siedemnaście elfich dróg. Rzecz jasna, istniały od panowania Króla Kruków, ale od wieków już donikąd nie prowadziły i całkiem zarosły. Teraz, bez żadnego ostrzeżenia, znów są przejezdne. Zniknęły chwasty, mieszkańcy hrabstwa donoszą, że na końcu tych dróg znajdują się dziwne miejsca, których nigdy wcześniej nikt nie widział.

- Czy ktoś... - pan Norrell urwał i zwilżył wargi. - Czy ktoś już wyruszył tymi drogami?

- Jeszcze nie - odparł lord Liverpool. - Ale to tylko kwestia czasu.

Lord Sidmouth już od dłuższej chwili miał ochotę coś powiedzieć.

- To okropne! - wybuchnął z pasją. - Można sobie zmieniać magią Hiszpanię, ale to Anglia! Nagle graniczymy z miejscami, o których nikt nic nie wie, o których nawet nie słyszeliśmy. Nie potrafię opisać swoich uczuć! To nawet nie jest zdrada - chyba nie istnieje stosowne określenie na to, co pan zrobił!

- Ja tego nie zrobiłem! - krzyknął pan Norrell zdesperowanym tonem. - Niby dlaczego miałbym to uczynić? Nienawidzę elfich dróg! Podkreślałem to przy każdej okazji. - Popatrzył na lorda Liverpoola. - Odwołuję się do pamięci waszej lordowskiej mości. Czy kiedykolwiek dałem panu podstawy do podejrzeń, że darzę zyczliwością elfy lub ich magię? Czy nie cenzurowałem i nie potępiałem jej przy każdej okazji?

Były to pierwsze słowa maga, które zdołały nieco uspokoić premiera. Lekko pochylił głowę.

- Skoro to nie pan, to kto?

Pytanie najwyraźniej trafiło w najczulszy punkt pana Norrella. Stał, zagapiony w przestrzeń, otwierając i zamykając usta, niezdolny do odpowiedzi. Lascelles jednak doskonale nad sobą panował. Nie miał bladego pojęcia, czyja to może być magia, i nic go to nie obchodziło. Wiedział jednak, jaka odpowiedź najlepiej przysłuży się interesom jego i pana Norrella.

- Doprawdy zdumiewa mnie, że wasza lordowska mość stawia to pytanie - odezwał

się chłodno. - Chyba niegodziwość rzuconych zaklęć wskazuje na jej autora? To Strange.

- Strange?! - Lord Liverpool zamrugał oczyma. - Przecież Strange jest w Wenecji!

- Pan Norrell uważa, że Strange już nie panuje nad własnymi odruchami - odparł Lascelles. - Odprawiał rozmaite rodzaje czarnej magii. Układał się ze stworzeniami, które są nieprzyjaciółmi Wielkiej Brytanii, chrześcijaństwa, ludzkiej rasy! Ta katastrofa może być jakimś jego nieudanym eksperymentem, a być może sprowadził ją na nas celowo. Uważam za stosowne przypomnieć waszej lordowskiej mości, że pan Norrell przy kilku okazjach przestrzegał rząd przed wielkim niebezpieczeństwem, jakie zagraża narodowi ze strony pana Strange'a. Wysyłaliśmy waszej lordowskiej mości pilne informacje, ale na żadną nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Szczęśliwie dla nas wszystkich pan Norrell jest jak zawsze stanowczy, nieugięty i czujny. - Mówiąc to, Lascelles zerknął na pana Norrella, który w tej chwili wyglądał jak człowiek zatrwożony, pokonany i bezsilny.

Lord Liverpool również spojrzał na pana Norrella.

- Czy podziela pan to przekonanie?

Pan Norrell był zatopiony w myślach.

- To przeze mnie. To przeze mnie - mamrotał do siebie, ale na tyle głośno, że wszyscy zgromadzeni w pokoju również to usłyszeli.

Lascelles szeroko otworzył oczy, ale błyskawicznie się opanował.

- Naturalne, że teraz pan się tak czuje - powiedział szybko. - Za pewien czas uświadomi pan sobie jednak, że nie ma to nic wspólnego z prawdą. Gdy uczył pan pana Strange'a magii, nie mógł pan przecież przewidzieć takiego obrotu spraw. Nikt nie mógł.

Lord Liverpool wydawał się mocno zirytowany tą próbą zrobienia ofiary z pana Norrella. Przez wiele lat pan Norrell umacniał się na pozycji największego maga Anglii, więc jeśli w kraju rzucano jakieś szkodliwe zaklęcia, lord Liverpool uważał, że pan Norrell przynajmniej częściowo za to odpowiada.

- Zapytam pana raz jeszcze. Proszę mi udzielić jasnej odpowiedzi. Czy pańskim zdaniem zrobił to Strange?

Pan Norrell przenosił spojrzenie z jednego dżentelmena na innego.

- Tak - odparł wylężnionym głosem. Lord Liverpool posłał mu surowe spojrzenie.

- Nie wolno tego tak zostawić - powiedział po chwili. - Czy to sprawka Strange'a, czy nie, jedno jest pewne: Wielka Brytania ma już szalonego króla - szalony mag to gruba przesada. Wciąż naprasza się pan o zlecenia, oto więc jedno z nich. Proszę nie dopuścić do tego, żeby pański uczeń powrócił do kraju.

- Ale... - zaczął pan Norrell, jednak nagle zauważył ostrzegawcze spojrzenie

Lascellesa i zamilkł.

Pan Norrell i Lascelles powrócili na Hanover Square. Pan Norrell bezzwłocznie udał się do biblioteki. Childermass pracował przy biurku jak poprzednio.

- Szybko! - krzyknął pan Norrell. - Potrzeba mi zaklęcia, które już nie działa!

- Są ich tysiące. - Childermass wzruszył ramionami. - Cantoluna, Róża Dedala, Obnażone Damy, Witryfikacja Stokesey'a... - Witryfikacja Stokesey'a! Tak, mam jej opis!

Pan Norrell ruszył do półki i wyciągnął książkę. Poszukał właściwej strony, znalazł ją i rozejrzał się po pokoju. Na stole nieopodal kominka stał wazon z jemiolą, bluszczem, ostrokrzewem i gałązkami jakiegoś zimowego krzewu. Pan Norrell wbił wzrok w wazon i zaczął mamrotać pod nosem.

Wszystkie cienie w pokoju zrobiły coś, co niełatwo opisać czy wyjaśnić. Skierowały się w przeciwną stronę. I choć znów znieruchomiały, Childermass i Lascelles nie potrafili powiedzieć, czy są takie same jak poprzednio.

Coś brzęknęło i upadło na stół.

Lascelles podszedł, by się temu przyjrzeć. Jedna z gałęzi ostrokrzewu zamieniła się w szkło. Szklana gałąź była ciężka i wypadła z wazonu; dwa lub trzy nie potłuczone liście leżały na stole.

- To zaklęcie nie działało niemal od czterystu lat - powiedział pan Norrell. - Watershippe wspomina o nim w Kresie zaczarowanego lasu. To jedno z zaklęć, których używano, gdy był dzieckiem. Straciło moc, nim skończył dwadzieścia lat.

- Pańskie niezwykle umiejętności... - zaczął Lascelles.

- Moje niezwykle umiejętności nie mają z tym nic wspólnego! - warknął pan Norrell. - Nie potrafię korzystać z magii, która nie istnieje. Magia powraca do Anglii. Strange znalazł sposób, by ją tu sprowadzić.

- Miałem zatem rację, prawda? - oświadczył Lascelles. - Nasze najważniejsze zadanie to nie dopuścić do tego, by znalazł się w Anglii. Jeśli zdoła pan temu zapobiec, lord Liverpool wybaczy panu mnóstwo innych rzeczy.

Pan Norrell zastanawiał się przez chwilę.

- Mogę nie dopuścić do tego, by wrócił morzem.

- Znakomicie! - wykrzyknął Lascelles i zamyślił się nad słowami pana Norrella. - No, inną drogą raczej nie przybędzie. Latać nie potrafi! - Roześmiał się na samą myśl. Nagle coś mu przyszło do głowy. - Potrafi?

Childermass wzruszył ramionami.

- Nie wiem, co teraz potrafi Strange - rzekł pan Norrell. - Ale nie o tym myślałem.



Myślałem o Królewskich Traktach.

- Sądziłem, że Królewskie Trakty prowadzą do Faerie - zauważył Lascelles.

- Owszem. Ale nie tylko do Faerie. Królewskie Trakty prowadzą wszędzie. Do nieba. Do piekła. Do parlamentu... Zbudowano je za pomocą magii. Każde lustro, każda kałuża, każdy cień w Anglii to furka do nich. Nie mogę ich zatrzasnąć. Nikt nie może. Byłoby to gigantyczne przedsięwzięcie. Jeśli Strange postanowi przybyć tu Królewskimi Traktami, nie zdołam temu zapobiec.

- Ale...

- Nie zdołam temu zapobiec! - powtórzył pan Norrell, załamując ręce. - Niech mnie pan nie prosi. Mimo to... - Robił wszystko, żeby się uspokoić. - Mogę przygotować się na jego spotkanie. Największy mag epoki! No cóż, wkrótce się przekonamy, prawda?

- Jeśli wróci do Anglii, dokąd najpierw się uda? - spytał Lascelles.

- Do opactwa Hurtfew - odparł Childermass. - Bo niby dokąd?

Pan Norrell i Lascelles już mieli mu odpowiedzieć, ale w tym samym momencie do biblioteki wszedł Lucas ze srebrną tacą, na której leżał list. Lucas podsunął tacę Lascellesowi. Ten zerwał pieczęć na liście i szybko go przeczytał.

- Drawlight wrócił - oznajmił. - Proszę tu na mnie czekać. Wracam jutro.

## Rozdział osiemnasty

**„Przybyłem do nich w krzyku, który przeszył ciszę zimowego lasu” początek lutego 1817**

Rozdroże w środku lasu, początek lutego, świt. Powietrze wydawało się zamglone i rozmyte, pełne leśnego mroku. Od dawna nie używane drogi upstrzone były koleinami i zaniedbane, a jedna prezentowała się niewiele lepiej niż zwykła przecinka. Było to zapomniane miejsce, nie zaznaczono go na żadnej mapie, nawet nie miało nazwy.

Drawlight czekał na rozstajach. W pobliżu nie było konia ani stajennego z dwukółką lub powozem, lub czymś, co wyjaśniałoby, jak tu przybył. Stał jednak na tym rozdrożu od dłuższego czasu. Rękawy jego płaszcza zbieleły od mrozu. Lekki trzask za nim sprawił, że

Drawlight okręcił się na pięcie. Nic tam nie było, widział tylko rząd niemych drzew.

- Nie, nie - mruknął do siebie. - To nic. Spadł uschnięty liść i tyle. - Znowu coś trzasnęło, jakby lód rozsadził drewno albo kamień. Drawlight ze strachem spojrział w tamtym kierunku. - To tylko suchy liść - wymamrotał.

Teraz rozległ się nowy dźwięk. Przez chwilę Drawlight był przerażony, niepewny, skąd dobiega hałas. Po chwili go rozpoznał - był to tętent końskich kopyt. Patrzył na drogę. Niewyraźna szara smuga we mgle wskazywała, że zbliża się jeździec na koniu.

- Jest nareszcie. Jest - wybełkotał Drawlight i ruszył przed siebie. - Gdzie byłeś?! - wykrzyknął. - Czekam tu na ciebie od wielu godzin.

- No i co z tego? - spytał głos Lascellesa. - Nie masz nic innego do roboty.

- Och! Mylisz się! Nie mógłbyś się bardziej mylić. Musisz jak najszybciej zabrać mnie do Londynu!

- Wszystko w swoim czasie. - Lascelles wyłonił się z mgły i powściągnął konia lejcamy. Na kosztownym stroju i kapeluszu jeźdźca lśniły kropelki srebrzystej rosy.

Drawlight patrzył na niego przez chwilę, a potem, jakby przypomniawszy sobie dawne czasy, powiedział złośliwie:

- Jaki masz ładny strój! Ale doprawdy, żeby się tak obnosić ze swym bogactwem! To niemądre. Nie boisz się rabusiów? To okropne miejsce. Śmiem twierdzić, że w okolicy nie brak desperatów.

- Pewnie się nie mylisz. Ale widzisz, mam przy sobie pistolety i jestem równie zdesperowany jak rabusie.

Nagle Drawlighta uderzyła pewna myśl.

- Gdzie drugi koń? - spytał.

- Co?

- Drugi koń! Ten, na którym pojedę do Londynu! Och, Lascellesie, ty pusta pało! Jak mam się dostać do miasta bez konia?

Lascelles wybuchnął śmiechem.

- Myślałem, że będziesz chciał tego uniknąć. Twoje długi są splecione, sam się tym zajmuję, ale w Londynie wciąż nie brak ludzi, którzy cię nienawidzą i zapragną zrobić ci krzywdę, jeśli tylko cię zobaczą.

Drawlight patrzył na niego, jakby zupełnie nic nie rozumiał. Nagle przenikliwym, pełnym podniecenia głosem krzyknął:

- Ale ja mam instrukcje od maga! Kazał mi przekazać wiadomości rozmaitym osobom! Muszę natychmiast przystąpić do dzieła! Nie wolno mi zwlekać ani chwili!

Lascalles zmarszczył brwi.

- Upiłeś się? Majaczysz? Norrell o nic cię nie prosił. Gdyby miał dla ciebie jakieś polecenia, przekazałby je przeze mnie. A poza tym...

- Nie Norrell! Strange!

Lascalles siedział nieruchomo na koniu. Zwierzę wierciło się i tupało, ale Lascalles nawet nie drgnął. Potem cichszym, groźniejszym głosem zapytał:

- O czym ty mówisz? Strange? Jak śmiesz wspominać Strange'a? Radzę ci, dobrze się zastanów, zanim ponownie coś powiesz. Jestem bardzo niezadowolony. Dostałeś jasne skazówki. Miałeś pozostać w Wenecji aż do wyjazdu Strange'a. Ale ty jesteś tu, a on tam.

- Nic nie mogłem na to poradzić! Musiałem wyjechać! Nie rozumiesz. Widziałem się z nim i powiedział mi...

Lascalles uniósł dłoń.

- Nie mam ochoty prowadzić tej rozmowy tu, na otwartej przestrzeni. Wejźmy między drzewa.

- Między drzewa?! - Z twarzy Drawlighta odpłynęły resztki koloru. - O nie! Za nic w świecie! Nie pójdę tam! Nawet mnie nie proś!

- O co ci chodzi? - Lascalles rozejrzył się wokół, nieco mniej pewny siebie. - Czy Strange kazał drzewom nas szpiegować?

- Nie, nie, nie o to chodzi. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Czekają na mnie. Znają mnie! Nie mogę tam wchodzić.

Drawlight nie potrafił znaleźć słów na opisanie tego, co mu się przydarzyło. Przez chwilę trzymał wyciągnięte ręce, jakby sądził, że w ten sposób zdoła pokazać Lascallesowi rzeki, które wiły się u jego stóp, drzewa które go przeszywały, kamienie, które były jego sercem, płucami i wnętrznościami.

Lascalles uniósł bat.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedział, popędził konia na Drawlighta i zaczął wywijać batem.

Biedny Drawlight, nigdy nie był odważny, i teraz, szlochając, dał się zapędzić między drzewa. Gdy szypszyna zahaczyła o jego rękaw, Drawlight wrzasnął.

- Och, cicho bądź! - mruknął Lascalles. - Ktoś mógłby pomyśleć, że cię mordują.

Szli przed siebie, aż dotarli na niewielką polanę. Lascalles zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa. Po chwili wyciągnął dwa pistolety z olster przy siodle i wsunął je do kieszeni płaszcza. Potem odwrócił się do Drawlighta.

- Czyli widziałeś się ze Strange'em? To dobrze. Doskonale. Byłem pewien, że nie

wystarczy ci odwagi.

- Myślałem, że zmieni mnie w coś potwornego.

Lascelles z niesmakiem popatrzył na poplamione ubranie i zaszczutą twarz Drawlighta.

- Jesteś całkiem pewien, że tego nie zrobił?

- Co?

- Dlaczego go po prostu nie zabiłeś? Tam, w ciemnościach? Zakładam, że byłeś sam. Nikt by się nie dowiedział.

- O tak. Miałem ogromne szansę, prawda? Jest wysoki, zwinny, szybki i okrutny. W przeciwieństwie do mnie.

- Ja bym go zabił - mruknął Lascelles.- Czyżby? Bardzo proszę, jedź do Wenecji i spróbuj.- Gdzie on teraz jest?- W ciemności w Wenecji, ale zmierza do Anglii.- Tak powiedział?- Tak, mówiłem ci, że mam wiadomości: jedną dla Childermassa, jedną dla Norrella i jedną dla wszystkich magów w Anglii.

- Jak one brzmią?

- Mam powiedzieć Childermassowi, że lady Pole nie została wskrzeszona tak, jak to opisywał Norrell. Norrell miał elfa do pomocy, elf zrobił różne rzeczy, złe rzeczy. Mam przekazać Childermassowi szkatułkę. To pierwsza wiadomość. Mam powiedzieć Norrellowi, że Strange wraca. To trzecia wiadomość.

Lascelles zastanawiał się przez chwilę.

- Co się kryje w tej szkatułce?- Nie wiem.- Jak to? Jest zamknięta? Mocą magii?

Drawlight zacisnął powieki i pokręcił głową.

- Tego też nie wiem.

Lascelles wybuchnął śmiechem.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że od tygodni masz tę szkatułkę i nie próbowałeś jej otworzyć? Akurat ty? Niby dlaczego? Kiedy przychodziłeś do mojego domu, nigdy nie zostawiałem cię samego, nawet na moment. Moje listy zostałyby przeczytane, a następnego ranka każdy znałby moje sprawy.

Drawlight opuścił wzrok i zwiesił ramiona i się zgarbił. Wygląd miał jeszcze bardziej nieszczęsny niż dotąd. Można by pomyśleć, że wstyd mu słuchać o swych dawnych uczynkach, ale nie o to chodziło.

- Boję się - wyszeptał. Lascelles jęknął z irytacją.

- Gdzie szkatułka?! - wykrzyknął. - Daj mi ją. Drawlight sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej coś owiniętego w brudną chustkę. Była powiązana w cudownie

skomplikowane węzły, żeby przypadkiem szkatułka nie otworzyła się sama. Drawlight podał ją Lascellesowi. Krzywiąc się, by zademonstrować wyjątkowy niesmak, Lascelles zaczął rozplątywać chustkę. Kiedy już się z tym uporał, otworzył szkatułkę. Zapadła cisza.

- Jesteś głupcem - powiedział po chwili Lascelles. Gwałtownie zatrzęsął wieczko i wsunął szkatułkę do kieszeni.

- Ale muszę... - Drawlight bez przekonania wyciągnął rękę.

- Powiedziałeś, że były trzy wiadomości. Jak brzmi ta druga?

- Nie sądzę, żebyś to zrozumiał.- Co? Ty rozumiesz, a ja nie zdołam? Musiałeś strasznie zmadrzeć w tych Włoszech.- Nie o to mi chodziło.- No to o co? Mów szybko. Ta rozmowa zaczyna mnie nużyć.- Strange powiedział, że drzewo mówi do kamienia, kamień mówi do wody. Powiedział, że magowie mogą nauczyć się magii od drzew, kamieni i różnych takich. Powiedział, że dawne sojusze Johna Uskglassa nadal obowiązują.

- John Uskglass, John Uskglass! Mam już go dość. Ostatnio wszyscy o nim paplą. Nawet Norrell. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. W końcu Uskglass przestał rządzić czterysta lat temu.

Drawlight ponownie wyciągnął rękę.

- Oddaj mi szkatułkę, muszę...

- Co się do diabła z tobą dzieje? Nie rozumiesz? Nigdy nie dostarczysz tych informacji - poza tą dla Norrella, ale tę ja sam powtórzę.

- Błagam! - jęknął Drawlight z udręką w głosie. - Nie dopuść do tego, bym go zawiódł! Nic nie rozumiesz. On mnie zabije! Albo coś gorszego!

Lascelles rozłożył ręce i rozejrzał się wokół, jakby pragnął wziąć las na świadka tej idiotycznej konwersacji.

- Naprawdę wierzysz, że pozwolę ci zniszczyć Norrella? Czyli, innymi słowy, zniszczyć mnie?

- To nie moja wina! Nie moja! Nie ośmielę się mu sprzeciwić!

- Robaku, co ty zrobisz pomiędzy ludźmi takimi jak Strange i ja? Zostaniesz zmiądzony!

Drawlight wydał z siebie pełen przerażenia skowyt. Wpatrywał się w Lascellesa otumanionym wzrokiem. Wyglądał tak, jakby pragnął coś powiedzieć, lecz nagle odwrócił się i ze zdumiewającą prędkością popędził między drzewa.

Lascelles nawet nie zadał sobie trudu, by za nim pobiec. Po prostu uniósł jeden z pistoletów, wycelował i wypalił.

Kula trafiła Drawlighta w udo. W białoszarym lesie momentalnie wyrosło czerwone

wilgotne kwiecie z krwi. Drawlight krzyknął i z hukiem zwał się w krzew szypszyny. Usiłował odczołgać się, ale miał niewładną nogę, a poza tym dzika róża chwyciła go za ubranie. Nie mógł się uwolnić od gałęzi. Odwrócił się i ujrzał, że Lascelles zbliża się ku niemu. Strach i ból sprawiły, że rysy Drawlighta stały się niemal nierozpoznawalne.

Lascelles wypalił z drugiego pistoletu.

Pocisk zgruchotał lewą stronę głowy Drawlighta niczym skorupkę jajka. Kilka razy Drawlightem wstrząsnęły konwulsje, potem znieruchomiał.

Mimo że nikt tego nie widział, mimo że krew dudniła mu w uszach i w piersi, w całym ciele, Lascelles nie pozwolił sobie na okazanie wzburzenia: czuł, że byłoby to niegodne dżentelmena.

Miał lokaja, który był uzależniony od przeglądania sprawozdań z morderstw i powieści w kronikach więzienia Newgate oraz w rejestrze kryminalnym. Czasem Lascelles zabawiał się czytaniem fragmentów tych dzieł. Cechą charakterystyczną owych historii było to, że morderca, choćby zachował zimną krew podczas zbrodni, wkrótce ulegał dziwnym emocjom i zaczynał postępować w irracjonalny sposób, co prowadziło go do zguby. Lascelles wątpił, by w sprawozdaniach było wiele prawdy, ale na wszelki wypadek wsłuchał się w siebie w poszukiwaniu oznak wyrzutów sumienia lub przestrawu. Nic nie znalazł. Tak naprawdę myślał głównie o tym, że ze świata zniknęło coś brzydkiego.

- Doprawdy - powiedział głośno. - Gdyby trzy lub cztery lata temu wiedział, że do tego dojdzie, sam by mnie błagał, abym to zrobił.

Nagle usłyszał szelest. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że z prawego oka Drawlighta (lewe zostało przestrelone) wyrasta pęd. Pasma bluszczy oplatały jego szyję i pierś. Ostrokrzew przeszył mu rękę, brzoźka wyskoczyła z jego stopy, głóg wyrósł z brzucha. Drawlight wyglądał, jakby został ukrzyżowany przez las. Jednakże drzewa na tym nie poprzestały, wciąż rosły. Płatanina brązowych i szkarłatnych łodyg pokryła jego twarz, a ciało się rozłożyło, pochłonięte przez rośliny i inne stworzenia. Wkrótce z Christophera Drawlighta nie pozostało zupełnie nic. Drzewa, kamienie i ziemia zabrały go między siebie, ale w ich kształcie można było rozpoznać człowieka, którym niegdyś był.

- Ta dzika róża to chyba jego ręka - zadumał się Lascelles. - Ten kamień... Może serce? Jest równie mały i twardy. - Zaśmiał się. - To jest właśnie idiotyczne w magii Strange'a - mruknął pod nosem. - Prędzej czy później obraca się przeciwko niemu.

Dosiadł konia i pojechał w kierunku drogi.

## Rozdział dziewiętnasty

**„Pierwszy pogrzebie serce w mroźnym lesie pod śniegiem, lecz bólu czuć nie przestanie” ołowa lutego 1817**

Minęło ponad dwadzieścia osiem godzin od momentu, gdy Lascelles opuścił Hanover Square, i pan Norrell zaczynał się niepokoić. Obiecał Lascellesowi, że na niego zaczeka, lecz bał się, że kiedy dotrą do opactwa Hurtfew, okaże się, że Strange zawładnął biblioteką.

Tej nocy w domu na Hanover Square nikt nie mógł spać. Rankiem wszyscy byli zmęczeni i źli.

- Po co w ogóle czekamy? - spytał Childermass. - I jaki z niego pożytek, kiedy zjawi się Strange? Bardzo polegam na panu Lascellesie. Dobrze o tym wiesz. Jest obecnie moim jedynym doradcą.

- Wciąż ma pan mnie - zauważył Childermass. Pan Norrell szybko zamrugał oczyma, jakby miał na końcu języka słowa: „Ty jesteś tylko sługą”. I choć milczał, Childermass i tak go zrozumiał. Prychnął z odrazą i odszedł.

O szóstej wieczorem drzwi biblioteki otworzyły się szeroko i wmaszerował Lascelles. Wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle: miał rozczochrane włosy, krawat poplamiony kurzem i potem, a także plamy błota na płaszczu i butach.

- Mieliliśmy rację, drogi panie! - wykrzyknął. - Strange przybywa!

- Kiedy? - Pan Norrell pobladł.

- Nie wiem. Nie był łaskaw wtajemniczyć nas w szczegóły, ale powinniśmy jak najszybciej wyruszyć do opactwa Hurtfew.

- Możemy jechać natychmiast. Wszystko gotowe. Widział się pan z Drawlightem? Jest tutaj? - Pan Norrell się wychylił, by sprawdzić, czy Drawlight kryje się za Lascellesem.

- Nie, nie spotkałem go. Czekałem na niego, ale się nie zjawił. Proszę się nie obawiać!

- Pan Norrell już miał mu przerwać. - Wysłał list. Mamy wszystkie potrzebne informacje.

- List?! Mogę zobaczyć?

- Naturalnie! Ale na to przyjdzie czas w podróży. Pora jechać. Nie może pan zwlekać z mojego powodu. Mam niewiele potrzeb, a nawet jeśli czegoś mi zabraknie, znakomicie się bez tego obejść. - Było to nieco zdumiewające, gdyż Lascelles zawsze miał raczej liczne

potrzeby. Liczne i wyszukane. - Jedźmy, jedźmy, drogi panie. Proszę się zbierać. Strange przybywa! - I wypadł z pokoju.

Pan Norrell usłyszał potem od Lucasa, że Lascelles nawet nie poprosił o wodę do mycia ani coś do picia. Po prostu wskoczył do karety, usiadł w kącie i czekał.

O ósmej wieczorem zmierzali już do hrabstwa York. Pan Norrell i Lascelles siedzieli w karecie, Lucas i Davey na koźle, Childermass zaś jechał wierzchem. Na rogatce Islington

Lucas zsiadł, by zapłacić poborcy. W powietrzu czuć było zapach śniegu.

Pan Norrell wpatrywał się bezmyślnie w rzęsiście oświetloną witrynę ekskluzywnego sklepu o przestronnym wnętrzu i eleganckich nowoczesnych krzesłach dla klientów. Wystrój sklepu był tak wyrafinowany, że trudno było się domyślić, jakie towary tu oferują. Na jednym z krzeseł leżała sterta rzeczy o jaskrawych barwach - pan Norrell nie potrafił powiedzieć, czy to szale, tkaniny na suknie, czy coś całkiem innego. W sklepie znajdowały się trzy kobiety. Jedna z nich, bystra, elegancka osoba, w Spencerze przypominającym strój huzara obramowany futrem i obszyty sutaszem, była klientką. Na głowie miała rosyjską czapę. Wciąż ją podtrzymywała jakby w obawie, że czapa spadnie. Sprzedawczyni była ubrana skromniej, w prostą ciemną suknię; za nią stanęła drobna asystentka, która kłaniała się z szacunkiem i dygała nerwowo, gdy tylko ktoś na nią spojrzał. Klientka i sprzedawczyni nie zajmowały się interesami, tylko ucięły sobie ożywioną pogawędkę. W innych okolicznościach ta scenka z pewnością nie zainteresowałaby pana Norrella, teraz jednak chwyciła go za serce, sam nie rozumiał dlaczego. Pomyślał przelotnie o pani Strange i lady Pole. Nagle coś przeleciało między nim a tą beztroską scenką - coś, co wyglądało jak namacalny fragment ciemności. Pan Norrell był pewien, że to kruk.

Zapłacono myto, Davey chwycił lejce i kareta ruszyła ku Archway. Po chwili zaczął padać śnieg. Mokry wiatr tłukł o karete, kołysząc nią z boku na bok. Weiskał się w każdą szczelinę, mroził ramiona, nosy i stopy. Pan Norrell czuł się niepewnie, gdyż Lascelles zachowywał się wyjątkowo dziwnie. Był podniecony, wręcz rozradowany, a pan Norrell nie miał pojęcia, z jakiego powodu. Kiedy wył wiatr, Lascelles wybuchał śmiechem, jakby wichur miał go wystraszyć, a on postanowił mu pokazać, że się go nie boi.

Gdy zauważył, że pan Norrell bacznie mu się przygląda, powiedział:

- Zastanawiałem się. To drobiazg! Pan i ja wkrótce poradzimy sobie ze Strange'em i jego sztuczkami. Ministrowie to gromada starych bab! Brzydzą mnie! Tyle wrzasku o jednego wariata! Śmiać mi się chce na samą myśl o tym! Oczywiście, Liverpool i Sidmouth są najgorsi! Od lat nie raczyli wystawić nosa za drzwi ze strachu przed Bonapartem, a teraz umierają z przerażenia, bo Strange zwariował.



- Och, myli się pan! - oświadczył pan Norrell. - Bardzo się pan myli. Zagrożenie ze strony Strange'a jest olbrzymie. Bonaparte to pestka w porównaniu z nim. Nie powiedział mi pan jednak, co mówił Drawlight. Bardzo chciałbym zobaczyć jego list. Powiem Daveyowi, żeby zatrzymał się w Aniele w Hadley, i wtedy...

- Nie mam listu. Został na Bruton Street.

- Ale...

- Drogi panie! - Lascelles wybuchnął śmiechem. - Proszę się nie przejmować. Przecież mówiłem, że to nie ma żadnego znaczenia. Dobrze pamiętam jego treść.

- Co napisał?

- Że Strange oszalał i uwięził w wiecznej ciemności, co wiedzieliśmy już wcześniej, i...

- Jaką formę przybrało jego szaleństwo? - przerwał pan Norrell.

Zapadła cisza.

- Głównie wygaduje bzdury. Ale w końcu robił to już dawniej, prawda? - Lascelles znów się roześmiał. Zauważywszy wyraz twarzy pana Norrella, nieco jednak spowaźniał. - Bełkocze o drzewach, kamieniach, Johnie Uskglassie i... - rozejrzał się w poszukiwaniu inspiracji - ...niewidzialnych pojazdach. O, tak! Pewnie pana rozbawi, że ukraść palce kilku weneckim dziewczynom. Po prostu je zabrał! Trzyma te palce w szkatułkach!

- Palce?! - wykrzyknął pan Norrell zaniepokojony. Najwyraźniej informacja ta wywołała w nim jakieś nieprzyjemne skojarzenia. Zastanawiał się przez moment, ale nic z tego nie rozumiał.

- Czy Drawlight opisał ciemność? Czy powiedział cokolwiek, co pomogłoby nam ją rozumieć?

- Nie. Widział się ze Strange'em, a Strange przekazał mu wiadomość dla pana. Mówi, że przybywa. Oto zasadnicza treść listu.

Zapadła cisza. Pan Norrell bezwiednie zapadł w drzemkę. Kilka razy usłyszał przez sen, jak Lascelles szepcze do siebie.

O północy zmienili konie w gospodzie Pod Stogiem Siana w Wansfordzie. Lascelles i pan Norrell czekali w salonie dla gości, dużym, skromnie urządzonej pomieszczeniu, o wyłożonych drewnem ścianach, wysypanej piaskiem podłodze i dwóch ogromnych kominkach.

Drzwi się otworzyły i wszedł Childermass. Podeszedł do Lascellesa.

- Lucas twierdzi, że Drawlight wysłał panu list z opisem wydarzeń w Wenecji - powiedział.

Lascelles odwrócił głowę, ale nie patrzył na dysponenta.

- Mógłbym go zobaczyć? - spytał Childermass.

- Został na Bruton Street - odparł Lascelles. Childermass wydawał się nieco zdumiony.

- To nic - powiedział po chwili. - Lucas może go przywieźć. Wynajmiemy mu konia.

Dogoni nas, zanim dotrzemy do Hurtfew.

Lascelles uśmiechnął się do niego.

- Powiedziałem Bruton Street, tak? Ale wie pan co? Chyba go tam nie ma. Został w gospodzie, tej w Chatham, gdzie czekałem na Drawlighta. Na pewno go wyrzucili. - Znów odwrócił się do ognia.

Childermass zmarszczył brwi. Po chwili wyszedł z pomieszczenia.

Nadszedł tutejszy służący i oznajmił, że w sypialniach czeka gorąca woda, ręczniki i inne niezbędne przybory toaletowe, więc panowie Norrell i Lascelles mogą się odświeżyć.

- Na korytarzu jest ciemno choć oko wykol - oświadczył pogodnie. - Proszę, oto świece dla panów.

Pan Norrell wziął swoją świecę i ruszył korytarzem (rzeczywiście niezwykle ponurym). Nagle u jego boku wyrósł Childermass.

- Co pan sobie myśli, u licha? - wyszczał. - Wyjeżdża pan z Londynu bez tego listu? Przecież on mówi, że pamięta jego treść - bronił się pan Norrell. - Och! A pan mu wierzy? Pan Norrell nie odpowiedział. Wszedł do pokoju, który dla niego przygotowano. Myjąc ręce i twarz, zauważył w lustrze odbicie łoża. Był to ciężki staroświecki mebel, o wiele za duży na ten pokój, jak to często bywa w gospodach. Cztery rzeźbione słupy w kolorze mahoni, wysoko zawieszony ciemny baldachim i pęki czarnych strusich piór w każdym rogu nadawały meblowi pogrzebowy charakter. Pan Norrell poczuł się tak, jakby ktoś wprowadził go do pokoju i pokazał mu jego grób. Ogarnęło go bardzo dziwne uczucie, podobne do tego, jakie towarzyszyło mu na rogatece, gdy patrzył na trzy kobiety. Poczuł, że coś dobiega końca i że dokonał już wszystkich wyborów. W młodości wybrał drogę, ale nie zaprowadziła go tam, dokąd pragnął. Zmierzał do domu, dom jednak stał się czymś potwornym. W półmroku, stojąc obok czarnego łoża, przypomniał sobie, czemu w dzieciństwie tak obawiał się ciemności - ciemność należała do Johna Uskglassa.

*Na zawsze i na wieki*

*Wspominaj przy mnie spokój*

*Na bagnach pod gwiazdami*

*U obłąkańca boku.*

Wypadł z pokoju do ciepła i światła wspólnego salonu.

Kilka minut po szóstej nadciągnął szary brzask, który w ogóle nie przypominał brzasku. Białe płatki padały z szarego nieba na szarobiały świat. Davey był pokryty tak grubą warstwą śniegu, że wyglądał, jakby ktoś zamówił jego woskową podobiznę i właśnie przygotowywano gipsową formę.

Przez cały dzień rozmaite konie pocztowe z trudem ciągnęły karetę w zadymce. Gospody zapewniały krótkie wytchnienie od śnieżycy i możliwość pokrzepienia się ciepłym napojem. Davey i Childermass, stangret i jeździec, bez wątpienia najbardziej wyczerpani z tego towarzystwa, najmniej odpoczywali na postojach; zazwyczaj tkwili w stajniach, wyklócając się o rozstawne konie z właścicielami gospody. W Grantham właściciel oberży doprowadził do szału Childermassa, proponując im ślepego jak kret konia. Childermass zarzekał się, że za nic go nie weźmie, z kolei właściciel gospody twierdził, że to jego najlepszy wierzchowiec. Nie mieli wyboru i w końcu musieli go zaprząć. Później Davey oświadczył, że to znakomite zwierzę, pracowite i posłuszne, gdyż bez człowieka nie miało pojęcia, dokąd iść i co robić. Davey wytrzymał aż do gospody Newcastle Arms w Tuxfordzie, gdzie musieli go pozostawić. Przejechał dwieście kilometrów i zdaniem Childermassa był tak zmęczony, że ledwie otwierał usta. Childermass zatrudnił pomocnika stangreta i ruszyli przed siebie.

Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca śnieg przestał padać i niebo się przejaśniło. Długie granatowe cienie kładły się na nagich polach. Siedem kilometrów za Doncasterem minęli gospodę Czerwony Dom (nazwaną tak od koloru ścian). W niskim zimowym słońcu wyglądała jakby płonęła. Karetą przejechała jeszcze kawałek, a potem się zatrzymała.

- Dlaczego stajemy? - zawołał pan Norrell z karety.

Lucas nachylił się z kozła i coś odkrzyknął, ale wiatr poniósł jego głos i pan Norrell nic nie usłyszał.

Childermass zjechał z drogi na pole pełne kruków, które zrywały się do lotu, kracząc. Po drugiej stronie pola stał stary żywopłot z prześwitem, a po bokach rosły wysokie ostrokrzewy. Za prześwitem ciągnęła się inna droga albo ścieżka okolona żywopłotem. Childermass zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Zawahał się. Po chwili potrząsnął wodzami, a jego koń wszedł między drzewa, na ścieżkę, i zniknął z pola widzenia.

- Wjechał na elfie drogi! - wykrzyknął pan Norrell zaniepokojony.

- O, to właśnie one? - spytał Lascelles.

- Owszem! - odparł pan Norrell. - To jedna z najstłynniejszych. Podobno łączy Doncaster z Newcastle przez dwie elfie cytadele.

Czekali. Mniej więcej dwadzieścia minut później Lucas zszedł z kozła.

- Jak długo mamy tu stać, proszę pana? - zapytał. Pan Norrell pokręcił głową.

- Żaden Anglik nie przekroczył granic Faerie od czasów Martina Pale'a. To było trzysta lat temu. Bardzo prawdopodobne, że nigdy stąd nie wyjedzie. Być może...

Ale właśnie w tej chwili ukazał się Childermass i galopem pokonał pole.

- To prawda - powiedział do pana Norrella. - Drogi do Faerie są znowu przejezdne.

- Co tam widziałeś? - spytał pan Norrell.

- Droga jest długa i prowadzi do lasu pełnego ciernistych drzew. Przy wejściu do niego stoi posąg kobiety z wyciągniętymi dłońmi. W jednej trzyma kamienne oko, w drugiej kamienne serce. Co do samego lasu... - Childermass uczynił gest być może mający zobrazować niemożność opisanego tego, co widział, a może bezsilność. - Z każdego drzewa zwisają trupy. Niektóre osoby mogły zginąć zaledwie wczoraj. Inne to ponadwiekowe szkielety w zardzewiałych zbrojach. Doszedłem do wysokiej wieży z grubo łupanych kamieni. Były w niej nieliczne okienka. W jednym paliło się światło, widziałem czyjś cień.

Pod wieżą rozciągała się polanka, przez którą płynął strumyk. Stał tam młody człowiek.

Wydawał się blady i schorowany, miał martwy wzrok. Ubrany był w angielski mundur, powiedział mi, że jest obrońcą Zamku Odjętego Serca i Oka. Przysiągł strzec pani na zamku i stawić czoło każdemu, kto będzie chciał ją skrzywdzić lub obrazić. Spytałem, czy zabił widzianych przeze mnie ludzi. Powiedział, że część z nich położył trupem i powiesił na głogach - tak jak jego poprzednik. Zapytałem go, jak pani zamku wynagrodzi jego trudy. Odparł, że nie wie. Nigdy jej nie widział, nigdy też z nią nie rozmawiał. Nie opuszczała Zamku Odjętego Serca i Oka, on zaś pozostawał na polanie między potokiem a drzewami. Zapytał mnie, czy będę z nim walczył. Przypomniałem mu, że ani nie obraziłem, ani nie skrzywdziłem jego pani. Powiedziałem, że jestem służącym i muszę powrócić do swego pana, który na mnie czeka. Potem zawróciłem konia i odjechałem.

- Co?! - wykrzyknął Lascelles. - Człowiek proponuje panu walkę, a pan ucieka?! Nie ma pan honoru? Wstydu? Chorowita twarz, martwe oczy, nieznana osoba w oknie! - Prychnął z pogardą. - To tylko wymówki, by ukryć swe tchórzostwo!

Childermass się wzdrygnął, jakby ktoś go uderzył. Już chyba miał się odgryźć, kiedy uprzedził go pan Norrell:

- Wręcz przeciwnie! Childermass słusznie postąpił, odjeżdżając jak najszybciej. W

takich miejscach zawsze jest więcej magii, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka. Niektóre elfy uwielbiają walkę i śmierć. Nie wiem dlaczego. Są gotowe do wielkich poświęceń, by zapewnić sobie takie rozrywki.

- Bardzo proszę - zwrócił się Childermass do Lascellesa. - Jeśli ta okolica tak pana kusi, proszę tam jechać i nie krępować się nami.

Lascelles z zadumą popatrzył na pole i prześwit w żywopłocie. Nie poruszył się jednak.

- Pewnie nie lubi pan kruków? - zapytał go Childermass nieco szyderczym tonem.

- Nikt ich nie lubi! - oświadczył pan Norrell. - Dlaczego tu są? Co oznacza ich obecność?

Childermass wzruszył ramionami.

- Niektórzy sądzą, że to część ciemności, która otacza Strange'a i którą z jakiegoś względu ożywił i wysłał do Anglii. Inni uważają, że kruki zwiastują powrót Johna Uskglassa.- Johna Uskglassa. No tak - mruknął Lascelles. - Ostatni ratunek prostackich umysłów. Kiedy coś się dzieje, zawsze musi mieć związek z Johnem Uskglassem! Myślę, że nadszedł czas, by zaatakować tego dżentelmena w nowym artykule w „Przyjaciółach...” Co napiszemy? Że nie był chrześcijaninem? Nie był Anglikiem? Był demonem? Chyba mam gdzieś listę świętych i arcybiskupów, którzy go potępili. Mogę nad tym popracować.Pan

Norrell wydawał się zakłopotany. Zerkał nerwowo na pomocnika stangreta.

- Na pańskim miejscu wypowiadałbym się ostrożniej - powiedział cicho Childermass do Lascellesa. - Jest pan teraz na północy, w kraju Johna Uskglassa. Nasze miasta, miasteczka i opactwa zostały wzniesione właśnie przez niego. On ustanowił nasze prawa. Gości w naszych umysłach, sercach i mowie. Gdyby było lato, pod każdym żywopłotem ujrzałby pan dywan jasnoblękitnych kwiatków. Nazywamy je johnowym groszem. Kiedy jest ciepło w zimie albo pada latem, ludzie na wsi mówią, że John Uskglass znów się zakochał i zaniedbuje swe obowiązki. A kiedy jesteśmy o czymś przekonani, mówimy, że to pewne jak kamyk w kieszeni Johna Uskglassa.

Lascelles wybuchnął śmiechem.

- Nie zamierzam lekceważyć waszych cudaczknych porzekadeł, drogi panie. Czym innym jest jednak chwalić się własną historią, a czym innym bredzić o powrocie króla, który miał Lucyfera za sprzymierzeńca i suwerena. Tego nikt nie chce, prawda? Poza, rzecz jasna, kilkoma johannitami i szaleńcami.

- Jestem z północy, proszę pana - powiedział Childermass. - Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej od powrotu mojego króla. Całe życie tego pragnąłem.

Dochodziła północ, kiedy dotarli do opactwa Hurtfew. Nie było tam żadnego śladu Strange'a. Lascelles poszedł spać, pan Norrell jednak dreptał po domu, badając stan dawno nałożonych zaklęć.

Następnego dnia przy śniadaniu Lascelles powiedział:

- Zastanawiałem się, czy w przeszłości odbywały się magiczne pojedynki. Starcie dwóch magów, tego typu rzeczy.

- Trudno powiedzieć. - Pan Norrell westchnął. - Ralph Stokesey prawdopodobnie pokonał dwóch lub trzech magów zaklęciami - w tym bardzo potężnego szkockiego maga z Athodel. Katarzyna z Winchesteru była raz zmuszona magicznym sposobem zesłać młodego maga do Granady. Niepokoił ją niestosownymi propozycjami matrymonialnymi, kiedy ona chciała się uczyć, a Granada była najdalszym miejscem, jakie wtedy przyszło jej do głowy. Jest jeszcze dziwna opowieść o węglarzu z Cumbrii...

- Czy takie pojedynki kończyły się śmiercią jednego z magów?

- Co? - Pan Norrell wpatrywał się w niego z przerażeniem. - Nie! To znaczy nie wiem. Nie sędzę.

Lascelles uśmiechał się do niego.

- Ale taka magia musi istnieć. Pewnie gdyby się pan nad tym zastanowił, z pewnością przyszedłoby panu do głowy z pół tuzina zaklęć, które załatwiłyby sprawę. To przypominałoby zwykły pojedynek na pistolety lub miecze, tyle że ściganie sądowe byłoby wykluczone. Poza tym przyjaciele i słudzy zwycięzcy byłiby usprawiedliwieni, pomagając mu dyskretnie zatuszować sprawę.

Pan Norrell milczał.

- Nie dojdzie do tego - oznajmił po dłuższej chwili.

- Drogi panie! - Lascelles roześmiał się ponownie. - A niby do czego dojdzie?

O dziwo, Lascelles jeszcze nigdy nie był w opactwie Hurtfew. W przeszłości Drawlight nieraz tu przyjeżdżał, Lascelles jednak zawsze wykrywał się innymi zobowiązaniami. Pobył w wiejskim domu w hrabstwie York kojarzył się mu z czyszcem. Sądził, że w najlepszym wypadku Hurtfew będzie takie jak jego właściciel - nudne, staroświeckie i ciche. W najgorszym razie wyobrażał sobie smaganą deszczem farmę na ponurym wrzosowisku. Ze zdumieniem przekonał się, że dom wygląda zupełnie inaczej. Był nowoczesny, elegancki i wygodny, a służący w niczym nie przypominali nieokrzesanych parobków z jego wyobrażeń, gdyż przybyli z Hanover Square. Szkolono ich w Londynie i świetnie znali upodobania Lascellesa.

Ale siedziby wszystkich magów są nieco dziwaczne i opactwo Hurtfew, na pierwszy rzut oka obszerne i eleganckie, wydawało się zbudowane na tak pogmatwanym planie, że nie dało się przejść z jednego końca domu na drugi, nie zgubiwszy się pod drodze. Później tego ranka Lucas poinformował Lascellesa, że nie powinien samotnie odwiedzać biblioteki, lecz jedynie w towarzystwie pana Norrella albo Childermassa. Lucas dodał, że to najważniejsza zasada w domu.

Naturalnie Lascelles nie miał zamiaru przestrzegać tego zakazu. Przyjrzał się wschodniej części domu i odkrył, że znajdują się tam zwykłe pomieszczenia: bawialnia, jadalnia i salon. Doszedł do wniosku, że bibliotekę urządzono zapewne w nie zbadanym przez niego zachodnim skrzydle. Natychmiast tam ruszył i po chwili znalazł się w pokoju, z którego wyszedł. Uznał, że źle skręcił, i spróbował raz jeszcze. Tym razem zjawił się w jednej z pomywalni, gdzie mała, brudnawa i zakatarzona pomywaczka najpierw wytarła nos grzbietem dłoni, a potem tą samą dłonią zaczęła zmywać naczynia. Niezależnie od tego, którą drogą poszedł, natychmiast wracał albo do bawialni, albo do pomywalni. Miał już mdłości na widok pomywaczki, a i ona nie wydawała się zachwycona jego wizytami. I chociaż zmarnował cały ranek na te wędrówki, nawet nie przyszło mu do głowy przypisać swego niepowodzenia czemuś innemu poza szczególnymi cechami tutejszej architektury.

Przez następne trzy dni pan Norrell prawie nie wychodził z biblioteki. Kiedy widział Lascellesa, mógł być pewien, że zaraz usłyszy nową skargę na Childermassa. Tymczasem Childermass wciąż zawracał mu głowę, żeby poszukał za pomocą czarów listu Drawlighta. Dlatego pan Norrell doszedł w końcu do wniosku, że najlepiej będzie unikać ich obu. Nie wyznał też żadnemu z nich, że odkrył coś, co bardzo go zmartwiło. Od rozstania ze Strange'em nabrał zwyczaju wywoływania wizji, by sprawdzić, co też porabia jego dawny uczeń. Nigdy mu się to jednak nie udało. Pewnej nocy, mniej więcej cztery tygodnie wcześniej, nie mógł zasnąć. Wobec tego wstał i zajął się czarowaniem. Wizje nie były bardzo wyraźne, ale ujrzał w ciemności człowieka rzucającego zaklęcia. Pogratulował sobie, że w końcu zdołał pokonać kontrzaklęcia Strange'a; dopiero później uświadomił sobie, że patrzy na siebie, we własnej bibliotece. Spróbował ponownie. Zmienił zaklęcie. Nazywał Strange'a różnymi imionami, ale na nic się to zdało. Musiał w końcu przyznać, że angielska magia nie widzi już różnicy między nim a Strange'em.

Nadeszły listy od lorda Liverpoola i ministrów, zawierające pełen złości opis kolejnych przejawów magii, której źródeł nikt nie umiał wyjaśnić. Pan Norrell odpowiedział na listy, obiecując dopatrzeć tych spraw po zwycięstwie nad Strange'em.

Trzeciego wieczoru po przyjeździe pan Norrell, Lascelles i Childermass zebrali się w salonie. Lascelles jadł pomarańczę, którą obierał nożykiem do owoców o wyszczerbionym ostrzu i ręczce z masy perłowej. Childermass wyłożył na stoliku karty i czytał z nich już od dwóch godzin. Najwyraźniej pan Norrell musiał być bardzo przejęty obecną sytuacją, gdyż w ogóle nie protestował. Lascellesa z kolei karty doprowadzały do szału. Był pewien, że niektóre pytania zadawane przez Childermassa dotyczyły właśnie jego. I miał absolutną rację.

- Jak ja nie cierpię próżniactwa! - odezwał się nagle. - Jak pan sądzi, na co czeka? Nawet nie mamy pewności, czy się zjawi.

- Zjawi się - powiedział Childermass.

- Niby skąd pan to wie? - spytał Lascelles. - Bo pan mu kazał?

Childermass nie odpowiedział, skupił się na kartach. Jego spojrzenie krążyło nad nimi.

W pewnej chwili zerwał się od stolika i powiedział do Lascellesa: - Ma pan dla mnie wiadomość. - Ja? - spytał Lascelles zaskoczony. - Tak, proszę pana. - Co pan ma na myśli? - To, że ktoś ostatnio przekazał panu wiadomość dla mnie. Karty tak twierdzą. Byłbym wdzięczny, gdyby mi pan ją dostarczył.

Lascelles prychnął z pogardą. - Nie jestem niczym posłańcem, a już na pewno nie pańskim. Childermass zignorował te słowa. - Od kogo jest ta wiadomość? - spytał. Lascelles milczał. Ponownie skoncentrował się na nożyku i pomarańczy.

- Doskonale - powiedział Childermass. Usiadł i raz jeszcze rozłożył karty.

Pan Norrell, bardzo zaniepokojony, patrzył na nich uważnie. Jego ręka powędrowała do sznura od dzwonka, jednak po chwili zastanowienia zmienił zdanie i osobiście udał się na poszukiwanie służącego. Lucas był w jadalni, nakrywał do stołu. Pan Norrell opowiedział mu, co przed chwilą zaszło.

- Czy dałoby się ich rozdzielić? - spytał. - Mogliby ochłonać. Nie ma żadnej wiadomości dla pana Lascellesa? Może zajmiesz czymś Childermassa? Wymyśl coś. Co z kolacją, gotowa?

Lucas pokręcił głową.

- Nie ma żadnej wiadomości. Pan Childermass zrobi, co uzna za stosowne, jak zawsze. Poza tym życzył pan sobie kolację na wpół do dziesiątej. Przecież pan wie.

- Szkoda, że nie ma tu pana Strange'a - westchnął pan Norrell bezradnie. - On by wiedział, co im powiedzieć. Wiedziałby, co robić.

Lucas dotknął ramienia swego pana, jakby usiłował go obudzić.

- Proszę pana? Usiłujemy nie dopuścić do przyjazdu pana Strange'a. Pamięta pan o tym?



Pan Norrell popatrzył na niego poirytowany.

- Tak, tak! Przecież wiem! Mimo wszystko...

Pan Norrell i Lucas razem wrócili do salonu. Childermass właśnie odwracał ostatnią kartę. Lascelles z wielkim wysiłkiem usiłował skupić się na gazecie.

- Co mówią karty? - zapytał pan Norrell. Mimo że to mag zadał pytanie, Childermass zwrócił się do Lascellesa:

- Mówią, że jest pan kłamcą i złodziejem. Mówią, że chodzi nie tylko o wiadomość. Dostał pan jakiś przedmiot o wielkiej wartości. Jest przeznaczony dla mnie, a pan go zatrzymał.

Zapadła krótka cisza.

- Jak długo będzie pan pozwalał, by mnie tu obrażano? - Lascelles spytał zimno pana Norrella.

- Proszę pana po raz ostatni, panie Lascellesie - oświadczył Childermass. - Odda mi pan moją własność?

- Jak śmiesz zwracać się w ten sposób do dżentelmena?! - wrzasnął Lascelles.

- Czy dżentelmen ukradłby coś, co należy do mnie? - odpowiedział Childermass pytaniem.

Lascelles pobladł jak kreda.

- Przeproś! - wysyczał. - Przeproś mnie, bękarcie, bo przysięgam, ty szumowino z najgorszych rynsztoków, że nauczę cię dobrych manier!

Childermass wzruszył ramionami.

- Lepiej być bękartem niż złodziejem.

Z okrzykiem wściekłości Lascelles złapał go i cisnął nim o ścianę tak mocno, że na chwilę nogi Childermassa oderwały się od podłogi. Lascelles potrząsnął dysponentem, a obrazy na ścianie zdrzały.

O dziwo, Childermass wydawał się całkiem bezbronny. Jego ręce w niewiadomy sposób zostały unieruchomione przez Lascellesa i choć bardzo się starał, nie mógł ich oswobodzić. Po chwili było już po wszystkim. Childermass lekko skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że Lascelles zwyciężył.

Lascelles jednak go nie puścił. Przywarł mocno do Childermassa, przygniatając go do ściany, potem sięgnął po nożyk z perłową rączką. Niespiesznie przejechał ostrzem po twarzy Childermassa, rozcinając ją od oka do ust.

Lucas krzyknął, ale Childermass nic nie powiedział. Zdołał uwolnić lewą rękę i uniósł ją. Dłoń była zaciśnięta w pięść. Trwali tak przez chwilę niczym żywy obraz, po czym

Childermass opuścił rękę.

Lascelles uśmiechnął się szeroko. Puścił dysponenta i odwrócił się do pana Norrella.

- Nie oczekuję przeprosin od tej osoby - powiedział spokojnym, opanowanym głosem.

- Zostałem obrażony. Gdyby ten człowiek wywodził się z wyższych sfer, z pewnością wyzwałbym go na pojedynek. On dobrze o tym wie. Nikczemne pochodzenie go chroni. Jeśli mam pozostać w tym domu, jeśli nadal mam być pańskim przyjacielem i doradcą, ten człowiek natychmiast musi odejść! Od dzisiaj nigdy nie chcę słyszeć jego nazwiska ani z pańskich ust, ani z ust służby - pod groźbą zwolnienia. Mam nadzieję, że to jasne?

Lucas skorzystał z okazji, by ukradkiem wręczyć Childermassowi serwetkę.

- No cóż, proszę pana - powiedział Childermass do pana Norrella, ocierając krew z twarzy. - Który z nas?

Zapadła cisza. Potem szorstkim głosem, zupełnie innym niż zwykle, pan Norrell powiedział:

- Musisz odejść.

- Do widzenia panu. - Childermass złożył ukłon. - Dokonał pan złego wyboru. Jak zawsze.

Zebrał swoje karty i wyszedł. Udał się na górę do swego skromnego pokoiku na poddaszu i zapalił świecę na stole. Na ścianie wisiało popękane tanie lustro. Childermass przejrzał się w nim. Rana była paskudna, krawat i prawy rękaw koszuli przesiąkły krwią.

Przemył ranę, a potem opłukał i wysuszył ręce.

Ostrożnie wyjął coś z kieszeni płaszcza. Była to szkatułka koloru rozpacz, mniej więcej wielkości tabakiery, choć nieco dłuższa.

- Nie da się wykorzenieć starych nawyków - wyszeptał do siebie.

Otworzył szkatułkę. Przez chwilę patrzył na nią z zadumą, potem podrapał się po głowie i zaklął, bo niemal zaplamił jej zawartość krwią. Zamknął wieczko i wsunął puzderko do kieszeni.

Zebranie rzeczy nie zajęło mu wiele czasu. Miał mahoniową skrzynkę z parą pistoletów, niewielką sakiewkę, brzytwę, grzebień, szczotkę do zębów, kawałek mydła, kilka ubrań (równie starych jak te, które miał na sobie) i kilka książek: *Biblię*, *Dziecięce lata Króla Kruków* autorstwa lorda Portisheada i egzemplarz *Objawień trzydziestu sześciu innych światów* Parisa Ormskirka. Pan Norrell dobrze płacił Childermassowi przez te wszystkie lata, nikt jednak nie wiedział, co dysponent robił z pieniędzmi. Jak często szeptali między sobą Davey i Lucas, z pewnością ich nie wydawał.

Childermass zapakował wszystko do zniszczonej walizy. Na stole leżała misa z

jabłkami. Zawinał owoce w ściereczkę i wrzucił do walizki. Potem, trzymając serwetkę przy twarzy, wyszedł z pokoju. Już na podwórzu przed stajnią przypomniał sobie, że jego pióro, atrament i dziennik wciąż są w salonie. Położył je na stoliczku, gdy stawiał taroka. „Cóż, za późno, by po nie wrócić - pomyślał. - Będę musiał kupić nowe”.

W stajni czekała na niego gromadka ludzi: Davey, Lucas, stajenni i kilku służących, którzy zdołali wysliznąć się z domu.

- Co wy tu robicie? - spytał ze zdumieniem. - Zorganizowaliście kółko różańcowe? Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Osiodłaliśmy panu Piwowara - powiedział Davey.

Piwowar był koniem Childermassa, dużym, brzydkim ogierem.

- Dziękuję, Davey.

- Dlaczego mu pan na to pozwolił? - zapytał Lucas. - Dlaczego pozwolił pan, żeby pana zranił?

- Nie przejmuj się tym, chłopie. To nie ma żadnego znaczenia.- Przyniosłem bandaże, opatrzę panu ranę.- Lucas, muszę dziś sporo przemyśleć, a nie potrafię się skupić poowijany jak mumia.

- Zostanie panu okropna blizna, jeśli rana się nie zamknie.

- Nieważne. Nikt nie będzie się uskarżał, jeśli jeszcze zbrzydnę. Daj mi tylko gałgan. Ten już przesiąkł krwią. Słuchajcie, kiedy zjawi się Strange... - Westchnął. - Nie wiem, co wam powiedzieć. Nie mam dla was żadnej rady. Jeśli jednak będziecie mieli szansę im pomóc, zróbcie to.

- Co? - spytał jeden ze służących. - Pomóc panom Norrellowi i Lascellesowi?

- Nie, ciotku! Pomóżcie panom Norrellowi i Strange'owi. Lucas, powiedz Lucy, Hannie i Dido, że odchodzę i dobrze im życzę. Niech znajdą sobie dobrych, posłusznych mężów. - Te trzy pokojówki były ulubienicami Childermassa.

Davey uśmiechnął się do niego.

- A nie chciałby pan osobiście podjąć się tej roli? - spytał.

Childermass zaśmiał się i skrzywił, czując ból.

- Może u boku Hanny - odparł. - Żegnajcie, chłopcy.

Ucisnął dłonie każdego z nich i poczuł lekką konsternację, kiedy Davey, który mimo swej siły i rozmiarów był sentymentalny niczym pensjonarka, uparł się go ścisnąć i nawet uрониł łzę. W pożegnalnym prezencie Lucas dał Childermassowi butelkę najlepszego bordo.

Childermass wyprowadził Piwowara ze stajni. Na niebie pojawił się księżyc. Dysponent nie miał trudności z pokonaniem rozległego trawnika przed wjazdem do parku.

Właśnie mijał most, kiedy zdał sobie sprawę, że otacza go magia. Było tak, jakby tysiąc trąb zagrzmiało w jego uszach albo z ciemności wyłoniło się oślepiające światło. Świat był całkiem inny niż moment wcześniej, ale początkowo Childermass nie mógł zrozumieć, na czym polegała zmiana. Rozejrzał się dookoła.

Dokładnie nad parkiem i domem znajdował się skrawek nieba, który zupełnie nie pasował do reszty nieboskłonu. Konstelacje zostały rozbite. Teraz wisiały tam nowe gwiazdy, których Childermass nigdy wcześniej nie widział. Były to zapewne gwiazdy wiecznej ciemności Strange'a.

Popatrzył po raz ostatni na opactwo Hurtfew i puścił się galopem przed siebie.

Wszystkie zegary w Hurtfew zaczęły bić jednocześnie. Było to dosyć niezwykle, gdyż Lucas od piętnastu lat usiłował je przekonać, by pokazywały ten sam czas, ale nigdy się to nie udało. Trudno jednak było powiedzieć, która jest teraz godzina. Zegary wciąż były, dużo więcej razy niż dwanaście; wskazywały czas dziwnej, nowej epoki.

- Co to za ohydny dźwięk? - spytał Lascelles. Pan Norrell wstał. Potarł dłonie, co zawsze świadczyło o jego wielkim zdenerwowaniu.

- Strange tu jest - odparł natychmiast. Wypowiedział jeszcze jakieś słowo i zegary ucichły.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Panowie Norrell i Lascelles odwrócili się z niepokojem, sądząc, że ujrzą w nich Strange'a. Byli to jednak trzej służący.

- Proszę pana! - zaczął Lucas. - Chyba...

- Tak, wiem! Wiem! Biegnij do składziku pod schodami kuchennymi. W skrzyni pod oknem znajdziesz ołowiane łańcuchy, ołowiane kłódki i ołowiane klucze. Przynieś je tutaj, szybko!

- A ja przyniosę pistolety - oświadczył Lascelles.

- To na nic - powiedział pan Norrell.

- Och! Zdziwiłby się pan, ile problemów może rozwiązać para pistoletów.

Powrócili po pięciu minutach. Lucas dzierżył w dłoniach łańcuchy i kłódki. Wydawał się przygnębiony, wręcz nieszczęśliwy. Przyszedł też Lascelles z pistoletami oraz czterech lub pięciu służących.

- Jak pan sądzi, gdzie on jest? - spytał Lascelles.

- W bibliotece. Gdzieżby indziej? - odparł pan Norrell. - Chodźmy.

Opuścili salon i weszli do jadalni. Stąd ruszyli krótkim korytarzykiem, w którym znajdował się intarsjowany kredens z hebanu, marmurowy posążek centaury i jego potomka oraz obraz przedstawiający Salome z głową świętego Jana na srebrnej tacy. Przed nimi

widniało dwoje drzwi. Te po prawej stronie wydały się Lascellesowi zupełnie nieznane. Pan Norrell poprowadził ich nimi i natchmiast trafili na powrót do salonu.

- Chwileczkę - powiedział pan Norrell zakłopotany. Obejrzał się. - Musiałem... Nie. Zaraz. Już rozumiem. Idziemy!

Znowu przeszli przez jadalnię na korytarzyk. Tym razem wybrali drzwi po lewej, ale i one zaprowadziły ich do salonu.

Pan Norrell krzyknął z rozpaczą.

- Przejrzał mój labirynt i stworzył nowy, żeby pomieszać mi szyki!

- Z wielu przyczyn wołałbym, by go pan tak dobrze nie wyedukował - zauważył Lascelles.

- Och, tego nigdy go nie uczyłem. Może być pan również pewien, że nie uczył go również nikt inny. Albo sam diabeł go wyszkolił, albo Strange poznał zakłęcie właśnie teraz, w moim domu. Oto geniusz wroga! Zarygluj przed nim drzwi, a pierwsze, co zrobi, to otworzy zamek, a potem stworzy lepszy przeciwko tobie!

Lucas i inni służący zapalili więcej świec, jakby światło mogło im pomóc przejrzeć zakłęcia Strange'a i odróżnić rzeczywistość od magii. Wkrótce trzy pomieszczenia rozjaśniły się. Wszędzie stały lichtarze i kandelabry, ale zdawały się tylko jeszcze bardziej zaciemniać wnętrza. Chodzili z jadalni do salonu, z salonu na korytarzyk.

- Całkiem jak lisy w norze - zauważył Lascelles. Mimo wysiłków nie zdołali wydostać się z tych trzech pomieszczeń.

Mijał czas, ale nadal nie wiadomo było, która jest godzina. Wszystkie zegary wskazywały północ. Każde okno wychodziło na wieczną noc i nieznane gwiazdy.

Pan Norrell znieruchomiał. Zamknął oczy. Jego twarz była ponura i ściągnięta, tylko wargi nieznacznie się poruszały. Po chwili otworzył oczy i powiedział:

- Proszę za mną.

Zamknął ponownie oczy i ruszył przed siebie. Zachowywał się tak, jakby chodził po zupełnie innym budynku, który z niewiadomych przyczyn utkwiał w jego domu. Szedł zupełnie nową drogą, skręcając raz w lewo, raz w prawo, w kierunku, którego nikt do tej pory nie wybierał.

Po trzech lub czterech minutach otworzył oczy. Przed nim znajdował się korytarz, którego szukał, ten z podłogą z kamieni, a na jego końcu rysowały się wysokie, skryte w mroku drzwi biblioteki.

- Teraz sprawdzimy, co on wyprawia! - krzyknął pan Norrell. - Lucas, trzymaj w pogotowiu ołowiane łańcuchy i kłódki. Ołów to najlepszy środek zapobiegawczy przeciwko

magii. Skrępujemy mu ręce, to go powstrzyma. Drogi panie, jak szybko możemy wysłać list do jednego z ministrów?

Był nieco zdumiony, że nikt nie odpowiada, więc się odwrócił.

Został sam.

Z oddali dochodził głos Lascellesa, zimny, leniwy i niepowtarzalny. Słyszał też jednego ze służących, a potem Lucasa. Jednakże hałasy stopniowo cichły. Tupot stóp służących, biegających od drzwi do drzwi, też ustał.

Zapadła cisza.

## Rozdział dwudziesty

### Dwie lady Pole połowa lutego 1817

- No, tego się nie spodziewałem! - oświadczył Lascelles.

Wraz ze służącymi stał pod północną ścianą jadalni - pod tą samą ścianą, w którą przed momentem z całkowitym spokojem wszedł pan Norrell. Lascelles wyciągnął rękę i dotknął ściany - była idealnie jednolita. Nacisnął, ale nawet nie drgnęła.

- Myślicie, że zrobił to specjalnie? - zamyślił się jeden ze służących.

- Nie sądzę, by teraz miało to znaczenie - odparł Lucas. - Poszedł i w tej chwili jest z panem Strange'em.

- Równie dobrze mógł iść do samego diabła! - dodał Lascelles.

- Co się teraz stanie? - zapytał inny służący. Nikt nie odpowiedział. Każdy oczyma wyobraźni widział wielką bitwę magów, pana Norrella miotającego czarodziejskie kule armatnie, Strange'a wzywającego diabły, by zabrały pana Norrella. Nasłuchiwali odgłosów walki. Nic nie usłyszeli.

W sąsiednim pokoju rozległ się krzyk. Jeden ze służących otworzył drzwi do salonu i ujrzał po drugiej stronie pokój śniadaniowy. Za pokojem śniadaniowym znajdował się pokój dzienny pana Norrella, a za nim gotowalnia. Układ pokoi wrócił do normy - labirynt został rozpracowany.

Poczuli wielką ulgę. Służący natychmiast porzucili Lascellesa i udali się do kuchni,

naturalnego schronienia i miejsca odpoczynku ludzi z ich klasy. Lascelles natomiast usiadł samotnie w pokoju dziennym pana Norrella. Planował pozostać tam do powrotu gospodarza. A gdyby pan Norrell nie powrócił, Lascelles mógł poczekać na Strange'a i go zastrzelić. „W końcu czym jest mag w starciu z ołowianą kulą? - pomyślał. - Między strzałem a rozerwaniem serca nie ma czasu na rzucanie zaklęć”.

Takie myśli jednak przynosiły mu zaledwie chwilowe ukojenie. Dom był zbyt cichy, ciemność zbyt magiczna. Lascelles miał świadomość, że służący zgromadzili się w jednym miejscu, dwaj magowie, wyprawiający nie wiadomo co, w innym, a on, całkiem sam, przebywał jeszcze gdzie indziej. W kącie pokoju stał stary zegar szafkowy. Była to ostatnia pamiątka z rodzinnego domu pana Norrella w Yorku. Czasomierz ten, podobnie jak inne, w chwili przybycia Strange'a wskazał północ. Nie zrobił jednak tego ochoczo - bardzo gwałtownie protestował przeciwko takiemu rozwojowi wypadków. Jego tykanie było nieregularne: zachowywał się, jakby był pijany albo w malignie, a od czasu do czasu wydawał dźwięk przypominający świst powietrza wciągane do płuc. Za każdym razem gdy to robił, Lascelles miał wrażenie, że do pokoju wszedł Strange i zamierza coś powiedzieć.

Wstał i powlókł się do kuchni.

Kuchnia w opactwie Hurtfew przypominała kryptę wielkiego kościoła, pełną klasycznych aniołów i klasycznego mroku. Na środku pomieszczenia płonęło wiele łojowych świec i siedzieli tu wszyscy służący, których Lascelles już widział, i sporo takich, których nie widział. Oparł się o kolumnę na szczycie schodków.

Lucas spojrział na niego.

- Zastanawiamy się, co robić, proszę pana - powiedział. - Wyjdziemy za pół godziny. Nie pomożemy panu Norrellowi, pozostając tutaj, a może nas spotkać coś złego. Tak właśnie postanowiliśmy, ale chętnie wysłuchamy pańskiej opinii.

- Mojej opinii?! - wykrzyknął Lascelles. Rozejrzył się ze zdumieniem, tylko częściowo udawanym. - Po raz pierwszy w życiu lokaj pyta mnie o opinię. Bardzo dziękuję, ale chyba zrezygnuję z udziału w tej... - zadumał się, po czym wypowiedział najbardziej plugawe słowo, jakie mu przyszło do głowy: -...demokracji.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Lucas łagodnie.

- W Anglii musi już być dzień - odezwała się jedna z pokojówek, patrząc tęsknie na okna pod sufitem.

- Przecież jesteśmy w Anglii, głupia dziewczyno! - oznajmił Lascelles.

- Nie, proszę pana, za pozwoleniem - zauważył Lucas. - Anglia to normalne miejsce. Davey, ile zajmie ci osiodłanie koni?

- Och! - wykrzyknął Lascelles. - Muszę przyznać, że nie brak wam tupetu, skoro dyskutujecie o swym złodziejstwie w mojej obecności! Co? Myślicie, że nie będę świadczył przeciwko wam? Wręcz przeciwnie, chętnie ujrzę was na stryczku.

Niektórzy ze służących nerwowo zerkali na pistolety w dłoniach Lascellesa. Lucas jednak go zignorował.

Wkrótce służący uzgodnili, że ci, którzy mają w sąsiedztwie przyjaciół lub krewnych, pojedą do nich. Reszta uda się na rozmaite farmy na terenie posiadłości pana Norrella.

- Widzi pan, nikt nic nie kradnie - powiedział Lucas do Lascellesa. - Nikt nie jest złodziejem. Cała własność pana Norrella pozostanie na tej ziemi, a my zadamy o jego konie. Byłoby strasznym okrucieństwem zostawiać jakiegokolwiek stworzenia w tej wiecznej ciemności.

Po pewnym czasie służący opuścili Hurtfew (choć nie dało się określić, kiedy dokładnie - ich kieszonkowe zegarki również wskazywały północ). Z koszykami i walizkami w rękach oraz chlebakami na plecach prowadzili konie za uździenice. Zabrali też dwa osiołki i kozę, które od zawsze mieszkały w stajni, gdyż konie lubiły ich towarzystwo. Lascelles szedł w pewnej odległości za służbą: nie chciał, by ktoś uznał go za członka tej hołoty, ale i nie zamierzał pozostawać samotnie w domu.

Dziesięć metrów przed rzeką wymaszerowali z ciemności w poranek. W powietrzu pojawiło się mnóstwo zapachów - aromatów zimy, ściętej mrozem ziemi i pobliskiej rzeki. Barwy i kształty parku wydawały się bardziej wyraziste, jakby przez noc Anglię stworzono na nowo. Dla biednych służących, którzy mieli wątpliwości, czy kiedykolwiek ujrzą jeszcze cokolwiek poza ciemnością i gwiazdami, był to niesłychanie miły widok.

Ich zegarki zaczęły chodzić i po konsultacji ustalili, że jest za piętnaście ósma.

Ale niepokoje nocy jeszcze nie minęły. Teraz na drugą stronę rzeki prowadziły aż dwa mosty, a nie jeden, jak dotychczas.

Lascelles dołączył do reszty.

- Co to takiego? - zapytał, - wskazując na nowy most.

Stary służący - człowiek z brodą jak miniaturowa chmura przyczepiona do podbródka - powiedział, że to elfi most. Widział go za młodu. Zbudowano go wiele lat temu, gdy hrabstwem York rządził jeszcze John Uskglass. Most popadł w ruinę i został rozebrany przez stryja pana Norrella.

- Ale znów tu jest - Lucas zadrżał.

- Co leży po drugiej stronie? - spytał Lascelles. Stary sługa powiedział, że dawniej most prowadził do Northallertonu przez bardzo dziwaczne miejsca.



- Czy dojdzie do drogi, którą mijaliśmy nieopodal Czerwonego Domu? - chciał wiedzieć Lascelles.

Stary służący pokręcił głową. Nie wiedział. Lucas zaczynał tracić cierpliwość - chciał się znaleźć jak najdalej stąd.

- Elfie drogi nie przypominają naszych, chrześcijańskich - powiedział. - Czasem wcale nie prowadzą tam, dokąd powinny. Jakże to ma znaczenie? I tak nikt nie postawi nogi na tej przeklętej drodze.

- Dziękuję, ale pozwolisz, że w tej materii sam zdecyduję. - Lascelles zawahał się, po czym ruszył prosto na elfi most.

Kilkoro służących zawołało za nim, by wracał.

- A niechże idzie! - wykrzyknął Lucas i mocniej ścisnął rączkę koszyka, w którym siedział jego kot. - Niech będzie potępiony, skoro tego pragnie. Na pewno na to zasłużył. - Po raz ostatni ze szczerą odrazą popatrzył na Lascellesa i ruszył wraz z innymi do parku.

Za nim czarny słup wznosił się na tle szarego nieba północy; nikt nie widział jego wierzchołka.

Trzydzieści kilometrów dalej Childermass przejeżdżał przez most towarowy, który wiodł do wioski Starecross. Kiedy dojechał do Starecross Hall, zeskoczył z konia.

- Ejże! Ejże! - Załomotał w drzwi batem. Kilka razy krzyknął i wymierzył drzwicom parę energicznych kopniaków.

Natychmiast pojawiło się dwóch służących. Walenie i wrzaski mocno ich zaniepokoiły, a kiedy unieśli świece i ujrzeni, że przybyszem jest rzezimieszek o dzikim spojrzeniu, z raną na twarzy i w pokrzwawionej koszuli, poczuli się jeszcze niepewniej.

- Nie gąpcie się na mnie! - powiedział. - Idźcie po swojego pana. Zna mnie.

Dziesięć minut później przyprowadzili pana Segundusa w szlafroku. Childermass, czekając niecierpliwie pod drzwiami, widział, że gdy pan Segundus szedł korytarzem, miał zamknięte oczy i dawał się prowadzić służącemu. Wyglądał jak człowiek, który oślepl. Sługa zatrzymał się tuż przed Childermassem, a wtedy pan Segundus otworzył oczy.

- Dobry Boże, drogi panie! - wykrzyknął. - Co się stało z pańską twarzą?!

- Ktoś pomylił ją z pomarańczą. Ale co z panem? Co się dzieje? Choruje pan?

- Nie, to nie choroba. - Pan Segundus wydawał się zakłopotany. - To przebywanie w takiej bliskości silnej magii. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że to osłabia. To znaczy kogoś, kto jest na to podatny. Na szczęście nie wpływa na służących.

Była w nim dziwna delikatność. Sylwetka pana Segundusa zdawała się namalowana w powietrzu. Najsłabszy podmuch wiatru ze szpary w oknie sprawiał, że jego włosy się

poruszały, splatały i skręcały, jakby nic nie ważyły.

- Pewnie przyjechał pan w tej sprawie - ciągnął. - Proszę przekazać panu Norrellowi, że tylko badam przejawy tej magii. Przyznaję, że sporządziłem kilka notatek, ale naprawdę nie powinien narzekać.

- Jakiej magii? - spytał Childermass. - O czym pan mówi? I nie musi się już pan przejmować panem Norellem. Ma własne problemy i nic nie wie o tym, że tu jestem. Co pan robił, drogi panie?

- Tylko patrzyłem i spisywałem jak na maga przystało. - Pan Segundus pochylił się ku niemu. - I doszedłem do zdumiewających wniosków w związku z chorobą lady Pole!

- Tak?

- Moim zdaniem to wcale nie jest szaleństwo. To magia! - Pan Segundus czekał, aż Childermass się zdumieje. Wydawał się rozczarowany, kiedy gość ledwie skinął głową.

- Mam coś, co należy do lady Pole - powiedział Childermass. - Coś, czego jej od dawna brakowało. Dlatego bardzo pana proszę, by wyświadczył mi pan przysługę i pozwolił z nią porozmawiać.

- Ale...

- Nie uczynię jej krzywdy. Myślę, że będę mógł jej pomóc. Przysięgam na ptaka i księgę. Na ptaka i księgę.

- Nie mogę pana do niej zaprowadzić. - Pan Segundus uniósł rękę, by uprzedzić ewentualne protesty Childermassa. - Co nie znaczy, że nie chcę. Nie mogę. Charles się tym zajmie. - Wskazał sługę u swego boku.

Wydawało się to zdumiewające, ale Childermass nie był w nastroju do dyskusji. Pan Segundus złapał sługę za ramię i zamknął oczy.

Za kamiennymi, wyłożonymi dębem korytarzami Starecross Hall pojawiła się wizja innego domu. Childermass widział wysokie korytarze, które ciągnęły się, nie wiadomo dokąd.

Wyglądało to tak, jakby do magicznej latarni wsunięto dwa przezrocza, przez co jeden obraz nakładał się na drugi. Wrażenie wędrowania jednocześnie przez obydwa domy szybko wywoływało uczucie zbliżone do choroby morskiej. Myśli Childermassa plątały się coraz bardziej i gdyby był sam, wkrótce straciłby orientację. Nie potrafił powiedzieć, czy idzie, czy też spada, czy wspina się na stopień, czy też wdrapuje po nieprawdopodobnie wysokich schodach. Niekiedy zdawało mu się, że skacze po brukowych kamieniach, lecz jednocześnie tkwił w miejscu. Kręciło mu się w głowie i miał mdłości.

- Dość! Dość! - wykrzyknął i z zamkniętymi oczami osunął się na ziemię.

- Bardzo na pana działa - zauważył pan Segundus. - Nawet mocniej niż na mnie.

Proszę zamknąć oczy i ująć mnie za ramię. Charles zaprowadzi nas obu.

I szli przed siebie po omacku. Charles skręcił z nimi za prawy róg i powiodł ich w górę schodów. Na ich szczycie pan Segundus zaczął z kimś rozmawiać przyciszonym głosem. Charles lekko popchnął Childermassa, który miał wrażenie, że wszedł do pokoju. Pachniało tu czystą pościelą i suszonymi różami.

- To osoba, z którą mam się spotkać? - rozległ się damski głos. Było w nim coś dziwnego, jakby jednocześnie dobiegał z dwóch miejsc, jakby w pokoju było echo. - Znam tego człowieka! To sługa maga! To...

- Jestem Człowiekiem, którego pani postrzeliła - powiedział Childermass i otworzył oczy.

Ujrzał nie jedną kobietę, lecz dwie. A może należałoby raczej powiedzieć, że ujrzał tę samą kobietę, lecz podwojoną. Obie siedziały w takiej samej pozycji i na niego patrzyły.

Zajmowały tę samą przestrzeń, więc spoglądając na nie, znów miał zawroty głowy jak podczas wędrówki po korytarzach.

Jedna lady Pole siedziała w domu w hrabstwie York. Miała na sobie dzienną suknię o barwie kości słoniowej i patrzyła na Childermassa ze spokojną obojętnością. Druga lady Pole była bledsza, bardziej przypominała ducha. Siedziała w ponurym, pełnym labiryntów domu, ubrana w wieczorową suknię koloru krwi. W ciemnych włosach miała klejnoty lub gwiazdy i patrzyła na gościa z furią i nienawiścią.

Pan Segundus pociągnął Childermassa na prawo.

- Niech pan tu stanie! - powiedział z ożywieniem. - A teraz proszę zamknąć jedno oko! Widzi pan? Proszę patrzeć. Czerwonobiała róża tam, gdzie powinny być usta.

- Magia działa na nas inaczej - odparł Childermass. - Widzę coś bardzo dziwnego, lecz nie różę.

- Przybycie tutaj to śmiały wyczyn - powiedziały obie lady Pole do Childermassa. - Zważywszy na to, kim pan jest i kogo reprezentuje.

- Nie przyjechałem w sprawach pana Norrella. Prawdę mówiąc, teraz nie wiem, kogo reprezentuję. Chyba Jonathana Strange'a. Moim zdaniem wysłał mi wiadomość, która, jak sądzę, dotyczyła pani. Jednakże posłańcowi uniemożliwiono spotkanie ze mną, wiadomość zaginęła. Czy wie pani może, co pan Strange chciał mi przekazać?

- Tak - odparły obie lady Pole.- Powie mi to pani?- Jeśli przemówię, z moich ust wydobędzie się bełkot - oznajmiły. Childermass wzruszył ramionami.

- Spędziłem ponad dwadzieścia lat w towarzystwie magów. Jestem przyzwyczajony. Proszę mówić.

Wobec tego zaczęła (zaczęły) mówić. Pan Segundus natychmiast wyciągnął z kieszeni szlafroka dziennik i zabrał się do sporządzania notatek. Jednak obie lady Pole mówiły różne rzeczy. Ta, która siedziała w Starecross Hall, przytoczyła opowieść o dziecku mieszkającym nieopodal Carlisle, a kobieta w sukni o barwie krwi najwyraźniej relacjonowała całkiem co innego. Miała zaciekły wyraz twarzy i podkreślała słowa zamaszystymi gestami, ale Childermass nie rozumiał, co mówiła; dama snująca opowieść o dziecku z Cumbrii zagłuszyła wszystko.

- Widzi pan! - wykrzyknął pan Segundus, skończywszy pisać. - Właśnie przez te dziwne opowieści uważają ją za szaloną. Ja jednak sporządziłem listę wszystkiego, co mi mówiła, i zacząłem wyszukiwać podobieństwa między tymi opowieściami a dawną wiedzą na temat elfów. Jestem pewien, że gdybyśmy się tym wnikliwie zajęli, odkrylibyśmy odniesienia do elfów mających bliskie związki ze śpiewającymi ptakami. Być może nie były one opiekunami ptaków. Zgodzi się pan, że to nieco zbyt jednostajne zajęcie dla tak nieodpowiedzialnej rasy. Niewykluczone jednak, że badały szczególny rodzaj magii, powiązanej z ptakami śpiewającymi. Jeden z elfów mógł nabrać ochoty, by przekonać łatwowierne dziecko, iż jest ptasim opiekunem.

- Być może - przyznał Childermass, nieszczerze zainteresowany. - Ale nie to pragnęła nam powiedzieć. Przypominam sobie magiczne znaczenie róż. Symbolizują milczenie. Dlatego właśnie widzi pan czerwonobiałą różę - to zaklęcie stłumienia.

- Zaklęcie stłumienia! - powtórzył pan Segundus zdumiony. - Tak, tak! Rozumiem. Czytałem o tym! Jak jednak cofniemy zaklęcie?

Childermass wyjął z kieszeni szkatułkę koloru rozpaczy.

- Lady Pole, proszę mi podać lewą rękę - powiedział.

Położyła swą bladą dłoń na pomarszczonej ręce Childermassa. Ten otworzył szkatułkę, wyjął palec i przyłożył go do pustego miejsca.

Nic się nie stało.

- Musimy znaleźć pana Strange'a - oświadczył pan Segundus. - Albo pana Norrella. Oni się tym zajmą!

- Nie. Nie ma potrzeby. Już nie. Ja i pan również jesteśmy magami, a Anglia pełna jest magii. Ile lat obaj studiowaliście magię? Musimy coś wiedzieć na ten temat. Może Odnowa i Odtworzenie Martina Pale'a?

- Znam formułę tego zaklęcia - przyznał pan Segundus. - Nigdy jednak nie praktykowałem magii.

- I nigdy pan nie będzie, jeśli pan nie spróbuje. Proszę czarować, drogi panie.

Pan Segundus posłuchał.

Palec wtopił się w dłoń i w tej samej chwili zniknęła wizja nie kończących się, przerażających korytarzy; obie kobiety na oczach Childermassa stały się jedną.

Lady Pole powoli wstała z fotela. Gwałtownie mrugała oczami jak ktoś, kto pierwszy raz widzi świat. Każdy mógł dostrzec, że się zmieniała. W jej ruchach było życie i ogień, oczy zalśniły wściekłym blaskiem. Uniosła pięści i wyglądała, jakby chciała kogoś uderzyć.

- Byłam zaklęta! - wykrztusiła. - Sprzedana za cenę kariery niegodziwca!

- Dobry Boże! - krzyknął pan Segundus. - Droga lady Pole...

- Proszę się opanować - przerwał mu Childermass. - Nie mamy czasu na błahostki.

Niech pani mówi!

- Byłam martwa duszą i prawie martwa ciałem! - Z jej oczu trysnęły łzy, lady Pole uderzyła się pięścią w pierś. - Nie tylko ja! Inni - pani Strange i sługa mojego męża, Stephen Black - nadal cierpią!

Opowiedziała im o przerażających balach, okropnych procesjach, w których musiała brać udział, i dziwnej ułomności, która nie pozwalała ani jej, ani Stephenowi Blackowi opowiedzieć o swym losie. Pan Segundus i służący słuchali tych rewelacji z narastającym przerażeniem. Childermass nie okazywał żadnych emocji.

- Musimy napisać do gazet! - krzyknęła lady Pole. - Jestem zdecydowana publicznie ich zdemaskować!

- Kogo? - spytał pan Segundus.

- Magów, rzecz jasna! Strange'a i Norrella!

- Pana Strange'a? - wyjąkał pan Segundus. - Nie, nie, myli się pani. Droga lady Pole, proszę przez chwilę zastanowić się nad swoimi słowami. Nie zamierzam ani przez moment bronić pana Norrella, jego występki jest niewybaczalny! Ale pan Strange wcale pani nie skrzywdził, przynajmniej nie świadomie. Chyba on jest tu ofiarą, nie katem.

- Och, wręcz przeciwnie - odparła lady Pole. - Uważam, że jest znacznie gorszy od Norrella. Swą obojętnością i zimną męską magią zdradził najlepszą z kobiet, najdoskonalszą z żon!

Childermass wstał.

- Dokąd pan idzie? - spytał pan Segundus.

- Na poszukiwanie Strange'a i Norrella - odparł Childermass.

- Po co? - Lady Pole odwróciła się do niego. - By ich ostrzec? Żeby mogli się przygotować na zemstę niewiasty? Ach, jak ci mężczyźni się popierają!

- Nie, zamierzam zaoferować im pomoc przy uwolnieniu pani Strange i Stephena

Blacka.

Lascalles szedł przed siebie. Ścieżka znikła między drzewami. Przy wejściu do lasu stał posąg kobiety trzymającej wylupione oko i wyrwane serce - tak jak opisał Childermass. Z ciemnych drzew zwisały trupy w rozmaitych stadiach rozkładu.

Po chwili dotarł do wieży. Wcześniej wyobrażał sobie, że będzie to uduchowione, nieziemskie miejsce. „Doprawdy, wygląda bardzo zwyczajnie - pomyślał - jak zamki na granicy ze Szkocją”.

Wysoko na wieży było okienko, w którym dojrzał blask świecy i czyjś cień. Lascalles zauważył coś jeszcze, coś, czego Childermass albo nie widział, albo o czym nie wspomniał: drzewa pełne były stworzeń podobnych do węży, ciężkich i obwisłych. Jedno z nich właśnie pożerało w całości świeże mięsiste zwłoki.

Między drzewami a potokiem stał blady młodzian. Miał puste oczy i zroszone potem czoło. Lascallesowi wydawało się, że ubrany był w mundur lekkich dragonów.

- Kilka dni temu rozmawiał z tobą mój rodak - odezwał się do niego. - Wyzwałeś go na pojedynek, a on uciekł.

Był to ciemnowłosy, nieurodziwy mężczyzna. Człowiek o złych manierach, niskiego stanu.

Nawet jeśli młodzian rozpoznał po tym opisie Childermassa, nic nie dał po sobie poznać. Martwym głosem oznajmił:

- Jestem obrońcą Zamku Odjętego Serca i Oka. Wyzygam na pojedynek...

- Tak, tak! - wykrzyknął Lascalles niecierpliwie. - Nic mnie to nie obchodzi. Przybyłem tu walczyć. Zmazać plamę na honorze Anglii, uczynioną przez tchórzostwo tego człowieka.

Postać w oknie wychyliła się zainteresowana. Blady młodzieniec milczał.

Lascalles jęknął ze złością.

- Proszę bardzo. Pomyśl, jeśli chcesz, że zamierzam straszliwie skrzywdzić tę kobietę. Wszystko mi jedno! Pistolety?

Blady młodzieniec wzruszył ramionami.

Ponieważ nie mieli sekundantów, Lascalles oznajmił młodemu człowiekowi, że będą strzelali z dwudziestu kroków, i sam zmierzył odległość.

Zajęli pozycje i już mieli strzelać, gdy nagle coś przyszło do głowy Lascallesowi.

- Czekaj! - krzyknął. - Jak się nazywasz?

Młodzian patrzył na niego bezmyślnie.

- Nie pamiętam - powiedział.

Obaj wypalili w tym samym momencie. Lascelles odniósł wrażenie, że w ostatniej chwili młodzieniec odsunął pistolet i celowo strzelił obok. Lascellesa nic to nie obeszło: skoro młody człowiek był tchórzem, tym gorzej dla niego. Jego kula wystrzeliła z przyjemną precyzją i trafiła przeciwnika w klatkę piersiową. Patrzył na umierającego młodziana z takim samym zainteresowaniem i satysfakcją jak na konającego Drawlighta.

Powiesił trupa na najbliższym drzewie. Potem zabawiał się strzelaniem do gnijących ciał i węży. Zajmował się tą sympatyczną rozrywką zaledwie od godziny, gdy nagle usłyszał tętent kopyt na ścieżce. Z naprzeciwka, raczej z Faerie niż z Anglii, nadjeżdżała postać na ciemnym koniu.

Lascelles obrócił się na pięcie.

- Jestem obrońcą Zamku Odjętego Serca i Oka... - powiedział.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

### **Popiół, perły, narzuta i pocałunek połowa lutego 1817**

Gdy Lucas i inni w pośpiechu opuszczali opactwo Hurtfew, Stephen ubierał się w swojej sypialni na poddaszu domu na Harley Street.

Londyn to miasto, w którym roi się od osobliwości, ale w tamtym czasie najbardziej zdumiewającym miejscem był bez wątpienia pokój Stephena. Zgromadziło się tu mnóstwo cennych, rzadkich lub cudownych rzeczy. Gdyby rząd albo panowie zarządzający Bankiem Anglii mogli jakoś przejąć zawartość sypialni Stephena, nie musieliby się już niczym kłopotać. Spłaciliby długi Wielkiej Brytanii, a z tego, co by im zostało, odrestaurowaliby Londyn. Dzięki dżentelmenowi o włosach jak puch ostu Stephen miał klejnoty koronne z lichu wie jakich królestw i wyszywane szaty, które niegdyś należały do koptyjskich patriarchów. W doniczkach na parapecie nie było kwiatów, lecz wysadzone rubinami i perłami krzyże, oszlifowane kamienie i insygnia dawno nie istniejących zakonów rycerskich.

W kredensiku znajdował się fragment sufitu z Kaplicy Sykstyńskiej i kość udowa baskijskiej świętej. Kapelusz świętego Krzysztofa wisiał na kołku za drzwiami, a marmurowy posąg Wawrzyńca Wspaniałego dłuta Michała Anioła (do niedawna zdobiący grobowiec tego

wielkiego człowieka we Florencji) zajmował większość podłogi.

Stephen golił się, zerkając do małego lusterka ustawionego na kolanie rzeźby, kiedy u jego boku wyrósł dżentelmen o włosach jak puch ostu.

- Mag powrócił do Anglii! - wrzasnął. - Widziałem go wczoraj na Królewskich Traktach. Ciemność otaczała go niczym mistyczna szata! Czego on chce? Co knuje? Och! Nadszedł mój koniec, Stephenie. Czuję to! On zamierza wyrządzić mi krzywdę!

Stephena przeszył dreszcz. Podniecony i zdenerwowany dżentelmen był szczególnie niebezpieczny.

- Powinniśmy go zabić! - oświadczył dżentelmen.- Zabić? Och, nie!- A czemu nie? Skończymy z nim raz na zawsze! Skrępuję mu ręce, oczy i język za pomocą magii, a ty przesyjesz jego serce.

Stephen myślał gorączkowo.

- Ale jego powrót nie musi mieć nic wspólnego z panem - zauważył. - Proszę pomyśleć, ilu ma wrogów w Anglii. Wśród ludzi, naturalnie. Może powrócił, by toczyć spory z którymś z nich.

Dżentelmen nie wyglądał na przekonanego. Zawsze trudno mu było śledzić tok rozumowania, w którym nie grał pierwszych skrzypiec.

- Wątpię - powiedział.

- Ależ oczywiście! - Stephen poczuł się nieco pewniej. - W gazetach i czasopismach o magii wypisywano o nim okropne rzeczy. Krążą plotki, że zabił żonę. Wielu ludzi w to wierzy. Gdyby nie jego obecna sytuacja, najprawdopodobniej trafiłby do aresztu. Poza tym wszyscy wiedzą, że autorem tych kłamstw i wymysłów jest ten drugi mag. Prawdopodobnie Strange powrócił, by zemścić się na swym nauczycielu.

Dżentelmen wpatrywał się przez chwilę w Stephena. Potem wybuchnął śmiechem, a jego niespodziewana radość dorównywała wcześniejszemu przygnębieniu.

- Nie mamy się czego obawiać, Stephenie! - wykrzyknął z zachwytem. - Magowie się poróżnili i teraz czują do siebie nienawiść! A przecież jeden bez drugiego nic nie wart! Ależ mnie to cieszy! Ależ jestem szczęśliwy, że mnie uspokoiłeś! Tak się składa, że zamierzam ofiarować ci dziś wspaniały prezent. Coś, czego od dawna pragnąłeś.

- Naprawdę? - westchnął Stephen. - Będę zachwycony.

- Musimy jednak kogoś zabić. - Dżentelmen natychmiast powrócił do poprzedniego tematu. - Zdenerwowałem się dziś rano i ktoś za to zginie. Co powiesz na starego maga? Nie, czekaj! Tym samym wyświadczę przysługę młodszemu, a tego bym nie chciał! No to może mąż lady Pole? Jest wysoki, arogancki i traktuje cię jak sługę!



- Jestem sługą, panie.

- Albo króla Anglii! Tak jest, wyborny plan! Natychmiast ruszamy do króla Anglii. Zabijesz go i zostaniesz jego następcą! Masz berło, koronę i jabłko, które ci podarowałem?

- Prawo Wielkiej Brytanii nie pozwala... - zaczął Stephen.

- Prawo Wielkiej Brytanii! Fúj, fúj! Co za brednie! Myślałem, że w końcu zrozumiałeś, iż prawo Wielkiej Brytanii to jedynie świadectwo próżnych nadziei i marzeń ludzkości. Zgodnie z odwiecznymi prawami, jakich przestrzega moja rasa, króla zazwyczaj zastępuje osoba, która go zabiła.

- Ależ panie! Przecież polubił pan tego dżentelmena.

- Hm, rzeczywiście. Jednakże sprawa jest tak ważna, że nie będę brał pod uwagę swych uczuć. Problem polega na tym, że mamy zbyt wielu wrogów, Stephenie! Anglię zamieszkuje mnóstwo niegodziwców! Wiem! Poproszę niektórych sojuszników, by zdradzili nam, kto jest mym największym wrogiem. Musimy zachować ostrożność. Musimy być sprytni i precyzyjnie sformułować pytanie. Poproszę północny wiatr i brzask, by natychmiast zaprowadziły mnie przed oblicze jednej jedynej osoby w Anglii, która najbardziej mi zagraża. Potem ją zabijemy, niezależnie od tego, kim jest. Zauważ, Stephenie, że choć odniosłem się do swojego życia, uważam twój los i mój za tak powiązane, że właściwie nie ma między nami żadnej różnicy. Ktokolwiek zagraża mnie, zagraża również tobie. A teraz weź swą koronę, jabłko i berło i pożegnaj się z miejscem, które było świadkiem twego zniewolenia! Być może nigdy już go nie ujrzysz!

- Ale...

Było jednak za późno. Dżentelmen uniósł smukłe blade dłonie i dramatycznie rozpostarł ramiona.

Stephen spodziewał się, że zaraz trafi przed oblicze jednego bądź drugiego maga albo obu naraz. Jednakże znaleźli się na szerokim, pustym wrzosowisku przysypanym śniegiem. Z chwili na chwilę śniegu przybywało. Po jednej stronie ziemia wznosiła się i stykała z ciężkim stalowoszarym niebem; po drugiej w oddali piętrzyły się zamglone białe wzgórza. W całej tej pustce rósł tylko jeden poskręcany głóg. Stephen pomyślał, że miejsce to bardzo przypomina okolice Starecross Hall.

- Cóż, to bardzo dziwne! - oświadczył dżentelmen. - Nikogo nie widzę, a ty?

- Nie, panie, nikogo - odparł Stephen z ulgą. - Wracajmy do Londynu.

- Nie rozumiem... Czekał... Tam ktoś jest!

Mniej więcej kilometr dalej rozciągał się chyba gościniec, którym jechał wóz ciągnięty przez konia. Kiedy zrównał się z głógiem, zahamował i ktoś wysiadł, po czym

ciężkim krokiem ruszył w ich kierunku.

- Znakomicie! - krzyknął dżentelmen. - Teraz przekonamy się, kto jest naszym najpotężniejszym i najniegodziwszym wrogiem. Wkładaj koronę, Stephenie! Niech zdrzy przed naszą mocą i majestatem! Doskonale! Unieś berło! Tak, tak! Wyciągnij jabłko! Ależ pięknie wyglądasz! Jak królewsko! Stephenie, ponieważ mamy mało czasu przed jego nadejściem... - dżentelmen zerknął na sylwetkę, brnącą przez zasypane śniegiem wrzosowisko -...muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Który dzisiaj jest?

- Piętnasty lutego, panie. Dzień świętego Antoniego.

- Ha! To dopiero drętwy patron! Cóż, w przyszłości mieszkańcy Anglii będą mogli w tym dniu czcić coś innego niż życie mnicha, który chroni przed deszczem i odszukuje zagubione naparstki.

- Czyżby panie? A co takiego?

- Imieniny Stephena Blacka!- Słucham, panie?- Mówiłem ci, Stephenie, że odnajdę twe prawdziwe imię!- Co? Czy matka naprawdę nadała mi imię?- O tak, w rzeczy samej. Jest tak, jak przypuszczałem, co mnie szczególnie nie dziwi, gdyż rzadko myślę się w takich sprawach. Nadała ci imię we własnym języku. Imię, które w młodości wiele razy słyszała wśród swych rodaków. Nazwała cię, lecz nie zdradziła nikomu twego imienia. Nawet nie wyszeptwała go tobie do ucha. Nie miała na to czasu, gdyż śmierć ją zaskoczyła.

Oczyma duszy Stephen zobaczył ciemną, zatęchłą ładownię statku i matkę zmęczoną bólami porodowymi, otoczoną obcymi ludźmi. Zobaczył także siebie, maleńkiego noworodka. Czy matka w ogóle posługiwała się językiem, którym mówili ludzie na statku? Nie miał pojęcia. Jak musiała się czuć samotnie! Wiele by dał, by mocją pocieszyć, ale dzieliły ich wszystkie lata jego życia. Serce znów mu stwardniało na myśl o Anglikach. Jeszcze kilka minut wcześniej żarliwie przekonywał dżentelmena, by ten nie zabijał Strange'a, ale cóż go obchodziło, co się stanie z jakimś Anglikiem? Cóż go obchodziło, co się stanie z całym tym zimnym, bezdusznym narodem?

Wzdychając, odsunął od siebie te myśli i zorientował się, że dżentelmen wciąż mówi.

-...to bardzo budująca historia i ukazuje moje atuty, a mianowicie poświęcenie dla innych, wierną przyjaźń, szlachetność celu, bystrość, pomysłowość i odwagę.

- Słucham, panie?

- Opowiem ci historię odnalezienia twego imienia, Stephenie! Wiedz zatem, że twa matka zmarła w ładowni statku „Penlaw”, który płynął z Jamajki do Liverpoolu. Następnie angielscy marynarze rozebrali ją do naga i cisnęli do morza - dodał dżentelmen rzeczowo.

- Ach! - jęknął Stephen.

- Jak się zapewne domyślasz, to znacznie utrudniło poszukiwanie twego imienia. Po prawie czterdziestu latach po twej matce pozostały cztery rzeczy: jej krzyki w trakcie porodu, które wtopiły się w deski statku, i jej kości, gdyż ciało i miękkie części zostały pożarte przez ryby...

- Ach! - ponownie jęknął Stephen.

-...jej uszyta z różowej bawełny suknia, która przeszła na własność marynarza, oraz pocałunek, który dwa dni wcześniej skradł jej kapitan statku. A teraz - dodał dżentelmen (który najwyraźniej znakomicie się bawił) - będziesz mógł wysłuchać, z jaką bystrością i finezją prześledziłem drogę każdej z tych rzeczy, by je odzyskać i odgadnąć twe znamienite imię! „Penlaw” przyplłynął do Liverpoolu, gdzie niegodziwy dziadek niegodziwego męża lady Pole wysiadł wraz ze swym sługą, który niósł ciebie, niemowlę, w ramionach. Podczas następnej podróży do Leith w Szkocji „Penlaw” trafił na sztorm i się rozbił. Fale wyrzuciły na skaliste wybrzeże drzewce masztu i fragmenty roztrzaskanego kadłuba, a wśród nich znalazły się deski pełne krzyków twojej matki. Zebrał je pewien biedak, by zrobić z nich dach i ściany swego domu. Bez trudu odnalazłem ten budynek. Stał na wietrznym cyplu, skąd rozciągał się widok na wzburzone morze. W domu, w skrajnej nędzy i poniżeniu, mieszkało kilka pokoleń rodziny tego biedaka. Musisz wiedzieć, Stephenie, że drewno jest uparte i dumne z natury, niechętnie zdradza informacje nawet przyjacielom. Zawsze lepiej dogadywać się z popiołami niż z samym drewnem. No to spaliłem dom tego biedaka, popioły zebrałem do butelki i wyruszyłem w dalszą drogę.

- Spalił pan?! Mam nadzieję, że nikt nie ucierpiał...

- No cóż, niektórzy ucierpieli. Młodzi, silni mężczyźni uciekli, ale starsi i niedołążni członkowie rodziny oraz kobiety i niemowlęta poszli z dymem.

- Och!

- Potem prześledziłem historię kości. Chyba wspominałem już, że twoja matka trafiła do oceanu, gdzie z powodu prądów morskich i żarłoczności ryb z ciała zostały kości, z kości proch. Wkrótce ławica ostryg zmieniła proch w kilka garści wyjątkowo pięknych pereł. Perły te zebrano i sprzedano paryskiemu jubilerowi, a on stworzył naszyjnik z pięciu idealnych sznurów. Naszyjnik trafił do pięknej francuskiej hrabiny. Siedem lat później hrabinę ścięto, a jej klejnoty, suknie i rzeczy osobiste przeszły na własność jednego z przywódców rewolucji. Ten niegodziwiec był do niedawna burmistrzem pewnego miasteczka w dolinie Loary. Późną nocą czekał, aż jego służba uda się na spoczynek, potem wkładał klejnoty i suknie hrabiny, a następnie paradował w nich przed wielkim lustrem. Właśnie w takich okolicznościach natknąłem się nań pewnej nocy; wyglądał idiotycznie. Od razu go udusiłem naszyjnikiem z

perel.

- Och!

- Zabrałem perły, zostawiłem nieszczęsnego trupa na ziemi i odszedłem. Potem zająłem się ładną różową suknią twojej matki. Marynarz, który ją zabrał, trzymał ją wśród swych rzeczy przez rok czy dwa, aż trafił do zimnej, nieszczęsnej wioski na wschodnim wybrzeżu Ameryki. Wioska zwała się Piper's Grave. Tam poznał szczupłą, wysoką kobietę i chcąc zrobić na niej wrażenie, podarował jej tę suknię w prezencie. Suknia na nią nie pasowała (twoja matka, Stephenie, miała uroczo zaokrągloną kobiecą figurę), ale spodobał się jej kolor, więc pocięła ją, zszyła kawałki z innymi tanimi materiałami i zrobiła z nich narzutę. Dalsza historia tej kobiety nie jest zbyt ciekawa - poślubiła kilku mężczyzn i wszystkich pochowała. Gdy ją odnalazłem, była stara i pomarszczona. Zabrałem jej narzutę, kiedy spała.- Ale nie zabił pan tej kobiety, prawda? - spytał Stephen z niepokojem.

- Nie, Stephenie. Po co? Naturalnie noc była zimna, spadł ponad metr śniegu i szalał wiatr. Być może zmarła z zimna, kto wie. Ale dochodzimy w końcu do pocałunku i kapitana, który skradł go twojej matce.

- Zabił go pan?

- Nie, Stephenie, choć z pewnością bym to zrobił za obrazę twojej szacownej matki, jednak kapitana powieszono w Yaletcie dwadzieścia dziewięć lat temu. Na szczęście całował mnóstwo innych młodych kobiet przed śmiercią, więc czystość i siła pocałunku twojej matki wniknęła w ich ciała. Musiałem je tylko odnaleźć i wyekstrahować to, co z niego pozostało.

- Jak pan to zrobił? - spytał Stephen, choć obawiał się, że aż nazbyt dobrze zna odpowiedź.

- Och, to łatwe, jeśli zgładzi się kobiety.

- Tyle osób zginęło tylko po to, by odnalazło się moje imię - westchnął Stephen.

- Z radością zabiłbym i dwa razy tyle - nie, sto razy tyle, nawet więcej - tak wielką miłością cię darzę, Stephenie. Z prochów, które były jej krzykiem, perel, które były jej kośćmi, narzuty, która była jej suknią, i magicznej esencji jej pocałunku mogłem odkryć twoje imię. Teraz, jako twój najlepszy przyjaciel i najszlachetniejszy dobroczyńca, wypow... Och, idzie nasz wróg! Gdy tylko go zabijemy, zdradzę ci twoje imię. Uważaj, Stephenie, lada moment rozpocznie się magiczna bitwa! Zapewne będę musiał przybrać różne formy - bazyliżków, ściętej głowy i krwawych kości, ognistych deszczów i tak dalej, i tak dalej. Może lepiej się cofnij.

Nadciągał nieznajomy - cienki jak suchy patyk, o nieco jastrzębiej, pooranej zmarszczkami twarzy. Jego ubranie było w strzępach, buty podarte i pełne dziur.

- No cóż - odezwał się dżentelmen po chwili. - Jestem doprawdy zdumiony! Czy kiedykolwiek widziałeś tego człowieka, Stephenie?

- Tak, panie. Przyznaję, że się spotkaliśmy. To mężczyzna, o którym panu wspomniałem. Ten o dziwnym wyglądzie, który wyrecytował mi prorocstwo. Zwie się Vinculus.

- Witaj, królu! - odezwał się Vinculus do Stephena. - Nie mówiłem ci, że godzina już nadchodzi? I nadeszła! Deszcz otworzy wrota, a ty przez nie przejdziesz. Głazy tron utworzą, a tym na nim zasiądziesz. - Popatrzył na Stephena z satysfakcją, jakby ten posiadał koronę, berło i jabłko właśnie dzięki niemu.

- Może czcigodne byty, które prosił pan o pomoc, popełniły błąd - powiedział Stephen do dżentelmena. - Może zaprowadziły nas do niewłaściwej osoby.

- Bardzo prawdopodobne - przytaknął dżentelmen. - Ten włóczęga raczej nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia. Skoro jednak północny wiatr i brzask zadały sobie tyle trudu, by nam go wskazać, byłoby bardzo nieelegancko go nie zabić.

Vinculus wydawał się nieporuszony tym wyznaniem. Zaśmiał się.

- Spróbuj, jeśli zdołasz, elfie! Przekonasz się, że ciężko mnie zabić.

- Doprawdy? - natychmiast zainteresował się dżentelmen. - Nic prostszego, moim zdaniem. Widzisz, jestem mistrzem w zabijaniu! Kładłem trupem smoki, zatapiałem całe armie i przekonywałem trzęsienia ziemi oraz burze, by niszczyły miasta! Ty jesteś człowiekiem, do tego całkiem samotnym, jak wszyscy ludzie. Mnie zaś otaczają odwieczni przyjaciele i sojusznicy. Łachmyto, co cię obroni?

Vinculus z dumą zadarł brudny podbródek.

- Księga! - odparł.

Było to dość nieoczekiwane. Stephen nie mógł się opędzić od myśli, że gdyby Vinculus rzeczywiście miał księgę, najlepiej by zrobił, gdyby ją sprzedał i kupił sobie lepszy płaszcz.

Dżentelmen odwrócił głowę i popatrzył bardzo uważnie na dalekie białe wzgórza.

- Och! - krzyknął gwałtownie, jakby zadano mu cios. - Och! Ukradli mi ją! Złodzieje! Złodzieje! Angielscy złodzieje!

- Co ukradli, panie?- Lady Pole! Ktoś złamał zaklęcie!- Angielscy magowie, elfie! - krzyknął Vinculus. - Powraca magia Anglików!- Widzisz, jacy są aroganccy, Stephenie?! - ryknął dżentelmen, obracając się na pięcie, by wbić wściekłe spojrzenie w Vinculusa. - Widzisz teraz niegodziwość naszych wrogów? Stephenie, sprokuruj mi sznur!

- Sznur? Tu nigdzie nie ma żadnego sznura. Możemy...

- Nie ma sznura, elfie! - zarechotał Vinculus. Coś się jednak działo w powietrzu nad nimi. Strugi deszczu i pasma śniegu skręcały się i wiły po niebie, zbliżając do Stephen'a. Bez ostrzeżenia długi mocny sznur wpadł mu prosto w ręce.

- No proszę! - wykrzyknął dżentelmen triumfalnie. - Stephenie, patrz! Tu jest drzewo! Jedyne drzewo w tej opustoszałej okolicy, właśnie tu, gdzie jest nam potrzebne! Anglia zawsze była moją przyjaciółką, dobrze mi służyła. Zarzuć sznur na gałąź i powiesimy obszarpańca!

Stephen się zawahał, niepewny, jak zapobiec nowemu nieszczęściu. Sznur w jego dłoni się niecierpliwił; odskoczył i przewiesił się przez gałąź. Jedna jego połowa podpełzła po ziemi do Vinculusa i go oplotła, druga zaś szybko zawięła się w solidną pętlę i otoczyła konar.

Dżentelmen był zachwycony. Perspektywa wieszania natychmiast poprawiła mu humor.

- Tańczysz, hultaju? - spytał Vinculusa. - Nauczę cię nowych kroków!

Wszystko przypominało nocny koszmar. Zdarzenia następowały szybko jedno po drugim, a Stephen nie mógł znaleźć właściwych słów ani też odpowiedniego momentu na interwencję. Co do Vinculusa, i on zachowywał się bardzo dziwnie podczas egzekucji. Chyba nie rozumiał, co się dzieje. Nie wypowiedział już ani słowa, ale wydał z siebie kilka rozdrażnionych pomruków, jakby ktoś narażał go na poważną niedogodność, co wyprowadzało go z równowagi.

Bez żadnego wysiłku dżentelmen złapał Vinculusa i ustawił go pod pętlą. Zaciśnięta się na jego szyi i gwałtownie pociągnęła go w powietrze; jednocześnie drugi sznur na jego ciele rozwinął się i złożył na ziemi.

Vinculus bezradnie wymachiwał nogami w powietrzu; jego ciało kręciło się i podskakiwało. Choć wcześniej się przechwalał, że trudno go zabić, kark pękł mu niemal natychmiast - w panującej wokół ciszy rozległ się głośny trzask. Jeszcze dwa szarpnięcia i było po Vinculusie.

Zapomniawszy, że postanowił odczuwać nienawiść do wszystkich Anglików, Stephen zakrył twarz rękoma i zaszlochał. Dżentelmen tańczył wokół i śpiewał jak rozradowane dziecko. Kiedy mu przeszło, oznajmił pogodnie:

- Co za rozczarowanie. Wcale nie walczył. Zastanawiam się, kto to taki.

- Mówiłem panu. - Stephen otarł oczy. - To człowiek, który wyrecytował mi przepowiednię. Ma dziwne zdobienia na ciele. Wyglądają jak pismo.

Dżentelmen zdarł z Vinculusa płaszcz, koszulę i krawat.

- Rzeczywiście! - powiedział z lekkim zdziwieniem. Podrapał paznokciem kółko na prawym ramieniu włóczęgi, by sprawdzić, czy zejdzie. Kiedy nie zeszło, całkiem stracił zainteresowanie. - Chodź, rzucimy zaklęcie na lady Pole.

- Zaklęcie? - powtórzył Stephen. - Po co mielibyśmy to robić?

- Och, żeby zmarła za miesiąc lub dwa. Poza wszystkim innym tak nakazuje tradycja. Bardzo rzadko ktoś, kto wyzwolił się z zaklęcia, długo żyje - z pewnością nie wtedy, jeśli to ja je rzuciłem. Lady Pole nie jest daleko, a magowie muszą zrozumieć, że nie mogą bezkarnie z nami walczyć. Chodźmy, Stephenie!

## **Rozdział dwudziesty drugi**

### **Jonathan Strange i pan Norrell połowa lutego 1817**

Pan Norrell odwrócił się i spojrzął na korytarz, który niegdyś prowadził z biblioteki do innych części domu. Gdyby miał choć odrobinę pewności, że zawiedzie go on z powrotem do Lascellesa i służących, podążyłby tą drogą. Był jednak przekonany, że przez magię Strange'a wróci tu, gdzie znajdował się w tej chwili.

Z biblioteki doleciał go dźwięk, który go przeraził. Czekał, ale nikt się nie pojawił. Po chwili uświadomił sobie, że zna ten odgłos. Słyszał go już tysiące razy - to Strange wydawał z siebie okrzyk zniecierpliwienia nad jakimś fragmentem książki. Był to tak znajomy dźwięk i w umyśle pana Norrella tak powiązany z najszcześniejszym okresem w jego życiu, że dzięki niemu starczyło mu odwagi, by otworzyć drzwi i wejść do środka.

Pierwsze, co go uderzyło, to ogromna liczba świec. Światło wręcz zalewało pomieszczenie. Strange nie zadał sobie trudu, by poszukać świeczników, po prostu poustawiał świece na biurkach i regałach, a część umieścił nawet na księgach. W każdej chwili biblioteka mogła zająć się ogniem. Wszędzie leżały książki - na biurkach, w stosach na podłodze. Wiele było otwartych, żeby Strange pamiętał, który fragment czytał.

Strange stał w drugim kącie pokoju. Był o wiele szczuplejszy, niż zapamiętał pan Norrell. Ogolił się niestarannie, włosy miał w nieładzie. Nie podniósł głowy, gdy wszedł gospodarz.

- Siedmioro ludzi w Norwich w 1124 roku - przeczytał z książki, którą trzymał w dłoni.

- Czwooro z Aysgarth w hrabstwie York na Boże Narodzenie 1151 roku, dwadzieścioro troje w Exeterze w 1201 roku, jeden człowiek z Hathersage w hrabstwie Derby w 1243 roku. Wszyscy zakłęci i porwani do Faerie. Nigdy nie rozwiązał tego problemu.

Mówił z takim spokojem, że pan Norrell, który spodziewał się, iż lada moment zostanie porażony magią, rozejrzał się, jakby chcąc sprawdzić, czy w pokoju jest ktoś jeszcze.

- Słucham? - odezwał się.

- John Uskglass - odparł Strange. Nadal się nie odwracał. - Nie potrafił powstrzymać elfów od porywania chrześcijan. Czemu uważam, że zdołałbym zrobić coś, czego on nie zdołał? - Przeczytał następny fragment. - Podoba mi się pański labirynt - oznajmił uprzejmie.

- Użył pan Hickmana?

- Co? Nie. De Chepe'a.

- De Chepe'a! Coś podobnego! - Po raz pierwszy Strange popatrzył prosto na swego nauczyciela. - Zawsze uważałem, że to trzeciorzędny uczony bez żadnej oryginalnej myśli w głowie.

- Nigdy nie był ulubieńcem osób, które mają inklinacje do bardziej spektakularnych efektów - powiedział pan Norrell nerwowo, niepewny, jak długo potrwa ta uprzejmość Strange'a. - Interesowały go labirynty, magiczne przejścia, zakłęcia, które można modyfikować za pomocą określonych kroków i obrotów, tego typu sprawy. We Wskazówkach Belasisa jest długi opis jego magii... - Umilkł. - Nigdy pan ich nie czytał. Jedyny egzemplarz znajduje się w tej bibliotece. - Wskazał palcem i uświadomił sobie, że półka jest pusta. - Może być na podłodze - dodał. - W tym stosiku.

- Zaraz zobaczę - zapewnił go Strange.

- Pański labirynt też robi wrażenie - dodał pan Norrell. - Przez pół nocy usiłowałem się wydostać.

- Och, zrobiłem to, co zwykle w takich okolicznościach - odparł Strange swobodnie. - Naśladowałem pana i dodałem kilka ulepszeń. Ile czasu minęło?

- Co takiego?- Jak długo przebywam w ciemności?- Od początku grudnia.- A jaki mamy teraz miesiąc?- Luty.- Trzy miesiące! - krzyknął Strange. - Trzy miesiące! A ja myślałem, że minęły lata!

Pan Norrell wielokrotnie wyobrażał sobie tę rozmowę. Zawsze widział oczyma duszy rozłoszczonego i żadnego zemsty Strange'a i samego siebie, jak wysuwa rozmaite ważne argumenty na swoje usprawiedliwienie. Teraz gdy w końcu się spotkali, beztraska Strange'a wydawała się zadziwiająca. Ból, który Norrell od dawna czuł w swej małej, skurczonej duszy, znów się przebudził, wyciągnął pazury i wbił je w maga. Ręce pana Norrella zaczęły drżeć.



- Byłem pańskim wrogiem! - wybuchnął mag. - Zniszczyłem pańską książkę, zostawiłem tylko jeden egzemplarz dla siebie! Oczerniałem pana, spiskowałem przeciwko panu! Lascelles i Drawlight opowiadali wszystkim, że zamordował pan żonę! Pozwalałem, by ludzie w to wierzyli!

- Tak - powiedział Strange.

- Przecież to straszne występki! Dlaczego nie jest pan zły?

Strange chyba uznał pytanie za całkiem rozsądne. Rozwahał przez chwilę odpowiedź.

- Pewnie dlatego, że od naszego ostatniego spotkania tyle się wydarzyło. Zmieniłem się w drzewa, rzeki, wzgórza i kamienie. Rozmawiałem z gwiazdami, ziemią i wiatrem. Nie można być kanałem, przez który płynie cała angielska magia, i pozostać sobą. Uważa pan, że powinienem się złościć?

Pan Norrell skinął głową. Strange uśmiechnął się ironicznie, jak dawniej.

- No to proszę się rozpogodzić! Wkrótce się rozżłoszczę. Niech pan cierpliwie czeka.

- Zrobił pan to wszystko po to, żeby mi popsuć szyki?

- Popsuć panu szyki? - powtórzył Strange ze zdziwieniem. - Ależ skąd! Zrobiłem to, by ocalić żonę!

Zapadła krótka cisza. Pan Norrell nie mógł spojrzeć uczniowi w oczy.

- Czego pan ode mnie chce? - spytał głucho.

- Tego, czego zawsze chciałem - pomocy.

- Żeby pomóc zdjąć zaklęcie? - Tak. Pan Norrell zastanawiał się przez chwilę.

- Setna rocznica rzucenia zaklęcia najlepiej wróży - powiedział. - Kilka rytuałów i procedur...

- Proszę wybaczyć - przerwał mu Strange z odrobiną dawnego sarkazmu w głosie - ale chyba miałem nadzieję na coś, co zadziała nieco szybciej.

- Śmierć tego, kto rzucił zaklęcie, rozwiązuje takie umowy, ale...

- Tak! Otóż to! - wykrzyknął Strange z ożywieniem. - Śmierć tego, kto rzucił zaklęcie! Często o tym myślałem w Wenecji. Mając do dyspozycji całą angielską magię, wielokrotnie mogłem go zabić. Strącić z wielkiej wysokości. Spopielić błyskawicą. Wznieść góry i przygnieść go nimi. Gdyby stawką była moja wolność, z pewnością bym zaryzykował. Chodziło jednak o wolność Arabelli, a gdybym spróbował i poniósł klęskę, gdybym zginął, jej los byłby przesądzony. Wobec tego zacząłem szukać innych rozwiązań. Uznałem, że na świecie, na wszystkich światach tylko jeden człowiek wie, jak pokonać mojego wroga. Tylko jeden człowiek mógłby mi doradzić, co zrobić. Uświadomiłem sobie, że nadszedł czas, bym z nim porozmawiał.

Pan Norrell wydawał się bardziej zaniepokojony niż zwykle.

- Och! Muszę jednak panu wyznać, że już nie uważam się za lepszego od pana. Może i dużo więcej czytałem, prawda, i służę pomocą, ale wcale nie mam pewności, że odniosę sukces.

- Co? - Strange zmarszczył brwi. - O czym pan mówi? Nie mam na myśli pana! Chodzi mi o Johna Uskglassa. Chcę, by mi pan pomógł sprowadzić Johna Uskglassa.

Pan Norrell oddychał ciężko. Powietrze zdawało się drżeć jak od niskich dźwięków. Pan Norrell był boleśnie świadom ciemności wokół siebie, nowych gwiazd i ciszy zatrzymanych zegarów. Ta wielka ponura chwila zdawała się trwać wiecznie, naciskać na niego, dławić go. Właśnie teraz łatwo było uwierzyć, że John Uskglass jest blisko, oddalony zaledwie o jedno zakłęcie; w głębokich cieniach kątów pokoju kryły się fałdy jego szaty, dym z dopalających się świec był krukiem wieńczącym jego hełm.

Strange'a jednak najwyraźniej nie imaly się takie ontologiczne lęki. Pochylił się nieco.

- Bardzo proszę - wyszeptał z półuśmiechem na ustach. - Praca dla lorda Liverpoola jest strasznie nudna. Na pewno pan tak uważa. Niech inni magowie rzucają sobie zakłęcia chroniące klify i plaże. Niedługo będzie tych magów całkiem sporo! Pan i ja możemy dokonać czegoś nadzwyczajnego!

Znowu zapadła cisza.

- Boi się pan - powiedział Strange i odsunął się z niesmakiem.

- Boję się?! - wybuchnął pan Norrell. - Naturalnie, że się boję! Brak strachu byłby szaleństwem, absolutnym szaleństwem! Ale nie to budzi mój sprzeciw. Nic z tego nie wyjdzie. Cokolwiek pan pragnie dzięki temu zyskać, zawiedzie się pan. Nawet jeśli zdołamy go sprowadzić, Uskglass nie pomoże nam tak, jak sobie pan wyobraża. Królowie nie zaspokajają próżnej ciekawości, zwłaszcza ten król tego nie robi.

- Nazywa to pan próżną ciekawością? - spytał Strange.

- Nie, nie! - pośpieszył Norrell z wyjaśnieniami. - Wcale nie. Chciałem jedynie pokazać panu, co on pomyśli. Cóż go obchodzą dwie zaginione kobiety? Traktuje pan Johna Uskglassa jak zwykłego człowieka. To znaczy człowieka pańskiego lub mojego pokroju. On wychował się i uczył w Faerie. Zasady obowiązujące w brugh są dla niego czymś naturalnym. W większości brugh mieszkali pojmani chrześcijanie, choćby on sam. Dla niego nie będzie to nic niezwykłego. Nie zrozumie.

- Zatem mu to wyjaśnię. Drogi panie, żeby ocalić żonę, zmieniłem Anglię. Zmieniłem świat. Nie zrezygnuję z wezwania jednego człowieka, choćby był nie wiem jak potężny. Drogi panie! Nie ma sensu się o to sprzeczać. Najpierw należy go sprowadzić. Od czego

zaczniemy?

Pan Norrell westchnął.

- To nie jest wzywianie byle kogo. Istnieją trudności ściśle powiązane z magią dotyczącą Johna Uskglassa.

- Czyli?

- Nie wiemy na przykład, jak go nazwać. Zaklęcia przywołania wymagają bardzo rozważnego użycia nazwiska. Jedne z tych, którymi nazywaliśmy Johna Uskglassa, nigdy nie było jego prawdziwym. Podobno został porwany do Faerie, zanim go ochrzczono, i tak stał się dzieckiem bez imienia w brugh. „Bezimienny niewolnik”, między innymi tak właśnie nazywał sam siebie. Rzecz jasna, elfy nadały mu imię, ale odrzucił je po powrocie do Anglii. I choć miał tyle imion - Król Kruków, Czarny Król, Król Północy - on sam tak siebie nie nazywał.

- Tak, tak! - przerwał Strange niecierpliwie. - Wiem o tym! Ale John Uskglass to chyba jego prawdziwe nazwisko?

- Ależ skąd! Tak nazywał się młody arystokrata, który, jeśli się nie mylę, umarł latem 1097 roku. Król, czyli nasz John Uskglass, twierdził, że człowiek ten był jego ojcem, ale wielu ludzi uważało, że nie łączyło ich żadne pokrewieństwo. Nie sądzę, by ten chaos nazwisk i tytułów był przypadkowy. Król wiedział, że zawsze będzie przyciągał uwagę innych magów, i zabezpieczył się przed ich natarczywością, celowo czyniąc ich zaklęcia przyzywające bezużytecznymi.

- No to co mam robić? - Strange strzelił palcami. - Niech mi pan coś doradzi!

Pan Norrell zamrugnął oczami. Nie był przyzwyczajony do tak szybkiego myślenia.

- Gdybyśmy użyli zwykłego angielskiego zaklęcia przywołania - a upierałbym się właśnie przy nim, nie da się go ulepszyć - powinniśmy sprawić, żeby jego część pomogła nam dokonać rozpoznania. Będziemy potrzebowali wysłannika, ścieżki i podarku. Jeśli wybierzemy narzędzia, które już znają króla, i to blisko, nie będzie miało znaczenia, czy nazwiemy go właściwie. I tak go znajdą i skłonią do przybycia, bez naszej pomocy. Rozumie pan? - Mimo przerażenia pan Norrell bardzo się ożywił perspektywą magii - nowej magii - odprawianej w towarzystwie pana Strange'a. - Ten dom powstał na ziemi króla, z kamieni z opactwa króla. Niespełna dwieście metrów od tego pomieszczenia biegnie rzeka. Często niosła na swych wodach króla w królewskiej barce. W ogródku warzywnym rosną grusza i jabłoń, pochodzące w prostej linii od roślin wyrosłych z pestek wyplutych przez króla pewnego letniego wieczoru w ogródku opata. Niechże kamienie z dawnego opactwa będą naszym wysłannikiem. Niech rzeka będzie naszą drogą. Niech przyszłoroczne jabłka i gruszki

z tych drzew będą naszym podarkiem. Wtedy możemy nazwać go królem. Te kamienie, ta rzeka, te drzewa nie znają innego monarchy!

- Dobrze - powiedział Strange. - A jakie zaklęcie pan poleca? Czy jest coś u Belasisa?

- Tak, trzy zaklęcia.

- Warto je wypróbować?

- Raczej nie. - Pan Norrell otworzył szufladę i wyciągnął z niej kartkę. - To najlepsze zaklęcie, jakie znam. Nie mam w zwyczaju stosować zaklęcia przywołania, ale gdybym miał, użyłbym właśnie tego. - Podał je Strange'owi.

Kartka pokryta była drobnym, schludnym pismem pana Norrella. Na górze napisano: „Zaklęcie przywołania pana Strange'a”.

- Właśnie za pomocą tego zaklęcia wezwał pan Marię Absalom - wyjaśnił pan Norrell.

- Wprowadziłem kilka poprawek. Ominiąłem florilegium, które skopiował pan słowo po słowie z Ormskirka. Jak pan wie, w ogóle nie cenię sobie florilegiów, a to jest szczególnie nonsensowne. Dodałem ekstrakt Zabezpieczenia i Wyzwolenia, a także Poblask Pokory. Wątpię jednak, czy w tym wypadku to cokolwiek pomoże.

- Teraz to nasze wspólne dzieło - zauważył Strange. W jego głosie nie było zazdrości ani niechęci.

- Ależ skąd - zaprzeczył pan Norrell. - Cała konstrukcja jest pańskiego autorstwa. Ja zaledwie ją doszlifowałem.

- Znakomicie! Wobec tego jesteśmy gotowi?- Zostało coś jeszcze.- Co?- Pewne środki ostrożności, niezbędne do zapewnienia bezpieczeństwa pani Strange - powiedział pan Norrell.

Spojrzenie, które rzucił mu Strange, miało chyba znaczyć, że Norrell trochę zbyt późno zaczyna się troszczyć o bezpieczeństwo Arabelli, ale pan Norrell pośpieszył do regału, zatopił się w lekturze grubej książki i niczego nie zauważył.

- Zaklęcie spisano w Liber Novus Chastona. O, jest! Musimy zbudować magiczną drogę i stworzyć drzwi, żeby pani Strange mogła bezpiecznie opuścić Faerie. Inaczej może utkwąć tam na zawsze. Odnalezienie jej zajęłoby nam całe wieki.

- Och to! - mruknął Strange. - Już to zrobiłem. Nawet znalazłem kogoś, kto ją powita. Wszystko przygotowane.

Wziął do ręki ogarek, umieścił go w świeczniku i zapalił. Potem zaczął recytować zaklęcie. Wyznaczył kamienie opactwa na wysłannika, który miał znaleźć króla. Wyznaczył rzekę na drogę, którą miał przybyć król. Wyznaczył przyszłoroczne jabłka i gruszki z drzew pana Norrella na podarek dla króla. Wyznaczył chwilę zgaśnięcia płomienia na czas, w którym nadejdzie król.

Świeca się dopaliła i zgasła...

...w tej samej chwili...

W tej samej chwili pokój wypełniły kruki. Czarne skrzydła łopotały w powietrzu niczym wielkie dłonie. Skrzydła i szpony atakowały zewsząd Strange'a. Krakanie było ogłuszające. Kruki tłukły o ściany, okna, o Strange'a. Zakrył głowę rękami i osunął się na podłogę. Szum i łopot skrzydeł trwały jeszcze przez chwilę.

Nagle, w mgnieniu oka, kruki zniknęły i w bibliotece znowu zapadła cisza.

Wszystkie świece się dopaliły. Strange przetoczył się na plecy, ale przez chwilę nie mógł ruszyć ręką ani nogą, jedynie wpatrywał się w ciemność.

- Proszę pana? - odezwał się w końcu. Nikt mu nie odpowiedział.

Wstał. W bibliotece panowały egipskie ciemności. Udało mu się wymacać jedno z biurko i natrafić na przewróconą świeczkę. Wyjął z kieszeni pudełko na hubkę, po czym rozniecił ogień.

Uniósł świecę nad głowę i ujrzał niezwykle bałagan. Żadna książka nie pozostała na swoim miejscu. Biurka i schodki były przewrócone. Kilka pięknych krzeseł zamieniło się w drewno na podpałkę. Wszystko przykrywała gruba warstwa kruczych piór, przypominająca czarny śnieg.

Norrell na wpół leżał, na wpół siedział na podłodze, oparty plecami o biurko. Miał otwarte, lecz nieprzytomne oczy. Strange przysunął świecę do jego twarzy.

- Proszę pana? - powtórzył.

- Wydaje mi się, że zwróciliśmy na siebie jego uwagę - szeptem odparł oszołomiony pan Norrell.

- Chyba ma pan rację. Wie pan, co się stało?

- Księgi zmieniły się w kruki. - Pan Norrell wciąż szeptał. - Patrzyłem na *Fontannę serca* Hugh Pontifexa i widziałem, jak się zmienia. Często się posługiwał stadem czarnych ptaków. Czytałem o tym jeszcze w dzieciństwie. I udało mi się to zobaczyć, drogi panie! Że też udało mi się to zobaczyć! Ma to swoją nazwę w języku Sidhe, języku jego dzieciństwa, ale nazwa ta zaginęła. - Nagle chwycił Strange'a za rękę. - Czy księgi są bezpieczne?

Strange podniósł z podłogi jeden z woluminów. Strzepnął z niego pióra i zerknął na tytuł *Siedmioro drzwi i czterdzieści dwa klucze* Piersa Russinola. Otworzył księgę i zaczął czytać na chybił trafił: „...i tam znajdziesz osobliwą krainę, podobną do szachownicy, na której nagie skały występują naprzemiennie z sadami owocowymi, ugory i kolczasta roślinność z polami brodatego zboża, podmokłe łąki z pustyniami. W tym kraju bóg magów, wielki Hermes, wystawił strażnika przy każdej bramie i przy każdym moście: w jednym

*miejscu tryka, w innym węza...*” Czy to brzmi tak, jak powinno? - spytał z powątpiewaniem.

Pan Norrell pokiwał głową. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią krew z twarzy.

Dwaj magowie usiedli na podłodze wśród ksiąg i piór i przez dłuższą chwilę nic nie mówili. Cały świat skurczył się do rozmiarów płomyka świeczki.

W końcu Strange powiedział:

- Jak blisko musi być, żeby odprawiać taką magię?

- John Uskglass? Podobno może ją odprawiać nawet sto światów stąd. Nawet w samym sercu Piekła.

- Chyba jednak warto to sprawdzić, prawda?

- Czyżby?

- Cóż, gdyby na przykład był w pobliżu, moglibyśmy... - Strange zastanawiał się przez moment. - Moglibyśmy iść do niego.

Pierwszym i w zasadzie jedynym warunkiem rzucania zaklęcia lokalizacji jest posiadanie srebrnego naczynia z wodą. W opactwie Hurtfew misa stała na biurku w kącie biblioteki, jednak kruki zniszczyły biurka i magowie nigdzie nie mogli znaleźć naczynia. W końcu natknęli się na misę w kominku, pod stertą kruczych piór i wilgotnymi, podartymi stronicami ksiąg.

- Potrzeba nam wody - oświadczył Norrell. - Zawsze wysyłałem po nią Lucasa nad rzekę. Woda, która szybko podróżuje, jest najlepsza do magii lokalizacyjnej, a rzeka w Hurtfew pędzi wartko nawet latem. Ja przyniosę wodę.

Pan Norrell jednak nie przywykł do dbania o siebie i minęło trochę czasu, nim opuścił dom. Stał na trawniku i zapatrzył się w gwiazdy, których nigdy wcześniej nie widział. Nie czuł się tak, jakby przebywał w słupie ciemności w samym środku hrabstwa York. Odnosił raczej wrażenie, że reszta świata się zapadła, a on i Strange zostali na samotnej wyspie albo cyplu. Ta myśl przygnębiała go dużo mniej, niż można by przypuszczać. Nigdy nie zależało mu na świecie i zniósł jego utratę z filozoficznym spokojem.

Na brzegu rzeki uklęknął wśród ściętej mrozem trawy, by napełnić misę. Nieznane gwiazdy zaświeciły do niego z wody. Znów wstał (kręciło mu się w głowie od nieoczekiwanego wysiłku) i natychmiast poczuł, że otacza go magia o wiele silniejsza niż do tej pory. Gdyby ktoś kazał mu opisać, co się dzieje, powiedziałby, że całe hrabstwo obraca się na drugą stronę. Przez chwilę nie potrafił powiedzieć, gdzie stoi dom. Odwrócił się, potknął i wpadł prosto na pana Strange'a, który z jakiegoś powodu wyrósł tuż przed nim.

- Myślałem, że zostanie pan w bibliotece! - powiedział pan Norrell ze zdumieniem.

Strange rzucił mu ponure spojrzenie.

- Zostałem w bibliotece! W jednej chwili czytałem Stróża apolińskiego Gouberta, a w następnej byłem już tutaj.

- Nie szedł pan za mną?

- Oczywiście, że nie! Co się dzieje? I dlaczego, na litość boską, tyle to trwa?

- Nie mogłem znaleźć płaszcza - odparł pan Norrell z pokorą. - Nie wiedziałem, gdzie Lucas go położył.

Strange uniósł brew, westchnął i rzekł:

- Zakładam, że doświadczył pan tego samego co ja. Zanim mnie tu przyniosło, poczułem się tak, jakby wiatry, wody i płomień przemieszały się z sobą.

- Tak - odparł Norrell.

- I czuł pan słaby zapach jakby dzikich ziół i górskich stoków?- Tak - przytaknął Norrell.- Czy to magia elfów?- Och, bez wątpienia! To część tego samego zaklęcia, które trzyma pana w tej wiecznej ciemności. - Rozejrzył się wokół. - Jak jest duża?

- Co?- Ciemność.- Trudno mi powiedzieć, gdyż porusza się wraz ze mną. Inni jednak twierdzą, że zajmuje obszar parafii w Wenecji, w której mieszkałem. Może ćwierć hektara?

- Ćwierć hektara! Proszę tu pozostać.

Pan Norrell postawił misę na zamrożonej ziemi i poszedł w kierunku mostu. Wkrótce widać było jedynie jego szarą perukę. W świetle gwiazd przypominał małego zółwia, gramolącego się przed siebie.

Świat znowu zawirował i nagle obaj magowie stali razem na moście na rzece Hurtfew.

- Co, u licha...? - zaczął Strange.

- Widzi pan? - powiedział Norrell ponuro. - Zaklęcie nie pozwala nam oddalić się zbyt od siebie. Mnie też pochwyciło. Śmiem twierdzić, że w magii tego elfa zabrakło niezbędnej precyzji. Był niechlujny. Zapewne nazwał pana angielskim magiem albo równie ogólnikowo. Tym samym jego zaklęcie, wymierzone w pana, pochwyci każdego angielskiego maga, który się tu zbliży.

- Och! - wykrzyknął Strange i zamilkł. Nie bardzo wiedział, co jeszcze dodać.

Pan Norrell odwrócił się ku domowi.

- A tak na marginesie, drogi panie, to doskonały przykład tego, jak niezbędna jest precyzja w doborze nazw przy rzucaniu zaklęć.

Strange uniósł wzrok ku niebu.

W bibliotece postawili przed sobą srebrną misę.

Było to bardzo dziwne, ale odkrycie, że uwiązł wraz ze Strange'em w wiecznej ciemności, nawet ucieszyło pana Norrella. Beztrąsko przypomniał Strange'owi, że jeśli nie

znajdą sposobu na znalezienie imienia Johna Uskglassa, z pewnością będą mieli wielkie kłopoty z odszukaniem go czy to za pomocą magii, czy innymi sposobami.

Strange, z głową opartą na dłoniach, wpatrywał się w niego ponuro.

- Niech pan nazwie go Johnem Uskglassem - powiedział.

I tak pan Norrell zaczął czarować, wymieniając Johna Uskglassa jako osobę, której poszukują. Liniami migotliwego światła podzielił powierzchnię wody na ćwiartki. Każdej ćwiartce nadał nazwę: Niebo, Piekło, Ziemia i Faerie. Tam, gdzie była Ziemia, natychmiast zaślniła błękitnawa iskierka.

- No i proszę! - Strange zerwał się na równe nogi. - Nie zawsze wszystko jest tak trudne, jak pan podejrzewa.

Norrell postukał w taflę, podziały zniknęły. Zazaczył ćwiartki na nowo, nazwał je Anglią, Szkocją, Irlandią i innym miejscem. Światelko ukazało się w Anglii. Postukał w ćwiartkę, znów przemianował podziały i przyjrzał się rezultatom. I tak kontynuował tę magię, uzyskując coraz precyzyjniejsze wyniki. Światelko nadal płonęło. Nagle cicho krzyknął.

- Co się stało? - spytał Strange.

- Chyba się nam jednak udało - oświadczył Norrell zdumionym tonem. - Podobno jest tutaj. W hrabstwie York!

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

**Głóg luty 1817**

Childermass przemierzał ponure wrzosowisko. W pewnej chwili zauważył skrzyżowany głóg. Z gałęzi zwisał człowiek. Zdarto z niego frak i koszulę, odsłaniając po śmierci to, co bez wątpienia krył przez całe życie: dziwaczne znamiona na skórze. Piersi, plecy, ramiona i stopy trupa pokryte były kunsztownymi niebieskimi znakami tak gęsto, że człowiek ten wydawał się bardziej niebieski niż biały.

Podjeżdżając do drzewa, Childermass zastanawiał się, czy morderca zabazgrał ciało w ramach żartu. Gdy był marynarzem, słyszał opowieści o krajach, w których zeznania skazanych na śmierć kryminalistów spisywano na ich ciałach na rozmaite przerażające sposoby. Z daleka ślady wyglądały jak pismo, kiedy jednak podjechał bliżej, przekonał się, że



znajdują się pod skórą.

Zsiadł i okręcił ciało, by spojrzeć na twarz nieboszczyka. Była fioletowa i spuchnięta, przekrwione oczy wychodziły z orbit. Childermass przyglądał się trupowi, aż w wykrzywionych rysach rozpoznał znane sobie oblicze.

- Vinculus - powiedział.

Wyjął nożyk i odciął zwłoki. Potem ściągnął spodnie Vinculusa i przyjrzał się ciału: kojarzyło się z trupem dzikiego zwierzęcia na pustym, nagim wrzosowisku. Dziwne znaki pokrywały każdy centymetr skóry, z wyjątkiem twarzy, rąk, części intymnych i podeszew stóp. Trup wyglądał jak niebieski człowiek w białych rękawiczkach i masce. Im dłużej Childermass na niego patrzył, tym bardziej nabierał przekonania, że ta bazgranina coś oznacza.

- To królewski alfabet - powiedział w końcu. - To księga Roberta Findhelma.

Właśnie wtedy zaczął sypać śnieg. Z nieba spadały ostre, lodowate płatki, wiatr się wzmógł.

Childermass pomyślał o oddalonych o trzydzieści kilometrów Strangeu i Norrellu i wybuchnął głośnym śmiechem. Jakie miało znaczenie, kto czyta księgi w Hurlfiew?

Najcenniejsza księga ze wszystkich, naga i martwa, leżała na śniegu.

- A więc spadło to na mnie, tak? „Największa chwała i największe brzemię, jakie spoczęło na ludzkich barkach w obecnych czasach”.

Chwilowo brzemię wydawało się większe niż chwała. Księga miała wyjątkowo niewygodną formę. Childermass nie wiedział, od jak dawna Vinculus nie żyje i kiedy zacznie gnić. Co miał robić? Mógł zaryzykować i przerzucić ciało przez grzbiet Piwowara, trudno by mu było jednak wytłumaczyć napotkanym po drodze podróżnym, skąd wziął wisielca. Mógł też ukryć ciało i sprowadzić tu wóz z koniem. Tylko jak długo by to potrwało? A gdyby ktoś pod jego nieobecność znalazł zwłoki i je zabrał? W Yorku nie brakowało lekarzy, którzy płacili za trupy i nie zadawali żadnych pytań.

„Mógłbym rzucić zaklęcie ukrycia” - pomyślał.

Zaklęcie ukrycia z pewnością zamaskowałoby trupa przed ludźmi, ale musiał wziąć pod uwagę psy, lisy i wrony. Ich nie zwiodłaby znana Childermassowi magia. Księga już raz została pożarta. Nie miał zamiaru ryzykować i dopuścić do tego, by historia się powtórzyła. Należałoby sporządzić kopię, ale jego dziennik, pióro i atrament zostały w salonie w pograżonym w ciemności opactwie Hurlfiew. Co teraz? Mógł odrysować wzory patykami w zamrzniętej ziemi, ale to byłoby mu więcej niż warto, ile tekst na ciele trupa. Gdyby tylko rosły tu drzewa, obdarłby je z kory, spalił trochę drewna i popiołami spisał tekst na korze. Nie

było tu jednak nic poza powyginanym głogiem.

Popatrzył na nożyk. Przyszło mu do głowy, że powinien skopiować księgę na własnym ciele. Wiele przemawiało za tym planem. Po pierwsze, może rozmieszczenie tekstu na ciele Vinculusa miało jakieś znaczenie? Im bliżej głowy, tym ważniejszy tekst? Całkiem prawdopodobne. Po drugie, dzięki temu księga byłaby bezpieczna i ukryta przed wzrokiem ciekawskich. Nie musiałby się martwić, że ktoś ją skradnie. Jeszcze nie wiedział, czy pokaże księgę Strange'owi albo Norrellowi.

Ale pismo na ciele Vinculusa było gęste i misterne. Nawet gdyby zdołał nożem odwzorować te delikatne kropki, kółka i zawijasy (w co wątpił), musiałby ciąć głęboko, by rany się nie zagoiły.

Zdjął płaszcz i frak. Rozpiął guziki i podwinął rękawy koszuli. W ramach eksperymentu wyciął jeden z symboli widniejących po wewnętrznej stronie ręki Vinculusa w tym samym miejscu na własnej ręce. Rezultat nie był zadowalający. Krew zalewała wzór, a Childermass nieomal zemdlął z bólu.

- Mogę stracić trochę krwi, ale tu jest tyle pisania, że to by mnie z pewnością zabiło. Poza tym jak skopiować to, co ma na plecach? Przerzucę go przez konia, a gdyby ktoś mnie zaczepił... No cóż, zastrzelę go, jeśli będę musiał. To jakiś plan. Niezbyt dobry, ale lepsze to niż nic.

Piwowar oddalił się nieco i skubał suchą trawę, z której wiatr strząsnął śnieg.

Childermass podszedł do niego. Z walizki wyjął długi mocny sznur i pudełko z pistoletami.

Do obu wepchnął po kuli i podsypał prochu.

Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy z ciałem nic się nie dzieje; ujrzał, że pochyła się nad nim jakiś człowiek. Childermass wsunął pistolety do kieszeni płaszcza i krzyżąc, puścił się pędem w tamtym kierunku.

Nieznajomy miał na sobie czarne buty i czarną pelerynę. Przyklęknął nad Vinculusem. Przez chwilę Childermass myślał, że to Strange, ale ten człowiek był nieco niższy i szczuplejszy od maga. Jego ciemny strój z pewnością nie mało kosztował, jednakże proste czarne włosy były zbyt długie jak na modnisią. Przez nie obcy przypominał nieco duchownego z kościoła metodystów albo romantycznego poetę. „Znam go - pomyślał Childermass. - To mag. Dobrze go znam. Czemu zatem nie wiem, jak się nazywa?”

- Ciało należy do mnie, proszę pana! - powiedział głośno. - Proszę je zostawić.

Mężczyzna podniósł wzrok.

- Do ciebie, Johnie Childermassie? - zapytał z lekką ironią. - A ja myślałem, że do

mnie.

O dziwo, mimo stroju i otaczającej go aury wyższości mówił jak człowiek z nizin - nawet zdaniem Childermassa. Bez wątpienia miał północny akcent, lecz Childermass go nie rozpoznawał. Być może był to akcent northumbryjski, lecz skażony mową z zimnych krain nad Morzem Północnym i, co było jeszcze bardziej zdumiewające, lekkim akcentem francuskim.

- Cóż, myli się pan. - Childermass uniósł pistolety. - Zastrzelę pana, jeśli będę musiał. Wolałbym tego uniknąć. Proszę zostawić ciało i iść swoją drogą.

Mężczyzna nie odpowiedział. Przyglądał się przez chwilę Childermassowi, a potem jakby się nim znudził, znów skupił uwagę na trupie.

Childermass rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu konia lub powozu, którym niewątpliwie musiał tu przybyć nieznajomy. Nic nie zobaczył. Na całym wrzosowisku znajdowali się tylko dwaj mężczyźni, koń, trup i głóg.

„Przecież gdzieś musi być powóz - pomyślał Childermass. - Na pelerynie ani na butach nie ma nawet plamki błota. Wygląda tak, jakby właśnie rozstał się z pokojowcem. Gdzie jego sługi?”

Była to niepokojąca myśl. Childermass nie wątpił, że bez trudu pokonałby tego bladego, szczupłego człowieka o aparycji poety, ale stangret i dwóch lub trzech krzepkich lokajów to całkiem inna sprawa.

- Czy ta ziemia należy do pana? - zapytał. - Tak. - A gdzie pański koń? Pański powóz? Gdzie pańskie sługi? - Nie mam konia, Johnie Childermassie. Nie mam powozu. I jest tu tylko jeden mój sługa.

- Gdzie?

Nawet nie zadając sobie trudu, by unieść wzrok, mężczyzna wyciągnął cienki blady palec.

Childermass ze zdumieniem obejrzał się za siebie. Nikogo tam nie było, tylko wiatr hulał wśród wyschniętej trawy. Co nieznajomy miał na myśli? Wiatr czy śnieg? Słyszał o średniowiecznych magach, którzy uważali te i inne siły natury za swe sługi. Nagle pojął. - Co? O nie, jest pan w błędzie! Nie jestem pańskim sługą!

- Przechwalałeś się tym niespełna trzy dni temu - zauważył nieznajomy.

Tylko jedna osoba rościła sobie prawa do bycia zwierzchnikiem Childermassa. Zastanawiał się, czy ma do czynienia z magicznie odmienionym Norrellem? Wcieleniem Norrella? W przeszłości magowie czasem przybierali inne postaci, w zależności od cech charakteru. Childermass usiłował się domyślić, jakaż to cecha charakteru Gilberta Norrella

mogłaby nagle przybrać postać bladego, przystojnego mężczyzny o dziwnym akcencie i otoczonego aurą dostojności. Doszedł do wniosku, że ostatnio działy się dziwne rzeczy, ale to byłaby już przesada.

- Ostrzegałem pana! - krzyknął - Niech pan zostawi ciało!

Mężczyzna pochylił się nad trupem. Wyjął ze swoich ust maleńką kulkę światła, które było lekko zabarwione na różowy i srebrzysty kolor. Włożył kulkę do ust Vinculusa. Trup zadrżał, nie jak człowiek chory i nie jak zdrowy, lecz niczym naga brzoźka, gdy wiosna owionie ją swym oddechem.

- Proszę się odsunąć od zwłok! - krzyknął znowu Childermass. - Mówię to po raz ostatni!

Mężczyzna nawet nie uniósł wzroku. Przejechał czubkiem palca po ciele, jakby po nim pisał.

Childermass wycelował pistolet, który trzymał w prawej ręce, w przestrzeń obok lewego ramienia nieznajomego. Pragnąc go przestraszyć, pociągnął za spust. Broń wypaliła, z panewki uniósł się kłęb dymu i zapach prochu, z lufy poleciały iskry, lecz ołów odmówił posłuszeństwa. Zawisł w powietrzu, wyginał się, puchł i zmieniał kształt. Nagle rozłożył skrzydła, zmienił się w czajkę i odleciał. W tej samej chwili umysł Childermassa uspokoił się i zamarł jak kamień.

Nieznajomy uniósł palec nad Vinculusem, a wszystkie wzory oraz symbole poruszyły się i zawirowały, jakby napisano je na wodzie. Obcy robił to jeszcze chwilę, a gdy poczuł się usatysfakcjonowany, znieruchomiał i wstał.

- Mylisz się - powiedział do Childermassa. - On żyje.

Podszedł do Childermassa i stanął tuż przed nim. Z namaszczeniem, jak rodzic, który czyści twarz dziecka, mężczyzna polizał palec i namazał jakiś znak na powiekach, ustach i sercu Childermassa. Potem trącił jego lewą rękę, pistolet wypadł na ziemię. Narysował jeszcze jeden symbol na dłoni dysponenta, odwrócił się i już miał odejść, ale jakby tknięty nagłą refleksją uczynił ostatni gest nad raną na twarzy Childermassa.

Wiatr rozdmuchiwał padający śnieg. Piwowar parsknął niespokojnie. Przez chwilę śnieg i cień zdawały się tworzyć obraz szczupłego, ciemnowłosego mężczyzny w pelerynie i wysokich butach. Po chwili iluzja zniknęła.

Childermass kilka razy mrugnął.

- Dokąd wędruję? - mruknął z irytacją. - I dlaczego gadam do siebie? Nie pora na mrzonki!

Czuł zapach prochu. Jeden z jego pistoletów leżał na śniegu. Kiedy Childermass go

podniósł, przekonał się, że broń wciąż jest ciepła, jakby z niej niedawno strzelano. Było to dziwne, ale nie miał czasu porządnie się zdumieć, gdyż usłyszał jakiś hałas.

Vinculus właśnie wstawał z ziemi. Czynił to niezręcznie jak niemowlak, który jeszcze nie odkrył, do czego służą kończyny. Przez chwilę stał, a jego ciało kołysało się z boku na bok. Potem otworzył usta i wrzasnął do Childermassa, jednak dźwięk, który wydobył się z jego ust, w ogóle nie był dźwiękiem, lecz zdartą skórą dźwięku, łupiną bez ciała i kości. Childermass nigdy nie widział nic równie dziwnego: oto na zasypanym śniegiem wrzosowisku stał nagi niebieski mężczyzna o wybałuszonych, nabiegłych krwią oczach i do niego wrzeszczał. Sytuacja była tak niezwykła, że przez chwilę Childermass nie miał pojęcia, co robić. Zastanawiał się, czy powinien rzucić zaklęcie zwane Odnową Zagubionej Ciszy Gilles'a de Marstona, ale po chwili wpadł na lepszy pomysł. Wyjął bordo od Lucasa i pokazał je Vinculusowi. Ten uspokoił się i wbił spojrzenie w butelkę.

Kwadrans później siedzieli razem na kępie trawy pod głogiem, jedząc śniadanie złożone z bordo i kilku jabłek. Vinculus włożył koszulę i spodnie, otulił się derką Piwowara. Zaskakująco szybko doszedł do siebie po wieszaniu. Oczy miał nadal nabiegłe krwią, ale mniej niepokojące niż wcześniej. Mówił chrapliwym głosem i co chwila dostawał ataków kaszlu, ale można go było zrozumieć.

- Ktoś próbował cię powiesić - poinformował go Childermass. - Nie wiem kto, ani dlaczego. Na szczęście zdążyłem cię odciąć. - Wciąż dręczyły go wątpliwości. Oczyma wyobraźni widział martwego Vinculusa na ziemi i szczupłą białą dłoń. Do kogo należała? Zupełnie nie mógł sobie przypomnieć. - Powiedz mi, jak człowiek zostaje księgą. Wiem, że twój ojciec dostał ją od Roberta Findhelma, który miał ją zawieźć komuś mieszkającemu na wzgórzach hrabstwa Derby.

- Ostatniemu człowiekowi w Anglii, który potrafił odczytać królewski alfabet - wyskrzecztał Vinculus.

- Ale twój ojciec nie dostarczył tej księgi. Zjadł ją podczas pijackich zawodów.

Vinculus znów pociągnął z butelki i wierzchem dłoni otarł usta.

- Cztery lata później przyszedłem na świat, a królewski alfabet spisano na moim niemowlęcym ciele. Kiedy miałem siedemnaście lat, udałem się na poszukiwanie tego człowieka ze wzgórz Derby. Na szczęście żył jeszcze i zdołałem go odnaleźć. Oj, działa się, działa! Podczas tej gwiazdzistej letniej nocy spotkali się królewska księga i ostatni czytelnik królewskiego alfabetu. Pili razem wino. Usiedliśmy na szczycie wzgórza w Bretton, które górowało nad Anglią, a on odczytał mi przeznaczenie Anglii.

- To była przepowiednia, którą wyrecytowałaś Strange'owi i Norrellowi?

Vinculus, który znowu dostał ataku kaszlu, skinął głową. Kiedy ponownie mógł mówić, powiedział:

- I bezimiennemu niewolnikowi.- Komu? - Childermass zmarszczył brwi. - Kto to taki?- Pewien człowiek - odparł Vinculus. - Czuwanie nad jego losem było częścią mojego zadania. Przyszedł na świat jako niewolnik. Wkrótce zostanie królem. Przy narodzinach odebrano mu jego prawdziwe imię.

Childermass przez chwilę zastanawiał się nad tymi słowami.

- Chodzi ci o Johna Uskglassa? - zapytał. Vinculus jęknął zniecierpliwiony.

- Gdybym miał na myśli Johna Uskglassa, to bym to powiedział. Nie, nie. On nie jest magiem. To taki sam człowiek jak inni. - Zastanawiał się przez chwilę. - Tyle że czarny - dodał.

- Nigdy o nim nie słyszałem - powiedział Childermass.

Vinculus patrzył na niego z rozbawieniem.

- Pewnie, że nie. Całe życie byłeś na usługach maga z Mayfair. Wiesz tylko tyle, co on.

- No i co z tego? - spytał Childermass, dotknięty do żywego. - Wiem niemało. Norrell to bystry człowiek, podobnie jak Strange. Mają swoje wady, ale i tak ich osiągnięcia są znaczące. Nie zrozum mnie źle, służę Johnowi Uskglassowi. Albo służyłbym, gdyby on tu był. Musisz jednak przyznać, że odnowa angielskiej magii to ich dzieło, nie jego.

- Ich dzieło? - powtórzył Vinculus. - Ich? Nadal nie rozumiesz. Oni są częścią zaklęcia Johna Uskglassa. Zawsze byli fragmentem jego magii i nic się nie zmieniło.

## Rozdział dwudziesty czwarty

**„Tak” luty 1817**

Światełko w srebrnej misie zadrżało i znikło.

- Co to?! - krzyknął Strange. - Co się stało?! Szybko, proszę pana!

Norrell postukał w taflę wody, ponownie nakreślił świetliste linie i wyszeptał kilka słów, ale woda w naczyniu wciąż była ciemna i nieruchoma.

- Odszedł - powiedział. Strange zamknął oczy.

- Bardzo dziwne - dodał Norrell zdumionym głosem. - Co pana zdaniem robił w hrabstwie York?

- Och! - wykrzyknął Strange. - Mam wrażenie, że przybył, by wpędzić mnie w szaleństwo! - Z okrzykiem wściekłości i żalu dodał: - Dlaczego nie przyszedł do mnie? Dlaczego po wszystkim, co zrobiłem, nawet nie chciał na mnie popatrzeć? Porozmawiać ze mną?

- Bo jest starym magiem i starym królem - odparł Norrell zwięźle. - Takich trudno zaskoczyć.

- Wszyscy magowie pragną zaskakiwać swych mistrzów. Ja z pewnością zaskoczyłem pana. Chciałem też zrobić wrażenie na nim.

- Ale przecież pańskim celem jest uwolnienie pani Strange - przypomniał Norrell.

- Tak, tak. Słusznie - odparł Strange z irytacją. - Oczywiście. Tylko... - Nie skończył myśli.

Zapadła cisza. W końcu zamyślony Norrell powiedział:

- Wspomniał pan, że magowie zawsze pragną wyrzeć wrażenie na swych mistrzach. Przypomniała mi się pewna historia z 1156 roku...

Strange westchnął ciężko.

-...tamtego roku John Uskglass zapadł na dziwną chorobę. Zdarzało się to od czasu do czasu. Gdy ozdrowiał, wyprawiono uroczystości w jego domu w Newcastle. Królowie i królowe przywieźli wspaniałe prezenty o wielkiej wartości - złoto, rubiny, kość słoniową, rzadkie przyprawy. Magowie przywieźli magiczne przedmioty - chmury objawienia, śpiewające drzewa, klucze do mistycznych drzwi i tak dalej. Każdy usiłował prześcignąć innych. Król dziękował wszystkim w taki sam, pełen powagi sposób. Ostatni był mag Thomas Godbiess. Miał puste ręce, nie przyniósł daru. Uniósł głowę i powiedział: „Panie, przynoszę ci drzewa i wzgórze. Przynoszę ci wiatr i deszcz”. Królowie i królowe, wielcy możnowładcy i damy oraz magowie byli zdumieni jego bezczelnością. Wydawało im się, że nie dał królowi nic. Ale po raz pierwszy od czasu choroby król się uśmiechnął.

Strange zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Niestety, solidaryzuję się z królami i królowymi - powiedział. - Nic z tego nie rozumiem. Skąd pan wytrzasnął tę historię?

- Jest we *Wskazówkach* Belasisa. W młodości studiowałem *Wskazówki* z niesłychaną gorliwością, a ten fragment wzbudził moje szczególne zainteresowanie. Doszedłem do wniosku, że Godbless przekonał drzewa, wzgórze i inne twory, by powitały Johna Uskglassa w jakiś mistyczny sposób, by mu się pokłoniły. Byłem zadowolony, że zrozumiałem coś,

czego nie pojął Belasis, ale przestałem o tym myśleć. Taka magia nie była mi potrzebna. Później odkryłem zaklęcie w *Języku ptaków* Lanchestera. Lanchester miał je z innej, starszej książki, obecnie zaginionej. Przyznał, że nie wie, do czego służyło, ale uważał, że to właśnie nim lub bardzo podobnym zaklęciem posłużył się Godbless. Jeśli rzeczywiście chce pan rozmawiać z Johnem Uskglasssem, może rzucimy je teraz? Może poprosimy, by Anglia go powitała?

- A cóż to da? - spytał Strange.

- Co da? Nic! Przynajmniej nie bezpośrednio. Ale przypomni Johnowi Uskglassowi o więzach łączących go z Anglią. Do tego będzie świadczyło o naszym szacunku, którego król z pewnością oczekuje od swych poddanych.

Strange wzruszył ramionami.

- Nie mam lepszej propozycji - powiedział. - Gdzie pański egzemplarz *Języka ptaków*?

Rozejrzał się po pokoju. Każda książka leżała w tym miejscu, w którym upadła w chwili, gdy przestała być krukiem.

- Ile tu jest ksiąg? - spytał.

- Cztery lub pięć tysięcy - powiedział Norrell. Każdy z magów wziął po świecy i rozpoczęli poszukiwania.

Dżentelmen o włosach jak puch ostu wędrował pośpiesznie otoczoną wałem kamieni drogą, która prowadziła do wioski Starecross. Stephen włókł się za nim, od jednej śmierci do następnej.

Teraz Anglia wydawała mu się krainą koszmarów i bólu. Nawet kształt drzew przypominał zamarłe krzyki. Kępa suchych liści zwieszała się z gałęzi, szeleszcząc na wietrze - to był Vinculus na głogu. Trup królika rozszarpanego przez lisa leżał na ścieżce - to była lady Pole, która wkrótce miała zginąć z ręki dżentelmena.

Jedna śmierć po drugiej, jeden koszmar po drugim... A Stephen w żaden sposób nie mógł temu zapobiec.

W Starecross Hall lady Pole siedziała przy biurku w swoim saloniku i zamasyście kreśliła litery. Błat był usiany kartkami papieru pokrytymi jej pismem. Rozległo się pukanie, po czym do pokoju wszedł pan Segundus.

- Bardzo przepraszam, mogę o coś spytać? Czy pisze pani do sir Waltera?



Lady Pole pokręciła głową.

- To listy do lorda Liverpoola i do redaktora naczelnego „Timesa”!

- Czyżby? No cóż, ja sam właśnie skończyłem list do sir Waltera. Jestem pewien, że nic nie sprawi mu większej radości niż wers skreślony pani ręką, w którym zapewni pani małżonka, że miewa się dobrze, a czar prysł!

- Pański list z pewnością mu wystarczy. Szanowny panie, póki droga pani Strange i biedny Stephen pozostają na łasce tej niegodziwej istoty, póty nie mogę myśleć o niczym innym. Proszę natychmiast wysłać ten list. Kiedy z tym skończę, napiszę do arcybiskupa Canterbury i księcia regenta!

- Nie sądzi pani, że to raczej sir Walter powinien kontaktować się z tak wysoko postawionymi dżentelmenami? Z pewnością...

- Ależ skąd! - krzyknęła z oburzeniem. - Nie mam zamiaru prosić innych, by robili za mnie coś, z czym sama bez trudu sobie poradzę. Nie zamierzam w ciągu jednej godziny od uwolnienia się od zaklęcia ponownie popadać w zależność! Poza tym sir Walter nie zdoła nawet w połowie tak dobrze opisać niegodziwego występku pana Norrella.

W tym momencie do pokoju wszedł kamerdyner pana Segundusa, Charles, i oznajmił, że w wiosce dzieje się coś dziwnego. Wysoki czarny mężczyzna, ten sam, który przywiózł lady Pole do Starecross, szedł tu w srebrnym diademie na głowie, a towarzyszył mu ubrany w jaskrawozielony frak dżentelmen o włosach jak puch ostu.

- Stephen! Stephen i zaklinacz! - krzyknęła lady Pole. - Szybko, drogi panie! Proszę zebrać wszystkie swoje siły. Teraz pokonanie go zależy jedynie od pana! Musi pan uwolnić Stephena, tak jak uwolnił pan mnie!

- Pokonać elfa?! - krzyknął pan Segundus z przerażeniem. - O nie! Nie potrafię. Trzeba znacznie większego maga...

- Nonsens! - przerwała, patrząc na niego lśnącymi oczami. - Proszę pamiętać, co mówił Childermass. Lata nauki pana przygotowały! Musi pan spróbować!

- Ale nie wiem... - zaczął bezradnie.

To jednak nie miało znaczenia. W chwili gdy lady Pole skończyła mówić, wybiegła z pokoju, a ponieważ czuł się w obowiązku ją chronić, musiał pobiec za nią.

W Hurlfiew dwaj magowie znaleźli Język ptaków. Leżał na stole, otwarty na stronie z zaklęciem elfów. Jednakże problem znalezienia imienia Johna Uskglassa pozostał. Norrell przykucnął nad srebrną misą i znów rzucił zaklęcie lokalizacji. Już wykorzystali wszystkie tytuły i nazwiska, jakie im wpadły do głowy, lecz zaklęcie nie rozpoznało ani jednego. Woda w naczyniu wciąż była ciemna i zwyczajna.

- A jego elfie imię? - spytał Strange.

- Zaginęło - odparł Norrell.- Próbowaliśmy już Króla Północy?- Tak.- Och - Strange zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł: - Jak brzmiał ten dziwny zwrot, o którym wspomniał pan wcześniej? To, jak sam się nazywał? Bezimiennie co?

- Bezimienny niewolnik?

- Tak. Niech pan to wypróbuj.

Norrell nie wydawał się przekonany, poprosił jednak o znalezienie bezimiennego niewolnika. Natychmiast pojawiła się iskierka niebieskiego światła. Norrell stopniowo zawęził obszar poszukiwań i okazało się, że bezimienny niewolnik jest w hrabstwie York, mniej więcej w tym samym miejscu, w którym poprzednio ukazał się John Uskglass.

- No proszę! - wykrzyknął Strange triumfalnie. - Niepotrzebnie się niepokoiliśmy. Nadal tu jest.

- Nie ma pewności, że to ta sama osoba - zauważył Norrell. - Światelko wygląda inaczej.

- Niech pan nie kaprysi, błagam. A niby kto to miałby być? Ilu bezimiennych niewolników krąży po tym hrabstwie?

Było to tak rozsądne pytanie, że Norrell już nie szukał dziury w całym.

- A teraz zajmijmy się samą magią - powiedział Strange.

Podniósł książkę i zaczął recytować zaklęcie. Zwrócił się do drzew Anglii, do wzgórz Anglii, do promieni słońca, wody, ptaków, ziemi i kamieni. Zwracał się do nich po kolei i nalegał, by poddały się woli bezimiennego niewolnika.

Stephen i dżentelmen doszli do mostu towarowego, który prowadził do Starecross.

Wioska pogrążona była w ciszy, nie widzieli niemal nikogo. W drzwiach dziewczyna we wzorzystej sukience i wełnianym szalu przelewała mleko z drewnianych wiader do kadzi serowych. Mężczyzna w getrach i kapeluszu o szerokim rondzie pojawił się na ścieżce koło domu, u jego boku biegł pies. Kiedy mężczyzna i zwierzę dotarli za róg, dziewczyna przywitała ich uśmiechem, a pies radośnie zaszczekał. Taka sielska scenka w zwykłych okolicznościach zachwyciłaby Stephena, ale w tej chwili poczuł przeraźliwy chłód. Gdyby mężczyzna wyciągnął rękę i uderzył dziewczynę albo ją udusił, Stephen wcale by się nie zdziwił.

Dżentelmen był już na moście. Stephen podążał za nim i...

...i wszystko się zmieniło. Słońce wyszło zza chmury; świeciło przez nagie drzewa; wszędzie pojawiły się setki słonecznych plamek. Świat przeobraził się w układankę lub labirynt, w

zabawę, w której nie wolno nadeptywać spojeń kamieni brukowych, przypominał osobliwe zakłęcie zwane kwadratami z Doncasteru, które wymawia się na planszy przypominającej szachownicę. Nagle wszystko nabrało znaczenia. Stephen bał się zrobić kolejny krok. Gdyby to uczynił, gdyby na przykład stanął na tym cieniu lub tamtej plamie światła, świat mógłby się odmienić na zawsze.

„Czekajcie - pomyślał z przerażeniem. - Nie jestem na to gotowy. Nie zastanowiłem się. Nie wiem, co robić”.

Było jednak za późno. Uniósł wzrok.

Nagie gałęzie na tle nieba były pismem i choć wcale nie chciał, mógł je odczytać. Widział, że drzewa zadają mu pytanie.

- Tak - odparł.

Ich pradawna wiedza należała teraz do niego.

Za drzewami rozciągało się wysokie, pokryte śniegiem górskie pasmo niczym linia wyrysowana na niebie. Rzuciło błękitny cień na zalegający poniżej śnieg. Uosabiało wszelkiego typu chłód i udrękę. Pozdrowiło Stephena jak wytęsknionego króla. Na rozkaz władcy było gotowe runąć i zmiażdżyć jego wrogów. Zadało Stephenowi pytanie.

- Tak - odparł.

Mógł sobie wziąć jego pogardę i siłę.

Czarny potok pod mostem wyśpiewał pytanie.

- Tak - odparł Stephen.

Ziemia powiedziała...

- Tak - rzekł.

Gawrony, sroki, drożdżiki i zięby spytały...

- Tak - powiedział.

Kamienie spytały...

- Tak - odparł Stephen. - Tak, tak, tak.

Teraz miał całą Anglię w swej czarnej garści. Od niego zależało życie wszystkich Anglików. Teraz mógł pomścić każdą zniewagę. Nawet krzywda doznana przez jego biedną matkę mogła zostać pomszczona po tysiąckroć. Za chwilę cała Anglia mogła się zmienić w ugór. Mógł sprawić, że domy runą na głowy mieszkańców. Mógł kazać wzgórzom upaść, a dolinom się pozamykać. Mógł wezwać centaury, zdmuchnąć gwiazdy, skraść księżyc z nieba.

Teraz. Teraz. Teraz.

W bladym zimowym świetle z budynku wybiegli lady Pole i pan Segundus. Lady Pole patrzyła na dżentelmena oczyma płonącymi z nienawiści. Biedny pan Segundus zupełnie nie

wiedział, jak postąpić.

Dżentelmen odwrócił się do Stephena i coś powiedział. Stephen go nie słyszał, wzgórze i drzewa przemawiały zbyt głośno.

- Tak - odpowiedział jednak.

Dżentelmen roześmiał się radośnie i unióśł ręce, by rzucić zaklęcie na lady Pole.

Stephen zamknął oczy. Powiedział słowo do kamieni tworzących most.

Tak, odparły kamienie. Most zadrżał jak oszalały koń i wrzucił dżentelmena do strumienia.

Stephen powiedział słowo do strumienia.

Tak, odparł strumień. Pochwycił dżentelmena w swój żelazny uścisk i szybko porwał go z sobą.

Stephen był świadom, że lady Pole coś do niego mówi, że usiłuje złapać go za ramię. Widział bladą, zdumioną twarz pana Segundusa, widział jego poruszające się wargi. Nie miał jednak czasu niczego wyjaśniać. Kto wiedział, kiedy świat wypowie mu posłuszeństwo?

Zeskoczył z mostu i pobiegł brzegiem strumienia.

Gdy tak biegł, drzewa zdawały się go witać; mówiły o dawnych przymierzach, przypominały mu minione czasy. Światło słońca nazwało go Królem i wyraziło radość ze spotkania. Nie miał czasu powiedzieć im wszystkim, że nie jest tym, za kogo go biorą.

Dotarł do głębokiej doliny na wrzosowisku, do miejsca, gdzie wydobywano młyńskie kamienie. Wokół doliny leżały porzrzucone okrągłe wylupane głązy, każdy z nich połowy wysokości mężczyzny.

Strumień wrzał i bulgotał tam, gdzie uwiązał dżentelmen. Stephen ukląkł na płaskim kamieniu i pochylił się nad wodą.

- Przepraszam - powiedział. - Wiem, że miał pan dobre intencje.

Włosy dżentelmena wiły się niczym srebrne węże w ciemnej wodzie. Jego twarz przedstawiała straszliwy widok. W furii i nienawiści zatracił podobieństwo do człowieka. Oczy wydawały się jeszcze szerzej rozstawione, na twarzy wyrosło futro, a wargi uniosły się w grymasie, odsłaniając zęby.

Jakiś głos w głowie Stephena powiedział: „Jeśli mnie zabijesz, nigdy nie poznasz swego imienia!”

- Jestem bezimiennym niewolnikiem - odparł Stephen. - Zawsze nim byłem, a dziś nie pragnę już być nikim więcej.

Przemówił do młyńskich kamieni. Wzniosły się w powietrze i runęły na dżentelmena.

Przemówił do głazów i skał, uczyniły to samo. Dżentelmen był stary jak świat i niesłychanie silny. Jeszcze długo po tym, jak jego kości i mięśnie zostały zgniecione na miazgę, Stephen czuł, że zwłoki usiłują zrekonstruować się mocą magii. Wobec tego przemówił do kamiennego obrzeża doliny i poprosił je o pomoc. Ziemia i skały runęły na młyńskie kamienie i głazy, tworząc wzniesienie o wysokości brzegów doliny.

Przez całe lata Stephen czuł się odgradzony od rzeczywistości taflą brudnego szkła. W chwili gdy dżentelmen wydał z siebie ostatnie tchnienie, tafla się roztrzaskała. Stephen stał nieruchomo, walcząc o oddech.

Jego sojusznicy i służący nabrali jednak wątpliwości. W umysłach wzgórz i drzew pojawiło się pytanie. Powoli docierało do nich, że Stephen nie jest tym, za kogo go wzięły, że grzał się w blasku cudzej sławy.

Jeden po drugim się wycofywały. Gdy opuścił go ostatni sprzymierzeniec, Stephen padł, pusty i bez czucia, na ziemię.

W Padwie Greysteelowie już zjedli śniadanie i zebrali się w saloniku na pierwszym piętrze. Tego ranka humory im nie dopisywały z powodu niemiłej różnicy zdań. Doktor Greysteel miał zwyczaj popalać fajkę w domu, czemu bardzo sprzeciwiały się obie panie. Ciocia Greysteel usiłowała go przekonać, by zarzucił ten nałóg, doktor Greysteel okazał się jednak uparty. Palenie fajki było jego ulubioną rozrywką i uważał, że powinno mu się na nią pozwolić w ramach zadośćuczynienia za to, że nigdzie nie wychodzili. Ciocia Greysteel oznajmiła, że może sobie pykać z fajki na zewnątrz. Doktor Greysteel odparł, że to wykluczone, gdyż pada. Trudno palić fajkę na deszczu, tytoń moknie.

I tak kurzył, a ciocia Greysteel demonstracyjnie kaszłała. Flora, która winiła za tę sytuację siebie, zerknęła na nich oboje z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Ciągnęło się to mniej więcej przez godzinę, kiedy nagle doktor Greysteel uniósł wzrok i wykrzyknął ze zdumieniem:

- Moja głowa jest czarna! Całkiem czarna!

- A czego oczekujesz, skoro palisz? - odparła jego siostra.

- Tato? - Zaniepokojona Flora odłożyła robótkę. - Co masz na myśli?

Doktor Greysteel wpatrywał się w lustro - to samo lustro, które zawisło w domu, gdy dzień zmienił się w noc, a Strange przybył do Padwy. Flora wstała i stanęła za krzesłem ojca, żeby zobaczyć to, co on widział. Jej pełen zdumienia krzyk natychmiast zwabił ciocię Greysteel.

Tam, gdzie powinna być w lustrze głowa doktora Greysteela, widniała ciemna plamka. Poruszała się, zmieniając kształt. Plamka rosła, aż w końcu zaczęła przypominać postać biegnącą ku nim po przepastnym korytarzu. Postać zbliżała się, widzieli, że to kobieta. Biegając, obejrzała się kilka razy, jakby z obawy przed kimś, kto mógłby ją ścigać.

- Co ją przestraszyło, że tak biegnie? - zadumała się ciocia Greysteel. - Lancelocie, czy ty coś widzisz? Czy ktoś ją goni? Biedna dama! Lancelocie, zrób coś!

Doktor Greysteel podszedł do lustra, położył na nim dłoń i popchnął, ale powierzchnia zwierciadła była twarda i gładka jak zawsze. Wahał się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy wypróbować bardziej gwałtowne środki.

- Ostrożnie, tato! - krzyknęła Flora z niepokojem. - Nie wolno ci go zbić!

Kobieta w lustrze zbliżała się. Przez chwilę wydawało się, że stoi tuż za szklaną taflą, widzieli kunsztowne hafty i paciorki u jej sukni. Potem weszła na ramę. Powierzchnia lustra zmiękła; przypominała teraz gęstą chmurę albo mgłę. Flora pośpiesznie przystawiła krzesło do ściany, żeby dama mogła bez trudu zejść. Wyciągnęły się ku niej trzy pary rąk, pragnąc pomóc jej uciec od tego, co tak ją przerażało.

Miała około trzydziestu, może trzydziestu dwóch lat. Ubrana była w suknię koloru jesieni. Brakowało jej tchu po długim biegu. Rozejrzała się po nie znanym sobie pokoju, nie znanych twarzach, nie znanym otoczeniu.

- Czy to Faerie? - spytała.- Nie, proszę pani - odparła Flora.- Czy to Anglia?- Nie, proszę pani. - Po twarzy Flory zaczęły płynąć łzy. Położyła dłoń na piersi, żeby się uspokoić. - To Padwa. We Włoszech. Nazywam się Flora Greysteel. To nazwisko nic pani nie mówi, ale czekałam tu na panią na prośbę pani męża. Obiecałam mu, że panią powitam.

- Czy Jonathan tu jest?- Nie, proszę pani.- Pani jest Arabellą Strange - oznajmił doktor Greysteel ze zdumieniem.- Tak.- O mój Boże! - wykrzyknęła ciocia Greysteel. Jedną ręką zakryła usta, drugą przycisnęła do piersi. - O mój Boże! - Potem obiema dłońmi pogłaskała twarz i ramiona Arabelli. - O mój Boże! - wykrzyknęła po raz trzeci, wybuchnęła płaczem i objęła Arabellę.

Stephen się przebudził. Leżał na zamrożonej ziemi w wąskiej dolince. Słońce zniknęło, było szaro i zimno. Dolina była zavalona młyńskimi kamieniami, głazami i ziemią, które tworzyły osobliwy kurhan. Ściana zwaliska zablokowała strumień, lecz woda sączyła się przez tamę i rozpląwała po ziemi. Korona, berło i jabłko Stephena leżały nieopodal w kałużach. Wstał z trudem.

- Stephenie! Stephenie! - usłyszał z oddali. Pomyślał, że to lady Pole.

- Uwolniłem się od imienia mej niewoli - powiedział. - Już go nie ma.

Podniósł koronę, berło i jabłko i ruszył przed siebie. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Zabił dżentelmena, a wcześniej pozwolił mu zabić Vinculusa. Nie mógł już wrócić do domu - jeśli w ogóle kiedykolwiek miał dom. Co powiedziałyby angielski sędzia i sąd czarnemu człowiekowi, który był podwójnym mordercą? Stephen zakończył swoje sprawy z Anglią, a Anglia zakończyła swoje sprawy z nim. Ruszył przed siebie.

Po pewnym czasie odniósł wrażenie, że krajobraz się zmienił. Drzewa, które go teraz otaczały, wydawały się ogromne i wiekowe, ich konary były dwukrotnie grubsze od ciała dorosłego człowieka i skręcały się w niesamowite, fantastyczne kształty. Choć zimą krzewy szypszyny były nagie, rosło na nich kilka krwistoczerwonych i śnieżnobiałych różyczek.

Anglia pozostała w tyle. Nie tęsknił za nią. Szedł przed siebie.

Dotarł do długiego, niskiego wzgórza. Do jego wnętrza prowadziło wejście. Nie były to raczej drzwi, lecz wlot jamy, ale nie wyglądał złowieszczo. Ktoś tam stał, w wejściu, i czekał na niego. „Znam to miejsce - pomyślał Stephen. - To Utracona Nadzieja! Jak to możliwe?”

Nie chodziło tylko o to, że dom zamienił się we wzgórze, wszystko inne też się przeobraziło. Las nagle tchnął świeżością, niewinnością. Drzewa już nie straszyły podróżnych. Między gałęziami przeświecało pogodne zimowe niebo chłodnej, niebieskiej barwy. Od czasu do czasu błysnęła gwiazda. Stephen nie pamiętał już, czy to świecą gwiazdy poranka, czy wieczoru. Rozejrzał się w poszukiwaniu starych kości i zardzewiałych zbroi, ponurych dowodów krwiożerczych zapędów dżentelmena. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że są wszędzie, pod jego stopami, wśród korzeni drzew, w szypszynie i ciernistych krzewach. Były jednak o wiele starsze, niż zapamiętał, porośnięte mchem, przezarte rdzą, rozpadały się w pył. Lada chwila miały zniknąć.

Postać w wejściu była znajoma. Osoba ta często bywała na balach i innych uroczystościach w Utraconej Nadziei, ale teraz była odmieniona. Jej rysy bardziej przypominały rysy elfa, oczy lśniły, brwi miały ekstrawagancki kształt, włosy zwinęły się ciasno niczym runo jagnięcia lub gałązki młodej paproci wiosną. Na twarzy widać było jasny zaczątek futra. Mężczyzna wyglądał starzej, choć zarazem bardziej niewinnie.

- Witaj! - wykrzyknął.

- Czy to naprawdę Utracona Nadzieja? - zapytała osoba, która niegdyś była Stephenem Blackiem.

- Tak, dziadku.

- Nie rozumiem. Utracona Nadzieja była olbrzymią posiadłością. A to... - osoba, która niegdyś była Stephenem Blackiem, umilkła. - Nie znajduję słów.

- To brugh, dziadku! Świat pod wzgórzem. Utracona Nadzieja się zmienia. Dawny król nie żyje. Nadchodzi nowy król, a wtedy świat porzuca smutek. Grzechy starego króla rozwiewają się niczym poranna mgła! Świat kształtuje się na podobieństwo nowego władcy, jego cnoty wypełnią las i świat.

- Nowy król? - Osoba, która niegdyś była Stephenem Blackiem, popatrzyła na swoje ręce. W jednej trzymała berło, w drugiej jabłko.

Elf uśmiechnął się do niego, jakby nie mógł zrozumieć, czemu tu się dziwić.

- Zmiany, jakie tu wniosłeś, przewyższają wszystkie twoje dokonania w Anglii.

Weszli do wielkiej sali. Nowy król usiadł na wiekowym tronie. Wokół niego zebrał się tłum ludzi. Niektóre oblicza rozpoznawał, inne były mu nie znane, ale podejrzewał, że po prostu nigdy nie widział ich takimi, jakimi były naprawdę. Przez długi czas milczał.

- Ten dom jest nieporządnym i brudnym - powiedział w końcu. - Jego mieszkańcy próżnowali, spędzając czas na bezsensownych rozrywkach i celebrowaniu dawnych okrucieństw, których w ogóle nie powinno się pamiętać, a co dopiero czcić. Często byłem tego świadkiem, często tego żałowałem. Wszystko to naprawię z czasem.

W chwili gdy zakłęcie zaczęło działać, w Hurtfew zerwał się silny wiatr. Drzwi łomotały w ciemności, czarne zasłony wydymały się w czarnych pokojach, czarne dokumenty zerwały z czarnych biurków i rzuciły w tany. Dzwon zabrany z dawnego opactwa wiele lat temu i zapomniany, bił gorączkowo w małej wieżyczce nad stajniami.

W bibliotecznych lustrach i na tarczach zegarów ukazały się wizje. Wiatr odsunął zasłony: wizje były również na szybach. Następowały jedna po drugiej, niemal zbyt szybko, by je śledzić. Pan Norrell widział kilka, które wydawały się znajome: stłuczoną gałąź ostrokrzewu w bibliotece na Hanover Square; kruka lecącego przed katedrą Świętego Pawła i wyglądającego przez chwilę jak ucieleśnienie Kruka w Locie; wielkie czarne łoże w gospodzie w Wansfordzie. Inne jednak były mu całkiem obce: głóg, człowiek ukrzyżowany w gąszczu drzew, kamienie w wąskiej dolince, otwarta butelka unoszona przez fale.

Nagle niemal wszystkie wizje zniknęły, a pozostała tylko jedna. Wypełniła wysokie biblioteczne okno, ale pan Norrell nie miał pojęcia, co przedstawia. Przypominała wielki, idealnie okrągły czarny kamień o niemal niewiarygodnym połysku i gładkości, osadzony w cienkim pierścieniu z nie oszlifowanego kamienia i umieszczony na czarnym zboczu wzgórza. Pan Norrell uznał, że to zbocze, gdyż było nieco podobne do wypalonego i zwęglonego wrzosowiska, choć tutaj czerń nie kojarzyła się ze spalenizną, tylko raczej z



wilgotnym jedwabiem lub wypastowaną skórą. Nagle kamień poruszył się lub obrócił. Ruch był niemal zbyt szybki, by go zarejestrować, ale pan Norrell odniósł nieprzyjemne wrażenie, że kamień mrugnął.

Wiatr ucichł. Dzwon nad stajnią przestał bić.

Pan Norrell westchnął z ulgą, że już po wszystkim. Strange stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami, zatopiony w myślach, i wpatrywał się w podłogę.

- Co pan o tym myśli? - spytał pan Norrell. - Ostatnia była najgorsza. Przez chwilę myślałem, że to oko.

- To było oko - odparł Strange.

- Ale do kogo mogło należeć? Jakiegoś potwora, jak sędzę! Bardzo niepokojące!

- Było przerażające, ale nie tak jak pan myśli. To oko kruka.- Oko kruka?! Przecież wypełniło całe okno!- Tak. Albo kruk był niesłychanie wielki, albo...- Albo? - powtórzył pan Norrell drżącym głosem. Strange parsknął krótkim, niewesołym śmiechem.

- Albo my byliśmy niesłychanie mali! Niemiło zobaczyć siebie takim, jakim widzą nas inni, prawda? Powiedziałem, że chcę, by John Uskglass na mnie spojrział, i myślę, że to zrobił. Albo on, albo jeden z jego zastępców. W tamtej chwili byliśmy mniejsi niż oko kruka i jak sędzę, równie nieistotni. A skoro o Johnie Uskglassie mowa, zapewne nie wiemy, gdzie teraz jest.

Pan Norrell usiadł nad srebrnym naczyniem i zabrał się do roboty. Mniej więcej po pięciu minutach cierplivej pracy odezwał się:

- Drogi panie! Nigdzie nie ma śladu Johna Uskglassa - nigdzie. Ale szukałem lady Pole i pani Strange. Lady Pole jest w hrabstwie York, a pani Strange we Włoszech. Nie ma po nich śladu w Faerie! Obie zostały odczarowane.

Zapadła cisza. Strange gwałtownie się odwrócił.

- To niesłychanie dziwne - ciągnął pan Norrell zdumionym tonem. - Zrobiliśmy wszystko, co należało, ale nie mam pojęcia jak. Mogę jedynie przypuszczać, że John Uskglass ujrzał, iż błądzimy, i wyciągnął rękę, by nam pomóc. Niestety, jego uczynność nie zdołała uwolnić nas z ciemności. Ta pozostała.

Pan Norrell urwał. To było jego przeznaczenie - pełne strachu, koszmaru i osamotnienia! Siedział cierpliwie przez chwilę, czekając, aż owładną nim straszliwie emocje, ale w końcu musiał przyznać, że wcale ich nie czuje. Teraz myślał tylko o długich latach, które spędził w Londynie z dala od swej biblioteki, cały czas będąc na zawołanie ministrów i admirałów. Zastanawiał się, jak zdołał to znieść.

- Cieszę się, że nie rozpoznałem tego oka kruka - oznajmił radośnie. - Pewnie mocno

bym się przestraszył.

- Rzeczywiście - powiedział Strange zachrypniętym głosem. - Miał pan szczęście. Tak czy inaczej, wyleczyłem się z próżności. Od dziś John Uskglass może mnie ignorować.

- W rzeczy samej! - zgodził się pan Norrell. - Drogi panie, naprawdę powinien się pan pozbyć zwyczaju życzenia sobie rozmaitych rzeczy. To bardzo niebezpieczna cecha u maga! - I rozpoczął długi i niezbyt interesujący wywód o czternastowiecznym magu z Lancashire, który często miewał bezsensowne życzenia, i powodował niesłychane kłopoty w rodzinnej wiosce, przypadkowo zamieniając krowy w chmury, a garnki w statki, sprawiając, że wieśniacy przemawiali kolorami, nie słowami, oraz ogólnie wywoływał magiczny chaos.

Z początku Strange ledwie mu odpowiadał, do tego rzadko i nielogicznie. W końcu zaczął słuchać z większą uwagą i rozmawiać jak zawsze.

Pan Norrell miał wiele talentów, ale nie potrafił przenikać serc kobiet i mężczyzn. Strange ani słowem nie wspomniał o uratowaniu żony, więc pan Norrell doszedł do wniosku, że najwyraźniej nie wywarło to na nim wielkiego wrażenia.

## **Rozdział dwudziesty piąty**

### **Strandżyści i norelici lutywiosna 1817**

Childermass jechał konno, Vinculus wędrował u jego boku. Dookoła nich rozciągały się pokryte śniegiem wrzosowiska, przypominające wielki, wypchany pierzem materac. Chyba podobne skojarzenie nasunęło się Vinculusowi, gdyż szczegółowo opisał miękkie, pełne poduszek łóżce, w którym zamierzał spać tej nocy, i bardzo sutą kolację, którą spożyje przed snem. Bez wątplenia oczekiwał, że Childermass zapłaci za te luksusy, i nikogo by nie zdziwiło, gdyby Childermass zaprotestował, ten jednak milczał. Cały czas łamał sobie głowę, czy powinien pokazać Vinculusa Strange'owi i Norrellowi. Z pewnością w Anglii nikt nie był bardziej od nich kompetentny. Childermass jednakże nie potrafił przewidzieć, jak zareagują magowie, stając twarzą w twarz z człowiekiemksięgą. Podrapał się po policzku. Widniała na nim cienka, ładnie zagojona blizna - zaledwie srebrzysta linia na skórze.

Vinculus przestał gadać, przystanął na środku drogi. Derka opadła mu z ramion, teraz energicznie podwijał rękawy fraka.

- Co się stało? - spytał Childermass. - O co chodzi?

- Zmieniłem się - odparł Vinculus. - Patrz! - Zdjął frak i rozpiął koszulę. - Słowa są inne! Na ramionach! Na torsie! Wszędzie! Wcześniej głosiłem coś innego! - Mimo chłodu zaczął się rozbierać. Potem, kiedy był już całkiem nagi, uczcił swoją transformację, przytupując radośnie niczym niebieskoskóry diabeł.

Childermass zsiadł z konia, przestraszony i zrozpaczony. Udało mu się ocalić księgę Johna Uskglassa od zniszczenia i śmierci, a kiedy już wydawała się bezpieczna, pokonała go, zmieniając się.

- Musimy jak najszybciej dotrzeć do gospody! - wykrzyknął. - Musimy zdobyć papier i atrament i spisać dokładnie to, co zapisano na tobie wcześniej. Koniecznie wyteż pamięć.

- Po co? - spytał.

- Bo to magia Johna Uskglassa! Myśli Johna Uskglassa! Jedyne istniejące zapis. Musimy zachować wszystko, co się da.

Vinculus nadal nie rozumiał.

- Po co? - powtórzył. - John Uskglass nie uważał, żeby to było warte zachowania.

- Ale dlaczego się nagle zmieniłeś? I to tak ni stąd, ni zowąd?

- Ależ jak najbardziej stąd i zowąd - odparł Vinculus. - Wcześniej byłem przepowiednią, jednakże rzeczy, które przepowiedziałem, już się wydarzyły. No i dlatego się zmieniłem - inaczej stałbym się historią! Nudną jak flaki z olejem!

- A czym jesteś teraz?

Vinculus wzruszył ramionami.

- Może książką kucharską! Może powieścią! Może zbiorem kazań!

Bardzo go to rozbawiło, zaczął zatem rechotać i jeszcze trochę poskakał.

- Mam nadzieję, że nadal jesteś tym, czym byłeś - księgą magii. Ale co ty mówisz? Vinculusie, czy to znaczy, że nigdy nie nauczyłeś się tego alfabetu?

- Jestem księgą - Vinculus znieruchomiał. - Najważniejszą księgą. Zadaniem księgi jest skrywać słowa. To właśnie robię. To czytelnik musi znać ich znaczenie.

- Ale ostatni czytelnik zmarł!

Vinculus wzruszył ramionami, jakby to nie było jego zmartwienie.

- Musisz coś wiedzieć! - Childermass szalał ze złości. Złapał Vinculusa za ramię. - A to? Ten znak rogatego koła przeciętego linią? Ciągłe się na tobie pojawia, co oznacza?

Vinculus wyrwał mu ramię.

- Oznacza zeszyły wtorek - odparł. - Oznacza trzy świnki, jedną w słomkowym kapeluszu! Oznacza, że Sally poszła płaść w świetle księżycy i zgubiła różaną torebkę. -

Uśmiechnął się i pogroził Childermassowi palcem. - Wiem, co robisz! Chcesz zostać następnym czytelnikiem!

- Być może - odparł Childermass. - Choć za nic nie potrafię powiedzieć, od czego miałbym zacząć. Ale nie widzę wokół nikogo, kto miałby większe prawo do zostania nim. Cokolwiek się jednak zdarzy, nie spuszczę cię już z oczu. Tak, Vinculusie, będziemy teraz nierozłączni.

Vinculus natychmiast stracił dobry humor i ubrał się w ponurym milczeniu.

Do Anglii powróciła wiosna. Ptaki fruwały za pługami. Słońce ogrzewało kamienie. Deszcze i wiatry złagodniały, niosły teraz z sobą zapachy ziemi i nowego życia. W lasach pojawiły się barwy tak delikatne, tak subtelne, że właściwie trudno je było nazwać barwami. Było to raczej wyobrażenie barw, jakby to drzewa śniły zielone sny lub miały zielone myśli. Wiosna powróciła do Anglii, ale Strange i Norrell nie. Słup ciemności zakrywał opactwo Hurlfrew, Norrell już z niego nie wyszedł. Ludzie spekulowali, że Strange zabił Norrella albo Norrell Strange'a, czy sobie na to zasłużyli i czy ktoś powinien tam wejść, by się o tym przekonać.

Zanim jednak ktokolwiek zdołał wyciągnąć jakieś wnioski, ciemność odeszła, zabierając z sobą opactwo Hurlfrew. Dom, park, most i część rzeki zniknęły. Drogi wiodące niegdyś do Hurlfrew prowadziły teraz do własnego początku lub nieciekawych zakątków pól i lasów odroślowych, których nikt nie chciał odwiedzać. Dom na Hanover Square i oba domy Strange'a - ten na Soho Square i w Clurr - spotkał taki sam los. W Londynie jedynym stworzeniem, które nadal potrafiło odnaleźć dom na Soho Square, był kot Jeremy'ego Johnsa, Gil. Gil nie zdawał sobie sprawy z tego, że domu nie ma, i wciąż chodził tam, kiedy mu się podobało. Po prostu wślizgiwał się między numer 30 i 32, a każdy, kto go widział, twierdził, że był to najdziwniejszy widok na świecie.

Lord Liverpool i pozostali ministrowie często publicznie wyrażali swój żal z powodu zniknięcia Strange'a i Norrella, ale tak naprawdę ulżyło im, że mają ten problem z głowy. Strange i Norrell okazali się mniej szacowni, niż się kiedyś wydawało.

Obaj eksperymentowali, jeśli nie z czarną magią, to z taką, która z pewnością miała zbyt ciemny odcień, by stać się pożądana i legalna. Ministrowie zwrócili uwagę na wielką liczbę nowych magów, którzy zniemacka pojawili się w kraju. Magowie ci rzadko czarowali i zazwyczaj byli niewykształceni, lecz okazali się równie kłótlivi jak Strange i Norrell. Trzeba było szybko wypracować odpowiednie metody regulacji ich postępowania. Nagle plan pana Norrella dotyczący przywrócenia Ławy Pięciu Smoków (wcześniej lekceważony) okazał się niezwykle przydatny.

W drugim tygodniu marca w „*York Chronicle*” ukazała się notatka skierowana do dawnych członków Uczzonego Towarzystwa Magów Yorku i do wszystkich, którzy chcieliby do niego wstąpić. Zapraszała tych panów do gospody Pod Odwieczną Gwiazdą na przyszłą środę (czyli w dzień, w którym tradycyjnie spotykali się magowie).

To dziwne ogłoszenie obraziło niemal wszystkich byłych członków towarzystwa. Zamieszczono je w gazecie, więc mógł je przeczytać każdy, kto dysponował jednym pensem. Co więcej, autor (nie wymieniony z nazwiska) uznał za stosowne zapraszać ludzi, by wstąpili do towarzystwa, do czego absolutnie nie miał prawa, niezależnie od tego, kim był.

Kiedy nadszedł ów ważny wieczór, dawni członkowie towarzystwa zjawili się w gospodzie, gdzie zastali mniej więcej pięćdziesięciu magów (albo pretendentów do tego tytułu) zgromadzonych w długiej sali. Najwygodniejsze miejsca były zajęte i dawni członkowie (między innymi pan Segundus, pan Honeyfoot i doktor Foxcastle) musieli usiąść na niewielkim podium, z dala od kominków. Miało to swoje dobre strony: mogli bez przeszkód obserwować nowych magów.

Widok ten nie rozradował ich serc. Tłum składał się z przypadkowych ludzi („Raczej nie ma wśród nich dżentelmenów”, zauważył doktor Foxcastle). Byli tu dwaj farmerzy i kilku sprzedawców. Wśród nich siedział blady młody człowiek o jasnych włosach i nerwowym usposobieniu, który opowiadał sąsiadom, że jest całkiem pewien, iż ogłoszenie zamieścił w gazecie sam Jonathan Strange i bez wątpienia pojawi się lada chwila we własnej osobie, by ich wszystkich nauczać magii! Był tam też (co ich nieco pocieszyło) duchowny, gładko ogolony, przywoicie wyglądający mężczyzna około pięćdziesiątki lub sześćdziesiątki, w czarnym stroju. Towarzyszył mu pies, szary i równie dystyngowany jak jego pan, oraz młoda urodziwa kobieta w sukni z czerwonego aksamitu, co już nie świadczyło najlepiej o mężczyźnie. Miała czarne włosy i zawzięty wyraz twarzy.

- Panie Taylor - powiedział doktor Foxcastle swemu akolicie - jeśli łaska, niech pan zasugeruje temu dżentelmenowi, że na spotkania nie przyprowadzamy członków rodziny.

Pan Taylor rzucił się do duchownego.

Z miejsca, w którym siedzieli, dawni członkowie towarzystwa magów uświadomili sobie, że gładko ogolony dżentelmen jest bardziej nieugięty, niż to sugerowało jego łagodne oblicze. Odpowiedział panu Taylorowi w ostry sposób.

Pan Taylor powrócił z następującą informacją:

- Pan Redruth prosi towarzystwo o wybaczenie, ale nie jest magiem. Bardzo go interesuje magia, lecz to nie on dysponuje magicznymi umiejętnościami, ale jego córka. Pan

Redruth ma syna i trzy córki, twierdzi, że wszyscy są magami. Reszta jednak nie chciała przyjść na spotkanie. Pan Redruth mówi, że nie mają ochoty zadawać się z innymi magami, wolą bez przeszkód samotnie kontynuować naukę.

Zapadła cisza, podczas której byli członkowie towarzystwa usiłowali (bez powodzenia) cokolwiek z tego zrozumieć.

- Może i jego pies jest magiem - oznajmił doktor Foxcastle, a pozostali panowie wybuchnęli śmiechem.

Wkrótce stało się jasne, że nowo przybyli podzielili się na dwie grupy. Panna Redruth, młoda dama w aksamitnej sukni, przemówiła na początku. Miała niski głos i wypowiadała się dość nerwowo. Nie przywykła do publicznych wystąpień i nie wszyscy magowie ją słyszeli, jej przemowę zdominowały emocje. Zdaje się, że zamierzała udowodnić, iż Jonathan Strange był wszystkim! Gilbert Norrell niczym! Strange wkrótce zostanie zrehabilitowany, Norrell powszechnie skrytykowany! Magia uwolni się z oków, w które zakuł ją Gilbert Norrell! Te uwagi, razem z rozmaitymi odniesieniami do zaginionego arcydzieła Strange'a Historia i zastosowanie angielskiej magii, sprowokowały pełne złości wypowiedzi kilku innych magów. Twierdzili oni, że księga Strange'a pełna była niegodziwej magii, a sam Strange okazał się mordercą. Na pewno zabił swoją żonę i najprawdopodobniej również Norrella.

Dyskusja była coraz bardziej ożywiona, przerwało ją dopiero nadejście dwóch mężczyzn. Żaden z nich nie wyglądał ani trochę szacownie. Obaj mieli długie potargane włosy i stare płaszcze. Jeden był zwykłym obszarpańcem, drugi wydawał się człowiekiem odpowiedzialnym, nawet nie pozbawionym autorytetu.

Włóczęga nie zadał sobie trudu, by przyjrzeć się magom. Po prostu usiadł na podłodze i zażądał ginu oraz wrzątku. Drugi nieznamy stanął na środku sali i patrzył na zebranych z drwiącym uśmiechem. Skłonił się pannie Redruth i zwrócił do magów następującymi słowy:

- Panowie! Pani! Być może niektórzy z was mnie pamiętają. Byłem z wami dziesięć lat temu, gdy pan Norrell prezentował magię w katedrze w Yorku. Nazywam się John Childermass. Jeszcze miesiąc temu pozostawałem na służbie u Gilberta Norrella. A to - wskazał mężczyznę na podłodze - to Vinculus, niegdyś uliczny sztukmistrz z Londynu.

Childermass nie zdołał powiedzieć nic więcej. Wszyscy zaczęli jednocześnie krzyżeć. Dawni członkowie Towarzystwa Magów Yorku skonstatowali, że nie po to opuścili swoje przytulne domostwa, by przyjść tu i słuchać pouczeń służącego. Lecz choć dżentelmeni dawali wyraz swemu oburzeniu, większość nowo przybyłych inaczej zareagowała na Childermassa. Byli albo strandżystami, albo norelitami. Ani jeden z nich nie widział swego mentora, więc bliskość osoby, która go znała i z nim rozmawiała, budziła ich niesłychany

entuzjazm.

Childermassa nie peszyło to w najmniejszym stopniu. Poczekał, aż zgromadzeni się uciszą, po czym przemówił:

- Wróciłem, żeby powiedzieć wam, iż umowa z Gilbertem Norrellem nie obowiązuje. Nie obowiązuje, panowie. Znów jesteście magami, jeśli tylko chcecie.

Jeden z nowych magów spytał głośno, czy wkrótce przybędzie Strange. Inny chciał wiedzieć, czy przybędzie Norrell.

- Nie, panowie - odparł Childermass. - Żaden z nich tu się nie zjawi. Musicie zadowolić się mną. Nie sądzę, żebyśmy napotkali Strange'a i Norrella w Anglii. Przynajmniej nie w tym pokoleniu.

- Dlaczego? - spytał pan Segundus. - Dokąd się udali?

Childermass uśmiechnął się do niego.

- Tam, dokąd udają się magowie. Za niebo. Na drugą stronę tęczy.

Jeden z norelitów zauważył, iż Jonathan Strange miał słuszość, wynosząc się z Anglii. W przeciwnym wypadku z pewnością by go powieszono.

Pobudliwy młody człowiek o jasnych włosach odparł złośliwie, że wkrótce całe grono norelitów znajdzie się w tarapatkach. W końcu chyba pierwsza zasada norrellickiej magii głosi, że wszystko opiera się na księgach? I co teraz, skoro księgi zniknęły wraz z opactwem Hurlfrew?

- Nie potrzeba wam biblioteki Hurlfrew, panowie - powiedział Childermass. - Ani biblioteki na Hanover Square. Przywiozłem wam coś znacznie lepszego. Księgę, której Norrell bardzo pragnął, ale nigdy nie widział. Księgę, o której istnieniu Strange nie miał pojęcia. Przywiozłem wam księgę Johna Uskglassa.

Znowu rozległy się krzyki. W tym zgiełku panna Redruth usiłowała wygłosić przemowę w obronie Johna Uskglassa, którego uparła się tytułować Królem lub Jego Wysokością, jakby lada moment miał wkroczyć do Newcastle i znów objąć rządy nad północną Anglią.

- Czekajcie! - wykrzyknął doktor Foxcastle. Jego doniosły, dumny głos w końcu przebił się przez okrzyki siedzących najbliżej, a potem całej reszty. - Nie widzę księgi w dłoniach tego hultaja! Gdzie księga? Co to ma być? Czyżby podstęp? Z pewnością chce naszych pieniędzy. Co pan na to? - Do Johna Childermassa: - Co nam pan powie? Proszę pokazać księgę, jeśli rzeczywiście istnieje!

- Wręcz przeciwnie, szanowny panie, niczego od panów nie chcę. - Childermass uśmiechnął się ironicznie. - Vinculusie! Wstań!

W domu w Padwie najważniejszą sprawą było teraz ułatwianie życia pani Strange. Każdy robił to na swój sposób. Troska doktora Greysteela przybrała filozoficzną formę. Szukał w pamięci przykładów osób, zwłaszcza dam, które pokonały niesprzyjające okoliczności, zwykle z pomocą przyjaciół. Minichello i Frank, dwaj służący, biegali otwierać jej drzwi, czy chciała nimi przechodzić, czy nie. Pokojówka Bonifazia wołała traktować roczny pobyt Arabelli w Faerie jak coś w rodzaju poważnej grypy, więc całymi dniami przynosiła pani Strange pokrzepiające kordiały. Ciocia Greysteel szukała w mieście najlepszych win i najrzadszych przysmaków, kupowała również najmiększe, wypełnione puchem poduszki, jakby w nadziei że złożysz na nich głowę, Arabella zapomni o wszystkim, co się jej przydarzyło. Mimo tych wysiłków największą radość Arabelli sprawiało jednak towarzystwo Flory i rozmowy z nią.

Pewnego ranka siedziały nad robótką. Arabella niecierpliwym gestem odłożyła swe dzieło i podeszła do okna.

- Jest we mnie jakiś niepokój - powiedziała.

- Nic dziwnego - odparła Flora łagodnie. - Proszę być cierpliwą. Z czasem powróci pani dawny dobry humor.

- Naprawdę? - westchnęła Arabella. - Szczerze mówiąc, nie pamiętam, jaka byłam kiedyś.

- Wobec tego ja to pani powiem. Była pani zawsze radosna, chociaż często skazana na samotność. Rzadko traciła pani zimną krew, nawet poważnie sprowokowana. Każda pani wypowiedź pełna była mądrości i humoru, choć nikt pani za to nie doceniał i niemal zawsze spotykała się pani ze stanowczym sprzeciwem.

- Dobry Boże! - zaśmiała się Arabella. - Ależ był ze mnie ósmy cud świata! Nie bardzo ufam temu opisowi, gdyż mnie pani nie znała - dodała rozbawiona.

- Pan Strange mi to powiedział. To jego słowa.

- Och - Arabella odwróciła głowę.

Flora wbiła wzrok w ziemię i powiedziała cicho:

- Kiedy powróci, na pewno zrobi wszystko, żeby była pani taka jak dawniej. Znow będziecie szczęśliwi. - Uniosła wzrok.

Arabella przez chwilę milczała.

- Nie jestem pewna, czy jeszcze się spotkamy - powiedziała.

Flora znow zajęła się robótką.



- Bardzo dziwne, że pan Strange w końcu powrócił do swego dawnego nauczyciela - zauważyła po chwili.

- Naprawdę? Moim zdaniem nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nigdy nie sądziłam, że ten spór będzie się tak długo ciągnął. Podejrzywałam, że już po miesiącu znów będą przyjaciółmi.

- Zdumiewa mnie pani! Kiedy pan Strange nam towarzyszył, nie powiedział o panu Norrellu ani jednego dobrego słowa, a pan Norrell opublikował okropne rzeczy o panu Strangeu w czasopismach o magii.

- Och, błahostka! - Na Arabelli nie zrobiło to żadnego wrażenia. - To bzdury! Obaj są uparci jak osły. Nie mam powodów kochać pana Norrella, wręcz przeciwnie. Wiem jednak, że to mag z krwi i kości, podobnie jak Jonathan. Tak naprawdę interesuje ich wyłącznie magia i księgi. Nikt inny nie zna się na tym tak dobrze. To naturalne, że powinni współpracować.

Mijały tygodnie, Arabella coraz częściej się uśmiechała. Interesowało ją wszystko, czym zajmowali się jej nowi przyjaciele. Spędzała dni na posiłkach z Greysteelami, załatwianiu spraw dla przyjaciół na mieście i wykonywaniu drobnych domowych obowiązków. Dzięki temu jej zboląły umysł i sterany duch zaznawały ukojenia. Niewiele myślała o zaginionym mężu, jedynie że powinna być mu wdzięczna za to, iż umieścił ją u Greysteelów.

W tamtym czasie przebywał w Padwie pewien młody kapitan. Kilka osób twierdziło, że admiruje on Florę, choć ona sama nie przyjmowała tego do wiadomości. Nie zważając na silny ostrzał artyleryjski, kapitan poprowadził do ataku szwadron kawalerii pod Waterloo, jednak w obecności Flory odwaga najwyraźniej go opuszczała. Nie mógł patrzeć bez rumieńca na pannę Greysteel i był bardzo zaniepokojony, ilekroć wchodziła do pokoju. Na ogół wołał zwracać się do pani Strange z prośbą o informacje, kiedy Flora wybiera się na przechadzkę po Prato delia Valle (piękny ogród w centrum miasta) lub z wizytą do Baxterów (wspólni przyjaciele). Arabella zawsze chętnie mu pomagała.

Niewola miała jednak pewne nieprzyjemne konsekwencje, których ciężko było się pozbyć. Arabella przywykła do tańców po całych nocach, sen nie chciał do niej przyjść. Czasem w mroku słyszała żałośliwą piszczałkę i skrzypki, które grały elfią muzykę, kusząc ją do tańca, chociaż była to ostatnia rzecz na świecie, jakiej pragnęła.

- Mówcie do mnie - prosiła Florę i ciotkę Greysteel. - Mówcie do mnie, a może zdołam to pokonać.

Wtedy właśnie siadały z nią i mówiły jej o wszystkim, co przychodziło im do głowy.

Czasem jednak Arabella czuła, że impuls jest zbyt silny, i wtedy dreptała po sypialni, którą dzieliła wraz z Florą. Kilka razy doktor Greysteel i Frank uprzejmię rezygnowali ze snu, by chodzić z nią nocą po ulicach Padwy.

Właśnie pewnej takiej kwietniowej nocy Arabella i doktor Greysteel spacerowali w pobliżu katedry. Gawędzili o wyjeździe do Anglii, który zaplanowano na następny miesiąc. Arabella nieco się obawiała spotkania z angielskimi przyjaciółmi, więc doktor Greysteel dodawał jej otuchy. Nagle Frank krzyknął ze zdumieniem i wskazał na niebo.

Gwiazdy ruszały się i zmieniały pozycję, pojawiły się nowe konstelacje. W pewnej odległości od spacerowiczów znajdował się, wyglądający na stary, kamienny łuk. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, Padwa to miasto pełne niezwykłych wejść do budynków, łuków i arkad. Ten łuk jednak nie przypominał innych. Padwę zbudowano ze średniowiecznych cegieł, wiele jej ulic ma zatem przyjemny złocistoróżowy kolor. Łuk zbudowany był z ciemnych kamieni północnych, a na obu końcach stał posąg Johna Uskglassa o twarzy częściowo przysłoniętej czapką z kruczymi skrzydłami. Pod łukiem przystanęła wysoka postać.

Arabella zawahała się.

- Nie odejdziesz pan daleko? - spytała doktora Greysteela.

- Frank i ja tu poczekamy - zapewnił ją doktor Greysteel. - Nie ruszymy się z tego miejsca. Wystarczy, że pani nas zawoła.

Poszła zatem sama. Człowiek pod łukiem czytał. Gdy podchodziła, uniósł wzrok, a na twarzy miał ten dawny, tak dobrze jej znany wyraz, świadczący o tym, że nie pamięta, gdzie jest i co ma wspólnego ze światem.

- Tym razem nie towarzyszy ci burza - powiedziała.

- Słyszałaś już o tym, tak? - Strange roześmiał się z zakłopotaniem. - Chyba trochę przesadziłem. Nie było to w najlepszym guście. Podczas pobytu w Wenecji spędziłem zbyt dużo czasu w towarzystwie lorda Byrona i przesiąknąłem jego stylem.

Ruszyli razem przed siebie, a nad ich głowami co chwila pojawiał się nowy wzór z gwiazd.

- Dobrze wyglądasz, Arabello - powiedział. - Obawiałem się... Czego to ja się obawiałem? Och, tysiąca rozmaitych rzeczy. Obawiałem się, że się do mnie nie odezwiesz. Ale jesteś tutaj. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

- I teraz możesz pozbyć się tych lęków - oświadczyła. - Przynajmniej tych związanych ze mną. Czy już wiesz, jak przepędzić ciemność?

- Nie, jeszcze nie. Chociaż, prawdę mówiąc, ostatnio byliśmy tak zajęci nowymi

spekulacjami na temat najad, że nie mieliśmy czasu zająć się poważnie tym problemem. Ale w *Strażniku apolińskim* Gouberta jest kilka informacji, które wydają się obiecujące.

- Cieszę się. Okropnie się czuję, kiedy myślę o tym, jak cierpisz.

- Nie trap się, bardzo proszę. Przede wszystkim nie cierpię. Może trochę, na początku, ale nie teraz. Norrell i ja nie jesteśmy pierwszymi angielskimi magami, których zaklęto. W XII wieku Robert Dymoke naraził się elfowi i od tamtego czasu nie mógł mówić, jedynie śpiewać, co na pewno nie było tak przyjemne, jak może się wydawać. W XIV wieku żył mag o stopie ze srebra. Musiało to być bardzo kłopotliwe. Poza tym kto mówi, że ciemność nie może przynieść nam korzyści? Zamierzamy opuścić Anglię, spotkamy więc rozmaite podstępne istoty. Angielski mag robi wrażenie. Dwóch angielskich magów robi zapewne dwa razy większe wrażenie, a jeśli do tego tych magów spowija niezgłębiona ciemność? Och, myślę, że wzbudzi to strach w każdym poza półbogami!

- Dokąd się udacie?

- O, mamy mnóstwo miejsc do wyboru. Ten świat jest jednym z wielu, a poza tym... Hm, jak to nazwać? Zaściankowość nie przystoi magowi.

- Ale co na to pan Norrell? - Nie wydawała się przekonana. - Nigdy nie przepadał za podróżami, nawet krótkimi, jak ta do Portsmouth.

- Ach! To jedna z zalet naszego szczególnego sposobu podróżowania. Nie musi wychodzić z domu, jeśli nie chce. Świat - światy - przybędą do nas. - Urwał i rozejrzał się dookoła. - Lepiej nie będę dalej szedł. Norrell jest niedaleko. Z rozmaitych przyczyn, związanych z zaklęciem, nie powinniśmy się zbytnio oddalać od siebie, Arabello - powiedział z nietypową dla siebie powagą. - Nie masz pojęcia, jak cierpiałem na myśl o tym, że tkwisz pod ziemią. Zrobiłbym wszystko, naprawdę wszystko, by cię stamtąd wydostać.

Ujęła go za rękę. Jej oczy błyszczały.

- I zrobiłeś - wyszeptała.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę i w tamtym momencie wszystko było tak jak kiedyś, jakby nigdy się nie rozstali. Ona jednak nie zaproponowała, że wejdzie wraz z nim w ciemność, a on jej o to nie poprosił.

- Pewnego dnia odnajdę właściwe zaklęcie i pokonam ciemność - powiedział. - Tego dnia do ciebie wrócę.

- Tak. Pewnego dnia. Będę czekała.

Pokiwał głową i już miał odejść, kiedy nagle się zawahał.

- Bell, nie noś się na czarno - powiedział. - Nie bądź wdową. Bądź szczęśliwa. Taką chcę cię pamiętać.

- Obiecuję. A jak ja mam ciebie pamiętać?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

- Pamiętaj mnie z nosem w książce.

Pocałowali się, a potem on obrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

## KONIEC

### Podziękowania

Podziękowania w pierwszej kolejności kieruję pod adresem cudownego, nieocenionego Gilesa Gordona. Z dumą mówiłam, że jest moim agentem. Wciąż się tym szczyję.

Na szczególne wyrazy wdzięczności za pomoc, udzielaną mi po odejściu Gilesa Gordona, zasługuje Jonny Geller.

Dziękuję Geoffowi Rymanowi za słowa zachęty na początku pisania tej książki, dziękuję Alison Paice (której również bardzo mi brakuje) oraz Tinch Minter i jej grupie pisarskiej. W tym gronie znalazła się też tak ważna dla mnie osoba, jak Julian Hall.

Za zachętę w trakcie pracy dziękuję: moim rodzicom, Janet i Stuartowi, Patrickowi i Teresie Nielsen Hayden, Ellen Datlow, Terri Windling oraz Neilowi Gaimanowi, którego życzliwość dla innych pisarzy nie przestaje mnie zadziwiać.

Dziękuję wszystkim, którzy zajmowali się sprawami językowymi; na wyrazy wdzięczności zasługują zwłaszcza: Stuart Clarke, Samantha Evans, Patrick Marcel i Giorgia Grilli. Za pomoc w rozwikływaniu pogmatwanych kwestii związanych z historią wojska i marynarki wojennej w czasach Napoleona dziękuję Nicholasowi Blake'owi (wszelkie pozostałe w książce błędy wynikają wyłącznie z mojej winy). Za niebywałą spostrzegawczość oraz przenikliwe komentarze i sugestie dziękuję Antonii Till. Za napisanie niezwykle przydatnych książek podziękowania składam Elizabeth Longford (Wellington) oraz Christopherowi Hibbertowi i Benowi Weinrebowi (*The London Encyclopedia*).

Dziękuję Jonathanowi Whitelandowi, który ochoczo poświęca swój czas i dzieli się swą wiedzą, dzięki czemu komputery działają bez zarzutu i można na nich pisać książki.

Przede wszystkim jednak dziękuję Colinowi, który robił wszystko, bym mogła pisać, nigdy się nie skarżył - bez niego ta książka najprawdopodobniej nigdy by się nie ukazała.